

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 212.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1893.—Tom IV.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.

1893.

4620. 1893. 4

II



30,000,-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Октября 1893 года.

X-14313
4620, II 4.

1893

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ XVII.

Kierownictwo armią.

Wszelki aparat udoskonalony wymaga lepszych, a przedewszystkiem inteligentniejszych kierowników i robotników.. Stosuje się to najzupełniej do aparatu wojny.

„Na wojnie wszystko jest rezultatem rachuby. Wszystko, co nie zostało ściśle obmyślane w szczegółach, nie daje rezultatów pewnych. Wojna wszakże nie jest zastosowaniem mechaniki. Umiejętność wojenna polega na przedwstępniem dokładnem rozważeniu wszystkich szans możliwych i następnie na ściślem określeniu, matematycznym niemal, udziału przypadku. *Kwestya taktyki przytem jest drugorzędną, wszystko znaczy moment psychiczny.*“ Tak twierdził Napoleon.

Hoenig wykazuje, że z czynnikiem tym, z tym *momentem psychicznym*, dzisiaj więcej, niż niegdyś, rachować się trzeba, a to wskutek nie tyle większej słabości natury ludzkiej, ile spotęgowanych środków zniszczenia. Ponieważ zaś usunąć słabości ludzkiej nie podobna, więc

¹⁾ Patrz zeszyt wrześnieowy.

trzeba ujemny wpływ jej równoważyć spotęgowaniem czynników innych, które-by pomagały osiągnąć rezultat bez potrzeby uciekania się do nadzwyczajnych wysiłków, a mianowicie: większym zasobem wiedzy, inteligencji, inicjatywy w kierownictwie, a także energii i wytrwałości u oficerów wszystkich stopni ¹⁾). Lecz wśród sfer kompetentnych istnieją wielkie sprzeczności, co do jakości i rozmiaru wymagań. Znakomity Klausewitz neguje wprost wszelkie znaczenie nauki i wiedzy wojskowej. Generał Dragomirow przeczy temu przynajmniej co do terażniejszości.

Niektórzy wreszcie powiadają, że nauka, inteligencya, potrzebne są starszyźnie, to jest tym, którzy przygotowują rzecz zewnątrz ognia. W ogniu przede wszystkim wymagany jest charakter, odwaga, gotowość poświęcenia się. Przytem obojętną jest rzeczą, skąd one pochodzą, czy z wyższego patriotyzmu i poczucia honoru, czy też z fanatyzmu, lub zwierzęcej obojętności. Tę trochę dzikiej inteligencji, ażeby szkodzić nieprzyjacielowi, a ochraniać własną osobę, posiada każdy czerwonoskóry. Stąd żołnierz najmniej wykształcony wobec udoskonalonej broni będzie najlepszy.

Nam się zdaje jednak, że jeżeli już marszałek Bugeand mógł pytać: „przymioty charakteru znaczą niewątpliwie w żołnierzu najwięcej, ale gdzie zaprowadziła-by energia, gdyby nie kierowała nią dokładna znajomość celu i dróg, do niego prowadzących?“—to dzisiaj tem bardziej wystrzegać się należy jednostronności.

I.

Wódz naczelny.

W tylko co wydanem dziele generała francuskiego, Pierrona ²⁾, znajdujemy pogląd, któremu nie podobna odmówić słuszności. Zadaniem jego—wedle własnego upewnienia—było wyjaśnić kwestyę: jak powstał geniusz Napoleona I-go? W tym celu zwiedził on wszystkie pola bitew, które wygrał wielki wódz Francuzów, przeczytał wszystko, co w tej materji napisano, przestudyował wydaną i niewydaną korespondencyę jego samego, oraz sekretarzędów i adjutantów.

„W młodości—mówi on—mniemałem, że to był geniusz *wrodzony*. Wyjaśnienie to, dawane w braku innego, tłumaczy geniusz przez wypadkowość, i tym sposobem badanie czyni niejako bezcelowem. Po-

¹⁾ Hoenig: „Die Taktik der Zukunft.“ Str. 143.

²⁾ Pierron: „Méthodes de guerre.“ 1893.

gląd taki bardzo jest rozpowszechniony w armii francuskiej i przynosi jej więcej szkody, niż przegranie setek bitew, gdyż wyradza lekceważenie badań naukowych, jak gdyby nie trzeba było poznawać doświadczenia wojen dawnych, korzystać z przykładów, pozostawionych przez wielkich wodzów! Ale przeświadczenie, iż geniusz jest czemś *wrodzonym*, zbyt jest wygodne, aby się go wyrzekać: ono dogadza lenistwu umysłowemu i zarozumiałości nieuków, którzy pochlebiają sobie nadzieją, iż w jakiejś chwili potrzeby oświeci ich natchnienie, wystarczające jakoby do tego, aby kierować podczas walki skomplikowanymi ruchami milionowej masy.

„Tymczasem marszałek Soult już mówił, iż „natchnienie niczem innym nie jest, jak szybko bardzo dokonaniem obrachowaniem.“ Zresztą Napoleon sam wyjawiał nam, co sądzić należy o geniuszu jego, gdy w rozmowie z senatorem Roedererem w 1809 r. powiedział: „Pracuję nieustannie i wiele myślę. Jeżeli się zdaje, iż mam na wszystko gotową odpowiedź, że uniem znaleźć się w każdym wypadku, to wynika to stąd, iż przed każdym przedsięwzięciem dawno obmyślałem i przewidziałem wszystko, co może wypaść. Nie duch jakiś podpowiedział mi tajemnie, co mam orzec, lub uczynić wobec okoliczności, dla innych nieprzewidzianych, lecz praca, przez myśl moją wykonana. Pracuję zaś zawsze: przy stole obiadowym, w teatrze, w nocy budzę się, aby pracować.“

Zrobiwszy dalej przegląd wszystkich genialnych przedsięwzięć, Pierron dochodzi do następującego pytania: „Jaką naukę z badań tych wyciągnąć wypada? Czy zmniejszą one sławę Napoleona I-go? Myśl moja daleką jest od tego. Chciałem wykazać tylko, że geniuszu wrodzonego niema, że geniusz rozwija się stopniowo, jak każdy objaw stworzenia, że rozkwitnąć on może jedynie wskutek usilnych studyów, że wreszcie podczas pierwszych swych kroków musi, jak niemowlę, opierać się o wychowawcę. Napoleon 27 marca 1815 r. pisał do marszałka Davout, ówczesnego ministra wojny: „Proszę mi zrobić memoriał, co czyniono podczas kampanii dawniejszych (w celu obrony granicy wschodniej). Proszę opisać, jaki był rezultat działania połączonych armii mozelskiej i reńskiej, jakie pozycye musiały one zająć, aby działać wspólnie.“

„Tym sposobem—kończy autor—Napoleon, nawet w końcu kariery swojej, kiedy miał więcej doświadczenia, niż ktokolwiek ze współczesnych, szukał jeszcze wyjaśnień i wskazówek, uważał za konieczne szycować się do obrony, studując przykłady najścisłych czasów ostatnich. To zrozumienie konieczności uczenia się po prowadzeniu przez lat dwadzieścia wypraw samo już stanowi bynajmniej nie najslabszy dowód geniuszu Napoleona.“

Czemże różni się geniusz od zdolności zwyczajnych? Generał Pierron daje na to odpowiedź następującą: „człowiek genialny tem się różni od śmiertelnika zwyczajnego, iż niebawem potrafi obchodzić się bez pomocy mistrza, sam staje się twórcą, sam nakreśla sobie drogę, niby orzeł, znający potęgę skrzydeł swoich, śmiało wzbija się pod obłoki.“

Dowództwo—zdaniem większości pisarzy wojskowych—podczas wojny wymaga przedewszystkiem, bardziej jeszcze, niż geniuszu, wysokich przymiotów charakteru. „Jakkolwiek w historii pomiędzy wielkimi wodzami znajdujemy znaczną różnicę indywidualnych właściwości—powiada Meckel ¹⁾—to jednak trzy cechy są wszystkim wspólne: orli rzut oka, pewność sądu, a więc szybka decyzja—nadzwyczajna, niczem nie dająca się sparaliżować, energia w wykonaniu, i nakoniec wielkość duszy, która nawet w najcięższym położeniu zachowuje spokój i potrzebną siłę natężenia do nowych czynów.“

„Prócz tego dowódca musi być żołnierzem, musi umieć pozyskać sobie serca żołnierzy, tak, iżby uważali go oni za jednego ze swoich („Stary Fryc,“ „Marszałek Naprzód,“ „Le petit caporal,“ „Suworow“ i t. p.). Im wyższe stanowisko zajmuje dowódca, tem większą siłę duchową posiadać musi, aby w chwili walki w jednym mgnieniu oka objąć sytuację i zapanować nad nią.“

Słusznie więc utrzymywać można, że wodza tworzy charakter. Ale *charaktery* silne objawiają się zazwyczaj w sposób, który w czasie pokoju przeszkadza im raczej awansować. Gdyby nie rewolucya francuska, Bonaparte i Carnot byli-by prawdopodobnie skończyli jako pułkownicy. Fryderyk Wielki, gdyby się nie był urodził na stopniach tronu, był-by pewnie dostał emeryturę jako prosty porucznik.

Wogóle dobre armie i dobrzy wodzowie stanowią jedno, dwie te idee są z sobą nierozzerwalnie złączone. Chodzi więc o zbadanie nie tylko, jakie zalety posiadać powinien człowiek, ażeby, jako wódz naczelny, mógł zdziałać wielkie rzeczy, ale nadto, jakim warunkom zadość uczynić powinna armia i organizacya wojskowa, ażeby pozwoliła wyrobić się wielkim ludziom.

Posłuchajmy, jak określa rolę głównodowodzącego autor słynnego dzieła „Das Volk in Waffen“ ²⁾:

„Wódz naczelny powinien w chwili niebezpieczeństwa technąć wolę swoją w wielkie masy i nadać im kierunek. Powinien być raczej stworzony do rozkazywania, niż do zdobywania względów. Ci, którzy

¹⁾ Meckel: „Truppenführung im Kriege.“ 3 Auflage.

²⁾ Von der Goltz.

urodzili się z darem rządzenia, są także wielkimi mężami wojny, łatwo więc zrozumieć, że największych wodzów szukać trzeba na tronach.

„Głównym warunkiem panowania nad innymi jest *wola*. Już w zabawach dzieci dostrzedz można, że ten jest wodzem, który najlepiej umie wyrazić swą wolę. Jedni posłuszni mu są przez lenistwo, inni z braku zaufania do samych siebie. Tak samo jest w życiu.

„Wola, jasno wyrażona, rzadko tylko kiedy znajduje opór. Ona sama się narzuca, a masa ludzi chce, ażeby jej nakazano posłuszeństwo. To nadaje masie poczucie pewności, które podnosi jej odwagę i skłania ją do zrobienia z siebie wszystkiego, do czego jest zdolną.

„Silna wola nieodłączna jest od wiary w siebie samego, ta zaś przypuszczać każe niezależność charakteru. Ludzie, obdarzeni wysoką inteligencją, są zwykle uniwersalni, a to w rzemiośle wojennem, którego zakres jest ograniczony, dobrem nie jest. Ludzie uniwersalni za nadto przenikają w głąb rzeczy, widzą lepiej od innych niebezpieczeństwa, przewidują zarzuty. Stąd wyradza się wątpliwość, która niweczy zaufanie do siebie samego, co znowu jest śmiertelnym wrogiem powodzenia. Wielkie umysły szukają zazwyczaj za długo *najlepszego* środka, a zapominają, że chodzi przedewszystkiem o zrobienie w czasie odpowiednim tego, co uczynić *wypada*. Jak dalece wielka inteligencja, ciesząca się podczas pokoju ogromnem poważaniem, maleje w chwili walki, wobec woli silnej, dowodzi nam wynik prawie wszystkich rad wojennych.

„Nie ulega wątpliwości, że na tych radach, będących zebraniem tylu ludzi doświadczonych i rozsądnych, gromadzi się największa suma inteligencji. A jednak Fryderyk II miał słuszość, zakazując swym generałom zbierania się na rady wojenne. Wielki znawca ludzi wiedział doskonale, że zawsze partye „bojaźliwe“ najwięcej mają za sobą głosów. Zwykle cała ta inteligencja nagromadzona nie daje innego rezultatu, jak tylko wyrażenia obawy, że wszystko, coby przedsięwzięto, grozi niebezpieczeństwem. Wola naczelnego wodza jest przez radę osłabioną; samo słowo „*Rada wojenna*“ stanowi złą wróżbę i każe przewidywać albo kapitulację, albo klęskę. Zazwyczaj rada zbiera się skutkiem przewidywania katastrofy, kiedy wódz naczelnny nie chce brać na siebie całej odpowiedzialności. Chodzi nie o to, ażeby mieć ludzi inteligentnych, ale takich, którzy umieją chcieć i mają wiarę w siebie“¹⁾.

¹⁾ General Jung w dziele „La guerre et la société“ powiada: „Książę Eugénus Sabaudzki zapewniał, że „zbierał radę wojenną tylko wtedy, gdy mu się nie chciało nie przedsiębrać.“ Książę de Ligne dodaje: „jest to dla mnie zupełnie zrozumiałem, gdyż z tuzina tych, którzy składają taką radę, co najmniej ośmiu nie chce

„Odwaga wzięcia na siebie odpowiedzialności i stanowczość przekonań dziś bardziej jeszcze potrzebne są dowódcy, niż dawniej. Przyczyny tego należy szukać w ustawicznym powiększaniu się obecnego teatru wojny i liczebności armii, rozdrobnionej na znaczną ilość odrębnych oddziałów. Niepewność dowódców tych oddziałów wzrasta z każdą chwilą, ponieważ ocena ogólnego położenia na całym obszarze, na którym odbywa się potyczka, jest coraz trudniejszą.

„Z drugiej zaś strony, w tym samym stopniu zmniejsza się też obecnie i możliwość zwierzchniego kierownictwa wszystkimi pojedynczymi oddziałami, a głównodowodzący coraz częściej musi być odpowiedzialnym za takie kroki, na które nie mógł mieć żadnego wpływu. Zmuszony jest on niejednokrotnie, na zasadzie niezbyt pewnych danych, lub krótkich telegraficznych wiadomości, nie mając możności zbadania osobiście warunków, wydawać polecenia, które, pociągając za sobą krwawe ofiary, w rezultacie przynoszą niepowodzenie; na niego w tym razie spada odpowiedzialność i on spotyka się z zarzutami. Dawniej, przed wprowadzeniem broni dalekonośnej, pole bitwy nie było większem od dzisiejszego placu musztry jednej brygady, dziś się rozciągnie na obszary, których granic przewidzieć trudno.“

Napoleon już pozostawiał większe pole samodzielności dowódców korpusów. „Całkowicie dokładnych rozporządzeń bojowych cesarz nie dawał. Obejrzawszy pozycję i ułożywszy ogólny plan działania, odpowiednio rozkładał on korpusy, zależnie od tego, co zamierzał osiągnąć; następnie komunikował dowódcom korpusów ogólny plan, oraz oznajmiał, jakie zadanie każdy z nich powinien osiągnąć. Gwardya, posiadająca znaczną artylerję, albo inny jaki oddział wyborowy, który pozostawał w rezerwie, posuwały się w chwili stanowczej i decydowały los walki. Dodać należy, iż w rzeczach taktyki Napoleou był oportunistą. Nawet korpusy jego nie miały oznaczonego składu, jak obecnie, lecz były liczniejsze, lub mniej liczne, oraz różniły się ustosunkowaniem rodzajów broni—stosownie do stopnia zaufania, jakie Napoleon pokładał w dowódcy“¹⁾.

Ciekawą sumę przymiotów, niezbędnych u dobrego wodza, znajdujemy zebraną w dziele Von der Goltza „Das Volk im Waffen.“ Znakomity autor wyjaśnia, iż nie tylko wielkie przymioty umysłu i cnoty moralne, oraz zalety charakteru są konieczne, nie tylko przenikliwość, znajomość serc ludzkich i myśli, twórczość, przytomność, szybkość

nie robić.“ „Rady — powiada Richelieu — wymyślono dlatego, ażeby zamaskować chwiejność dowódcy, lub też ażeby osłabić odpowiedzialność.“

¹⁾ Waldor de Heusche: „La Tactique d'autrefois.“ „Revue de l'armée belge.“ 1893.

kombinacyi, wytrwałość wobec klęski, zimna kraw w powodzeniu, potężna wola, ambicya, żądza czynu i sławy,—nie tylko to wszystko, lecz nawet i zdrowie silne jest tu warunkiem, bez którego często obyć się nie można.

„Zdawało-by się — mówi Von der Goltz, — że wielki wódz, łącząc w sobie tyle pięknych przymiotów, powinien być jednocześnie i ideałem człowieka, przykuwającego do siebie serca. Tego jednakże nikt, kto w bliższych z Fryderykiem lub Napoleonem pozostawał stosunkach, nie utrzymuje. Zwykle twierdzenie, że im większe jest światło, tem silniejszy rzuca cień, do wytłómaczenia tego faktu bynajmniej nie wystarcza. Przy bliższem badaniu przekonamy się, że wodzowi, w obecnych czasach więcej, niż kiedykolwiek, potrzebne są pewne właściwości, niezbyt ponętne z ogólnu ludzkiego punktu widzenia, których nigdy nie wybaczone-by zwyktemu śmiertelnikowi, nie posiadającemu innych rysów wielkiego charakteru. Siłą woli rzadko można cośkolwiekbądź zdziałać bez okrucieństwa. W wojnach naszego czasu przed stanowczą rozprawą, zarówno jak i po niej, zbiera się kolosalna ilość ludzi, co samo sprowadzić już musi potężną sumę niedoli i nieszczęść. Dodajmy do tego pole walki, na którem były się setki tysięcy! — to pole wszystkich możliwych cierpień ludzkich — i żadne teoretyczne rozumowanie, że ofiary są konieczne i niezbędne, nie osłabi przygnębiającego wrażenia, jakie widok tych cierpień sprawiać musi. W takich chwilach rozrzewniają się najwięcej zwykle ci ludzie, którzy przedtem, w bezwiednem przeczuciu swojej słabości, okazywali największą surowość w słowach. Przed podobnem rozrzewnieniem bronią specjalne tylko właściwości. Jedną z nich jest surowość, tym razem pokrewna u wodza z poczuciem własnej wielkości. Często mówi się o pogardzie wielkich wodzów dla ludzi, rozumie się przez to pogardę dla losu jednego człowieka tam, gdzie chodzi o cel wielki. W prywatnem życiu, zarówno Napoleona, jak i Fryderyka, zdarzały się chwile serdecznej miękkości. Wielkie cele jednak niezbyt jasno przedstawiają się większości zwykłych ludzi, zacierają się one w ich świadomości z chwilą, gdy świadomość ta zaabsorbowaną jest bezpośredniemi wypadkami.

„Wówczas-to niezbędna surowość wodza zdaje się być okrucieństwem, które odeń odpycha. Wódz, okazujący współczucie rannym, jeśli go litość przy cierpiących zatrzyma, może bezowocnie stracić drogocenne chwile do działania. Pomimo to, ze zgrozą patrzy się na człowieka, który bada wzrokiem znużone w bitwie bataliony w tym jedynie celu, aby ocenić, czego można jeszcze od batalionów tych wymagać. Brak litości, pozornie uczucie tak wstrętne, stanowi niezbędną właściwość tego, kto chce na wojnie dojść do jakichkolwiek wielkich rezultatów. Dla wodza istnieje tylko jeden grzech, którego historia nigdy

nie przebacza—przegrać bitwę—i silne charaktery zawsze mają to na względzie“¹⁾).

Widzimy więc, jak wiele wymagano od głównodowodzącego już przed 20 laty. Dziś zadanie jego jest o wiele jeszcze trudniejsze.

Pola przyszłych bitew, jak to wykazaliśmy w przeszłym rozdziale, będą bardzo rozległe, a wskutek tego i miejscowość bardzo w różnych punktach rozmaita; nie zawsze, nawet przy umiejętności ułożenia odpowiedniego planu i manewrowania, uda się zaatakować przeciwnika przy warunkach sprzyjających na wszystkich potrzebnych punktach. To też oddziały nie zawsze zdołają odszukać pozycję odpowiednią i będą musiały nacierać, narażając się na piekielny ogień nieprzyjaciela. Dobry wódz dbać będzie musiał bardzo, aby żołnierze jego na podobną próbę bywali narażani jak najrzadziej.

Najbardziej decydujące znaczenie w tej mierze będzie miała, tak samo jak dawniej, a może i bardziej jeszcze niż dawniej, *liczba*. Chodzi przytem nie tylko o to, aby na teatr wojny wywieść większą mnogość żołnierzy, lecz aby liczebną przewagę posiadać w każdym momencie kampanii i w każdym decydującym punkcie bitwy. To zaś zależy głównie od talentu wodza, od rozumnego rozkładu sił i od ich umiejętnego użycia.

Okoliczność tę wyjaśni nam doskonale następująca rozmowa pomiędzy Napoleonem Bonaparte i generałem Moreau, pierwsza, jaką z sobą mieli:

„Wracasz, generale, z Egiptu zwyciężąc—odezwał się Moreau,— a ja we Włoszech poniosłem wielką klęskę. Gdyby był Joubert, który zresztą miał zamiar wyzyskać entuzjazm, jaki obecność jego wywołuje w armii, udał się tam bezzwłocznie, Rosyianie i Austriacy z temi wojskami, jakie wtedy mieli, byli-by pobici napewno. Ale generał ten z powodu ożenienia się, stracił cały miesiąc w Paryżu, nieprzyjaciele połączyli swe siły i zmogli nas. Zawsze wielka liczba bije mniejszą.— Masz, generale, zupełną racyę—odparł Bonaparte.—Kiedy znalazłem się z mniejszą armią wobec większej, skupiłem natychmiast swoje siły, jak piorun wpadłem na jedno ze skrzydeł nieprzyjaciela i rozbiłem je. Następnie korzystałem z popłochu, jaki wypadek podobny zawsze rzuca w szeregi przeciwnika, i znowu wszystkiemi siłami moimi zaatakowałem inną część jego armii. W ten sposób pobitem go w drobnych porcjach niejako, a zwycięstwo moje było zawsze tryumfem większej liczby nad mniejszą“²⁾).

¹⁾ Von der Goltz: „Der Volk im Waffen.“

²⁾ Oméga: „L'art de combattre.“

Dzisiaj liczba znaczyć będzie jeszcze więcej, niż dawniej, gdyż udoskonalona broń pozwala razić z dalszych odległości; to też skupienie akcji na jeden punkt będzie tem straszniejsze w skutkach. Powtórę, co jeszcze ważniejsza, szybkostrzelność broni powiększa znacznie różnicę w ilości strzałów na korzyść, naturalnie, strony silniejszej. Okoliczność tę dokładnie nam wyjaśni rachunek.

Dzisiaj oddział, liczący 200 ludzi, wypuści na minutę 3,200 strzałów, kiedy oddział 100 ludzi tylko 1,600, czyli różnica wynosi 1,600, gdy dawniej stanowiła ona zaledwie 600, a więc mniejszą była na minutę o 1,000 pocisków. Znaczy to, iż siły strony słabszej topnieć będą szybciej, przewaga liczby wystąpi prędzej i w sposób bardziej jeszcze stanowczy.

A do tego dodać należy, że te liczniejsze strzały będą obecnie potężniejsze w działaniu, że kule o szybszym biegu mniej się odchylają od właściwego kierunku, zarówno wzdłuż, jak i na boki, że uderzają z większą siłą i czynią wsutek tego spustoszenie dotkliwsze; w ogólnym więc rezultacie wypadnie, iż przewaga liczby uwidoczni się jeszcze potężniej, niż cyfry powyższe wskazują.

Toż samo dzieć się będzie z artylerją. Obecnie, jak to wykazaaliśmy, przewaga jednej baterji na jednym punkcie znaczyć będzie tyle, co w r. 1870 przewaga sześciu baterji.

Tym sposobem nietylko ułożenie planu, upatrzenie punktu i chwili do natarcia nastęrczać będzie trudności i wymagać wysokich kwalifikacyi. Przeprowadzenie wszelkiej akcji będzie również trudnem. Nieprzyjaciel posiada potężne środki obrony i ze swej strony wysiła inteligencyę i sztukę, aby przeciwnika zgnieść. W każdej chwili, dzięki wielkiemu zapasowi rezerw, wskutek przybywających ciągle na grzmot armat wojsk, może on na każdym miejscu rozwinąć potężną kontrakcye, chociażby został zaskoczony niespodziewanie i z boku.

Rezerwy zawsze odgrywały rolę wielką, ale współczesna taktyka powiększyła ich liczbę i podniosła bardzo znaczenie.

Z przyczyn, wskazanych przy wyjaśnieniu taktyki piechoty, jest obecnie koniecznością posiadać liczne rezerwy. Bez nich wódz naczelny był-by bezsilnym w ostatecznym i decydującym momencie bitwy. Z drugiej znowu strony nasuwa się nowa trudność dla głównodowodzącego, gdyż z powodu dalekonośności i celności dzisiejszej broni palnej, nie będzie on mógł trzymać rezerw w pobliżu i nie tak łatwo, jak dawniej, będzie mógł orientować się co do tego, w jakiej chwili ma rzucić do boju posilki.

Rezerwy ogólne składać się obecnie będą z całych korpusów i utworzą czwartą, a nawet trzecią część armii. Pozostają one w rękę głównego wodza i on jeden może nimi rządzić. W razie zwycięstwa,

wielkiej tej sily używa się dla powiększenia klęski wroga, w razie niepowodzenia—dla zastąpienia odwrotu. Jeżeli szale zwycięstwa się chwieją, rezerwy idą przeciwną ją na swoją stronę. Łatwo zrozumieć, jak ważną jest dla wodza rzeczą zachować możliwie najdłużej tę ostatnią oporę; gdyż jeżeli ją walka porwie, nie ma już nic, czem-by się mógł ratować w razie jakiegoś wypadku.

Ale charakter bitew obecnie będzie taki, że od pierwszej niemal chwili po rozpoczęciu bitwy na wodza głównego ze wszech stron spadną żądania pomocy. Musi on mieć wiele hartu, aby oprzeć się tym żądaniom, tem bardziej, że często nie są one całkiem słuszne. Gdyby przez słabość, czy z przekonania, czynił zadość im wszystkim, rezerwy wyczerpały-by się jeszcze przed środkiem bitwy. Lecz z drugiej strony niezadosycuczynienie potrzebie rzeczywistej wywołać może skutki najfatalniejsze. Oddziałowe rezerwy winny podtrzymywać, w miarę potrzeby, walczących na różnych punktach linii bojowej, nie osłabiając jednakże rezerw głównych, ażeby w ten sposób te ostatnie pozostały nietknięte aż do nadejścia chwili decydującej. Niezmiernie więc jest ważną rzeczą, aby wódz trafnie pochwycił chwilę najodpowiedniejszą do użycia rezerw. Napoleon był pod tym względem mistrzem. Rzucił rezerwy na linię walki zawsze akuratanie wtedy, kiedy trzeba było, i w ten sposób decydował o losach bitwy. Natomiast wodzowie francuscy w roku 1870 zawsze albo je wprowadzili w ogień zbyt wcześnie, albo przetrzymali zbyt długo, jak pod Grawelotem, a tymczasem zjawienie się ich w samą porę na linii bojowej mogło być dać zwycięstwo.

Jednem słowem, objęcie całej sytuacji i zważenie wszystkich szczegółów, różnych na każdym punkcie walki, będzie obecnie bardzo trudne, a to tem bardziej, iż, pomimo balonów i telefonów, żaden wódz nie będzie mógł w każdej chwili być zawiadomiony, co się dzieje na rozległej scenie strasznego dramatu, rozgrywającego się pomiędzy setkami tysięcy ludzi.

Rutyniczne metody prowadzenia wojny straciły swą wartość i nie znajdą już zastosowania w tych kolosalnych starciach.

Zachodzi przeto pytanie, czy znajdą się ludzie, którzy-by wszystkim tym wymaganiom odpowiadali?

Zauważyć należy, iż w dzisiejszych warunkach osobistość głównodowodzącego odgrywać będzie nie mniej ważną rolę od tej, jaką odgrywała w wojnie 1870 r. Ale zachodzi pytanie, czy podeszły wiek i znany spokojny temperament Wilhelma I-go nie był tym szczególnym warunkiem, który pozwolił działać i rozwinąć cały swój talent i zalety szefowi sztabu, Moltkemu. Ten zaś—jak twierdzi francuski minister wojny Freycinet—nie może być uważany za geniusza wojny w rodzaju

Bonapartego lub Aleksandra; był to cierpliwy rachmistrz, wytrwały pracownik, który powodzenie zyskał, dzięki swej staranności i dokładnemu wykończeniu szczegółów każdej rzeczy.

Generał Léer powiada: „Najwybitniejsza wojna, prowadzona przez Niemców (1870 — 1871) przekonywa, że strategia ich była usystematyzowaniem błysków geniuszu Napoleona I. Porywy tego geniuszu Prusacy ujęli w ściśle logiczny systemat. Czynności tej poświęcili znaczny nakład pracy, wiele umiejętności, metody i porządku, a jeszcze więcej może cierpliwości. Nad tą skromną i nie bijącą w oczy świata pracą ślęczały w ciągu lat 50 dwa pokolenia. Znaną jest sentencya: „geniusz—to cierpliwość.“ Strategia pruska nie stworzyła nowej ery w rozwoju sztuki strategicznej — to geniusz strategiczny Napoleona z dodatkiem niemieckiej systematyczności i uzupełniony przez wszystkie najnowsze udoskonalenia (koleje żelazne i t. d.).

„Że Niemcy nie są w tej dziedzinie twórcami nowej ery, lecz tylko „uczniami Napoleona,“ przyznawać to zaczęli nawet bardziej obiektywni pisarze wojskowi niemieccy teraz, kiedy upojenie zwycięstwami roku 1870—71 już nieco osłabło.“

Lecz jeżeli tak jest rzeczywiście, to zasługi i praca Moltkego nad uorganizowaniem sztabu generalnego, który stał się wybornem narzędziem wojny, nie zginęła bez śladu i wpływu wraz z opuszczeniem przez niego stanowiska. Przykład jego, zdobyte doświadczenie, wskazana i utarta droga, służyć i pomagać będą każdemu głównodowodzącemu. Generał Puzyrewski słusznie twierdzi nawet, że genialny wódz bez takiego sztabu, jakim rozporządzał Moltke, nie był-by zdolny dokonać tego, co zrobili Niemcy w r. 1870—71.

Odpowiedny wódz i dobry sztab są to dwa niezbędne warunki podwodzenia. Wartość sztabu zależy od porządnej organizacyi, której wzór zostawił Moltke, osoba zaś wodza — jak to wykazał von der Goltz — łączyć w sobie powinna szczęśliwą kombinacyę charakteru i zdolności. Bez długiego doświadczenia życiowego, bez poważnego i głębokiego poglądu na swoje obowiązki i bez takiego rzadko zdarzającego się spokojnego temperamentu, jakim się odznaczał cesarz Wilhelm I, o taką kombinacyę bardzo trudno.

Z tego wszystkiego, cośmy dotąd mówili, wynika, zdaje się, że kierownictwo armią winno pozostawać w jednych rękach. Teoryi tej najbardziej sprzyjają warunki w armii ruskiej, gdyż tam i podczas pokonku, tak samo, jak i w całej służbie rządowej, nie wiele bywa inicjatywy osobistej.

Od naczelnego wodza zależeć będzie wskazanie tego sposobu działania, który Niemcy określają słowem: „Schneid,“ a który oznacza energiczny i śmiały ruch naprzód, nie bacząc na wszelkie niebezpie-

czeństwa, lub też nakaz trzymania się na baczności. Naturalna rzecz, iż sposób prowadzenia wojsk do boju zależy będzie od tego, czego dowódcy pojedynczych oddziałów spodziewać się mogą od swych zwierzchników: nagany i odpowiedzialności za każdy zaryzykowany krok, czy też pobłażliwości w razie porażki, w imię maksymy: „fortes fortuna adjuvat“ i że czynnik ten będzie grał w przyszłej wojnie, mimo wszelkich udoskonaleń broni, bardzo ważną rolę, jeżeli tylko, naturalnie, odwaga ta posunięta nie zostanie do zupełnego ignorowania nowych zasad taktyki.

II.

Samodzielni dowódcy oddziałów.

W dziele o wojnie 1870 — 71 r., wydanem przez niemiecki sztab generalny, powiedziano między innymi: „Skutki moralne i materyalne każdego poważnego wypadku na polu walki są tak doniosłe, że zwykle wytwarzają całkiem nowe położenie, a zatem dają podstawę do całkiem nowych kombinacji. Nie podobna jest nakreślić z całą pewnością i stanowczością planu kampanii przed pierwszym starciem się z większymi siłami wroga. Tylko człowiek, o sztuce wojskowej nie mający żadnego pojęcia, może uważać, iż przebieg kampanii jest wiernym wykonaniem planu, ułożonego z góry ze wszystkimi szczegółami. Naturalnie, że głównodowodzący powinien mieć nieustannie przed oczyma pierwotne założenie, tworzące cel wojny, i różne możliwe komplikacje nie powinny mu go zakrywać, ale nie podobna jest z góry powiedzieć, jakimi drogami uda się go osiągnąć. Głównodowodzący wskazuje, jako pierwszy punkt zadania: szukać głównej armii nieprzyjaciela i zaatakować ją tam, gdzie się ją znajdzie.“

Kierunek więc późniejszych działań znajduje się w rękach samodzielnych dowódców oddziałów. I obecnie we wszystkich armiach uważają za pewnik, że pierwszy wspólny obowiązek wszystkich podkomendnych, niezależnie od rangi, polega na skrupulatnem wykonaniu rozkazów wodza naczelnego; jeżeli jednak żadna wskazówka w jakimś względzie daną nie została, każdy dowódca jednostki bojowej, zamiast pozostawać nieczynnym, powinien postawić sobie jakiś cel, odpowiadający sytuacji, i dążyć do osiągnięcia jego z całą wytrwałością i uporem. Wybór takiego celu i rozwinięcie wszelkich sił dla jego urzeczywistnienia nazywa się *inicjatywą*.

Inicjatywa taka, również ważna przy akcji obronnej, jak przy działaniu zaczepnem, w połączeniu z wytrwałością przy wykonaniu, jest jednym z najpotężniejszych środków powodzenia.

Co do znaczenia inicjatywy w ogólnem określeniu rzeczy, tak, jak ją tylko co przedstawiliśmy, wszyscy autorowie są zgodni, gdy zaś pytanie zachodzi, jak daleko posuwać się może ona i powinna względem różnych szczebli hierarchii wojskowej, występują różnice zdań i spory. Kwestyę tę autorowie rozstrzygają tak lub owak, zależnie od tego, czy są zwolennikami centralizacyi, czy decentralizacyi.

Dokładne znaczenie tych sporów i tej kwestyi w tej chwili czytelnikom wytłómaczymy.

Dawnemi czasy, a przynajmniej od chwili sformowania w Europie armii stałych, inicjatywa działania, a wskutek tego i odpowiedzialność za przebieg kampanii, należały całkowicie do wodza głównego, podwładni oficerowie byli tylko biernymi w znacznej części wykonawcami jego woli, dozorcami żołnierzy, pośrednikami pomiędzy myślą naczelnika a czynnością szeregów. Nie wolno im było w wykonaniu odstąpić w czemkolwiek bądź od planu, z góry narzuconego, kierować się własnym rozumem, zmienić coś na własną odpowiedzialność.

Kiedy geniusz Napoleona zrobił Francję panią całej Europy, gromiąc jedne narody po drugich, a nie było nadziei, aby zjawił się prędko drugi strategik równej mu siły; trzeba było, albo przy dawnej zasadzie zgodzić się nieodwołalnie na dławiącą przewagę zwycięzcy z pod Jena, bo wszystko zależało od jednego człowieka, a nikt z nim się mierzyć nie mógł, albo też zmienić zasadę i szukać ratunku w odmiennym nieco sposobie zorganizowania armii i prowadzenia wojny.

Ostatniego środka chwyciły się pierwsze Prusy. Nietykalność strategicznych pomysłów wodza została tam przekreślona. Scharnhorst wyrzekł frazes, który stał się punktem wyjścia i zasadą reorganizacyi armii pruskiej, a następnie niemieckiej: „Wielu ludzi z talentem może zastąpić i zrównoważyć jednego geniusza.“ Rozcięto węzły, krępujące dotychczas niższych oficerów. Zrobiono z nich prawdziwych *dowódców*, na jakimkolwiek stopniu się znajdowali, jakiegokolwiek jednostce bojowej przewodzili, a to przez danie im prawa *inicjatywy*, co, naturalnie, sprowadziło natychmiast ciężar *obowiązku i odpowiedzialności*.

Z tych pewników wypływa system pruski, który łatwo sformułować w sposób następujący: Głównodowodzący jest panem absolutnym i jedynym w okresie przygotowań. On układa plan kampanii, on nadaje pierwszy impuls, gromadzi wszelkie wiadomości, korzysta ze wszelkiego doświadczenia i wszelkiego światła, ale ostatnie słowo i wniosek sam z nich wydobywa.

„Gdy dochodzi do wykonania, władza głównego wodza zmniejsza się i znika prawie. Wódz główny wie z góry, że nie będzie mógł znaleźć się wszędzie, że nie ma możliwości odszukać takiej pozycyi, ażeby mógł być uwiadomiony o wszystkim, co zajdzie na przeróżnych

punktach walki. Zgromadza więc dowódców korpusów, wykląda im myśl swoją, udziela im szczegółów, które uważa za niezbędne, wreszcie komunikuje cel, który ma na widoku,—słowem: nadaje to, co nazywają *dyrektywą*, wystrzegając się wydawania dyspozycji. Od tej chwili rozpoczyna się zadanie dowódców niższych stopni.“

„Gdy się zestawia niemieckie relacje bitew z francuskimi w wojnie 1870 roku, uderza przedewszystkiem ta okoliczność, iż z jednej strony walkę rozpoczynały stopniowo drobne jednostki bojowe—roty, wtedy, gdy Francuzi posyłali od razu w ogień wielkie oddziały.“

Bardzo szczegółowo kwestyę tę rozbiiera generał Woyde ¹⁾ i dochodzi do wniosków następujących:

„Ogromną część zdumiewających powodzeń w kampanii r. 1870 Niemcy zawdzięczają samodzielności pojedynczych swoich dowódców. Samodzielność ta, w najróżnorodniejszych przejawach, pomagała zwierzchniej władzy do kierowania, bez kłopotu prawie, skomplikowanym mechanizmem współczesnej olbrzymiej armii. Oddzielni dowódcy niemieccy, spełniając rozkazy, otrzymane z góry, prześcigali niekiedy nie tylko oczekiwania, ale najśmielsze nadzieje swojej władzy wyższej. Poprawiali oni często nieuniknione, mniej lub więcej błędne, rozkazy tej władzy, składając w jej ręce nie zawsze zasłużone zwycięstwo. Niemieckie korpusy, dywizye, brygady, a nawet drobniejsze oddziały wojsk, działając w pewnej łączności między sobą, zwyciężały niejednokrotnie nieprzyjaciela nie tylko bez poprzednich rozkazów z góry, ale nawet bez wszelkiego ogólnego w bitwie kierownictwa.

„Energiją i roztropnością pojedynczych naczelników Niemcy zwyciężali często i tam, gdzie Francuzi znacznie nad nimi pod względem siły górowali. Ze wszystkich bitew na początku kampanii 1870 roku, które zdecydowały o losie dwóch armii francuskich, oddając je w niewolę nieprzyjaciela, rzeczywiste (a nie nominalne) ogólne kierownictwo w wojsku niemieckiem było tylko pod Gravelotte i w dzień Sedanu.

„Ale i w tych bitwach zachowanie się pojedynczych niemieckich zwierzchników było takie, iż je śmiało za decydujące o losach bitew uważać można.“

Pisarze wojskowi świadczą, iż w armii francuskiej brak ducha inicjatywy w najbliższej przeszłości czuć się dawał bardzo dotkliwie.

Amadée La Faure, powołując się na cytaty z trzech urzędowych źródeł niemieckich, opisuje bardzo ciekawy przykład przebiegu akcji pod Woerth (6 stycznia 1870 r.), który nam wyjaśni, co znaczy i jaki ma skutek inicjatywa na polu bitwy.

¹⁾ Generał Woyde: „Samodzielność dowódców częściowych.“

„Głównodowodzący armią niemiecką, pruski następca tronu, wydał rozporządzenie, ażeby w dniu 6 sierpnia uniknąć bitwy. Brzmiało ono najzupełniej kategorycznie i stanowczo. Ale przednie oddziały poczęły się wzajemnie ostrzeliwać i walka się rozpoczęła. Ks. Fryderyk wskutek tego ponawia wczorajsze swoje rozkazy i posyła je na piśmie do wszystkich dowódców korpusów. Tymczasem dowodzący 5-ym korpusem pruskim, generał von Kirchbach, uznał, że przerwanie rozpoczętej akcji równało-by się porażce moralnej, „wziął więc na własną swoją odpowiedzialność“ zainicyowanie bitwy i kazał piechocie rozpocząć atak. Jednocześnie wysłał do generała Bosego, dowodzącego 2-im korpusem bawarskim, i do generała Hartmanna, dowodzącego 51 korpusem pruskim, zawiadomienie o tem, co się stało, a zarazem wezwanie, aby jednoczesną akcją poparli jego atak i udzielili pomocy. Obaj generałowie, po pewnem wahaniu się, wbrew wczorajszym rozporządzeniom głównodowodzącego, i nie czekając na nowe rozkazy, postanowili wziąć udział w bitwie, rozpoczętej przez Kirchbacha. Około południa ks. następca tronu, słysząc co raz głośniejszy huk armat pod Woerth, udał się tam ze swoim sztabem, a o pierwszej wziął na siebie pokierowanie batalią.“

Rezultatem inicjatywy generała pruskiego było: wygrana batalia, utrata przez Francuzów pozycji, najwyższy nieład w odwrocie ich na Châlon, dostanie się tunelu pod Savern w ręce Niemców, wskutek czego nieprzyjaciel dotarł do serca najechanego kraju; rozgłos nadzwyczajnego wypadku dodał siły jednemu, rzucił popłoch pomiędzy armię i ludność drugiego narodu.

Inne przykłady, cytowane przez tegoż autora, są niemniej rażące. Następczała się sposobność, może ostatnia, uratowania armii i Francji: trzeba było przeszkodzić połączeniu się armii nieprzyjacielskich Steinmetza z armią następcy tronu pruskiego. Armia pod dowództwem Steinmetza przebyła już Mozellę, w tem miejscu bardzo szeroką. Mieszkańcy Novéant zrozumieli, że od utrudnienia przeprawy wiele zależy może. Stali jedną za drugą depezę do sztabu głównego, ale tam oficerowie—nieodpowiedzialni—nie otworzyli żadnej!... W przeciwnym razie zbawcze odseparowanie od siebie armii niemieckich było-by dokonane z nadzwyczajną łatwością, bo chodziło tylko o przecięcie łańcucha żelaznego, na którym wisiał most, łączący dwa brzegi. Zajęto by to—jak upewnia La Faure—kilka minut czasu!

Po wojnie, jak zwykle po klęsce, zaczęły się oskarżenia, składające przyczynę i winę niepowodzeń to na jednego, to na drugiego dowódcę. Oto jeden ze sporów tego rodzaju przed komisją śledczą:

„Kapitan Boyenal powiada: Udałem się do dowódcy saperów, aby mi pozwolił wysadzić w powietrze most na Ars. Odpowiedział,

że tego na siebie wziąć nie może i odesłał mię do dyrektora, który ze swojej strony kazał mi iść do generała Coffinières, komendanta placu w Metz. Odpowiedziałem generałowi, o co mi chodzi i dlaczego ja domagałem się odpowiedniego rozkazu, ale ten mi odmówił..

„Na to odpowiada generał Coffinières: Bardzo być może, iż kapitan Boyenyal mówił mi to, ale jego relacya nic nowego oznajmić nam nie mogła, bośmy sami z Metz widzieli ruch wojsk pruskich. Powtarzają jednak, że mostu niepodobna było wysadzić bez rozkazu głównodowodzącego.“

Opisawszy te fakta, La Faure woła: „Inicyatywa jednej stronie dała zwycięstwo, drugiej spowodowała klęskę, umożliwiła najazd, spowodowała rozbięcie!“

Z powyższego widać, do jakiego stopnia u Francuzów „panowała w teoryi i w praktyce zupełna, tłumiąca wszystko, centralizacya, która chciała wszystkim, wszędzie i zawsze rządzić, ale rozporządzenia jej po największej części nadechodziły późno, a podwładni pozostawali z jednej strony bez rozkazów, a z drugiej bez prawa rządzenia się samym.“

„Źródłem — powiada generał Woyde, — z którego w tym razie czerpały Prusy, a wraz z niemi i całe Niemcy—była nauka. Opierając się na wielkich lekcjach Napoleońskich, oświecając je myślą własną i uzupełniając trafniem badaniem wszystkich następných wypadków wojenných, Niemcy, na zasadach genialnego Klausevitzza, stworzyli i rozwinęli nową naukę wojenną i stosowali ją do dzieła w granicach praktyki pokojowej. Podczas gdy inne państwa, prowadząc wojny, umiały wynosić na stopnie wyższe empiryków, „Bazainów“ i „MacMahonów,“ Niemcy przez naukę swoją wychowały cały poczet wykształconých specjalistów wojskowych i nie obawiały się złożyć w ich ręce pewnej dozy samodzielności. Na tej nauce Niemcy, a ściślej mówiąc, Prusy, oparły też cały swój system wojskowy.“

„Francuzi — mówi generał Leer — podczas całej kampanii grali rolę nie młota, ale kowadła,“ wobec tego trudno jest przypuścić, aby znaleźli się amatorzy, którzy-by chcieli doświadczyć tego samego. Rodzi się tu pytanie, jakim sposobem uniknąć losu podobnego? Odpowiedź bardzo jest prosta. Należy zwrócić się do źródła, z którego czerpali Niemcy—t. j. do nauki, nie żądając jednak więcej, niż ona dać może.“ „Nauka wojenna—wyjaśnia Klausevitz—nie zawiera bezwzględnych reguł, rozwijana jednak w ten sposób, daje możność rozwiązywania pewnego rodzaju zagadnień i pytań.“

Francuzi umieją być mądrzy po szkodzie,—wielkie postępy, jakie poczynili po wojnie ostatniej, świadczą o tem wymownie. Starają się

oni przejąć wszystkie główne punkta z taktyki niemieckiej, a że nie brak im zdolności i materiału w armii mają wyborny, należy się więc spodziewać, że z udzielonej lekcji skorzystają należycie i przeciwko Niemcom wystąpią niemiecką sztuką. Ostatecznie jednak dopiero wojna da pod tym względem odpowiedź, bo najlepsze chęci i usiłowania często całkiem są bezsilne wobec charakteru narodowego i zastarzałych, tradycją uświęconych, przyzwyczajęń.

„Armia francuska—powiada gen. Puzyrewski—wskutek swej olbrzymiej liczby, wskutek dyscypliny, wybornych regulaminów, dobrego elementarnego wykształcenia żołnierzy, wskutek wreszcie obfitego zapatrzenia we wszystkie potrzeby materialne, tworzy siłę, wzbudzającą poszanowanie, pomimo błędnej metody wykształcenia bojowego, złej organizacji wyższego zarządu i braku prawdziwego najwyższego szefa. Pod rozkazami jednak utalentowanego wodza jest to wróg groźny, co wyraźnie widzą już dziś i rozumieją sąsiedzi, gdyż już na łatwe tryumfy nie liczą“¹⁾.

Dla wyjaśnienia stanu rzeczy pod tym względem w armii russkiej, przytoczymy ustęp z dzieła generała Woyde „Samodzielność dowódców częściowych.“ Autor, powołując się na znane i u nas w szerokich kołach inteligencji dzieło generała Puzyrewskiego, powiada: „W wybornej pracy „Wojna polsko-russka 1830 roku“ znajdujemy opis doskonałego działania wielu dowódców russkich, gdy stanowili część większej całości, natomiast nie spotykamy jakoś przykładów wykonania rozkazu w sensie współczesnej niezależności, a jednak autor dzieła objawów podobnych, gdyby się w rzeczywistości zdarzyły, chybaby nie przeoczył, gdyż liczne uwagi jego przekonywają, że w danej kwestyi stoi na współczesnym punkcie widzenia.“

A znowu generał Kuropatkin, świadek i uczestnik ostatniej wojny, tak zamyka swój wykład o przyczynach niepowodzenia szturmów w dniu 30 sierpnia 1877 roku pod Plewną²⁾: „Wielu dowódców niższych stopni we wszystkich rodzajach broni wykazało zbyt mało inicjatywy. Wielu naczelników oczekiwało rozkazu nie tylko co do tego, co i kiedy robić, lecz nawet jak robić. Słuszne wyrzuty i oskarżenia o bezczynność odpierano frazesem: „nie otrzymałem rozkazu.“ Lepiej pod tym względem sprawowały się zawsze wojska kaukaskie. Uderzająca różnica, którą można było zauważyć szczególnie w pierwszych chwilach, pomiędzy dawnymi oddziałami kaukaskimi i nowo przybyłymi, pochodziła prawdopodobnie stąd, że pierwsze składały się z ludzi, którzy czy

¹⁾ „Wojennyj Sbornik.“

²⁾ „Działanie oddziałów generała Skobieleva.“

to na niższych, czy na wyższych stopniach przyuczali się samodzielności w ciągłych, chociaż drobnych, utarczkach z wojowniczymi góralami.“

Pamiętać jednak należy, iż przez lat 15 zaszły w armii russkiej znaczne i głęboko sięgające zmiany. Osoby kompetentne, a bynajmniej nie zaślepione, upewniały nas, iż pod względem wartości oficerów armia russka od czasu wojny postąpiła znacznie ¹⁾. Istotnie, kampanii roku 1877 za decydujący przykład brać nie należy, gdyż dopiero w r. 1874, a więc ledwie na 3 lata przed wojną, zaprowadzono reformę armii; oczywiście taki termin jest zbyt krótki dla otrzymania rezultatów całkiem pomyślnych.

I regulaminy odpowiednie zmienione zostały dopiero później. Dopiero w r. 1890 wydane zostały w Rossyi „Regulaminy do kierowania wojskami podczas wojny.“

Podług nich, wódz naczelny posiada naturalnie prawa pod każdym względem najrozleglejsze.

„Dowódcy korpusu bezpośrednio podlegać będą dowodzącemu armią. We wszystkim, co dotyczy ruchów wojennych, winien dowódca korpusu kierować się ogólnemi instrukcyami głównodowodzącego, wydanemi bezpośrednio, lub też przez naczelnika sztabu. Środki zaś i sposoby osiągnięcia celu, a zarazem wykonania instrukcyi, dowodzący korpusem może wybierać według swego widzenia rzeczy i na swoją osobistą odpowiedzialność.

„Wobec zmienionych lub nieprzewidzianych okoliczności, dowodzący korpusem ma prawo odstąpić od wydanych mu rozkazów, musi jednak o tem zawiadomić bezzwłocznie dowodzącego armią.“ Dalej prawa naczelnika dywizyi są następujące: „We wszystkim, co dotyczy kroków wojennych, winien on kierować się wskazówkami dowódcy korpusu. Wybór dróg i sposobów zależy od jego pojmowania rzeczy i spada na jego odpowiedzialność. Wobec zmienionych lub nieprzewidzianych okoliczności ma on prawo odstąpić od wydanych mu rozkazów, z zastrzeżeniem, by zawiadomił bezzwłocznie dowodzącego korpusem.“

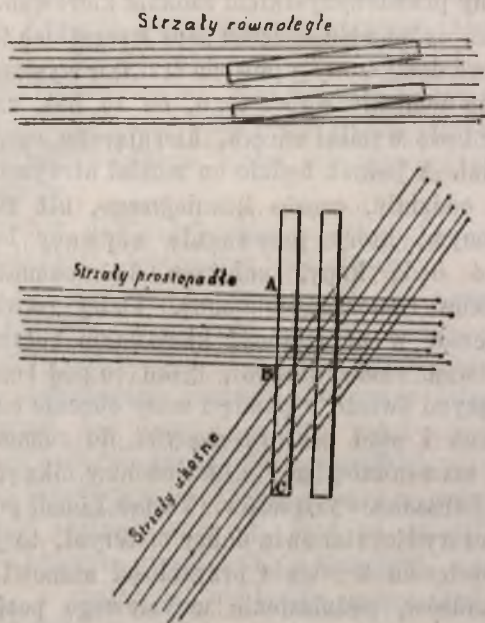
Powyżej przytoczone fakta i wywody przekonać nas mogą, jak wielka dziś, większa niż dawniej, odpowiedzialność spada na generalów rang wyższych. Odpowiednio wzrosnąć muszą i wymagania.

Autorowie wojskowi główny nacisk kładą na to, że dla pokonania przeciwnika trzeba mieć nad nim przewagę ognia na danym stanow-

¹⁾ „Revue des cercles militaires“ (1893) i von Drygalski: „Militär-touristische Eindrücke aus Russland,“ 1893.

czym punkcie walki; dla dopięcia zaś tego, nie dosyć jest mieć większą liczbę ludzi, trzeba umieć jeszcze tak manewrować, aby zajęć odpowiednią pozycję. Oskrzydlenie armii, lub jej części, przez nieprzyjaciela, zawsze było bardzo niebezpieczne, dziś, wskutek potęgi ognia artyleryjskiego i karabinowego, stać się może poprostu zgubnem. Objasnimy to drobnym przykładem.

Kierunek strzałów może być prostopadły do linii bojowej nieprzyjaciela, ukośny, lub równoległy do niej. Skutki ognia w tych trzech wypadkach są bardzo różne. Spójrzmy tylko na poniższy rysunek.



Wydłużone prostokąty oznaczają linię wojsk nieprzyjacielskich, cienkie równoległe linijki—kierunek strzałów i sferę ognia. Łatwo dostrzedz, że ogień, skierowany prostopadłe do frontu, ogarnie znacznie mniejszą część szeregów nieprzyjaciela, a więc grozi im o wiele słabiej, niż gdy pociski uderzają skośnie. Doświadczenie dowiodło ¹⁾, iż potęga strzałów w ostatnim wypadku wzrasta w stosunku 3:7, czyli skuteczność ich staje się przeszło dwa razy większą. Oczywiście strzały z boku, równoległe do kierunku nieprzyjacielskiego frontu, które są rezultatem oskrzydlenia, rażą jeszcze straszliwiej, gdyż są skuteczne na dłuższej przestrzeni.

¹⁾ Oméga: „L'art de combattre.“

Lecz tak samo jak wódz główny potrzebuje dziś mieć zdolnych dowódców korpusu i dywizyi, tak samo ci ostatni muszą posiadać odpowiednio uzdolnionych i wyćwiczonych pomocników aż do najniższych stopni.

III.

Dowódcy niższych stopni.

Jednocześnie i rola wszelkich niższych dowódców stała się trudniejszą. Weźmy przedewszystkiem zadanie kierowania ogniem. Löbell ¹⁾ cytuje fakt, iż na polu ćwiczeń głos wszystkich trąbek sygnałowych nie mógł być dosłyszany z powodu trzasku wystrzałów karabinowych. Łatwo się domyślić wobec tego, co za huk zapanuje na polu bitew, i daremne będą wysiłki oficera, kierującego ogniem, aby usłyszeli go podwładni. A jednak będzie on musiał utrzymać w ręku strzelanie pewnego oddziału, często liczniejszego, niż zwykle, bo przy szyku rozproszonym, który przeważnie używany będzie, podczas ataku nadbiegać będą kupy, należące do rozmaitych kampanii, batalionów i pułków, i mieszać się z sobą. Dalej zjawia się potrzeba wprawiania oficerów w umięjętność kierowania rotami w ich składzie wojennym, więc z rezerwistami, tylko co pod broń powołanymi, a zatem nie mającymi świeżo w pamięci maszy obecnie od żołnierzy wymaganych ćwiczeń i stąd nie wdrażonymi do rozumienia i ulegania komendzie, szczególnie gdy głos dowódcy niknąć będzie wśród zgiełku wrzawy i trzasku wystrzałów. To też Löbell powiada, że chociaż niemieccy rezerwiści stanowią dobry materiał, to jednak *conditio sine qua non* powodzenia w wojnie przyszłości stanowi udoskonalenie i wzmocnienie kadrów, podniesienie umysłowego poziomu i zawodowego wykształcenia wśród oficerów i podoficerów. I to mówi pruski generał o armii niemieckiej, gdzie materiał bojowy stoi stosunkowo wysoko pod względem zalet i warunków umysłowych.

I nic w tem dziwnego. Olbrzymie zastępy, niemożliwe do objęcia ani wolą, ani okiem jednego człowieka, rozdrobnią się na oddziały pojedyncze. A że przytem każda prawie z jednostek bojowych otrzyma szyk rozproszony, siłą konieczności kierownictwo armią wysunąć się może z rąk dowódców starszych, nie mówiąc już o wodzu głównym i generałach, lecz nawet z rąk pułkowników i dowódców batalionów, i spaść na barki stopni niższych.

¹⁾ „Militärische Jahresbericht.“

Jest to tem bardziej potrzebne, że zarówno praktyka ostatnich wojen, jak i ćwiczenia we wszystkich armiach praktykowane, każą się spodziewać szybkiego znikania z placu boju dowódców wszelkich stopni. „Podczas wojny francusko-niemieckiej bataliony i półbataliony miały w końcu na czele najniższych oficerów rezerwy, lub nawet feldfeblów. Od grudnia 1870 roku cała dywizya bawarska posiadała tylko jednego kapitana liniowego“¹⁾.

Cóż będzie w przyszłej wojnie? We wszystkich armiach europejskich myślą dziś nieustannie o jeszcze skuteczniejszym wybiciu oficerów. W wojsku ruskim uorganizowano specjalne oddziały strzelców. We Francyi powołano do szeregów strzelców leśnych (gardes forestiers). Nie zabraknie również dobrych strzelców w armiach niemieckiej i austryackiej, a to dlatego, że tam jest bardzo rozwinięty sport strzelecki wśród całej bez wyjątku ludności. Niema miasta, aby nie było odpowiedniego klubu lub stowarzyszenia, a w niem wybory strzelców.

Jednem słowem, dawne przysłowie: „tel chef telle armée,“ należy zastąpić przez wariant: „tels cadres telle armée.“

Napoleon, który zawsze był tego zdania, iż powodzenie na polu walki zależy od oficerów, powiedział: „Żadne państwo nie może dojść do zdolnych oficerów na innej drodze, jak tylko pielęgnując w kraju nauki, których zastosowanie przynosi zbawienne owoce zarówno marynarce, jak i armii, tak samo rolnictwu, jak i pomyślnemu stanowi zdrowia ludzkiego i wogóle zaspokojeniu wszelkich potrzeb,“

Dziś jest to tem większą prawdą, że użyć w wojnie wypadnie nie tylko istniejącego zastępu oficerów, lecz po zmobilizowaniu armii, a szczególnie po pewnym czasie trwania kampanii, wypadnie tworzyć nowych oficerów, a znaleźć ich nie będzie można nigdzie indziej, jak wśród szeregów armii.

Armia czynna we właściwem słowa tego znaczeniu nie może nawet nigdy dostarczyć potrzebnej liczby oficerów, gdyż formowanie nowych oddziałów pociąga za sobą konieczność tworzenia wielu nowych sztabów, co wyczerpuje cały niemal zapas oficerów liniowych, tak, że we froncie pozostanie nie więcej, jak 8 ludzi na każdy batalion²⁾.

Pomimo istniejących różnic pod względem wykształcenia oficerów w różnych armiach, za niewątpliwie uważać jednak można, że w głównych państwach Europy, gdzie militarizm stanowi jeden z najpierw-

¹⁾ Von der Goltz: „Das Volk in Waffen.“

²⁾ „Allgemeine Schweizerische Militär-Zeitung,“ 1893. „Das französische Cadresgesetz.“

szych przedmiotów troski i opieki rządów, korpusy oficerów doprowadzone zostały do poziomu umysłowego, mniej więcej odpowiadającego potrzebie.

Natomiast, co się tyczy liczby oficerów, to równej pewności posiadać niepodobna. Sądząc z istniejących wskazówek statystycznych, przypuszczać można, iż po zmobilizowaniu olbrzymich, przygotowanych do wojny oddziałów, ilość oficerów okaże się przynajmniej w niektórych państwach zbyt małą.

Według danych z roku 1891 ¹⁾ w Niemczech znajdowało się oficerów:

W armii czynnej	17,621
Rezerwowych	9,225
Landwerzystów	10,899
Razem	37,745

Ogólna ilość oficerów, niezbędna dla armii całkowicie zmobilizowanej, jest znacznie większa od ilości, którą obecnie rozporządza armia niemiecka.

Niedobór ten w części uzupełniony będzie przez przyjęcie do służby czynnej oficerów dymisjonowanych, w części zaś przez awansowanie feldfebli i podoficerów, będących w służbie czynnej.

W końcu 1890 roku Austro-Węgry posiadały oficerów i urzędników wojskowych:

	W rzeczywistej służbie oficerów i urzędników		W rezerwach oficerów i urzędników	
W armii czynnej	14,051	4,482	7,598	3,446
„ landwerze		1,610		1,540
„ honwedach		1,679		1,761
„ wojsku bośniackiem		181		—
Razem	22,003		14,345	

W rzeczywistej zatem służbie było około 16 tysięcy, w rezerwie około 9 tysięcy, ogółem 25 tysięcy oficerów. Ilość ta wystarcza w zupełności na potrzeby mobilizacji.

We Włoszech ogólna ilość oficerów i urzędników w 1890 roku przedstawia się w sposób następujący:

W armii czynnej	14,500
„ rezerwie	7,500

¹⁾ Prof. Rediger: „Kompletowanie armii.“ Petersburg.

Oficerów, pobierających emeryturę. obo- wiązanych jednak do służby.	6,500
W milicji ruchomej.	400
„ „ terytoryalnej	5,800
Razem.	34,700

Na potrzeby mobilizacji ilość ta wystarcza całkowicie.

Francya w 1889 roku liczyła oficerów:

W armii czynnej	20,449
„ rezerwach	9,461
„ armii terytoryalnej	17,129
Razem	47,039

Ilość oficerów w rezerwie przewyższała rzeczywiste potrzeby o 2½ tysiąca ludzi, w terytoryalnej zaś armii brak było około 1,500 oficerów.

Ażebym czytelnik mógł wytworzyć sobie pojęcie ogólnikowe przynajmniej o liczbie potrzebnych oficerów, przytaczamy twierdzenie marszałka Marmont'a i generała Morana: pierwszy utrzymywał, iż na 40 szeregowców winien być jeden oficer, drugi zaś żądał, by na 1,052 żołnierzy, t. j. na batalion, przypadało 32 oficerów. Do dziś dnia autorowie wojskowi liczby te uważają za normalne ¹⁾, chociaż przypuszczają niektórzy, iż przy większem niebezpieczeństwie, przy większem wstrząśnieniu nerwowem żołnierzy i przy szyku rozproszonym, potrzeba oficerów będzie większą, niż dawniej.

Jeżeli przyjmiemy za normę jednego oficera na 40 szeregowców i zastosujemy do liczby wojsk, podanych w „Wojennym kalendarzu“ ruskim za rok 1892, to otrzymamy następujące rezultaty:

	tysiący wojsk	potrzeba oficerów	ilość posiadanych oficerów
Niemcy	2,264	90,560	37,745
Austria	1,157	46,280	25,000
Włochy	1,170	46,800	34,700
Francya	1,974	78,960	47,000
Rossya	2,152	86,080	?

Dla armii ruskiej ani dokładnej liczby oficerów w armii, ani rozmiaru potrzeb w razie mobilizacji, nie posiadamy. Jednakże w wyda-

¹⁾ „La question des cadres,“ artykuł z „Revue Nouvelle,“ oraz „Wojennyj sbornik.“

wnictwie „Wojennyj sbornik“ znajdujemy pewne wskazówki, że i w armii ruskiej okaże się brak także.

I tak np. gen. Zajcew w artykule swoim zwraca uwagę na tę okoliczność, iż liczba oficerów rezerw od r. 1889 przestała wzrastać, gdyż rok rocznie tylu ich tylko przybywa, ilu wskutek dojścia do oznaczonego wieku przestaje należeć do rezerw ¹⁾.

„Celem wyjaśnienia tak nieznacznej stosunkowo liczby oficerów rezerwy, pomimo, iż corocznie służbę wojskową pełni znaczny kontyngens wykształconej młodzieży, sztab główny—jak świadczy tenże autor — poddał dokładnemu badaniu dane faktyczne, dotyczące tego przedmiotu. Okazało się między innymi, iż prawie wszystkie osoby z wyższem wykształceniem, zarówno ochotnicy, obowiązani do służby trzymiesięcznej, jak i wzięci losem, obowiązani do pozostawiania w szeregach przez ciąg sześciu miesięcy, rzeczywiście ściśle taki tylko czas pozostawali w wojsku, następnie zaś zaliczeni zostali do zapasu.“

Należy dodać, iż taki stan rzeczy został zmieniony przez zobowiązanie ochotników z wyższem wykształceniem do pozostawiania w szeregach przez cały rok.

Z liczby ochotników, którzy nie postarali się o uzyskanie rangi oficerskiej, tylko $\frac{1}{3}$ przeszła do rezerw w stopniu podoficera, $\frac{2}{3}$ zaś pozostało na stopniu prostych żołnierzy.

Gdyby badanie przeprowadzić głębiej i szukać przyczyn pierwotnych tego dla państwa i dla armii niepomysłnego zjawiska, to okazałoby się niewątpliwie, iż jedną z nich jest mały zapas inteligencji, a wskutek tego brak jej i wielkie zapotrzebowanie na każdym polu, pomimo, że coraz częściej dają się słyszeć narzekania na nadprodukcję ludzi z wykształceniem. Tymczasem faktem jest niewątpliwym, który łatwo udowodnić cyframi, iż wszystkie rodzaje służby publicznej cierpią wskutek braku ludzi wykwalifikowanych: za mało jest lekarzy i doktorów, za mało inżynierów i nauczycieli, za mało też oficerów zapasowych z pomiędzy młodzieży, kończącej zakłady naukowe nie wojskowe. Gdyby kontyngens kończących szkoły średnie i wyższe zakłady naukowe był znaczniejszy, to liczba oficerów w rezerwach wzrosła-by nie tylko wskutek absolutnie większej liczby ochotników i rekrutów tej kategorii, lecz także wskutek tego, iż młodzież nie śpieszyła-by się do czekających ją posad i częściej dopełniała-by łatwej formalności zdania egzaminu oficerskiego, który jej na wypadek powołania

¹⁾ Kontyngens oficerów „zapasu“ tworzą ci ochotnicy lub rekruci, którzy, po przesłużeniu prawem wskazanej liczby lat lub miesięcy, zdali następnie odpowiedni egzamin.

pod broń zapewni znacznie przyjemniejszy byt i odpowiedniejsze stanowisko.

Dane powyższe mogły-by wprowadzić w błąd czytelnika co do ogólnego stopnia wykształcenia oficerów w Rosyi.

Poziom wykształcenia korpusu oficerów ruskich wcale nie jest niższym, niż w wielu innych państwach. Pochodzi to stąd, że w żadnym kraju nie istnieje tyle, co w Rosyi, zakładów specjalnych dla wychowania wojskowych.

Znajduje się tam 8 szkół wojennych, 23 korpusy kadetów i 2 instytuty. Profesor Rediger powiada, że „korpusy kadetów w obecnej chwili do tego stopnia zostały rozwinięte, iż doskonale dopełniają naukę, rozpoczętą w szkołach wojennych. Tam nie tylko się *kształcą*, ale się *wychowują* oficerowie.

Nadto istnieje jeszcze w Rosyi 14 szkół junkierskich. W ciągu ostatniego dziesięciolecia od 1881 do 1890 roku przeciętnie ze szkół wojennych wychodziło do armii 41% młodych oficerów, ze szkół zaś junkierskich 59%. Liczba pierwszych ciągle wzrasta.

Autor dzieła „Die russische Armee in Krieg und Frieden“ powiada, że w r. 1890 wypuszczono oficerów z wyższych szkół wojskowych 975, ze szkół junkrów 1,100, lecz liczba ta dochodzi obecnie już do 1,600. Oprócz tego w akademiach wojskowych kształci się 445 oficerów.

Oczywistą jest rzeczą, iż wykształcenie oficerów, po wezwaniu wszystkich obowiązanych do służby wojskowej, będzie pozostawać w pewnym związku z ogólnym stopniem oświaty danego społeczeństwa, z którego wychodzą.

IV.

Zasady rozwoju inteligencji w armiach.

Aparat wojenny udoskonalił się nadzwyczajnie i postawiony został niejako na szczycie postępów techniki. Znamionem cechami militarizmu współczesnego jest to, iż powołał on pod broń *narody*. Ażebym jednak narody na polu walki spełnić mogły swoje zadanie, muszą posiadać w łonie swoim odpowiednie pierwiastki, muszą czynić zadosyć pewnym warunkom. Szkoły i korpusy dostarczyć mogą oficerów armiom, nie zaś olbrzymim zbiorowiskom ludzkim, obliczanym na miliony, i wzrastającym z roku na rok bez miary prawie. To też widzieliśmy, że w państwach, gdzie militarizm najdalej posunięty został, gdzie nad udoskonaleniem jego pracowano najwięcej, nie żałując olbrzymich nakładów, we Francyi i w Niemczech, liczba oficerów fachowych okazała

się pomimo to bardzo niedostateczną. Pochodzi to stąd, że armie dzisiejsze obok oficerów, wykształconych fachowo, posiadać muszą oficerów t. zw. zapasowych, t. j. ludzi, mogących wskutek swej inteligencji zastąpić w razie potrzeby do pewnego przynajmniej stopnia pierwszych; zapasu oficerów żaden rząd dowolnie powiększać nie może, gdyż to zależy od tego, czy dany kraj ma odpowiedni materiał.

Te masy ludzkie muszą więc same zawierać wśród siebie jednostki, uzdolnione do kierowania niemi, lub przynajmniej do pomocy w kierowaniu, inaczej, znalazłszy się na polu bitwy, po pewnym przeciągu czasu, kiedy już część dawnych oficerów opuści szeregi, nie będą mogły dokonać tego, czego od nich dziś wymagają, wskutek tego różne narody w różnym stopniu dorosły do nowego sposobu wojowania, zależnie od zasobów inteligencji, jaką posiadają.

Do tego samego wniosku doprowadza nas rozważanie skutków i drugiej cechy militarystyki współczesnej. Kiedyśmy zastanawiali się nad różnemi szczegółami przebiegu akcji wojennej, na każdym niemal punkcie okazało się, iż wśród zamętu pojęć i zamiarów, spowodowanego w taktyce nawalem nowych, a nadzwyczajnych ulepszeń technicznych, nieznanych dotychczas napewno ani pod względem działania bezpośredniego, ani pod względem skutków dalszych, czynnikiem jeżeli nie najważniejszym, to w każdym razie niezbędnym, będzie rozum ludzki. Powodzenie więc na polach bitew przyszłej wojny w wysokim stopniu uzależnione zostanie od stopnia rozwoju tej właściwości ludzkiej przy pomocy oświaty wśród szerokiej mas ludności.

Zresztą i w czasach dawnych, kiedy prowadzenie wojny i wygranie bitwy było zadaniem prostszem o wiele, inteligencja odgrywała rolę bardzo ważną. Parę stronic temu cytowaliśmy zdanie Napoleona, iż tylko postępy wiedzy i rozwój oświaty mogą dać krajowi oficerów odpowiednich, stojących na wysokości zadania.

Pamiętamy wszyscy, jak ogólne uznanie w całej Europie, nie wyłączając Francji, zyskało twierdzenie Moltkego, że Niemcom zwycięstwo dali nauczyciele.

Kwestya wykształcenia dotyka zresztą i w inny sposób naszego przedmiotu. Niebawem wykazemy, jak doniosłą rolę odegrają podczas zapasów krwawych zasoby materialne danego kraju, oraz duch i usposobienie ludności, te zaś czynniki bardzo są ściśle związane z poziomem rozwoju umysłowego. Boucher-Cardet ¹⁾ całkiem słusznie utrzymuje: „Naród najbogatszy, a wskutek tego najpotężniejszy, będzie i zarazem najmądrzejszym (najuczeńszym). Nawet pod względem życia ekono-

¹⁾ Général Jung: „La guerre et la société.“

micznego bogactwo umysłowe, bardziej niż każde inne bogactwo, zapewnia narodowi przewagę.“

Następująca tablica da nam niejakię pojęcie o postępach oświaty wśród żołnierzy różnych mocarstw, a przez to i wśród ogółu ludności:

	Ilość analfabetów na 1,000 ludności		Postęp
	1874	1887	%
Niemcy	23	13	43
Austria	492	238	52
Francya	179	124	31
Włochy	526	443	16
Rossya (całe państwo) .	779	687	12

Cyfry powyższe wymownie wskazują, jak dalece Niemcy wyprzedzili na polu oświaty ludowej zarówno wschodnich, jak i zachodnich sąsiadów.

O liczbie jednostek z wykształceniem wyższem, lub nieco wyższem, w różnych armiach sądzić będziemy mogli z następującego zestawienia. Najpierwsze miejsce zajmują Niemcy. Liczba ochotników, to jest żołnierzy, mających przywileje wskutek swego wykształcenia, wynosi 3.25% całej armii. Stosunku takiego nie spotykamy w żadnej innej armii, gdyż tam z 1,000 rekrutów mieli prawa do krótszego terminu służby:

	I kategorii (uniwersytet i wyższe za- kłady nau- kowe)	II kategorii (gimnazya i inne zakła- dy średnie)	III kategorii (progimna- zya, gimna- zya niższe i inne szkoły tego poziomu)	IV kategorii (szkoły miej- skie ludowe i t. d.)
we Francyi	10	16	624	
w Austrii	21	5	37	737
„ Węgrzech	18	5	35	643
„ Rossyi	1.4	2.1	8.9	43

Liczby te porównywać należy z pewną ostrożnością, gdyż numer kategorii nie oznacza w różnych państwach wymagań jednakowych, przytem i przepisy rekrutacyi są odmienne, co naturalnie wpływa na większy lub mniejszy napływ różnych pierwiastków do armii. Najmniejsze naturalnie różnice w kategoriach I i II zachodzą, gdyż wyższe zakłady naukowe, a nawet i gimnazya, stoją na jednakowym mniej więcej poziomie (w Rossyi od ochotników lub rekrutów II kategorii wymagane jest ukończenie tylko 6-ciu klas). Natomiast w kategorii III, a szczególnie w IV różnice są znaczne i zależą od ogólnego poziomu kultury w kraju.

W każdym razie ogólna suma ochotników i rekrutów wszystkich kategorii dać może pojęcie o napływie do szeregów żywołów inteligentnych. Pod tym względem—jak liczby wskazują—Austria i Węgry niewątpliwie przewyższają Francję: w Austrii mieliśmy ogólną liczbę 800, w Węgrzech 701, we Francyi tylko 650. Co się zaś tyczy ludzi z wykształceniem średnim i wyższem, to w obu państwach liczby są bardzo blizkie.

We wszystkich armiach szeregowcy, którzy do szkół żadnych nie uczęszczali, są kształceni i ci tylko z nich dostają rangę podoficerską, którzy, prócz kwalifikacyi fizycznych (musztra) i sprytu, posiadają nieco wyższe uzdolnienie naukowe; oczywista jest rzecz jednak, iż intelektualna wartość żołnierzy i podoficerów zależy przedewszystkiem od poziomu kultury w danym kraju. Późniejsze starania oficerów nie wiele już zrobić mogą. To też pod względem umysłowego uzdolnienia podoficerów prym trzymają Niemcy, potem idzie Francya, za nią Austria, a wreszcie Włochy. W Rosyji poziom umysłowego wykształcenia jest, naturalnie, najniższy, ale brak ten zastąpiony w znacznej części zostanie przez wrodzony spryt chłopu wielko-russkiego, przez jego przytomność umysłu, umiejętność radzenia sobie, a wreszcie przez duch nieograniczonej karności.

V.

W n i o s k i.

W czasach obecnych większego jeszcze znaczenia, niż niegdyś, nabierają słowa Napoleona: „najwyższa mądrość wodza tkwi w sile i szybkości postanowień.“ Słowa te siłą charakteru wynoszą po-nad wiedzę samą.

Nauka, znalazłszy się sama jedna wobec niebezpieczeństwa, nie miała-by gruntu pod nogami, błyskała-by w świadomości wodza zawodnie, niby ogień błędny, gdyby wódz ten nie posiadał charakteru, nie miał pewności siebie i energii, gdyby obok męstwa, lekceważącego osobiste niebezpieczeństwo, brakowało mu odwagi osobistej odpowiedzialności.

Dodać należy, że wobec zaznaczonych przez nas agitacyi antymilitarnych, szczególnie w państwach zachodnich, stanowczość decyzji, oraz postanowień wodzów, zależy będzie nie tylko od samej siły ich charakteru, lecz nieraz także od okoliczności innych.

Ale i szybkość postanowień nie wszystko jest w możności osiągnąć. Z jednej strony muszą być przedsięwzięte środki, które były-by zdolne zagwarantować możliwie proste i pewne wykonanie przedsię-

wziętych zamiarów; z drugiej strony winny być jasno i dobitnie podane do wiadomości wykonawców. Czynność, poprzedzająca powzięcie postanowienia, jest rezultatem osobistej pracy umysłu, kiedy tymczasem czynność, będąca następstwem postanowienia, stanowi poprostu zastosowanie techniki do danego rozwiązania kwestyi i obejmuje całą sferę rozporządzeń. Najdoskonalsze pomysły nie przynoszą korzyści, jeżeli rozporządzenia, niezbędne do wykonania, pozbawione są ścisłości. Na wojnie zdarza się często, iż wyższe kombinacye krzyżują się między sobą, a najlepszem wyjściem z tego okazywała się interwencya *woli*. Na wybór pomiędzy temi kombinacyami wpływają zmieniające się bezustanku okoliczności, i w najbardziej nawet ukwalifikowanych wodzach wywołują one wahanie się, prowadzące do niekonsekwencyi i zmieniania rozkazów („Ordre, contre-ordre, désordre“). Nad teoretyków takich przekładać należy postępy praktyka. On nieraz kieruje się instynktem, ale stanowczość jego daje rękojmię zwycięstwa. Żaden szereg nowych rozkazów nie stanie na drodze jego głównej idei, na której urzeczywistnienie on napewno użyje całej swojej energii ¹⁾.

Też same wymagania i trudności napotkają również i dowódcy młodzi. Ale tu występuje z większą jeszcze siłą czynnik innego rodzaju.

Wszystkie poprzednio przytoczone fakta, dane i względy, dowodzą, iż dziś nauka dla wojskowych jest niezbędniejszą, niż kiedykolwiek, i że w przyszłej wojnie tak nazwane uczone bronie: artylerya, inżynieria, pionierzy, saperzy, pyrotechnicy, aeronauci, telegrafisci, odgrywać będą rolę największą.

Dosyć rzucić okiem na wymagania nowego projektu celem wprowadzenia w armii niemieckiej 2-letniej służby, ażeby się przekonać, że *główne podwyżki etatów żądane są właśnie na potrzeby wyżej wymienionych rodzajów broni uczonych*.

Dawniej potrzeb takich nie znano, nie widziano i nie rozumiano. To, co się pod tym względem dzieje, stanowi sprzeczność z tradycyjnymi pojęciami starych wojskowych.

Nie więc dziwnego, że dziś spotkać można wielu jeszcze oficerów czynnych, lub byłych, którzy twierdzą, że dosyć jest żołnierzy dobrze wymustrowanych nauczyć dokładnie regulaminów, a powodzenie na wojnie zostanie zapewnione.

Wdawanie się w rozstrząśnienie wpływu i znaczenia nowych wynalazków i ulepszeń nie na wiele się przyda, ponieważ dopiero wojna

¹⁾ Major Hubl: „Die Kritik in ihrer Anwendung auf das Studium der Kriegsgeschichte,“ 1893.

właściwą ich wartość wykaże, w każdym razie i *sa sacré majesté le hasard* niewątpliwie zdetronować się nie da.

Pomimo, że nowe pomysły mają niewątpliwie zasadę racjonalną i wywołane zostały przekształceniami warunków walki, to jednak i opozycja wyznawców starych porządków całkowicie słuszności pozbawioną nie jest. Za rzecz zdaje się całkiem pewną uważać można, iż przekształcenie człowieka w automatyczny mechanizm dla celów wojny w dawnych czasach nadawało się nadzwyczajnie. Automat, przyuczony przez czas długi do wrażliwości jedynie na głos komendy, zawsze jednakiej, krótkiej, ścisłej, stanowczej, pomimowolnie jej ulega, chociażby inne pobudki i uczucia nakazywały mu postąpienie wprost odwrotne. Przy tem wie on, że musi robić toż samo, co jego sąsiedzi, co cały szereg lub kolumna. Tym sposobem na manewrach, a potem i na wojnie, poruszała się nie jednostka ludzka, lecz masa, potężna swym ciężarem, swą bezwładnością; masa oddziaływała na jednostki, przyciągała je ku sobie. To miało wielki wpływ nawet moralny. Nie tylko jednostki ludzkie odczuwają wpływ atrakcyjny masy; konie nabywają w niedługim czasie umiętności poruszania się w gromadzie na głos komendy, a kawalerzysta, pragnący opuścić szereg, musi stoczyć uporczywą walkę ze swym rumakiem. Prócz oddziaływania moralnego, skupienie ludzi ułatwiałoby oczywiście komendę.

Wysyłano się też, aby, bądź co bądź, wszystkimi siłami zrobić z żołnierza cząstkę zbiorowego mechanizmu. Doszło nawet, jak to się zdarza często, do szkodliwej przesady. W Rosyji np. za Cesarza Mikołaja umiętność maszerowania, tworzenia doskonałej linii w szeregu, trzymania łokci na jednym poziomie i t. d., zasłoniła potrzebę udoskonalenia innego rodzaju, niezmiernie ważnych i nierównie ważniejszych.

Wszędzie zresztą rygoryzm dochodził wtedy do granic śmieszności. Generał Dragomirow opowiada pod tym względem bardzo charakterystyczną anegdotę: „Pewien pułkownik niemiecki pragnął sprezentować po śniadaniu koledze swój talent wodza i pokazać nieruchomość swego pułku pod bronią. Rzeczywiście pułk trzymał się wspaniale — stał, jak mur. Kolega, zatrzymawszy się z boku kolumny, wskazał pułkownikowi palcem ledwie dostrzegalne chwianie się ostrza bagnietów, a pragnąc wykazać swoją kompetencję i przenikliwość, szepnął mu do ucha:

— To oddech, mój drogi.

— Ach! komu ty to mówisz, czegoż to ja nie robiłem, ażeby nie oddychali, i nie wskórać nie zdołałem.“

Do dziś dnia w niektórych armiach europejskich przetrwały fatalne stosunki przeszłości; trafiają się dowódcy, którzy, na wzór owego pułkownika, starają się zrobić z żołnierza to, co się z niego zrobić nie

da; dla osiągnięcia zaś celu, a w części i dla dania folgi gniewowi i fantazyi, używają środków, zakazanych dziś zarówno przez humanitarne uczucia i pojęcia wieku, jak i przez regulamina wojskowe. Pamiętne jest niedawne wystąpienie księcia Saskiego, w którym napiętnował krzyczące nadużycia, praktykowane w armii niemieckiej przez starszyznę z krzywdą godności ludzkiej, a nawet zdrowia żołnierzy. Zupełnie podobny wypadek zdarzył się w Austrii: tam znowu przeciwko dręczeniu i poniewieraniu szeregowców protestował arcyksiążę Jan, podówczas jeszcze zajmujący wysokie stanowisko w armii. Napisał on broszurę „Drill oder Erziehung“ i przesłał cesarzowi Wilhelmowi I; ten po przeczytaniu oddał ją ministrowi wojny, Brosardowi von Schellendorf, z napisem „Drill und Erziehung.“

Przetwarzanie żołnierza w mechanizm, uzdolniony jedynie do wspólnego poruszania się z szeregiem i kolumną, oraz używanie do tego środków dzikich i krzywdzących, jest tem bardziej potępienia godne, że dziś osiągnięcie pod tym względem celu było-by całkiem bezużyteczne, a może nawet szkodliwe. Zbiorowe poruszenia odbywać się będą tylko zdala od nieprzyjaciela i od pola bitwy, w marszu, gdzie niema niebezpieczeństwa. Wrogowi zwartego szeregu pokazać nie będzie podobna, bo straty, jakieby stąd wyniknęły, nie zrównoważyły-by wcale zysków moralnych. O tem przekonują doświadczenia na wszelkich polach ćwiczeń, to twierdzą wszyscy autorowie. Żołnierze będą musieli być rozproszeni. Siła wpływu masy na jednostkę zniknie; przyzwyczajenia, nabyte na mustrze, nie znajdą zastosowania; natomiast występują z siłą decydujące indywidualne i rasowe własności żołnierza, a nawet jego poglądy i usposobienia—słowem, względy natury psychicznej. To też dziś już autorowie wojskowi zajmują się tym przedmiotem, o którym dawniej ani myśleli. Roztrząsają mianowicie wartość materiału żołnierskiego z punktu całkiem innego, niż udoskonalona karność i poprawne wymustrowanie. Gdy się zaś tylko opuści grunt rutyny, wymagań nauki w żaden sposób wyminać niepodobna. W cytowanym tylokrotnie przez nas dziele prof. Coumés'a, „La tactique de demaine“ znajdujemy konkluzję zajmującej nas kwestyi sporów pomiędzy rutyną a nauką. Nie możemy ustępu tego pominąć, nie zwróciwszy nań uwagi czytelnika, chociaż wywód ostateczny wydaje się nam wielce wątpliwym:

„Jeżeli po wsze czasy przy równej broni geniusz wodza decydował o zwycięstwie, to też i odwrotnie, przy jednakowym geniuszu wodzów, udoskonalenie broni i umiejętność posługiwania się nią stanowiąc będą o wygranej.

„Cywilizacya, doskonaląc broń, jednocześnie i skomplikowała wojnę i zadanie dla talentu wodza uprościła; znaczy to, że dla unysłów

pospolitych, nieznających zasad pierwotnych wojny, trudności urosły, dla wielkich zaś wodzów zmaląły.“

ROZDZIAŁ XVIII.

Ruch armii ku polu walki.

Istota niejako sztuki wojennej polega na tem, ażeby możliwie szybko skoncentrować masy swego wojska przeciwko pojedynczym oddziałom przeciwnika. Szczególniej przy dzisiejszej straszliwości nowej broni ogromnie wiele zależy na tem, aby mieć nad przeciwnikiem przewagę liczby. Szybkie ześrodkowywanie swych wojsk zastępuje częstokroć ich niższość liczebną.

W koncentrowaniu wojsk podczas wojny odróżnić można trzy okresy. Pierwszy polega na mobilizacyi, t. j. na doprowadzeniu armii do stopy wojennej, a więc zwołaniu rezerw i pospolitego ruszenia, zaopatrzeniu wojsk w konie i tabory. Okres drugi obejmuje skierowanie zmobilizowanych oddziałów na właściwe punkta i rozmieszczenie ich w armii. Trzeci wreszcie jest ruchem samych wojsk armii wedle oznaczonych marszrut, zgodnie z ogólnym planem operacyi wojennych, który-to plan w głównych zarysach musi być z góry wytknięty.

Po ogłoszeniu mobilizacyi następuje zaciąganie rezerwistów w oznaczonych punktach i przesyłanie ich partyami do właściwych oddziałów. Wszystko to połączone jest z trudnościami ekonomicznymi, nawet z perturbacyami, stosownie do tego, w jakich rozmiarach zostały dokonane zaciągi oraz przewóz wojsk, co znowu zależy od przypuszczalnych sił przeciwnika i od oddalenia teatru wojny, te zaś ostatnie okoliczności warunkują się sytuacją polityczną danego momentu.

O ekonomicznej stronie tej kwestyi, wobec wzajemnego oddziaływania na siebie czynników, wypadnie nam mówić oddzielnie. W rozdziale niniejszym zajmiemy się tylko — aby dać obraz samej wojny — techniczną stroną koncentracyi wojsk na granicy.

I.

Zadanie dróg żelaznych podczas koncentrowania wojsk.

Ciągłe rozrastanie się i gęstnienie sieci dróg żelaznych w świecie cywilizowanym nadało kolejom, gdy chodzi o przemarsze wojsk, znaczenie wielkie i nieustannie wzrastające.

Moltke oświadczył raz na posiedzeniu Reichstagu, iż jedna przybywająca linia kolei, która przetnie kraj od jednego końca do drugiego, daje możność przyspieszenia o dwa dni zgromadzenia wojsk, a więc pozwala o dwa dni wcześniej rozpocząć działania wojenne. „Sztab nasz generalny — dodał wielki strategik — do tego stopnia jest przeświadczony o ważności inicjatywy na początku wojny, iż przekłada budowę dróg nad wznoszenie fortec.

W okresie mobilizacyi, który poprzedza ruchy strategiczne wojsk, należy jak najmniej zajmować drogi żelazne przewożeniem oddziałów, gdyż wtedy właśnie muszą one przyszykować się i mieć w pogotowiu cały swój tabor dla masowych strategicznych poruszeń. Wskutek tego oddziały bliższe granicy powinny same maszerować ku wskazanym punktom, pozwalając na szybsze, energiczniejsze i porządniejsze dostarczanie ludzi z miejsc odleglejszych ¹⁾.

Następnie nasuwa się kwestya, jakiej postanowiono się trzymać taktyki: zaczepnej, czy obronnej? Pierwsza daje przewagę inicjatywy, ale wymaga możliwości szybszego niż przeciwnik skoncentrowania wojsk na granicy lub posiadania nad nim wyższości, gdy nie da się liczebnej, to przynajmniej moralnej i umysłowej.

Jeżeli okoliczności nie pozwalają zdecydować się na działanie strategiczno-zaczepne, t. j. na zajęcie terytorjum nieprzyjacielskiego, a więc jeśli wypada poprzestać na obronie, to strategiczny układ armii winien mieć na celu osłonięcie stolicy państwa. Osłonięcie to osiągnięte być może albo przez dylokację wojsk pomiędzy granicą i stolicą, lub też przez stanowisko wojsk w miejscu dogodnym, z boku od linii operacyjnej posuwającego się nieprzyjaciela.

Szczególniej ważne usługi oddają koleje żelazne w razie przyjęcia systemu działań obronnych. Jeżeli linie zbiegają się ku granicy w formie łuków wklęsłych, i jeżeli niektóre z nich są równoległe, to broniący się może szybko i niespodzianie zgromadzić siły przeważnie na jednym ze skrzydeł i osiągnąć stanowcze powodzenie. Strona, opierająca zaczepnie, będzie zawsze narażona na niedogodność, iż w miarę zapuszczania się w kraj nieprzyjacielski, linia operacyjna staje się coraz mniej pewną i trudniejszą do obrony ²⁾.

Ale właśnie wskutek daleko większej szybkości, z jaką dzisiaj, dzięki drogom żelaznym, dokonywaną być może koncentracja wojsk, coraz to większego znaczenia nabiera aforyzm Moltkego: „błąd, popełniony w początkowym koncentrowaniu sił, prawie nie daje się naprawić w ciągu całej kampanii.”

¹⁾ General Pierron. „Méthodes de guerre.”

²⁾ Ibidem.

Celem uniknięcia błędów znacznych, generał Pierron radzi skupiać wojska w kilka grup, dopóki nie uwidoczni się prawdziwy kierunek głównych sił nieprzyjacielskich, albo też natychmiast, po ukończeniu koncentracji po-za każdym skrzydłem swoim umieścić środki przewozowe, dostateczne, ażeby przerzucić korpus lub kilka korpusów z jednego skrzydła do środka lub na drugie skrzydło z szybkością większą, niż zwyczajne poruszenia piechoty. Takie tabory muszą posiadać swoją własną osłonę z oddziałów wojsk, rozmieszczenie zaś ich winno być osłonięte tajemnicą, co się da osiągnąć przez rozpuszczanie fałszywych wieści, lub demonstracyjne ruchy innych części w stronę przeciwną.

Oczywistą jest rzeczą, iż w czasie strategicznych poruszeń i rozmieszczeń wojska, koleje żelazne całkowicie oddane zostają na zaspokojenie tej potrzeby, wszystko inne musi być jej podporządkowane, chociaż naturalnie potrzebom pozostałym w miarę możliwości należy czynić zadosyć. To też generał Pierron w temże dziele ¹⁾ zastrzega się, iż konieczność zupełnego uskutecznienia mobilizacji oraz wogóle przewozów wojennych, nawet podczas wojny, nie powinna zasłaniać, o ile to tylko jest możliwe, interesów handlu, np. ruchu ładunków zboża. Zaopatrzenia w zboże wymagać będzie flota, miasta, fortece nadgraniczne, a nie zaspokoić tych potrzeb niepodobna. A więc, układając plany przewozu wojsk, należy mieć na względzie zasadę: ignorować wszystkiego dla celów wojny nie można, ale trzeba wszystko podporządkować jej potrzebom, nie zapominając jednocześnie o rzeczach pozostałych. Wskutek tego generał Pierron uważa za właściwe zażądać uprzednio zdania izb handlowych.

Pisarze niemieccy, na których powołuje się gen. Pierron, utrzymują, że nawet w Berlinie nie tracą z oka organicznych potrzeb życia ekonomicznego. Przytacza między innymi autor francuski słowa kapitana Kreutmana: „przy organizowaniu przewozu wojska dla celów strategicznych miano na względzie, żeby pozostawić znaczną rezerwę taboru zarówno dla zadosyćuczynienia potrzebom samej służby kolejowej, jak i dla zadosyćuczynienia interesom ludności cywilnej, których lekceważyć niepodobna, szczególnie zaś gdy chodzi o komunikację stolicy z całym krajem.”

Wiadomo zresztą, że w Niemczech w taryfach dróg żelaznych pozostawione są pewne przerwy, t. zw. „interwalle”, ażeby pociągi spóźnione mogły na nowo wejść w prawidłowy system ruchu i nie burzyły go przez nadmierne skupienie się. Ogół prawidłowo krążących pociąg-

¹⁾ Tytuł kompletny: „Les Méthodes de guerre actuelles et vers la fin du XIX siècle. Tome premier, 3 partie.” 1893.

gów pomiędzy takimi interwałami (*Tages intervall*), nosi nazwę *Tages Echelon* ¹⁾.

Niemniej przeto w Niemczech, wskutek środków, przedsięwziętych celem zaopatrzenia stacyi w olbrzymie, stałe i ruchome urządzenia dla ładowania i wyładowywania oddziałów wojska w wagony i z wagonów, oraz dla zaopatrywania żołnierzy w pokarm, nie wyprawdzając ich z pociągu, dalej wskutek pobudowania mostów ponad drogami, a także linii obwodowych dookoła miast wielkich, wreszcie wskutek nagromadzenia wczesnego w fortecach nadgranicznych materiałów wojennych, zajmujących więcej miejsca, zrobiono wszystko, czego tylko od zapobiegliwości i wytrwałych starań o przyspieszenie gotowości do pierwszego starcia wymagać można.

II.

Rozmiary armii operacyjnych i przestrzenie przez nie zajmowane.

Do walki — jak wiemy — wystąpią obecnie całe ludy zbrojne, to też za „normę dla jednego teatru wojny uważać dziś należy — powiada generał Leer ²⁾ — *milion* żołnierzy z każdej strony, co wraz z częściami dodatkowymi, które walczyć nie będą, uczyni *milion dwakroć sto tysięcy*.” Razem więc stanie naprzeciwko siebie 2,400,000 ludzi.

Armię tę w celu udogodnienia kierownictwa rozdzielić wypadnie na *pięć armii cząstkowych* po 150—200 tysięcy, t. j. po pięć korpusów jedna. Każda z tych armii musi posiadać tyle samodzielności, aby mogła do czasu przybycia innych armii oprzeć się silniejszemu nieprzyjacielowi. Bojowy front (szerokość zajmowanej przestrzeni podczas walki lub marszu) jednej armii rozciągnie się na 15-tu mniej więcej wiorstach. Front zaś marszowy podczas drogi zajmie dwudniowy, a gdy się już armia zbliży do prawdopodobnego miejsca bitwy, jednodzienny przemarsz.

Na pierwotnej linii operacyjnej, t. j. w chwili *strategicznego* rozwijania armii ³⁾ cząstkowej, liczącej 200,000 ludzi, wypadnie na nią przeznaczyć 100—200 wiorst.

Gdy zaś wojska dojdą do pola bitwy, nastąpi taki rozkład sił, jaki odpowiedny będzie w danem położeniu i danych okolicznościach.

¹⁾ Capitaine du génie Marmier.

²⁾ W znanem dziele „Słownyja operacji.”

³⁾ Tak w języku wojskowym nazywa się układ armii całej, oraz jej części i oddziałów, nie ze względu na przewidywaną pojedynczą bitwę, lecz ze względu na plan całej kampanii.

Przytem każda z tych armii w chwili spotkania się z nieprzyjacielem musi być ześrodkowana na froncie na przestrzeni jednego przemarszu (20 wiorst), w głąb zaś najwyżej na przeciąg połowy dziennej drogi, a nawet mniej. Front trzech armii częściowych rozciągnięty będzie wtedy na przestrzeni 50—60 wiorst.

Wielkie masy ludzi, jak wielkie ciężary, niełatwe są do użycia, przy każdym ich poruszeniu wytwarza się silne tarcie, pokonywać trzeba znaczny opór bezwładności, a co ważniejsza, im liczniejsze będą armie, tem trudniejszymi staną się warunki ich wyżywienia. To też, aby uniknąć wielu utrudnień i kłopotów, wypadnie całość wojska na teatrze wojny dzielić na armie *częstkowe*. Odbywać się to powinno wedle przepisu Napoleona, który doskonale rozumiał z jednej strony niedogodności zbytniego skupienia ludzi w jednym punkcie, a z drugiej konieczność szybkiego koncentrowania wojska w razie potrzeby.

„Trzeba się rozpraszać dla wyżywienia — trzeba się łączyć dla zwycięstwa”¹⁾. Umiejętność stosowania obu tych postulatów, zdolność przerzucania się od jednego stanu armii do drugiego, bez wywoływania nieporządku i demoralizowania wojsk z jednej strony, a bez opóźnienia z drugiej, miała już i dotychczas wielkie znaczenie, w przyszłości zaś odegra oczywiście jeszcze większą rolę, wskutek znaczniejszej liczebności zastępów: i rozproszyć się nie będzie łatwo, i zgromadzić ludzi i oddziały na czas z przestrzeni bardzo odległych nie uda się bez wielkiego porządku i wzorowego utrzymania wszelkich funkcji.

Armie współczesne po drogach zwyczajnych z taką szybkością jak wojska Napoleona poruszać się nie potrafią, gdyż wskutek swego ogromu rozciągnąć się będą musiały na przestrzeni nie tylko absolutnie lecz i stosunkowo większej (dla łatwiejszego wyżywienia i rozmieszczenia), a powtórę mają one przed sobą do spełnienia zadania szersze.

Pokonanie tych trudności zależeć będzie przedewszystkiem od talentu wodza, następnie od sprawności podwładnych mu oficerów, wreszcie od wyćwiczenia szeregów i od prawidłowej organizacyi służby na tyłach armii.

III.

Formacje i obliczenia marszowe.

Maurycy Saski mawiał, że „sekret powodzeń wojennych spoczywa w nogach żołnierzy.”

¹⁾ „Getrennt marschieren und zusammen schlagen” — mawiał często Moltke.

Napoleon zaś dowiódł, jak ważnym czynnikiem dla rezultatów kampanii jest ruchliwość wojska. I rzecz to oczywista, nie potrzebująca dowodzeń, że z dwu ilościowo równych armii, ta, która potrafi przetrzącać się w tym samym czasie na przestrzenie dwa razy większe, posiadać będzie przez to siłę większą.

Jeżeli brać tylko na uwagę samo ściągnięcie wojsk przed bitwą, to i wtedy nawet większa lub mniejsza szybkość poruszania odgrywać musi bardzo wielką rolę, gdyż ogólna długość rozwiniętego korpusu, łącznie z taborami, obliczona jest na 53 wiorsty.

Wszyscy generałowie francuscy, którzy pisali o marszu, są zdania, że armia stale i regularnie nie może z całym swoim taborem przebywać więcej jak 20 kilometrów dziennie. Generał Leval w pracy „Conférence sur la marche d'un corps d'armée”, wyraża pragnienie, aby wojska mogły robić dziennie 24 kilometry. Wedle Morache'a, ogólna przeciętna dziennych przemarszów w wojnach 1796—1815 roku, w kampanii włoskiej 1859 r. i prusko-austryackiej 1866 r. i t. d., wynosiła 21.89 kilometrów. Generał Leer sądzi, że, ze względu na ogrom armii, które operować będą, nie należy na przeciętny przemarsz dzienny liczyć więcej nad 15 wiorst.

W większych jednak marszach na godzinę przejść trzeba co najmniej 25—35 kilometrów; przytem marsz taki ciągnie się 9 do 14 godzin. W Niemczech marsze nadzwyczajne (Gewaltmärsche), o ile nie pozwalają siły pozostałego i zdolnego do bitwy oddziału, dochodzą do 45 klm. na dzień.

Suworów w czerwcu 1799 r. przeszedł z okolic Aleksandryi do rzeki Tidone, t. j. 77 wiorst, w ciągu 36 godzin. Junot w listopadzie 1807 r., dążąc do Lizbony, przebył drogę z Salamanki do Alkantary, 245 wiorst, w ciągu 5 dni wśród warunków niesprzyjających, podczas zamieci śnieżnej. W podobny sposób dążył on dalej, ale się też armia jego wskutek strat nadzwyczajnych rozpadła.

Dowodów zdaje się nie potrzeba na to, iż ta armia, która będzie bardziej uzdolnioną do marszów i więcej przygotowaną do znoszenia trudów wojennych, przy innych jednakowych warunkach, mieć będzie daleko więcej szans do zwycięstwa; należy jednak rozróżniać dwie epoki: początek kampanii i jej dalszy ciąg, gdy się już ludzie po dłuższym życiu obozowem wdroszą do jego wymagań.

Do szeregów wejdzie wielka liczba rezerwistów, którzy w pierwszych dniach nie będą zdolni przebywać dostatecznych odległości w dosyć prędkim czasie, tem bardziej, że nie dospią i nie zjedzą we właściwej porze, jak do tego przywykli. Ich zaś siły będą musiały służyć za normę możliwości — inaczej wielu-by pozostawało po-za szere-

gami maruderów, a szpitale zapychały-by się chorymi ze znużenia i wyczerpania.

Według Klausewitza, niszczący wpływ marszów jest tak wielki, że je *uważać należy* za czynnik samodzielny, równoznaczny z bitwami. Jest to niewątpliwą prawdą: tysiące ludzi ginie w marszach, pomimo wszelkich środków ostrożności. Napoleon w 1812 roku, w pochodzie przez Rosyję, w ciągu 52 dni stracił około 100,000 ludzi, przebywszy zaledwie 490 wiorst. W danym wypadku wiele była winna wadliwość dyscypliny, choć i bez tego straty armii wskutek marszów były-by nader znaczne. Nie należy zapominać o tem, że jeżeli żołnierze wybijają ze swoich kampanii, nawet nie jako zabici, po większej części są już dla armii straceni, gdyż stanowią zwykle tylko bezużyteczny balast ¹⁾.

Pisarze wojskowi twierdzą, iż ten, co nie brał udziału w kampanii, chociaż nawet zajmował wysokie stanowisko wojskowe, nie może wytworzyć sobie pojęcia, czem są rzeczywiste marsze w czasie kampanii. Zarówno w oczach niedoświadczonego wojskowego, jak w wyobraźni spokojnego obywatela cywilnego, migają zawsze błyszczące kolumny, defilujące przy dźwiękach muzyki i witane przez ciekawe tłumy okrzykami zachwytu i życzeń gorących. W rzeczywistości zaś powolność i trudności są charakterystycznymi cechami poruszeń wielkich mas na wojnie. Przekonamy się o tem najlepiej, jeżeli po zamknięciu dźwięków muzyki pójdziemy za wojskiem i przypatrzymy się żołnierzom zblizka.

Tam jeden biedak z ciężkim tornistrem na plecach i karabinem na ramieniu kuleje i przywołuje całą siłę woli na pomoc, aby się na nogach utrzymać. Patrząc na to, sami odczuwamy ból, jaki mu sprawia obuwie, przecierające skórę do krwi. Innemu pot spływa z czoła kroplami, a wyraz twarzy zdradza ostateczne wyczerpanie. Tu i owdzie z szeregu wyprowadzają osłabłych i układają po bokach szosy nad rowem. Z każdą godziną kolumna posuwa się coraz wolniej, na ludziach, koniach i wozach zbiera się gęsta warstwa kurzu, który nie pozwala prawie otwierać ust i oczu. Słońce nie widzi cierpień ludzkich i wszystko oblewa piekącymi potokami żaru. Upał staje się nie do zniesienia. Tylko czoło kolumny postępuje jeszcze dosyć raźnie, za to w głębi widać coraz większe znużenie. Nawet śpiewy zamilkły. Im kolumna jest dłuższa, im więcej posiada dział i ciężkich wozów, tem wolniej posuwa się naprzód, tem częściej napotyka w pochodzie nieprzewidziane przeszkody i zmuszona jest do pomimowolnego zatrzy-

¹⁾ Von der Goltz. „Das Volk im Waffen.“

mywania się. Odwrotnie, im kolumna mniejsza, tem łatwiejszy, wygodniejszy i prędszy jest jej pochód.

IV.

Wpływ składowych części armii na wytrzymałość.

Naturalnie zdolność znoszenia trudów i niewygód jest różna nie tylko u różnych ludzi, lecz i u różnych klas społecznych. Rolnik, przyzwyczajony do twardego posłania, lichej odzieży i ladażakiego pożywienia, łatwiej zniesie braki obozowego życia podczas wojny, prędzej wdroży się do nowych warunków, niż przyzwyczajony do większych wygod mieszcuch, rzemieślnik, robotnik fabryczny, nie mówiąc już o sferach zamożniejszych. Trzeba pamiętać, że piechur musi dźwigać na sobie ciężar 28—35 kilogramów, czyli 70—87 funtów. Bez wprawy, bez przyzwyczajenia, nikt tego z łatwością wykonywać nie zdoła.

Okazuje się więc, że wytrzymałość armii — szczególnie na początku kampanii — zależy między innymi będzie od przewagi w niej tego lub innego pierwiastku społecznego.

W jednym z następnych rozdziałów przytoczymy cyfry, z których się okazuje, iż kiedy w Rosyi na 100 żołnierzy klasa rolników dostarcza 91 ludzi, we Włoszech 70, to w Austrii daje ona 55, we Francyi 51, a w Niemczech tylko 43. Czyli, kiedy w Rosyi na jednego mieszczucha przypada w wojsku 4—6 wieśniaków, w Niemczech pierwiastki te spotykają się w szeregach w równej niemal liczbie.

Na kwestyę tę zwróciły już uwagę sfery wojskowe. Autor np. świeżo wydanej broszury, którą wysoko podnosi „Militär Zeitung”, Gorgen, bardzo ponure przepowiednie dla Niemiec wysnuwa ze stosunku żywiołów społecznych, tworzących szeregi ich armii.

Na zasadzie danych o poborach, wykazuje on, jakoby okręgi czysto wiejskie, przy jednakowej liczbie mieszkańców, dają siłę obronną (a więc ilość żołnierzy i rezerwistów wszelkiego rodzaju) znacznie większą, niż okręgi miejskie. Gdy w okręgach rolniczych z 1,000 mężczyzn do służby wojskowej nadaje się 11-tu, w przemysłowych zaledwie 3.1. Cyfry te są bardzo wymowne. W danej chwili ludność miast wynosi około 12 milionów, ludność wsi — 18 milionów, mają się więc one do siebie jak 1:1½. Przed laty 30-tu stosunek ten równał się 1:2, a więc za 30 lat, jeżeli żaden przewrót nie zajdzie, da on 1:1, t. j. takąż samą ilość ludzi mieszkać będzie we wsiach, co i w miastach.

Wobec tego Gorgen żąda przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków ratunkowych, które-by poprostu zagrożony był Niemiec uratowały.

„Cały nasz naród — woła on — musi się bardziej „zwiesniaczyć” (verbauern), to znaczy, że wieśniak powinien bardziej przywiązać się do swego zagonu, robotnik zaś fabryczny niech się stanie — o ile to możliwe — drobnym posiadaczem rolnym i niech sam lub z dziećmi uprawia własny ogródek, co mu zapewni zdrowie ciała i duszy.” Osiągnięcie tego miał na celu „projekt do prawa o wytworzeniu działek ziemi rodzinnej, nie mogących podlegać alienacji” (Homestead). Projekt ten popierany był przez hr. Moltkego.

Po pewnym przeciągu czasu i mieszkańcy miast nabędą odpowiedniej do potrzeby siły i wprawy. Dowodem tego kampania 1870—71 roku. Już wyżej cytowaliśmy z niej przykłady pochodów, najbardziej zasługujących na uwagę i świadczących o wytrzymałości żołnierza niemieckiego. Ale i niektóre pułki francuskie odbywały marsze, nieustępujące pochodom Napoleona, dokonywanym w okolicznościach nadzwyczajnych.

W czasach ostatnich w armiach zwrócono szczególniejszą uwagę na wprawianie i hartowanie żołnierzy do odbywania długich marszów. Coraz częściej urządzają się wielkie manewry, którym nadawany jest charakter o ile można blizki do wojny rzeczywistej.

Wedle sprawozdań sir Charlesa Dilke ¹⁾ z manewrów odbytych w 1891 roku, armia francuska obecna odznacza się pod względem marszu zaletami, które ją stawiają na równi z najlepszymi piechotami innych państw.

Oto co pisze ten autor: „Piechota zdumiewa poprostu zdolnością przebycia dziennie w zwartym szeregach przepisanych regulaminem 48 kilometrów, i to od pierwszych zaraz chwil koncentracji wojsk. Kawalerya w pewnych wypadkach może przebiec w dzień 64 kilometry, chociaż, co prawda, pozbawia ją to w pewnym stopniu siły i sprawności przy spełnianiu najważniejszych zadań swej służby.”

„W ciągu 8 dni sześć razy wszystkie prawie wojska były budzone o kwadrans na czwartą przytłumionymi dźwiękami rożków (które obecnie zastępują tam dawną trąbkę). Niektóre wojska były w marszu od 4-ej rano do 5-ej wieczorem bez przerwy, z wyjątkiem przystanków, które się odbywały w najwyższym porządku po bokach drogi, pod promieniami palącego słońca, przy czem ludzie nie mieli czasu na ugotowanie sobie strawy, nie mogli również opuszczać swego miejsca, a pozwolono im tylko wyciągnąć się na ziemi. Następnego dnia armia maszerowała prawie bez przerwy od 2-ej w nocy do 10-ej z rana; parę korpusów pchnięto w drogę o wpół do pierwszej w nocy, inne musiały

¹⁾ „Les armes françaises.” Paris, 1892.

maszerować do 4-ej po południu. Piechota robiła nieraz przeszło po 52 kilometry i przez cały czas trwania manewrów miała naprawdę jeden tylko dzień wypoczynku.”

Jednakże do ruchów wojsk w początkach kampanii należy, jak to już zaznaczyliśmy, inną miarę stosować. W roku zeszłym we Francji powołano rezerwistów, i zdolność do marszu pułków mieszanych okazała się o wiele niższą, niż pułków liniowych. Podczas wielkich manewrów 8 i 12 korpusu żołnierzom pułków mieszanych pozwolono pozostać w ich własnych domowych trzewiakach, a pomimo to ilość maruderów oraz okaleczonych na nogi była bardzo wielka. Prócz tego brygady większe rozciągały się na drodze o $\frac{1}{4}$ a nawet o $\frac{1}{3}$ dłużej niż brygady liniowe. W niektóre dni w pułkach miejscowych bywało do 30% maruderów, a w tej liczbie znajdowali się nawet oficerowie; tym sposobem siła bojowa znacznie słabła. Wypadalo oszczędzać żołnierzy, a przez to znaczenie taktyczne pułków mieszanych malało jeszcze bardziej ¹⁾.

Również i doświadczenie wojen dawniejszych przekonywa, jak wielką rolę odgrywa tu przyzwyczajenie. Na początku kampanii r. 1870—71, podczas ruchu od Metz do Loiry, chociaż dzienne przejścia były umiarkowane, pogoda ładna i drogi dobre, to jednak maruderów pozostawalo w tyle wielu; co zresztą tłumaczy się wyczerpaniem sił przy zdobywaniu Metz. W dalszej drodze posuwano się szybciej, pomimo to liczba maruderów spadła. Pisarze wojskowi przytaczają ten przykład na dowód, iż wojska wdrażały się stopniowo do życia obozowego, do pochodów, przystosowywały się do warunków, a przez to nabierały większej wytrzymałości.

Ponieważ ważną jest kwestya, czego w czasie przyszłej wojny oczekiwać można od rezerwistów, dodać tu należy, iż na tych samych manewrach francuskich, o których tylko co mówiliśmy, uznano: oficerowie rezerw nie budzą dostatecznego zaufania, natomiast podoficerowie są dobrzy, wogóle zaś rezerwiści spełniali zadanie swe podczas walki bardzo niezadawalniająco. Każda przeszkoda przekształcała ich szeregi w niesforną gromadę, strzelali przytem licho. Wobec tego uznano, iż w razie wojny wypadnie ich jeszcze ćwiczyć przez 3 do 4 tygodni, zanim staną się całkowicie zdadni do boju, szczególnie w razie działań zaczepnych.

W armii russkiej zwrócić należy uwagę na szczególne warunki miejscowe. Rzecz wiadoma, że rekrut czy rezerwista russki znajduje dziś w wojsku pożywienie dobre i znacznie lepsze niż ma w domu, to też

¹⁾ „Militärische Jahresberichte für 1892.”

dopiero po pewnym przeciagu czasu nabiera sił i wytrzymałości. Lecz za to wskutek zahartowania ludności, armia ruską miała-by w początku kampanii tę ogromną przewagę, że, będąc po większej części złożoną z ludności wiejskiej, skromny a ciężki żywot pędzącej, od razu była-by zdolną do nadzwyczajnych wysiłków, które od niej będą wymagane; że zaś okoliczność ta ma znaczenie istotne, przekonać nas mogą słowa Napoleona, że „samo męstwo na polu walki wystarczyć nie może, trzeba również móżdż i umieć znosić zmęczenie i braki.”

Pisarze wojskowi zwracają uwagę jeszcze na jedną właściwość armii ruskiej, mianowicie na wytrzymałość wobec zimna. W „Militär Zeitung”¹⁾ znajdujemy opowieść o ruchach dwutygodniowych manewrów w warszawskim okręgu wojskowym, w styczniu bieżącego roku. Oddział zachodni przeszedł przez Narew pod Ostrołęką, odrzucił przeciwnika; ten zaś, otrzymawszy posiłki, skoncentrował się pod Znajdowem i zamierzał odeprzeć nacierającego nieprzyjaciela i przerzucić go za Narew. Ogółem w polu było 26½ batalionów, 10 szwadronów, 10 konnych i 1 piesza bateria z 86 działami.

Rano, gdy wyruszono z biwaków, termometr Réaumur wskazywał 8 stopni niżej zera, wieczorem temperatura spadła do 14°, w ciągu nocy ochłodziło się jeszcze bardziej, a następnego ranka już zimno doszło do 20°, a w punktach odsłonionych nawet do 22°. Piechota schroniła się do namiotów, w których temperaturę, przy 14—20 stopniach zimna na zewnątrz, udawało się podnieść do —4° a nawet do 0. Wojsko obficie było zaopatrzone w drzewo i słomę, to też żołnierze mogli nieustannie grzać się przy ogniu. Ludzie trzymali się dzielnie i wszystko poszło dobrze, z wyjątkiem kilku wypadków odmrożenia uszu, nosów i palców.

W namiotach oficerskich było znacznie zimniej niż w żołnierskich, ale z pomocą lamp dobrych i one dały się ogrzać, a w jednym nawet temperatura, dzięki dużej lampie, doprowadzona została do +9. Drugi dzień zaczął się od 20° zimna, ale potem się ociepliło do —15°. Ruchy wojsk szły bez przerwy, jak gdyby mrozu nie było. Artylerya stawała na pozycyi i rozpoczynała ogień, kawalerya szarżowała, piechury maszerowali i strzelali całkiem prawidłowo. Manewry przekonały o zupełnej zdolności wojska wszystkich broni do działań podczas wielkiego zimna, pod warunkiem, że będzie miało obfity zapas ciepłego ubrania, drzewa i słomy.

¹⁾ Nr 9, Marzec. 1893.

Bodaj, czy dzisiaj, przy coraz bardziej rozwijającej się dbałości o wygodę życiowe, zdolność łatwiejszego lub trudniejszego znoszenia warunków życia obozowego nie zaważy silnie na szalach wojny.

Nie ulega zatem wątpliwości, iż tak silne, jak wykazaliśmy, pomnożenie szeregów armii powiększy znacznie z jednej strony kłopoty, a z drugiej braki i zmęczenie. Nie będzie np. można myśleć o rozlokowaniu całego wojska na kwaterach, część zawsze pozostawać będzie zmuszona w biwakach. Zapewnienie żywności dla takich mas ludzkich również łatwe nie będzie, rekwizycya na miejscu nie wystarczy, i wogóle na zaspokojenie tak wielkich potrzeb drogą administracyjną liczyć niepodobna, a wskutek tego zjawi się potrzeba o wiele znaczniejszych taborów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

J. BŁOCH.

DOBÓR NATURALNY

w rozwoju ustroju społecznego.

Otto Ammon: „Die natürlliche Auslese beim Menschen. Auf Grund der anthropologischen Untersuchungen der Wehrpflichtigen in Baden und anderer Materialien, dargestellt von . . .“ Jena. Verlag v. Gustav Fischer. 1893. 8-o, stronic 326.

Ciekawe dzieło antropologa niemieckiego pod powyższym tytułem przedstawia próbę objaśnienia niektórych faktów socyologicznych przez prawa rozwoju naturalnego. Studium Ammona, oparte na nader bogatym materiale antropologiczno-statystycznym, zasługuje na bliższe poznanie i z tego także względu, iż przedstawia nowy dowód, jak wielce ważnem jest rozumienie praw biologicznych dla pojmowania licznych objawów życia społecznego. Jak z jednej strony ryczałtowe stosowanie praw rozwoju organicznego do socyologii prowadzi często do konsekwencyi nader sztucznych i nienaukowych (np. przez Herberta Spencera użyte porównanie w szczegółach pomiędzy organizmem biologicznym a ustrojem społecznym, jak porównanie ciałek krwi do monety obiegowej), tak znów, z drugiej, zupełne negowanie praw biologicznych przy roztrząsaniu licznych kwestyi społecznych i ekonomicznych, jak to się dostrzegać daje w pismach wielu autorów, jest często ważnym szkopułem dla ściśle naukowego traktowania sprawy.

W stosunkowo niedawnym jeszcze czasie powszechnie przyjmowano, iż każdy naród, używający jednego języka, jako ojczystego,

przedstawia także zawsze jedną rasę. Wszelako prace antropologów w ostatnich dwóch dziesiątkach lat dowiodły, że pogląd ten jest mylny. Obecnie wiemy, że ani w Europie, ani w żadnej innej części ziemi nie ma po największej części zupełnie jednorodnych i czystych ras ludzkich. W każdym narodzie, dostatecznie zbadanym pod względem antropologicznym, znajdujemy osobniki, w wysokim stopniu różniące się pomiędzy sobą wielkością ciała, postacią, barwą skóry, oczu i włosów i t. p., co pokazuje, że mamy przed sobą mieszaninę kilku ras o wybitnie różnych cechach antropologicznych. Tak, w Niemczech, których ludność w pierwszym stuleciu po N. Ch. uznał Tacyt za czystą rasę o wysokim wzroście, niebieskich oczach i blond włosach, znajdujemy dzisiaj zbiór najrozmaitszych typów antropologicznych; to samo wykazano we Francyi, a niedawno prof. Zograf pokazał też w wielce interesującej pracy, że znakomitą mieszaninę skrajnych dosyć ras przedstawia ludność różnych części państwa russkiego. Pogląd, jakoby tak wielkie zboczenia antropologiczne wywoływane były przez bezpośredni wpływ *warunków zewnętrznych*, musiał upaść wobec gromadzącego się materiału faktycznego, który dowodzi zupełnie czego innego. Dzisiejsi antropologowie zgadzają się z sobą co do tego, iż wzmiankowane zboczenia i różnice sprowadzić należy do krzyżowania się różnych ras ludzkich w biegu czasu. Dzisiejsze badania antropologiczne postawiły sobie za jeden z głównych celów: wykazanie właściwości i znamion pierwotnych ras przez możliwie dokładne poznanie właściwości ludów dziejowych. Do tego celu służą np. w Niemczech, wprowadzone przez Virchowa, badania uczniów szkół publicznych pod względem najróżnorodniejszych znamion antropologicznych; to samo znajdujemy w Austrii, Szwajcaryi i Belgii. Do tegoż celu służą we Francyi karty, sporządzone przez Broca, Topinard'a i Collignona, a wykazujące wymiary różnych części ciała, barwę skóry, włosów i oczu, oraz współczynnik głowy (stosunek długości do szerokości czaszki) u ludności rozmaitych okolic kraju.

Ponieważ tedy każdy prawie naród przedstawia pstrą mieszaninę kilku, lub nawet kilkunastu pierwotnych typów, które ciągle się z sobą krzyżowały, antropolog dzisiejszy musi mieć wciąż na uwadze prawa dziedziczności, bezustannie rządzące przy krzyżowaniu się osobników, zacierające jedne cechy, potęgujące zaś inne znamiona antropologiczne.

Prawa dziedziczności są wielce skomplikowane, a rzecz można, że dopiero w ostatnich kilkunastu latach biologia zdołała je do pewnego stopnia rozjaśnić. Od tego czasu też dopiero możemy je ściślej stosować do rozwoju organizmów w ogólności i do rozwoju ras ludzkich w szczególności.

Ażeby czytelnik należycie mógł zrozumieć wyniki, do jakich dochodzą niektórzy dzisiejsi badacze w kwestyi działania praw dziedziczności oraz doboru naturalnego w rozwoju ludów, musimy poświęcić kilka słów biologicznej stronie zjawiska dziedziczności wogóle. Rozpatrzmy naturalnie tylko te wytyczne punkta przedmiotu, które mają bezpośredni związek z rozbieżanemi tu pytaniami.

Cechy dziedziczne, t. j. te, które mogą się przenosić z rodziców na dzieci, mają swe podścielisko materyalne w komórkach rozrodczych: jajeczku i ciałku nasiennem, a właściwiej mówiąc, w pewnych częściach jąder komórek tych (w t. zw. chromatynie jąder). W jajeczku zapłodnionem, t. j. takim, w którym jądro jaja zlało się z jądrem ciałka nasiennego, znajdują się zawiązki wszelkich cech, jakie istota, mająca się rozwinąć z tego jaja, odziedziczy po obojgu rodzicach. Biologowie przekonali się, że tak jajeczko, jak i ciałko nasienne, zawiera zawiązki dla wszelkich cech ustroju, i rzeczywiście w wielu wypadkach (np. w t. zw. dzieworodztwie) z komórek rozrodczych jednej tylko płci powstawać może potomstwo, odziedziczające wszystkie znamiona swego gatunku. W chromatynie zatem jajeczka znajdują się zawiązki wszelkich dziedzicznych znamion potomka, np. zawiązki składników jego szkieletu, skóry, systemu nerwowego i t. d. i t. d.; a zarówno też i w chromatynie ciałka nasiennego (elementu męskiego) istnieją zawiązki wszelkich znamion dziedzicznych. Gdyby jedna płeć wydawać mogła sama potomstwo, wówczas to ostatnie, otrzymując w spadku po rodzicu całą sumę cech dziedzicznych, byłoby doń absolutnie podobne. Ponieważ zaś wskutek zapłodnienia łączą się z sobą dwie substancje o nieco odmiennych „tendencjach dziedzicznych,” cechy potomstwa muszą być przeto *wypadkową* znamion ojca i matki, czyli *kombinacją* cech dziedzicznych obojga rodziców, i przez to samo muszą się nieco różnić od właściwości każdego z rodziców. Dwie płcie różnią się pomiędzy sobą nie tylko pod względem cech, bezpośrednio lub pośrednio związanych z ich różnicami płciowemi (pod względem t. zw. pierwszorzędnych lub drugorzędnych znamion płciowych), lecz także i ze względu na mnóstwo innych cech indywidualnych, któremi wogóle różnią się pomiędzy sobą osobniki tego samego gatunku. Ojciec i matka mają rozmaite rozmiary ciała, różny kolor skóry, włosów i oczu, rozmaite współczynniki głowy, dalej różnią się pomiędzy sobą pod względem zdolności umysłowych, charakteru, usposobieniem dziedzicznym do różnych chorób i t. d. i t. d. Każdy z dwóch osobników przenosić może na potomka za pośrednictwem chromatyny swej komórki rozrodczej tę odmienną nieco, a sobie właściwą tendencję dziedziczną, potomek zaś jest kombinacją tych dwóch różnych tendencji. W jednych wypadkach dana cecha potomka jest pośrednią pomiędzy znamionami rodziców,

w innych zachodzi, że tak powiem, sumowanie się cech, opatrzonych znakami dodatnimi, i wówczas u potomka dana cecha jest spotęgowana w dwójnasób; w innych jeszcze razach sumują się jakby dwa znamiona o znakach odmiennych, dodatnim i ujemnym, i wówczas u potomka dana cecha zupełnie nie występuje, zatracą się i t. p. G. de Lapouge („Le lois de l'hérédité,” 1880) skrzyżował czarną króliczycę z białym samcem królikiem (czystej krwi białym) i otrzymał potomstwo z wielkimi, czysto czarnymi i czysto białymi plamami. Te plamiste osobniki krzyżowały się pomiędzy sobą i wydawały potomstwo również plamiste, lecz o plamkach mniejszych i liczniejszych. W pokoleniach coraz późniejszych plamki były coraz drobniejsze, aż wreszcie osobniki były już tylko kropkowane, a gdy punkciki jeszcze bardziej zmały, potomstwo miało barwę jednostajnie szarą. Za pomocą szkła powiększającego można było jednakże dojrzeć w futerku tych szarych osobników, że składa się ono po części z włosków zupełnie czarnych, po części z całkiem białych, po części z włosów dwubarwnych i z niewielkiej tylko ilości szarych. Przykład ten pokazuje, jak dalece może występować mieszanie się cech rodzicielskich u potomstwa. Podobnie, jak w przytoczonym przykładzie widzieliśmy kombinację barwnika rodziców u potomstwa, tak też i co do innych cech może się zdarzać podobne kojarzenie, np. co do natury komórek mózgowych. Talent ojca może się np. połączyć u potomka z nadwyzajną pilnością matki i przez to spowodować może znaczne spotęgowanie się działalności i t. p. Słusznie też jeden z biologów francuskich nazywa potomka „żywą mozaiką,” pojmując pod składnikami tej mozaiki cechy ojca, matki, dziadów, pradiadów i t. d., dziecko bowiem może odziedziczać cechy nie tylko po najbliższych swych przodkach, lecz (t. zw. atawizm) także właściwości po odleglejszych przodkach, tak po mieczu, jak i po kądzieli.

Łączenie się dwóch, nieco odmiennych zawsze, tendencji dziedzicznych dla wytworzenia nowego osobnika ma wielkie znaczenie w rozwoju organizmów, albowiem wskutek tego nowopowstające osobniki muszą się z konieczności różnić w większym lub mniejszym stopniu od każdego z osobników rodzicielskich, czyli muszą *zbaczać* od nich. Tym sposobem z konieczności występują *zbożenia*, pomimo, iż istnieje prawo dziedziczności.

Zbożenia te są materiałem dla działania doboru naturalnego, albowiem osobniki, ze zbożeniami dla nich pożytecznemi, zwyciężają we współzawodnictwie z innemi. Jeśli przy łączeniu się osobników tej samej rasy powstają w potomstwie zbożenia, to o ileż większe pole istnieje dla zbożeń indywidualnych, gdy mieszają się z sobą osobniki różnych ras, różnych typów antropologicznych. Przy łączeniu się osobników jednej rasy czystej krwi, liczne cechy odziedziczać się muszą

bez znacznych zbroceń; np. w rasie, w której wszystkie indywidua, tak męskie, jak i żeńskie, mają blond włosy i niebieskie oczy (jak w dawnej rasie germańskiej), potomstwo rodzi się zawsze z takimiż włosami i oczami, a co najwyżej z drobnymi tylko różnicami w odcieniach, będącymi wynikiem mieszania się dwóch płci, niezupełnie jednakowo ubarwionych (*bezwzględnie* jednakowego zabarwienia nigdy nie znajdziemy u dwóch osobników najczystszej nawet rasy). Gdy zaś w danej rasie spotykamy osobniki odmiennych typów, a więc np. blondynów i ciemnych brunetów, indywidua o większym i mniejszym współczynniku głowy i t. d. i t. d., wówczas dla powstawania u potomstwa *zbroceń* indywidualnych jest daleko większe pole, ponieważ różnice indywidualne pomiędzy rodzicami mogą być bez porównania większe, aniżeli w rasie czystej krwi. Skoro zaś zbroczenia są większe, wówczas i działanie doboru naturalnego silniej może się objawiać. Otóż dotychczas nikt nie badał bliżej działania doboru naturalnego u człowieka, opierając się na ścisłych danych antropologii. Praca Ammona jest jedną z nader udatnych prób w tym kierunku, a jest ona tem ciekawsza, że pokazuje, jak zmianom w antropologicznych cechach, uwarunkowanym przez dziedziczność i dobór naturalny, towarzyszą pewne zasadnicze objawy społeczne, jak np. powstawanie grup ludności o odmiennym charakterze społecznym.

W ciekawym rozdziale dzieła swego p. t. „Die natürliche Auslese der Kopfformen der Wehrpflichtigen in Stadt und Land,“ Ammon przytacza liczne dowody zmienności organizmu ludzkiego. Że ustrój ludzki nie przedstawia niezmiennego typu stałego (Dauertypus), dowodzą tego liczne, wahające się twory w ciele człowieka, mające po części charakter obojętny, po części zaś postępowy lub wsteczny.

Znakomity anatom freiburski, prof. Wiedersheim, w pracy swej p. t. „Der Bau des Menschen als Zeugnis für seine Vergangenheit“ pokazał, że w ciele ludzkim znajduje się wielka ilość narządów i ich części, które podlegają znacznym wahaniom i są tworami nader niestabilnymi, będącymi w biegu rozwoju, albo w kierunku doskonalenia się, albo też nwstecznienia. Tak np. niekiedy pojawia się, oprócz dwunastu par żeber, jeszcze jedna nadmierna, trzynasta; dwunasta zaś para bywa bardzo zmiennej długości, u wielu osobników jest nadzwyczaj krótka, jakby w drodze do zaniku. Uzębienie człdzieka również nie jest ustalone, albowiem ostatni ząb trzonowy znajduje się w drodze do zaniku, a mianowicie najpóźniej ze wszystkich zębów przebija dziąsło i najwcześniej zwykle zanika, a u wielu osobników wcale się nie rozwija i t. p. Zanik niektórych takich wahających się organów objaśnić sobie można w znacznej mierze przez działanie doboru naturalnego. Tak np. obecność wyrostka robakowatego w kiszce ślepej prowadzi niekiedy

do ciężkich chwil, kończących się śmiercią; można więc przypuścić, że zupełne usunięcie tego wyrostka, który jest już rzeczywiście u człowieka organem bardzo szczątkowym, zanikającym, było-by pożyteczne dla ustroju ludzkiego i, jako takie, podlegać może działaniu doboru naturalnego.

Otoż punktem wyjścia dla dalszych rozpatrywań Ammona jest zdobyte przez niego spostrzeżenie (poparte, jak zobaczymy, licznymi dowodami), iż jedna z najważniejszych cech antropologicznych, a mianowicie t. zw. współczynnik głowowy (stosunek szerokości czaszki do jej długości, przyjętej za 100) podlega wielkim wahaniom w obrębie danego narodu, i że nie tylko w czasach przedhistorycznych, lecz i obecnie nawet, podlega on w wysokim stopniu działaniu doboru naturalnego. Ammon opiera to spostrzeżenie na badaniach swych nad ludnością wiejską Księstwa Badeńskiego. Dochodzi on przedewszystkiem do ciekawego rezultatu, iż głowy ludu wiejskiego Księstwa Badeńskiego, począwszy od pierwotnych czasów germańskich, zbliżały się w ogólności coraz bardziej do okrągłej postaci, czyli że z długogłowych stawały się krótkogłowemi.

Najważniejszy dowód osiągamy w tym względzie przez porównanie wymiarów czaszek z grobów starożytnych z wymiarami czaszek dzisiejszej wiejskiej ludności badeńskiej. Ammon dochodzi do rezultatu, że współczynnik głowowy u ludności starożytnej wynosił 66—94, najczęstszym był 77, głowy zaś współczesnej nam ludności mają współczynnik 68—101, a najczęściej 83. Tym sposobem w najdłuższych głowach dzisiejszych współczynnik przewyższa o 2 jednostki, w najkrótszych o 6 jednostek współczynnik głowowy ludności dawniejszej. Albo inaczej jeszcze: osobniki długogłowe (t. j. o współczynniku poniżej 80) u ludności dawniejszej stanowiły 69.2% ogólnej liczby osobników, u dzisiejszej 15.0%, osobniki zaś krótkogłowe (t. j. o współczynniku 85 i wyżej) u ludności dawniejszej stanowiły 9.4%, u dzisiejszej aż 33.8%. Są to liczby bardzo wymowne.

Jakże mamy sobie tłómaczyć tę dziwną i interesującą przemianę?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, Ammon rozpatruje wymiary głowy u ludności dzisiejszej (przeważnie u rekrutów) oddzielnie w miastach i po wsiach. Badanie to doprowadza go do wielce ciekawego rezultatu, a mianowicie: że w ogólności u mieszkańców miast znajdujemy bez porównania większy procent długogłowych osobników, aniżeli pośród ludności wiejskiej, znacznie przewyższającej miejską pod względem ilościowym. Tak np. w Karlsruhe, oraz po wsiach, w znacznym promieniu otaczających to miasto, badania wykazały następujące stosunki ilościowe krótkogłowych i długogłowych osobników, wyrażone w odsetkach:

	Miasto	Wieś
Długogłowi (dolichocephale)	1.6	—
Średniogłowi (mesocephale)	26.7	12.9
Krótkogłowi (brachycephale)	55.0	56.9
Nadkrótkogłowi (hyperbrachycephale) . . .	15.0	27.7
Ultrakrótkogłowi (ultrabrachycephale) . . .	1.6	2.5
Skrajnie krótkogłowi (extrembrachycephale) .	—	—

Podobne rezultaty znajduje Ammon i w innych okolicach kraju, np. we Freiburgu i wsiach okolicznych:

	Miasto	Wieś
Długogłowi	1.6	0.5
Średniogłowi	31.6	14.8
Krótkogłowi	46.1	40.6
Nadkrótkogłowi	19.1	39.1
Ultrakrótkogłowi	1.6	5.8
Skrajniekrótkogłowi	—	—

Fakt częstszej długogłowości u mieszkańców miast w porównaniu z ludnością wiejską jest wielce interesujący, a objaśnienie tego faktu stanowi jedno z najciekawszych zagadnień antropologii. Życie miejskie nie może wpływać na przekształcanie się głów, jakiejże zatem przyczynie przypisać mamy ten dziwny fakt? Ammon rozwiązuje szczęśliwie to pytanie.

Wiadomo, że ludność miejska rekrutuje się z wiejskiej. Otóż Ammon badał pod względem antropologicznym stałych mieszkańców miast, oddawna tam osiadłych, połowicznych mieszkańców miejskich (Halbstädter), t. j. takich, których ojcowie mieszkali jeszcze po wsiach, i wreszcie t. zw. przybyszów (Eingewanderte), t. j. ludzi, którzy urodzili się na wsi i sami do miast przywędrowali. Okazało się, że wśród stałych mieszczan (to jest takich, których ojcowie mieszkali już także w miastach) procent długogłowych jest największy, krótkogłowych najmniejszy; u połowicznych mieszczan stosunek jest średni; u przybyszów zaś procent długogłowych jest najmniejszy, krótkogłowych największy. Jeśli przez nazwę długogłowych oznaczymy osobniki o współczynniku głowowym niżej 80, przez nazwę zaś krótkogłowych—osobnika o współczynniku 85 i wyżej, w takim razie okaże się następujący rezultat:

	Włościanie	Przybysze	Połowiczni mieszczanie	Stali mie- szczanie
<i>Karlsruhe:</i>				
Długogłowi .	12.2	14.9	25.9	33.3
Krótkogłowi .	38.2	33.3	18.4	12.4
<i>Freiburg:</i>				
Długogłowi .	12.2	12.4	22.5	43.7
Krótkogłowi .	38.2	31.3	27.7	14.8

W kilku cyfrach powyższej tabliczki czytelnik ma przed sobą jeden z najważniejszych problemów antropologii, a jednocześnie także klucz do rozwiązania jego. Owe rzędy cyfr pokazują mianowicie co następuje: Już sama wędrówka ludności wiejskiej do miast ma niejako cechę doboru naturalnego, albowiem z liczby długogłowych włościan większa ilość wędruje do miast, aniżeli z liczby osobników krótkogłowych; większa część tych ostatnich nie opuszcza wsi. Wszelako różnica ta nie jest bardzo znaczna, albowiem niejednokrotnie przypadek, np. znaczny popyt na siły robocze, skłania wiele jednostek do wędrówki ku miastom, bez względu na współczynnik głowowy. Ale oto ci, którzy powędrowali do miast, podlegają po raz drugi działaniu doboru naturalnego, Znaczna ilość krótkogłowych odpada, większa zaś część długogłowych staje się osiadłą i, przenosząc w dziedzictwie na potomstwo długogłowość swoją, produkuje długogłowych „mieszczan połowicznych“ (Halbstädter“). Na nich-to po raz trzeci znów wywiera swe działanie dobór naturalny. Znów odpada większa część krótkogłowych, a tylko część przeważnie długogłowa daje stałych mieszkańców miast. Pomijamy w tej chwili kwestyę duchowych czynników, zniewalających ludność do wędrówek (zobaczymy niżej, że wymiary głowy pozostają w związku z pewnymi cechami duchowymi), oraz różne inne czynniki, współdziałające w miastach wraz z dobrem naturalnym.

Powiedzieliśmy wyżej, że ludność dzisiejsza w Niemczech jest w ogólności bardziej krótkogłowa, niż pierwotna, germańska, i zaznaczyliśmy, że na podstawie ścisłych obliczeń (których przytaczać nie będziemy) Ammon dochodzi do wniosku, że sama domieszka jakiejś rasy krótkogłowej nie mogła-by sprawić takiego skutku. Otóż proces ten mamy teraz przed oczami. Przez rozwiązanie zagadnienia długogłowości mieszkańców miejskich rozwiązujemy też jednocześnie zagadnienie wznagania się liczby osobników krótkogłowych u ludności niemieckiej wogóle. Albowiem jest zupełnie jasnym, że, skoro w ciągu długiego okresu czasu większa część długogłowych osobników ze wsi wędruje do miast, a większa część krótkogłowych pozostaje na wsi,

lud wiejski zawierać musi przeto coraz większy procent osobników krótkogłowych. I to nam właśnie tłómaczy, dlaczego czaszki dzisiejszego ludu wiejskiego w Niemczech okazują bez porównania większy procent krótkogłowości, aniżeli czaszki starożytnego ludu germańskiego.

Stwierdziwszy tak ciekawy fakt antropologiczny, Ammon zadał sobie pytanie: czy pewne inné cechy nie towarzyszą też stale osobnikom krótko- i długogłowym? innemj słowy: czy pomiędzy ludnością wiejską i miejską dobór naturalny nie wytwarza także innych różnic antropologicznych, oprócz różnicy co do spółczynnika głowowego. W tym celu badacz niemiecki przedsięwziął bardzo szczegółowe badania koloru skóry, włosów i oczu u ludności miejskiej i wiejskiej i doszedł do następujących wniosków ogólnych.

Widzieliśmy, że wielkie miasta wywierają pewną siłę przyciągającą na osobniki *długogłowe*; o toż pośród tych przybyszów ze wsi nie znajdujemy przewagi pod względem jakiegobądź barwy. Najbliższe atoli pokolenie, produkowane w miastach przez osobniki przybyłe ze wsi, a więc pokolenie tak nazwanych mieszczan połowicznych (*Halbstädter*) pokazuje już nie tylko znaczny przyrost osobników długogłowych, ale także osobników o *jasnej* kompleksyi (o blond-włosach, niebieskich oczach i białej skórze). W trzecim, oraz w następnych pokoleniach, a mianowicie już u stałych mieszczan, wzrasta się nie tylko liczba długogłowych osobników, ale także liczba osobników o jasnej kompleksyi. Autor opiera pod tym względem swe spostrzeżenia na materiale antropologiczno-statystycznym, zebrany w Karlsruhe, Freiburgu, Konstancyi, w Mannheim, Heidelbergu i Zörrach, a więc w wielu bardzo miastach.

W dalszym ciągu pracy swej Ammon dochodzi do wniosku, że w ten sposób pośród ludności niemieckiej wyróżniają się drogą doboru naturalnego dwa typy, a mianowicie: typ, oznaczony przez autora niemieckiego, jako *A*, a złożony z osobników przeważnie długogłowych i jasnobarwnych, i typ *B*, złożony przeważnie z osobników krótkogłowych i ciemnobarwnych. Dwa te typy pochodzą w narodzie niemieckim ze zmieszania się pierwotnej jasnobarwnej i długogłowej rasy czystych Germanów o czystym typie *A* z innymi rasami, które nieco później z Azji przywędrowały, z Germanami się zmieszały, a przedstawiały rasy o czystym typie *B*. Wskutek owej domieszki znajdujemy u dzisiejszych Niemców osobniki o typie, zbliżonym do *A*, do *B*, oraz najrozmaitsze typy pośrednie, przejściowe, będące produktami krzyżowania się tych odmiennych ras pierwotnych.

Gdyby nie działanie doboru naturalnego, oba te typy, *wskutek ciągłego mieszania się i krzyżowania, były-by się w wysokim stopniu zwały i wyrównały*, różnice pomiędzy nimi zniwelowały-by się i dziś naród niemiecki przedstawiał-by daleko bardziej jednolity lud pod względem antropologicznym. Ale oto dobór naturalny sprawił i dotąd jeszcze sprawia, że osobniki o cechach najbardziej zbliżonych do typu A osiadają w miastach, tu się z sobą krzyżują i przelewają na potomstwo swe cechy, osobniki zaś krótkogłowe pozostają po wsiach; tym sposobem dobór naturalny działa w kierunku wyróżniania się obu typów, a działając tak w ciągu długiego bardzo okresu czasu, stał się przyczyną, iż obecny lud wiejski odznacza się większym stopniem krótkogłowości, aniżeli w czasach dawniejszych.

A teraz zachodzi jeszcze pytanie: dlaczego dobór naturalny nagromadza po miastach przeważnie osobniki długogłowe, a po wsiach przeważnie krótkogłowe? Z góry można już przypuścić, że dobór może tu działać w kierunku różnic intelektualnych. I rzeczywiście też istnieją dowody, iż większa inteligencya chodzi przeważnie w parze z długogłowością czaszek i przytem częściej z typem jasnobarwnym (w rasach aryjskich), niż z ciemnobarwnym. Ammon rozpatruje pod względem antropologicznym uczniów gimnazyów i szkół realnych, chłopców z konwiktów duchownych, a dalej więźniów i t. d. W gimnazyach np. znajduje daleko większy procent osobników długogłowych, niż pośród ludności, nie uczęszczającej do szkół średnich; co do różnic w ubarwieniu rezultaty są w tym względzie niepewne. Wogóle u tych grup ludności miejskiej, która pod względem umysłowym bierze górę nad innemi, znajdujemy większy procent długogłowych osobników.

W ogólności zatem w następujący sposób Ammon przedstawia działanie doboru naturalnego w społeczeństwie ludzkim. Pierwotnym materiałem dla doboru naturalnego jest obecnie lud wiejski, stan włościański. Jeśli pominiemy przemiany, jakie zachodziły w ostatnich dziesiątkach lat w racjonalnem gospodarstwie rolnem, i które, bądź-co-bądź, wywierały swój wpływ na ludność wiejską, to w każdym razie w życiu włościan znajdziemy największą *jednostajność* warunków życiowych, do których włościanin jest przystosowany. Wszelako i włościanin nie jest stałym, niezmiennym typem; pojedyncze osobniki różnią się pomiędzy sobą cechami cielesnemi i duchowemi. Otóż prąd ludności, płynącej ze wsi ku wielkim miastom, przy nadmiarze urodzeń i utrudnionych środkach do życia, nie jest dziełem przypadku, lecz, zdaniem Ammona, jest w części produktem *doboru naturalnego*. A mianowicie: ku miastom wędruje nieco więcej osobników długogłowych, aniżeli pozostają

staje na wsi; osobniki te odznaczają się większą inteligencją, przedsiębiorczością i rzutkością. Przybysze ci dostają się po większej części w miastach do pomyślniejszych warunków odżywiania; dodatni bilans fizjologiczny w ich przemianie materji sprawia przyspieszony wzrost ciała i wcześniejsze dojrzewanie, jak to Ammon statystycznie wykazał się stara. Zdolności umysłowe podlegają również w swej działalności spotęgowaniu, lecz nie zawsze w jednakowym stopniu. Różnorodne wpływy i pobudzenia zewnętrzne, które przybysz napotyka w wielkiem mieście, wywołują żywszą i energiczniejszą działalność; zaczyna się rodzaj fermentacji, u jednych osobników rozbudzają się zawiązki intelektualne, u innych—instynkta niższe. Jedna część osobników staje się ciężarem społeczeństwa miejskiego, powiększa liczbę przestępców, inna część zaledwie może się przystosować do nowych warunków i ciężki wlecze żywot, wreszcie część trzecia zaczyna wznosić się po drabinie społecznej do góry. Statystyka wykazuje, jak widzieliśmy, że tą częścią trzecią, najlepiej przystosowującą się do warunków miejskiego życia i dającą materiał dla stałych mieszczan, są przeważnie osobniki długogłowe, gdy tymczasem na niższych szczeblach pozostają krótkogłowe. Cały proces jest niezem innym, mówi Ammon, jak tylko „*przystosowywaniem się do nowych warunków, do miejskiego sposobu życia,*“ zwłaszcza zaś do warunków lepszego odżywiania się i bardziej pobudzających wpływów zewnętrznych, które przedstawia kalejdoskop miasta. Że to przystosowanie się do zupełnie nowych warunków życia nie może się odbyć bez większych ofiar w osobnikach, jest to ogólne prawo rozwoju świata organicznego.

Konsekwencye i wyniki, do których dotychczas dochodzi autor niemiecki, są, zdaje mi się, zupełnie uzasadnione i niewątpliwie dobór naturalny wywierał i dziś jeszcze wywiera nie małe działanie przy formowaniu się dwóch kategorii ludności: wiejskiej i miejskiej. Autor prowadzi jednak swe wnioski jeszcze dalej, twierdzi on mianowicie, że „osobniki, zdadne do wyższych celów kulturalnych, zostają wyróżnione przez tworzenie się stanów (Standbildung), które służy doborowi naturalnemu; zostają oddzielone od szerokiej, fermentującej masy ludności miejskiej.“ Autor uważa tworzenie się stanów po miastach za urządzenie, wynikające z doboru naturalnego i jednocześnie dopomagające jego działaniu. Ta część wywodów Ammona wydaje mi się niedostatecznie uzasadnioną; dane statystyczno-antropologiczne, zebrane przez autora w tym zakresie, są niewystarczające i nieprzekonywające. Że do pewnego stopnia dobór może tu działać, tego zaprzeczyć nie można, lecz trudno zgodzić się z autorem na to, aby formowanie się różnych stanów w społeczeństwie ludzkim przedstawiało proces zu-

pełnie analogiczny z tworzeniem się ras lub podras drogą doboru sztucznego. W pierwszym przypadku bowiem występują czynniki tak skomplikowane i tak zależne od ustroju społecznego (naprzykład czynniki czysto ekonomiczne), że niepodobna tu stosować jedynie zasady przystosowania się do warunków i zasady doboru. Z wyjątkiem tej części wywodów Ammona, dzieło autora niemieckiego jest wielce pouczające i ciekawe, a jako próba objaśnienia pewnych objawów społecznych na drodze praw biologicznych, zasługuje w każdym razie na szczególną uwagę.

Dr J. NUSBAUM.

RODZINA POŁANIECKICH. ¹⁾

XIII.

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z niemi pan Pławicki jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu położonego w lesie, o półtrzęcej godziny drogi od miasta. Dzień był wrzesniowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rżyskach. Na drzewach trzymała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajeń widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa blada i złotawa jesień przypomniała zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiekach, pola w brogach i przejrzyste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tem życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym byciu, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czerem i próżniaczem. Czowała teraz, że to życie, w którym odnajdywała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone — a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, coby jej je zdołało zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie wrócić poniekąd do niego, zostawszy panią Maszkową, ale na samą tę myśl, serce załało się jej goryczą i Maszko,

¹⁾ Patrz zeszyt wrzesniowy „Biblioteki.”

wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swemi wypiekami i faworytami, wraz ze swem małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, — tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie z ojcem, na warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału, — z żalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny, ów pogodny, jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga wogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ „pana Stacha” nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny humorek nie stoi w związku ze zdrowiem. Jeden pan Pławicki był w prawdziwie dobrym humorze, zwłaszcza z początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździkiem w dziurce, w jasnym paletocie i z nastawionemi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rzeżkim; powtóre, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: „ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!” — byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolił choćby takim, obowiązującym wstecz uznaniem. W tej nadziei, był istotnie czarujący, bo naprzemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze stanowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczna dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawil pani Emilii, zaważał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowane z bladym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czem innym, mianowicie, że dzięki stosunkom córki, pozna „burżazy”, z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie przygarniać ich, by tym sposobem wdrażać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misją. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono

w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między nimi, wśród dawnej leśnej zaciszy, dom tak świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznem powietrzem, przesiąkniętem wonią igliwia i żywicy.

Bigielowie, wraz z czeredą dzieci wyszli na spotkanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tem dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogło-by być jej między nimi dobrze, tem mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał był tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał się teraz tak laskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwintny, a przytem spełniający misję przygarniania „burżuazyi.” Panią Bigielową pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspaniałomyślną dobrocią:

— W dzisiejszych czasach, każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka jak pan, a mnie tem bardziej, skoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim współnikiem.

— Połaniecki, to tegi człowiek,— odpowiedział z prostotą Bigiel, ściskając wrękawiczoną dłoń pana Pławickiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjęć kapelusze, poczem, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na werendę.

— A pana Połanieckiego niema jeszcze? — spytała pani Emilia.

— Pan Stanisław jest tu od rana, — odpowiedziała Bigielowa — ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasławską. To tuż obok, — dodała, zwracając się do Maryni, — niema nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich mieszkań, a te panie, to nasze najbliższe sąsiedztwo.

— Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału — odrzekła Marynia. — Była zawsze bardzo blada.

— O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigielęta, które kochały na zabój Litkę, wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których poprawdzie nie nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która, pochylając swą płową śliczną główkę, oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczętu gieorginie rosnące pod domem, wybierając dla Litki najpię-

kniejsze okazy, poczem pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przytem zamykać oczy, począł krzyczeć:

— Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

— Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

— Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

— Ja chcę do niej! — odpowiedział załośnię Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

— I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz uśmiechać.

— Nie zrobią jej oni krzywdy — mówił Bigiel do pani Emilii. — Dziwna rzecz: chłopczyska urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie dla niej.

— Takie kochane dzieci, jak mało na świecie, — odrzekła pani Emilia.

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę, dla rozebrania między siebie kółek i pałeczek. W środku tej kupki stała najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigieleta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą słodką i poetyczną twarzyczką, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądała wśród tych czerstwych puciołowatych twarzyczek, jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

— Patrzcie, — rzekła — czy to nie istna królewna. Szczerze mówię, że jej się napatrzeć nigdy nie mogę.

— Takie to jakieś szlachetne — dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawiły w wielkie koło, tworząc na szarem tle igliwia różnobarwne plamki, przyczem pod ogromnemi sosnami wydawały się tak małe, jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werendy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kółek, pod które trzeba było podbiegać i by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go odrazu, lecz on ogarnął wzrokiem werendę, podwórze i ujrawszy jasną suknię Maryni pod sosną, przyśpieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepo-

koi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na pałeczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegała za wszystkiemi dalszemi. Z powodu tej bieganiny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak, że musiała je poprawiać, i w chwili, gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała przechylona nieco w tył, z podniesionemi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jedną tylko widział: wydała mu się na tym obszernym dziedzińcu młodsza i mniejsza niż zwykle, a przytem tak dziewicza, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok poporzucały kółka, pałeczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swemi wielkiemi oczyma, to w stronę Połanieckiego, to na Marynię.

— A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? — spytała panna Marynia.

— Nie...

— Czemu Litus?

— Bo...

I policzki jej poczerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogło-by wyrazić w słowach:

— Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.

On zaś zbliżał się, opędzając się od dzieci i powtarzając im.

— Nie czepiajcie się smyki, bo poprzewracam.

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne niż zwykle — poczem dopiero zwrócił się do Litki.

— A kociątko najmilsze, zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całym strapieniu swego małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

— A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas i było smutno, a teraz zaprowadzę pana Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werendzie.

— Jak się mają panie Krasławskie? — spytała pani Emilia.

— Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie — odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla niego zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią, bez śladu sentymentu, w sposób żartobliwy, jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawił oryginalnym i dziwacznym sposobem wyrażania myśli.

— Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? — spytała go, gdy siedli do obiadu.

— Tak pani, — odpowiedział — ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozcinania kartek w drodze i wróciłem po niego.

— O! to ważny powód.

— Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechęć ostatnią przyśługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

— To ten, taki mały, chudy sportsman? — spytał Bigiel.

— Ten, — odparł Bukacki — i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie blaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną, jak śmierć. Poprostu nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

— Ale, — rzekł Połaniecki — opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

— To mój krewny, rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie znała, lecz kilka razy w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był plenipotentem. Wiedziała też o ślepem przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

— Mój Boże, co za nieszczęście! — rzekła. — Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

— I jaki wielki majątek zostaje bez spadkobiercy — dodał Bigiel. — Ja te stosunki znam, bo to tak blisko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Krowicką — choć ta była dalsza — i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa lub trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc poprostu, za każdym razem wyłażała go, ile się zmieściło. Z tego powodu, w dalszym ciągu życia unikał jej najstaranniej i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swem pokrewieństwie z rodziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w naszym kraju, kategorii ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogą dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzieję tego rodzaju uważa za pewność. To też powiódł uroczystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Może też Opatrzność postanowiła, żeby te majątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

— Ja Płoszowskiego spotkałem też raz za granicą i uczynił mi wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

— Taki był podobno świetny i sympatyczny — dodała pani Bigielowa.

— Niech Bóg okaże mu miłosierdzie — rzekł profesor Waskowski — znałem go i ja: to był prawdziwy arya.

— Ozorya — rzekł pan Pławicki.

— Arya, — powtórzył profesor.

— Ozorya... — poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą i ku wielkiej ucieście Bukackiego, który, nałożywszy monokl, rzekł:

— Jakże: arya czy ozorya?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki, wyjaśniając, że Ozorya, jest to nazwa herbu rodziny Płoszowskich, że więc można być razem aryą i ozoryą, na co zresztą, pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przytem nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydząć, ani przekręcać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

— Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat — zawsze napróżno!

— Mówią, że samobójstwo, to tchórzostwo — wtrąciła Marynia.

— To też ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

— Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tem, co w niem najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

— I Litki! — dodał Połaniecki.

Poczem zwrócił się do panny Maryni:

— Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek.

— Najchętniej — odrzekła panna Marynia.

On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

— Bo widzi pani, ja uważam je nie tylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby tu powiedzieć? za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle — i gdyby widział, że ja się tem męczę, to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszała się, ale jednocześnie uczyniło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

— A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi.

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wznosił zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mowę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto inny, jak kobieta, zatem przed kobietą, jako królową, powinny się wszelkie głowy pochylać i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkimi kobietami wogóle, a obecnie skłania ją przed panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby być uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy, nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna — i panna, w zupełnem przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: „tek” zamiast „tak”, ale zresztą z twarzą przystojną, choć bladą, przypominającą nieco twarze Holbeinowskich madon.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale, spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni, mówił sobie w duchu: „żebyś też choć słowo dobre była dała ty... ty, bezlitośna!..

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: „meme” zamiast „mama”, spytał jej szorstko:

— Kto taki?

„Meme” zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

— Wyobraźcie sobie państwo — mówiła z zapałem — mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Krowickiej. Panie świeć nad jej duszą, to była kokietka — i nie lubiłam jej nigdy. Kokietowała go tak, że m bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej dziewczyny poprostu zły przykład. Co prawda, to prawda!... Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatii.

— Ach pani — rzekła pani Emilia — ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Krowickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

— Madame, je vous donne ma parole d'honneur, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie, zaperzywszy się, była-by odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partją dla panny Terki. Równemi względami cieszył się w jej oczach i Połaniecki — i dla nich-to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

— U panów — rzekła — każda przystojna kobieta to zaraz anioł albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Krowicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu — i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tem bardziej, że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na złość sobie, trochę na złość pannie Maryni i starał się sam w siebie wmówić, że mu jest przy niej dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk i odkrył, że ma za cienką szyję i oczki, jakby zgasłe, które ozywiają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie niema miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczyniała mówić zbyt głośno, panna Terka przykładala lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. Wogóle panna Terka nudziła go niepomiernie, i jeśli zajmował się nią pilniej niż kiedykolwiek, to czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przycisnie. Wywołują one zresztą zwy-

kle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodził-by się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz, niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył i gdy goście poczeli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do matki i, objawszy rękami jej szyję, poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, poczem zbliżywszy się ku niemu, rzekła:

— Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiem Litkę między siebie i miejsca będzie dosyć.

— Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny — odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

— Ty kociątko moje najlepsze, tyl...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podnosiła ku niemu swe oczy, nawpół smutne, nawpół uradowane, pytając cicho:

— Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym, nastąpiła jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna od księżycy. Połaniecki, któremu dzień zeszedł marnie i ciężko, odetchnął teraz pełną pierś i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżycy widział teraz jej twarz, i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili takie same i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szalem wziętym od pani Emilii jej nóżki i jechali czas jakiś w milczeniu.

Poczem pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

— Tkwi naprawdę w tem wszystkiem jakiś ogromnie smutny dramat — rzekł Połaniecki — i pani Krasławska może mieć trochę słuszności, utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w związku.

Na to panna Marynia rzekła:

— Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno się je potępić, a potępiając, ma się takie wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

— Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał na oświecone okna domu, stojącego w głębi leśnego parku, i rzekł:

— To willa pani Krasławskiej.

— Nie mogę jej darować tego, — rzekła pani Emilia — co mówiła o tej meszczęśliwej pani Krowickiej.

— To jest kobieta wprost drapieżna, — odpowiedział Połaniecki — a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Cały świat uważa za tło, któreby chciała uczynić jak najczarniejszem, żeby panna Terka odbiła się na niem tem jaśniej. Być może, że matka kroiłła niegdyś na Płoszowskiego — być może, że panią Krowicką uważała za przeszkodę, i stąd jej nienawiść do niej.

— To ładna panienka — rzekła Marynia.

— Są istoty, dla których po-za światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy — dla niej nie zaczyna się nic — a raczej kończy wszystko. To jest zupełny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historia Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgaszonej świeczce, zakochał się przed paru laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć został odrzucony, bo te panie patrzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej — i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, dopytując się o swój automat, a później listy ustały.

— Czy ona wie o tem?

— Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystyczne, to to, że jego wspomnienie nie mąci ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim, jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tem się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłumaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: „Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć...” Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny — dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, ze wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przytem tamten mówił mi kiedyś tak: „wolałbym być nieszczęśliwy z nią, niż szczęśliwy z inną...” I co tu gadać. Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy odedrzeć — i skończył się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

— A jak komu bieda, to musi cierpieć! — dorzucił naostatek Polaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

— Śpisz dziecińko? — spytała.

— Nie, mamusiń — odpowiedziała Litka.

XIV.

— O majątek nie ubiegałem się nigdy, — mówił pan Pławicki — ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nie przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha iza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

— Zwracam pańską uwagę, — rzekł zimno Maszko — że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

— Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

— Po wtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

— Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

— Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

— Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

— Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie.

W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

— Jednakże bliższych krewnych niema.

— Polaniecki to przecie także wasz krewny?

— Żaden! dalibóg żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

— A Bukacki?

— Daj-że pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

— Innych krewnych pan nie ma?

— Przyznawali się do nas Gątowscy z Jałbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią, co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

— U nas ludzie są chciwi na spadki — i niech się spadek jaki otworzy — zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę...

Wszystko w takich razach polega na tem, kto się prędzej zgłosi, z czem się zgłosi i nakoniec przez kogo się zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

— To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:

— Prócz tego możesz pan stać się igraszką adwokatów i być wykonywanym bez granic...

— Liczył-bym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

— I nie zawiódłbys się pan — odrzekł z powagą Maszko. — I dla pana, i dla panny Maryi, mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

— W imieniu sieroty, dziękuję — odpowiedział pan Pławicki.

I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

— Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw, i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem — i w innych — to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

— Szanowny panie — rzekł. — Pan domyślasz się o czem chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Poczem niżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jął mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą, a zarazem z wielkiem umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina kim jest i co przynosi. Pan Pławicki przymykał chwilkami oczy, chwilkami ścisnął rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencyi rzekł:

— Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej — i o!l

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko — i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

— Dziękuję, dziękuję.

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą, ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugim i począł mówić:

— Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czego-by przedtem nie wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w któ-

rej powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie — i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, po czem rzekła:

— Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek, jak pan, łudził: nie kochałam pana, nie kocham i żoną pańską nie zostanę nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Teraz zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silniej, a oczy jego poczęły rzucać zimne stalowe blaski.

— Odpowiedź jest równie stanowcza, — rzekł — jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

— Sam pan powiedział, że odgadywała uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namysle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry.

— Czy pani sądzi przytem, że, na mocy zachowania się pani ze mną, nie miałam prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniósłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle zrozumiał, że nie było w niem nic, coby mogło go upoważniać do jakiegokolwiek nadziei, słowem, że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryę zmuszone są okupywać kłamstwem — lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

— Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszko zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspaniałomyślnie jej występku. Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, zrozumiał to — i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i, zbliżywszy się do panny Maryni, podniósł do ust jej rękę.

— Wiedziałem, że pani kocha Krzemień — rzekł — i kupilem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, że szedł błędną drogą i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepra-

szam. Winy ze strony pani nie było i niema żadnej. Spokój pani droższy mi jest od własnego szczęścia, dlatego proszę, jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów. A teraz żegnam panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem znękania w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przysła jej do głowy następna myśl: „Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje — ten go kupił, by mi go zwrócić!“ I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. — W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, powtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprawdzie chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go nanowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypląt, które na nim ciążyły, a nakoniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że, gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, była-by go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że powinna to uczynić — ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów z wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła — i, jakkolwiek starała się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony, jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna blednąć i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, był-by sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowałby myśleć ani o dożywotniej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadła Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Marynię, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które trzeba było spłacić co prędzej, albowiem, z powodu lichwiarskich procentów, rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na

to wszystko był tylko kredyt — dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty, jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, był-by zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony — i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego, wchodząc do siebie, mrucał przez zaciśnięte zęby:

— Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz — nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

— Odmówiłaś mu, bo inaczej był-by wstąpił do mnie, wychodząc.

— Tak, papo.

— Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

— Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

— Co ci odpowiedział?

— Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

— Nowe nieszczęście — rzekł, — i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tem nie będziesz się liczyła.

— Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

— Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Był-by się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partyę zbyt świetną i, sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbytecznie tem, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

— Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca — rzekła na wstępie: — odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

— Żal mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciła-bym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdołać na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

— Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądz tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

— Nigdy nie będę ich porównywała—odrzekła pani Emilia.—Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: „jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić.“ Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwrócił-by ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

— Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nie zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

— Owszem, Maryniu: uprzedzenie, i powiem ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

— Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność... Wszystko, co mogło być we mnie sympatją dla niego, zmieniło się w niechęć—i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi dwoma ludźmi, wybrała-bym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę — po chwili ramiona panny Maryni oplotły jej szyję.

— Jakie to dla mnie zmartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak gdy się znalazły zdala od siebie, uczuły obie jednocześnie, że coś naderwało się między nimi i że wzajemny ich stosunek nie będzie już tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu pomyślała, że i trzeba, i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś, wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak zadaleko. Pani droga wie, że jeśli względem niej zawinił, tom się starał to naprawić, a ją przebłagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę miał ciężkie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedołągą nie byłem, nie jestem, i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić

przez okno, jako rzecz w moim pokoju nie potrzebną. To pani święcie przyrzekam.

— Wierzę panu, ale się przytem bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesolo:

— Co tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go takie pocziwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże i ani syknę.

Poczem wrócił do siebie, peten wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie laskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bi-gielem wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie we dnie nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsennych nocy. Wówczas przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że była-by mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochał-by ją, jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal przeżera duszę i zdrowie, jak rdza żelazo, więc Połaniecki począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej pustki i nigdy nie odczuwał z równą siłą, że nic mu jej zapelnąć nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale, mając nad sobą dużo władzy, unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy miała być u pani Emilii, i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero gdy Litka zachorowała, począł chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorem dziecku.

XV.

A biedna Litka po nowym, groźniejszym, niż poprzednio, ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dnie spędzała teraz, leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiała też, gdy Połaniecki siedział przy niej i rozmawiała z nim i z matką o wszystkim, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu,

jakby namyślając się nad czemś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyslenia się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sam na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i, zwróciwszy się do matki, rzekła:

— Mamusiu, niech mamusia siądzie przy mnie, tu na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko otoczyło ręką jej szyję i, wsparwszy głowę na jej ramieniu, poczęło mówić pieszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

— Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

— O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę, zbierając myśli, po czem spytała:

— Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

— Jeżeli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze, o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

— To co, mamusiu?...

— To chciało-by się, żeby ten ktoś był zdrow, tak, jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

— I co jeszcze?

— I chciało-by się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciało-by się samemu za niego cierpieć.

— I co jeszcze?

— I chciało-by się mieć go zawsze przy sobie, tak, jak ty jesteś przy mnie — i chciało-by się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

— To ja teraz rozumiem — rzekła po chwili zamyslenia się Litka. — I ja sama myślałam także, że to tak.

— Tak, kotku.

— Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thunsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tem nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

— Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

— O, nie a nie! Ja teraz rozumiem. On-by chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciał-by być zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

— Wyjść za niego...

— Wyjść za niego. On się tem martwi, Mamusiu? prawda?

— Pewnie, moje dziecko.

— Bo ja to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

— Pewno, kotku, on taki dobry człowiek.

— To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po jakimś czasie znów poczęła pytać:

— A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

— Nie, Lituś. On-by nas zawsze tak samo kochał.

— Ale Marynię lepiej?

— Marynia była-by mu wtedy bliższa, niż my. Czemu się ty, kotku, o to tak dopytujesz?

— To źle?

— Nie; niema w tem nic złego, nie a nie! tylko boję się, że się zmęczysz.

— O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nie o tem Maryni nie mówi.

Na tem skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporeczywiej, niż przedtem, wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na nią, to na niego, a potem przynikała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która, nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsenne, śpiąc nieco tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to uprosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie małej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tem bardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak poczucie, że stan dziecka nie jest pomyślny i, mimo uspokojień lekarza, serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również, jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój matki nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki, zostawszy sam z nią, zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

— Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

— Ani jej się śni! Co tam się roi pod tą czupryną. Zresztą, naturalnie, że się martwi, bo wołała-by, żebyś była zdrowa...

— Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

— Ładnie zdrowe! A Bigielęta nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był, jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciśka wiecznie chorują i tyle z nich pociechy.

— To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe...

Tu poczęła trząść główką.

— Nie; to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb—i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

— Plecie Litka!—zawołał Polaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

— Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: „Pod twoją obronę“—i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć! Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie była-bym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Polaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i, wzięwszy rękę Litki, rzekł:

— Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopieroby się mama martwiła, żeby wiedziała, czem dziecko sobie główkę zaprzęta! Bo pamiętaj, że sobie tem szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

— Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno—nie więcej!

On pochylił ku niej głowę.

— No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

— Czy pan Stach bardzo-by mnie żałował?

— A, widzisz, jakaś niepoczciwa!

— Mój panie Stachu!... powiedzieć!

— Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją kocham... ogromnie kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świecie-był tak nie żałował... Będiesz-że ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze, drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy.

— Już będę cicho... Dobry pan Stach!

I w chwili, gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

— Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

— Nie, Lituś!—odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju, usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki. Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim, spytała:

— Jak dziś Litka?

— Jak zwykle.

— Był doktor?

— Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwoli pani sobie pomódz?

To powiedziawszy, chciał zdjąć z niej paletot, lecz ona odmówiła, nie chcąc przyjmować jego usług. Wówczas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią najniespodzianie:

— To jest prosta grzeczność, nie więcej, a choćby było czemś więcej, mogła-by wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nie tylko ja, ale i pani niiby kocha. W tem po prostu niema nie tylko dobroci, ale i miary. Zdjął-bym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczem więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak, że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak, że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot, i nie tylko nie znalazła w sobie sily, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość, że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu, i nigdy dotychczas nie przypomniał jej tak silnie owego dzielnego, młodego człowieka, którego oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie tylko wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

— Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydzził.

— To ja przepraszam. Litka gadala mi dziś o swojej śmierci i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy, ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI.

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia;—zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której spieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka — więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wolał jadać w restauracyi, niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała codzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy małej.

W ten sposób Polaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował, a raczej odprowadzał z podziękowaniami wszystkich, którzy przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie.

I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz panny Maryni pობladła z niewywezasu i obawy, oczy podkrążyły się ciemno, ale siły jej i energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przytem tyle słodyczy i dobroci, coś tak ciego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce, mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze, i gdy oddalila się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi, prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Polaniecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadanek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane, czasem jednak dziecinna natura brała górę i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce, obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladem złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim,

wchodzą w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesunął się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrępowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

— Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Polanieckiego, spytała:

— Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

— Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

— O, to ja chciała-bym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

— Brzozę.

— To ja chciała-bym być małą brzożką, a mamusia była-by dużą i rosły-byśmy razem. A pan Stach chciał-by także być brzożą?

— Bylem rósł gdzie niedaleko od małej brzożki.

Litka zaś popatrzyła na niego i, potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

— O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem przy kimby pan Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Polaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową główkę i powtarzać:

— Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!...

Litka umilkła; następnie z pod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem.

— Ja mamusię bardzo kocham—rzekła,—i pana Stacha kocham, i Marynię kocham...

XVII.

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej i choć najczęściej go nie przyjmowano, posyłał jej kwiaty. Polaniecki, spotkawszy go kiedyś na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

— Astry tylko, astry!—odrzekł profesor.—Jak ona się dziś ma?

— Dziś nieźle, a wogóle niedobrze. Gorzej, niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomysli, że tego dziecka może zbraknąć!...

Tu Polaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kląć:

— Co tu się oglądać za jakimś zmiłowaniem. Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć—i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który, dowiedziawszy się, o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

— Jak można ludzię się dobrowolnie przez tyle lat i wygłaszać zasady, które obracają się w niwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

— Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie. Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że po-nad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

— Oto mi pociecha—przerwał Połaniecki,—mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem, przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, poczem ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie.

— A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tem jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić—i przedtem nie umrze.

— Mistycyzm—rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Oby tak było. Mistycyzm nie mistycyzm, ale, oby tak było! Człowiek w biedzie chwytą się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

— Kto wiel może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje.

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczem nie uznaje pewności, ale wszystko uważa za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w danym wypadku pragnie serce, odetchnął więc łżej i nabrał jakoś otuchy.

— Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią — rzekł. — Dał-bym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

— Daj na jedną, byle ze szczerą intencją.

— A dam! a dam! Co do szczerości intencji—nie był-bym szczerzy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

— Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś źlej uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli w duszy myślał coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tem odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na uszy i nietylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym.

Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

— Widzę po was, że mała nie gorzej.

— Nie, nie!—rzekł Połaniecki,—i profesor mówił nam takie poczywne rzeczy, że tylko go do rauny przyłożyć.

— Chwała Bogu. Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesołą nowinę.

— Co takiego?

— Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujecie, bo się żeni.

— Z kim?—spytał Połaniecki.

— Z moją sąsiadką?

— Z panną Krasławską?

— Tak.

— Rozumiem—rzekł Bukacki,—skruszył na proch te panie swoją wielkością, swoim urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.

— Wytłómaczcie mi jedną rzecz—rzekł profesor Waskowski,—Maszko jest człowiekiem religijnym...

— Jako konserwatysta—przerwał Bukacki,—dla przyzwoitości.

— I te panie także—ciągnął dalej Waskowski.

— Ze zwyczajów...

— Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłym?

— Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłym?—zawołał Bukacki, zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.

Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:

— Jak powiadasz?

— Powiadam: Tu felix, Maszko, nube!

Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godności powagą, w końcu przemówił:

— Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.

— Nie pozwól sobie na to!—rzekł Bukacki.

A Połaniecki dorzucił:

— W porę ci przyszedł Krzemień.

Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie został-by przyjęty. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemna, więc skrzywił się i rzekł:

— Ułatwiłeś mi to kupno i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.

— Dlaczego?

— Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego łąkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.

A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:

— Słuchaj Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co wlaźło, ale nie idzie za tem, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Maryi, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!

Nastąpiła chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli, mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był Połaniecki.

Więc, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...

Lecz Połaniecki przerwał:

— Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.

I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: „Jeśli koniecznie chcesz awantury, to będziesz ją miał.“

— Twoje słowa—odrzekł—mogę pamiętać, tylko przyjmij-że i ty ode mnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.

— Co u licha!—zaczął Bukacki.—Co wam jest!?

Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się oddawna, był-by posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.

— Proszę pana—rzekł zdyszczanym głosem,—panienka umiera!

Połaniecki zbladł i, porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastąpiło glucho, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

— Zapomniałem — rzekł, — że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski, zakrywszy oczy rękoma, począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

— Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadras później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

— „Atak minął.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

KOBIETY NA DWORZE CZECHRYŃSKIM,

w drugiej połowie XVII wieku. ¹⁾

V.

**Jan Wyhowski i Helena ze Stetkiewiczów, jego małżonka.
Zmiany na dworze Czechryńskim.**

Ze zdobyciem hetmańskiej buławy przez Wyhowskiego inny porządek zapanował w rezydencji czechryńskiej, inna bowiem społeczność wyłoniła się z pośród kozackiego świata, mianowicie: miejscowa klasa uprzywilejowana, jeżeli nie wykształcona, to przynajmniej do pewnych form, w świecie cywilizowanym przyjętych, roszcząca pretensye. Naturalnie, że ten towarzystwu nadawał sam hetman i liczna jego rodzina, tuląca się pod skrzydła wielkorządcy zaporoskiego; że był on zupełnie różnym od swego poprzednika człowiekiem, łatwo się o tem przekonać z sylwetki, którą doraźnie skreślić tu uważamy za niezbędne, choćby dla należytego wytłómaczenia pewnych zmian, jakie dokoła niego zaszły, a tem samem i w białogłowskiej tego orszaku połowie. Wiemy, że Wyhowscy do dawnej, ale drobnej należeli szlachty, jeszcze

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy.

na początku XVI wieku osiadłej na ziemi Skoczkowskiej pod Wyhowem. Już w 1611 roku dziadek hetmana Habdankiem się pieczętuje, ojciec zaś, właściciel Golejowa ¹⁾, osiada w epoce przedburza kozackiego w Kijowie na dewocyi, zajmuje tam wydatne stanowisko, szanując władze miejscowe, duchowieństwo russkie rad jego zasięga, o względy i pomoc przy wyborach na dygnitarstwa kościelne zabiega. Jeden z trzech synów, najstarszy, Jan, musiał przyjsć na świat na początku drugiego dziesiątka XVII wieku, na widownię bowiem już występuje w 1631 roku; w tym czasie składa w grodzie Łuckim przywilej na ziemię Skoczkowską ²⁾; w 1632 bierze tamże udział w sejmiku kapturowym; w 1634 ³⁾ i następnym jest namiestnikiem podstarostwa Łuckiego. Tu się dalsze źródła o nim urywają; pamiętnikarze małoruscy dowodzą, że z kolei został pisarzem grodzkim kijowskim ⁴⁾. Legenda, może później usnuta, głosiła, że pisarz dopuścił się nadużycia na urządzie, że musiał go opuścić, zaciągnął się do wojska ⁵⁾; jakoż w 1648 r. spotykamy go w liczbie jeńców w obozie tatarskim, po Żółtowodzkim pogromie. Miał go wymienić Chmielnicki za starą kobyłę ⁶⁾. Bądź-co-bądź, od tej chwili datuje się krescytywa Wyhowskiego. Nabywca zatrzymuje go przy swoim boku, jako pisarza pokojowego, a w rok potem, po usunięciu się Pietruszenki ⁷⁾, podnosi do godności pisarza wojska zaporoskiego ⁸⁾, więc pierwszej po hetmanie w nowopowstałym społeczeństwie kozackim. Słusznie dowodzi Bartoszewicz, że wybór ten był następstwem dawniejszej znajomości, że Wyhowski, „jako greckiej wiary mąż, a do tego słowiańskiego abecadła umiejętny, bywał pisarzem u jednego z komisarzów koronnych, którzy dla ugody z Kozakami na Ukrainę przybywali“ ⁹⁾. W układach tych brał udział i Chmielnicki, więc się nieraz spotykali; młody palestrant wpadł mu niechybnie w oko, a że był człowiek zręczny, przytomny, zawsze trzeźwy, przytem łagodny i świadomy rzeczy, więc podobał się nowokreowanemu hetmanowi. Służył mu też w ciągu lat dziesięciu wytrwale a wiernie, wpływ wielki posiadał na „sprawcę“, pośredniczył, załatwiał interesa z wysłannikami, często obrażanymi przez nieprzytomnego watażkę, a że wymowny, więc do

¹⁾ „Arch. połnd.-zach. Rossyi,“ IV, 106—166.

²⁾ „Arch. połud.-zach. Rossyi,“ III. 1. S. 315—325.

³⁾ „Arch. p.-z. Ros.“ II, 1, 179.

⁴⁾ Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki,“ I, 284.

⁵⁾ Wóycicki: „Pamiętniki,“ II, 29.

⁶⁾ „Letopis samowidca,“ 220.

⁷⁾ „Pam. wyd. przez k. k.“ I, 3, 131.

⁸⁾ „Regestra wszego wojska zaporoskiego.“ Moskwa, 1875, str. VII.

⁹⁾ „Encyklop. powszechna,“ XXVIII, s. 21.

misyi subtelniejszych używany, zawsze wywiązać się z nich umiał należycie. On jeden pośród starszyny kozackiej wstrzemięźliwością się odznaczał, jeden bywał trzeźwym w otoczeniu pryncypała, choć dla dogodzenia modzie często musiał pijanego udawać ¹⁾. Stąd stał się z czasem nieodstępnym towarzyszem Chmielnickiego; na odwadze mu wprawdzie nie zbywało, nieraz bowiem znajdował się w ogniu przy boku naczelnego wodza, ale zbytniego zamiłowania do wojennego rzemiosła nie okazywał; dyplomatyczne posiadając zdolności, na tej drodze pracował przeważnie. Dygnitarzem był pierwszorzędnym, jakby kanclerzem, a jednak życie wcale nie wystawne prowadził: mieszkał w Czelurynie w niewielkim dworku, wyznaczonym mu jako urzędnikowi, majątku w ziemi w granicach hetmańszczyzny nie posiadał; musiał jednak pobierać żołą znaczny, przy podziale łupów część pewną otrzymywał niechybnie, ościenne potencye zarzucały go kosztownymi upominkami, a często i gotowym groszem, a że był oszczędnym, więc mógł dogadzać upodobaniom pietystycznym,—naprzykład fundacya monasteru i wzniesienie przy nim cerkwi w okolicy Czehryna nie mało go grosza kosztować musiały, a należały do prawdziwych ozdób stolicy kozackiej ²⁾, takie przynajmniej wrażenie uczyniły na patryarsze antyocheńskim Makarym, który podczas podróży, odbytej w 1653 r., oglądał świątynię, będącą widomym znakiem pobożności pisarza wojska zaporoskiego. Z danych, jakimi rozporządzamy, przypuszczać się godzi, że Wyhowski stanął na słubnym kobiercu już w wieku statecznym, przynajmniej tak wnosić można z rozmowy jego z Buturlinem, wysłańcem moskiewskim do Chmielnickiego, na kilka miesięcy przed zgonem tego ostatniego, mianowicie w 1657 r.: „ożeniłem się teraz—mówił p. pisarz—z córką Bohdana Stetkiewicza, *blahocześciwej* chrześcijańskiej wiary; posiada on majątki ziemskie w Orszy, otóż proszę, by Jego Carskie Wieliczeństwo rozkazał je wrócić mnie i mojej żonie, a będę mu wiernym sługą do końca żywota, jako i teraz nim jestem; przecie najjaśniejszy car miłościwym jest nawet dla szlachty, która mu wcale nie służywała“ ³⁾. Jemiołowski utrzymuje, że Wyhowski wykradł pannę, bo mu rodzina dać jej nie chciała ⁴⁾. Zobaczymy, ile w tem wszystkim prawdy. Że Stetkiewiczówna, ślubując dozgonną wierność małżeńską, choćby takiemu pisarzowi wojska zaporoskiego, popełniała „mezalians,“ według przekonania ówczesnego uprzywilejowanego ogółu, nie ulega to wątpliwości: ona pochodziła z rodziny senatorskiej, on był potomkiem skro-

¹⁾ Kostomarow: „Monografie historyczne,“ II, 62.

²⁾ „Arch. pol.-zach. Rossyi,“ III, 3, 37.

³⁾ Kostomarow: „Bohdan Chmielnicki,“ III, 264.

⁴⁾ Bartoszewicz: „Encykloped. pow.“ XXVIII, 26.

mnych ziemian, piszących się z gniazda tak bujnie rozrodzonego, że je nie rodem, ale raczej narodem zwać można było,—toż w epoce rozruchów kozackich przeszło pięćdziesięciu bojujących w rozmaitych oddziałach ziemian nosiło tę nazwę:—„z bojarów swój początek wywodzą“—mawiali herbowni o szlachcie owruckiej, opierając się wytrwale przyjęciu jej reprezentantów do swojego koła. A połączenia Stetkiewiczów-Zawierskich (bo używali tego przydomku) herbu Kościeszka nie łąda jakie: żony brali przeważnie z domów książęcych, a choć domy te wówczas podupadły, zawsze atoli dowodziły dawniejszej świetności,—więc wiązały się sakramentem z księżniczkami Czetwertyńskimi, Druckiemihorskimi, Sokolińskimi, Sołomereckimi, Lubeckimi, Sanguszkównami, Ogińskimi, a jeśli pośród szlachty szukali dozgonych przyjaciółek, to już w zasłużonym rodzie Tyszkiewiczów, Suchodolskich, Frąckiewiczów je znajdowali. Rodzina wzmiankowana prawie do końca XVI wieku wyznawała wschodni obrządek; dziadek pani Wyhowskiej, Wilhelm, nowatorstwu hołdował, a że żona jego, Anna Ogińska, była greckiej wiary, więc z trzech zrodzonych z niej synów jeden poszedł po matce, dwaj inni, Krzysztof, podkomorzy braclawski, i Jan, chorąży orszański, zostali kalwinami, ale już ich potomstwo przyjęło obrządek łaciński; tym zaś jednym właśnie był Bohdan Stetkiewicz, ojciec przyszłej pisarzowej zaporoskiej, z podkomorzego mścisławskiego kasztelan nowogrodzki, zmarły w 1651 roku. Po dwakroć się żenił; z pierwszej żony, ks. Sołomereckiej, dzieci Michał i Helena russkiej się wiary trzymali, dwie zaś córki, z drugiej, Frąckiewiczówny, zrodzone, do łacińskiego należały kościoła. Było to zresztą bardzo powszedniem podówczas zjawiskiem: toć rodzony brat Heleny, po owdowieniu, został mnichem w Ławrze kijowskiej, a drugi brat stryjeczny (syn Jana, chorążego orszańskiego) kanonikiem katedry wileńskiej. Co więcej, inny brat stryjeczny, Jerzy (syn Krzysztofa, podkomorzego braclawskiego), w 1655 roku do Kozaków się wyniósł, w kijowskim wysługiwał się regimencie. Nie zapominajmy, że ojciec Wyhowskiego mieszkał także w Kijowie, że pisarz wojska zaporoskiego często odwiedzał rodzica, a jeżeli dodamy, że Helena Stetkiewiczówna, już wówczas sierota, w tymże Kijowie pod opieką brata zakonnika szukała schronienia, zagłana tu burzą wojenną, to łatwo przypuścić, że nad Dnieprem nastąpiło poznanie się i zbliżenie przyszłych małżonków. Pod względem wieku, a może i usposobień, stać było dobrane: ona dobiegała trzydziestej wiosny, on już za czterdziestą dawno przekroczył. Przeciwną połączeniu mogła być macocha i siostry z drugiego małżeństwa, już wówczas postanowione, Suchodolska i ks. Lubecka, przynajmniej tak się domyślać można ze wzmianki, uczynionej później przez panią Helenę: „nie doznałam miłości onych przeciwko sobie,“—powiada w testamen-

cie. Ale pisarz wojska zaporoskiego na protesta nie zwracał uwagi i zamiaru swego dopiął, tem bardziej, że miał po swojej stronie pannę i dwóch jej braci. Ślub odbył się w Kijowie, przypuszczamy nawet, że młoda mężatka nie opuszczała miasta, że w Czelrynie, za życia Chmielnickiego, nie pokazywała się wcale, albo jeżeli tam zaglądała, to na krótką jeno chwilę. To jej trzymanie się na stronie łątwo usprawiedliwić: należała do innej warstwy towarzyskiej; obyczaj, panujący pod strzechą watażki, nie bacząc na zmiany, zaprowadzone przez jego trzecią małżonkę, zanadto raził kobietę, wychowaną w senatorskim domu.

Z kolei przypomnieć tu wypada, że po zgonie Bohdana, syn jego, Jurko, obwołany został hetmanem, a Wyhowski przy nim „sprawcą buławy“ aż do pełnoletności wyrostka, wysłanego tymczasem do Kijowa dla dokończenia edukacji ¹⁾. Wiemy nadto, że zastępca piastował władzę niepodzielnie, że w końcu został nieograniczonym panem Ukrainy. Łatwo stąd wywnioskować, że i na dworze Czehryńskim inne prądy powiały; w początkach wprawdzie dziwnej się dostrzegało mieszaniny starego z nowym porządkiem, ale pierwszy, coraz natarczywiej wypierany, musiał w końcu ostatniemu ustąpić z widowni. Nie mało się nawróciło ku temu, jeżeli się tak wyrazić można, nowatorstwu, osób, spotykanych w dawniejszem otoczeniu tylko co zmarłego hetmana,—przynajmniej rodzinę jego bliższą i spokrewnione z nią jednostki spotykamy w towarzystwie Wyhowskiej, skromnej i cichej kobiety, nieszukającej rozgłosu, niemniej przeto zmuszonej, z racji zajmowanego stanowiska, do nadawania pewnego tonu w zaimprovizowanej stolicy. Zjechała ona do niej, otoczona poważnym orszakiem dworzan, panien służebnych i dalekich powinowatych, jak przystało na małżonkę wielkorządcy Ukrainy. A niezwykle to widok przedstawiało: muzyka i kilka setni gwardyi przyboocznej otwierały pochód; za niemi francuska karetka poszóstna wiozła hetmanową i bratową jej, Jerzową Stetkiewiczową, także do kozackiego należąca świata; potem lektyczka, kilka rydwanów, przez piękne konie ciągniomych, a w nich fraucymer, niewiasty odświętnie ubrane, fertyczne a uśmiechnięte, i poważne, i młodziutkie, wszystko reprezentantki uprzywilejowanego stanu, między niemi zaś prym trzymały: Pawłowska, Podarzycka, Rudnicka, Wyhowska, daleka męża powinowata, i Jahowska; zamykał tę procesję poczet licznej służby męskiej, pośród której znajdował się cukiernik, piwniczny, nawet krawiec Wasilkowski, z czego-by wnosić można, że hetmanowa zbyt dbała o stroje ²⁾. Wszystko to zaimponowało gminowi miejskiemu; kumoszki

¹⁾ Hrebionka: „Letopiś“, 157.

²⁾ „Testament Heleny Wyhowskiej, wojewodziny kijowskiej“, rękopis. Ze zbiorów p. Władysława Górskiego (w Kotiużanach na Podolu).

zrozumiały, że dostęp do „światlic“ gospodarowej nie tak łatwy będzie; a kiedy się potem przekonały, że niezwykła etykieta pod strzechą, osieroconą przez Chmielnickiego, zapanowała, zaczęły szemrać, z kolei narzekać głośno, to też w liczbie zarzutów, czynionych Wyhowskiemu przez stronnictwo opozycyjne, znajdował się i ten, że się ożenił ze szlachcianką, „która nie życzy dobrze Ukrainie“ ¹⁾. Stało się to wszakże trochę później, początki inaczej się zapowiadały. Naprzód całe rojowisko stronników Wyhowskiego zainstalowało się w Czechrynie,—naturalnie, że pryncypalne miejsce zajęli pokrewni, gniazdowi: o Danielu i o Konstantym wspomnieliśmy wyżej, obaj na czele pułków stanęli; ostatni otrzymał, na zasadzie paktów Hadziackich, Łysiankę, a był jeszcze czwarty, Teodor, także podobno rodzony, któremu się dostał Steblów w dziedzictwo ²⁾. Na tem wszakże nie koniec, i dalsi powinowaci, znęcani powodzeniem hetmana, ciągnęli do niego, a ten ich serdecznie podejmował, obdarzał urzędami i dostatek zapewniał. Do takich zaś należeli: najpoważniejszy pośród nich, stryj Bazyli Hrehorowicz, przed tem pułkownik owrucki; ten na czele regimentu, z 500 ludzi złożonego, występował jeszcze za czasów Chmielnickiego, dostał się był do niewoli tatarskiej, w której półczwarta roku spędził; wyzwolony z niej po długich zabiegach i mozołach synowca, na początku 1658 r., osiadł w Motowidłowie, dziedzicznej pod Kijowem włości; Jerzy, brat stryjeczny hetmana, po piętnastu latach niewidzenia przybiegł z ofiarą służby, zaraz też dostał regiment kozacki, jak znowu synowcowie: Eliasz, Samuel i inni zapisali się do chorągwi jego przybocznej... Zdawało się, że cały Wyhów wyludnił się i spłynął na stopy ukraińskie; bo nawet i rodzic, stary Eustachy, podczas poswarki syna z Szeremtem, wojewodą kijowskim z ramienia Moskwy, wyniósł się był do Czechryna, by się ustrzedz przykrości, mogących z tego nieporozumienia wyniknąć ³⁾. Wyhowscy więc, jak widzimy, stanowili zwarte kółko w poczcie dworzan hetmana, choć nie można zaprzeczyć, że sporo dawnej starszyny stanęło przy jego boku, a pośród niej bliższymi, jakby doradcami, byli: Tetera, pułkownik perejasławski, Tymosz Nosacz, oboźny wojska zaporoskiego, Hulanicki, pułkownik nieżyński; a nie wzmiankujemy o Jerzym Niemieryczu, podkomorzym kijowskim i starości owruckim, który jednocześnie pułkiem kozackim dowodził, bo ten należał do rodziny, krewnił się z hetmanem przez żonę Stefana, rodzinnego swego. Tetera jednak pośród najbliższych prym trzymał i zdanie

1) Kostomarow: „Monografie historyczne,“ II, 68.

2) „Vol. leg.“ IV, 303.

3) Kostomarow: „Monografie historyczne,“ II, 142.

jego wiele ważyć się zdawało u Wyhowskiego, jednak powtarzamy z pewnym naciskiem: pozornie tylko, bo już wówczas, pomimo jedności przekonań, pewnych kwasów i niechęci, nie przekraczających wszakże granic spraw prywatnych, dopatrzeć się snadno można. Utrzymywali niektórzy, że uczucie zazdrości grało tu nie podrzędną rolę: toż Bohdan Chmielnicki, na niedługo przed zgonem, w liczbie kandydatów do buławy podawał i Teterę, i to miało być pierwszym rozdzwiekiem, psującym dobrą harmonię; prędzej, co powniejsza, familijne nieporozumienia: wiadomo, że Tetera ożeniony był z siostrą hetmana, że pożycie ich nie było szczęśliwe, dzieci nie mieli; otóż żona ta umarła w październiku 1657 roku, pułkownik rościł pretensye do pewnego po niej spadku, na zasadzie umowy, dawniej zawartej; odmówiono mu spuścizny, stąd pewien chłód, który się potem miał przedzierzgnąć w nienawiść, zakończoną tak tragicznie. Co prawda, hetman w pierwszych już chwilach zrażał do siebie ludzi, których nie należało lekceważyć, a zawsze tu osobiste interesa poszkodowanych odgrywały pewną rolę. Tak naprzykład: poprzednik jego zostawił znaczne kapitały, przechowywane w rozmaitych miejscowościach; tajemnicę zaś tych skrytek posiadał tylko Wyhowski i zaraz po zainstalowaniu się podniósł 1,000,000 talarów, w lochach Hadziackiego zamku złożonych, a podniósł na potrzeby kraju, oburzył więc tem na siebie spadkobierców poprzednika, przeważnie Jurka, bo ten był zdania, że owe skarby stanowiły prywatną własność rodziny. Tu atoli jeszcze nie koniec powodów do rozterki: Subotów przyczynił się także do spotęgowania kwasów między stronami: osada wzmiankowana stanowiła własność buławy, a dzieciom zmarłego watażki roilo się, że jest ich dziedzictwem, więc Jurko znowu sarkał, że mu nawet „biednego Subotowa nie chciano popuścić“ ¹⁾, choć Wyhowski, zakwaterowując tu, postąpił nie samowolnie, ale na zasadzie przynależnego mu prawa ²⁾. Jednocześnie z hetmanem przybył do Czehryna Teodozy, Grek ze Lwowa, wielki faworyt nowoobranego wielkorządcy, na pokojach dworskich podejmowany, jako osobisty przyjaciel; pani go wyróżniała pośród starszyny kozackiej, wielce zasłużonej, pan miewał z nim długie, tajemne, nocne konferencye; przewaga nieznanego przybysza zwróciła uwagę niechętnych, zaczęto pomawiać Greka, nie bez pewnej słuszności, że jest agentem dyplomatycznym, że wpływa nawet na losy Ukrainy ³⁾. Niechęć powoli udzieliła się nawet setniom czehrzyńskim, wyprobowanym i wiernym, które

¹⁾ „Pam. wydaw. przez k. k.“ III, 3, 424.

²⁾ „Vol. leg.“ IV, 303.

³⁾ „Pam. wyd. p. k. k.“ III, 3, 329.

stanowiły gwardyę Chmielnickiego; więc jego następcę, widząc, na co się zanosi, powoli je przerzedzać zaczął, ledwie kilkuset zostawił, a dla zabezpieczenia się wszedł w układy z murzą tatarskim, Karambajem; ten się zobowiązał za pewne wynagrodzenie pod czarnym lasem trzymać odpowiednią liczbę wojska tatarskiego, gotowego na każde skinienie, z poważniejszymi nadto zastępami zakwaterował się na Cybulniku, by być bliżej Czehryna ¹⁾. Ale tego mało było hetmanowi, więc sprwadził własną artyleryę, wysztytował własną chorągiew, w której wprawdzie porucznikował Kozak, Stepan Radliński, chorążował Aleksiej Werbowski, ale większość towarzystwa należała do stanu szlacheckiego, tak przynajmniej wnosić można ze spisu nazwisk: otóż na ²² ledwie kilka kozackich spotykamy, jak: Dolżkiewicz, Łasko, Koroniewski, Bażan, Kołaptowski; inne zaś, jak: Żorawski, Krassowski, Szembel, Trembecki, Jezierski, Chrząszcz, Grochowski, dwaj bracia Bieleccy (Stanisław i Wacław), Kurowski, Kędzierski, Wiszniewski, Sokolski, Ruciński i Ulanicki — to indygeni z Wołynia, ba! nawet niektórzy przybyli z głębin Rzeczypospolitej ²⁾.

Powoli stolica hetmańszczyzny zmieniła się do niepoznania, ruch w niej zmalął, garnizon uszczuplony, starszyny kozackiej skąpo, stosunki z ościennymi państwami ustały. Jeszcze na początku chwilę tu gościł bojarzyn Jego Carskiego Wielicestwa, Bohdan Matwiejewicz Chitrowo, przysłany dla przyjęcia przysięgi wierności ³⁾, zjawiał się od czasu do czasu kasztelan Bieniewski, starający się o nawiązanie zerwanych z Rzplitą stosunków, niekiedy zaglądnął posłaniec Karambaja, ale z czasem i to się urwało. Sama pani hetmanowa prawie stale przebywała w Subotowie, gdzie miała dom wygodny, powietrze wiejskie, (bo w Czehrynie, podczas lata upalnego, gorąca bywały nie do zniesienia), wreszcie więcej swobody, mniej tego gapienia się tłumów, przyzwyczajonych żyć na ulicy i korzystać z każdej okazji, by zbitemi mami całe dnie wysta wać na dziedzińcu hetmańskiej rezydencyi; — tak ich nauczył Chmielnicki, szukający poparcia u czerni, a powstawać przeciw zwyczajowi nikt nie miał odwagi. Subotów nie stracił, zyskał raczej na upodobaniach wiejskich hetmanowej, bo się rozrosł, powiększył, przybyło mu kilka wygodniejszych domostw, w których inne panie kozackie, naśladowując w tem urodzoną Stetkiewiczównę, rezydowały, stanowiąc nieodstępne jej towarzystwo. Naturalnie, że córki Chmielnickie-

¹⁾ „Pam. 1. c.“ III, 3, 325.

²⁾ „Archiwum Władysława Górskiego: do dziejów barskiego starostwa materyały.“

³⁾ „Letopis Samowidca,“ s. 52.

go najwydatniejsze w tem otoczeniu zajmowały miejsce, a z nich Katarzyna Wyhowska, i z wieku, i z usposobień wrodzonych, prym trzymała: rezolutna, ale nie tą rezolucyą pijanych swaszek kozackich, niekiedy zastępowała milezącą i nieśmiałą hetmanowę, jako świadomsza biegu wypadków i sposobów ujmowania ludzi, czego się nauczyła od ojca, po którym spryt i łatwość wymowy odziedziczyła; bo znowu Helena Neczajowa, serdeczna i potulna, obcą zdawała się być w tem gronie dam, do pewnego poloru roszechających prawo, i mąż jej, także na ostatni plan zasunięty, w politykę się nie wdawał, a jako zwolennik hetmana, umiał tylko słuchać jego rozkazów. Na tem jeszcze nie koniec: była i druga Wyhowska ciągłym gościem w Subotowie, mianowicie Konstantowa, Raina Meszczerynowna z domu, i Nosaczowa, obożnina, i Hruszowa, pisarzowa zaporoska,—ta się szczególnie przywiązała do hetmanowej, składała jej też w chwilach niepowodzenia nieklamane dowody życzliwości i poświęcenia. Ale Wyhowska widocznie potrzebowała jeszcze kogoś ze swoich bliższych mieć przy sobie i istotnie znalazła takich pośród swojej rodziny, mianowicie Jerzostwa Stetkiewiczów, którzy jej nie opuszczali do zgonu: on, jak to już wiemy, kozakowaniem się bawił, setnikiem mianowany, na setnictwie skończył; ona szczególną czcią otaczała bratowę, bratowa więc, odwdzięczając się, dbała o ich wygody, pamiętała o ich przyszłości: urodziła się im córka, Krystyna, zaraz ją wzięła „na przeyrzenie,“ i Krysienka stała się faworytką ciotki, tyranem w domu; urodził się syn, Krzysztof, i podczas chrzcina zapis na jego korzyść, dwa tysiące złotych wynoszący, składa kochająca bratowa ¹⁾. Była i sama matka: jedyny synek jej, Eustachy, przyszedł na świat na początku 1657 roku, chował się u dziadostwa w Kijowie; dlaczego ojciec usuwał go stale z pod opieki matki, doprawdy zrozumieć trudno, a jednak tak było istotnie,—może względy bezpieczeństwa ważyły tu, bo przecie z żoną żyli w przykładowej zgodzie, nawet, o ile wnosić można z drobnych wskazówek, przywiązani byli do siebie wzajemnie. Ale wróćmy jeszcze do Subotowa: eicho tu było, gospodyni sama w sprawach publicznych nie brała udziału, poprzestawała na towarzystwie niewieścim przeważnie. Pijatyki i uczyły wyszły ze zwyczaju, hetman trunków prawie nie używał, od wieczorynek stronił; Juraś, jeżeli kiedy przyjechał z Kijowa dla wytchnienia, religijnym praktykom się oddawał, ascetyczne okazywał aspiracye, większą część dnia w cerkwi spędzał na modlitwie i rozmyślaniach, więc także unikał hucznych zbiegowisk; nerwowy, rozdrażniony wskutek często powtarzających się napadów epileptycznych, od ludzi stronił. Ze zmia-

¹⁾ „Testament Heleny Wyhowskiej W. K.“ Rękopis.

ną, która zaszła u wyżyn, nastąpiło pewnego rodzaju umoralnienie w stolicy hetmańszczyzny: rozpusta nie tak śmiało wśród białego dnia się przechadzała; sceny cynicznego rozpasania, jeżeli nie wyszły ze zwyczajn, to się przynajmniej przy drzwiach odbywały zamkniętych; napół nagich branek, powiązanych, narażonych zwykle na znęcanie się gawiedzi, nie spotykałeś, jak dawniej, pędzonych brutalnie; w gospodach, choć się „lud chrześcijański“ upijał, czynił to jednak z pewną restrykcyą, nie wylewał się na place publiczne, rozśpiewany i nagabujący nieprzyzwyczajonych przechodniów, bo go natychmiast zbyt dotkliwie przywoływano do porządku; kobiety wprawdzie nie wyrzekły się kieliszka, ale już w karczmach rzadko spotykałeś niewiasty, których mężowie wyższe zajmowali stanowisko; owe swaszki, na weselu Tymoszkowem dokazujące, zapatrzone na dwór, ostrożniej sobie poczynały, bo się niechybnie rdzennie już przeobrazić nie mogły... Była to strona dodatnia nowych rządów, z krzywdą dla ich popularności wprowadzona w życie; gmin bowiem, odepchnięty, zostawiony samemu sobie, zatraciwszy łączność, wiążącą go z przełożonymi, rozumiał to dobrze, że, prędzej, czy później, zostanie w karby ujęty, więc wytwarzał opozycyjne stronnictwo, w hetmanie i jego pomocnikach widział upostaciowanie dawnego, tak nienawistnego, pana, przeczuwał, że mu swobody kozackiej, bezkarności kozackiej dawniejszej, nie zapewni, przeciwnie, okiełznać i przytłumić ją będzie się starał.

Nie ulega wątpliwości, że Wyhowski nie posiadał niezbędnych kwalifikacyi dla wielkorządcy rozkiełznanej czerni, a porównanie z poprzednikiem, owym „sprawcą opatrnościowym“, nie na jego wypadło korzystać; więcej to pokojowych usposobień był człowiek, nie umiejący zaimponować ani odwagą, ani surowością niepardonującą. To też od początku przewidzieć można było smutny koniec jego. Choć z drugiej strony na obronę Wyhowskiego dodać należy, że w chwili obejmowania władzy rozprężenie na Ukrainie dosięgło było punktu kulminacyjnego. Gmach, zbudowany na chwiejnych podwalinach, rozsypać się w gruzy musiał; już ku końcowi rządów Chmielnickiego zarysowały się sklepienia tego gmachu, a teraz rysy rozchodziły się, powiększały z każdą niemal chwilą, tak, że wreszcie utworzyły dwa odłamy, dwa wrogie stronnictwa, pod osłoną dwóch protektoratów: prawe podnieprze ciągnęło ku zachodowi, kiedy lewe ciążyło ku wschodowi. Gdybyż jeszcze ten podział sympaty i pożądań uszanowały strony, pozycya była-by do uratowania; ale gdzie tam! oba obozy pragnęły nawzajem pokonać przeciwnika, stąd początek walki bratobójczej, owej „Ruiny“, tak obrazowo skreślonej przez jednego z historyków, choć nie rozumie my dlaczego narodził się jej o kilka lat oddalił, mianowicie na rok

1663-ci ¹⁾, kiedy ona z chwilą podniesienia przez Wyhowskiego buławy rozwieliżniła się była na dobre: bunt Puzzkarenka i Ciciury na zadnieprzu, niefortuune usiłowania hetmana, podjęte z celem ich pokromienia, to pierwsze hasło zamętu w społeczeństwie kozackim; pakta Hadziackie, niedoszące, potęgują rozterkę... Ale nie piszemy historyi tych czasów; luźne, wyżej wypowiedziane uwagi, potrzebne nam tylko do obrazu, na którym dzieje kobiet ukraińskich naszkicować pragniemy... a wybitniejsze z pośród nich tragiczną odegrały rolę, mimo woli i chęci wplątane w tę smutną sprawę.

VI.

Kobiety, obleżone przez Jurka Chmielnickiego, niewola ich w Subotowie. Losy pokrewnych Wyhowskiego i óreka jego poprzednika.

Zgromadzona w Perejasławiu starszyzna kozacka, przeważnie lewobrzeżna, już w styczniu 1659 roku obrała Jurasia Chmielnickiego hetmanem; był to akt sprawiedliwości, Wyhowski bowiem pierwotnie został tylko „sprawcą hetmańskim,“ to jest zastępcą niepełnoletniego syna Bohdanowego; syn ten wówczas był już 18-letnim młodzieńcem, więc mógł zająć miejsce sobie przynależne. Na radzie też w liczbie postanowień zapadło jedno, dość groźne dla jego antecesoru: nie dość, że go pozbawiano buławy, ale jeszcze uchwalono „zdrajcę Iwaszkę Wyhowskiego, jego żonę i dzieci odesłać carskiemu wielicestwu, jak równie brata jego, Daniela, i innych pokrewnych, którzy służą w wojsku zaporoskim, a w przyszłości nie tylko przy hetmanie i na urzędach, ale i w szeregach kozackich Wyhowskim służyć nie wolno“ ²⁾. Wyrok, równający się banicy, wyjęcie z pod prawa, a co za tem idzie, jeżeli nie szubienica, to dożgonne więzienie. Hetman jednak nie dał odrazu za wygraną: latem podążył na zadnieprze, by je zmusić do posłuszeństwa; nie udało mu się to, mimo kilku zwycięskich potyczek; stronników nie znalazł, a liczba przeciwników rosła z dniem każdym; więc wrócił do Czehryna, a natomiast brata, Daniela, wysłał z nowym zasiłkiem, by płomień buntu ugasił; ten znowu batalię po batalii przegrywał i ledwie z duszą ujęć zdołał. Po takim niefortunnym początku należało się

¹⁾ Kostomarow: „Monografie historyczne,“ XV. Moskwa, 1882.

²⁾ Wieliczko: „Letopis,“ I, 415 i 416.

spodziewać wcale niemiłych odwiedzin; hetman to przewidywał, więc się zakrzętnął około obwarowania Czehryna, tem bardziej, że Brzuchowiecki, świeżo atamanem koszowym obrany, zapowiedział swoje przybycie pod mury rezydencyi hetmańskiej, a pewnie, że nie z gałązką oliwną pokoju... Jakiś fałszywy alarm, przynajmniej przedwczesny, nastraszył Wyhowskiego, tajemnie więc opuścił miasto, jak sam powiada:— „w jednej sukmanie i na jednym koniu,“ został wskutek tego „utrapionym wygnańcem, odpadł od wszelkich fortun,“ a co smutniejsza, „nie był zdolny ratować żony dla braku zbrojnych zaciągów“¹⁾). Szukał więc opieki u oboźnego koronnego, Andrzeja Potockiego, rozkwaterowanego podówczas w Białocerkwi. Nie umiemy sobie wytłómaczyć, dlaczego hetmanowa nie opuściła jednocześnie z małżonkiem zagrożonego Czehryna, jak równie rozstrzygnąć nie możemy, dlaczego druga Wyhowska, Danielowa, zaskoczona została w Smile, osamotniona, odcięta od świata, bo jej dozgonny towarzysz u boku tegoż Potockiego się oparł. Dość, że obie panie mimowoli zawrzeć się musiały w ladajako opatrzonych zameczkach, narażone na następstwa oblężenia, na trwogę nieustanną, spotęgowaną jeszcze niepokojem o swoich mężów. Czehryn wprawdzie w szczęśliwych znajdował się warunkach: istotnie, jeżeli wierzyć Jerliczowi, twierdza przynajmniej należycie opatrzona była w rynsztunek wojenny, mianowicie posiadać miała dział, hakownic, kolubryn i wszelakiej „harmaty“ sztuk 600, prochu beczek 400, załoga zaś, z Polaków i Niemców złożona, cztery wynosiła setnie²⁾). Hetmanowa, oprócz francymery, srodze wprawdzie wylękłego, miała za towarzyszkę p. Hruszową, która, jako świadoma miejscowych stosunków, umiała ją pocieszać i uspokajać; brat, Jerzy, nie opuszczał siostry także, a to wiele znaczyło w tych krytycznych momentach. Ale starsza córka Chmielnickiego, jego niegdyś faworyta i pieszczoszka, w smutniejszym daleko znalazła się położeniu: pozostawiona była w Smile, w dworze niedawno przez męża zbudowanym, a całą obronę jego stanowił wał ziemny, częstokolowe ogrodzenie i kilka starych dział, dla upiększenia chyba służących; jako przeciwnik, występował rodzony brat na czele zastępów, które jej ojciec, bożyszcze tych zdziczałych ludzi, prowadził do boju—czyż to nie tragiczne zrzędzenie losu! Niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że głośno mówiono o skarbach Bohdanowych, przechowywanych w obu wzmiankowanych miejscowościach, a żądza grosza stanowiła cechę rozsławionych Kozaków, rabowali dlatego, by natychmiast trwonić... Mimowoli rodzi

1) „Pam. wyd. p. k.“ III, 3, 395 i 400.

2) „Letopisiec,“ II, 37.

się pytanie, jakie przedsiębrali środki ci, których obowiązkiem było śpieszyć ku obronie kobiet, zagrożonych niebezpieczeństwem? Hetman widocznie upadł na duchu; edykt perejasławski i jego możebne następstwa trwogą go przejmowały; rozpisywał tylko listy molestujące. Daniel przynajmniej po rycersku sobie poczynak: upominał się u sprzymierzeńców o pomoc zbrojną, rwał się na odsiecz Czehrynowi i Smile ¹⁾, jeśli jeszcze nie oblężonym, to otoczonym niechętnem i wrogo usposobionem Kozactwem, tak, że wpaść w jego ręce daleko niebezpieczniejszą było rzeczą, niżli się dostać regimentowym zaporozcom. Jan Wyhowski w końcu, opuszczony, po wyczerpaniu wszelkich środków, mających na celu uspokojenie, postanowił zrzec się hetmaństwa; Daniel w imieniu jego, w październiku 1659 r., doręczył wysłannikom Jurka Chmielnickiego buławę i inne władzy insygnia; akt ten odbył się w Rudkach pod Białocerkwią; abdykujący w liczbie warunków położył i ten, „aby tak pani hetmanowa zaporoska, jako i ludzie, których p. hetman zostawił na zamku czechryńskim, bezpiecznie wynieść mogli“ ²⁾. Kozacy przyrzekli ustępującemu wielkorządcy, że się do jego słusznych żądań zastosują, co dla pewności Juraś stwierdził własnoręcznym podpisem, dodając nadto, że do Kotelni dostawi p. Helenę Wyhowską wraz z całym dworem, i na ten cel wyznaczył delegatów, mianowicie: Samuela Zaradnego, Hryćka Mirhorodzkiego i Dżameczka, oboźnego mniejszego, a tych obowiązkiem było pakt powyższy przyprowadzić do skutku ³⁾. Nim się jednak delegaci zebrali, Brzuchowiecki tymczasem na czele siczowych stanął pod murami Czehryna, zapowiadając, że reprezentuje awangardę Sierka; chciał jednak na własną rękę spróbować szczęścia, przypuścił więc szturm do miasteczka niefortunnie, tylko nabawił kobiety strachu: kule jego nikomu szkody nie robiły, kiedy znowu artylerya wałowa dobrze ostrzeliwała pozycję nieprzyjacielską, więc ustąpił po kilkodziennym zachodzie, nic nie wskórawszy; trzeba przyznać, że i niepogoda październikowa wiele się przyczyniła do wycofania się nieprzyjaciela. Z chwili tej postanowił skorzystać Wyhowski, gotował się do dania odsieczy oblężonym, pisał nawet do króla, prosząc, by, jeżeli polegnie w potrzebie, raczył miłościwy pan „dźwignąć“ jego żonę, a szczególnemu miłosierdziu majestatu polecał syna swego „Ostaphia“, który u dziadostwa w bezpiecznym miejscu podówczas się znajdował ⁴⁾. Wyprawa jednak zamierzona, jak to wiemy z dziejów, nie przyszła do

¹⁾ „Pam. I. c.“ III, 3, 338.

²⁾ „Pam. I. c.“ III, 3, 380.

³⁾ „Pam. I. c.“ III, 3, 382.

⁴⁾ „Pam. I. c.“ III, 3, 389.

skutku, ściągnąć bowiem potrzebnej liczby wojska nie zdołał, a puszczając się na czele drobnego oddziału nie bardzo bezpiecznie,—nie zapomnijmy, że Wyhowscy wyjęci z pod prawa zostali. Zanadto dotkliwy wypadek, któremu uległ jeden z członków rodziny, miał wkrótce potwierdzić słuszność nieplonnych obaw ekshetmana, teraz już podniesionego do godności wojewody kijowskiego, więc senatora Rzeczypospolitej. Mówimy tu o Danielu: ten, zebrawszy garść odważnych, pobił w celu wyzwolenia żony, smutno się jednak owa wycieczka dla niego zakończyła; wówczas już Smię opasali byli Kozacy, a do Czehryna dążył Jurko Chmielnicki, wspierany przez Sierka. Śmiałek wpadł w ręce nieprzyjaciół. I data pojmania, i miejsce, gdzie się ono odbywało, przez współczesnych podane niejasno: Jerlicz utrzymuje, że młody hetman był tym szczęśliwym zdobywcą, że mu przyprowadzono w końcu października szwagra, kiedy właśnie zbliżał się ku Czehrynowi ¹⁾; według innych relacji, przy oblężeniu Lisianki, przez pułkownika korsuńskiego, Petrenkę, pochwycony został. Na jedno atoli zgadzają się wszyscy, że nie uszedł więzów, że w drodze, nie dojeżdżając do Kalugi, umarł 30 listopada tegoż roku. I powody zgonu rozmaicie podają: Solowiew utrzymuje, że śmierć nastąpiła z powodu zbyt gorliwie stosowanych „konfessat“ ²⁾. Jerlicz obrazowo maluje zadawane mu męki, nieledwie z przyjemnością rejestrując całą ich okropność i w końcu tak konkluduje: „daj Panie Boże, aby każdemu zdrajcy tak się nagradzało, jaką miarą mierzą, aby onym odmierzano“ ³⁾. Chmielnicki znowu dowodził, że szwagier „umarł swoją śmiercią“ ⁴⁾. Ciało nieboszczyka odesłano rodzinie, car Aleksy Michajłowicz w osobnej odezwie, 10 grudnia wystosowanej do nowomianowanego hetmana, donosząc mu o zgonie pokrewnego, wyraził z tego powodu współczucie. Jednocześnie, kiedy Daniel popadł w łyka, żona jego, po bezowocnej obronie, uledez musiała przeważającej sile: 14 listopada nieżyński pułkownik, Bazyli Zołotarenko, zdobył szturmem domostwo Lisiańskie. I znowu dziwna losu ironia! zwycięzca ów, to młodszy brat jej macochy, trzeciej żony Bohdana Chmielnickiego; często on gościł pod strzechą hetmana, jej ojca, gdzie się niechybnie spotykał z pasierbicą swej siostry, tak gorąco przywiązaną do akomodującej się jej we wszystkim pani Danielowej. Wyznać jednak słuszność nakazuje, że tryumfator nie znęcał się nad bezbronną kobietą, poprzestał tylko na rabunku dworu, właści-

1) „Letopisiec,“ II, 37.

2) „Historja państwa ruskiego,“ XI, dopisek 21.

3) „Letopisiec,“ II, 38.

4) „Pam. l. c.“ III, 3, 428.

cielkę zaś jego wysłał pod eskortą do Subotowa, przeznaczonego na czasowe więzienie. Wdowie zwrócono zwłoki małżonka, które pogrzebała w miejscowej cerkwi, obok popiołów rodzica i brata.

I losy Czehryna rozstrzygły się wkrótce: niedołężny, chorowity, słabej woli Juraś, wypchnięty na stanowisko naczelnego wodza, choć do tego nie posiadał najmniejszych warunków, siłą wypadków znalazł się pod murami miasta w otoczeniu Niżowców i przybyłej z za Dniepru „wolniicy“ kozackiej. Oblęł dokoła dawną swego ojca siedzibę, wysłał do niej parlamentarzysty, proponując poddanie się „na łaskę i niełaskę,“ a gdy odmowną otrzymał odpowiedź, jął szturmować przypuszczając siarczyście. Nie wiemy nawet, kto stał na czele zawartego garnizonu, nie ulega wszakże wątpliwości, że armatą i niemiecką piechotą dowodził Daniel Oliwemberk, niedawno podniesiony do godności indygeny Rzeczypospolitej ¹⁾, rozporządzenia jednak miały wychodzić od samej hetmanowej, która snąc otrzymywać musiała pewne od małżonka wiadomości, bo się spodziewała odsieczy i o niej powtarzała często obleżonym, zachęcając ich do wytrwałości. Zrazu broniono się zapamiętale, w ciągu całego tygodnia dawano odpór skuteczny napastnikom; ale w końcu energia osłabła, kobieta więc postanowiła poddać się nieprzyjacielowi. I znowu dziwnie niezwykle nastąpiło spotkanie: w roli groźnego zdobywcy, przed znękaną hetmanową, otoczoną rozplakany francuzem, wystąpił nie mniej zbiedzony Juraś, tak niegdyś przywiązany do pisarza wojska zaporoskiego, a swego poprzednika na hetmaństwie, tyle zaznajomy z łaską i opieką od dwóch kobiet, sprawczyń oporu i walki, bo i pani Hruszowa opatrywała nieraz niedołężnego wyrostka, podczas napastujących go paroksyzmów wielkiej choroby. Ale prawa wojny są nieublagane, choć z pewną jeszcze łagodnością zastosowane tu zostały: garnizon wcielony do wojska alianckiego, po wykonaniu przysięgi na wierność nowemu panu, pomimo protestów, na wschód powędrował, artylerya została własnością wojska zaporoskiego, mienie prywatne uległo rabunkowi,—wódz naczelny obojętnie spoglądał, jak jego podkomendni ściągali kosztowności, przez starego Chmielnickiego tu zostawione, z prawa należące do syna,—a ekszetmanowa z całym dworem odstawiła do Subotowa, gdzie miała rozstrzygnięcia losu oczekiwać ²⁾. Zapewne w pierwszych chwilach zagrażało niebezpieczeństwo brance, kiedy mąż jej, wojewoda kijowski, w lutym następnego 1660 roku zrozpaczony pisał do króla: „ostradawszy dozgonnego przyjaciela, pozbywszy krwawie zapracowanych fortun, oplakawszy krew moją, nie

¹⁾ „Vol. leg.“ IV, 304.

²⁾ Jerlicz: „Latopisiec“, II, 36. „Samowidiec“, s. 256.

widzę, aby mi co zostało“ ¹⁾). Robiono jednak ciągle starania na drodze dyplomatycznej o wyzwolenie branek subotowskich; pośredniczył w tem i obożny koronny, Andrzej Potocki, jako niemy świadek tej bratobójczej między pokrewnymi rozterki, i Bieniewski, kasztelan wołyński, doskonały znawca miejscowych stosunków; wyrzucał on Jurkowi, że wojował z babą, że odważne swoje wojsko zaporoskie prowadził w ogień przeciw niewiastom, choć na nich żadna nie ciążyła wina; poruszył się Jurko i zdobył na energiczną odpowiedź, w której dotknął i kwestyi odnośnej: „Pisałeś waszmość pan i oto—wzmiankuje w liście,—pokazując być niekawalersko, że pani Wylowskiej kazał dobywać. Nie Wylowskiej dobywano, lecz fortecy czehryńskiej i ludzi cudzoziemskich, i nie wojsko całe, tylko ochotnik“ ²⁾). W Subotowie, pamiętającym świetną epokę, w której obie bratowe brały udział, przyszło im pod kluczem spędzić rok prawie cały, dopiero bowiem w październiku 1660 roku, po cudnowskiej potrzebie, stanęła ostateczna rezolucya, w taką formę ujęta: „Jejmość pani wojewodzina kijowska z paniami, mianowicie p. Hruszyną i innymi, ze wszystkimi przy nich będącymi dostatkami i osobami mają być wolno i bezpiecznie puszczone“ ³⁾). W towarzystwie tem, jak to już wyżej wzmiankowano, znajdowała się i Katarzyna z Chmielnickich Wylowska, dawniej już przez brata z pod straży oswobodzona, ale że się nie miała gdzie podziąć, że rezydencya jej w Śmile poszła z dymem, wreszcie dla niepokoju w kraju, niebardzo w zrujnowanej wiosce bezpiecznie było kobiecie samotnej przebywać, więc w Subotowie została, pod opieką Jurka, do którego już teraz, jako do hetmana, wzmiankowana należała osada. Wypadek chciał, żeby Tetera, od dwóch lat wdowiec, przybył z Bieniewskim do Czehryna; mówiny: przybył, bo istotnie jeszcze w 1659 roku zrzekł się on pułkownikostwa, otrzymał indygenat ⁴⁾, na dziedzictwo zaś dobra Kijowiec i inne, przedtem do ekonomii brzeskiej należące ⁵⁾, nawet nadano mu tytuł podczaszego podlaskiego i sekretarza Jego Królewskiej Mości ⁶⁾). Był „hreczkosiejem,“ jak sam o sobie powiadał, i obecnie niespodzianie wracał do Kozaków, by przyjąć godność pisarza wojska zaporoskiego, przy niedołężnym hetmanie, „nie mającym rozumu do rządu i rady.“ Nowy dygnitarz z kolei odwiedził Subotow, zastał tam

¹⁾ „Pam. l. c.“ III, 3, 421.

²⁾ „Pam.“ III, 3, 430.

³⁾ „Pam. l. c.“ IV, 3, 23. Pakta z wojskiem zaporoskim, pod Cudnowem postanowione 17 października 1660 r. Punkt 7.

⁴⁾ „Vol. leg.“ IV, 296.

⁵⁾ „Vol. leg.“ IV, 681.

⁶⁾ Bartoszewicz: „Encyklopedia powszechna,“ XXV, 228.

kobiety, wybierające się w podróż nie bardzo wygodną, bo dla śnieżnic, panujących podówczas, utrudnioną. Odkładano z dnia na dzień wyjazd: to hetmanowa nie domagała, to brakło niezbędnych w drodze wiktuałów; a tymczasem nastąpiło zbliżenie wdowy z przyjemnym a usłużnym gościem; po niedługich zachodach, Tetera zaproponował córce Chmielnickiego, by z nim stanęła do wspólnego życia; przypuszczamy, że propozycję bez wahania przyjęła, bo jeżeli sama była jeszcze młodą,—rok 30 zaczynała podówczas,—to i starający się niepowszednią był osobistością, nie stary wcale, wykształcony, wyróżniany jeszcze przez ojca, przytem układu wdzięcznego, słynny z wymowy, ze stanowiskiem wybitnem, kwalifikacye na dozgonnego opiekuna posiadał. A kiedy brat dał zezwolenie, to już wszystkie przeszkody usunięte, bo nawet żałoba po nieboszczyku pierwszym mężu skończyła się była. Ślub cichy odbył się w cerkwi miejscowej, w nielicznem kółku w końcu 1660 roku; zostali w Subotowie, który im hetman na czasową rezydencyę wyznaczył.

Jakże inaczej, bo tragicznie, skończyła jej młodsza siostra, Helena, żona pułkownika, Iwana Neczaja. Gorliwy stronnik Wyhowskiego, wyłącznie oddany rycerskiemu rzemiosłu, poledz miał przy szturmie Bychowa 4 grudnia 1659 roku; Bieniewski utrzymywał, że się żywcem dostał nieprzyjacielowi, ciężko ranny, a „turturowany“ ducha wyzionął¹⁾; potwierdza to i Sołowiew, dodaje nadto, że córka Chmielnickiego, kiedy jej zwłoki męża przywieziono, zrozpaczona padła na nie i nagle skonała²⁾. Na innem znowu miejscu znajdujemy wzmiankę, że Iwan Neczaj istotnie pod Bychowem dostał się do niewoli wraz z bratem, Jerzym; że obaj, wysłani do Tobolska, przybyli tam w końcu lutego 1660 roku, trzymani zdala „od polskich, litewskich i niemieckich ludzi“³⁾. Bądź-co-bądź, o Helenie już odtąd żadnej nie spotykamy wzmianki, nawet z powodu działu pozostałych po jej rodzicu kapitałów w liczbie spadkobierczyń nie figuruje ona. Zgasła wśród zamętu niepostrzeżenie, jak i życie jej upłynęło niepostrzeżenie; nie umiała, czy nie chciała, na wzór starszej siostry, na wydatniejsze dostać się stanowisko, serdeczną Kozaczką tylko została do końca, to też, kiedy w to serce grom uderzył, z boleści niewysłowionej bić przestało...

Równie niefortunnie skończyli i inni członkowie, do rodziny Wyhowskiego należący. Bazyli, pułkownik owrucki, stryj hetmana, w starciu pod Wasylkowem, w okolicy Kijowa, dostał się do niewoli,

¹⁾ „Pamiętniki.“

²⁾ „Historja państwa russkiego,“ XI, 21.

³⁾ „Kijewskaja Staryna,“ 1890 r. I, s. 35 i dalsze.

poszedł na wygnanie; Jerzy, brat stryjeczny hetmana, i Eliaszy, synowiec, dzielili losy Bazylego. Towarzyszyli im w tej przymusowej wędrówce: major Żmir, Stefan Hawratyński, Jan Duszyński i Bazyl Łastko ¹⁾.

Od tego też czasu rezydencya czehryńska, wskutek nieustannych zbrojnych zapasów i walk bratobójczych, dawną świetność traci; przekształcona na placówkę obronną, niedostępną prawie dla kobiet się staje, a jeżeli te ostatnie goszczą tu niekiedy, to krótką jeno chwilę, i to pod osłoną eskorty, przydanej dla ich bezpieczeństwa, obozowe życie w towarzystwie mężów pędzą, pod wpływem uzasadnionej obawy z tym obozem przenoszą się z miejsca na miejsce. Po usunięciu się Jurka, a potem Tetery, wszelka władza w Ukrainie prawobrzeżnej ustaje, albo raczej sprawowana jest dorywczo przez ludzi, stojących na czele zbrojnego zastępu; raz taki regiment usunie się z danej miejscowości, zostaje ona podówczas bezbronna, aż nim nowy przybysz samowolnie nie obejmie jej w posiadanie, na to tylko, by zrabować doszczętnie, wybrać jassyr, a potem puścić z dymem pustką stojące domostwa; słowem, ruina rozpościera coraz szerzej skrzydła, obejmuje coraz większe obszary, resztkę błąkającego się ludu, odartego ze wszelkiego dobytku, znękanego brakiem opieki, opuszcza bez żalu domowe ogniska, szukając gdzieindziej spokoju i bezpieczeństwa.

Przy takich warunkach tylko zupełnie przeistoczona kobieta mogła egzystować, i istotnie, na tych przerażających pustką płaszczyznach nabiera ona męskich nawyknień: z bronią w ręku opędza się napastnikom; tak dobrze, jak pierwszy lepszy rzezimieszek, pastwi się nad pokonanym, drze pasy z żywego jeńca, lubując się jego jękami, drobną dziatwę podnosi na ostrzu szabli,—słowem, dziczeje ostatecznie; brak wstydu, cynizm, do ostatnich granic posunięty, opilstwo nieprzerwane, stanowią jej cechy wyłączne. Okoliczności ówczesne stworzyły taki typ niewiasty, prawdziwej wilczycy stepowej, wyodrębniający się od innych powszednich; z zatraceniem wewnętrznych przymiotów, właściwych białogłowie, zatraciła ona kolejno i zewnętrzne cechy: wzrost jej wyolbrzymiał, rysy zgrubiały, kształty czyniły ją więcej do męzczyzny podobną, włos skąpy, pokudłaczony, okrywał jej głowę, mięśnie rozwinięte nadawały niezwykły wygląd ciału, opatrzonemu w kończyny imponujących rozmiarów. Piękność, z której słynęły Ukrainki, zatraciła się w granicach dawnej hetmańszczyzny, na rynkach wschodnich sprzedawano je za byle co, jako tylko do posledniej posługi przydatne, na kandydatkach do haremu zbywało zupełnie.

¹⁾ „Kijewskaja Staryna,“ 1890. XXVII, s. 37—46.

VII.

Z kozaka senator, tragiczny jego koniec, ostatnia wola Heleny Wyhowskiej. Losy rodziny Chmielnickiego.

Opowiadanie nasze nie było-by zupełnie, gdybyśmy tu jeszcze na zakończenie reszty tragicznych przygód ekszhetmana i jego małżonki nie naszkicowali. Składając buławę, otrzymał senatorstwo, a z niem donacyę: Luboml i Bar, dwa starostwa, pierwsze położone w województwie Ruskiem, ziemi Chełmskiej, ostatnie w województwie Podolskiem ¹⁾; a jeżeli tamte, złożone z 25 osad ludnych, obejmujące do 200,000 morgów puszczy przeważnie, dopiero, w niedalekiej wprawdzie przyszłości, miało przynosić dochody dziedzicowi, to barskie stanowiło całe państwo, zajmowało bowiem 35.5 mil kwadratowych obszaru ²⁾ i liczyło około 80 osad większych, albo mniejszych; wprawdzie osadnicy siedzieli w nich za przywilejami, nie mniej jednak część dochodów składać byli obowiązani nowemu właścicielowi. Luboml w zameczek był jeno zasobny, ale za to Bar stanowił imponującą warowienkę, a że położoną na kuczmieńskim szlaku, więc nie lada jakiego znaczenia; liczna też, różnojęzyczna ludność tuliła się dokoła placówki, bo ta jej zapewniała obronę: Wołosi, Grecy, Ormianie, Czeremisowie, Tatarowie, prowadzili tu handel, część zaś dochodu z niego także się dostawała dworowi. Utrzymują niektórzy, że i Brahiłów, w województwie Braclawskiem położony, znajdował się w dożywotniej wojewody kijowskiego dzierżawie ³⁾. Na tem atoli nie koniec rejestru majątności Wyhowskich: żona mu wniosła w posagu 12,000 zł. i sto włók w Waskałabowie (Paskałabowie?), pod Orszą położonych, z czasem drugich włók sto dokupili małżonkowie u współsukcesorów. Prawdziwem jednak złotem jabłkiem, bo nie narażonem na tak częste dezolacye i odwiedziny nieprzyjacielskie, była majątność w ziemi Lwowskiej, obok Żydaczowa sytuowana, składająca się z kilku wiosek i miasteczka, mianowicie Rudy nad Stryjem, włości Hnizdyczowa, stąd i Ruda, dla odróżnienia od innych osad, temże mianem ochrzczonych, Rudą Hnizdyczowską nazwana, a wchodziły jeszcze w skład tego klucza: Wolica i Kochawina. W Rudzie założyli Wyhowscy rezydencyę, dwór mo-

¹⁾ „Volum. leg.“ IV, 302. Luboml dziś w gub. Wołyńskiej, pow. Włodzimierskim; Bar—w Podolskiej, pow. Mohylowskim.

²⁾ Jabłonowski: „Źródła dziejowe“, XIX, s. 94.

³⁾ „Arch. poł.-zach. Rossyi“, VI, 1, tom dodatkowy, 6, 68.

drzewiowy, dawny, poprawili, zaopatrzywszy go w sprzęt wszelaki, do wygodnego życia niezbędny ¹⁾. Po burzach wypoczynek się należał, ale widocznie nie wystarczał on przyzwyczajonemu do ciągłej wrzawy dygnitarzowi, więc rwał się do Baru, niby dla pilnowania zagrożonego stanowiska, a istotnie dla brania udziału w sprawach Ukrainy, przy pierwszej po temu nadarzonej sposobności. A na tej Ukrainie zawsze było niespokojnie: Jurko Chmielnicki, po dwóch latach bezowocnych zapasów, złożył broń, wyrzekł się zaszczytów, przywdział suknię zakonną, pod nazwą archimandryty Gedeona (w styczniu 1663 r.); Tetera w parę miesięcy, po długim wahaniu się, zajął po nim opróżnione miejsce. Wysiłki jego, dążące do uspokojenia kraju, nie wydały pożądaných wyników, nie z jego wszakże winy; jesteśmy przekonani, że gdyby nawet sam Chmielnicki powstał z grobu, owiany urokiem, jaki posiadał, w pierwszych zwłaszcza chwilach wystąpienia na widownię dziejową, nie potrafił-by już sprostać zadaniu, takie rozluźnienie objęło kraj cały, bo, jak słusznie powiada Bartoszewicz, „czerń ukraińska nie rozważała spraw politycznych, nie rozumiała ich, a biegła za popędem swych namiętności, które niebezpieczne były w ludziach uzbrojonych“ ²⁾. Więc się i Teterze nie wiodło, nawet gorzej się wiodło, niż poprzednikom; szablą pośród swoich musiał zdobywać poszanowanie prawa, którego był wyobrazicielem, stałej rezydencji nie był zdolny zabezpieczyć sobie, wszystek więc dobytek i kosztowności wysłał do Braclawia, opatrzonego w załogę, żona zaś w obozie przebywała, dzieląc z małżonkiem niewczasy życia koczowniczego. Ale ludzie zawsze są ludźmi, więc i nowy dygnitarz nie przypisywał tych niepowodzeń brakowi potrzebnej sprężystości, wreszcie okolicznościom niezwykłym, ale rzekomym przeciwnikom, z racji samolubnych celów utrudniającym mu zadanie uspokojenia Ukrainy, a w liczbie tych ostatnich Wyhowski na pierwsze został wypchnięty miejsce. I tutaj zawsze interes osobisty stanowił główny powód niechęci, ale potęgował dawną, z tą tylko różnicą, że się role zmieniły, że nie Tetera rościł pretensje do wojewody kijowskiego, ale ten ostatni pomawiał hetmana zaporoskiego o niesłuszne zagarnięcie spuścizny. Przypomnieć sobie raczy czytelnik, że tamten po raz wtóry związał się sakramentem z Katarzyną Chmielnicką, *primo voto* Danielową Wyhowską, więc bratową wojewody kijowskiego; nieboszczyk nie zostawił potomstwa, przeto pewna część przez niego nabytego majątku przypadła w udziale wdowie, a część wracała do gniazda rodowego. Drugi atoli małżonek innego był zdania i za-

¹⁾ „Testament Helony Wyhowskiej,“ rękopis l. c.

²⁾ „Encyklop. pow.“ XXV, s. 227.

garnął wszystkłą po pułkowniku spuściznę. To była pierwsza pretensya, a wrychle i druga się nastęrczyła: oto Juraś Chmielnicki, zostawszy „czerncem“ na początku 1663 roku, tem samem zrzekał się spadkobierstwa po rodzicu, całe mienie przelewając na rzecz jedynej sukcesorki, mianowicie Katarzyny Teterowej. Wyhowski wykazał jakieś prawa do części spadku po Bohdanie, ale nic wskórać nie potrafił, więc odgrażał się, że zapożwie przeciwnika przed sąd publiczny, który-by niechybnie wypadł na korzyść skarżącego ¹⁾). Hetman rozumiał to dobrze, więc korzystał z każdej sposobności, by swego szwagra w niewłaściwem wystawić świetle. A wojewoda, jakby umyślnie, nieopatrzniem swem postępowaniem dawał powody do podejrzeń. I tak, uprzedzony kryjomo, że Jurko złoży buławę, jął sztyftować nowe zaciągi, wzmoenił garnizon Baru, upominał się nawet u Rzeczypospolitej o zwrot kosztów, na jego utrzymanie łożonych ²⁾). A wiedział o krążących niepoehlebnych dla niego wieściach, o przypisywanych mu ambitnych projektach, bo się skarżył Stefanowi Niemiryczowi, podkomorzemu kijowskiemu, a swojemu powinowatemu, zaręczając, że „ani listami z tem chłopstwem nie komunikuje się (correspondeo), ani ich miewa u siebie, omierziwszy ich niewdzięczność“ ³⁾). Zainstalował się zaś w Barze dla uregulowania spraw majątkowych, a widocznie, że na długo osiedzieć się tu zamierzał, gdyż i wojewodzinę z Rudy sprowadził, synka tylko odesłał do Konstantego, brata swego,—snać go narażać nie chciał na niebezpieczeństwo, ciągle się obawiał napadu, edykt perejasławski utkwiał mu w pamięci, choć wszystko dokoła już się po kilkakroć odmieniło. Naprędee wyporządcono zameczek, w dziwnie oplakanym stanie zostający od lat kilku. Wojewodzina, choć skromnych wymagań, ledwie się w nim pomieścić zdołała, wypadło liczbę fraucymeru zmniejszyć, a i z bliższych została tylko żona Konstantego Wyhowskiego, Raina Meszczerynówna z domu, czyniła bowiem stąd starania o odzyskanie Lisianki, nadanej mężowi; została córka Michała Stetkiewicza, mnicha z Peczerskiej Ławry, wzięta na wychowanie przez ciotkę, i, naturalnie, nieodstępni Jerzostwo Stetkiewicze,—on stał na czele zaciągu, przeznaczonego do stróżowania przy boku samej pani, i jednocześnie, jakby prowizorycznie, obowiązek komendata Baru sprawował. Zaroiło się na zamku od wasalów, za służbę siedzących na ziemi starościńskiej, od dzierżawców, i starą, i nową sumą „onerowanych,“ od dziedziców drobnych—bo wszystko to było związane interesem wspólnym z nowym

¹⁾ Kostomarow: „Ruina,“ s. 44. „Panowanie Jana Kazimierza,“ II, 275.

²⁾ „Pam. wyd. p. k. k.“ IV, 3, 141.

³⁾ „Pam. l. c.“ IV, 3, 142.

władcą tego kawała ziemi. Jednakże, czy nie łatwo szły układy, czy strony opornie się trzymały, dość, że w ciągu rocznego tu rezydowania wojewody jeden tylko akt własności przyznany przez niego został; tłumaczył swą opieszałość tem, że musi jeszcze czynić zabiegi o utrwalenie nadań mu poczynionych, ale jeszcze nie ujętych w formę prawną, że pochłaniają go sprawy województwa, zresztą dokuczał Teterze o sukcesyę, i nasłuchiwał pilnie, co się dzieje na Ukrainie. Miał do tego także pewne powody: przecie Kozaczyzna nie była państwem udziałnem, nie posiadała swoich wytkniętych granic, a siedziała na płaszczynach, do województwa Kijowskiego i Braclawskiego należących przeważnie, w pomyślniejszych chwilach zagartując skrawki Wołynia i spore połacie Podola. A Wyhowski przecie sprawował funkcyę wojewody kijowskiego, więc gospodarza... Podsluchy te jego wszakże tłumaczono opacznie: jeszcze w lutym 1662 r. hetman wielki koronny, Stanisław Potocki, pisał do króla, że Wyhowski robi zabiegi o zdobycie hetmaństwa zaporoskiego, którego się zrzekł dobrowolnie ¹⁾. Tetera zaś, przy każdej nadarzonej sposobności, nie przestawał alarmować opinii publicznej, każdego niepowodzenia przyczynę jemu przypisywał: „Bar to wszystko robi“—wołał, pod mianem miejscowości rozumiejąc jego właściciela ²⁾. Trzebaż wypadku, żeby bunt pośród Kozaków prawobrzeżnych, przytłumione na chwilę, rozgorzały właśnie w czasie, kiedy król wyprawę robił za Dnieprem, żeby przywódcy tych buntów użyli nazwiska Wyhowskiego, jako sztandaru, wywieszonego przez rebelizantów. Jeden właśnie z takich był źdźbłem, przeważającym szalę nieszczęścia. Oto jak zwięźle a dosadnie opisał go kronikarz współczesny: „Tegoż 1664 roku Iwan Sierko, kozowy, wyszedł z Zaporoża (z Niżu) i z nim Kozaków nie mało, a to podobno za podszeptem Iwana Wyhowskiego, byłego hetmana, i niejakiego Sulimki (pułkownika), który, skupiwszy nie mało hołoty w Humaniszczyźnie, zostawił Sierka, a sam zdobył Lisiankę, Stawiszczę i podążył do Białocerkwi, chcąc się dostać do Wyhowskiego; ale Czarniecki z Machowskim nie dali się im połączyć, rozgromili pod Białocerkwią Sulimkę, gdzie i sam Sulimka poległ“ ³⁾. Rebelia owa przeraziła Teterę, Czehryna obronić nie był w możności, z żoną więc pobiegł pod skrzydła wojsk koronnych, a tymczasem Niżowcy zrabowali starostwo jego Braclawskie, z zamku zabrali srebra i inne kosztowności, liczne też stada padły ofiarą zdobywców, co wszystko Sierko w Humaniu rozdzielił między podkomendnych.

¹⁾ „Pam. wyd. przez k. k.“ IV, 3, 115.

²⁾ „Pam. l. c.“ IV, 3, 317.

³⁾ „Letopis samowidca,“ 84.

Wówczas-to ktoś z niechętnych Wyhowskiemu sklecił przysłowie, przypisując jego autorstwo wojewodzie, a brzmiało ono tak: „Prodam Bar i Rudu, i zahraju Lachom w dudu“ ¹⁾, to jest: sprzedam majątności, do mnie należące, wysztyftuję zaciągi zbrojne i wówczas zagram Lachom w surmę bojową. Na nieszczęście poszlakowanego, Tetera miał niezwyklego kompana, Sebastjana Machowskiego, pułkownika wojsk koronnych, zostawionego na Ukrainie, z niewyraźnie wymotywowanym rozkazem królewskim, by gasił wszelkie nieposłuszeństwa i buntownicze wybuchy z całą surowością prawa, podczas zaburzeń stosowanego. Machowski nie przebierał w środkach, dziedziczył w długoletnich utarczkach z Kozakami, zatracił poczucie sprawiedliwości, słyzył z samowoli i okrucieństwa. Ciekawa to jednak postać, nietknięta w historii, wdzięczny przedstawia materiał dla przyszłego badacza: w ogniu chadzał i ogień dokoła siebie rozniecał, szalona pała, choć Wyhowskiego w swych listach, pisanych dziwnym językiem, „pijaną głową“ nazywał, przychylił się do propozycji Tetery, by skończyć z buntującym w jego przekonaniu Kozakiem ²⁾. A Kozak ten, po raz może pierwszy, uląkł się następstw ruchawki, poczętej przez Sulimkę w jego imieniu, więc natychmiast wystąpił z uniwersałem, podpisanym w Chwastowie 1-go marca, protestując w nim przeciw czynionym sobie zarzutom ³⁾. Zaraz też pobiegł do Białocerkwi, komunikiem, by się porozumieć z Machowskim; nie zastał go; podążył do Rokitnej, i tam nie było już pułkownika; ostatni, uwiadomiony, do Korsunia zaprosił Wyhowskiego dla narady. Jechał na zaprosiny wojewoda, nie domyślając się zdrady; zastał tam i Tetereę. Natychmiast stawiono go przed sądem, naprędce ukonstytuowanym, który skazał na rozstrzelanie ekshetmana; wyrok wykonano o świcie 9 marca: „co tylko na brzask poczynano się zbierać, przed gospodę wyprowadzony i z kilku karabinów rozstrzelany poległ... od emulanta Tetery, bardziej z nienawiści, niżli z jawnej rebelii. Senator Królestwa Polskiego od pułkownika wojska koronnego bezprzykładnie skazany i egzekwowany, nie dawszy mu i spowiednika podług konfesyji jego“ ⁴⁾. Ale przechodzimy do porządku dziennego nad tą tragiczną dolą człowieka; historia macochą dla niego dotąd pozostała, nie wydała bowiem ostatecznego sądu, czy był winnym istotnie, czy tylko nieopatrzny warchołem.

¹⁾ Darowski: „Przysłowia polskie.“ Poznań, 1874, str. 116.

²⁾ „Pam. l. c.“ IV, 3, 395.

³⁾ „Pam. l. c.“ IV, 3, 405.

⁴⁾ „Historia panowania Jana Kazimierza“, II, 277. Jerlicz: „Latopisiec“, II, 89. Kostomarow: „Ruina“, s. 50.

Niektórzy ze współczesnych utrzymywali, że wojewodzina, dowiedziawszy się o tragicznym zgonie małżonka, umarła z rozpacz¹⁾, inni, że była porwaną i więzioną przez nieprzyjaciół ekszhetmana zaporoskiego²⁾; ani skonała, ani porwana, niemniej wrychle potem skończyła życie. O tych ostatnich tygodniach jej wdowieństwa mamy pewne, przez nią samą zostawione, relacye³⁾. Wieść o zgonie małżonka zastała ją w kresowej warowni, słabo bardzo bronionej; natychmiast rozproszyło się całe jej otoczenie, zastraszone następstwami, jakie za sobą wyrok pociągał... żona zdrajcy—straszna nazwa, lęk więc padł nawet na blizkich, bo powtarzano sobie dokoła, że majątek będzie skonfiskowany,—co też do Baru i Lubomla zastosowano z całym rygiorem, potem wprawdzie odwołanym,—że kobieta ulegnie karze, może nawet dozgonnemu więzieniu, jako rzekomej zbrodni współniczka. Nie zapominajmy, że się to działo w pierwszej chwili, że się przerażeniu ogółu dziwić nie należy; doraźna egzekucya, dokonana nad senatorem, była rzeczą niezwykłą w ówczesnej Rzeczypospolitej, więc do niezwykłości wyroku dopasowywano monstrualność występku. Pod wpływem nieprawdopodobnych pogłosek i ciemny gmin szlachecki, w rabunku zamiatowany, a na ziemiach starostwa bujnie rozsadzony, zaczął myśleć o skorzystaniu z okoliczności. Wszystko to spadło najniespodzianie na bezbronną kobietę, opuszczoną i znękaną; jeden tylko brat Jerzy nie stracił głowy w tym zamęcie, nie opuścił rąk, przeciwnie, złożył dowody prawdziwie wzniesłego przywiązania: fraucymer i rodzinę bliższą, żonę z drobiazgiem, wyprawił w bezpieczne miejsce, a z wojewodziną został w zamczku,—chora była,—dopiero w dni kilka kryjomo się wynieśli; musieli się czas pewien przechowywać w puszczy barskiej, a że wiosna była zimna i dżdżysta, błota do nieprzebycia, więc podróż, pod osłoną nocy marcowych odbywana, była nad wszelki wyraz ciężka. To też zabiegi brata wdowa chowała w wdzięcznej pamięci i tak o nich powiada: „przy mnie będąc w wielkich trwogach od hultajstwa, swoją substancję na moje potrzeby tracił, póki mnie z wielką trudnością wyprawał z Baru do Rudy.“ Przebyte nieszczęścia podkopały wątłe siły wojewodziny, ale miała jeszcze zadanie do spełnienia: szło jej o zwłoki męża. I tu dopomógł podkomorzy braclawski—„po ukrainach jeździł,“ odszukał popioły nieboszczyka, naprzód do Baru przywiózł, a potem „poprowadził do Rudy i w Rudzie kupił żałobę i wszystkie potrzeby.“ Spoczęły one „w Skicie, w wielkim sklepie murowanym,

1) „Południowo-ruska letopiś,“ wydanie Biełozierskiego, II, 136.

2) Jemiołowski: „Encyklop. powszechna,“ XXVIII, s. 26.

3) „Testament Heleny Wyhowskiej,“ rękopis l. c.

w cerkwi Podniesienia świętego krzyża, do tego monasteru należącej,“ a położonej w okolicy Rudy Hnizdyczowskiej. To było głównem zadaniem znużonej i dogorywającej kobiety; teraz należało rozporządzić mieniem, nagrodzić tych, którzy jej nie opuścili w nieszczęściu, a w szczęściu wiernie służyli; testament więc układała bardzo pilnie, szafując majątnością dziedziczną, wianem i zapisami, przez małżonka na jej korzyść poczynionemi. Wylowski bowiem przed zgonem zostawił rozporządzenie: żonie darował 100 włók ziemi, kupionych z nią na wspólną w Waskalabowie, dożywocie na Rudziańskim kluczu i 2,000 zł., na Lubomlu opartych, syna zaś polecał wyłącznej opiece brata Konstantego, z której ten sumiennie się wywiązał. Ale wróćmy do testamentu wojewodziny; trochę dziwnie ten akt wygląda: ofiarodawczyni nie zapomiała w nim o najuboższej słudze, tem bardziej o bliższych i dalszych pokrewnych, każdemu upominek zostawiła; o jedynaku zaś ani wzmianki, tak, że gdyby nie niezbite dowody, zgodzić-by się przyszło z Bartoszewiczem, że wojewoda zeszedł z tego świata bezpotomnie ¹⁾. Wiemy skądinąd, że Eustachy w ostatnich chwilach, poprzedzających zgon matki, nie był w Rudzie obecny, nie było tu i Konstantego Wylowskiego, do którego się często odwołuje testatorka. Naturalnie, że naprzód rozpoczyna rzecz od wyznania wiary, potem prośba, by jej zwłoki spoczęły „współ z miłym małżonkiem.“ Egzekutorowie mają złożyć „Ihumenowi i braci za odprawowanie sorokoustów i sobotnik“ 1,000 złotych, na kosztą pogrzebu 3,000 zł., na szpitalu dla ubogich i dla żebraków 140 zł. Wszystkie te wydatki ma ponosić włość Rudziańska. Inne ciężary zepchnięte na dobra własne, w okolicy Orszy sytuowane; i tu dla monasteru przeznaczają 500 zł., nadto 2,800 pannom służebnym i dalekim powinowatym; ziemię zaś, mianowicie 200 włók, przeznaczają dla brata, podkomorzego braclawskiego, Jerzego Stetkiewicza, z warunkiem, by sumy, wyszczególnione wyżej, z ich dochodu wypłacił, dodaje mu nadto z zapisu męża 2,000 zł., opartych na Lubomlu, jako zwrot kosztów, łożonych na sprowadzenie zwłok nieboszczyka. W końcu posagową sumę, 12,000 zł., jak równie sprzęty i kosztowności, rozposaża między bliższych krewnych. Z obcych jeden, i to dygnitarz, otrzymał wspaniałą upominek, w ten sposób zarejestrowany w dokumencie, ostatnią jej wolę obejmującym: „karetę francuską, lubom za żywota mego dobrodzieja miała i teraz mam, jednakże onę jw. episkopowi lwowskiemu zapisuję, który dla mnie fatygi i pracy pasterkiej nie żałował, daruję, żeby w modlitwach swych nie przepomniał, także lektyczkę z kołmi śniademi (?) i rydwan.“ Na świadków zaprosiła senatorów, po dwu z Korony i Litwy, nadto dwóch braci, Jerzego

¹⁾ „Encyklop. pow.“ XXVIII, 27.

i Krzysztofa, pokomorzych braclawskiego i orszańskiego. Daty zgonu jej nie znaleźliśmy, — musiał nastąpić w maju, albo czerwcu 1664 roku, bo w lipcu testament powyższy, jako nie żyjącej już, wpisany został do akt grodu Żydaczowskiego.

Tetera w kilka miesięcy po przymusowym zgonie wojewody kijowskiego, bo na początku 1665 r., opuścił zagrożone stanowisko, przeniósł się do Warszawy, zmienił nazwisko na Morzkowski, od jednej z majątności dziedzicznych; żona go poprzedziła w wędrówce do innego świata, już na początku 1668 r. nie żyła, bo o niej w testamencie, pod tą datą układanym, nie wspomina ¹⁾; dzieci nie mieli, ogromny majątek szedł na rodzeństwo z bocznej linii, choć istotnie dziwne losy ów zapis spotkały; ale nie tu miejsce dla tej historii, służy ona jedynie za niezbity dowód, że Tetera ku końcowi życia popadł w eiche obłąkanie (zniedożęznienie umysłowe) — oddany praktykom religijnym, myślał o wstąpieniu do jednego z monasterów w Kijowie ²⁾, wreszcie wybrał się do Ziemi Świętej i w drodze, mianowicie w Adryanopolu, zeszedł z tego świata, prawdopodobnie w 1670 roku.

I Juraś nie wytrwał w ślubach zakonnych, a tak się do nich gotował: z Kijowa przeniósł się do Śmiły, gdzie pustelnię sobie urządził i kilku braci mnichów do niej zaprosił; z jedną siostrą nie zerwał stosunków, odwiedzał ją często, kiedy zjeżdżała do Horodyszcz; właśnie podczas jednej z takich wycieczek, schwytany w 1664 r. ³⁾, dostał się do więzienia, — posądzono go o stosunki z wicherzającym nieustannie Kozactwem; z za kraty wypuszczony po kilku latach, zrzucił habit, wystąpił na widownię dziejową, został księciem Sarmacyi z ręki Padyszacha, z jego też rozkazu uduszony został około 1680 r. ⁴⁾. Ostatni z rodu, który na nim wygasł po mieczu, po kądzieli zaś uwiądnął daleko wcześniej.

DR ANTONI J.

¹⁾ Święcki: „Historyczne pamiątki,“ II, 482 (dopiski Bartoszewicza).

²⁾ „Letopis Grabianki,“ 187.

³⁾ Jerlicz: „Latopisiec,“ II, 85.

⁴⁾ „Opowiadania historyczne,“ I. Tit. ks. Sarmacyi.

KRONIKA GALICYJSKA.

W ciągu letnich miesięcy, o których w niniejszej kronice mam pisać, spoczywały po największej części sprawy polityki krajowej i administracji publicznej, a uwaga ogólna zwracała się przedewszystkiem ku stanowi urodzajów i ku zbiorom rolniczym, które w kraju naszym stanowią o najznacniejszej części dochodów jego ludności, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio. Z dobrych zbiorów cieszą się u nas, jak wszędzie w krajach przeważnie rolniczych, nie tylko rolnicy, lecz rzemieślnicy, kupcy i inna ludność miejska, spodziewając się większego popytu na swoje towary ze strony rolników. W roku bieżącym, z powodu przedłużenia się zimy, rozwój zasiewów był bardzo opóźnionym, budził jednak wogóle wcale dobre nadzieje, a wobec niepomyślnych wiadomości z zachodniej i środkowej Europy zdawało się rolnikom naszym, że osiągną w tym roku ceny lepsze, niż w innych latach. Tymczasem nastąpił później przydługi okres deszczów i chłodu, który w znacznej części kraju nie tylko zepsuł nadzieje żywione co do zbiorów, lecz nadto spowodował wylewy rzek i potoków na znacznych przestrzeniach i przyprowadził ludność nadbrzeżną o stratę tegorocznych zbiorów, nieraz zupełną, a nadto spustoszył znaczne obszary, które wylew pozabawił warstwy urodzajnej, lub zasypał piaskiem i kamieniami. Klęska powodzi doszła do tego stopnia, że w niektórych okolicach, przedewszystkiem nad Dniestrem i Sanem, pomoc publiczna okazała się w znaczniejszej mierze potrzebną.

Najmniej szkody od deszczów doznały okolice podolskie, które w poprzednich latach tak często cierpiały skutkiem posuchy. W tych bowiem okolicach, z powodu wyniosłego położenia i przepuszczalnej gleby, rok mokry, a raczej, jak u nas mówią, przepadzisty (z częstymi opadami atmosferycznymi) jest zawsze pomyślniejszy, niż rok suchy. Natomiast w przeważnej części kraju, zwłaszcza na całym podgórzu, gdzie gleba jest nieprzepuszczalna, rok suchy bywa pomyślniejszy, to też tegoroczne słyoty, pominiawszy już lokalne wylewy, sprowadziły znaczne pogorszenie zbiorów. Wynagradzała to po części obfitość paszy, a mając na względzie, że w zachodniej i środkowej Europie, z powodu posuchy, nastąpił od wiosny nadzwyczajny brak paszy, liczyli gospodarze nasi na to, że będą mogli znaczną część paszy sprzedać za granicą po bardzo korzystnych cenach. Wskazywały to liczne artykuły w pismach rolniczych, podające wiadomość o różnych surogatach paszy, wskazywały także zapytania w sprawie zakupu paszy, nadchodzące do Galicji z Niemiec, a nawet z Francji. Rozpoczął się już nawet wywóz paszy, który był-by doszedł do znacznie większych rozmiarów, gdyby rząd austriacki, w porozumieniu z rządem węgierskim, nie wydał dnia 20 lipca 1893 zakazu wywozu siana, świeżych i suszonych roślin pastewnych, słomy i siewki. Przed wydaniem tego zakazu ministerium rolnictwa zasięgało zdania towarzystw rolniczych co do potrzeby takiego zarządzenia i wtedy obydwie krajowe towarzystwa rolnicze, t. j. krakowskie i lwowskie, tudzież towarzystwo rolnicze wiedeńskie, oświadczyły się przeciwko zakazowi. Przeważało wszakże zdanie innych towarzystw rolniczych, a jak przypuszczają, także wzgląd na zaopatrzenie wojska w paszę. Odzywały się następnie kilkakrotnie głosy, że obawy o brak paszy w obrębie monarchii były przesadzone i że okolice, potrzebujące sprowadzać paszę, były-by w możności i bez zakazu pokryć swój deficyt bez nadmiernych ofiar; jednakże zakaz został utrzymanym po dziś dzień i w dotkliwy sposób zawiódł nadzieje tych, którzy liczyli na wyższy dochód z tej gałęzi produkcji rolniczej.

Innego rodzaju widoki otworzyły się wnet potem dla naszych rolników wskutek zawikłań w sprawach cłowych między Rosyją a Niemcami i znacznego podwyższenia cła od zboża ruskiego ze strony cesarstwa niemieckiego. Jednakże, pominiawszy, że, zwłaszcza o ile chodzi o pszenicę, Ameryka występuje, jako konkurent na targu niemieckim i wynagradza ubytek dowozu z Rosji, tegoroczna produkcja zbożowa Galicji nie daje podstawy do kampanii wywozowej na większe rozmia-ry, a przeto do wyzyskania należytego następującej się korzystnej konjunktury. Zbiory i zwózka zebranych płodów odbyły się w czasie dalszych słyot, i zbior, po większej części mierny, a często nawet gorzej

niż mierny pod względem ilości, nieraz skutkiem owych słoł ucierpiał na jakości i w wielu wypadkach nie posiada przymiotów towaru wywozowego. Galicya zresztą i w dobrych latach obecnie mniej zboża wywozi, niż dawniej, gdyż, mimo niezaprzeczonych postępów produkcji rolnej, mianowicie w większej własności, ludność jej szybko wzrastająca coraz więcej potrzebuje dla siebie samej, a liczna załoga wojskowa jest także poważnym konsumentem wewnętrznym. Znaczniejsze podniesienie produkcji rolnej w mniejszej własności zmienilo-by zapewne tę postać rzeczy, lecz postęp jest tu nader powolny, zwłaszcza we wschodniej części kraju, a daleko idące rozdrobnienie własności ziemskiej nie pozwala na rozwój znaczny produkcji zbożowej, której miejsce zajmuje na mniejszych kawałkach uprawa ogrodowa ziemniaków i jarzyn, oraz chów drobniejszych zwierząt domowych.

Na położeniu, które stworzył zatarg cłowy russko-niemiecki, najlepiej wychodzą obecnie koleje państwowe w Galicyi. W najbliższym czasie na podstawie układu, zawartego z russkimi zarządami dróg żelaznych, i daleko idących ustępstw taryfowych ze strony tych zarządów, równie jak ze strony austriackich kolei państwowych, będą przechodziły przez całą długość linii kolei galicyjskich znaczne transporta zboża ze wschodnich gubernii cesarstwa, które, zapłaciwszy cło wchodowe austriackie, a następnie na granicy austriacko-niemieckiej cło wchodowe niemieckie w wysokości, pobieranej od zboża, nadchodzącego z Austrii, dostaną się na targi niemieckie pod warunkami zawsze jeszcze korzystniejszymi, niż gdyby szły wprost do Niemiec i opłacały wygórowane cło na granicy niemiecko-russkiej. Było-by pożądanem, żeby większe młyny galicyjskie, parowe i amerykańskie, których położenie pogorszyło się od szeregu lat wskutek nadmiernej konkurencji młynów węgierskich, mogły korzystać także z następczącej się koniunktury i zboże, przywożone z Rossyi, wysyłać dalej do Niemiec w postaci mąki, nie opłacając taryf przewozu wyższych, aniżeli w ruchu nieprzerwanym.

Sądzić-by należało, że obok zbiorów i odbytu na płody rolnicze, cholera, pojawiająca się obecnie w drugim już roku w Galicyi, powinna powszechnie zajmować umysły. Tymczasem, oprócz najbardziej dotkniętych okolic Kołomyi i Nadwórnej, nigdzie zresztą nie widać tego zajęcia się epidemią. Inaczej było w roku zeszłym, kiedy cholera i obrona od niej przez dwa miesiące zajmowały wszystkich, odwracając uwagę ogółu od wszelkich spraw innych. Snać oswojono się do pewnego stopnia z groźnym nieprzyjacielem, tak, iż nie wzbudza popłochu, a przytem przekonano się, iż przy należytej ostrożności i energicznem działaniu władz sanitarnych można uchronić się od tej epidemii. Zeszłego roku bardzo usilna praca władz rządowych i samorząd-

dnych około oczyszczenia i uporządkowania zwłaszcza mniejszych miast i miasteczek w najznaczniejszej części przyczyniła się do wstrzymania postępów epidemii. Obecnie w okolicach, nawiedzanych przez epidemię lub z jej siedliskami sąsiadujących, robi się znów to samo, korzystając z przeszłorocznych doświadczeń, a chociaż mniej o tem się pisze i mówi, przypuszczać trzeba, iż wskutek tej roboty będzie nie gorzej, jak w roku zeszłym. W bieżącym roku epidemia zawleczoną została do Galicyi niewątpliwie z górnych Węgier, gdzie na dłuższy czas przedtem wystąpiła pomiędzy robotnikami, zajętymi przy budowie kolei, która ma połączyć północno-wschodnie Węgry z Galicyą. Sprawozdania jednego z lekarzy wiedeńskich, który umyślnie udał się był w owe okolice, wykazały nieradność władz miejscowych w przytłumieniu epidemii i tajenie zrazu rzeczywistego stanu rzeczy, najszkodliwsze dla skutecznej obrony przed epidemią. Stamtąd choroba przeniosła się na część galicyjską terenu budowy, na linię Stanisławów-Woronienka, a mianowicie w okolice Nadwórnej i Delatyna. Okolice ubogie, przeważnie lesiste, zaludnione słabo i to ludnością, na bardzo niskim stopniu oświaty stojącą, a przytem mającą trudną komunikację z resztą kraju, przedstawiały wielkie trudności w wyżywieniu i umieszczeniu licznej rzeszy ściągniętych z całego świata robotników kolejowych. Ceny żywności podskoczyły tam niesłychanie, skutkiem czego ludność, pracująca przy kolei, tem gorzej się żywiła, a przytem równie źle mieszkając, wobec słońca i chłodu przedstawiała szczególnie przysposobione pole dla rozwoju epidemii. Następnie, gdy przestraszeni wypadkami śmiertelnymi robotnicy zamiejscowi zaczęli porzucać robotę i wracać do stron rodzinnych, pojawiały się wypadki choleryczne i w dalszych okolicach kraju, po większej części niewątpliwie zawleczony z pierwotnego siedliska choroby w okolicach Delatyna i Nadwórnej.

Ilość wypadków zachorowania, równie jak wypadków śmierci, jest stosunkowo bardzo nieznaczna i składa się ze sporadycznie występujących faktów, po jednym, po dwa, rzadko więcej naraz w jednej miejscowości. Wyjątek stanowi miasto Kołomyja, gdzie epidemia najuporczywiej się utrzymuje. Miasto to, znajdujące się w pobliżu jednego z ognisk produkcji naftowej i będące miejscem połączenia linii kolei lokalnych z koleją lwowsko-czerniowiecką, w czasie pomiędzy r. 1880 a 1890 wzrosło z 23,109 do 30,235 mieszkańców, czyli blisko o 31%. Znaczną część tej tak szybko wzrastającej ludności stanowią niższe warstwy społeczeństwa żydowskiego, odznaczające się brakiem czystości i porządku, a przytem ciemne i zabobonne. Tu, tak samo, jak i gdzieś indziej wśród biedniejszego żydostwa, prace około uporządkowania i oczyszczenia mieszkań i ulic, a tem samem assanizacyi miasta, napotykają na niezwykle trudności, zwłaszcza gdy w zarządzie miasta, sprą-

wującym bezpośrednio policję miejscową, zasiada znaczna część reprezentantów tej warstwy, którzy uważają za potrzebne liczyć się z opinią swoich wyborców, choćby po części byli sami innego zdania. Jest jednak wszelka nadzieja, iż energia władz wyższych, przy pomocy wydelegowanych lekarzy, przezwycięży te przeszkody i że uda się niebawem stłumić epidemię w całym kraju, podobnie jak to się stało w zeszłym roku.

Epidemia choleryczna zeszłoroczna i tegoroczna dostarczają, jeśli tego wogóle jeszcze było potrzeba, nowych dowodów, jak dalece potrzebna jest u nas, nie tylko po wsiach, ale i w gminach miejskich, sprężysta organizacja miejscowa dla spraw budowniczych i sanitarnych, i jak dalece obecna organizacja gminna temu wymaganiu nie odpowiada. Jest to nowe poparcie dla projektów reformy gminnej, o których pisałem w kronice poprzedniej.

Z kolei chcę pomówić o sprawie miejscowej lwowskiej, która jednak symptomatycznym znaczeniem swoim wychodzi poza obręb naszego miasta: o kończącym się w chwili, gdy to piszę, strejku mularzy we Lwowie.

Miasto Lwów, którego ludność szybko wzrasta, zabudowuje się coraz bardziej i rozszerza się z doliny Pełtwi, w której leży dawniejsza część jego, na otaczające ją ze wszech stron pagórki, a zwłaszcza ku stronie zachodniej, gdzie znajduje się główny dworzec. Od dawna już mamy stale co lato ożywiony ruch budowlany. Budują się liczne gmachy publiczne na pomieszczenie zakładów szkolnych i władz, które dawniej mieściły się przeważnie w najętych budynkach prywatnych; budują kamienice kapitaliści, którym domy wynajęte dają procent od włożonego kapitału, pomimo wygórowanego podatku czynszowego, zawsze choć cokolwiek wyższy, niż z lokacyi w papierach, z tych bowiem procent zniża się skutkiem konwersyi z 5% na $4\frac{1}{2}\%$, a teraz już na 4%. W rachubę wchodzi przy tych budowlach prywatnych także wzgląd na ciągły wzrost wartości placów na przedmieściach i stawianych na nich domów wskutek rozszerzania się miasta. Obok tego budują często architekci i różni inni spekulanci wprost w zamiarze, aby dom wystawiony, a obciążony jak najwyższą pożyczką hipoteczną, sprzedać zaraz osobom, które, nie chcąc budować same, wolą nabywać domy już gotowe, a nabywają je tem chętniej, im mniejszą część ceny kupić potrzeba dać w gotówce. W obrębie tej ostatniej kategorii przedsiębiorstw budowlanych rozwija się od kilku lat coraz bardziej niezdrowa konkurencya, zmierzająca jedynie ku tanioci budowy, bez względu na jej trwałość i inne warunki. Buduje się z najtańszego, nieraz bardzo lichego materiału i w lichesy sposób, buduje się z pominięciem przepisów ustawy budowniczej i wbrew zatwierdzonemu planowi, korzysta-

jąc z braku nadzoru lub z okrzyczanej już u nas pobłażliwości organów budownictwa miejskiego; budowle zaś prowadzą nie koncesyonowani budowniczo wie, ale ludzie, nie posiadający odpowiedniej kwalifikacji, którym, niestety, niektórzy budowniczo wie za wynagrodzeniem używają swej firmy, pokrywając w ten sposób fuszerkę pozorami legalności.

Łatwo pojąć, iż prowadzona w tym kierunku niezdrowa konkurencja daje się uczuwać w sposób bardzo dotkliwy także i przy tej tak znacznej części kosztów budowy, jaką stanowią płace robotników. Pewna część przedsiębiorców stara się oszczędzić w wydatkach na płace, bądź praktykując cichaczem niedozwolone w ustawie przemysłowej sposoby zapłaty, bądź starając się zniżyć płace, między innymi przez nisko ugodzone roboty akordowe, i przedłużać czas roboty, bądź używając, zamiast rzemieślników i czeladników zawodowych, prostych wyrobników, którzy, pomagając przy budowach, nabyli niejakię wprawy a kontentują się zwykłym dziennym zarobkiem wyrobniczym. Oczywiście jest wielu przedsiębiorców budowniczych, którzy wcale nie puszczają się na te drogi, budują dobrze i trwale i należycie opłacają swych robotników, a za to cieszą się ich zaufaniem. Jeden z tych przedsiębiorców, budowniczy Lewiński, zdobył sobie nawet chlubną w naszym mieście reputację przez starania swoje około materialnego, umysłowego i moralnego podniesienia ludności robotniczej, z którą zostaje w stosunkach. Są jednak dość liczni przedsiębiorcy, którzy prowadzą budowy w sposób powyżej wskazany, a władze miejskie, nawet tam, gdzie przepisy dają im skuteczną broń przeciw takim praktykom, nie umieją takiego postępowania powstrzymać i ukrócić zdrożnej konkurencji. Przedsiębiorcy ci, zostający w ciągłych zatargach z inspektorem przemysłowym, tudzież z zakładem ubezpieczeń robotniczych i z kasą chorych, od których to zakładów starają się uchylać, by nie opłacać przepisanych wkładek, są to w znacznej części Żydzi i niekwalifikowani budowniczo wie, cudzą posługujący się firmą.

Te-to stosunki doprowadziły z początkiem września do wybuchu zmowy mularzy, cieśli i kamieniarzy, która wstrzymała odrazu ruch budowlany w całym mieście i na placu wystawy. Jest to pora, w której wykończają się budowle, mające przed zimą być oddane do użytku, budowle zaś, rozpoczęte w tym samym roku, doprowadzają się do pokrycia dachem z końcem jesieni. Łatwo tedy pojąć, jakie szkody zmowa przyniosła właścicielom nowych budowli i przedsiębiorcom; nie mniej jednak dotkliwie dała się ona uczuć i samym robotnikom, którzy pozostali bez zarobku, i o ile coś z letniej kampanii budowlanej zaoszczędzili, musieli wydać na życie. Obliczają przeszło na 3,000 zhr. dziennie ubytek zarobku wskutek zmowy. Dla powodzenia wystawy krajowej

przyszłorocznej zmowa mogła się stać szczególnie groźną, gdyby wskutek niej program budowlany, zakreślony na jesień bieżącego roku, nie zdołał być wypełniony, a to tem bardziej, że w ciągu lata słoty przeszkadzały bardzo postępowi robót.

Z położenia, które wywołało i podtrzymywało znowę, usiłowali zrećźnie skorzystać tutejsi mernerzy socjalistyczni. Wobec rokowań, jakie przy udziale władz miejskich i inspektora przemysłowego rozpoczęły się zaraz po wybuchu znowy, starali się oni doprowadzić do tego, aby ze strony robotników stawiano żądanie, żeby wysokość płacy dziennej oznaczoną została jednakowo dla wszystkich robotników tej samej kategorii, bez względu na to, że jeden jest zdolniejszy, bardziej wprawny i pracowitszy, niż drugi. Kiedy jednemu z tych mernerów przedstawiano, że żądanie takie jest niesłusznem i że znowa, stawiając tego rodzaju żądania, musi spełznąć na niczem i przynieść klęskę materyalną uczestnikom, odpowiedział: „To prawda, znowa nie doprowadzi do tego celu; ale ci, którzy w niej udział brali, będą odtąd należeli do niezadowolonych, będą należeli zatem do nas, którzy dotąd nie mieliśmy po naszej stronie robotników budowlanych. Naszem zadaniem jest pomnażać liczbę niezadowolonych.“

Żądanie równej zapłaty dla wszystkich robotników tej samej kategorii odpowiada ideałowi równości, stawianemu w socjalistycznych horoskopach przyszłego urządzenia społeczeństwa, jest jednak stosunkowo niewłaściwem, niesłusznem i niemoralnem; albowiem większa użyteczność pracownika, większa zdolność fachowa i pilność nie doznawały-by uwzględnienia, robotnik nie miał-by celu okazywać się pilnym i umiejętnie pracować, przeciwnie, najlepiej wychodzili-by najleniwi, bo za najmniejsze wyteżenie sił otrzymywali-by tę samą zapłatę, co najpilniejsi. W socjalistycznym systemie brak bodźca, zniewalającego robotnika do skutecznej pracy, jakim jest chęć uzyskania wyższej zapłaty, musiał-by zastępować przymus władzy państwowej, która kierowała-by całą produkcją; inna rzecz, z jakim skutkiem ekonomicznym to by się działo i do jakiego niesłychanego stopnia zniszczyło-by takie urządzenie swobodę i samodzielność jednostek. W dzisiejszym ustroju ekonomicznym przeprowadzenie żądania równej zapłaty, bez względu na biegłość i pilność robotnika, znaczyło-by poprostu dezorganizację i uniemożliwienie produkcji.

Robotnicy, zajęci przy budowlach lwowskich, nie przyjęli ostatecznie żądania równej zapłaty między warunki, stawiane ze swej strony przy rokowaniach z przedsiębiorcami. Nadto pod innym względem znowa, o której piszę, nie odpowiadała tendencyi zasadniczej, jaką wykazuje agitacya socjalistyczna. Podczas gdy agitacya ta, obok krytyki podstaw dzisiejszego ustroju ekonomicznego, stawia sobie za głów-

wne zadanie, podobnie jak w Niemczech, skąd bierze wzory bezpośrednio, i jak w dalszej zagranicy, podkopywać religijne wyobrażenia ludności robotniczej i czyni to w przemowach, wykładach, pismach z całą świadomością, że tem samym usuwa podstawę dla wyobrażeń etycznych tej ludności; to lwowscy mularze, cieśle i kamieniarze, przed rozpoczęciem zmowy i po jej ukończeniu, wysłuchali nabożeństwa, w tym celu przez nich zamówionego. Czy w ten sposób zaczynały się i kończyły jakie zmowy gdzieindziej, nie wiem i nie znajduję o tem wzmianki, w każdym razie jednak jest to godna zastanowienia wskazówka usposobienia umysłów u tej części naszej ludności robotniczej, a zarazem wskazówka, na jakim polu powinna głównie być prowadzona praca społeczna, która ma skutecznie ubezpieczać nasze społeczeństwo przed zgubnymi skutkami agitacji socjalistycznej. Niebezpieczeństwo społeczne agitacji socjalistycznej, tak u nas, jak i gdzieindziej, leży głównie nie na polu ekonomicznym; o tem bowiem, czy i pod jakimi warunkami udział z rezultatu produkcji społecznej, przypadający na pracę, mógł-by lub powinien-by być zwiększony, równie jak o tem, jaki ustroj przedsiębiorstw produkcyjnych był-by odpowiedniejszym od dzisiaj praktykowanych, bądź wogóle, bądź w zastosowaniu do pojedynczych gałęzi produkcji, można dyskutować i można, oczywiście na drodze ściśle legalnej, usiłować wprowadzać zmiany, jakie-by uznano za odpowiednie i praktyczne. Taka dyskusja i wypływające z niej dążenia, o ile drogami legalnymi postępują, nie naruszają ani praw niczyich, ani porządku społecznego, ani podstaw cywilizacyjnego rozwoju, a ustawodawstwo o stosunkach wewnętrznych przemysłu i o ubezpieczeniach robotniczych świadczy o tem, że państwa dzisiejsze z takiej dyskusji korzystają, a nawet w pewnych względach same ją stawiają na porządku dziennym. Niebezpieczeństwo istotne agitacji socjalistycznej leży z jednej strony w jej taktyce, która polega na rozbudzaniu niezadowolonia, „nie przejednanego“ żadną reformą, na wskazywaniu nieokreślonego bliżej „raju na ziemi,“ ideału organizacji ekonomicznej społeczeństwa, dla którego trzeba naprzód zburzyć organizację dzisiejszą w sposób mniej lub więcej gwałtowny. Z drugiej strony niebezpieczeństwo, i to najgroźniejsze, owej agitacji leży w tem, że uważa ona za konieczne uzupełnienie akcji swej na polu ekonomicznym, za niezbędny warunek swego powodzenia, choć nieraz, gdy jej tak wypada, tego się wypiera, usunąć z umysłów ludności pozytywne przekonania religijne jakiegobądź wyznania, a wnieść w ich miejsce skrajny materializm, ogłaszany masom, jako najnowszy i ostateczny wynik badań naukowych, tudzież wiarę ślepą w ów „raj na ziemi,“ który niechybnie się ziści, jeśli robotnicy pójdą za wskazówkami przywódców. Konsekwencją konieczną tego przewrotu w wierzeniach, który w znacznej

części ludności robotniczej przemysłowej w zachodniej i środkowej Europie można uważać za dokonany, jest, jak pouczają o tem smutne przykłady, osłabienie i zanik wyobrażeń moralnych, którym odebrano podstawę religijną, rozkład związków małżeńskich i rodzinnych, przeciw którym zresztą agitatorowie nieraz wprost występują, brak wszelkich karbów dla woli po-za policyą i kodeksem karnym. Nie potrzeba zaś tego dowodzić, że społeczeństwo, w którym poważna część członków doszła-by do tego, że nie znała-by innego hamulca dla swej chęci używania nad policyę i kryminal, znajdowało-by się na drodze zdzierzenia i zupełnego rozkładu.

Nasze społeczeństwo, które pod względem rozwoju ekonomicznego a zwłaszcza przemysłowego tak znacznie pozostało w tyle po-za zachodnią i środkową Europą, odnosi z niższości swojej pod tym względem tę korzyść, że może śledzić zarówno dodatnie, jak i ujemne strony owego rozwoju u sąsiadów bliższych i dalszych, którzy nas w nim wyprzedzili, i może, korzystając z ich doświadczeń, przyswajając sobie to, co okazało się dobrem, przypuściwszy oczywiście, że się da spożytkować wśród naszych stosunków, a wystrzegać się tego, co się okazało szkodliwym, i używać przeciw niemu środków obrony, gdzieindziej z powodzeniem wyprobowanych. Odnosi się to także do okoliczności, które wywołują kwestyę socjalną, do rozwoju, postępów i niebezpieczeństw agitacji socjalistycznej i do przedsiębranych przeciw owym niebezpieczeństwom środków obrony. Wobec wskazanego poprzednio głównego niebezpieczeństwa na polu etycznym znajdujemy się nadto w tem korzystnem położeniu, że masy ludności naszej są głęboko religijnie usposobione, że zatem istnieje dla zdrowej etyki społecznej podstawa, przeciw której agitatorowie w pismach i przemówieniach wprost nie śmieją nawet występować. Jednakże było-by błędnem stanowczo twierdzić, że agitacja socjalistyczna u nas nie znajduje gruntu, że nie rozszerza się i nie ogarnia znaczniejszej liczby ludności robotniczej miejskiej, kiedy częste zgromadzenia, pisemka dwutygodniowe, z których jedno w języku niemieckim dla Żydów wydawane, a wreszcie kilka stowarzyszeń z cechą mniej lub więcej wyraźną socjalistyczną, są tego dowodem. Niebezpiecznym zaś było-by liczyć na obecne usposobienie religijne przeważnej części ludności, jako na wystarczającą na zawsze siłę odporną, i zaniedbywać pracy około rozszerzenia i utrwalenia uczuć religijnych wobec podkopywania ich ciągłego ze strony przeciwnej. Niestety, pracy dodatniej na polu socjalnem u nas dotąd prawie nie widać, chociaż działanie rozkładowe coraz szersze i donioślejsze. Nasze duchowieństwo, z małemi wyjątkami, nie jest dostatecznie przygotowane do pracy na tem polu i jest to luka w wykształceniu kleru, którą koniecz-

nie jak najrychlej należy zapełnić. Między wykształconymi ludźmi świeckimi ważność i nagłość pracy na polu socyjalnem przeważnie nie dość są oceniane dotąd, a częste zapisy i fundacye o celach humanitarnych, jakie się u nas zdarzają, zmierzają niemal wyłącznie do opieki nad tymi, którzy nie są zdolni do zarobkowania, a nie do podtrzymywania i rozwoju sił zarobkowych w społeczeństwie. Nasza dobroczynność prywatna, a nieraz i dobroczynne zakłady i stowarzyszenia, nie tyle mają na oku pomoc w wyszukaniu pracy, lub podtrzymanie i wzmocnienie siły zarobkowej, co wyłącznie wsparcie doraźne, nieraz bez poznania należytego stosunków indywidualnych i niewłaściwie rozdzielane, czego skutek bywa często demoralizujący. Wielką tedy zasługę wobec społeczeństwa mają ci duchowni w Krakowie, którzy w artykułach, ogłaszanych przez pisma peryodyczne, zwracają raz po raz uwagę publiczną na niebezpieczeństwo biernego zachowania się wobec agitacji socyalistycznej i na pilną potrzebę dodatniej pracy duchowieństwa i wykształconych ludzi świeckich na tem polu.

Francya i Niemcy dostarczają nam liczne szeregi przykładów dodatniej pracy na polu socyjalnem w rozmaitych kierunkach. Podać o nich wiadomość i wskazywać potrzebę naśladowania tej pracy u nas jest pilnem zadaniem naszej publicystyki, zadaniem z pewnością najpożyteczniejszem i najpilniejszym, jakie może sobie postawić. Dla miast naszych najpilniejszym z pomiędzy zadań, które w tamtych krajach są podejmowane, jest dostarczenie zdrowych i tanich mieszkań, jako niezbędnego warunku dla życia rodzinnego w niższych warstwach, dalej ułatwienie w nabywaniu przedmiotów żywności i domowego użytku przez zakładane w tym celu spółki i sklepy, wreszcie pomoc w wykształceniu zawodowem, a dla kobiet pomoc w nabyciu biegłości w robotach domowych, gotowaniu, praniu i prasowaniu, a to bądź dla własnego gospodarstwa, bądź dla zarobku przez spełnianie tych usług u innych. W tym też zakresie kielkują mianowicie we Lwowie niektóre projekta, którym życzyć wypada, żeby jak najrychlej i z największem powodzeniem mogły być wprowadzone w życie. Ile to pięknych sposobności do stworzenia rzeczy trwale pożytecznych i zarobienia sobie na wdzięczną w szerokich kołach pamięć następuje się we wskazanych tu gałęziach pracy społecznej dla ludzi zamożniejszych, którzy-by chcieli ofiarować część czasu i trochę trudu, oraz część dochodów dla jednego lub drugiego z takich zadań, biorąc za wzór przykłady z innych krajów. Dobrze-by było, żeby u nas rozszerzało się coraz bardziej i utrwalało w warstwie zamożniejszej przekonanie, że stanowisko społeczne tej warstwy i jej społeczne znaczenie nie tylko od posiadanych zasobów, ale jeszcze więcej od tego zależy,

jak tych zasobów ona używa, ile z nich i ile z swego czasu i sił umysłowych dla pracy około dobra społecznego, a w szczególności dla podniesienia niższych warstw społecznych używa. Im mniej liczną jest u nas warstwa istotnie zamożna, tem więcej jest pożądanem, aby jak największa część tych wybranych ożywioną była tem przekonaniem i poważnie pojmowała obowiązki swego stanowiska społecznego.

Jak w poprzednich kronikach, tak i teraz, chcę słów parę napisać o przygotowującej się wystawie krajowej r. 1894. Na placu wystawy zarys rozkładu budynków w głównej części obszaru, przeznaczonego na nią, to jest od strony głównego wejścia, coraz wyraźniej się uwidocznia. Pawilon sztuki, okazały budynek murowany w stylu renesansowym, który pozostanie w parku Stryjskim po ukończeniu się wystawy na użytek publiczny, jest już pod dachem i bardzo przyjemnie się przedstawia. Pod dachem jest już główny budynek na okazy rolnictwa i przemysłu, który będzie czasowym, tudzież pawilon dziennikarski. Inne budynki dopiero zaczynają stawiać, a pora nieprzyjazna w ciągu lata, oraz zmowa, o której pisałem, znacznie opóźniły roboty. Jednakże jest wszelka nadzieja, iż wszystkie budynki będą na czas gotowe, tem bardziej, iż po ukończeniu linii kolejowej na plac wystawy dowóz materyałów jest wielce ułatwiony, a samo ustawienie budynków drewnianych, których części składowe naprzód są przygotowane, nie zajmie wiele czasu.

Teatr lwowski tego lata pozostał w mieście, a wskutek słotnej pory i występów gościnnych znakomitszych sił scenicznych cieszył się niezłym powodzeniem. Powodzenia tego należy szczerze życzyć przedsiębiorstwu teatralnemu, które w bieżącym roku starało się poprawić stan stałego personelu swego i podnosiło prócz tego przedstawienia przez występy gościnne, a ma do walczenia z wielkimi trudnościami. Sala teatru hr. Skarbka, pomimo znacznego wydatku na jej odnowienie, pozostawia bardzo wiele do życzenia, a niemożność należytego ogrzania jej w zimie przeszkadza temu, żeby częste odwiedzanie jej w tej porze było przyjemnością i żeby, pominąwszy samo przedstawienie, miała ona siłę przyciągającą, jako miłe ognisko życia towarzyskiego, jako salon, lub jeśli kto chce, jako zbiór salonów. Do tego dodać trzeba brak zupełny foyer, które w niejednym mieście przyczynia się do nadania teatrowi owej cechy salonu. Także i stosunki komunikacyjne dotychczasowe w naszym mieście, dosyć przecie rozległem, nie bardzo ułatwiają odwiedzanie częste teatru przez tę najliczniejszą część publicz-

ności, która nie rozporządza własnym ekipażem. Porównanie pod temi wszystkimi względami teatru lwowskiego z nowym teatrem krakowskim, który wkrótce będzie otwartym, wypadnie bardzo stanowczo na niekorzyść lwowskiego. Po wybudowaniu nowego teatru we Lwowie stosunki te zrównoważyły-by się na korzyść Lwowa do pewnego stopnia, ale o tem obecnie całkiem nie słyhać i nie prędko zapewne tego się doczekamy.

U.

Socjalizm państwowy w Niemczech.¹⁾

IVd. Asekuracja na starość i od niezdolności do pracy¹⁾.

Porządek rzeczy każe teraz zająć się trzecią ustawą asekuracyjną państwa niemieckiego. Sprawozdawcę czeka tu arcy niewdzięczne zadanie: mechanizm tego trzeciego prawa, obejmującego prawie 12 milionów ludzi, jest tak niezmiernie złożony, że konieczna krótkość musi ujemnie wpłynąć na jasność wykładu. Można bez przesady powiedzieć, iż od kiedy istnieje biurokracja w Europie, nie zostało jej przez żadnego męża stanu dotąd wskazanem tak ciężkie i tak szerokie widnokreśli ogarniające zadanie. W samej rzeczy, w porównaniu z tą trzecią ustawą asekuracyjną, nawet i dwie pierwsze wydadzą się bagatelą, chociaż i tam szło o miliony ludzi i marek. Gdy bowiem w asekuracji od chorób i wypadków idzie o sytuacje życiowe, bądź co bądź wyjątkowego charakteru, trzecia ustawa pragnie asekurować jednostkę w sytuacjach zupełnie normalnych, jak starość i niezdolność do pracy.

¹⁾ Dokończenie. (Zob. zeszyt za m. wrzesień).

²⁾ Literatura dotycząca tego prawa jest jeszcze ubogą, ponieważ samo prawo obowiązuje dopiero od paru lat. Za podstawę służy kapitalne dzieło: „Alters et Invaliditäts Versicherung“ von Woedtke et Bosse. Berlin 1889. (Bosse jest obecnie pruskim ministrem spraw wewnętrznych). Praktycznie natomiast informuje: „Führer für die Alt. et Inv. Versicherung“ von Gebhard et Geibel. Altenburg 1891.

Stąd można sobie, w teorii przynajmniej, wyobrazić jednostkę, niepodpadającą działaniu dwóch pierwszych praw, ale wprost niemożliwym jest wyobrazić sobie w tych sferach jednostkę, dla której trzecia z tych przymusowych asekuracji nie miała-by znaczenia. Jeżeli dodamy, że państwo tu dopłaca otwarcie i bez tajemnicy dziesiątki milionów marek rocznie, przyjmując już takim sposobem poniekąd rolę karmiciela, narzucaną mu dotąd, zawsze napróżno, przez socyjalizm, to wszystko to razem da nam odrazu pojęcie o historycznym i rzeczowym znaczeniu tego prawa.

Urzędowa nazwa tej trzeciej części reformy kanclerskiej brzmi: „prawo asekuracji na starość i od niezdolności do pracy”; przyjętem zostało to prawo w dniu 25 maja 1889 r. przez parlament małą większością 185 contra 165 głosów, i to jedynie wskutku gwałtownego nacisku ks. Bismarcka, który, widząc, że projekt jego staje się w narodzie i w izbie coraz niepopularniejszym, chciał gwałtem stworzyć fakt dokonany. Kanclerz, jak zwykle, celu dopiął i, mimo oporu wolnomyślnych, socyjalistów i większości centrum, przeprowadził szczęśliwie ustawę, stanowiącą ostatnie dzieło jego urzędowej karyery. Bardzo małą była cyfra tych posłów, którzy sobie z istoty tego projektu mogli trzeźwo i ściśle zdawać sprawę; jeden z wybitniejszych posłów wolno-konserwatywnych, von Lohren, chociaż sam głosował za prawem, oświadczył jednak, że przyjęcie tak olbrzymiej ustawy uważa za „skok w jasno oświetloną przepaść.” Dość powiedzieć, że jeden z poważniejszych komentatorów projektu twierdzi zupełnie poważnie, że chociaż prawo obowiązuje już od dwóch lat, to w całym parlamencie nie zbierze się do dziś dnia setki posłów dokładnie obznajomionych z jego mechanizmem i mających sąd o skutkach jego na przeszłość.

Trzecie prawo asekuracyjne obowiązuje przymusowo, poczynając od 16-go roku życia, bez różnicy płci, każdą jednostkę, *wynajmującą się do pracy* i zarabiającą rocznie mniej niż 2,000 marek. Takim sposobem, ponieważ wyjątki, prawem przewidziane i dozwolone, są nader nieliczne, ta trzecia przymusowa asekuracja odrazu ogarnia i zgarnia najszersze warstwy społeczne, jako to: robotników, wyrobników, rzemieślników, marynarzy, służących domowych, handlowych etc., w ogólnej liczbie 12 milionów głów. Póki jednostka pracuje *nie dla siebie*, asekuracja jest przymusową; jeżeli zachodzą co do tego zmiany, np. jeżeli czeladnik wyzwala się na majstra, subjekt staje się kupcem, a kobieta pracująca wychodzi za mąż, to ta asekuracja nie ustaje, tylko staje się dobrowolną, zarazem i droższą dla jednostki, chcącej ją zachować i nadal.

Przedmiotem asekuracji są dwie renty zupełnie odrębne i wzajemnie się wyłączające, tak, że kto pobiera jedną, nie może tem samem

już korzystać z drugiej, chociażby miał ku temu tytuł. Pierwszą jest *renta dla niezdolnych do pracy*, drugą *renta starości*. Z pierwszej korzysta każdy ubezpieczony, niezdolny do pracy, tak długo, jak trwa ta jego niezdolność, z drugiej—każdy ubezpieczony, poczynając od 71 roku życia aż do śmierci. Pobieranie renty zależy od spełnienia uprzednio pewnych warunków, o których będzie jeszcze mowa; jeżeli zaś korzystanie z rent trafia na prawne przeszkody, to po większej części uiszczone składki zwracają się.

Ponieważ w życiu każdej jednostki wydarzają się przerwy w pracy, wywołane chorobą, ćwiczeniami wojskowymi, tedy pod względem ilości składek tygodniowych, rok asekuracyjny przyjętym jest jako mający tylko 47 tygodni. Otóż przyznanie i jednej i drugiej renty zależy od tego, czy żądający uiszczał już regularnie swe składki przez pewien określony przeciąg czasu, wynoszący mianowicie: przy żądaniu renty niezdolnych do pracy—pięć lat, — renty zaś starości—trzydzieści lat asekuracyjnych. Idzie tedy tylko o to, aby ubezpieczony uiszczał składki tygodniowe co najmniej 47 razy na rok, porządek zaś kolejny tych opłat może być dowolny. Tekst prawa jest wogóle tu dość humanitarny, bo mimo odliczenia już i tak 5 tygodni z roku na przerwy, (chorobę lub wzięcie do wojska), nietylko że zwalnia od obowiązku płacenia aż do rozpoczęcia pracy na nowo, ale jest zapisywaną wprost na dobro ubezpieczonego, czyli, że podczas takich przerw skarb wprost płaci za ubezpieczonego, co stanowi już poważny krok w kierunku socjalizmu i o tyle na zaznaczenie zasługuje. Natomiast zastrzega prawo, w celu wywierania na jednostkę dobroczynnego przymusu, że asekuracja ustaje, jeżeli w ciągu czterech lat ogólna liczba składek tygodniowych wynosiła mniej niż 47. Zastrzeżenie to ma oczywiście praktyczne znaczenie tylko wtedy, gdy ktoś zmienił dotychczasowe zajęcie a nie znalazł jeszcze drugiego miejsca, w którym-to wypadku prawo chce, by i podczas takich przerw ubezpieczony, o ile tylko może, pamiętał o składce—w normalnych zaś warunkach stałego zajęcia obowiązek pamiętania o tem spada i tu na pracodawcę.

Ze względu, że ustawa w chwili nabrania mocy prawa zastała już krocie jednostek pracujących w wieku wyżej lat 40 i że te jednostki takim sposobem byłyby poszkodowane, gdyby musiały w myśl prawa trzydzieści lat z rzędu uiszczać składki, gdy podług ustawy już z początkiem roku 71 korzystać z renty mają prawo—przewidzianym jest dla tej kategorii tak zwany okres przejściowy. Podczas tego okresu, mającego trwać 50 lat, renta starości, płatna jak wiadomo z 70 rokiem, nie warunkuje się uiszczaniem opłat przez lat 30, lecz przez o tyle mniej, o ile każdy ubezpieczony w roku 1890, t. j. w roku przyjęcia ustawy, był starszy nad lat 40; analogiczna ulga przewidziana jest

co do renty dla niezdolnych do pracy, podczas okresu przejściowego bowiem uiszczanie składek przez jeden rok tylko stwarza już tytuł do pobierania tej renty.

Różnicę między jedną a drugą rentą prawo określa w sposób następujący: z renty niezdolnych do pracy korzystać może, bez różnicy wieku, każdy chory ubezpieczony, o ile choroba jest tak ciężką, że co najmniej przez jeden rok cały pozbawiła go zdolności do pracy; jeżeli w trakcie i wskutku pobierania zasiłku nie następuje w stanie zdrowia polepszenie, w takim razie renta staje się dożywotnią, wyjątek stanowi tylko choroba umyślnie wywołana, lub umyślnie nieuleczona, jakoteż choroba, której nabawia się jednostka przy spełnianiu przestępstwa. Renta starości służy po trzydziestoletniem uiszczaniu składek każdemu ubezpieczonemu od wieku lat 70 aż do śmierci i nie ustaje nawet, jeżeli mimo podeszłego wieku zdolność do pracy jest zupełna.

I jedna, i druga renta składa się z dwóch części: 1) raz na zawsze unormowanej subwencji państwowej, wynoszącej 50 marek rocznie na głowę i 2) reszty płaconej przez specjalną państwową instytucję, o której pomówimy potem. Renta niezdolnych do pracy zależy od ilości uiszczonych składek tygodniowych, to znaczy, że z każdą uiszczoną składką tygodniową powiększa się ta renta o tyle i tyle fenigów rocznie. Natomiast za podstawę do obrachunku renty starości służy stale norma 30 lat asekuracyjnych po 47 tygodni, czyli 1,410 tygodni, z czego wynika ważny szczegół, że renta starości nie rośnie wraz z okresem uiszczania składek ¹⁾.

Stosownie do istniejących różnic w zarobku, prawo stwarza cztery kategorie ubezpieczonych, czyli t. zw. cztery klasy zarobkowe, z których:

I	klasa	obejmuje	ludzi	zarabiających	rocznie	do	350	marek
II	„	„	„	„	„	od	350 — 550	„
III	„	„	„	„	„	„	550 — 850	„
IV	„	„	„	„	„	„	850—2000	„

Każdy ubezpieczony musi płacić tygodniową składkę w wysokości prawnie dla każdej klasy zarobkowej ustanowionej. Składki te, płatne w połowie przez pracodawcę, w połowie przez wynajmującego się, wynoszą tygodniowo:

¹⁾ Ponieważ jednak mogła-by się znaleźć jednostka, chcąca z własnego powodu płacić składki jeszcze dłużej niż 30 lat, by sobie rentę powiększyć, to prawo dozwala w takich razach obliczać odtąd składki jej podług najwyższej klasy zarobkowej.

dla klasy	I	II	III	IV
fenigów	14	20	24	30

Składki te dają rozmaite prawa, stosownie do rodzaju renty, jaką wypadło-by płacić ubezpieczonemu, mianowicie każda składka tygodniowa odpowiada rencie rocznej:

	w kl.	I	II	III	IV
		f e n i g ó w			
przy rencie starości		4	6	8	10
„ „ niezdolnych do pracy.		2	6	9	13

Ponieważ renta niezdolnych do pracy może stać się konieczną w młodym wieku ubezpieczonego, gdy ten nie zdążył jeszcze uiścić dużo składek, tedy do stałej subwencji państwowej, wynoszącej 50 marek, dochodzi jeszcze stała dopłata państwowej instytucji asekuracyjnej = 60 markom, czyli, że razem przybywa ubezpieczonemu 110 marek rocznie. Takim sposobem renta niezdolnych do pracy po upływie pięciu pierwszych, czyli obowiązkowych lat, wynosić musi minimalnie:

w kl.	I	II	III	IV
marek	114.70	124.—	131.15	144.55

rocznie.

Tyle wynosi ta renta po pięciu latach, co odpowiada mniej więcej wiekowi 22 lat ubezpieczonego (ponieważ opłaty zaczynają się musowo od 16 roku); tak prędko atoli prawie nigdy nie wydarza się wypadek choroby, powodującej zupełną niezdolność do pracy, to też renta, o której mowa, wynosi zwykle więcej stosownie do ilości uiszczonych składek. Przypuśćmy np., że ubezpieczony płacił składki przez 1,800 tygodni, z których 500 wypadła na kl. zarobkową I, 600 na II, 700 na III, i że następnie zapada na ciężką chorobę i staje się na zawsze niezdolnym do pracy.

Renta jego, w myśl powyższego, oblicza się wtedy w sposób następujący:

Subwencya państwa	50	marek
„ instyt. asekuracyjnej	60	„
500 składek w klasie I: 500×2 fen.	10	„
600 „ „ II: 600×6 „	36	„
700 „ „ III: 700×9 „	63	„

czyli że razem renta jego wynosi . . . 219 marek rocznie.

Prawno maximum dla renty tej wogóle nie istnieje.

Renta od starości oblicza się inaczej: ponieważ dożycie roku 70 jest bądź co bądź wypadkiem mniej rzadkim, aniżeli zupełne utracenie zdolności do pracy przez zwyczajną chorobę (nie spowodowaną żadnym wypadkiem), tedy państwowa instytucja asekuracyjna, nie chcąc nadto się obarczać, tu już 60 marek *nie* dopłaca. Pozostaje tedy tylko subwencya państwowa = 50 marek, reszta zaś wynika z powyżej już podanej normy podstawowej = 1,410 tygodni składowych (bez spełnienia tej normy nikt wogóle renty tej pobierać nie może). Takim sposobem prawo określa z góry i odrazu wysokość renty starości dla każdej klasy zarobkowej; mianowicie zasiłek ten wynosi:

w kl.	I	II	III	IV
rocznie .	106.40	134.60	162.80	191.— marek

z czego widać już, jak szczupłą jest ta renta, nie wynosząca nawet w niższych klasach zarobkowych I i II, umyślnie przez prawodawcę kosztem III i IV protegowanych—nigdy więcej jak $\frac{1}{3}$ rocznego zarobku; na to też kładą stale główny nacisk wrogowie ustawy kanclerskiej. Cyfry powyższe ulegają jeszcze zmianom in plus lub in minus, jeżeli ubezpieczony pracował, — jak to najczęściej bywa — nie w jednej, lecz w rozmaitych klasach zarobkowych, nadto zmianom tylko in plus, o ile ostatni chce dobrowolnie płacić składki dłużej niż przez 30 lat, ale zmiany te większego znaczenia już nie posiadają.

Koszta całkowitej tej asekuracji ponoszą: 1) państwo, 2) ubezpieczony, 3) pracodawca. Udział państwa jest dwojaki: po pierwsze, jak widzieliśmy, do każdej renty skarb dopłaca rocznie 50 marek, po drugie, państwo stworzyło ad hoc specjalną instytucję asekuracyjną, przez siebie gwarantowaną i opłacaną. Pracodawca i ubezpieczony płacą do połowy składkę ustanowioną dla każdej klasy, ale obowiązek pamiętania o tem ma tylko pracodawca. W praktyce odbywa się to w ten sposób, że każda z owych 12 milionów pracujących jednostek otrzymuje od państwa specjalnie na cele tej asekuracji coś w rodzaju książeczki legitymacyjnej, czyli t. zw. „kartę kwitową”, odpowiadającą polisie prywatnych towarzystw asekuracyjnych. Państwo wydaje dla każdej klasy zarobkowej (i sprzedaje w każdym urzędzie pocztowym na równi z markami listowymi) innego koloru marki asekuracyjne, które wlepiają się do tej karty kwitowej, zawierającej na ten cel 52 wolne kwadraty.

Przypuśćmy więc, że młody terminator w Berlinie, ukończywszy lat 16, został wciągniętym do asekuracji obowiązkowej i, stosownie do małej swojej pensyi, zaliczonym do I klasy zarobkowej, gdzie, jak widzieliśmy, składka tygodniowa wynosi 14 fenigów. Otóż po upływie

każdego tygodnia, majster, u którego pracuje, zobowiązany jest wlepić do jego karty kwitowej jedną markę asekuracyjną na 14 fenigów, a ma prawo potrącić mu za to tygodniowo 7 fenigów, czyli połowę. Po upływie mniej więcej roku, o ile składki były jako tako regularnie uiszczane — wszystkie kwadraty są zajęte, wtedy terminator od berlińskiej władzy asekuracyjnej otrzymuje drugą kartę, na której wypisaną jest u wierzchu wartość uprzedniej karty; ta stara karta zaś pozostaje w archiwum berlińskiego okręgu asekuracyjnego. Jeżeli bohater naszej opowieści przesiedli się następnie, dajmy na to — do Monachium, to monachijski urząd wymienia mu każdą zalepioną markami kartę na nową, a starą za każdym razem odsyła do Berlina. Takim sposobem, ponieważ regulamin na całe Niemcy jest jednakowy, każdy ubezpieczony kontrolowanym jest przez całe życie w instytucji asekuracyjnej tego miasta, gdzie się po raz pierwszy podał do ubezpieczenia; ostatnia zaś karta odpowiada stale pod względem wartości sumie wszystkich swych poprzedniczek.

Dowcipny ten, aczkolwiek w praktyce niezmiernie uciążliwy sposób kontroli, sprawia, że karta kwitowa staje się poniekąd fotografią curriculum vitae ubezpieczonego i że jeden rzut oka na nią wystarcza do dowiedzenia się, gdzie, jak długo i w jakich warunkach zarobkowych pracował jej okaziciel. Wysokość składek tygodniowych normowaną jest co dziesięć lat przez centralny urząd w Berlinie. Składki te obliczone są w ten sposób, by pokrywały: 1) koszta administracyjne całej instytucji, wynoszące 5 milionów, następnie 2) tworzyły kapitał, którego odsetki wystarczyły-by na renty płatne przypuszczalnie w ciągu tego 10-letniego okresu, oraz 3) dawały jeszcze możliwość odkładania na wszelki wypadek funduszu rezerwowego. Na pierwsze dziesięć lat składki tu zostały ustanowione podług cyfr już podanych.

Prawo do żądania zwrotu składek mają tylko dwie kategorie osób: po pierwsze — kobiety, wychodzące za mąż, po drugie — wdowy i sieroty po takich ubezpieczonych, którzy płacili przez dłużej niż 5 lat składki, umarli następnie, a przytem nie mieli za życia tytułu do pobierania renty niezdolnych do pracy.

Dźwignią całej tej olbrzymiej asekuracji jest na ten cel wyłączenie stworzona organizacja ubezpieczenia państwowego. Mianowicie całe Niemcy podzielone zostały na 31 okręgów, mniej więcej zastosowanych do naturalnego podziału kraju; każdy taki okręg ma swoją siedzibę w największym mieście i wystawia i przechowuje karty dla wszystkich osób mieszkających w jego granicach a podlegających przymusowi asekuracyjnemu. Każdy z tych okręgowych zakładów ubezpieczeniowych ma charakter osoby prawnej i własne statuta, przez

państwo ustanowione; organizacya wewnętrzna tych okręgów, *mutatis mutandis*, przypomina ustrój stowarzyszeń zawodowych, będących filarami asekuracyi od wypadków; tu i tam poczta jest organem wykonawczym zarazem i bankierem. Takim sposobem organizacya dana przez kanclerza stworzyła wprost coś w rodzaju państwowych instytucyi ubezpieczeniowych, subwencyonowanych grubo przez państwo i obywateli, opartych na przymusie ubezpieczenia się, po-za tem atoli rządzących się mniej więcej temi samemi zasadami, co i prywatne towarzystwa asekuracyjne.

Tak oto przedstawia się w najgrubszych zarysach idea ks. Bismarcka zapewnienia każdemu ciężko pracującemu spokojnej starości; jakkolwiek nie zadowolila nikogo i licznych posiada wrogów, zasługuje niemniej na uwagę i bezstronny sąd, jako pierwsza jak dotąd próba na wielką skalę w tym kierunku. Wiemy już, co daje ta ustawa, teraz przypatrzmy się czego nie daje i jakie mianowicie wykazuje braki.

Najwyraźniejszą wadą a raczej cechą tej asekuracyi jest olbrzymie obciążenie skarbu, jakie siłą rzeczy pociąga za sobą. Wszystko, co *ex-re* tego punktu powiedzianem zostało poprzednio przy opisywaniu stowarzyszeń zawodowych, dźwigających asekurację od wypadków, stosuje się i tu, tylko w znacznie wyższym stopniu. Pomińmy już fakt, że trzecie prawo ubezpieczeniowe pośrednio i bezpośrednio powiększa pracę urzędników poczty i administracyi i zajmijmy się odrazu kwestyą pieniężną. Tak samo jak i przy asekuracyi od wypadków, chwila bieżąca zwala tu długoterminowe zobowiązania w formie renty na przyszłość, co całej sprawie nadaje charakter bardzo poważny. Już w pierwszym roku działania ustawy subwencya państwa, w stosunku 50 marek na głowę, wyraziła się ogólną cyfrą 6½ milionów, następnie w r. 1892 wyniosła już przeszło 9 milionów rocznie, podług zaś obliczeń statystycznych, ponieważ podczas całego okresu przejściowego ciągle przybywa rent do płacenia, w roku 1900 ciężar ten podniesie się do 39 milionów, aż nareszcie z końcem okresu przejściowego, czyli w roku 1940 cyfra ta osiągnie 68 milionów i pozostanie już stale na tym poziomie. To też nie bez słuszności twierdzą przeciwnicy reformy, że przy tak wielkiej dopłacie skarbu asekuracya powinna dawać przynajmniej wyższą rentę. Nie zapominajmy przytem, że tą *otwartą* subwencyą nie wyczerpuje się jeszcze udział państwa, które wszak gwarantuje wszystkie okręgi asekuracyjne; zobowiązań, mogących z tego tytułu wyniknąć dla skarbu, obecnie najbardziej nawet przewidujący mąż stanu obliczyć nie potrafi. Stąd twierdzi opozycyja, że stwarzając na własną odpowiedzialność takie prawa, książe Bismarck złożył już

zupełnie broń przed socyalizmem. Nie bez znaczenia też jest i ten zarzut, że, przy organizacyi nadanej przez kanclerza, asekuracya od starości rok rocznie wyciąga z obiegu na swój fundusz kapitałowy co najmniej 80 milionów marek, które, lokowane obowiązkowo w papierach procentowych, giną tem samem dla potrzeb przemysłu i handlu. Przeciwnicy ustawy nie bez słuszności obliczają, że po upływie lat kilkunastu instytucya asekuracyjna rozporządzać będzie bajeczną rezerwą miliarda marek, co zdaniem ich jest stanowczo zjawiskiem niezdrowem.

Drugi, cięższy zarzut, dotyczy tego, że przy asekuracyi ks. Bismarcka ubezpieczony traci swe składki z chwilą, gdy zaczyna pracować dla siebie, co jednak powinno być i jest celem każdej jednostki. Prawo, co prawda, pozwala w takich razach na tak zwaną asekurację dobrowolną, mającą być dalszym ciągiem dotychczasowej, ale wtedy takiemu np. czeladnikowi, który się tylko co wyzwolił na majstra, wypada — jak już o tem była mowa — płacić trzy razy tyle co dotąd, mianowicie nietylko swoją dotychczasową składkę, ale jeszcze i dotychczasowy udział pracodawcy i państwa; nie jest to zupełnie słusznem, boć niejeden czeladnik mający stałe utrzymanie ma się lepiej, a w każdym razie nie gorzej od młodego majstra, który jeszcze mało zarabia. Analogicznie ma się rzecz z kobietami, które, wychodząc za mąż, tracą wszelkie prawo do renty i otrzymują zwrot tylko połowy uiszczonych za nie składek.

Następnie słusznem może było-by się zapytać, czy nowa ustawa dociera do źródła złego, pamiętając tylko o zgrzybiałym wieku robotnika. Lat 70 żyje bardzo mało ludzi, a rzadkimi również są wypadki, gdzie choroba pozbawia człowieka zupełnie zdolności do pracy; natomiast bez porównania częściej źródłem pauperyzmu jest nędza, w której śmierć ojca rodziny pozostawia wdowę i sieroty, a właśnie na tem polu ustawa kanclerska nie działa wcale.

Ujemną stronę nadto stanowi niepewność renty i jej szczupłość. Pewną jest renta tylko temu, kto dożyje lat 70; jeżeli zaś ubezpieczony umiera przedtem, nie skorzystawszy i z renty niezdolnych do pracy, to po śmierci jego ogół, a w każdym razie połowa składek przepada; prawa do renty starości nabiera się zaś, jak widzieliśmy już, wogóle dopiero po trzydziestoletniem sumiennem płaceniu składek, co w praktyce może być czasami uciążliwem. Również i o tem zapominać nie należy, że „inwalidem”, t. j. niezdolnym do pracy, jest dla prawa nie ta osoba, która *w swoim zawodzie* już pracować nie może, lecz tylko ta, która jest lub wogóle niedołężną, lub niezdolną zarobić więcej jak $\frac{1}{3}$ swego dotychczasowego zarobku. W kapitalnem dziele ministra Bössego znajdujemy przykład bardzo charakterystyczny. Przypuśćmy np.

że wykwalifikowany zecer, zarabiający zwykle około 4.50 marek dziennie, zapada do tego stopnia na oczy, że jako zecer pracować nie może. Otóż dla asekuracji taki zecer nie jest jeszcze inwalidem, póki można mu dowieść, że na innej drodze, np. siłą rąk i noszeniem ciężarów, mógłby zapracowywać $\frac{1}{3}$ swego dawnego zarobku, czyli choćby 1.50 marek. Twardy ten warunek, nie liczący skądinąd z humanitarnym duchem całej ustawy, zjednał temu prawu licznych wrogów.

Co do szczupłości, to widzieliśmy już, że renta starości wynosi w najwyższej klasie 191 marek rocznie; przy największej nawet oszczędności jest to jeszcze za mało, a tak samo się ma z rentą niezdolnych do pracy; z tego powodu twierdzą przeciwnicy ustawy, że „renta ta daje za dużo, aby umierać, ale o wiele za mało, aby żyć.” Zarzut ten nabiera podwójnego znaczenia w zestawieniu z faktem, że asekuracja kanclerza stwarza takie morze pracy i formalności, iż sama administracja kosztuje rocznie 5 milionów marek, chociaż znajduje bezpłatną a obowiązkową pomoc u tysięcy urzędników państwowych i u tysięcy ludzi pełniących rozmaite funkcje honorowo.

Do tego wszystkiego przyłącza się nakoniec jeszcze uzasadniona wątpliwość, czy istotnie niskie składki, ustanowione dla każdej klasy zarobkowej na pierwsze dziesięciolecie, po upływie tego okresu, a zatem już za lat 7, nie będą musiały być zaraz podwyższone. Była już mowa o tem, że składki te zostały obliczone w ten sposób, by stworzyły kapitał, od którego odsetki pokrywały-by renty, przypadające przypuszczalnie do płacenia w tych pierwszych dziesięciu latach. Nie ulega atoli wątpliwości, że liczne renty z pierwszego okresu będą musiały być wypłacane jeszcze i podczas drugiego; ponieważ takim sposobem należało-by płacić renty nie z odsetków, lecz z kapitału, co byłoby oczywiście bankructwem, tedy podług wszelkiego prawdopodobieństwa drugi okres zacznie się od podwyższenia składek dla wszystkich klas zarobkowych, a wtedy jeszcze widoczniejszym stanie się brak proporcji między tem, co kosztuje, a co daje ta trzecia ustawa asekuracyjna państwa niemieckiego.

Cenny nader materyał dla pracy niniejszej stanowiła, wydana przez rząd niemiecki specjalnie dla wystawy w Chicago, monografia o rezultatach osiągniętych w Niemczech od czasu wprowadzenia w życie trzech kardynalnych ustaw o przymusowej asekuracji. Cyfry w tej monografii podane dotyczą roku 1892, a zatem określają najdokładniej

chwilę obecną, ze względu zaś na arcyurzędowy charakter całego wydawnictwa, mają niepoślednią wartość ilustracyjną; z tego też powodu podajemy poniżej kilka bardzo charakterystycznych i interesujących zestawień, zawartych w zacytowanej monografii.

Asekuracja robotników w państwie Niemieckiem.

Ogół ludności	50,000,000.
Liczba robotników i wyrobników	12,500,000.

1892. WYKAZ OGÓLNY. 1892.

M a r e k:

Asekuracja od	Choroby	Nieszczęśliwych wypadków	Niezdolności do pracy
Liczba jednostek ubezpieczonych	7,723,000	18,000,000	11,200,000
Do " " odszkodowanych	2,752,000	210,000	187,800
Dochoły	132,000,000	68,000,000	108,200,000
W tych składki { pracodawców	31,000,000	54,000,000	47,375,000
{ pracujących	77,500,000	—	47,375,000
Wydatki	124,000,000	54,000,000	108,200,000
W tych { odszkodowania	95,000,000	32,500,000	22,400,000
{ administracya	6,200,000	7,400,000	4,480,000
Kapitał rezerwowy każdej	110,000,000	101,000,000	162,850,000
Przeciętna wysokość odszkodowania na jednostkę	35	185	120
Przeciętne obciążenie robotnika na jednostkę	14	3	9
Asekuracja przymusowa obowiązująca od lat	10	9	2

V.

Ochronne prawa robotnicze.

Dla uzupełnienia obrazu, poniekąd i dla wewnętrznej i historycznej konieczności, należy poświęcić kilka słów jeszcze tak zwanym ochronnym prawom robotniczym, to znaczy prawom, mającym na oku fizyczne i moralne zdrowie pracującego robotnika a pragnącym dopiąć tego celu drogą specjalnych przepisów administracyjnych; do tej dziedziny należą wszystkie prawa, zabraniające lub regulujące pracę małoletnich i kobiet, pracę niedzielną, długość dnia roboczego i t. d. Otóż ciekawem jest, że na tem polu socyjalizm państwowy,—o ile chcemy go identyfikować z księciem Bismarckiem, co do pewnego stopnia nie byłoby fałszywym—zdziałał znacznie mniej, tak, że jeszcze parę lat temu

prawodawstwo w Austrii i Szwajcaryi, przedewszystkiem zaś w Anglii, zapewniało robotnikowi przemysłowemu znacznie więcej opieki, aniżeli w Niemczech, gdzie dopiero spadkobierca kanclerza w dziedzinie socjalizmu państwowego, młody cesarz Wilhelm, podjął samoistną w tym właśnie kierunku inicjatywę.

Faktem jest, że o ile na polu asekuracji Bismarck, rzec można, popychał siłą i urokiem swej postaci cały naród niemiecki, wskutek czego w krótkim względnie czasie, mimo największych przeszkód, stworzył i przeprowadził trzy fundamentalne prawa ubezpieczeniowe; o tyle na polu tych praw ochronnych dawał się sam leniwie popychać przez parlament. Podług własnego jego wyrażenia, zachowywał on względem tej idei co najwyżej życzliwą neutralność, to też wszystkie tego rodzaju inicjatywy, wyszłe z łona parlamentu, wobec postawy kanclerza upadały jedna po drugiej, nie znajdując uznania w radzie związkowej. Jeżeli przypomnimy sobie, z jakim fanatyzmem niemal ks. Bismarck bronił zasady interwencji państwa na tak blizkiem polu przymusowych ubezpieczeń robotniczych, to ta jego bierność, a raczej niechęć do tej samej zasady w dziedzinie praw ochronnych staje się nieomal zagadką.

Jak w tylu innych decyzjach tego męża stanu, tak i tu mieszają się względy natury praktycznej z pobudkami raczej psychologicznymi. Górującą cechą charakteru kanclerskiego była od początku do końca wielka ambicja, niezupełnie wolna od próżności. To też o tyle jest to dość naturalnem, że w sercu ks. Bismarcka mieściło się więcej sympatii dla prawodawstwa asekuracyjnego, które, powstałe z jego wyłącznej inicjatywy, wypielegnowane pracą jego rąk, będzie mimo swych usterek po wsze czasy nierozłącznem z jego imieniem—aniżeli dla tych praw ochronnych, co do których ubiegały go ciągle centrum i wolnomyślni, tak, że w najlepszym razie czekała kanclerza drugorzędna rola posłusznego wykonawcy woli parlamentu. Rzecz prosta zaś, że taka rola nie wystarczała politykowi tego kalibru, który wszak głównie dlatego zajął się wogóle kwestyą robotniczą, by zjednać sobie popularność kosztem prowodyrów socjalistycznych.

Na takie zachowanie się ks. Bismarcka w wyższym oczywiście jeszcze stopniu wpływał wzgląd, że jego trzy prawa asekuracyjne, zwłaszcza dwa ostatnie, obciążają i tak bardzo znacznie pracodawcę, nakładając na niego z tego tytułu przeliczne wydatki, których nie ponosi przemysłowiec w innych krajach. Z tego powodu kanclerz aż do ostatniej chwili swego urzędowania tylko platonicznie bronił zasady, że dla względów zdrowotności należy państwu wydawać coraz ostrzejsze przepisy co do pracy fabrycznej—atoli ani razu nie wystąpił z własną tego rodzaju inicjatywą.

Historycznie kwestya ta przedstawia się w sposób następujący: cesarstwo niemieckie, zaraz po wojnie z Francją, przyswoiło sobie, tak samo jak i w tylu innych dziedzinach, najzupełniej prawodawstwo przemysłowe północno-niemieckiego związku z roku 1869. Zgodnie atoli z duchem owej epoki, wszystkie te przepisy były dość łagodne dla pracodawcy; unikały wogóle wyraźnej interwencji państwowej, a jeżeli nawet wydawały jakiś zakaz, to czyniły to w formie dopuszczającej tyle wyjątków, że, podług dowcipnego porównania posła Bebela, przypominały owe pismo humorystyczne, które w nagłówku miało napis, że wychodzi codziennie oprócz dni powszednich. To też w samym zaraniu epoki socjalizmu państwowego w 1878 r. nastąpiła rewizya ustawy przemysłowej w duchu obostrzenia przepisów o pracy fabrycznej, przy której sposobności Niemcy otrzymały po raz pierwszy inspektorów fabrycznych.

Od tego czasu zaczyna się, można powiedzieć, współzawodnictwo między rządem a wszystkimi kolejno parlamentami co do opieki nad robotnikiem. Widok pozostaje ciągle ten sam: rząd chce okazać swoją troskliwość o los klasy robotniczej przez inaugurowanie wielkostylowych praw asekuracyjnych, parlament — przez stopniowe obostrzanie przepisów dla pracy fabrycznej; w tym ostatnim kierunku działa głównie prawica zachowawcza, przedewszystkiem zaś centrum katolickie, które w pewnych kwestyach z tej dziedziny, jak np. w kwestyi zabronienia pracy niedzielnej, zdobywa się na wielką energię. Faktem jest, że od roku 1880 rok rocznie parlament wnosi rozmaite projekta, dotyczące pracy kobiet i dzieci oraz pracy niedzielnej, i przyjmuje one, gdy rada związkowa projekta te odrzuca. Dość powiedzieć, że nawet projekt tego rodzaju, przyjęty prawie jednogłośnie w parlamencie dnia 17 lipca 1887 r., i dwa analogiczne wnioski centrum z lat 1888 i 1889, doznają w radzie związkowej tego samego losu, chociaż, jak wiadomo, centrum w owych czasach, pod wodzą Windthorsta, było decydującym czynnikiem. Rząd odpowiadał konsekwentnie, że prawa ochronne nie mogą dać robotnikowi tyle dobrego, co prawa asekuracyjne, i że dlatego na razie rząd nie pragnie rozpraszać swej akcyi prawodawczej.

Nowa era, rozpoczęta z chwilą wstąpienia na tron obecnego cesarza niemieckiego, i tu zmieniła zupełnie postać rzeczy. Socjalizm państwowy pociąga za sobą pewne mistyczne pojmowanie obowiązków rządu, wskutek czego zapewne kierunek ten jest też nader sympatycznym dla Wilhelma II. Z tego powodu drugie stadyum epoki socjalizmu państwowego należy datować od dnia 4 lutego 1890 r., w którym wyszły owe pamiętne manifesta Wilhelma II. W manifestach tych, które, jak wiadomo, wbrew literze konstytucyi nie były przez kanclerza kontra-

sygnowane i dały pośrednio powód do jego dymisji, cesarz odrazu zajął wprost przeciwne stanowisko w tej kwestyi, rozkazując, by rząd poświęcił całą swą pracę nietylko prawom asekuracyjnym, lecz i prawom ochronnym, i w tym celu zaprosił przedstawicieli zagranicy na wspólne narady.

Samodzielne wystąpienie młodego monarchy głównie dla tego ostatniego punktu posiada znaczenie; wola monarsza nietylko że otworzyła socyalizmowi państwowemu nowe pola, których nie chciał mu na razie otworzyć i sam kanclerz, ale—co jest stokroć ważniejszym—wprowadza po raz pierwszy do tego systemu nowy zupełnie czynnik: wspólnej akcji *międzynarodowej*, mającej niejako wyrażać solidarność interesów wszystkich społeczeństw wobec zaostrzającej się kwestyi socyalnej; naszemu pokoleniu nie sposób jeszcze ocenić, czy myśl ta, brzemiennea w skutki najdonioślszego znaczenia, potrafi zarazem i złemu zaradzić; w każdym razie faktem jest, że tysiące umysłów tylko w tym kierunku międzynarodowej akcji upatrują do celu wiodącą drogę.

Zaraz po manifestach nastąpiło, jak wiadomo, zwołanie do Berlina międzynarodowej konferencji dla ochronnych praw robotniczych. Ironia losu, a raczej stanowczość młodego Hohenzollerna, kazała gabinetowi pruskiemu rozsyłać po całej Europie zaproszenia na taką konferencyę, gdy rok zaledwie przedtem ten sam rząd niemiecki w osobie kanclerza wymówił się prawie szorstko od wzięcia udziału w takiejże konferencji, proponowanej przez Szwajcaryę, przyczem rząd berliński oświadczył wtedy bez ogródki, że „w sprawach robotniczych międzynarodowe obrady nie przydadzą się na nic.”

Program tej konferencji jest jeszcze w świeżej pamięci ogółu, temi sprawami się interesującego; psychologicznie ciekawem jest, że nie zawierał on już pewnych ważnych punktów, które figurowały pierwotnie w manifestach, ale zapewne po trzeźwiejszem zbadaniu okazały się zbyt ryzykownemi. Tak np. w pierwszym zapędie manifest monarszy wprost wyrażał życzenie, by robotnicy otrzymali własną swoją reprezentacyę klasową, powołaną do obowiązkowego współpracownictwa przy prawodawstwie fabrycznem; urzędowy zaś program konferencji natomiast już o tem nie wspomina, jak również przemilcza o drażliwej kwestyi maksymalnego dnia roboczego i zajmuje się wogóle mało losem dorosłych robotników męskich.

Z tego powodu program konferencji zamknął się w 5 rozdziałach, mianowicie: 1) warunków pracy w kopalniach, 2) pracy niedzielnej, 3) pracy dzieci, 4) pracy jednostek młodocianych, 5) pracy kobiet. Nie sposób wyliczać tu wszystkich uchwał tej konferencji, streszczonych następnie w obszernym protokóle. Rzeczowo ona przedmiotu dla

Niemiec nie posunęła, ponieważ tylko w kwestyi pracy kobiecej powzięła rezolucyę, sięgającą dalej aniżeli odnośne przepisy prawa niemieckiego; wogóle zadaniem jej było raczej formułować tylko życzenia, fachowo je uzasadniać, po-za tem zaś chyba wyrażać pod adresem rządów europejskich nadzieję, iż życzenia te nie pozostaną—życzeniami pobożnemi. To też znaczenie tej konferencyi jest objawowem raczej aniżeli realnem; specjalnie zaś dla Niemiec o tyle miała ona skutek, że na jej tle nastąpiła w Niemczech, z chwilą ustąpienia Bismarcka, gruntowna rewizya przepisów fabrycznych z jawnem dążeniem do jeszcze silniejszego wzmocnienia interwencyi państwowej w celu polepszenia doli robotnika.

Jasno też przemówiła odrazu w tym sensie mowa tronowa, zagajająca w dniu 6 maja 1890 r. prace nowoobranego parlamentu; monarcha, polemizując wprost z ks. Bismarckiem, przyznaje, że konsekwentnie przez tego ostatniego odrzucane wnioski parlamentu, dotyczące pracy niedzielnej, pracy kobiet i t. d., zasługiwały na przyjęcie i zapowiada w imieniu rządu rychłe wniesienie całego szeregu takich ustaw. Takim sposobem socyjalizm państwowy zrobił już za czasów Wilhelma II i bez ks. Bismarcka nowy krok naprzód, nowe te prawa bowiem zostały rychło z niewielkimi zmianami w r. 1891 i 1892 przyjęte przez parlament, ku wielkiemu niezadowoleniu socyjalistów, którzy, jak zwykle, wniesli kontrprojekt.

Na zakończenie należy teraz zestawić, w czem głównie to nowe prawodawstwo Wilhelma II poprawiło dolę robotnika i czem różnią się te nowe normy, wyznaczone dla pracy fabrycznej, od epoki księcia Bismarcka. Zmiany te bez wyjątku mają charakter przychylny dla robotnika i streszczają się w punktach następujących:

Praca niedzielna.

Za czasów Bismarcka obowiązywała w tej kwestyi ustawa przemysłowa powyżej już naszkicowana i opiewająca, że pracodawca nie może zmuszać robotnika do pracowania w dnie niedzielne i świąteczne, o ile nie wymaga tego wprost charakter techniczny danego przemysłu. Po-za tem bardzo ogólnikowem postanowieniem ustawa pozostawiała wszystko do uznania poszczególnych rządów związkowych, co w praktyce ten miało rezultat, że pracodawca nie był nigdzie krępowanym, ponieważ mógł swobodnie prowadzić fabrykacyę i w niedzielę, o ile znajdował ręce chętne do pracy, których znowuż nigdy nie brakło. Obecne prawo, nacechowane nawskróś tendencyami socyjalizmu państwowego, uniemożliwia pracę niedzielną nawet takim robotnikom, którzy się na nią chętnie zgadzają; socyjalizm państwowy dochodzi

tedy do tego, że w interesie całej klasy nie waha się krępować swobody jednostki; to konsekwentne — że tak powiemy — uszczęśliwianie jednostki często wbrew jej woli jest wogóle ważnym rysem w charakterze tego systemu.

Nowe prawo o pracy niedzielnej jest bardzo radykalnem i orzeka, że z wyjątkiem nielicznych wypadków i niektórych przemysłów, z góry przewidzianych i określonych, zabronionem jest pod karą policyjną pracodawcom zajmować robotników podczas niedziel i świąt we wszelkich kopalniach, fabrykach i warsztatach. Przymusowy ten spokój musi wynosić przy zwyczajnem święcie lub niedzieli: trzydzieści, przy świętach Bożego Narodzenia, Nowego-Roku, Wielkiej Nocy i Zielonych Świątek — sześćdziesiąt, a w razie dwóch po sobie przypadających świąt — czterdzieści ośm godzin. Wszelka praca musi ustawać w wigilię święta, najwcześniej o szóstej, najpóźniej atoli o północy ¹⁾.

Od razu wyłączonemi przez nową ustawę są tylko przedsiębiorstwa komunikacyjne, jako to: drogi żelazne, statki parowe etc., ponieważ tu zakaz pracy niedzielnej nie dałby się przeprowadzić bez dotkliwego uszczerbku dla interesów ogółu, oraz przedsiębiorstwa restauracyjno-kawiarniane, dla których z natury rzeczy zysk niedzielny jest najważniejszym. W tych wyjątkowych wypadkach prawo atoli niemniej wymaga, by każdemu robotnikowi był zapewniony zupełny spokój, bądź przez 36 godzin co trzecią niedzielę, bądź co drugą niedzielę przez 12 godzin, które atoli w takim razie muszą obowiązkowo wypadać na godzinyienne.

Praca dzieci.

Za czasów ks. Bismarcka zabronioną była praca w fabrykach dzieci niżej lat 12; dzieci zaś 12—14 lat mogły pracować najwyżej 6 godzin na dobę; praca zaś dzieci, zmuszonych podług prawa uczęszczać jeszcze do szkoły ludowej, była dozwoloną tylko o tyle, o ile nie przeszkadzała dzieciom korzystać co najmniej przez trzy godziny dziennie z wykładu. Nowe prawo normę wieku podwyższyło, orzekając, że nie wolno pracować w fabrykach dzieciom aż do lat 13. Dzieci w czternastym roku życia mogą pracować w fabrykach, o ile nie muszą chodzić do szkół, ale i w takim razie maximum pracy jest sześć godzin.

¹⁾ Nowe prawo pamiętało również i o niższych pracownikach w sklepach, kantorach, składach etc. handlowych, zapewniając i tej kategorii pracujących możliwość odpoczywania w niedziele i święta. Stąd grobowa cisza, zalegająca obecnie od roku w każdej niedzielę ulice Berlina, dawniej tak ożywione.

Praca młodocianych.

Co do pracy robotników młodocianych, to jest od 14 do 16 lat, nowe prawo ograniczyło się zatwierdzeniem dawniejszych przepisów, zaostrożonych znacznie przez rewizję roku 1877, na mocy której praca takich młodych chłopców może trwać najwyżej 10 godzin na dobę, w święta zaś i niedziele zupełnie jest zabronioną.

Praca kobiet.

Opierając się na życzeniach wyrażonych w protokóle konferencji międzynarodowej, nowa ustawa zarządziła co do tej kwestyi daleko sięgające zmiany. Dawniejsze prawa w Niemczech pozostawiały pracę kobiet zupełnie do uznania pracodawcy, zastrzegając tylko w teoryi dla rady związkowej prawo zabraniać pracy kobiecej w tych wszystkich wypadkach, gdzie zdrowie robotnicy lub jej obyczajowość specjalnie wystawione są na szwank, np. w nocy. Zastrzeżenie to praktycznie było bez znaczenia, stąd nocna praca kobiet należała do rzeczy normalnych.

Radykalnie postąpiło tu sobie nowe prawo. W nocy nie wolno już żadnej robotnicy dla jakiegokolwiek bądź przyczyny w fabryce pracować; w wigilię zaś świąt i niedziel wszelka praca kobieca musi ustać najpóźniej o godz. 5^{1/2}. Co zaś najważniejsza, nowe prawo w dziedzinie pracy kobiet zdobywa się na ustanowienie *maksymalnego* dnia roboczego, gdy — jak wiadomo — cofnęło się przed ideą wprowadzenia takiejże normy i dla pracy mężczyzn. Otóż kobietom wyżej lat 16 wolno pracować na dobę co najdłużej 11 godzin, mężątkom zaś tylko 10 godzin. Oprócz tego znacznie przedłużonym został okres czasu, w którym nie wolno zajmować położnic. Okres ten wynosił dawniej trzy tygodnie, obecnie zaś sześć, licząc od daty porodu. Ze względu na doniosłość zmian takim sposobem zarządzonych, prawo nie odrazu stało się obowiązującym, lecz otrzymało pewne terminy prekluzyjne, przeznaczone na to, aby w niektórych gałęziach przemysłu, używających dużo pracy kobiecej, pracodawca miał czas oswoić się z nowymi warunkami.

Oprócz tego najnowsza ustawa o pracy fabrycznej w Niemczech przeprowadza na całej linii i w całej rozciągłości zasadę interwencji państwowej, ujmując wszystkie wypadki z praktyki życia fabrycznego w formę prawem określonych przepisów, przez co pracodawca jest formalnie na każdym kroku przez państwo i jego organa kontrolowanym. I tak np. nowa ustawa określa drobniawo już nietylko sposób i długość pracy, lecz i termin wypłaty, sposób obrachunku między fabrykantem a robotnikiem, termin i sposób wzajemnego wymawiania sobie

pracy, sposób oznaczania i ściągania kar pieniężnych, przeznaczenie funduszu z tego źródła powstającego i t. d., i t. d. Wszystkie te normy i przepisy, noszące wspólne miano „porządku fabrycznego”, muszą być wywieszane na ścianach i podlegają ustawicznej kontroli władzy politycznej, która w każdej chwili ma prawo wykreślić punkt, nie zgadzający się w jej oczach z prawem. Tu, jak widzimy, socjalizm państwowy staje się już w najwyższym stopniu biurokratycznym.

Po-za tem nowa ustawa zawiera jeszcze dwa bardziej interesujące przepisy. Pragnąc usunąć z życia fabrycznego wszystko, co posiada klasowy i wyraźnie jednostronny charakter, ustawa surowo poleca pracodawcy, aby przed ostatecznym zredagowaniem tekstu i wywieszeniem „porządku fabrycznego”, przeznaczonego dla swego zakładu, dał swoim robotnikom sposobność do wyrażenia się, czy zgadzają się na wszystkie punkta. Przepis ten, krępujący bardzo pracodawcę w praktyce, spotkał się też z zaciętym oporem, zwłaszcza w sferze t. zw. wielkiego przemysłu.

Po drugie: nowe prawo bardzo widocznie pragnie przywrócić stosunki patryarchalne w klasie robotniczej przez wzmocnienie władzy rodzicielskiej. Mianowicie pracodawcy zobowiązani są z góry uprzedzić robotników, że 1) pieniądze zarobione przez małoletniego robotnika mogą być z kasy fabrycznej wypłacane tylko na ręce właściwych rodziców lub opiekunów i że 2) bez wiedzy tych ostatnich robotnik małoletni nie ma prawa wymawiać swego miejsca.

W ten oto sposób zabrano się w Niemczech do uśmierzenia kwestyi socyalnej; po-za obrębem obozu wolnomyślnego i socyalistycznego, które oba, choć nie dla tych samych przyczyn, nienawidzą socyalizmu państwowego, malkontentów nie jest tak dużo, jak się można było spodziewać, przeciwnie prawie wszędzie mamy w Niemczech przed sobą zupełny tryumf tej idei, która tylko w możliwie znacznem rozszerzeniu attribucyi organów państwowych upatruje możliwość ratunku.

VI.

Monopole.

Na wstępie pracy niniejszej zaznaczonem zostało, że socyalizm państwowy, jako system polityczny, przyznaje czynnikowi państwowemu prawo do dwojakiej inicjatywy: 1) interwencyjnej, 2) ekonomicznej.

czej. Jakoż widzieliśmy, że pierwsza znalazła już dobitny wyraz w ustawach Niemiec powyżej wyluszczonych i przypuszczać wolno, że w miarę zwiększania się w Niemczech głosów socjalistycznych, będzie w przyszłości coraz silniej cechowała politykę socjalną rządu tego kraju.

Zgoła odrębnego losu doznała druga połowa programu Wagnera, o ile dotyczyła ekonomicznej inicjatywy państwa, mającego tu stanąć do współzawodnictwa z pracującą jednostką. Jakkolwiek ks. Bismarck i pod tym względem stanął osobiście na wyłomie, proponując urzędowo upaństwowienie na rzecz Rzeszy fabrykacji tytoniu i spirytusu, oraz eksploatacji dróg żelaznych — niemniej tu już nawet i jego potężny wpływ okazał się niewystarczającym. Ze wszystkich tych projektów ani jeden nie doczekał się urzeczywistnienia dla braku poparcia w parlamencie i narodzie, jedyny zaś tryumf kanclerza w tym kierunku, upaństwowienie dróg żelaznych, nie objęło całych Niemiec, lecz tylko Prusy, gdzie co prawda stało się prawie zupełnem.

Zanim streścimy w krótkich słowach istotę tych poronionych projektów monopolowych, niezbędnem jest zaznaczyć, że i tu, oprócz motywów podanych urzędowo, kanclerz miał na widoku uboczne cele — po części te same, któremi staraliśmy się powyżej wytknąć rolę odegraną przez niego przy regulowaniu kwestyi robotniczej. W samej rzeczy każdy bez wyjątku monopol państwowy, tem samem, że wyklucza z danej dziedziny pracę jednostki, powiększa legalny wpływ rządu [oraz jego organów, stwarzając tysiące egzystencji od rządu zależnych.

Na tem atoli jeszcze nie koniec. Polityka monopolowa miała w Niemczech jeszcze odrębne znaczenie, będące w związku z federalistyczną budową tego kraju. Cechą, zarazem racyą bytu każdego monopolu, jest jego charakter fiskalny. Otoż w tym wypadku ta fiskalność projektów kanclerza miała odcień polityczny, którego nie posiadały-by te same monopole w innych krajach jednolitszej budowy, jak Francya, gdzie istniejący faktycznie monopol tytoniowy ma znaczenie czysto dochodowe.

Aby pojąć dokładnie, dlaczego w Niemczech ta sama rzecz przedstawia się w cokolwiek innem świetle, cofnijmy się myślą do epoki zawiązywania się cesarstwa niemieckiego podczas wojny z Francją. Niema już dwóch zdań co do tego, że główną cechą w postępowaniu Bismarcka, skąd inąd typowego przedstawiciela czysto pruskiej polityki i tradycji Fryderyków, był wtedy szczery ogólnoniemiecki patriotyzm, dbający przedewszystkiem o urzeczywistnienie się snu o jedności niemieckiej. Stąd też zachowanie się kanclerza w owej

epoce świadczy o wielkiem umiarkowaniu; nie żąda on na razie od partykularyzmu niemieckiego zbyt wielkich ustępstw, by głównego dzieła nie narazić na szwank lub niepopularność. To też ulubionym jego argumentem jest, że połączenie się Niemiec nie stanie się nigdy ciężarem finansowym dla państw związkowych, jakoż wskutek tego do dziś dnia cesarz niemiecki pełni ten urząd honorowo, gdy lista cywilna pruska, kilkakrotnie i znacznie od wojny podwyższana, musi takim sposobem płacić za europejską rolę Niemiec.

Ponieważ jednak pierwszym następstwem powstania Rzeszy było zlanie się wszystkich wojsk w jedną armię niemiecką, tedy odrazu powstała z prawnopaństwowego punktu widzenia wielka anomalia, polegająca na tem, że zjednoczone Niemcy widziały się w obliczu wydatków, na które nie miały budżetowego pokrycia. Jak wiadomo, rzecz w ten sposób załatwioną została, że, od pierwszego roku istnienia Rzeszy, państwa związkowe składają się na pokrycie wszystkich jej wydatków; dopłaty te, obliczane rocznie podług pewnych stałych norm, noszą urzędowe miano „składek matrykularnych.”

Księżę Bismarck takiego załatwienia rzeczy nigdy za ostateczne nie uznał. Zdaniem jego, Rzeszy Niemieckiej, którą nie bez pewnej racy uważał za swe dzieło i dziecko, nie wypadalo stać w tak upokarzającym stosunku do państw i państwerek związkowych, stąd od wojny ideałem jego jest wyswobodzenie jej z takiej zależności. Pierwszy krok w tym kierunku stanowi zerwanie w roku 1878 z systemem wolnego handlu i wprowadzenie ceł opiekuńczych. Cła te od tego czasu w prędkim tempie i kilkakrotnie podwyższone i rozszerzone, jako pobierane na rzecz Niemiec, byłyby w istocie dały już teraz Rzeszy zupełną niezależność finansową; ale oto już w rok później centrum katolickie, jako przedstawiciel partykularyzmu, stawia swoje *veto* i przecina drogę kanclerzowi; owa „Clausula Frankenstein”, przyjęta przez parlament za staraniem centrum, paraliżuje bowiem wysiłki kanclerza, postanawiając, że jeżeli cła, świeżo wtedy przez rząd wywalczone, dadzą dochody wyżej 130 milionów marek rocznie, to przewyżka ma być napowrót rozdzielaną między państwa związkowe ¹⁾. Wobec takiego

¹⁾ Wskutek tego budżet państwa Niemieckiego ma bardzo oryginalny wygląd: z jednej strony Rzesza zwraca państwom związkowym nadwyżkę ceł, z drugiej po dawnemu ściąga od nich składki matrykularne. Usunięcie tej rażącej anomalii było też właśnie teraz celem konferencji niemieckich ministrów skarbu, zwołanej przez pruskiego ministra skarbu Miquela. Zresztą wskutek ciągłego podwyższania ceł stosunek się już naodwrot zmienił: obecnie Rzesza więcej daje państwom związkowym aniżeli od nich ściąga, tak np. w roku budżetowym 1890/91 Prusy dały Niemcom 156 milionów a wzięły przeszło 180 milionów.

tryumfu partykularyzmu centralna władza berlińska pozostała i nadal w zależności od państw związkowych, co tem bardziej musiało być kanclerzowi nie na rękę, że ulubiona jego reforma socjalna oraz wzrost militarystyki bezustannie powiększały wydatki państwa Niemieckiego.

W takim-to usposobieniu duchowem zajął się kanclerz rozpatrywaniem projektów monopolowych, nasuwanych mu przez system socjalizmu państwowego, któremu, jak widzieliśmy, w tej samej właśnie epoce zaczął wywalczać praktyczne zastosowanie na polu socjalnem. Ponieważ monopole obiecywały wielkie dochody, mogące odrazu usamowolnić finansowo Rzeszę Niemiecką, a nie podlegające już w tym sensie jak cła ustawicznej kontroli sejmu, nie dziw tedy, że kanclerz rychło się do tych projektów zapalił i że skutkiem tego nie tylko wszystkie jego mowy z owych lat, ale nawet wprost i znane wielkie orędzie Wilhelma I z dnia 17 listopada 1881 r., sławią monopole państwowe jako wielki postęp ekonomiczny.

Wynika z powyższego, że w polityce monopolowej kanclerza centralistyczna jej dążność miała nie mniejsze znaczenie od fiskalności. Jasnym jest, że ani jeden ani drugi z tych pierwiastków na szczególne sympatyje u parlamentu liczyć nie mogły; to też broniąc monopoli przed sejmem, ks. Bismarck o tych stronach kwestyi woli dyskretnie przemilczeć. Stąd urzędowa obrona polityki monopolowej, o ile znajduje wyraz w mowach i dziennikach rządowych, z natury rzeczy argumentacyjnie jest słabą, bo w braku czego innego zapożycza się tylko u *teorii* socjalizmu państwowego i co najwyżej wskazuje na przykład innych państw, u których ten lub ów monopol rzekomo dobre dał owoce.

Stosuje się to przedewszystkiem do monopolu tytoniowego, którego projekt, wniesiony przez kanclerza na wiosnę 1882 r., został w krótkim czasie ogromną większością przez parlament odrzucony. Mimo to projekt ten jest i pozostaje bardzo ciekawym epizodem historycznym, jako przyczynek do prądów, które go wydały, nie mówiąc już o tem, że był od początku nakreślonym na taką skalę, iż miał dawać 160 milionów czystego dochodu rocznego. Motywa, jakimi w państwach parlamentarnych rząd uzasadnia każdy wnoszony projekt, były tu mało przekonujące i opiewały mniej więcej, że jeżeli państwo zmonopolizuje na swoją wyłączną korzyść uprawę, przerób i sprzedaż tytoniu, to skorzysta na tem głównie spożywca, primo ponieważ wtedy wszelkie fałszowanie towaru będzie wykluczone, secundo — ponieważ zyski, płynące z monopolu, zostaną użyte na zmniejszenie podatków, a zatem na dobro ogółu.

W tym celu rząd niemiecki chciał stworzyć nowy aparat urzędniczy i zacząć od usunięcia każdej prywatnej jednostki z obszernej dziedziny przemysłu i handlu tytoniowego; do celu tego miała prowadzić droga przymusowego wykupu. Nabierzemy dokładnego pojęcia, jak wielkie wstrząśnienie było-by wywołało przyjscie do skutku tego monopolu, oraz ile jednostek ujrzało-by się wobec z gruntu zmienionych warunków bytu, jeżeli zacytujemy parę cyfr zaczerpniętych z urzędowej statystyki przeprowadzonej *ad hoc* w roku 1880. Oto uprawą tytoniu zajmowało się 159,321 posiadaczy ziemskich, 15,028 zakładów przemysłowych mniejszych lub większych przerabia ten tytuń na dalsze wyroby, zajmując przytem przeszło 140,000 ludzi, nakoniec w 7,898 interesach handlowych niemieckich tytuń w rozmaitej formie stanowi wyłączny artykuł sprzedażny, podczas gdy w 359,275 interesach jest jednym z tych artykułów. Dodajmy teraz, że z natury rzeczy, dla technicznych trudności, obliczanie noru, służących za podstawę do obrachowywania sum wykupnych, musiało być i było też często arbitralnem, a stanie się wtedy jasnym, jak głęboko weina się w stosunki prywatne podobny monopol, jeżeli ma być nagle wprowadzonym.

Ze względu, że znaczenie wszystkich tych projektów monopolowych, jako do skutku nie doszłych, jest tylko objawowem, będziemy teraz mogli już prędzej się załatwić z monopolem spirytusowym; projekt ten, wniesiony na początku roku 1886, doznał niebywałej w dziejach parlamentaryzmu porażki. *Przeciw* głosował cały parlament, *za* nim tylko trzech posłów; cały ten projekt był tak w narodzie niepopularnym, że nawet najwierniejsi obrońcy polityki rządowej tym razem nie śmieli jednak wystąpić w jej obronie. Monopol spirytusowy był oczywiście co do doniosłości nawet od tytoniowego jeszcze kolosalniejszym, ze względu na wielkie znaczenie spirytusu dla Niemiec i krocie osób zajętych przy jego fabrykacji lub sprzedaży.

Ulubionym projektem kanclerza było następnie upaństwowienie dziedziny ubezpieczeń; mimo dwukrotnej porażki polityki monopolowej, myśl ta nie opuszczała go, stanowiąc częsty temat jego przemówień. Pozostaje to prawdopodobnie w przyczynowym związku z rolą odegraną przez kanclerza na polu prawodawstwa fabrycznego, na którego potrzeby stworzył zupełnie nowe typy instytucji asekuracyjnych, mających stanowić poniekąd pierwszy krok do zreformowania całej tej dziedziny. Kanclerz rozumuje tu w ten sposób, że jakakolwiek bądź asekuracja, aby mogła być tem, czem ma być, t. j. błogosławieństwem dla ogółu, musi być jak najtańszą, i że z tego powodu grube dywidendy, jakie wydzielają często akcyjne towarzystwa ubezpieczeń, są po prostu kradzieżą grosza publicznego.

Stąd ideałem jego było posunąć się jeszcze o krok dalej w raz wytkniętym kierunku i przeprowadzić całą reformę odrazu w najszerzym stylu przez wykupienie na rzecz państwa wszystkich towarzystw ubezpieczeniowych i następnie zmonopolizowanie wszystkich ich operacji. Olbrzymi ten plan pozostał pobożnem życzeniem kanclerza i nie dostał nawet formy wniosku rządowego; ale fakt to niezaprzeczony, że choćby już i ta „asekuracja państwowa”, tak jak ją pojmował i wprowadził w życie książę Bismarck, stanowi sama przez się nowy okres w dziedzinie asekuracyjnej, do której wprowadziła nieznane dotąd pierwiastki: przymusu i subwencji, bądź gwarancji państwowej; pośrednio kanclerz celu potrosze również dopiął, bo ostatecznie ta jego „asekuracja państwowa”, wyposażona takimi przywilejami, musiała zabrać niemało materiału i pola operacyjnego towarzystwom prywatnym.

Dla całości obrazu niezbędnem jest nakoniec wspomnieć i o drogach żelaznych, sprawa bowiem upaństwowienia tych arteryi komunikacyjnych miała i ma dla Niemiec największe znaczenie polityczne i budżetowe. Temat to tak obszerny, że dla wyczerpania go koniecznem-by się okazało przekroczyć ramy pracy niniejszej zakreślone. To też ograniczamy się na zaznaczeniu, że drogi żelazne przedstawiają dziedzinę, w której socjalizm państwowy księcia Bismarcka poniósł porażkę a zarazem i odniósł zwycięstwo. Książę kanclerz i tu miał na oku przedewszystkiem zwalczanie partykularyzmu i dlatego od wojny 1870 r. z fanatyzmem niemal żąda, aby Rzesza wykupiła wszystkie koleje i eksploatowała takowe następnie na swój rachunek.

Tutaj ten centralizmem podszyty socjalizm państwowy księcia Bismarcka doznał wyraźnej porażki, jakkolwiek nie bez słuszności powoływał się na literę konstytucyi niemieckiej, opiewającej, że w organizacji dróg żelaznych państwa związkowe mają się wyrzec samodzielności na rzecz Rzeszy. Nietylko, że przez księcia w roku 1873 w tym celu stworzony centralny urząd Rzeszy Niemieckiej dla dróg żelaznych (*Reichs Eisenbahnamt*) nie w tym kierunku zrobić nie mógł, ponieważ spotkał się w zarządach południowo-niemieckich z wyraźną niechęcią; ale i Rzesza Niemiecka dla chronicznego wówczas braku pieniędzy o wykupywaniu dróg żelaznych pomyśleć nie mogła. Takim sposobem, o ile mamy na oku te centralistyczno-uboczne cele socjalizmu państwowego, rzecz cała doznała zupełnego fiasca. Urząd centralny wegetuje zaledwie i tylko o tyle ma rację bytu, że koleje Alzacyi i Lotaryngii, jako kraju należącego wprost do Rzeszy, stanowią również własność tej ostatniej; po-za tem państwa związkowe zachowały sobie co do spraw kolejowych zupełną samoistność.

Z powyższego wynika jasno, że sprawa upaństwowienia kolei na rachunek Rzeszy z tego powodu tylko zupełnie się nie udała, że trąciła za silnie „centralizmem”, co dla szerokich mas na południu Niemiec znaczy prawie tyle, co „prusyfikacją.” Nie dotyka fakt ten atoli zgoła zasadniczego charakteru sprawy; dziewiąte dziesięciolecie naszego wieku jest w Niemczech tak nawskróś przesyczone ideami socjalizmu państwowego, że dziwnem wprost-by było, gdyby kwestya tego rodzaju, co upaństwowienie dróg żelaznych, tak bardzo dogadzająca istocie tego systemu, miała upaść dla braku sympatyj.

To też przechodzimy już teraz do dziedziny, na której tenże sam socjalizm państwowy, po oczyszczeniu go z narzuconego mu przez Bismarcka odcienia centralistycznego, święci wielki tryumf. Otóż państwa związkowe każde z osobna podjęły tę samą akcyę *u siebie*, którą odrzucały, o ile szło o Rzeszę niemiecką. Obecnie nawet i drugo- i trzecio-rzędne państwa, jak Bawaryja, Wirtembergia, księstwo Badenskie i Heskie, wykupiły na swój rachunek znaczną część prywatnych linii kolejowych i eksploatują je z niemałym zyskiem dla siebie.

Przodują pod tym względem naturalnie Prusy, w których książe Bismarck politykę upaństwowiania dróg żelaznych zaczął przeprowadzać w najszerszym zakresie, z chwilą, gdy doszedł do przekonania, iż co do Rzeszy w tym kierunku daleko nie zajdzie. To też Prusy pod tym względem przedstawiają widok nader charakterystyczny; prywatnych towarzystw kolejowych tam się już prawie nie zna; po-za obrębem niektórych linii mniejszego znaczenia, a nad którymi i tak niby miecz Damoklesa wisi pewność wykupu, wszystkie inne koleje należą już teraz do państwa; ogólna ich długość wyraża się imponującą cyfrą przeszło 25,000 kilometrów. Jeszcze większe wrażenie sprawiają dalsze cyfry, dotyczące tej kwestyi; i tak dług skarbu pruskiego dla wykupu zaciągnięty wynosi obecnie w kapitale: *cztery tysiące pięćset milionów marek* i samo oprocentowanie tego długu pochłania rocznie 164 milionów; dochód zaś, jaki skarb pruski z tego tytułu zwykle osiąga, jest tak wielki, że w roku 1889 np., po pokryciu tego oprocentowania, dał jeszcze czystego zysku poważną sumę 133 milionów marek.

Cyfry powyższe ogromem swoim dają już niejakię pojęcie, jakie znaczenie posiada cała ta sprawa wykupu dróg żelaznych przez państwo. Nie trudno wyobrazić sobie, jaką miarę wpływu dała taka reforma rządowi, któremu przypadło w imieniu państwa sprawami tak ogromnego wydziału administracyjnie zarządzać.

Właśnie to jest też przedewszystkiem solą w oku przeciwnikom socjalizmu państwowego, twierdzącym, nie bez racyi zresztą, że teraz w dziedzinie spraw kolejowych wszystko jest oddanem na łaskę i nie-

łaskę rządu, który, mając faktycznie monopol, nie obawia się żadnej konkurencji, będącej atoli zawsze i wszędzie matką każdego postępu. Przeciwnicy reformy twierdzą, że od czasu jej wprowadzenia budowa nowych dróg żelaznych ustała prawie zupełnie, ponieważ rząd odmawia koncesyi towarzystwom prywatnym, sam zaś, nie bojąc się współzawodnictwa, nowych nie buduje, tak samo, jak i nie chce przystąpić do znizienia taryf przewozowych, które bezwątpienia znizają-by się ciągle, gdyby istniała jeszcze konkurencya między towarzystwami prywatnemi. Tego rodzaju zarzutów stawianych upaństwowieniu dróg żelaznych nie trudno wyliczyć cały szereg; uzupełniają one poniekąd pobieżną nader wzmiankę, jaką, dla braku miejsca, mogliśmy tej tak ważnej sprawie poświęcić.

Z powyższego wynika, jak złożonym jest charakter socjalizmu państwowego jako systemu. Działają tu najrozmaitsze pierwiastki; obok politycznego widzimy i takie, które już wprost psychologicznemi nazwać-by należało. Z jednej strony socjalizm państwowy chce państwu przysparzać milionowych dochodów i nakłada maskę fiskalną, z drugiej zaś każe państwu *z własnego popędu* przyjmować na siebie milionowe wydatki dla idei humanitarnych i nadaje sobie szczytne, ale obowiązujące, miano „praktycznego chrześcijaństwa.” Ponieważ zaś system ten równocześnie ani w jednym, ani w drugim wypadku nie zapomina nigdy ani na chwilę o wzmacnianiu wpływów czynnika państwowo-rządowego, tedy w umyśle uważnego widza budzi się nie na żarty wątpliwość, czy to ostatnie jest tylko środkiem do celu, czy też celem właściwym? Wobec młodej metryki, jaką wykazuje era socjalizmu państwowego, obecne pokolenie już tej wątpliwości nie rozstrzygnie.

KAROL ROSE.

Literatura przedmiotu.

Oprócz dzieł już zacytowanych confer jeszcze:

Moritz Ströhl. „Die Staatssocialistische Bewegung.” Lipsk, 1885.

Lud Bamberger. „Gegen den Staatssocialismus.” Berlin, 1884.

Richard Reuter. „Sociale Reform und Verfassung.” Minden, 1885.

Prof. Gustav Schönberg. „Die Socialpolitik des deutschen Reiches.” Tübingen,

- H. Emele.* „Der Socialismus und der Staatsocialismus.” Sigmaringen, 1865.
Dr Oechelhäuser. „Arbeiterfrage.” Berlin, 1886.
Adolf Stoecker. „Socialmonarchie.” Lipsk, 1891.
Fr. Krüger. „Socialreform.” Berlin, 1891.
Gebhard et Geibel. „Führer durch die Invalid. Versicherung.” Altenburg, 1891.
Dr Kleinwächter. „Der wissenschaftliche Socialismus.” Insbruck, 1885.
Dr Hans Blum. „Die erste Frucht des Staatsocialismus.” Lipsk, 1881.
Adolf Wagner. „Offener Brief an Oppenheim.” Berlin, 1872.
Franz Stöpel. „Sociale Reform.” Lipsk, 1885.
Ludwig Fuld. „Socialreform in Deutschland.” Hamburg, 1887.
K. Bornhak. „Deutsche Socialgesetzgebung.” Freiburg, 1890.
Ferd. Gilles. „Democratie et Bismarck.” Dusseldorf, 1885.
A. Fleischman. „Agitatoren des Katheder Socialismus.” Berlin, 1884.
H. Oberwinder. „Socialismus und Socialpolitik.” Berlin, 1887.
H. Emele. „Die sogenannten Katheder Socialisten.” Sigmaringen, 1887.
W. Meyer. „Staatsocialismus und persönliche Freiheit.” Regensburg, 1884.
H. B. Oppenheim. „Kathedersocialismus.” Berlin, 1872.
Ludwig Hahn. „Das sociale Königthum.” Berlin, 1884.
W. Dawson. „Bismarck und der Staatsocialismus.” Hannover, 1890.
-

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Marquis d'Aragn. „Le prince de Nassau-Siegen d'après sa correspondance inédite 1784—89.” Paris, 1893.

Celniejszemi wyjątkami z tej książki, temi mianowicie, które się odnoszą do głośnego zjazdu kaniowskiego, uprzednio już był pośpieszył autor uraczyć szerszą publiczność, ogłaszając je w jednym z ostatnich poszytów „Revue des deux mondes.” Nie dowiadujemy się stąd niczego, czegobyśmy stokroć lepiej nie wiedzieli oddawna z relacji Ségura i de Ligne'a, z Dyaryusza Naruszewicza albo Dziennika Chrapowickiego. Że p. d'Aragn, dostawszy do ręki kilkadziesiąt epistoł, dla których jedyną rekomendacyę stanowi ta okoliczność, iż zdążyła się na nich ułożyć warstwa stuletniego pyłu, uznał za niezbędne ogłosić je światu, jest to rzecz zrozumiała i bodaj nawet chwalebna. Że jednocześnie wynurza przeświadczenie, jakoby wydaniem tych *inéditów* przysporzył nauce cennego dokumentu dziejowego, jest to mniej chwalebna a również zrozumiała pomyłka. Zupełnie już natomiast niezrozumiałą wydaje się powaga, z jaką wydawca roztacza i interpretuje wielkie plany europejskie księcia Nassau, jego głębokie a rozległe pomysły pośredniczenia między Madrytem, Warszawą, Paryżem i Petersburgiem, i na seryo usiłuje go przedstawić jako niepospolitego a wpływowego działacza politycznego. W rzeczy samej, nie ulega wątpli-

wości, że Nassau był pięknie zbudowany i bardzo celnie strzelał z pistoletu. Ale na wielkiej polityce europejskiej swego czasu tyle się rozumiał i tyle miał do niej dostępu, co pierwszy lepszy jego obławnik lub majtek okrętowy. Koniec zeszłego wieku obfitował w awanturników wszelakiego gatunku, którzy przecież wszyscy, czy nazywali się hr. Saint-Germain, czy kawaler d'Eon, Casanova czy Lucchesini, byli, bądź co bądź, ludźmi wielkiego sprytu: jedyny wśród nich Nassau był nieokrzesany i płaski. To też ani w Escorialu, ani w Wersalu, ani w Pałacu Zimowym, jakkolwiek go znoszono a niejednokrotnie nawet używano, nie rachowano się z nim bynajmniej, i jeśli gdziekolwiek brano go na seryo, to chyba tylko w Łazienkach. Gdy tedy przytrafia się nam na tem miejscu na krótką chwilę zaprzętać uwagę czytelnika nieciekawą osobistością księcia, nie dzieje się to zgoła z racji mniemanych zasług męża stanu, jakimi rad-by jego pamięć uświetnić p. d'Aragon, lecz z tego bodaj wyłącznie tytułu, że zostawił nazwę jednej z ulic w Warszawie, oraz że niewyczerpanemu Wojskiemu dostarczył okazji do intrygującej, choć, niestety, Nielitościwie przerywanej opowieści. Komuż bowiem nie jest wiadomy ów sławny *casus*, jaki

zdarzył się największym strzelcom naszych czasów,
pośłowi Rejtanowi i księciu Denasów,

i któż nie ubolewał, iż końca tej historii niezwyčajnej nie dało się wysłuchać?

Karol-Henryk-Mikołaj-Otto czterech imion książę Nassau-Siegen urodził się 1745 r. Pewniejszym był zaiste posiadaczem swych mnogich imion chrzestnych, aniżeli nazwiska i tytułu. Dziadek jego, książę panujący Nassau-Siegen, miał sposobność niezbiecie się przekonać o niesforności małżonki, z domu Mailly-Nesle, jednej z tych pięknych panien de Nesle, które tyle dostarczyły materiału kronice skandalicznej ostatnich lat panowania Ludwika XIV i pierwszych Ludwika XV; stary książę, smac pozbawiony wyrozumiałości, jaką się odznaczeni na ogół w tej epoce mężowie ładnych żon, nie chciał się przyznać do nieprawego syna, wypędził go z domu, wyzuł z dziedzictwa i tytułu. Karol-Henryk był z kolei synem tego zakwestyonowanego potomka rodu Nassau'ów i jakkolwiek za przykładem ojca uparcie się tytułował księciem i procesował z rodziną, wszakże nie dobił się ani legitymacji, ani, tem mniej, udziału w książęcej spuściźnie. Śmiały i przedsiębiorczy, jął na własną rękę szukać fortuny. Wcześniej zaciągnął się do służby francuskiej; dwudziestoletni ledwie chłopak, towarzyszył Bougainville'owi w słynnej podróży naokoło ziemi. W salonach paryskich rozślawił jego imię epizod, jaki mu się przytrafił w czasie tej wyprawy nankowej: rozpowiadano cuda o wzruszających przygodach młodego

Nassau'a z ciemnoskórą królową wysp Tahiti. Na szczęście, kontentowano się jeszcze naówczas skromnym egzotyzyzmem „Pawła i Wirginii”, nie znano zaoceanowych romansów w dzisiejszym guście; dzisiaj podobnemu wybrańcowi losu nie starczyło-by pewnie i tuzina tomów na wyśpiewanie sielanki z koronowaną „Rarahu.” Wkrótce potem niespokojnego księcia *in partibus* oglądamy włóczącego się po głębiach Afryki w towarzystwie innego podróżnika francuskiego, kawalera d'Oraison. Wtedy to podobno

w libijskiej ziemi
 goszcząc, polował z królmi murzyńskimi
 i tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił,
 z czego się bardzo książę ów Denasów chwalił.

Rzecz dokumentnie sprawdzić się nie daje, gdyż innych świadków, prócz murzynów, nie miała; niemniej przecie ów legendowy tygrys, na pojedynek ubity oszczepem, dopełnił wziętości salonowej księcia.

Po wybuchu wojny amerykańskiej wraca Nassau do szeregów francuskich. Na czele garstki śmiałków podejmuje niefortunny zamach na wyspę Jersey; później na kanonierkach d'Arçona podplywa pod Gibraltar, i ciężko ranny, nagrodzony jest przez króla hiszpańskiego za niepospolitą odwagę, jaką okazał w tej straszliwej potrzebie, tytułem granda i kilkoma milionami w gotówce, które niezadługo przepuścił. Stale odtąd szuka po świecie okazji, gdzie można-by, nadstawiwszy karku, dorobić się fortuny, a nie pyta weale, komu służyć i kogo bić wypada. Roku 1786 pojawił się w Warszawie, zbliżył do Stanisława Augusta, umiał zaimponować manierami wielkiego pana i przechwałkami matamora, podjął się sprowadzić razem, po trzydziestoletniem rozstaniu, króla Stanisława z cesarzową Katarzyną. W tym celu udaje się przedewszystkiem do wszechwładnego księcia tauryckiego, bez którego woli nic dzieć się nie mogło. Jak wiadomo, w kwietniu następnego roku zjazd szczęśliwie do skutku doszedł; lecz król próżno się odmładzał, próżno sadił na wystawność: wszystkie wyrzucone miliony i zużyte specyfiki toaletowe nie oszczędziły mu upokorzenia, które tyle budzi wstrętu, iż nie zostawia miejsca dla spółczucia. P. d'Aragon podnosi z uznaniem kunszt, z jakim Nassau umiał pozyskać przyzwolenie Potemkina na zjazd, a zarazem wielce wychwala bezinteresowne zajęcie się pośrednika sprawą opuszczonego króla. Owóz naprzód, łaskawą decyzję podyktowały Potemkinowi własne jego plany fantastyczne, z jakimi się nosił w owej chwili, a bynajmniej nie wymowa Nassau'a; powtóre zaś, jeśli się zgoła nie mylimy, Herkules z Nassau-Siegen, pogromca tygrysów libijskich i tahitańskich księżniczek, podejmując się swojej misyi, nie był wolny od zamysłów natury czysto

osobistej.—Przebywając w Polsce, poznał się z księciem generałem z. p., w jego towarzystwie dostał się w Oszmiańskie, trafił na Rejtana, nieprzyjaciela przechwałek, i na „dzika Nalibockich lasów”, który omal nie położył kresu dalszej karierze cudzoziemskiego Nemroda. Wystarał się o indygenat, którym wielce szafowano naówczas, i ożenił z niemłodą, nieładną a bogatą Karoliną Chodźkową, rozwiedzioną z Sanguszką. Dobry obserwator, ks. de Lévis, który Nassau'a opisuje jako „człowieka pospolitego obejścia i płaskiej konwersacyi”, również niepochlebnie odzywa się o jego żonie, na której obronę tyle tylko umie powiedzieć, że „jak większość Polek, lepsze miała serce, niż głowę.” Zresztą Nassau niedługo usiadł w Polsce. Jeszcze 1788 r. był się zgłosił do Potemkina pod Oczaków, dokąd na krucyatę przeciw Turkom niewiernym ze wszystkich krajów zbiegali się amatorowie silnych wrażeń, młody de Ligne, Damas, tylu innych, wśród których nie zapominajmy o Don Juanie we własnej osobie; zaś, jak wiadomo, w tym epizodzie był pierwowzorem dla poety Ligne i Nassau, z których ostatni nawet wywiózł stąd istotnie małą Turczynkę, „Pholoë.” Wtedy też książę miał sobie powierzone dowództwo nad flotylą ruską w potyczce morskiej, gdzie udało mu się rozbić doszczętnie tureckiego Kapudana-paszę. W nowym stopniu wice-admirała śpieszy do Petersburga, aby wziąć udział w wybuchłej wojnie szwedzkiej; z początku operuje pomyślnie przeciw ks. Sudermańskiemu; lecz niebawem, gdy już mniema, że samego Gustawa III z całą flotą nieprzyjacielską osaczył bez ratunku, i tryumfujące biuletyny wyprawia do stolicy, zniecacka napadnięty od króla szwedzkiego, sam okrutną ponosi klęskę. Korespondencya księcia z cesarzową z tej epoki (1789, 1790) mieściła się w zbiorach warszawskich pani Janowej Potockiej, skąd przed kilkunastu laty ogłoszoną była przez ks. Wiaziemskiego. Cesarzowa, jak się okazuje z tej korespondencyi, wiele miała względów dla księcia, któremu na kampanię ze Szwedem ciepły szlafrok posyła w upominku; i po doznanej porażce nie czyni zasłużonych wyrzutów niefortunnemu admirałowi, owszem, pociesza go, odmawia przyjęcia ofiarowanej przez niego dymisyi. Bądź co bądź, rola Rodomonta z Nassau-Siegen była skończona; admirał w szlafroku a bez floty, którą wydał na stracenie, *à la longue* nie był możliwy. Jeszcze przez lat kilkanaście włóczył się Nassau bez zajęcia po różnych dworach europejskich, zwłaszcza małych dworkach niemieckich, gdzie pewnie nie omieszkiwał

szeroko

znowu gadać o swojej Libii i spisie,
o swych królach murzyńskich i o swym tygrysie.

Po zawarciu pokoju w Amiens wrócił do Paryża, lecz tutaj, gdzie ongi królował, inne nastaly czasy; w epoce Napoleona nikt się nie troszczył o zabójcę mniej lub więcej autentycznych dzikich bestyi. W Paryżu zmarł 1805 r., w zupełnem zapomnieniu i nieszczególnych warunkach materyalnych. Koniec końców, — wracamy do uwagi, od której wyszliśmy, — p. d'Aragon śmiało mógł zostawić w spokoju jego popioły; świat ani historia nic-by na tem nie straciły.

„Jahrbuch der Goethe-Gesellschaft” XIII B., Frankfurt a. M., Literarische Anstalt, 1892.

W ostatnim tomie znanego wydawnictwa, ogłaszanego staraniem Towarzystwa Goethowskiego, pod protektoratem Zofii W. Ks. Saskiej, obecnej właścicielki bogatego „Archiwum Goethego i Szyllera”, a pod umiejętną redakcją profesora berlińskiego, L. Geigera, znajdujemy niewydane dotychczas pismo Goethego p. t. „Projekt do zaprowadzenia języka niemieckiego w Polsce.”

Rzecz najpewniej była przeznaczona przez Goethego na artykuł dziennikarski. Tak zdają się wskazywać słowa wstępne: „ostatnio i w *niniejszej gazecie* podniesione zostało pytanie: w jaki też sposób dałoby się narodowi polskiemu zaszczerpić mowę niemiecką?” Wydawca, dr Suphan, nie umie objaśnić, kiedy artykuł był pisany. Jesteśmy skłonni przypuszczać, iż powstał jesienią 1790 r., podczas pobytu Goethego na Szląsku. Nie mieliśmy możności sprawdzić, czy wzmiankowaną gazetą nie jest, jakbyśmy mniemali, „Gazeta Szląska”; może zechce to uczynić który wrocławski czytelnik „Biblioteki.” Właściwie było to zadaniem wydawcy, który lepiej byłby zrobił, gdyby odszukał dokładną datę „Projektu”, zamiast elokwentnie tłumaczyć nieoszacowaną wartość utworu, gdzie „z nowej strony, jako bojownik kultury niemieckiej w prawdziwym znaczeniu słowa, bojownik za rodzinną mowę i obyczaje, ukazuje się Goethe swoim wielbicielom i przyjaciółom.” Niżej podpisany śmie zaliczać się do najstarszych wielbicieli wielkiego poety; przecież z tego właśnie tytułu w odsłoniętej „nowej stronie” niczego budującego dopatrzeć się nie umiał. O czem niechaj zawyrokują czytelnicy.

Chodzi tedy Goethemu o „zaszczerpienie” języka niemieckiego w świeżo pozyskanych nabytkach pruskich. W tym celu występuje „z propozycją, która, aczkolwiek nie jest przymusową, może wydać się dziwną.” Zaiste, taką się wydaje. „Należy zawiązać kilka wędro-

wnych trup teatralnych w takiej ilości, aby w ciągu roku przez krótki czas mogły kilkakrotnie występować w każdej większej miejscowości. Wypadało-by tym trupom wzbronić bezwarunkowo dawania jakichkolwiek sztuk już istniejących. Otrzymały-by one od naczelnej władzy administracyjnej zbiór dyalogów, czy też niewielkich sztuczek, które wystawiać byłyby obowiązane. Te utwory winny być pisane w ten sposób, jak rozmowy w gramatykach, i w płynnej mowie niemieckiej mają odtwarzać wszelkie zdarzenia powszedniego życia ludu polskiego. Wypadało-by unikać wszystkiego, co przemawia do wyobraźni lub namiętności, jak również wszelkich uczuciowych objawów i dążeń. Wyobrażane i wygłaszane być powinny li tylko objawy realne stosunków obyczajowych. Ukazać-by należało warstwę średnią i niższą w nienniknionych czynnościach powszednich, od rana do wieczora, od dzieciństwa do starości... Czytamy u Kaempfera, że cesarzowie japońscy bardzo byli ubawieni, gdy im Holendrowie na scenie przedstawiali własne ich ukłony, powitania i czynności codzienne... Tem silniej oddziaływał-by w obecnym wypadku widok doskonalszych obyczajów panującego narodu... Następnie zbiór takich drobnych dramatów należało-by ogłosić drukiem i uczynić podręcznikiem szkolnym, w ten mianowicie sposób, aby nazwiska i scenerya były po polsku, dyalog zaś w języku niemieckim."

Tuszmy, że tych niewielu *speciminów* starczy. Krótkie też tylko od siebie dodamy uwagi. Data dokładna „Projektu” nie jest wprawdzie wiadoma, bądź co bądź, tyle jest pewnem, że był pisany w początku 10-go dziesięciolecia, a więc w samym trakcie akcji wcale dramatycznej, choć nie odgrywanej na deskach za kinkietami. Czy była już wtedy stosowna pora dla kogokolwiek, prócz chyba władz pruskich, do których to należało z urzędu, przemyśliwać nad zabiciem mowy ojczystej w kraju, gdzie nie obeschły jeszcze nowe słupy graniczne? i czy była to stosowna misya dla największego poety Niemiec, a w dodatku człowieka, który aż nadto był się otrząsnął z niemieckich uczuć narodowych? Nie zatrzymujemy się nad tem pytaniem już dlatego, że w całym szczególniejszym tym „Projekcie” wydaje się nam dominującą stroną humorystyczna. Goethe kilka posiadał stron potrochu śmiesznych: ministeryalną lojalność, wiarę w swoje odkrycia z optyki, słabość do malarstwa; wszakże nigdy chyba, czy to w swych farsach ulepił niezgrabne karykatury rewolucjonistów, czy stroił żarty z teoryi Newtona, czy rysował mozolnie widoczki i krajobrazy, nigdy chyba mocniej swej powagi na szwank nie naraził, jak w niniejszym wypadku. Że dyrektor teatru wejmarskiego w teatrze się kocha, nic w tem dziwnego; chętnie z jego Wilhelmem podążamy za kulisy, cierpliwie słuchamy w Autobiografii szczegółowych dysgresyi o przedstawieniach maryone-

tek;—ale słuchać propozycji, aby za pomocą uscenizowanych rozmówek *à la* Ollendorff przeobrazić mowę i ducha narodu, — niechaj tu zachowa powagę, kto umie. Czy wyobraża sobie czytelnik wielkopolskiego albo mazurskiego chłopca, — gdyż cały pomysł wyraźnie na warstwy ludowe jest obliczony, — chłopca z przed stu lat, przyglądającego się kusym wędrownym aktorom niemieckim, naśladowującym w niemieckiej mowie „realne objawy jego życia powszedniego?” W tym samym czasie Wojciech Bogusławski odbywał z pruskiej Warszawy wycieczki artystyczne do Kalisza i Poznania: suponujemy, że jego przedstawieniom „Beniowskiego” lub „Krakowiaków” niegroźną czyniły-by konkurencję wymyślone przez Goethego popisy. Nieocenione jest również powołanie się na mikadów japońskich. Zresztą Goethe na inny jeszcze powołuje się autorytet: „Wszakże Jezuici, którzy niezawodnie dobrze wiedzieli, jak należy obchodzić się z ludźmi, umieścili przedstawienia teatralne w swoim planie wychowawczym..., czemuż więc tak użytecznej dźwigni nie miano-by i tam zastosować, gdzie ona jedna w najkrótszym czasie wiele potrafiła-by zdziałać?”

Czegóż to wszystko dowodzi? Że wielki poeta w jakiejś złej chwili popełnił śmieszność. Tej śmieszności na szczęście drukiem nie uwiecznił, cisnął ją gdzieś do kosza, skąd wyjść nie było jej przeznaczonem. Ale od czego są stworzeni monografiści, a w szczególności ta najdoskonalsza ich odmiana, zowiąca się *Goetheforscher*?

SZYMON ASKENAZY.

„Wydawnictwa petersburskiej komisji archeologicznej.” Tom trzynasty. Petersburg, 1892.

Wydawnictwa tego, które już podało wiele materiału historycznego do wzajemnych stosunków dawnej Moskwy i Polski, wyszedł tom trzynasty. Zawarte w nim materiały dotyczą prawie wyłącznie epoki Samozwańców, a więc jednocześnie Zygmunta III, jego polityki, wyprawy wojennej z roku 1609—1612, starań przedsięwziętych przez Wazę, aby objąć tron carski dla siebie lub też dla młodego Władysława, sięgają nawet po-za ten okres, a mianowicie do pierwszych lat panowania cara Michajła Fiodorowicza. Są to już w części znane źródła historyczne, ale wydane tym razem starannie, na podstawie innych rękopisów, z pewnemi wariantami i krytycznie.

Opowieści te, jak „Inne podanie”, „Nowa powieść”, „Relacya Abraama Palicyna”, „Pamiętnik djaka Iwana Timofiejewa”, „Płacz

nad niewolą i ruiną”, „Powieść kn. Katyrewa-Rostowskiego”, noszą jedną i tę samą cechę, jedno piętno—religijne, bądź to dlatego, że, jako pierwociny literatury, powstały pod wszechwładnym wpływem Pisma świętego, Żywotów świętych i ksiąg cerkiewnych, stanowiących naówczas literaturę narodową, bądź też dlatego, że pisane były w chwili silnego wrzenia religijnego, walki, jaką wyprawa Zygmunta III za drugiego Samozwańca wywołać musiała, której też one są owocem i odbiciem. Była to, jak wiemy, chwila, kiedy naród moskiewski podjął obronę w imię zagrożonej wiary. Wprawdzie religijny ten pierwiastek odejmuje współczesnym świadectwom wiele z ich wartości historycznej, nie mniej jednak zajmującymi są one dla historyka dlatego, że wiernie oddają nam te wpływy, agitację, jaką w latach 1611 i 1612 przeciw Zygmuntowi rozwinięto.

„Inne podanie” jest opowieścią dziejów państwa moskiewskiego od śmierci Iwana Groźnego, aż do panowania Michajła Fiodorowicza. Autor opisuje popłoch, jaki w Moskwie wywołało ukazanie się pierwszego Samozwańca, Otrepjewa, który, zdaniem jego, opartem, jak powiada, na relacji Polaka, będącego w blizkich stosunkach z Dymitrem, na kilka dni przed pamiętną rzezią, której padł ofiarą, nosił się z planem wyprowadzenia wszystkich bojarów za mury miasta i wycięcia ich do nogi, aby tym sposobem utorować drogę dla wiary łacińskiej i wpływów Zachodu. Również i „Pamiętnik” kn. Iwana Katyrewa-Rostowskiego osnutym jest na szerszem historycznym tle. Mówi on, że na Iwana Groźnego rozgniewał się Bóg i wysłał na państwo króla polskiego. „Stefan imię jego, przezwisko Obotur (Batory), i przybył on z wielkim wojskiem, zajął wiele miast państwa moskiewskiego, i przesiedziało długo pod Pskowem, i skierował myśli swe ku mordowaniu chrześcian, i wyciągnął prawicę swą na nieograniczone łupiestwo” i t. d.

Pokrewnym duchem z „Innem podaniem”, ale za to o wiele bogatszym pod względem dziejowym, jest „Dziennik J. Timofiejewa”, jednego, jak widać, z licznych wrogów cara Wasyla Szujskiego. Patrzy on na Szujskiego, jak na człowieka, który podstępem objął tron, przy pomocy przyjaciół swoich, a co gorsza, rozdawał im potem, bez wyboru, urzędy, tytuły i majątki. Świadectwo Timofiejewa tłumaczy nam też wielką niepopULARNOŚĆ Szujskiego, która Zygmuntowi III zdawała się torować swobodną drogę do tronu carów. Pod tym względem Timofiejew zgadza się całkowicie z autorem traktatu „Moje skazanie”, zdradzającego także silną nienawiść do następcy pierwszego Łże-Dymitra. Za to „Nowa powieść” rozwodzi się obszerniej i ubolewa nad zdrajcami, t. j. stronnikami króla Zygmunta, zwłaszcza nad Michajłem Sołtykowem i Fedką Andronowem, jednymi z pierwszych, jacy stanęli

otwarcie po stronie Wazy. Rozumie się samo przez się, że nienawiść do nich równa się co najmniej odrazie, jaką autor czuje do Zygmunta i Polaków. „I ci wspomniani stronnicy Zygmunta, złodzieje, przewracali sobie w głowach i zachciało się im pozyskać znikomości tego świata, używać wielkiej sławy; inni znów pragnęli godności i urzędów wyższych po-nad ich zdolności i stan, porzucili Boga, zaparli się go i odszczepili od świętej prawosławnej wiary, a przyłgnęli do niego (Zygmunta), wrogięgo nam króla, i przyłgnęli doń całą duszą. Upadli w przeklętym duchu swoim i zginęli; chcą jego, złoczyńcę, posadzić na tronie wielkiego państwa naszego i służyć jemu” it. d. „I tłumy wielkie różnych stanów ludzi chodzą za tym wrogiem (Zygmuntem) i wyczekują z ust jego łaski i rozkazu, nietylko prości, bez znaczenia ludzie, ale i synowie bojarów i dworzan z najlepszymi nazwiskami.” Natomiast metropolita Filaret i patriarcha Hermogen wychwalani są jako filary wiary, fortece, o które rozbijają się niecne zamiary królewskie. Autor „Nowej powieści”, sam zresztą, jak się przyznaje, należał do liczby tych zdrajców, ale przejrawszy zamiary króla, stara się zmasać winę swoją, pobudzając potajemnie do walki. Znać w nim, jak u innych, głęboko zakorzoną nienawiść do latynizmu; wynosi pod niebiosa Smoleńsk, za to, że się trzyma, zdać nie chce i na lep obietanek Zygmunta nie idzie, „wroga, złęgo wilka, złoczyńcy.” W kwestyi oddania tronu młodemu Władysławowi autor zajmuje stanowisko nieprzejednane. Władysław, jego zdaniem, może wstąpić na tron carski, jeśli „się odrodzi według naszego zakonu i od ómy nieświadomości oczyści.” — „Lecz zły wróg (król) na nic podobnego przystać nie chce, ponieważ w myśli knuje zupełnie inne, zdradliwe zamiary. On chce, przeklęty, to wielkie nasze państwo, a z niem razem skarby niezliczone zabrać i raduje się, i wre w złem swoim sercu. Mało siedzi na jednym miejscu, śpi nawet niewiele z powodu tej wielkiej swojej radości.”

Podobną także jest treść „Płacz nad niewolą i ruiną”, ten sam żal i nienawiść do Zygmunta, podobny zwrot do Smoleńska, jedyne odporne punktu przeciw zakusom „dzikiego krwiożercy”, króla, to samo stawianie pod pręgierzem M. Sołtykowa i F. Andronowa.

Oznaczyliśmy już na wstępie okres historyczny, jaki te rozprawy teologiczno-historyczne, napisane w większej części przez duchownych, obejmują. Pojedyncze wzmianki każą się domyślać, iż dokumenta te poczęte zostały pod wpływem agitacyi metropolity Hermogena, podczas traktatu Żółkiewskiego i poselstwa pod Smoleńsk, a więc mniej więcej od chwili, kiedy Szujscy wydani zostali Zygmuntowi, aż do czasu oswobodzenia Moskwy od polskiej załogi, w listopadzie 1612 r.

„Podręcznik do systematycznego dyktanda, według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie”, ułożony przez J. W., M. P., C. B., C. N. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa 1893. — „Wykład pisowni polskiej, według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie”, ułożył Stan. Pałko. Warszawa. Nakład T. Paprockiego i S-ki. 1894.

Obiedwie te prace, świeżo ogłoszone drukiem, mają za zadanie podać nauczycielom praktyczne wskazówki pisowni polskiej i dostarczyć im odpowiedniego materiału do ćwiczeń ortograficznych. Jednocześnie ukazanie się dwóch dzieł pedagogicznych, poświęconych temu samemu przedmiotowi, należy u nas do nader rzadkich fenomenów wydawniczych i świadczy chyba wymownie, że w sferach kompetentnych szeroko się odczuwał brak książek tej treści w naszej literaturze. Jakoż, oprócz paru dorywczych próbek, jak np. Kamockiej, nie posiadamy — jeśli się nie mylą — żadnej pracy, któraby systematycznie i wyczerpująco zestawiała wszystkie właściwości naszej pisowni według tej lub innej zasady ortograficznej. Tem większego wzięcia powinny doznać świeżo wyszłe podręczniki, nie tylko dlatego, że nie mają poważnych współzawodników, ale i dlatego, że mogą istotnie oddać niemałe usługi nauczycielom polszczyzny: autorowie nagromadzili w nich materiał mniej lub więcej obfity, wielostronny i ugrupowali go w pewien systemat, a dla mniej wytrawnych nie szczędzili nawet różnych wskazówek i prawideł ortograficznych. Zwłaszcza w „Wykładzie” jest ich bardzo wiele, a niektóre z nich są nawet zbyt liczne, jak np. o końcówkach przypadkowych *ę* i *ą* w bierniku liczby pojed. rzeczowników rodzaju żeńskiego (str. 52), albo o zakończeniach osobowych *ę* i *e* w czasie teraźniejszym (str. 79). Podobny nadmiar gorliwości widoczny jest, tylko rzadziej, i w „Podręczniku.” Trudno bowiem wyobrazić sobie, żeby mogli istnieć nauczyciele i nauczycielki, którzyby nie umieli nawet przypadkowania i czasowania!... Zresztą, chcąc być konsekwentnym doradcą takich nieuków, trzeba im podać nieprzebrane mnóstwo prawideł, przypomnieć wszelkie możliwe wymagania pisowni. Jeżeli tym względem kierowali się autorowie omawianych podręczników, to przyznać wypadnie, że Pałko postąpił konsekwentniej, czyli raczej przezorniej, niż autorki „Podręcznika”: w jego książce prawidła nie pomijają żadnego działu pisowni, w „Podręczniku” zaś często znajduje się tylko zestawiony odpowiedni materiał (np. podział wyrazów na zgłoski i ich przenoszenie), lub, co najwyżej, poprzedzony odsyłaczami do „Gramatyki” Małeckiego (np. o używaniu znaków pisarskich). Zresztą, wartość podanych prawideł jest różna: niektóre z nich są sformułowane niedokładnie. Tak np. w „Podręczniku” prawidło o pisaniu *rz* i *sz* po spółgłoskach *b, p, a, t, g, k, ch* i *w* (str. 32 i 89), jest niewystarczające (np. twardszy, ulepszyć); podobnie niedokładna jest wska-

zówka o zdwajaniu spółgłosek w wyrazach swojskich (str. 102): autorki, radząc w tej mierze kierować się słuchem, zapominają, że dość rozpowszechnione jest błędne wymawianie i pisanie przymiotników szklanny, drewniany i t. d.: słowo *ssać* zasługiwało także na wyraźne uwzględnienie, przynajmniej w ćwiczeniach ortograficznych. W tejsze książki znajduję i dość ważne opuszczenia: żadnej przestrogi co do tego, jak należy pisać czas przeszły w słowach, zakończonych na *ać* (np. krzyknął, —ęła); liczne są przykłady rzeczowników, zakończonych na *dstwo* i *ctwo*, oraz przymiotników — na *dzki* i *cki*, ale brak odpowiedniego prawidła, bo to, które się znajduje na czele paragrafu (str. 73), stosuje się widocznie tylko do form słownych. „Wykładowi“ Pałki zarzucić wypada także kilka niedokładności i opuszczeń. Niedokładna jest np. wskazówka o pisaniu przysłówka *nie* łącznie z czasownikami (§ 54), o zakończeniu *ę* w rzeczownikach rodz. nijakiego (§ 13); do ważniejszych opuszczeń zaliczyć należy i tutaj brak sformułowanych przestróg o pisowni samogłosek nosowych w różnych formach czasowników, zakończonych na *nąć*, i spółgłosek *dz* i *c* w rzeczownikach, urobionych za pomocą przyrostków *stwo* i *ski*. Wszystkie te braki i usterki, jakkolwiek zmniejszają nieco wartość obu książek, nie przeszkadzają im oddać zamierzonych usług nauczycielom, nawet mniej wytrawnym i naukowo przygotowanym, jeżeli tylko ci ostatni nie zechcą całej swojej wiedzy ortograficznej opierać wyłącznie na wskazówkach omawianych podręczników. Istotna wartość, a raczej użyteczność podobnych dzieł polega nie na prawidłach ortograficznych, bo te każdy uczący powinien i może znać skądinąd, ale na zgromadzonym materiale. Materiał ten, zawarty już to w krótszych lub dłuższych zdaniach, już też w mniejszych i większych jednolitych całościach opowieściowych i opisowych, jest wogóle dość obfity i wielostronny. Czy wyczerpuje w zupełności wszystkie właściwości pisowni naszej, o tem dopiero praktyka będzie mogła zawyrokować; w każdym razie braki okażą się chyba niezbyt liczne, zwłaszcza w „Podręczniku“, który szerzej nieco uwzględnia bogactwo języka literackiego, aniżeli „Wykład“, ułożony — jak się zdaje — dla pożytku ludzi sfer trochę ciasniejszych. Bądź jak bądź, jeżeli nie w poszczególnych wyrazach, to w głównych, zasadniczych kwestyach obie prace wyczerpują wszystkie działy ortografii polskiej i pisania bez błędów nauczyć powinny. Wprawdzie sam materiał nastęrcza tu i owdzie powód do drobnych zarzutów: w obu książkach spotykają się zdania zbyt mało pouczające, albo nieprzystosowane do zasady ortograficznej, o którą właśnie chodzi, a w „Wykładzie“ Pałki zdarza się to nawet dość często (porówn. np. str. 66); niekonsekwentnie np. zamieścił „Podręcznik“ spółki (społem), rozbójnicy (rozboje) i t. d. pomiędzy wyrazami, w których dla początkujących tru-

дно jest odszukać samogłoskę *o*, skoro próchno (*proch*) zgoła nie jest trudniejsze (str. 17 i 18). Jakim cudem pomiędzy temi wyrazami znalazło się i potworne *biórko* (obok prawidłowego *biurko* na str. 39), wytlómaczą to chyba same autorki. Ponieważ jednak drobne te usterki nauczyciel łatwo pominąć lub sprostować może, nie zgrzeszę chyba przesadą, jeżeli powiem, że oba podręczniki, zwłaszcza jako *pierwsze* w tym rodzaju poważniejsze próbki, są nabytkiem pożytecznym i wielce pożądanym.

EDW. GR.

Henryk Gliński: „Pogadanka o teatrze.“

„Ostatnia kampania naszego teatru w Petersburgu—pisze p. Henryk Gliński w przedmowie—przedstawia obfity materiał, dobrą i mocną kanwę do snucia na niej uwag i spostrzeżeń, dotyczących teatru wogóle, a naszego w szczególności.“ O ile uwagi te dotyczą teatru polskiego w Petersburgu, nie znając ostatniej kampanii, którą prowadzili nasi artyści w roku ubiegłym pod kierunkiem p. Kamińskiego, nie możemy zabierać w tej sprawie głosu. Poprzestajemy przeto na zaznaczeniu, że książka p. Glińskiego, trzecia z rzędu tych, jakie autor co-rocennie od pewnego czasu w tej samej sprawie wydaje, zawiera sporą wiązkę materiału sprawozdawczego i statystycznego, że przedstawia szczegółowy obraz działalności teatru polskiego w Petersburgu i podaje, na doświadczeniu oparte, wskazówki na przyszłość; szczególność, z jaką p. Gliński zajmuje się tą sprawą, jest tak wielka, że znajdujemy w dziełku jego podane rezultaty materialne z każdego pojedynczego przedstawienia, co do przyszłości zaś, gotowy już na rok 1894 repertuar, wypełniający dwadzieścia wieczorów i złożony ze sztuk, które—zdaniami autora—mogą liczyć na powodzenie u miejscowej publiczności.

Co się tyczy ogólnych uwag o teatrze, pomówimy o tem trochę. Autor oskarża teatr o to, że nie spełnia on swojego społecznego zadania, i wini za to w równej mierze teatru, jak i publiczność. „Ta ostatnia do dziś dnia nie inaczej spogląda na teatr, jak tylko na zabawkę, na sposób wesołego, przyjemnego przepędzenia czasu.“ I autor stawia tu dezyderat następujący: „Dwie te siły, teatr z jednej, a publiczność z drugiej strony, powinny dążyć w jednym i tym samym kierunku, nie ustępując sobie wzajemnie w niczem, lecz, przeciwnie, prześcigając się, jedna—w służbie sztuce, a druga—w jej poparciu.“

Jeżeli tak nie jest,—to naprzód nie zgadzamy się z p. Glińskim, aby wina była zobopólną: teatru i publiczności; teatr jest od tej ostatniej zależny w zupełności; jeżeli nie posiada dużej i stałej subwencji, jest zwykłym przedsiębiorstwem, ekonomiczną wymianą usług, i konsumentom swoim musi dostarczać takiego towaru, jaki ci lubią—inaczej grozi bankructwo. Skoro więc przyjmujemy w tym stanie rzeczy czyjaś *winę*, to jest ona po stronie publiczności. A potem—publiczność ta, zawezwana przed trybunał, posiada na swoje usprawiedliwienie okoliczności łagodzące. Jeżeli udziela ona poparcia farsie, komedyi lekkiej, muzie wesołej, to dlatego, że intensywność intelektualnego życia, jakie zmuszone są prowadzić te warstwy, które chodzą do teatru, rodzi wprost fizyologiczną potrzebę dostarczenia człowiekowi trochę zabawy lekkiej, przy której-by umysł potrzebował jak najmniej pracować. Zresztą ten sam teatr i ta sama literatura dramatyczna, przez to, co posiadają najlepszego, przez znakomitych aktorów i przez arcydzieła sceniczne, pracują trochę na niekorzyść teatru wogóle; kształcą one smak aż do wyrafinowania i wzbudzają w widzu wysokie wymagania, których średni aktor, ani mierne dzieło sztuki nie mogą zaspokoić. Taki wymagający widz jest ostrożnym względem komedyi czy dramatu i dobrze się namyśla, czy pójść je zobaczyć, obawiając się przykrości, jakich dozna, widząc choćby miejscami nieudolność autora lub aktora. I tenże sam widz jednak bez wahania kupuje bilet na farsę, a to dlatego, że ona prawie zawsze da mu to, czego od niej wymaga: trochę śmiechu.

Oto, co zapewnia życie farsie.

Czy jednak farsa żyje kosztem poważnej sztuki? Można o to się poważnie sprzeczać; pewnem jest przecie, że najobfitszy nawet rozwój krotoczwili sztuki prawdziwej i poważnej zniszczyć nie jest zdolny. Każde dzieło talentu prawdziwego zyskuje dziś powodzenie tak dobrze, jak i po wszystkie było czasy. Przykłady, podane przez p. Glińskiego, podlegają krytyce. „Klub kawalerów“ i „Dom otwarty“ Baluckiego większem się cieszyły powodzeniem, niż „Sąsiedzi,“—to prawda—nie wszystkie też poważne komedye Lubowskiego zdołały dłużej się utrzymać na repertuarze; ale przecie „Lena“ Karczewskiego miała znaczne powodzenie, a wszystkie sztuki Sudermana — ostatnio „Gniazdo rodzinne“—długo zamieszkują repertuar. W samej-że tabeli, podanej na końcu książki pana Glińskiego, czytamy, że teatr polski w Petersburgu wystawił „Otella“ 5 razy, „Lenę“ 8 razy, „Pana Damazego“ 7 razy, „Rozbitków“ 7 razy, „Śluby panięskie“ 6 razy, i to w czasie, gdy wcale nieże farsy Dobrzańskiego, lub p. Abrahamowicza, wystawiono ledwie raz jeden, lub dwa.

Jeżeli więc teatr wystawia poważne sztuki, na które publiczność nie przychodzi, to nie jest to naprzód winą teatru, bo ten, zmuszony coś przecież wystawić, daje, co może; potem—nie jest też i winą publiczności, której nie można przekonać, że powinna się nudzić i jeszcze płacić za to w imię zadania społecznego, jakie ma teatr do spełnienia. I taki stan jest tylko winą—braku talentów, które-by zdolne były dać dzieła prawdziwie artystyczne i prze to żywotne.

Ani opieka nad talentem, co do której i p. Głiński, choć ją zaleca, ma wątpliwości, ani umiejętne kierownictwo, do czego autor zdaje się przywiązywać większe znaczenie, tego braku nie mogą zastąpić.

W. KOSIAKIEWICZ.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Saison morte wielkiej polityki przypadło w tym roku na wrzesień i początek października. Oznaczając daty podług wypadków, można powiedzieć, że sezon martwy zaczął się po manewrach alzacko-lotaryńskich; skończy się z przybyciem eskadry admirała Avellana do Tulonu, czyli za parę dni od chwili, kiedy te słowa piszemy. W tym okresie czasu jedynem zdarzeniem ogólnie-europejskiego znaczenia był zjazd w Güns, na Węgrzech, gdzie na manewra przybyli cesarz Wilhelm, król saski, książę regent bawarski, jako goście cesarza Franciszka-Józefa. Ale zjazd ten, acz zwracał przez czas jakiś uwagę, nie wydo był ze siebie nic, coby potraçało o politykę międzynarodową. Nie było żadnych przemówień, nie było nawet toastów. Książęta zajęli się całkowicie manewrami, a kiedy się te skończyły, rozjechali się do domów. Może to widzenie się ich wykazać się w przyszłości poważnemi następstwami; boć ostatecznie, skoro trzech najwybitniejsi panujący rzeszy niemieckiej przybyli na manewra armii państwa sprzymierzonego, zapewne, śledząc jej ruchy i badając stopień wyrobienia, mieli na myśli jakiś *casus foederis*, kiedy się do współdziałania tej armii odwołać wypadnie. Mogły też być i zapewne były jakieś w tym duchu rozmowy między gośćmi i gospodarzami. Ale gdy nic z nich nie przedostało się do wiadomości ogółu, koloryt obrazu utrzymał się od początku do końca w tonie bladym. Były to manewra i nic więcej; takie też tylko po nich zostało wrażenie, jak po manewrach: trochę depez o przeja-

zdach książąt, o powitaniach wojennych, o przyjęciach deputacyi, o udzielonych wysokim dygnitarzom odznaczeniach orderowych, nareszcie o pożegnaniach i wyjazdach. Potem jeszcze parę innych depesz o wrażeniach rzeczoznawców wojskowych, które tym razem miały być dla armii pochlebne, i na tem koniec.

O manewrach alzacko-lotaryńskich, po których zaczął się zastój polityczny, pisaliśmy w poprzednim zeszytcie „Biblioteki”, o wizycie tulońskiej — napiszemy w następnym. Dziś zanotujemy parę zdarzeń pomniejszej doniosłości, które jednak przyczyniły się do urozmaicenia sezonu martwego. Największe pod tym względem usługi oddała prasie i publiczności sprawa wyciągnięcia przez cesarza Wilhelma ręki do ks. Bismarcka.

Właśnie na manewrach węgierskich będąc, dowiedział się cesarz, że książę Bismarck leży w Kissingen ciężko chory. Ulegając jednemu z tych poruszeń, które mu są właściwe, cesarz Wilhelm wystosował telegram, w którym wyraża współczucie swoje z powodu choroby księcia, życzy mu powrotu do zdrowia, a dla ułatwienia rekonwalescencyi proponuje zamieszkanie przez zimę w jednej z rezydencyi cesarskich, położonej w lepszym klimacie niż Fridrichsruhe.

Telegram ten przyszedł do Kissingen w chwili, kiedy uważano powszechnie Bismarcka za wracającego już do zdrowia. To też sprawił w Niemczech niesłychany efekt. Współziomkami „żelaznego kanclerza” tak coś wstrząsnęło, jakby im kto powiedział, że nieboszczyk zmartwychwstaje. Zgoda, a więc może i powrót do władzy? Jedni się przerazili, innych ogarnęło radosne uniesienie. Jedno i drugie jednak trwało niedługo. Niebawem stało się wiadomem, że książę Bismarck grzecznie, ale chłodno, odmówił przyjęcia pałacu dworskiego na zamieszkanie; wyglądało to, jak gdyby podanej sobie ręki do zgody nie przyjął. To uspokoiło tych, którzy się obawiali. Dalej, zaczęto się dowiadywać, że, pomimo rekonwalescencyi, książę ma się bardzo źle, tak źle, iż podobno dni jego są policzone. To uwydatniło okoliczność, że nawet w razie powrotu dobrych stosunków osobistych między Wilhelmem II i byłym kanclerzem, nie nastąpi powrót ostatniego do władzy. Nareszcie po dalszem zastanowieniu stało się dla przeważnej liczby Niemców jawnem, że choćby nawet książę wrócił zupełnie do zdrowia, powrót jego do władzy jest dziś niemożliwy, niezależnie od lepszych lub gorszych stosunków osobistych z cesarzem. To są jednak rozumowania i wnioski. Fakta redukują się do tego, że ks. Bismarck jest istotnie bardzo chory, i że można go uważać jako fizycznie złamanego; oraz, że cesarz Wilhelm choremu i obezwładnionemu Bismarckowi chciał okazać i okazał współczucie. Bismarck, który się zna na odzieniach, zrozumiał, że w tym akcie przebaczenia uraz mieściło się

tyleż przynajmniej życzliwości, co lekceważenia starca. Tym razem postąpił też taktownie, że ofertę cesarską lokalu w jednej z dworskich rezydencji uchylił. I oto po wrzawie, spowodowanej depeszą cesarską, w kilkanaście dni nastąpiła znowu cisza około tej sprawy. Cesarz Wilhelm zaakcentował w łatwy sposób swoją wspaniałomyślność, ks. Bismarck przypomniał światu swoją nieugiętość. Po-za tem nie się nie zmieniło. Wielbiciele jednego i drugiego stoją dziś na tych samych pozycjach, co stali. O politycznym wpływie epizodu niema co mówić, bo go wcale nie było.

Drugim wypadkiem, który żywiej zajął uwagę, było ogłoszenie stanu oblężenia w Pradze czeskiej i okolicy. Złożony został na stole wiedeńskiej rady państwa, tylko co właśnie otwartej po feryach, wniosek zatwierdzenia tego kroku władz centralnych. Jako motywą przytacza wniosek: zamachy na instytucje religijne i na stosunki socyalne, nadużycia przeciwko bezpieczeństwu osób i własności, podżeganie do zdrady stanu, antypaństwowe i antydynastyczne agitacje, wyuzdanie polityczne prasy, nieposzanowanie władz. Jak widzimy, litania bardzo długa. Gdyby wszyscy obywatele korony czeskiej winni byli choćby po jednej z tych zbrodni, życie publiczne zmieniło-by się w przerażający chaos. To też dopuszczali się ich nie wszyscy. Przetłómaczone na język zrozumiały, motywą wniosku rządowego znaczą, że agitacje młodoczechów wydały się rządowi zasługującymi na powściągnięcie. Polityka młodoczechów spowodowała ten stan oblężenia,—nie sama przez się naturalnie, ale przez te czyny, do których usposabiała i popychała młodzież bardzo patriotyczną, lecz bardzo niedojrzałą. Polegała polityka owa na tem, że młodoczesi odpychali myśl o zgodzie i jednocześnie wszelkimi środkami budzili nienawiść do Niemców. Nie będziemy tutaj cytowali szczegółów takich, jak walka o napisy na rogach ulic, albo drastyczniejszych, jak postronek znaleziony pewnego ranka na szyi posągu cesarza Franciszka I, lub zamazywanie czerwoną farbą orłów państwowych; wszystko to znane jest czytelnikom z gazet. Hr. Taaffe przyszedł do wniosku, że skoro nie ma widoków powodzenia dla swojej polityki pojednawczej, obowiązkiem jego jest starać się zapobiedz postępom politycznej anarchii, która im dłużej-by trwała, tem bardziej utrudniała-by ugodę, nietylko na teraz ale i na przyszłość. I kazał ogłosić stan oblężenia.

Spodziewano się, że gdy się zbierze rada państwa i gdy hr. Taaffe zażąda od niej zatwierdzenia stanu wyjątkowego dla Pragi, nastąpią bardzo burzliwe sceny w parlamencie, i że wogóle dyskusya nad tą sprawą położy swoje piętno na początku przynajmniej tej sesyi jesiennej. Ale wnioskowano tak — bez hr. Taaffego. Mistrz ten niespodzianek w dniu otwarcia rady państwa złożył parlamentowi wniosek za-

twierdzenia stanu obłączenia w Pradze i zarazem—projekt reformy wyborczej w duchu głosowania powszechnego. I tym ostatnim projektem sprawił takie wrażenie, że parlament, a z nim cała Austria, zapomnieli na chwilę o wszystkim innem. Pisząc to, nie znamy jeszcze projektu reformy dokładnie. Treściwe sprawozdania telegraficzne głoszą, że prawo wyborcze ma według projektu przysługiwać w miastach i w gminach wiejskich wszystkim 24-letnim mężczyznom, umiejącym czytać i pisać, a także wysłużonym żołnierzom, choćby czytać i pisać nie umieli. Ale kurye zostają, jak były. Doniosłość tej inicjatywy jest wielka. Nie znając wszakże w całości ani projektu, ani jego motywów, z uwagami musimy się wstrzymać do następnego numeru.

Pobyt w Kijowie podczas zjazdu leśnego (w końcu sierpnia) dał nam możność przysłuchania się sprawom, które żywo obchodzą miliony mieszkańców całego państwa. Jak zapobiedz klęskom, które wynikły z wyniszczenia lasów? — to był zasadniczy program narad, a raczej, ze względu na znaczenie, kwestya ta pierwsze miejsce zajęła w uwadze zarówno uczestników zjazdu, jak i ogółu, na uboczu stojącego. Szał niszczenia był nazbyt długi, ażeby nie pozostawił ogromnych śladów po sobie. Ale te ślady są głębsze i bardziej złożone, niż się wydaje pozornie. Wielcy właściciele, zrazu nie mając nawet jasnego pojęcia o swych bogactwach, sprzedawali drzewo za bezcen sprytnym kupcom, którzy lepiej zdołali poznać „tajniki puszczy,” niżeli ich posiadacze. Skutkiem tego, jeszcze przed laty 10, 15-tu, były na porządku dziennym tranzakcyje, na mocy których handlarz hurtowny stawał się gospodarzem lasu przez lat kilka z rzędu, wycinał przedniejszą starodrzew i z tego powału wybierał sztuki najlepsze. Ile się marnowało przy tem drzew pięknych, trudno było-by zliczyć. Właściciele gorączkowały ofiarowane na raz kilkadziesiąt, a nawet paręset tysięcy rubli za tę gospodarzę szaloną przedsiębiorców, którzy miliony wysłali z obszarów leśnych. Rozumiejąc wybornie swój interes, budowali oni tartaki parowe, tymczasowe linie kolei i jak huragan przechodzili przez „nieprzebyte“ lasy, pozostawiając tylko pnie i krzaki po sobie. W pierwszorzędnym portach zagranicznych potworzyły się agentury na wielką skalę, a rzeki i kanały przez całą wiosnę i lato pokryte były nieprzerwanym szeregiem tratw. Po falach Wisły, Dniepru, Prypeci, Niemna, kanału Augustowskiego i tych drobnych arteryi, stworzonych na rozległych przestrzeniach Polesia dla osaszenia bagnisk, popłynęły za granicę te skarby, które dorównywały wartością setkom tysięcy desyatyn urodzajnej gleby. Kiedy się gwar wszczął ogromny, kiedy spostrzeżono, że przy takim szale niszczenia lasy mogą zupełnie zniknąć z powierzchni ziemi, wydano przed paru laty prawo ochronne-

Lecz zanim ono weszło w życie, właściciele resztek lasu jęli na gwałt je trzebić, bo to dawało na raz znaczne zyski, gdy tymczasem rola uprawna często jest zawodna, a dochód nie zawsze ryczałtowy. Tym sposobem wieść o nowem prawie (nie wszędzie jeszcze stosowanem całkowicie) przyczyniła się do wzrostu na chwilę gorączki. O zadrzewianiu wyciętych przestrzeni nikt nie myślał, bo obnażony grunt mógł po wykarczowaniu natychmiast być produkcyjnym, gdy na hodowlę lasu, a następnie cięcie oględne według przepisów trzeba było-by czekać lat dziesiątki.

Niebacznym spotkał jednakże w wielu miejscach i pod tym względem ciężki zawód. Olbrzymie przestrzenie gruntu, szczególnie pod sosną—to lekka piaszczysta ziemia. Skoro ją uwolniono z uwięzi, skoro wilgoć poszła głęboko, w ślad za nią zanikła krzaczasta roślinność i trawy, przestrzenie te przy pomocy wiatrów zamieniły się na szerokie morza piasku lotnego. Potworzyły się ruchome wały i góry, przed których siłą słaby i nieprzygotowany człowiek musiał ustąpić. Piaski, nie mając żadnego oporu, zasypały pola orne i łąki, w wielu zaś miejscach dostały się nawet na podwórza domostw włościańskich. Kiedyś, przed laty siedmdziesięciu, istniały wzdłuż Dniepru (w gub. Taurydzkiej) piękne winnice, ogrody owocowe, bujne łąki, obszerne i bogate lasy. Dziś na miejscach winnic, utrzymywanych niegdyś przez Tatarów, i wogóle, gdzie królowała bogata roślinność, chmury ptaactwa dzikiego i roje wszelkiej zwierzyny, — panują lawiny piasku, ciągnące się na przestrzeni przeszło 150 wiorst długiej i 35 szerokiej (ogółem około 200,000 desiatyn). Pędzone wiatrami południowo zachodnimi, szerzą się coraz bardziej. Te morza o suchych falach wprawdzie nie tak wielkie, jak owe piaski „aleszkowskie“ — są wszędzie w całym państwie, szczególnie zaś na przestrzeni od Czarnego morza do Bałtyku i na szerokim pasie obszarów bezleśnych po-za Dnieprem. Nie na tem wszakże się kończą skutki wyniszczenia lasów. Na lekkim, częstokroć pochylonym gruncie, uwolnionym od drzew, potworzyły się wądoły pod działaniem wody. Wyżłobienia te rozszerzyły się na polach ornych tak dalece, że znaczna ich część niezdatna dziś jest już do uprawy. W okolicach np. Owruca (gub. Wołyńska) na przestrzeni 30 wiorst głębokości ich dochodzi w wielu miejscach do czterdziestu sążni. (Na południe ku Odesie znane są rozpadliny jeszcze głębsze). Włościanie, którzy podczas nadziałów podostawali po 11 desiatyn gruntu, dziś, skutkiem porycia przez owe wądoły, mają zaledwie po 3 — 4 zdolnych do uprawy. Podczas długich deszczów w jesieni i roztopów wiosennych, wyżłobienia te stają się łożyskami, że tak powiemy, rzek sezonowych. Woda, wpadłszy w takie wąwozy, nabiera siły, niczem niepoohamowanej, za-

lewa pola, łąki, zostawia na nich grube warstwy piasku, albo wpędza je do rzek spławnych i tworzy wielkie mielizny.

Urwiska, rozpadliny i piaski przyczyniły się do ubóstwa wody gruntowej, szczególnie w miejscach stepowych. Skutkiem tego wszelka roślinność coraz bardziej ulega zagładzie, przestrzenie żyzne zamieniają się na pustynie, świat zwierzęcy znika, a klimat staje się szkodliwym dla człowieka. Były już liczne przykłady ucieczki ludności z takich miejsc zmartwiałych. (Fakt ten zaznaczono na ostatnim zjeździe leśników).

Obraz powyższy daje nam dokładne pojęcie o skutkach wyniszczenia lasów. Są one, jak widzimy, bardzo złożone, zabójczo wpływają na gospodarkę rolną, komunikację wodną i wreszcie—na zdrowie ludzkie. Cóż dotąd zdziałano dla zapobieżenia tym klęskom? Tu i owdzie zalecono (szczególnie włościanom) unieruchomienie piasków za pomocą wierzby czerwonej. Przy braku jednak cierpliwości, odpowiednich wskazówek i wreszcie wobec niepomiernego rozrostu fal piaszczystych, walka ta pozostała prawie bez żadnych rezultatów korzystnych. W Jekaterynosławiu powstało r. z. „Towarzystwo dla współdziałania zadrzewianiu stepów,“ mające na celu polepszenie warunków rolnictwa, niektóre zaś ziemstwa rozwinęły doraźne zabiegi około przeciwdziałania klęsce. Między innymi zasługuje na uwagę ruchliwość i pomysłowość ziemstwa czernihowskiego. Postanowiło ono starać się, iżby rząd uznał za obowiązkowe zasadzenie wierzbą czerwoną pewnej przestrzeni piasków. Nadto stara się u ministerium dóbr państwa o bezpłatne udzielanie sadzonek tej rośliny ze szkółek skarbowych właścicielom ziemskim i włościanom, o wydawanie pożyczek bezprocentowych na zadrzewienie takich przestrzeni i na nagrody po czterech lub pięciu latach, po 3 ruble od desiatyny za obsianie wierzbą czerwoną. Wreszcie ziemstwo to postanowiło nabyć na własny rachunek około 1,000 desiatyn piasków w różnych miejscach gubernii, po to, ażeby dla zachęty ludności miejscowej zasiać je wierzbą. Postanowienia powyższe całkiem racjonalnie poprzedziły czynności statystyczne, które dadzą możność objąć całokształt warunków i pozwolą działać świadomie. Ruchliwość owego ziemstwa w tej mierze powinna być przykładem i bodźcem dla innych instytucji. Oprócz powyższego krzątania się w tej sprawie, w roku zeszłym przy departamencie leśnictwa odbyły się narady względem przedsięwzięcia robót około zadrzewienia gruntów piaszczystych, tudzież zaopatrzenia ludności w wodę. W tym celu uznano za rzecz konieczną następujące roboty: Wzmocnienie urwisk i wyzłobień za pomocą żywopłotów, plecionek z chrustu, zadrzewiania brzegów wyniosłych i zabronienia orki na skłonach. Dalej: urządzenie żywopło-

tów i ścian leśnych w miejscowościach stepowych otwartych, dla zatrzymania śniegów i produkcyjnego zużytkowania wód jesiennych, tudzież wiosennych; w naturalnych jarach i dolinach urządzenie sztucznych zbiorników wody za pomocą zatrzymania opadów atmosferycznych i strumieni z roztopów śnieżnych; zadrzewienie pobrzeży rzek dla ochrony koryta od napływu piasków i brzegów od obrywania się; sztuczne zadrzewienie piasków, wyniosłości i wszelkich nieużytków. Ażeby ten program wykonać, utworzono pod przewodnictwem prof. Dokuczajewa osobną ekspedycję, która w okolicach Dniepru, Wołgi, Donu i Dońca obrała miejscowości dla robót doświadczalnych. Dotąd już zebrano sporo danych w zakresie charakteru gruntów i ich warunków geologicznych, przesylenia wodą; dla czynienia zaś porównawczych spostrzeżeń meteorologicznych pobudowano liczne stacje w stepach i lasach. W niektórych miejscowościach sami włościanie rozumieją całą doniosłość przeciwdziałania kłęsce. Tak np. w gub. Grodzieńskiej lud, posiadający około 70 desiatyn gruntów piaszczystych, wyjawił chęć pozyskania specjalisty, który-by mu dał odpowiednie wskazówki co do walki z piaskami i wyrwami. Gdzieindziej znowu chłopi wyrazili chęć prowadzenia robót darmo pod kierunkiem specjalistów. Oto i cały mniej więcej wybitniejszy ruch w tym zakresie.

Ósmy zjazd kijowski, całkiem słusznie postawiwszy na pierwszym planie tak ważną sprawę, wygłosił następujące orzeczenia, które mają charakter oficjalny: W walce z kłeską działać powinny: rząd, szlachta, instytucje ziemskie i włościanie. Rząd powinien wziąć na siebie kierownictwo i nadzór nad robotami i w pewnych razach dawać zapomogi pieniężne, wreszcie służyć przykładem w prowadzeniu robót zapobiegawczych. Konieczną jest rzeczą natychmiastowe wydanie przepisów prawnych, ogólnie obowiązujących, które między innymi mają zabronić: orania, pasienia, przepędu bydła, tudzież korzystania z przywilejów serwitutowych tam, gdzie zapanowały piaski lotne. W wyjątkowych atoli razach komitet, opiekujący się lasem, może czynić pewne ustępstwa. Należy obowiązkowo wzmacniać wierzcholki wgłębień, wyrwy i wszelkie rozpadliny, poczynione przez wodę. Nadzór nad urwiskami, wyłobieniami, oraz piaskami rzeczonemi, po wzmocnieniu należy poruczyć osobnym specjalistom i włożyć zarazem na nich obowiązek udzielania rad i wskazówek rolnikom, oraz ludności włościańskiej. Nadzór nad lasami prywatnemi należy poruczyć osobnemu personelowi techników, rozporządzających odpowiednią liczbą służby niższej. Wogóle ogłoszenie prawa specjalnego dla włożenia obowiązku walki z kłeską na całą grupę zainteresowanego społeczeństwa uznano za rzecz najważniejszą, przychylnie zaś wysłuchanie i przyjęcie powyższych spraw przez uczestnika

zjazdu, p. Jermołowa, ministra rolnictwa i dóbr państwa, każe przypuszczać, że kwestye tak ważne nie pójdą w odwłokę, tem bardziej, że wszelka opieszałość w tym względzie przyczynia się do strat nieobliczonych, które ponosi nie jakaś pojedyncza gromada ludzi, ale miliony mieszkańców państwa.

Trudno atoli się ludzi nadzieją, iż zadanie to pójdzie gładko i szybko. Trzeba się zgodzić z tem, że unieruchomienie piasków lotnych i utrwalenie pochyłości wyłobień, tudzież urwisk, wreszcie zatamowanie rozrostu jednych i drugich—jest to robota, która długie lat dziesiątki się pociągnie. Pojedyncze lub doraźne działania utoną bez śladu. Przy silnem poparciu rządu powinna tu wystąpić solidarność moralna i materialna całych mas zainteresowanej ludności. Nie zrażajmy się tem, że z odbudowania tych bogactw przyrodzonych, któreśmy sami lub nasi ojcowie zniszczyli, będą dopiero korzystały przyszłe pokolenia. Zasada „après nous le déluge“ zanadto dotkliwie daje się w wielu dzisiaj zjawiskach życiowych odczuwać. Niechże nadal nie będzie ona dewizą naszych działań.

Jeżeli w niedalekiej przyszłości roboty około zwalczania piasków i wyłobień rozwiną się szeroko, znaczna gromada specjalistów znajdzie zajęcie, a jednocześnie takie przedmioty, jak meteorologia, geologia i inne—zyskają większą wagę w szkołach. Czy państwo jednak już dziś posiada odpowiednią liczbę fachowców, którzy-by mogli sumiennie i pożytecznie pracować jako instruktorowie około walczenia ze skutkami wycięcia lasów? Zdaje się, że dotąd jest ich zbyt mało w stosunku do rozmiarów przestrzeni, zmartwiałych pod działaniem piasków i zepsutych przez wyłobienia wodne. Wogóle brak fachowców we wszelkich dziedzinach daje się odczuwać wyraźnie. Według obliczeń, wykazanych na zjeździe profesjonalistów, w całej Rosyi europejskiej wypada przeciętnie *jeden* technik wykształcony na *dwie, trzy* fabryki, dające obrotu rocznego po 50,000 rs. W 14,000 przedsiębiorstwach, mających najmniej po 10,000 rs. rocznego obrotu, przed r. 1891 było łącznie 180 pracowników o średnim wykształceniu technicznym. Z ogólnej zaś liczby osób, zarządzających przedsiębiorstwami fabrycznymi w 21,810 fabrykach i zakładach przemysłowych, tylko 6.8% było kierowników ze specjalnem wykształceniem, i z tej nawet liczby przeszło trzecią część stanowią cudzoziemcy. Reszta, 93.2%, nie miała nawet elementarnej wiedzy. Cyfry te wymownie dowodzą, że gdzieindziej istniejąca tak zwana nadprodukcya fachowców nie powinna niepokoić szczupłej garstki specjalistów gruntownie wykształconych w państwie ruskim. Na tak wielkie luki w szeregach pracowników zawodowych

stosowne władze w ostatnich latach, jak wiadomo, zwróciły uwagę, a utworzony przed paru miesiącami przy ministerjum oświaty osobny departament dla spraw wykształcenia profesjonalnego niewątpliwie wkrótce się zajmie gruntowną reformą tej gałęzi szkół w całym państwie.

W Królestwie Polskiem zaczyna się już ujawniać wielce pożądany ruch w tej dziedzinie. Jak już wiemy, zreformowano wedle potrzeb rzeczywistych Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi, tudzież postanowiono otworzyć niższą szkołę w Końskowoli dla oficyalistów wiejskich i takiż zakład w Sobieszynie. Nadto zapowiedziano zamknięcie progimnazjów męskich w Warszawie, a natomiast otworzenie szkoły handlowej, mechaniczno-budowniczo-technicznej, tudzież ogrodniczej przy ogrodzie Pomologicznym. W Maryampolu powstanie szkoła rolnicza, w gub. Kieleckiej górniczo-techniczna, w Łodzi wyższa szkoła techniczna zamieniona będzie na przemysłowo-techniczną, wymagają bowiem tego oddawna potrzeby miejscowe, jak również wedle istotnych potrzeb ma być zreformowana szkoła górnicza w Dąbrowie. Wreszcie powiększona będzie liczba szkół miejskich, w których program wejdzie nauka rzemiosł. Na to wszystko (oprócz szkoły ogrodniczej) potrzeba będzie rocznie około 210,000 rs. Dodajmy, że obok tego szeregu szkół, bądź nowych, bądź zreformowanych, przemysłowcy i przedsiębiorcy warsztatowi będą zmuszeni, pod naciskiem osobnych przepisów prawnych, do otwierania przy fabrykach niższych szkół fachowych dla przysposabiania majstrów. Oprócz tych reform i zmian, bardzo racjonalnie zwrócono uwagę na niewłaściwe rozmieszczenie niektórych szkół w Królestwie i skutkiem tego jest—przeniesienie szkoły realnej z Włocławka do Kalisza; natomiast zaś mieszkańcy pierwszego starają się o otworzenie nowej trzyklasowej miejskiej z kursem sześciolętnim. Co do rozmieszczenia szkół, nie zawsze ono bywa stosowne również w miastach wielkich, jak np. między innymi w Warszawie. Częstokroć widzimy jakąś uprzywilejowaną dzielnicę, gdzie się skupiły różne zakłady naukowe pokrewne obok siebie, gdy tymczasem inne części i ulice są jak gdyby lekceważone. Skutkiem tego młodzież szkolna nieraz musi odbywać znaczne kursa drogi, narażać się na stratę czasu, a podczas chłodu—na zaziębienie się. Wobec ujawniającej się coraz bardziej w ostatnich czasach dążności wprowadzenia higieny do szkół w najszerszym zakresie, i ten szczegół powinien być uwzględniony.

Nateżenie czujności sanitarnej spostrzegamy we wszelkich dziedzinach handlu i warunków życiowych i z obowiązku kronikarskiego

chętnie notujemy wszelkie kroki na tem polu. Tuberkuloza, większe czyniąca spustoszenia, niżeli najstraszniejsza epidemia choleryczna, nie pozwala zasypiać uczonym i rozstawać się z tą myślą, że w końcu nauka zwycięży tę okrutną niemoc. Lekarze, pracujący nad środkami usunięcia, a przynajmniej złagodzenia działania gruźlicy, niedawno na kongresie w Paryżu przyszli do następujących wniosków: Suchotnicy powinni być pomieszczeni w specjalnych szpitalach na wsi, przedtem zaś należy ich całkowicie odosobnić od innych chorych. Sprzęty i ściany w salach, przez nich zajmowanych, trzeba przynajmniej raz na miesiąc poddawać gruntownej dezynfekcyi. Mięso należy dopuszcząć do sprzedaży dopiero po dokonanej analizie, a nadzór w tym względzie ma być rozciągnięty nie tylko w miastach, lecz i na wsi. Za wzór do takiego działania niech posłużą urządzenia belgijskie. Potrzeba zachęcać do zakładania w szlachtuzach przyrządów specjalnych do sterylizacji mięsa, pochodzącego od zwierząt, podejrzanych o gruźlicę. Wszystkie szkoły powinny być zaopatrzone w spluwaczki, nauczyciele zaś muszą czuwać nad tem, ażeby dzieci nie spluwały na podłogę. Ten ostatni środek o tyle może być skuteczny, że wątle młodeciane organizmy i wcale nie odporne na zarazę będą miały sposobność przynajmniej w szkole ochronić się od zarażenia. Kierownicy więc zakładów naukowych, chociażby ich wychowañcy w przyszłości pomierali na gruźlicę, będą mieli czyste sumienie i powiedzą: „Nie myśmy temu winni!“ Tak, nie szkoła winna; ona robi, co będzie w jej mocy, ale nie ochroni młodzieży i ludzi dojrzałych od niebezpieczeństwa na każdym kroku. Ile bakteryi gruźliczych wdychamy wraz z kurzem miejskim na ulicy, w ogrodach publicznych, na podwórzach i schodach domów! Czy podobna zabronić suchotnikom spluwania wszędzie, lub czy można im zawieszać spluwaczki na piersiach?

O ile wszakże dało-by się zarządzić środki bezpieczeństwa w miejscach, gdzie się ludzie gromadnie z sobą stykają, powinniśmy robić wszystko, co nie przekracza sił naszych. To też radośnie witamy rozporządzenie, zalecające wprowadzenie spluwaczek w salach stacyi kolejowych i w wagonach. Naturalnie, będzie to tak samo lekceważone, jak przepisy, zabraniające palenia w wagonach dla niepalących. W charakterze ludzkim tkwi duch brutalnej przekory, nawet u jednostek wykształconych. Ale prawie zawsze znajdzie się ktoś w wagonie, kto z zasady zabrania palenia współtowarzyszom podróży tam, gdzie palić nie wolno. Takie jednostki, rozumiejące doniosłość rozporządzeń, będą również zwracały uwagę na to, ażeby pasażerowie, mając odpowiednie miejsce, nie spluwali na podłogę. Rozumie się, nowość ta powinna być poparta stosownym przepisem, wywieszonym w wagonach, gdyż w prze-

ciwnym razie o żadnej etyce ze strony podróżnych mowy być nie może. Ci, którzy się ujmują za porządkiem, powinni mieć nie zwyczaj, lub odwoływanie się do dobrej woli, lecz prawo dla nadania siły swym przestrogom. Tłumy, chociażby złożone z ludzi o najwyższym poziomie umysłowym, lecz obdarzonych instynktami brutalnymi, innych sposobów przemawiania nie rozumieją.

Jak gdyby odpowiedzią na wnioski uczestników kongresu paryskiego, są świeże próby w praktyce. Oprócz przyznania wielkiej wagi spluwaczkom w miejscach, gdzie stale bywa znaczne skupienie ludzi, widzimy inne przedsięwzięte środki w życiu. Oto, jeżeli mamy wierzyć doniesieniom korespondentów, w Petersburgu tworzy się na wielką skalę Towarzystwo, mające na celu zakładanie sanatoryjów w krajowych miejscowościach leczniczych dla osób niezamożnych, lecz potrzebujących kuracyi szlamami, wodami, kąpielami, winogronami, klimatem. Tym sposobem uwagi d-ra Sokołowskiego (o czem pisaliśmy w kronice czerwcowej) nie będą głosem na puszczy. Po-za tem—ministerjum dóbr państwa opracowało projekt ustawy o kontroli nad handlem produktami mlecznymi. Za fałszowanie mleka, bez względu na to, w jaki sposób, chociażby tylko za pomocą domieszki wody, winni podlegać będą karze pieniężnej od dwudziestu pięciu do *pięćuset* rubli, lub zamknięciu w więzieniu do *ośmiu* miesięcy. Fałszerzom słusznie się należy tak surowa kara, gdyż przestępstwo ich niczem nie ustępuje zabijaniu ludzi. Jednocześnie z inicjatywy jednego z zarządów gubernialnych w Królestwie Polskiem, departament medyczny zajął się opracowaniem ustawy, obowiązującej dla stacyi badań mikroskopowych. Powstaną one przy tych rzeźniach, w których podlega zabiciu więcej, niż tysiąc bydłał rocznie; analiza zaś mięsa musi być obowiązkowa. Dotąd stacye takie urządzono staraniem lekarzy, albo władz miejskich, ale o obowiązkowem poddawaniu mięsa badaniom nie było mowy, chyba tylko w razie zanadto widocznych poszlak, że pochodzi ono z bydłęcia chorego. I tu więc fałszerstwo, czyli usiłowanie zbycia konsumentom szkodliwego produktu, będzie utrudnione.

Gorliwość i poszukiwania komisji sanitarnych, tudzież wogóle jednostek, których dobro ogólne wiele obchodzi, w ostatnich czasach przyczyniły się do wielkich odkryć w dziedzinie fałszerstwa. Oto świeży fakt znamienny, nie obojętny dla setek tysięcy ludzi: Niedawno p. A. Bukowski, asesor urzędu lekarskiego miasta Warszawy, ogłosił w „Zdrowiu“ tajemnice przyrządzania produktu, bez którego dziś największy nawet nędrzarz obejść się nie może—herbaty. Mieszkańcy powiatów: Peterhofskiego, Carskosielskiego i Klińskiego trudnili się

zbieraniem wierzbowki wązkolistnej, którą pod nazwą *loporje* sprzedawali handlarzom. Ci zaś produkt nabyty poddawali takiej fabrykacji: najpierw wilgotne liście składano w niewielkie sterty, w których pozostawały aż do „zagrzenia się“ i zczernienia; następnie przecierano je w rękach z popiołem i ziemią torfową, czasem zaś nawet z *przegniętym nawozem*. Po wysuszeniu produktu, sprzedawano go w Petersburgu na targach pewnym odbiorcom po 3—5 rs. za pud, stosownie do tego, jak się „herbata“ udała. Falszerstwo takie, prowadzone na wielką skalę, trwało przez długi czas bezkarnie, aż dopiero proces, wytoczony przez firmę „braci K. i S. Popowów“ kupcom moskiewskim „A. i J. Popowom“, ujawnił ten handel, oparty na niszczeniu zdrowia ludzkiego. Kary za fałszerstwa nie zniechęciły wszakże sprytnych geszefciarzy. Mając zamkniętą jedną drogę, zwrócili się na inną. W cukierniach i restauracjach zaczęli skupować herbatę zużytą. Dla nadania pozoru świeżości zaprawiali ją cukrem palonym i innymi przedmiotami, a dla wagi dosypywali piasku, gliny i opiłek miedzianych. Skręcaniem liści takiej herbaty zajmują się robotnicy w najwyższym stopniu niechlujni, w naczyniach brudnych. Trudnią się tem wyłącznie Żydzi, a w razie wykrycia u nich suszonej herbaty, starają się wykręcać, jak można. Jeden np., pociągnięty za to do odpowiedzialności w Warszawie, usiłował usprawiedliwić się tem, iż jego herbata, znaleziona w brudnych kolorowych powłóczkach od poduszek, nie służy do picia, lecz do kąpieli dla dotkniętych chorobami skórnymi. Jest jeszcze mnóstwo innych sposobów fałszowania niskich gatunków herbaty, jak np. t. zw. „borówka brzusznica“ (kaukaska). Falszerze liczą tylko na odbiorców z warstw ubogich; produkt, wytwarzany przez kupców na wielką skalę, idzie do drobnych sklepów, tam, gdzie nabywca, kupujący zazwyczaj szczyptami lub w niewielkich paczkach, nie jest ani wybredny, ani też zwraca uwagi na etykietę. Ci więc, dla których herbata jest jedyną strawą gorącą, w dobrej wierze wprowadzają truciznę do organizmu. I tu poniekąd dobra wola ogółu ukształconego mogła-by przyjść z pomocą komisjom i pracowniom lekarskim. W wielu domach służące zbierają zużytą herbatę na sprzedaż handlarzom; otóż uważne i rozumne gospodynie powinny rozciągnąć nad tem kontrolę, co przecież nie było-by rzeczą trudną.

Wogóle ścisła kontrola nad wszelkiego rodzaju fałszowaniem produktów spożywczych dopiero wtedy będzie możliwą i wyda pożądane rezultaty, gdy nie tylko większe miasta zdobędą się na pracownie mikroskopowe. Dotąd wszakże organizacja ich nie należy do zadań zarządów miejskich lub gmin, lekarze zaś prowincjonalni nie posiadają tyle środków, ażeby mogli to robić własnym kosztem. Pomimo to, zna-

my lekarzy, którzy kosztem potrzeb życia codziennego urządzają u siebie takie pracownie, wymagające znacznych nakładów. Obecnie mamy do zanotowania świeży fakt tego rodzaju w Kole, gdzie miejscowy lekarz, obeznawszy się praktycznie z bakteriologią w pracowni doktora Bujwida, zakłada stację, niezbędną dla potrzeb mieszkańców miejscowych. Takie służenie jednostek ogółowi połączone jest z pewnym wysiłkiem, to też dziwić się nie można, że tego rodzaju fakta dadzą się policzyć na palcach. Zawód lekarski sam przez się nie należy do lekkich działów pracy i, pomimo, że z rokiem każdym wzrastają szeregi armii, czuwającej nad zdrowiem publicznym, jednakże wielu z tych szeregowców dźwiga obowiązki na swych barkach nad siły.

Godzien uwagi jest głos „Kroniki Lekarskiej“ w sprawie jej towarzyszyów fabrycznych. Pismo to uskarża się na niepożądaną stan rzeczy, na to, iż wielu lekarzy, skutkiem dość niskiego wynagrodzenia, przyjmuje pod dozór sanitarny zbyt wielką liczbę fabryk i z tego powodu obowiązkom podobać nie może, wypełnia je niedbale. Niektórzy otrzymują posady fabryczne przez protekcję i traktują je, jako synekury. Organ powyższy całkiem słusznie żąda ogłoszenia stosownych przepisów i jasnego w nich określenia obowiązków lekarzy fabrycznych, ustanowienia maksymalnej liczby robotników, podlegających dozorowi jednej osoby, wreszcie wyświeślenia stosunku lekarza do fabrykanta. Pomoc jednego człowieka jest niedostateczną ze względu, iż wśród ludności fabrycznej wielkie pole do działania mogą znaleźć: chirurg, okulista, akuszer i t. d. Na tej zasadzie pismo doradza tworzenie pewnego rodzaju związków lekarzy specjalistów dla obsługiwaną fabryk. Członkowie takiego związku dzielili-by między siebie wynagrodzenie w odpowiednim stosunku, nadto był-by stały lekarz z osobnym wynagrodzeniem do ogólnego dozoru sanitarnego. Trudno przypuścić, ażeby taki projekt mógł się zaszcześcić w praktyce. Natomiast sam rdzeń sprawy, poruszonej przez organ lekarski, t. j. reforma dozoru sanitarnego i opracowania odpowiednich przepisów, zasługuje na uwagę. W oświeśleniu tej kwestyi jeden szczegół nas zastanawia: Podobno lekarze fabryczni są utrudzani niepotrzebnie przez pacjentów, którzy żadnej porady nie potrzebują (przynajmniej tak utrzymuje „Kronika“). Rzecz szczególna! Dotąd mieliśmy liczne dowody, że zarówno lud wiejski rolny, jak i fabryczny, czuje pewien wstręt do porad lekarskich, że się udaje sam o pomoc tylko w bardzo ciężkich wypadkach choroby. Jeżeli zaś jest tak istotnie, jak organ powyższy mówi, to fakt ten jedynie zasługuje na pochwałę, dowodzi bowiem, że ludność fabryczna dba o zdrowie swoje z własnego popędu. Świadczy to także, iż lud,

pracujący w zakładach przemysłowych, uwolnił się od wpływu znachorów i felczerów, na których tak często narzekają lekarze prowincjonalni.

Żywego zainteresowania się tą sprawą dowiodła „Kronika Lekarska,” która, chcąc przedstawić ogółowi całokształt stosunków moralno-materyalnych wszystkich pracowników, czuwających nad zdrowiem powszechnem, tudzież na mocy tego dać myśl przewodnią dla wytworzenia lepszych warunków,—rozesłała w roku zeszłym kwestyonyaryusz do wszystkich lekarzy prowincjonalnych w Królestwie Polskiem i oto po 14-tu miesiącach otrzymała odpowiedzi od kilkudziesięciu, przeważnie zamieszkałych w miasteczkach. Wszyscy jednogłośnie narzekają na wdzieranie się felczerów w prawa lekarzy, wyrządzanie im krzywdy materyalnej, wreszcie po-za osobistemi względami odpowiedzi na kwestyonyaryusz charakteryzują szkodliwość „pseudolecznictwa” felczerów. Ogólna liczba tych ostatnich (według danych urzędowych z r. 1889) w Królestwie Polskiem wynosi 1,874. W tem wszakże są tylko ci zarejestrowani, którzy mają prawo leczyć. W odpowiedziach na kwestyonyaryusz cyfry pokaźniej się przedstawiają: Na jednego lekarza w osadach i małych miasteczkach przypada średnio 2—2.5 felczerów, nadto działają oni tam, gdzie niema wcale lekarzy. Ogólna więc ich liczba prawdopodobnie wynosi 3,000—3,500. O przewadze felczerów i ich wpływie świadczy fakt następujący: w jednym powiecie r. 1891 było chorych około 16,000 (na 119,000 ludności), z tych było leczonych przez pięciu lekarzy 5,251, reszta—przez 26-ciu felczerów. Przytem znaczny procent leczonych przez lekarzy musiał przedtem korzystać z pomocy felczerskiej. Jeżeli taki sam stosunek zachodzi w całym Królestwie, musimy stąd mieć pojęcie, jak olbrzymią rolę odgrywają felczerowie wśród ludności prowincjonalnej. Na mocy nagromadzonych danych, „Kronika” przychodzi do przekonania, iż bardzo mały procent stanowią felczerowie, odpowiednio uzdolnieni, t. j. tacy, którzy skończyli szkołę specjalną i odbyli praktykę w szpitalach. Ci osiadają w miastach; większość zaś — to tak zwani młodzi uczeni felczerzy, dalej „felczerowie dawnej kreacyi rad gubernialnych,” po-za tem zwyczajni cyrulicy i golibrody, eks-posługacze szpitalni, synowie byłych felczerów, czerpiący wiedzę od swych ojców, i wiele innych tego rodzaju osobistości, bez żadnej wiedzy specjalnej i ogólnej. „Czy jednak dziwić się można—pyta „Kronika,”—że lud powierza im swoje zdrowie i szuka u nich pomocy? Są to wszakże pierwsi przedstawiciele medycyny, do których przywykł od dziadów i ojców, kiedy lekarz, mieszkający daleko, był dla niego jakąś mistyczną osobistością. Czy dziwić się z drugiej strony felczerom, że śpieszą w dobrej wierze z pomo-

cą, do której niesienia są w pewnym stopniu upoważnieni *per usum et abusum*." Charakterystyczny jest stosunek między lekarzem a felczerem, powstały na gruncie ekonomicznym. Starzy praktycy mniej się uskarżają na szkodliwość wpływu felczerskiego; natomiast młodzi, którzy jeszcze miejsca dobrze nie zagrzeli i nie dali się poznać dostatecznie ogółowi, narzekają ogromnie na współzawodnictwo niższej służby sanitarnej. Dawniej nie dawało się to odczuwać tak dotkliwie; dziś warunki się zmieniły, ogólna liczba lekarzy wzrosła, tak, iż w ludnych i bardziej kulturalnych miejscowościach jeden lekarz działa w promieniu dwóch, trzech mil. Podczas gdy doktor wśród ludu wiejskiego i mieszczan ciemnych nie cieszy się popularnością, felczer łatwo ją zdobywa, częstokroć nie bardzo godziwymi środkami. „Mając do czynienia z publicznością, nie zgłębiającą różnic fachowego wykształcenia lekarzy i felczerów (słowa „Kroniki“) i wogóle mało rozwiniętą i naiwną w sądach o rzeczy, felczer stara się przedewszystkiem różnicę tę zatuszować. A więc często kupuje paltot i kapelusz takie same, jak miejscowy lekarz (tego chyba mu zabronić nie można; *przyp. kronikarza*), albo nakłada okulary i każe się tytułować doktorem. Z drugiej strony stara się wyrobić przekonanie, że on uczył się tego samego i tak samo dobrze umie leczyć, jak „ten warszawski doktor,“ ale dużo taniej (argument w danej sferze bardzo przekonujący, choć nieprawdziwy), że wreszcie ten nowy tylko zapisuje drogie lekarstwa, a w końcu i tak każe postawić bańki lub pijawki, co wszakże on (felczer) umie i sam zrobić. Dalej stara się dyskredytować skuteczność pomocy lekarza, wzywając go do chorych konających, których już uważa za straconych, albo omija, gdy pacjent wymaga wezwania lekarza, najbliższego mieszkającego, a sprowadza z dalszych stron, lub wiezie chorego do miasta.“ Całkiem jest rzeczą naturalną, iż felczer bywa podtrzymywany przez swoich krewnych, przyjaciół i wogóle ludzi z tej samej sfery, stojących na jednakowym z nim poziomie; ale znamionym faktem jest to, że z felczerem częstokroć idą ręką w rękę aptekarze. Wbrew przepisom, wydają oni lekarstwa, nawet silnie działające, na recepty felczerów, i nawet wchodzą z nimi w stosowne układy. Skutkiem tego ceny lekarstw felczerskich, wydawanych bez sygnatur i nie wciąganych w registr, są niższe. Często nawet sam felczer oznacza cenę lekarstwa na swej recepcie za pomocą znaków umówionych. Skargi na tego rodzaju działalność aptekarzy „Kronika Lekarska“ często otrzymuje. Co gorsza: oprócz zmo- wy z felczerami, farmaceuci prowincyonalni częstokroć sami się zajmują leczeniem chorych; ale te porady o tyle mają wyższość od znachorskich, że nie są szkodliwe dla zdrowia; aptekarz bowiem daje naiwnym pro- stakom pigułki z chleba, wodę zabarwioną, eliksiry na reumatyzm i środki uniwersalne, leczące wszelkie choroby. Często nawet wobec

chorego krytykuje recepty lekarzy, gdy te są dla niego nie tyle korzystne, co leki samodzielnie zalecane.

Co na to poradzić, jak przede wszystkim zniszczyć działanie felczerów i ich wpływ moralny na lud ciemny? Ten i ów z interesowanych doradza zniesienie szkół felczerskich. Ale w takim razie trzeba cierpliwie czekać aż wygaśnie całe pokolenie obecnych felczerów. Nawet nacisk prawny niewiele tu zdziała, ze względu na zdobyte już zaufanie tłumów przez tych ludzi. Wszelkie zaś z nimi kompromisy lekarzy są niemożliwe. Znamy jednak takich doktorów, którzy zdołali zdobyć zaufanie warstw najciemniejszych i zagarnąć całkowicie praktykę we wszystkich sferach ludności prowincjonalnej do tego stopnia, że ani felczer, ani aptekarz, ani żaden owczarz nie potrafi im szkodzić. Jakież oni talizman posiadają do tego? Bardzo prosty: umiejętność naginania się do poziomu umysłowego pacjentów i—właściwy sposób obchodzenia się z nimi. Niewątpliwie i tu działa tak zwane „szczęście“, ale nie w takim stopniu, ażeby cierpliwość i silna wola nie pozwoliły innym lekarzom zdobyć tego talizmanu. Odpowiedzi na kwestyonaaryusz wykazują, iż najwięcej mają strapienia z powodu felczerów lekarze młodzi, a więc tacy, którzy się jeszcze nie zrosli z miejscowymi warunkami i otoczeniem, którzy nie mogli poznać charakteru ludu i uderzyć w tę nie łatwo pochwytaną strunę, której dźwięki najbardziej przemawiają do jego przekonania i topią lody nieufności. Ale to praca jest niełatwa; nie mając wrodzonego daru po temu, trzeba go wyrabiać długo i bardzo mozolnie. Tymczasem młodych lekarzy pali marzenie o dobrobycie, który się nie daje ująć w pierwszych chwilach praktyki; w umyśle wyraźnie jeszcze tkwią wrażenia z ławy uniwersyteckiej, harmonijne stosunki z inteligencją miejską. Nowicyusza, przybyłego na prowincję, razi jałowość i zastałość na każdym kroku; nie może się on przystosować i stąpać odpowiednio, staje się jeżowatym, nieprzystępnym, szczególnie dla pacjentów ciemnych. Dodajmy, że ze spostrzeżeń życiowych przekonaliśmy się, iż najłatwiej umieją sobie dać radę na prowincyi ci lekarze, którzy się urodzili i wiek młodociany w tej samej, lub pokrewnej miejscowości spędzili. Tym sposobem stanowią oni od dzieciństwa cząstkę tego światka, w którym następnie los ich osadził na całe życie i, pomimo rozszerzenia widnokągu umysłowego, pomimo, że ich pragnienia płyną szerszem i może szlachetniejszym łożyskiem, niż innych mieszkańców danej okolicy, jednakże łatwiej oni mogą zrozumieć duszę najmniejszego z nich, niż przybysz, przygnany zdaleka, postawiony wśród warunków zupełnie obcych dla siebie. Dobry lekarz powinien być także dobrym psychologiem, odczuwającym drgnienia duszy nie tylko jednostek inteligentnych. Naszem zdaniem,

jedyny sposób złagodzenia kwestyi felczerskiej tkwi nie w sile administracyjnej i prawnej, lecz—moralnej samych lekarzy. Górują oni inteligencją, rozumem i wykształceniem nad tłumami felczyków, a pomimo to, z małemi wyjątkami, są bezsilni; skargi zaś ich robią takie wrażenie, jak płaczliwe wołanie malca, którego znacznie młodszy towarzysz, czy braciszek, skrzywdził: „Mamo, on mnie bije!..“ Ten głos dziecięcy żywo nam się przypomina, gdy słyszymy np. takie utyskiwania: że felczek wdziewa kapelusz i palto, podobne jak lekarz, lub nakłada okulary. Śmieszniejsze jest narzekanie na współzawodnictwo farmaceutów. Juźcić, dawszy pigułkę z chleba lub proszek z cukru, aptekarz nie wyleczy chorego, więc w końcu, po zażyciu nieskutkujących środków, musi się on zwrócić do lekarza.

Farmacenta, dziś lekceważąco traktowany nie tylko przez lekarzy i studentów, lecz niemal przez cały ogół ukształcony, w niedalekiej przyszłości pod względem kwalifikacyi szkolnych stanie na równi z inną młodzieżą, kształcąca się w wyższych zakładach naukowych. Podobno najdalej za rok od kandydatów do zawodu aptekarskiego będą wymagane świadectwa z ukończenia całkowitego kursu nauk gimnazyalnych. Jakie stąd wynikną zmiany w położeniu materyalnem, umysłowem i towarzyskiem farmaceutów, łatwo przewidzieć. Dziś garną się do kręcenia pigulek wszyscy ci, którym się nie powiodło w średnich zakładach naukowych, więc musieli je porzucić po ukończeniu dwóch, trzech, najwyżej czterech klas, lub którzy nie byli zdolni i chętni do żadnych innych zawodów. Stąd też źródło lekceważącego traktowania owych ludzi. Ponieważ z tych „odpadków” szkolnych największa liczba się garnie do aptekarstwa, więc i wartość ich pracy doszła do minimum. Zbytecznem byłoby powtarzać aż nadto wiadome wszystkim fakta ciężkiej niewolniczej pracy farmaceutów za liche wynagrodzenie. Skończyć gimnazjum—nie należy do zadań łatwych; kto tego dokonał, marzy o szerszych polach pracy i wygodnych placówkach w życiu społeczno-towarzyskiem. Młodzież więc z patentami dojrzałości dąży do uniwersytetów, wszelkich instytutów inżynierskich, technologicznych i t. d. Inżynier, doktor, adwokat, profesor — to są marzenia młodzieży. Aptekarstwo to smutna ostateczność. Więc też bardzo nieliczna znajdzie się garstka takich, którzy po osiągnięciu „matury” zechcą ów zagon uprawiać. Ale za to wartość ich pracy i poziom społeczny się podniesie. Wreszcie i ci starego autoramentu skorzystają. Liczba aptek wzrasta, praca na tem polu szybko wyczerpuje siły; szeregi więc farmaceutów prędko się przerzedzą, nowi zaś będą przybywać w bardzo małych garstkach, więc i poszukiwanie ich wzmoże się znacznie.

Brak dostateczny liczby aptek, walka lekarzy z felczerami, brak dogodnej komunikacji, pożary, kradzieże i wołanie o zabezpieczenie od tych klęsk,—oto są tak zwane „dezyderaty” prowincjonalne, prawie zawsze jednakowo brzmiące i nigdy nie zaspokojone. Jednakże ta wieś ze wszystkimi wadami i niedogodnościami, z najpierwotniejszymi warunkami bytu, jest przedmiotem ciągłych marzeń i pożądań mieszczuchów. Omdlewają oni ze znużenia i trawiącego siły życia miejskiego. Paleni zazdrością względem szczęśliwszych znajomych, oczekują niecierpliwie ich powrotu. W ostatnich atoli czasach dają się słyszeć powątpiewania co do odżywczego wpływu wsi na organizm ludzki. Jeden z lekarzy angielskich utrzymuje, że wyjazd z miasta na wieś dla wypoczynku letniego nie tylko na użytek organizmu nie idzie, ale przeciwnie—działa szkodliwie, szczególnie, jeżeli to czynią osoby niezamożne. Dobrze, wzorowo urządzone miasta, zdaniem tego lekarza, posiadają o wiele zdrowsze niż wieś warunki. W tej bowiem ostatniej odbywa się bezkarnie gnicie materii organicznych, szczególnie w lasach, podczas gdy w mieście może to być całkowicie usunięte. Woda filtrowana, jak twierdzi, o wiele jest zdrowsza, aniżeli najlepsza studzienna. Niektóre zaś choroby epidemiczne o wiele silniej grasują na wsi, niż w mieście. Pogląd ten znalazł i u nas zwolennika w „Głosie.” Niezupelnie słuszne są uwagi „Odszczepieńca” w owym piśmie, że dla tych, którzy odpoczywać nie potrzebują, jak również dla tych, którzy na wsi lub w mieście odpoczywać i pozbyć się kłopotów nie mogą, wyjazd w ustronie wiejskie jest najczęściej niepotrzebnym tylko wydatkiem. Tem dziwniejszymi słowa te nam się wydają, że wypowiada je, o ile wnosić można, człowiek pracujący. Wieś niepotrzebna tylko dla sybarytów, próżniaków, którzy mogą mieć w mieście wszystko, o czym tylko zamarzą: własny ogród i willę, przestronne, widne, wygodne pokoje, łatwość wycieczek zamiejskich własnym powozem i t. d. Dla tej kategorii mieszkańców miasta pobyt na wsi nie własnej, w domu nie urządzonego z komfortem i wszelkimi wygodami, — może być istotnie szkodliwym. Same nudy przyprawiają ich o chorobę; a cóż mówić o braku tego wszystkiego, co miasto daje ludziom zamożnym na każde skinienie! Co do mnie, stokroć wolę woń gnijących materii organicznych w lesie (zapach liści opadłych), niżeli wiewy miast najhygieniczniej urządzonych, i chociaż profan w zakresie wiedzy lekarskiej, śmiem jednak twierdzić śmiało, że drobnoustroje, wdychane w lesie wraz z owym zapachem opadłych liści, nie przyniosą żadnej szkody organizmowi ludzkiemu, podczas gdy powietrze, przesycone kurzem z miazmatami na ulicach miast „hygienicznych”, w każdej chwili zdrowie naszwauk naraża. Z całego serca życzę wszystkim nieprzyjaciółom wsi tyle świeżości sił i energii życiowej, ile czują w sobie po kilkotygo-

dniowym pobycie wśród lasów i ciszy, pomimo dobrowolnego skazywania się na pierwotne warunki bytu codziennego. Raczej temu korzystniej jest zostać w mieście, kogo się nie ima żadna troska i praca. Ten zaś, kto dźwiga wiecznie na karku, jak ową biedę z bajki,—swoje kłopoty i trudy, niech owszem jedzie z niemi na wieś; tam troski przy uspokojeniu się nerwów złagodnieją, a praca przy wzrastających siłach mniej będzie uciążliwą.

Prędzej się zgodzimy ze zdaniem dra Schweiningera, że odwiedzanie miejscowości kuracyjnych nie zawsze jest pożyteczne, że „dotychczasowy zwyczaj spędzania jedenastu miesięcy w najgorszych warunkach higienicznych i szukania w dwunastym cudownej pomocy w zakładzie kąpielowym lub leczniczym, przypomina średniowieczny zwyczaj kupowania odpustów.” Gdybyśmy mogli obliczyć, ilu jedzie na kurację chorych rzeczywistych, z pewnością wypadła-by tak mała garstka, że trudno byłoby ją dostrzedz w tłumach, stwarzających sobie cierpienia urojone. Zasługuje na uwagę charakterystyczna anegdotka, zacytowana (jako fakt rzeczywisty) przez dra Schweiningera: Zdarzyło się, że jakaś ciekawa dama, wysłana do Franzensbadu, otworzyła w drodze list, dany jej przez znakomitość berlińską do lekarza miejscowego, i wyczytała: „Szanowny kolego! Posyłam ci złotopiórą gęś; oskub ją dobrze, jak ja to uczyniłem...” Ileż-to u nas nietylko złoto ale nawet srebrnopiórych gęsi dąży do zakładów kuracyjnych po to tylko, ażeby tam je dobrze oskubano! Wszelkie „kurorty”, to głównie miejsca zabawy, dające sposobność urządzenia karnawałów letnich. Większość po to tylko tam jedzie; aby zaś zagłuszyć sumienie, wmawia w siebie chorobę. Wywołany przez tych chorych wir zabaw, pociąga mimowoli i tych, którzy są rzeczywiście chorzy i osłabieni, a rozumie się, że nie idzie im to na pożytek.

Jeżeli doktor angielski i jego zwolennik u nas nazywają „wsią” letnie mieszkania, to ich dowodzenia całkiem słuszne. Jakże bowiem są warunki tych siedzib chwilowych dla mieszkańców miasta? Z początku tu i owdzie powstały domki gdzieś w pobliżu rzeczki, łączki, na skraju lasu, nieopodal miasteczka. Było tam niby wygodnie i cicho, a swobody co niemiara. Powoli miejsca ustronne zaczęły się zaludniać coraz bardziej podczas lata; wyrosły domki drewniane jeden przy drugim; zajmowanie całego pomieszczenia przez jedną rodzinę stało się już zbytkiem; każdy domek podzielono na parę mieszkań ze współmieszkańcami i kuchniami. Wreszcie w ostatnich czasach powstają już nie domki, ale domy murowane, piętrowe, na skraju np. Nowo-Mińska lub innego miasta. Domy takie o ciasnych pokojkach mogą pomieścić już

nie dwie, lecz kilka rodzin. Swoboda zniknęła zupełnie; panie nie mogą chodzić bez gorsetów, panowie bez tużurków, krawatów i kołnierzyków. Wspólne kuchnie, sienie, wywołują klótnie gospodyń, ciasnota i liczne sąsiedztwo—plotki, nieporozumienia. Panie zaczynają wzdychać do miasta, bo tam można było istotnie u siebie w domu chodzić bez gorsetu, do kuchni nikt obcy nosa nie wścibiał, do garnka nie zaglądał. Wreszcie w jatkach można dostać mięsa dobrego, a tu—ochłapy, przekupnie zaś każą za nie tyle płacić, co za najlepsze gatunki w mieście. Pomimo to, letnie mieszkania mają popyt tak wielki, że gdy ich już znaleźć nie można, ochotnicy najmują ciasne, brudne i wilgotne izby chłopskie za bajeczne sumy. Wilgoć i ciasnota jest również cechą większości naszych mieszkań letnich. Jeżeli z takiego wytchnienia mieszczychy wracają zmęczeni, zgryzieni, z rozstrojonymi nerwami i reumatyzmem, nie dziwimy się temu wcale i najzupełniej przyznajemy przewagę higieniczną miasta nad taką wsią.

Nikt nie posłał na wystawę higieniczną do Petersburga modelu tych domków z siedlisk letnich. A szkoda! Taka bowiem wystawa powinna pokazać nie tylko to, co jest higienicznego, ale także co najniehigieniczniejszego, ażeby można było ocenić, co na tem polu zrobiono, a co jeszcze uczynić należy. Taki np. domek dla chorych, wystawiony przez księcia Lwowa, dowodzi, że tu i owdzie myślą o ulepszeniach w tej mierze. W wystawie rzeczonyj Warszawa także wzięła udział: pokazała swoją kanalizację; aptekarze (pp. Kuśmierski tudzież firma Urbanowicz i Różycki) wyroby własne; instytut szczepienia ospy przy szpitalu Dzieciątka Jezus — charakterystykę swej działalności; redakcyja „Zdrowia”—numera swego pisma; warszawska fabryka gazowa — lak, naftalinę, proszek do dezynfekcyi i t. d. Dział szpitalny pokazuje miejsce zajmuje a wzory baraków dla chorych robotników fabrycznych są na dobie. Mieli się czem pochwalić Finlandczycy, którzy dowiedli, że za pomocą wydawnictw popularnych można wśród mas zaszczepiać zamiłowanie higieny. Interesujący był dział ministerjum oświaty, który nagromadził materyały, dające pojęcie o rozwoju fizycznym działy, uczącej się w szkołach elementarnych wiejskich i miejskich, fabrycznych i rzemieślniczych. Fotograficzne modele główniejszych zakładów naukowych, dostarczone przez okręgi, są poniekąd ilustracją życia szkolnego. Znalazły się tam także: podobizny sal tudzież uczniów warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, gimnazjum kieleckiego i seminarjum nauczycielskiego w Warszawie. Modele gimnazyów męskich w Witebsku i Tyflisie powinny być wzorem dla wszelkich innych zakładów naukowych: ogrody i łąki dookoła gmachów! W takich warunkach umieszczone szkoły, z odpowiednem

urządzeniem wewnętrznem, można nazwać prawdziwie higienicznemi. Koleje wykazały wszystkie swoje urządzenia dotychczasowe z zakresu higieny: plany kanalizacji, szkół technicznych i — dla dzieci robotników kolejowych, szczegóły o sposobach uczenia i żywienia pensyonarzy, plany szpitali i kolonii dla brygad konduktorskich, plany ulepszeń w budowie stacyi, wagonów pasażerskich, koszar dla robotników, wreszcie modele urządzeń do gotowania ciepłej strawy i dostarczania zdrowej wody do picia robotnikom kolejowym, oddalonym od mieszkań. W szeregu urządzeń do dezynfekcyi wyróżniła się kolej Orłowski-Griażska, która przy głównych swych warsztatach w Jelcu zbudowała kamerę dezynfekcyjną takich rozmiarów, że może pomieścić wagony osobowe, poddawane tam działaniu pary przy temperaturze 110° Cels. Jest to podobno najpraktyczniejszy sposób dezynfekowania, chociaż urządzenie jego jest bardzo kosztowne. W innych działach przyrządy ratunkowe i wszelkie ulepszenia, kuchnia Towarzystwa tanich i bezpłatnych obiadów, liczne narzędzia do badań bakteriologicznych i różne drobnoustroje, wystawione przez Cesarski Instytut medycyny doświadczalnej, Instytut kliniczny, Cesarską Akademię medyczną.—to są mniej więcej najważniejsze bogactwa wystawy, stanowiące dorobek naukowy z ostatnich lat na polu higieny.

Bez tej dziedziny nie może się obejść żadna wystawa ogólniejszej natury. W Brukselli zapowiedziano wystawę międzynarodową, poświęconą wyłącznie produktom spożywczym. To dział higieny najważniejszej. W roku zaś 1895 odbędzie się również w stolicy Belgii wystawa międzynarodowa, która obejmie trzy ważne działy: higienę, frakcyę elektryczną i ekonomię. Będzie to obraz postępu i wszelkich ulepszeń w tych dziedzinach za ostatnie dwudziestolecie. Ale tymczasem ową chociaż niedaleką przyszłością mało się kto interesuje wobec cudów wystawy kolumbowskiej, która wszystko skupiła, co tylko wynalazczość i rozum ludzki stworzyły najpiękniejszego i zarazem—najohydniejszego w ostatniej dobie rozwoju. Nadprogramowa ohyda budownictwa już się ujawniła wspaniałym fajerwerkiem, pożarem gmachu olbrzymiego, gdzie padło ofiarą ognia kilkudziesięciu ludzi. Wyłoniło się tu znamię dążności ludzkich—spekulacya w wyższym gatunku: gdzie miało być tylko żelazo, tam się okazało drzewo, i oto jeszcze goście z całego świata nie zdołali się nacieszyć widokiem całej wystawy z wyniosłej wieży, gdy ta runęła w płomieniach i zagrzebała liczne ofiary.

Niektórzy entuzyaści zaczynają już się rozczarowywać tym jarmarkiem międzynarodowym, widząc tam humbug, wielką banke, wydętą

przez sprytnych Yankesów. Może tu działa poniekąd ten kolos życia materialnego, który jednocześnie skupia w sobie obraz największej siły brutalnej, zmiatającej ze swej drogi wszelki sentymentalizm i podniosłe uczucia. Ale przecież obok tego kapitału w różnorodnych postaciach odbywają się dyskusye nad sprawami i koszlawiznami, wytworzonymi przez ten sam kapitał. Tam to na kongresach roztrząsana jest kwintesencya potrzeb życiowych z punktu humanitarnego i socyologicznego. Tam właśnie niebывały pod względem wrzawy i liczby uczestników odbył się sześciodniowy wiec kobiet, w którym przyjęło udział *dziesięć tysięcy* osób. O czem tam radzono? Nie o mrzonkach, nie powtarzano tam przebrzmiałych komunalów o równouprawnieniu. „Światła, pracy i chleba!” — To hasło, pod którym owych dziesięć tysięcy kobiet wystąpiło. „Niechaj świat nie wnąwia w każdą ubogą dziewczynę, iż małżeństwo jest dla niej jedyną ucieczką przed ciężką robotą i małą płacą. Niech połowa z nich nie sprzedaje się za cenę mieszkania i pożywienia, lecz — zdolna siebie, a w razie potrzeby i rodzinę utrzymać, niech na jej czele staje, w imię idei, w imię uczucia, w imię szlachetnego a wrodzonego powołania.” Chodzi więc tej armii w spodnicy o zreformowanie targowisk małżeńskich, o podniesienie godności kobiety i utrwalenie podstaw jej bytu w społeczeństwie. Owe hasła powtarzane już były nieraz przez liczne stowarzyszenia kobiece i ich prasę; obecnie z większą siłą powtórzone zostały w żywym słowie. Ten ruch społeczny kobiet na Zachodzie bacznie u nas śledzi p. Anatol Krzyżanowski (Natalia Krzyżanowska) i popularyzuje za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego.” Szkoda tylko, że to wypadło w okresie wakacyi i różnych karnawałów letnich; nasze niewiasty nie miały więc czasu przeczytać tego i zastanowić się nad owemi sprawami. Statystyka oblicza przewyżkę kobiet w Europie nad mężczyznami na *trzy i pół miliona*. „Czy chcecie — wołają do mężczyzn orędowniczki tych mas — skazać je na wieczną beczynność, na rezydencyę w domach waszych, na wnoszenie do nich zarodka kwasów i niesnasek, na zatracenie ambicyi szlachetnej człowieka, który wie, że nigdy i nikomu nie ma prawa być ciężarem? Pólczwarta miliona dusz, to ludność sporego kraju. Czyż można więc czynić z niej balast bezużyteczny, ciężar dla społeczeństw, zniżający rozwój ich ekonomiczny i poziom moralny?” Dużo jest deklamacyi w tym ruchu stowarzyszeń niewieścich i w wiecach międzynarodowych; ale stokroć więcej warta ta deklamacya, towarzysząca poważnym ideom i dążeniom (o ile ich wyznawczyni nie są podsycane histeryą), niżeli wieczne ślizganie się po falach życia towarzyskiego i spełnianie roli kwiatów egzotycznych.

Prawda! niektóre kobiety uprawiają u nas stoliki wirujące i służą za medya. To, co uczeni uważają za zjawiska niezbadane w przy-

rodzie i przewidują wydobycie w przyszłości nowych sił potężnych na użytek rodu ludzkiego, — to właśnie dla profanów stało się zabawką, a dla ludzi nerwowych i histerycznych — pewnego rodzaju wiarą. Silne zainteresowanie się temi zjawiskami, po-za światem, dostępnym dla naszych zmysłów, wyraźnie datuje się u nas dopiero od lat dwóch. Najpierw do rozpowszechnienia teorii i faktów przyczynił się p. Józef Potocki (Bohusz) bądź za pomocą przekładów z obcej literatury, bądź własnych prac. Od chwili zaś, gdy, dzięki artykułom Hajoty w „Kuryerze Warszawskim” i sprawozdaniom Ochorowicza, rozeszła się wieść o doświadczeniach, czynionych ze słynnym medyum, Eusapią Paladino, sprawa nabrała większego ożywienia i z prywatnych dyskusji towarzyskich przeszła na szpalty pism tygodniowych; udział zaś w rozprawach i polemikach wzięli: w „Głosie” p. Potocki, w „Przełędzie Tygodniowym” pp. Ignacy Matuszewski i prof. dr Hertz. Wśląd za tem potworzyły się partye eusapistów i antyeusapistów, polemika zaś przybrała ostry charakter i przekroczyła granice poważnych sporów. P. Matuszewski, bardzo zdolny pisarz, zajął stanowisko, jako zwolennik *swobody badania*, i za hasło swych dociekań w dziedzinie spirytyzmu wziął słowa psychologa francuskiego, Paulhana: „Prawdziwy filozof powinien stawić czoło śmieszności; niema dlań doświadczeń bezpożytecznych. Gdybyśmy nie probowali rzeczy niemożliwych, nie poznalibyśmy nigdy granic rzeczywistości.” P. Hertz, stojąc na gruncie prawd dowiedzionych, realnych, ostro występuje przeciwko tajemniczemu zjawiskom spirytystycznym, które za pośrednictwem prostej Włoszki, użytej za medyum, obserwowali: Lombroso, Richet, Schiaparelli, Siemiradzki, a następnie Ochorowicz. Ten ostatni wrażenia swe i spostrzeżenia ogłosił w „Kuryerze Warszawskim” i „Tygodniku Ilustrowanym”, ale cudownych faktów nie mógł poprzeć realnymi dowodami. P. Hertz oburza się między innymi na jedno zjawisko: podnoszenie się stołu w powietrzu za pomocą jakiejś siły tajemniczej, która przez Eusapię przepływa. Nauka ścisła, dowiodłszy, że w przyrodzie rządzą prawa stałe i niezienne, wskazała jednocześnie człowiekowi sposoby ujarznienia przyrody i posilkowania się jej siłami. Spirytyzm, przeciwnie, ze swojemi kapryśnemi i zmiennemi fenomenami zagraża najcenniejszemu dorobkowi nowszej cywilizacji, pojęciu prawdziwości w przyrodzie.” P. Matuszewski zaś jest tego zdania, że co pozornie przeczy prawu natury, to nie dowód, żeby mu przeczyło istotnie; że zjawiska dostrzeżone w doświadczeniach „medyumicznych” wcale nie uwłaczają pamięci Newtona. Dr Hertz potępia stanowczo „medyumizm”, gdyż ten obala wszystkie znane fakta naukowe i nie tylko przeczy prawom natury i zasadzie przyczynowości, ale rozbudza przesady w społeczeństwie i tem może wskrzesić epokę czarownic i in-

kwizycy. Zwolennicy swobody badania, pp. Matuszewski i Potocki, uważają, że Hertz, jako wróg tego rodzaju badań, człowiek, który się chce zamknąć w granicach prawd znanych, może przynieść krzywdę, jak ongi wstecznicy. Stojąc na gruncie neutralnym, uważamy za niewłaściwe kategoryczne zaprzeczanie temu, czego się nie bada, jak również z drugiej strony zbytne folgowanie dobrej wierze. Badacze zjawisk „medyumicznych” nie potrafili dotąd wyjaśnić żadnego z faktów dostrzeżonych. To zaś, co dotychczas w protokółach spisano, ma wszelkie pozory zręcznego kuglarstwa. Mówimy—*pozory*, gdyż nie mamy żadnych danych do zaprzeczania temu, co wielu ludzi wiarogodnych starało się śledzić. Może w przyszłości spirytyzm będzie drabiną, po której ludzie dojdą do nowych odkryć, do zdobycia i ujarznienia nowych, nieznanych dotąd sił przyrody. Ale zanim to nastąpi, może się w społeczeństwie nerwowem rozszerzyć obłąd spirytystyczny. Tem bardziej, że tą sprawą nazbyt szeroko się zajmują dzienniki popularne.

Na stronę psychiczną spirytystów zwrócił niedawno uwagę p. J. Wojewódzki w „Prawdzie.” „W spirytyźmie, — mówi on — nieświadome vibracye mózgu działają przybrane w ciało „ducha.” Po-za świadomymi przekonaniem istnieją inne, tajne, złożone z ułotnie zasłyszanych faktów. Wszystko to teraz pod postacią „ducha” układa się w pewną całość... Nasze postępków zależą od idei, które nabyliśmy, ale w głębi ukrywają się różne instynkta, czekające tylko sposobności. Ów górny pokład znika we śnie i kto badał-by swoje czyny, popełniane podczas bezwładności, swe instynkta, które budzą się podczas dramatu sennego, złapał-by się za głowę na widok, co w nim się ukrywa. Otóż to nieświadome podścielisko występuje u spirytysty; natura jego umysłowości, na jawie ukryta, lecz niemniej przykładająca się do postępków, jego instynkta zamaskowane, jego chęci zduszone, a raczej duszone, wszystko to wyładowywa się, — duch mówi.” Autor twierdzi, że pierwsza styczność z duchami jest tylko możliwa w stanie pewnej pustki wewnętrznej. Również całkiem prawdopodobne jest przypuszczenie, że w wierzeniach spirytystycznych wielką rolę odgrywają przesady dzieciństwa, przykryte inną warstwą idei i czekające sposobności do ujawnienia się. Kto wie, może właśnie silnie pobudzona wyobraźnia nerwowych natur nieświadomie odtwarza opowieści nianiek i widzi duchy, siedzące na krzesłach i trzymające na kolanach ręce. Charakterystycznym jest właśnie to ucieleśnianie ducha, dawanie mu brody, butów i... rąk zimnych. To się kiedyś słyszało; tem nianki nas strasyły. Takie opętane spirytyzmem dusze (nie mówimy o badaczach, usiłujących zachować trzeźwość i grunt naukowy) przeniesione już zostały z rzeczywistości do literatury. Taką postać

naszego wieku odtworzył autor skandynawski, Garborg, w studyum skreślonym w formie pamiętnika p. t. „Znużone dusze” (przekład polski r. z. drukowany był w „Prawdzie”). Widzimy tam człowieka, który jak gdyby narkotykiem jakimś upaja się stopniowo spirytyzmem. Duch wywołany nie opuszcza bohatera opowiadania, rozmawia z nim za pomocą ołówka, naznacza schadzki i t. d. Gdy wszakże duch ten coraz częściej zaczął używać różnych wykrętów i coraz bardziej kłamać, spirytysta stracił do niego wiarę i wtedy znikło trapiące go dawniej wrażenie, że ktoś za nim stoi. W końcu zaczął przypuszczać, że może jest owym duchem jego własna wewnętrzna osobistość. Ten obraz samoszukiwania się, z drobiazgową dokładnością skreślony, robi pogłębiające wrażenie. W bohaterze widzimy już nie znużoną, ale zupełnie chorą duszę. Doba, w której żyjemy, jest okresem silnego rozstroju nerwów, panowania histeryi, melancholii, hipochondryi. Jeżeli jednostki, podlegające tym zbieżeniom, stają się spirytystami bezkrytycznymi, to stan ich nerwów i duszy godzien jest pożałowania. Ci, którzy robią doświadczenia nad zjawiskami zagadkowemi, powinni wobec tego dobrze się zastanowić, zanim ogłoszą publicznie swoje wrażenia, doznane podczas posiedzeń spirytystycznych. Mniejsze popularyzowanie tej dziedziny, szczególnie w pismach poczytnych, bardzo byłoby pożądanem.

W ośm lat po zapoczątkowaniu przez Towarzystwo wyścigów konnych w Królestwie Polskiem stałych wystaw inwentarza żywego w Warszawie, uczyniło to samo Towarzystwo wyścigowe wileńskie. Kto wie, czy pierwsza wystawa inwentarza, jaka się odbyła r. 1887-go w Wilnie, nie zdecydowała o losach corocznych wystaw w Warszawie, z których ostatnia w r. 1888 zupełnie się już nie powiodła, zwłaszcza gdy Wilno odciągnęło wystawców dość licznych z gubernii północno-zachodnich i z pobliskiej gub. Suwalskiej. Od r. 1887-go wystaw w Wilnie odbyło się cztery; tegoroczna, o ile się zdaje, pod względem finansowym, a napewno pod względem ilości okazów, zwłaszcza w oddziałach o szerszym zakresie przemysłowo-rękodzielniczym, osiągnęła szczytu powodzenia,—niestety, podobno była już ostatnią, gdyż nowa ustawa normalna dla wszystkich istniejących w państwie towarzystw wyścigowych ogranicza działalność tych stowarzyszeń do opieki nad się specjalnemi wystawami koni, a więc jeżeli w r. 1895, jak to donoszą korespondenci pism codziennych z Wilna, wystawa dojdzie do skutku, to chyba z inicjatywy towarzystw rolniczych.

Tegoroczna wystawa wileńska była bliźnięco podobna do wszystkich tego rodzaju wystaw widywanych dotychczas, co właśnie stawia my jej jako zarzut, gdyż za mało charakteryzowała gospodarke, prze-

mysł i rękodzielnicтво w czterech guberniach: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej i Kowieńskiej, objętych programem wystawy. W krótkim naszym sprawozdaniu postaramy się wyróżnić tylko te okazy lub grupy okazów, które noszą cechę pochodzenia miejscowego lub są specjalnym wytworem dążności w gospodarce i przemyśle na Litwie i Białej Rusi.

Na pierwszym planie tedy stawiamy, wbrew przewidywaniu czytelnika, iż okazy inwentarza powinny-by na wystawie, popieranej przez towarzystwo wyścigowe, przednie zająć miejsce, okazy tkactwa domowego włościanek gub. Kowieńskiej, przy których jakby dla porównania stanęła do współzawodnictwa fabryka sukna w Porzeczcu p. Skirmunta. Aż 150 włościanek z pow. Rosieńskiego, Telszowskiego, Wilkomierskiego i Nowoaleksandrowskiego, nadesłało wyroby swe z wełny własnych owiec lub lnu przez siebie uprawianego, a w kolekcji tej, mozolnie zebranej przez książąt Bogdana i Michała Ogińskich oraz hr. Konstantego Przezdzieckiego, którzy wpływem swym starają się wśród włościan rozwijać zamiłowanie do rękodzieł, widzimy także wyroby, niczem nie różniące się od towaru, wyprodukowanego w specjalnych fabrykach sukna. Trudno jest doprawdy uwierzyć, by np. pledy i szale w modne desenie, kilimki o wschodnim barw układzie, przydatne na portyery lub obicia meblowe, sukna na palta męskie lub korciki na suknie damskie, wyszły z warsztatu w chłopskiej chacie w jakiejś zapadłej wiosce kowieńskiej. Zapewne dla specjalistów wyroby z Porzeczca przedstawiają się również bardzo zajmująco, całkowity więc dział tkactwa na wystawie wileńskiej godnym był figurować na pierwszorzędnym wystawach przemysłu tkackiego. Jako uzupełnienie tego działu ks. Bogdan Ogiński z Retowa przedstawił owce pospolite, hodowane w gospodarkach włościańskich, lecz doskonale utrzymane, z długą wełną, użytą do wspomnianych wyrobów.

Dużo spodziewaliśmy się zobaczyć w działach rybolóstwa, torfu, pszczelnictwa, sadownictwa i leśnictwa; dotychczas bowiem niema w tych stronach dworu, który-by nie był otoczony sadem, gdzieby pod cieniem drzew nie stały kłody lub ule ramowe z pszczołami; wreszcie gdzież jeszcze szukać lasów, jeżeli nie na Litwie, a jeziora i torfowiska, czyż nie są tłem krajobrazów na Białejrusi? Wszystkie te oddziały zawiodły. Ryby aklimatyzowane pokazał hr. Tyszkiewicz; sielaw, leszczów, szczupaków z jezior, linów, miętuzów ani śladu; torf zaledwie jeden z ziemian (p. Butkiewicz z Kaczanowa) przedstawił; pszczelnictwo ograniczyło się do dwóch modeli ulów i pierników z fabryk wileńskich; owoce, z wyjątkiem kolekcji jablek z Lachnowa hr. Chrapowickiego, dali specjaliści ogrodnicy, prowadzący w Wilnie sadownictwo w celach handlowych; leśnictwo wreszcie reprezentował dąb czar-

ny, znaleziony w wodzie, a ani jednego przekroju pnia lub kolekcji ze szkólek leśnych.

Najpokaźniej przedstawiają się oddziały mleczarstwa i nasion zbożowych. W pierwszym przoduje wyrób serów litewskich, których fabrykacja nadzwyczaj się rozpowszechniła i stanowi pokaźne źródło dochodów w wielu majątkach ziemskich. Również dostawa masła w oselkach do sklepów w główniejszych miastach lub mleka sterylizowanego w butelkach jest już praktykowaną na Litwie.

Co do nasion zbożowych, dość będzie wspomnieć, że figuruje gospodarka z Wysokiego-Litewskiego hr. Maryi Potockiej, której administrator, p. Bielawski, zdobył za takież nasiona medal złoty na wystawie w Chicago; jeżeli zaś dodamy, że obok do współzawodnictwa wystąpił znany Łachnów hr. Chrapowickiego i Ostrówek p. de Polenta-Wolmer, wreszcie Landwarowo hr. Tyszkiewicza (kolekcya traw i gospodarka łąkowa), to okaże się, że dział ten stanowił, po wspomnianym tkackim, chlubę wystawy.

W dziale inwentarza naśladownictwo hodowli ras obcych, bez widocznych rezultatów. Wyjątek stanowi bydło p. Skirmunta z Porzecha, hr. Potockiej z Wysokiego-Litewskiego, które zasłużyły na złote medale, zresztą uderza, pomimo starań, deformacya okazów lub skarłowacenie, co dowodzi, że dla klimatu i paszy litewskiej jeszcze nie została znaleziona odpowiednia rasa.

W hodowli koni panuje chaos, kierunek bynajmniej nie ustalony, choć przeważa zamięłowanie do rasy arabskiej. Widzieliśmy tu kilka istotnie pięknych okazów koni czystej krwi arabskiej, jak „Szumkę“ p. Michałowskiego, „Marjolanę“ p. Tukały, „Osmana“ p. Miłaczewskiego i t. d.; najciekawsze wszakże były okazy żmudzkich koni ks. Ogińskich, oraz pp. Jagielnickiego i Miłaczewskiego, choć znaleźli się nawet w łonie delegacyi sędziowskiej znawcy, którzy twierdzili, że konie te przedstawiają wytwór krzyżowania ras, gdyż rasa żmudzka nigdy nie istniała, czego najlepszym dowodem jest niejednorodność typu.

Wreszcie kończymy notatkę sprawozdawczą zaznaczeniem udziału rzemieślników wileńskich w dziale rękodzielniczym dość pokaźnie, oraz szkoły rzemieślniczej z Grodna, warsztatów mińskiego towarzystwa rolniczego i szkoły rolniczej w Maryen-Górcie.

Wiadomości bibliograficzne.

— Gruntowny badacz dziejów dawnej Polski, Dr Wiktor Czermak, nasz współpracownik, wydał we Lwowie nakładem Seyfartha i Czajkowskiego zbiór studyów historycznych, dotąd w różnych czasopismach ogłoszonych, pomiędzy którymi znajduje się i praca „Ostatnie lata życia Jana Kazimierza”, znana czytelnikom „Biblioteki.” W tej interesującej książce mieszczą się nadto: szkic „Jan Kazimierz” (studya nad jego życiem i charakterem), artykuły: „Późne śluby Jana Sobieskiego i Marysienki”, „Koniec Jerzego Lubomirskiego” oraz tak zwane przez autora „drobiazgi historyczne: „Książę Jeremi dłużnikiem” i „Polska musztra piechotna z r. 1660.”

— Nakładem księgarni Gebethnera i Spółki w Krakowie wyszło drugie wydanie „Historii wieków średnich” Tadeusza Korzona, skrócone z pierwotnego kursu ze zmianami i poprawkami, które autor wprowadził, idąc za postępem badań z lat ostatnich.

— Adam Darowski, współpracownik „Biblioteki Warszawskiej”, wydał w Petersburgu nakładem księgarni polskiej K. Grendyszyńskiego pierwszą seryę „Szkiców historycznych” zawierającą prace: „W przededniu tureckiej nawałnicy”, „Rezydent na dworze polskim w XVII w.”; oraz dwa przedruki z naszego pisma: „Intryga Salomonka” i „Misja dyplomatyczna w XVII w.”

— „Dziejów literatury powszechnej”, wydawanych nakładem S. Lewentala, wyszła pierwsza część tomu IV, obejmująca okres drugi „Historii literatury nowożytnej”, a mianowicie „Czasy reakcyi i pseudo-klasycyzmu”, opracowane przez Edwarda Porębowicza, Juliana Adolfa Święckiego i Feliksa Jezierskiego.

— Na podstawie „Orichowianów”, wydanych w Krakowie roku 1891 przez Dra J. Korzeniowskiego, napisał Romuald Koppens przyczynek do monografii Orzechowskiego, p. t. „Dwa lata w życiu St. Orzechowskiego (1548 i 1549).” Jest to odbitka z „Przeglądu Powszechnego”, która wyszła w Krakowie nakładem autora.

— Rozpraw Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Krakowskiej Akademii umiejętności ukazała się Serya II Tomu V (ogólnego zbioru tom dwudziesty piąty) i zawiera: *Ludwika Birkenmajera* „Marcin Bylica z Olkusza, oraz narzędzia astronomiczne, które zapisał Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w r. 1493”; *Józefa Nusbauma* „Materiały do embryologii i histologii równonogów.” *Stanisława Kepińskiego* „O całkach rozwiązań równań różniczkowych zwyczajnych liniowych jednorodnych rzędu 2-go”; *Juliana Schramu* „O działaniu chlorku glinowego na chlorki i bromki rodników aromatycznych”; *Karola Klickiego* „Zachowanie się siły elektrobodźczej i pobudliwości przeciętego nerwu żaby”; *Ernesta Bandrowskiego* „O parazyfynelinach, chinanimidach i pochodnych.”

— Jako odbitka z lwowskiego „Przewodnika naukowego i literackiego” ukazała się we Lwowie rozprawa p. Stanisława Schneidera, profesora gimnazjum w Przemysłu, p. t. „Studia nad Politeją ateńską Arystotelesa.”

— *Zygmunt Lucyan Sulima*. „Historja Franka i Frankistów.” Kraków, Warszawa, Petersburg. Nakład Gebethnera i S-ki. 1893.

Jakób Józef (właściwie Jankif) z ojca Lejbowicz, później zwany Frankiem, w wieku ubiegłym odegrał rolę reformatora żydowskiego i zwrócił na siebie uwagę nawet szeroko po-za granicami Polski ówczesnej. Urodził się między r. 1712 a 1727 w Korolówce na Podolu, czy też w Buczaczu na Rusi, według zas inych — w Międzybożu. Życie owego reformatora było wielce burzliwe i awanturnicze. Będąc jeszcze młodzieńcem, przejął się nauką sekty żydowskiej Sabatejczyków, której założycielem był żyd turecki, Sabbatej Cebi (Zewi), ur. w Smyrnie 1626 r. Podstawą jego nauki była kabalistyczna, pełna mistyki wschodniej, księga Zoar (Sohar), co znaczy „księga światła”, napisana w XIV wieku po Chrystusie przez Mojżesza z Leonu, żyda hiszpań-

skiego. Z tego powodu Sabbatejczyków zwano także Zoarytami (So-harytami). Zoaryci istnieli jeszcze przed Sabbatejem i mieli szereg ustalonych zasad następujących: 1) Wiara musi się opierać tylko na Piśmie św.; 2) Pismo św. jest jedynie szatą, ukrywającą myśl głębszą, której wyszukanie i zbadanie wszechstronne jest powinnością wier-nych; 3) talmud zawiera mnóstwo błędów; 4) Bóg jest istotą jedną w trzech osobach; 5) wziął na się postać człowieczą, ale po grzechu pierworodnym porzucił ją, następnie jednak dla zbawienia świata znów ją przybrał; 6) Mesjasz w ludzkiej postaci już się nie zjawi, a Jerozo-lima nigdy odbudowaną nie będzie. Tak więc nauka Zoarytów była negacją Judaizmu, a w wielu względach zbliżała się do chrystyanizmu. Byli oni obojętni na zewnętrzne formy religijne i wytworzyli sobie bardzo wygodną zasadę, bo odpowiednio do kraju i położenia, w jakim się znajdowali, przyjmowali zewnętrzne formy religii panującej. Sab-batejczycy tę teorię rozwinęli szerzej, przyłączyli wiarę w wędrówkę dusz, właściwie jednej duszy, obdarzonej charakterem mesyanicznym. Od Zoarytów przeszli także mętą naukę o Trójcy. „Małżeństwo uwa-żali za związek chwilowy, łatwo rozerwalny, i żony zmieniali jak rękawiczki.” Sabbatej Cebi był podobno w stosunkach z żydami polskimi i ożenił się z jakąś awanturniczą żydówką polską; w oczach swych uczniów uchodził za Mesjasza. Na tle jego nauki rozwinęła się teoria religijna Franka, która następnie znalazła licznych wyznawców. Autor, pisząc o tej nauce, głównie się opiera na „Biblii bałamutnej” wydanej w części przez Hipolita Skimborowicza. Ale dokument, obejmujący treść nauki Franka, nie był napisany przez samego mistrza, lecz przez jego uczniów, „ludzi niezbyt wprawnych w pisaniu i nie posiadających wyż-szego wykształcenia.” Skutkiem tego cały wykład jest przetykany mi-styką i nacechowany płataniną. Frank, według pojęć chrześcijańskich, nie uczył moralności. „Oprócz paru zdań uczciwszych, które mu jakby przypadkiem z ust się wymknęły, jak np.: „nikt się do swych zbrodni przyznać nie chce, lecz kto swe błędy wielkie wyznaje, wart nagrody”;— „wy powinniście miłować każdego człowieka, chociażby był od wszyst-kich wzgardzony”, — reszta technie albo zasadami mojęszowej miłowo-sci, albo też poziomej niemoralności prostactwa, a właściwie brakiem wszelkich poczuć szlachetniejszych. Zemsta dla niego jest roskoszą bo-gów, jest mojęszowem oko za oko, ząb za ząb; kłamstwo i oszustwo uważa za rzecz dobrą i nienaganną; uczy zdobywać bogactwa podstępem, krzywo, a mądrze chodzić; zaleca nienawiść i przewrotność, podstęp jest u niego tylko „fortelem.” Jednym słowem, jest to moralność niska, mo-ralność tej starej sfery żydowstwa, z której Frank wyszedł.” O swojej religii mówił zawsze niejasno w formie mistyczno-kabalistycznej. Reli-gia ta nosiła nazwę hebrajską *Das*, właściwie *Dat*, i dzieliła się na trzy

stopnie, podobne do tych, jakie mieli illuminaci XVIII wieku, lub masoni bieżącego stulecia. Były trzy stopnie wtajemniczenia się w naukę mistrza: pierwszy—chrzest, drugi—właściwy *Das*, trzeci—tajemniczy *Edom*. O duszy głosił jakieś dziwne, bałamutne teorye. Zdaje się, że dusza wstępowała dopiero wtedy w człowieka, gdy osiągnął trzeci stopień religii Franka, t. j. *Edom*. Zwolenników swoich, na wzór pierwszych chrześcian, Frank nazywał stale „braćmi i siostrami”, co „nie przeszkadzało mu trzymać ich od siebie zdaleka i otaczać się przed nimi urokiem nieprzejrzanym Jowisza olimpijskiego.” Wogóle Sulima zarzuca Frankowi szarlataneryę, przewrotność, chęć zdobycia władzy i utworzenia sobie jakiegoś państwa niezależnego. W licznych rzeczach swoich wyznawców roztaczał urok niesłychany, nazywano go panem, nawet Bogiem, składano mu hołdy i złoto. Stąd to bogactwo i przepych, jakim się Frank otaczał. Sam się przedstawiał jako posłaniec Boży i wszędzie swoim uczniom kazał iść z sobą. Domagał się od nich ślepego posłuszeństwa i ślepej wiary w siebie. W oświeceniu Sulimy, na mocy świadectw ks. Pikulskiego i innych, Frank wraz z swoją rzeszą przyjął religię katolicką dla interesu. Miał nadzieję otrzymać do działania pewne terytorium, gdzie mógłby zadośćuczynić swoim ambicyom. To mu się nie udało; za kacerstwo został wtrącony do więzienia dożywotniego w Częstochowie i wtedy, dowiedziawszy się o pewnych zmianach politycznych, miał chęć przyjęcia religii greckiej. Gdy twierdza częstochowska r. 1772 poddała się gen. Suworowowi, Frank po 13-tu latach został uwolniony z więzienia. Był on, według Graetza, od tego czasu szpiegiem. Fakt ten nie jest stwierdzony. Wiadomo tylko, że Frank nie mógł już siedzieć w kraju, udał się więc za granicę, mieszkał w Wiedniu, Bernie i Offenbachu, tam się starał swoją rolę misyjną przelać na piękną córkę. Umarł nagle w Offenbachu 10 grudnia 1791 r. Do ostatniej chwili trzymał dwór własny i żył w przepychu. Sulima opowiedział szczegółowo dzieje Franka w 13-tu rozdziałach, przedstawił obraz jego przygód, życia awanturniczego, prześladowania przez talmudystów; w osobnym rozdziale opisał dysputę lwowską, na której wytoczono dogmata religijne talmudystów i frankistów. W ostatnim rozdziale znajdujemy spis rodzin nobilitowanych na sejmie koronacyjnym r. 1764.

— *G. Maspero* (profesor w Collège de France, członek Instytutu). „Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya.” Przełożył J. Popławski. Warszawa. Nakład T. Paprockiego i S-ki. 1894.

Książka ta nie jest właściwie historią dynastyi i narodów starożytnego Wschodu. Dawniej autor w szczegółowym wykładzie „Historyi starożytnej Wschodu” ugrupował porządek faktów, następstwo

monarchów, ruchy i najazdy ludów. W niniejszych opowiadaniach czytelnik znajdzie obraz życia w różnorodnych jego formach dwu najbardziej ucywilizowanych ludów, starszych od Greków. Z dziejów każdego autor wybrał epokę znaną najlepiej wskutek największej liczby zabytków. Jest to mianowicie epoka Ramzesa II (XIV wiek przed Narodzeniem Chrystusa) w historii Egiptu i epoka Assurbanipala (wiek VII przed Nar. Chr.) w historii Assyrii. W pierwszym rozdziale znajdujemy opis Teb i życia ludowego, charakterystykę przedmieść, lepianek, wyrobu cegły i budowy domów, opis sprzętów domowych mieszkańców ubogich, rodziny wraz z kobietą i gospodarstwem domowym, dzieci w domu i szkole, poszanowania dla matki. Autor szczegółowo opisuje dzielnice mieszczańskie Teb: targ, handel zamienny i wazenie kruszców, ulice handlowe i sklepy; sylwetki cukiernika, restauratora, balwierza, szewca, złotnika, stolarza, garbarza, garnce-rza, tkaczek. Nie pomija nawet charakterystyki tłumu. Oddzielnie cały rozdział trzeci poświęcony jest Faraonowi, rozdział IV—Ammonowi, wielkiemu bogu Teb. W rozdziale V znajdujemy opis poboru do wojska, tudzież całego życia militarnego, a więc: wojownicy dziecięcy i ich posiadłości lenne, wozy wojenne Egipcyan, rozdawanie broni i żywności żołnierzom, opis wojska egipskiego, wreszcie zdanie uczonych o stanie wojskowym. Nadto autor skreślił charakterystykę administracji ziemi (urzędnicy zarządzający rolnictwem, hodowlą inwentarza, spichlerzami, składami, przędzalniami, piekarniami i t. d.). Autor zaznacza wstręt ówczesnych Egipcyan rodowitych do rzemiosła wojennego, które pisarzom dawało materiał do satyry: „Lubią oni przedstawiać żołnierza obdartym, jęczącym z głodu i pragnienia, dręczonym przez naczelników z łada jakiego powodu... Obrazowi tej nędzy przeciwstawiają postać pisarza, bogatego, wolnego od niebezpieczeństw i powszechnie szanowanego. Dlatego, zaledwie rozejdzie się wieść o wojnie, połowa ludzi zdolnych do służby wojskowej pośpiesznie ucieka w góry przed urzędnikami poborowymi” (str. 107). Dalej (w rozdziale VI) znajdujemy wielce ciekawą charakterystykę ogrodnictwa, opis szpalerów z krzewów winnych i tłoczenie winogron; o nawodnieniach sztucznych, rybołówstwie, polowaniu na ptactwo błotne, opis dawniejszych polowań na pustyni i—służby łowieckiej i t. d. „W dawniejszych czasach polowanie na pustyni było nie tylko przyjemnością, ale i potrzebą. Miało ono dwa cele jednakowo ważne: chwytanie pożytecznych i tępienie drapieżnych zwierząt” (str. 138). Większość zwierząt, używanych obecnie w gospodarstwie, nie była wówczas jeszcze oswojoną. Więziono je podczas łowów i tym sposobem obłaskawiono wiele gatunków.

Następnie spotykamy się z medycyną egipską, czarownikami i lekarzami, egzorcystą, zaklinaczem złych duchów, zwyczajami pogrzebowymi, balsamowaniem i t. d. Cmentarzowi tebańskiemu autor poświęca obszerny opis (w VIII rozdz.) i charakteryzuje wierzenia w zakresie życia po-zagrobowego. Dalej (w rozdz. IX) czytelnik ma obraz stanu miast syryjskich pod panowaniem Egiptu, marynarkę i handel morski Egipcyan, dokładny opis okrętów egipskich i fenickich, wreszcie obraz handlu Syryjczyków z barbarzyńcami. Od rozdziału XI autor kreśli obraz Assyrii, przedstawia charakterystykę miast, opisuje kapłanów i zaznacza ich rolę w państwie. Wielce zajmujący jest obraz życia prywatnego Assyryjczyka z drobnymi szczegółami, od domu, sprzętów, kuchni, do wierzeń, przesądów, małżeństwa i obrzędów ślubnych i pogrzebowych, wreszcie osobny jest opis grobowców chaldejskich. (Starożytni Chaldejczycy budowali mogiły tak samo z cegły, jak domy). Dalej znajdujemy dużo ciekawych szczegółów o polowaniu królewskim (w osobnym rozdziale). Autor, snując opowieść historyczną, daje jednocześnie obraz szerzenia się sztuki assyryjskiej za pomocą haftów. Opisuje przytem wojsko assyryjskie i sposób prowadzenia wojny. Na szczególną uwagę zasługuje rozdział XVI, poświęcony opisowi biblioteki Assurbanipala. Assyryjczycy znali sztukę pisania za pomocą odpowiednio ściętych trzciniek, — na wyprawionej skórze, na tabliczkach drewnianych, a nawet na papyrusie, przywożonym przez karawany egipskie. W ten sposób zapisywano zdobycz wojenną, podatki i wogóle wiadomości, których nie trzeba było długo przechowywać. Dzieła zaś historyczne i literackie, akta prawne i dokumenta urzędowe, składane do archiwów, spisywano starem pismem chaldejskiem na tabliczkach glinianych. Takie dzieła, obok niewygody, miały zalety trwałości i bezpieczeństwa wobec ognia. Rozdział XVII poświęcony jest opisowi wieszczbiarstwa, które obejmuje astrologię chaldejską, wpływ gwiazd na losy ludzkie, przepowiednie astrologów za pomocą dokładnej obserwacji gwiazd, proroctwa bogów Elamu, na wzór bogów Assyrii i t. d. Wreszcie autor podaje dużo ciekawych szczegółów o flocie Sennacheryba, typach okrętów i machinach wojennych. Całe opowiadanie jest potoczyste, obliczone na to, ażeby nie znużyć nagromadzeniem faktów przeciętnego czytelnika. Sumienny autor do swej pracy zasięgał źródeł na miejscu.

— „Encyklopedyi wychowawczej” tomu V wyszedł zeszyt I (całego dzieła zeszyt 33-ci). Warszawa, 1893. (Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa).

Wydawnictwo pod redakcją: J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysańskiego i J. K. Plebańskiego. Zeszyt niniejszy za-

wiera następujące prace: Łukasz Górnicki, przez Piotra Chmielowskiego, Jakób Górski przez Kazimierza Morawskiego, Gramatyka grecka przez Bronisława Bieńkowskiego. Na treść przedmiotu się składa: Historia studyów nad gramatyką języka greckiego. Wartość i znaczenie pedagogiczne gramatyki greckiej. Dydaktyczna część przedmiotu. Metody i zasady nauczania. Wskazówki. Jakich książek używano w Europie i u nas do nauki języka i gramatyki greckiej? Czy należy uczyć gramatyki greckiej przed łacińską, czy łacińskiej przed grecką? Kiedy należy zaczynać naukę języka greckiego? Ile czasu poświęcano dawniej, a ile dziś przeznaczają szkoła na naukę języka i gramatyki greckiej? Wskazówki. Wskazówki co do ćwiczeń z charakterem dydaktycznym. Literatura i pomoce naukowe. „Kwestya pierwszeństwa gramatyki greckiej przed łacińską — powiada autor — obojętna tylko pozornie, rozwiązuje się na korzyść ostatniej przez sumę pierwiastków cywilizacyjnych łacińskich, które przenikają całą Europę zachodnią i tem samem zniewalają do zapoznania się przede wszystkim z mową Rzymian.” W Austrii i u nas gramatyka grecka zaczyna się w klasie trzeciej, a rezultaty są tak pomyslnie, że do rozpoczęcia tego przedmiotu autor uważa klasę powyższą za zupełnie odpowiednią. „Uczniowie bowiem są już względnie rozwinięci umysłowo i przez dwuletnią naukę języka łacińskiego wciągnięci w zakres głosu i fleksyi o tyle, iż z całą swobodą przyswajają sobie dźwięki i formy języka greckiego.” Zeszyt kończy się początkiem artykułu p. t. Gramatyka łacińska, przez tegoż autora.

— Oprócz „Russkiej Myśli“, tłómaczenie (dokonane przez p. Kriwoszejewa) „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza drukuje także „Siewiernyj Wiestnik.“ W tym samym zeszycie znajduje się studyum o autorze powyższej powieści. Krytyk chwali „Bartka zwycięzcę“, „Hanię“, szczególnie zaś „Latarnika.“ Wogóle krytyk zaznacza, iż utwory naszego powieściopisarza pełne są niezwykłego ognia i poezyi.

— Antoni Górski. „Walka z drożyzną.“ Kraków. Księgarnia spółki wydawniczej. 1893.

Autor zwraca uwagę, iż pomimo znizenia się cen najważniejszych artykułów spożywczych, ogół konsumentów prawie żadnych nie czerpie stąd korzyści. Kupiec, jako pośrednik między wytwórcą a spożywcą, wobec dzisiejszych warunków ponosi znaczne wydatki, co wpływa na wielką różnicę pomiędzy cenami detalicznymi a hurtownymi. Za jedną z ważnych przyczyn drożyzny autor poczytuje działalność kupniów drobnych. Wreszcie odnośnie do Galicyi — fatalne warunki handlowe. Bankructwo tudzież niewypłatność przedsiębiorstw żydow-

skich, jest ważną przeszkodą w zawiązywaniu bezpośrednich stosunków z pierwszorzędnymi firmami zagranicznymi i w wywozie wytworów targowych. Myślą przewodnią autora jest walka z drożyzną za pośrednictwem zbliżenia wytwórcy ze spożywcą. P. G. radzi, za przykładem zagranicy, tworzyć przedsiębiorstwa na zasadzie spółkowej. Autor gorąco zachęca do pracy zbiorowej w tej dziedzinie.

— *H. Sieradzki*. „Solanka.“ Kraków. Gebethner i S-ka. Petersburg. Br. Rymowicz. 1893.

Pod nazwą „solanka“ znaną jest bardzo słona woda; górnicy ją nazywają surowicą. Niegdyś warzono z niej sól w Wieliczce. Dzisiaj atoli produkcya ta wcale się nie opłaca, skutkiem podrożenia paliwa. Jako więc produkt niepotrzebny, solankę pompy wyrzucają (około 140 tysięcy hektolitrów rocznie); spuszczana do krytego kanału, spływa następnie do rzeczki Zrawy, wpadającej do Wisły. Autor zwrócił właśnie uwagę, że ta lekceważona solanka mogła-by być nieocenioną, jako środek leczniczy. Wiadomo powszechnie, jakie mają znaczenie Ischl i Ciechocinek, miejscowości słynne z kąpeli solnych. W Wieliczce jeszcze r. 1826 powstał zakład kąpielowy; nikt wszakże nie dbał o najelementarniejsze potrzeby i urządzenia, więc naturalnie po latach 20-tu nędznego istnienia zakład ten musiał upaść. P. Sieradzki gorąco zachęca przedsiębiorców w kraju do skorzystania z marnowanego bezowocnie produktu. Urządzenie w Wieliczce zakładu leczniczego na sposób europejski mogło-by przedsiębiorcom przynieść olbrzymie zyski, a licznym chorym dać możność kuracyi bez uciekania się do dalekich i kosztownych miejscowości leczniczych. Zdaniem autora, sprawą tą powinno przedewszystkiem się zająć krakowskie Towarzystwo lekarskie, t. j. zbadać, czy solanka posiada wszystkie niezbędne właściwości lecznicze. P. Sieradzki zapewnia, że na sobie doznał zbawiennych skutków surowicy w Wieliczce.

— Znana firma księgarska Cotty w Stuttgardzie przedsięwzięła wydawnictwo belletrystyczne, „Die Romanwelt“, które ma być prowadzone przez p. Ottona Neumann Hofera z uwzględnieniem przedewszystkiem artystycznych wymagań ukształconej publiczności. Nie spekulacya zatem na pustą rozrywkę, lecz utrzymanie czytelnika na wyższym literackim poziomie przewodniczyć będzie wydawcom, a pierwszy zeszyt tygodnika, zawierający nową powieść Sudermanna, nowellę Fuldy, przekład Lotiego, artykuły Spiellagena i innych, świadczy już o tym kierunku.

— Kraushar Aleksander wydał w Petersburgu w księgarni Ry-mowicza „Nowe epizody z ostatnich lat życia Imci Pana Jana Chryzo-stoma Paska.”

Książki, nadesłane do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej.”

— W „Bibliotece Powszechniej” wyszły w dalszym ciągu: Byrona „Więzień Czylłonu”, przekład Franciszka Morawskiego; Wirgiliusza „Bukoliki” w tłumaczeniu Józefa Lipińskiego; Swifta „Podróże Gulliwera.”

— *Bronisław Szaniawski.* „Dzisiejsze małżeństwa.” Warszawa, 1894. Nakład T. Paprockiego.

— *Rudyard Kipling.* „Zwodne światło” w przekładzie Anatola Krzyżanow-skiego. Warszawa, 1894. Nakład T. Paprockiego.

— *Józef Rogosz.* „Zerwane struny.” Warszawa, 1894. Nakład T. Paprockiego.

— *T. Prażmowska.* „W dziewiczych lasach.” Powieść dla młodzieży. Warsza-wa, 1894. Nakład T. Paprockiego.

— *K. Bujwid.* „Najpotrzebniejsze wiadomości o cholercze.” Warszawa, 1894. Nakład E. Kolińskiego.

— *Armand Palacio Valdés.* „Szumowiny.” Powieść obyczajowa współczesna. (Przekład z oryginału hiszpańskiego). Tom II. Warszawa. Nakładem redakcyi „Gło-su.” 1893.

— *M. Gawalewicz.* „Ćma.” Wydanie 2-gie z ilustracyami Illicza. Warszawa. 1893. Gebethner i Wolff.

— *E. Lubowski.* „Kiedyż obiad?” Krotchwila w 1-ym akcie. Warszawa, 1893. Gebethner i Wolff.

— „Dwie teściowe.” Komedya w 1-m akcie. Z francuskiego. Warszawa, 1893. Gebethner i Wolff.

— *Z. Kowerska.* „Irena.” Powieść. Warszawa. 1893. Gebethner i Wolff.

— *W. Lakowicz.* „Królestwo zwierząt, według Brehma i innych źródeł.” Tłóm. S. Rewieński. Zeszyt I i II (całość zeszyt. 10). Warszawa, 1893. Gebethner i Wolff.

— *Dr J. Nussbaum.* „Podręcznik zoologii dla młodzieży od lat 10 do 14, z 272 rysunkami. Kraków, 1893. Gebethner.

— „Prawo o służbie w wojsku.” Wydanie „Gazety Świątecznej.” Warszawa, 1893.

— *M. Prawdnic.* „Żyto, jego gatunki i uprawa.” Warszawa, 1893. Księgarnia krajowa.

- *K. Promyk*. „Elementarz.“ Wydanie 24. Warszawa. Księgarnia krajowa.
- *Rohlfes*. „Nauka leczenia zwierząt domowych. Wydanie 22, przerobione przez dra G. Felischa z 66 drzeworytami, tłómaczył A. Strzelecki. Warszawa. Gebethner i Wolff.
- *S. Sadowski*. „Bąk“ kalendarz satyryczno-humorystyczny ilustrowany na r. 1894. Warszawa.
- „Duduś i Gąsior.“ Rocznik satyryczny na rok fantazyjny 2000. Warszawa Skład w drukarni Rubieszewskiego.
- *Ks. Chaignon*. „Rozmyślenia dla kapłanów, czyli droga do świętości kapłańskiej przez modlitwę wewnętrzną. Warszawa, 1893. Tom I str. 600. Tom II str. 644.
- *Ks. Jan Michniewicz*. „Pokój serca i środki znalezienia go i utrwalenia. Warszawa 1893, str. 352.
- „Facet.“ Kalendarz humorystyczny „Muchy“ na r. 1894.
- *T. Hardy*. „W pogoni za ukochaną.“ Przeł. z angielskiego. M. Dz. Powieść. Warszawa, 1893. T. Paprocki i S-ka.
- *A. Dygasiński*. „Wint.“ Powieść. Warszawa. Paprocki.
- *A. Zawadzki*. „Monologi.“ Serya II. Warszawa, 1893. Centnerszwer.
- *Kazimierz Gliński*. „Dramaty.“ Warszawa, 1893. Nakład S. Bukowieckiego.
- *Dr Paweł Sollier*. „Psychologia idyoty i głuptaka.“ Przekład Dra Mieczysława Goldbauma.
- *Edward Bogusławski*. „Początki Chorwacyi Illiryjskiej.“ Kraków, 1893.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia d-ra J. Mianowskiego, podaje do wiadomości: że w dniu 14 Września r. b., w dziewiątą rocznicę śmierci Jakóba Natanson, który testamentem, przez Rząd zatwierdzonym, przekazał Komitetowi Kasy fundusz wieczysty w tym celu, aby z procentów od takowego udzielane były co lat cztery, dwie nagrody za dwie największej wartości prace naukowe w ciągu ostatnich lat czterech, przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone: jedną za najlepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a drugą za taką pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych i historycznych.

Przyznał pierwszą z tych nagród panu Władysławowi Natansonowi za dzieło p. n. „Wstęp do fizyki teoretycznej,“ Warszawa, 1890, i pracę: „O potencjałach termodynamicznych,“ Kraków, 1892.

Drugą zaś panu Ludwikowi Krzywickiemu za pracę p. n. „Kurpie“ („Biblioteka Warszawska,“ r. 1892).

Zarazem Komitet zawiadamia, że następne nagrody przyznane zostaną w roku 1897 za prace, ogłoszone drukiem w latach: 1893, 1894, 1895 i 1896.

Prezes Komitetu: *A. Okolski.*

Członek Komitetu, Sekretarz: *Konrad Dobrski.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

Juliusz Słowacki i Marya Wodzińska.

Nietylko dla tych, co śledzą związek literatury z życiem i wpływami otoczenia, lecz wogóle dla rozwoju oświaty, nie może być obojętnym stosunek Słowackiego do kobiety, która w danym wypadku natchnęła go do jednego z najpiękniejszych utworów, do owego cudownego poematu miłości p. n. „W Szwajcaryi.“

Obraz tego szczególnego stosunku poety-marzyciela do 15-letniego dziecka przedstawia się jak zielona oaza, rzucona na rozлогі spieknego stepu. Miłość ta wzrastała tajemnie w duszy Słowackiego, żyła eterycznie, nie wyznana, bez nadziei, bez wzajemności i rychło pogrzebaną została. Z mogiły, w której zamknął jej wspomnienia poeta, wytrysnął kwiat czysty jak lilia wodna, skropiona rosy porannej brylantami.

Osoba, która wspomnieniami ze skarbnicy swych uczuć mogła-by sama najlepiej rozproszyć zmroki tego stosunku, milczała dotychczas. Piszący zaś o tej dobie twórczości poety (Antoni Małecki: „J. Słowacki“, Lwów 1867 wyd. drugie 1881 II, 31 i nast., Seweryna Duchiuńska, w „Bibliotece Warszawskiej“ 1874, str. 326 i nast., Stanisław Tarnowski w „Kronice Rodzinnej“ 1880, str. 257 i nast., Józef Treliak, w „Przewodniku naukowym i literackim“ 1881. IX, 283 i nast., Walery Przyborowski, „Niewieście ideały.“ Warszawa 1881. XX, 193 i nast., Ferdynand Hösick w „Świecie“ 1889, str. 294 i nast.) nie znali Maryi, która do niedawna należała więcej do dziedziny poezji naszej, niż do rzeczywistości.

W nadziei, że mi się uda przedrzeć tę zasłonę tajemniczości, zwróciłem się do bratanka jej, p. Antoniego Wodzińskiego, pisarza zaszczytnie znanego, nietylko w naszej, ale i we francuskiej literaturze, z prośbą o nakłonienie swej ciotki do wyjaśnienia tej najmniej znanej karty z życia Słowackiego.

I starania moje odniosły pomyślny skutek. Uprzejmości więc hr. Wodzińskiego zawdzięczają czytelnicy następujący dokładny opis, który tu z najściślejszą wiernością, z poprawkami Maryi, oddaję.

I.

Na początku 1832 roku, udała się babka moja do Genewy, w którem-to mieście blisko trzy lata przemieszkiwała. Ponieważ rodzina moja zajmowała natenczas stanowisko magnackie, dom nasz przy ulicy Beauregard stał się niezadługo ogniskiem, gdzie się gromadziło nietylko towarzystwo polskie, ale i przedniejsze rodziny genewskie. Młodzież (trzech synów i trzy córki) ożywiała wszystko swą wesołością i chęcią do życia. Najstarsza z córek zwała się Marya; druga, Józefa, późniejsza pani Kościelska, stała się matką dziś powszechnie znanego pośła, publicysty i poety; trzecia nakoniec, Teresa, natenczas rozkoszne trzyletnie dziecko, poślubić miała w r. 1852 swego kuzyna, Leona Wodzińskiego, dziedzica dóbr Białobrzegi i Sucha w Radomskiem. Z pośród licznych domowników wymienię: metra angielskiego języka, P. Baselop, T. Fielda, nauczyciela muzyki, pannę Wagner, Angielkę, odznaczającą się niezwykłą pięknnością, i Francuskę, pannę Mallet, obiedwie guwernantki. Z Polaków, znajdujących się naówczas w Genewie i pozostających w ścisłych z domem Wodzińskich stosunkach, wspomnieć tu trzeba: panią Klaudynę z Działyńskich Potocką, generała Gruszeńskiego i braci Mięczyńskich (Aleksandra i Włodzimierza), panią Ossolińską, Chodkiewiczównę z domu, której córka, Wanda, późniejsza Tomaszowa Potocka, szczególnie się przyjaźniła z Maryą i swatać ją chciała ze swym krewnym, Darowskim. Z obcych bywali w domu babki: hrabia de Montigny, Francuz, który w latach 1833 i 1834 miał się dwukrotnie oświadczać o rękę Maryi, państwo Saladin, których córka, uwielbiana przez najmłodszego z braci Wodzińskich, a słynna z wdzięków, stała się głośną za drugiego Cesarstwa hr. de Pourtales. Wreszcie codziennym prawie gościem był także ks. Ludwik Napoleon, mało mówiący, nadzwyczaj uprzejmy i namiętnie tańczący. Wieczorami młodzież, po podanej kolacyi, ohocho się zabawiała. Przyszły cesarz Francuzów pierwszy i ostatni dotrzymywał placu. Z Maryą zwykł był tańczyć galopadę, a tancerzem był wysmie-

nitym. Marzycielska jego natura nie znajdowała upodobania w miarowym walcu, ale w szalonym wirze galopady. Kto z kraju przejeżdżał, lub ziomkowie nasi jadący z za granicy, wszyscy znajdowali gościnne przyjęcie w domu przy ulicy Beauregard. W tych progach stanął Mickiewicz w przejeździe do Włoch, a swą powagą wywarł na Maryę głębokie wrażenie. Parę razy do roku, z dóbr swoich Służewskich, na samem pograniczu pruskim leżących, zjawiał się mój dziadek, Wincenty Wodziński. a wtenczas w sercach dzieci podwajała się wesołość. Takie-to było życie i otoczenie Maryi. Nauka, malarstwo, a zwłaszcza muzyka, podzielały jej chwile z rozrywkami. Minęło pół wieku od tych czasów, kiedy ja także stanąłem w Genewie. Niestety! zbyt młody nie rozumiałem jeszcze wartości tych pamiątek, nie odszukałem nawet miejsca, nie zwiedziłem domu, z którym mnie łączyła przeszłość najbliższych memu sercu osób. Dziś tego żałuję. Opisałbym Panu dom, w którym mieszkała Marya, powiedziałbym, czy jeszcze zielenieją drzewa, w których szmerze uleciało tyle marzeń, szczęścia, miłości... lecz wracam do naszego przedmiotu.

Słowacki, jak wszyscy inni Polacy, przedstawił się babce. Uprzejmość przyjęcia, wesołość i zamożność domu przyciągały go. Piękne oczy Maryi zapewne dopełniły reszty. A posiadała ona niewypowiedziany urok. Wzrostu słusznego, smukłej kibici, miała cerę matowo błądą, córom południa właściwą. Oczy czarne, pełne były ognia i powabu zarazem, owal twarzy oświecał czarujący uśmiech. Włosy hebanowe, spadały jej do samych stóp, głos dźwięczał dziwną harmonią. Zapominano więc, wpatrując się w jej lica, o nieklasyeczności rysów, o linii nosa zbyt ostro zarysowanej. Piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar. Mówiłem, że się zachwycała wszystkim, co piękne. Grą przy fortepianie entuzjazmowała słuchaczy. Nie dziw więc, że wyobraźnia Juliusza zapłonęła ku niej pełnym ogniem poetyckiego uniesienia. Zresztą wiadomo, że Słowacki ufał nietylko potędze swego rozwijającego się naówczas geniuszu, lecz z zadowoleniem spoglądał na samego siebie, cenił się wysoko i przeceniał może, jako zdobywca serc niewieścich. Wziął też w tym przypadku swobodną uprzejmość młodej panielki za oznakę głębszego uczucia. Nie widział, lub wiedzieć nie chciał, iż prawie przeciwne wywierał wrażenie. Był niesympatycznym. Ciotka w swoim liście do Pana używa nawet wyrazu „śmieszny.“ Pretensjonalny, w humorze zmienny, jak dzień marcowy, to wymuszony, to znów ckliwy, odznaczał się nienaturalnością. W stroju pozwalał na dandysa, i w pamięci tych pań (Maryi i pani Kościelskiej) tkwi dotąd wspomnienie płaszcza płóciennego z peleryną, ozdobioną z brzegu zielonym haftem. Słowem, świadomość geniuszu, występująca w jaskra-

wych wyrazach, a także zarozumiałość już czysto światowa, nie zjednywały mu ani serca, ani nawet należnego uznania.

Czy uczucie jego dla Maryi było tem, co Francuzi zwykli nazywać „un coup de foudre“, czyli też wzrosło stopniowo? czy wypływało ze szczerości serca, lub było sztucznym wytworem fantazyi? Są to pytania, na które Panu dla braku informacji odpowiedzi dać nie jestem w możności. Przynotuję tu tylko następujący epizod, podpatrzony i opowiedziany mi przez panią Kościelską. Zebrało się dość liczne towarzystwo w domu babki, a ponieważ dzień był pogodny, goście rozproszyli się po ogrodzie, lub zasiedli pod cieniem werendy. Z drzwi otwartych salonów dolatywały akordy. To Marya grała na fortepianie. W tem do salonu wpada Słowacki, szybkim krokiem zbliża się do Maryi, przykłęka, składa pocałunek na rąbku jej szaty, poczem drugimi drzwiami opuszcza nagle salę. Opowiadanie pani Kościelskiej nie znosi cienia wątpliwości, sądzę więc, że ta scena oryginalna rzuca światło na egzaltację uczucia poety.

Przy końcu 1834 roku oczekiwano w willi Beauregard przyjazdu dziadka, z którym rodzina Wodzińskich, po kilkoletniem wydaleniu, miała powrócić do kraju. Wtenczas-to babka, nie chcąc już zawierać dłuższej ugody z właścicielem domu, przeniosła się do pani Pategg, utrzymującej w Genewie t. zw. przez cudzoziemców „Une Pension de Famille.“ Tu więc najęła babka pierwsze piętro, a niebawem cały dom służył wyłącznie do użytku rodziny i domowników. Zatrzymał w nim jednak Słowacki swój pokój. Skutkiem tego nastąpiło większe zbliżenie się między głównymi lokatorami a przyjacielem Eglantyny. Trwało to od dwóch do trzech miesięcy. Słowacki stał się uczestnikiem codziennego, rodzinnego życia. Parę godzin przepędzał w salonie babki, wieczorami czytywał często paniom swoje utwory. Głos podobno miał głuchy, nieco przytłumiony, deklamował z emfazą. W miarę czytania podnosił oczy, śledząc wrażenie doznane na twarzach słuchaczy i jakby oczekując ich oklasków lub objawów podziwu. Dość, że i te wystąpienia nie podniosły wcale jego uroku. Jeszcze rok przedtem odbyła się owa wycieczka po Szwajcaryi. Brali w niej udział: babka, synowie jej i córki, guwernantki, master Bascloup, z obcych zaś nieodstępny generał Gruszewski, oraz bracia Miączyńscy i, naturalnie, Słowacki. Książę Ludwik Napoleon nie przyłączył się do turystów. Jakżeby dziś pożądanymi były wspomnienia Maryi z tej podróży, tysiączne drobne wypadki i wrażenia, które jej te dni, opromienione młodością i szczęściem, musiały w duszy pozostawić. Ileż by takie opowiadanie przedstawiało zajęcie, w przeciwstawieniu z poetycznemi uniesieniami rozmarzonego mistrza. Tu prostota, świeżość myśli młodej panienki, nie dbającej o miłość, którą bezwiednie wzniecić zdołała; tam fantazyja, w najbar-

wniejsze tęczowe przybrana szaty. Przecież ten cudowny poemat „w Szwajcaryi“, najpiękniejszy może z jego utworów, zawdzięczamy chwilom, spędzonym obok czarnookiej dziewicy, wśród czarów otaczającej go przyrody. Poeta wymienia tu miejscowości, które faktycznie zwiedzał, a chociaż zdaleka tylko, przypuszczać można, że uczestniczkę tej podróży odtwarzał w postaci heroiny kaplicy Tella; chociaż ją mieni być „od śniegów na Alpach różowych różowszą“, gdy na jej licach przeszło jakoby słońce niebios południa, że dalej czarne jej oczy w niebieskie zamienia,—nie stanowi to, podług mnie zbijającego twierdzenia, lecz dowodzi: raz, że wypada wziąć na uwagę wymagania poezyi, zapęd twórczy, artyzm, który piękności myśli lub słowa często samą prawdę poświęca, powtóre, przekształcenie, któremu zdała od nas w wyobraźni naszej ukochane przez nas osoby stopniowo ulegają. Zresztą może być, iż poeta dopełnił pierwotną postać rysami późniejszych miłości.

Na tem powinienem zakończyć; lecz temi dniami wpadła mi właśnie do rąk rozprawa „O poezyi polskiej w XIX stuleciu“, gdzie czytamy następującą wiadomość: „Słowacki kocha pannę Maryę Wodzińską, która mu się gorącą wzajemnością odplaca. Zazdrość pożera pannę Patteg, wynikają z tego powodu sceny, i rodzina Wodzińskich opuszcza Szwajcaryę. Słowacki przejeżdża na drugą stronę jeziora Genewskiego, pisze przeciw p. Patteg wiersz pod tytułem „Przekłęta!“ poczem znowu do niej powraca.“

Jest w tym ustępie wiele niedokładności i niezajomości osób, o których się sądy wydaje. Naprzód, Marya, jak już teraz Panu wiadomo, nietylko że się gorącą wzajemnością nie odplacała poecie, ale tego wzdychającego do niej bohatera zbywała wesołą obojętnością. Niemożemy o szczerości jej wyznań ani na chwilę powątpiewać. Wszak ta sama Marya, która dziś odpycha od siebie przypuszczalną jej miłość dla Słowackiego, z głębokiem wzruszeniem dotąd wspomina Chopina, dla którego młodociane jej serce prawdziwem wezbrało było uczuciem. Po drugie, sama Marya, jakoteż jej matka, należały do sfer tych ludzi, dla których dobre wychowanie jest poniekąd potrzebą życia i drugą naturą. Więc nawet w przypuszczeniu, iżby Marya miłość poety odwzajemniała, jeszcze do scen zazdrości i kłótni nigdy-by przyjść nie mogło. Rodzina Wodzińskich miała Genewę opuścić dla przyczyn zupełnie niezależnych od historii owego uczucia; więc w oznaczonym czasie rzeczywiście to miasto opuściła. Podobno, że Eglantyna bolała nad niestałością uczuć tego, którego pokochała; podobno że Juliusz, w dziwnym swym dziecięcym egoizmie, szukającym i potrzebującym pociechy lub zachęty, brał ją za powierniczkę zapałów swych dla Maryi; lecz do żadnej głośnej rywalizacji między nią a panną Wodzińską

nigdy nie przyszło. Przeciwnie. Ciotka do dziś dnia chwali urodę, dobroć, rozsądek, odznaczające pannę Patteg. Podług niej, Słowacki u boku takiej towarzyszki życia byłby doznał szczęścia i spokoju, za któremi do śmierci nadaremnie gonił i wzdychał.

Jest rysunek, przez panią Orpiszewską samą skreślony i przedstawiający właśnie jej postać z tego czasu. Życzyłbym sobie bardzo, aby z tego wizerunku ciotka pozwoliła zdjąć odbitkę fotograficzną; nie wiem jednak czy zdołam ją do tego nakłonić.

Bawiąc przez pewien czas w Kłobce, miejscu pobytu p. Maryi Orpiszewskiej, starałem się ciotkę nakłonić do spisania swych wspomnień. Prosiłem ją, aby mi je bądź podyktowała, bądź, opowiedziawszy, dozwoliła spisać. Pani Orpiszewska jednak nie uczyniła zadość mojemu życzeniu. Zakomunikowała mi tylko list swój do Pana. Starać się więc będę dopełnić ony niniejszemi szczegółami.

II.

Czy „młodziutka Marya kochała mocno ale krótko poetę“ — jak wspomina poeta w liście do matki, dziś, jeżeli tak było, to kochanie nie pozostawiło żadnego wzruszenia w jej duszy. A jednak serce to było gorące, zdolne kochać aż do poświęcenia, czego dowodem jej życie! natura wrażliwa, jak bluszczyca potrzebująca miłości i podpory! Leży także w tym uporze, lub w tej odrazie do wywołania obrazów minionych lat, różnica czasów i wychowania. My młodzi żyjemy pod wpływem innej szkoły i sądzimy, że nie, co się tyczy związku dwóch dusz, zwłaszcza gdy jedna z nich przenikniona była tchnieniem geniusza, nie może nam być obojętnem. My jesteśmy żądni wrażeń, szczegółów, epizodów, opisów miejscowości, gdzie się rozegrał dramat tych dusz, sposobu życia bliższego i dalszego otoczenia owych bohaterów sercowego dramatu. Cóż począć, kiedy starzy tej potrzeby naszej nie oceniają! Ciotka na wszelkie moje nalegania następującą odpowiadała wymówką: „Cóż mam wam mówić o Słowackim, kiedy nie wiedziałam nawet, że mnie kochał; ja wtenczas nie myślałam o miłości, lecz o nauce; przeróżne lekcye cały mój czas zajmowały; nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam.“ Ale ona wszystko odnosi do romantyczności uczucia, do scen drastycznych z niego wynikłych, a że takich nie pamięta, bo ich nie było, sądzi, że najlepiej wszelkie badania w tym względzie zbyć obojętnością lub milczeniem. A szkoda! bo faktem jest, że się Juliusz kochał w Maryi, faktem że ona, choćby wrodzoną intuicyą kobiecą kierowana, tego uczucia domyślać się musiała, faktem, że prawie trzy całe mie-

siące pod jednym mieszkali dachem, faktem, że odbyli razem wycieczkę do grotty i kaplicy Tella. Ileż-to szczegółów na zawsze zatartych! Gdy Słowacki poznał Maryę, miała rok piętnasty; gdy się rozstawali, zaczęła szesnasty, tę najwdzięczniejszą wiosnę młodości. Płynęła w jej żyłach cząstka krwi włoskiej, więc się wcześniej rozwinęła umysłowo i fizycznie. Był to kwiat już na wpół rozkwarty, pełny woni, świeżości, blasku. Miała Marya wszystko, co takiego człowieka, jak Słowacki, pociągnąć mogło i musiało. Wykwintne wychowanie, skromność lecz i wdzięk dziewczycy, duszę, która pod jego słowem jak struna harfy dźwięczała. A inteligencya żywa, talent niepospolity do muzyki, zamiłowanie do sztuki, nareszcie ten urok, jaki nadaje pierwszorzędne stanowisko społeczne, urodzenie, majątek, formy i stosunki światowe; a wiadomo, jak był poeta na to czuły i jak łatwo podlegał tym wpływom. I oto cała geneza miłości Słowackiego do Maryi.

Nadmienię tylko, że młode to dziewczę miało szczególne szczęście do wielkich ludzi, wyższych umysłów. Wszakże nie kto inny, tylko ona była ową Maryą, którą tak gorąco pokochał Fr. Chopin. Jeszcze po śmierci mistrza, znaleziono w papierach jego kopertę, obwiązaną na krzyż czarną wstążką, zawierającą wyschłe kwiaty, ofiarowane mu niegdyś przez Maryę, z położonym na niej tak prostym i smutnym zarazem napisem: „Moja bieda...”

Tych, którzy-by się chcieli bliżej zapoznać ze szczegółami, dotyczącymi osoby pani Wodzińskiej, obecnie 74-letniej kobiety, owdowiałej po dwóch mężach, J. hr. Skarbku i Ludwiku Orpiszewskim, znanym z pism i działalności swej za granicą, odsyłam do książki Antoniego Wodzińskiego p. t. „Les trois romans de Fr. Chopin“ (Calman Levy, Paris) i do jego feljetonów w „Słowie“ z dnia 25 listopada 1882 r. № 261. (Porównaj także „Kuryer Poznański“ z 3 grudnia 1882 r. № 277).

Jeżeli-by jakie wątpliwości powstały o stosunku Maryi do Juliusza, to rozproszy je niniejsze stanowcze wyznanie samej Maryi w liście do mnie z dnia 2 sierpnia 1893 r.: ... „Zbyt pochlebne zdanie o moim wpływie na twórczość Słowackiego, odeprzeć muszę.

Ci co o nim dotąd pisali, dając folgę własnej fantazyi, utworzyli z Maryi W. jakiś poetyczny obraz, który przy świetle prawdy pewnie zblednie. Niektóre daty są tu potrzebne. Urodziłam się 1819 r., zatem w epoce naszej znajomości ze Słowackim, t. j. w 1834 r. i kilka miesięcy 35-go, miałam lat 15, a tak byłam jeszcze obarczona lekcyami, że nie miałam czasu zastanawiać się nad życiem, tem bardziej jakibądź wpływ wywierać. Nie zwracałam uwagi nawet, żeby Słowacki był mną zajęty, jak to później twierdzono. Opuścił on Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem, przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie.

Powiadano mi potem, iż wyjechał dlatego, że Eglantyna Patteg, późniejsza hrabina de Louppé, była o mnie zazdrosna. Bardzo mnie to zdziwiło, bo ja nigdy ładną nie byłam, a Eglantyna, piękna i rozumna, była rzeczywiście jego Opatrznością. W owym czasie Słowacki jeszcze nie był sławnym, drukowane bowiem były dopiero pierwsze 3 tomy poezyi i Kordyan, które, jakkolwiek zawierają niektóre piękne ustępy, wiele niżej jednak stoją od jego późniejszych dzieł. Wyznać nawet muszę, że nam się wydawał troszkę śmiesznym i zarozumiałym, że chciał się mierzyć z Mickiewiczem. Jeden tylko mój brat, Antoni, bronił go, mówiąc: „Wy się później dowiecie, a on już dziś czuje, że będzie wielkim poetą.“ Jedyną pamiątką, jaką posiadam, jest wiersz, który nie wiem czy był kiedy gdzie drukowany; jeżeli nie, może Panu będzie miły.

Jest to improwizacya. W salonie mojej matki zbierało się niemal codziennie polskie towarzystwo. Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, więc rozstanie się z temi dobrymi i przyjaznymi osobami na zawsze. Jednego wieczora, mając mały album z luźnymi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co napisano; jedną taką kartkę podałam Słowackiemu, on się zamyślił, potem przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil, potem usiadł i pisał. Gdy wrócił, wiersz przeczytał, wszyscy byli zachwyceni...

Marya Orpiszewska.

III.

A teraz przypatrzmy się, jak ten stosunek odbija się w korespondencji Juliusza z matką. Z początku donosi o Maryi, jak o osobie zupełnie obojętnej. „W tym miesiącu—pisał zaraz po pierwszym poznaniu—miałem kilka wieczorów: wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwiema córkami; starsza dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye, i gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra bardzo mi miłą była.“ Field ów przypominał poecie pierwszą miłość do Ludwiki Śniadeckiej: „Żałowałem bardzo, — pisze na innem miejscu, — że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fielda; jest on zawsze ulubieńcem moim w muzyce, lubię wszystko, co się wiąże ze wspomnieniami...“ (Genewa w czerwcu 1833).

Omijam uboczne wzmianki w listach, a przystępuję do opisu owej podróży z rodziną Wodzińskich: „Genewa d. 21 sierpnia 1834. Najdroższa mamó moja! List ten kilku dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wojażu po górach; podróż ta była prawie niespodziewaną. Pani

Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z rodziną, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje (panie Patteg, matka i córka) przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze, i wzięwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro. Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed moimi oczyma.“ Tu zaczyna opis swego fantastycznego ubioru, który dziwaczością uderzał niemile Maryę i jej siostrę: „miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką! do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij wyższy ode mnie, biały, z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają.“ „W ubiorze tym— dodaje poeta — wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki: panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i młostwo mająca talentów, druga córka, jeszcze dziecko. Przy pannach była guwernantka Francuska, panna M., trochę podtusiała i ciągle zajmująca się botaniką, trzech synów pani W., jeden młody Żmudzin i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem, różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.“ Rano, 31 lipca 1834 r. ruszył statek parowy, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widzieli przemijające jeziora, brzegi, pożegnali oczyma Paquis i zniknęli. Kolejną wysuwały się z jeziora skały Meilleries, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze pisał listy, zwiedzili wszystkie miejscowości, tak cudownie opisane „W Szwajcaryi.“

W korespondencji jednak nie widać tego kolorytu miłości, pozłocącej w świetle rzeczywistości oglądane obrazy, jakiego nie było wtedy jeszcze i w uczuciach Juliusza. Miały się one tą barwą eterycznej piękności rozpromienić później. Fantazyi to więc poetyckiej tylko dziełem jest, że tego, co nastąpiło dopiero potem, znajdujemy już odblask na tle wrażeń przeżytych wtedy.

Jeszcze po odbytej podróży, o której z zachwytem pisał do matki, wspomina obojętnie o samem towarzystwie: „Od powrotu mego do Genewy, nie często widuję się z towarzyszami podróży. Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za

miasto; tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, pan W. wyda bal kostiumowy, na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube trzewiki, w których łąził po skałach.“ (Genewa 28 września 1834 r.) W dwa dni później dodaje: „Obudziłem się dziś rano, aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna p. Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mnie na wieczór; mają się znajdować na tym wieczorze wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie.“ Nawiązując zaś do tej wiadomości, pisze: „na tym wieczorze zrobiono mi komplement taki, a bardzo ładne i różowe usta mówiły: „znać, że pan z Wołynia, bo po wołyńsku tańczysz mazurka.“ „Ha, prawda—odpowiedziałem,— że my Wołyniacy, to dziarskie chłopcy.“ Trzeba widzieć teraz moją cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mi te junackie słowa były do twarzy.“ Znowu ta próżność, która, jako charakterystyczna właściwość Juliusza z owego czasu, utkwiała głęboko w pamięci Maryi. Opisuując szczegółowo gry na drugim wieczorze „naszym prawie familijnym“, dodaje: „sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej nieładna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca“ — wyraża się więc już teraz z pewnem uznaniem jej zalet — „zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które jako w towarzyszku podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłómaczę się chorobą spleenu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego (!), niż za niegrzecznego.“ W następnym liście dostrzedz już można nieznaczne nachylenie uczuć poety w stronę owej „nieładnej“ towarzyszki. Kiedy towarzysze jego, z epidemicznej choroby miłości do Angielki, zabarwiają sobie życie bądź pijatyką, bądź grą, bądź wreszcie wzdychaniem, on lęka się tego „szaleństwa“, wzbrania się nawet przestąpić progów Armidy, dodaje jednak: „jestem wszakże i bez tego dosyć *sentymentalną* figurą, mam czasem dziwne przecucia. I tak panna Wodzińska zaatakowała mnie niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą nabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i płacziwe wiersze napisałem mojej towarzyszce podróży po alpejskich górach...“ Wiersz, przepisany ze sztambuchu Maryi, uległ pewnym zmianom w drugiej redakcyi, spisanej w liście do matki z dnia 7 marca 1835 r. i jest niby przegrywką do VIII ustępu „W Szwajcaryi.“

Nawet gdy Wodzińscy sprowadzić się mieli do pensyonu p. Patteg', donosił o tem jeszcze dość obojętnie: „W domu, gdzie mieszkam, będzie mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i luku nad głową.“ List ten z Genewy pod datą 1 kwietnia 1835 r. ogłosił dopiero p. Meyet w „Ateneum“ 1892. II, 490. Niebawem jednak miało to się zmienić. Przez tęczyowy pryzmat opisuje poeta

Już dnia 24 maja 1835 r. jaśniejsze punkta odbytej wycieczki; stanęły mu w oczach te poranki, które przepędził na szczycie gór alpejskich, patrząc na to samo „słońce wschodzące niżej ode mnie“, i w poemacie Jungfrau słońce złote ma pod sobą. W następującym liście wymienia już wyraźniej dodatnie strony nowej znajomości: „Dobrze mi dosyć teraz na świecie, jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej muzyki; jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajduję pomiędzy nimi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajduję roztargnienie i cichą wesołość.“ Najchętniej słuchał poeta ładnej muzyki i, słuchając, krył się do muszli serca swego, jak ślimak, odbywał powoli drogę swą w krainie myśli. „Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite: raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski; całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkimi platanami, u drewnianego stołu, i ja z nimi.“ I wybierali potem w sadzawce żywe szczupaki, sami skazywali je na śmierć, na autodafe ogniste; przywiezione zaś w butelkach wino ciepło, jak w Kanie Galilejskiej. Ciskali kamyki płaskie, grali jak dzieci w zajęcia, w obliczu dam pozirucawszy surduty i fraki. A kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro, kołysane burzą, miotano nimi jak dzieci piłką, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, ale kropla deszczu nie śmiała ich uderzyć. „Słowem — kończy poeta — ładny był spacer, wesoły dzień, nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy byli razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w terażniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora. Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania...“

Dowiedziawszy się o wyjeździe miłego towarzystwa, pisze z żalem: „Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście, żenić synów i wydawać za mężów córki... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza, bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter, patrząc na groby Worms: „Invideo, quia quiescunt.“ Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, mamó, te węży, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dziewczeczkę, a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takimi wykrzyknikami konają osoby w moich tragediach, z takim dłu-

giem westchnieniem kona moja nadzieja.“ Po przerwie wraca do głównego przedmiotu: „piszę, jak gdyby mię kto gonił, przekonany, że taki list, nosząc cechę mego terażniejszego usposobienia, najlepiej ci, mam, przedstawi mię w takim humorze, w jakim teraz żyję: atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału przerznięta rzeką łez. O, jakże to niemieckie! ale dalibóg prawdziwe. Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy, jak o pustelnicznym domku nad rzeczką (cela pustelnika w XVII ust. „W Szwajcaryi“), o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach, szumiących nad pustelnią, i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem-kartuzem mam być ja *en personne*, nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzy w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości.“ Wyznanie to trochę poetyczno-mgliste sprowadza do ściślej określonych granic list następujący, już z Veytoux d. 2 września 1835 r. pisany: „Najukochańsza matko! Od dwóch miesięcy już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Leman, w najpiękniejszym miejscu. Długo było-by pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony; ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, że się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Niema w tem za grosz prawdy, ponieważ z Tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie; otóż wyznam Ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka gospodyni domu, Eglantyna, widząc mię dosyć zajętego panienką młodszą od niej i widząc tę panienkę dosyć mi przyjazną, poczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się, o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, chociaż żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było wesoło bardzo.“ Tam-to, patrząc na jezioro Leman, napisał kilka lirycznych „kawałków“, malujących ówczesny stan jego umysłu. Z tych pierwsze miejsce zajmuje „Przekleństwo“ (ogłoszony w „Tygodniku literackim“ Wójkowskiego, Poznań 1839, № 58), wiersz przeklinający Eglantynę za to, że mu wyrzutami niestałości wobec niej zakrwawiła serce, gdzie zwraca się pelen tęsknoty i miłości do Maryi, którą nazywa „siostrą na wygnania ziemi“ i która mu „w duszę oczyma patrzyła anielskiemi.“ Drugi przesłiczny wiersz, p. t. „Rozłączenie“, ogłoszony dopiero w pośmiertnem wydaniu dzieł J. Słowackiego, a pisany nad jeziorem Leman 20 lipca 1835 r., oplakuje rozłączenie poety z Maryą.

Jeżeli przytoczony list pani Maryi Orpiszewskiej wypowiedzi całą prawdę o stosunku do Juliusza, to obrazy miłości w trzecim wierszu „Stokrotki“, pisanym w Veytoux 21 lipca 1835 r. (rano), mają źródło swe tylko w wyobraźni poety, który ludził się fatalnie wroźbą, że Marya „kocha go nad życie.“ Z estetycznego stanowiska wzięwszy, zbliża się ten wiersz raczej do anakreontyków, niż do liryki, czerpiącej swe soki z twardego gruntu rzeczywistości. Potwierdza to również i ostatnie wspomnienie do Laury, pisane w tym samym czasie (Veytoux 30 lipca 1835 r.) a malujące w gorętszych i drżących jeszcze od wzruszenia tonach miłość do Ludwici Śniadeckiej. Wiersz ten, drukowany w „Tygodniku literackim“ Wojkowskiego, Poznań 1839, № 35, nosi datę „Paryż 1839“, która jest stanowczo mylną. W autografie bowiem, użyczonym mi łaskawie przez prof. A. Małeckiego, jest data wyżej wymieniona. Gdy pani Wodzińska z rodziną wyjechała do Drezna, Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem odwiedzić poetę, który wrócił na gorące prośby przyjaciółki do cichego domku, ale jadąc doznawał takiego uczucia, jak gdyby mu się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleilo; zasmuca go myśl, że ten dom ma mu być obcym, i że znów szukać ma nowych ludzi.

Po wyjeździe Maryi niedługo już bawił w Szwajcaryi, złożyły się na to zupełnie inne powody. Mimo to, żal mu było ciepłego gniazdka nad Lemaniem i tęsknił za niem. Z Neapolu skarży się matce, że mu brakuje podpórki, a podpórką nazywa to coś, co go kocha, coś, co go broni od myśli, że jest samotny na świecie, jakaś postać, co mu patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Przywykł już nie do kochania czegoś, ale do lubienia czegoś na ziemi, dlatego jest niespokojny w Neapolu, jedzie do Sorrento, aby tam przywołaniem mocnych myśli zapełnić tę czerzość, która go nadto lekkim czyni i unosi po wierzchu wszystkich wrażeń. F. Hösick przypuszczał, że tutaj, w Sorrento, w cichem ustroju wiejskiem, układały się już w wierszowaną formę wrażenia przyrody alpejskiej, opromienione blaskiem poezyi; opierał się zaś na słowach poety: „Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniło mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux nad brzegiem jeziora, i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę...“ Jeszcze w Podróży na Wschód rozpamiętywał poeta jasne chwile tego stosunku w wierszu „Z Nilu do ****“, który tu z rękopisu ogłaszam:

„Kiedy smutny nad Tellą siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb' białością smutnego
Ptaka na pustym domu... i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem — dumających razem,

Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
 Gwiazdeczki szczęścia bardzo dawno utraconej.
 Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie... czy jeszcze
 Smutną pod płaczącymi wierzbami zastaje
 Biały księżyc. O moja miła siostró duszy,
 Jak ci zimno być musi... we wrześnieowych nocach
 Oświeconej czerwonym światełkiem komina,
 W którym wilgotne płaczą gałęzie... W Szwajcarów
 Ziemi, łuk dawny Tella, jaśniejszy niż słońce
 Przez sześć miesięcy roku ... Jam się bardzo zręcznie
 Zimie sypiącej za mną śniegami wywinął.
 Słońce błyszczy mi złote... mógłbym tobie posłać,
 Zamiast zwiędłej rozmowy, pod myślącym słońcem
 Róże dziś rozwinięte i świeże... myślące...
 Lecz na co tobie róże? ty, co kwiaty wdowie
 Rwiesz na łąkach i niemi ubierasz słomiany
 Kapeluszek

(Wiersz ten niedokończony powstał w październiku albo w listopadzie 1836 r.).

We Florencyi dopiero, jak to dziś i p. Hösicke przyznaje, urósł poemat „W Szwajcaryi.“ A wtedy S. wrócił znowu myślą do Maryi, wabiły go góry Szwajcaryi, drzewa i fiołki, kwitnące w złotem słońcu. Nieraz utrzymywało go nawet przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których uwolnił się wyjazdem do Włoch. Z Florencyi nadarzyła się sposobność odbycia wycieczki w góry Toskańskie, o której tak zapisuje w Pamiętniku: „Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, przypominała mi bowiem moją wędrowkę po Szwajcaryi: coś było bowiem w gwarze tej licznej familii (Potockich), przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej paniienki czarnobrewej brakowało. Tak w tej małej wędrowce, jak w zwierciadelku, widziałem różne najpoetyczniejsze godziny mego życia. Jak też mię Bóg wysłuchał ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie; to też On wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami.“ Jakkolwiek w liście z 3 października donosił matce, że życie w spokojnej i ładnej Florencyi jest bardzo miłe i „od tęsknoty za mojem jeziorem już mię obroniło“; to przecież pisze już 24 listopada 1837 r., że „co piętnaście dni przypomina mi się Paquis, nad zwierciadlanem stojące jeziorem.“ Plotka, jakich i między nami nie brak, o wyjściu Maryi za Chopina, podrażniła duszę rywala, co się przebiega w następującym liście z Florencyi 22 lutego 1838 r.: „Mówią, że się Chopin z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą, ożenił; może po-

szła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało; stałość i niestałość harmonizują z sobą w takim zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz, zrobi się anioł jeden po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy, wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza, skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki. Miło mi, że tylko nie zapomniała mojego walca.“ Żałuje, że miejsce w którym spędził mile kilka chwil życia, przemieniło się pod niemiłosierną dłonią cywilizacji; ogarnia go smutek na samą myśl, że, wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie 3 lata przemarzył, „zamiast tej melancholii, jaką-by mię przeniknął widok miejsc, gdzie latał po murawach z młodzieńką Maryją, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają“, zamiast tego wszystkiego, znajdzie dom w mieście czarnem i posepnem...

Do poematu „W Szwajcaryi“ dostarczały barw nie tylko wspomnienia miłości do Maryi, ale także — jak się domyślam, a czemu nie zaprzecza pani Orpiszewska — przelotna, ale namiętna miłość dla Florentynki. Charakter zmysłowy tej miłości przebija wyraźnie w utworze (w ustępach XII—XV) „W Szwajcaryi“, a że taką była, tego dowodzi list następujący, datowany w Florencyi d. 10 lipca 1838 r., odślaniający ten stosunek, który go naprzód szaleł, a potem napęłnił czczością. „Zaczynając ten list — pisze poeta do matki — nie wiem jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stosunkach listownych z Tobą, droga moja, znajdować powinna, a na ten raz chciałbym, żebyś była młodym chłopcem szalonym, jak ja jestem w chwilach ekscentrycznego życia mego, wtenczas, kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajdę sobie jaką Fornarynę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael. Kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się z całą pasją serca mego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i narzeczcie z rzeczy pospolitej bardzo zrobię sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi. Dziewczynka, która mię teraz lubiła, odpowiedziała zupełnie pięknym włoskim okolicom: oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze,

co ją zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie... Otóż admirujecie moją moc charakteru: zamiast ugrząść we Florencyi i przemienić się w jaki laur zaczarowany, wyjeżdżam 25 t. m. do Paryża.“ Przytrzymała go jednak Fornaryna. Po pewnej zwłoce pisze do matki: „Teraz wreszcie naznaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę; boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, które mię nareszcie mocy charakteru pozbawić-by mogło i do jakich szaleństw przywieść, mnie, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem jak inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja, opuszczona, może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazana jest na nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży. Niech się stanie jednak, jak się Bogu podoba. (Florencya 10 lipca 1838 r.). Na poemat „W Szwajcaryi“ złożyły się obok reminiscencyi z „Alastora“ i „Epipsychidyona“, Percy Bysshe Shelleya (J. Kasproicz w „Kraju“ 1887 r. i w „Życiu“ 1888 r. str. 195 i nast. F. Hösick w „Świecie“ 1889 r. str. 423—7. Zdanie przeciwne w „Ateneum“ 1892 r. luty, str. 231, może się odnosić tylko do „Beatrix Cenci“), obok studyów nad Dantem (porównanie odnośnego miejsca, „Franceska i Galeoto“ i t. p. u J. Tretiaka w „Przewodniku naukowym i literackim.“ Lwów 1881 r. IX, str. 284 i nast.), także i dzieła sztuki, zwłaszcza Wenera Medycejska. („Wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc, aby piękność jej przeszła do mojej duszy, tak, żeby się wszystko potem podług niej tworzyło. Słowem, życie moje jest nie bez jakiegoś jednak harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia.“ Florencya 3 października 1837 r. „Na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiej“—woła w liście z Florencyi jeszcze dnia 19 maja 1838 r.). Głównych jednak motywów dostarczyły wrażenia z przyrody. Natura szwajcarska objęła go od razu w swe śnieżyste ramiona. „Sympatyzuję teraz—pisze poeta do matki—więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.“ (Genewa 24 marca 1834 r.). Jesień, ulubiona moja pora roku, zachwyca mię bardziej teraz, niż kiedykolwiek; kąpię się w złotych promieniach słońca, słuchając z rozkoszą lekkiego szelestu spadających liści.“ (Genewa 28 września 1834 r.). Ale dopiero po odbytej podróży w towarzystwie rodziny hr. Wodzińskich rzucił się cały na łono przyrody alpejskiej. „Nigdy w życiu mojem — pisał wówczas pod świeżem wrażeniem — nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni przemijały przed mojami oczyma.“ (Genewa 21 sierpnia 1834). Niejednokrotnie wracał do tej „wojaży.“ „Bardzo kontent jestem — pisał z Genewy 28 września 1834 r. — zem odbył podróż po górach tego roku i obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja jak salon pałacowy ustrojona jest nowemi malowidłami.“

Obrazy w „Szwajcaryi“ odbijają mocno od reszty dni jego życia. Sprawiają one wrażenie podobne do owej chwili, kiedy wśród całodziennej słoty błysną ukradkiem z po-za obłoków wróżby promienne lepszego jutra... W podobny sposób zaczęło się i w sercu poety rozpogadzać — wzburzone żywioły zaczęły się układać do równowagi — świat wydawał mu się stopniowo piękniejszym, bardziej harmonijnym. W duszy niespokojnego, zgryźliwego Byronisty nastąpił przełom: „Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego; zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają.“ (Genewa 27 kwietnia 1834 r.). „Myślę za miesiąc wyjechać w góry i osiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napić pięknością natury i mieć na długo serce pełne myśli rozplywających się w Bogu... Nie uwierzysz, Mamo, jak podróż przeszłoroczna (z rodziną Wodzińskich) wpłynęła wiele na wewnętrznego mię, a jak ja często mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje się, że myśli moje odmłodziły. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mnie w te kraje.“ (Genewa 30 czerwca 1835 r.).

Opisując w liście z Genewy 20 października 1835 r. obraz alpejski, ożywiony duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga, dodaje: „jest to niby wizerunek symboliczny tego, co czuję teraz. Nie idę do kościoła, ale słucham zdaleka między skałami dzwonu, co zwoluje spokojnych ludzi na modlitwę.“

„Trzy miesiące, przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrody, były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem, spostrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, widziałem ją zbliżka błękitną albo chmurną...“ Nastrój ten poety odbił się i na poemacie „W Szwajcaryi.“ W korespondencji z tego okresu pozostały ślady tych wrażeń, które, skąpane we wspomnień mgłę porannej, spadły rosą perlistą na obrazy poematu. Jeszcze w przejeździe do ojczyzny Tella uderzają przebywającego góry Jurajskie, w dolinie (Mijou) między sosnami opuszczone szalety, domki, w których latem pastarze mieszkają. W jednym z takich prześlicznych szaletów, o których wspomina w opisie podróży z rodziną Wodzińskich, na takiej łące, gdzie trzód jęczą dzwony, umieszcza poeta swoją sylfidę. Nawet klomby róż, zaglądale do okien kochanków, to wspomnienie cichego domku w „Paquis“ (Campagne de Monthoux), do którego zawiewał oknem zapach róż. (Porównaj listy Słowackiego pod datą Genewa 30 kwietnia 1832, czerwiec 1833 i 21 sierpnia 1834 z ustępami VIII i IX poematu „W Szwajcaryi). Drobnym zresztą szczegółem, że szalet ten miał

„zabite śmierci świekiem okiennice“, które wstydliva nimfa „zamykała wszystkie, ażeby na nią nie patrzyły kwiaty“, jest reminiscencyą szwajcarskich mieszkań, a w szczególności pensyonu pani Patteg, z zielonemi okiennicami. (List 25 stycznia 1833 r., porównaj „W Szwajcaryi“ rozdz. XVII). Z wrażeń przyrody szwajcarskiej podnosi autor kilkakrotnie *błękitny* jeziora Genewskiego. („W dzień pokój mój, jezioro, niebo, góry, wszystko *błękitne* , ale dziwnie czyste i przezroczyste.“ Veytoux 2 września 1835 r. Porównaj Listy z Genewy z 15 marca, z 22 września 1833, i 21 sierpnia 1834 r.). Są to te same lazury, które, powtarzając się w różnych odcieniach aż 24 razy, pławią w niebiańskim kolorycie, tło jej, bohaterkę i całą kompozycyę „W Szwajcaryi.“ Posyłając matce na liście z dnia 22 września 1833 r. sztych Genewy, wyciągającej szyję nad jeziorem, uwydatnia rzekę Rodan, „która z paszczy *błękitnej* ucieka“ („W Szwajcaryi“ rozdz. III) i woła w uniesieniu: „Piękny to kraj. Patrząc na niego, mimowolnie nieraz powtarzam słowa piosnki Goethego: „Czy znasz ten kraj, znasz go o moja miła? Tam byłby raj. gdybyś ty ze mną była.“ Wiersze te, powtórzone w opisie podróży szwajcarskiej, odbytej z rodziną Wodzińskich, tkwią mu w myśli, gdy pisze ustęp III „W Szwajcaryi.“ „Pójdziemy razem na śniegu korony“, aż do „O! moja luba tam pójdziemy z tobą.“

Po zejściu z góry Ghemi zachwyca się poeta w opisie podróży kaskadą srebrną, z gór spadającą. (List Słowackiego, pisany w Genewie 21 sierpnia 1834 r.), która w poemacie na „mgłach srebrzystych cała się rozwiesza“ (ust. II „W Szwajcaryi“). Kaskady Giesbach i Staubach,—ta ostatnia, spadająca ze skał na 800 stóp i przez sam lot z takiej wysokości zamieniająca się na „wstęgę mgły białej“—służyły za model do owej kaskady, na której tle promienieje postać „anielskiego świtu.“ W opisie podróży, odbytej z rodziną Wodzińskich (Genewa 21 sierpnia 1834), błyszczy oprawione w skalistym brzegu „czarne jezioro“, straszące nas w jednym z ostatnich obrazów „W Szwajcaryi“ (ust. XVII), a „góra Jungfrau, śniegiem pokryta“ stojąca „jak olbrzym biały“ nazywa się w poemacie (ust. III) „gór nadalpejskich śnieżystą dziewicą“ i „ubiera się w tęcze kolory“ (ust. VIII).

Przy czytaniu w liście do matki owego wojażu po jeziorze Genewskiem statkiem parowym, opisu owych „łodów w dolinie Grindelwald, których promienna „białość“ tak cudownie odbija od przesyconych zielenią muraw, drzew i ziół alpejskich, na widok pierwowzorów „owych lodowych gmachów pod sklepieniami *błękitnego* kryształu“, z których ścian kropliste od słońca spadały deszcze (Genewa 21 sierpnia 1834), mimowoli nasuwają ci się wspomnieniami wyobraźni malowane obrazy „lodowej groty“, gdzie sylfy „z jasnością ogromną deszczem spadały“ (ust. VII „W Szwajcaryi“) i ową cichości pełną i kolo-

rów kaplicę Wilhelma Tella, tak cudownie odmalowaną w VI ustępie poematu. Wszystkie te lub tym podobne okolice służyły Słowackiemu za ramy do wspaniałego kartonu „W Szwajcaryi.“ Sielanka sama jednak, pełna niewysłowionego uroku, którym podbija i czaruje, nie jest bynajmniej odbiciem rzeczywistych stosunków, lecz raczej obrazem, powstałym „z imaginacyi i sennego przypomnienia.“ Wspomnienia scen z podróży po Szwajcaryi, odbytej z Wodzińskimi, przepuszczone przez czarnoksięskie szkła poetycznej wyobraźni, stworzyły przepyszną poezję, z której epizodów nie godzi się bynajmniej sądzić o rodzaju stosunku pomiędzy wieszczem a jego muzą. Rozbijała imaginacya poety stworzyła kilka sytuacji, które nie istniały po-za jej zaczerpniętymi sferami. I tak chyba w „samem przypomnieniu“ tego, czego sobie życzył i pragnął, mógł on powiedzieć, że przed Tella kaplicą „pierwsza wyskoczyła płocha i powiedziała mu w głos, że go kocha“—mógł mówić o różnych miłosnych poufałościach, odmalowanych zresztą bardzo eterycznie, których w rzeczywistości wcale nie było. Piętnastoletnia Marya nie dzieliła wcale tej fantastycznej miłości, której hymn głosił tu poeta. W tem, co o niej pisze, jest prawie wszystko jego fantazją, jak wogóle cała owa „jeziorka błękitnego pani“, która:

„Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną”,

było wytworem już czułościwej wyobraźni. Rozkochany poeta nadał jej rysy, jakich nigdy nie miała, malując ją w kilka lat później:

„Kiedy się myślę w przeszłości zagłębie,
Nie wiem jak sobie jej postać malować?”

Zrobił ją boginią piękności, choć była, jak wszyscy zapewniają, nieładną. Być może, że, mając 16 wiosen, była rzeczywiście „od Alp na śniegach różowych—różowszą“, ale co do „żrenic z błękitu“ poeta pomylił się stanowczo: panna Marya miała bowiem piękne czarne oczy, a nie niebieskie. St. Tarnowski wysnuł subtelnie przyczynę tych zmyśleń, jakie rodzi miłość, a zwłaszcza miłość poety. Któż nie doświadczył tego i na sobie, jak mimowolnie nieraz bawi się wyobraźnia wystawianiem siebie samego w różnych położeniach i przygodach; na podstawie takich przypuszczeń budują się nieraz całe pałace z lodu, które zamieszkuje zakochany razem ze swym ideałem. Otóż Słowacki, do marzeń zawsze skłonny, trochę zakochany, a rozstaniem z Maryą tak rozdrażniony, że mu się ta miłość wydała wielką i głęboką, kiedy się znalazł samotnym i rozmyślał nad nią wiele, podobnie zobaczył siebie i Maryę we wszystkich uniesieniach miłości wzajemnej i szczęśliwej. Zresztą

objawia się tu charakterystyczny rys naszego poety. Ta sama kobieta, dopóki była przy nim, wystarczała mu zaledwie na przedmiot żywego zajęcia. Skoro znikła, stała się czemś niedoścignionem, żal po niej, tęsknota, wspomnienie i to bolesne uczucie utraty, taki jej nadają wdzięk w umyśle kochanka, przedstawiają mu ją w tak uroczem świetle, że i ona sama, i miłość, którą miał dla niej, wydają mu się innemi zupełnie, niż były w istocie. Jeżeli prawdą być może, że pokochał po raz pierwszy, kiedy ją ujrzał pod kaskadą, i wydała mu się, że „z tęczy wyszła i potoku piany“ — choć dla dokładności powiedzieć trzeba, że to nie było tam, gdzie Aar wodami błękitnemi spada“, z listów jego bowiem pokazuje się, że wędrowkę przez Grimsel, na której leży wodospad Aaru, odbywał tylko z braćmi Maryi, kiedy ona z matką pojechała prosto do Lucerny; jeżeli więc widział ją pod kaskadą, jak gdyby za zasłoną opadających wód i tęczy, to kaskadą tą musiał być nie wodospad Aaru w Handech, ale może wspomniany w jego listach Giesbach. W ogólności jednak, kiedy przyroda „W Szwajcaryi“, dzięki twardemu podkładowi z doświadczenia czerpanych wrażeń, święci prawdziwe tryumfy, to miłość, choć się mieni w tęczowych blaskach poezyi, właśnie z powodu braku tego rzeczywistego podkładu — cierpi czasem dotkliwie pod przewagą wyobraźni nad uczuciem.

DR HENRYK BIEGELEISEN.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ XIX.

Na polu walki.

Po wyjaśnieniach szczegółowych, które były niezbędne dla zrozumienia rzeczy, a więc po rozpatrzeniu składowych części armii, środków wojny, oraz różnych wchodzących w jej zakres pierwiastków i czynników, obecnie przystąpić już możemy do przedmiotu natury ogólniejszej, mianowicie do wyjaśnienia, czem będą i jakie prawdopodobnie będą — według zdania znawców — przyszłe operacje wojenne.

Każda bitwa, posiadająca znaczenie, jest kombinacją działania piechoty, kawaleryi i artyleryi. Są to niby palce jednej ręki, z możliwie największym wysiłkiem starające się zgnieść przeciwnika i narzucić mu swoją wolę. Brak jednego z nich równał-by się dla armii kalektwu, krepującemu poruszenia i uniezdolniającemu do pewnych czynności. To też treść poprzedzających rozdziałów, w których wyjaśnione zostały działania kawaleryi, artyleryi, piechoty, oddzielnie branych, potrzebuje jeszcze wiązadła, potrzebuje skupienia w jedno ognisko

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy.

zawartych tam szczegółów, aby obraz był cały, skończony, aby wiadomości o tej wojnie przyszłej zostały organicznie spojone, aby powstał ogólny obraz operacji na polu walki.

Przy dzisiejszym stanie nauki wojskowej, t. j. wobec tego, że udoskonalenia i przewroty techniki odjęły w znacznym stopniu znaczenie doświadczeniom czasów ubiegłych, a wpływ nowej techniki nie przeszedł jeszcze przez próbę wielkiej wojny, jest rzeczą naturalną, iż całkowicie skończonego obrazu dziś jeszcze nakreślić niepodobna, można zaś tylko utworzyć szkic, w wielu punktach oparty na hipotezach.

Przypuszczając, iż każdego rozwiniętego społecznie człowieka kwestya ta winna interesować, postanowiliśmy — opierając się, jak zawsze, na świadectwie autorytetów wojskowych — naszkicować prawdopodobny wizerunek współczesnej walki większych rozmiarów.

I.

Zasady ogólne.

Ogólne zasady prowadzenia wojska w ogień i kierowania niem podczas bitwy są dziś naturalnie takie same mniej więcej, jakie były dawniej. Głównie chodzić powinno o to, aby mieć nad przeciwnikiem przewagę siły. A więc pierwszą troskę wodza stanowić powinno skupienie na głównym teatrze wojny wszystkich oddziałów, jakie tylko tam ściągnąć się dadzą, aby w ten sposób zapewnić sobie przewagę liczby, sprowadzić na pole walki najlepsze swe siły i przed rozpoczęciem bitwy stanowczej ustawić je jak najwłaściwiej.

Chodzi więc przedewszystkiem o to, aby mieć o przeciwniku jak najdokładniejsze wiadomości, o jego liczbie, składzie, położeniu i zamiarach. Ta część zadania — jak to już wykazywaliśmy — staje się coraz cięższą. Zasięgnięcie tego, co się w gwarze szeregowej nazywa *językiem*, jest trudne, ale bardzo ważne. Dawniej liczone przedewszystkiem na spryt własnych żołnierzy; teraz, nie porzucając dawnego środka, który napotykać będzie coraz większe trudności, wszystkie armie zamierzają, jak się zdaje, bardziej niż dawniej posługiwać się ludnością miejscową, oraz korzystać z przypadkowych wiadomości, jakich od niej zasięgnąć będzie można. Wszędzie też w armiach weszła na porządek dzienny nauka języków narodów ościennych. Oficerowie niemieccy nie tylko ćwiczą się na miejscu w mowie ruskiej, lecz pewna ich ilość wyjeżdża w tym celu corocznie do Rosyi. Armia austriacka posiada Słowian (przedewszystkiem Polaków i Ruskich), którzy język ludności z przypuszczalnego teatru wojny znają lub rozumieją, władza

wojskowa stara się więc tylko o rozrzucenie ich wśród armii tak, aby nie brakowało w żadnym oddziale. Wśród oficerów russkich znajomość języka niemieckiego dosyć jest upowszechnioną, prócz tego—jak pisma petersburskie donoszą — uczyć się oni języka węgierskiego.

Dalszy ciąg zadania na polu walki polega na tem, aby przez energiczne użycie sił rozgromić nieprzyjaciela w punkcie najważniejszym, na punktach zaś mniej ważnych przez ten czas opierać mu się tylko, lub nawet poprostu zając tylko siły jego i ludzi, aby nie przeszkadzali do pogromu w innem miejscu.

Jako przykład przytoczymy kilka szczegółów z bitwy pod Austerlitz, którą pewien wybitny autor ¹⁾ podaje jako jeden z wzorów kombinacji tego rodzaju.

Napoleon za pomocą różnych podstępów wepchnął wojska rossyjskie w punkt niebezpieczny pomiędzy Litawę i Goldbach; Sultowi zaś rozkazał uderzyć silnie na środek nieprzyjaciela, znajdujący się na płaskowzgórzu Protzen. Lewe skrzydło swoje wzmacniał on bynajmniej nie w tym celu, aby niem operować, lecz aby nieprzyjaciel nacierający mniemał, iż prawe skrzydło zostało osłabione. Korpus Davoust'a pozostawił Napoleon z tyłu po-za prawem skrzydłem, aby go wysunąć na pierwszą linię, jak tylko rozpocznie się starcie poważne. Tym sposobem Napoleon udawał słabego, aby skłonić Rossyan do atakowania w pożądanym dla siebie kierunku, a wtedy skorzystał energicznie z przewagi miejsca, wprowadzając do akcji wszystkie swe siły.

W obecnych czasach znacznie urosła liczba forteli, jakie mają być podobno w ruch puszczone, aby nieprzyjaciela wywieść w pole i zmusić w ten sposób do popełniania kroków fałszywych i omyłek zgubnych. Każda armia używać musi sygnałów rozmaitych, które oczywiście trzymane są w tajemnicy. Strony przeciwne dokładają wszelkich środków, aby tajemnicę taką wykraść i skorzystać z niej potem na polu zapasów, łudzając, alarmując, zwodzając nieprzyjaciela przebierając się w jego mundury ²⁾, przejmując depesze ³⁾.

Prócz tego, szerokie zastosowanie znajdują takie środki, jak obserwowanie z rusztowań, specjalnie wzniesionych, z balonów, jak użycie silnego elektrycznego i naftowego światła. W przeszłości środki te używane były o wiele rzadziej; głównem ich przeznaczeniem jest ułatwić rozpoznanie pozycji nieprzyjacielskich, lecz będą one używane również w celu omylenia przeciwnika.

¹⁾ *Waldor de Heusche*. „Tactique d'autrefois” (Revue Militaire Belge. 1893).

²⁾ *Oméga*. „L'art de combattre.”

³⁾ *Pierron*. „Méthodes de guerre.”

Zasada, wypowiedziana niegdyś przez Napoleona, i w przyszłości znajdzie zastosowanie, ale obrachunek dla jej spełnienia będzie o wiele trudniejszy. „Nie należy decydować się na bitwę, jeżeli z góry nie można rachować na 70 ze 100 szans powodzenia, a nawet i wtedy jeszcze nie powinno się zaczynać batalii, jeżeli nie przybyły nowe widoki tryumfu; gdy jednak raz się zaczęło, to już trzeba albo zwyciężyć, albo zginąć!” Przy dzisiejszych jednak warunkach walki, tak skomplikowanych, bodaj czy często dadzą się napewno obliczyć z góry szanse powodzenia.

II.

Atak i obrona.

Wobec trudności atakowania nieprzyjaciela, zajmującego pozycje silne i uprzednio wybrane, wypadnie często potrzeba oskrzydlenia go. Ale i nieprzyjaciel nie pozostanie wtedy bez ruchu, lecz wykona kontrmanewr niektórymi częściami swego wojska, skutkiem zaś tego będą starcia podczas samych marszów i wtedy wszelkie planowanie lub obrachowywanie z góry stanie się niemożliwym, gdyż wszystko zawisnie od nieznanych jeszcze warunków spotkania i początkowego momentu walki. Uwagi te stosują się właściwie do strony działającej zaczepnie, chociaż i strona broniąca się na wybranej przez siebie pozycji bynajmniej nie zawsze będzie mogła wykonać uprzednio powzięty plan; decyduje ona o ogólnym rozkładzie wojsk na pozycjach, ale los wypadków dalszych zależy od sposobu prowadzenia ataku i rezultatów, jakie on osiągnie w różnych punktach.

Strategicznie jest rzeczą możliwą, iż obie strony prowadzi zechcą wojnę *zaczepną*, jak się to np. działo w początkach kampanii francusko-niemieckiej 1870 r.: kierownicy armii francuskiej wierzyli, iż wkroczą na ziemię nieprzyjaciela, pobiją jego wojsko i dotrą do stolicy, hasło „à Berlin” miało wieść sztandary. Oficerom rozdano tylko mapy Niemiec, nie przypuszczając nawet, aby wojna mogła się przemieścić na terytorium francuskie i tam się ostatecznie rozegrać. Okoliczność ta bardzo się następnie przyczyniła do okropności klęski.

W takim wypadku do kraju nieprzyjacielskiego ze znacznymi siłami zdoła wtargnąć ta strona, która wprzód zdąży całkowicie zmobilizować armię, lub jeszcze w czasie pokoju posiadać będzie dostateczną liczbę wojsk w pobliżu granicy nieprzyjacielskiej.

Lecz częściej dzać się będzie prawdopodobnie tak, iż jedna ze stron zechce czekać na przyście przeciwnika we własnym kraju, aby go przyjąć w pozycjach wybranych i odpowiednio przygotowanych,

innemi słowy: zajmie stanowisko początkowo obronne. Druga zaś strona, wtargnąwszy do kraju nieprzyjacielskiego, z gwałtownością rzuci się na ważne punkta, postara się je zająć i zmusić wojska nieprzyjacielskie do natarcia, t. j. do odbierania zdobytych przez najezdnika stanowisk. W ten sposób strona nacierająca posiędzie odrazu dwojaką korzyść: po pierwsze, wojna przeniesie się na terytorium obce, a jednocześnie w dalszym przebiegu akcji wyzyskiwać będzie przewagę, jaką broniącemu się daje broń szybkostrzelna oraz proch bezdymny.

W tym jednak wypadku pozostaje jeszcze wątpliwość, czy przeciwnik zechce podjąć się wyznaczonej mu roli, czy nie będzie raczej wolał czekać na dalsze kroki nieprzyjaciela, który nie może długo pozostawać bezczynnym, lecz musi, oparłszy się na zdobytych pozycjach, ruszyć naprzód, t. j. przyjąć bitwę stanowczą zawsze przy warunkach miejsca, jakie sobie wybrał napadnięty.

Zasadnicze to pytanie strategiczne, które wystąpi zapewne zaraz na początku wojny, oraz skutki, wywołane przez takie lub inne jego rozstrzygnięcie, skomplikowane będą przez kwestye natury ekonomicznej. O tych jednak mówić zamierzamy w ciągu dalszym pracy, kiedy się załatwimy z czysto wojskową stroną przyszłego starcia narodów.

Teraz zaś wrócić nam wypada do taktycznego znaczenia ataku i obrony.

Wskazówki i doświadczenia wojen przeszłych wyrobiły przekonanie, że atakowanie wroga z frontu w otwartem polu, nawet przy bardzo umiejętnem korzycaniu z nierówności terenu, przynieść może straszliwe straty, a wskutek tego powodzenia nie zapewni. Atakowanie wyłącznie rozrzuconym łańcuchem strzelców również do ostatecznego zniszczenia doprowadzić nie jest zdolne. Po odpowiednem przygotowaniu dzieła przez ogień działowy, decydujące natarcie rozpoczyna się od stopniowego wzmagania łańcucha strzelców, który wciąż czerpać musi zasłki z zasobów rezerw. Najstaranniejsze jednak przygotowanie ataku, najostrożniejsze wybranie dla niego chwili, kiedy już przeciwnik powinien być osłabiony lub przynajmniej częściowo rozprężony, nie zabezpiecza jeszcze atakującego od strat olbrzymich, skoro tylko szeregi jego zostaną skupione. Wobec tego, przy dzisiejszym składzie armii, wodzowie szukać będą dopięcia celów innemi środkami, i będą woleli—szczególniej w niektórych armiach europejskich—zrzec się znacznych prawdopodobnych rezultatów, niż zdecydować się na otwarte atakowanie ufortyfikowanych stanowisk nieprzyjacielskich.

Od czasu jak armie składają się już nie z żołnierzy zawodowych, lecz z ogółu ludności pewnego wieku, znaczne straty w szeregach prowadzą nie tylko żałobę, lecz także i ruinę ekonomiczną wielu rodzin,

t. j. wywołają niezadowolenie wśród wyborców, a więc i sfery rządowe wobec tego nie będą mogły pozostawać obojętnymi.

Ciekawy pod tym względem przykład cytuje Sydney Whitman ¹⁾: Kampania w roku 1866 blaskiem wielkiej sławy okryła nazwisko generała Steinmetza, lwa z pod Nachodu. Rzucił się w niebezpieczeństwo, nie rachując sił nieprzyjacielskich, nie licząc strat własnych, niezbyt zwracając uwagę na cel. A powodzenie — co w takich razach znaczy wszystko — stałe mu sprzyjało, zeszyły się więc wszelkie warunki olśniewających czynów. Steinmetz mógł stać się bożyszczem opinii publicznej. Podczas wojny francusko-pruskiej otrzymał on dowództwo pierwszej armii. Zaraz na początku kampanii odniósł dwa świetne zwycięstwa pod Spichern i pod Gravelotte. Miłość własna niemiecka została wzbita pod niebiosa, waleczność i męstwo pruskie, temperament żołnierza niemieckiego tryumfował nad potomkami zwycięzców z pod Jeny. A było to tem ważniejsze, iż wtedy dręczyła wszystkich niepewność, komu uśmiechnie się zwycięstwo. Dodało to ducha szeregom. Ale Steinmetz miał jedną wadę — nie żałował krwi żołnierzy swoich. Zwycięstwo okupione zostało wielkimi ofiarami, i wskutek tego Steinmetza usunięto od dowództwa. Dodamy jeszcze od siebie, iż sztab główny oskarżał Steinmetza o odstąpienie od otrzymanych instrukcyi w celu odznaczenia się zwycięstwem, którego skutki nie odpowiadały wielkości strat. Ale decydowało tu niewątpliwie nie samo tylko niezadowolenie sfer wyższych, lecz chciano dać zadosyćczynienie ogółowi wobec wrażenia, jakie wywarła wieść o niepowetowanych stratach, poniesionych przez tyle rodzin.

Dowodzący nie zawsze łatwo zdecyduje się dziś prowadzić wojska do ataku i dlatego, że, przy obecnej krótkoterminowej służbie w szeregach a skomplikowanych wymaganiach, wojska nie są dostatecznie wprawione do korzystania z zasłon naturalnych gruntu.

Karol Dilke ²⁾ powiada o piechocie francuskiej: „Zarówno podczas ataku, jak i przy obronie, bardzo mało korzystano z właściwości terenu, celem osłaniania się. Linie atakujące posuwały się naprzód, nie uciekając się do szybkich przebiegów niebezpiecznych miejsc i ukrywania się, wbrew formalnym przepisom instrukcyi, chociaż przestrzeń, którą przebyć należało, była bardzo niebezpieczna.” I dalej: ... „Francuzi gwałcą swój regulamin i zaniedbują korzystania z zasłon terenu. Oficerowie są zanadto skłonni przypuszczać, że skutek ognia zmusi do przestrzegania podczas wojny tego, co uważają za zbyt cenne w czasie manewrów.“

¹⁾ Sydney Whitman. „Psychologie der deutschen Armee.

²⁾ Charles Dilke. „L'armée française.”

Też same zarzuty czynił i Reinach ¹⁾: „Widziano dowódców wszelkich stopni, wprowadzających swe oddziały w takie pozycje, że podczas bitwy rzeczywistej byliby stracili dwie trzecie żołnierzy.”

Mówiąc o „*ruchu armii ku polu walki*”, wskazywaliśmy już, ile czasu potrzebują wojska, ażeby się skoncentrować. Dzisiaj zaś przy zaopatrzeniu armii w narzędzia do robót ziemnych czasu tego będzie aż nadto do usypania szańców, wyłączwszy naturalnie te miejsca i okolice, gdzie sama natura położy *veto*, t. j. gdzie pokłady kamienne utrudnią robotę, albo ziemia będzie zbyt przemarznięta, błotnista i t. p. Rota piechoty swojemi własnymi narzędziami w przeciągu 2¹/₄ godziny jest w możności wykopać przykrycie, potrzebne dla linii tyralierów (około 250 kroków). Małe szańce długości 100 kroków dla przykrycia całej roty również zajmują tylko 2¹/₄ godziny, a okopy większe 4³/₄ godziny. Bateria własnymi instrumentami może usypać osłonę dla swoich 8-iu dział, stosownie do potrzeby, w przeciągu 2¹/₂ do 8 godzin ²⁾.

Atakowanie w każdym razie połączone będzie ze stratami i wysiłkami o wiele większemi niż obrona, ale i ono ma po swojej stronie pewne przewagi. Przy równych siłach stron obu, atakujący od samego początku z większą świadomością przystępuje do dzieła. Sam on wybiera sobie cel, a tem samem wszystkie jego kombinacje mają ściśle określony kierunek. Broniący się czeka na zaczepkę, by ją odeprzeć, musi on obserwować przeciwnika i swoje postępowanie stosować do jego kroków; trudno też przypuszczać, aby był pobudzony w tym samym stopniu, co atakujący. W ten sposób atakujący zyskuje przewagę. Świadomość tej roli prędko udziela się masom wojsk i dokonywa cudów. Nastroj nacierającej armii jest znacznie podnioslejszy niż oczekującej na nieprzyjaciela.

Oto co mówi jeden z pisarzy wojennych ³⁾: „Armię, działającą obronnie, można znużyć i w ten sposób ją obezwładnić. Czyż podobna utrzymać w porządku oddział, niepokoiony choćby tylko w ciągu półtorej doby, we dnie i w nocy, przez kilka lekkich baterii, przez zuchwałych tyralierów, oczekujący wciąż na walny atak, do którego przygotowanie, lub wszystkie jego pozory, ma nieustannie przed oczyma. Ktoś powie, że taki oddział można zluźnić przez inny? Ale w ten sposób zostały-by unieruchomione całe masy wojska, a nieprzyjaciel miał-by wolne pole do poruszeń strategicznych — na podobną bierność nie zgodzi się wódz żaden. Takiej moralnie tłoczącej działalności obronnej

¹⁾ Reinach. „Les grandes manoeuvres de l'Est.”

²⁾ Kirgie. „Handbuch für Ausarbeitung taktischer Aufgaben.” Gratz, 1892.

³⁾ Commandant Radoux. „Combats futurs.”

kres położyć można, tylko uderzywszy na przeciwnika chociażby pierś o pierś."

Z powyższego wynika, iż dotychczas nauka nie znalazła dokładnych reguł postępowania na polu bitwy. Wyrobić je zdoła dopiero praktyka przyszłej wojny, jeżeli naturalnie jej groza i okropne skutki, jakie spadną na ludzkość cywilizowaną, nie uczynią jej nadal niemożliwą. Księżę Bismarck, którego zdanie zasługuje i w tej kwestyi na uwagę, choćby dlatego, że przez lat 25 wtajemniczony był w plany i zamysły sztabu generalnego, powiedział: „Po rozpoczęciu wojny będą stoczone jednocześnie 3—4 bitwy w różnych punktach. Rezultat ich zadecydować może o losach całej wojny. W każdej z tych bitew wziąć może udział po 200 i najwyżej 250 tysięcy ludzi z każdej strony. Tym sposobem w pierwszych czasach, najniebezpieczniejszych operacji wojennych, potrzeba będzie około miliona żołnierzy; więcej sił użyć nie będzie można, potrzebne zaś one będą może dopiero dla rezerw i w przewidywaniu bitew późniejszych, które już mogą nawet się nie wydarzyć”¹⁾.

Tak więc ks. Bismarck przewiduje możliwość tak olbrzymich strat przy pierwszych starciach masowych, iż prowadzenie dalsze wojny, pomimo milionowych zastępów w rezerwach, będzie bodaj niepodobieństwem. Zgadza się to z przypuszczeniami, jakie wypowiedzieliśmy w rozdziale o artyleryi, zwracając uwagę, jakie wrażenie wywrzeć mogą wieści z pola walki o katastrofach na miliony rezerwistów, które powołane zostaną po pierwszych milionach młodszej generacyi.

III.

Obrazy bitew.

Pomiędzy wielu orzeczeniami Napoleona I, które, bądź wskutek swój trafności, bądź wskutek dowcipu, doszły do nas, znajduje się jedno, raz już przez nas przytoczone, dotyczące sposobu rozpoczynania bitwy: „Naprzód potrzeba — powiada on — zaczepić wroga... a potem pomyśleć, co robić dalej.” Przepis podobny dobry był może na początku tego wieku, kiedy armie, liczne już wtedy co prawda, zajmowały, wskutek taktyki ówczesnej i wskutek skupionego szyku, przestrzeń niewielką; dzisiaj kierować się nim najmniejszej niema możności. Armie zajmować będą przestrzenie tak znaczne, iż wódz, któryby dziś rozpoczął bitwę na chybił trafił, bez ułożonego z góry planu i zamiaru, nie miałby

¹⁾ „Fortnightly Review.” Sprawozdanie G. W. Smalley. Czerwiec, 1893.

możności nietylko pokierować bitwą, lecz objąć jej przebiegu i zoryentować się w sytuacji.

Przytoczymy tu, aby ożywić suche teoretyczne wywody nasze, opis bitwy, wzięty z głośnego i powszechnie za klasyczne uznanego dzieła *von der Goltza* „Naród pod bronią”¹⁾. Nie jest to wprawdzie realny wypadek, lecz typ tylko; wszystkie szczegóły wyciągnięte zostały i zabstrahowane niejako z faktów rzeczywistych, z opisów i opowieści osób, które brały udział w walkach.

Goltz naprzód opisuje bitwę przypadkową, następnie mówi o różnicach, jeżeli starcie było wykonaniem planów głównodowodzącego. Obrazy Goltza dotyczą bitew, stoczonych przez armie, kiedy uzbrojone one jeszcze były w starą broń i strzelały prochem dymiącym. Ponieważ jednak nowy proch dotychczas w wielkich bitwach używany nie był, więc wystarczy dodanie kilku uwag o zmianach, jakie spowodowane zostaną przez wprowadzenie prochu bezdymnego, co też następnie zrobimy.

„Nieprzyjaciel w wigilię opuścił stanowisko i wykonał poruszenia, których cel był dla nas nie całkiem jeszcze zrozumiały. Przypuszczaliśmy, że zamierza on cofnąć się na jedną z blizkich linii obronnych i mieliśmy nadzieję uprzedzić go tam. Możliwe było osiągnięcie go przedtém jeszcze, ale tego za bardzo prawdopodobne nie uważano. Na podstawie takich przypuszczeń i oczekiwań głównodowodzący wydaje rozporządzenia. Nakazał on szybki ruch zaczepny, gdyż zwłoka mogła-by wszystko zepsuć, ale o bitwie tymczasem mowy jeszcze nie było. Rozkazy jego wyrażają tylko ogólny zamiar: dotrzeć do nieprzyjaciela i zaatakować go; dla niższych jednak naczelników całkowicie to wystarczy.

Przedsięwzięcie środków nadzwyczajnych co do rozwiadów i wzajemnego podtrzymywania się podczas starcia wywołuje już niepokój większy niż ten, z jakim się zwykle oczekuje dnia następnego. Kawalerya wyrusza w drogę ze wschodem słońca—nieco wcześniej niż zazwyczaj. Korpusy również wychodzą. Już znaczny przeciąg czasu marsz trwa bez żadnej przeszkody. W wojsku rodzą się przypuszczenia, że nieprzyjaciel zapewne skorzystał z nocy, aby zyskać na czasie.

Wtem nadbiegają pierwsze doniesienia. Jednocześnie rozlegają się też pierwsze wystrzały. Okazuje się, żeśmy natrafili na słabe przednie strażnie nieprzyjaciela, które się cofnęły i zniknęły po-za krzakami, domami i drzewami. Raz jeszcze wszystko milknie, lecz niebawem strzelanina zaczyna się znowu. Doniesienia nadchodzą coraz częściej. Z nich się okazuje, że nietylko napotkano podjazdy nieprzyja-

¹⁾ „Das Volk in Waffen.”

cielskie i przednie jego strażę, lecz także widać ruchome kolumny, a może nawet i obóz. Prawdopodobnie nadarza się piękna sposobność zadać dotkliwy cios nieprzyjacielowi, rozbić część sił jego, odciąć, a może i znieść doszczętnie. Dowódca awangardy poleciał cwałem do kawalerii, która skupiła się w lasku. Mówią, że z pobliskiego pagórka można widzieć nieprzyjaciela, że dowódca awangardy udał się tam i napotkał kilku wyższych oficerów kawaleryjskich, z którymi wspólnie ocenia szanse danego momentu. Wojska wprawione są w ruch zaczepny; wiadomo, że nieprzyjaciel ma być atakowany, a wobec tego zgadzają się, iż chwila odpowiedna nie powinna być przepuszczoną. Adjutant pędzi w tył z rozkazem, aby bateria awangardy wyjechała na pozycję, ale bateria sama już nadbiega. Dowódca baterii, zorientowany się z jakiejś wyniosłości, na własną odpowiedzialność przeprowadził działa koło piechoty, która, o ile potrzeba było, odsłaniała mu drogę. Z drugiej strony nadbiegła znowu konna bateria. Obie rażno wjechały na pozycję i pierwsze strzały szybko następują jeden po drugim. Przeciwnik najwidoczniej zaskoczony został znieacka, zamiar stanowczo się udał. To dodaje atakującym fantazyi, budzi się w nich zapał wojowniczy, a może nawet niecierpliwość myśliwska. Wojska otrzymują rozkaz ruszyć szybszym marszem. Pierwszy batalion mocno przyspieszył kroku; oto już nadciąga, okryty kurzem, z dowódcą na czele. Akurat przypadł w porę, bo na baterię, która dotychczas skutecznie działała, a osłoniąta była jedynie przez komnicę, poczynają padać pierwsze strzały z ręcznej broni. Generał wydaje ogólnikowy nieco rozkaz: osłonić lewy bok baterii i odeprzeć nieprzyjaciela, znajdującego się w pobliżu. Dowódca batalionu, chociaż ma bardzo słabe pojęcie o tem, co się dotąd działo, nie rozpytuje się jednak o szczegóły; dostrzega on, że zwierzchnik znajduje się w stanie rozdrażnienia, jak gdyby był niezadowolony z tego, co zaszło.

To też zmienia front i wskazuje batalionowi kierunek, skąd kule świszczą, a ponieważ nie ma nic lepszego, więc za punkt orientacyjny wskazuje jakiś las, pagórek, budynek. Natychmiast występuje nadmiar komenderunków; zwykle trafia się jakieś nieporozumienie, które wpływa na bieg myśli i na podniesienie głosu. Batalion zbliża się do nieprzyjaciela. Ogień ostatniego nagle się ożywia. Tylko co widocznie dopiero obsadził silniej tę miejscowość i te punkta, ku którym naszemu batalionowi kazano dążyć. Straty stają się bardzo dotkliwymi. Niemniej przeto wahanie jest niemożliwe. Pozostaje tylko iść naprzód; przerzedzone rotę rozsypują się w łańcuch tyralierski i żywo nacierają. Z wielkiem męstwem idą wciąż naprzód i rugują nieprzyjaciela, ale ten ukazuje się w kilku jeszcze punktach. Nawet jakaś bateria nieprzyjacielska poczyną odpowiadać. Nadciągnął batalion

drugi i otrzymał rozkaz osłonięcia drugiego boku artylerji. Los tego batalionu był taki sam, jak poprzedzającego. Dowódca pułku, zaniepokojony, że dwa jego bataliony wciągnięte zostały oddzielnie do walki, zjawia się sam, aby tym sposobem nie dopuścić do rozproszenia pozostałej połowy pułku. W końcu cała piechota awangardy wchodzi w sferę ognia. Okazuje się, że nieprzyjaciel silniejszy jest, niż przypuszczano. Kilka jego baterji zaczęło już strzelać.

Na pagórku, gdzie się znajdowali dowódcy, zaszło poruszenie — przyjechał naczelnik korpusu. Z początku na twarzy jego odbiło się jak gdyby niezadowolenie, ale, koniec końców, po wysłuchaniu wymownych dowodzeń, zaaprobował to, co zaszło, a to tem bardziej, że zmienić nie już nie było sposobu. Przedewszystkiem utrwalić trzeba zachwianą równowagę. Znalazł się zaraz pod ręką naczelnik artylerji, otrzymał rozkaz wysunięcia sił głównych baterji. I one wymiwały piechotę. Od pewnego czasu w stronie pozycji nieprzyjacielskich spostrzegać się daje nowe zjawisko: nad lasem, okalającym horyzont, ukazała się jakaś biała szara plama; jedni twierdzą, że to obłok, inni utrzymują że pył. Wkrótce jednak wątpliwość niknie; jest to pył, spowodowany przybyciem jakiegoś znacznego oddziału. Teraz chodzi już tylko o wielkość ostatniego: dywizya czy korpus? Dowódca korpusu uznaje za potrzebne dać znać sąsiadom korpusom własnej armii o tem, co zaszło. Adjutanci szybko rozlatują się z rozkazami ustnymi lub krótko napisanymi ołówkiem.

Udajmy się teraz do głównodowodzącego.

Na rano zostawił on swoją główną kwaterę na dawnym miejscu, ażeby sztab mógł jeszcze do obiadu spokojnie popracować, dopiero po południu zamierza on ją posunąć dalej za wojskiem. Z pewnym niepokojem oczekuje wiadomości o dzisiejszym ruchu wojsk, bynajmniej jednak nie o bitwie. Ale zaczyna obiegać wieść, iż słychać zdala kanonadę. Chwilami milknie i znowu się odzywa. Poczynają się domysły i debaty, co to być może. Często trudno określić, czy to ogień własnej armii, czy sąsiedniej. Kilku oficerów, niemających zajęcia, udało się na wzgórze, otaczające miasteczko; wróciwszy, upewniają, że stamtąd można wyraźnie rozpoznać nawet ogień karabinowy, że walka przybiera rozmiary znaczne i wogóle obrót poważny. Przybywa wreszcie doniesienie: wysłała je awangarda korpusu wtedy jeszcze, kiedy się jej zdawało, że ma przed sobą tylko przednie strażnie nieprzyjaciela. To też jest mowa jedynie o słabych oddziałach przeciwnika, które zostały nastraszone, a teraz będą niebawem ścigane. Okazuje się więc, że to tylko drobna utarczka i niema co myśleć o przedsięwzięciu nowych jakichś środków. Wszystko się uspokaja i zainteresowanie się na chwilę zanika. Za jakąś godzinę przychodzi doniesienie od dowódcy korpusu,

kiedy on już osobiście zorientował się co do stanu rzeczy. Mówi tam o znaczniejszych masach nieprzyjaciela, lecz ostrożnie pozostawia w niewiadomości, czy posiada siły większe od przeciwnika lub nie, a kończy tem, że zamierza atakować wroga całym poręczonym mu korpusem. Rzecz staje się poważniejszą, a i kanonada się wzmożła. Znajdujący się wypadkowo w głównej kwaterze oficer sztabu korpusu sąsiedniego otrzymuje zlecenie oznajmić swemu dowódcy życzenie głównodowodzącego, aby poparł walczących. Niewiadomo jeszcze, czy to potrzebne, roztropność jednak wymaga w każdym razie postarać się o to. Jeden z oficerów głównej kwatery udaje się na miejsce walki. Tymczasem zgiełk i huk walki stają się coraz głośniejszymi, a przytem się nie oddalają. Wszyscy każą siodłać sobie konie, przeniesienie głównej kwatery zostaje na dziś odłożone. Dalsze doniesienia ustały, wszystko to znamionuje coś osobliwego. Wreszcie po pewnym przeciągu czasu nadbiega ordynans. Ale on przyjechał nie z placu boju, lecz z drugiego korpusu, który jeszcze udziału w walce nie wziął. Ordynans melduje, że korpus ten zboczył ze wskazanego sobie pierwotnie kierunku, ażeby całą siłą spieszyć z pomocą na *pole bitwy*, gdyż to zdaje się jest tam niezbędnie potrzebne. Wszystkie najbliższe oddziały są również o tem uwiadomione. Słowo *pole bitwy* wywiera silne wrażenie.

Głównodowodzący wyciągniętym klusem udaje się w tę stronę, skąd dochodzi odgłos strzałów, i wkrótce dopędza wojska, spieszące do boju, wśród poważnej cichości.

Niebawem okazują się ranni, a po pewnym przeciągu czasu i oddział jeńców pod silną eskortą, jak gdyby chodziło szczególnie o pewne zabezpieczenie tych pierwszych rezultatów walki. Dalej nadciąga większa partya jeńców i liczba rannych również wzrasta. Z pobliskich wzgórz znowu schodzą kolumny wojsk i ciągną na pole bitwy; z gościńca skręcają na dolinę, gdzie właśnie wre bój. Oznaki bliskości walki wielkiej i poważnej stają się widocznymi. Jeńców prowadzą coraz więcej. Po obu stronach drogi urządzone są ambulanse; szpitale polowe i kolumny sanitarne rozwijają wielką czynność; ranni przybywają masami. Tabory skupiły się i stoją na boku, na miejscach otwartych i pod osłoną. Słychać wywoływane numera kolumn parkowych, zawierających amunicję, przez oficerów, którzy w największym pośpiechu przypędzili z miejsca bitwy. Głuchy huk działowy i trzask ręcznej broni łączą się tu już w jeden jednostajny i ciągły szum. Na prawo na wzgórku nad lasem pękają nieprzyjacielskie granaty i szrapnele; białe dymki wyraźnie odcinają się na jasnym tle nieba. Ogólne „hura” ze wszystkich stron wita nadjeżdżającego wodza i jego świtę. Z kilku słów rannego oficera wyższej rangi można się dowiedzieć bardzo mało, wódz ledwie zdoła go rozumieć.

Za kilka minut wódz i świta jego zatrzymują się na pagórku, który kilka godzin temu opuściła pierwsza bateria. Wielka liczba zabitych i rannych wskazuje, że ta walka była poważna. Wojska posuwały się naprzód, lecz niezbyt daleko. Przed oczyma głównodowodzącego odsłania się teraz obraz bitwy. Długie linie artyleryjskie stoją jedna przeciwko drugiej. Wąskie szeregi dymków u podnóża wzgórków, zajętych przez nieprzyjaciela, wskazują pozycję łańcucha piechoty, który w jednym miejscu wysuwa się naprzód, w innym w tył się cofa. Tu i owdzie dostrzedz można oddziały, stojące w zwartym szyku i przyczajone w fałdach i zagłębieniach gruntu. Po-za frontem nieprzyjaciela można nawet dojrzeć poruszające się masy wojsk. Kurz, dym z prochu i dym z płonących budynków, ścielące się po-nad polem bitwy, nie pozwalają należycie zrozumieć celu tych poruszeń. W dalszej nieco odległości stoją zwarte masy wojska. Rozciągłości frontu nie można się dopatrzeć, ale huk wystrzałów dowodzi, że skrzydła nikną po-za horyzontem. Generał, wezwany do głównodowodzącego, tłumaczy mu dotychczasowy przebieg walki, o ile sam go pochwycić zdołał.

Niema już wątpliwości: przed nami toczy się nie zwyczajna utarczka, lecz bitwa decydująca.

W podobnem położeniu rzeczy ten wódz przeciągnie na swoją stronę szalę zwycięstwa, który wcześniej powźmie jakieś określone postanowienie, szerzej pomyślane, co do dalszego prowadzenia bitwy. Ale nie jest to takie łatwe, jak sobie wyobrażać może ktoś, nieznający wojna. Wódz musi w jednej chwili rozstrzygnąć masę szczegółowych pytań. Tutaj oto naciera jakaś część wojska bez związku z innymi — trzeba ją powstrzymać; tam znowu część inna opuszcza ważne stanowisko — należy ją podtrzymać; trzecia wzywa pomocy; czwarta donosi o braku amunicji; piąta daje znać, że nieprzyjaciel grozi jej skrzydła. Naczelnik kawalerji zapytuje, czy nie powinien wziąć udziału w bitwie wraz z piechotą, gdyż mu się zdaje, że odpowiednia chwila nadeszła. Naczelnik artyleryji chce zmienić pozycje baterji i pragnie się dowiedzieć, czy to odpowiada ogólnym planom głównodowodzącego. Mnóstwo pytań tego rodzaju, a często i mniej ważnych, sypie się ze wszęch stron na wodza i grozi mu niebezpieczeństwem stracenia z oka, wśród nawału szczegółów, głównego kierunku, jaki należy nadać walce. Uniknąć tego może on jedynie przez powzięcie tak wielkiego postanowienia, które-by odrazu zapanowało nad szczegółami, z którego wypływały-by wszystkie rozporządzenia pojedyncze i przez to dążyły do jednego celu. Tylko w ten sposób liczne zastępy, znajdujące się na polu walki, otrzymają wspólny kierunek i wprawione zostaną w ruch skoordynowany. Taki obrót rzeczy zdecyduje o losie bitwy, szczególnie jeżeli oddziały nieprzyjaciela nie działają jeszcze zgodnie, a wódz ich

waha się wciąż wśród kwestyi szczegółowych. W takich-to wypadkach przedewszystkiem okazuje się wyższość wodza, obdarzonego iskrą bożą, nad generałem zwyczajnym, chociażby dzielnym i doświadczonym. Pierwszy może pomylić się co do drobiazgów, może fałszywie skierować jakiś oddział, ale szybko poweźmie ogólną decyzję. Drugi—*le bon général ordinaire*, jak mówią Francuzi — każdym batalionem, każdą baterią, każdym pułkiem kawaleryi pokieruje najbardziej odpowiednio do ich charakteru bojowego i może jak najlepiej, ale to wszystko nie będzie miało wewnętrznego związku. Każda część wojska w swojej sferze działać może jak najpoprawniej, ale jedna ciągnąć będzie w tę, a druga w tamtą stronę. Jeżeli w armii dyscyplina umysłów nie jest wielka, to bez pomocy wyższego pokierowania jedność działania się nie wytworzy i z konieczności nastąpi rozdrobnienie sił.

Jeżeli kampania jest dobrze obmyślana i pokierowana odrazu mocno, to plan bitwy, jakkolwiek rozpoczętej, wyniknie sam przez się z idei, z której ogólny przebieg działań został wysnuty.

W bitwie sprawdza się zawsze to, co mówiono dawniej, że obie strony boją się wzajem siebie. Kto pierwszy uwolnić się zdoła od tego uczucia i moralnie zapanować nad położeniem, ten odniesie zwycięstwo. bo ze wszystkich sił najpotężniejsze są te, które wpływają na duszę człowieka, napełniają ją troską i strachem, lub dumą i pewnością siebie. Niema żadnej konieczności, aby myśl wodza była *najlepszą* ze wszystkich, jakie w tym razie do głowy przyjść mogły. Gdyby miał on czas wszystkie okoliczności i warunki rozważyć w ciszy i spokoju gabinetu, to w wielu wypadkach dałoby się obmyślić plan odpowiedniejszy. W gruncie rzeczy na wojnie wystarcza, aby wódz zatrzymał się na jakimkolwiek trafnym pomysle; ale gdy ten raz powzięty został, trzeba już koniecznie trzymać się go mocno i najdrobniejsze rozporządzenia tak kierować, aby dążyły do jego urzeczywistnienia dopóty, dopóki umysł wodza nie natrafi sam na coś lepszego. Po-za tem należy pamiętać o ogólnych zasadach bitwy, obowiązujących wszędzie i zawsze, oraz ściśle je przestrzegać.

Wszystko to ma zupełnie inny przebieg w *bitwie uplanowanej z góry* — mówi von der Goltz. — Na rozkaz władzy wyższej wojska skupiły się. W utarczkach przedwstępnych przednie strażnie nieprzyjacielskie odrzucone zostały po-za pierwszą linię szanców usypanych, lub odpowiednio do obrony przyszykowanych przedmiotów miejscowych. Tam znajdują się już oddziały silniejsze. Armie dotarły do siebie i stały się podobne do zapaśników, krzyżujących szpady. Jedna strona pracuje z pośpiechem nad umocowaniem swoich linii obronnych, druga oczekuje na przybycie ostatnich oddziałów, które z największą szybkością dążą do wskazanego punktu. Wreszcie już wszystko gotowe. Przednie stra-

że dnia tego bezpośrednio stykają się z nieprzyjacielskimi, i wielkiego wysiłku potrzeba, aby przerywać nieustannie wynikające utarczki i tym sposobem nie dopuścić do przedwczesnego rozpoczęcia bitwy. W nocy ogniska biwaków wskazują, że nieprzyjaciel wciąż blisko. Wodzowie przesuują swoje główne kwatery ku frontowi, a może nawet ostatnią noc spędzają przy którymś z biwaków. Każdy czuje, że chwila stanowcza nadchodzi i pragnie być w pogotowiu. Siły i przestrzeń, zajęte przez nieprzyjaciela, w przybliżeniu znane są obu stronom. Co prawda, ci i tamci główne swe siły trzymają z tyłu i przytem w tajemnicy, ale o tem przeciwnik wie, a ilość tych rezerw taktycznych usiłuje odgadnąć. Wreszcie wychodzi rozkaz rozpoczęcia bitwy—takie tarcie się o siebie dwu armii uczyniło walkę nieuniknioną. Myśl przewodnia powzięta została przed rozpoczęciem pierwszych kroków. Wystąpiła ona jako rezultat poprzednich badań rekonesansowych, wspólnej narady kilku wybitnych ludzi i długiej a mozolnej pracy. Samo przez się rozumieć należy, iż musi ona pozostawać w logicznym związku z poglądami i zamiarami co do ogólnego przebiegu wojny. Również za rzecz pewną uważać trzeba, iż uczynione zostały wszelkie potrzebne przygotowania. Tym sposobem, jeżeli siły nieprzyjacielskie oznaczone zostały trafnie, i jeżeli wojsko odznacza się męstwem, to zdawać-by się mogło, że pomyślny skutek bitwy jest zapewniony. Tymczasem środek ciężkości spoczywa całkiem gdzieindziej.

Ani jedna bitwa nie odbywa się tak ściśle, jak była pomyślaną. Zawsze zdarzają się okoliczności nieprzewidziane, które chociaż trochę zmieniają pożądany przebieg walki. Okazuje się wtedy, że nawet spokojnie rozważone środki i sposoby przestają dalej się nadawać. To też zawsze wódz pochwyć musi ten moment, kiedy należy porzucić obmyślane plany i począć improwizować, kiedy trzeba wyrzec się działań, mających po-za sobą słuszność teoryi, a chwycić się kroków praktycznych i korzystnych. Zadanie to trudne, nie łatwo zrzec się wytworzonego w wyobraźni obrazu bitwy. Trzeba, ażeby wódz w batalii uplanowanej miał ideę przewodnią, wypracowaną i opartą na pewnych danych, lecz idea ta nie powinna pozbawiać go jasności i trafności przy obserwowaniu przebiegu walki. Tu jednak umiejętność szybkiego decydowania się nie odgrywa już tak ważnej roli i rzadko jest potrzebną na początku bitwy.

A więc bitwy niespodziane i bitwy uplanowane są dla zdolności dwoma różnemi kamieniami probierczemi; generał — twierdzi von der Goltz — który okazał się mistrzem tam, tu może poczynać sobie bardzo średnio.

IV.

Bitwy przeszłe a przyszłe.

A teraz przejdźmy do zmiany, jaką w przebiegu bitwy wywołał brak dymu na polu walki. Czytelnik pamięta zapewne z rozdziałów poprzedzających, że, wskutek braku faktów i doświadczenia, najbardziej kompetentni znawcy wojny nie tylko różnią się z sobą pod tym względem, lecz nawet wypowiadają zdania najzupełniej sprzeczne i wykluczające się wzajemnie.

Pierwszym skutkiem, którego nikt w wątpliwość nie podaje, będzie to, iż orientowanie się w sytuacji, szczególnie w razie braku kurzu, zastępującego po części przy orientacji dymy ogniowe, stanie się o wiele trudniejszym. Zacznie się zaś od tego, iż zbieranie wiadomości przedwstępnych i wyciąganie z nich wniosków wymagać będzie—jak to już kilkakrotnie wykazaliśmy—daleko więcej inteligencji i daru kombinacyjnego.

Na samym zaś placu boju dawniej szeregi dymków i dymów pozwalały rozpoznać, gdzie są i jak rozłożone pozycje, zajęte przez nieprzyjaciela. Obraz tego daje nam rysunek poniższy ¹⁾.



Dowódca, dostawszy się na jakiś punkt wyniosły po-za linię ognia, mógł na zasadzie dymu wnioskować o rozkładzie zarówno własnych wojsk, jak i nieprzyjaciela. Każde wahanie się w przebiegu walki, wprowadzenie w ogień sił świeżych, powodzenie lub odparcie ataku

¹⁾ „Revue encyclopédique.“ Paris, 1892.

swoich szeregów lub przeciwnika, słowem, najdrobniejsze zmiany w liniach bojowych, były dlań jasne; z gęstości dymu mógł on w ogólnych zarysach wnioskować o sile nieprzyjaciela i o sile jego ognia. Prawda, iż tenże sam dym ukrywał przed nim rozpoznanie pozycji nieprzyjacielskich, ale przecie głównemu dowódcy nie może chodzić o to, czy nieprzyjaciel znajduje się od niego o kilka metrów dalej lub bliżej. Jedyna niedogodność polegała na tem, iż dym ukrywał poruszenie rezerw; ale też i w przyszłych wojnach na ukrywanie rezerw po-za wyniosłościami gruntu zwrócona będzie najpilniejsza uwaga, to też ich tak łatwo dostrzedz nie będzie można ¹⁾).

Przy bezdymnym prochu, wódz naczelny będzie zaledwie mógł dojrzeć kilka co najwyżej baterii nieprzyjacielskich; oznaczyć zaś dokładnie zajmowanej przezeń pozycji nawet z dokładnością mniejszą niż dawniej, jeżeli tylko przeciwnik potrafi umiejętnie korzystać z miejscowości, faktycznie nie będzie zdolny.

Dla lepszego ocenienia tej kwestyi podajemy tu drugi rysunek, przedstawiający obraz pola bitwy przy prochu bezdymnym.



Huk strzałów również do pewnego stopnia pozwalał dowódcy orientować się co do przebiegu walki, i na tej zasadzie mógł on wnioskować o przybyciu na plac boju sił świeżych, po części nawet o moralnym stanie stron; teraz zaś wskutek osłabnięcia huku wystrzałów karabinowych stanie się to niemożliwym. Co się zaś tyczy łoskotu strzałów działowych, to chociaż i on się zmniejszył nieco, niemniej jednak wskutek powiększenia liczby armat, jakie wezmą udział w bi-

¹⁾ „Proch bezdymny i jego wpływ na taktykę.”

twie, kanonada, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie słyszana równie dobrze jak przedtem, a przeto i *ruch na wystrzały* będzie też po dawnemu możliwy.

Zresztą historia wojenna zawiera wiele przykładów, które każą względem wystrzałów odległych zachowywać się nader ostrożnie. Ileż to razy brano za nie pomruk dalekiej burzy! Pamiętać nieustannie należy, iż odległość strzałów, kierunek wiatru, echo, charakter miejscowości — wielce wpływają na siłę dźwięku. Bitwa pod Wörth dostarcza dwu przykładów tego rodzaju: jeden z nich znany jest wszystkim, jest to wypadek z dywizją Costagny, która szła w kierunku strzałów i, przestawszy je słyszeć, sądziła, iż bitwa skończona, to też wróciła na dawne stanowisko.

Pamiętać też należy, iż dziś, jednocześnie ze zmniejszeniem się środków rozpoznawania pozycji, przybywa nowa trudność pod względem oryentowania się wśród stanu rzeczy oraz wypadków na placu boju; stanowią ją mianowicie znacznie większe przestrzenie, jakie bitwy przyszłej wojny ogarną; szeregi bowiem rozsuną się na długość, wskutek wymagań nowej taktyki, uwarunkowanej przez broń doskonalszą, i głębokość zajętego obszaru wzrośnie.

Regulamin niemiecki nie daje żadnych przepisów i poglądów co do toczenia bitew różnego rodzaju, zostawia to raczej decyzji dowódcy, stosownie do tego, czy odpowiednio do sytuacji bitwy uważa on za właściwe trzymać się szyku głębokiego, czy też rozwinąć na szerokość. W ogólności jednak regulamin postanawia, że kompania nie może rozciągać się więcej, jak na 100 metrów, brygada zaś z 6 batalionów przy swem pierwszym rozwinięciu zająć może 1,000 do 1,200 metrów frontowej przestrzeni. Wypływa stąd, że na metr frontowej linii liczą około 5-u ludzi, co ze względu na działanie ognia własnego i nieprzyjacielskiego w przyszłej wojnie okaże się dla obrony za wiele, a dla ataku za mało.

Należy rozważyć, iż w razie obrony uporczywej, na metrze jeden a najwyżej dwóch ludzi będzie mogło być czynnych, reszta w lepszym wypadku pozostanie biernymi świadkami, w gorszym zaś przyda się na cel dla kul nieprzyjacielskich, albo, według potrzeby, posłuży do zapelnienia luk ¹⁾.

Po tych niezbędnych wyjaśnieniach zwrócimy się do porównania bitwy przeszłości przy prochu dymiącym z bitwami przewidywanemi, w których użyte będą nowe materje wybuchowe. Korzystamy z broszury francuskiej pułkownika B. ²⁾, którą w swoim czasie bardzo zainteresowały się wojskowe pisma niemieckie.

¹⁾ K. v. K. Wie sollen wir im nächsten Kriege angreifen.

²⁾ Colonel B. „La poudre sans fumée.

„Rozpatrzmy — pisze pułkownik B. — przebieg walki w tym wypadku, gdyby Niemcy zaatakowali stanowisko armii francuskiej na linii Toul-Verdun, ciągnącej się na 30 kilometrów. Jest to płaszczyna, pokryta lasami, poszarpana wąwozami, bogata w różne przesmyki, a wskutek tego ułatwiająca zarówno kroki zaczepne, jak obronne i cofanie się. Przypuśćmy, że na tem stanowisku 8 korpusów francuskich, liczących 280,000 tysięcy ludzi, zostanie zaatakowanych przez 360,000 Niemców. Zobaczymy, jakby to się odbyło dawniej, przy prochu dymiącym, i jak się odbędzie jutro, przy prochu bezdymnym.”

„Przy dawnym prochu nasza artylerya starannie ukryta rozpoczęła-by ogień skuteczny ze znacznej odległości, natychmiast jak tylko dostrzedz-by zdołała szpice kaszkietów niemieckich, bez względu na to, czyby nieprzyjaciel szedł w szyku bojowym, czy też w kolumnach marszowych. Ogień zaś byłby skuteczny, gdyż obrachowany dokładnie wedle dymów w dobrze znanej miejscowości, stąd też i celowniki były-by ściśle nastawione. Naturalnie zrządziło-by to w szeregach przeciwnika znaczne straty. W pierwszej chwili byłby się on zawałał. Przedewszystkiem, aby coś przedsięwziąć, musiał-by zorientować się w sytuacji. Dym, wznoszący się po-nad lasy, pagórki, wsie, które dotychczas nas osłaniały, wskazał-by mu niebawem i stanowiska starannie ukrytych przedtem bateryi, i linie piechoty, a wtedy mógł-by on rozpocząć ogień równie skuteczny, jak nasz.”

„Obecnie rozegra się to nieco inaczej.”

„Dopóki armia atakująca nie posiada dokładnych wiadomości o pozycyi przeciwnika, musi postępować w szyku marszowym i rozwinie go wtedy dopiero, gdy otrzyma pewne wskazówki co do linii, zajmowanej przez nieprzyjaciela. Skąd jednak weźmie ona wiadomości pewnych? Przednie jej części będą już mocno ostrzeliwane przez artylerję wroga, poniosą już znaczne straty, a jeszcze żaden znak nie zdradzi mu, z jakiej odległości padają pociski. Nadaremnie będzie badał i nasłuchiwał. Nie ujrzy nic, usłyszy zaś tylko głuchy huk strzałów, co mu pozwoli zaledwie zorientować się, w której stronie nieprzyjaciel, lecz o jego linii operacyjnej, o jej rozległości i oddaleniu, nic mu nie powie.”

„Jeżeli nieprzyjaciel, działający zaczepnie, posiadać będzie wskazówki dokładne o stanowisku przeciwnika, to naturalnie położenie jego będzie lepsze, ale czy o wiele? Przypuśćmy, że, dzięki długotrwałym wywiadywaniom się w czasie pokoju przez szpiegów i przez inne środki mniej lub więcej godziwe, nieprzyjaciel wie o prawdopodobnym lub możliwym rozkładzie naszych stanowisk, naszych dział i naszych oddziałów wojska. To jednak, wskutek zmian nieustannych, wiedzieć on nie może o istotnym stanie rzeczy i obsadzeniu pozycyi w danej chwili. Strzelać więc będzie do celu, oznaczonego przypuszczalnie zaledwie, co

go narazi na bezużyteczne najczęściej mącenie powietrza i marnowanie amunicyi. Tym sposobem sztab i wódz armii zaczepnej długo będą musieli macać, próbować, dochodzić—wciąż ponosząc dotkliwie straty—zanim nabiorą jakiej takiej pewności, w którą stronę rzeczywiście i w jaki sposób ogień skierować, zanim będą mogli rozwinąć wojska w szyk bojowy i wskazać im materyalny a określony cel ataku. Ten okres przygotowawczy przeciągnie się znacznie dłużej, niż dawniej, i kosztować będzie o wiele więcej krwi. Niema wątpliwości, że wtedy zdarzać się będą musiały rozliczne a ważne nieporozumienia i błędy, niepewność wywoła wahanie się nieraz w chwilach stanowczych; to też jeżeli wojsko atakujące trafi na przeciwnika zręcznego i przedsiębiorczego, położenie jego stać się może bardzo niebezpiecznem.”

W dalszym ciągu wywodów swoich pułkownik B. tłumaczy, iż pod wyrażeniem *strona trzymająca się odpornie* rozumieć nie należy zachowywania pozycyi biernej obrony aż do końca — bo to nie dało-by żadnych stanowczych rezultatów. Nie dosyć jest oczywiście odeprzeć napad przeciwnika, trzeba go zmusić do odwrotu i uczynić nadal nieszkodliwym. Do tego potrzeba działania t. zw. *zaczepno-odpornego*, t. j. taktyki, która-by ściągnęła atak nieprzyjaciela na pewien wybrany punkt; tam go należy odeprzeć, osłabić i przejść śmiało do akcji zaczepnej.

Wywody swoje pułkownik B. streszcza tak: „rola kawalerji na polu bitwy zmalała, rola artylerji i piechoty nabrała o wiele donioslejszego znaczenia; walka rozpocznie się z odległości bardzo znacznych, pozycja obronna korzystniejszą jest od zaczepnej, pod warunkiem jednak, że pod koniec przejdzie w natarcie.”

„Neue Militär Blätter”, omówiwszy treść broszury pułkownika B., takie ze swej strony robi uwagi. „Pewne wskazówki przemawiają za tem, iż Francuzi w przyszłości za normę postępowania przyjmą: stanowisko odporne, zwabianie nieprzyjaciela, osłabianie jego i przechodzenie energiczne do roli zaczepnej, o ile przebieg starcia na to pozwoli. Niepodobna zaprzeczyć, że użycie prochu bezdymnego wyjdzie pod wieloma względami na korzyść obrony. Pomimo to jednak działanie zaczepne zachowa dawną swą przewagę ze względów moralnych, a więc tych, które głównie o zwycięstwie decydują. Trzeba więc mieć nadzieję, że armia niemiecka, jak dawniej, trzymać się będzie, o ile to możliwe, roli zaczepnej. Ale zaczepność nie powinna być uważana za niezmienną zasadę, nie powinna być ślepą i bezplanową; musi ona wynikać z rozwagi i obrachunku ścisłego, inaczej zgubę przyniesie. Działanie zaczepne wtedy ma rację bytu, gdy strona chwytająca się go posiada przewagę liczby i broni, posiada wyższość ducha i lepszych niż przeciwnik wodzów, gdy przenosi wroga karnością i wyćwiczeniem szeregów, a energią i zręcznością oficerów i podoficerów: pielegnowanie

też i kształcenie tych czynników zwycięstwa jest zadaniem doby pokojowej."

V.

Zwycięstwo i klęska.

Zwycięstwo, taktyczny skutek walki, polega na zmożeniu przeciwnika. Jedna ze stron nabiera przeświadczenia o przewadze nieprzyjaciela i rzeka się dalszej walki. W wojnach dotychczasowych pierwszym rezultatem zwycięstwa i niejako jego symbolem było owdanie poleń walki, oraz ściganie uchodzącego wroga.

Wobec jednak nowych warunków walki, wobec niewidywanej dotychczas mnogości szeregów stron obu, następuje się wątpliwość, czy zawsze taki stanowczy rezultat bitwy da się osiągnąć, czy przewaga na jednym punkcie walki nie zostanie zrównoważona porażką na innym. Kwestya ta właściwie sprowadza się do tego, czy jest rzeczą prawdopodobną, aby która ze stron wykonała w chwili stanowczej ogólne energiczne natarcie na zastępy przeciwnika, gdyż zwycięstwo, uważane jako zajęcie pola bitwy i ściganie nieprzyjaciela, jest właśnie rezultatem ataku (z wyjątkiem naturalnie wypadku, kiedy się fortecę zmusza do poddania się głodem).

Czytelnik wie już, jak bardzo różnią się na tym punkcie zdania autorów wojennych, zarówno teoretyków, jak i praktyków.

Celem dopełnienia niejako rozmaitych przypuszczeń co do walk przyszłości, podajemy tu dodatkowo opis bitwy, zrobiony przez utalentowanego specjalistę, który nie wierzy w możność decydujących natarć, przypuszczając, iż siła ognia będzie miała na polach przyszłych zapasów znaczenie nie tylko główne, lecz nawet wyłączne.

Obraz ten, skreślony przez kapitana Nigotte w dziele „Les grandes questions du jour”, jest oczywiście wytworem wyobraźni, gdyż całość nowych środków walki nigdy dotychczas nie została spraktykowana. Ale ta wyobraźnia opierała się na znajomości rzeczy, to też obraz kapitana Nigotte'a zasługuje równie na uwagę, jak wszelkie inne wywody i kombinacje teoretyczne, wypowiedziane mniej malowniczo.

„Sześć tysięcy metrów! Działa biją!

„Bomby rwą ziemię i na niej pękają. Ale armaty, nastawione już na nowej pozycji, znalazły odległość właściwą, walka stała się zawziętą i strasznie skuteczną. Teraz pociski pękają w powietrzu nad głowami, z każdego z nich dwieście pięćdziesiąt odłamków spada na

powierzchnię pokrytą ludźmi. Deszcz żelaza i ołowiu miazdzy ludzi i konie. Przewagę mieć będzie sprawniejszy bombardyer.

„Działa się mordują, baterye się tępią, jaszczyki się wypróżniają. Wygra ten, czyj ogień nie ustanie.

„Pod tym uraganem, wśród takiej burzy, występują bataliony.

„Dwa tysiące metrów! Już kule małe, zgrabne, ostre, wysrebrzone i wykrygowane świszczą i zabijają, uderzają i wiercą nawskroś, odbijają się i pryskają. Salwa idzie za salwą i warstwy kul, gęstych niby grad, szybkich jak piorun, zalewają plac boju.

„Działa wymordowały już działa przeciwnika, są wolne, mogą bić w bataliony.

„Miotają one na gromady ludzkie deszcz brył żelaznych, trupy walą się na trupy, ziemia od krwi pęcznieje.

„Szeregi przepierają szeregi, bataliony prą bataliony, nadechodzą rezerwy, a jednak pomiędzy dwiema armiami, tępionemi przez kule i bomby, ciągnie się pas na tysiąc kroków szeroki, którego żadna istota żywa przebyć nie zdoła.

„Amunicya się wyczerpała: miliony naboju karabinowych i miliony bomb zaścielają ziemię, wszędzie warstwy kapsli miedzianych i czerepów żelaznych... A ogień trwa i trwa, nieprzerwany, ciągły — puste jaszczyki zastąpiono pełnemi.

„Bomby z melinitem walą w zgłiszczą chaty, wioski; niszczą i zmiatają wszystko, co stanowi osłonę, schronienie, przeszkodę.

„Już połowa walczących chrapie i kona; wał rannych i zabitych tworzy niby dwie równoległe, oddzielone od siebie tysiącem kroków, baryery: żywy człowiek ich nie przestąpi, tam bomby radlą ziemię, kulki rwą w strzepy baryerę.

„Bój trwa wściekły, rozjuszony. Tysiąc kroków wciąż dzieli walczących.

„Kto odniósł zwycięstwo? Nikt.“

Z opisu powyższego wyłania się myśl, która nawiedzać nie przestaje umysłów, zastanawiających się poważnie nad przyszłą wojną, a mianowicie: że wprowadzenie nowej broni rozdzieli walczących nieprzebytym pasem tysiąca kroków; napelnią go kule obu przeciwników, lecz dla jednego nawet żyjącego człowieka miejsca tam nie będzie.

Przykłady bitew krwawych, a toczonych bez rezultatu, spotkać można w wojnie 1870 roku. Pod Metzem np. trzy wielkie bitwy były tylko częściami jednej batalii. A kto zwyciężył pod Metzem, jeżeli zwycięstwem nazwiemy wykonane z powodzeniem natarcie ogólne? Właściwie — nikt. Wystąpiła wyższość artylerji niemieckiej, ale miała też przewagę piechota francuska, uzbrojona w chassépóty. Pomimo bohaterskich wysiłków ze stron obu, ani jedna ani druga armia nie od-

niosła nad przeciwnikiem stanowczego, wyraźnego zwycięstwa, jak go rozumiano dawniej. Pochodziło to stąd, iż już wtedy siły ognia doszły do takiej potęgi, że użycie broni białej i energiczny atak były prawie niemożliwe.

Zamknięcie wojsk francuskich w Metz, a następnie kapitulacja wskutek braku żywności, była rezultatem liczebnej przewagi armii niemieckiej. Nie był to tryumf męstwa, tryumf inicjatywy bojowej, było to zwycięstwo liczby.

Po-za pasem nieprzebytego ognia strona broniąca się stać będzie niby po-za szansem niezdobytym. To odwet obrony nad atakiem.

Wobec nowych warunków bodaj czy bitwy przyszłości stwierdzą słuszność aforyzmu Napoleona: „los bitwy jest rezultatem jednej minuty, jednej myśli; przeciwnicy zbliżają się do siebie z rozmaitemi planami, rozpoczyna się walka, zapala się i wre, nadchodzi stanowczy moment, i... myśl szczęśliwa, nagła, niby mignięcie błyskawicy, decyduje bitwę; bardzo nieznaczna rezerwa daje czasem świetne zwycięstwo“¹⁾.

Wątpić można, czy w przyszłości oko głównodowodzącego, chociażby uzbrojone w najlepsze szkła i chociażby wzniesione przez aerostat na wysokość, skąd objąć można przestrzeń rozległą, zdoła trafnie pochwycić moment taki. Zresztą i w bitwach dawnych, kiedy wódz główny bez porównania łatwiej mógł widzieć i wiedzieć, co się dzieje na polu walki, kiedy o wiele łatwiej było mu kierować mniej lub więcej bezpośrednio wszystkimi oddziałami, nawet i wtedy nie zawsze wszystko tak się robiło, jak planowano, i bynajmniej nie wszystko zależało od pozycji wojsk w danej miejscowości. Napoleon też, największy dotychczas wzór wodza, zwycięzca w tylu punktach Europy, uznaje, iż moralny stan wojsk posiada olbrzymią doniosłość: „Po przegranej bitwie zwyciężony w rzeczywistości nie o wiele jest bardziej osłabiony niż zwycięzca, ale olbrzymią różnicę stanowi rezultat moralny, kiedy wystarcza ukazanie się dwu, trzech szwadronów, ażeby okazał się wielki skutek.“

W bitwach przyszłych, wobec mniejszego prawdopodobieństwa zwycięstw stanowczych wskutek ogólnego gwałtownego natarcia, a następnie ścigania, częściej zdarzać się będzie, iż obie strony przypiszą sobie zwycięstwo. Co się tyczy ścigania, to ono stanie się, jakeśmy wyżej zaznaczyli, o wiele trudniejszym, niż było dawniej. Na dowód tego przytoczymy kilka wierszy ze specjalnego artykułu, napisanego w tej materii przez kapitana pruskiego Libertę²⁾.

¹⁾ *Les Cases*. „Mémorial de St. Hélène. 11, 5.

²⁾ *Libert*. „Ueber Verfolgung.“ Vertrag in der Militär-Gesellschaft zu Berlin.

„W dawnych czasach—mówi on—było tak: pole walki w naszych rękach, nieprzyjaciel zmyka; bij, kół!—rozlegało się z końca w koniec, i w tej chwili zmęczone członki nabierały siły, instynktownie ostrogi poczynały kłóć boki końskie, myśl wodza, aby ze zwycięstwa osiągnąć możliwie duży rezultat, aby nieprzyjacielowi zadać jak największą klęskę, dostawała skrzydeł. Teraz rzecz się ma nieco inaczej.“

Między okolicznościami, które w przyszłości utrudnią ściganie wroga, autor wskazuje przedewszystkiem to, iż w ostatnich wojnach większość bitew, miała charakter wypadkowego spotkania (Rencontregefechte). Część armii została wciągnięta do bitwy, reszta oddziałów dążyła następnie na pole walki, i przychodziła tam forsownym marszem często z wielkich odległości. Zmęczeni drogą, żołnierze podczas walki trzymali się wskutek podniecenia duchowego, następnie jednak opanowywało ich całkowite wyczerpanie sił. Mordercze działanie ognia z nowej broni sprawia, iż po bitwie, ciągnącej się pół dnia, a tem bardziej dzień cały, piechota wpada w stan bezsilności, to też rachować na nią w dalszych operacjach, po-za polem walki, niepodobna; musi ona wypocząć, doprowadzić do porządku swe oddziały i szeregi, zaopatrzyć się w ładunki. Pamiętać zaś należy, iż wskutek ogromu pola przyszyłych bitew, nawet stopniowo przybywające rezerwy nie będą o tyle silne i rażne, aby natychmiast udać się w pościg. I na kawaleryę nawet wielkie odległości będą miały wpływ.

„Już w bitwach wojen ostatnich, jeżeli kawalerya wskutek warunków gruntu nie brała udziału w walce, to znajdowała się na takiej odległości od ognia, że w najpilniejszym momencie nie było jej pod ręką. Jeżeli zaś podczas bitwy szarżowała, to potem zwykle znajdowała się w takim stanie, iż się do ścigania nie nadawała. Pochodzi to stąd, iż wobec gwałtowności ognia dzisiejszego, już z odległości 1000 kroków należy puszczać konie w cwał i tak pędzić aż do nieprzyjacielskich szeregów.

„Seydlitz pod Zorndorf mógł szwadrony swoje podprowadzić na 200 kroków przed szeregi rosyjskie i dopiero wtedy nakazał ściągnąć cugle i dać koniom ostrogi. Kirasyery i dragoni Napoleońscy zawsze szli do ataku kłusem. Teraz kawalerya wszystkie siły wyteżyć będzie musiała, aby przebyć pas, zięjący śmiercią. Po takim wysiłku należy już na cały ten dzień wykreslić kawaleryę z liczby obecnych na polu walki czynników.“

Tak mówił oficer pruskiego sztabu generalnego w r. 1882, od tego czasu trudności pościgu stały się o wiele znaczniejsze: siła ognia poważnie wzrosła, wojska otrzymały narzędzia do sypania szańców, nauczyły się robić szybko lekkie okopy; pola bitew będą porżnięte rowami, podziurawione dołami, a zresztą, strona działająca odpornie pomysli

o sztucznem bronieniu drogi, którą wypadnie jej przebywać w razie odwrotu. Już za Napoleona zdarzało się, iż po zaciętej walce pościg bywał bardzo słaby. Po bitwie np. pod Ligny rozbity Blücher mógł ocalić swą armię i we dwa dni ukazać się na prawem skrzydle Francuzów pod Waterloo. Po bitwie pod Eylau i pod Friedlandem wojska były zbyt zmordowane, aby mogły zająć się ściganiem. Napoleon odezwał się raz, aby usprawiedliwić taki brak pościgu: „*chaque parti a son compte*”¹⁾.

Są zasady do przypuszczania, iż w wojnie przyszłej najczęściej obie strony znajdą się w tem położeniu. A tymczasem tenże sam Napoleon głosił: „*nie* nie zrobiono, jeżeli *coś* do zrobienia zostało.“

VI.

B i t w y n o c n e .

Wobec trudności, a może nawet niepodobieństwa, przy dzisiejszym ogniu, atakowania nieprzyjacielskich pozycji z frontu, wśród sfer wojskowych zjawiała się bardzo naturalna myśl powrotu do napadów nocnych, tak często praktykowanych w wiekach średnich.

Jedni chcą korzystać z ciemności jedynie w celu zbliżenia się ku nieprzyjacielowi. Chodzi o to, aby wschód następnego dnia zastał wojska na nowej pozycji już oszańcowane, w ten sposób przebycie przestrzeni, zalanej w dzień potokiem kul, nie kosztowało-by wiele. Inni tacy idą dalej i chcą same ataki wykonywać pod osłoną ciemności. „Wzrastająca wciąż potrzeba unikania zagłady wśród ognia nieprzyjacielskiego — powiada generał Henrion — może w przyszłości poddać myśl zdobywania pewnych punktów ufortyfikowanych na linii przeciwnika wśród nocy, lub przynajmniej o pierwszym brzasku świtu porannego. Oddziały zajmować zapewne będą w nocy te stanowiska, na których w dzień utrzymać się nie mogły i nawet rozciągnąć frontu nie były zdolne, o świcie zaś wykonają nagły, szybki i decydujący ruch.“

Oba rodzaje projektów mają właściwie wspólny punkt wyjścia. Chodzi mianowicie o to, że—jak się spodziewają lub obawiają—z ogniem nowej broni nie poradzi sobie ani męstwo żołnierzy, ani sztuka wodza, trzeba więc jej uniknąć.

Bardzo trafne pod tym względem zdaje nam się zdanie generała Puzyrewskiego, wypowiedziane jeszcze przed wprowadzeniem prochu

¹⁾ Waldor de Heusche. „La tactique d'autrefois.“ (Revue de l'armée belge). 1893.

bezdymnego: „Ruchy nocne połączone są z wielkimi niedogodnościami, a mianowicie: a) ludzie, przyzwyczajeni do odpoczywania w nocy, męczą się nadzwyczajnie; b) ciemność nie pozwala dowódcom widzieć dokładnie wojska i utrzymywać wśród niego należytej karności; c) ludzie, będąc w stanie półsennej, ruszają się wolno; d) konie są mniej czynne i czujne, często się potykają i upadają; e) młodszym oficerom trudno jest upilnować, ażeby szeregi nie mieszały się i nie rozpraszały, to też wielu maruderów pozostaje z tyłu; f) doszedłszy do kresu (kwatery lub bitew) zmęczeni żołnierze co najprędzej myślą o odpoczynku i nie dosyć starannie opatrują ryszstunek, oraz konie.

„Z tych wszystkich względów należy się starać unikać marszów nocnych, albo przynajmniej, jeśli można, wyruszyć raczej nocą, aby dojść rankiem, aniżeli zaczynać ruch wieczorem, aby go skończyć w nocy. Pomimo tych wszystkich względów, nocne marsze są czasem na wojnie nieuniknione i mogą zapewnić ważne korzyści, a dlatego wypada się do nich uciekać“¹⁾.

Dopóki wojska były mniej liczne, ataki nocne zdarzały się bardzo często, potem zaś, w miarę, jak armie rosły, wyszły z użycia. Następujące cytaty wyjaśnia przyczynę tego.

„Co się mnie tyczy — pisze Fryderyk Wielki, — to postanowiłem nie atakować nigdy nieprzyjaciela w nocy, a to ze względu na zamęt, jaki się zwykle wytwarza w ciemności. Prócz tego większość żołnierzy potrzebuje nieustannego nadzoru ze strony oficerów i tylko obawa kary trzyma ich w karbach obowiązku.“

„Przyszedłem do przekonania — powiada Wellington, — że przeciwnika przygotowanego i oszańcowanego nie należy atakować w nocy, jeżeli pozycja jego nie została doskonale poznana w dzień. W każdym razie — dodaje — napady nocne na wojska dobrze wyćwiczone rzadko się kiedy udają.“

Pomimo to wszystko, dzisiaj odsłonięcie pola bitew wskutek braku dymu *zmusi* może prosto do chowania się wśród zmroku naturalnego.

To też autorowie niemieccy nie żałują długich i mozolnych studyów nad zagadnieniami nocnej walki. Większość ich dochodzi do wniosku, iż wskutek udoskonalenia broni ognistej głównodowodzący częściej, niż dawniej, zmuszeni będą uciekać się do bitew nocnych, aby oszczędzić strat i nie narażać się na pewną klęskę. Na dowód przytaczają oni z historii wojennej przykłady przedsięwzięć tego rodzaju, pomysłanych na wielką skalę i uwieńczonych powodzeniem, jeżeli tylko

¹⁾ General Puzyrowski: „Służba polowa.“ 1884.

były rozumnie uplanowane, dobrze przygotowane i pokierowane, jak należy ¹⁾.

Przypuszczać można, że przeświadczenie podobne panuje również wśród sfer wojskowych russkich. Historia wojenna zawiera wypadki wypraw nocnych bardzo dla armii russkiej pomyślnych, a powodzenie zawsze zachęca. Zacytujemy jeden tylko przykład. Generał Gurko przez cały dzień (24 października 1877 r.) wyęczał wszystkie siły, aby zdobyć redutę Górny Dubniak. Poniosłszy wielkie straty, wojska russkie zajęły wieczorem pozycję niedaleko od oszańcowani nieprzyjacielskich, z której ani posunąć się naprzód, ani cofnąć się w tył nie mogły. Doczekawszy się zmroku, oddziały atakujące rzuciły się szybko na redutę i opanowały ją bez znacznych strat.

Generał Dragomirow powiada: „W nocy wojska nacierające mogą niepostrzeżone podejść blisko do nieprzyjaciela i w razie potrzeby cofnąć się niewidzialnie. Natarcie w ciemnościach razi przeciwnika swoją nadzwyczajnością i niespodzianką, miesza go, nie pozwala ocenić sił napadającego, działanie zaś jego ognia doprowadza do zera. Oto dla czego można w nocy dokonać wielkich rzeczy z małą garstką ludzi, i im bardziej udoskonali się broń ognista, tem większą doniosłość posiadać będzie umiejętność i wprawa walczenia po ciemku.“

Prócz tego w potyczkach nocnych, które pozwolą przeciwnikom pierś o pierś uderzyć, poważną rolę może odegrać i bagnet.

Pisarze zagraniczni przypuszczają, iż armia russka taktykę prowadzenia bitew w nocy praktykować będzie często. Tak naprzykład pułkownik Langalarie ²⁾ przytacza następujące słowa generała Dragomirowa: „Takie przedsięwzięcia, jak szturm Karsu, rozprawa pod Karagaczem, gdzie liczba Turków była nieskończenie przeważającą, są możebne tylko podczas nocy... Przyszyczyć wojsko do operacji nocnych jest rzeczą niezbędną wobec potęgi nowoczesnej broni palnej, a konieczność ta wzmagać się będzie ciągle, w miarę dalszego doskonalenia tej broni.“

„Le Progrès militaire“ podaje ciekawy opis manewrów nocnych, odbytych przez wojska, zostające pod dowództwem generała Gurko. Ponieważ opis ten daje nam obraz przyszłych starć, przytaczamy go tu dosłownie:

„Zwierzchnie kierownictwo manewrami nad Wisłą objął generał Gurko, mając do swej dyspozycji, jako arbitrów, głównych generałów: Kristomarowa, dowódcę 5-go korpusu armii, i generała-lejtnanta Pawło-

¹⁾ „Das Nachtgefecht im Feld und Festungskrieg.“ Berlin, 1890.

²⁾ Langalarie: „Exercices et manoeuvres de nuit.“ Paris, 1891.

wa. Wojska podzielone zostały na dwa korpusy: wschodni pod rozkazami generał-lejtnanta Krzywobłockiego, dowódcy 14-go korpusu armii, składał się z 18-tej dywizji piechoty (16 batalionów), 43-ej i 44-ej brygad rezerwowych (16 batalionów) i z dwóch batalionów fortecznych z Iwangrodu; dalej z 13-tu sotni Kozaków dońskich, jako kawaleryi, z 72 dział i z parku telegraficznego z 4-ma kompaniami saperów. Korpus zachodni, mając na czele dowódcę z 15-go korpusu armii, generał-lejtnanta Mirkowicza, składał się z 3 dywizji gwardyi pieszej (16 batalionów) z 7-ej i 8-ej dywizji piechoty (32 bataliony), nadto posiadał 48 szwadronów, lub sotni kawaleryi, 152 armaty, 4 kompanie saperów, dwa bataliony pontonierów i jedną sekcję parku telegraficznego.

„Drugi ten korpus, znacznie silniejszy od pierwszego, miał działać zaczepnie. Zadanie jego polegało na sformowaniu przeprawy przez Wisłę, której miał bronić korpus wschodni.

„Manewra rozpoczęły się rekonesansem kawaleryi, wykonanym przez korpus zachodni, dla wynalezienia najdogodniejszych miejsc do przeprawy. Obrońca zostawił swe siły w dwóch punktach tej części rzeki, której należało bronić, po 8 batalionów z artylerją w każdym punkcie, z silną rezerwą 16-tu batalionów. Placówki, wysyłane przez obie strony na obydwie brzegi rzeki, komunikowały się pomiędzy sobą za pomocą telegrafu, telefonów i poczty gołębiej.

„Atakujący zwężył nieco swój front, ograniczywszy go do 12-tu kilometrów, i wysłał pięć pułków kawaleryi z artylerją konną, które przy pomocy wszelkich środków przeprawy, w jakie mogły się zaopatrzyć, przebyły rzekę i, dzięki swej przewadze liczebnej nad kawaleryją przeciwnika, zdołały się utrzymać na przeciwnym brzegu.

„Po jednym dniu odpoczynku, atakujący rozpoczął w nocy prawdziwe usiłowania przeprawy. Parki pontonowe, sprowadzone na punkt wybrany, miały umożliwić przeprawę 3-ej dywizji gwardyi pieszej, która miała następnie zasłaniać budowę mostu. Trzy baterie winny były odeprzeć nieprzyjaciela na wypadek, gdyby wcześniej odkrył przeprawę. Zdołano w jak największej cichości wylądować pontony i spuścić je na wodę. Pontonierom dopomagały dwie kompanie piechoty, specjalnie w tem wyćwiczone. Mieli oni przeprowić się czterema przejazdami, z których pierwszy miał się odbyć o godzinie 11-ej wieczorem, ale w rzeczywistości odbył się dopiero o godzinie 2-ej po północy. Przeciwnicy czuwali, jak to wskazywały błyski heliografów, i z chwilą, gdy pierwsze łodzie przybyły do brzegu, rozległ się sygnał alarmowy i natychmiast rozpoczął się bardzo żywy ogień działowy i karabinowy. Chociaż obrońcy zgromadzili w tym punkcie tylko dwa bataliony i dwa działa, jednakże trudności wylądowania były tak wielkie, że pierwsza ta wyprawa uznana została za nieudaną.

„O świcie strona atakowana znacznie wzmocniła swe siły w punkcie przeprawy. Ale atakujący zgromadził tam przeszło sto dział, kawaleria zaś jego, która przeprowiła się była przez rzekę, zaczęła atakować przeciwnika z tyłu.

„Wtedy arbitrowie zdecydowali, że obrońcy powinni cofnąć się od brzegu i pozwolić atakującym zbudować most, który też ukończony został około godziny 11-ej z rana. Skorzystały z niego dwie dywizye, podczas gdy trzecia przeprowiła się przez rzekę w innym punkcie.

„Następnej nocy odbył się atak decydujący, wykonany przez wszystkie siły strony, działającej zaczepnie. Broniący się nie mogli nic więcej zrobić, jak tylko możliwie długo odpierać natarcie. Manewr zakończył się o godzinie 2-ej z rana po walce nader gorącej.

„W krytyce swojej generał Gurko kładł naprzód nacisk na niezbedność utrzymywania łączności pomiędzy oddzielnymi kolumnami, na korzyści obrony czynnej i kontr-ataków, wykonanych w pierw, nim nacierający zdołał skoncentrować swe siły, na konieczność trzymania rezerw niezbyt daleko od linii bojowej, aby móżd wykonać atak stanowczy wszystkimi siłami. Co do tego punktu, generał Gurko stawiał jako zasadę, iż rezerwa nie powinna znajdować się w większej odległości od linii będącej w ogniu, niżeli ta ostatnia od przeciwnika.

„Co się tyczy kawalerii, generał Gurko winaował jej szybkości i energii, dzięki którym nie straciła żadnej sposobności, aby wziąć udział w walce.“

Generał Kuropatkin również zdaje się być zwolennikiem wypraw nocnych, chociaż robi przytem bardzo poważne zastrzeżenia.

„Atak nasz z dnia 21 sierpnia—mówi on—powinien być wszechstronnie badany, dlatego, że nocne wyprawy w przyszłości prawdopodobnie często zdarzać się będą. Szczególniej mogą mieć powodzenie operacye nocne małych oddziałów, celem zajęcia jakiejś pozycyi, atakowania tego lub innego punktu, którego zdobycie w ciągu dnia, przy obecnych warunkach bitwy, pociągnęło-by za sobą bardzo znaczne straty. Do nocnych działań potrzebne są wyborowe wojska, dokładne obznajomienie się z miejscowością i wytknięty cel działania. Pomimo przeświadczenia o konieczności dokładnego poznania wszystkich warunków nocnej walki, przygotowania się do prowadzenia jej zarówno w sposób zaczepny, jak i obronny, jeszcze w czasie pokoju,—przezmy jednak możliwości takiego wypadku, w którym było-by korzystnie poruszyć śród nocy całą armię wraz z ciężką artyleryą i uszykować ją odpowiednio i równolegle do frontu nieprzyjacielskiego, nie znając miejscowości, na której trzeba się będzie potykać, i rozmieszczenia sił nieprzyjacielskich.“

Z pisarzy zagranicznych większość przemawia przeciwko działaniom nocnym. Tłumacz broszury, niedawno w Rosyi wydanej, który, jak się zdaje, nabył niemało doświadczenia podczas wypraw nocnych w r. 1877—78, powiada:

„Noc jest czasem wypoczynku i nikt bez ważnych pobudek gwałcić jej nie powinien. Pamiętać należy, iż chociaż operacye nocne obiecują nieraz nadzwyczajne powodzenie, ale mogą też spowodzić i wielkie nieszczęście. Podczas wyprawy nocnej wojska z trudnością odszukiwać mogą swoje pozycye, wśród ciemności nie potrafią ocenić stanu rzeczy, to też nie wiedzą i nie rozumieją, poruszają się powoli, a to wszystko bardzo nuży żołnierza. Czasem najbagatelniejsza przeszkoda, napotkana niespodziewanie, spowodza wielki tumult, szyk się łamie, porządek się rujnuje; często nie tylko pojedynczy ludzie, lecz oddziały całe błądzą i tłuką się na wielkich drogach; nawet na otwartej równinie ruch w nocy bardzo jest utrudniony. Wojsko robi się nadzwyczajnie wrażliwem i było dosyć przykładów, iż bez należytego powodu i bez dostatecznej racyi zatrzymywano się i rozpoczynano ogień, a dopiero wschód słońca przekonał, że strzelano do swoich ¹⁾).

„Neue militärische Blätter,“ opierając się na zdaniu majora Kuntza ²⁾, potępiają je stanowczo: „Tym—czytamy tam,—którzy wielkich rzeczy oczekują od napadów nocnych, przypominamy losy 101-go pułku gwardyi ruchomej, który został pobity podczas ataku w ciemnościach, ratował się ucieczką i wtedy własne wojska go do szczętu wytepiły. Nie bardzo to zachęcające!“

Cytowany już wyżej przez nas pisarz francuski, pułkownik B. ³⁾, zwraca uwagę, iż przy prochu bezdymnym, z którego huk jest słaby, zaskoczenia będą daleko łatwiejsze, a pociski daleko straszniejsze. Wobec odległości, na jakiej dziś stoją placówki jedna od drugich, albo od stanowisk, które je wysłały, będą one nieraz strzelały nawet kilka-

¹⁾ Cytata z Johnsona „Ataki nocne“ (przekład ruski, Petersburg, 1890 roku). Do jakiego stopnia drobna okoliczność wywołać może wielki i doniosły popłoch wśród ludzi, nieustannie zagrożonych śmiercią i pamiętających o tem, dowodzi fakt następujący: Podczas szturmowania Badalhoza w 1812 r. wojska otoczyły w nocy bastyon, wszystko szło jak najpomyślniej: już palisada została wyrwana, wtem kilku żołnierzy spostrzegło na ziemi płonący jakiś niedopałek i krzyknęło: „*mine!*“ To słowo wywarło takie wrażenie na wyobraźnię żołnierzy, że ci sami ludzie, których nie powstrzymały zaskoczenia i rowy, wały i mury, ani nawet ogień nieprzyjacielski, rzucili się do ucieczki przestraszeni widmem miny. Rezerwa francuska skorzystała z popłochu, natarła szybko i silnie, strąciła nieprzyjaciela z szaniców, resztę wystrzelała i bastyon został ocalony.

²⁾ Rok 1890, str. 286.

³⁾ Colonel B.: „La poudre sans fumée.“

krotnie bez zwrócenia na to uwagi i wywołania skutku. Tylko w nocy błysk ognia może się stać dla najbliższych placówek ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie.

To, co się dzieć będzie z placówkami, to samo powtórzy się z drobnymi posterunkami z tyłu, a potem z głównymi strażami; tym sposobem przy odrobinie inicjatywy i śmiałości nieprzyjaciół będzie mógł dotrzeć, prawie nie zatrzymany, aż do obozowisk armii.

Zaskoczenia zaś niespodziewane staną się daleko bardziej morderczymi, aniżeli dawniej, zwłaszcza zaskoczenia w nocy, ponieważ z braku wskazówek, dymu i huk, daleko będzie trudniej oznaczyć punkt ataku, w następstwie czego atakujący korzystać będzie daleko dłużej z nieładu, jaki wywoła jego niespodziewany napad.

Stąd przedewszystkiem konieczność znacznego zbliżenia do siebie placówek w łańcuchu przednich straży i odwrotnie—odrzućcie od siebie pojedynczych części systemu ochronnego, a zaprowadzenie natomiast między nimi komunikacji stałej przez sztafety, które były-by nieustannie w ruchu ¹⁾.

Dodać należy, iż w powyżej przytoczonym zdaniu pułkownika B. jest nieco przesady. Dziś jest rzeczą pewną, iż huk wystrzału przy prochu bezdymnym jest prawie taki sam co do siły, lecz tylko trwa krócej. Nie mniej przeto, uwagi co do stopnia zdenerwowania wojsk są słuszne; nie ulega kwestyi, iż dzisiaj wrażliwość walczących narażoną będzie na próbę cięższą, niż kiedykolwiek.

Hoenig w poglądach swoich jest po części sprzeczny.

„Stanowcze natarcie—mówi w jednym miejscu ²⁾—które nawet przy użyciu broni małego kalibru za dnia mogło-by nie mieć powodzenia, z wielu względów, mianowicie, gdyby wojska broniące się ożywione były silnym duchem i gdyby posiadały energicznego kierownika, wśród mroku wieczornego, lub podczas nocnych ciemności, bardzo prawdopodobnie udało-by się całkowicie. Nie wspomina tu już o dniach mglistych. W 1871 roku w bitwie pod Le Mans wszystkie punkta opanowane zostały podczas mroku, użyto do tego tylko bicia w bębny i okrzyków „hura!“ Znam cały szereg podobnego rodzaju wypadków, z których tylko jeden się zakończył niepomyślnie. W tych razach wojsko jednak powinno postępować w zwartym szeregu, inny szereg zastosowanym być nie może.“

W innym jednak miejscu tenże autor powiada:

¹⁾ Ibidem.

²⁾ Hoenig: „Die Taktik der Zukunft.“

„Kto chce postawić taktykę na gruncie właściwym, ten za punkt wyjścia brać musi człowieka, słabości zaś ludzkie poznać może każdy, kto poważnie i sumiennie rozważy własną istotę. I wtedy przekonać się łatwo, iż wszystko, co przedsięwzięcie w ciemności, robić będzie mniej pewnie, a skutek tego z większem wahaniem się, ze słabszą energią, niż przy blasku dnia. Skoro człowiek straci rozwagę zmysłów i nie ma pewności siły, staje się istotą, którą podniecona wyobraźnia prowadzi do największych głupstw, do ekstrawagancji, co w taktyce kończy się paniką. Te-to właśnie względy skłoniły wszystkich wodzów do zaniechania nocnych ataków. Wszyscy oni zawsze unikali nocnej pory do staczania bitew decydujących, a to dlatego, iż wszyscy byli znawcami ludzkiego serca—bez tego przymiotu niema wodza! Niepodobna zrozumieć, jakim sposobem „taktycy“, którzy potępiają szyk zwarty, zalecają wyprawy nocne. Uważają, że w dzień niepodobna opanować zbitej masy ludzkiej i pokierować nią, jak należy, a w nocy chcą operować zbitymi kolumnami. Niewiadomo po prostu, co myślę o rozsądku tych panów, którzy chcą wojować w nocy, a powodzenie akcji we dnie czynią zależnem od tego, czy się walczący widzą pomiędzy sobą i rozpoznają. W ciemności niepodobna widzieć dowódcy i naśladować jego przykładu, co najwyżej można głos jego słyszeć. Jeżeli zaś noc będzie jasna, to nie osłoni od strzałów wroga, a przecie „takykom ciemności“ o to chodzi“¹⁾.

Jakkolwiek jednak rzeczy się mają, to, sądząc z różnych objawów, wnosić można, iż wszystkie armie szykują się do ataków nocnych. Zarówno w celach obrony od niespodziewanego i niewidzialnego napadu, jak i dla ułatwienia ataku przez uniknięcie tych wszystkich trudności i przeszkód, o których była wyżej mowa, przygotowywane są słońca elektryczne i płomienie ogni bengalskich.

Robione były próby strzelania przy świetle elektrycznym np. w Hiszpanii w 1891 r. Na poligonie długości 4,000 metrów rozstawiono w różnych odległościach tarcze, oznaczające piechotę i kawalerję. Tarcze te o tyle były dobrze oświetlone, że wszystkie szczegóły dokładnie można było rozróżnić z najbardziej oddalonego punktu w poligonie. Punkt ten znajdował się w odległości 9,000 metrów. W doświadczeniach brały udział i artylerya, i piechota. Trzy baterie i dwie roty piechoty strzelały do kolumn na odległość 3,000 metrów, do oddzielnych figur na 1,500 metrów. Według zdania oficerów, strzelanie było również skuteczne i szybkie, jak za dnia. Piechota rozpoczynała strzelanie do tarczy z odległości 2,000 metrów, a kończyła na 600 me-

¹⁾ Ibidem.

trów. Wogóle rezultat wykazał, że strzelanie łatwiejsze było dla artylerji, niż dla piechoty. Na małych jednak odległościach rezultat strzelców piechoty był zupełnie zadawalniający.

Dodać należy, iż we wszystkich armiach używane są przyrządy, za pomocą których można z powodzeniem strzelać w nocy, nastawiwszy odpowiednio celownik jeszcze przy świetle dziennem.

„Zapewne też—mówi Johnson—udoskonalenie służby ochronnej w obozach, oraz oświetlenie okolicy i dróg, przez które mógł-by nadciągnąć nieprzyjaciel, powiększy niebezpieczeństwo napadów nocnych, a wskutek tego będzie od nich powstrzymywał dowódców. Ale w najwzorowej strzeżonej armii zdarza się, iż wskutek wielkiego znużenia niezbędnego ostrożności bywają zaniechane. Nie mówimy już o lekkomyślności wodza, ani o niedbalstwie, właściwem pewnym narodom“¹⁾.

A więc w zdaniach co do bitew nocnych, wypowiedzanych przez kompetentnych autorów, znajdujemy takie same sprzeczności, jak w wielu kwestjach, dotyczących tej wielkiej niewiadomej, która nosi miano „przyszłej wojny.“ Należy tylko uznać, iż w każdym razie ataki nocne podlegają przypadkowości wszelkiego rodzaju, a dlatego nie stosuje się do nich cytowane już przez nas twierdzenie Napoleona: „Na wojnie nic się inaczej osiągnąć nie da, jak przez rachunek, a wszystko, co nie zostało dokładnie obmyślane aż do szczegółów, nie da rezultatu.“

Jeden z generałów, który niejednokrotnie brał udział w nocnych wyprawach w r. 1877, twierdzi, iż czasem wystarcza puścić na nieprzyjaciela parę rakiet, aby wywołać w jego obozie panikę; konie zrywają się z uwięzi i pędzą, jak szalone, powstaje zamęt nie do opisania.

Zdarzało nam się dyskutować w tej materji z lekarzami chorób nerwowych: są oni zdania, że pokolenie obecne pod względem wrażliwości nerwowej nawet porównać się nie da z przeszłym. Szczególniej zaskoczenie przez niebezpieczeństwo po nagłym przebudzeniu się wywoła wielkie wstrząśnienie; wola niejako zniknie i wystąpią nagle w człowieku wszystkie ujemne strony współczesnego wychowania i życia.

Nie ulega wątpliwości, iż sama myśl o możliwości napadu nocnego budzić będzie wśród wojska niepokój i rozdrażnienie. Autorowie wojenni świadczą, że już w przeszłości zdarzały się wypadki, iż żołnierze, przebudzeni nicznym hałasem, lub przypadkowym wystrzałem, chwytali za broń i roznosili trwogę po całym obozie. W wojnach przyszłych

¹⁾ Cytata z „Revue de cercle militaire.“ przytoczona w broszurze F. Ditmara „Przepisy i przygotowania do nocnych wystrzałów.“

zdarzać się to będzie częściej, a to dlatego, że przy słabszych nerwach, przy mniejszem zahartowaniu podczas krótkiej służby w szeregach, niebezpieczeństwo wojny spotężniało.

Ulegać nie może wątpliwości, że walki nocne, jeśli będą, to będą nierównie dziksze, zbliżą się do rzezi z zamierzczłych epok barbarzyństwa. Ciemności osłonią czyny a rozkiełznają namiętności, brutalne instynkta wybuchną z większą siłą, złość, gniew, chciwość, krwiożerczość zwierzęca szaleć zaczną. „Narody pod bronią“ szarpać się i kąsać będą, jak niegdyś tępiące się wzajemnie plemiona. „Po iluż-to bitwach nocnych—powiada autor francuski—wschodzące słońce spojrzy na padoł ziemski i twarz zakryje.“

VII.

Zapopatrywanie wojsk w amunicję na polu walki.

„Z chwilą, kiedy kawalerzysta nie będzie mógł przegalopować przed linią ognia—powiada gen. Puzyrewski,—piechur nie potrafi iść pod strzały nieprzyjacielskie i walka stanie się wymianą strzałów karabinowych z dalekiej odległości pomiędzy ludźmi, pozostającymi za osłoną. Bój ustanie wtedy dopiero, gdy wyjdą wszystkie ładunki.“ Okoliczność ta natchnęła niektórych autorów obawą, iż dostawa potrzebnych olbrzymich zapasów amunicji stanie się bardzo trudną, może nawet niemożliwą, co znowu odbierze znaczenie broni ognistej i napowrót powoła do czynu białą.

Podczas wojny 1877 r. przy atakowaniu Plewny w dniu 8 lipca brak amunicji przytrafił się nieraz.

Odwrót pułku Kostromskiego spowodowany był między innymi tem, że żołnierze wystrzelali wszystkie ładunki, a nowych nie dowieziono ¹⁾.

Pułkownik Ardent de Pik powiada o armii francuskiej: „Żołnierze nasi nie posiadają dużego zapasu krwi zimnej; gdy znajdują się w niebezpieczeństwie, strzelają, strzelają, aby czemś czas zająć, aby się zapomnieć, powstrzymać ich niepodobna.“

Posłuchajmy, co w tej materji powiada autor bardzo kompetentny, bo był dowódca artylerji niemieckiej, ks. Hohenlohe ²⁾:

„Fakt, że w r. 1866 armia pruska używała mało amunicji, pochodził stąd, że wskutek przewagi swej broni szybko bardzo walkę

¹⁾ Gen. Kuropatkin: „Działania oddziałów gen. Skobelewa.“

²⁾ Le prince de Hohenlohe-Ingelfingen: „Lettres sur l'infanterie,“ str. 154.

kończyła. Znowu w r. 1870—71 karabin niemiecki niósł dwa razy bliżej, niż francuski chassepot, to też artylerya niemiecka musiała pracować za siebie i za piechotę. W wojnie przyszłej, ponieważ dziś donośność broni jest wszędzie jednakowa, w razie starcia się sił liczebnie równych, piechota wypotrzebuje dwa razy więcej ładunków, niż w wojnach poprzedzających. Stosunek ten uleży jednak może zmianie, wskutek tej okoliczności, iż często, chociaż walka pociskami rozpocznie się ze znacznej odległości, to jednak, zbliżywszy się do siebie, oba wojska wyczekiwać będą po-za zasłonami chwili, aby rzucić się na osłabionego nieprzyjaciela i bagnetem zdecydować los walki; w takim wypadku często zwycięstwo ten odniesie, kto nie wyczerpał jeszcze amunicyi.

Niemcy pod tym względem są bardzo pewni swego; autorowie ich powiadają wprost, iż te tylko armie powinny się obawiać wyszastania zbyt wczesnego naboju, które nie mogą tak, jak oni, liczyć na inteligencyę swego żołnierza.

Ks. Hohenlohe jednak miarkuje i podaje w wątpliwość podobny optymizm swoich kolegów. Powiada on mianowicie, że gdy się bitwa rozwinie i rozpali, kiedy dowódcy poginą, niebezpieczeństwo stanie się wielkiem i blizkiem, wtedy strzelanina musi iść bezładnie. „Dowódcy nie będą zdolni kierować używaniem amunicyi, bo zgiełk walki przytłumi ich komendę. Każdy strzelec będzie na własną rękę i jak mu się spodoba.

„Nie chcę bynajmniej—powiada dalej—dotknąć naszych wybornych piechurów, których brawura i duch poświęcenia powszechnie są znane, ale i pomiędzy nimi jest pewna liczba takich, którzy lubią sobie dodawać odwagi hałasem. Nikt na świecie umierać nie chce, większość ludzi czuje potrzebę przytłumienia w sobie obawy śmierci za pomocą jakiegoś środka zewnętrznego, naprzykład za pomocą robienia zgiełku. Zawsze, dopóki nie nadejdzie chwila rzucenia się do ataku przy okrzykach „hura!“, trzeba będzie uciekać się do huków wystrzałów, aby zrównoważyć i osłabić wzruszenie, wywołane obawą śmierci.

„Dodać trzeba, że walka wprawia ludzi we wściekłość, budzi żądzę zemsty, gdy się widzi padających przyjaciół, gdy się czuje ból rany. Gdy zaś uczucie podobne owładnie żołnierzem—twierdzi dalej ks. Hohenlohe,—wyczerpie on swoje naboje do ostatniego, nikt wtedy nie będzie zdolny kierować ogniem. W tej fazie walki, szczególnie jeżeli się jest stroną atakującą i w otwartem polu, niepodobna dokonać odnowienia amunicyi.“

VIII.

Oddziały partyzanckie.

Pod wyrazem oddział partyzancki pisarze wojskowi rozumieją nie tylko drobne oddziały bojowe, złożone z jednego rodzaju broni, zwykle z kawaleryi, i działające w sferze blizkiej do sił głównych, lecz także jednostki silnie uorganizowane ze wszystkich trzech rodzajów broni, niezależnych w działaniu, pozostających pod wodzą sprawnych i biegłych oficerów i operujących o kilka nawet dziennych przemarszów od armii głównej. Piechota przewożoną bywa na wozach z rekwizycją, albo na specjalnie dla tego celu zbudowanych kolasach. Sześć koni łatwo uciągnie 30 ludzi, wystarczy więc 20 kolas i 100 koni, aby przewieźć batalion z 750 żołnierzy.

Oddział partyzancki, liczący jeden lub dwa bataliony, złożone z wyborowych strzelców, jedną baterję konną, z kilkoma mitraliezami i jeden lub dwa szwadrony jazdy, stanowić będzie siłę imponującą, która na wszystko będzie się mogła ważyć.

Wiele takich oddziałów, połączonych przez swoją kawaleryę, umiejących wyzyskać wszelkie warunki gruntu i w razie potrzeby nawet umocnić go, utworzą już na wielkich przestrzeniach pozycje istotnie silne. Sformują one doskonałą straż przednią, uniemożliwią nieprzyjacielowi rozwiady, a nawet będą zdolne stoczyć poważniejszą bitwę.

Generał Suchotin w artykule ¹⁾, dotyczącym tego właśnie przedmiotu, powiada: „Gdyśmy przed sobą mieli nieprzyjaciela, nie odznaczającego się ładem i porządkiem, tośmy go zwyciężali metodycznością szyku i działania. Jeżeli zaś stanie przed nami przeciwnik, wychowany wśród ładu i systematyczności, albo wróg, osłabiony waśniami narodowemi i brakiem wewnętrznej spójności w armii, to zdaje się, iż można ich będzie pokonać za pomocą wojny, prowadzonej nieporządnie, to jest wysyłając partyzanckie oddziały, napadając na niego nocą, często go trwożąc i t. d.

Ogromna większość pisarzy wojskowych zgadza się, iż w oddziałach partyzanckich piechota winna być przewożona, aby nie zatrzymywać kawaleryi. Francuski generał, Lewal ²⁾, który wiele pisał o tym przedmiocie, mówi, że siła ognia karabinowego oraz wprowadzenie

¹⁾ Gen. Suchotin: „Z powodu działań ruskiej kawaleryi na półwyspie Bałkańskim.“

²⁾ „Journal des sciences militaires.“

prochu bezdymnego poddały w poważną wątpliwość skutek działania oddziałów kawalerii, wysuniętych naprzód w charakterze sieci, ochraniającej armię; okoliczność jednak, że konnica posiadać oczywiście będzie też samą broń i tenże sam proch, zmienia sytuację. Tymczasem i kwestya wsadzania piechurów na konie ma swoje znaczenie: podczas oblegania Szyпки strzelcy zdążyli na czas przybyć tylko dzięki koniom kozackim. Generał Lewal przypuszcza, że i welocypedy przydać się mogą dla szybkich ruchów niewielkich oddziałów piechoty, pierwszeństwo jednak oddaje posługiwaniu się żywymi wierzchowcami, rekwirwanymi na miejscu: końmi roboczemi, mułami, nawet osłami. Zamiast siodeł, które może być trudno znaleźć, mogą być używane dery. Zaimprovizowana w ten sposób kawaleria może jechać stępią, korzyść zaś osiąga się taką, iż żołnierz na pole walki przybędzie niezmeńczony pierwszym marszem.

Zamykając rozdział, poświęcony bitwie, t. j. temu momentowi, dla którego gromadzone i organizowane są wszystkie nieustannie doskonalące się środki wojny, wypada nam powiedzieć słów kilka o zmianie, jaka zaszła w samym charakterze sztuki wojennej, o sposobie traktowania w dziele niniejszem postępów militarynych i ich znaczenia, a wreszcie o ponurej perspektywie, otworzonej dla Europy przez bezwzględną rywalizację państw, gdy chodzi o przygotowanie do wojny. Dzięki tej rywalizacji, pokój stał się wojną, krew się nie leje wprawdzie, ale ruina staje się coraz powszechniejszą.

Charakter sztuki wojennej uległ w naszych czasach przeobrażeniu w samej swej istocie, a mianowicie coraz bardziej zaczyna w niej nabierać pierwszorzędno znaczenia nauka. Ścisła wiedza rozszerza nieustannie panowanie człowieka nad prawami natury. Lecz ona jednocześnie poddaje wolę, inicjatywę i wogóle całą różnorodność zdolności indywidualnych tym potężnym środkom działania, które z niej ludzkość osiąga. Wytwórczość podbija maszyna. Czy to samo stać się powinno z siłą, która kierowana jest nie ku produkowaniu bogactw i doskonaleniu warunków życia, lecz przeciwnie, ku niszczeniu bogactw i tępieniu życia?

Powiedzieć tylko można, iż ewolucya w sztuce wojennej dokonywa się w ten mianowicie sposób, jak gdyby wojsko, zaopatrzone w potężną technikę, a zarazem poddane pod wpływ jej oddziaływania, miało stać się maszyną, jak gdyby sztuka wojenna, w której zastosowaniach przeważa już dziś ścisła wiedza, z czasem sama przeobrazić się miała w naukę.

Wprawdzie w najwyższych koncepcjach swoich wojna do dziś dnia pozostaje, a może i na zawsze pozostanie, sztuką; wszelakoż nie tylko

środki techniczne, lecz także metody, przez nie uwarunkowane, zasady i przepisy postępowania nieustannie są wytwarzane przez naukę i z czasem nabrać mogą charakteru istotnych praw.

Nie przeczy temu fakt, iż takie ściśle i niezmiennie działające prawa nie zostały jeszcze ostatecznie wykryte i zaopiniowane. Wystarczy tu stwierdzenie, iż ku temu zmierza obrót rzeczy. A rzeczywiście niejedno już się w ten sposób zarysowało. Pewność wniosków, wykluczająca spory, może być w tej dziedzinie zdobyta jedynie przez doświadczenie. A doświadczenia z całością obecnych, nowych, potężnych środków dotychczas nie było jeszcze. Dopiero sama wojna będzie probierzem dla istniejących teorii, a może też ona wiele postawi odrazu z dostatecznym stopniem pewności.

Tymczasem teoretyczne poglądy, jak się o tem czytelnik już niewątpliwie przekonał, pod wielu względami różnią się bardzo, a nieraz nawet wprost sobie przeczą. My ze swojej strony nie mogliśmy zrobić nic więcej nad to, aby zaznajomić czytelnika z faktycznym stanem rzeczy i ułatwić mu wytworzenie sobie pojęcia o charakterze wojny oczekiwanej, jak tylko dać poznać zarówno to, co nie podlega już sporam, jak i to, na co się specjaliści nie zgadzają, co istnieje dotychczas w postaci przypuszczeń, bardzo między sobą sprzecznych. Usiłowaliśmy rzecz pokazać ze stron różnych, ażeby umożliwić oryentowanie się wśród zdań niezgodnych z sobą, a wypowiedzianych przez różnych specjalistów.

Wobec braku ostatecznego, straszliwego, lecz mającego wielkie znaczenie doświadczenia, możemy tylko raz jeszcze powtórzyć, iż przyszła wojna to tymczasem wielka niewiadoma. Skutek każdego środka, wziętego pojedynczo, znany jest i określony, ale na polu walki działalność ich zbiegnie się, wystąpią łącznie i stąd zjawiać się mogą kombinacye nieoczekiwane, które wytrzymałość sił fizycznych i moralnych ludzi poddadzą próbie nieoczekiwanej.

Nie tylko zresztą lękać się wypada, iż bitwa okaże się większą niszczycielką, niż dziś przypuszczają, ale cała wojna może przejść oczekiwanie pod względem ciężaru tego brzemienia, jakie wraz z jej wybuchem spadnie na narody. Bardzo np. być może, iż wojna przyszedła trwać będzie o wiele dłużej, niż to wypada z rachub, opartych na przykładach kampanii lat 1866 i 1870, gdyż wtedy przygotowania do wojny w Austrii i Francyi nie stały na tym poziomie, co w Prusach; w roku znowu 1877 siły zapaśników dalekie były od równości. Porównanie z wojnami jeszcze dawniejszemi jest pod tym względem całkowicie niemożliwe. Wtedy po rozbiciu armii kraj pozostawał bez obrony. Dziś w ogień pójdą narody całe, a czy podobna rozgromić naród w kilku bitwach? Możliwą jest rzeczą, iż czas trwania wojen przyszłych będzie

w pewnej mierze proporcjonalny do ilości sił, jakie z obu stron wezmą w nich udział.

„Przypuścimy—mówi Moltke w Pamiętnikach,²—że się nie powtórzy ani 100-letnia, ani 30-letnia, ani nawet 7-letnia wojna; nie mniej jednak, gdy miliony ludzi staną naprzeciwko siebie, gdy się rzucają na siebie w zjadłej walce o byt narodowy, bodaj czy można przypuszczać, aby rzecz rozstrzygnęło kilka zwycięstw!“

Pewnej otuchy dodaje myśl, iż groźna okropność wojny przyszłej wskaże pewną ostrożność i powstrzyma od kroków, które-by mogły spowodować katastrofę. Rządy i narody ociągają się, odwołują tę chwilę strasliwą, żaden nie chce uderzyć pierwszy i ściągnąć na siebie odpowiedzialności przed przyszłością i teraźniejszością za skutki, za życie wielu set tysięcy istot ludzkich, za ruinę ekonomiczną całej części świata, za zachwiany porządek społeczny, za poderwanie zasad bytu moralnego.

Tym sposobem utrzymuje się pokój. Co on jednak kosztuje? Miliardy pochłonęło już zastąpienie kapiszonówek odylicówkami i odylicówek magazynówkami, prochu dawnego bezdymnym i melinitem. Miliardy kosztowała walka kul działowych z blachami stalowymi, walka torpedowców z pancernikami i statków podwodnych z torpedami. I to przecie nie koniec jeszcze: nad Europą wisi już zmiana dzisiejszych karabinów na nowe, które były-by zdolne zużytkować wszystkie przymioty i całą siłę nowego prochu.

A miliardy te to pot chłopca, schylonego nad sochą, wyrobnika, trawiącego siły i życie wśród wyziewów fabrycznych, przedsiębiorcy, twórcy, siłą ducha swojego pchającego pracę na nowe tory, artysty wreszcie, który wyrzeka się potrzeb ciała, znosi głód i zimno, aby mógł karmić ducha i nie potrzebować tłumić natchnień. Miliardy te są święte, gdyż reprezentują cierpienie i pracę.

W otchłani, w której ta praca ginie, dnia nie widać i domyślić się niepodobna, czy ono się kiedy wynurzy. Nowe wynalazki się tłoczą poprostu, coraz ich więcej nawet, i coraz są pilniejsze i potrzebniejsze.

Koszta militarystyki materialnie nigdy się krajowi nie wróca. Przystarzała armata, wyszły z użytku karabiny mają wartość kawałka starego żelastwa. W razie zaś klęski, której jednak żadne ofiary w pewnych wypadkach odwrócić nie potrafią, stracone one będą pod wszelkim względem. To też rozchody wojenne Niemiec, Francji, Anglii, Włoch, Austrii wzrastają nieustannie i prowadzą Europę do ruiny, do tego, że jej rolnictwo padnie ofiarą konkurencji z Ameryką, która, nie rujnując się długami na wojnę, ściąga do siebie siły robocze i wytwarza taniej. Niebezpieczna rywalka dołoży wszelkich starań, aby wyprzeć naszą starą część świata ze wszystkich rynków i nigdy już ich

nie ustąpić. Europę więc czeka nie tylko ruina, ale, gdy pokój nastanie, znajdzie ona nowe, niesłychanie trudne warunki odbudowania starego gmachu, przywrócenia dawnego dobrobytu.

Kwestya na pozór sprowadza się do zadania natury arytmetycznej, co Europę kosztować będzie mniej: czy wyczekiwanie pod bronią, czy wojna? Dotychczas widocznie tańsze jest moralnie i materyalnie wyczekiwanie; im dalej jednak, tem ciężary militarystki stają się dokuczliwsiemi i wojna zrobić się może ratunkiem koniecznym, oraz pożądaniem wyjściem ze stanu nie do zniesienia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Mówiliśmy już o niezliczonych pamiętnikach, jakie od lat kilku ukazują się bezustannie, rzucają nowe światło na epokę pierwszego cesarstwa i na wypadki, które poprzedziły i przygotowały ten niesłychany w dziejach przewrót. Do wielu innych przybyły dziś nowe księcia Pasquier, kanclerza i prefekta policji za Napoleona I-go. Zmarł on w roku 1862, stuletnim blisko starcem. Pozostałe po nim pamiętniki wydał książkę Audiffret-Pasquier, członek Akademii Francuskiej. Ukazał się dopiero pierwszy tom, obejmujący czasy rewolucji, konsulatu i najświetniejszej epoki cesarstwa; wkrótce wyjdzie z druku tom następny.

Ktoby chciał szukać jaskrawych obrazów, działających na wyobraźnię, a szczególnie scen skandalicznych, doznał-by niewątpliwie zadowodu. Pamiętniki kanclerza Pasquier, pisane wytwornem piórem, zadowolnią przecież poważnych czytelników. Pogląd autora spokojny, sąd wyrozumiały, wolny od stronniczych uprzedzeń. Prawnik z tradycji rodzinnej i z powołania, sądzi wypadki, spełnione pod jego okiem, w których od młodości brał czynny udział. Przeświadczony głęboko o potrzebie służenia Francji, nie uchyla się nigdy od przyjęcia na siebie obowiązków; raz przyjęte, spełnia najsumienniejsze.

Pierwszy tom rozpoczyna się od obrazu Francji przedrewolucyjnej. Autor maluje świetne społeczeństwo tej epoki, kresli wspaniały

obraz ówczesnego Paryża. „Administracya — mówi on — weszła na drogę postępu, zajmowała się coraz gorliwiej dobrobytem powszechnym. Nie było wprawdzie wielkich ministrów, ale wyższe urzędy spoczywały w ręku ludzi inteligentnych. Na nieszczęście władza królewska, rozmięczona długim powodzeniem, nie przewidując niebezpieczeństwa, utraciła pomalą dawną sprężystość, rozbroiła się sama i upadła pod burzliwym prądem rewolucyjnym.“

Jak wogólności młodzież ówczesna, Pasquier skłaniał się chętnie do nowych doktryn, lecz zapal reformatorski opuszczał go w miarę, jak rewolucya coraz gwałtowniejszy przybierała charakter. Nie był on przecież zagorzałym rojalistą: umiarkowany umysł jego nie znosił w niczem przesady. Nieprześlągany wróg anarchistów, nie mniej surowo sądzi emigracyę: zarzuca książętom krwi i szlachcie ucieczkę z pola walki. Nie może pojąć, jakim sposobem ludzie, obdarzeni zdrowym zmysłem, mogli opuścić stanowiska swoje i zrzec się dobrowolnie wszelkiej działalności w czasach, gdy można było powstrzymać jeszcze powódź.

Podczas terroryzmu Pasquier szczęśliwie uszedł śmierci. Ojciec jego wytoczył krew pod gilotyną; on sam, wtrącony do więzienia, czekał tam na spełnienie wyroku. Szczęściem pochwycono go dopiero 8-go Thermidora, 9-go padł Robespierre; więźniowie odzyskali wolność.

Ostatnie chwile Konwencyi i początki Dyrektoryatu spędził Pasquier w zaciszy wiejskiej. Zamieszkał z młodą żoną w Croissy, niedaleko Paryża. W miarę, jak ład społeczny na nowych urządzał się prawach, życie bezczynne zaczynało mu ciążyć. Z początkiem Cesarstwa wszedł do służby publicznej.

Nie zrzekł się on tradycyjnych uczuć, łączących go z dawną monarchią, a przecież dobro kraju nakazywało mu wystąpić do działania. Podniecony tą myślą, objął nasamprzód urząd w radzie państwa, następnie został prefektem policyi.

Wysokie stanowisko, jakie zajął Pasquier, zbliżyło go odrazu do ludzi, kierujących sprawami państwa. Odtąd pamiętniki przybierają historyczną doniosłość. Sąd jego o ludziach, pełen umiarkowania, dla dwóch tylko osobistości jest on nieprześląganym; tych chłoszcze na każdym kroku, oskarża ich o zdradę. Jednym z nich jest Talleyrand, drugim — Fouché.

W egzekucyi księcia d'Enghien wyświetla Pasquier podstępne działanie Talleyranda. Minister spraw zagranicznych nie był, zdaniem jego, narzędziem wyższej woli, ale głównym instygatorem popełnionego gwałtu. Nową zdradę, ukartowaną z ministrem Fouché, wykazuje Pasquier podczas wojny hiszpańskiej 1808—1809 roku. Odgadli obaj nie-

bezpieczeństwo, na jakie naraża się Napoleon: odtąd rozpoczynają tajemne knowania, tak wewnątrz, jak za obrębem kraju.

W roku 1810-ym Pasquier, zamianowany prefektem policji, w bezustannem zetknięciu z cesarzem, staje się jedną z głównych sprężyn rządowych. Pamiętniki jego rzucają też nowe światło na sprawę administracji wewnętrznej.

Pierwszy tom kończy się z początkiem 1812 roku. Napoleon wyjeżdża do Drezna, wnet połączy się z wielką armią. W ostatniej rozmowie z prefektem policji wyznaje, że wojna przedsięwzięta najtrudniejszą będzie ze wszystkich, jakie dotąd prowadził. W sądach swych o cesarzu Pasquier okazuje zupełną bezstronność i spokojny pogląd na rzeczy. W początkach panowania podziwia w Napoleonie genialny dar władania ludźmi; później w czasach upadku nie potępia go bezwzględnie, nie błuzga na niego jadem nienawiści. Gani niekiedy czyny cesarza, ale tłómaczy ich pobudki. Postać olbrzyma, który trzymał świat pod stopami, nie zmalala pod piórem historyka, sąd jego nacechowany jest zawsze bezstronnością i niezwykłym umiarkowaniem.

Francya, tak dziś pozytywna, tak pesymistyczna, nie zerwała jednakże z poezją. Zabrakło wprawdzie genialnych jej przedstawicieli, lecz nie zabrakło miłośników, utęsknionych za ideałem. Ściągają oni pilnie nową szkołę, szukającą dróg nieutorowanych, ale, znużeni długiem wyczekiwaniem, zwracają się ku dawnym ulubieńcom, karmią ucho melodyjnym dźwiękiem ich pieśni. Taki zwrot do Lamartine'a zasługuje dziś na uwagę.

Zaniedbany w ostatnich latach życia, zmarły na krótki czas przed wojną i klęskami Francji, Lamartine zstąpił cicho do grobu; rzekł-by kto, że wraz z trumną poety pamięć o nim została na wieki zagrzebaną. Z pomiędzy trzech koryfeuszów romantycznego Odrodzenia, dwaj przyświecili blaskiem niezgasłym: Wiktor Hugo i Alfred de Musset. Młodzież z równym powtarzała zachwytem „Rolle“ i pałace satyry (Chatiments), wymierzone przeciw cesarzowi. „Medytacye,“ które niegdyś tak poruszały serca, poszły całkiem w niepamięć.

Ówieré wieku dobiega od tej pory, a oto postać Lamartine'a występuje nagle z pomroku. Przeglądy literackie, wydawane przez nową generacyę publicystów, podnoszą Lamartine'a wyżej nad Musset'a, pomawianego o zbytnią czułośćkowość i newrozę, wyżej nad Wiktora Hugo, zbyt gwałtownego w namiętnych porywach. Idealizm Lamartine'a lepiej przypada do duszy młodym pokoleniom, melodyjne dźwięki jego liry milej kołyszą wyobraźnię. Prąd ten, zbudzony przez młodzież,

ogarnia i starsze szeregi literatów,—dowodem na to nowe prace krytyczne, poświęcone utworom poety. Do znanych już dawniej wspomnień o Lamartine'ie przybyły w tych czasach cztery nowe dzieła: najpród drukowane studyum Emila Deschanela, profesora kolegium francuskiego; w tymże czasie Feliks Rayssie, adwokat z Macon, opisał wiernie gniazdo rodzinne poety i pozbierał przechowane o nim wspomnienia. Anatol France uchylił zasłonę, pokrywającą postać pani Charles, zgasłej przedwcześnie *Elwiry*; nakoniec młody poeta, Karol Pomerol, z uczuciem uwielbienia określa wszechstronnie geniusz Lamartine'a.

Studia panów Deschanela i Rayssie, jakkolwiek kreślone z miłością, modyfikują bardzo Lamartinowską legendę. Do rozpowszechnienia tej legendy przyczynił się najwięcej sam poeta. W autobiograficznych zwierzeniach fantazyja unosi go co chwila w jakiś świat wymarzony: przemienia daty, poświęca prawdę dla harmonii faktów. To ssie pierś macierzyńską w więzieniu za czasów Terroryzmu, pomimo, że, urodzony w roku 1790, był już wtedy trzyletniem chłopięciem; to znów antydatuje utwory, aby dowieść wczesnego rozkwitu geniuszu swego; opowiada, jak najpierwsze *medytacje* kreślił ołówkiem na marginesach Danta lub Petrarcki; jak zatracone i zapomniane znalazł później w księdze, pozycznej przyjacielowi. Lamartine mija się nieraz z prawdą, pozuje, jak to czynił Chateaubriand. Zresztą zboczenia to niewinne; poeta przyznał się później z całą naiwnością, że malował się, jakim pragnął być, w świetle nieco *wromantyzowanem*.

Zobaczmy oto, jak Feliks Rayssie odmalował poetę w latach dzieciństwa i młodości według tradycyi, pochwyconej w mieście Macon, przechodzącej tam z pokolenia na pokolenie. W ósmym roku życia—mówi biograf—był to chłopczyk gruby, puciołowaty, z ustami na pół otwartymi, nosem zadartym, czuprynką wichrowatą, zdrów, pełen krzepkiej siły. Rósł i rozwijał się w dziwnie malowniczej okolicy: wieś Milly, w bliskości Macon, położona na stoku góry, z widokiem na szeroką przestrzeń, przypomina wiosną Grecyę i Sycylię, zimą podobna do Szkocyi i Norwegii. Chłopiec biegał po górach z chłopiętymi wiejskimi, zabierał z sobą kromkę chleba i kawałek koziego sera na posiłek. W dziesiątym roku oddany na pensyę w Lyonie, nudził się tam i tęsknił; przebywszy zaledwie rok, uciekł potajemnie do domu. Umieszczono go potem w Belley pod opieką ojców zakonnych, kierujących zakładem. Dobrze mu tam było; uczył się dosyć pilnie, korzystał z nauk, wykładanych według dawnej klasycznej metody.

Z kolegium powrócił do Milly; czytał, co mu wpadło pod rękę, polował, marzył. Zimę przepędzał w Macon, a następnie w Lyonie, pod pozorem kursów prawnych. Widzimy go tam, jak prowadzi życie

wesołe: uczy się grać na fleciku i na wiolonczelli, bierze lekcye angielskiego i włoskiego języka. Dla rozrywki kreśli ulotne wiersze, posyła je na akademickie konkursy do Besançon, Awinionu i Tuluzy. Nie otrzymał żadnej nagrody.

Puścił się potem do Włoch: w Neapolu zamieszkał w domu krewnego, dyrektora fabryki tabaczej. Poznał tam młodą dziewczynkę, zajętą w fabryce zwijaniem cygar. Zidealizował ją w swej Grazielli. Wyczerpany z zasobów, powraca do Milly, nudzi się, dręczony tęsknotą. Aby odegnać czarne myśli, pośpiesza do Paryża, szuka roztargnienia w zabawie, zaciąga długi, które matka opłaca z trudnością. I znów powraca do ogniska. Otoczony troskliwą opieką matki i miłością siostr, oddaje się poetycznym marzeniom, kreśli dorywczo wiersze. Ten-to wpływ miłości rodzinnej sprawił, że Lamartine zachował cześć dla kobiety. Pieśń jego pozostała czystą, nienawidził swawolnych obrazów, nie splamił pióra najłżejszym sarkazmem.

Ważne wypadki następują tymczasem we Francyi. Powrót Napoleona z wyspy Elby, studniowe panowanie, klęska pod Waterloo: wszystko to wstrząsa do gruntu umysłem poety. Za restauracyi zaciąga się do gwardyi królewskiej. Później nieco nad jeziorem Bourget spotyka panią Charles, opiewaną pod imieniem Elwiry. Przez rok cały tęskni zdala od ideału swego: brak zasobów nie pozwala mu na podróż. Elwira umiera, poeta wpada w ciężką chorobę, powstaje z niej, ale cierpi głęboko.

Iskra, rozbudzona siłą bolesnych wstrząśnień, zapala się nakoniec w piersi Lamartine'a, wybiega z niej pieśnią natchnioną. W Paryżu, gdzie czasowo przebywa, utwory jego przebiegają z rąk do rąk. Pierwsze „Medytacye,“ wydane w roku 1820, ukazały się bezimiennie, lecz imię Lamartine'a, znane wszystkim, zdobyło już zasłużony rozgłos.

Zalecony królowi, poeta otrzymał miejsce w dyplomacyi; pośpieszył do Włoch. Tam poznał Angielkę, jednego z nim wieku, nie zbyt urodziwą, ale z pięknymi oczyma, postawą pełną wdzięku; ukochała go aż do uwielbienia. Oboje okazali względem siebie jednaką wspaniałomyślność. Anna Birek, wychowana w protestantyzmie, przeszła tajemnie na łono kościoła katolickiego. Lamartine ze swej strony czekał na ogłoszenie drukiem nowych „Medytacyi,“ aby przed zawarciem związków opromienić czoło aureolą chwały. List poety do przyjaciela de Virieu świadczy o uczuciach jego głęboko chrześcijańskich:

— „Powiem ci otwarcie—pisze on—tobie tylko samemu, że uczucie religijne skłania mnie do małżeństwa. Potrzeba raz urządzić surowo życie, dotąd bezużyteczne, i oprzeć je na prawach ustanowionych, tak Bożych, jak i ludzkich, a według zasady mojej, ludzkie prawa zarówno są Bożemi. Czas płynie, lata gonią, życie ubiega! Korzystajmy

z tego, co nam jeszcze pozostało, oznaczmy sobie cel stały na drugą połowę dni naszych; a niech ten cel będzie najwyższym, o ile można, niech nas uczyni miłymi Bogu, bez którego wszystko jest niczem. Trzymajmy się też całą siłą ustanowionego porządku, idźmy naprzód ścieżkami ojców naszych, a jeśli to nam nie wystarczy, prosimy Boga o siłę, ofiarujmy mu drobne przykrości, aby nam dał spokój duszy i zadowolenie wewnętrzne.“

Wkrótce po ślubie pisze znowu: „Kocham żonę moją, mam dla niej szacunek i uwielbienie. Dziękuję za nią Bogu.“

Marya Anna Birck była rzeczywiście niepospolitą kobietą. Ona to sama dała córce imię Julii, idealnej kochanki, opiewanej w „Jeziorze.“ Łagodna i przywiązana, dzieliła z mężem dobrą i złą dolę. W czasach upadku i nieszczęścia ukochała go silniej jeszcze, niżli otoczonego aureolą chwały.

Pomijamy z konieczności rozbiór utworów poetycznych Lamartine'a, samo ich wyliczenie przeszło-by zakres ram naszych. Chcieliśmy głównie wskazać ów nagły zwrot umysłów do najidealniejszego z poetów francuskich tego wieku. Zwrot ten nie uszedł uwagi tutejszych psychologów. Paweł Bourget bada do gruntu powody tego psychicznego objawu, przedstawia je w zajmującej rozprawie.

„Nikt dziś nie wątpi—mówi Bourget,—iż Lamartine z pomiędzy wszystkich genialnych pisarzy z pierwszej połowy tego wieku był najściślej narodowym, do gruntu francuskim. Młodzież odczuła to instynktowo i uczciła w nim ten charakter.

„Reakeya przeciwko obcym wpływom objawia się dzisiaj widocznie i zapowiada zwrot nowy. Francya czuje się zagrożoną w sumieniu własnem, potrzebuje zatem,—jak mityczny olbrzym Anteusz—postawić stopę na swej ziemi, by zaczerpnąć z niej siły do nowych zapasów. Wiktor Hugo i Musset byli to niewątpliwie francuscy pisarze, ale na pierwszym Hiszpania wycisnęła swe piętno, drugi poszedł śladem Byrona. Lamartine tymczasem, jak Racine, tak z nimi spowinowacony, nie uległ nigdy obcym wpływom. Ten poeta, zawsze pełen nadziei, upojony wymową, skory do szlachetnych uniesień, bezinteresowny, hojny, wspaniałomyślny aż do marnotrawstwa, wiernem jest uosobieniem typu narodowego. To tenże sam Francuz, który przedsięwziął niegdyś krucyatę i gruzami pobudowanych przez siebie zameczysk pokrywa dziś Moreę i Palestynę. To ów Francuz, który niegdyś walczył za religię, a potem w przedświcie bieżącego wieku przebiegł zwycięsko Europę! Krew starych Gallów, z przymieszką krwi Franków germańskich, kipiała w żyłach Lamartine'a.

„Uosabia on—dodaje Bourget—jedną stronę geniuszu francuskiego; druga tymczasem strona tegoż geniusza, wprost przeciwna, zapra-

wna sarkastycznym dowcipem, uosobiona w Rabelais'ie, w Lafontaine'ie i Wolterze, zaćmiła oczy współczesnym i nie dozwoliła im zrozumieć Lamartine'a."

Zwrot dzisiejszy do zaniedbanego poety wyjaśnia Bourget, głęboki psycholog, nowym prądem, jaki powiał na społeczeństwo francuskie. „Z pomiędzy wielkich poetów tego wieku—mówi on—Lamartine sam jeden zajmował się stale sprawami religii, a ktokolwiek pilnie bada życie w obecnej chwili, ten wie, jak przeważnie zapanowała w niem myśl religijna. Przebywszy kryzys gorączki ściśle naukowej, wiek nasz kończy się, jak rozpoczął, pragnieniem wielkiej nadziei. Zoznanie uczonych mężów, że są tajemnice, których rozum ludzki przeniknąć nie zdoła, obudziło w młodych umysłach potrzebę wiary, skoro wszystkiego wiedzieć nie mogą. Stąd-to Lamartine, niezrozumiany przez pozytywistów przed laty czterdziestu, tak porusza dziś młode pokolenie, stęsknione za wyższym ideałem.

„Różne powody składały się na to przyćmienie aureoli nad czołem wieszczki narodowego. Pamiętajmy, że Lamartine był mężem stanu, że piastował najwyższą władzę w rzeczypospolitej, i to w czasach buziwliwej walki rozprzężonych żywiołów; pamiętajmy, że ostatnie lata przeżył w niedostatku, obarczony długami. Wówczas-to słabości poety: próżność, chęć pozowania, nieogłędność, wywołały chłostę przeciwników; szyderstwa i obelgi sypnęły się gradem na siwą jego głowę. Dodajmy do tego nagły zwrot do pozytywizmu w umysłach i literaturze francuskiej. Błyszczący, ale rozpasany, Alfred Musset, cyniczny Beaudelaire, autor „Kwiatów złego," Leconte de Lisle, apologeta buddyzmu. że pominiemy tylu innych, porwali za sobą umysły młodego pokolenia. Wiktor Hugo, silnie przyrosły do ziemi, oparł się tej powodzi; Lamartine, przygnębiiony nieco, dogorywał samotnie. Dziś uderzyła go dzina zadosyćczynienia. Gwiazda Lamartine'a coraz żywszym przyświeca blaskiem!"

Do zbioru wielkich pisarzy francuskich, wydawanego od lat kilku u Hachette'a, przybył nowy tom, dwudziesty szósty z rzędu, z życiorysem Wiktora Hugo, opracowany przez Leopolda Mabillean.

Autor, zagorzały wielbiciel poety, pokazuje znaczenie genialnych utworów jego wobec nowych prądów poetycznych.

„Od dawna już—mówi on—Wiktor Hugo przestał być jedynym koryfuszem umysłów, rozmiłowanych nawet w poezyi. Wówczas, kiedy z wyspy Guernsey rzucał w świat arcydzieła, zawiązała się nowa szkoła, złożona z jego zwolenników i uczniów, która, głosząc go najwyższym kapłanem liryzmu, zamierzała iść wiernie jego śladami.

Uczniowie jednak nie dosięgnęli mistrza; liryczne ich utwory, to jakoby poszmer strumieni wobec grzmiących poryków oceanu.

„Po tych nieudolnych synach przyszli synowie zbuntowani, określani dziś nazwą naturalistów, symbolistów, dekadentów; ci jęli rzucać zniewagi w oblicze ojca. Zagrzebali go w pustej kaplicy, odmawiając mu hołdu. Niewdzięczni przepomnieli, że pochodzą wszyscy od niego. *Parnasiści* (zwolennicy pięknej formy) winni mu objawienie plastycznej wartości wyrazów, *naturaliści* zawdzięczają mu zmysł życia i sposób określania wszelkich manifestacji żywotnych; *symboliści* i *dekadenci* przejęli od niego muzykalną melodyę słowa.“

Montbelteau przebiega olbrzymie prace poety, nazywa go mistrzem pędzla, a szczególnie dłota, podnosi plastyczną stronę jego utworów, ulanych niby z wiecznotrwałego spiżu, lub wykutych z kamienia, nie odmawia mu przecież jaskrawego kolorytu.

Przypomina biograf ostre strzały, jakimi zasypywano twórcę romantyzmu za pierwszym wystąpieniem, przytacza dziwaczne zarzuty Sainte-Beuve'a i innych krytyków ówczesnych.

„Fryzyer Wiktora Hugo—mówi Sainte-Beuve—zapewniał mnie, że broda jego składa się z włosów trzykroć grubszych, niż zwyczajnie; wyszczerbil o nią wszystkie brzytwy. Zęby jego są ostre, jak u wilka, kruszy nimi najtwardsze pestki.“

Teofil Gautier ubolewa znowu, że przedstawiciel furji romantycznej ma jasne włosy, rumianą cerę, lica pełne, nazbyt kwitnące zdrowiem. „Jak—mówi on—świat nie pomieści jego chwały, tak surdut pomieścić nie może jego barek szeroko rozrosłych.“

Ale obok tego żartobliwego wyskoku, Teofil Gautier, gorący wielbiciel mistrza, tak nakreślił obraz jego, idealnem opromieniony światłem: „Czoło Wiktora Hugo, prawdziwie majestatyczne, istny fronton z białego wyciosany marmuru, wieńczy rysy, pełne spokojnej powagi. Najszersze myśli zapisać-by można na tem czole, pomieścić na niem korony ze złota i wawrzynu, jak na czole półboga, lub cezara. Pieczęć potęgi, wyraźnie na niem wyciśnięta: włosy jasno-brunatne spadają w długich zwojach. Nie zapuszcza wąsów ani brody, twarz cała ogolona starannie, błyszczy w niej tylko oczy barwy dzikiej, istne orle zrenice; usta pełne, spuszczone w kątach, silnie zarysowane,—gdy otworzą się do uśmiechu, odkrywają zęby śnieżnej białości.“

Mabilleau, zagorzały apologeta poety, nie tylko że w słonecznej jego chwale nie dopatrywał nigdy zaćmienia, ale i na obliczu widzi wieczną młodość. Do ostatniej chwili, mówi on, widziałem też samo czoło, też same oczy, tenże sam majestat w postawie.

Nie mniejszą przesadą razi apoteoza utworów. W ich usterkach nawet widzi biograf piętno geniuszu, analizuje najsubtelniej każdą

myśl, każde słowo; pokazuje w poecie mistrza pędzla, rzeźbiarza, architekta, filozofa, matematyka, wirtuoza; rozbiera pobudki twórczych natchnień, jakie działały na oko, na ucho, na myśl i uczucie poety, budziły w nim zmysłowe lub psychiczne wrażenia. Weźmy na przykład kolory: czerwony kolor przedstawiał mu krew, lub łunę pożarną, płonący gród, albo anioła, krwawym uzbrojonego mieczem; góra, przysłonięta siną mgłą oddalenia, staje mu w oczach, jak postać biskupa w płaszczu fioletowym; „łąka, to zielony kobierzec: na nim rozsiadły się drzewa, radzą społec, jak dyplomaci.“ Kolor żółty wyobraża mu złoto; suche liście, strącone wiatrem jesiennym, to rozsypane po ziemi luidory; białe wody potoku,—to srebrny galon na liberyi, w jaką oblokła się Helwecya.“

Poprzestajemy na tych cytatach. Książka pana Mabileau obejmuje niekiedy trafne spostrzeżenia, ale całość jej przypomina dyalektykę aleksandryjskich retorów, tak subtelną, że nuży czytelnika i, zamiast rozjaśniać prawdę, przyćmiewa ją zbytekiem wywodów, często paradoksalnych.

Parę miesięcy temu egzekutorowie testamentu Wiktora Hugo wydali ostatni tom poezyi, pozostałych w rękopismach po zmarłym mistrzu. Pozostają jeszcze do wydania listy, objęte, jak głoszą, w trzech tomach.

Tytuł świeżo wydanej księgi „Toute la lyre,“ serya druga, odpowiada rozmaitości zawartych w niej utworów. Zobaczmy, jak tę lirę o siedmiu złotych strunach określa p. Meurice, zajmujący się głównie wydawnictwem.

Pierwsza struna—to ludzkość, ogólny zarys historii, zaznaczony w wielkich faktach i wielkich osobistościach, obraz wielkich boleści ludzkich.

Druga struna—przyroda. Zebrane tu krajobrazy, wrażenia, odebrane pod wpływem różnych miejsc, szkic odbytych podróży.

W *strunie trzeciej* odrzmiwiają ogólne idee, dotyczące filozofii, moralności, polityki. Na czele jej oryginalny poemat „Calcul“—Kartezjusz wytłomaczony tu jest przez Wiktora Hugo: algebra w poezyi, cyfry przedstawione w obrazach.

Czwarta struna poświęcona jest sztuce, poezyi, artystom. Jest w niej pieśń Sylena, naśladowana z Wergilego.

W *piątej strunie* podzwaniają osobiste uczucia poety.

Szosta struna opiewa miłość, na ton nieco sarkastyczny. Poemat pod tytułem „Bluznierstwa Amora“ chłoszcze dotkliwie kobiety.

Siódma struna — fantazyja. Przedstawiona tu w dyalogu scena z życia paryskiego. „Pieśń żeglarza“ cała technie realizmem.

Do tych siedmiu strun dodana jest jeszcze ósma: *struna spiżowa*. Są to bicze satyryczne, miotane na epokę cesarstwa: kończy je *pobudka*, złożona z pięciosylabowych rymów: „Coup de Clairon,“ z roku 1870, grzmiąca, jak huk trąby bojowej.

Z tych poematów najwspanialszy, p. t. „Wizya gór,“ pomieszczony jest na czele. Poeta widzi góry najslynniejsze w dziejach świata, wychylające się z pomroku: Kaukaz, gdzie jęczał Prometeusz, przykuty żywcem do skały mściwą ręką Jowisza; Arrarat, na którego szczycie zatrzymała się arka, gdy opadły wody potopu; Olimp Homera i Wergilego, rozkoszna siedziba nieśmiertelnych; Synai, gdzie wśród gromów i błyskawic Mojżesz podjął tablice prawa z rąk Jehowy. Obraz Golgoty z krzyżem Zbawiciela zakończy wspaniałe widzenie. Poemat ten miał rozpocząć „Legendę wieków,“ niewiadomo, czemu usunął go poeta.

Opisy podróży, w jakie obfituje bieżąca literatura, mało w ogólności przedstawiają zajęcia. Powodem tego pośpiech i zbyt duża łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Turyści ślizgają się po powierzchni zwiedzanych krajów, radzi jednym rzutem oka ogarnąć je i poznać, nic też dziwnego, że i opisy ich, nie przesiąkłe barwą miejscową, przechodzą bez wrażenia. Inaczej bywało, kiedy podróżnik puszczał się z narażeniem życia na daleką wędrówkę, kiedy co krok napotykał twarde zapory i zwalczał je żelazną wolą, dążąc, bądź-co-bądź, do wytkniętego celu. Stąd też opisy takich wędrowców, jak Marco Polo i Plano Carpino, budziły powszechne zajęcie i budzą je dotychczas.

Do rzędu takich podróżników należy Bertrandon de la Brocquère, szlachcic gaskoński z XV-go wieku. Ciekawą tę postać wydobył z niepamięci uczony orientalista, Scheffer, członek Instytutu Francuskiego, i wydał obszernie jego dzieło p. t. „Podróż za morza,“ dopełniając je licznymi przypisami.

Ów Bertrandon, mało licząc na ojcowiznę, którą odziedziczył brat starszy, opuścił w młodych latach dom rodzinny w okolicy Cominges, udał się na dwór Filipa Dobrego, księcia Burgundyi i Brabantu, margrafa Cesarstwa Rzymskiego. Wkrótce zjednał sobie łaski pańskie, został krajczym nadwornym, a do tego ulubionym doradcą księcia. Życie płynęło mu wesoło i swobodnie, kiedy Filip Dobry, zajęty myślą o nowej krucyacie, wysłał go z poufnym zleceniem za morza. Rozkazał mu zwiedzić w głębokiej tajemnicy ziemie, podległe sultanowi, spr-

wdzić, czy potęga turecka jest tak niezłomna, jak to powszechnie głoszą, oznaczyć na karcie miasta, warowne grody, biegi rzek i strumieni, słowem, wytknąć bezpieczną drogę panom chrześcijańskim, gdyby mieli zamiar przedsięwziąć zdobycie Grecyi.

Dworzanin książęcy otrzymuje ze skarbu wór pełen złota, rozpoczyna wędrówkę w lutym 1482 roku. Przebiega konno Pikardyę, Szampanię, Burgundię i Sabandyę, przedziera się przez ciasne wąwozy góry Cenis. Tu nie śmie odezwać się na głos, aby zdziwiona góra nie sygnęła mu w oczy śniegiem. Zatrzymuje się potem w Turynie, w Placencyi, Bolonii, Florencyi, Spoletto, Rzymie i Rawennie. W Wenecyi wchodzi w układy z właścicielem galery, która odpływa do Ziemi Świętej. Zarzuca swobodnie kotwicę tu i owdzie, a mianowicie w Pola, w Zara, w Rodos i Cyprze. Staje nakoniec w Syrii, modli się na grobie Zbawiciela, poczem kupuje w Damaszku strój turecki, najmuje konie i przewodników, pośpiesza przez Anatolię aż do Brussy. Z powrotem zwiedza Konstantynopol, zatrzymuje się w Andryanopolu, w Sofii i Belgradzie, i przez kraje niemieckie podąża do Francyi.

W ciągu długiej drogi Bertrandon bada wszystko, co mu wpadnie pod oczy: miasta i wioski, lud wiejski i dwory monarsze, rolników osiadłych i hordy koczownicze. Opowiada, co widział, na ton raportu dyplomatycznego i wojskowego; każdą miejscowość określa z topograficzną ścisłością, wojsko może się puścić drogą, przez niego wytkniętą najdokładniej. Wykazuje stan armii sułtańskiej, wartość koni, liczbę żołnierzy gotowych do pochodu. Daje też poznać stronę wadliwą administracyi tureckiej, okrucieństwo obok słabości w rządzeniu zdobytym krajem. Stąd wyprowadza wniosek, że Europa lęka się Turków, bo przesądza ich siłę. Kreśli dla księcia plan ataku bardzo szczegółowy; jako zaporę przeciw powodzi barbarzyństwa azyatyckiego przedstawia troiste przymierze Francyi, Niemiec i Anglii. Nie posłuchano przecież Bertrandona, plany jego utonęły w kancelaryi książęcej.

Oprócz danych statystycznych, podróżnik zapisywał w książeczce drobne przygody wędrówki swojej, odebrane wrażenia i niezliczone anegdoty, ożywiając je wesolym dowcipem. Cieszyło go szczególnie wszelkie przypomnienie dalekiego kraju. W Damaszku spotkał z radością Jana Coeur, zajętego handlem z Arabami. W Angorze Turek zagadnął go przy spotkaniu, czy nie jest z Gevres pod Paryżem. Ów Turek, ujęty w bitwie, osadzony był tam i żałował chwil, przepędzonych w niewoli. Badany przez paszów dworskich, rad im opowiadał Bertrandon cudowne przygody Dziewicy Orleańskiej.

Wesoły Gaskończyk śmieje się z Mameluka, przewodniczącego mu w drodze do Palestyny, który wybierał noclegi w domach chrześcijańskich, aby pić do woli wino i arak. Łatwo przywykł on do kuchni

tureckiej, zanadto jednostajnej, do siodeł tureckich zbyt wysokich, do nazbyt krótkich strzemion. Z pomiędzy miast zachwala szczególnież Kara Hissar, gdyż po długim poście kupił tam w bazarze kilka nóżek baranich, najlepiej zgotowanych, jakie jadł w życiu.

Z gaskońską werwą kreśli on obrazy miejscowe, maluje postać Turków, ich ubiór wschodni, ich zwyczaje. Zobaczmy oto pochód karawany z Mekki do Damaszku:

„Pochód trwał dwa dni i dwie noce. Wśród tysiąca wielbłądów, na jednym, wspaniale przybranym w dyftyki i bławaty, leży księga koranu; otacza ją orszak ludzi, zbrojnych w szable i łuki. Dokoła brzmią bębny i strzały z broni palnej. Dalej, na wielkich dromaderach, suną poważnie hadziry z długą do pasa brodą. W lektyce, obitej złotogłowiem, służba niesie krewną sułtana, zakwieconą Turczynkę.

„W mieście Konieh, bej Karamanii, Ibrahim Oglu, daje posłuchanie ambasadorom króla Cypru. W głębi sali, wielki Karaman, młodzian trzydziestoletni, ubrany w szatę z karmazynowego sukna, siedzi na tureckim dywanie, wsparty o wezgłowie, zahaftowane złotem, rękę trzyma na rękojeści szabli. Obok niego siedzą trzej wezyrowie, a za nim trzydziestu niewolników. Służba wnosi dary Luzyńskiego, króla Cypru: sztuki tkanin szkarłatnych, czterdzieści głów cukru, dwie kusze i sokoła. Karaman nie patrzy nawet na te dary.

„Wchodzą ambasadorowie, oddają pokłon, składają list, kanclerz czyta go na głos; przybyli zasiadają w przyzwoitem oddaleniu. Ibrahim pyta ich przez dragomana, czy król Cypru zdrowy, czy mądrze postępuje, czy poddani zadowoleni z niego. Odpowiadają na to, że król w dobrym zdrowiu, że ojciec jego umarł, a on pragnie zachować stosunek przyjazny z sąsiadem, bejem Karamanii. Ibrahim odpowiada że i on chętny temu; wreszcie na dane hasło ambasadorowie powstają z miejsc, żegnają króla, który nie poruszył się do nich.“

Ciekawszy jeszcze jest opis przyjęcia poselstwa księcia Medyolanu, wasala Rzeczypospolitej Genueskiej, w Adrianopolu, przez samego sułtana Murada. Bertrandon wdaje się w drobne szczegóły, gdyż sam odbywał podróż z ambasadorem Benedettym, i był świadkiem niezliczonych trudności, jakie go spotykały. Pierwszego dnia w okolicach Adrianopola, gdzie sułtan lubił przejeżdżać się od wsi do wsi, ambasador kazał zapytać się trzech wezyrów i beglerbeya Rumelii, czy może porozumieć się z nimi w ważnej sprawie. Niepodobna!... Paszowie pijani! Na drugi dzień spotkanie z wezyrami i beglerbeyem. Ambasador składa im dary, bez tego bowiem niepodobny jest do nich występ. Trzeba też opłacać się hojnie stojącym u drzwi niewolnikom. Trzeciego dnia posłuchanie. Paszowie posyłają po ambasadora. Ten konno, otoczony wspaniałym orszakiem, pośpiesza do sułtańskiej rezy-

dencyi. Tym czeka, rychło sultan przestąpi *portę* swej komnaty. Zasadzają ambasadora przy tej *wysokiej porcie*.

Otóż i Murad: krótki, gruby, twarz ma szeroką, nos zakłęsły, oczy małe, policzki wypukłe, brodę okrągłą. Na sukni z czerwonego atlasu nosi kaftan atlasowy zielony, w kwiaty, podbity futrem sobolowem. Chodzi prędko, za nim postępuje karzel i dwóch chłopców z haremu. Zasiada, jak krawiec przy robocie, na estradzie, złożonej z czterech lub pięciu stopni. Przystępują interesanci: ban bośniacki błaga pomocy Turków, w celu odzyskania tronu Bośni, do którego, jak mówi, ma prawo. Potem ambasador przystępuje do estrady sultana, oddaje niski pokłon. Sultan powstaje, pyta, jak się ma dobry jego brat, książe Medyolanu. Tłómacz, Żyd, powtarza pytania i odpowiedzi; niema w nich nic o sprawach poselstwa; etykieta wymaga tego. Ambasador zajmuje miejsce obok Bośniaka; zastawiają wreszcie w miseczkach żelaznych pilaw i baraninę. Sultan kosztuje pierwszy.

Czwartego dnia urzędnicy tureccy przychodzą do ambasadora po przyrzeczoną kwotę, piątego dnia wzywają go do sultana; nim przybył do pałacu, Murad odjechał. Benedetti przedstawia prośbę paszom, ci obiecują powtórzyć ją monarsze. W dziesięć dni potem sultan przesyła pokłon księciu Medyolanu, co do żądań, uważa je za całkiem niedorzeczne.

Ambasador otrzymuje w darze suknię karmazynową, podbitą żółtym atlasem, 6,000 asprów złotych i tyleż srebrnych,—z tych skarbnik odliczył dla siebie dziesiąty procent.

W Skutari dziwna przygoda spotkała Bertranda. Grecy, których napotkał, wzięli go za Turka i szczególnie okazywali mu względy. Dowiedziawszy się, że jest chrześcianinem, zagrozili mu chłostą, by wymódz na nim znaczny okup. Już wydobył z pochwy szablę damasceńską, gdy szewc, Genuńczyk, przybiegł mu w pomoc i uwolnił go od napaści.

Za przybyciem do Carogrodu, podróżnik zwątpił całkiem o przyszłości Byzanckiego państwa. Najsmutniejszy obraz kreśli w notatkach, przy grobowcu Konstantyna Wielkiego. Pomnik konny Justyniana stoi jeszcze na piedestale o parę kroków od przybytku św. Zofii. Cesarz wyciąga spiżową prawicę ku Azji, z uczuciem potęgi monarszej. Jeszcze patriarcha celebryje w cesarskiej bazylice. Jan II Paleolog nosi jeszcze płaszcz purpurowy, koronę i tytuł cesarza rzymskiego; przed oczyma Bertranda przesuwają się cesarzowa Marya z Komnenów, pomalowana jak bożyszcze, błyszcząca od złota i drogich kamieni; ale o kilka mil od nowego Rzymu, cesarstwo nie jest czem innym, jak polem harców wojennych dla hordy Osmanlisów. Wkoło Bosforu i Hellespontu kościoły i monasteria rozsypują się w stosy zwalisk. Dalej

liczne kantory łacińskie tworzą różnobarwną szachownicę. W Focci podesta genuński, w Negreponcie i Kandyi patrycyusze weneccy, w Zante Neapolitańczyk, hrabia Cefalonii. Rzeczpospolita Raguzy eksploatuje kopalnie serbskie. Tylko autokrata carogrodzki nie jest już panem w pałacu własnym, opłaca haracz Muradowi. Kadi wymierza sprawiedliwość w trybunale cezara. Islam wdarł się wszystkimi szczelinami w popękana budowę rzymską. W chrześcijaństwie rozłam: napróżno Paleolog zanosí skargi do soborów, nikt na zachodzie nie myśli na seryo o połączeniu dwóch kościołów, ani o wsparciu Carogrodu. Bizancyum skazane na zatrąte!

Nie zdziwił się zapewne Bertrandon de la Brocquère, kiedy we dwadzieścia lat później doszła go wieść o zwycięstwie Mohameda II, najłatwiej dokonaniem ze wszystkich pogromów ottomańskich.

Psychologia kobiety stała się dziś przedmiotem głębokich badań. Myśliciele różnych krajów pilnie je podejmują. Między innymi czytamy rozprawę włoskiego autora, Cezara Lombroso, tylko co wydaną w języku francuskim. Nie mamy zamiaru wdawać się w krytyczne jej ocenienie, poprzestaniemy na prostem zdaniu sprawy z owych psychologicznych dowodzeń.

Jako punkt wyjścia, autor określa granicę pomiędzy geniuszem a talentem; kobietom nie odmawia wysokiego nawet talentu, ale odmawia całkiem genialnych zdolności, zaznacza jednak wyjątki. W takim razie, jak mówi, kobieta przestaje być kobietą. Geniusz u niej łączy się zawsze z organicznem zбочeniem. Wszystkie niemal kobiety, zajmujące wysokie miejsce w literaturze lub sztuce, nosiły zawsze męskie piętno nie tylko w utworach swoich, ale i w zewnętrznej postaci.

Słynna autorka angielska, znana pod pseudonimem Jerzego Eliota, wyglądała zupełnie na szpetnego mężczyznę. Miała głowę ogromną, włosy najeżone bezładnie, wielki nos, wargi grube, ocienione wąsami, szczęki wystające, twarz długą, prawie końską. Do zбочeń jej należała niesłychana bojaźliwość, szczególnie podczas nocy. Szalenie zakochana w mężu, panu Lewis, wkrótce po jego śmierci, mając lat sześćdziesiąt, zaślubiła młodzieńca, który mógł być jej wnukiem.

Pani Dudevant (Georges Sand) przez długi czas ubierała się po męsku. Głos jej gruby nie miał w sobie nic kobiecego. Pani de Staël miała zarówno postać męską. Wszystkie niemal genialne Angielki i Amerykanki, głośnie w ostatnich czasach, odznaczały się szczeką niższą silnie wystającą. Do takich typów należą dwie słynne artystki dramatyczne: Sarah Bernard i Eleonora Duse. Charakter ich pisma

jest całkiem męski. Obok tych męskich cech, szczególna skłonność do newrozy.

Autor bada przyczynę tej różnicy psychicznej między mężczyzną a kobietą. Nie widzi jej w warunkach życia społecznego, ani w odmiennem wychowaniu, ani w zaporach, napotykanym po drodze. Na-przód, mówi on, brak wykształcenia umysłowego nie jest tak ogólnym, jak to niektórzy utrzymują. W różnych epokach historycznych ko-bieta pobierała wyższe nauki; w XVIII-ym wieku panie z arystokracji francuskiej uczęszczały pilnie na wykłady Lavoisier'a i Cuvier'a, mimo to umysł niewieści nie podniósł się do zakreszenia nowych praw w obrę-bie naukowym.

Toż samo widzimy w sztukach pięknych. Na stu mężczyzn, ty-siące kobiet oddają się muzyce, a jednak nie mamy wpośród kobiet wielkich geniuszów muzycznych, mimo, że na tej drodze żadnej nie spotykają zapory. W Ameryce północnej liczba malarek przechodzi nieskończenie liczbę malarzy. Doktoryzowanych lekarek liczą tam do trzech tysięcy. Statystyka z roku 1889 wykazuje w samej Francyi około stu tysięcy nauczycieli i nauczycielek, w równym niemal stosun-ku, otóż, oprócz Rozy Bonheur w malarstwie i kilku imion w medycy-nie i pedagogii, nie widzimy nigdzie śladu pierwszorzędných geniuszów niewieści.

Przechodzi wreszcie autor w dziedzinę polityki, pokazuje nieza-przeczoną siłę kobiet, które w różnych czasach trzymały wodze rządu. Wymienia Pulcheryę, dwie Medyceuszki, Katarzynę i Maryę, cesarzo-wą Maryę Teresę i inne. Przytacza zdanie Johna Stuarta Milla, że kiedy w któremkolwiek z państw indyjskich widzimy rząd czujny i po-tężny, można obliczyć trzy razy na cztery, że jest mieda w niem ko-bieta. Ale wiadomo i to, że gdziekolwiek kobiety panują, sprawami kierują mężczyźni. Zresztą do rządzenia ludem nie potrzeba koniecz-nie geniuszu. Znajomość świata, pewien takt i przebiegłość wystarczą zupełnie w polityce. Dary te w wysokim stopniu posiadają kobiety.

Autor kończy studyum swoje uznaniem wysokich zalet niewie-ści. W polityce przyznaje kobiecie zmysł instynktowy, w nauczaniu wysoką zdolność pedagogiczną. „Wyższa—mówi on—od mężczyzny wdziękiem i smakiem wrodzonym, umie stworzyć wokół siebie niejaki świat niewieści (mundus muliebris), panuje w nim wszechwładnie. Brak jej geniuszu, to prawda, ale talentem dorównywa mężczyźnie, często-króć go nawet przewyższa. Odznacza się w dziełach przemysłu arty-stycznego i w sztuce dramatycznej. Ilekroć idzie nie o tworzenie, lecz o zastosowanie idei cudzych, kobieta jest nieporównaną. To samo wi-dzimy w rozpowszechnianiu wielkich pomysłów naukowych i społecz-nych. Dodajmy i to, że kobieta odznacza się szczególnie w rodzaju

literatury, w którym oryginalność idei nie jest konieczną; stąd pochodzi talent jej w pisanu pamiętników i korespondencji.“

Wśród licznych dzieł, poświęconych sztukom pięknym, na szczególną uwagę zasługuje wychodząca od lat kilku zbiorowa publikacya pod tytułem „Les Artistes célèbres.“ Wyszło dotąd około pięćdziesięciu zeszytów rozmaitej objętości; każdy zawiera życiorys i reprodukcye prac jednego ze słynnych koryfuszów, ktorzy w historii sztuki wycisnęli niezatarty ślad swego przejsia. Kalejdoskop ten składają artyści różnych wieków i różnej narodowości. Opracowaniem tekstu i wyborem ilustracyi zajmują się profesorowie sztuk pięknych, członkowie Instytutu, jak Normand, Michel i inni estetycy.

Z tych pięćdziesięciu zeszytów wybieramy dziś dwa, z tekstem p. l'Homme, a to z powodu, że zgromadzone prace obu artystów, którym poświęcone te studia, wystawione były w tym roku na widok publiczny i najżywsze obudziły zajęcie. Jeden z nich, Mikołaj Charlet, malarz, rysownik i litograf, drugi Dyonizy Raffet, obaj zasłynęli w pierwszej połowie tego wieku. Tak Charlet, jak Raffet, ożywieni są równym zapałem; dla bohaterskiej epoki, która wykarmiła pierwszą ich młodość, przyczynili się dzielnie do tryumfu legendy Napolcońskiej za Restauracyi Burbonów i za Monarchii Lipcowej. Rysunki ich, rozpowwszechnione litografią, drgające życiem, rozbiegły się po warsztatach i chatach wiejskich i porywały naród, zarówno jak pieśni Beranger'a.

Później legenda umilkła na czas jakiś, zduszona przez zawziętych przeciwników drugiego cesarstwa. Wówczas-to imiona dwu zmarłych przedwcześnie artystów straciły dawną popularność. Dziś z obudzoną pamięcią bohatera Francyi, Charlet i Raffet nowy zdobyli rozgłos. Jednego i drugiego Paryż postanowił uczcić pomnikiem.

Charlet, urodzony w roku 1792, był synem prostego żołnierza w wojsku rzeczywospolitej. Ojciec poległ, zostawiwszy dziecku za całą spuściznę buty, zużyte w długich pochodach, ale matka nie lękała się pracy. Dzielna ta kobieta, rozmiłowana w cesarstwie, prowadziła syna na każdą paradę wojskową, pokazywała mu bohatera Francyi. Klęski ostatnich lat nie stłumiły wcale jej zapału; miłość tę przekazała synowi. Chłopiec rozwijał się pod troskliwym okiem macierzyńskim, dzięki jej zabiegom, ukończył szkoły, poczem otrzymał małą posiadkę w magistracie. W wolnych chwilach rzucił na papier typowe postacie wiarusów. W r. 1814, kiedy sprzymierzone armie szły na Paryż, młodzian pochwycił za oręż i dzielny stawiał im opór. Nie przebaczone mu tego za Restauracyi, wydalony ze służby, nie mógł do niej powrócić!

Odtąd Charlet z całym zapalem poświęcił się rysunkom, a szczególnie litografii. Setkami szkiców, to rozrzuconych po pismach, to luźnie wydawanych, przypominał Francji dawną chwałę. Ogół karmił się niemi, zarówno jak piosenkami Beranger'a. Tak jedne, jak drugie, zapalały umysły i przyczyniły się nie mało do rewolucyi lipcowej.

Ale i nowy zwrot rzeczy nie długo zadawalnia Charlet'a. Mnóstwem karykatur chłoszcze on spanoszone mieszczaństwo: bankierów, adwokatów, biurokracyę, słowem, to wszystko, na czem opierają się rządy Ludwika Filipa. Zagrożony już chorobą piersiową, około roku 1840 wydaje Album p. t. „Życie cywilne i militarne kaprala Walentego,“ złożone z pięćdziesięciu tablic, zaprawnych dowcipem sarkastycznym. W rok potem zabrał się do ilustrowania pamiętnika z wyspy św. Heleny. Czując słabnące siły, pośpieszał gorączkowo z pracą. W ciągu roku wykonał pięćset rycin.

Zagorzały wielbiciel cesarza, więcej niż ktokolwiek inny przyczynił się do spopularyzowania jego legendowej postaci. Ukazuje go w rozmaitych chwilach, to jako naczelnego wodza armii włoskiej, to w biwakach wśród żołnierzy, to pod Jena, spoczywającego w cieniu drzew, to na białym, rozpląsanym koniu. Liczba tych wizerunków niesłychana. Na każdym niemal szkicu, czy zblizka, czy w perspektywie, ukazuje się Napoleon, skreślony w kilku rzutach, a zawsze uderzający podobieństwem.

Nieprzeblagany sędzia wad i słabości ludzkich, Charlet był w gruncie najzacniejszym człowiekiem; kochał gorąco żonę, zajmował się troskliwie dziećmi, sam uczył ich pacierza. Zachował w duszy głęboką wiarę religijną, czem różni się od Beranger'a i od wielu współczesnych.

W listach przytoczonych znajdujemy jeden do młodej żony z roku 1824-go. „Dziwne—pisze on—przeznaczenie moje. Rok temu wdzierałem się na szczyt Pirenejów. Oprócz starej matki, nie mnie nie wiązało do świata. Byłem dziki i szorstki, jak te skały piętrzące się przede mną, jak te orły, co słały gniazda w ich rozpadlinach. Ludzie obrzydli mi, ze wstrętem patrzałem na ich chciwość i okrucieństwo. Wkoło siebie widziałem tylko nieszczęśliwych, których wspierać nie było w mocy mojej, lub też nieużytych bogaczy, godnych najwyższej pogardy. Słowem, droga moja, skłóciłem się z całym rodzajem ludzkim.

„Zszedłem z gór, zbliżyłem się do ciebie, odkryłem piękną duszę, umiałem ją pozyskać. Odtąd żyję, pogodzony z ludzkim rodzajem, żądam tylko od niego, aby nie mącił szczęścia mej ukochanej.“

Trzydzieści lat ubiegło małżonkom w tej niezmaconej zgodzie. Charlet umarł w 1845 roku; miał lat pięćdziesiąt parę. Skonał przy pracy: nagle ołówek wypadł mu z ręki, na oczy padła zasłona. Po-

chwycił wtedy rękę żony i syna. „Żegnajcie mi—wyrzekł z poddaniem.—Umieram, nie mogę już pracować.“ W chwilę potem żona zamknęła mu powieki.

Drogą, otwartą przez Charlet'a, poszedł młodszy o dwanaście lat Raffet. Rozpoczął on zawód w czasach zbudzonej legendy Napoleońskiej; przyczynił się dzielnie do jej rozkwitu. Zdaniem znawców, przerósł on Charlet'a, jego litografie doskonalszem odznaczają się wykonaniem, widnokrąg jego jest szerszy; mimo to, nie pozyskał równej wziętości między ludem. Podczas gdy Charlet chwycił żywe typy wiarusów, Raffet ukazywał ich w akcyi, zapalonych bojowym szałem, w obrazach jego wszystko drga, wszystko porusza się i kipi. Konie pędzą z rozwianemi grzywami, żołnierze biegną na oślep do ataku, sztandary kołyszą się na wietrze.

W ilustracyach do historii Napoleona przez Norvins'a, złożonych z trzystu pięćdziesięciu litografii, przedstawił Raffet całą epopeję Napoleońską. Widzimy tu naprzód Bonapartego, jako porucznika artylerii, w początkach wojskowego zawodu. Bohater rośnie w oczach naszych, z czoła jego coraz jaśniejsza wytryska aureola. Tu, jako naczelny wódz armii włoskiej, dowodzi pod Lodi i na moście Arkolu; dalej, odziany burnusem, kroczy na dromaderze przez piaski Syryi. Następnie, w blasku słonecznej chwały, ukazuje się jako tryumfator na polach Austerlitzu, Jena i Wagram. Smutne chwile, gdy słońce przyćmiło się nad głową bohatera, z równą oddane są miłością. Wymowny obraz ukazuje nam cesarza, otoczonego garstką grenadyerów w czasach ostatnich wysień. Deszcz leje potokiem, na niebie kłębią się czarne chmury; cesarz dosiada konia zadumany, z głową na piersi pochyloną; wiarusy brną po kolana w błocie, znużeni, sarkają może w duchu, ale idą, gdzie on ich poprowadził. Dwudziestoletnią epopeję zakończy pożegnanie z wojskiem w Fontainebleau, chwilowy tryumf po powrocie z Elby i klęska pod Waterloo — wszystko to oddane jest po mistrzowsku.

Oprócz ilustracji do historii Norvins'a, Thiers'a i innych pomnikowych dzieł, poświęconych cesarstwu, Raffet pomiędzy 1834 a 1837 r. wydał kilka albumów, dopełniających bohaterską epopeję; są w nich prawdziwe arcydzieła, do rzędu tych należy obraz p. t. „Revue nocturne,“ pełny niezrównanej fantazyi. Artysta pokazuje szeroką przestrzeń, oświeconą srebrnym blaskiem księżyca, i Napoleona, przeglądającego po-za światem wierne swoje szeregi. Cesarz, na białym koniu, stoi w pośrodku sceny, przed nim galopują trębacze, dzwonią pobudkę; po bokach stara gwardya, ustawiona w kara-bataliony—dalej

defluje pułk konnych kirasyerów. Pod mglistą osłoną rysują się trupie oblicza, z włosom rozwianym, niby trawa cmentarna, w kaskach, przerosłych wilgocią i pleśnią grobową.

Koroną prac Raffet'a jest niewątpliwie epopeja Napoleńska; tu artysta rozwinął oryginalną twórczość. Słusznie powiedziano o nim, że umiał połączyć prawdę z poezją, jak czynili wszyscy znakomici mistrze. Nie poświęcał on prawdy dla ideału, lecz technieniem poetycznym podnosił rzeczywistość. Kiedy rysował typy żołnierzy, czynił to z najściślejszym realizmem, nie przepomniawszy najdrobniejszych szczegółów w ich ubraniu i uzbrojeniu; ale kiedy tych wiarusów ukazał w śpiesznym pochodzie, lub w krwawem starciu na polu bitwy, przedstawiał ich w blasku prawdziwie poetycznym.

Pomijamy inne znakomite prace Raffet'a: ilustracje z wojny algierskiej i włoskiej, typy, zebrane w dziesięcioletnich podróżach po Europie, od Pirenejów do Bosforu i Kaukazu. Podczas tych artystycznych wędrówek zebrał niezliczoną moc typów, w Węgrzech, Małorossyi i krajach naddunajskich; pozostawił do tysiąca ośmset litografii, rozrzuconych dziś po różnych muzeach europejskich. Wielka ich część zgromadzona tego roku w Paryżu na wystawie, poświęconej wyłącznie jego pracom. Umarł w pełni lat, w całej sile twórczego geniuszu, wyzerpany zbyt wczesnym wysileniem.

Jedną z cech kończącego się wieku jest zbudzona u Francuzów *chęć* przenoszenia się z miejsca na miejsce. Przed laty trzydziestu mało kto z Paryżanów opuszczał latem miasto. Lasek Bułoński wystarczał im do zaczerpnięcia w niedzielę powietrza na cały tydzień. Ogrody i skwery starczyły na codzienną przechadzkę. Stąd geografo-
wie tylko i urzędowi statystyci znali dalsze od stolicy prowincye, ogół ledwie że o nich słyszał. Dziś wszystko się zmieniło. Paryż, przepę-
niony półtrzeciamilionową ludnością, potrzebuje raz po raz ukrzepić
płuca ożywczem technieniem gór lub oceanu, a sieć linii żelaznych ułat-
wia to zbliżenie.

Ów zwyczaj corocznych wycieczek w różne strony kraju stworzył cały dział literatury. Niepodobna zliczyć wszystkich miejsc opisów, jakie się corocznie ukazują. Do najpożyteczniejszych należą popularne książeczki naszego ziomka, pana Konstantego Chmielińskiego, wydawane pod pseudonimem Constant de Tours, pod firmą Quantin. Śliczne to albumiki, z okładką ozdobną, ilustrowane setkami fotografii, w których objęte są wszystkie miejscowe osobliwości i krajobrazy, pomniki, okazy etnograficzne, sceny z życia ludu, malownicze stroje mieszkań-
ców, ich zwyczaje, pielgrzymki i zabawy.

Do siedmiu takich albumików, oprowadzających po wybrzeżach Normandyi, Pikardyi, Bretanii, przybył dziś ósmy pod tytułem: „Dwadzieścia dni nad oceanem.“ Obejmuje on przestrzeń pomiędzy Loarą a Girondą, od Nantes do Rochelle. Wybrzeża te, wolne zarówno od wichrów północnych, jak i od skwarów południowych, ściągają dziś liczne tłumy, do czego przyczynia się dziwnie piękna miejscowość. Sam oto zakład kąpielowy w Royan sprowadza rocznie sto tysięcy turystów. Stąd nazwano Royan wielko-światową stolicą Atlantyku.

Inny albumik, świeżo też wydany pod kierunkiem pana Chmielińskiego, nosi tytuł „Dwadzieścia dni w Tunisie.“ Tu mamy przed sobą świat całkiem odrębny od naszego, gdzie pod cieniem palm wyglądają z ziemi zabytki odwiecznych cywilizacji: fenickiej, greckiej, rzymskiej i maurytańskiej. Kraj to równie malowniczy, jak pełen historycznych pamiątek, deptany niegdyś stopami Dydony, Hannibala i dwóch Scypionów. Tu skonał Ludwik święty w powrocie z Palestyny. Tu kardynał Lavigeries nową rozpoczął krucyatę. Wszystkie te wspomnienia, zarówno jak reprodukcye pomników, znajdujemy w albumiku pana Chmielińskiego; zalecamy go tym nawet, którym niepodobna zwiedzić wybrzeży tunezyjskich.

Symbioza w świecie roślinnym.

I.

Porosty, budowa ich i życie.

Któżby nie znał tych ciekawych istot roślinnych, które botanik nazwał porostami? Wszędzie się z nimi można spotkać i łatwo je dostrzedz, bo często zdaleka zwracają uwagę fantastycznością kształtów, żywymi barwami lub niedogodnym siedliskiem, jakie sobie na mieszkanie obrały. Stałe siedziby porostów sięgają daleko na północ, w podbiegunowe strefy, gdzie urągają twardem swem życiem śniegom i mrozom skrzypiącym. Rozpalone żarem słonecznym skały, glazy i piasek pustyni lub stepów okolic południowych, od których wydzielakone rośliny stronią, z wdzięcznością przyjmują te wytrwałe istoty i pozwalają im osiedlać się i bujnie rozrastać na swej powierzchni. Wędrowiec po wyniosłych szczytach znajdzie je na najtwardszych granitach nawet tam, gdzie ostry klimat i brak grubszej warstwy ziemi urodzajnej tamują rozwój innych roślin. Cienisty las daje im dogodniejsze schronisko na zielonem poszyciu wśród mchów, widłaków i paproci. Na pniach i gałęziach drzew wznoszą się wysoko po-nad powierzchnię ziemi. Słowem wszędzie, gdzie brak wygody, gdzie trudno walczyć o byt, gdzie rozdzielakone w postępowym rozwoju wyższe rośliny z większymi wymaganiami nie mogą się utrzymać, tam porost się pojawia, żyje, mnoży i wielkimi platanami powierzchnię zaściela.

Spojrzymy na stare płoty lub budowle. Powita nas tam z pewnością jeden z przedstawicieli porostów, dobrze znajomy, rzucając nam w oczy swe pomarańczowo-żółte płaty, mocno trzymające się powierzchni drzewa, czy muru. To pospolita tarczownica ścienna (*phlyscia parietina*). Znajdziemy ją łatwo także na pniach i gałęziach drzew. Na nagich powierzchniach stromych skał wapiennych rozwija się w czerwone, jakby pędzlem pomalowane, wianuszki, bliska jej krewna, *phlyscia cirrochroa*, darząc nas widokiem, przypominającym zaróżowione po brzegach od zachodzącego słońca pierzaste obłoczki na nieba lazurze.

Przyjrzyjmy się bliżej tej tarczownicy. Napróżno szukali-byśmy na niej tych różnych organów, jakie przywykliśmy widzieć u wyższych roślin. Znać tylko wzniesiono nieco jakby miseczki, ukrywające narządy rozrodcze. Niema tu odróżniających się kształtami i wewnętrzną budową łodyg, liści i korzeni. Roślina to o prostszym ustroju, której całe ciało nazywa botanika prostopu plechą. Tarczownice mają plechę płaską, tu odstającą, tam przyczepioną do podścieliska. Jest to plecha, podobna kształtem zewnętrznym do łuszczyk lub blaszek, i dlatego porosty, w ten sposób rozwijające się, nazywamy blaszkowatymi. Do grupy takich samych wedle kształtów porostów należy stała mieszkanka cienistych lasów, pawężnica (*pelligera canina*), niegdyś jako lek niezawodny na wściekłą sławiona. Zielona jej blaszkowata plecha, lekko skędzierzawiona, z odwiniętymi brzegami o brunatnej barwie, pełza wśród tła z mchów zielonych.

Są gatunki porostów, które jeszcze ściślej się łączą ze swym gościnnym podścieliskiem. Zamiast tworzyć odstające tu i owdzie blaszki, łatwo dające się oderwać, plecha tak silnie zrasta się z ziemią, korą drzewną lub powierzchnią skały, że niepodobna jej oddzielić bez uszkodzenia. W ten sposób rosną porosty skorupiaste. Żywe ich barwy często przystrajają wzorzystym rysunkiem nagie powierzchnie skalistych głazów. Na prostopadłej twardej ścianie, na której drobne ziarnko ziemi utrzymać się nie może, zajmują wielkie powierzchnie. Najchętniej osiedlają się tam w miejscach, które w porze dżdżystej spływają drobnutkie żyłki wodne, niby strumyczki, ożywiające wytrzymałe na susze plechy porostów. Tworzą wtedy ciemne smugi i plamy, jakby z rozlanych i spływających farb. W najmniejszej szczelince, która w młodym wieku jako tako je chroni przed nieprzyjaznymi wpływami atmosfery, porost wnet się pojawia i z zajętego gniazda we wszystkich kierunkach na większe powierzchnie się rozchodzi. W porach nadwie-trzałego głazu lub butwiejących tkanek drzewnych plecha tak się nie-raz ukryć potrafi, że obecność swą zdradza tylko zmianą barwy, czy też mało wznoszącymi się po-nad powierzchnię narzędziami rozmnażania. Na pniach i gałęziach drzew o gładkiej korze, osobliwie bukach, można

z zajęciem wpatrywać się w liczne drobne zygzaczkę, tworzące jakby hieroglificzne czarne napisy. To owoc pracy Literaków (*graphis scripta*, *elegans* i t. d.), porostów o podkorowej plesze, które w okresie owocowania w postaci niby liter na powierzchnię się przebijają.

Do skorupiastych porostów należą także bardzo ciekawe i użyteczne nawet porosty mannowe (*Lecanora esculenta*, *Xesertorum* i *Jussufii*). Pustynia, piekąca żarem i posuchą, jest ich ziemią ojczyzną. Puste piaski i żwiry południowo-zachodniej Azji w stepach Kirgiskich, Persyi, Mezopotanii i t. d. pokrywają te porosty na olbrzymich obszarach. W górach sięgają wysokich szczytów. Na wyżynach anatoljskiego Taurusu pełno ich jeszcze na wysokości 2,700 metrów. Pojawiają się i w południowo-wschodniej Europie, a sięgają aż na algierskie pogranicze Sahary.

Porosty mannowe najchętniej żyją na drobnych, luźno leżących kamyczkach wapiennych, tworząc na ich powierzchni grube, pomarszczone, brodawkowate skorupki. Barwę mają z wierzchu szaro-żółtą. Wewnątrz są białe, jak przełamane ziarno mączystej pszenicy. Starsze plechy pękają i odrywają się od kamiennego podścieliska. Zrazu zaczynają brzegi przyginać się ku wewnątrz. Zawijanie wciąż postępuje, aż wreszcie powstaje mały, elipsoidalny orzeszek o chropowatej powierzchni. Jako puste w środku, odznaczają się takie kłębki wielką lekkością. Sto sztuk o wielkości orzecha laskowego waży mniej, niż 35 gramów. Cięższymi są wtedy, gdy przy zwijaniu się kłębków pozostaną w środku w uwięzi małe kamyczki.

Potworzywszy takie orzeszki, gotowe są porosty mannowe do transportu. Gdy spieczoną i wysuszoną ziemię szarpną prądy wietrzne podczas burzy bezdżystej, lekkie kłębki porostu, chwytane siłą wiatru, lecą w szybkim biegu i po dłuższej wędrówce spadają na powierzchnię ziemi gromadnie w miejscach, gdzie naturalne przeszkody łagodzą gwałtowność unoszącego prądu. W okresach obficie spadających deszczów niesie je znowu i składa w zagłębionych miejscach woda opadów atmosferycznych, spływająca po powierzchni w postaci licznych strumyków. Porosty, naniesione w wielkich masach przez wiatry lub wodę, pojawiają się nagle po burzy powietrznej lub wielkich deszczach w grubych warstwach tam, gdzie ich przedtem wcale nie widziano. Kłębki leżą luźno, nigdzie nie są przyczepione, więc je prostacza ludność uważa za deszcz mannowy, z nieba zesłany, i zbiera w często przychodzących latach głodowych, by po zmieleniu wypiekać z nich niesmaczny chleb. Pokrywają często ziemię tak obficie, że jeden człowiek może łatwo nazbierać w ciągu dnia do 20 tysięcy kłębuszków, ważących dziesięć i więcej funtów.

Co kilka lat takie deszcze mannowe pojawiają się obficie i wówczas słuchy o nich dochodzą do cywilizowanej Europy. Zbyteczną tu chyba jest uwaga, że ową mannę biblijną, która żywiła na puszczy Żydów, wędrujących z Egiptu do Ziemi Obiecanej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, tworzyły zeschnięte porosty, naniesione przez wiatry lub deszcze. To przypuszczenie samo się w myśli nasuwa.

W blizkiem pokrewieństwie, ze względu na kształty zewnętrzne, są z porostami mannownymi porosty *Lecanora tartarea* i *porella*, z których głównie wydobywają bardzo użyteczny dla chemii barwik, zwany lakmusem. Rozpuszczony w czystej wodzie lakmus ma barwę fioletową. Najmniejsza ilość dodanego kwasu zmienia barwę na czerwoną, a zasadowego ciała na niebieską. Zmiana barw jest nadzwyczajnie wyraźną i odznacza się wielką czułością, to też ten barwik bywa najczęściej używany w celu wykrycia w roztworach kwaśnej lub alkalicznej reakcji. Z tychże samych porostów, najobficie na wysepkach zachodniego wybrzeża Afryki żyjących, wyrabiają barwik czerwony, zwany orseliną lub purpurą francuską. Niegdyś miała orselina wielkie zastosowanie w farbiarstwie,—obecnie ją anilinowe farby rugują coraz więcej z użycia.

Zupełnie odmienną formą rozwojową odznaczają się porosty, zwane krzaczkowatymi. Gdy porosty blaszkowate lub skorupiaste roztańczają stosunkowo cienką plechę na wielkich powierzchniach, porosty krzaczkowate tworzą jakby bezlistne krzewy, czepiające się jednym końcem ziemi lub skały, a wznoszące w górę liczne rozgałęzienia.

Do grupy krzaczkowatych porostów należy *Rocella tinctoria*, zbierana także do fabrykacji lakmusu i orseliny, jak również pospolite w lasach lub na skałach chrobotki. Z pośród licznych gatunków chrobotków zasługuje na wspomnienie, ze względu na swą wielką użyteczność, Chrobotek reniferowy (*Cladonia rangiferina*), mieszkaniec zimnych krajów północy, stanowiący często wyłączne pożywienie reniferów. Szare, w kształcie koralu, mocno rozgałęzione krzaczki tego porostu, żyją nawet pod śniegiem, skąd je renifery umieją nogami odgrzebywać. Inne gatunki chrobotków ubierają ziemię w cienistych lasach swemi różnobarwnymi jakby kielichami, podnoszącemi się z łuskowatej plechy. Z gałęzi znowu drzew, osobliwie na większych wysokościach rosnących, zwieszają się w fantastycznych kształtach szaro-zielonawe, krzaczkowate porosty, zwane Brodaczką lub Kozią bródką (*Usnea barbata*).

Ze względu na zewnętrzne cechy można zaliczyć jeszcze do oddzielnej czwartej grupy porosty trzęsidłowate. Rosną one na ziemi lub skałach w formie ciemno-zielonych lub prawie czarnych skupień, o galaretowatej konsystencji.

Ale dosyć już tego wyliczania i opisu gatunków. Chcieliśmy tu tylko zwrócić uwagę na charakterystyczne różnice główne w zewnętrznych formach porostów. Drobiazgowych różnic istnieją legiony; na ich podstawie zdolano dotąd rozpoznać mnóstwo odrębnych gatunków, których opis może stanowić treść dla obszernego dzieła. Porzućmy więc dziedzinę systematyki botanicznej porostów, tem nudniejszą i zawilską dla niespecjalistów, im więcej się ją zgłębia, a wkroczmy na drogę badań anatomicznych tych ciekawych tworów roślinnych.

Jeżeli mogą porosty zająć i zaciekać już swemi zewnętrznymi kształtami, to tem więcej uderza i obudza zainteresowania wewnętrzną ich budowa. Chcąc się z nią jednak zapoznać, trzeba oko uzbroić w szkła mikroskopowe. Do obserwacji weźmy np. pospolitą na dębach i bukach, zwłaszcza w górzystych lasach—Łatnicę.

Na cienkim skrawku porostu, przez mikroskop oglądanego, oko, nawet niewprawne do badań naukowych, rozpoznaje dwa zupełnie odrębne elementa, które porost składają. Przedewszystkiem różni je od siebie barwa. Jedne, zwykle w warstwie zwierzchniej wyłącznie się znajdujące, są bezbarwnymi jakby nitkami lub włóknami, w różnych kierunkach z sobą spletanymi. Wewnątrz nitek znajduje się warstewka protoplazmy, na zewnątrz odgraniczają ją grube błonki. Im bliżej powierzchni nitki się znajdują, tem grubsze błonki plasną otaczają; tworzą się z nich sploty, stanowiące warstwę powierzchowną, korową, chroniącą delikatniejsze elementa budowy wnętrza. Na stronie spodniej, czyli tej, którą porost do drzewa przylegał, wychodzą z warstwy korowej pojedyncze, drobne niteczki, stanowiące jakby korzonki. W środku zaś, bezbarwną warstwą wokół zamkniętym, spotykamy wśród splotów nitek bezbarwnych małe, okrągłe komórki, które swoją żywą barwą zieloną przypominają liście wyższych roślin. Komórki te pozostają w ścisłym zetknięciu z otaczającymi je w powikłanych splotach nitkami o bezbarwnej treści.

Główne rysy tego obrazu znajdziemy na cienkim przekroju każdego porostu. Różnice odnoszą się tylko do szczegółów wewnętrznej struktury, dwoista jednakże natura elementów składowych wychodzi zawsze na jaw.

U porostów krzaczkowatych o walcowych rozgałęzieniach, np. u zwieszającej się z drzew Brodaczki, gałązki otacza na powierzchni wokół warstwa korowa, powstała ze splotów nitek o zgrubiałych ściankach, ściśle do siebie przylegających. Środek zajmuje rdzeń, utworzony z delikatniejszych strzępeków, w luźniejsze sploty powiązanych. Na granicy pomiędzy cienką warstwą korową, blisko zewnętrznej powierzchni, wśród splotów kryją się drobne, okrągłe komóreczki o barwie zielonej. W porostach krzaczkowatych, o plesze z płaskimi

rozwidleniami, a także i w blaszkowatych, kora ma inną budowę na powierzchni, do światła zwróconej, a inną na powierzchni, odwróconej od słońca. Na ostatniej czasem nawet zupełnie niema wyróżniającej się warstwy korowej. W takich porostach zielone komórki są zawsze umieszczone blisko tej powierzchni, na którą światło pada. Podobnież i u porostów skorupiastych dostrzedz można znaczne różnice w strukturze powierzchni górnej, wystawionej na działanie promieni słonecznych, a dolnej, ściśle przylegającej do podłoża. U tej ostatniej warstwa korowa zwykle jest delikatniejsza, albo jej wcale niema, a zawsze pokryta licznymi drobnymi nitkami, t. zw. *rhizoidami*, czy *rhizinami*, wnioskającymi w substrat, na którym porost rośnie, — w ziemię, korę drzewną lub skałę.

Nie zawsze przecie u porostów można znaleźć wyróżniające się znacznie budową warstwy. U wielu Literaków, w korze drzew żyjących, plechę składają cienkie, luźno splecione nitki, wśród których są rozrzucone barwne, w łańcuszki się łączące, komórki. U niektórych porostów w nitki połączone komórki o zabarwionej zawartości są na powierzchni pokryte, jakby siatką, delikatnymi bezbarwnymi strzępkami. Przypomina taka struktura jakby sznury, na wierzchu cienką warstwę delikatniejszych nici oplecione. U porostów, należących do rodzaju *Theleidium*, na wilgotnej ziemi rosnących, plechę składa delikatny filc z nitek, pod powierzchnią się płaczących. Zielone zaś komórki w pakietkach, otoczonych cienką powłoką strzępków, z pod ziemi wyrastających, leżą na powierzchni ziemi. W trzęsidłowatych znowu porostach główną masę stanowią w nitki połączone barwne komórki o napęczniałych, galaretowatych błonkach, w które wrastają delikatne strzępki w rozmaitych kierunkach. U pewnych tylko rodzajów porostów tej formy przetykające galaretowatą masę nitki formują na powierzchni zewnętrznej jakby warstwę korową.

Splecione strzępki, zwykle znacznej długości, w warstwie korowej bardzo często składają się z krótkich, niekiedy do formy kulistej zbliżonych, ogniów. Zawartość wewnętrzną stanowi protoplazmatyczna substancja bezbarwna; zamykające ją błonki zewnętrzne są albo także bezbarwne, albo też zabarwione barwnikami równomiernie w całej grubości błonki, lub też tylko w pewnej jej warstwie rozdzielonemi. Bardzo często też przybierają różne barwy wskutek obecności drobnitkich ziarneczek inkrustujących, lub też kandydujących ich powierzchnie. Ziarneczka te składają się z t. zw. kwasów porostowych. Nie potrzeba chyba dodawać, że uderzająca oko różnobarwność całych porostów, czy też pewnych części lub delikatnych rysów, w rysunki wzorzyste się wiążących, pochodzi właśnie od obecności tych zabarwień, inkrustacji i kandyzacji błony strzępków.

Komórki, wyróżniające się od strzępków, o bezbarwnych błonach a zabarwionej wewnętrznej zawartości, w rozmaitych porostach mogą się również znacznie odrożniać wielkością, kształtem, a nawet barwą. U Brodaczki są one drobne i okrągłe; nieregularne i w łańcuszki powiązane u Literaka; bardzo drobne, kuliste u *Endocarpon pusillum*. Najpospoliciej plasma jest u nich zabarwiona zielono, tą samą zielenią, która barwi liście wyższych roślin. Niekiedy jednak prócz zieleni (chlorofilu) są inne barwiki, nadające plasmie komórek barwę pomarańczową, sinozieloną, fioletową i t. p. W porostach z komórkami zielono zabarwionymi barwa jest mniej widoczną w poroście suchym, lepiej daleko przebiega w wilgotnym, bo wtedy strzępki warstwy zewnętrznej stają się przezroczystsze. Dlatego - to suchy a wilgotny porost mogą się znacznie różnić zabarwieniem.

Stosunek ilościowy pomotanych strzępków do ukrywających się wśród nich komórek z kolorową plasma bywa również nader zmienny. Pospolicie strzępki przeważają. Są przecie porosty, w których strzępki w stosunkowo mniejszej ilości do budowy plechy wchodzi. Takie znajdziemy mianowicie w grupie porostów galaretowatych, czyli trzęsidłowatych.

Wszędzie jednakże w porostach jedno i drugie elementa znajdziemy. Zawsze też uderzyć nas musi wielkie ich podobieństwo z organizmami roślinnymi, z którymi w przyrodzie na każdym kroku się spotkać można.

Kto raz widział pod mikroskopem jakiegokolwiek grzyby, oraz glony, niegdyś niewłaściwie zwane wodorostami, temu widok powiększonego przez soczewki porostu odrazu przyprowadzi na myśl i jedne, i drugie istoty roślinne. Podobieństwo bowiem splecionych nitek do strzępków tworzących grzybnię grzybów, a barwnych komórek do zielonych glonów jest zbyt uderzającym, aby się nie dało dostrzedz odrazu.

Wielkie to podobieństwo tem wyraźniej jeszcze występuje, gdy przekrój owocującego porostu ogląda przez mikroskop uczony, znający dokładnie sposoby rozmnażania się grzybów. Poznaje on wówczas, że owocowniki porostów, które gołem okiem dają się rozpoznać w postaci tarczki, kielichów i t. p., bardzo często i barwą od plechy się różniących, są nadzwyczajnie podobne do organów rozrodczych grzybów, należących do klasy Workowców (*Ascomycetes*). Workowcami nazwano je dlatego, że tworzą zarodniki, służące do rozmnażania, wewnątrz specjalnych maczugowatych komórek, kształtem worki przypominających. Otóż narządy owocowania porostów są, tak samo jak u grzybów, ze splecionych nitek bezbarwnych utworzone i zawierają worki z zarodnikami, bądź w kulistych wydrążeniach o małym otworze, bądź też na płaskich miseczkach. I z jedną, i z drugą formą spotykamy się u grzybów

Workowców. W kulistych zagłębieniach mają mianowicie worki z zarodnikami Workowce otoczeniowate (*pyrenomycetes*), a na miseczkach— Workowce miseczkowate (*discomycetes*).

U grzybów jednakże niema nigdy tych barwnych komórek, które w porostach stale znajdujemy. Porosty zatem nie są grzybami. Do jakiej więc gromady tworów roślinnych mamy je zaliczyć?

Pytanie to było długo przedmiotem poważnych sporów. Dwoista natura elementów, tworzących ciała porostów, była od dawna doskonale znaną. Przez długi jednak czas ani się nawet domyślano, że powikłane długie strzępki bezbarwne porostów nie stoją w żadnym związku genetycznym z przypominającą formą glony, barwnymi, różnokształtnymi, komórkami. Przeciwnie, mniemano i stanowczo głoszono, że jedne z drugich się tworzą. Cały porost miał powstawać z rozwoju jednego maleńkiego, gołym okiem niewidzialnego, zarodnika. Bezbarwnym strzępkom przypisywano zdolności tworzenia zielonych komórek. Istotnie u niektórych porostów są one tak ściśle ze strzępkami połączone, że wyglądają, jak ich nabrzmiące, barwą zieloną wyróżniające się zakończenie. Wierzano dalej, że glonowe elementa mogą rozrastać się w bezbarwne strzępki. Wprawdzie nikt nie pochwalił się bezpośrednią obserwacją tego rodzaju przemian rozwojowych; ale ani wątpiono, że w naturze się istotnie odbywają. W systemach klasyfikacyjnych zamykano porosty, jako jednolite organizmy, od glonów i grzybów odrębne, w oddzielnej rodzinie, czy gromadzie. Do glonów podobne komórki porostów nazwano *gonidiami* i uważano je za organa reprodukcyjne porostów.

Mniemania takie tak dalece się utrwały, że nie odważył się ich całkiem obalić De Bary, słynny, zmarły przed kilku laty, uczony, który już był bardzo blizki odkrycia prawdy, lecz się zawahał i stanowczego zdania nie wypowiedział. Zasłużony ten badacz niemiecki w dziedzinie mykologii, czyli nauki o grzybach, co do pewnych gatunków porostów nie śmiał nawet wątpić o słuszności poglądów swych poprzedników i współczesnych uczonych. Spostrzeżenia jednakże nad budową osobliwie galaretowatych porostów obudziły w De Barym bardzo poważne wątpliwości. W tych-to właśnie porostach nadzwyczajne podobieństwo komórek gonidyalnych do pewnych gatunków glonów tem wyraźniej jeszcze występuje, że śploty nitkowate w poważnej mniejszości do budowy porostu się przyczyniają.

Uderzony tem wielkiem podobieństwem, zdobył się De Bary w 1865 roku na ogłoszenie dwóch przypuszczeń, które dadzą się w następnych słowach streścić: Albo galaretowate porosty są zupełnie wykształconymi, owocującymi formami rozwojowymi organizmów roślinnych, których formy niedokształcone znane są jako glony; albo też znajdujące się

w tych porostach t.z. gonidyalne elementa są zupełnie identyczne z pewnymi gatunkami glonów typowych; tworzą zaś porosty tylko wówczas, gdy się na nich osiedlą pasorzytne grzyby-workowce, oplatające swemi strzępkami komórki glonów.

Postawienie w ten sposób kwestyi jest wielką zasługą De Barego w nauce. Ale nie było to rozwiązanie stanowcze. Potrzeba było jeszcze zrobić jeden krok naprzód. Na to odważył się w 1869-ym roku Schwendener, twórca teorii o dualistycznej budowie porostów. Znając przypuszczenia, wyrażone przez De Barego, nie trudno odgadnąć treść poglądów Schwendenera. Oto ona, w krótkich słowach zamknięta: każdy porost składają dwa odrębne organizmy: komórki glona i strzępki odpowiedniego grzyba. Poparcie tej nowej teorii stanowiły szczegóły anatomicznej budowy wielu porostów i zupełna identyczność gonidyalnych komórek ze znanymi gatunkami, lub nawet odmianami glonów.

W dzisiejszej chwili poglądy Schwendenera wydają się czemś tak naturalnem, prostem, że budzą zdziwienie, jak można było tak długo pozostawać w nieświadomości co do istotnej natury dwoistych elementów, składających porost. I gdyby po dziś dzień dotrzeć mogła ta nieświadomość, odkrycie Schwendenera było-by niewątpliwie z zapalem, bez wahania, za prawdę uznane. Ale dwadzieścia kilka lat minionych od chwili ogłoszenia Schwendenerowskiej teorii—to okres długi, w którym nauka nie stała, lecz w szybkim postępie chwyciła zdobycze, rozszerzając naszą wiedzę przyrodniczą. Te wiadomości i te pojęcia, jakimi obecnie rozporządzamy, wówczas nie były powszechną własnością, lecz tułały się w mniej lub więcej wykrystalizowanych formach w umysłach jednostek genialnych. To też nawet tak prosta, pełna cech prawdopodobieństwa teoria, nie mogła się nie spotkać z zaciętą opozycją.

W zastępie przeciwników znaleźć się musieli przedewszystkiem licznie ci cierpliwi badacze, dla których szczęściem i celem życia jest gromadzenie troskliwie żywych, czy martwych okazów przyrody i wyszukiwanie w nich różnic w zewnętrznych kształtach lub wewnętrznej budowie, uprawniających do tworzenia nowych gatunków, czy odmian. Dla tych osobliwie było bolesnem uznanie poglądów, które, jak się wyraża pogardliwie jeden ze słynnych lichenologów, ich ukochanym porostom odbierały prawo samoistnej egzystencji, zamieniając je jakby różdżką czarodziejską w niewolnicze glony, omotane, niby pajęczą siatką, przez jakiegoś pana grzyba.

W czasie, gdy teoria Schwendenera została ogłoszoną, brakowało jej jeszcze fundamentu trwałego, niewzruszonego, na którym mogła-by mężnie odierać spadające obficie ciosy. Była to jeszcze podówczas

tylko hipoteza, wprawdzie genialna i budząca zainteresowanie, ale zawsze tylko hipoteza, pozbawiona tych, nie mogących podlegać wątpliwości, faktów dowodowych, które-by nakazywały uznać ją, jako pewnik. Schwendener raczej wskazał, jak być może, ale nie zdobył w badaniach dostatecznych środków do zmuszenia wątpiących, aby pogodzili się z myślą i uwierzyli, że nie może być inaczej.

Środków takich dostarczyły późniejsze, mozolne badania, które aż do ostatnich lat trwały. Wywołały je idee, przez De Barego i Schwendenera rzucone. W nauce każda nowa myśl wstrząsa, jak iskra elektryczna, pobudzając do śledczej pracy. To drogowskaz, ukazujący drogę dotychczas ukrytą, o tajemniczym nieraz kresie. Z otwartego wstępu korzysta każdy, interesujący się nowem odkryciem, badacz, i zbiera na nowej ścieżce spostrzeżenia, które uszły zrazu uwagi genialnego przodownika. To, co przeszedł siły pojedynczego człowieka, zdobywa się dzięki opartej na wzajemnej pomocy naukowej pracy licznych współpracowników. Oni-to mozolnie zbierają pojedyncze cegiełki, z których układa się mocny fundament dla świetnych, zadziwiających nowością, lecz zrazu tylko hypotetycznych poglądów.

Tak się też stało i z teorią Schwendenera. Twórca jej wskazał kierunek śledczej robocie, która doprowadziła do wykrycia prawdy. Pierwsze badania przedsięwzięte miały charakter analityczny. Chcąc teorię uczynić wiarogodną, przedsiębrano analizę porostów, starając się je rozłożyć na części składowe: glony i grzyby.

Analiza najzupełniej się powiodła. Udało się przedewszystkiem oddzielić z porostu komórki gonidyalne i w sztucznych kulturach wyhodować z nich samoistnie żyjące glony. Famintzin, Baraniecki, Woronin i Bornet osiągnęli w tych próbach analitycznych jak najzupełniejsze powodzenie. Sztucznie wyhodowane komórki glonowe z t. zw. dawniej gonidyków porostowych wykazały zupełną identyczność z różnemi gatunkami swobodnie żyjących w innych warunkach glonów. Natomiast nigdy nie spostrzeżono, aby z gonidyalnych elementów rozwijały się nitkowe, powikłane strzępki.

Trudności większe natomiast przedstawiała identyfikacja elementów grzybowych porostu. Zarodniki, powstające w workach otoczni, lub miseczek na owocownikach porostów, dały się wprawdzie z wielką łatwością doprowadzić po wykiełkowania w sztucznych kulturach, ale rozwój nie przekraczał nigdy pierwszych stadyów, poczem powstałe nitki strzępki ginęły.

Nieudałe wypadki można było tłumaczyć na korzyść teorii Schwendenera. Bo czyż nie spostrzeżono w tych próbach, że z zarodników, powstałych w otocznjach lub na miseczkach, nie rozwijały się nigdy komórki glonowe, porostowi analizowanemu właściwe? A rychły

zastój w rozwoju wypuszczonych przez zarodniki drobnych strzępków czy nie wskazywał, że do lepszego ich rozwoju, dochodzącego aż do wykształcenia porostu o właściwej budowie i wyglądzie, potrzebne są odpowiednie glony?

Ale negatywne wypadki prób naukowych nigdy nie mają tak wielkiej siły przekonywającej, jak pozytywne. I w tym razie nie inaczej być musiało. Próby wyhodowania z porostów grzybów, zakończone niepowodzeniem, nie wiele się przyczyniły do zdobycia dla teorii Schwendenera niezaprzeczonego prawa bytu.

Tem mniej się do tego nadawały, że niemożność otrzymania porostów wykształconych z zarodników dała-by się wcale dobrze usprawiedliwić brakiem w kulturach sztucznych warunków zewnętrznych, do normalnego rozwoju danego porostu niezbędnie potrzebnych.

Bez pożytku przecie te próby nie były. Zachęciły one do zbadania, o ile odmiennem jest zachowanie się kiełkujących zarodników, z owocownika porostu otrzymanych, wówczas, gdy znajdują się one w obecności charakterystycznych dla tego samego porostu glonów. Jeżeli prawdą jest to, co można wnioskować z wypadków analizy o istnieniu w porostach dwóch odrębnych organizmów roślinnych — grzyba i glonu, to wtedy powinno-by się udać wyhodowanie porostu. Ponętne to było bardzo dla badacza zadanie, taka sztuczna synteza. Sprobowano też syntetycznie hodować porosty i próba najzupełniej się powiodła.

Przodownikiem na drodze badań syntetycznych był Rees, który jeszcze w 1871 roku, a więc wnet po ogłoszeniu teorii Schwendenera, spostrzegł, że wykielkowane z zarodników porostu galaretowatego (*Collema glaucescens*) strzępki utrzymują się dłużej przy życiu i rozrastają w prawdziwą grzybnię tylko wówczas, gdy mogą wnikać w galaretowatą masę glonu o złączonych w nitki komórkach, zwanego Trzęsidłem porostowem (*Nostoe lichenoides*). W dwa lata później rozszerzył znacznie te spostrzeżenia Bornet. Francuski ten badacz, wysiawszy zarodniki różnych porostów pomiędzy komórki odpowiednich glonów, obserwował, jak wychodzące z zarodników strzępki wchodziły w zetknięcie z glonami, opanowywały je i otaczały swemi splotami. Równocześnie w Hollandyi dokonał takich samych obserwacji Treub. Uczonym tym jednakże nie powiodło się wyhodowanie zupełne normalnie wykształconego, owocującego porostu. Warunki, zachowywane w sztucznych kulturach, nie sprzyjały dobremu rozwojowi obu łączonych elementów, zbyt też wcześnie szły one na pastwę żarłocznych pleśni i bakterii.

Szcześliwszym był na tem samym polu Stahl, który w 1875 roku mógł się pochwalić udaną syntezą trzech porostów. Opisał on też dokładnie zmiany w rozwoju, jakich doznają rosące razem grzyby i glony,

wskutek wzajemnego na siebie oddziaływania. Prócz tego zawdzięczamy Stahlowi spostrzeżenie, że z jednego i tego samego gatunku glonów mogą powstawać rozmaite porosty, zależnie od tego, z jakimi zarodnikami wprowadzi się glony w zetknięcie.

Ale tak w badaniach Stahla, jak i jego przewodników, był pewien niedostatek, który nauka, postępująca naprzód, musiała wytknąć. Oto przy sztucznych syntetycznych kulturach nie postarano się o usunięcie pobocznych mikroorganizmów, które mogły się do kultur dostać bądź z atmosfery, bądź też z substratem, do wyhodowania porostu użytym. Jednem słowem, zaniedbano przeprowadzić dokładnego wyjałowienia. To sprawiło, że przy zupełnie prawdopodobnych i spodziewanych wypadkach można było postawić znak zapytania. Porost mógł wprawdzie w istocie powstać z użytych do syntezy zarodników grzyba porostowego i glonów, ale gdzie pewność, iż tak było w istocie? Czyż nie mógł on równie dobrze powstać z rozwoju jakiegoś nieznanego, specjalnego zarodnika porostowego, nieusuniętego z kultury? Gdzież więc pewny dowód, że sztuczna synteza się powiodła? Było to wielce prawdopodobne, ale nie absolutnie pewne. Wobec tego potrzebnem było sprawdzenie uzyskanych dawniej rezultatów za pomocą nowych doświadczeń z zastosowaniem ściślejszej metody.

Pracę tę podjął przed kilku laty Gaston Bonnier. Do syntezy użyto glonów, wyhodowanych w czystej kulturze, w zamkniętych dla dostępu obcych mikroorganizmów, wyjałowionych poprzednio, szklanych naczyniach. Zarodniki grzybów porostowych zbierano na płytkach szklanych, trzymany przez chwilę przed lub nad porostem, w warunkach naturalnych, na drzewach lub skałach. Grzyby porostowe owocujące wyrzucają z pewną siłą na zewnątrz swe zarodniki w obfitej ilości, łatwo więc na płytki można je zebrać. Kilkadziesiąt komórek glonowych z paru zarodnikami umieszczano na szklanych płytkach, lub kawałeczkach wyjałowionej kory drzewnej, w szklanych przyrządach, do których światło i powietrze miały dostęp łatwy, lecz obce drobnotwory nie mogły się dostać. W tych warunkach zarodniki, wysiane same, krótko po skiełkowaniu ginęły. Posiane razem z glonami rozwijały się w porosty o charakterystycznych dla danego gatunku plechach. Szczególniej dobrze udawały się kultury na korze drzewnej. Na tym substracie udało się nawet Bonnier'owi doprowadzić porosty do owocowania.

Zastosowawszy odpowiednie urządzenie, zdołał jeszcze Bonnier w parę lat później dokonać syntezy pospolitej żółtej Tarczownicy z zarodników jej grzyba i komórek, i żyjącego wszędzie na ziemi, skałach lub drzewach drobnego glonu, zwanego Pierwotkiem (*Protococcus viridis*), w taki sposób, że mógł w przeciągu dwóch miesięcy dokładnie podpatrywać wszystkie stadya rozwoju. Widział on, jak w pięć dni po za-

łożeniu kultury pomiędzy rozwiniętymi z kielkujących zarodników grzyba nitczkami wyróżniały się w pośrodku strzępki nabrzmiałe, dalej strzępki delikatne, chwytające i otaczające komóreczki glonów, wreszcie strzępki szukające, rozrastające się na zewnątrz. Widział później, jak te różnice w kształtach nitek wzrastały, jak z nabrzmiąłych strzępków powstawała pseudotkanka, stanowiąca rdzeń, z brzeżnych, szukających strzępków—warstwa zewnętrzna korowa, z glonów zaś i chwytających—warstwa gonidyalna, aż wreszcie powstała mała plecha normalnie wykształconej Tarczownicy.

Po sprawdzeniu w taki sposób dawniej już dokonywanej syntezy porostów z glonów i grzybów, nikt już nie może powątpiewać o dualistycznej budowie porostu. Dodajmy tu jeszcze, że poważne poparcie teorii Schwendenera dały dwa ciekawe odkrycia, o których dotąd nie mieliśmy dobrej sposobności wspomnieć.

Pierwsze—to znalezienie, jeszcze w 1881 roku, wśród flory tropikalnych okolic, żyjących na szczątkach roślinnych porostów, u których owocowniki miały formę właściwą nie grzybom workowcowym, lecz Podstawczakom (*basidiomycetes*), grzybom, do których klasy należą np. znane każdemu kapeluszowe grzyby, jak pieczarka, rydz, borowik i t. p., oraz purchawki. Odkrycie to tylko mogło utrwalić przekonanie, że do budowy plechy porostów przyczyniają się organizmy, znane pod nazwą grzybów.

Drugie zaś—to wyhodowanie przez Möllera w 1887 roku w specjalnym płynie z zarodników porostu dobrze rozwiniętej grzybni i doprowadzenie jej w rozwoju aż do owocowania. Był to dosyć niespodziewany po dawnych nieudanych próbach, a wcale pożądaný, dowód samoistności nitkowatych ustrojów, biorących udział w budowie plechy porostowej.

Dualizm w budowie porostów mógł więc stać się nareszcie naukowym pewnikiem. Nikt już obecnie nie ma prawa twierdzić, że same grzyby bez glonów, lub same glony bez grzybów, mogą formę porostów w pewnych warunkach przybierać. Złączenie się dwóch odrębnych ustrojów roślinnych dla wytworzenia porostu jest niezbędnie potrzebne.

Porostów wszędzie pełno. Pojawiają się wszędzie, gdzie byt ich jest możliwy, same, ani siane, ani też sadzone. W jakim-to sposób ułatwia przyroda spotkanie się glonów i grzybów na wspólne w plesze porostu pozycie?

Głony w porostach uwięzione mnożą się tylko przez dzielenie. Zarodniki mogą tworzyć tylko po uwolnieniu się ze spleców grzyba. Od reguły tej wyjątki są nadzwyczaj rzadkie. Grzyby porostowe tworzą w otoczeniach, miseczkach, lub na podstawkach zarodniki, które same nie są zdolne do dłuższego rozwoju. Ale glony mogą same żyć samo-

istnie. Często żyją tak tuż obok porostów i zarodniki mogą się z nimi zetknąć. Gdzieby ich brakło, wiatr lub woda może zarodniki glonowe lub glony przytransportować i naturalna synteza staje się możliwą.

Wiele grzybów porostowych na komórki glonowe nie może długo czekać. Są jednak porosty, których grzyb sam dochodzi do obfitego rozwoju, zanim się zetknie i zjednoczy z komórkami właściwego glonu. Do takich należą między innymi Literaki pospolite. Grzybnia ich rozrasta się bujnie wśród komórek kory na gładkich drzewach, np. bukach i jesionach, a żyjący na tychże samych drzewach w szparach kory, właściwy temu porostowi, glon, o zielonym i pomarańczowym barwiku, (*Chroolepus*) dopiero później pomiędzy strzępki się dostaje i niemi oplata.

Ale takie przypadkowe spotkania widocznie nie są dosyć pewne i wystarczające, skoro przyroda obmyśla środki specjalne. Oto np. u porostu *Endocarpon pusillum* drobne komórki glonu przedostają się do otoczeni, mnożą się tam, otaczają worki zarodnikowe i podczas owocowania grzyba razem z jego zarodnikami na zewnątrz się wydobywają. Gdy więc zarodniki te kiełkują, znajdują tuż obok siebie potrzebne im glony. Ciekawem jest bardzo, że z tego urządzenia korzysta inny porost, *Theleidium minutulum*, o którym mieliśmy już sposobność wspominać. Składa się on z tych samych glonów, więc wyrzucone przez *Endocarpon* komórki zielone skwapliwie swemi strzępkami oplata. Niewątpliwie w celu korzystania z tej przysługi ten mały porost pojawia się zwykle tam, gdzie *Endocarpon* bujniej rośnie.

Taka organizacja jednakże u niewielu porostów została dotychczas dostrzeżoną. Natomiast u bardzo wielu porostów rozmnażanie się jest niesłychanie ułatwione na drodze bezpłciowej przez oddzielanie się tak zwanych soredyów. *Soredium* to jedna lub kilka komórek glonowych, oplątanych strzępkami grzybni różnej grubości i barwy, zależnie od gatunku porostu. W pewnych miejscach licznie one się tworzą, gromadzą i cisną na warstwę korową. Ta ostatnia pod naciskiem pęka, a soready w postaci proszku na zewnątrz się wydostają. Mogą się one tam przez dzielenie dalsze mnożyć, lub w warunkach sprzyjających rozrastają się w nowe porosty. Niektóre porosty tworzą owe soready w tak wielkiej ilości, że wyglądają, jakby były mąką obsypane. Wiatry mogą naturalnie roznosić je na niezmiernie wielkie odległości, porzucając na ziemi, drzewach lub skalach. Dlatego-to może jedne i te same porosty w bardzo oddalonych od siebie miejscowościach się pojawiają.

Wszystkie te środki, jak widzimy, doskonale ułatwiają kojarzenie się glonów z grzybami. Uczestnicy tej ciekawej spółki na wspólne życie nie stronią od siebie, lecz wzajem się szukają. Co za korzyści odnosić stąd mogą? Jakież są wzajemne ich stosunki?

Grzyby zwykliśmy uważać za wielkich nieprzyjaciół ustrojów roślinnych, należących do innych rodzin królestwa roślinnego. Rdza, śnieć na zbożu, zgnilizna ziemniaków,—te ciężkie choroby roślinne, prowadzące głodowe lata, — gnicie drzew po lasach: to wszystko dzieło niewidzialnych gołem okiem strzępków grzybniowych. Liczne gatunki grzybów—to pasorzyty, które się mnożą i tuczą kosztem cudzego życia. Czyżby glony, znajdujące się w porostach, również były narażone na zniszczenie przez grzyby i musiały ciągle walkę toczyć o byt? Czyżby przyroda tylko po to syntezę porostów ułatwiała, aby glony bezbronnie oddawać na pastwę grzybom?

To z góry już wydające się nieprawdopodobnem przypuszczenie musi zupełnie odpaść wobec faktu, że glonom w porostach nie dzieje się wcale krzywda. Przeciwnie, oplątane strzępkami grzybni, często lepiej rosną i dochodzą do większych rozmiarów,—poprostu tyją, żyjąc razem ze swymi napastnikami.

A grzyb, czy ponosi jakąkolwiek szkodę stąd, że komórki glonowe wśród splotów jego grzybni się osiedlają? Chyba nie—bo bez tych komórek istnienie jego w przyrodzie jest niemożliwe. Bujnie rozwija się on i dochodzi do owocowania dopiero po skojarzeniu się z glonami.

Niema więc widocznych krzywd wzajemnych, muszą istnieć zatem obopólne korzyści. Zobaczmy, na czem one polegają.

Grzyby i glony, żyjące w przyrodzie oddzielnie, sposobem życia wielce się różnią. Glony posiadają we wnętrzu swych komórek zieleni i inne barwiki, za których pośrednictwem mogą wytwarzać materię organiczną z kwasu węglowego, w powietrzu atmosferycznem się znajdującego. Pod tym względem zachowują się tak, jak rośliny wyższe. Chwytając promienie słoneczne, zużytkowują ich energię do rozkładu kwasu węglowego (dwutlenku węgla): odszczepiają i wydzielają na zewnątrz tlen gazowy, a z pozostałego węgla i składników wody powstają bezazotowe związki organiczne. Grzyby nie posiadają barwików, niezbędnych do przyswajania na świetle węgla z gazowego kwasu węglowego. Mogą się więc żywić tylko gotową już materią organiczną, tak samo, jak ustroje, należące do królestwa zwierzęcego.

Taka różnica w sposobie życia objaśnia odrazu, jaki pożytek mają grzyby z glonów, żyjących z niemi wspólnie w plesze porostów. W ciągu dnia, gdy promienie słoneczne na plechę padają, glony rozkładają kwas węglowy i tworzą materię organiczną na własną potrzebę i dla oplatających je grzybów. Grzyby, korzystając z tej przysługi, nie odpłacają się bynajmniej czarną niewdzięcznością: ich tylko strzępki pozostają w bezpośredniem zetknięciu z substratem, na którym porost się rozwija, i czerpią stamtąd sole mineralne, konieczne do życia, i wodę dla siebie i dla glonów.

Więc to skojarzenie w porostach dwóch odrębnych ustrojów roślinnych, to wcale niepospolita pasorzytna napaść! Przeciwnie, to złączenie zdolności do różnej pracy nad przeróbką materii, w celu oddawania sobie wzajemnych usług i ułatwienia bytu. To spółka, dla obu uczestników korzystna. To ciekawe zjawisko w przyrodzie, które trafnie określa wprowadzony do wiedzy przyrodniczej przez De Barego termin naukowy *symbioza*, co znaczy wspólne pożycie.

W tem symbiotycznym złączeniu grzybów i glonów w porostach musi jeszcze nas bardzo uderzyć przybieranie zewnętrznych kształtów, które nie są swoiste ani jednemu, ani też drugiemu organizmowi. W kształtach tych widzimy nader często występującą bardzo wybitnie jakby dążność do jak najlepszego zaspokojenia wzajemnych potrzeb. U grzybów, samoistnie żyjących, nie spotykamy się z taką formą wzrostu, jaką widzimy np. u krzaczkowatych lub blaszkowatych porostów. Grzyb, który, rosnąc pasorzytnie, strzępkami swej grzybni kryć się stara w ciele żywiącego gospodarza, tu, złączywszy się z glonami, przybiera niezwykle postać. W tej zmianie sposobu życia widać najwyraźniej cel utworzenia dla glonów takiego siedliska, aby one mogły jak najlepiej wyzyskiwać promienie światła słonecznego i energii ich używać do jak najobfitszej produkcyi materii organicznej na wspólną potrzebę. Nowa postać ma pewne cechy podobieństwa ze strukturą jeżeli już nie wyższych roślin zielonych, to przynajmniej niższych mechów lub widłaków. Charakterystycznym momentem jest tu możliwie wielka powierzchnia, wystawiona na insolację przy jak najmniejszej grubości. A cechy te, niezwykle dla osobno żyjących elementów porostu, to tylko wyik wzajemnego oddziaływania na siebie glonu i grzyba. Komórki glonu, tak jak grzyby w poroście, inaczej się rozwijają. Dzieje się to nawet u porostów, w których grzyb małą bardzo masą przyjmuje udział w budowie, np. u Trzęsidłowatych.

Znając sposób życia obu ustrojów w poroście wspólnie się wspierających, nie trudno już domyślić się, jak ważną rolę odgrywają porosty w przyrodzie. Symbioza glonów z grzybami umożliwia poprostu ich życie i bujny rozwój tam, gdzie żaden z tych dwóch organizmów samodzielnie nie mógł-by istnieć. Widzimy porosty, pojawiające się wśród nagich niebotycznych szczytów na powierzchni najtwardszych skał. Tu sam grzyb żyć nie może z powodu braku niezbędnie mu potrzebnego pokarmu organicznego. Glony znowu same często nie mogły-by żyć, bo nie są dosyć silne, by się wżerać w kamienie i czerpać z nich niezbędne ciała mineralne, bo nie są dosyć hartowne, by przetrwać kaprysy klimatu, bo uniosły-by je z powierzchni skał zbyt łatwo wiatry i deszcze. Razem w porost złączone znajdują siły do wytrwałej walki o byt w tak trudnych warunkach. Krusząc powolnie ale stale skaliste głązy,

torują one drogę dla wyższych roślin. Urodzajna warstwa ziemi, żywiąca ludzi i zwierzęta swą roślinną produkcją, powstała ze zwiertzenia nagich skał i głazów. Czerpiąc korzyści, ani probujemy zdać sobie sprawy z tego, ile w powstaniu ziemi naszych pól, łąk i lasów jest pracy porostów.

Dzięki istnieniu tej zadziwiającej symbiozy, glony mogą żyć i wytwarzać materię organiczną na olbrzymich obszarach puszczy, gdzieby same nie mogły istnieć z powodu suszy i spieki. Dostyc powiedzieć, że porosty mannowe utrzymują się jeszcze przy życiu w temperaturze, która do 70° C. dochodzi. Wprawdzie w tak wysokiej ciepłocie, o ile można z niedawno ogłoszonych badań Jumelle'a wnosić, glony porostów już nie mogą przyswajać węgla z kwasu węglowego, ale życia porosty nie tracą. Jak twarde to życie, świadczy wymownie fakt, że wyższe rośliny zielone, trzymane przez 10 minut w temperaturze 50° C., giną. Zdolność znoszenia wysokich temperatur zawdzięczają porosty swej małej wilgotności i temu, że mogą na czas dłuższy wysychać, nie tracąc życia. Z chwilą, gdy woda je na nowo zwilży, wnet życie się w nich na nowo obudza.

Tak samo jak na gorąco, porosty są niesłychanie wytrwałe i na zimno. To rośliny jakby stworzone dla podbiegunowych okolic, gdzie temperatura spada na 50° i 60° C. poniżej zera. W takich warunkach, oprócz porostów, prawie wyłącznie tylko mchy nie tracą życia i są towarzyszami ciężkiej doli porostów. Jumelle twierdzi nawet, na podstawie własnych badań, że glony porostów jeszcze przy 40° zimna kwas węglowy na świetle rozkładają i materię organiczną tworzą. Ale to spostrzeżenie wydaje się tak nieprawdopodobnem, że koniecznie wymaga sprawdzenia.

II.

Korzeniówka. Mycorhiza zielonych drzew i bylin. Brodawki korzeniowe roślin motylkowych.

Pod zielonem sklepieniem strzelających w górę sosen lub rozłożystych buków pojawia się w lecie, nieraz bardzo obficie, ciekawa roślinka. Składa ją łodyżka wątła, kilkanaście centymetrów wysoka, z rzadkimi listeczkami o kształtach łuski. Na górnym jej końcu siedzą po jednej stronie, ułożone w kłos, niewielkie kielichowate kwiateczki; ostatni z nich z samego wierzchołka w bok się przechyla. Na tle białawych szpilek lub liści odznacza się ta roślina zdaleka chorobliwą żółto-białą barwą, właściwą roślinom, normalnie zielonym, w cie-

mności wyrosłym. Na kwiatach tylko brzegi płatków czerwono się rumienia. Niemcy, dopatrując się podobieństwa ze smaczną jarzyną, nazywają ją szparagiem sosnowym (*Fichtenspargel*). Naukowa nazwa tej ciekawej roślinki—*Monotropa hypopitys*, a polska pospolita—Korzeniówka.

Sposób skromnego życia korzeniówki był przez długi czas zagadką, którą naprózno silono się rozwiązać. To tylko było niewątpliwe, że nie może ona, tak jak rośliny zielone, żywić się kwasem węglowym, z atmosfery czerpanym, bo brak jej barwików, potrzebnych do chwytania energii padających promieni słońca. Nie ma ona ciałek zieleni ani w swych listkach, ani w łodydze, nie ma innego barwika, który-by mógł zielen zastąpić; jeżeli więc żyje i rośnie, to tylko żywiąc się już gotowym pokarmem roślinnym. Tyle wiedziano napewno. Ale skąd Korzeniówka niezbędną materię organiczną czerpie — o to toczyły się spory.

Rośliny, które same nie są zdolne tworzyć materii organicznej z dwutlenku węgla i wody, w dwojaki sposób mogą sobie już gotową zdobywać: albo osiedlają się pasorzytnie na żywych roślinach i, rabując im soki, często przez niewdzięczną chciwość o śmierć je przyprowadzają; albo szukają siedliska na martwych szczątkach i niemi, jako saprofity, się żywią. Do jakich Korzeniówka należy?

Posądzano ją długo o byt pasorzytny—wylączny, lub czasowy. Jedni utrzymywali, że czepia się pod ziemią korzeni drzew i z nich pokarm przez całe życie czerpie; inni—że tylko w młodocianym wieku na korzeniach się osiedla, a w starszym żywi się próchnicą ziemi. Byli nareszcie i tacy, co sądzili, że młodość pędzi Korzeniówka saprofitycznie, a dopiero na starość staje się pasorzytem. Silna wiara w jej parazytyzm w polskiej nazwie wyraźnie się odbiła.

Były to jednak mniemania, podejrzenia, których nie popierały niezaprzeczone dowody. Pasorzytnie żyjące wyżej uorganizowane rośliny mają zwykle odrębne narządy, t. zw. ssawki (*haustoria*), które się wpijają w ciało swego żywiciela. Takie ssawki wykryto np. u kaniarki, wijącej się pasorzytnie na pędach koniczyny, znaleziono u zarazy, żyjącej na korzeniach wielu roślin dzikich i uprawnych; naprózno szukano ich jednak u korzeniówki. Co więcej, nikt nie zdołał wykryć jakiegokolwiek łączności organów podziemnych korzeniówki z temi roślinami, na których miała pasorzytnie się żywić.

Wobec tego zaczęto się przechylać ku poglądom, przypisującym korzeniówce saprofityczny sposób życia. Ale tu znowu stanęła na przeszkodzie trudna do rozwiązania zagadka, dlaczego wnet po wycięciu drzew w lesie korzeniówka zupełnie znika. Fakt ten świadczył wyraźnie o zależności jej istnienia od żyjących korzeni.

Rozwiązanie kwestyi ułatwiły dopiero ciekawe spostrzeżenia naszego rodaka, Fr. Kamińskiego, nad budową anatomiczną korzeni Monotropy. Nim się błada łądzka ukaże nad powierzchnią ziemi dla wydania kwiatu i rozsiania dojrzałych nasionek, cała roślina pędzi żywot podziemny w postaci korzenia o bardzo obfitych rozgałęzieniach. W ziemi piaszczystej szukać ich trzeba w głębokości około trzydziestu centymetrów, w próchnicznych już na trzy centymetry pod powierzchnią je znajdziemy. Z korzeni tych wyrastają w porze właściwej nadziemne pędy. Boczne odnogi korzeni są krótkie a grube, przytem bardzo kruche; więc nie łatwo dadzą się bez uszkodzenia z ziemi wydobyć. Niezgrabne formy mało przypominają cienkie i długie rozgałęzienia, jakie u korzeni roślinnych nepotykamy pospolicie. Przyczynę tego, gołemu oku już widocznego nienormalnego wykształcenia, odkrywa nam dopiero mikroskop. Używszy dla oka jego pożytecznej pomocy, znajdujemy na powierzchni korzonków jakby pochwę, złożoną ze ściśle splecionych, delikatnych strzępków. Pochwa ta wszędzie silnie przylega, a związek jej wzmacniają krótkie niteczki, wnikające w komórkową błonę zewnętrzną tkanki korzenia. Pancierz ten na najmłodszych korzonkach się pojawia i za ich wzrostem wciąż podąża, stając na przeszkodzie bezpośredniemu zetknięciu się powierzchni istotnego korzenia z cząstkami karmicielki-ziemi.

Z czego się ta dziwna pochwa tworzy? Nie potrzeba było długich obserwacji, aby tę kwestyę stanowczo rozwiązać. Nie powstaje ona wcale z własnych tkanek korzeniówki, lecz obcy zupełnie organizm korzonki nią otacza. Nic to innego, jak strzępki grzyba, który w tak niezwykły sposób wchodzi z korzeniówką w bliską zażyłość. Nowe to, niespodziewane odkrycie symbiotycznego skojarzenia się dwóch tak różnych istot królestwa roślinnego.

Grzyb, otaczający pochwą korzonków, pasorzytnie na nich nie żyje. To widoczna, bo żadnej krzywdy korzeniówce nie robi. Jakże zresztą korzeniówka mogła-by być żywicielką grzyba, skoro sama materii organicznej syntetycznie nie tworzy, a pochwa grzybniowa przeszkadza jej czerpać gotowy pokarm z obumarłych szczątków roślinnych, w próchnicy ziemi nagromadzonych? Grzyb odcina jej możność samodzielnego żywienia się, nie pozbawiając jednakże wcale życia. Więc chyba sam ją odżywia? To zjawisko istotnie zadziwiające — roślina o wyższej organizacyi przez grzyby odżywiana, niejako pasorzytem ich będąca. A przecie inaczej stosunków korzeniówki do strzępków grzybniowych, otaczających jej korzonki, objaśnić niepodobna. I tylko taki cel skojarzenia uznać trzeba za fakt niewątpliwy.

Korzeniówka wszystko, czego do życia potrzebuje: wodę, sole mineralne i pokarm organiczny czerpie z ziemi za pośrednictwem grzybka.

Nie może to być jednakże czysto pasorzytny wyzysk bez żadnych korzyści dla żywiciela. Korzeniówka musi niezawodnie czemś odwzajemniać się za odbierane usługi, bo skoro wyzyskiwane grzyby mogły-by równie dobrze żyć samoistnie, to poco narażały-by się na cięższą pracę i utrudniały sobie byt przez osiedlenie się na korzonkach niewdzięcznej rośliny. Korzyści w tej spółce na życie muszą więc być niezawodnie obopólne; inaczej grzyb porzucił-by korzeniówkę. Zyski jednakże przez grzyby osiągnane są istotnie mniej widoczne. Może w zamian za udzielany korzeniówce wikt dostają tylko wygodne dla siebie mieszkanie.

Z odkryciem symbiotycznego pożycia korzeniówki z grzybami stało się dopiero zrozumiałem, dlaczego korzeniówka znika po wycięciu lasów. Roślina ta sama bez pomocy grzybów odżywiać się nie może, a żywiele jej potrzebują widać dla swego bytu żywych korzeni drzew. Dlatego-to kwitnące łodyżki korzeniówki wyrastają zwykle w pobliżu pni drzewnych. Czy karmiący korzeniówkę grzyb sam pasorzytnie z drzew czerpie pokarmy—to prawdopodobne, jednak nie dowiedzione.

Poznanie właściwego sposobu życia korzeniówki musiało zwrócić uwagę i na inne rośliny bezzieleniowe, zamieszkujące próchniczne ziemie. Sądzono powszechnie, że żyją one saprofitycznie na obumarłych szczątkach roślinnych. Wśród nich zwracają szczególnie uwagę piękną postacią wspaniale kwitnące storczyki, o pędach nadziemnych żółtawej, sinej lub brunatnej barwy. Pod ziemią te storczyki albo rozwijają korzenie: Gniazdosz (*Neottia nidus avis*) o jasno-brunatnym kwiatostanie i gęstych splotach korzeni, niby gniazdach ptasich; albo też kłącze bez korzeni: zielonawo kwitnący Żłobik koralowy (*Corallorhiza innata*) z łodygą podziemną, przypominającą kształtem gałązki koralu i pyszny, ale rzadki, bezlistny *Epipogon* o zwieszających się pięknych żółtawych kwiatach. W podziemnych narządach tych roślin, jak również i wielu innych storczyków, jeszcze w pierwszej połowie bieżącego stulecia znaleziono wewnątrz komórki sploty grzybni. Teraz, po poznaniu symbiozy korzeniówki z grzybami, zrodziło się mniemanie, że dla owych storczyków usadowiony w nich grzyb nie jest również ani szkodliwym pasorzytem, ani też bezużytecznym gościem, lecz współpracownikiem w odżywianiu, ułatwiającym przyswajanie węgla z organicznych, zhumifikowanych szczątków. Rzecz to możliwa, ale brak jeszcze stanowczych dowodów, aby i w tym przypadku już dziś bez wahania uznawać symbiotyczne zjawisko. Dowody ścisłe tem więcej są potrzebne, że u storczyków grzybni pojawia się nie na całym korzeniu, lecz tylko w pewnych miejscach, łatwych do poznania po żółtej barwie, przytem wewnątrz komórek. Korzenie więc i kłącze ze szczątkami próchnicznymi bezpośrednio się stykają.

Przeciwko istnieniu między niezielonemi storczykami spółki, opartej na wzajemnej pomocy w zdobywaniu bytu, zdawał się przemawiać bardzo silnie jeden jeszcze fakt: zupełnie podobne grzybnie można znaleźć w korzeniach storczyków, posiadających zieleni w swych nadziemnych pędach. Takie storczyki mogą na świetle rozkładać kwas węglowy, z atmosfery czerpany, mogą węgiel tego związku przyswajając i tworzyć z niego materię organiczną. Z ziemi nie potrzebują one zatem materii organicznej pobierać i pomoc grzyba jest dla nich bez wyraźnej korzyści, wydaje się po prostu zbyteczną. Więcej prawdopodobnym jest raczej przypuszczenie, że grzyb pasorzytnie na ich korzeniach się żywi.

Decyzja stanowcza w tej kwestyi była-by bardzo łatwą, gdyby nie nagromadziły się w ciągu kilku lat ostatnich spostrzeżenia pouczające, że na korzeniach bardzo wielu roślin, drzew, krzewów lub bylin, żyjących w ziemiach, bogatych w substancje próchnicowe, znajdują się pochwy ze splecionej grzybni zupełnie takie same, jakie spostrzeżono u korzeniówki. Zjawisko to poznano nasamprzód u sosny, buka i dębu, wnet potem u innych drzew iglastych i miseczkowatych, aż wreszcie przekonano się, że można znaleźć pancerze grzybniowe na roślinach, należących do bardzo rozmaitych rodzin, a rosnących w ziemiach, zawierających obficie resztki organiczne. Korzonki, opancerzone strzępkami grzybni wyższych roślin zielonych, różnią się swym wyglądem od korzeni normalnych, a zupełnie przypominają korzonki korzeniówki. Są one mocno rozgałęzione, lecz w krótkie a grube odnogi. W miarę wzrostu korzenia rozrasta się i grzybnia, wciąż tworząc zbitą osłonę. Korzonki z takimi pochwaniami napotyka się w przyrodzie tak obficie, że dano im osobną naukową nazwę *mycorhiza*, co znaczy po polsku grzybokorzeń.

Upatrywanie w tych przypadkach symbiotycznego pożycia wydaje się co najmniej śmiałym. Więc miały-by rośliny zielone odbierać od grzyba podobne usługi, jak pozbawiona ciałek zieleni korzeniówka? To wielce nieprawdopodobne, — a jednak dla wielu uczonych już się stało faktem niezawodnym, i kto wie, czy wkrótce wszyscy nie będą musieli porzucić wyczekującego stanowiska i uwierzyć.

Dowodów, przemawiających za symbiozą, dotychczas dosyć się uagromadziło. Grzyb, oplatający korzonki, czystym pasorzytem nie jest, bo u wielu zielonych roślin *mycorhiza* znika po przesadzeniu rośliny w bezpróchniczną ziemię, lub w wodę z niezbędnymi mineralnymi solami, a wykształcają się korzonki normalne, jeżeli wogóle da się utrzymać przy życiu. Widać w tem zdolność rośliny pozbycia się grzyba wówczas, gdy sama bez jego pomocy może się odżywiać.

Tam natomiast, gdzie szczątki roślinne obficie się znajdują, o ile się zdaje, dla licznych roślin pośrednictwo grzyba w czerpaniu z ziemi pokarmu jest wielce pożądanem, a dla pewnych nawet wprost niezbędnem. Wiadomo z praktyki ogrodniczej, że pewne rośliny nie dadzą się inaczej hodować, jak tylko w świeżej, wrzosowej lub leśnej ziemi. Wspaniały rododendron, jadalne borówki i czernice wraz z wielu innymi są tak kapryśne. Znane są również dobrze trudności, jakie przedstawia przesadzanie świerków lub buków. Chcąc być pewnym przyjęcia się, trzeba z ziemią leśną je ostrożnie przenosić. Jakże to wszystko objaśnić? Dopóki mycorrhiza nie była znaną, wyłomaczenia napróżno szukano. Przyjmijmy tylko symbiozę, a samo łatwo się znajdzie. U tych właśnie roślin mycorrhiza jest stałym zjawiskiem. Widać straciły one zdolność samodzielnego życia i potrzebują znaleźć w ziemi grzyby, zdolne im dopomóc w żywieniu się. Dlatego-to nie w każdej ziemi mogą dobrze rosnąć.

Takie wyrozumowane objaśnienie wydaje się wielce prawdopodobnem, ale za niewątpliwy dowód uchodzić nie może. Chcąc dowieść użyteczności grzybów dla roślin pewnych zielonych, trzeba wykazać, że w tej samej ziemi, w której za życia grzybów bardzo dobrze rosną, nie mogą się długo utrzymać, gdy grzyby zostaną zabite. O ile się zdaje, jest istotnie nie inaczej. Wiemy np., że mocno przyschnięta ziemia wrzosowa jest zupełnie nieprzydatną dla hodowli tych roślin, które się na utrzymywanej w stanie wilgotnym doskonale udają. Czemże lepiej da się ten wpływ wyschnięcia objaśnić, jak nie zgubą potrzebnych dla wytworzenia mycorrhizy grzybów? Niezawodnie niczem, osobiście, gdy wiarogodność tego objaśnienia popierają wypadki badań naukowych.

Frank, będący gorącym obrońcą symbiotycznego stosunku grzybów i roślin zielonych w mycorrhizie, próbował hodować z nasienia buki i sosny w piasku, podlewanym rozcieńczonym roztworem niezbędnych pokarmów, w płynie żywiącym i wreszcie w ziemi humusowej świeżej i wyjałowionej przez ogrzanie. W piasku i płynach żywiących ginęły młode buki już w drugim roku, albo też jeszcze przez rok następny nędznie się rozwijały, by zginąć w trudnej walce o byt. W ziemi próchnicznej, niewyjałowionej, młode rośliny były silne i zupełnie zdrowe, a zamiast normalnych korzeni wykształciły się wszędzie mycorrhizy. Hodowane zaś równocześnie w tych samych warunkach w ziemi wyjałowionej, gorzej się rozwijały i po dwóch latach—z piętnastu dziesięć zginęło, a tylko pięć się utrzymało przy nędznym życiu. Tak samo zupełnie zachowywały się młode sosenki. Świeża ziemia zapewniała im rozwój zupełnie normalny,—w pozbawionej przez ogrzanie żywych grzybów nie znalazły dobrych warunków bytu: przez dwa lata marnie rosły,

poczem ginąć zaczęły. U pierwszych znaleziono pod ziemią obfite mycorrhizy, u drugich słabe normalne korzenie.

Takie spostrzeżenia silnie za istnieniem symbiozy przemawiają. Ale rzecz jest tak ważna, że z wypowiedzeniem ostatniego słowa trzeba koniecznie czekać, aż się ich więcej nagromadzi.

Cierpliwe oczekiwanie wypadków dalszych badań jest tem więcej na miejscu, że cel symbiozy korzeni roślin zielonych z grzybami nie jest jeszcze dosyć jasny. Dla korzeniówki wykształcenie się mycorrhizy jest pożyteczne, bo ta roślina bez zieleńi jest skazaną na odżywianie się gotową materią organiczną. Ale trudno przypuścić i uwierzyć, że np. drzewa naszych lasów, których liście mogą same związki organiczne z ciał mineralnych tworzyć, czerpią za pośrednictwem grzybów z ziemi pokarm organiczny. Niemożliwem to wprawdzie nie jest, ale taki pogląd bez wyraźnych dowodów pozostanie zawsze hipotezą, a nie może się stać uznanym faktem. To jednakże jest widoczne, że osłona, wytworzona na powierzchni korzeni przez strzępki grzyba, odgradza czerpiące pokarmy korzonki od bezpośredniego zetknięcia z cząstkami ziemi. Więc wszystko, co roślina potrzebuje pobierać z ziemi, za pośrednictwem grzyba do jej tkanek się dostaje. Strzępki grzyba są jakby mamką, karmiącą korzenie wodą i solami mineralnemi. Niektórzy badacze dziś już stawiają hipotezę, że zadaniem grzyba w symbiozie jest czerpać oprócz tego z próchnicy azotową organiczną substancję i przerabiać ją na pokarm, odpowiedny dla wyższych zielonych roślin.

Jeżeli te wszystkie przewidywania istotnie się sprawdzą, to na porządku dziennym postępu nauki stanie nowa zagadka, wymagająca rozwiązania: dlaczego roślina nie może pobierać normalnie wykształconemi korzeniami pokarmów z ziemi, lecz jest zależną od pracy grzyba? W tej kwestyi rzucono już pod rozwagę uczonym przypuszczenie, że chodzi tu tylko o pewne pokarmy mineralne, które ze związków próchnicowych mogą być pobierane przez wyższe rośliny wyłącznie za pośrednictwem grzybów. Ale w takim znowu razie potrzeba-by wyjaśnić, dlaczego wiele roślin bez mycorrhizy w tych samych ziemiach może się obchodzić. Czyżby na roślinach, posiadających mycorrhizę, niegdyś grzyby pasorzytnie się osiedliły i odzwyczyły korzenie od samodzielnych czynności?

O do korzyści, jakie grzyby w symbiozie znajdują, niema również żadnych dosyć pewnych danych. Jeżeli istotnie żywią roślinę, na której korzeniach się osiedlają, to zdaje się bez wielkiego dla siebie uszczerbku. Gdyby się im wielka krzywda działa, to pocóżby tak starannie korzenie opancerzały i razem z niemi rosły. Skoro tak czynią, muszą znajdować pewien pożytek. Może im rośliny zielone odstępują część tej bezazotowej substancji organicznej, którą wytwarzają na

słońcu w swych liściach? A może tylko wygodne siedlisko im zapewniają? Wszystko to są jednakże tylko domysły, które czekają na naukowe opracowanie.

Wszystkie niejasne po dziś dzień kwestye niewątpliwie doczekały-by się rychlej rozwiązania, gdyby się udało dokładnie zbadać, jakie gatunki grzybów przyczyniają się do wykształcenia mycorrhizy, a następnie poznać we wszystkich szczegółach sposób ich życia. Trudna to jednakże sprawa, gdyż w kulturach strzępki najczęściej nie dają się doprowadzić do owocowania. I dotychczas jednemu tylko Reessowi udało się przekonać, że strzępki, tworzące mycorrhizę u sosny i u korzeniówki, należą do grzyba zwanego *Elaphomyces granulatus*. Czy grzyb ten wyłącznie u sosen i korzeniówki tworzy mycorrhizę, czy u innych roślin inne grzyby żyją w symbiozie z korzeniami -- to kwestye, znajdujące się na otwartej, dotąd bardzo mało zapisanej, karcie w księdze wiedzy przyrodniczej.

O wiele bliższą, jak się zdaje, ostatecznego rozwiązania jest natomiast sprawa symbiozy roślin motylkowych z bakteriami, której rozwój od lat kilku z niepospolitem zajęciem śledzą nietylko uczeni, lecz także i rolnicy. Zajmiemy się nią teraz trochę obszerniej.

Rośliny uprawne, służące za pokarm ludziom i zwierzętom, czerpią z ziemi, oprócz wody, różne sole mineralne, zawierające pierwiastki, niezbędnie do rozwoju potrzebne. Węgiel i tlen znajdują rośliny zielone w powietrzu atmosferycznym, azot, fosfor, siarkę, chlor, potas, wapń, magnez i żelazo—muszą znaleźć w ziemi. Skoro na jakiejś ziemi uprawia się rośliny i nawozów nie dodaje, a masę roślinną sprząta, to oprócz wody, która w postaci deszczów do ziemi się dostaje, powinno by ubywać wszystkich mineralnych pokarmów co najmniej o tyle, o ile w sprzątniętych płodach z ziemi je zabrano. To wniosek bardzo logiczny i na pozór zupełnie słuszny. A jednak spostrzeżenia bardzo liczne nie były z tą logiczną dedukcją w zgodzie.

Wszystkiego z ziemi istotnie ubywa, czego roślina do życia potrzebuje—mówiła praktyka rolnicza—tylko bilans azotu często nie wykazuje straty, przeciwnie, nawet zyski. Przy produkcji roślinnej ziemia może się wzbogacać w związki azotowe. A tą zdolnością wzbogacania ziemi w związany azot odznaczają się w szczególności rośliny motylkowe...

Taka opinia, uparczywie głoszona, musiała fizyologom nasunąć przypuszczenie, że niektóre rośliny pobierają z powietrza, oprócz dwutlenku węgla i tlenu do oddychania, jeszcze i gazowy azot. Przed kilkudziesięciu laty słynny francuski uczyony, Boussingault, zajął się ściśle zbadaniem tej kwestyi i po przeprowadzeniu wzorowych doświad-

czeń, doszedł do przekonania, że gazowy azot nie może być pokarmem dla żadnej rośliny.

Orzeczenie Boussingault'a przyjęto w nauce, jako fakt niezawodny. Zdanie praktyków nie przestało się jednakże tulać po świecie i kłatać do pracowni naukowych o pomoc w wykryciu prawdy. Żywe zainteresowanie się datuje osobliwie od chwili, gdy za pomocą analizy chemicznej istotnie stwierdzono znaczne powiększenie się w ziemi ilości związków azotowych, szczególnie tam, gdzie uprawa roślin motylkowych często się powtarzała.

Rozpoczęły się więc energiczne poszukiwania źródeł, dostarczających ziemi i roślinom pokarmów azotowych. Początkowo przez dłuższy czas prowadzono je pod egidą twierdzenia Boussingault'a, że rośliny nie mogą się bezpośrednio żywić azotem gazowym, w niezmiernie małej ilości otaczającym kulę ziemską. To był uznany pewnik, fundamentalne twierdzenie fizjologii roślinnej. Zwrócono więc przede wszystkim baczną uwagę na procesy, przy których w powietrzu z wolnego azotu powstają związki azotowe.

W powietrzu, podczas wszelkich wyładowań elektrycznych, tworzą się z azotu i tlenu atmosferycznego kwasy azotawy i azotowy. Przy rozkładzie szczątków roślinnych i zwierzęcych powstaje amoniak, który się w powietrzu ulatnia. W atmosferze zatem zawsze znajdują się pewne, choć stosunkowo nieznaczne, ilości związanego azotu. Zdawało się zrazu, że z tego źródła ziemia wzbogaca się w związany azot.

Co do sposobu, w jaki związki azotowe z powietrza do ziemi przechodzą, pojawiały się w nauce najróżnorodniejsze przypuszczenia. Tak uważano przede wszystkim za pośrednika opady atmosferyczne. Rychło się jednak okazało, że w wodzie deszczowej znacznie mniej dostaje się związanego azotu w ciągu całego roku od tej ilości, jaką przechodząca do warstw głębszych woda z warstw wierzchnich unosi. Sądzono potem, że ziemia wprost pochłania z powietrza amoniak i kwas azotowy. Okazało się przecie rychło, że raczej ziemia, wskutek ulatniania się z niej amoniaku, azot własny traci, nie sama go sobie zdobywa. Powstała więc hipoteza, że rośliny motylkowe z powietrza liśćmi pobierają związki azotowe, lecz nie znalazła potwierdzenia w naukowych badaniach. Kilka lat temu, francuski chemik, Berthelot, ogłosił teorię, wedle której pewne mikroorganizmy, żyjące w ziemi, miały-by zdolność wiązania azotu gazowego, czyli tworzenia z tego pierwiastku połączeń azotowych, i ta jednakże po sprawdzeniu okazała się mylną.

Łamano sobie głowę w ten sposób—naprózno, a tymczasem mnożyły się fakta, świadczące, że rośliny motylkowe mogą czerpać azot ze źródła zupełnie niedostępnego dla roślin, należących do innych rodzin. Rozwój ich okazał się w pewnych warunkach niezależnym zupełnie od

obecności związków azotowych, bez których rośliny niemotylkowe nie mogą się obejść.

Poznanie bliższe natury tych warunków mamy do zawdzięczenia przede wszystkim Hellrieglowi. Badacz ten w bardzo licznych doświadczeniach spostrzegł mianowicie, że dla roślin motylkowych, jak grochu, łąbinu i seradelli, tylko wówczas pokarmy azotowe były zbyt cenne, gdy rośliny te mogły na swych korzeniach wytwarzać małe narośle, zwane bulwkami lub brodawkami. Powstawanie tych bulwek, jak się Hellrieglowi wydało, było zależnem od zakażenia korzeni bliżej nieznanymi mikroorganizmami. Chcąc sprawdzić, o ile to przypuszczenie jest słusznem, hodował Hellriegel wymienione wyżej rośliny w małych wazonikach, napełnionych ziemią wyjałowioną przez ogrzanie. Do jednej seryi wazoników dodano małą ilość wyciągu wodnego z ziemi urodzajnej, do drugiej takież sam wyciąg, lecz zagotowany (zatem wyjałowiony), a wreszcie do trzeciej wcale wyciągu nie dodano. Rezultaty najzupełniej ziściły przewidywania. Tylko rośliny, wyrosłe w wazonikach, do których dodano nieprzegotowanego wyciągu, miały na korzeniach brodawki. Tylko one bez pokarmu azotowego mogły się bujnie rozwijać i pomimo tego w swych tkankach wytworzyć znaczną ilość materii organicznej azotowej. Skąd azot niezbędny czerpały? Wszystko wskazywało, że pokarmem był dla nich azot gazowy powietrza.

Wobec zrobionych spostrzeżeń, Hellriegel miał zupełne prawo ogłosić teorię żywienia się roślin motylkowych, która się da streścić w następujących słowach: Rośliny motylkowe, wykształcające na swych korzeniach brodawki, mogą się żywić azotem gazowym. Brodawki te są owocem symbiozy tych roślin z mikroorganizmami—grzybami, czy bakteriami. W warunkach, w których brodawki nie mogą się wykształcać, rośliny motylkowe rozwijają się normalnie, jak wszelkie inne wyższe, tylko wtedy, gdy znajdą dostateczną ilość azotowych związków pokarmowych.

Doszliśmy tu do wielkiego odkrycia ostatnich czasów. Pora już wielką cofnąć się teraz w przeszłość i wspomnieć, że istnienie brodawkowatych narośli na korzeniach roślin motylkowych było już znane z górami przed pół wiekiem. Zajmowano się nimi wiele, badano często, nie podejrzewając wcale, jak ważne mają znaczenie. Zdania o naturze tych organów pojawiały się bardzo rozmaite. Zrazu widziano w nich chorobliwe narośle, wywołane przez owady, osobliwie grzyby, albo też nawet pęki podziemne. Później przyszły teorie, dopatrujące się w brodawkach następstw wtargnięcia do korzeni grzybów pasorzytnych. Przed ośmiu jeszcze laty zaczęły się rozpowszechniać poglądy, że brodawki są normalnymi utworami, w których rośliny motylkowe groma-

dzą zapasowe związki białkowate w postaci ciałek, podobnych kształtem do bakterii i stąd bakteroidami zwanych.

Dopóki nie wykryto, czem są istotnie brodawki dla roślin motylkowych, badania nad ich naturą nie budziły wielkiego zainteresowania. Dopiero zwrócenie uwagi na związek, jaki istnieje między brodawkami a przerabianiem wolnego azotu atmosferycznego, było niejako bodźcem, który odkrycie prawdy przyspieszył.

Beyerinck pierwszy przekonał się i dowiódł, że z zawartych w brodawkach tak nazwanych bakteroidów można wyhodować w odpowiednich pożywkach bakterie. Badacz ten dał im nazwę *bacillus radicicola*, czyli prątek korzeniowy, i orzekł, że te-to właśnie bakterie, zakażając korzenie, wywołują powstawanie brodawek.

Potrzebny krok naprzód zrobił wkrótce potem polski badacz, Prądzmowski, hodując groch w dokładnie wyjałowionym piasku i używając do zakażenia czystych kultur bakterii brodawkowych. Okazało się w tych doświadczeniach, że rośliny niezakażone nie wytworzyły brodawek na swych korzeniach i bez związków azotowych w ziemi nie mogły się obchodzić. Zakażenie natomiast wywołało powstanie brodawek i pozwoliło roślinom powiększyć znacznie ilość związków azotowych w porównaniu z zapasem, znajdującym się pierwotnie w wysadzonych nasionach.

Pomimo tego, że wszystkie badania, podejmowane przez licznych uczonych we wszystkich krajach, wskazywały, iż, dzięki symbiozie z bakteriami, mogą rośliny motylkowe żywić się azotem gazowym, do niedawna wciąż jeszcze podnoszono wątpliwości, czy tak jest w istocie. Dopiero ogłoszone w ubiegłym roku piękne prace Schloesinga i Laurent'a położyły ostateczny kres wszelkim powątpiewaniom. Uczni ci hodowali różne rośliny motylkowe w szklanych, szczelnie zamkniętych przyrządach i przekonali się, że rośliny, wykształcające brodawki, czerpały istotnie z powietrza azot gazowy. Co więcej, udało się im wykazać, że przybytek azotu związanego w wyhodowanych roślinach był prawie zupełnie równy ilości wolnego azotu, jaka z zamkniętego w przyrządach powietrza ubyła.

Assymilacja azotu gazowego przez rośliny motylkowe stała się zatem nareszcie faktem, o którym już wątpić nie wolno. Do przyszłości, może niezbyt odległej, należy teraz zbadać, w jaki sposób, dzięki pomocy bakterii, wolny azot wchodzi w połączenie z innymi pierwiastkami. Sprawa to bardzo ciekawa, bo azot, wedle orzeczenia chemii, jest pierwiastkiem, który się wobec innych biernie zachowuje i z trudnością daje się wciągnąć w połączenia. Czy w brodawkach same bakterie wolny azot assymilują, czy też są bodźcem, pobudzającym roślinę

do tej assymilacji, czy wreszcie wspólnie bezpośrednio działają—to jeszcze wielkie zagadki, czekające rozwiązania.

To tylko zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pomiędzy roślinami motylkowymi a wywołującymi powstawanie brodawek bakteryami istnieje symbiotyczny stosunek, polegający na wzajemnej wymianie usług.

Dla rośliny korzyści są widoczne i niezaprzeczone. Dzięki symbiozie, zdobywa sobie ona ważny pokarm, azot, ze źródła niedostępnego dla wyższych roślin, w których bakterye brodawkowe nie chcą się osiedlać.

Dla bakteryi z pozoru korzyści nie są tak wielkie. Mikroskop wykrywa jednakże, że brodawkowe bakterye, dostawszy się do młodych korzonków, bardzo szybko się mnożą. Widocznie zatem znajdują tam wszystkie warunki dobrego bytu. Roślina stara się, aby bakteryom nieźle się działo, pasie je, chcąc odnieść jak największą korzyść z ich ważnej pomocy.

O ile się zdaje, istnieją różne gatunki, czy odmiany bakteryi brodawkowych, właściwe rozmaitym roślinom. Powstały one prawdopodobnie wskutek wzajemnego przystosowania, tak, że obecnie pewne motylkowe rośliny tworzą na korzeniach brodawki tylko po zakażeniu specjalnymi ich bakteryami. Spostreżono np., że bakterye brodawkowe grochu nie wchodzą w symbiotyczny związek z korzeniami akacyi, i przeciwnie, bakterye akacyi zachowują się wobec grochu obojętnie. Musi więc w tej symbiozie istnieć jakaś nieznaną bliżej, wzajemna czułość.

Symbioza bakteryi z roślinami motylkowymi to jedno z najciekawszych i najważniejszych odkryć w dziedzinie fizjologii roślinnej pod koniec bieżącego stulecia. Ma ono znaczenie nie tylko ściśle teoretyczne, lecz również i praktyczne.

Każdy wie, jak ważnym pokarmem dla ludzi i zwierząt są materye białkowe, wytwarzane przez rośliny. Synteza ciał białkowych z prostych mineralnych połączeń może się odbywać tylko w roślinnych organizmach, obdarzonych zdolnością rozkładania kwasu węglowego. Do niedawna jeszcze sądzono powszechnie, że do tej syntezy konieczne potrzebne są dla rośliny związki azotowe. Tymczasem nauka wykrywa, że w pewnych warunkach wolny azot atmosferyczny może być w tym celu użytkowany. Z odkrycia tego mogą wypłynąć poważne korzyści. Związki azotowe znajdują się w przyrodzie w ilości ograniczonej—produkcya więc ciał białkowych we wszechświecie przez rośliny niemotylkowe musi mieć pewne naturalne granice. Rośliny motylkowe mogą się w pewnych warunkach żywić azotem gazowym, darmo dostarczonym przez przyrodę w niezmiernie wielkich ilościach. Stosując więc racjonalnie uprawę roślin motylkowych, można ziemię wzbogacać

w pokarmy azotowe, dla przeważnej liczby roślin uprawnych, np. zbóż, niezbędnie potrzebne, można zwiększyć produkcję materii białkowych, można zmniejszyć koszt tej produkcji. Fakta nowo odkryte muszą wpłynąć na zmianę systemu wyzyskiwania sił przyrodzonych przy produkcji rolniczej—z niezawodną korzyścią dla społeczeństw. Na drodze zastosowania nowych zdobyczy do praktyki jest jednakże jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

Żałować też trzeba, że dopiero w ostatnich latach zwrócono uwagę na stosunki, w jakich wyższe rośliny mogą w przyrodzie pozostawać z niższymi organizmami. Gdyby Boussingault zdołał być przewidzieć, assymilacja azotu gazowego przez rośliny stała-by się niewątpliwie faktem znanym za jego czasów. Tymczasem, nie znając zupełnie symbiotycznych skojarzeń, badacz ten hodował w swych doświadczeniach rośliny także i motylkowe w ziemiach wyżarzonych, zatem pozbawionych żywych organizmów i, rzecz prosta, w takich warunkach nie mógł odkryć u roślin zdolności żywienia się azotem atmosferycznym.

Do opisu symbiozy roślin motylkowych z bakteriami wypada dorzucić tu jeszcze jedną wzmiankę. Spostrzeżono w ostatnich latach, że pewne glony i pokrewne z bakteriami zielone sinice, żyjące na powierzchni ziemi, mogą się również żywić wolnym azotem. Spostrzegł to nasamprzód Frank, a stwierdzili we Francji Schloesing i Laurent. Czy w tym przypadku istnieje również jakaś symbioza z bakteriami, czy też zdolność przyswajania azotu gazowego jest tym zielonym niższym organizmom swoistą — to kwestya dotychczas stanowczo nie rozstrzygnięta.

Gdyby glony zawsze w przyrodzie azotem atmosferycznym się żywiły i mogły się bez związków azotowych obchodzić, to żyjące z niemi w porostach w symbiozie grzyby tem większą jeszcze korzyść znajdowały-by we wspólnem pożywciu. Za udzielaną glonom pomoc w zwalczaniu nieprzyjaznych zewnętrznych warunków bytu, w takim razie dostawały-by grzyby w zapłacie, oprócz materii organicznej, i pokarm azotowy.

III.

Narośle. Kwiaty i owady. Rośliny mrowiskowe.

W rozwidleniach gałęzi naszych drzew liściastych nieraz można dostrzedz obce młode roślinki, które w tem niezwykłym siedlisku wyrosły z nasionek przez ptaki przyniesionych. Agrest, bez lub słodkorusz często w ten sposób na wysokie pozycje się dostają i żyją tam, nie czyniąc drzewu żadnej szkody, dopóki nie zginą z braku pokarmów.

Taki sposób życia, przypadkowy u roślin zwykle w ziemi rosnących, jest normalnym dla roślinnych organizmów, nazywanych *epiphytami*, czyli naroślami, strojących pnie drzewne w lasach krajów górskich pięknym swym liściem lub kwiatem. Zamiast nagiej, obumierającej i spękanej kory, porostami lub mehem porosłej, rzucają się tam w oczy przepyszne paprocie, storczyki, begonie, kaktusy i filodendrony. Rosnące na cudzym gruncie rośliny tak już przywykły do swojej siedziby, że w ziemię nie dają się przesadzać.

Stosunek tych ciekawych tworów do gościnnego gospodarza jest zupełnie niewinny. To nie zielone jemioly, ssące soki z drzew naszych, ani też bezzieleniowe pasorzytne rafflezye i balanofory krajów podzwrotnikowych. To tylko rabusie—miejsca.

Narośle czepiają się zwykle silnie kory drzewnej za pomocą ściśle przylegających, rozplaszczonych korzeni, zrastających się z korą. Stąd mogą czerpać pokarm mineralny, nagromadzony w szczelinach kory w pyłe, lub z wodą od góry ściekający. Prócz tych czepiających się korzeni mnóstwo innych powietrznych wolno na dół się spuszcza. U storczyków na powierzchni korzeni znajduje się osłona, złożona ze specjalnie zbudowanych komórek, wysysających jak gąbka wodę deszczową lub parę wodną, która potem do tkanek korzenia przechodzi. W czasie posuchy te same osłony chronią korzenie przed zbytnią utratą wody. Niektóre z korzeni spuszczają się nisko, wrastają w ziemię i stamtąd mogą czerpać wodę i pokarmy mineralne. U innych znowu narosli, osobliwie żyjących w parnych gęstwinach, korzenie powietrzne pokryte są na końcach jakby aksamitną powłoką, utworzoną z gęstych delikatnych włosków, które z wilgotnego powietrza wsysają chciwie parę wodną i w ten sposób zaopatrują rośliny w potrzebną wodę. Posiadając w swych tkankach ciała zieleni, mogą narośle same syntetycznie materię organiczną tworzyć, więc drzewom, na których żyją, jej nie odbierają. Bez cudzej zatem krzywdy zajmują stanowiska, pozwalające lepiej wyzyskiwać promienie słoneczne, których energię zużywają przy produkcji ciał organicznych z atmosferycznego kwasu węglowego. To także pewien rodzaj wspólnego pożytku, — lecz tylko dla jednej strony korzystny.

Nadzwyczaj ciekawe zjawisko epifityzmu spostrzeżono w Brazylii. Na korze drzew żyją tam rośliny z rodziny ananasowatych, zwane *Tillandsia*. Liście tych narośli tworzą jakby zbiorniki, wypełniające się wodą, w której nurza się ciekawa roślina, zwana pływaczem (*Utricularia nelumbifolia*), o wielkich fioletowych kwiatach. Z jednej cysterny do drugiej przechodzą jej długie, łukowato wygięte pędy. Pływacz należy do rodzaju roślin owadożernych. Na łodygach jego znajdują się małe pęcherzyki, w które wpadają drobne zwierzątka wodnej fauny. Wstęp

mają wolny, lecz drogę do wyjścia zamkniętą; giną więc i idą na pastwę zarłocznej rośliny. *Tillandsia* w liściach swych dla siebie samej wodę zbiera. Pływacze z tego skorzystały i zdobyły sobie bezpłatne mieszkanie.

Epifityczny sposób życia zdarza się nietylko u roślin wyższych; więcej nawet niezawodnie przykładów można znaleźć w krainie roślin o niższym ustroju. W głębiach wód morskich pływają olbrzymie glony morskocynowate z rodzaju *Sargassum*, tworzące w swych splotach często nieprzebyte dla żaglowców ławice. Na nich osiedlają się dla wspólnej wędrówki podwodnej liczne mniejsze morskocyny i wspaniałe w kształtach krasnorosty, o żywej, krwistej, różowej lub fioletowej barwie, dające na swej powierzchni siedlisko dla niezliczonych zastępów okrzemków—drobniutkich glonów, których opadające na dno morskie pancerze zużytkowuje przyroda na budowę olbrzymich skał podwodnych. W wodach naszych jezior, stawów i strumyków mnóstwo również glonów żyje w formie narośli.

Małe glony wciskają się nawet do wnętrza tkanek większych roślin wodnych i błotnych. W rzęsach, pokrywających gęstym zielonym kożuchem powierzchnie bagnisk i stawów, odkryć można przy pomocy mikroskopu w przestworach międzykomórkowych małe jednokomórkowe zielenice, zwane *Chlorochytrium Lemnae*. Inne gatunki tegoż samego glonu żyją w tkankach liści mięty wodnej, firletek i szczywów. W liściach tojeści, dąbrówki lub traw znaleźć można zielone rozgałęzione wałeczki glonu *Phyllobium*. Sinice trzęsidłowe (*Nostoc*) osiedlają się w korzeniach sagowców lub liściach mechów. Drobnie te twory posadzano niegdyś o pasorzytne wyzyskiwanie goszczących je roślin—zupełnie niesłusznie. Korzystają one tylko z dogodnego schronienia, a pokarm same zdobywają i, dzięki posiadanym barwikom, same tworzą materię organiczną. Czy za gościnę nie potrafią się niczem wywdziękzyć—trudno orzekać na razie. Odkrycie u glonów zdolności żywienia się gazowym azotem nasuwa przypuszczenie, że najem może być opłacony dostawą pokarmu azotowego.

Co zastanawiać w tem wspólnem pożyciu musi, to staranie gościnnej rośliny o wygodę dla gościa, jakie się często spostrzedz daje. Ciekawe jest również, że w pewnych roślinach tylko właściwe im gatunki glonów szukają mieszkania. A są też rośliny, w których sinice są stałym gościem. Na gałązkach np. małego paprotnika, porastającego zwierciadła wód stojących, znajdują się małe wgłębienia, w których zawsze znaleźć można sinice, zwane *Anabaena*. Co za związek łączy te dwa roślinne twory—trudno odgadnąć.

Glony wodne i lądowe, co ciekawsze jeszcze, nietylko na obcych roślinach szukają wygodnego siedliska. Pewne gatunki znaleźć można

stale na zwierzętach. Skorupy mięczaków pokrywa często zielony nalot, złożony z glonowych komórek, wgryzających się w skorupę muszli. Na pancerzach żółwi europejskich zajmuje ruchome mieszkanie *Dermatophyton*. Skorupki podrównikowych ślimaków z rodzaju *Nenia* mają na powierzchni ciemnozielone plamy, utworzone z komórek glonów, nazwanych *Trichophilus*.

Podobnych przykładów można-by bardzo wiele przytoczyć. Nawet wielkie morskie glony często obierają sobie epizoiczne siedziby. Na chitynowych twardych powłokach raków morskich rosną wspaniałe morskocyny i krasnorosty. Wygodne to musi być dla nich siedlisko, bo tu rozrastają najraźniej, a gospodarzom swym muszą być użyteczne, bo kraby same szczypcami odcinają gałązki glonów i sadzą na własnych grzbietach. Prawdopodobnym celem tych dziwnych plantacyi jest — ochrona przed wrogami. Porosłe rozłożystymi glonami kraby łatwiej się mogą ukryć przed grożącym ich życiu nieprzyjacielem. Tak samo zielone naloty glonowe na skorupkach drobnych zwierząt niezawodnie pozwalają im łatwiej się chować wśród zieleni roślinnej.

Niezwykły objaw epizoizmu odkryto przed kilku laty na leniwcach, żyjących w parnych prastarych lasach Ameryki. W splekanych włosach tych zwierząt gnieźdzą się, osobliwie po stronie zwróconej do światła, drobne glony. Na jednym włosie można nierzadko znaleźć dwieście tysięcy egzemplarzy tych gości, barwiących włosy kolorem zielonym (*Trichophilus*) albo fioletowym (*Cyanoderma*). Rzecz bardzo ciekawa, że żyjących na leniwcach glonów nie napotyka się zgoła gdzieindziej.

Większe jeszcze daleko zdziwienie wywołuje widok drobnych jednokomórkowych glonów, żyjących w ciele wymoczków (*infusoria*), drobnych stulbi, wrotek (*vorticella*) i innych maleńkich przedstawicieli wodnej fauny. Znaleziono w nich barwne ciała i zrazu sądzono, że te żyjątka posiadają, tak samo jak i rośliny — zielen. Przypuszczenia te okazały się jednakże mylnymi. Nie ciała to są zieleni, ale — żywe maleńkie glony, które nawet mogą mnożyć się w ustroju swego gospodarza. W tem spostrzeżeniu dopatrują się niektórzy uczeni zjawiska symbiozy o obopólnej korzyści. Glony mogą użytkowywać do produkcji materii organicznej kwas węglowy powietrza. Można-by stąd wnosić, że pracują nietylko dla siebie, lecz i dla swych gospodarzy, którzy bez gotowego organicznego pokarmu nie mogliby żyć. Czy tak jednakże jest istotnie, trudno orzec stanowczo. Brandt podawał to jako fakt. Mniemał on nawet, że żywione przez glony ustroje zwierzęce żadnego stałego pokarmu nie pobierają. To się nie sprawdziło w obserwacjach późniejszych. Ale w czasach, gdy połów lichy, gdy żyć czem niema — może istotnie praca glonów wystarcza do wyżywienia

nie tylko gościa, lecz także i gospodarza. Przeciwno temu przypuszczeniu nie przemawia stanowczo, — a nawet są spostrzeżenia, które je popierają. Małeńki wymoczek, kęsus, nie krzywdzi swych gości, dopóki żyje na świetle. Trzymany jednakże w ciemności, szybko je trawi i wydziela niestrawne resztki.

Widać stąd, że na świetle glony są mu pożyteczne, a w ciemności nie przynoszą żadnej korzyści, lecz są tylko zawadą. A jaka może być różnica w zachowaniu się szukających gościnności glonów w ciemności i na świetle? Oświetlone promieniami słonecznymi — assymilują węgiel z kwasu węglowego, bez światła zaś nie mogą z tego materiału tworzyć substancji organicznej. Wtedy zapłata za najem ustaje, a niecierpliwy gospodarz swego lokatora zjada, gdy mu głód dokuczy. Być może jednak, że glony w ciemności same giną, a kęsus tylko ich trupy pożera.

Niektórzy biologowie w tej symbiozie przedstawiają trochę inaczej wzajemne usługi. Glony otrzymywać mają od swych gospodarzy schronienie i kwas węglowy, będący produktem ich oddychania, w zamian zaś oddają podtrzymujący oddychanie tlen, który na świetle, przy assymilacji węgla, odszczepiają od dostarczonego kwasu węglowego.

Jeżeli istotnie w tym przypadku zachodzi symbioza z wzajemną wymianą usług — to bardzo przypominała-by sposób życia porostów. Zwierzę i grzyby w jednakowy sposób wyzyskiwały-by pracę glonów. Nic w tem dziwnego, bo w sposobie żywienia się ustrojów zwierzęcych i grzybów niema zasadniczej różnicy.

W dziedzinie symbiotycznych związków pomiędzy roślinami i zwierzęcymi drobnotworami jest jeszcze wiele punktów ciemnych, dopominających się naukowego objaśnienia; ale istnienie wzajemnych stosunków jest najzupełniej prawdopodobne, — bo i pomiędzy większymi rozmiarem przedstawicielami flory i fauny dostrzedz można bardzo wiele objawów, dowodzących wielkiej zależności jednych od drugich, czyli wzajemnego przystosowania.

Tam, gdzie pozornie świata roślinnego nie wiąże żaden stosunek ze światem zwierzęcym, oko cierpliwego badacza odkrywa fakta, które budzą prawdziwy podziw. Patrzącemu na ćmy, motyle, muchy, chrząszcze lub pszczoły, a nawet drobne ptaki, żwawo uwijające się pośród różnobarwnych kwiatów, czy wpada w oko od razu pożytek, jaki te różnorodne stworzenia roślinom przynoszą? Celem bezustannej wędrówki z kwiatka na kwiatek wydaje się wyłącznie rabunek słodczy lub składanie jajek ku szkodzie rośliny. A jednak, gdyby nie pośrednictwo tych różnorodnych skrzydlatych gości, byłoby wykształcenie nasienia u wielu roślin zgola niemożliwym. Owady te na swych łapkach, czułkach, łebkach lub skrzydełkach przenoszą pyłek kwiatowy,

składają go na bliznach słupków i w ten sposób ułatwiają zapłodnienie kwiatów. Istnieją też w przyrodzie zdumiewające urządzenia, by owady do tego zajęcia zachęcić, pracę im ułatwić i miłą uczynić.

Zachwycamy się często pysznymi barwami kwiecica naszych pól, łąk i lasów. A czymże innym są te piękne barwy dla roślin, jak nie środkiem do zwrócenia uwagi owadów na czekające zapłodnienia kwiaty? Jaskrawe płatki korony lub listeczki kielichów odbijają na zielonym tle liści i zdaleka są dla owadów widoczne. Odwiedzające kwiatostany roślin owady są na barwy bardzo wrażliwe. Jedne kolory są im miłe i te ich przyciągają; od innych stronią. Dla pszczoł np. najwięcej ulubioną jest barwa fioletowo-niebieska, szkarłatna wcale ich nie przynęca. Taką wrażliwość na kolory odkryli u pszczoł zoologowie. I w istocie łatwo można dopatrzeć się, że pszczoły nie odwiedzają kwiatów czerwonych. Zdaje się, że ich poprostu wcale nie widzą, nie mając nerwów czułych na czerwone promienie światła słonecznego. Małe natomiast ptaszki zaoceanowe, kolibry, które również w zapładnianiu kwiatów pośredniczą, wabi barwa czerwona najsilniej. Kwiaty, w których przenoszą pyłek na blizny nocni pracownicy, są białe lub jasno-żółte i często tylko na noc się otwierają. Nasz piękny wiesiołek, zwany nocną świecą, ma blado-żółtą koronę. Królowa nocy, meksykański kaktus, rozwija pod wieczór swe olbrzymie, mające do 20 centymetrów w średnicy, krótkotrwałe kwiaty o jasnych świecących barwach, wyraźnie odbijających na ciemnym tle zmroku. A dlaczego u nocnych kwiatów tylko jasne barwy widzimy? Objaśnienie bardzo łatwo się znajdzie: w ciemnościach nocy tylko jasne kolory mogą być widzialne i ściągać szukające żeru owady.

A odurzająca woń, którą tyle kwiatów z siebie wydziela i powietrze napawa, czyż ma inne zadanie, jak przynęcanie stworzeń skrzydlatych, by pyłek z kwiatu na kwiat przenosiły? Kwiaty, nocą przez owady opylane, o ciemnych, niewidocznych koronach lub kielichach, tylko zapachem wabią do siebie owady. Bardzo wiele roślin wydziela z swych kwiatów dla ludzi wstrętny odór, przypominający wonie, rozchodzące się z gnijących szczątków roślinnych lub zwierzęcych; kwiaty takie opylają owady, żywiące się lub mnożące w padlinie, które najłatwiej przywabić zapachem, dla człowieka odrażającym.

Inne znowno rośliny ściągają do swych kwiatów owady, ofiarując im na noc lub słońce dogodne schronienie. Korona tworzy wówczas zamkniętą komorę, do której dostać się owadom łatwo, lecz często uciec niepodobna, dopóki roślina sama wyjścia nie otworzy. A niewola dopiero wtedy się kończy, gdy pylniki dojrzeją i zamknięci więźniowie obfitą ilość pyłku na siebie do transportu naładują. W takich zamkniętych kwiatkach, wskutek silnego oddychania, temperatura znacznie się

podnosi, czasem o 5 do 10° po-nad ciepłotę otoczenia. Lokal jest więc opalany i ciepłem swem również zachęca owady do schronienia się czasowego. Często też w większych kwiatach dużo się ich gromadzi. W wiedeńskim ogrodzie botanicznym rozcięto jeden kwiat rośliny, należącej do rodziny obrazkowatych (*Arum conocephaloides*), — i ujrzano wylatujący cały rój drobnych czarnych muszek. Inny kwiat rozcięto po zanurzeniu w spirytusie, i obliczono, że wciął w sobie blisko tysiąc owadów.

Silnie działającą przynętą dla owadów odwiedzających kwiaty są również miodniki, wydzielające słodkie przysmaki. Darmo ich jednakże kwiaty nie rozdają, lecz tylko niejako w nagrodę za przenoszenie pyłku. Badając też dokładniej budowę kwiatów, mających miodniki, odkrywamy zadziwiające urządzenia, które zmuszają owady szukające smacznego żeru do zetknięcia się z pylnikami, zabrania pyłku i do złożenia go na słupkach innych kwiatów. Znajdziemy w nich również dowcipne przeszkody, utrudniające rabunek miodu tym owadom, które nie są zdolne pracować przy przenoszeniu pyłku zapładniającego, ani dosyć szybko, ani też dosyć skutecznie. Co więcej — w spostrzeżeniach nad budową kwiatów różnych roślin, jak również nad kształtami tych zwierzęcych tworów, które im najdzielniej dopomagają do wykształcenia nasienia, dojść musimy koniecznie do przekonania, że wzajemne przystosowania, tak pod względem zewnętrznych form, jak i pod względem sposobu życia, rzeczywiście w przyrodzie istnieją, — nawet u tworów, które na drzewie genealogicznem stoją tak daleko od siebie, jak wyższe rośliny i — zwierzęta o doskonalszym ustroju.

Osobliwą różnorością urządzeń, ułatwiających zapłodnienie przez owady, odznaczają się kwiaty naszych krajowych i zamorskich storczyków. U wielu, np. u pospolitego u nas *Epipactis*, ziarenka pyłku są zrosłe w małe maczużki, których dolne końce czepiają się małego ciałeczka (*rostellum*), wydzielającego lepka masę. Gdy owad szuka w kwiatach miodu, ciało to przylepia się na jego łebku. Opuszczając kwiat, wyciąga owad z pylników obie maczużki lub tylko jedną i na swej głowie na bliźnę innego kwiatu przenosi. Taka jest ogólna zasada urządzeń, które w szczegółach bardzo się różnią, zależnie od form owadu, który pyłek zwykle przenosi. Tak np. są storczyki, z których bąki wnoszą maczużki pyłkowe na swoich brzuchach. W kwiatach tojeści znowu pozrastale w różki pyłki łączą po dwa szczypczyki, czepiające się nówek owadów. Budowa zaś kwiatów jest taka, że owad, szukający miodu, pyłek na nogach wnosi i, przeniósłszy się na drugi kwiat, składa odczepiające się ze szczypców maczużki na bliźnie.

Zadziwiające prawdziwie są także środki, które roślinom służą do rozrzućania pyłku w chwili, gdy owad na ich kwiatach zagości.

U berberysu najłżejsze podrażnienie nitki pręcików wywołuje ich szybki ruch, przyczem pylniki uderzają w ciało drażniącego owadu i obsypują go pyłkiem. U opuncyi pręciki, dotknięte przez pszczołę zbierającą miód, wnet łukowato się zaginają, zlekka w nią stukają pylnikami i pyłkiem ją pudrują.

Pomysłowość przyrody jest istotnie w urządzeniach ułatwiających opylanie kwiatów—niewyczerpaną. Kilka podanych wyżej przykładów może wystarczy, by przekonać, jak zajmująca to dziedzina dla naukowych dociekań. Jak olbrzymi jest jej obszar, świadczy wymownie fakt, że zbadane dokładniej stosunki pomiędzy kwiatami i owadami dały Muellerowi obfitą treść do napisania wielkiego dwutomowego dzieła.

Na zakończenie uwag o pomocy, jaką otrzymuje królestwo roślinne przy wykształcaniu nasienia od świata zwierzęcego, wypada nam jeszcze dodać, że nawet, jak się zdaje, duże zwierzęta ssące ułatwiają przenoszenie pyłku. W Nowej Hollandyi znaleziono ciekawą roślinę krzewiastą, nazwaną Dryandra, której kwiatki są osadzone na brzegu jakby kubka. Wydzielająca się z kwiatków ciecz, przypominająca zapachem kwaśniejącą śmietankę, spada kroplami na dno. Otwór górny kubeczków ma cztery centymetry w średnicy, jest więc tak obszerny, że kangury mogą dogodnie wsuwać tam swe pyszczki i zlizywać pożywny płyn, na dnie zebrany. Pylniki sterczą w kwiatkach ku wnętrzu kubka jakby szpiiki, kiedy więc zwierzę pyszczek wsuwa, z pylników zabiera obfitą ilość pyłku i w innych kubkach opyla nim blizny słupków żeńskich. Pomiar wysokości krzaków oraz kształtu i wielkości kubków, porównane ze wzrostem oraz formą pyszczek kangura, uprawniają rzeczywiście przypuszczenie, że w tym przypadku istnieje pewne przystosowanie. Niemożliwem to nie jest. Ale nigdzie łatwiej o pomyłkę, jak w badaniach nad przystosowaniem roślin do zwierząt, i trudno zaręczyć, czy fantazyja podróżników nie odbiega niekiedy zanadto daleko od rzeczywistości.

Wśród stosunków, które łączą z sobą świat roślinny i zwierzęcy, do najbardziej zajmujących należą jeszcze przysługi, jakie pewnym roślinom oddają mrówki. W południowej Ameryce, Azji i Afryce rosną drzewa, u których w kłodzinach, gałęziach lub liściach znajdują się komory, pełne zazwyczaj mrówek. Oprócz schronienia znajdują w tych roślinach mrówki i obfity pokarm. Na dolnej powierzchni ogonków liściowych, albo też na końcach listków tworzą się drobne ciała, zawierające obficie materje białkowe i tłuszcze. Ciałek tych mrówki szukają i zbierają je skrzętnie. Ani mieszkania, ani żywności nie udziela gościnną rośliną za darmo. Wynagrodzeniem, jakie za to odbiera, jest ochrona przed innymi gatunkami mrówek, które żarłocznie

tną liście. Mrówki broniące są nadzwyczajnie czujne. Najlżejsze dotknięcie drzewa wywabia je z kryjówek. Zbiegają się natychmiast, stają w obronnej pozycji i napastnika odstraszą lub mordują. Jeden z podróżników po Afryce opowiada ciekawe z mrówkami spotkanie. Płynąc łódką, spostrzegł na brzegu gałęzie drzewa, okryte obficie kwiatem i zwieszające się po-nad wodę. Zaciekawiony podpłynął pod drzewo w celu odłamania gałęzi. Zdobycz jednakże była opłaconą dotkliwym bólem, gdyż z drzewa wstrząśniętego spadł jakby deszcz maleńkich mrówek, które siedzących w łódce żeglarzy boleśnie pokłóły.

Ciekawe te rośliny, mające w swych organach istne mrowiska, wielu uczonych pilnie już badało. I trudno wątpić, że pomiędzy mrówkami a roślinami, dającymi im schronienie, istnieje pewien rodzaj symbiozy. Obrona mrówek jest bardzo pożyteczną, bo w miejscowościach, gdzie rośliny mrowiskowe rosną, pełno mrówek niszczących liście. Spostrzeżono też, że drzewa, które niczem nie zdołają przyciągnąć mrówek obrończych, są narażone na wielkie szkody. Tymczasem na roślinach bronionych przez mrówki nie widać wcale szkodników. Za dzielną obronę muszą one mrówkom sprzyjać, więc je nazwano *plantae myrmecophilae*, czyli roślinami mrówkolubnymi.

Występujące w obronie roślin mrówki można widzieć nietylko w krajach podzwrotnikowych. W południowo-zachodniej Europie na koszyczkowatych kwiatostanach wielu roślin z rodziny złożonych (compositae) siedzą mrówki, broniące kwiaty przed żarłocznością pewnych chrząszczy. Zanim kwiat się rozwinie, z łuskowatej okrywy wycieka słodki sok, który mrówki przynęca. Siedzi ich wtedy po kilkanaście na jednej główce kwiatowej i gdy chrząszcz nadlata, stają na tylnych nóżkach w nieprzyjaznej postawie, odstraszając nieprzyjaciela przedniemi odnogami, kęsającemi szczękami i gryzącym kwasem mrówkowym, który z siebie wydzielają. W miarę rozwijania się główki kwiatowej wydzielanie cukrowej przynęty słabnie, a zupełnie wreszcie ustaje, skoro tylko kwiatki koszyczka zaczynają się otwierać. Wówczas są już bezpieczne przed chrząszczami i obrońców się pozbywają.

Opisane w krótkości tajemnice przyrody starczą może za dowód, jak dalece wszystko, co żyje w przyrodzie, pozostaje we wzajemnej od siebie zależności. Indywidualny byt jest tylko pozornym. Gdy się dokładniej zjawiska bada, wszędzie widzi się zawisłość i wzajemną wymianę usług. W stopniu tylko zależności mogą zachodzić bardzo znaczne różnice. Na jednym krańcu można postawić te drobne przystosowania, których znaczenie bywa często trudne do wyjaśnienia a nie-rzaz z pozoru zupełnie błahe; na krańcu przeciwnym stoją te skojarzenia, w których wymiana usług ciągle stała się tak niezbędną, że po

rozłączeniu zjednoczonych staje się ich byt albo bardzo trudnym, albo wprost niemożliwym.

Takie ściśle skojarzenia określaliśmy mianem symbiozy, niezupełnie zgodnie z pojęciem obszerniejszem, jakie temu terminowi nadał De Bary. Badacz ten proponował objęcie pod wyrazem symbioza wszystkich zjawisk wspólnego istnienia, dających się spostrzegać w przyrodzie między różnorodnymi organizmami. Dla De Barego symbiozą było zarówno zespolenie się ustrojów z wzajemną wymianą usług, jak i napastnicze osiedlenie się jakiegoś ustroju w drugim, w celu samolubnego wycisku, często kończącego się zgubą. Stosownie do tego wyróżniały się dwie skrajne formy symbiozy: mutualistyczna i antagonistyczna. Zoolog Van Beneden, zajmujący się objawami symbiotycznych związków w świecie zwierzęcym, oprócz mutualizmu i parazytyzmu, odróżniał jeszcze trzecią formę symbiozy, mianowicie kommensalizm. Tu były zaliczone także w świecie zwierzęcym napotykanne skojarzenia dwóch różnych istot, w których jedna żywi się i żyje na koszt drugiej, nie sprawiając jej żadnej szkody.

Bezowocnym byłby na teraz spór, co jest właściwsze: czy uważać symbiozę jako ogólne pojęcie, obejmujące w sobie wszystkie zjawiska łącznego istnienia, a zatem tak mutualistyczne jak i pasorzytne, — czy też symbiozę przeciwstawiać jako równorzędne pojęcie pasorzytnemu życiu. Ścisła klasyfikacja będzie możliwą i pożyteczną dopiero wówczas, gdy postępująca nauka zdoła głębiej niż dotychczas wejrzeć w stosunki łączące ustroje w czasie wspólnego pożycia. Dziś trudno jeszcze bardzo określić nieraz granice, gdzie się kończy mutualistyczna wymiana usług a zaczyna rabunek pasorzytny.

Obecnie nazwa symbioza najczęściej bywa używaną dla określenia skojarzeń z widoczną wzajemną zamianą przysług. I my też poszliśmy za większością. Istotnie przeciwstawienie symbiozy napaściom pasorzytnym wydaje się naturalniejszym i więcej odpowiadającym znaczeniu słowa, niż uważanie za rodzaj symbiozy czyli wspólnego pożycia takiego stosunku, w którym jeden organizm działa widocznie na szkodę drugiego, nie przynosząc mu żadnej korzyści.

Gdyby szło koniecznie o stworzenie terminu dla ogólnego pojęcia, to może nawet odpowiedniejszym byłby — parazytyzm. Parazytyzmem jednostronnym byłaby w takim razie antagonistyczna symbioza De Barego i Van Benedena, obustronnym zaś, czyli wzajemnym — nasza symbioza mutualistyczna.

Wiedza prawno-ekonomiczna

na zjeździe naukowym.

Praca zbiorowa stała się jednym z haseł naszej epoki. Opanowawszy wszystkie inne dziedziny, objęła ona także pole właściwej nauki. Stowarzyszenia i akademie, poświęcone szukaniu nowych pewników i popularyzowaniu dawnych zdobyczy, rozpostarły się po całym obszarze cywilizowanego świata. Uczeni, nie poprzestając na tem, zapragnęli bliższych stosunków z towarzyszami, rozproszonymi po odległych siedliskach nauki. Zjazdy i kongresy naukowe, łączące na dni kilka ludzi, którzy znali się tylko z imienia, stały się od jakiegoś czasu nieodzowną potrzebą, odczuwaną przez wszystkich pracowników na tej niwie. W najrozmaitszej formie odbywają się one co rok we wszystkich krajach. Jedne z nich zgromadzają szersze koła ludzi, interesujących się jakimś wielkim odłamem wiedzy, inne skupiają specjalistów, pracujących w ściśle określonym kierunku. Na jednych przeważa charakter naukowy, inne mają bardziej towarzyskie zabarwienie. Pewne rysy ogólne są wspólne wszystkim.

Czy zjazdy te odpowiadają celowi? Zdaje nam się, że na pytanie to można dać bezwarunkowo odpowiedź twierdzącą, jeżeli tylko będziemy umieli poskromić wygórowane wymagania i nie będziemy od zjazdów żądali tego, czego dać nie mogą. Pogodzić się trzeba z faktem, iż uczony, któremu udało się zebrać plon swej pracy, nie będzie w prze-

ważnej ilości wypadków czekał kongresu lub zjazdu, by na nim wyniki badań odsłonić przed światem. Zjazdy nie mogą wywoływać rewolucyjnych przewrotów w nauce i wywoływać ich nie powinny. Pogodzić się trzeba i z tem, że na posiedzeniach zjazdowych nie zasiadają sami tylko koryfensze, sami przodownicy na niwie umiejętności ścisłych. Podwoje sal kongresowych otwarte są dla wszystkich, którzy do prac na tem polu w jakimkolwiek pozostają stosunku. Organizatorowie zjazdów starają się gromadzić w jednym punkcie jak najszersze koła. Prawo zabierania głosu służy nie tylko pierwszorzędnym znakomitościom. Zamknięcie się w szczupłym gronie, przyczyniające się niewątpliwie do podniesienia poziomu naukowego, sprzeciwiało-by się jednemu z głównych celów.

Pobłażliwym wszakże być trzeba i na to, co się pospolicie marnowaniem czasu nazywa. Kto wyobraża sobie, że zjazdy mają podawać ludzkości nieznane przedtem prawdy naukowe, ten wymaga od członków zjazdu, by czas, spędzony wspólnie, poświęcali uczonej naradom, a chwile między posiedzeniami obracali na rozpamiętywanie rozpraw poprzednich i przygotowywanie się do nowych. W rzeczywistości mamy przed oczyma obraz odmienny. Zjazd jest dla przeważnej części uczestników porą wytchnienia. Urok, jaki go otacza, polega na możności spotkania się z ludźmi, których nazwisko świat naukowy ceni, usłyszenia ich poglądu na kwestye, będące na dobie, na możności przysłuchania się polemice pierwszorzędnych siłaczy naukowych, a wreszcie na osobistem, towarzyskiem i poufałym zetknięciu się z nimi. Dla ludzi, którzy, przybywając na zjazd, oderwali się od ciężkiej pracy, dla tych wszystkich, którzy zjazdowi poświęcają dnie, przeznaczone zazwyczaj na wypoczynek, przyjemność ta zamieniła-by się w ciężki i zmuśny obowiązek, gdyby, dla dogodzenia zdaniu surowych krytyków, cały czas, we wspólnym spędzonym gronie, miał upływać na rozmyślaniach i nauce. Grono uczestników zmniejszało-by się za każdym razem, a kto wie, czy kiedyś nie stopniało-by zupełnie.

Jeżeli dla licznych gości, gromadzących się pod sztandarem zjazdu, pojętnem jest spędzenie dni kilku obok ludzi, ogarniających myślą najnowsze zdobycze wiedzy, to nie bez pożytku dla samej nanki jest zaiste spotykanie się i zaznajamianie samych przodowników. Skutki takiego poznania mogą kiedyś, niespodzianie, po wielu dopiero latach wyjść na jaw. Nie tylko ci, którzy podczas rozpraw zjazdowych staczali z sobą spory, ale i ci, którzy, nie zabierając wcale głosu, zetknęli się przy wspólnym stole, lub w poufnej między posiedzeniami rozmowie znaleźli sposobność zawarcia bliższych stosunków, odnawianych na zjazdach następnych, zawdzięczają takiemu spotkaniu niejedną

podnieść do pracy, wyjaśnienie niejednej wątpliwości, usunięcie niejednego uprzedzenia.

Ale zbyt skromnie oceniali-byśmy dobre strony zjazdów, gdybyśmy poprzestali na tem, co powiedziano powyżej. Zjazd, nęcący gości z dalekich stron, spełnia ważne posłannictwo przez popularyzowanie nauki. Wśród ciężkiej walki o chleb powszedni, wśród otoczenia, niedostępnego dla idealniejszych pobudek, zdala od ognisk życia umysłowego, zamiera zwoła zapał do poważnych studyów. Ręka coraz rzadziej sięga do półki z książkami, oko coraz obojętniej przegląda karty, myśl coraz chętniej odbiega od poważnego przedmiotu. Ale gdy traktat naukowy nie może już przykuć umysłu, podbija go i zniewala żywe słowo, wypowiedziane na kongresie. Dokoła ludzi, którzy zasilają zjazdy swemi pracami, wytwarza się sfera słuchaczy, rozpraszająca się po każdym zjeździe, by się za lat parę zjechać na nowo. To wciąganie szerokich kół w życie umysłowe, to utrzymywanie i odświeżanie atmosfery naukowej, która odżywia i najdalsze kręgi, jest może największą zjazdów zasługą.

Zjazd, obliczony na liczny udział i poświęcony całej wielkiej dziedzinie wiedzy, jakim był trzeci zjazd ekonomistów i prawników polskich, który we wrześniu roku bieżącego odbył się w Poznaniu, musi z natury odpowiadać wszystkim tym celom. Obok wykładów, mogących zainteresować cały mniej więcej ogół wykształcony, widzimy na zjeździe referaty o bardzo specjalnych kwestiach, których ważność oceniają tylko ludzie, oddani pracy zawodowej. Obok informacji o rzeczach nowych, spotykamy się z zasadniczymi dyskusjami nad tematami, nad którymi od lat wielu w świecie naukowym toczą się spory. Chcąc każdego z licznych gości zająć, należało pomyśleć o obfitej zastawie. Że zastawa ta obejmowała rzeczy rozmaitej wartości, nikogo dziwić nie może. Żałować tylko wypada, że niektóre nader zajmujące referaty nie mogły już przyjść na porządek dzienny i że uczestnicy zjazdu, pomimo, iż codzień po kilka odbywało się posiedzeń, rozjechać się musieli, nie wyczerpawszy całkowicie programu.

Na posiedzenia ogólne, na których obok stałych uczestników zjazdu i grona gości zgromadzał się także niemały poczet pań, starano się wybierać wykłady, mogące jak najszersze koła słuchaczy zająć swą treścią.

Przedmiotem wykładu pana Alfonsa Parczewskiego był przemysł domowy. Przemysł ten, zdaniem prelegenta, mógł-by stać się prawdziwym dobrodziejstwem dla tych okolic Księstwa Poznańskiego, które nie dostarczają ludności odpowiedniego zajęcia w domu. Ludność, szukająca zarobku, udaje się w głąb Niemiec, tracąc czas na włóczędztwo i z małym nieraz powracając zarobkiem. Z powodu, że wiel-

ka jej część zwraca swe kroki ku prowincyi saskiej, ochrzczono te wędrownie żywioly pogardliwem mianem obieżysasów. Zwrócenie tych właśnie rąk ku przemysłowi domowemu jest celem, który społeczeństwu miejscowemu wskazał p. Parczewski.

Dzieje przemysłu domowego, dziś już dosyć dokładnie zbadane, uczą nas, iż przemysł ten wszędzie, gdzie jakaś zewnętrzna siła nie wycisnęła na nim piętna, rozwijał się według tych samych prawideł i te same przechodził koleje. Z pierwotnej formy, która przedstawia się jako produkcya domowa na potrzebę domową, rozwinęła się następna faza przemysłu w postaci produkcji domowej na potrzeby wsi, gminy, parafii. W miarę doskonalenia się podziału pracy wyrabiają się w przemyśle domowym specjalności. Jedna rodzina zaspakaja swoje potrzeby wyrobami drugiej. Proces ten przechodzi wszystkie stopnie rozwoju. Pojedyncze gałęzie przemysłu rozwijają się w różnych okolicach. Powstają całe kolonie przemysłowe. Wyroby, przeznaczone pierwotnie na potrzebę domową, idą teraz w dalekie strony. Producenci nie mogą się zajmować sprzedażą. Wytwarza się osobna warstwa producentów-handlarzy. Pracownicy muszą produkować na zapas, muszą zaopatrywać się w zapas surowego materiału, za który trudno im płacić gotówką, gdyż sprzedaż gotowego towaru odbywa się powoli i w stronach odległych. Jako naturalne następstwo tego stanu rzeczy wytwarza się potrzeba kredytu. Potrzeba ta wzrasta z postępem techniki. Robotnik musi nabywać coraz lepsze narzędzia, za które nie może płacić gotowizną. Chwila ta bywa w dziejach każdego przemysłu chwilą przełomu. Jeżeli pracownicy nie zdołali za pomocą stosownej organizacji otworzyć sobie źródeł kredytu i ująć handlu gotowym towarem we własne ręce, handlarz staje się panem sytuacji. Przez zaliczki, udzielane na towar, przez dostarczanie surowego materiału i potrzebnych narzędzi po cenach dowolnych ujarzma on producentów. Przemysł domowy wchodzi w nową fazę, staje się produkcją na cudzy rachunek.

Nie jest to jeszcze ostatnie ogniwo w tej ewolucyi ekonomicznej. Jeżeli ze zmianą warunków produkcya drobna traci rację bytu wobec produkcji fabrycznej, a przedsiębiorca rozporządza dostatecznym zasobem środków materialnych, z handlarza-pośrednika staje on się fabrykantem, a rzesza pracowników, tracąc resztę niezależności, zamienia się w falangę robotników fabrycznych.

Okoliczność, iż przemysł domowy znajduje się w różnych krajach na rozmaitych stopniach rozwoju, sprawiła, iż, jak to prelegent słusznie zaznaczył, definicya przemysłu tego u pisarzy różnej narodowości bywa rozmaita. Podczas gdy np. w Rossyi i na Węgrzech rozumieją przez tę nazwę dodatkowe zatrudnienie rolnika, określają tem mianem w Niemczech produkcję na rachunek cudzy. Nie należy atoli sądzić,

źby wszyscy pracownicy domowi zamienili się w państwie niemieckiem w robotników, produkujących z cudzego materiału za pomocą cudzych narzędzi. W Prusiech Wschodnich, na Szląsku Górnym, lub wreszcie na pograniczu Szląska i Czech istnieje jeszcze gdzieś przemysł domowy w swej właściwej postaci.

Nakreśliwszy szczegółowo historię tego przemysłu w Niemczech, przyczem żałować wypada, że obok tego nie znaleźliśmy opisu stosunków, bliżej nas obchodzących, przedstawił prelegent jego położenie obecne. Zależność przemysłowców domowych od przedsiębiorców jest głównym złem, przygniatającem tę gałąź produkcji. Przedsiębiorcy dostarczają surowego materiału po cenach zbyt wysokich, a przyjmują towar gotowy w cenie niesłychanie niskiej. Zarobki zniżają się skutkiem tego nawet tam, gdzie się cena towaru w handlu nie zniżyła. Obok takich objawów spotykamy okolice, w których przemysł domowy nędzny wiezie żywot z powodu współzawodnictwa przemysłu fabrycznego. Stąd wynika niżenie poziomu materialnego tej gałęzi pracy na Szląsku, w Turynii i w innych stronach Niemiec. Zapatrując się na smutne położenie tkaczy w Sudetach, lub robotników, wyrabiających zabawki w Sonnebergu, zwątpili niektórzy ekonomiści o żywotności tej formy produkcji, uważając ją za przestarzałą i nieodpowiadającą dzisiejszym warunkom ekonomicznym. Zdanie to jest wyparciem się tego, co utrzymywali dawniejsi nieco pisarze, widzący w przemyśle domowym ideał niezawisłości moralnej i materialnej robotnika.

P. Parczewski obiera drogę pośrednią. Zależność od przedsiębiorcy nie jest według niego właściwością przemysłu domowego, lecz wspólnym znamię wszystkich rodzajów przemysłu, jest to bowiem zależność pracy od kapitału. Jeżeli prawa fabryczne ochraniają poniekąd robotnika fabrycznego, to w drodze prawodawczej można-by obmyślić stosowną obronę i dla przemysłu domowego. Stowarzyszenia produkcyjne i spółki handlowe wiele zdziałać mogą, a w tym właśnie kierunku za mało było usiłowań. Zapewne, że niektóre działy ostać się nie mogą wobec współzawodnictwa maszyn; są natomiast inne gałęzie, zwycięsko opierające się takiej konkurencji. Delikatność wyrobu, różnorodność towaru, lub zmieniający się według sezonowej mody charakter wyrobów, potrzebują ręki ludzkiej do wykończenia. Zdaniem prelegenta mogły-by mieć, w razie stosownej organizacji, zapewnioną w Niemczech przyszłość: tkactwo jedwabne, wyrób zabawek dziecięcych, fajek, koszyków, dywanów, różnych towarów papierowych i galanterijnych.

Jeżeli w rozwiniętych ekonomicznie prowincjach Niemiec spór o wyższość tej lub owej formy produkcji przemysłowej może mieć praktyczne znaczenie, to traci on je w znacznej mierze na gruncie poznań-

skim, na którym wogóle przemysł słabo się krzewi. Pod względem przemysłu Poznańskie i Pomerania zajmują ostatnie miejsca w monarchii pruskiej. Brak odpowiednich zarobków sprawia, że co rok dziesiątki tysięcy ludności wielkopolskiej wychodzą w poszukiwaniu pracy na letnie wędrowki w głąb Niemiec. „Obieźysasi“ wynoszą się z kraju dlatego, iż zarobku na miejscu znaleźć nie mogą. Związek między wędrowkami obieźysasów a brakiem przemysłu uwydatnia się w tem, iż w okolicach, w których założono cukrownie, zmniejszyło się natężenie ruchu wychodźczego. Lekarstwa na zło, tkwiące w takich wędrowkach, można zatem szukać jedynie w ożywieniu przemysłu.

Wytworzenie produkcji fabrycznej nie jest zależnem od dobrej woli społeczeństwa. Natomiast obudzenie tej lub owej gałęzi przemysłu domowego, nie wymagające zbyt wielkich nakładów, jest zadaniem, którego mogą się podjąć pewne koła społeczne. Przykład innych, bardziej rozwiniętych prowincyi, poucza, że pokonana w nauce zasada *laissez faire, laissez passer* i tutaj stosowaną być nie powinna, że pewna opieka i troskliwość przydać się mogą. Za wzór, godny naśladowania, stawia prelegent stowarzyszenia, założone na Szląsku: jedno w Tenczyńsku, drugie obejmujące powiat Toszecko-Gliwicki.

Jeżeli zatem działalność tego rodzaju pożyteczną jest w prowincjach, posiadających stare tradycje przemysłowe, to tem bardziej pożyteczną jest w Poznańskim, gdzie chałupnik wiejski po ukończeniu robót w polu nie znajduje innego zarobku. Zarobek ten wystarcza mu na rok cały. Zmuszony szukać pracy po-za domem, rusza nad brzegi Elby, gdzie praca na roli sowiej bywa opłacana. Grosz, zebrany tam, pozwala mu próżnować przez całą zimę, a brak jakiegokolwiek wykształcenia rzemieślniczego nie daje mu nawet myśleć o porzuceniu bezczynności.

Lecz i los mieszczan po małych miasteczkach wymaga pewnej opieki. W wielu miejscach istniały niegdyś zaczątki, które, pozbawione kierunku i wyższych technicznych udoskonaleń, upadły. Tak na przykład w Książu jeszcze do r. 1848 istniało gwoździarstwo. Dziś potomkowie dawnych rękodzielników wędrują do Saksonii. Takich przykładów przytoczyć można-by więcej.

Wykład swój zakończył prelegent wnioskiem, by osoby, którym los warstw pracujących leży na sercu, zajęły się założeniem w Książu Poznańskim Towarzystwa popierania przemysłu domowego. Zadanie tej instytucyi będzie podwójne. Ma ona stwarzać lub ożywiać różne gałęzie przemysłu, posiadające dostateczną siłę żywotną i mogące liczyć na odpowiedni pokup, z drugiej zaś strony—krzewić wśród ludności rolniczej zajęcia dodatkowe, zapewniające rolnikowi zarobek wśród długich miesięcy zimowych.

Zjazd poparł przez aklamację ten wniosek p. Parczewskiego.

W inną dziedzinę przeniósł słuchaczy trzeci odczyt, wygłoszony na posiedzeniu ogólnem. P. Konic obrał sobie przedmiot z zakresu prawa publicznego. Mówiąc o „Parlamentaryzmie i gminie,“ starał się prelegent nakreślić nie tylko obraz stosunków dzisiejszych, ale zarazem wskazać drogę, po której jego zdaniem kroczyć będzie ewolucya ustroju wewnętrznego w państwach konstytucyjnych. Potoczysta forma wykładu i zapał, z jakim mówca swe przekonania wypowiadał, stanowiły niepospolitą okrasę tej prelekcji. Jeżeli po wysłuchaniu jej nie wszystkie twierdzenia można było uznać za udowodnione dostatecznie, to z drugiej strony przyznać trzeba, że zainteresował on w wysokim stopniu całe zgromadzenie i wzięł niepodzielnie jego uwagę.

Dzisiejszy stan parlamentaryzmu stał się, według słów prelegenta, powodem wielu rozczarowań. Egoizm stronnictw, chciwość jednostek, zaślepienie i naiwność kół wyborczych sprawiają, że rządy konstytucyjne utraciły znaczną część dawnego uroku. Wadliwości dzisiejszych parlamentów wynikają ze składu tych ciał. Skład ten zależy od rezultatu wyborów. Gdzie zaś wyborami kieruje nie wzgląd na dobro państwa, lecz namiętność stronnicza, lub uganianie się za groszem, rozrzucanym szczerą dłońią kandydata, tam praca parlamentarna nie może zdrowych wydawać owoców.

Zdaniem p. Konica, niewiele jest nadziei, iżby masy ludności, wybierające posłów do parlamentu, rychło nabrały przekonania, że każdy wybór niewłaściwy im samym wyrządza szkodę. Sprawy, traktowane w izbach, wydają się częstokroć wyborcom zbyt odległemi, zbyt oderwanemi od ich codziennego życia, by oddanie mandatu w ręce mniej godne miało być uważane za czyn występny. Inaczej przedstawia się rzecz w obrębie gminy. Każda sprawa, wnoszona na radę gminną, czy na zgromadzenie gminne, dotyczy bezpośrednio jej członków. Kontrola nad reprezentantami gminy łatwiejszą jest, niż kontrola nad członkami parlamentu. Stąd wniosek, że wybory do reprezentacji gminnej dają kandydatom zasłużoną większą rękojmię zwycięstwa, niż wybory do ciał prawodawczych. Gdyby zatem punkt ciężkości przeniósł się w części z parlamentu do zgromadzeń i rad gminnych, społeczeństwa europejskie uleczyły-by się z wielu chorób, wywołanych przez wypaczenie zasady parlamentaryzmu.

Prelegent dostrzega już dziś wiele oznak, zapowiadających zwrot w tym kierunku. Gmina wzmogła się i większej nabrała władzy w wielu krajach Europy. We wschodnich prowincjach Królestwa Pruskiego dokonano właśnie świeżo ważnej reformy gminnej. W innych krajach, jak na przykład w Galicyi, reforma taka ma niebawem nastąpić. Wszystko to zmierza do wzmocnienia ustroju gminnego. Gdy wa-

żny ten proces polityczny i społeczny dalsze poczyni postępy, gdy zreformowana gmina obejmie ważne funkcje, których obecnie nie spełnia, parlamenty uzyskają należytą przeciwwagę i będą musiały pracować same nad swym uzdrowieniem, jeżeli nie zechcą się narazić na dalszą utratę wpływów.

Sprawa, poruszona przez pana Konica, należy, jak widzimy, do najzawilszych kwestyi prawnopaństwowych. Nie można się dziwić, że prelegent nie wyczerpał jej do dna i że w szczupłych ramach wykładu nie pomieścił wszystkich argumentów, mogących zbijać każdy zosobna zarzut i rozjaśniać każdą wątpliwość. Nie taimy, iż wątpliwości takich nasuwa się wiele. Przedewszystkiem zapytać-by się można, czy rzeczywiście wybory do reprezentacyi gminnych odznaczają się w porównaniu z wyborami do parlamentów tak wielką bezstronnością i czystością pobudek? Skandale, których świadkami bywają niektóre miasta zagraniczne, podają teżę tę w wątpliwość. O tem, co się dzieje w gminach mniejszych, historia milczy. W każdym razie nie każdy zechce przyjąć za rzecz niezbitą, że ci sami wyborcy, którzy, obierając wczoraj posła do parlamentu, nie oparli się różnym ziemskim pokusom, przyobleką się jutro w Arystydesową cnotę, gdy im przyjdzie obierać członka reprezentacyi gminnej.

Jeszcze bardziej potrzebuje udowodnienia teza, że reformy, dokonywane obecnie, odbywają się z jakimkolwiek uszczerbkiem władzy parlamentów. W nauce silnie dotychczas reprezentowaną jest teoria, że parlament i gmina są to dwa ustroje o bardzo różnorodnym charakterze. Podczas gdy pierwszy z tych ustrojów dzierży władzę prawodawczą, przedstawia nam gmina jednostkę zbiorową, która z woli prawodawcy pełni pewne funkcje administracyjne w granicach ściśle określonych. O ile doktryna o takim podziale władzy jest słuszną, o tyle oba te organizmy mogły-by się rozwijać, nie wchodząc sobie w drogę. Że wzmacnianie gminy może się odbywać nie tylko bez uszczuplania władzy parlamentu, lecz nawet bez zmniejszenia wpływu wykonawczych organów państwowych, świadczą o tem przykłady, wyjęte z przytoczonych przez prelegenta ustaw i projektów. Ustawa pruska pozwala włączać do gmin samoistne obszary dworskie, ale wcielanie tych jednostek czyni zależnem od uznania rządu. Z korespondencyi z Galicyi, drukowanej przed kilku miesiącami w „Bibliotece Warszawskiej,” dowiadujemy się, że liczne głosy przemawiają za tem, by przyszła gmina galicyjska, która, obejmując kilka gmin dzisiejszych i kilka obszarów dworskich, będzie bez porównania od gminy dzisiejszej silniejszą i zdrowszą, otrzymywała wójta z ramienia rządu. W tym wypadku wzmoże się gmina kosztem najniższych jednostek samodzielnych, ale nie kosztem krajowej lub państwowej władzy prawodawczej, ani też

kosztem państwowych organów wykonawczych, które mogą nawet większy, niż dzisiaj, chociaż tylko pośredni, uzyskać wpływ na gospodarstwo gminne.

Wszystkie te zagadnienia mogły-by znaleźć stosowną odpowiedź jedynie w obszerniejszej pracy. Kto uważnie słuchał wykładu prelegenta, nabrał niewątpliwie przekonania, że nie brakło-by mu materiałów do niej. Wielką jest zasługą p. Konica, że obudził w słuchaczach chęć spotkania się z takim wyczerpującym studjum naukowym.

Wykłady na zgromadzeniach ogólnych odbywały się bez dyskusji. Gorąco natomiast ścierały się zdania na posiedzeniach sekcji pojedynczych, zwłaszcza zaś na posiedzeniach sekcji ekonomicznej. Jest to charakterystycznym znamieniem chwili, że z dwóch sekcji: prawnej i ekonomicznej, ta ostatnia bez porównania liczniejszą cieszyła się udziałem i daleko więcej dostarczyła swym członkom wątku do krasomówczych zapasów. Czysto ekonomiczne znamię miało także wspólne posiedzenie obu sekcji. poświęcone sprawom własności włościańskiej. W ciągu dwóch dni omówiono pięć kwestyi ekonomicznych. Mówiono o walucie złotej, o nowej formie ubezpieczeń, o wychodźstwie ludu, o udziale robotników rolnych w zyskach właściciela i o parcelacyi dóbr. Wielu członków sekcji prawniczej powiększyło w ciągu rozpraw zastęp ekonomistów, tak, iż zjazd pozostawił po sobie wspomnienie zjazdu, poświęconego ekonomii.

Wspólne posiedzenie połączonych sekcji zeszło na obradach nad parcelacyą ziemi. Za podstawę służył wykład p. Teodora Kalkszteina, dyrektora banku ziemskiego w Poznaniu. Wykład ten wraz z wszechstronną dyskusyą i wycieczką do Jarząbkowa, wsi, przez bank ziemski rozparcelowanej, dał możność dokładniejszego wnuknięcia w tajniki wielkiego przeobrażenia, przez jakie przechodzi obecnie ukształtowanie własności ziemskiej we wschodnich prowincjach Prus.

O potrzebie parcelacyi tam, gdzie własność ziemska chwieje się w posiadach, a ludność włościańska, nie mając ziemi pod stopami, emigruje w dalekie strony, pisano ostatnimi czasy tyle, kwestya ta była przedmiotem tylu narad, studjów i poszukiwań zbiorowych, iż prelegent, trafiwszy na przygotowane grono słuchaczy, nie spotkał się ani z jednym zdaniem przeciwnem, gdy przekonywał zgromadzonych o zbawienności tego środka w stosunkach poznańskich. Dla uczestników zjazdu nie tyle zresztą była zajmującą teoretyczną stroną kwestyi, ile praktyczne stosowanie zasady w tych właśnie stronach. Sprawa ta łączy się ściśle z ustawą o włościach rentowych, z działalnością banku ziemskiego i spółek ziemskich.

Ustawy o włościach rentowych zezwalają na sprzedaż ziemi za stałą wieczystą rentę gruntową, która za zgodą obu stron może być za-

mieniona na kapitał i jednorazowo spłacona. Jeżeli w kontrakcie nie wymieniono warunków takiej spłaty, wolno nabywcy uiścić się ze wszelkich zobowiązań przez spłacenie dwudziestokrotnego iloczynu renty. Włość rentowa może być założona dopiero po oczyszczeniu hipoteki tego gruntu, od którego się ją odłącza. W tych głównych zarysach ustawy przebija się jej tendencya. Ma ona widocznie na celu stwarzanie nowych gospodarstw mniejszych, na których, oprócz renty, żadne, przynajmniej z samego początku, nie ciąży długi i którego nabywca nie odpowiada za grzechy przeszłości. Główne te zasady zostały rozwinięte następnie przez założenie banków rentowych, których zadaniem jest ułatwianie amortyzacji renty. Nabywca włości rentowej składa coroczną należność do kasy banku rentowego, który spłaca właściciela listami rentowemi. Włość nie traci zatem charakteru rentowego, a dawny właściciel odbiera cenę kupna w całości pod postacią listów.

Z ustaw rentowych skorzystał w całej pełni bank ziemski w Poznaniu. Nowe osady włościąnskie, tworzone przez tę instytucję, mają wyłącznie charakter rentowy. Nie kupując już teraz majątków na własność, poprzestaje on na roli pośrednika, mającego dobro obu stron na oku, i ułatwia nabywanie ziemi bądź pojedynczym włościąnom, bądź tak zwanym spółkom ziemskim. Bank przyjmuje zaliczki osadników, przechowuje je i oprocentowuje, ściąga tymczasowe spłaty rent, a, co najważniejsza, zajmuje się oczyszczaniem hipoteki dóbr, czyniąc w ten sposób zadość zasadniczemu wymaganiu ustawy rentowej. Ta ostatnia czynność, w różnych wykonywana formach, jest może najważniejszą jego funkcją.

Wogóle utworzył bank przy parcelacjach, przeprowadzonych na rachunek właścicieli, do dnia 30 czerwca roku zeszłego 145 gospodarstw samodzielnych, obejmujących 1,439 hektarów i sprzedał nadto 435 hektarów właścicielom ról przyległych. Z majątków, rozparcelowanych całkowicie lub częściowo na własny rachunek banku, utworzono 90 gospodarstw samodzielnych i sprzedano 120 hektarów sąsiadom. Za pomocą spółek ziemskich utworzono 324 gospodarstwa, odprzedawszy hektarów dwanaście. Ogółem oddano włościąnom ośm tysięcy hektarów ziemi. W majątkach tych pozostaje jeszcze do rozparcelowania 4,213 hektarów. Między potworzonymi osadami najwięcej jest gospodarstw, obejmujących od 3 do 11 hektarów. W ośmiastu wypadkach odprzedano folwarki większe nad 50 hektarów. Gospodarstw, nie obejmujących trzech hektarów, utworzono 94. Już po zjeździe zapadło postanowienie, że kapitał akcyjny banku ma być podniesiony do 2 milionów marek.

Spółki ziemskie powstały w tym celu, aby nabywać na własność majątki, posiadające wszystkie warunki, potrzebne do parcelacji. Właściciel oszczędza sobie przytem kłopotów, na które był-by narażony,

gdyby chciał ziemię parcelować na własną rękę. Włościanin, któremu spółka rolę oddaje, unika wyzysku ze strony niesumieńczych pośredników. Zysk, jaki spółka osiąga, staje się udziałem jej członków, a zatem osób, które interes zawierają. Jest to więc forma, dająca im rękojmię ochrony od strat, na które byli-by narażeni, korzystając z usług prywatnego przedsiębiorcy. Spółka powstaje, gdy pewna ilość nabywców, upatrzawszy majątek, wystawiony na sprzedaż, zobowiązuje się do zebrania pomiędzy siebie pojedynczych działek po umówionej cenie. Kwota, przypadająca na każdego współnika, stanowi jego udział. W chwili zawiązywania spółki składa każdy uczestnik pewną zaliczkę tytułem wpłaty na udział. Za gotówkę, uzyskaną z tych wpłat i dopótyczoną na odpowiedzialność wszystkich współników, kupuje spółka majątek i parceluje. Gdy zaś reszta udziałów zostanie wpłacona, a rachunki wykażą zysk, zwykłą tę rozdziela się między wszystkich nabywców.

Spółka może być związana dla nabycia jednego tylko majątku, lecz niekiedy nabywa ich kilka. W Pinczynie zawiązano spółkę, która po rozparcelowaniu tego majątku nie zamierza innych kupować. Podobne zadanie zakresliła sobie spółka w Wałdowie, która, zadzierżawiwszy cały majątek, wydzierżawiła go następnie częściami włościanom, a dopiero z czasem myśli przystąpić do kupna. Oprócz tych, istnieją atoli spółki, mające za zadanie ciągłą parcelację ziemi i nabywające jeden majątek po drugim.

Uczestnicy zjazdu mogli przekonać się w Jarząbkowie, jak wygląda wieś, rozparcelowana przez bank ziemski. Wszyscy podziwiali wzorowy stan gospodarstw włościańskich, okazałość budynków i dorodność inwentarza.

Rozprawy na posiedzeniu wykazały, jak jednolitemi są dziś poglądy na kwestyę włościańską, jak mocnem jest przekonanie o potrzebie silnego, zwartego, poważnego stanu włościańskiego. Gdyby nie utarczka, którą kilku uczestników, przybyłych ze Lwowa, stoczyło między sobą na temat galicyjskiego bank krajowego, dyskusya nie była-by pozostawiła urozmaiconych wspomnień. Zakończyła się ona wyborem komisji, mającej zająć się badaniem stosunków włościańskich. Gwarniej było na posiedzeniach sekcji pojedynczych.

Z ciekawością oczekiwano pierwszej, bardziej ożywionej dyskusji. Sposobność do niej nadarzyła się na pierwszym posiedzeniu sekcji ekonomicznej. Profesor Milewski, znakomity znawca spraw monetarnych i gorący zwolennik bimetalizmu, wystąpił z wykładem, w którym wypowiedział walkę na śmierć walucie złotej. Mimo zastrzeżeń szanownego profesora, nie możemy odmówić temu wykładowi cechy agitatorskiej. Świetna forma retoryczna, znakomita zręczność w grupowaniu

argumentów i umiejętne skorzystanie z usposobienia słuchaczy, zapewniły prelegentowi świetne powodzenie. Waluta złota, istniejąca obecnie w cesarstwie niemieckim, ma w mieszkańcach Księstwa Poznańskiego zdeklarowanych przeciwników. Ziemianstwo tej prowincyi widzi nie bez słuszności w walucie złotej magnes, przyciągający zboże z krajów, mających pieniądź tani. Gdy sobie przypomnimy, że waluta złota, a zatem stale drożejąca, powiększa nieustannie, choć niespostrzeżenie, wysokość długów hipotecznych, zrozumiemy, że wymowne słowa prelegenta mile zostały przyjęte. Wykład, będący mistrzowskim streszczeniem, zastosowaniem do szerokiego koła, znanej teoryi obrońców waluty dwoistej, był-by pozostał dla wielu obecnych ewangelią nauki o pieniądzu, gdyby między słuchaczami nie był się znalazł przeciwnik, który nie mógł wysłuchać słów prelegenta w milczeniu i musiał podnieść rzuconą rękawicę. Poseł Szczepanowski był w austriackiej radzie państwa referentem ustawy o walucie złotej. Poczul się zatem do obowiązku wstąpienia w szranki. Zgromadzenie było znużone całodziennem słuchaniem mów i prelekcyi. Nie pora była wdawać się w rozbiór szczegółowy wykładu. Wybierając punkt najslabszy, uderzył on weń całą siłą, a osłabiwszy wiarę słuchaczy, zostawił ich potem pod wpływem obudzonych wątpliwości co do samej treści wykładu.

Wielką zdobyczą, którą nauka i polityka ekonomiczna zawdzięczają zjazdowi prawników i ekonomistek, są materyały, zebrane dla dokładnego zorientowania się w sprawach wychodztwa ludu z Królestwa Polskiego, Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Galicji. Uchwała, zmierzająca do tego celu, zapadła na zjeździe lwowskim w r. 1889-ym. Przez cały ten czas pilnie gromadzono wszystko, co do wyświetlenia sprawy przyczynić się może. Obfity plon studyów przedstawiono zjazdowi poznańskiemu.

Z pomiędzy prelegentów, którzy przedmiot ten rozebrali między siebie, pierwszy z kolei przemawiał p. Stanisław Kłobukowski. Zaznaczywszy przedewszystkiem wielką trudność, z jaką się spotyka każdy badacz na tem polu, zrzekł się prelegent całkowicie przedstawienia obrazu emigracyi w granicach państwa ruskiego. Dla braku materyałów, poprzestać on musiał na uwagach o emigracyi za granicę.

Wnioski, do jakich p. Kłobukowski dochodzi, są o tyle charakterystyczne, iż, uzyskawszy następnie prawie jednomyślne poparcie, mogą uchodzić za wyraz przekonań inteligentnego ogółu w chwili obecnej. Prelegent widzi powody wychodztwa w nędzy materyalnej. Tylko podniesienie dobrobytu może złemu zaradzić. Prąd, wynikający z całokształtu stosunków ekonomicznych, nie da się przełamać, dopóki te stosunki istnieją. Żadne środki doraźne nie odpowiedzą tutaj celowi.

Do tych samych wyników doprowadziło badanie tej sprawy drugiego prelegenta, prof. Kleczyńskiego, który pracę swą oparł na odpowiedziach, jakie w liczbie 278 nadesłano z różnych stron Galicyi na zesłany kwestyonaryusz. Wielkie ubóstwo ludności zniewała ją do szukania zarobku w innych prowincjach. Emigruje ona nie na stałe, lecz na czas, potrzebny do zebrania grosza. Wychodztwo takie ma zawsze na celu powrót w strony rodzinne. Pobyt w innych prowincjach lub krajach trwa niekiedy kilka tygodni, niekiedy lat kilka. W wypadkach, w których wychodzca zamienia się w stałego osadnika, dzieje się to najczęściej wbrew pierwotnemu jego zamiarowi.

Od dawnych czasów istnieją coroczne wycieczki za zarobkiem do Królestwa Polskiego, prowincyi południowo-zachodnich i Węgier. Wewnątrz granic Galicyi istnieje ruch od zachodu ku wschodowi, połączony z osadnictwem stałym. Do tych stałych, tradycyjnych prądów, poruszających masę ludu, dodać należy wspólny wszystkim krajom ruch ludności wiejskiej, przenoszącej się do miast.

Od lat dwudziestu trwa ruch inny, trwa przenoszenie się ludu do Ameryki. Prąd ten płynie dwoma korytami: do Stanów Zjednoczonych i do Brazylii. Ta ostatnia emigracya nie objęła w Galicyi szerokich kręgów. Od innych ruchów emigracyjnych różni się ona tem, iż w Brazylii ludność osiada na stałe. Rodziny, udające się tam, wyjeżdżają z kraju z zapasem grosza, który im unieźbienia nabywanie ziemi. Ludność uboga, szukająca nie ziemi lecz zarobku, obiera prawie zawsze drogę do Stanów Zjednoczonych.

I tu główną pobudką jest niedostatek. Zarobek przenosi w Ameryce niekiedy dwadzieścia razy płacę dzienną robotnika w Galicyi. Z listów, które emigranci pisują do swoich, nabral prelegent przekonania, że uczuwają oni boleśnie oddalenie od stron rodzinnych, jakkolwiek wyrażają się z pochwałami o stosunkach amerykańskich.

Wychodzca zabiera z sobą kwotę, potrzebną na opędzenie kosztów podróży. Koszta te wynoszą najczęściej 120 złr. Ponieważ władze austriackie nie wypuszczają z kraju emigrantów, nie posiadających co najmniej 250 złr., przeto wychodzca dopożycza sobie najczęściej sumę niezbędną i odsyła ją potem z Hamburga. Kwoty potrzebne na drogę są jedynym majątkiem, wywożonym z kraju; wychodzczy nie otrzymują następnie żadnych zasiłków, lecz przeciwnie, przysyłają do kraju swe oszczędności. Kwoty te wynoszą od 50 do 500 złr. rocznie. W niektórych urzędach pocztowych suma pieniędzy, nadchodzących z Ameryki, dosięga dwudziestu, a nawet trzydziestu tysięcy złotych reńskich rocznie. Z wielu gmin donoszą, że wychodzczy pospłacali długi, że zakupują po powrocie role, że dobrobyt we wsi się podniósł. Chęć powrócenia do swoich ożywia całą tę ruchomą masę. Wzrastające osadnictwo w Sta-

nach Zjednoczonych przekonywa, że znaczna część emigrantów zamiaru tego wykonać nie może i pozostaje za oceanem na zawsze.

Odmienny pogląd wygłosił trzeci prelegent, p. Maksymilian Jackowski. Wezwany przez komitet zjazdu do zastąpienia chorego mecenasa Parczewskiego i przyjęcia referatu o emigracji z Poznańskiego, podjął się sędziwy patron kółek rolniczych tej pracy i chętnie dźwignął ciężar, który godziło się na młodsze barki włożyć. Zdaniem pana Jackowskiego nie chęć zarobku jest pobudką do opuszczania stron rodzinnych, lecz sztuczna agitacja agentów, a niekiedy skłonność do włóczęgowstwa. Poglądy te wydać się musiały po tem, co słyszano poprzednio, zbyt jednostronnemi. Sprostował je zlekka, po przemówieniu prelegenta, p. Parczewski, który, jakkolwiek z powodu choroby nie mógł wygotować referatu, zaznajomił się dokładnie z całym materiałem, powierzonym prelegentowi.

O potrzebie organizacyi, nadającej życiu emigrantów, rozproszonych po różnych stronach, pewną całość ekonomiczną i społeczną, mówił p. Ungar ze Lwowa.

Jeżeli sprawy emigracyjne, jako owoc prac kilkoletnich, były niejako łącznikiem między zjazdem poznańskim, a zjazdami poprzedniemi, to wykład prof. Głębińskiego o nowej formie ubezpieczeń na życie był poinformowaniem słuchaczy o rzeczy nieznaney wcale wielu obecnym, a mogącej mieć, w razie przyobleczenia jej w stosowne kształty, wielką przyszłość. Prof. Głębiński zwrócił uwagę na klęski, grożące drobnej własności ziemskiej z powodu jej obdłużenia. Smutne następstwa długów hipotecznych okazują się w całej pełni w chwili zgonu właściciela gruntu, którego siły fizyczne były w znacznej części faktyczną rękojmią spłaty rat hipotecznych, jakkolwiek pozornie rękojmią tą jest wartość ziemi, bez względu, kto na niej gospodaruje. Śmierć i wynikająca stąd niemożność regularnego uiszczania się z zobowiązań, są to dwie ściśle z sobą związane katastrofy. Związek, jaki między nimi istnieje, nasuwa myśl utworzenia skombinowanego typu ubezpieczeń, który nazwać-by można zabezpieczeniem nieobdłużonej spuścizny. Właściciel obdłużonej roli opłaca pewien dodatek do renty hipotecznej, jak premię asekuracyjną. To daje spadkobiercom pewność, że w chwili, gdy gospodarstwo obejmą, będzie ono wolne od długów.

Ostatnim referatem ekonomicznym był referat hr. Augusta Cieszkowskiego, który właśnie obchodził 50-tą rocznicę swej działalności autorskiej. Prelegent mówił o uczestnictwie robotników rolnych w zyskach właściciela. Przedmiot, poruszony niegdyś przez siebie w latach młodszych, powierzał on teraz pieczołowitości młodszych, zachęcając ich do badania sprawy, która tak drogą jest jego sercu. Zgroma-

dzeni wysłuchali ze czcią i oznakami wdzięczności tych rad, udzielonych im przez weterana nauki.

Taki był plon, zebrany dla ekonomii i nauk społecznych na tym zjeździe. Nie mówimy obszerniej o specjalnych pracach sekcji prawnej, które odbywały się w szczuplejszem kole ludzi fachowych i tylko dla specjalistów mają pewną ponętę. Zaznaczymy więc tylko, że prof. Zoll przedstawił referat o udzielaniu przygotowawczej nauki prawa w gimnazyach, prof. Stebelski o potrzebie reformy śledztwa wstępnego, adwokat Zins o potrzebie zaprowadzenia śledztwa kontradyktoryjnego w postępowaniu śledczem, p. Jaworski o potrzebie i znaczeniu stątyki prawa prywatnego, p. Sunderland o tłumaczeniu nazwisk cudzoziemskich ze stanowiska prawa cywilnego, p. Trąpczyński o prawie subhastacyjnem.

Powiedzieliśmy na wstępie, czego wymagamy od zjazdów naukowych. Jeżeli na takich wymaganiach poprzestaniemy, musimy, by prawdzie hołd oddać, wyrazić się z zupełnem uznaniem o inicjatorach i organizatorach zjazdu poznańskiego, którzy dzieła swego wśród trudnych warunków i wielu dokonali przeciwności. Jeżeli mimo to zjazd udał się ze wszech miar, zadowolili swoich, a zadziwił obcych, to tem śmieiej wróżyć można powodzenie zjazdowi, zapowiedzianemu na rok przyszły we Lwowie. Pewną rękojmię, że te zjazdy nie będą się chyliły ku upadkowi, lecz wejdą na drogę rozwoju, upatrywać można w ciągłości ich prac. Ozdobą tegorocznego zjazdu były prace o kwestyi emigracyjnej, poczęte na zjeździe poprzednim. Piękne rezultaty tych poszukiwań są dobrą wróżbą dla obranej na zjeździe poznańskim komisji do badania stosunków włościańskich.

TADEUSZ SMARZEWSKI.

RODZINA POŁANIECKICH.¹⁾

XVIII.

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że pannie dostała konwulsyi i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie i jednym tchem, z głębi piersi, rzuciła mu słowa:

— Lepiej! lepiej!

— Doktor jest?—spytał Połaniecki.

— Jest.

— A mała?

— Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie zmęczona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególnie to, co powiedział jej przy Połanieckim:

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy „Biblioteki.”

— Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku, i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógł-by być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei, jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew, rosnących nad jej krawędzią.

— Nie dopuścimy! nie dopuścimy!—powtarzała, ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrzął mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeswiadczenia, poczem spytał na próbe:

— Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

— Nie widzę tego najmniejszej potrzeby—odpowiedział doktor.— Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Poczem zwrócił się do pani Emilii:

— Pani również powinna wypocząć. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogła-by się tem zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

— Nie mogła-bym zasnąć—odpowiedziała pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje blade-niebieskie oczy i, wpatrzywszy się w nią jakby z pewnem napięciem, rzekł zwolna:

— Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

— A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

— Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc.

I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za nim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa mogła-by zaniepokoić panią Emilię, więc wolał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

— Niech pani uczyni, jak doktor mówi. Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc, zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

— Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... I o Marynię także. Usnęła z pytaniem: „Gdzie pan Stach?”

— Moja biedaczka kochana. Ja był-bym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciłem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

— Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i prosiła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze—zapomniałam panu powiedzieć—zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chyba-by prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po główce, bo wieczorem, jak Marynia wpadła na chwilę, znów zadawała nam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem i że zaraz przyszedł.

— Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie—odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę.

— Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry! że...

I, mimo wszelkich wysiłków, poczęła łkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze wrodzona egzaltacja psuła wiecznie spokojny rozmyśl, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczem sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz na przykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem i że odtąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, był-by ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne wychudłe ręce i rzekł:

— Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga pani teraz o sobie pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzye były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedzierało się nieco czerwonawych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Połaniecki, siadłszy przy niej, począł wpatrywać się w jej uśpioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnem uczuciem. Litka leżała

na wznak, z główką zwróconą do sufitu; biedne, cienkie jej rączka leżały bezładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa, i otwarte usta, a wreszcie i głębokie uśpienie, nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlerek, któremi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Połaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że, obok wybranej kobiety, dzieci mogły-by być niezmierną miłością jego życia, jego głównym celem i powodem jego istnienia. Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga, jak rodzone dziecko. „Gdyby mi ją oddano na własność — pomyślał, — gdyby jej zbrakło matki, wziął-bym ją na zawsze i uważał-bym, że mam dla czego żyć.“

I czuł również, że gdyby można wejść w targ ze śmiercią, oddał-by jej siebie bez wahania, byle wykupić to „kociątko,“ nad którym teraz ta śmierć zdawała się unosić, jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tkliwość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędko, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieśszczocie, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyć-by się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia, osłaniając dłonią błękitną lampkę nocną.

— Spi? — spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

— Spi—odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emilia wpatrzyła się w uśpioną.

— Widzi pani — szeptał dalej Połaniecki, — jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

— Tak!—odpowiedziała z uśmiechem.

— Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzędzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnym, błękitnym świetle lampki nocnej wyglądała, jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską i Połaniecki mimowoli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabłąkały się na ten świat.

— Tak — odpowiedziała. — Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

— To tem lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło malej. Dobranoc pani.

— Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i począł myśleć o pannie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czem innem, i teraz oto stawiał sobie pytanie, w czym leży ta dziwna tajemnica natury, na mocy której on naprzykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania—tylko tamtą dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i, słusznie, lub niesłusznie, mniej cenił. A jednak przy każdym zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natychmiast te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać, jak pani Emilii, nie czyniła na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne a wrażliwość większa, tem większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, jak owa, którą dał ów doktor, zakochany w pannie Krasławskiej: „ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy odedrzeć.“ Było to raczej stwierdzenie zjawiska, niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, poczem on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki, dając na migi pannie Maryni znać, żeby siadła. Ona pierwsza zaczęła mówić, a raczej szeptać:

— Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.

— A pani Emilia?

— Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.

— Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahypnotyzował, i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.

Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:

— Naprawdę lepiej,... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.

— Ach! Bogu chwała. Niech pan teraz pójdzie na herbatę.

Lecz on wołał tak oto szeptać do niej zbliżka i poufnie, więc odrekł:

— Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przytem tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.

— Ojciec zdrów już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan małej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc ja-bym chciała tak to urządzić, żebyśmy—ja, pan i Emilka—zastępowali się kolejno.

— Dobrze. Ale dziś już zostanę. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu. Kiedy pani dowiedziała się o ataku?

— Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem, doowiedzieć się, co słychać.

— A do mnie przybiegł służący pani Emilii w czasie, gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie pani łatwo, jakim tu leciał; nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przytem dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swoim małżeństwie.

— Pan Maszko się żeni?

— Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasławską, pamięta pani? z tą, która-to była wówczas u Bigielów. To dobra partya dla Maszki—panna Krasławska.

Nastała chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie swoje względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tem zdziwiła ją na razie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują, chcą po pierwsze, by ów ktoś był naprawdę nieszczęśliwy, a powtóre, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się pokaże, że potrafi to uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przytem musiała przyznać, że wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partyi przeciw Połanieckiemu,—teraz przestał nim być. Czowała się więc, bądź co bądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczem nie zdradzał się z tem, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachował nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie

dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększała się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło, sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Polaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tem, że, bądź co bądź, ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma i że zostaje jakby w pewnym opuszczeniu, trochę upokarzającym.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wprawdzie, że Marynia pozna, iż, wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć, albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili i więcej niż kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia „nie dać się,“ i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje, i że, gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatruwa, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Polanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nieopodal Maryni i patrząc na jej twarz i głowę, oświetloną bładem światłem lampki, mówił sobie w duszy: „Gdyby tylko chciała!“ Myśl ta złościła go, ale, chcąc być z sobą szczerzy, musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliłby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat! a zarazem, co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć względem samej siebie w sprzeczności, zamknęła-by jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogli-by pokochać się, niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza, przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępnym dźwiękiem szyb, w które zaczynał drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Polaniec-

kiego ogarnęły nagle złe przeczucia. Spojrzał na Litkę i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może wyżyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tem bardziej, im jest droższe, słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia—i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czemś, więc oczywiście musi je stracić! Przy nich było-by się o coś zahaczyć w życiu, bez nich—zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idyoty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej, czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. „Nie wiem ostatecznie, dla czego-bym nie miał sobie w łeb pałać—pomyślał,—nie z rozpaczyny za niemi, ale z powodu nicości bez z nich. Jeśli życie ma być bezsenssem, niema dobrej racji, by na bezsens pozwolić—chybaby przez ciekawość, do jakiego stopnia dojść może.“

Lecz ta myśl nie zjawiła się w nim, jako zamiar. Było to raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się zżyma: chwila gniewu, szukającego przeciw komu-by się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział dlaczego, wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nie tylko jego, ale i panią Emilię, i Litkę. Jako człowiek, rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystkim lepiej, a jeszcze o tyle nawet lepiej, że ową przeszłość mógł uważać, jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę takim jasnym, ojcowskim uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przytem, czy z czasem nie był-by potrafił pokochać pani Emili. Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, jak przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć, wychodzących po-za granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie płać życia komus, kto mógł-by być drogiem, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tklivosti, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki, poznawszy Marynię, oddał jej odrazu najlepszą część uczuć. Po co? dlaczego? Tylko na zgryzotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była jedynym promykiem jego życia, umie-

rała, lub mogła umrzeć każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

— Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz, jakaś potrzebna i mnie, i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez ciebie, drogie stworzenie!

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się ludzi i nie śniał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptwała:

— Pan Stach...

— To ja, Lituś! Jak się czujesz?

— Dobrze, a gdzie mama?

— Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

— A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i, wzięwszy flaszczykę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, poczem dziecko rzekło, jakby samo do siebie:

— Nie trzeba mamy budzić.

— Nie: nikt nie będzie budził—odpowiedział Połaniecki.—Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na kołdrze.

Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:

— Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że usnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czemś z wielkiem wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

— Co ci jest, dziecinko?—spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożwszy ręce, wyszeptwała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

Panna Marynia pochyliła ku niej swoją łagodną twarz. .

— Mów, moje kochanie! wszystko zrobię, co zechcesz...

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptwała:

— Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha.

W ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, słychać było tylko przyspieszony nieco oddech dziewczynki; wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

— Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

— I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

— Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę i czas jakiś leżała z zamkniętymi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Nastąpiła teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie; jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważyły się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tem, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w niem dzieje.

I w tem milczeniu, w tem instynktowem milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną. Zegary wybiły północ, potem pierwszą; koło drugiej pani Emilia wsunęła się, jak cień, do pokoju.

— Śpi?—spytała.

— Nie, mamusiu—odpowiedziała Litka.

— Dobrze ci jest?

— Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilia usiadła przy niej na łóżku, mała objęła rączkami jej szyję i, tuląc swoją płową główkę do jej piersi, rzekła:

— Ja teraz, mamusiu, wiem, że jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, poczem, przeciągając każde słowo, jak czynią dzieci senne, lub bardzo osłabione, rzekła:

— Pan Stach nie będzie więcej smutny i powiem mamusi, dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach matki i pani Emilia uczuła zimny pot, występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skronie.

— Lituś!—zawołała cichym, przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

— Tak mi dziwnie! tak słabo...

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

— O! morze płynie! takie duże morze, i my wszyscy po niem płyniemy. Mamo, mamol!..

I przyszedł znowu atak, straszny, niemiłosierny. Ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsyi, a źrenice jej uciekły w tył głowy. Nie było się już co ludzić: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bładem świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju, w dźwięku szyb, bitych deszczem, i w szumie wiatru, pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora, po kwadransie wrócili obaj, niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktor, powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

— Chyba wzruszenie, czy przestrah?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując—i w całym mieszkaniu nastąpiła cisza, długa, ciężka, jak ołów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą jak płótno, i trzęsącym się głosem rzekła śpiesznie:

— Wody dla pani! panienska nie żyje!

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK SIENKIEWICZ.

POETA UWIEŃCZONY.

Klemens Janicki, poeta uwieńczony (1516—1543); napisał Ludwik Œwikliński. W Krakowie, 1893 roku.

Renesans, który od czasów Dantego drobnymi kroplami wnikał w nowe społeczoŒci, w szesnastym wieku potokiem rozlał się po umyŒlach i sprawił poŒród nich istn¹ rewoლucyę. Stare bóstwa poezyi i sztuki rzuciły się na młococian¹ twórczoŒć i powstrzymały j¹ na drodze samoistnego rozwoju, tak, że ledwie jeden gotyk utrzymał się na nogach. I długie wieki upłynęły, nim poezya odzyskała swe narodowe, naturalne prawa. Kiedy dziś jeszcze patrzę na jaki budynek renesansowy, ju¿ci¿ widzę w nim i w³aŒciwe do nowoczesnych celów zastosowanie, i nadobnoŒć, i pewn¹ indywidualnoŒć architekta. JeŒli Œwi¹tynia, to choćby była pust¹ wewn¹trz, rozumiem, i¿ to Œwi¹tynia chrzeŒcijañska; jeŒli dom mieszkalny, to dzisiejszemu trybowi ¿ycia odpowiedny. Mogę chwalić jego konstrukcyę, harmonię; ale nie mniej widzę, że i pomys³ całoŒci, i wszystkie motywa znajdę w architekturze greckiej. To samo wra¿enie sprawia na mnie poemat jakiegoŒ humanisty z szesnastego a nawet siedmnastego wieku: przedmiot rodzimy, talent rodzimy, ale kanwa, na której rozpoŒcieraj¹ się pomys³y, ale barwy i częŒtkroć kszałty, umyŒlnie jakby po¿yczane sk¹din¹d i naŒladuj¹ce wzory a¿ do pojedynczych kamyków mozaiki. Tym sposobem do utworów, które indziej przedtem, jak w Nibelungach i Trubadurach, płynęły naturalnie, zgodnie z charakterem, wiar¹, dzia³alnoŒci¹ i stylem

danej epoki i danych ludzi, wchodzi jakiś żywioł sztuczny, krepujący pochod natchnień przyrodzonych, który, zamiast ludzi rzeczywistych, wprowadza postacie książkowe, na miarę Homera lub Wergiliusza, i samemu autorowi myśli ich poddaje, tem bardziej, jeśli epigon i mowy ich używa.

Takie wrażenie sprawił na mnie Janicki, kiedym w młodzień-
czych latach czytał go zaraz po obeznaniu się z poetami rzymskimi
złotego wieku. Ale nie jest on jeden w tym wypadku, i nie on przecie
wynałazł sposób zacierania w sobie indywidualności narodowej i wła-
snej. Więksi od niego, piszący w języku ojczystym, Camoens i Tasso,
miejscami nawet nasz Jan z Czarnolasu, potrafili toż samo: to duch
czasu. Jednakże i ten sam Janicki, lubo bez komentarza nie wszędzie
zrozumieć go mogłem, zainteresował mnie nie pomału. Jako dla współ-
ziomka i współwyznawcy, sympatycznymi były mi przedmioty jego
utworów, — rzecz to historii, — ale i porywała mię prawda uczucia
z jakim on do tych się przedmiotów odnosi, i jakby to było dzisiaj,
z serca czytelnika wzruszenia wybiera; jako młody, radowałem się
wzgorywaniem tej młodej duszy, w takt mojej własnej, ku rzeczom
pięknym i wzniosłym; jako człowiek, z melancholią odczuwałem jego
cierpienia, które tak często a bez afektacyi i poniżających biadań opi-
suje; uwielbiałem w nim tę moc duszy, która mu, przy ciebie wążem
i zboleła, dozwalała trudy łamać, zachować pogodę umysłu i wytrwa-
łość w pracy. Nie zbudził-by tych wzruszeń prosty gaduła, w sposób
pospolity spraw tych dotykający. Janicki poeta jest istotnym, którego
talent, jakkolwiek pośrednie miejsce zajmuje na skali wszechwórczo-
ści, nie mniej zaznaczył się na niej nazawsze, a wydatnieje tem bar-
dziej, im więcej zapomina o tych obcych formach przejawu, którym
najwięcej zaufał, a tworzy bezpośrednio za biciem serca we własnej
piersi, jak np. w „Elegii do Najświętszej Panny” i w „Pieśni Go-
dowej.”

Ponieważ pisał po łacinie, to, pominąwszy rozgłos krajowy i mię-
dzynarodowy za panowania humanistyki, dzieło jego i imię mało było
i jest popularnem wśród naszego ogółu: to jakby zamazany karton
w albumie naszej literatury, który teraz p. Œwikliński podjął się odre-
staurować, a praca jego dotyczy zarówno biografii, jak i krytycznego
rozbioru dzieła poety. Przed nim pracowano nad Janickim i autor nie-
tylko tego nie zaprzecza, ale owszem, każdy nawet drobiazg przytacza;
praca ta wszakże musiała być niedostateczną, skoro przedmiot jej tak
mało publiczności jest znany, że na sto osób wykształconych nie wiem
czy jedna podjęła-by się powiedzieć choćby to, o czym Janicki pisał.
W podręcznikach literatury jedni z drugich tylko przepisują za Łuka-
szewiczem, który sam w wiadomościach jest bardzo skąpy. To, co na-

piisał o Janickim Wiszniewski, podług słów naszego autora, „przepełnione jest błędami prawdziwie zastraszającemi.” Podobnie wyraża się autor i o wielu innych badaczach, którzy, albo przepisywali wcześniejszych, nie przeczytawszy nawet utworów poety, albo mylnie tłómaczyli jego słowa i fałszywie kombinowali przechowane wiadomości. Z prac archiwalnych, na których w części i jego własne opierają się badania, ceni autor wysoko dokumenta, wydane przez dra Windakiewicza, pochodzące z aktów biskupstwa krakowskiego, tudzież korespondencyę Janickiego, wynalezioną przez prof. Brücknera, z dawnej biblioteki Załuskich. Oto są, oprócz autobiograficznej elegii samego poety i rozrzuconych jego o sobie wzmianek, najważniejsze nowości, dowody, jakie przybyły do dokumentów, zebranych przez dawnych badaczy, pochawszy od Naruszewicza. Z rozpraw, jakkolwiek mylna co do szczegółów biograficznych, godną jest uwagi broszura Walentego Masłowskiego (r. 1857), jako pierwsze a przed p. Ówiklińskim jedyne, studjum filologiczne. „Trzeźwo, oględnie, ale niewyczerpująco” wywiązuje się z tegoż przedmiotu sunienny filolog a blisko nam znany, prof. Węclewski, w dwóch rozprawach, wydanych w Warszawie (r. 1864 i 1868).

Czy to łacińskie dokumenta, czy rozprawy (z których dwie po łacinie), mało mogły przyczynić się do upowszechnienia wiadomości o Janickim, tem bardziej, gdy i podręczniki mówią o nim i mało, i błędnie. Zdaniem naszym, do spopularyzowania Janickiego najwięcej przekładami swemi przyczynił się, i sam nader popularny, poeta Wł. Syrokomla. Prawda, że czasami go źle rozumie, czasami zanadto odbiega od oryginału i pozwala sobie zbyt dalekich parafraz tekstu; ale suchej łacinie nadaje żywotność żyjącego słowa, rozmach rodzimy, butę, że tak powiem, językową; w półczwartawiekową mumię, spoczywającą w katakumbach bibliotecznych, zastrzykuje krew i ogień, i zmartwychwstaje w oczach naszych ta mumia, wyrasta na postać żyjącą, taką, jaką była w pierwowzorze, i zdaje się nam, że słyszymy Kochanowskiego. Może Janicki sam nie pisał-by po polsku tak dźwięcznie i rytmicznie, i gładko, jak po kilku wiekach szlifowania językowego pisze Syrokomla, nie brał-by ze skarbów mowy nic na rachunek przyszości; ale w każdym razie szata, w jaką ziomek przystroił kształty jego muzy, mogła tylko zalecić go współziomkom, do bliższego poznania zachęcić. Rzetelniejszym jest w tłómaczeniu ustępów, podawanych do swej rozprawy, Węclewski: wyrzeka się on rymu, tłómaczy wierszem białym, podatniejszym do wierniejszego odbicia oryginału, przez co, lubo przekład wygląda mniej strojnie, ale też i nierównie prawdziwiej, niż u Syrokomli, Janickiego przedstawia.

P. Ówikliński, wykład swój objaśniając wyjątkami z dzieł, używa już to przekładu Syrokomli, już Węclewskiego (jeżeli nie streszcza

sam), albo, i to najczęściej, podaje tekst oryginalny. Znowu zatem ogranicza pożytek dla tych czytelników, którzy, ażeby zrozumieć wszystko, o co chodzi, musieli-by się nauczyć po łacinie; inaczej, odpada dla nich cała część monografii czysto filologiczna; czyli, wynika stąd, że i ta ostatnia książka (takie to już widać szczęście Janickiego) nie może być w zupełności popularną. Jest-że to zarzut? Jeszcze nie. Nasamprzód, po-za łaciną jest jeszcze wielka część tego, z czego niełacinnik doskonale skorzystać może; powtóre, nic nam nie powiada, że autor zamierzył pisać w sposób dostępny dla wszystkich bez wyjątku, licząc w to i kobiety. Przeciwnie, charakter monografii jest, nie powiem, akademicki, ale fachowy, po którym znać więcej badacza i filologa, niż literata. Mówi on więcej do swoich, siedzących około stołu, *ex cathedra*, niż dla galeryi, oczekującej wrażeń. Jeżeli swoi będą zadowoleni, to dosyć. Niewielkiego jednak potrzeba było ustępstwa, aby i galeryi więcej się dostało: dość by, przed ostatnim zwłaszcza rozdziałem, zostawić łacinę tam, gdzie tego ściśle wymaga wzgląd filologiczny, jak to czynią naprzykład monografisci francuscy, a więcej rąk sięgnęłoby po książkę.

Krótki był żywot i krótka działalność Janickiego. Urodzony w r. 1516, umarł w 1543, mając lat mało co więcej nad dwadzieścia sześć, a to, co pozostawił dla potomności, stanowi plon zaledwie sześćoletniej pracy, i to po największej części wśród dolegliwości fizycznych odbywanej. Cztery też właściwie tylko rozdziały, na sześć składających całość monograficzną, poświęca autor życiorysowi swego bohatera. Metoda, jakiej użył do swego badania, odpowiada temu poziomowi, na jakim zatrzymała się dzisiejsza krytyka historyczna: jest ona naukową i śledczą. Autor zgromadził przedewszystkiem materiał tak obfity, na jaki stać było biblioteki i archiwa w bardzo szerokim zakresie. Może to jeszcze nie wszystko, może zwrócenie uwagi w inną stronę lub przypadek odkryć coś dotąd niedostrzeżonego; ale to, co autor przed wzięciem pióra do ręki skupił około siebie, zdaje się nawet przerastać doniosłość przedmiotu, i dzięki też temu przygotowaniu, tak łatwo mu przychodzi orientować się w przedmiocie. Wobec takiego przygotowania dokumentów i owych *pieces justificatives*, zebranych z różnych końców świata, na jakie powołuje się autor, a których znacznej części myśmy ani widzieli, ani istnienia się ich nawet nie domyślali, zarozumiałością było-by występować w charakterze odpowiedniego sposobowi pracy krytyka, i poprzestać musimy na samem sprawozdaniu z rzeczy dokonanej, z zaznaczeniem wartości jej w stosunku do dziejów naszej literatury.

I.

Po krótkim wstępie (rozdział 1), głównie objaśniającym przeszłość badań stosowanych do Janickiego, autor przystępuje zaraz do biegu życia, w którym upatruje cztery zwroty, zdaniem naszym zgoła racjonalnie, bo wskazane przez samą naturę stosunków życiowych bohatera, i każdemu też z nich osobny poświęca rozdział, bez żadnej granicy sztucznej, tak, że wszystko to zlewa się w zupełną jedność. Jest tu zatem, po opisie pierwszych lat młodości, pobyt poety u Krzyckiego; potem na dworze Kmity; następnie na studiach w Padwie; w końcu zamieszkanie w Krakowie. Każdy z tych zwrotów ma pewną odmienną cechę; jedność między nimi wynika z jedności aspiracji, kierunku i pracy. Z natury rzeczy, autor głównie sledzi Janickiego jako poetę, ale nie stawia się w tem na stanowisku prostego recenzenta, które niczego-by nie objaśniało. Według najracjonalniejszej metody krytycznej, postępując za nim w życiu krok w krok, utwory wysnuwające się kolejno i chronologicznie podaje on także jako przypadki życia, wywołane pewnym nastrojem duszy, pewnemi okolicznościami, które dopiero należycie przytoczone objaśniają utwór i nadają mu literacko-historyczne znaczenie. Stawia zatem autor bohatera swego wrosłego w grunt, na którym zakwitnął, w związku ze społecznością, wśród której się poruszał, z odniesieniem sądów o nim do tego kryterium, jakie sprawiedliwie przysługuje epoce, w której podsządy pojmował, czuł i działał pod ciężeniem warunków wspólnych; słowem, rzuca nań oświetlenie istic historyczne. I to jednak za zasługę trzeba przyznać autorowi, że oświetlenia tego nie nadużywa, tak, iżby aż w masie tego światła zniknął gdzieś sam bohater, jak to zdarza się nieraz u innych monografów, zwłaszcza francuskich, i co zakrawa na popis z historią. U p. Œwiklińskiego jest pewna miara, sprawiająca, że bohater nie tonie w epoce, ale wciąż nad nią wyziera, i — powiedzieć raczej można, że autor gdzieś tam nawet skąpi tego tła, o którym, np. przy stosunkach Padewskich lub wojnie Kokoszej, mógł-by, doskonale panując nad przedmiotem, szerzej a dla czytelnika przeciętnego pożądaniej się rozpisać, gdyby nie to, iż, jak już raz z innego powodu powiedzieliśmy, pisze on więcej dla *swoich*, którzy znają, i na prostem napomknięciu poprzestać mogą.

Klemeus Janicki urodził się we wsi Wielkopolskiej r. 1516, to jest pomiędzy Rejem (1505) a Kochanowskim (1530); młodość zatem jego, rozwój i kierunek umysłowy przypada na ten czas, kiedy jeszcze literatura nasza mową ojczystą doniosłe nie zadzwoniła, a młody wychowanek łacińskich muz nie miał siły i odwagi wystąpić pierwszy-

Cichy i potulny syn prostego chłopa, potrzebujący i szukający protekcji, poeta dworski, od łaski pańskiej zależny, nie miał w sobie materiału na reformatora piśmiennictwa i trzyma się też zgoła biernie względem ruchu umysłowego swej epoki. Bardzo jednak wydatne, jak na swój czas i otoczenie, okazywać musiał zdolności, jeżeli ojciec rolnik, zamiast trzymać przy pługu, oddaje go do szkoły, a miejscowi obywatele dopomagają do edukacji chłopca, który niebawem prznosi się do gimnazjum Lubrańskiego w Poznaniu, i tam, na wezwanie profesorów, z okazji jakiejś uroczystości, wygłasza wiersz pochwalny (rozumie się łaciński) na cześć założyciela instytucji, mając zaledwie piętnaście lat wieku. Wiersza tego nie znamy, przypuszczać jednak trzeba, że byle jakiej elukubracyi sami zwierzchnicy, ludzie światli, byliby nie dopuścili, i wiemy wreszcie z późniejszego świadectwa poety, że wiersz się publiczności podobał (placui vulgo), czyli, musiał być napisany z sensem, w formie udatnej i dobrą łaciną. Ten-to wiersz, nieznanany, — cała psychologia za tem przemawia, — jest zwrotem stanowczym w życiu młodziana, wyrokiem zawieszonym nad jego przeznaczeniem. Komu w piętnastym roku życia przez poezję dozwolonem było użyć takich rozkoszy miłości własnej, by wzruszyć umysły słuchaczy i zostać tryumfotorem dnia, ten już poezyi nie porzuci nigdy.

Nie tyle zdołał nasz autor zebrać wiadomości co do tego pierwszego okresu życia poety, ażebyśmy mogli widzieć wszystkie jego ruchy i sprawy; nie dowiedzieliśmy się np., czym kosztem Janicki utrzymywał się w Poznaniu, jakie miał tam stosunki, a mianowicie: czego się uczył w ogólności, nawet jak długo bawił; i oddaje go nam bezpośrednio, „gdy życzliwy los otworzył mu wstęp na dwór poety, który właśnie zasiadł na pierwszej stolicy biskupiej w Polsce.” Poetą tym był arcybiskup Krzycki, którego też nowy, już dwudziestoletni domownik powitał ad hoc ułożoną elegią (w r. 1536), stanowiącą pierwszy kwiat w jego poetycznym wieńcu. Jeżeli porównamy tę elegię z późniejszymi, nawet z ostatniej doby, daje ona bardzo pochlebne świadectwo o szkole poznańskiej, przynajmniej co do wykładu łaciny: bez względu na treść, język w niej, tak pod względem gramatyki, jako też stylu i figur krasomówczych, nie jest o wiele mniej wykwintnym od tego, jakim pisał Janicki po powrocie z Padwy, gdzie słuchał głośnych w Europie mistrzów i z zapalem zachwycał się nimi. A lubo p. Œwikliński słusznie gani w niej przesadę w pochwałach dla patrona, oraz nadmiar mitologii, pozwolimy sobie zwrócić uwagę, że i cała poezya Janickiego od wad tych, w ówczesnej literaturze bardzo upowszechnionych, nie jest wolną. Pobyt na dworze arcybiskupim, już to w Gnieźnie, już w Krakowie, zjednywa nowe a znakomite stosunki osobiste młodemu poecie, wtajemnicza go i wprowadza w ruch wielkoświatowy,

a przytem do pracy właściwej zachęca. Nie ma on tam, zdaje się, żadnego innego obowiązku nad zajmowanie się biblioteką, która może stanowić skarb dla jego umysłu. Tutaj też przeziiera, zapewne skutkiem wprost skłonności ducha poety, niejako program jego twórczości. Byli po wszystkie czasy, a są i dziś jeszcze poeci, którzy, obojętni na otoczenie najbliższe, czerpią natchnienie z epok odległych, albo z idei abstrakcyjnych, krążących po świecie; inni stoją na gruncie teraźniejszości i przedmiotów najbliższych. Do rzędu tych ostatnich należy Janicki. Począwszy od wiersza w gimnazjum poznańskim, prawie wszystko jest u niego okolicznościowem. Staje pierwszy raz przed obliczem Krzyckiego,—elegia; Krzycki choruje niebezpiecznie i trwoga na dwór jego pada,—elegia; Krzycki z Gniezna odbywa podróż do Krakowa,—nowa elegia; poznaje się poeta z jakim człowiekiem znakomitym lub sympatycznym,—niezawodnie wynika stąd jeśli nie elegia, to epigram. Tak było podczas pobytu na dworze prymasa, i tak będzie nadal. Twórczość jego jest przeważnie wynikłością wzruszeń bezpośrednich; a lubo za owego pobytu pisze on wierszem „Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich”, nie jest to jego własna, jak wbrew Węclewskiemu dowodzi p. Ówikliński, lecz samego patrona inicjatywa, z której poeta wywiązuje się jakby od niechcienia; zamiast szerokich rysów, których nie szczędzi na rzeczy mniejszej doniosłości w elegiach, z „życotami” sprawia się źwiężle, epigramatycznie, i powiedzmy szczerze, dość sucho, lubo co do charakterystyki trafnie.

Nie długim, bo zaledwie jednorocznym, był pobyt naszego poety na dworze prymasa. Krzycki umiera na początku 1537, i w głębokim żalu pozostawia protegowanego, ale żal ten wyraża się nie bezpośrednio, tylko ubocznie i krótko w utworach nieco późniejszych. Czyżby istotnie Janicki, któremu przy mniej ważnych okolicznościach wysnuwały się obszerne elegie, tak wielką katastrofę miał pozostawić bez echa swych wrażeń, i dobrodzieja swego nie uczcić odpowiednim poematem? I któryż przedmiot podatniejszym był do zamieszczenia pomiędzy jego „Tristia”? Rzeczywiście jednak, w drukowanych wydaniach zbiorowych Janickiego poemat taki nie istnieje. Gdyby istniał w rękopiśmie, czyżby go opuścił autor, sam dozorujący pierwszego wydania? Chyba gdyby go uważał za niegodny siebie. Tymczasem poemat taki, właściwie elegia, istnieje w rękopiśmie b. biblioteki Załuskich, w formie dialogu pomiędzy Rzeczpospolitą a Grobem z powodu śmierci arcybiskupa, a lubo nie jest oznaczony nazwiskiem autora, p. Ówikliński, zgodnie ze zdaniem prof. Brücknera, który rękopism ten odszukał, skłonny jest uznać go za utwór Janickiego. Na jakiej zasadzie? Oto napotyka w nim zwroty i alluzye zupełnie podobne do tych, jakie w odniesieniu do Krzyckiego widzi w trzech jemu poświęconych elegiach,

oraz, że „utwór znajduje się w rękopisie kanonika Kilowskiego, zawierającym listy samego Janickiego, oraz mężów z tego koła, w którym się Janicki obracał.” Są to argumenta nie bez wartości, ale tylko pozorne. Wiersz, o ile go znam, jest tak lichy, że niezmiernie całą oprawą odbija od innych tego poety; żadnego w nim serca, kropli szczerzego uczucia osobistego, wiersz robiony na zimno, złożony z frazesów ogólnikowych, sztucznie melancholijnych; niepodobna aby człowiek z natury wdzięczny, a jako poeta, utalentowany, nie zdobył się na prawdziwsze uczucie, tem bardziej Janicki, który tak serdecznie pisze o każdym lub do każdego, komu cośkolwiek zawdzięcza. W tym wierszku wierszu, autor, kto bądź nim jest, stawia Krzyckiego ogólnie wobec państwa: czyż Janicki, pisząc ten wiersz kondolencyjny, mógłby nie uczynić aluzji do samego siebie, osobiście po zmarłym lży nie uронić? Podobieństwo wyrażen? A czyż nie mógł właśnie ktoś inny, i nawet dobrze późniejszy, skorzystać z poprzednich elegii Janickiego? Jakież to nareszcie te wyrażenia, które p. Œwikliński jakoby za dowód przytacza? Nic innego, tylko porównywanie zmarłego z Jowiszem, tak jak w pierwszej elegii. Mnie się to wydaje argumentem przeciwnym, bo chyba wstyd byłoby Janickiemu powtarzać, i to w sposób tak niezgrabny, samego siebie. Dlaczegoż-by nakoniec, napisawszy wiersz, miał trzymać go w sekrecie, i to tak, że świat o nim nie wiedział, bo się ani w jego własnej edycyi, ani w innych nie pojawił? Jest to zapewne wiersz jakiegoś kleryka, który za przykładem Janickiego, ćwicząc się w pentametrze, próbował uczyć księcia Kościola. A skoro tego wiersza Janicki sam nie wydrukował, ani go nie podpisał, to i my nie mamy prawa mu go narzucać, tem bardziej, że, jak sam autor monografii powiada, „dyałog ten nie może być uważany za liść ozdobny we (sic!) wieńcu poetyckim Janickiego.”

„Ze śmiercią Krzyckiego—powiada autor—zamyka się pierwszy okres życia poety.” Na jakim znamieniu oparte jest to odróżnienie, tłumaczą nam zaraz słowa następujące: „Dalszy jego żywot cały niemal pełen jest boleści i zawodów.” To znaczy, że dotąd, istotnie, wszystko mu się od lat chłopięcych udawało, życie płynęło gładko, wśród zadowoleń umysłowych i materyalnych, nie słyszymy narzekań ani na przeciwności, ani na zdrowie. Teraz wszystko to ma się zmienić.

II.

Bezpośrednio po śmierci arcybiskupa-poety przechodzi Janicki na dwór świeckiego możnowładcy, wojewody krakowskiego, Piotra

Kmity, który z wysokości swego zamku Wiśnickiego królom nawet rzuca rękawicę. Jakim sposobem tam się dostał, i to zaraz po utracie gruntu, nie dowiadujemy się z monografii. Jakkolwiek Kmity był człowiekiem na swój czas wysoko wykształconym, zwolennikiem a zarazem mecenasem literatury i sztuki, co zapewne i Janickiemu wejście na dwór jego ułatwiło, i jakkolwiek w osobie młodzieńca wojewoda wziął niejako spadek po osobistym przyjacielu, — stosunki wzajemne dalekimi były od tej serdeczności, jaka łączyła poetę z poetą, tem bardziej, że cichy ten i potulny wychowanek muz, rad nikomu wody nie zamącić, natrafia tu wśród dworzan na intrygantów i oszczerców, którzy mu przed Kmity buty szyją, jak między innymi Stanisław Orzechowski. Jakaż to różnica od dworu Krzyckiego, gdzie najdostojniejsi bywalcy, duchowni i świeccy, otaczali go życzliwością. Ze spadkobierców też arcybiskupa były dworzani nie ma powodu być bardzo zadowolonym: nietylko oni pośmiertnym upominkiem darzą go gorzej, niż domowego pacholka, ale ciężko mu nawet wywindykować własne rzeczy, w któryms z zamków Krzyckiego pozostawione. Przy boku Kmity, zapewne jako sekretarz, bibliotekarz, słowem sługa od pióra, Janicki przebywa z nadzieją otrzymania odeń zapomogi na studia w Padwie, i zasługuje mu się co prawda niedługo, bo tylko przez dziewięć miesięcy (r. 1537—8), tworząc przytem różne wiersze okolicznościowe, krótsze lub dłuższe, jak: na cześć szwagra Kmity, Łukasza Górki, na śmierć brata, Stanisława Kmity, wyśpiewując zarazem chwałę całego rodu i t. p., a nie odstępując dostojnego patrona, czy to w zamku, czy w podróżach. Był tedy świadkiem i owego sławetnego zjazdu szlachty pod Lwowem (sierpień 1537), ochrzczonego urągliwym mianem „wojny kokoszej”, i burzliwego a gorszącego sejmku w Piotrkowie (początek stycznia 1538 r.), gdy podczas sesji nadeszła wieść o wtargnięciu Wołoszy i kłęsce Polaków nad Seretem; słyszał i wiedział wszystko, co w tym okresie panowania Zygmunta I ku niedoli kraju zachmurzyło widnokrąg polityczny, dzięki zawichrzeniom między rycerstwem a senatem i dworem: skąd powstały dwa około stuwierszowe utwory poetyczne, jedno z najcelniejszych tak co do treści, jako i formy: „Skarga Rzeczypospolitej” (Quaerela R...), oraz „Odezwa” (Ad Proceres Polonos). Świetny, psychologiczny i historycznie pouczający jest wywód, tudzież dyskusya autora nad początkiem tych dwóch pereł w skarbcu poezyi Janickiego, tak co do samej ich treści, jak i co do związku z dyaryuszem owego zgromadzenia lwowskiego, które było tylko wygadaniem się stronnictw bez żadnego rezultatu, a stąd do kurzego gadania porównane. Byłoby zapewne milej i donioslej dla chwały młodego adepta, gdyby głos, który z tak szlachetnym zapałem podniósł przeciwko wichrzycielstwu i samolubstwu stronnictw, pochodził z po-

budek wewnętrznych i samoistnych; ale zgadzamy się z autorem monografii, że niepodobna przypuścić, aby ten pokorny, niedoświadczony, zaledwie 21-letni a pomny swego pochodzenia chłopiec, i kwestyę samą ze stanowiska państwowego rozumiał, i porwał się rzucać gromy na potężne stany Rzeczypospolitej. Był niewątpliwie ktoś, co stał za nim, co mu oczy otworzył na sytuację, tak, iż młodzieniec, nie dyskutując, odczuł ją moralnie i poetycznie, w duchu instruktora; a tym nie kto inny być mógł, tylko Kmita, który właśnie sytuację tę usiłował opanować. Nie znaczy to jednak, aby sama usłużność dworska kierowała piórem autora i wykoncypowała płatny pamflet polityczny. Domysł autora monografii tak niezaprzeczony, ważny dla charakterystyki poety, w niczem nie ubliża człowiekowi, który, acz natchniony skądinąd, przyjmuje natchnienie w dobrej wierze, prośby o statek znosi uczciwie i gorąco, oburzenie przeciw złemu wyraża z serdecznym bólem i prawdą, tak, iż te dwa utwory, niezależnie od komentarza i w jego nieświadomości, wzięte oderwanie, zarówno jak wonią poezji, tchną zupełną samodzielnością, która tem bardziej się podoba, że oręduje w dobrej sprawie, świętej.

Pomimo wypełnienia czasu w sposób dla umysłu pożądany, młody poeta niecierpliwi się na dworze, pilno mu wydrzeć się na wielki świat ruchu naukowego do Włoch. O spełnienie tego upragnionego zamiaru przymawia się Kmicie w udatnej elegii, tłómacząc się zarazem, że jeśli dotąd jego osobie oddzielnego nie poświęcił wiersza, to dlatego, iż przy obecnym lichym stanie swej uprawy umysłowej nie czuje sił dostatecznych do podjęcia tak poważnego dzieła. Więcej w tem oświadczeniu było zapewne hiperboli poetycznej, niż prawdy; a jeśli Piotr Kmita oczekiwał po nim dla siebie jakiego epickiego rapsodu, zawiódł się srodze, bo Janicki, oprócz pochwał ubocznych, nigdy specjalnego wiersza wojewodzie krakowskiemu nie poświęcił. Mimo to prośba jego osiągnęła skutek: w r. 1538, zaraz po sejmie Piotrkowskim, kosztem Kmity udał się do Padwy. Na wyjeździe z domu nie kończą się jednak stosunki protektora z protegowanym, ale trwają gdzieś po rok 1541, tylko nie są one najpożądańsze. Za mało jest materiału do należytego ich wyświetlenia; z rozmaitych wszakże odezwo Janickiego, dochodzących z Padwy, widać wyraźnie jakieś ze strony wojewody niezadowolenie, które poeta przypisuje intrydze, niezadowolenie przecież nie przeszkadzające panu pamiętać w pewnej mierze o potrzebach ubogiego akademika, a temu wyrazi gorącej wdzięczności i usprawiedliwień dobroczyńcy przesyłać. Kto wie, czy nie najwალniejszą przyczyną kwarambu, do którego Padwa miała usposobić, Janicki przesyła mu pochwałę filozofii? Bardzo być może: ówczesni magnaci tak byli czuli

na pochwały głoszone wierszem, tak ich żądni, jak dzisiaj wstęp i tytułów, a tak wysoko stawiali szafarzy wierszowanych dyplomów wielkości.

Rajem dla młodego poety była Padwa. I nic dziwnego: śliczny kraj, śliczne miasto, towarzystwo doborowe, napływ inteligencji ze wszystkich stron świata, spokój, wykuint obyczajów towarzyskich, wszystko to mogło do najwyższego stopnia zachwycić wrażliwy umysł i zmysł syna ziemi surowej, członka społeczności zaledwie zaczynającej wkraczać na wielki gościniec kultury europejskiej. Choćby nic innego, to żywe pomniki przeszłości rzymskiej, ów potężny ruch nawrotny ku niej, objawiający się na każdym kroku w języku, w instytucjach, cały ten prąd odrodzeniowy, jakież musiał czynić wrażenie na młodym klasyku, żyjącym przeważnie duchem pisarzy starożytnych, tu do codziennego niemal życia wcielonych. Tu znalazł się on w jednym z najcenniejszych ognisk tego Odrodzenia, do którego dążyły wszystkie inteligencje ówczesnego świata ucywilizowanego, a nadto znalazł się w głównem środkowisku wiedzy humanistycznej, po którą sięgał od wyjścia ze szkoły poznańskiej. Nie mogła mu jej dać żadna inna szkoła w Polsce, ani nawet akademii krakowskiej, która zesłała była na dziady. Zapisał się też zaraz na wydział filozoficzny, obejmujący zarazem teologię i medycynę, a zapal swój dla profesora Bonamico posuwa do ubóstwienia, odbicia tych wszystkich uwielbień dla kraju, obyczaju i poszczególnych jednostek, zaznaczając w przesyłanych do kraju rozmaitych wierszach, równie jak w listach zwyczajnych. Żyjąc na dobrej stopie z kolegami ziomkami, zwłaszcza ze znakomitym później humanistą, Piotrem Myszkowskim, jedna on sobie przyjaciół w dostojnych cudzoziemcach, jak prof. Bonamico i kardynał Piotr Bembo, i do niego też pisząc (Eleg. Var. 9) z pobytu w Padwie, wyraża uszczęśliwienie swoje, w wierszach, które z przekładu Węclewskiego przepisujemy:

„Rok tu na skrzydłach uleciał mi szybkich,
Niepostrzeżony wykrał się. Dlaczego?
Gdy o to pytasz, ty, chlubo Wenetów,
Bembie, do ojców policzon kościoła,
To chyba nie wiesz, że w niedoli wolno,
A szczęśliwemu rączo czas ubiega.
Bo ja przynajmniej, odkąd żyję w Padwie,
Mniemam, że życie przepędzam w niebiosach,
I wołam: nazbyt, zbyt jestem szczęśliwym,
Dopóki taki los służyć mi będzie.”

Ale niema róży bez kolców. Do tego raj, będącego przybytkiem Muz i przyjaźni, zakraść się miały dwa węże, zdolne jadem swym zatruć

wszelaką szczęśliwość: to niedostatek materyalny i choroba. Zapomoga ze strony Knity okazywała się za szczupłą na wydatki młodzieńca, który snadź lepiej się umiał z rytmem pentametru rachować, niż z groszem. Stan ten srożej jeszcze zaciężył, kiedy długa, prawie całoroczna choroba, powaliła go wreszcie na łóżko, a że z niej powstał, zawdzięcza jedynie pieczołowitości zacnego Bonamica, oraz staraniom dwóch profesorów-lekarzy: Franciszka Cassianusa i Jana Montana, — ludzi, których nazwiska powinny zostać w pamięci naszej, jako tych, co ze szlachetną bezinteresownością opuszczonego ziomka naszego uratowali w nieszczęściu od niechybnej śmierci.

Było też i kogo ratować. Pobyt Janickiego w Padwie trwał z okładem dwa lata (1538 do 1540): odejmijmy od tego niemal rok choroby obłożnej, pozostaje mało więcej nad jeden rok poświęcony studjom. W tym krótkim przeciągu czasu zdążył on nie tylko świetnie ukończyć studia wydziałowe, ale i zasłynąć jako poeta wyższego znaczenia; kiedy bowiem, pomimo wyjścia z choroby obłożnej, stan jego zdrowia wciąż okazywał się rozpaczliwym i lekarze uznawali potrzebę zmiany klimatu na ojczysty, wyjechał, po złożonym egzaminie ze stopniem doktora ¹⁾, co większa z wieńcem laurowym poety, udzielonym mu przez papieża, a był to pierwszy zaszczyt polskiemu poecie przyznany, skąd i nie mała chluba, dzięki chłopskiemu synowi z pod Żnina, przeszła na kraj cały. Jakież to więc musiały być zdolności tego młodzieńca, który, walcząc z biedą i chorobą, jeszcze w tak krótkiej dobie potrafił takich rzeczy dokonać!

Sledząc we wszystkich szczegółach życie padewskiego studenta, a zwłaszcza w stosunkach, z których jeden tylko, mianowicie do Stanisława Odrowąża, wymagał-by większej jasności, autor monografii nie zapomina też Janickiego jako poety; przeciwnie, z większą niemal skrętnością niż gdzieindziej notuje wszystkie jego z tej doby utwory, w porządku już to chronologicznym, już przedmiotowym, licznemi wyjątkami objaśniając to nastrój duchowy poety, to okoliczności życia, i przychodzi do tej konkluzji, że Janicki w tym okresie pisał niewiele, ale że studia padewskie „korzystnie oddziaływały na talent i usposobienie poetyckie młodzieńca.” Jako zaś korzyść, wskazuje, że widać tu „miarę w pochwałach, której brak razi w utworach wczesnych, w Polsce skreślonych.” Miara jest niezapreczenie zaletą, tak dobrze arty-

¹⁾ Winieniem nadmienić, że ten dyplom doktorski podał in extenso Łukaszewicz, ale nie wskazał źródła, skąd go wziął; p. Windakiewicz zaś nie znalazł go w przeglądanych aktach, tak, że dowodu materyalnego o istnieniu tego dokumentu nie mamy. Wspominam to tylko dla ścisłości, boć niepodobna przypuścić, aby tak poważny badacz, jak Łukaszewicz, dopuścił się płocheho falsyfikatu.

styczną, jak moralną; ale w stosunku do przewrotu, jakiego umysł poety doznać musiał na studyach, było-by to jeszcze nie wiele. Za taką korzyść uznalibyśmy raczej widoczne rozszerzenie się horyzontu myśli, wyjarzmienie z pod jedynego i jednostajnego wpływu dworów. Inna to rzecz patrzeć w oczy panu, bodajby najlaskawszemu, inna słuchać tylko samego siebie i czuć się na równi z innymi. Gdyby do skończenia życia Janicki nie ruszał się z kraju, to ani ze szczytu katedry gnieźnieńskiej, ani z wież zamku wiśnickiego nie widział-by tego, co mu każdej chwili opowiadały kamienie starej Italii, oprócz tego, co słyszał *ex cathedra*. Nie bagatela to przemawiać językiem poezyi do jakiegoś Bonamica, Bemba lub Montana; trzeba umieć więcej niż to, co się wyniosło z kraju; nie dziw też, że w utworach tej doby spotykamy dojrzalszą myśl, obszerniejszą wiedzę i większą swobodę, a nadewszystko większe urozmaicenie w treści, od najwyższego skupienia ducha aż do humoreski i jowialności. Przyznam się tylko, że dostrzedz nie mogę, ażeby w utworach tych koloryt poetyczny żywszym był, niż w poprzednich, albo żeby tamte pod względem stylu łacińskiego i techniki wierszowej stały tak bardzo niżej od obecnych. Nie nabrał Janicki w Padwie nowych form wiersza, których takie bogactwo widzimy w Horacym, i które pociągnęły-by za sobą inny rodzaj stylizacyi i harmonii, trudny ale świetniejszy, jak to później widzimy u Sarbiewskiego; pozostał przy swym gnieźnieńskim jeszcze Owidyuszowym pentametrze, któremu wiernym też był do końca. Co prawda, ile wiersz ten w swych jednostajnych i nieco przydługich dystychach zdolny jest starczyć prawdziwemu i z duszy wprost płynącemu natchnieniu, tyle go zabrzmiało w przeslicznej pieśni „do Najświętszej Panny”, ale nie zapominajmy, że i przedpadewska odezwa „Ad proceres”, jako dzieło sztuki śmiało może obok niej stanąć. Nie zdaje mi się też z drugiej strony, aby plon padewski, pomimo przeszkód wynikających z zajęć akademickich i z choroby poety, był tak szczupłym, jak autor oznajmia, skrupulatnie wymieniwszy do dziesięciu elegii i nie wiem ile epigramatów. Toż gdyby poeta w tym stosunku szedł dalej nieprzerwanie a nie zgasł tak wczesnie, toby licznie przeszedł może Kochanowskiego.

III.

Werwa laureata i płodność jego nie ustały bynajmniej, kiedy zbiedzony, schorzały, przywłókl się do kraju i osiadł w Krakowie, przypuszcza autor, że w mieszkaniu Kmity, pod koniec r. 1540, w nieobecności wojewody, który wówczas uganiał się za Tatarami na Rusi. Ale też tu niebawem i koniec stosunków, których zerwania istotny

powód pozostał tajemnicą. Dość, że Kmita, powróciwszy, nie usuwa wprawdzie ze swego domu poety, który epigramatami usiłuje go udobruchać, ale widzieć się nawet z nim nie chce, o ile wnosić można z bardzo wyraźnych aluzji: „przybywasz, Kmito, dla innych, dla mnie nie; obcujeś ze wszystkimi, dla mnie nieobecny, ciałem blizki, przyjaźnią daleki; widzę cię obrażonym, lecz nie wiem *kto* dał powód i podstawę (materiam) tak wielkiemu nieszczęściu” ¹⁾. Pomimo zerwania stosunków, Janicki nie był bez grosza. Dzięki ważnym odkryciom dra Windakiewicza, dowiadujemy się, że poeta był (niewiadomo odkąd i z jakiej racyi) klerykiem *in minoribus*, a pomimo niewyświęcenia na kapłana, posiadał, także niewiadomo odkąd, probostwo (rozumieć więc trzeba dochód z probostwa) w Koniuszy pod Proszowicami, które zamienił na Gołaszowskie pod Olkuszem, jak świadczy dokument z d. 7 grudnia 1540 roku, zamiany tej dotyczący. Oryentując się w datach, przyjść można łatwo do wniosku, że dotację tę posiadał on jeszcze w okresie padewskim, — o czem w pismach jego ani wzmianki; — bo skoro powrócił do kraju w październiku albo listopadzie 1540 roku, toż ani podobna przypuścić, żeby teraz dopiero, w ciągu kilku tygodni, zdążył otrzymać probostwo w Koniuszy i czempnąć, już 7 grudnia, zamienić je na inne; mógł tylko, co najwięcej, dopełnić zamiany rzeczy posiadanej dawno przedtem. Słusznie więc, ze swą zwykłą przenikliwością, domyśla się p. Ówikliński, że ten-to właśnie dochód z probostwa stanowił całą zapomogę Janickiego w Padwie, którą obdarzył go Kmita, jako kollator probostwa w Koniuszy, twierdząc dalej, wbrew przypuszczeniom dra Windakiewicza, że i sama zamiana nie mogła nastąpić bez wiedzy i zezwolenia Kmity, że zatem nie to było powodem obrazy i oziębienia wojewody.

Nie wiemy—i autor monografii nigdzie nie wspomina—czy pomimo tego oziębienia Janicki pozostał na mieszkaniu gdzie w domu Kmity, czy poszukał sobie siedziby własnej. To pewna, że nie ruszał się z Krakowa nawet chwilowo aż do końca życia. A jakież-to życie spędził ten doktor *in artibus et philosophia*, ten *poeta laureatus*? Boże zmiłuj się! Wyobrażamy go sobie gdzieś w nędznej izdebce, otoczonego książkami i lekarstwami, z piórem w drżącej ręce zwątlącej, z oczyma płonącymi gorączką i natelnieniem poetycznym — niby drugi Heine — z różnicą uczuć, wartości moralnej i przyczyn choroby. Wątpić należy aby opływał w dostatki. Dla przybliżonego ocenienia, jakie posiadał środki

¹⁾ Węclewski tłumaczy: „jaki powód i co przyczyną tak wielkiej niełaski”. — co nie jest ściśle, i przeistacza myśl piszącego. W tekście stoi wyraźnie *qui dedit*; mowa zatem o człowieku nie o rzeczy, czyli Janicki tu ma na myśli czyjąś osobistą złośliwość i chęć szkodenia mu w oczach dobroczyńcy.

człowiek chory, pożerany twórczością i żądzą wiedzy, p. Ówikliński podaje odkryte niektóre szczegóły rachunkowe. I tak: czynsz jego z dzierżawy gruntów plebańskich w r. 1541 wynosił osmnaście grzywien rocznie (prócz karczmy). Nie możemy sprawdzić w tej chwili, ile suma ta wynosiła w stosunku ówczesnym do wartości korca pszenicy, zwykłej miary porównania, ale przypuściwszy nawet stosunek najwyższy i nieprawdopodobny, będzie to utrzymanie zaledwie niedopuszczające nędzy.

Na domiar, w tym oplakany stan przychodzi nań inne udręczenia, — rodzinne. Przedtem oplakał już ojca; teraz śmierć porwała mu młodszego brata, i osamotniła matkę we wsi rodzinnej, pozbawiając starszą opiekę i środków do życia. Zbyt może rozpaczliwie odzywa się o tym wypadku w epigramacie Janicki. „I tę (matkę) mi pogrzeb, i spraw, by nie pozostał nikt, coby po śmierci mojej zapłakał”; — ale ludzi a zwłaszcza poetów nie można sądzić po ich chwilowych wybuchach. Janicki czułym był synem; mimo ubóstwa własnego i choroby, sprowadził do domu matkę, — ciężar przeważający zapewne te osmnaście grzywien dzierżawnych. W jakich to uczynił warunkach, najlepiej świadczy nowy dokumencik finansowy, opiewający co następuje. Kuśmierz krakowski, *honestus Daniel*, podjął się ponaprawiać odzież syna i matki, pierwszą za złotych cztery groszy piętnaście, drugą za złoty jeden. Poeta nie mógł wykupić swoich rzeczy aż do śmierci, i kuśmierz, zatrzymawszy futro, sądownie należność swą windykował od egzekutorów testamentu.

Pomimo takiego stanu, rzucającego cień na ówczesnych mecenasów i opiekunów „poety uwieńczonego”, młodzieniec ten, zdaleka tylko, jak głodny z za szyby, przyglądający się uczcie młodości, zgoła nie traci pogody umysłu, cechującej głęboką wiarę w przyszłość zaświatową, ani fantazyi, stanowiącej ferment twórczości. Pilniej też jeszcze niż w poprzednich okresach autor nasz wpatruje się w jego czynność literacką, szczegółowo nawet rozbierając niektóre z ważniejszych poematów, tem bardziej, iż twórczość Janickiego, nie poprzestając tu na samym egotyzmie i uczuciach pojedynczych, a nawet (ktoby przypuszczał) aspiracyach miłosnych, zwraca się więcej ku ogólnym widokom politycznym i sprawom krajowym, a w kierunku tym już nie dostrzegamy potrażeń zewnętrznych, jak to mogło zdarzyć się wówczas, gdy pisał „Quaerela” albo „Ad proceres”, ale przebłyskuje w nich pogląd raczej samoistny i uczucie doraźne. Ze zbudowaniem teraz widzieć to można, że Janicki, jakkolwiek całym zajęciem, w ówczesnych zwłaszcza warunkach, na podstawie łaciny i międzynarodowego renesansu, stał na pochyłości kosmopolityzmu, i jakkolwiek na widok Włoch (in suo statim in Italiam adventu) niebacznie wyrwało mu się z piersi:

„bodajby przyszło tu mi się urodzić!” — jednakże nie z przyrodzonego przywiązania do kraju nie stracił, a to pomimo serdecznej nici wspomnień, jakie go z Włochami łączyły, opromieniając ten mrok położenia, które we własnym kraju znalazł. Dowodem tego są nie tylko liczne dygresje w rozmaitych wierszach, zwłaszcza w elegii do Wargawskiego, gdzie zwraca się z najtkliwszą miłością do ziemi samej, ale uczucie to wspaiałym ogniem płonie szczególnie w pierwszej części „Epitalomionu” na cześć Zygmunta I, w poemacie, który nie tylko za arcydzieło Janickiego uważać można, ale któremu w ogólnym pantheonie poezji poważne miejsce przypada. Do politycznych też poematów należy elegia na śmierć Hieronima Łaskiego, cięta satyra (o ile autorstwo ostatecznie sprawdzonem zostanie) przeciw różności strojów w Polsce (In polonici vestitus varietatem et inconstantiam—dialogus), oraz mniej udatny tren (Ad D. Joan. Antoninum) opiewający żal po upadku Budy, wziętej przez Turków d. 2 września 1541, z czem połączona była obelga dla królowny polskiej, wdowy po królu węgierskim; wiersz, gdzie za prądem naówczas powszechnym, i w związku z niektórymi poprzednimi wierszami, poeta, opisując ruiny, w świecie chrześcijańskim dokonywane przez Turków, domaga się wygnania ich wspólnymi siłami z Europy. W zakres też utworów historycznych wchodzi „Żywoty królów polskich” wraz z żywotami śś. Wojciecha i Stanisława, skreślone bez samodzielnego badania, ale wprost na podstawie kronik, i tak samo jak żywoty arcybiskupów, treściwie ujęte w sześć dystychów każdy, zatem po dwanaście wierszy. Domyślamy się, jaka to mogła być historia; wdzięk jednakże formy wierszowej, trafność charakterystyki krótkiej a dosadnej, sprawiły, że długo używano ich za podręcznik szkolny. Na nas sprawiają one wrażenie, jakby stanowiły pierwowzór lub pobudkę do „Śpiewów historycznych” Niemcewicza, które bez historyi żadnej uczą poczucia historyi.

Z tych wszystkich prac dla autora naszego najprzydatniejszą okazała się siódma elegia zbioru p. t. „Tristia”, ułożona pod koniec r. 1541, na wzór Owidyuszowej (Trist. IV, 10), a zawierająca autobiografię poety. Jest to, zapewne, zbiór faktów zszeregowanych z całego przebiegu życia, dający ryczałtowe wyobrażenie całości; ależ i przeważna część wszystkich jego utworów, epistoły zwłaszcza, czyli elegie z nagłówkiem *ad...*, znakomite stanowią tej autobiografii dopełnienie, czyli właściwie i same są autobiografią, w nich bowiem, jeśli nie szczegóły materialne, to spotykamy często rysy charakteru, z którymi poeta wydaje się niechęący. Autobiografia cała przejęta jest nutą żalną, pisze a raczej dyktuje ją człowiek, który zamierzał wiele uczynić dla społeczeństwa w danym zakresie, a tymczasem śmierć już zagląda mu w oczy. Odzywa się też z góry do czytelnika: „Ktokolwiek

zajmiesz się mną, a stąd zechcesz poznać życia mego przebieg, przeczytaj wiersze, którem podyktował wówczas, gdy mnie puchlina do wód ciągnęła Letejskich." Elegia ta jeszcze bardziej zainteresowuje autora monografii, jako wydatne naśladownictwo Owidyusza i stąd następuje rozbiór porównawczy, z którego wynika, że jakkolwiek jest to naśladownictwo formalne, wszelako sama różnica położenia nastęrcza pocie polskiemu myśli samodzielne, a stąd i ustępy oryginalne, w których Janicki,—i tu autor ma zupełną słusność—rzymskiego wygnańca „przewyższa siłą i szczerością uczucia." Pomimo ponurych przewidywań, elegia ta nie była utworem ostatnim. Jeszcze, walcząc pomiędzy życiem a śmiercią, sporo wydał z natchnienia swego poeta, i nierównie mniej smutnych, a nie mógł sobie świetniejszej zapalić aureoli, jak przez ów wspomniany już „Epitalamion", łabędzią pieśń przed śmiercią, która nastąpiła w styczniu lub na początku lutego 1543 roku.

IV.

Praca p. Ówiklińskiego nie jest dziełem napisanem od jednego ciągu, to widocznie plon dłuższych poszukiwań, odkładanych i na nowo rozpoczynanych. Chodziło mu głównie o człowieka, a wierny przypowieści: „e fructibus eorum judicabitis eos", człowieka tego szukał przede wszystkim w jego dziełach, nie poprzestając zaś na tem, każdy tekst, każdą wzmiankę sprawdzał ze stosem materiałów, których mu dostarczyli inni, począwszy od Długoszowej „Liber beneficiorum", aż do „Siedmiu dokumentów" dra Windakiewicza; — szczęśliwy, że umiał szukać i miał w czem. Nie lekceważąc prac swych współczesnych poprzedników, jako monografów, mało, jak widzę, z nich korzysta, a wspomina ich raczej dla sprostowania czegoś, niż dla powołania się jako na powagę. Jednym z największych zajęć autora jest tu ustanowienie chronologii albo faktów życiowych, albo samych utworów, bez czego, czy to okolicznościowe, czy egotyczne, których tu jest najwięcej, tracą część swego znaczenia. Ile-to ułatwień i jaką przysługę dla późniejszych badaczy świadczyli-by wydawcy zbiorów, gdyby, nie poprzestając na podziale jak zwykle materyami, pod każdym utworem podpisywali datę autentyczną. Bez tego nasz autor musi się co chwila łamać, ale z pewną chwalebłą zaciętością konfrontuje okoliczności, a lubo w pomroce czasu i braku wskazówek nie zawsze mu się uda dotrzeć do końca, to przynajmniej wskaże prawdopodobieństwo albo zawiesi wątpliwość wyrozumnowaną; częściej jednak tryumfuje i przekonywa, a tym sposobem, opierając się na datach, zaprowadza regularny porządek w życiu swego bohatera.

Erudycya autora idzie dalej i w innym kierunku, — filologicznym. Raz powiedziawszy, że Janicki wzorował się na elegikach rzymskich, chciał autor wykazać niejako naocznie, jaki był jego do nich stosunek, tak co do motywów poetycznych, jak i co do formy. I otóż sypią się jak grad zblżenia i porównania z Katullem, Propereyuszem, a zwłaszcza z Owidyuszem, którego nasz poeta obrał sobie za gwiazdę przewodnią. Z tego mnóstwa zestawień, jakie z cierpliwością mrówki albo benedyktyna wyszukuje, szperając między odnośnemi tekstami poety polskiego i obcych, pokazuje się, że nasz Janicki bliżej lub dalej, lecz pełną garścią i bez ceremonii czerpał ze wzorów nietylko myśli i obrazu, ale wprost wyrażenia. Jako jedno z mnóstwa, na próbkę: „To co dziś jest Sarmacyą, pustem dawniej było bezdrożem, po wielkich wodach Deukaliona” — powiada Janicki o Polsce. Piękniej kreśli ten sam obraz Propereyusz: „To co widzisz tu, gościu, ten wspaniały Rzym, przed frygijskim Eneaszem, górą był i trawą.” Cóż mówić o autobiografii, która, nietylko co do planu i motto jest odbiciem Owidyuszowej, ale z innej elegii zapożycza całych frazesów; np. Janicki: „Nulla fuit, memini, nox mihi, nulla dies”; po Owidyuszu: „Nulla venit sine te nox mihi, nulla dies”; a co znaczy: „bez ciebie żadnej mi nocy ni dnia.” Kopa takich pożyczek byłaby dziś zgorszeniem, plagiatem... Ale zatrzymany się w sądzie ze względu na humanistyczną postać rzeczy w piętnastym wieku, kiedy od czasu do czasu zrabować wielkiego poetę starożytności było zaszczytem, dowodem znajomości i szacunku, na podobieństwo tego, jak wśród pobożnych zasilają się myślami i słowami Ewangielii, i nikt stąd pocie procesu nie wytaczał. Jeżeli zatem p. Ówikliński zadał sobie tyle pracy, to nie dlatego zapewne, iżby znajdował w tem jakąś szczególną ujmę dla swego bohatera, ale wprost z obowiązku i skrupułu filologa, tem bardziej, że jakkolwiek liczne wytknął wziętki, nie są one ani ratowaniem się w niemocy, bo Janicki zbyt wiele złożył dowodów udolności własnej, ani też nie są one tak liczne, aby nie znikły w twórczości samodzielnej, jak krople w potoku. I czem-by tu się wreszcie było tak dalece gorszyć, że humaniści, epigonowie romanizmu, brali z poetów klasycznych, jeżeli to samo czynili bezpośrednio poeci po-Augustowscy, a jeden z nich, ze względu na Wergiliusza, woła wyraźnie na swoją Muzę, aby się sama nie zapędzała tak bardzo, tylko szła w jego ślady (*vestigia semper adora*).

Uzupełnia p. Ówikliński pracę swą poglądem literacko-krytycznym; nietylko bowiem ważniejsze utwory w miarę ich chronologicznego pojawu streszcza i objaśnia, wskazując w poszczególnych strony mocniejsze lub słabsze, opiniując ogólnie, ale osobny ustęp poświęca pogładowi na całość poetycznej twórczości bohatera. I oto jest jedyna rzecz, do której można zastosować dyskusyę, kiedy na gruncie histo-

rycznym i filologicznym, mnie przynajmniej, p. Ówikliński wydaje się niedotykalnym. Janicki jest w naturze swego talentu lirykiem, któremu autor przyznaje przedewszystkiem „ciepło i prawdę”, przy odpowiedniej mierze wyobraźni, odmawiając tym przymiotom siły równoważnej. Brak ten tłumaczy się nietylko okolicznościami życia, ale i przyrodzonym ustrojem. Według określeń własnych, ciało jego, przy dość ujmującej powierzchowności, było niedołężne (*invalidum*), siły licze, nie wytrzymujące najmniejszego wysiłku, na twarzy oznaki najsilniejszej wstydlivosti (*ingenui pudoris*). Według przekładu Syrokomi powiada o sobie: „Mięknę gdy we łzach obaczę oczy; sarnie me serce lęka się, trwoży: i kląłem wojny, gdy bój się toczy.” Otóż i charakterystyka jego wiersza, który nie może wyglądać inaczej, niż człowiek. Dodajmy do tego stanowisko społeczne. Niech tam będzie jak chce, ale żak z pod chłopskiej strzechy, przemycony do klubu wielkiego świata, czuje się w nim jak okradziony, poczucie zależności, względy konwencyonalne, kępują rozpęd. Z tych przyczyn i uczucie, główna nuta jego kompozycji, nigdy nie posuwa się do wysokiej skali namiętnościowej, średnich trzymając się tonów, nie zagłuszających refleksji. Nie powiem jednak, żeby to był poeta bez temperamentu artystycznego; przeciwnie, możemy w nim dostrzedz wysoką temperaturę wrażliwości, gdy chodzi zwłaszcza o rzeczy wysokiego znaczenia, czego dowodem jego ubolewania nad stanem Rzeczypospolitej w „Skardze” i „Odezwie”, przejęcie się chwałą i potęgą państwową w „Epitalamionie”, równie jak z namaszczeniem wygłoszona „Pieśń do Najświętszej Panny”, — wszystko, co z natury swej, poruszywszy szlachetne struny człowieka, najmniej myśleć dozwalało o wzorach; gdy przeciwnie rzeczy mniejszej wagi, odezwy osobiste, lubo nie mniej serdeczne, ale nie dające zapominać o środkowisku, w którym się myśl poety codziennie obraca, wyglądają zawsze nieco z akademicka. Janicki energię miał tylko od święta, w chwilach uroczystych.

Rozbierając żywioły składowe poezji Janickiego, widzi w nich autor, prócz chwilowych i przypadkowych zbieżeń w stronę epiki, rozwinięte wyłącznie same uczucia, jako to: przedewszystkiem wdzięczności i przyjaźni, uczucie religijne i patryotyczne. Pomimo, że najobfitszy tam krąg pieśni, wyrażających przyjaźń i wdzięczność, przystraja się, jak zauważył autor „we frazesy i świecidelka pożyczane; to jednak dzisiejszy nawet czytelnik zrozumie, że poeta nie zmyślał uczucia, lecz kochał, czcił i podziwiał...” Święta prawda, tylko co czytelnika dzisiejszego zawsze razić będzie, to przesada w uwielbieniach i przecenianie wartości, wyglądające na niskie pochlebstwo: co wszelako tak nie jest. Panegiryzm w literaturze stanowił cząstkę humanizmu, wisiał w atmosferze; gdyby kogoś pochwalono w miarę, sądził-by,

że to lekceważenie. Jeśli bohater, to musiał się znaleźć obok Achilla; jeśli cnotliwy, to już Arystydes albo Cyncynat; jeśli rozumny, to już co najmniej Sokrates; a silny, to Jowisz. Konwencyonalne kłamstwo zatrulo ten rodzaj poezyi; ale że mu ulegali wszyscy, więc i Janicki nie mógł stanowić wyjątku, albo trzeba mu było pozostać pod strzechą, pasać owce, i śpiewać dla swej Jagny lub Marychny, kręcąc pod kaliną fujarki, bo kto nie jest orłem a wejdzie między wrony... Jak na jego siły i stanowisko, kiedy przygniatające ubóstwo zmuszało go nieustannie wołać o pomoc i opiekę (Trist. 3; Var. Eleg. 6, 7, 10; Epigr. 51, 52), dosyć i tego, że się ośmielał od czasu do czasu odezwać przeciwko zbytowi, swawoli kobiet i kapłanów, chciwości, opilstwu i innym wadom społecznym, co zaznacza autor, przytaczając zarazem dystych, w którym poeta nie waha się wyrzucić społeczności, że ją prawda w oczy kole i bywa ukarana: „Strasliwie nienawidzisz prawdy: prawdę mówiących odzieras z tytułów, odzieras z dóbr.“ Musimy zatem przyjąć Janickiego jakim jest, nie za geniusza, który chodzi nowemi drogami i innym je wskazuje, ale za człowieka średniej miary, za syna epoki, której poziom on ani na cal głową nie przerasta, ale jej też niżej nie nosi. Bez tradycyi rodzinnej i rodowej (Kochanowski był w innem położeniu), wiejski chłopak utracił naturę chłopską, szlacheckiej nie nabył; wyrosł w humanizmie i oł niego przejął charakter; wszystkie jego zalety i wady są renesansowe, cała jego osoba, to renesans; a już co najwięcej, to styl i faktura literacka.

Za niewątpliwy objaw talentu istotnego uważa w nim nasz autor to, że uprawiał dwa tylko wyłącznie gatunki poezyi, elegię i epigramat, „że nie wykraczał po-za tę sferę, która mu najwięcej odpowiadała...“ Słusznie uczynił; tylko my nie upatrujemy w tem „objawu istotnego talentu“, ale prosty takt i zdrowy rozsądek: nie mierzył sił na zamiary, lecz odwrotnie. Upodobał sobie wiersz elegiacki, wspólny wszystkim poetom łacińskim, smutnego, jak on, usposobienia ¹⁾ i zastosowany do treści przeważnie melancholijnych. Przy delikatnym nastroju i sentymentalizmie, byłoby dlań trudnem i zgoła niewłaściwem puszczać się na energiczny rytm strof saficznych lub alkaicznych, a kto wie nawet, czyby mu język dopisał. Bo jakkolwiek p. Ówikliński kilkakrotnie twierdzi, że Janicki wybornie włada językiem, czemu zaprzeczyć niepodobna, w fakturze jednak wiersza, w niezwykłych często przekładniach wyrazów, widać pewien robotniczy wysiłek nad prawidłowem urządzeniem metru, czego u wzorowych poetów łacińskich nie poświęci, i wszystko tam inaczej płynie, gładziej, naturalniej niż

¹⁾ Wiersz złożony z dwóch dystychów, hexametru i pentametru (poszóstnej i popiątniej miary), chodzących wciąż w parze aż do końca utworu.

u Janickiego. Jeżeli miał tyle roboty z pentametrem, cóżby to było przy trochejach i jambach? Lepiej, oczywiście, że im dał za wygraną, tylko to nie jest wskazówką talentu, ale raczej braku odwagi, potrzeby ograniczenia się. Unikał wierszy o strofie lirycznej i muzycznie skomplikowanej dla tego samego, dla czego odnośnie unikał samoistnego hexametru, który jest wyłącznie wierszem bohaterskim. Pomimo udanych próbek epizodycznych, natura, przy „sarniem sercu“ nie usposobiła go na poetę bohaterskiego, i to był podobno najprawdziwszy powód odwołki w napisaniu wiersza, opiewającego dzieje rycerskiego rodu Kmitów.

Z przeglądu utworów Janickiego widzimy, że w nim uczucie narodowe rozwinięte było w stopniu należyтым, i pomimo epizodu paderskiego nie osłabło zgoła. Jeszcze z za granicy pisał do Stanisława Sprowskiego, wojewody podolskiego, między innymi: ...„Owszem, ja rodem Sarmackim się szczycę, bo niema ziemi nad moją ziemieć. Podziwiam Włochów, Polskę wielbię szczerze; tutaj podziwiam, tam miłością stoję, do mojej Polski prawnie przynależę, tu mam gościnę, a tam bogi moje.“ (Syrakomla). Tym zatem bogom dziełami swemi wystawił on świątynię; dlaczegoż jednak ona ogółowi tak mało znana, tak mało uczęszczana? Sprawił to w tej świątyni kult obcy, łacina. Dopóki starczyło współwyznawców, humanistów, głośną ona była nie tylko w kraju własnym, ale i wśród obcych, którzy głowę poety ozdobili wawrzynem. Ale nawzajem i humanizm, podważany pierwiastkami narodowymi, zachwiał się, osłabł i ostatecznie runął; a wtedy zamknęły się wrota Janickiego świątyni, która przeszła do zabytków.

Dlaczego Janicki twórczości swej dał wyraz łaciński, nawet objaśniać nie potrzebujemy. Język polski był jeszcze rudą, a do wydobycia z niej czystego złota młody, nieśmiały adept nie czuł się powołanym. W łacinie znajdował on materiał gotowy na wyrażenie myśli najwznioślejszych i zarazem gotowe, obrobione, formy poetyckie. Potrzebował wzorów, poszedł tam za innymi. Nie dostrzegł jednego niebezpieczeństwa: że tam obok gotowych form jest także gotowy szablon allegoryi, porównań, zwrotów, idyotyzmów, który choćby mimowolnie wciska się przez studia w pamięć i pozostaje jako narzędzie. Z drugiej strony, łacina, jakkolwiek nieskończenie więcej wyrobiona od pierwiastkowych form miejscowego języka, który, przypuszczam, nie może starczyć umysłom wyniesionym nad poziom ogólny, — łacina nie posiada ani wyrazów, ani form, na oddanie tych pojęć, tych uczuć i interesów duchowych, jakie weszły w skład organizmu ludzkości od przewrotu dokonanego przez chrystyanizm, i tego, co Dante nazywał „la scienza nuova.“ Możesz mieć serce pełne wrażenia, jakiego ze swego stanowiska nie doznawał Rzymianin klasyczny, zatem i wyrazu na nie

w jego języku nie znajdziesz. Cóż w takim razie uczyni klasyk renesansowy? Albo wtrąci zwrot klasycyzmowi obcy i zeszepeci język, albo się od wyrażenia powstrzyma, albo z pewną zręcznością wyłata i pozostawi bladą rzecz, która-by w języku własnym wybuchła mniej uroczyscie może, lecz naturalnie i obrazowo. „To pan zdaniem mojem, co przestał na swoim“, — powiedział sobie Jan z Czarnolesia, jako szlachcic, a wykonał jako poeta, wyprzedzając maksymę, którą we dwa wieki później miał wyrzec inny poeta: „miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny; prawda, nie jest wspaniały; szczupły, ale własny“, — maksymę, której sam nie zawsze dotrzymywał.

Oprócz zatem języka samego, u Janickiego, tak jak wreszcie u wszystkich humanistów, razi naśladownictwo i ducha poezyi, i form nibyto przyswojonych, a ciągle kłócących się z duchem i pojęciami czasu, jak naprzykład mitologia, tak bardzo podatna do figur retorycznych, a pozbawiona rzetelnej swej racyi, to jest podstaw wiary powszechnej; co zaś ze wszystkiego najgorsze, to walka indywidualności z dobrowolnie narzuconemi sobie formułami, które ją krepują i pozostawiają w tekście okaleczoną naśladownictwem. Stopień talentu Janickiego, sympatyczność jego tematów, ożywiony tok dykeyi, która bez mała zawsze jest interesującą i oryginalną, ratują tę indywidualność Polaka i poety i wydobywają z pod całunu języka umarłego.

Dobrze ocenił zasługę poety p. Ówikliński, i sam też położył niemalą, opracowawszy go jako historyk, filolog i literat. Czy odkrycie nowych źródeł biograficznych doda coś jeszcze do życiorysu i wypełni luki przez p. Ówiklińskiego z konieczności zostawione, czy nowy filolog dopowie coś jeszcze o języku i technice wierszowej poety, przesądzać nie możemy; to pewna, że praca autora monografii pozostawia jeszcze dosyć szerokie pole estetykowi, który może z punktu literatury powszechnej i porównawczej zajrzeć do wnętrza poety, bo jakkolwiek nie jest on dziś popularnym, nie zapominajmy, że współcześnie i długo później czytano go bardzo, a kiedy umierał, Kochanowski miał dopiero lat trzynaście; był to zatem pierwszy poeta polski europejskiej skali. Nie może on i nie powinien złożonym być do katakumb zapomnienia. Nie umarł on dla nas; tylko wprawiony w letarg przez tę szatę zewnętrzną, którą się przyodziął. Trzeba ją z niego zerwać i osłonić życiodawczą szatą własnego języka. Czynimy to dla obcych, czemużbyśmy dla swego uczynić nie mieli? I o to też, niezadowolony z dotychczasowych przekładów, dopomina się p. Ówikliński ostatniem słowem książki: „Życzyć-by należało, aby się znalazł, co rychlej, ktoby duchem i główną treścią polskie poezye Janickiego przyoblekł w szatę polską.“

Ma prawo żądać tego p. Ówikliński, który do tego dzieła pracę swą, komentarzami swemi, podniesieniem znaczenia „uwieńczonego

poety“, tak skutecznie rękę przyłożył. Dzięki jemu chętny tłumacz ma ułatwiony dostęp do oryginału i może snadniej teraz znajdzie się ktoś, według życzenia autora, byle tak utalentowany, by Janickiego wdzięk zdołał w języku odtworzyć, ale go podług siebie i na siebie, jak Syrokomla, nie przekształcał.

Tymczasem praca p. Ówiklińskiego przynosi nam ten pożytek, że zapełnia stałą lukę w historyi literatury naszej, wyświadcza przysługę nauczycielom, oraz przyszłym autorom podręczników, którzy według niej będą mogli prawdę o Janickim wyłożyć, nie zbywając go, jak dotąd, półsłówkami. Oddając sprawiedliwość zasłudze autora monografii, mam jeszcze do spełnienia, w imieniu *suum cuique*, jeden, na ten raz przykry, obowiązek zaznaczenia drobnych skaz językowych, jakie się do pracy jego zakradły: I tak: str. 2: „budziły u niej skłonności (zam. w niej); str. 18: „porównuje“ (zam. porównywa); str. 21: „choroba... przyprawiła o życie“ (zam. o śmierć; lub—pozbawiła życia); str. 29: „śmierć arcybiskupa spadła niespodzianie i na jego dworzanina“ (nie śmierć, lecz wiadomość o śmierci; inaczej, frazes ten zdaje się mówić jakby i dworzanin umarł razem z arcybiskupem); — mniejsza o drobniejsze. Czyżby błędy językowe tak chronicznie zapanowały w krajinie Akademii, uniwersytetów i rad szkolnych, że nawet tacy pisarze, jak p. Ówikliński, opędzili się im nie mogą?

KAZIMIERZ KASZEWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Handbuch der polnischen Münzkunde” von Dr Max Kirmis. Posen 1892. (Podręcznik numizmatyki polskiej). Poznań 1892 8-vo, str. 268.

Autor dzieła wydanego pod powyższym tytułem urodził się we Wschowie, gdzie ojciec jego przed kilku laty obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz służby publicznej jako sekretarz magistratu. Stosunki rodzinne wywołały w młodym uczonym zamiłowanie do dziejów miasta Wschowy, a w szczególności do historyi mennicy wschowskiej. W r. 1885 ogłosił przyczynki do historyi mennictwa wielkopolskiego (Beiträge zur Wappen und Münzkunde Grosspolens. Posen 1885, str. 24). W następnym roku wyszły z pod jego pióra: „Nowe przyczynki do historyi mennicy miejskiej wschowskiej (Neue Beiträge zur Münzgeschichte der Stadt Fraustadt. Berlin 1886, 8-vo str. 24).

Związki minczarów wschowskich z mennicami poznańską i bydgoską skierowały usiłowania p. K. do badania dziejów i tych mennic; owocem tych usiłowań była „Historya mennictwa miasta Poznania”, wydana w r. 1886 (Münzgeschichte der Stadt Posen). Rozszerzając coraz bardziej zakres swych badań, zaczął p. K. ogłaszać Wstęp do mennictwa polskiego, który, bezustannie uzupełniany, urosł w podręcznik, ze wszech miar zasługujący na bliższe poznanie i ocenienie, gdyż lubo podręcznik ten przeznaczony jest dla Niemców, zajmujących się

naszą numizmatyką, to jednakże wzbogaca i naszą literaturę numizmatyczną, dokładnie autorowi znaną, przez zużytkowanie źródeł archiwalnych, w znacznej części przez nas jeszcze niewyczerpanych. Jak się z powyższego okazuje, urosł Podręcznik pana K. z badań szczegółowych, poświęconych mennictwu wielkopolskiemu.

Sposobem powstania tej pożądanej dla nauki pracy tłómaczą się niektóre jej niedostatki a zarazem i jej zalety. Do głównego i najważniejszego działu, poświęconego pierwotnie wyłącznie mennictwu królów z domu Wazów, trzeba było dołączyć i wieki poprzedzające, począwszy od Mieczysława I, i czasy następujące po panowaniu Wazów aż do r. 1795. Snadziej przychodziło załatwić się z ostatnim wiekiem zasobniejszym w źródła, niż opanować, w każdym razie bardzo bogaty ale i trudny, dział numizmatyki wieków średnich, pomimo że na pracach poważnych, temu okresowi poświęconych, bynajmniej u nas nie zbywa. Prace te znane są autorowi, lecz, dorabiając ten początek niejako na poczekaniu, nie mógł wszystkiego przetrwać i równie dobrze opracować, jak historię mennictwa za panowania Wazów. Pokazuje się to już z nierównego rozmiaru pojedynczych działów. Autor podzielił pracę swą, jak z natury pomników mennicznych wypadło, na okres denarowy, okres groszowy i okres złotowy. Okres denarowy, obejmujący numizmatykę średniowieczną od roku 965 do r. 1333, pomieszczony jest na pierwszych piętnastu stronicach; okres groszowy, obejmujący czas od r. 1333 do 1600, idzie od strony 16 do 102. Nakoniec okres złotowy, ciągnący się od r. 1600 do 1795, pomieszczony jest na stronach 102—208. Pozostała część książki zawiera w sobie dodatki, w których autor podaje spis i objaśnienie monogramów na monetach pojawiających się, przebiega literaturę numizmatyczną, daje niektóre wskazówki o cenach monet polskich, rozważa używane dotąd sposoby podrabiania monet, poucza, jak należy czyścić i przechowywać monety, jak postępować z wykopaliskami, w końcu daje sprostowania i dopełnienia własnej pracy i wymienia główne obecnie zbiory monet polskich.

Rozdział pierwszy, obejmujący okres denarowy, opiera się nie na własnych badaniach autora, lecz osnuty jest na badaniach poprzedników, którym autor niekiedy zbyt zawierzał. To też tutaj nawiczej mamy do zarzucenia. Wypowiedziane (str. 3) zdanie, że rzymskie monety rzadziej się u nas znajdują niż greckie, jest nieuzasadnione, bo w rzeczywistości bywa przeciwnie, gdyż nie masz prawie roku, w którym-by u nas nie znaleziono monet rzymskich, a co kilka lat bywają znajdowane skarby denarów, liczące po kilkaset okazów. Na poparcie mego twierdzenia niech mi wolno będzie wymieniść niektóre wykopaliska bliżej mi znane. W Maciejowicach znaleziono w r. 1864 dość znaczną

ilość denarów od Wespazyana do Septimiusa Sewera; w Kaliszu około r. 1865 podobno około tysiąca sztuk od Hadryana do Komoda; w r. 1877 wyorano w Stodzewie pod Garwolinem złotą monetę Maksymiana; w Jarnicach pod Liwem znaleziono w r. 1874 garnek z 260 denarami od Hadryana do Komoda; w r. 1878 znaleziono w Górkach Bożych pod Węgrowem denar Faustyny, w Czermnie denar Wespazyana, w Grodzisku denar Marka Aurelego, w Willanowie denar Trajana, w Rębieszycach pod Jędrzejowem denar Trajana, w Leśnicy pod Szadkiem denar Antonina Pobożnego; w r. 1879 pod Łowiczem denar Antonina; w Grotkowie pod Sierpcem w r. 1880 kilkaset denarów; w Korytnicy pod Węgrowem denar złoty Trajana Decyusza; pod Mławą w r. 1884 denar z czasów rzeczywospolitej familia Servilia; w Krzewicy pod Międzyrzecem w r. 1887 kilkaset sztuk aż do Komoda; w Gólach pod Błoniem w r. 1887 denarów 200 od Wespazyana do Antonina. Znaczny zbiór denarów, znajdujący się w zbiorach Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, pochodzi z pod Ostrowa, gdzie je znaleziono na kotlinie dymarki przedhistorycznej. Podany tutaj poczet wykopalisk rzymskich zapisywałem dla śladów stosunków handlowych z Rzymianami; mam okazy prawie ze wszystkich wymienionych wykopalisk, natomiast nie mam żadnej monety greckiej, znalezionej w kraju, i nie zdarzyło mi się nawet słyszeć w ciągu ostatnich lat trzydziestu o wykopalisku monet greckich.

Przy osądzeniu *tak zwanych* najdawniejszych monet polskich (str. 3) poncza autor w przypisku, że należy się mieć na baczności przed fałszerzami, wyzyskującymi przez zręczne podróbki żądę zbieraczy, ubiegających się o tych świadków okresu Piastowskiego. Naprzód nie widzę, dlaczego autor mówi o *tak zwanych* najdawniejszych monetach; przecież denary Mieczysława I i Bolesława Chrobrego nie tylko zowią się naszymi najdawniejszemi monetami, ale nimi są rzeczywiście. Pan Kirmis wogóle zbyt się obawia podróbek i na kilku miejscach ostrzega przed nimi nawet tam, gdzie nie masz żadnego powodu, bo monety prawdziwe bywają znajdowane setkami i tysiącami. Tak np., ostrzega na str. 49, że przy kupnie monet Zygmunta Augusta należy postępować bardzo oględnie, bo prawie wszystkie większe sztuki, a i wiele mniejszych, były podrabiane przez bardzo zręcznych fałszerzów. Podrabiaczów naszych monet zna każdy zbieracz dokładnie, czy nim był Meinert, czy Schneider, czy Hausmann, i zna monety, przez nich z małym powodzeniem puszczone w obieg. Podrabiano przeważnie dukaty, talary i półtalarki, ale nie znamy drobniejszej monety Zygmunta Augusta, która-by była podrabiana. Rzadkie denary z r. 1546, 1547, i równie rzadkie półgrosze z lat 1545, 1554, 1566 nigdy nie były podrabiane, bo na tysiące znajdowanych pospolitych półgroszów

zawsze bywa kilka lub kilkanaście rzadkich sztuk, i nie opłaciło-by się podrabianie, zwłaszcza, że znawcy w te tropy wykryją każdą podróbkę i opiszą jak węża. Podejrzliwość przesadna jest tu nie na swoim miejscu, bo zniechęca do zbierania, a właściwa jest niemieckim numizmatykom. Denar Sieciecha uznali za podróbkę, kiedy im doniósł o nim Beyer w r. 1864, bo denar ten nie był im bardzo na rękę, z powodu jego wpływu na sprawę tak zwanych krzyżówek wendyjskich. Myśmy go bez wahania uznali za prawdziwy, a zdanie to potwierdził w lat 20 później drugi okaz, wykryty w 8 funtach monet z X i XI wieku, znalezionych w Rzeczkach Wólkach pod Nasielskiem.

Pan Kirmis wyraża na str. 3 zdanie, że pieniądze, bite w Polsce w pierwszych wiekach, nie starczyły na pokrycie potrzeb handlu wewnętrznego, że dlatego posługiwano się przeważnie monetą niemiecką, bitą w lichym gatunku na wywóz, oraz monetą czeską; w przypisku powtarza wieść, że jeszcze około połowy wieku XII kursowały zamiast monet skórki z kun, gronostajów, wiewiórek, mające stałą cenę. Co do pierwszego, dodać należy, że w skarbach, pochodzących z X i XI wieku, znajdujemy nietylko niemieckie i czeskie, ale, prócz nich, angielskie, pospolicie w dobrych okazach, węgierskie, duńskie, co dowodzi, że moneta w wiekach średnich miała kurs międzynarodowy, bo na odwrót polskie monety tego czasu bywają znajdowane w innych krajach. Mniemanie, że w Niemczech bito lichą monetę na wywóz do nas, stoi w sprzeczności ze skarbami, składającymi się prawie wyłącznie z lichy wybitej monety, a znajdowanymi w Niemczech w bliskości mennic, z których wyszły, jak to poświadcza Dannenberg ¹⁾. W średnich wiekach ważono przy większych wypłatach pieniądze, patrząc tylko na dobroć kruszcu, a nie na lepiej lub gorzej wybity stempel; na wagę szły nietylko monety, ale i kawałki srebra, połamanych ozdób. Napływ zagranicznej monety niekoniecznie dowodzi, że u nas bito za mało; ile u nas w jedenastym wieku bito, pokazuje choćby jeden skarb sobie-szyński (1884), którego część jedna mieściła w sobie 1,335 denarów Władysława Hermana. Skąd powstała i jaką ma wartość naukową wierutna bajka o skórkach, mordkach i łebkach zwierząt, mających jakoby stały iznaczony kurs, wykazał już Czacki w dziele o litewskich i polskich prawach (I, 116) blisko przed stu laty. Żalujemy, że autor odświeżył nieoględnie tę niesmaczną bajkę, bo pewna część jego ziomków, tylko z podobnych bajd naszą przeszłość oceniająca, pochwyca ją w lot i będzie nią wojowała jakie pół wieku, mniej się o to troszcząc, czy jest w niej choćby cień prawdy.

¹⁾ „Die deutschen Münzen der sächsischen und fränkischen Kaiserzeit”, str. 34.

Na str. 7 czytamy, że wspomniany w dokumentach polskich solidus był monetą liczalną, obejmującą 12 denarów. Zwracamy uwagę na to określenie, zgodne z naszym przekonaniem, bo p. Stronczyński nie słusznie monety Mieczysława I i Bolesława Chrobrego nazywa solidami, zamiast je nazwać większemi denarami; solidów w wiekach średnich nie bito całkiem.

Denary Mieczysława I nazywa autor (str. 7) wątpliwemi, powołując się co do tej wątpliwości na zdanie p. Stronczyńskiego. Wątpliwość p. Stronczyńskiego nie odnosi się bynajmniej do pierwszej odmiany, gdyż odmiana ta znajdowana była zawsze w otoczeniu takich monet, których wybitcie poprzedziło śmierć Chrobrego, a więc nie może ona pochodzić z czasów Mieczysława II. Co do drugiej odmiany, ma p. Stronczyński wątpliwość, czy nie należy do Mieczysława II dlatego, że nigdy nie była znaleziona razem z odmianą pierwszą, że bywa zwykle lżejszą, że rysunek, choć z tych samych szczegółów złożony, jest jednak odmienny. Mojem zdaniem, powody te nie wystarczają, bo na przód niezalezienie obu odmian razem jest rzeczą przypadku, mianowicie przy wielkiej rzadkości tak jednej, jak drugiej odmiany. Waga nie rozstrzyga, nawet gdyby się pokazało, że odmiana druga bywa lżejsza, bo w wadze średniowiecznych monet tego samego typu nawet różnica dochodząca 50% nie ma jeszcze znaczenia rozstrzygającego. Lecz na ten raz nie potrzebujemy korzystać z tego przywileju, służącego monetom średniowiecznym, gdyż waga drugiej odmiany nie zawsze bywa lżejsza. Ważyłem po trzy okazy obu odmian, a ciężkość ich, wyrażona w gramach, tak się przedstawia:

trzy okazy odmiany pierwszej ważyły 1.39; 1.42; 1.62 — ogółem 4.43;

trzy okazy odmiany drugiej 1.80; 1.14; 1.30 — ogółem 4.24.

Różnica 19 setnych grama w trzech okazach jest bez znaczenia, mianowicie kiedy jeden z okazów odmiany drugiej rzekomo lżejszej waży 18-setnych grama więcej od najcięższego okazu odmiany pierwszej. Odmiennosc rysunku, jako trzeci powód wątpliwości, wcale nas nie powinna razić, bo zgodność w głównych rzeczach z rysunkiem odmiany pierwszej byłaby poprostu niewytłómaczona, gdyby odmiana druga pochodziła z czasów Mieczysława II, po tak urozmaiconych i bogatych rysunkach wszystkich typów Chrobrego; po typach popiersiowych Chrobrego powrót do nieudatnego wyobrażenia korony za Mieczysława I można uważać za niepodobieństwo.

Wątpliwość p. Stronczyńskiego co do tego, czy odmiany drugiej nie wypadnie przypisać Mieczysławowi II, nie ma dostatecznego uzasadnienia; tem bardziej powątpiewanie p. Kirmisa o przynależności obu

typów denara MISICO nie da się poprzeć powagą p. Stronczyńskiego; monety te są niewątpliwe i niewątpliwie pochodzą z czasów Mieszka I. Autor twierdzi (str. 8), że na tak zwanych wendeńskich miseczkowatych denarach można z koślawych kresek zestawić niekiedy napis RIXA, że jednak denary te były bite nie w Polsce, lecz może w Magdeburgu lub Naumburgu na wywóz do Polski, więc królowej Ryksie przypisać ich nie można. Zgadza się z autorem, że nawet bardzo wyraźny napis RIXA, na jakim nie zbywa, nie jest imieniem własnem zamiast Richeza, ale pospolitem, tak jak napis CRUX na innych okazach tej gromady; nie ma więc ten napis żadnego związku z Richezą, małżonką Mieczysława II, przeto wypadło-by raczej denary te nazywać Cruxami (krzyżówkami) a nie Ryxami, aby uniknąć bałamutnego pojęcia, że były bite za rządów Richezy. We wskazaniu tego pochodzenia rzeczonych denarów poszedł autor pierwotnie za zdaniem Dannenbergga. W dopełnieniach (str. 261) twierdzenie swe zmienił cokolwiek, kierując się nowszą teorią p. Menadier, i utrzymuje, że były bite w Saksonii i dla obiegu w Saksonii. Może p. Menadier a z nim i p. Kirmis mają rację co do pochodzenia i przeznaczenia pierwotnych denarów, ale p. Stronczyński nie daje za wygraną, a my w zupełności podzielamy jego zdanie, że przeważna część tych denarów była bita u nas, bo najwięcej u nas ich znajdują, tak, że moneta ta należy u nas do najpospolitszych średniowiecznych. Jeżeli denar Eberharda, biskupa naumburskiego, lub denar Henryka Lwa, każą monety te ciągnąć do Saksonii, to znów denar Sieciecha przemawia za tem, że denary takie bito równocześnie i u nas. Również odmiana krzyżówek z kluczami, pochodząca z Sobieszyna nad Wieprzem, a nigdy dotąd nie znaleziona po lewym brzegu Wisły, może służyć za dowód, że denary miseczkowate były bite u nas, a nawet obficie niż w Saksonii, bo znajdujemy je u nas tysiącami i dziesiątkami tysięcy. Przyznajemy chętnie, że trudno zaprowadzić między nimi podział i wskazać, które z nich były bite w Saksonii a które w Polsce, ale zrzec się ich całkiem nie możemy, póki niemieccy numizmatycy nie dowiodą, że denary Sieciecha i denary z kluczami były bite w Saksonii.

Zdanie autora (str. 9), że Bolesław II musiał porzestać na śladowaniu denarów t. zw. wendeńskich, t. j. krzyżówek, odnosić się może tylko do jednego typu. Drugi typ, najpospolitszy, z główką i napisem BOLESŁAVS po jednej a jeźdźcem po drugiej stronie, chyba tylko wielkością przypomina krzyżówki. Nie możemy się też zgodzić na twierdzenie (str. 9), że jeszcze mniej bito za Władysława Hermana, kiedy część jednego tylko skarbu sobieskiego dostarczyła 1,335 jego denarów w kilkudziesięciu odmianach. Do twierdzenia takiego upoważniło może autora spostrzeżenie, że jeden tylko typ posiadamy z dwu-

dziesięcioletniego panowania Władysława, oraz niczem nie poparty domysł p. Stronczyńskiego, że pieniąż ten w samym końcu panowania Władysława był bity. Nieuzasadnionym wydaje nam się ten domysł z powodu niezliczonych odmian, których-by krótkie bicie chyba nie dostarczyło tylu. Przecież sam p. Stronczyński (II, str. 62) oświadcza, że na kilkadziesiąt odmian tego pieniążka nie dopatrzy dwóch zupełnie do siebie podobnych. Z tego wnosić-by raczej można, że bito je przez całe lat 20 tego panowania.

Krótko załatwił się autor (str. 10) z monetami licznych Bolesławów, wypowiadając zdanie, że najwięcej monet, imieniem tem oznaczonych, należy do Bolesławów szląskich. Jednakże Friedensburg, niewątpliwie najlepszy znawca szląskich monet, odsyła do polskich Bolesławów nawet monety takie, które dotąd u nas uchodziły za szląskie, a co dla nas jest pewną niespodzianką, uznaje je za polskie dla dobrej ich roboty, w przekonaniu, że moneta szląska była znacznie gorzej wybijana. Ostatecznie pokaże się pewnie, że więcej Bolesławów pozostanie przy nas, niż odejdzie do Szląska. Przy rozdziale brakteatów, imieniem Bolesława naznaczonych, między ówczesnych pięciu Bolesławów, następuje się pytanie, czy nie należało-by której z tych monet przyznać Bolesławowi I mazowieckiemu, którego najdawniejszy przywilej znany z r. 1229. Wprawdzie ślady historyczne mennicy plockiej mamy dopiero z czasów Bolesława II w przywileju z r. 1286, w którym, nadając arcybiskupowi gnieźnieńskiemu prawo urzędzenia mennicy biskupiej w Łowiczu, kładzie warunek, żeby monety biskupie próbą i wagą stosowały się do mennicy książęcej w Plocku. Mógł jednakże już i stryj jego, Bolesław I, wypuszczać własną monetę tak, jak wystawiał przywileje, jako udzielny książę. Nie znamy dotąd żadnej monety Bolesława II, choć istnienie mennicy za jego panowania poświadczają źródła historyczne; nie więc dziwnego, że i monet Bolesława I nie znamy, choć możność ich przyznać się godzi. O skarbie wienieckim wyraził się mistrz nasz, Stronczyński (I, 246), że wykopalisko to musi pozostać na boku, bo nie ma prawie żadnego połączenia ze skarbem głębockim, może dlatego, że pochodzi z innej zupełnie okolicy. Tamże wynurza Stronczyński zdanie, że skarb wieniecki zarywa przynajmniej 30 lat wieku XIII, zakopanie więc jego przypadło-by około r. 1235. W roku 1885 przybyło drugie, bardzo podobne, wykopalisko w Chalinie. Wieniec leży 4 wiorsty na północ od Brześcia, Chalino nad jeziorem Makowskim 28 wiorst od Plocka i tyleż w prostej linii od Wienca. Dwa te skarby jednej okolicy dostarczyły niektórych pieniążków Bolesławów liczniej, niż inne okolice. Już Stronczyński zaznaczył odrębność wienieckiego skarbu, i zapytuje ze zdziwieniem (I, 140), co znaczy taka ilość dwulicowego Bolesława (typ 75) w Wiencu, co znaczy gruba jego

robota, jakby stempel w drzewie był wyrobiony. Typu tego ocalało w Wieniu 8, w Chalinie 2 okazy, a więc mamy 10 okazów z jednej okolicy. Ta ilość w okolicy płockiej, a przytem gruba robota, budzi podejrzenie, czy nie jest to moneta Bolesława I mazowieckiego. Domyśl ten popiera poniekąd świetne zachowanie okazów, jakby moneta krótko i niedaleko obiegała; popiera skrócone imię b—o na monecie, gdyż i na niektórych przywilejach tego księcia wyrażono jego imię jedną literą B. Tak na przywileju z r. 1239 czytamy: „B. dei gratia dux Masoviae,“ a na drugim z r. 1248; „B. divina providentia dux Masoviae.“ Podobnie typ 66 Stron. znalazł się w Wieniu w jednym, a w Chalinie w 4 okazach, a więc liczniej, niż gdzieindziej, i mógł-by pochodzić z mennicy płockiej. To samo można powiedzieć o typie 74 Stron., który tylko w Wieniu i tylko w Chalinie był znaleziony i dlatego najprawdopodobniej z płockiej mennicy pochodzi, a roboty jest równie grubej, jak typ 75. Przypisaniu typów 66 i 75 Bolesławowi mazowieckiemu stoi na przeszkodzie wykopalisko głębokie, jeśli rzeczywiście było zakopane przed r. 1200, bo oba te typy znalazły się tam; lecz może czas zakopania zbyt wczesny oznaczono. W każdym razie typ 74, tylko w okolicy płockiej znajduwany, możnaby przyznać Bolesławowi mazowieckiemu.

Wracając do tem zboczeniu do dzieła p. Kirmisa, muszę się przyznać, że nie zupełnie rozumiem zdanie (str. 14), jakoby brakteatów z hebrajskimi napisami nie bito po wypędzeniu Mieczysława Starego; bito je zapewne, lecz z małemi przerwami, w ciągu całego panowania aż do śmierci w r. 1202 (rok 1212 na str. 11 zapewne jest błędem drukarskim); autor miał snadź na myśli chwilowe zawładnięcie senioratem krakowskim, ależ Mieczysław mógł w Krakowie tylko w latach 1174—1177 bić monety, a liczne typy jego brakteatów wychodziły z mennicy gnieźnieńskiej, jak okazuje brakteat z napisem: „Gnesden,“ hebrajskie mi literami wytłoczonym, u Stron. typ 119, gdzie jednak napis jest niedokładny; dokładniej oddany w „Bibl. Warszawskiej,“ r. 1884, tom I, str. 473.

Niepotrzebnie powtórzył autor w przypisku 2 do strony 14 dowolne odczytanie i urojone tłómaczenie *Jubilate Abraham Isaac et Jacob*, polegające na fantazyi Lelewela; napis ten tylko można czytać: *Rabi Abraham ben Icheak nagid*, jak wykazano w „Bibl. Warsz.“, 1884, t. I, str. 471.

Pośpiechem w dorobieniu początku podręcznika tłómaczy się, jeśli autor na str. 14 uczy, że z trzynastego wieku mamy monety Przemysława, zmarłego w r. 1296, a na stronie zaraz następnej oświadczają, że krótkie królowanie Przemysława nie zdobyło się na własną monetę.

Ostatnia to wzmianka o monetach z okresu denarowego, najslabiej przedstawionego w podręczniku. Mamy nadzieję, że autor z cza-

sem lepiej się rozpatrzy w pomnikach tego trudnego niezaprzeczenie, ale też i wielce zajmującego okresu, i nada mu w następnem wydaniu swej pracy szersze rozmiary.

Początek okresu groszowego (1333—1600) kładzie autor pod rok 1333, gdyż groszów praskich Wacława nie zalicza do monet polskich, a z panowania Władysława Łokietka uznaje tylko denary, mając dukat Łokietka za monetę okolicznościową, a półgrosz, podany przez Piekosińskiego, co najwięcej za próbę menniczą. Jak na teraz, nie będziemy się prawowali z autorem, chociaż dukat uznajemy za niewątpliwą monetę tego króla. Z półgroszem Piekosińskiego nie możemy się oswoić, bo cały jego wygląd przypomina współczesne szląskie monety; nie przypada nam do myśli dla braku napisu, kiedy drobnuteńkie denary tego króla (Piek., nr 5) mają po obu stronach zupełny napis: „WLADISLAVS REX POLONIE,“ dlaczegooby na znacznie większej monecie napis miał być zastąpiony rozetami, czy listkami, na polskich monetach nieużywanymi? To też Szlązacy monetę tę uznają za szląską, jak hr Saurma, tabl. IX, nr 68, Friedensburg, nr 623. Swoją drogą nie zostajemy się z nadzieją, że jeszcze kiedyś poznamy półgrosze, a może nawet grosze Łokietka, jako trzymające środek między najgrubszą monetą, jaką jest dukat tego króla, a najdrobniejszą, przez denary jego ledwie od lat trzydziestu znane, reprezentowaną. Wtenczas i autor może usłucha Piekosińskiego i granicę okresu groszowego pomknie do r. 1300, uznawszy, że po roku tym nie widzimy już u nas żadnej monety z charakterem wieku trzynastego, a charakter to bardzo odrębny.

Numizmatykę wieku XIV i XV przedstawił autor na podstawie dzieła Fran. Piekosińskiego, które znakomitem słusznie nazywa. O okresie tym pozwolimy sobie na jedną tylko uwagę, która jeszcze mniej p. Kirmisa, niż jego poprzedników, dotyczy. Zagadkowem będzie dla niejednego oświadczenie autora (str. 22), że w r. 1431 rubel równał się 100 groszom litewskim, albo 125 polskim, bo nikt nie zna litewskich groszów, lub półgroszów z r. 1431. Autor wziął to obliczenie z dzieła Piekosińskiego (str. 160), a ten zaczerpnął je z Czackiego (I, str. 196 (173). Czacki popiera to zrównanie rubla ze 100 litewskimi groszami odesłaniem do tablicy ewaluacyjnej, ależ tablica, którą sam ułożył, nie jest źródłem i nie może świadczyć o rachunkach z r. 1431.

Okres numizmatyki za panowania Wazów tak starannie jest opracowany, że zań zupełnie uznanie należy się autorowi, a tylko w niektórych szczegółach z nim się nie zgadzamy.

Nie bardzo łaskawie obszedł się autor z mennicą bydgoską w końcu XVI wieku, twierdząc na str. 87, że, jak się zdaje, techniczny kierunek tej mennicy od sierpnia 1594 do marca 1596 zależał od Andrzeja Laferta, „jeżeli wogóle w tym czasie bito pieniądze w Bydgoszczy.“ A prze-

cież Jahns zawarł kontrakt na tę mennicę 26 lipca 1594, a 29 listopada tegoż roku złożył przysięgę, jako mynecmistrz bydgoski, i autor sam uczy nas (str. 81), że Jahns w r. 1594 główną swą działalność przeniósł do Bydgoszczy, puściwszy w dzierżawę mennicę wschowską Andrzejowi Lafertowi, a zarząd poznańskiej poruczywszy Janowi Dittmarowi. Zdaje się, że autor poszedł nieoględnie w tym razie za powagą hr. Walewskiego, który w polskiem opracowaniu trojaków zrobił Cikowskiego nadzorcą wszystkich mennic wielkopolskich, choć na to, jak sam przyznaje, nie miał zgoła żadnego dowodu, a dał mu urząd ten na to tylko, aby szelągi i trojaki z r. 1594 z Cikowskiego cyfrą i herbem Radwanem pomieścić pod mennicą poznańską, chociaż wszystkie te trojaki i szelągi wyszły z mennicy bydgoskiej, należącej do Cikowskiego. W niemieckiem opracowaniu tego samego przedmiotu uczy hr. Walewski (str. 26), że ogłoszone przeze mnie dokumenta dostarczają dowodu, że w Bydgoszczy, mimo zawarty kontrakt, nie bito w roku 1594, i że wogóle zachodzi pytanie, czy Jahns był czynny w Bydgoszczy. To znaczy, że ja nie rozumiałem dokumentów, które ogłosiłem, bo mnie służyły one za dowód, że trojaki i szelągi z r. 1594 z herbem Radwanem i ośkami oraz cyfrą Jahnsa tylko w Bydgoszczy mogły być bite.

Dla mnie jest rzeczą bardzo jasną i prostą, że mynecmistrz Jahns, zawarłszy kontrakt 26 lipca 1594 roku, żywił swą czeladź od tego dnia i mógł przygotowanemi przez nią stemplami wybić w tym jeszcze roku tysiące sztuk trojaków i szelągów, choć dopiero 29 listopada tegoż roku złożył przysięgę. Trojaki te i szelągi są znane i przeze mnie szczegółowo wskazane, a p. Kirmis stanął-by w sprzeczności z samym sobą, gdyby ich za bydgoskie nie uznał, bo na str. 99 swego dzieła stanowczo twierdzi, że wszystkie monety z herbem Radwanem i cyfrą Cikowskiego należą wyłącznie do mennicy bydgoskiej. Sądzę, że pod tym względem nastąpi pomiędzy nami porozumienie, a co do innych powag oświadczyć muszę, że wszelkie wywody, oparte na domysłach i przypuszczeniach, nie mają dla mnie żadnego znaczenia wobec dokumentów, nie dopuszczających żadnej wątpliwości, jeśli je kto chce zrozumieć, i wobec monet tylko przez te dokumenty dających się objaśnić co do swego pochodzenia.

Wiadomości o mennicy łobzeńskiej podaje autor w sposób wyczerpujący (str. 123—129) i zestawia starannie wszystkie dotąd znane typy tej mennicy. Tylko niektóre niedokładności w wyrażeniu mogłyśmy mu zarzucić, przez co jednakże nie myślimy uwłaczać jego zasłudze. Twierdzenie, że monety łobżeńskie nie objaśniają same dostatecznie swego pochodzenia, nie zupełnie jest uzasadnione, boć przecież na niektórych znajdujemy napis: „TERNARIVS LOBZ,“ a świadectwo to o pochodzeniu jest równie wyraźne, jak „TERNARIUS POS“

na trzeciakach poznańskich z r. 1626 i 1627. Prócz tego, przez stale wybijanie herbu Krotoskich (Leszczyc) wskazują, kto jest odpowiedzialnym za bicie tej zdawkowej monety, a dwa te świadectwa mają swoje znaczenie, bo bronią tej monety od zarzutu pokątnego i nieprawego bicia. Dalej niedokładne jest wyrażenie (str. 127), że księgi łobżeńskie nie wspominają całkiem mincarza, Jana Bekera, gdyż autor sam pisze (str. 128), że w roku 1622 występuje przed urzędem Dorota, wdowa, pozostała po Janie Bekerze, niegdy mincarzu łobżeńskim, a wyciąg ten z ksiąg urzędowych dawno jest znany, bo ogłosiła go „Bibl. Warszawska,“ 1860, t. I, str. 715. Pierwsze orzeczenie autora tak więc rozumieć należy, że księgi łobżeńskie nie wymieniają Bekera za jego życia i w czasie prowadzenia mennicy łobżeńskiej.

Na tych uwagach kończę sprawozdanie o dziale, który, jak już nadmieniałem, jest nader starannie opracowany. Mennictwo Zygmunta III usiłowali poprzednicy z większem lub mniejszem powodzeniem rozjaśnić, jak to autor przyznaje. Lecz do historyi mennictwa, rozgałęzionego za Jana Kazimierza, dotąd prawie nie zaglądano do źródeł pisanych. Autor sięgał do ksiąg archiwalnych, na nich opiera się wyłącznie i rozjaśnia w znacznej części tę jeszcze ciemną dobę naszego mennictwa. Do najważniejszych jego odkryć należy zaliczyć okazanie, że równocześnie z mennicą poznańską od r. 1650 do 1658 była czynna mennica wschowska, zarządzana, jak tamta, przez Andrzeja Tymfa, a znacząca swe wyroby cyfrą MW połączone, którą niektórzy dawniejsi chcieli mieć wyrazem mennicy warszawskiej. Lecz nie mamy śladu mennicy w Warszawie przed otwarciem mennicy szelążnej w Ujazdowie r. 1659; odkrycie więc mennicy wschowskiej należy uważać za zdobyżenie niewątpliwą dla nauki. Podobnie działalność mennic poznańskiej, bydgoskiej, krakowskiej i lwowskiej za panowania Jana Kazimierza wyraźniej nam się u p. K. przedstawia, niż w poprzednich opracowaniach.

O mennictwie wieku XVIII nie wiele da się powiedzieć: źródła tu płyną obficie, a monety są pospolite i dostatecznie znane. Dorzucam tylko kilka sprostowań. Medal, wspomniany na str. 183, bity dla Janusza Wiśniowieckiego, nie dla Wiśniowskiego; w spisie monogramów opuszczony A. K. (Andrzej Krotoski), choć objaśniony w tekście (str. 125); monogram B. P. nie należy do grawera, lecz do budowniczego, Bolesława Podczaszyńskiego, który rysunki do kilku medalów układał; dukat Waclawa, którego podróbkę Mejuertowską wymienia autor (str. 242), nie pochodzi od Waclawa, króla czeskiego, ani też od księcia płockiego, ale należy do Waclawa księcia lignickiego (1327—1364) i bity w Lignicy ze złota, kopanego w Niklasdorf.

W końcu nie mogę zamilczeć, że z prawdziwą przyjemnością przeczytałem ciętą odprawę, daną (str. 266) dwom niepowołanym za lekceważenie przez nich „pilnej, starannej i trudnej pracy“ p. Stronczyńskiego. Odprawa ta przynosi zaszczyt p. Kirmisowi i należy mu się wdzięczność za nią nie od samego tylko Nestora naszej numizmatyki.

JÓZEF PRZYBOROWSKI.

Gabryela Zapolska. „We krwi.” Powieść w 2 tomach. Warszawa, 1894.

Indywidualności silne, wydatne, oryginalne i przynoszące coś nowego do świata sztuki, tworzyły po wsze czasy „szkoły.” Takie już prawo. Siła, jaką z siebie duchy takie wywiązują, wywiera naokoło moc przekonywającą, podbijającą i przyciągającą. Około mistrza gromadzi się grono uczniów, którzy, przebywszy czas pewien w szkole, stają się apostołami nowiny.

Dopóki ci apostołowie przyszli są w szkole, stanowią jedną szarą masę, karmiącą się okruchami cudzej myśli, podobni do siebie, o bliźniaczych fizioznomiach duchowych, blade kopie dzieł mistrza, zabarwione tylko przywiązaniem do jego osoby i bezkrytycznem uwielbieniem dla jego pódów. Ale po tym pierwszym okresie rozchodzą się oni po świecie, aby działać, i—wyrwani z atmosfery szkolnej, spotykający się z różnorodnością życiowych okoliczności—zmuszeni zostają do rozwijania sił własnych i do dodawania do nauki mistrza własnej umiejętności wyrażania jej, wywalczenia jej bytu i uznania. Jest to ogniowa próba. I jeżeli spojrzycie na elewów już po przebyciu tej próby, przekonacie się, że w stadku mistrza jedne owieczki wzięły od niego to, co on przyniósł na świat zdrowego i mocnego, a inne to, co było chorem i ułomnem; że jedni nauczyli się od niego rozwijać siły własne, inni naśladować jego wady. Aby wam myśl moją uplastyczyć, powołam się na Chełmońskiego. Poeci wiedzieli oddawna, że równiny nadwiślańskie, zwilżone wodą, która na łąkach każe kwitnąć kaczyncom i niezapominajkom, i obrzucone lasami, które grają ze słońcem w grę ciemnych a żywych kolorów, mają w sobie wielką piękność i wielki wdzięk. Malarze o tem wątpili. Przyszedł Chełmoński, zaczął malować las, i łąkę, i pole, „posrebrzone pszenicą, pozłocone żytem” — i wszyscy stanęli w zachwycie. Zobaczył p. Rapacki jakie-to sztuki robi Chełmoński i zaczął chodzić po łąkach i polach, nosząc z sobą duszę czującą i wrażliwą. I namalował dwie topole, samotnie stojące na szerokiem polu, pod pokrywą nieba, niosącego deszcz i niepogodę. Ludzie mówią: „maluje jak

Chełmoński" — to znaczy, że wywiera te same co mistrz wrażenia na widza, że daje to samo uczucie natury prostej a barwnej i milej. Ale Chełmoński ma i innych uczniów; ci nie wynoszą duszy swojej wrażliwej na pole, ale przychodzą z pudełkiem farb do obrazu i usiłują wydrzeć mistrzowi jego technikę, jego pociągnięcia pędzlem, jego kombinowanie farb. „Niebo robione jest kobaltem”, odkrywa taki uczeń i robi na swoim obrazie niebo kobaltem, przekonany, że maluje jak Chełmoński. Widz zaś otrzymuje wrażenie, iż taki obraz już gdzieś widział i, poszukawszy w pamięci, powiada: „To coś niby trochę przypomina Chełmońskiego.”

Jedną z takich natur o skłonnościach kopisty jest w literaturze pani Gabryela Zapolska. Jej książki „coś, niby trochę” przypominają Zolę. Wzięła ona od niego tę samą pogonią za pospolitością w imię ideału prawdy, tę samą odwagę, która nie cofa się przed niczem i dla której każda rzecz istniejąca w naturze godną jest miejsca w literaturze, ten sam pogląd na człowieka jako na zwierzę, o instynktach fizjologicznych, panujących nad całą istotą.

I jak każdy naśladowca, pozbawiony samodzielności i siły, czepiający się tego, w czem wzór naśladować najłatwiej — a więc jego uchybień, wad, zboczeń, manieri,—tak i pani Zapolska daje nam Zolę pozbawionego tego wszystkiego, co jest w nim siłą i oryginalnością. Oto nowa p. Zapolskiej powieść „We krwi.” Maluje tu autorka nałóg pijaństwa, który trzyma w swojej niewoli Michała, biednego stroiciela fortepianów. U pani Zapolskiej nałóg ten jest sam w sobie artystycznym celem jej utworu. Michał wraca do domu pijany, bije i znieważa żonę, potem śpi, przychodzi do siebie—tu rozdział cały poświęcony jest opisowi tego stanu — potem siedzi w domu, walczy z sobą, wreszcie ulega, wychodzi, upija się, wraca pijany i znowu bije żonę. Na objawach nałogu pijaństwa widocznie się pani Zapolska zna, ale do tych objawów przyczepione jest imię Michała tak, jak etykieta przyklepiona jest do szufladki, w której kupiec składa naprzykład próbki kortów. To „gorące i niewyraźne łaskotanie w karku”, ten „silny ból lędźwi”—te „punkciki ciemno zielone” tańczące w oczach—wszystko to są objawy, opisane w podręcznikach chorób nerwowych i psychicznych, które pani Zapolska zgromadziła na kupę pod imię Michała, ale które występują luźno, nie dodając człowiekowi, który może o tyle żyć tylko w naszych oczach, o ile go stworzy talent.

Czy pani Zapolska talent ma? Nie wiem. To pewna, że, jeżeli go nawet posiada, nie żywi doń najmniejszej ufności, pokładając całe natomiast zaufanie w książkach naukowych, które jednak czytelnika, ciekawego jak się objawia choroba pijaństwa, stokroć lepiej poinformują, niż interpretacja pani Zapolskiej.

Z nałogu tego pani Zapolska nie robi żadnego użytku dla swojej powieści, poprzestając na samych opisach objawów. Jakże inaczej postępuje w takich razach Zola. Ten nałóg stanowił-by dla niego tylko ułatwienie pracy, byłby gotową daną, do gry wchodzącą, przychodził-by może jako zewnętrzne rozwiązanie, przecinające akcję; ale nałóg ten wprowadzony byłby w grę artystyczną, człowiek, który nosi go w duszy, wplecionym byłby do akcji, do dramatu, — Zola dał-by nam powieść jednym słowem, czego p. Zapolska nie robi.

Wreszcie Zola, poniżając ludzi do zwierząt, umie rzeczom nadawać jakąś wielką, tajemniczą, abstrakcyjną duszę, która je podnosi i ożywia; tak było z „Ziemią”, z maszyną w *Bête-humaine*, hallami paryskimi w *Le ventre de Paris*. Pani Zapolska mogła podobną duszę dać „Wódce”; powieść może-by nie zyskała na tem wiele, ale autorka miała-by sposobność do pokazania swojej siły, do złożenia dowodu, iż ma talent, który zdoła coś cokolwiek ożywić. Takie zadanie nie pociągnęło jednak autorki. Pani Zapolska poprzestaje na opisach życia pijaka i jego biednej żony, Stefanii, ciężko lekcjami muzyki zarabiającej na chleb i wychowującej z poświęceniem syna. I tu na każdym kroku składa autorka dowody, że sfera psychiczna, rozwój umysłowości i całe bogactwo jego objawów, tak różnorodnych, tak ciekawych, tak paradoksalnych, nic albo mało ją pociąga; natomiast najdrobniejsza ułomność organiczna posiada w niej obserwatora i barda. A więc Stefania ma anemię i newralgię, synek zaś cierpi na epilepsyę i miewa konwulsye, co jest skutkiem, tak drogiej Zoli i jego szkole, teorii dziedziczności.

Jednak kliniczne objawy choroby Michała, traktowane choćby najszczegółowiej, sumienny opis newralgicznych bólów Stefanii i konwulsyi Dziudka nie mogą wypełnić książki, a pani Zapolska znalazła materiału aż na dwa tomy. A więc pomiędzy jednym a drugim spostrzeżeniem klinicznym znajduje się opis zwykłego, szarego, pospolitego życia Stefanii. Autorka uważa, że wszystko, co Stefania robi, każdy jej ruch, każdy krok zainteresuje czytelnika.

Oto jakie opisy wypełniają powieść.

„Lampa dogasała.

Stefania powstała z klęczek i z po-za komody dobyła blaszankę z naftą.

Zwyczajem uświęconym tradycją, wykręciła zapalony knot i naftę w rezerwoar łać zaczęła.

Napełniła rezerwoar, brener wkręciła, blaszankę znów za komodą ukryła i zbliżyła się do łóżka, pod którym stało duże pudełko łubiane, starannie zamknięte.

Otworzyła wieko i do komody pudełko zaniiosła.

Przystawiła dwa krzesła, rozwidniła lampę...”

Mnie się zdaje, że w podobny sposób mógłby pisać powieści każdy, ktoby miał dobrą wolę po temu, że do takiego tworzenia zbytecznym jest wszelki dar, wszelki talent i wszelka praca nad sobą.

Pani Zapolska daje w tomie pierwszym swojej nowej pracy opis cukierni. Zajmuje on aż sześć stronic, domyślcie się więc, jak jest dokładny. Miałbym ochotę przepisać go tu w całości, na dowód, jak dużo można pisać o cukierni, nie pozwalając czytelnikowi zobaczyć tej cukierni ani na jedną chwilę. Autorka całą pracę wkłada w szczegóły. „Papatacze, babki śmietankowe, ptyisie, łódeczki, paluszki, sucharki, rogalki z masą i maczkiem, serniki, wszystko to odosobnione kłębiło się wśród linii szuflad i przegródek.” Osobno opisuje ciastka deserowe, osobno „badyanki, wiórki, gofry, albertki”, osobno napoje, osobno cukierki, osobno torty.

Kogo to może zainteresować? Chyba cukiernika. Dla zwykłych czytelników jest to, nie mówiąc już, że nudne, ale wprost niezrozumiałe. Papatacz? albertka? gofry? co to jest? największy anator ciastek obywa się bez tych nazw.

Trzymając się wiernie tej metody opisywania drobiazgowego najmniejszych rzeczy, autorka prowadzi czytelnika po swoim świecie, — od czasu do czasu lekko się zapominając. Raz pisze pani Z.: „a kobieta stała wciąż nieruchoma..., cała zboląła w swoim znieważonym majestacie opuszczonej, zaniedbanej i w zgniłej rozpuście zdradzonej żony.” Trzeba koniecznie czytać to suche, bezdźwięczne, bezbarwne, wyjąłwione z wszelkiej okraszy poetyckiej opowiadanie, aby zrozumieć, ile zdziwienia czytelnik doznaje, dowiadując się, iż jest jakiś „majestat znieważony opuszczonej żony.” W opisie cukierni, o której mówiliśmy, pani Zapolska w jednym miejscu, pisząc o grze kolorów w szafie z likierami, nazywa szafę tę: „potworną wystawą jubilerską, w którą gnomy, obdarzone nadludzką potęgą, zniosły bryły klejnotów...” i t. d. Gnomy? Ależ gnomów żadnych niema na świecie, wszystkim zaś natomiast wiadomo, że te likiery zostały wlane w butelki przez parobków dystylarnianych, drabów niemytych, w fartuchach skórzanych, pełnych brudu, żyjących w cuchnącej atmosferze spirytusu...

Te ozdoby stylowe robią wrażenie owego przysłowiowego eleganta, który przypinał kwiaty — do kożucha.

Zdarzenia, które składają się na świat, w jakim żyją bohaterowie pani Zapolskiej, są pospolite, codzienne, powszednie. I — rzecz dziwna — są zarazem niezwykle, wyjątkowe, przypadkowe. Stefania jest okrutnie głodna, kiedy widzimy ją po raz pierwszy przy pracy, na lekcyi muzyki. Tegoż dnia spada na nią przykrość: następnej lekcyi nie będzie, bo przypadają imieniny kogoś z rodziny — a właśnie na na-

stępną lekcję przypada wypłata. Jedna niezwykajna rzecz w zwyczajnem życiu. Stefania wraca do domu, tem głodniejsza; tu właśnie Dziudek zrobił ogień taki duży, że aż się zapaliło prześcieradło służącej; ta, nie wiele myśląc, wylewa na prześcieradło supę — oto i po obiedzie. Drugi przypadek.

Stefania ma lekcye muzyki. Myślicie może, iż elewowie są to zwyczajni męczennicy wykształcenia, z jakich setkami mają do czynienia nauczycielki muzyki? Ani trochę. Stefania uczy jakiegoś wyrostka, którego rozwój został spóźniony, zwłaszcza pod względem płciowym i który... pluje, ile razy otrze się o kobietę i t. p.

Stefania idzie pożyczyć do fanciarki pieniędzy. Potrzeba jej bardzo, w domu brak, Dziudek chory. I tego dnia akurat jakiś ulicznik zbił małego Ichimka, synka fanciarki. Ta zaś tak jest wzruszona opowiadaniem o Dziudku, że instynkta macierzyńskie podnoszą w niej głowę i pożycza pieniędzy... bez zastawu.

Niewątpliwie przypadki grają wielką rolę w życiu, nie sposób też nieraz obejść się autorowi bez tego środka pomocniczego, który może zbliżyć dwie osoby obce, oddalić blizkie i t. p. Ale pani Zapolskiej przypadek potrzebny jest w każdym rozdziale, aby nikłą i pozbawioną interesu akcyę popchnąć czemś, równie nikłym. Wypadków takich jest pełno u pani Zapolskiej i w ten sposób ta kombinacya nudnego z nudnem wypełnia cały jej utwór.

W. KOSIAKIEWICZ.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Przez ciąg czasu, który upłynął od ostatniej „Kroniki”, widownią najciekawszych zdarzeń w Europie były Francya i Austria. W pierwszej odbyło się uroczyste przyjęcie marynarzy russkich, w drugiej—upadł gabinet hr. Taaffego.

Admirał Avelan, dowodzący eskadrą na morzu Śródziemnem, świeżo ustanowioną, przybył do Toulonu, rewizytując Francję w imieniu Rossyi za odwiedziiny eskadry admirała Gervais'go w Kronsztadzie. Pamiętni serdecznego przyjęcia marynarzy francuskich w Rossyi, starali się Francuzi okazać ze swej strony gościom jak największą uprzejmość. To też naprzód w Toulonie, potem w Paryżu, następnie w innych miastach Francyi odbył się szereg festynów, które zarówno okazałością, jak nastrojem mas, przewyższyły wszystko, co dotychczas w tym rodzaju widziano. Rząd i społeczeństwo, a w tem ostatniem ludzie prywatni, korporacye, prasa, wyprzedzały się w objawach gościnności i przyjaźni. Przez tydzień w Paryżu było święto, a cała Francya brała w niem udział.

Co się tyczy politycznego znaczenia tych uroczystości, to, według miarodajnych wskazówek urzędowych, były one objawem zbliżenia obu krajów dla celów pokojowych. Pokój stanowił hasło wszystkich przemówień publicznych. Że Rossya i Francya idą ręką w rękę, widziano w Europie i przed wizytą tulońską; ale manifestacye, do których ta dała pobudkę, potwierdziły, że oba rządy mają wolę trzymania

się nadal stale tej wspólności. Wrażenie, jakiego doznano w innych krajach, mianowicie w Niemczech i w Anglii, było przedewszystkiem dalekie od zaniepokojenia. I tu, i tam dobrze przyjmowano nacisk na pokojowy charakter uroczystości. Co do istoty rzeczy w stosunku politycznym Francji i Rosji, kresem zbliżenia się ich może być przymierze. Ponieważ już przedtem i Niemcy, i Anglia przewidywały możliwość takiego przymierza i były na nie przygotowane, więc teraz mogły się pytać i pytały tylko o to, jaką barwę Francja i Rosja myślą nadać przyszłym swoim wspólnym działaniom. Wyrozumiawszy, że pokojową, wzięli to Niemcy i Anglicy do wiadomości z tem przekonaniem, iż — dla nich przynajmniej — nic się w stosunkach dyplomatycznych i politycznych Europy zasadniczo nie zmieniło. Zaakcentowały się tylko wyraźniej zmiany, których ziarna oddawna już były rzucone na ziemię; jest to naturalne i logiczne.

Gabinet przedlitawski upadł skutkiem wniesienia przez hr. Taaffe'go projektu reformy wyborczej. Trzy kluby parlamentu: klub Hohentwarta, koło polskie i lewica uznały projekt za niebezpieczny dla swoich osobnych i dla ogólnych społecznych interesów. Hr. Taaffe, sądząc, że reformy wyborczej z dążnością demokratyczną stronnictwa nie będą śmiały odrzucić, nie przewidział tej opozycji. Jakoż lekceważył on pierwsze objawy niezadowolenia z projektu i ostentacyjnie podawał się sam za jego twórcę. Trwało to dopóty, dopóki przywódcy trzech wspomnianych klubów nie poddali po kolei surowej krytyce wniosku rządowego o reformie, poczem hr. Taaffe podał się do dymisji.

Było to rozwiązanie jedynie w danych warunkach możliwe. Wielbiciele kunsztu dyplomatycznego, jaki rozwijał hr. Taaffe wśród sytuacji nieraz bardzo trudnych, ubolewają nad jego ustąpieniem z widowni. I ci jednak pocieszają się zapewne myślą, że ten kunszt, jaki był w polityce Taaffe'go, przestał wystarczać na potrzeby stosunków przedlitawskich. Nie potrzeba na to innego dowodu nad następujący: Hr. Taaffe dokładał wszelkich starań, aby stworzyć związek klubu Hohentwarta, koła polskiego i lewicy, i w żaden sposób nie mógł tego dopiąć. Tymczasem teraz związek taki utworzył się, co dowodzi, że był w zasadzie możliwym. Otóż skoro hr. Taaffe rzeczy możliwej a bardzo przez siebie upragnionej dokonać nie był zdolny, należy się zgodzić, iż jego sztuka rządzenia wyczerpała swoje zasoby. Może się zdarzyć, że tak samo, jak z koalicją, będzie również z ugodą czesko-niemiecką. I tej pragnął hr. Taaffe, i ta musi być w ten lub inny sposób możliwą. Nie udało mu się jej urzeczywistnić, co bynajmniej nie dowodzi, że nie będzie ona teraz lub później urzeczywistnioną przez innych.

Ale najjawniejszą wskazówką, że pomysły hr. Taaffego wyczerpały się, był właśnie ów projekt reformy wyborczej, o który się potknął ostatecznie. Była to desperacka kombinacja rządu, który tonie i chwytą się brzytwy. Chodziło o powiększenie liczby wyborców z najniższych warstw ludności, z pozostawieniem tej samej liczby posłów w parlamencie. Hr. Taaffe odrazu powinien był rozumieć, że reformy takiej żaden z trzech wielkich klubów nie zaakceptuje; należy też przypuszczać, że rozumiał to i że dlatego właśnie żadnego z tych klubów nie uprzedził o zamiarze reformy, lecz przygotował ją w najściślejszej tajemnicy. Ale znowu jaskrawo pobłądził, mniemając, że kiedy niespodziewanie ten swój cudaczny projekt rzuci na stół parlamentu, parlament ustawę zawotuje. W biurach ministerjalnych rozprawiano poważnie o ewentualności rozwiązania rady państwa, gdyby się opierała, oraz czekano już na te błogie czasy, kiedy obrany przy udziale nowych warstw wyborców parlament — pozwoli rządowi przenieść środek ciężkości w polityce wewnętrznej ze spraw narodowościowych i politycznych na zagadnienia socyalne. Wtedy ustały-by kłopoty z Czechami i z Niemcami, wtedy hr. Taaffe miał-by większość. Gmach ten cały uroczych nadziei oparty był na tak kruchych podstawach, że trzy spokojne przemówienia trzech przywódców opozycji obróciły go w stos ruin.

Misyę utworzenia nowego ministeryum otrzymał książę Windischgrätz. W chwili, kiedy to piszemy, nadchodzą z Wiednia pierwsze echa, iż gabinet już został sformowany. Nie przyszło to z łatwością; pierwsza zresztą próba przymierza między żywiołami tak różnorodnymi, jak lewica i klub zachowawczy Hohenwarta, nie mogła pójść zupełnie gładko. Ale ostatecznie trudności przewyciężono i gabinet koalicyjny obejmuje ster państwa. Podział nastąpił taki: trzy teki wziął klub Hohenwarta, dwie teki koło polskie, dwie teki lewica, oraz dwóch ministrów, nie należących do żadnego klubu, razem dziewięciu. Dwie ostatnie teki, które starano się uczynić neutralnymi przez powierzenie ich ludziom neutralnym, są: spraw wewnętrznych i wojny. Tekę oświaty objął Madejski.

Jakie będą losy nowego gabinetu, zawczasie dziś pytać; co najwyżej pytać wolno, jakie stoją przed nim zadania i jaki powinien sobie zakreslić plan działań. Pod tym względem jedno jest pewne, a mianowicie, że, zrodziwszy się z powodu złego projektu reformy wyborczej, nowy gabinet ma obowiązek wnieść i przeprowadzić projekt dobry, aby na przyszłość, przynajmniej bliską, zapobiedz powtórzeniu się podobnych prób, jak Taaffowska. Przy formowaniu gabinetu starano się roztropnie, aby przeciwieństwom zasadniczym między klubem zachowawczym i lewicą jak najmniej dać okazji do ujawniania się. W tym

to celu sprawy wewnętrzne oddano urzędnikowi, wojskowe generałowi, a oświatę Madejskiemu, który nie jest tak liberalnym, aby raził prawicę związku, ani tak klerykalnym, aby raził lewicę. Administrując finansami, sprawiedliwością, handlem i rolnictwem, dwa przeciwne stronnictwa będą mogły spokojnie obmyślać i przeprowadzać reformę wyborczą, która stoi na pierwszym planie programu. Że tej nowy rząd dokona, trzeba uważać za rzecz pewną. Czy jednak dokona czego więcej, i czego mianowicie, to już należy do zagadek. Co będzie ze stanem oblężenia w Pradze, co zwłaszcza z ugodą czeską? Gabinet koalicyjny, sam trochę zdziwiony tem, że ujrzał światło dzienne, będzie niezawodnie próbował szukać rozwiązania tych kwestyi, jeśli mu starczy na to czasu. Albowiem nie należy się łudzić: kombinacya ta może być nie-długotrwałą. Gabinet Taaffego, w ostatniej swojej fazie, był extraparlamentarnym; kto wie, czy taki extraparlamentarny gabinet nie lepiej odpowiada potrzebom, przy obecnym składzie izby, od gabinetu koalicyjnego, skrępowanego w działaniu sprzecznością dążeń stronnictw skoalizowanych. Prawda, że gabinet extraparlamentarny potrzebuje niepospolitego prezesa, aby mógł spełniać swoją misję. Chodzi nam w tej chwili o zaznaczenie, że obecna kombinacya koalicyjna nie posiada bezwzględnych warunków trwałości; może potrwać, a może się urwać bardzo prędko; może być początkiem nowej ery, albo tylko przejściowego epizodu. W co się obróci, będzie to zależało w wysokim stopniu od umiarkowania i roztropności składających ją stronnictw.

Początki sezonu jesiennego zaznaczyły się wszędzie wyścigami. Czytelnicy wszystkich pism codziennych dowiedzieli się o tryumfach różnych „faworytów”, których imiona i sława setki razy goręcej i głośniej były otrąbione, niż zasługi uczonego, który dał światu nowe prawdy i podstawy do wielkiego rozwoju. Ależ wyścigi, — to niewyczerpane źródło wzruszeń, jakich wszyscy naraz uczeni dać nie mogą. Co warte np. tajniki i barwy „fluidów” życiowych wobec—totalizatora! To najsilniejszy „fluid”, wychodzący nie z głowy w postaci niebieskiej lub czerwonej barwy, dla człowieka normalnego niedostrzegalnej, lecz z kieszeni zarówno biedaków, jak i zamożnych. Dla pierwszych wszakże stawki zbyt wysokie i hazardowne są niedostępne, więc się znaleźli usługni, którzy zaofiarowali prywatnego totalizatora. I kwitł sobie ten sport na polu Mokotowskiem, aż go policya wytropiła. Pieniądz—to jest potężne źródło wzruszeń, zarówno dla gołych, jak i zasobnych. Jedni dostają gorączki w nadziei zdobycia jego, drudzy—w chwili utraty. Cóż dziwnego, że w pogoni za „nerwem życiowym” krew żywej krąży i mózgi zalewa, że, gdy nie można go zdobyć natężeniem pracy mięśniowej lub duchowej, trzeba wzruszenia puścić w taniec?

I tutaj praca jest także wielka, bo przyśpieszone uderzenia serca energię trawia. Drży ono i dreszczem gorączki we wszystkie nerwy uderza, gdy koń do mety dobiega. Krew pod czaszką ogień roznieca i przytomność odbiera, gdy w tajnej szulerni gra się nie wie gdzie; drży wreszcie serce, drżą ręce i nogi, gdy wytrych w zamku opór znajduje. Czy to nie praca? Gdyby można było obliczyć, ile sił pochłania praca legalna, a ile przestępna, bezwarunkowo uznałibyśmy tę ostatnią za uciążliwszą. Dość wejść na salę sądową, dość przez pewien czas śledzić w pismach codziennych drobne wypadki, ażeby się przekonać o szalonej sile rzezi-mieszków, o ich postawach barczystych i sprycie nadzwyczajnym. Energia nie miała ujścia innego, więc popłynęła ściekiem najbrudniejszych spraw ludzkich. Ślepa siła fal morskich łamie dziś okręty i gubi tysiące ludzi. Z czasem może tę siłę człowiek okiełzna i stworzy dla siebie niewyczerpane źródło potęgi i dobrobytu. Ile energii idzie na zły w rzeszach rabusiów, zbójów i rzezi-mieszków, w tłumach próżniaków! Miłosierdzie ludzkie i prawodawstwo starają się w części tę siłę zużytkować dla dobra powszechnego; więc gromady włóczęgów, wyszukujących dobroć ludzką, robią dziś koszyki, przysposabiają materiały dla papierni w warszawskim domu roboczym. Dość hojne składki na tę instytucję napływają ciągle, w niedalekiej zaś przyszłości domy takie powstaną w wielu miastach Państwa. Prawodawstwo obmyśliło warsztaty rzemieślnicze dla więźniów, skąd na mniejsze rynki dostają się wcale niezłe i tanie wyroby. Ale obliczmy, ile kosztują domy robocze i więzienia wraz z warsztatami. Wobec ogromu wydatków na te zakłady, zużytkowanie energii ich pensjonarzy jest zaledwie kropelką w morzu sił ludzkich, ślepo uderzających o chropowatości życia w rozwoju powszechnym. Wiek nasz, przy olbrzymim rozroście pola pracy i niezliczonym rozgałęzieniu jej rodzajów, jest jeszcze bardzo marnotrawnym, potrafił bowiem zaledwie jakiś nędzny procent sił ludzkich zużytkować korzystnie. Ile ich przepało niepowrotnie; ile przepada w pracy nieodpowiednej!

Zjazdy koleżeńskie mają tę dobrą stronę, że są poniekąd wskazówką względem losów i stanowisk wychowawców danego zakładu naukowego. Gdyby koledzy wszystkich szkół zachowywali taką łączność, gdyby się wzajemnie interesowali kolejami życia, — mielibyśmy materiał do bardzo ciekawej statystyki w zakresie pracy ludzkiej. Moglibyśmy dokładnie obliczyć, jaki z nich procent zajmuje placówki niezgodne z powołaniem i przysposobieniem naukowym kandydatów; ilu wytrzymało do końca w zdobywaniu wiedzy, a ilu się wykołoiło. Wreszcie mogliśmy ocenić, w jakim stopniu energia ludzka jest oporna na niepowodzenie i nieprzyjazne warunki bytu. Dotychczas zjazdy koleżeńskie

w ujawnianiu takich danych bardzo były skąpe. Ale oto niedawno „Gazeta Polska” odsłoniła część tych nieobojętnych dla ogółu tajemnic, dzięki jednemu z wychowawców szkoły technicznej kolejowej. Po dwunastu latach wychowawcy rzeczony szkoły zebrali się, aby opowiedzieć sobie o kolejach życia. Ogółem skończyło naukę 22. Z tych część poszła zupełnie inną drogą, niż kazał przypuszczać kierunek przysposobienia się. Mianowicie, jest jeden literat, jeden handlowiec i jeden żyjący z kapitału. Tych, którzy obrali drogę techniczną, zgodną z programem, było 15-tu. Ośmiu poszło na kolej i otrzymało posady, dające od 600 do 1,000 rs. dochodu. Odważniejsi, którzy się nie skusili na łatwe podówczas posady przy drodze żelaznej, udali się w pogoń za szerszą pracą. „Nasłuchawszy się hasel o pracy organicznej, natury żywotne, energiczne, więcej oryginalne, dążyć zaczęły tą drogą, jaka, wydawało się, nie prowadzi do celu.” „Potrzeba krajowi techników, specjalistów, stanowiska wybitne w przemyśle zajmują Niemcy. Zdobądźmy te stanowiska.” Oto, co mieli w sercu. Jednak po ukończeniu technicznej szkoły kolejowej posiadało się ledwie teoretyczne przygotowanie do fabrycznego zawodu. Umiał człowiek porządnie rysować, znał matematykę i fizykę w zakresie kursu gimnazjalnego, oprócz tego chemię, mechanikę i jeszcze jako tako rzemiosło.” Tych wszakże kwalifikacyi było za mało na majstra; dla wypełnienia więc braków młodzi ludzie udali się za granicę. Jedni pracowali jako prości robotnicy, inni, którym środki pozwoliły, wstąpili do niemieckich szkół fachowych, i oto po latach dwunastu zajęli takie stanowiska: jeden jest dyrektorem fabryki trykotaży w Łodzi, drugi dyrektorem fabryki wyrobów wełnianych w Warszawie, trzeci dyrektorem fabryki narzędzi rolniczych w gub. Podolskiej, czwarty dyrektorem faktycznym jednej z największych papierni w kraju pod Warszawą, piąty konstruktorem największej fabryki żelaza w Warszawie, szósty majstrem-*tracur'em* w fabryce kotłów w Warszawie, siódmy—konstruktorem i pomocnikiem dyrektora w jednej z dużych fabryk w Szwajcaryi. Najmniej zarabiający technik fabryczny — zaznacza sprawozdawca — posiada *dwa razy więcej* dochodu niż najlepiej uposażony technik kolejowy. Ci zaś wszyscy, którzy się poświęcili zawodowi fabrycznemu, nie żelaznemu, są dyrektorami fabryk. Dla uzupełnienia tych danych o losach wychowawców szkoły technicznej przy kolei Wiedeńskiej, dodajmy jeszcze parę szczegółów (zaczepniętych z „Głosu”) o uczniach takiejże szkoły przy kolei Terespolskiej, którzy ją ukończyli przed laty jedenastu (r. 1882). Było ich dwunastu. Trzech po kilku latach porzuciło służbę kolejową, jeden z nich pracuje w towarzystwie asekuracyjnym, drugi w instytucyi sądowej, trzeci w kantorze przedsiębiorcy budowlanego, żaden zaś z nich nie ma więcej nad 500—600 rs. rocznie. Dwóch, któ-

rzy przenieśli się na inne koleje, dzięki tylko silnej protekcji, mają dziś pensye do 1,200 rs. Jeden na skromnem stanowisku rysownika-kopisty kolejowego umarł. Sześciu zaś, których nie nęciła służba kolejowa, zajmują dziś posady, dające od 1,500 do 3,000 rs. dochodu. Trzej pracują w przemyśle hutniczym, jako kierownicy pewnych oddziałów fabrykacyi, jeden jest dyrektorem cukrowni w Rumunii, jeden pełni czynność inżyniera przy kanalizacji, wreszcie jeden prowadzi interesa przemysłowo-handlowe w Cesarstwie.

Wymowne fakta! Znam inne osobiście. Młody człowiek, który przed kilku laty skończył szkołę techniczną przy kolei Wiedeńskiej, pojechał do Paryża, gdzie, po dwóch latach kształcenia się w małym u nas uprawianym zakresie galwanoplastyki, zajął w fabryce lamp w Warszawie wybitne i dobrze płatne stanowisko. Drugi, któremu nauka się nie wiodła, porzucił tę samą szkołę i, wykształciwszy się praktycznie w Paryżu w zakresie technicznym, dziś zajmuje bardzo dobrą posadę w Dąbrowie Górniczej. Tego rodzaju dane dla młodzieży kształcącej się i jej rodziców lub opiekunów mogą mieć takie znaczenie, jak dokładne informacye z rynków—dla wytwórców i kupców. To też systematyczne zbieranie i rozpowszechnianie takich wiadomości nie pozostało-by bez wpływu dodatniego dla tych, którzy w obieraniu zawodów idą na oślep i w gruncie rzeczy znajdują istotnie... zawód, bardzo dotkliwy w następstwach. U nas dotychczas, pomimo ujawniającego się coraz wyraźniej prądu praktyczności, panuje pewnego rodzaju przesąd, że wiedza techniczna lub rzemieślnicza nie zgadza się ze stanowiskiem rodziny „przyzwoitej.” Ambicya zaś ojców i matek tak dalece w tym względzie jest drażliwą, że jeżeli ich syn dostaje dwójki z języków starożytnych lub wprost nie ma żadnych zdolności w kierunku klasycznym,—rwą sobie włosy z rozpacz i chorują. Jakże! Matka wyobraziła sobie, że jej jedynak będzie „doktorem”, profesorem, czy adwokatem, a tu naraz powiadają, że malec jest niezdatny do nauki gimnazyalnej. „Niech lepiej w domu siedzi, niż ma być jakimś rzemieślnikiem w fabryce. Może przy protekcji, jak dorośnie, znajdziemy mu miejsce w banku lub na kolei. Nie będzie przynajmniej się poniewierał.” Takie rozważania i uwagi nieraz mi się objęły o uszy. Nie są to fakta pojedyncze. Ludzi z takimi przesądami jest jeszcze u nas bardzo wielu, a ich marzenia i sposób kierowania dziećmi wpływa na to, że z rokiem każdym ogromnie wzrasta liczba wykolejonych, rozbitków, oburzających się na myśl o pracy technicznej, a jednocześnie wyciągających zębraczą rękę do osób wpływowych o protekcję, „aby się tylko zaczepić” gdzie w biurze, dostać kącik dyktaryusza i być popychadłem wszystkich urzędników etatowych. Taką drogą tysiące młodych ludzi,

k którzy się nie odznaczyli pilnością lub zdolnościami, pędzą życie bezowocne i są nieruchomym balastem społecznym, obciążającym samodzielność i energię ogółu.

Jedynym rodzajem pracy niby na drodze niezależnej jest u nas sklepikarstwo, którego się chwytą każdy zbankrutowany przybysz z prowincyi po to, żeby i resztki funduszów w ton bankructwa rzucić niepowrotnie. Proszę przejrzeć drobne ogłoszenia w „Kuryerze Warszawskim”; ile tam jest codziennych sklepów do sprzedania! Niedawno w wagonie zawiązała ze mną rozmowę jakaś młoda osoba, która mi pobieżnie opowiedziała swoje wielce charakterystyczne *curriculum vitae*: „Jestem wdową po sądowniku. Mając jaki taki fundusz, kupiłam sobie sklep galanteryjny—z ogłoszenia w „Kuryerze.” Tak mi się wydał ten interes pojętnym i świetnym, że co żywo dobiła targu, aby mnie kto nie ubiegł. Tam włożyłam cały swój zapal i gorliwość. Z początku szło jako tako, potem coraz gorzej; niedospiałam, martwiłam się, w końcu—bankructwo.” Jest to obrazek jeden z wielu. Sklepikarstwo stało się pewnego rodzaju chorobą społeczną. Biorą się do tego ludzie nie mający nietylko usposobienia, ale najmniejszego pojęcia o handlu i jego warunkach. Dążą na oślep i toną u podnóża wytrawnych, silnych współzawodników. Dla tych wszystkich poszukiwaczy dobrobytu, dla całego mrowia młodzieży, szukającej nauki, dla rodziców, kołacących do wrót gimnazyów i drogich pensyonatów prywatnych,—wiadomości podane o losach wychowanców szkół technicznych przy kolejach Wiedeńskiej i Terespolskiej niech będą cenną wskazówką. Wprawdzie nie mamy jeszcze tylu szkół zawodowych, ażeby one mogły zmieścić te roje kandydatów do nauki, ale żyjemy właśnie w dobie, która wróży pożądaną ruch w rozwoju szkolnictwa fachowego. Zastój w tym względzie byłby przecież jakąś okropną anomalią w chwili, gdy dziedziny pracy fabrycznej, hutniczej i górniczej stały się najrozleglejszemi i najpotężniejszymi.

Na zabezpieczenie bytu wielkim armiom pracowników w zakładach górniczych sfery rządowej i prawodawczej zwróciły w ostatnich czasach rzetelną uwagę. Jużesmy wzmiankowali w swoim czasie o opracowaniu ustawy kas dla owych pracowników i poparciu jej przez ostatni zjazd górników w Warszawie. Przesłano wówczas władzom wyższym projekt dwóch form tego rodzaju instytucyi: kasy chorych i—emerytalnej. Otóż pierwsza z nich uzyskała już zatwierdzenie i, jako normalna, stała się obowiązującą dla wszystkich zakładów przemysłowo-górniczych. Fakt ów tem większe ma znaczenie, że organizacja tego rodzaju po raz pierwszy wchodzi w życie. Dotychczas, pomi-

mo znacznego rozwoju górnictwa, tysiące pracujących w niem osób nie miały pomocy na takich podstawach rozpostartej. A przecież ten zakres pracy najszybciej niszczy zdrowie, a statystyka najczęściej notuje w nim wypadków śmierci i kalectwa, więc — rzucanie inwalidów i rodzin osieroconych na pastwę losu. Wprawdzie rząd pozostawił przemysłowcom prawo inicjatywy w tym względzie. Ale ci, którzy najbliższej stoją tej sprawy, jako projektodawcy (między innymi inżynier górniczy Keppen, przewodniczący na zjeździe w Warszawie), nie dostrzegli wcale bodźca, pochodzącego z łona przedsiębiorców. Prawo inicjatywy pozostało w teorii aż do chwili obecnej, gdy organizacya pomocy dla pracowników jęła przybierać formę prawnie obowiązującą. Kasa chorych, zatwierdzona dla okręgów pierwszego i trzeciego w Królestwie Polskiem, w ostatecznej redakcyi uległa niewielkiej zmianie (w stosunku do projektu, przedstawionego przez zjazd, mianowicie w paragrafie, mówiącym o rozmiarach zapomogi na pogrzeby). Zasadniczą dążnością tej instytucyi jest udzielanie zasiłków pieniężnych chorym, pomocy lekarskiej bezpłatnej i środków leczniczych. Zanim zacznie działać kasa emerytalna, zarząd obecnie zatwierdzonej poniekąd będzie wielką lukę wypełniał, gdyż ma prawo udzielać zapomogi inwalidom, kalekom, wdowom i sierotom i nie pozbawiać ich tej pomocy nawet po założeniu kasy emerytalnej, jeżeli owi korzystający z zapomogi nie będą wliczeni w poczet jej członków. Stało się więc zadość na razie pilniejszej potrzebie. Kalectwa i choroby są na porządku dziennym, pomoc zatem natychmiastowa jest nieodzowną. Kasa emerytalna — jest to już organizacya na szerszych podstawach oparta, a więc i wprowadzenie jej w życie, że tak powiemy, jest ambarasowniejsze, o czem nawet świadczyły dłuższe rozprawy i spory na zjeździe w Warszawie. Wypowiadano wówczas obawy głównie z tego powodu, że górnictwo, jako dziedzina pracy zbyt niebezpieczna i wyczerpująca siły, zanadto wielkiego procentu emerytów dostarczy, co znowu wpłynie na osłabienie gruntu kasy. To też w ustawie poczyniono różne zastrzeżenia i ostrożności, ograniczające zastępy niezdatnych do pracy. Być może, iż przed ostatecznym zatwierdzeniem ustawa ta ulegnie pewnym zmianom w niektórych punktach. Bądź co bądź — organizacya kas górniczych, zabezpieczająca byt pracowników, jest zjawiskiem bardzo ważnem w bieżącej dobie.

Trudno byłoby zliczyć, ile projektów u nas wypowiedziano w sprawie zabezpieczenia bytu oficjalistów wiejskich. Przed laty kilku zaznaczył się dość wybitny ruch w tej mierze, dzięki konkursowi studentów Instytutu nowoaleksandryjskiego. Później od czasu do czasu odzywały się w tym przedmiocie pojedyncze głosy w prasie i nikły

prawie bez echa. Obecnie, z rozpoczęciem sezonu jesiennego, znowu ta kwestya wypłynęła na wierzch, ale już w sali warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania russkiego przemysłu i handlu, dzięki odczytowi p. Napiórkowskiego. Prelegent ma na myśli tylko niższą służbę folwarczną, która nałogowo zmienia miejsce co rok i tem samem szkodzi zarówno sobie, jak i pracodawcom. Przyczyną tego jest między innymi przedewszystkiem chęć znalezienia czegoś lepszego; parobek bowiem nie widzi przed sobą żadnych szans polepszenia bytu, wreszcie nie go nie przykuwa do miejsca, żadna nadzieja, żadna zachęta. To też gdy mu faktor słów parę szepnie, — dąży na nowe miejsce, chociażby ono w gruncie rzeczy było gorsze od pierwszego. Co na tem traci właściciel? Każde wyprawienie parobka i sprowadzenie nowego kosztuje przeciętnie cztery ruble. Otóż ten wydatek projektodawca chce zamienić na fundusz emerytalny, czyli inaczej — radzi, aby każdy pracodawca składał co rok na rzecz swego parobka po rs. 4, po latach zaś dziesięciu należało-by te składki podnieść do rs. 6-ciu rocznie. Tak więc suma, pochłaniana przez furmanki, ma zabezpieczyć byt parobków na starość. Wiedząc o tem, że długa służba na jednym miejscu będzie w ten sposób wynagrodzona, nie zechcą oni tak często bez żadnych powodów, lub z przyczyn błahych, zmieniać miejsca. Według więc projektodawcy byłoby tu zadość przysłowi o sytości wilka i całości kozy. Po-za tem p. Napiórkowski doradza inny projekt — ubezpieczenia życia i renty dożywotniej.

W pomysłach powyższych niema nic szczególnego, ale nie o to chodzi; całą zasługą prelegenta jest to, że podniósł sprawę żywotną na posiedzeniu instytucyi, będącej niejako pośredniczką w stosowaniu projektów w praktyce lub w doskonaleniu ich i wyjedukowaniu uświęcenia prawnego. Projekt p. Napiórkowskiego ma głównie tę wadę, że dotyczy tylko parobków, podczas gdy ogół mniejszych i większych oficjalistów nie ma również pewnej przyszłości. Cenimy więc tym razem głos agitacyjny p. Napiórkowskiego, który to sprawił, że sekcyja postanowiła wybrać osobną delegacyę dla rozpatrzenia całej sprawy i pchnięcia jej na tory praktyczne. Oby istotnie rozpatrzono ją rzetelnie i wszechstronnie! Materiału teoretycznego jest dosyć; należało-by tylko stworzyć zeń jakąś całość, odpowiadającą rzeczywiście potrzebom i możliwą do wprowadzenia w czyn. Nie od dziś sprawa ta zajmuje umysły, niezasklepione w potrzebach osobistych. Mamy właśnie pod ręką broszurę, wydaną jeszcze w r. 1862, a napisaną przez Józefa Jakubowicza, p. t. „Rzecz o emeryturze oficjalistów prywatnych.” Autor dokładnie wyłożył swój projekt, opracowany na żądanie przedstawicieli rolnictwa. „W obecnem położeniu, przy po-

czuciu moralnego obowiązku, jaki ofycyalista ma z jednej strony względem siebie i rodziny swojej, z drugiej względem służbodawcy swego, objaw opinii ze strony ofycyalistów, aby ich starość i kalectwo zabezpieczono, wdowieństwo i sieroctwo po nich ogarnięto opieką, to ciągle apelowanie do opinii publicznej z równoczesnem ciągłym domaganiem się, aby ich w ponoszeniu tego ciężaru nie pominięto,—jest jasnym świadectwem na korzyść ofycyalistów prywatnych, albowiem świadczy ono o dojrzałości ich w poczuciu moralności i samowiedzy." Projektodawca, występując w imieniu wielu, miał na myśli „utworzenie stałej, po wiek wieki moralnie działającej instytucji, która-by, ofycyalisty wysłużonego pracą i rzetelne zasługi oceniając, zabezpieczyła jego starość i dała mu sposobność, jako głowie familii, przyczynić się do zapewnienia losu wdowy i sierot po nim pozostałych, a to wszystko nie jako *darowane*, ale jako *zasłużone*, *zapracowane*." Tak pisano i tak tę sprawę pojmowano przeszło przed trzydziestu laty. Odtąd warunki bardzo się zmieniły. Przyszłość stała się niepewną nie tylko dla ofycyalistów, lecz i właścicieli ziemskich. Trudno więc zalecać projekta z tych czasów bez żadnej zmiany. Ustawy opracowanej przez Jakubowicza streszczać tu nie będziemy; podaliśmy tylko wzmiankę o niej, w tej nadziei, że delegacya przy „wszechstronnem" rozpatrywaniu przedmiotu zechce i na tę broszurę zwrócić uwagę, jak również zapewne nie pominie obszernych projektów pp. Zdziarskiego i Modzelewskiego, ogłoszonych i nagrodzonych przez konkurs r. 1888, wreszcie zasługuje jeszcze na uwzględnienie projekt opracowany zbiorowo r. 1891 przez kółko ziemian (z pp. Chrzanowskim i Stamirowskim na czele). Wszystko to da tak zasobny materiał, że nad obmyśleniem nowych projektów nie trzeba będzie zbytnio łamać głowy.

Dorzucimy tu jeszcze od siebie jedną myśl, którą, dla zwrócenia szerszej uwagi, podajemy jednocześnie w organie specjalnym, czytanim przez ziemian „Rolniku i Hodowcy": Przy opracowywaniu całokształtu ustawy, która w przyszłości może nabierze mocy obowiązującej, należało-by dać taki podkład, który-by zabezpieczał losy ofycyalistów nawet przy zmianie właścicieli majątków, co dziś jest przecież zjawiskiem codziennem. Ziemianin, wyzuwając się z mienia, nie niszczy warsztatu pracy. Nowonabywca wchodzi jako gospodarz gruntów, budowli, inwentarza i nie może się obejść bez ofycyalistów. Wobec tego polecamy uwadze delegacyi punkt następujący: aby po zmianie właściciela pozostały niezmienione zobowiązania, przyjęte przez poprzednika względem ofycyalistów. W ten tylko sposób, pomimo zachwianych podstaw znacznej liczby ziemian, organizacya emerytalna dla ofycyalistów wiejskich nie utonie wraz z utratą majątku przez właściciela. Dobra,

kwalifikujące się na sprzedaż publiczną, zwykle są obarczone różnorodnymi zobowiązaniami. Powinno przybyć jeszcze jedno z ważniejszych zobowiązań, nieobciążających dóbr materialnie: — troska o emeryturę oficyalistów, pozostałych obowiązkowo po zmianie właściciela na gruncie, na równi z inwentarzem. Naturalnie, będzie to tylko wtedy całkowicie możliwym, jeżeli owa organizacya stanie się jednolitą i równie obowiązującą w całym kraju, tak, iżby oficyalista, przechodzący z jakichś ważnych przyczyn z jednego majątku do drugiego, nie tracił swych praw emerytalnych, jak ich nie tracą przemieszczani pracownicy instytucji rządowych.

O zmniejszenie niebezpieczeństwa po wsiach stara się „Gazeta Radomska” i w tym celu ogłosiła konkurs na temat: „Jakie środki przedsięwziąć należy, aby usunąć lub ograniczyć nieszczęśliwe wypadki z dziećmi po wsiach i osadach, i w jaki sposób zorganizować nad nimi opiekę?” Nadesłano kilka projektów, autor zaś jednego widzi zbawienie we dworze, księżdu i szkole. Radzi więc, aby panie i panienki z dworu uznały za święty obowiązek opiekę nad dziećmi i kobietami sąsiadów-włościan; aby miały dla ich użytku apteczki z najczęściej używanymi środkami lekarskimi, aby poznały chemię, higienę i medycynę praktyczną. „Niech pomocy swej i zdobytej wiedzy chętnie udzielają, a żadna matka-wieśniaczka nie pójdzie do baby-znachorki po zażegnwanie choroby, gdy będzie wiedziała, że dobrą radę dla chorego dziecka znajdzie we dworze. Autor zaleca przeznaczenie izby na folwarku lub we wsi, gdzie idące do roboty w pole matki mogły-by swe małe dzieci zostawiać pod opieką i nadzorem „pani” lub „panienki” z dworu. Zresztą w każdej prawie wsi znajdują się biedne komornice, które chętnie podjęły-by się opieki nad niemowlętami za małe wynagrodzenie. Taki „żłobek” czy „ochronka” wymaga pewnych kosztów, które zdaniem projektodawcy w pewnej mierze chętnie ponieśli-by włościanie, „pewni, że za to po powrocie do chaty nie znajdą dziecka zjedzonego przez nierogaciznę, utopionego w cebrze, uduszonego przez drugie, niewiele starsze, lub zwęglonego w kominie.” Uczestnik konkursu, twierdząc, że takie wypadki bardzo często się zdarzają, wcale nie przesadza, bo oto mamy świeże dane, ogłoszone w jednym z organów urzędowych. W jednej tylko gubernii Warszawskiej w ciągu pięciu miesięcy (od 13 kwietnia do 13 września) straciło życie z powodu wypadków 54 dzieci wiejskich w wieku od jednego roku do lat dziesięciu. Najwięcej (33) utonęło w kałużach, sadzawkach, studniach, strumieniach i t. d., z tej liczby 22 nie miało jeszcze pięciu lat wieku. Dalej idą wypadki poparzeń, zakończone śmiercią (14). Siedmioro dzieci zmarło skutkiem przejechania, dwoje przez spadnięcie z wyso-

kości, jedno wpadło do dołu i było zasypane ziemią, jedno zważyło na siebie belkę. Ile się zdarza pożarów, wznieczanych przez dzieci, pozostawione bez dozoru, ile przytem bywa strat materyalnych, a nawet nie-szczęść z ludźmi, o tem statystyka milczy. Jeżeli cyfry powyższe przyjmujemy za przeciętne dla wszystkich gubernii Królestwa Polskiego (bo niema racyi, ażeby inne wolne były od takich wypadków), otrzymamy przeszło *pięćset* zgonów. Jest to cyfra minimalna, gdyż mieliśmy sposobność często czytać dane, zaczerpnięte ze źródeł urzędowych, które notują bardzo dużo takich wypadków w okresie robót polnych. Ile zaś dzieci umiera z chorób powstałych z nadwężenia różnych organów przy tego rodzaju wypadkach, jaki co rok przybywa stąd procent kalek, o tem również w raportach urzędowych niema mowy. Jeżeli to wszystko zsumować, — kłeski z niedozoru dadzą się porównać do strat, czynionych przez szkarlatynę, błonicę i t. d.

Wobec tego chęć pobudzenia społeczeństwa do przeciwdziałania złemu, ujawniona za pośrednictwem konkursu „Gazety Radomskiej”, zasługuje nie tylko na uznanie, ale i szczere poparcie. Słuszną jest uwaga jednego z projektodawców, że ten tylko środek może rozwiązać sprawę, który nie będzie zależał od tak niepewnych warunków, jak ilość pieniędzy, wpływająca od ofiarodawców. Czy tylko również będzie skuteczna opieka nad dziećmi, rozpostarta na zasadzie samopomocy? Wpływ moralny na naszego chłopca działa bardzo powolnie. Wszelkim nowościom on nie ufa, patrzy na nie z ukosa, przy najgorętszych zachętach niezbyt się zapala. Przypuśćmy więc, że tu i owdzie zrozumieją potrzebę wprowadzenia zalecanych ochronek ruchomych, że w niektórych wsiach znajdują się „ubogie komornice” dla dozoru, że się gospodarze zgodzą dawać kolejno izbę co dzień lub co tydzień. Ale czy będzie to szło gładko, czy ci, dla których to się robi, będą utrzymywali stałą organizację tego rodzaju, jedynie pod bodźcem moralnym? Ochroniarce za jej pracę, acz nie uciążliwą, trzeba dać wynagrodzenie. Wikt i mieszkanie może ona mieć po kolei od tych gospodarzy, którzy dają izbę. Ale kobieta taka musi mieć stały przytułek i utrzymanie. Projektodawca radzi, ażeby ten, kto ją stale utrzymywał u siebie, pobierał odpowiednie wynagrodzenie od gminy. Otóż w tem najśłabsza strona. Lud, gdy chodzi o jakiś stały ciężar gromadny, bardzo bywa oporny, chociażby to plynęło na jego własną najwi-doczniejszą korzyść. Projektowi powyższemu nic zarzucić nie można pod względem taniości jego wykonania; ale chcąc, iżby on mógł się zabezpieczyć w życiu na całej przestrzeni kraju, należało-by obok pobudek moralnych użyć nacisku prawnego. Wobec ciemnoty i konserwatyizmu wśród ludu, tylko taki sposób najsilniej i najszybciej działa. Na-

turalnie, nie można go uważać za jedyny. Musi on koniecznie iść obok zachęty moralnej, za pomocą, jak chce projektodawca, przemawiania ze szpalt „Gazety Świątecznej” i „Zorzy”, lub przez wydanie broszurki, specjalnie tę sprawę omawiającej. Gorące acz gołe słowa trzeba popierać jeszcze czemś namacalnem, chłop bowiem jest pod tym względem zbliżony do dziecka. Otóż słusznie proponuje uczestnik konkursu ofiarowywanie premii w postaci np. zegarów ściennych, nasion i t. d., za utrzymywanie organizacji ochronek ruchomych. (Sposób ten uprawia redaktor „Gazety Świątecznej”). „Sumkę zebraną na ten cel można-by składać na ręce redaktorów pism ludowych i za ich pośrednictwem premia rozdawać i kontrolę prowadzić.” Słuszne jest wreszcie twierdzenie, że zakładanie ochronek wielce ułatwiło-by „Towarzystwo opieki nad dziećmi po wsiach”, jako samodzielne, lub też jako jedna z sekcji Towarzystwa dobroczynności. Jednocześnie z ogłoszeniem powyższego projektu w „Gazecie Radomskiej” (czy też pod wpływem jego) „Warsz. gub. wied.” podały myśl obowiązkowej organizacji ochron dzieciennych po wsiach. Jest więc nadzieja, że konkurs organu radomskiego nie przebrzmi bez echa.

System nagród, jako zachęta, zaczyna się zaszczerpieć w życiu. Tak np. za krzewienie ogrodnictwa tudzież wpajanie zamiłowania do tego działu pracy, władze ministerjalne postanowiły dawać nagrody nauczycielom i nauczycielkom szkół ludowych. Ta sama idea zachęty tkwi w nagrodach, udzielanych na wystawach; to jest właśnie bodźcem do wzorowej hodowli koni i trzody rasowej wśród drobnych rolników; to też dobrych hodowców mamy dziś coraz więcej.

Dobrym środkiem uczciwej reklamy dla zjednania publiczności może być odpowiednio urządzony stały bazar wyrobów. Stworzono już tę instytucję niedawno w Warszawie, ale, jak zapewniają ci, którzy tam zajrzeli, świeci ona pustkami. Dlaczego? Podobno winna temu jest skromność, pochodząca z nieznajomości najelementarniejszych warunków handlu. Bazar nie bije w oczy. Może go dojrzeć tylko ten, kto się wyłącznie wybrał dla poszukiwania. Są jeszcze inne zarzuty: że bazar oszczędza na ogłoszeniach, że się stał sklepem fabrykantów, nie zaś rzemieślników.

Z większem zrozumieniem rzeczy urządzono Muzeum rzemieślnicze, pomyślnie i stale się rozwijające. Zadaniem tej instytucji jest zgromadzić możliwie największą liczbę okazów, mającą bezpośredni związek ze stosowaniem sztuki do rzemiosła. Jakoż istotnie zbiory są już dość znaczne; Muzeum posiada sporo rysunków, albumów, wyrobów

różnych i modeli. Dzięki temu, młodzież rzemieślnicza może się kształcić estetycznie za pomocą kopiowania i przyglądania się pięknym okazom. Niezależnie od tego, przed kilkoma tygodniami zarząd postanowił się zająć urządzeniem t. zw. działu pożytkowego, w którym się skupi materiały w związku z techniką rzemiosł. Będą więc tam okazy i wzory pracy, miejscowe i zagraniczne, odznaczające się nowością pomysłu i wogóle takimi cechami, które najbardziej trafiają do gustu publiczności. Jeżeli zważymy, w jakim zasklepieniu pracują nasi rzemieślnicy, jak mało mają możliwości dowiedzenia się o postępach i ulepszeniach w ich fachu, — zrozumiemy dostatecznie znaczenie takiego działu przy Muzeum. Nie dość atoli mieć wzór przed sobą, trzeba jeszcze wiedzieć, w jaki sposób on się robi, jakich narzędzi wymaga. Rzemieślnik np., zachwycony danym okazem, zechce go wprowadzić do swego warsztatu i weźmie się gorliwie do roboty; ale wkrótce się przekonana, że jest ona zbyt mozolna i kosztowna, że pochłania zbyt dużo czasu i straty tylko przynosi, przytem przedmiot ten nie wyjdzie tak pięknie, jak wyglądał na wzorze. Otóż i temu brakowi Muzeum wkrótce zaradzi. Ułatwi ono mianowicie zapoznanie rzemieślnika z ulepszonemi narzędziami, które pozwalają wykonywać dany przedmiot ze znacznem zaoszczędzeniem czasu i kosztów. W tym celu biblioteka Muzeum posiada sporo pism fachowych, skrętnie podających opisy i podobizny wszelkich wynalazków. To jednak za mało jeszcze. Jak słusznie zwróciła uwagę „Gazeta rzemieślnicza”, wynalazki mnożą się bardzo obficie, częstokroć zaś silnie reklamowany przyrząd zawodzi. Trzeba więc dać sposobność wyboru najlepszego, co tylko możebnem jest przy zastosowaniu prób praktycznych. Muzeum zaopatrzy się w zbiory surowych materiałów, używanych w rzemiosłach, i artykułów pomocniczych, z wykazaniem wszelkich zalet i wad. Ażeby te zbiory i wszelkie modele przyniosły istotny pożytek, zarząd powyższej instytucji postanowił wprowadzać peryodyczne próby z nowemi przedmiotami, tudzież dawać odpowiednie wskazówki, co do sposobu użycia, wykonania danej rzeczy, ceny, źródła pochodzenia i t. d. O pożytku takich prób z objaśnieniami wątpić nie można. Po-za tem wszyskiem, Muzeum wprowadza jeszcze jedną nowość: dwa razy do roku (w październiku i marcu) wystawy przedmiotów wyzwolinowych (majstersztyków i geselsztyków) bezpłatnie z nazwiskami wykonawców. Oprócz popisu, mającego znaczenie moralne, wystawcy będą mieli jeszcze sposobność spieniężania swych okazów na miejscu. Jak widzimy, Muzeum nie zawiodło oczekiwania. Robi ono, co może, dla pożytku rzemieślników i tem samem — spożywców, mających rękojmię nabywania przedmiotów gustownych, dobrych i pięknych. Jeżeli zaś są jeszcze braki, to najbardziej wymagający powinni być na nie pobłażliwi, ze względu,

że instytucja ta jest jeszcze zbyt młoda, że dostatecznych zasobów przy otwarciu nie miała i teraz ich nie ma. Z czasem działalność jej będzie bardzo owocna, a miejmy nadzieję, że i w miastach prowincjonalnych, gdzie rzemiosło jest zupełnie zaśniedziałe, gdzie się rozwielmożniła tandeta i sprzedaż przedmiotów wybrakowanych przed laty na rynkach pierwszorzędnych, powstaną filie tej ze wszech miar pożytecznej instytucji. Taką tylko drogą rzemiosło w tych działach, w których może współzawodniczyć taniością i dobrocią z wyrobami fabrycznymi, wywalczy sobie trwałe stanowisko i powodzenie.

Owoce działalności Muzeum rzemieślniczego jest jeszcze wystawa skór, wyrobów skórzanych i dekoracyjno-tapicerskich, otwarta 29 października. Urządzenie jej szło dość opornie, skutkiem obojętności uczestników, o czym świadczyło odkładanie terminów otwarcia. Obecnie liczba wystawców nie jest imponująca, gdyż nie przekracza 70, najbardziej zaś charakterystycznym jest to, że, wbrew pierwotnemu założeniu i zabiegom organizatorów, udział główny wzięli nie drobni wytwórcy, lecz wielcy przemysłowcy; mianowicie na pierwszy plan się wysunęły garbarnie. Dziwić się temu nie można. Wyroby skórzane stanowią dziś silnie rozrosłą dziedzinę fabryczną, z którą walka drobnych zapaśników była-by śmieszna. Chodzi wszakże o samo założenie. Twórcy wystawy—to przecież protektorowie małych producentów; do nich więc kołatali najusilniej. Tymczasem zajmują oni kącik pośledni. Dowodzi to albo zupełnego zgniecenia w tej dziedzinie — drobiazgu przez wielki kapitał, co jest naturalnem następstwem rozwoju dzisiejszej formy ekonomicznej, albo — lenistwa i niezrozumienia własnego interesu przez tych, dla których głównie wystawę urządzono. Jeszcze jeden rys znamieny, świadczący o prawdopodobieństwie ostatniego przypuszczenia względem wytwórców warszawskich: prowincja i wewnętrzne gubernie Cesarstwa mają sporo przedstawicieli na wystawie niniejszej.

Rzemieślnicy nasi zarzucany im brak zbiorowego działania, które mogło-by wzmocnić i utrwalić ich siły, często tłómaczą brakiem odpowiedniego kredytu dla siebie. Istotnie jest to jedna z najważniejszych przeszkód w ich rozwoju. Z nastroju wszakże i częstych pogłosek, dochodzących ze sfer sterujących, można wnosić, że do programu opiekowania się państwa drobnym przemysłem wejdzie przystępny kredyt dla wytwórców w tym zakresie. Wcześniej wszakże przemysł wielki, jako obejmujący najszersze dziedziny wytwarzania i pracy, uzyska to ułatwienie. Kredyt przemysłowy nie będzie atoli nowością u nas. Świadczy o tem przytoczona przez „Warsz. Dniew.”

historya działalności w tej mierze jednej z najwybitniejszych niedawno instytucyi tutejszych: „Bankowi Polskiemu, zamienionemu od r. 1885 na oddział Banku państwa, przypadło widocznie w udziale odegranie bardzo ważnej roli w dziejach kredytu przemysłowego w Rossyi. Jak wiadomo, ministeryum skarbu, chcąc przyjsć z pomocą przemysłowi, zajęło się opracowaniem sprawy kredytu. W tym celu russcy agenci handlowi zostali wysłani za granicę dla zgromadzenia wszelkich danych o istniejącym kredycie tego rodzaju. Ale, jak się okazało, na Zachodzie niema specjalnie przemysłowego kredytu, nieliczne zaś instytucye kredytowe, które dawniej zajmowały się operacyami w zakresie kredytu przemysłowego, dzisiaj przerzuciły się do ogólnej formy. Taki brak w obecnym czasie wskazówek co do kredytu przemysłowego zniewala do szukania ich w przeszłości, w historyi Banku Polskiego, który przez czas swojego istnienia, z kraju rolniczego, jak Królestwo Polskie, zdołał zrobić kraj rolniczo-przemysłowy. Bank ten nie obawiał się utrzymać przy niewykupionych przedsiębiorstwach przemysłowych i, zarządzając nimi sposobem gospodarczym, ulepszał je, stawiał na nogi i następnie sprzedawał z zyskiem, czego dowodem są wielkie fabryki w Żyrardowie, stanowiące obecnie własność towarzystwa prywatnego. Takie operacye Banku Polskiego, który, rozpoczynszy z ośmiu milionami kapitału obrotowego, doprowadził go do poważnych rozmiarów, musiały naturalnie zwrócić na siebie uwagę ministeryum skarbu, które wzięło Bank Polski za wzór przy organizacyi w Rossyi wogóle wielkiego kredytu dla zakładów przemysłowych i fabryk.”

Przy tej sposobności musimy nadmienić, że na potrzebę kredytu przemysłowego zwracał u nas uwagę przeszło rok temu p. Nikodem Krakowski w osobnej pracy p. t. „Rzut oka na rozwój przemysłu i najpilniejszą jego potrzebę”, w której zaznaczył także dawną działalność Banku Polskiego. W epoce najżywotniejszej, t. j. 1833—1859, pożyczki tej instytucyi, udzielone na cele przemysłowe, wynosiły rs. 92,000,000. Obecnie wzory dawne będą podstawą do organizacyi kredytu przemysłowego w całym państwie. W ogniskach wielkiej produkcyi działalność tego rodzaju kredytu ma być pozostawiona prywatnym instytucyom, w miejscowościach zaś, gdzie życie przemysłowe jest słabe, kredytem zajmą się banki rządowe.

Pomoc dla przemysłu wielkiego, jakeśmy rzekli, jest na pierwszym planie. Dalej będzie uwzględniony kredyt średni, t. j. rolny, przyczem utrzyma się nadal przyjęta dotychczas forma pod solą-weksle. Ziemianie korzystać mają z prawa używania tego kredytu bądź na

urządzenie nowych, bądź na ulepszenie istniejących w majątku przedsiębiorstw przemysłowych, ale nie wyłącznie na potrzeby gospodarsko-rolnicze, jak to dotąd było. Wreszcie w programie reform jest jeszcze jedna forma—kredytu rzemieślniczego i przemysłu drobnego. Ten jednak dział pozostawiono aż do chwili opracowania sprawy arteli i stowarzyszeń. Wogóle zasada kredytu przemysłowego wymagać będzie jasności działań przemysłowo-handlowych. Kto zechce skorzystać z tego udogodnienia, będzie się musiał poddać kontroli specjalnej dla zabezpieczenia się od ryzyka. Przedsiębiorstwa akcyjne, zasilane kredytem, obowiązkowo będą musiały dopuszczać do składu swej administracji—członka ze strony rządu. Przedsiębiorstwa drobniejsze lub należące do osób pojedynczych będą podlegały kontroli inspektora, który ma prawo przeglądać księgi handlowe. Oto i wszystko, co dotychczas wiemy w głównych zarysach o nowej organizacji kredytu w niedalekiej przyszłości.

W chwili gdy panują zima i śloty, gdy krótkie dni w półmroku przechodzą, a natura oschła i najuboższa nie może nęcić największych nawet swych miłośników, w chwili takiej ci, którym nie wystarcza proza życiowa i szare drobiazgi spraw codziennych, niech częściej odwiedzają przybytki sztuk pięknych, niech zajrzą do salonu artystycznego, gdzie urządzono wystawę prac po nieodżałowanej pamięci przedwcześnie zmarłym znakomitym ilustratorze—Andriolli. Tam się odzwierciedla cząstka jego duszy i uplastycznia się talent, połączony z nadzwyczajną energią i pracowitością niezmierną. Przeszło ośmset rysunków i kartonów unaoczniają ten ogrom pracy; a przecież nie wszystkie dało się zebrać. Wiele z nich utonęło w ilustracjach zagranicznych. Słyszeliśmy o zamiarze wydania albumu, złożonego z najcelniejszych prac artysty. Była-by to piękna i cenna pamiątka. Andriolli, przez całe życie ruchliwy i szczerze odczuwający potrzeby społeczne, marzył zawsze o zmniejszeniu charactwa wśród społeczeństwa naszego i w tym celu, chcąc się nieco przysłużyć, zamierzał w swojej siedzibie — Brzegach nad Świdrem, urządzać sanatorium dla ludzi nerwowych i wyczerpanych. Myśl ta nie była przelotną, skoro ją zaznaczył w testamencie. Doktor Henryk Dobrzycki, przyjaciel zmarłego, jest wybrany na rzeczoznawcę w tej sprawie. Tym sposobem, jeżeli projekt przyjdzie do skutku, będzie on najtrwalszym i najpiękniejszym pomnikiem dla naszego ilustratora.

Jeszcześmy się nie oswoili z dotkliwą stratą, pomimo, że choroba Andriollego przez długi czas nie budziła nadziei wyzdrowienia, gdy naraz spadła niespodziana wieść z Krakowa o zgonie największego

w obecnej dobie u nas olbrzyma w dziedzinie malarstwa — Jana Matejki. Śmierć go zabrała w dniu 3 b. m. Ocena działalności artystycznej tego mistrza nie do nas należy. Ze względu na ogrom i doniosłość jego prac, wymaga to osobnej obszernej rozprawy. Ojciec zmarłego, Franciszek Ksawery, muzyk, Czech z urodzenia, przybył do Krakowa i tam się ożenił z Karoliną z Rozbergów. Jan Aloizy Matejko przyszedł na świat 30 lipca 1838 roku. Kształcił się w miejscowym gimnazjum św. Anny, od dzieciństwa zaś mając silny pociąg do dziedziny artystycznej, w 14-ym roku życia wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Jeszcze jako uczeń, pod kierunkiem Stattlera, stworzył dwa obrazy: „Starowolski, napominający Karola Gustawa” i — „Zygmunt I, nadający szlachectwo profesorom Akademii.” Otrzymał stypendyum pod koniec r. 1857, Matejko wstąpił do Akademii w Monachium, prowadzonej przez Pilotego. Tam nasz znakomity artysta dostał medal akademicki za studium głowy i medal brązowy za obraz „Otrucie Bony”; po roku zaś studyów powrócił do Krakowa. Dla zaokrąglenia nauki kształcił się jeszcze przez dwa miesiące u Rubena w Akademii wiedeńskiej. Po namalowaniu obrazu p. t. „Jan Kazimierz na Bielanach”, zyskał środki materyalne na założenie własnej pracowni w mieście rodzinnem r. 1860 i już się poświęcił z całym zapalem twórczości. Stamtąd wkrótce wyszły: „Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki”, „Stańczyk” i „Kazanie Skargi”, dzieła, które naszemu mistrzowi zjednały sławę europejską. Za ostatni obraz wystawa paryska r. 1865 nagrodziła go medalem złotym. Ile potem miał dowodów uznania i hołdów, zarówno od swoich, jak i obcych, — trudno byłoby zliczyć. Między innymi oznakami zaszczytów, otrzymał zaproszenie na dyrektora Akademii sztuk pięknych w Pradze. Nie skusiło go to wszakże; wolał pozostać w mieście rodzinnem, gdzie od r. 1873 został dyrektorem szkoły sztuk pięknych. Zbytecznym było-by wliczać tu jego arcydzieła. Warszawa żywo ma w pamięci jego „Bitwę pod Grönwaldem”, „Hołd pruski”, „Rzeczpospolitą babińską” i t. d. W malarstwie historycznym pozostaje luka, której wyrównania obyśmy się kiedyś doczekali. Tej miary jednak mistrze nie rodzą się parę razy na stulecie.

W ostatnich dniach października zgasł w Warszawie Tymoteusz Rodziszewski, pedagog i autor w dziedzinie literatury dziecięcej. Ur. r. 1812, uprawiał najpierw zawód nauczycielski, jako guwerner prywatny, potem między r. 1835—1847 jako profesor szkół rządowych, wreszcie został przełożonym zakładu „moralnej poprawy” w Warszawie, następnie w Królikarni i Mokotowie. Od r. 1873 usunął się od pracy pedagogicznej. Utwory jego cieszą się dotychczas powodzeniem wśród

dziatwy. Ważniejsze z tych prac: „Bajek i powiastek 60” (trzy wydania), „Nowe powiastki” (dwa wydania), „Życiorys Stanisława Jachowicza”, „Modlitewki dla dzieci”, „Zabawka moralna”, „Pani Dulka”, „Trzy kotki”, „Arytmetyczka dla dzieci”, „Zwierzęta.”

Wkrótce po Rodziszewskim zeszedł do grobu Aleksander Mesyng. Należał on do tak zwanych „sił użytecznych” w dziennikarstwie, utonął w niem zupełnie. Zasiłał pisma humorystyczne wesołemi wierszami, stworzył parę nowelek. Po-za tem nie wychodził z deptaka spraw drobnych bieżących. Pochłaniał go głównie „Kuryer Codzienny.” Zmarł w 42 roku życia.

Wiadomości bibliograficzne.

— Na odbytem w dniu 26-yim października r. b. posiedzeniu Komisji historii sztuki w krakowskiej Akademii Umiejętności, przewodniczący, dr Maryan Sokołowski, zawiadomił o rozpoczęciu druku wydawnictwa „Materyałów do dziejów sztuki i kultury w Polsce,“ jak niemniej o znalezieniu przez d-ra Korzeniowskiego nieznanego dotąd łacińskiego modlitewnika króla Władysława Warneńczyka w bibliotece oksfordzkiej.

Modlitewnik ten ozdobiony jest portretem i herbem króla i razem z innymi modlitewnikami będzie wydany przez Komisję kosztemfunduszu, udzielonego przez hr. Konstantego Przeździeckiego.

Prof. Sokołowski zdał następnie sprawę z dwu publikacji zagranicznych, t. j. z odczytu p. Neuwirtha, prof. historii sztuki w Pradze, wygłoszonego na zjeździe tegorocznym historyków sztuki w Norymberdze p. t. „Das mittelalterliche Krakau und seine Beziehungen zur deutschen Kunst“—i z książki p. t. „Geschichte der Kunst im Gebiete des Herzogthums Posen,“ napisanej przez p. Hermana Ehrenberga, archiwistę w Królewcu. Książka ta opiera się w najznacniejszej części na pracach Komisji i mieści wiele szczegółów i dokumentów bardzo interesujących a dotąd nieznanych.

Prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę Komisji na pracę architekta w Warszawie p. Dziekońskiego „O kościele parafialnym w Będkowie.“

Nadto prof. Łuszczkiewicz, zestawiając stopki ludzkie, wyrzeźbione na ścianie oraz na drzwiach kaplicy z drugiej połowy XVII-go

wieku, mieszczącej cudowny obraz Matki Bożej w Myślenicach i opatrzone słowami: „Jezus“ „Maria,“ oraz napisem: „czcijmy ten ślad,“ ze znaną stopką na kaplicy przy kościele na Piasku w Krakowie, którą również odnieść trzeba do czasu wzniesienia kaplicy w końcu XVII-go wieku, zaznaczył, że wiele kamieni z wyrzeźbioną na nich stopką ludzką w kraju naszym zawdzięcza powstanie swoje obyczajowi religijnemu, rozpowszechnionemu w Polsce po wojnach szwedzkich, i wiąże się z kaplicami Matki Bożej, a nie sięga wcale odległej starożytności, jak utrzymywali niektórzy badacze.

— „W sprawie dat zabytków architektury w Polsce epoki stylu przechodniego w Renesans.“

Prof. Władysław Łuszczkiewicz czytał w kwietniu r. b. rozprawę w Akademii Nauk w Krakowie, a następnie rzecz tęż samą w druku, w osobnej odbitce z „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ wydał. Pięć cynkotypów objaśnia wywody profesora Łuszczkiewicza, zmierzające do uzasadnienia w sposób nieomylny, bo przy pomocy dat, w kamieniu kuty, różnie ornamentyki kamieniarskiej polskiej z chwili przechodowej, o której mowa, odznaczających się zarówno od zachodniego ostrołuku, jak i od południowej włoszczyzny. Rozprawa niniejsza nie zamyka, ale raczej otwiera dochodzenia, dotyczące zagadnienia, postawionego przez prof. Łuszczkiewicza; sam autor onej dalszych dochodzeń i dalszego gromadzenia do nich materiału pragnie. Za streścić tezy, postawionej przez prof. Łuszczkiewicza, uważać-by należało zdanie, wyrażone na str. 9: „...idzie nam o stworzenie systemu chronologicznego zjawiających się stopniowo układów i form szczególnych odrzwi kamiennych i opraw okien.“ Niepotrzeba dodawać słów uznania dla trafności spostrzeżeń, dla jasno określonego celu i dobrze wytkniętej drogi; nacisk tylko położyć uważamy sobie za obowiązek na pilność, jakiejby dolożyć należało w zbieraniu, lub ostatecznym nakoniec zebraniu, materiału do rozpraw tego rodzaju. Pilnem to zbieranie jest wobec niszczących zabytków, wobec niepowrotnych i niepowetowanych uszkodzeń, jakie ciągle zabytki dawnej architektury spotykają, lub wobec zupełnego onych nieraz zgładzenia. Do tej pracy powołuje słusznie prof. Łuszczkiewicz „młodszych pracowników na polu dziejów sztuki“¹⁾.

W. G.

1) Ryciny, przytoczone w rozprawie prof. Łuszczkiewicza, przedstawiają: Portal w klasztorze Bernardynów w miasteczku Kazimierzu Biskupim w pobliżu Konina, z roku 1508; Odrzwia i okno oraz oprawę sanctuarium w kościele wsi Chlewiska w Sandomierskiem r. 1511 i 1512; Odrzwia w katedrze we Włocławku, prowadzące do kapitułarza z r. 1527.

— *Bernard Perez*. „Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego.“ Przełożył R. D. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1894.

Książka ta zawiera dość obfity materiał do psychologii charakterów, pożyteczny dla wychowawców. Z początku autor wskazuje czynniki, z którymi trzeba się liczyć przy badaniu osobowości moralnej, dalej charakteryzuje zmiany, wywołane w najważniejszych objawach uczucia, umysłu i woli. W tym celu naszkicował kilka znamienych postaci, które służą za uplastycznienie wykładu. Przedstawivszy ogólną klasyfikację charakterów, autor w następnym rozdziale rozpatruje osobno: Charaktery żywe, żywo-namiętne, namiętne, powolne, powolno-namiętne, zrównoważone. Każdy z tych odcieni poparty jest odpowiednim przykładem, sylwetką psychologiczną człowieka. W dalszym ciągu znajdujemy wykład stosunku wesołości i smutku do innych głównych rysów charakteru, wzruszeniowych, umysłowych i chceniowych; stosunku odwagi i bojaźni do dobroci i nieżyczliwości, oraz do głównych rysów charakteru—umysłowych i chceniowych; stosunku przychylności i nieżyczliwości do głównych postaci miłości własnej i do głównych rysów umysłu i woli w charakterze. Wreszcie znajdujemy rozbiór stosunku głównych postaci miłości własnej do zasadniczych rysów umysłu i woli w charakterze i—stosunku woli do głównych umysłowych rysów charakteru, w końcu wzajemne stosunki umysłowych rysów charakteru. Autor zachował pewną ostrożność w traktowaniu stosunku płci oraz zdrowia do charakteru. „Z jednej strony wydaje mi się, iż wpływy tych czynników zostały przesadzone przez wielu pisarzy, zadawalniających się twierdzeniem bez dowodów; z drugiej zaś psychologia ogólna co do tych dwu drażliwych przedmiotów przedstawia jeszcze tylko hipotezy, oraz dane nieokreślone, że nie powiem dowolne i wpływające z uczucia.“ We wskazówkach ogólnych Perez tak mówi: „Fizyologowie nasi, badacze hypnotyzmu, którzy sądzili, że mogą w danym osobniku tworzyć według swej woli nowe osobowości, sami również wzięli na siebie obowiązek rozproszenia pojęć, które, dzięki im, się zrodziły. Przeistaczali oni jakąkolwiek osobę w Harpagona, w Napoleona, w mężczyznę, kobietę, dziecko, starca, w osobę rozsądną i wykształconą, lub w nieokrzesaną i ciemną, zmuszali ją do mówienia i pisania zgodnie ze swą wolą; osoba jednak rzeczywista głucho protestowała przeciw narzuconej. Własna jej rzeczywistość ujawniała się w należących do niej rysach. Tak tedy, jak niejeden nawet hypnotyzer wyznaje, przy poddawaniu myśli wszystko się sprowadza, zarówno w stanie uśpienia, jak i w stanie przytomnym, do zmian, nie będących nigdy bezwzględniemi i zupełniemi, do prostych modyfikacji, przewidzianych z góry przez organizację osobniczą, możliwych i prawdopodobnych w pewnych warunkach i w pewnej odpowiedniej postaci.

Może zuiknąć i zatrzeć się osobowość świadoma, ale nie osobowość głęboka i organiczna.“ Właściwości umysłowe, tudzież wszelkie inne, które zaznaczyliśmy w szeregu klasyfikacji charakterów, rozpatrywanych przez autora, obracają się w sferze bardzo szerokiej. Zasadnicze ich pierwiastki—jak twierdzi Perez—są utworzone przeważnie przez naturę, czyli przez dziedziczność. „Gdy chodzi o wywołanie zmian w charakterze, to wpływy, jakie możemy sobie dla danego ustroju wyobrazić, nie zdołają zrobić nic więcej, jak tylko uczynić z niego jeden ze wzorów, zawartych w granicach jego typu.“ Jest to fakt, o którym autor radzi z góry wiedzieć każdemu, kto się zabiera w jakimkolwiek celu do poznania charakteru dziecka, lub człowieka dorosłego.

— *Roman Szreniawa*. „Wspomnienia z podróży do Australii.“ Warszawa—Gebethner i Wolff. Lwów—Jakubowski i Zadurowicz. 1893 r.

Autor, z wielką domieszką wrażeń i przygód osobistych, opisuje podróż swą do Australii; w pierwszej części wędrówkę z Marsylii do Port-Said, w drugiej—przeprawę przez kanał Saeski i morze Czerwone do Adenu, w trzeciej—wędrówkę na oceanie Indyjskim. Czwartą i piątą część, stanowiącą połowę książki, poświęca opisowi pobytu w Australii. W tych dwu rozdziałach, oprócz osobistych wrażeń, widzimy więcej spostrzeżeń i opisów, charakteryzujących, acz bardzo pobieżnie, miejscowe warunki geograficzne, przyrodnicze, społeczne, ekonomiczne i obyczajowe.

— *M. Bojasiński* (właściciel zakł. leczn. w Grodzisku). „Mleko, jako środek leczniczy. Kuracya mleczna.“ Warszawa, 1893.

Autor wykazuje wymagane własności mleka do celów dyetetycznych i leczniczych, metody stosowania mleka, użycie tego produktu w chorobach ostrych i chronicznych; nadto podaje pewne uwagi i wiadomości co do metodycznego stosowania mleka. W końcu znajdujemy szczegółowy opis kuracyi mlecznej w takich chorobach, jak: żołądka i kiszek (krwotoku żołądkowego), wątroby i dróg żółciowych (marskość wątroby zanikowa, alkoholiczna, ma się mlekiem łatwo leczyć, natomiast trudniej marskość przerostowa, z żółtaczką lub bez niej); choroby płuc (chroniczne zapalenie oskrzeli z nadmierną śluzową wydzieliną, chroniczna gruźlica płuc). W chorobach serca kuracya mleczna wytwarza odporność organizmu. Według prof. Botkina, zupełnie może być skuteczną w początkowych okresach chorób serca, przy zaburzeniach innerwacyi. W chorobach nerek mleko także oddaje wielkie usługi, jak również w chorobach pęcherza. Dalej środek powyższy autor zaleca w chorobach nerwowych (różnych stanach osłabienia ner-

wowego) i chorobach ustrojowych (moczówka cukrowa), zbytnej otyłości i krzywicy.

— *Dr M. Wołkowicz*. „O wartości leczniczej salolu w biegunce cholerycznej“ (rzecz, czytana na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego warsz.). Spostrzeżenia, zebrane w ciągu lata 1892 w Niżnym Nowogrodzie. Warszawa, 1893.

Autor teorię popiera licznymi faktami. Prawie w 200 wypadkach epidemii stosował środek, powyżej wskazany. Nieprzyjemnych objawów z powodu użycia salolu, prócz niekiedy tylko zawrotów głowy i szumu w uszach, dr Wołkowicz ani razu nie dostrzegł. Wobec tego autor uważa za całkowicie płonne obawy, co do możliwości wystąpienia objawów zatrucia karbolem, który z tego lekarstwa w kiszkacli powstaje.

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.“ następujące książki:

— *Włodzimierz Wysocki*. „Bocian,“ dwie legendy. Kijów-Odessa. 1894. Nakład Koreywy.

— *Or-ot*. „Pieśni.“ Warszawa. 1894. Nakład Teodora Paprockiego.

— *Michalina z Zaleskich hr. Stanisławowa Kossakowska*. „Poczye.“ Warszawa, 1893. Druk S. Orgelbranda Synów.

— *Karol Gide*. „Zasady ekonomii społecznej,“ z francuskiego oryginału przełożyli pod kierunkiem d-ra Juliusza Leo, St. Bartynowski, A. Krzyżanowski, J. Makarewicz i K. Midowicz. Kraków, 1893, nakład Spółki wydawniczej polskiej.

— *Dr Stefan Jentys i dr J. G. Pawlikowski*. „O potrzebie i środkach poprawy stosunków handlu nawozowego u nas“ (przedruk z „Ekonomisty polskiego“). Lwów, 1893 r.

— *Dr Ernest Bandrowski*. „Wykład chemii ogólnej.“ Część II. Chemia organiczna. Kraków, 1893, nakładem autora.

— *Adolf Suligowski*. „O konwersyi listów zastawnych ziemskich i jej znaczeniu.“ Warszawa, 1893.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.

ŹRÓDŁA

do dziejów literatury i oświaty polskiej.

VI. Wiersze zbieranej drużyny.

Między dawnymi rękopisami naszych bibliotek, zawierającymi różnaitości, „Miscelanea”, „Collectanea”, „Varia” lub „Silvae varietatum” — a rękopisy tego rodzaju przeważają liczebnie — rzadko zdarza się taki, który-by nie mieścił mniej lub więcej wierszy, pieśni, epigramów religijnych, erotycznych, satyrycznych i innych. Wiersze te, zwykle bez autora, często są bez wartości: przedrukowywać je bez wyboru, dlatego tylko, że z XVII lub XVIII wieku pochodzą, było-by stratą czasu i grzechem przeciw smakowi; ale w plewie i mierzwie znajdzie się też nieraz pełne ziarna i kłosa, które wydobyć i oczyścić warto.

I tak trafiają się wiersze, które samem nazwiskiem autora ciekawość wzbudzają, bo mogą dorzucić nowe rysy do jego charakterystyki, a w każdym razie pomnożyć spuściznę jego; należą tu wiersze Reja, Górnickiego, Trzecieckiego i innych. Niektóre znowu cenimy dla ich dawności: każdy wiersz polski z czasów przed Kochanowskim wart jest wzmianki, choćby dla wykazania lub przypomnienia, jak od dawniej rymowanej prozy różnił się jego wiersz „boski.” Dalej wiersze,

których nie zaleca ani głośne nazwisko autora, ani sędziwy wiek jego, mogą być ciekawe treścią, zająć losami ludzi, jakie opisują, światłem, które na epokę rzucają, prostotą i niewymuszonością staropolskiego toku, a choćby niezwykłością pochodzenia autora.

Na podobne wiersze trafaliśmy nieraz w ciągu naszych szperań po bibliotekach; do rzeczy, które różni w różnych czasach ogłaszali, dozbieraliśmy wiązanek sporą: wyjmujemy z niej kilka okazów, nie łączących się wzajemnie ani wiekiem, ani treścią; szeregujemy je chronologicznie, zaczynając od najdawniejszego.

1. Wiersz nagrobny Hieronimowi Łaskiemu (um. 1541).

Jeden z najgłośniejszych ludzi pierwszych dziesiątków lat szesnastego wieku na polu działalności politycznej, to najstarszy syn wojewody sieradzkiego, Jarosława Łaskiego (herbu Korab), Hieronim, również wojewoda sieradzki, brat słynnego reformatora, Jana, ojciec awanturniczego Olbrychta. Temperament jego i zdolności tak są bujne, że ze zwykłych ram polskich prawie wykraczają; cechuje go szalona energia, ambicya i rzutkość. We Włoszech byłby z niego kondotyer, zakładający siłą i przewrotnością nowe księstwa; z Portugalii lub Hiszpanii byłby wypłynął na zdobycie nowych światów; w spokojnej Polsce Zygmuntońskiej miejsca dla niego nie było. Więc, trawiony żądzą sławy, władzy, użycia i złota, poświęca się obcej sprawie, Janowi Zapolyi, królowi węgierskiemu; jako wojewoda siedmiogrodzki marzy o samoistności może, ale, uwięziony przez Zapolyę, przerzuca się na stronę jego wroga; służy habsburskiemu Ferdynandowi i zyskuje tytuł bana Kroacyi; stargawszy siły w najrozmaitszych przejściach, powraca do Polski, by niebawem, już w czterdziestym szóstym roku życia, umrzeć. Klemens Janicyusz wysławił pamięć jego w obszernej elegii, w której jego znajomości sztuki wojennej i jego wiedzy pierwszeństwo w Polsce przyznał; wódz to w przyszłej walce z Turkiem, którego tajniki znał jak nikt inny w Europie; zgładziła go też trucizna turecka. Od Łaskiego, gdy nakoniec do kraju powrócił, oczekiwano istotnie bardzo wiele; jeszcze złożony niemocą rozprawiał w gronie znajomych o Rzeczypospolitej, której chciał się teraz poświęcić, w jego też usta kładzie Frycz pierwszą swą mowę przeciw polskim ustawom o karze mężobójstwa.

O wrażeniu, jakie wywarł rychły zgon polskiego Uliksesa — nazywają go tak zarówno Janicyusz jak Frycz — świadczy wymownie, choć nieudolnie, *współczesny wiersz polski*, który niżej podajemy. Z Jaroszem (t. j. Hieronimem) Łaskim, ubyło coś więcej, niż zwykły sena-

tor; zgon jego, wobec przewidywanej grozy tureckiej, wobec odosobnienia Polski, przybiera jakby rozmiary klęski narodowej i rzewnem wezwaniem do Stwórcy: „Kiedyż nam takich mężów zabierasz, miejżeż nas sam w swej opiece” — okupuje się suchość rymowanej tej prozy.

Ku czci sławnej a szlachetnej osobie Wielmożnemu Panu Jeronimowi z Łaska, wojewodzie Sięradzkiemu niegdy będącemu.

Ach miła śmierci! cóż ci po tej srogości,
 Żeś tak barzo sroga bezcwszej litości!
 Niefolgując stanom ni żadnej zacności,
 Nad każdym chcesz użyć osobnej zwierzchności

I wszej możności.

Snać jeśli by kiedy z kresu wykroczyła,
 Sama byś zeznała, by się obaczyła:
 Rozważywszy czasy śnać by się żaliła,
 Żeś z acną osobę tak marnie straciła:

Żleś uczyniła.

Puść jeno wolno między ludzic uszy:
 Któregoż stanu ta krzywda nieruszy?
 Iuż sobie każdy nie tak dobrze tuszy,
 Gdyś nie folgowała tak szlachetnej duszy:

Serce się kruszy.

Bo żadna srogość tak można nie była,
 By gdy Łaskiemu co w czem przekazała,
 A śnać i tyś go z tyłu poraziła,
 Bo w oczy, ledwie byś się o je wzkusiła:

Iścieś zdradziła.

Wielcy stanowie o to się starali,
 By jedno byli tę osobę znali:
 Jedni z miłości a drudzy się bali,
 A jednak wszytscy z nim o przyjaźń stali:

Każdy to chwali.

Wiele ta łodzic po świecie pływala
 A sam to Bóg wie, kędy niobywała.
 Już teraz marnie na suszy została
 I wszelkie żagle swoje połamała,

Gdy tak śmierć chciała.

Mogą na to pewnie narzekać Polacy,
 Uhrzy, Czechowie, pewnie i Ślęzacy:

Stracili piękny klejnot nieboracy!
Lecz to już próżno, gdy tak Pan Bóg raczy:

Każdy to baczy.

Bo snać każdego, cnoty wystawować
A gdzie prawdy sława stała, pochlebować.
I Bóg się pożali, że umarła ta mać,
Która nam mogła takie syny dawać:

Boże jej zapłać!

Ach miły Jaroszu! i cóż ci się stało:
Skrzyżwży świat wkoło i morza nie mało,
Żeś w niebie niebył, małoć się to zdało.
Posłałeś duszę; acz zostało ciało,

Nam na tem mało.

Mógłby się każdy karać tą przygodą,
Bo iście żaden ni zwie, gdy ji zbodą.
Acz ten był zacnym polskim wojewodą,
Nie pomógł sobie męstwem i urodą:

Przedsię ji wiodą.

Wiele ten ludzi gromił na wsze strony
A teraz marnie leży porażony.
Nie potkawszy się stał się strwożony,
Odbieżał państwa, dzieci, milej żony

W dalekie strony.

A iście każdy mógłby ztąd przykład brać:
Więcej się w cnotach niż w możności kochać.
Bo acz ten umarł, przedsię ji będzie znać;
Jego sława snać musi długo trwać:

Każdy może znać.

Acz trudno Boga w Jego sprawach winić —
Boć snać nie umie nigdy nic źle czynić —
Już niechaj raczy tam sobie tego mieć
A nas tu drugich jednak nie zapomnieć;

Tak by miało być!

Bo nasz miły Panie! myć tu tak slychamy,
Iż tam w niebie pokój a tu kłopot mamy:
A wždy nam bierzesz potrzebniejsze stany —
Niech że Cię samego za hotmana mamy!

Tak ci wygramy.

Bo tak się serce sprzeciwnikom skruszy,
Gdy Ty nakłonisz k nam łaskawe uszy,
Zwłaszcza gdy już nam nikt dobrze nie tuszy;
Niechże Cię wždy Twa własna krzywda ruszy.

Takci przy słuszy!

W piętnastu tych strofach, zbudowanych na podobieństwo safickiej, w wierszach dwunasto- przeważnie jedenastozgłoskowych, wiązanych jednym, arcystarym rymem, przypominają się pojedyncze zwroty i myśli samego Reja, któremu może nawet wiersz ten przypisać wypada. Cóż naturalniejszego jak żeby Rej, który później innym Łaskim prace oddawał — naprzykład Olbrychtowi drugą Księgę Żywota człowieka poczciwego — najznamienitszemu z rodziny wiersz nagrobny poświęcił. Wiersz przedrukowaliśmy, zmieniając tylko pisownię i poprawiając kilka usterek późniejszego nieco odpisu; wyjęliśmy go z rękopisu Cesarskiej Biblioteki publicznej w Petersburgu (sygn. „Łacińskie XVII”, octavo, № 18), na który uwagę badaczy osobno zwracamy. Jest to książka, założona w 1541 r. dla wpisywania rozmaitych rzeczy („Regestrum”); wiele w niej jest teologicznych, w duchu czasu; kilka wierszy średniowiecznych, treści moralnej i satyrycznej; wiersze Janicyusza, między nimi i dyalog o odmienności stroju polskiego, znany dotąd tylko z wydania r. 1563, Stańczyk rozmowy nazwany tu Stancius; inne wiersze łacińskie; wreszcie dwa nieznane dotąd paszkwile łacińskie; rozmowa między Nemo, Pasquinus a Echo, przeciw Bonie i Zygmuntom zwrócona, z których jeden jeszcze dziecko, drugi już dziecienniak, ale należy go szanować, przecież on tyle lat sławnie królował (regnavit) a raczej *królowował* (reginavit). Drugi, obszerniejszy nieco, dyalog o wtórych ślubach Zygmunta Augusta, napisany r. 1548 przez A. T. t. j. Jędrzeja Trzecieckiego młodszego, i zwrócony ku biskupowi krakowskiemu, Maciejowskiemu, by mu okazać, jakie jest o nim mniemanie publiczne; napada na Bonę, niestosowne wychowanie króla, któremu tylko schlebiano, mówiono o kobietach, czytano rzeczy gorszące; ślubami temi Barbara cześć odzyskała a Polska straciła. Dyalog napada na otoczenie i pomocników króla, na Radziwiłłów, których świeży herb niemiecki ironicznie symbolizuje (orzeł jak Ganimeda i t. d.), na Tarnowskiego i biskupa, których pieniądze i obietnice zmogły. Po dwóch łacińskich wierszach na Łaskiego następuje ów polski, na karcie 170 i 171.

2. Żywot ziemiański.

Zwykła to nuta szlacheckiej poezji polskiej, wychwalanie skromnego żywota na wsi, wolnego od trosk dworszczyzny, oddanego rodzinie, gospodarstwu, rozrywce myśliwczej; głosili ją prócz Kochanowskiego Andrzej Zbylitowski w „Żywocie szlacheica na wsi” (r. 1597) i „Wiesniaku” (r. 1600), Hieronim Morsztyn w kilku wierszach i inni; w prozie Rej. Przed nimi wszystkimi poświęcił temuż tematowi osobną

„pieśń” nieznany nam autor, człowiek młody, któremu opisane uciechy „wsi spokojnej, wsi wesołej” tak przypadły do smaku, że w końcu pieśni rad-by się nad tem zamyslił, jakby to samemu podobnego losu dostąpić. W siedmnastu czterowierszowych zwrotkach kreśli zajęcia i zabawy gospodarskie wedle pór roku; tęskni za niemi, on sam bowiem liczy się może do tych, którzy muszą czekać tego, co mają mieć z wysługi, a patrzeć na tych, co są ludziom hardzi, których trąba i poseł budzą, którzy się dowoli ani nie wyśpią, ani nie najedzą. Innych wskazówek co do osoby autora nie mamy; wiersz jego, najdawniejszą siełankę polską, znaleźliśmy w rękopisie smoguleckim, pisanym między 1550 a 1560 rokiem; podarował go był r. 1730 kasztelan Sapieha Załuskiemu; dziś znajduje się w Cesarskiej Bibliotece publicznej (sygn. „Różne języki”, XVII, folio № 21). Zawiera znowu rzeczy teologiczne, wypisy protestanta, mowy i paszkwile z lat 1547 i następnych, np. znaną „rzeczą pana Podlódowskiego Lupy”, witanie króla przez pana Sirakowskiego, mowy Jędrzeja z Górki, Filipa Padniewskiego, Jana Zaleskiego, mowę Stanisława Orzechowskiego o powtórnych ślubach króla ku Wielkopolanom, tegoż „Fidelis subditus”, mowy króla i inne; dwie pieśni religijne i naszą pieśń; koniec rękopisu zajmują wypisy „rzeczy dziwnych a mało przygadzałych”, dalej geograficzne, wojskowe, szczególnie tyjące „sposobu a ordunku cesarza tureckiego dworu”, powtarzające się w pismach Stanisława Łaskiego; nakoniec gospodarskie i lekarskie; na ostatniej karcie wpisała ręka młodsza kilka dat familijnych z r. 1562.

P i e ś Ń.

Spokojny kąt komu Bóg dał i myśl spokojną,
Ma więcej, aniż ktoby wziął świat ręką zbrojną;
Bo on na tem, co już ma, dziękując przestawa
A temu, w kim jest cheiwość, zawżdy niedostawa.

Piękny ano wiek stary, gdzie dwie jarzmie wołów
Dawały wszytkę żywność bez przyprawnych stołów;
Sprawy trudne na stronie, kłopoty i długi;
Nie czekał w on czas żaden, co miał mieć z wysługi.

I tak widzę, kto teraz mieszka swój wiek doma,
Chocia i w tem pałacu, gdzie na wierzchu słoma,
Ujdzie wiele frasunków, wiele rzeczy wzgardzi,
Może na tych niepatrzyć, co są ludziom hardzi.

Nie przebudzi go trąba, ani poseł skory,
 Czego ci nie mogą ujść, co się bawią dwory;
 Wstaje jako rano chce i je to co raczy
 A wyszedszy na pole frasunków zabaczy.

Czasu wiosny w oborze liczy co przybyło,
 A patrząc na ozimie, rad iż już ożyło;
 Wnet na jarz orać każe a sad szczepi w sadu
 A sprawiwszy to z chucią idzie do obiadu.

Lecie patrza swej pracy, jako się zdarzyła;
 Prosi Boga, aby się dobrze dokończyła:
 Jedni koszą, drudzy żną, trzeci w kopy kładą,
 A gdy się to dokończy, bawi się biesiadą.

Wtenczas też wolno bywa siedzieć kędy w cieniu
 Abo chodzić nad rzeką a w lekkim odzieniu,
 Patrząc na własne bydło, które chodzi rycząc
 A jestli wszystko spełna, cicho sobie licząc.

Wtem przyjdzie jesień: wdzięczny dają owoc sady,
 Gruszek, jabłek, śliw, brzeskiń, czemu dzieci rady.
 Wszystko to miło bywa urwać własną ręką,
 Gruszkę żółtą jako wosk i tam ją zjeść z dzięką.

Zaś znowu orać przyjdzie dla przyszłego roku.
 I na to miło patrzeć porządnemu oku;
 Zaorawszy z sąsiadem zażyć swego chleba
 A przytem zjeść to, czego kupić nie potrzeba.

A to jedząc podwieczor, tedy się ucieszy,
 Kiedy owca i krowa do domu się śpieszy,
 Niosąc to z sobą, co nam wdzięczny pokarm dawa:
 Błogosławiony to dom, gdzie tego dostawa.

Z drugiej strony zaś woły idą już zrobiwszy
 A pług za sobą wlekąc, lemiesz wywróciwszy.
 Noc w tem ciemna nadchodzi a gore w kominie
 A każe słodko usnąć on szum, co we mfyńie.

Nastanie zima zasię, i ta się przygodzi,
 Bo się to przykre zimno myśliwstwem nadgrodzi.
 Gdy psy gonią, co może wtenczas być milszego,
 Nie ucieszy tak żaden muzyk troskliwego.

A kto psów ma nie wiele, ten zakłada siatki
 A takiemu uciecze liszka, zajęc rzadki;
 Abo na kuropatwy idzie sobie z sakiem,
 Abo jeżeli ma powłok, tedy niczle z ptakiem.

Ktemu komu to Bóg dał, iż ma z wstydem żonę,
 Która na to pieczę ma, by nieszło na stronę,
 A dziatki piękne rodzi, z dusze go miłując,
 A kiedy on na polu, przeń wszystko gotując:

Z taką, jeżeli mało wziął albo też nic złota,
 Tedy go to bogaci rodziców jej enota;
 To ktemu, iż niebędzie chciała mężem rządzić
 Ani od przystojenstwa do śmierci zabłądzić.

Z tą na poły rozdzieli smutek i wesele
 A szczęśliwszy jest niż ten, co wziął z żoną wiele;
 Patrzac na swe dziateczki, serce się w nim śmieje
 A iż go w nich pocieszy Bóg, jest tej nadzieje.

Już mu niedaj bażanta, zórawia ni dropu,
 Bo on z żoną smaczniej zje domowego skopu.
 Niech co kto chce obiera, jabym przestał na tem
 A jakoby ktemu przyć, chce pomyślić zatem.

Charakterystyczną jest obawa, że żona bogata będzie przewodziła nad mężem: przed rzedziochami albo rzedzichami takimi wiek XVI bardzo przestrzegał—również i to, że taka łatwiej „z przystojenstwa” wykroczy i świata zażyć zechce.

Wobec dytyrambów na życie wiejskie, nie zawadzi wspomnieć i o odwrotnem, o narzekaniu na kłopoty gospodarskie i niewygody ziemiańskie. Znamy otóż nieco późniejsze wiersze, wywody młodego człowieka, który, utraciwszy ojcowską wioskę w gronie dobrych towarzyszy, pociesza się tem, że zamienił wreszcie wieś na ulubiony Kraków. Niestety, uciecha nie szczerą przypomina sąd liszki o winogronach. Rękopis, zatytułowany „Nihil et omnia” (nic i wszystko), Cesarskiej Biblioteki publicznej (sygn. „Różne języki” XVIII, folio № 21) opisujemy innym razem obszerniej; nadmieniamy tylko, że, pochodząc z pierwszej połowy XVII wieku, zawiera wiele rzeczy wcześniejszych. Czytamy tam na k. 192 (wiersza nie przytaczamy całego, tylko w ustępach):

Lament jednego, który wszystko potracił.

Prawdę tu o mnie mówią te wierszyki w kole,
 Że to wszystko co widzisz przedemną na stole ¹⁾
 Poczęści jest przyczyną upadku mojego;
 Ja powiadam, że ktemu jest i co innego.
 A chcesz wiedzieć, co mnie to nabawiło troski
 I dlaczegom ja wypadł z połowice wioski:
 Poddani nieżyczliwi, czeladź niecotliwa
 O to mię przyprawiła. To jest prawda żywa.
 Ktemu też był przyglinek miejscy w gruncie moim

i inne podobne przyczyny: spieka, którą się pod czas żniw cierpiało — nie tak jak w Krakowie, gdzie chłódek zawsze znajdziesz; błoto bezdenne, kiedy po brukowanym Krakowie z kamyka na kamyk stąpasz; brak porady, której w Krakowie zawsze dostanie, tak samo jak uczt gotowych, łatwych zalotów, dobrego piwa, świeżego mięsa, o co wszystko na wsi trudno. Dalej wypłoszyły mię ze wsi obawa gradu, to znowu posuchy, ciągły ryk bydła: inna muzyka w kochanym Krakowie, gdzie dzwony tylko słyhać, mogę być każdej chwili w kościele i doktora mieć na zawołanie, a na wsi umrzesz raczej, niż się go doczekasz.

Już koniec. Chociam ci tu naśmieszył uszy,
 Ale przecie skryty mól kości we mnie suszy;

zawsze żaluję za tem, com stracił, nie tak przez hulanie, jak przez uczynność:

Za kilkum się zapisał, za niem potym płacił,

i tak stracił ojcowskie mienie; czyni więc każdy mądrze, kto nie chcesz jak ja cudzych kątów wycierać.

Gdybym ludzkiej miłości niemiał z Bożej łaski,
 Nie rychło bym się zdobył zmyślać takie fraszki,
 Bo by mi we łbie było jako i w browarze.
 Przetobym rzekł każdemu: niechaj się mną karze!

W związku z tym wierszem następują inne, na gospodarstwo domowe:

¹⁾ Pewnie kufel i kostki.

Kto chce pilnie zachować majątność swą wcale,
Według swego dochodu przestawaj na małe i t. d.,

potem rozmaite przepisy, których jeśli potomkowie twoi trzymać się
będą, będą mieli szczęście zawsze i łaskę u ludzi;

Błogosławieństwem swoim Pan Bóg im to wzbudzi.

Dalej inny wiersz podobnej treści:

Kto prawdziwie dochód swój z rozchodem pobraci i t. d.,

kto pobożnie żyje:

Za każdym sława woła, iż tak chodzą moi.

Wreszcie wiersze na temat „Sumptus censum ne superet” (porównaj niżej), „Gospodarz” i „Do Gościa.” Z tego samego rękopisu (K. 286) wydaliśmy wiersz „Opisanie przechernej i sztucznej natury chłopskiej” w „Bibliotece”, 1893, Luty, str. 260.

3. Z „Rejestru” Jana Osmólskiego.

Jan z Pobiednik Osmólski, herbu Bończa, z domu „w Lubelskiej ziemi starodawnego i znacznego”, jeden z wybitniejszych akatolików, senior dystryktu Lubelskiego, ożeniony z Anną z Czyżowa, którą później o niewiarę małżeńską posądzał, jak opowiada Paprocki („Herby” str. 477), „wziąwszy sobie za krzywdę, że mu kwoli króla nieobrano”, wyjechał z Polski, wiele pieniędzy z sobą wywiózł do Niemiec, „więcej aniż przez osiemdziesiąt tysięcy talerów gotowych i tamże zostały.” Pamiętano o tem w Polsce długo; jeszcze Maciej Dargocki w piemku „Przestroga o tytułach i dignitarstwach cudzoziemskich w polskim królestwie” (r. 1634) między pięćdziesięciu argumentami przeciw dopuszczaniu obcych tytułów wyraża w dziewiętnastym: tytuły zmieniają nam myśli a potem zmieniny ziemię, „jako Osmólski do Norymbergu na lepszy rząd albo i jako Ferensbach do Niemiec lepszego szczęścia szukać jachał.” Ale to dzieje późniejsze nieco; jakiego on w drugiej połowie stulecia zażywał znaczenia, dowodzą i wiersze o nim Reja w „Zwierzyńcu”:

Chociać to czarny Greczek, lecz nie barzo brudzi,
Bo na swych cnych postępkoch podobien do ludzi.
A kiedy głębiej dojrzysz pocziwych cnót jego,
Najdziesz więcej białego zawždy niż czarnego.

Więc prawie i po siersci idzie niedźwiedziego,
 Bo ten, kto mu da pokój, minie też każdego,
 Ale gdy mu w nos dmuchnie, barzo więc rad draśnie.
 I przed tym, wierz mi, równy, kiedy mu krzyw, wrzaśnie.

Smagły więc Osmólski uchybić sobie nie dał — dowiódł tego wyjazdem z Polski, może i traktowaniem żony; — nas on zajmuje tem, że jako prawy syn polerownego wieku, krom polemiki teologicznej, lubił literaturę nadobną i trafnie ją cenił. I tak kazał w swój Rejestr, w księgę, którą r. 1562 założył, wpisać obie książki łacińskich elegii Jana Kochanowskiego i przechował nam takim sposobem pierwotną ich redakcyę, znacznie odmienną od drukowanej w r. 1584; dalej kilka polskich tegoż utworów, między niemi ów hymn poważny i rzewny „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary”; polskie wiersze Trzecieckiego i innych, z których tu trzy wybieramy; z tekstu elegii Kochanowskiego korzystaliśmy dawniej na innem miejscu i tam umieszciliśmy obszerniejszy rozbiór treści rękopisu.

Na ogródek Jana Osmólskiego.

W ogródek piękne ziola a woniące sadzą,
 Które jako zakwitną, cudną wonią dadzą;
 Gęsto wodą skrapiają, aby rychło rosły,
 Aby z nich wonne kwiatki co rychlej wyrosły.

Pokrzywy, rdest a szalej plewac wyrrywają;
 Insze zielsko niedobre ztamtąd wymiatają.
 Które nacudniej kwitnie, zapach cudny dawa,
 Około tego pilność więtsza się tam stawa.

Aby go mróz nie zraził, pilno przykrywają;
 Aby się rozmnożyło, nasienie chowają.
 Pan Bóg też jako ogród wielki ten świat stworzył
 A w nim sobie wdzięczny szczep, człowieka położył.

Jestliż cnotą zakwita a wonność podawa
 Wdzięczną Panu spraw swoich, na takiego pada
 Hojna rosa dóbr Pańskich, takiemu On szczęści,
 Rozmnoży go i w domu, w potomstwie, w możności.

Wszytek rdest i pokrzywę, co mu jedno wadzi,
 Wyrwie Pan przed nim wszystko a wszystko wygładzi;
 Błogosławieństwo Pańskie w domu jego stanie,
 Tak że się go czwartemu wnukowi dostanie.

Widocznie błogosławieństwa nie było, ród wymarł na obczyźnie, nie doczekawszy się i wnuków. Pietystyczny nastrój wiersza zdradza autora protestanta, ale owe „Jana O.” w nagłówku rękopisu łączymy z tytułem „Ogródek”, nie uważamy więc „Jana O.” za autora wiersza. Po „Ogródku” następuje inny wiersz, skierowany przeciw zadawnionej wadzie polskiej, rozrzutności; tytuł jego łaciński: „Sumptus censum ne superet” przetłumaczony w pierwszym wierszu:

Niechaj wydatek czynszu nie przenosi,
Owszem, a mieszkanka niech po kęs prosi.
Tak będziemy mieli zawsze co wydawać,
Niebędziemy ludźmi nabywając matać;
Łacwie nam będzie przyjaciołom służyć,
Nieprzyjaciela też z dostatkim użyć.
A jako mówią, że dostatek statek
Czyni, tak zasię ubóstwo niestatek.

Po tłumaczeniu psalmu 66 przez Andrzeja Trzecieckiego następuje nowy wiersz polski, bez tytułu, o troskach i odmienności świata tego:

Kto dobrze widzi
Ten z tego szydzi,
 Czemu się ludzie dziwią.
Ci co już w niebie,
Wstydną się siebie
 Bo ten błąd dopiero czują.
Świat — jedno śmieci,
A my jako dzieci,
 Bośmy na czaczko łakomi —
 Śmierć wszystko połomi.
Sławy ten pragnie,
Nie zawždy padnie,
 By ją miał, choć ją zasłuży.
Drugi chce władać,
Wysoko siadać,
 By tego z kłopotem użył.
Ten chce księgi nosić,
Ma frasunku dosyć,
 Bo gdy co źle, to go boli —
 Chce mieć świat powoli.
Majętność drugi
Chce mieć z wysługi,
 By miał czem pomóc starości.

Wszytek czas w głodzie
 A nie w swobodzie
 Marnie strawi w swej skąpości.
 W głowie postanowi,
 Co ma być synowi,
 A Bóg, iż tego nie lubi,
 Syna ze wszystkim zgubi.
 Więc k temu powie,
 Że zgubił zdrowie,
 Jeść dosyć a nie masz chuci.
 Temu jeść namieni,
 Kąsałby kamieni,
 Weźmiż co drugi zarzuci.
 Mała różność między temi,
 Wszystko tak na ziemi:
 I ten co ma wszystko szcudrze,
 Nie wszystko tam dobrze.
 Tak w każdym stanie
 Przypada tanie
 Frasunk, kłopot, bojaźń, nędza.
 Nikt taki nie był,
 Ktoby dobrze żył,
 Bo ten świat jest dziwną nędzą.
 Niechce Bóg wczasu na świecie,
 Przeto się tak plecie;
 Gwałtem nas z błota dobywa
 A do siebie wzywa.

Myłki przepisu poprawiliśmy w kilku miejscach; wiersz mógłby być Trzecieckiego, bo następuje po jego psalmie. Rzeczy nie rozstrzygamy, w każdym razie wydane właśnie trzy wiersze nie później powstały, jak w r. 1562.

4. Wierszyki Łukasza Górnickiego.

Księga chamów („liber plebeianorum”), zbiór wszystkich skandalów i plotek z czasów Zygmunta III, ciekawy bardzo i wart przedruku, zaznacza wyraźnie, że dom Osmólskich wygasł do szczętu, że kto się tak pisze, podszywa się chyba pod obce nazwisko; wylicza też przykłady. Otóż właśnie w rękopisie jakiegoś Ludwika Osmólskiego z końca XVII wieku znaleźliśmy ciekawe wierszyki. Założył był ów

Osmólski księgę swą w Warszawie r. 1696 i nazwał ją „Collectanea albo zbieranina różnych transakcyj”; wpisywał w nią do r. 1702 pobożne wiersze marszałka Lubomirskiego i innych, ale najwięcej listów, mów i paszkwilów, tyczących się głównie ówczesnych zajść w Koronie, np. przeciw Sobieskim, Rozmowę wielkosobotnią jednego ziemianina z panem Tylmanem między Ujazdowem a Czerniakowem r. 1695 i in. Rękopis ten dostał się od Załuskiego do Cesarskiej Biblioteki publicznej (sygn. „Polskie XVII” kwarto № 8). Na ostatniej karcie wpisała inna, ale również stara ręka, dwa wiersze Górnickiego.

O polskich wierszach znakomitego stylisty, autora „Dworzanina”, przeróbek z Seneki i tytuł innych rzeczy, wiedzieliśmy od współczesnych. Poeta-przyjaciel, Jan Kochanowski, w elegii z r. 1568 policzył go między swych poprzedników, „on składa pieśni godne liry Orfeusza, opiewa wielkie zwycięstwo nad Niemcami (Grunwald), marsowe boje lirycznymi strofami oddając. Anonim, opisujący bezkrólewie po Zygmuncie Auguście, wymienił go z tego tytułu również: król i wielu znacznych senatorów lubili go „dla wdzięku ducha i osobliwego poloru w składaniu wierszy polskich, odzywającego się niby Pindarem” — gdyby był powiedział Anakreontem, byłby, jak zaraz zobaczymy, mniej grubo się pomylił. Starowolski nakoniec charakterystykę jego zakończył upewnieniem, że w chwilach swobodnych wiele wierszy układał.

Otóż wiersze polskie Górnickiego, jeśli pominiemy przeróbkę tragedyi, były zupełnie nieznane. Dopiero r. 1843 ogłosił Trębicki jego elegię na śmierć żony, Barbary, zmarłej w r. 1587, przeładowaną nieco reminiscencyami z „Trenów” Kochanowskiego; niedawno stwierdził Windakiewicz, że ogłoszona przez Rastawieckiego również w r. 1843 „Pieśń o pruskiej porażce” jest właśnie owym u Kochanowskiego wymienionym utworem; pieśń tę, napisaną w najdawniejszem, bo średnio-wiecznem metrum epickiem, w krótkich wierszach rymowanych, nazwalibyśmy dziś raczej balladą, tak żywo i barwnie toczy się opowiadanie. Ale poetę, a choćby tylko literata czasów Odrodzenia, bez wierszy erotycznych i wyobrazić sobie nie można; jak Janicyusz, Kochanowski, Szarzyński, hołdował więc i Górnicki takiej muzyce, a jedyne dotąd ślady tego kierunku przechowały wierszyki przy rękopisie Osmólskiego.

Że są autentyczne, dowodzi nietylko wyraźna wzmianka o autorze w nadpisie, (a około r. 1700 któżby to mógł skomponować), lecz też forma, owe krótkie wiersze rymowane, cecha starożytnej poezyi, którą Górnicki później sam zarzucił. Kopista ułożył rzecz tak, jakby miał zamiar wiele wierszy przepisać; niestety, przerwał pracę, czy że mu się nie podobały, czy że go treścią raziły. Są to bowiem zaloty do cudzej

żony, młodej, której mąż stary, nieużyty, dostał się w udziale; z całą naiwną, choć występłą otwartością szesnastego wieku godzą na skuszenie jej, któremu, wolimy przypuścić, że się oparła. Treść ta wskazuje też na czas powstania tych wierszy; pisane są dobrze przed r. 1570, bo około tego czasu ożenił się Górnicki sam, a starszy o lat trzydzieści od żony mógł się chyba zasłużonego odwetu obawiać, któremu może nawet zabiegał, jak bohater nowelli Maupassant'a (*L'inutile beauté*). Lecz oto ich brzmienie: nadmieniamy tylko, że pisane dość nieczytelnie, z błędami i brakami, które poprawiamy; jednego słowa nie odgadnęliśmy.

Łukasza Górnickiego, starosty Tykocińskiego wiersze.

Dobre mel ten twój mąż nowy
 To na ptaki łup gotowy.
 Bo przy nim łatwo przydybać,
 Szkoda tego nie używać.
 Mało widzi, wiele (?)
 A wszystko się na to bierze,
 Aby doznał cichej sprawy,
 Nie smacznej pragnie potrawy.

Idem. (Ten sam).

Ty się boisz nie wiem kogo,
 Iżci owo grozi srogo;
 Wtenczas gdy postawę stroi,
 Ciebieć się to prostak boi.
 Chociaż cię on ślubem zbłaźnił,
 Twą młodość tylko rozdraźnił.
 Nie cierp tego, co cię boli;
 Ślubiałś mu po niewoli.
 Ociec, matka gwałtem chciała,
 Abyś tego męża miała;
 Tys się też inaczej czuła;
 Ręce, nie myśl, wiąże stuła.
 A tak wolnie zażyj świata,
 Nim przydą surowe lata;
 A nie waż sobie tej wiary,
 W której winien ociec stary.

Ślavy autorskiej wiersze te Górnickiemu nie przysporzą, nowy
 rys zato dodadzą do charakterystyki pisarza i człowieka.

5. Pierwsza autorka polska i jej autobiografia wierszami.

Za pierwszą autorkę polską uchodzi dotąd zwykle Elżbieta Drużbacka, ale pominąwszy to, że już kilka rówieśniczek, acz mniej głośnych, w wierszu polskim się wprawiało — pomówimy o nich innym razem — wyprzedziła ją o całe pół wieku *Anna Stanisławska*, wojewodzianka kijowska, *primo voto* Warszycza, *secundo* Oleśnicka, *tertio* Zbąska, która nam zmienne swe losy wierszem, miejscami płaskim, miejscami rzewnym, opisała. Rękopis jej przechowuje dziś ces. biblioteka publiczna (sygn. polskie, XIV, kwarto nr 126), tytuł jego: *J(ezus) M(arya) J(ózef). Transakcya, albo opisanie całego życia jednej sieroty przez żałośne treny od tejże samej pisane r. 1685*, 254 stronic. Przedmowa do czytelnika usprawiedliwia tytuł: życie nasze pełne żalu; dajżeż się przestrzedz ode mnie, wytrwaj mężnie, jakikolwiek cię los trafi:

Jeśli zaś książka nie do gustu twego,
Ta jest jej wada, że białogłowskiego
Konceptu, a zaś sama rzecz pisana:
To niech nie będzie od ciebie czytana.

Ale autorka w swej skromności się myli, bo i jej koncept białogłowski wcale nie gorszy od współczesnych męskich, a że ona „rzecz samą,” t. j. nie jakieś wymysły romansowe, lecz żywą prawdę kreśli — toż właśnie największa zaleta tej książki. Opowiedziano tu nam dzieje Polki rozumnej, energicznej i wytrwałej, której zmienne losy i ciężkie próby przemódz i złamać nie zdołały, kobiety, należącej do wysokich warstw towarzyskich, ciekawej i z tego, że w dziejach jej przewija się wiele osób rodów starych i sławnych, z którymi rody te zawsze wygasają. Autorka nie wymienia wprawdzie w tekście Trenów nazwiska ani swego, ani niektórych innych osób, ale własne jej dopiski prozaiczne ułatwiają zrozumienie aluzji, zawartych w jej wierszach; resztę dopowiedział herbarz Niesieckiego, choć w wielu szczegółach mylny; źródła społeczne potwierdzają prawdziwość relacji. W siedmdziesięciu sześciu „trenach,” każdy o rozmaitej ilości zwrotek czterowierszowych, zawarte to opowiadanie, którego śladem idziemy, uzupełniając je z innych źródeł, wierszów samych zaś nie przytaczając; dodamy tylko na końcu dwie próby.

Michał Stanisławski, herbu Pilawa, chorąży halicki, później wojewoda kijowski, na którym ród Stanisławskich wygasł, miał z pierwszej żony, Anny Szyszkowskiej, syna i córkę Annę, naszą autorkę. Anna matkę i brata wcześniej straciła; powtórny związek ojca z Anną Potocką został bezdzietny. Oddano Annę na wychowanie do klasztoru,

gdzie się nią opiekował dziad jej po matce, Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski; tu omal nie umarła na ospę. Po ukończeniu wychowania zmusił ją ojciec, głównie zaś macocha, oddać rękę Kazimierzowi Warszyckiemu, poczwarznemu idyocie, Ezopowi, jak go stale nazywa.

Jan Kazimierz Warszycki, dziedzic na Pilicy i Ogrodzińcu, starosta ojcowski, był synem wojewody mazowieckiego, późniejszego kasztelana krakowskiego, Stanisława Warszyckiego, herbu Abdank. Ojciec, Stanisław, wierny sługa trzech Wazów, którego chorągwie pod Zbarażem i Beresteczkiem walczyły, który Jana Kazimierza u siebie podejmował, zmarły w roku 1680 w sędziwej starości, słynny był ze skrzętnego gospodarstwa, z nabożeństwa — budował kościoły i sypał jałmużny, z nienawiści ku żydom, których w swych dobrach nie cierpiał, i ku protestantom. Anna oskarżała go o skąpstwo, o nadzwyczajną porywczosć, bił księży i szlachtę, nawet posła sejmowego, który mu procesem groził, i o niesumienne względem niej postępowanie: warunków kontraktu ślubnego nie myślał wypełnić i t. p.; synek zaś jego, Kazuś, z drugiej żony, Heleny Wiszniowieckiej, istny wyrodek fizycznie i moralnie. Ciężkie było życie „Annusi“ obok męża, który i nie wiedział, co z kobietą począć; wszelkie próby okrzesańia go zawiodły; bał się tylko ojca i plag, przed którymi pod łóżko się chował. Zresztą miał wcale niebezpieczne zakusy: ciekawy widzieć, jak dusza z ciała wychodzi, wybrał na doświadczenie żonę i zaczął ją gwałtownie dusić; raz, zmókłszy, chciał baby stare przez siedmdziesięciu — innych liczb nie znał — katów palić, boć to one deszcz zczarowały; plebana i kościół chciał spalić, bo go tam pehły kasały i t. d. Że Annusia ani przesadza, ani obmawia, dowodzi, co Jan St. Jabłonowski w „Polityce włoskiej i polskiej,“ t. j. w zbiorze przysłów z objaśnieniami, pisanym r. 1715 w więzieniu w Kenigsztajnie, z tradycyi opowiadał o tym, który, sześćdziesiąt lat mając, „Kazimierkiem“ umarł: gdy się do niego król raz zwrócił z prośbą: „powiedz ojcu, niech mi pieniędzy pożyczę,“ — „a odda ty mu pierwszy dług?“ — spytał Kazimierek; na to król: „dobrze mówią, nie jesteś blaznem, nie będziesz krakowskim kasztelanem,“ a on: „to samo o tobie, królu, kiedyś przed Szwedem uciekał;“ na co król: „nie ciągnij psa za ogon, bo ukąsi,“ przysłowie, które Kazimierek nieestetycznym dodatkiem rozszerzył. W tych i innych facecycach mieszają ojca i syna, czynią kasztelanica Kazimierza kasztelanem.

Respekt przed władzą, a raczej tyranią ojcowską, nie dozwalał Annie myśleć o zmianie nieznośnego losu. Tymczasem umiera ojciec jej w obozie i zdaje czuwanie nad nią Sobieskiemu. Wiedział stary Warszycki, że śmierć ojca rozwiąże ręce Annie, kazał więc wiadomość przed nią ukrywać; wypaplał ją naturalnie Kazuś, za co go ojciec srodcze obil. Teraz pomyślała Anna o rozwodzie: uszła więc do klasztoru

w Warszawie,—było to podczas elekcji Michała,—i tu rozpoczęła proces, poparta przez Sobieskiego, przez krewnych, głównie zaś przez macochę, której łaskę okupiła największymi ustępstwami w sprawie spuścizny po ojcu. Mimo wszelkich przeszkód, jakie Warszycy stawiali, uznano nieważność małżeństwa; z oburzeniem i śmiechem opowiada Anna o rachunkach, jakie z ruchomości mężowych składać musiała, wydając jego suknie dziecięce, zardzewiałe rusznice, wszystkie podarki, między niemi klejnoty staroświeckie, które chyba kował, nie złotnik, wyrabiał. Nakoniec odzyskała wolność; do niej to odnosi się „gadka“ (zagadka) Andrzeja Morsztyna:

Pannam, bo męża nie znam, alem przecie żona,
 Bo żyje ten, któremum była poślubiona;
 Wdowam; co dziwna, że nie przy żalobie,
 Bo męża nie mam ni w trumnie, ni w grobie.
 To cud, że m prawa panna w prawdziwym małżeństwie,
 To dziwniejsza, że m wdową przy mojem panieństwie.
 Ktoby temu nie wierzył, tego będę miała
 Świadkiem, kogo dziewictwa panem będę znała.

O rękę bogatej rozwódki starało się teraz wielu, nie czekając nawet dekretu z Rzymu; najgorliwiej syn podkomorzego sędomirskiego, Oleśnicki, wdowiec. Chociaż mu Anna odmówiła, nie dał się zrazić, trafił do Jaworowa, do Sobieskiego, ujął go sobie i, ufny w jego poparcie, ponowił starania, uwieńczone nareszcie skutkiem pomyslnym, mimo intryg i plotek, jakimi związek ten rozrywano. Użyto najpewniejszego środka, obmowy; przed Anną udawano, że Oleśnicki otruł pierwszą żonę, że chory z rozwiązłego życia; przed nim, że Anna złośliwa; zachwiano też jej wiarę w niego, podczas gdy jego wzruszyć nie zdołano; dopiero macocha wyperswadowała jej nieufność. Ale zaszła inna przeszkoda: okazało się, że z powodu bliższego pokrewieństwa należało w Rzymie, prócz rozwodu, jeszcze i dyspensę wyrobić. Przez ten czas mieszkała Anna na Pradze, Oleśnicki w Warszawie, skąd ją odwiedzał, raz, gdy kra na Wiśle ruszała, z największem niebezpieczeństwem życia. Ta determinacya kochanka przyspieszyła rozwiązanie: w jakimś wiojskim kościółku okupiono nareszcie ślub, za to musiano się zadowolić skromnym obiadem u księdza, gdyż kuchnia, wysłana za nimi, drogę zmyliła.

Zaczął się najpiękniejszy okres życia dla Anny, niestety, zbyt krótki. Wnet podążył mąż, dokąd go świętsze obowiązki wołały, pod Chocim, gdzie się odznaczył, lekko raniony od uciekającego Turka, gdy koń pod nim padł; zdawał potem relacyę na sejmiku, jak czuwał nad chorągwią Ziemi Sędomirskiej. Ale boje nie ustawały; wyruszył więc

po raz wtóry w pole, gdzie go wiadomość o ciężkiej chorobie ojca doszła; wraca za pozwoleniem hetmańskim do domu i zaniemaga sam na gorączkę, którą z obozu wywiózł; mimo najtroskliwszych starań, umiera; rozpaczająca Anna ślubuje sobie wieczne wdowieństwo. Zatargi z rodziną nieboszczyka wrywają ją rychło z odrętwienia. Najpierw przewiodła, wbrew teściowi i szwagrowi, że męża, jak był sobie życzył, pochowano w Tartowie, nie w Lublinie w grobowcu familijnym; dalej, obsypana pozwami, nie dała się wyrugować ze swego wiana, Szczekarzowic, które jej Czartoryska była zajęchała.

I znowu zgłaszają się liczni konkurenci, a najwytrwalszy między nimi potomek dawnego rodu, znowu ostatni, Jan Bogusław Zbąski, herbu Nałęcz, wprzód chorąży, teraz podkomorzy lubelski, owdowiały po Pszonczance. Anna o nowem zameściciu ani słyszeć nie chciała, gdy zaś Zbąski swemu bratu stryjecznemu, Janowi, biskupowi przemyskiemu (od r. 1673, później warmińskiemu, umarł r. 1698, człowiek surowego życia, nie pijał wina) groził, że opuści Polskę, jeśli kosza dostanie, musiał biskup sam wszelkich starań dokładać, by wstręt jej przeciw nowym związkom przełamać. Przyznaje się nam Anna, że osoba konkurenta wcale jej się podobała, szczególnie przystojnie prezentował się na koniu; mimo to nie ulegała, aż postanowiła, by wreszcie ująć ich natarczywości, udać się do Warszawy, do króla, i o radę prosić; lecz tu ją Zbąski uprzedził. W Warszawie ciągłemi serenadami ani spać jej nie dał, a przez biskupa i macochę forytował sprawę u królowej, że się za nim u króla wstawiła. Naznaczył król audyencyę, ale siedm godzin wyczekała Anna, nim, już po północy, przed królem stanąć mogła; gdy teraz sam król stał się rzecznikiem Zbąskiego, padła Anna do nóg i zezwoliła na oświadczynny. Z terminem ślubu zwlekała, ale w końcu zgodziła się na przyśpieszenie. I tu złe języki pokoju nie dawały; obmawiano ich wzajemnie: jego, że z pierwszą żoną, ją, że z Oleśnickim źle żyli i t. p. Znowu zawitało szczęście, zachmurzane tylko częstszem zapadaniem na zdrowiu jednego lub drugiego z małżonków, dalej procesami, szczególnie o Szczekarzowice: zaszło nawet między nimi nieporozumienie, mąż bowiem sam, niby w jej imieniu, odstąpił, dla miłego spokoju, pretensyi, o co się ona na niego długo guiewała, nim się pogodzili.

Ale było jej przeznaczeniem, że zawsze Turek jej spokój zakłóci. Nadchodziła wyprawa wiedeńska, od której Zbąski, mimo prośb czutej małżonki, odwieść się nie dał; we łzach tonąc, przecuciem trapiąca, — chociaż zawsze przekonana, że sama prędzej umrze, dlatego tylko ustąpiła była w sprawie o Szczekarzowice — przygotowywała, co w drogę było potrzebne. Chorągiew jego zbierała się bardzo nierychło, tak, że wypadało potem króla doganiać, żona i brat biskup odprowadzili go,

przy rozstaniu pękało jej i biskupowi serce, choć najlepszą otuchę udawali. W dzień bitwy, wyzywany przez Turków, nie mógł się Zbąski powstrzymać, rzucił się z chorągwią naprzód, w zasadzce postrzelono go w nogę; musiał się leczyć w Wiedniu, u ludzi, którzy, jak wszyscy Wiedeńczycy, w pierwszych dniach nadzwyczaj uprzejmi, rychło się zmienili i tak uprzykrzyli, że gdzieindziej dał się przenieść. Trawiła go też niepomiernie gorączka powrotu, więc opuścił Wiedeń, gdy mu się na pozór polepszyło. Tymczasem nie nadchodziły od niego do domu listy; Anna, niespokojna, rozpaczająca, wyjechała do Warszawy, by pewnych wiadomości zasięgnąć; tu, dowiedziawszy się o jego stanie, natychmiast na jego spotkanie wyjechała.

Ale rozmaite zawody, niezręczność i niesłowność służby, święta, w które się mszy opuścić nie godziło, opóźniły jej przybycie; nawet brat biskup, który ją był wyprzedził, zastał Jana umierającego. Uwiadomione o tem znajome jej panie, zatrzymały ją w Krakowie tak długo, póki wieści o jego śmierci zataić jej nie mogły. Wtedy mdlała w rozpacz, co się powtórzyło, gdy z dział nad jego grobem strzelano.

Oto powieść jej życia, przeplatana w oryginale ciągłemi narzekaniami na srogą fortunę. Ostatni tren, 76, kończy się strofami:

Siła-bym tu jeszcze miała
 Żalów pisać, gdybym chciała.
 Zwłaszcza, gdy w dom powróciła,
 Jakiem dni swe prowadziła.
 Gdziekolwiek tylko spojrzęła,
 Każdym kątem łzami oblała,
 Lecz że się jeszcze gotują,
 Więc mi już język tamują.
 Lecz niechaj już dokazują
 Ci, co się na to gotują:
 Ja wodze zciągam żalowi,
 Na boskiej się sadząc woli.
 Jeśli mię chcą trapić i trapić,
 Ja się będę kontentować,
 Żem jest w boskiej protekcyjej,
 Nie chcę zasiągać niczyjej.

Następuje jeszcze na str. 253:

Do Czytelnika. Zakończenie książki.

Wiem, mi niestatek przyczytasz w tej mierze:
 Siła człek zacznie, mało co się zbierze.

Żem też i ja to przedsięwzięcie miała,
 Abym w tej książce cały wiek spisala.
 Ażem ja jej tu teraz dokończyła,
 Choć boska dobroć wieku przedłużyła:
 Bo mojem zdaniem mało com zbłądziła,
 Gdyż tylkom dotąd życiem być sądziła.
 Teraz nie żyję, lecz jakbym umarła,
 Bom jak pocicelny, tak smutki zawarła;
 W zimnym grobowcu onem już złożyła,
 Ani się cieszyć ni będę smuciła.

Sądząc po żywotności i energii tej kobiety, i ta rana zażyła; wprawdzie w nowe związki małżeńskie więcej nie weszła, ale należytego odporu tym, którzy przeciw niej „dokazywać,” ją „strapacować” chcieli, z jej strony pewnie nie zabrakło. Niesiecki wie o jej potrójnych słubach; ale zamiast Oleśnickidgo, wymienia Olędzkiego, bałamuci i w innych danyh.

Słówko jeszcze o jej wierszu. Zaleca go treść, nie forma; płynie dość monotennie, wznosząc się tylko niekiedy szczęśliwym zwrotem lub piękną myślą nad poziom najzwyczajszej rymowanej prozy. Charakteryzuje ją wstęp, który tak brzmi:

(U boku objaśnienie prozą: Tu szukam strapacowanemu sercu ukontentowania, w różne chcąc się udać drogi):

Szczęść mi Boże w moją drogę,
 Bo w niej nieco trwożyć mogę,
 W którąm się już zapuściła;
 Strzeż mię, bym nie pobłądziła.
 Biegłabym w dalekie strony,
 Ajeśli że tam obrony
 Znajdę sercu stroskanemu,
 Ciężkim żalem ściśnionemu i t. d.

6. Pośmiertna egzekucya.

Polemika teologiczna, wrząca niegdyś między katolikami a protestantami, ucichła, skoro za pierwszego Wazy katolicyzm dominujące odwojował stanowisko, spychając powoli ale stanowczo protestantów z pełnego równouprawnienia na prostą tolerancję. Ostatnie strzały wymieniano około r. 1615 i 1616; ciszę lat następnych przerywały wyjątkowo spory, toczone około rozmowy religijnej w Toruniu, zrzućciana krzyży w dobrach Radziwiłłowskich i t. p., ujawniane w mowach,

broszurach, pamfletach, docinkach; tylko wywołanie arian, zajścia, które je poprzedziły i towarzyszyły mu, świadczyły o rozdrażnieniu i niedowierzaniu, nurtującym pośród obozu katolickiego przeciw różnowierczej braci.

Ale wpływ jednostronnego, ściśle konfesyjnego wychowania, którego wyrazem były szkoły jezuickie i pijarskie, a niemniej i akademickie, objawiał się coraz silniej, nagromadzana przez cały wiek niechęć wybuchła gwałtownie, gdy rozgorączkowanemu przez klęski wojny domowej narodowi szlacheckiemu wnówiono, że klęski te—to kara niebios za ostyłość w wierze, cierpiącą różnowierców. W literaturze i życiu społecznym i politycznym mnożą się objawy skrajnej nietolerancyi; rugowanie inowierców z trybunałów i sejmów, prześladowanie Unruqa, zjadliwe skrypta, jak „Respons korony polskiej,“ „Replika IMP. Chrystyana Katolickiego“ (r. 1719), dowodzą wymownie, jaka nienawiść wżerała się w ducha narodu, nienawiść, która nawet przeszłości i jej pomników sięgała; jej gniewu i jadu nie uszedł nawet „Poczet herbów“ Wacława Potockiego; o nieznaney dotąd egzekucyi wierszowanej tego dzieła zamierzamy właśnie pomówić.

„Poczet herbów,“ wydany w r. 1696 i przez drukarza ofiarowany królewiczom, jest to, jak wiadomo, olbrzymi zbiór wierszów moralizujących i satyrycznych—na 714 stronicach gęstego druku in folio, opartych o herbarz Okolskiego, biorących asumpt z herbów polskich, z ich dziejów i znaczenia symbolicznego, zwracanych ku ogółowi szlacheckiemu, albo pojedynczym indywiduom; najczęściej spotykamy tam rubaszne docinki na łysego, na opoja, skąpca, rozrzutnego, domatora, na niedobre stadło małżeńskie. Obok takich okazów wybiera Potocki, wierny głębokiemu religijno-moralnemu nastrojowi, jaki już z arianńskiej swej młodości wyniósł, głównie duchownych; co drugi herb niemal znajdujemy apostrofy: „Do księdza herbownego,“ „Do plebana“ i t. d.; wspólne im nawoływania, by ksiądz życiem, nie herbem, przyświecał, by się z klejnoty nie pysznił, by marność świeckie ducha nie przygniatały i t. d., a wyraża to wszystko właściwym sobie sposobem, dosadnym, nieraz trywialnym. Dla przykładu przytoczmy apostrofę „Do plebana herbownego“ (berbu Nowina, str. 447):

Ucho kocielne w herbie szlachectwem cię puszy,
 I słusznie, gdybyś przybrał słuchaczów swych uszy,
 Żeby czynili, co im każesz w imię boże;
 Inaczej cały kociel duszy nie pomoże.
 Znacno tego każdy ksiądz, byle chciał, dokaże,
 Kiedy sam będzie czynił, co mu kościół każe.
 Jeśli Boga nie słuchasz, krótki czas to sprawi,
 Żeć dyabeł cały kociel do ucha przypawi,

Gdzie, pływając po uszy w siarczystym ukropie,
Będziesz na wieki pragnął zimnej wody kropie.

Albo jeszcze próbka ze str. 436:

Pycha, szlachectwo, herby, które ciało zdobia,
Wszystkie rzeczy duchowe z myśli nam wyskrobia,
Choć te z nami na wieki po śmierci trwać będą,
Tamte w grobie, a bodaj nie w pickle, zasięda.

Ówczesna cenzura duchowna dziełu nie zarzucić nie miała; aprobata do druku, podpisana przez księdza Franciszka Przewoskiego, doktora św. teologii i proboszcza u św. Floryana; dopiero fanatyzm epoki saskiej wyruszył w pole i przeciw temu dziełu.

Ces. biblioteka publiczna posiada rękopis (sygn. polskie, XIV, folio nr 8) z wierszami polskimi Wojciecha ze Staw Stawskiego, poświęcony w łacińskich wierszach jednemu z Sapiehów, napisany r. 1719, jak wynika z wiersza do czytelnika na k. 5:

Kalwina Śreniawczyka ¹⁾ herbarz z krytyzmami
Nierychło dostał mi się, polskimi wierszami
Wydany...

... bo rok pański dwudziesty

Trzeci się toczy, jak go z ciemnych dziur wydano,

... a i dotąd nie odpisano.

Otóż Stawski, o którym tylko wiem, że był również Śreniawczykiem i stanu duchownego (por. wiersz: „tak stan nasz przycierpiawszy dla was się ostoł“), obruszył się na dzieło, pełne jadu przeciw duchowieństwu, mimo takiego przeciągu czasu; autor pewnie już umarł, mówi, ale jad jego działa, bo książki nie spalono, a sekta przekłeta zawsze jeszcze członków posiada. Zaczyna więc od k. 8: „Echo na Śreniawie odgłaszające na heretycki Kalwina polskiego wierszopisa instrument:“

„Heretyckiej zelancie sekty Śreniawito i t. d.“

Stawski wychodzi z (mylnego) założenia, że autor, którego po nazwisku nigdy nie wymienia, jest kalwinem; że patrzy więc z niechęcią i zazdrością na berbowne duchowieństwo katolickie:

A zatem heretyku! nie bierz miary z zboru,
Choć twój bombiza ²⁾ tego nie ma nie splendoru,

¹⁾ W. Potocki był herbu Śreniawa.

²⁾ Pogardliwe miano dla predykanta; znalazłem je najpierw w broszurze „Rok trybunalski.. heretykiem ministrom w Lublinie,“ Kraków, 1625: „Ix Pix Bombix Niawierski nam waledykuje.“

dla waszej małoważnej ofiary nie macie szlachty,

Lecz od łokciów i nożyc na to zażywacie,
Od młotów i kowadeł bombizów zbieracie;

Więc każe mu dobrze przejrzeć (zbaǳź tę skałkę z twych oczy, zrzucić wprzód połudę z oczu pysznych); przechodzi z klejnotów herbowanych do drogich kamieni, któremi kościoł świętych ozdabia, wykłada znaczenie ich alegoryczne, jak wyrażanych niemi cnót trzymać się należy; szczególnie zastanawia się nad pompą biskupią, która heretyka zgorszyła, co ona ma oznaczać; ujmuje się za zakowników i zakonnice, mówi, z jakimi orężami w rękach do niebieskiej korony dążą, broni ich skromnego żywota (mają tylko, „co im ich starsi z jałmużn udzielają“) i t. d. Kończy wierszem (k. 37—39) „Do wszelakiego heretyckiej nomenklatury rodzaju,“ wzywając do zjednoczenia się z kościołem prawowiernym.

Język Stawskiego bardzo nieskromny; modlitwy kalwińskie niebu tak przyjemne, „jak głosy brytanie;“ napadasz, kacerzu, duchowieństwo nasze:

... z swymi bombizami

Z śmierdłymi za Kalwinem cisnąc się Nurami

(Nurowie, t. j. aryanie);

był-byś pewien wyroku, gdyby cię śmierć nie była sędziom świeckim wydarła i t. d. O poezji jakiejś u Stawskiego naturalnie i mowy niema, nie odznacza się nawet jakąkolwiek inwencyą, cechującą pamflety siedmnaściego wieku—ale w ogólnej krucyacie na protestantów warto i ten głos, jako znamienity dla epoki, zaznaczyć.

7. Wiersze i pieśni religijne.

(Z powodu książki p. Bobowskiego).

Nakładem Akademii wydał świeżo p. Bobowski w obszernym tomie „Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku.“ Częściowo tę samą materję traktowaliśmy w artykule naszym z lutego o wierszach polskich średniowiecznych; nie podnosząc więc szczegółów, nadmienimy, że materiału średniowiecznego wydawca nie zbogacił, zadawałnając się przedrukiem tego, co już Wiszniewski i Maciejowski zebrali, zato sięgnął dla XVI wieku do rękopisów i wydał Kancyonał kórnicki, o którym mówiliśmy w swym artykule; także, nieznamy nam przedtem, Kancyonał puławski, pochodzący z tego samego roku, co kórnicki (1551), i obejmujący czterdzieści i jedną pieśń,

z których dwadzieścia i jedna w kórnickim się powtarzają; w wydaniu zachował p. Bobowski błędną pisownię oryginałów.

Ale zbiorami temi nie wyczerpano jeszcze spuścizny rękopiśmiennej wieku szesnastego; uzupełniamy je, przytaczając niektóre wiersze i pieśni w całości, lub je tylko wykazując.—Piękną parafrazę pacierza znaleźliśmy zarówno w rękopisie smoguleckim, jak i Osmólskiego o których wyżej była mowa; tekst smogulecki poprawniejszy:

P a c i e r z.

Prosim Cię, który mieszkasz na wysokiem niebie,
Nie racz, Ojcze, dzieci swych odrzucać od siebie,
Ale Twe miłosierne nakłoń ku nam uszy,
A niechaj Cię nabożna prośba nasza ruszy.

Imię Twe, przed którym też duchy złe padają,
Niechaj wszystkie narody w uczeiwości mają,
A daj, byśmy w tej wierze tak statecznie trwali,
Jakoby z nas pogani dobry przykład brali.

A nie odwłaczaj dalej Swego panowania,
Uzał się tak ciężkiego sług swych mordowania.
Nieprzyjaciółom naszym wyrwi nas z paszczeki,
A ty sam racz panować, jako Pan na wieki.

Nie dopuszczaj nam podług myśli naszych błędzić,
Ale nas racz najświętszem Swojem słowem rządzić,
A jako snadnie władniesz biegi niebieskiemi,
Tak że się też wola Twa niech dzieje na ziemi.

Panie! Ty sam lepiej wiesz, czego nam potrzeba,
Racz że nam dziś użyzyć powszedniego chleba;
Nędzne, polne ptaszątka nie orzą, nie sieją,
A wždy jednak z łaski Twej od głodu nie mgleją.

Złości nasze przed Tobą wszystkie wyznawamy;
Nadzieję w miłosierdziu Twojem pokładamy,
Że Ty z nami łaskawie postępować raczysz,
A nam, jako my drugim, wszystkiego przebaczysz.

Nie wódź nas na pokusy przyrodzenia mdłego,
Uchowaj nas złych przygód z miłosierdzia Twego;
Twoje bowiem królestwo, Twoja moc i chwała,
A tak będzie na wieki nieodmiennie stała.

Autor tego „Pacierza“ z przed r. 1560, nieznanym nam bliżej protestant. W rękopisie smoguleckim następuje:

O chwalebnym zmarłym (!) wstaniu zbawiciela naszego. Pieśń.

Gdy Pan Chrystus z martwych wstał
 Z grobu swojego,
 Dziwną tam moc okazał
 Bóstwa swego na wszem możnego.

Bo i ziemia zadrżała,
 Gdy z martwych wstać miał,
 A straż prawie zmartwiała;
 Pan nad śmiercią zwyciężcą został.

Wnet z lęknienia onego
 K miastu bieżeli,
 Oprócz strachu żadnego
 Biskupom to opowiedzieli.

Że Pan Chrystus z martwych wstał,
 Głosem wołali,
 Jaki się im tam strach stał,
 Że od grobu precz zuciekali.

To gdy słysząc biskpui,
 Wnet się strwożyli,
 Że się tak jako głupi
 W mniemaniu swem już omylili.

Bo chcąc Pana zagubić
 Z nauką jego,
 Wnet się poczęli chlubić,
 Że umorzyli niewinnego.

A wszakoż kłopot nowy
 Zaś przypadł na nie,
 Im tak barzo niezdrowy,
 To jego święte zmartwychwstanie.

Wnet złą radę zaczęli
 Z uporu swego;
 Straż onę przenajęli,
 By oni zamilczeli tego.

Owszem by tak mówili,
 Że tam przypadli
 Uczniowie co z nim byli,
 A w nocy go z grobu ukradli.

Ale ten wszechmocny Pan
 Tak raczył sprawić,
 Chcąc tu być od wszystkich znan,
 Dziwną moc swą raczył objawić.

Oni to przenajęci,
 Gdy taić chcieli,
 Inakszym duchem zjęci
 Inaczej mówić nie umieli,

Jedno iż już Chrystus Pan
 Raczył zmartwychwstać
 Wszechmocnością swoją sam
 A nam grzesznym raczył przykład dać,

Że tesz i my nędznicy
 Zmartwychwstaniemy
 Przed ostatni sąd wszyscy,
 A z ciałem swym tam się stawiemy.

Dajże to o Chryste Panie,
 Nam w niewinności
 Wiernym twym tu powstanie,
 Nam ku naszej wiecznej radości.

Z rękopisu Osmólskiego przytaczamy tłumaczenie 66 psalmu Andrzeja Trzecieckiego, jak przypisek „A. Tri.“ w nagłówku dowodzi:

Błogosław nam nasz Panie z miłosierdzia swego,
 Oświeciwszy światłością oblicza swojego,
 Abyśmy tu na ziemi znali drogi twoje,
 Okaż to nam przed ludźmi miłosierdzie swoje.

Niechaj Cię wyznawają wszyscy naradowie,
 A stąd się rozradują i niewiernikowie,
 Kiedy Ty swoje wierne w lasce będziesz rządził,
 Strzegąc, aby na stronę żaden nie zabłądził.

Wysławiajcież już Pana, wysławiajcie ludzie,
 Bo widzicie, jak z ziemie wam pożytek idzie;
 Ty nas błogosław Boże, a Twe święte imię
 Niech po wszystkich narodach w wielkiem strachu słyńcie.

Tłumaczenie Kochanowskiego myśl psalmu i wierniej i piękniej oddaje; u Trzecieckiego zaś dwa znaczące zwroty opuszczone, rymy jeszcze słabsze, nawet wiersz drugiej zwrotki nie powtórzony w trzeciej, czego oryginał wymagał.

Więcej pieśni, i to katolickich, zawiera rękopis ces. biblioteki publicznej, sygn. polskie I, folio (w formie tak zwanych dudków) nr 1. Ręka Załuskiego zanotowała wprawdzie na pierwszej karcie „Socolovius“, ale rękopis tylko w tym jest związku z dzielnym na duchu, a ułomnym na ciele kaznodzieją Batorego, że z jego dzieła cytaty podaje. Jest to praca zakonnika z pierwszych lat siedemnastego wieku, kiedy dysputy z inowiercami były na porządku dziennym, z tą różnicą wobec dawniejszych lat, że teraz katolicy sami takie dysputy wywoływali. Rękopis zawiera więc „zarzutów heretyckich gotowe rozwiązania“—taki jego tytuł łaciński—we wszystkich spornych materyach, a więc co do kultu Maryi i świętych, mszy, komunii i t. d., pełen cytat ze społecznej literatury, ekscerptów z ojców kościoła i pisarzy średniowiecznych, historyjek i wycieczek przeciw ministrom protestanckim, przeciw Grzeskowi (t. j. Grzegorzowi z Żarnowca), Glicnerowi, Volphagiuszowi, którego nazwisko przez Wilczy matacz się tłumaczy, Mikołajewskiemu. Szczególniej obszernie traktuje się sprawę postu, jako wzór, wedle którego każdą inną opracować należy. Przy początku dysputy można przeciwnika zapytać, do której sekty należy? dlaczego do tej, nie do innej? jakie powagi uznaje, czy naszych historyków—z tych łatwo go zbijać, jeśli ich zaś nie uznaje, zwrócić się ku szlacheckiemu audytorium i powiedzieć: otóż źle z waszemi przywilejami i wolnościami, które tylko z tych historyków wywodzić można, i t. d. Kompilator nasz rubaszny, w wycieczkach przeciw ministrom wyrazów nie wazy; na pogrzebie książęnej Zyzemskiej stawiał „sto beczek żyta“ przeciw Wolanowi o cytata z ojców kościoła, ale ten zakładu nie przyjął; z anegdot jego niektóre znane skądinąd, np. o wojewodzie Gostomskim, który z kardynałem Aldobrandinim dysputując, obiecał, że się nawróci, jeśli z kardynała papież będzie—Aldobrandini, jako Klemens VIII, kazał więc przez kardynała Radziwiłła podczas ślubu Zygmunta z Anną przypomnieć to wojewodzie, co ten w żart obrócił, ale Bóg go zato skarał, odwołując go rychło potem ze świata. Albo o owym szlachcicu wielkopolskim: namówiony przez syna, który świeżo z Niemiec przesiąkł nowinkami wrócił, zjadł podczas postu cielęta i barany, poczem

na wielkanoc pościć musiał, a syna obił, że go od dawnego zwyczaju odwrócił. Wpisuje też nasz zakonnik kilka niezłych wierszyków, np. skąd mięsopust (zapusty):

Co zima ludziom zbroiła,
Wesołość czasów odjęła,
Więc jej, gdy się obaczyli,
Na złość mięsopust złożyli.

lub „piosnka starego o śmierci:“

Ujrawszy starzec na desce
Młodego, rzekł: nalej jeszcze;
Ten mi groził śmiercią wczora,
A sam ją połknął z wieczora;

albo „na zbytek dzisiejszy:“

Uczy przedtem częste były
W jesieni, dziś zaginęły;
Alboć ludzie skromnie żyją,
Alboć—przed nowym przepiją;

„na dłużników:“

Święty Marcin za pasem,
Skrobią się dłużnicy;
Przedsię pełną zbywają
Frasunku w piwnicy;

nakoniec „o chowaniu postu adwentowego:“

Paszczano przedtem adwent,
Teraz zaś mawiają
Zuchwalcy: niech dla mężów
Panny post chowają.

Najliczniejsze są pieśni religijne: mamy tu hymn na św. Wawrzyńca („W srebrnych kubkach powiadają, Że świętą krew podnaszają, Przyczem i świece goreją“ i t. d.), parafrazę Zdrowaśmaryi („Zdrowaś bądź Marya, Niebieska lilia, Panno Bogu miła, Matko litościwa, Tyś jest nasza pociecha, Najświętsza Marya“ i t. d., strof dwanaście, u Bobowskiego str. 177—179), „Mittit ad virginem“ („Posłał do dziewicy Nie leda aniola, Ale możność wielką Swego archaniola Miłośnik człowieczy“ i t. d., strof czternaście, układ odmienny, niż w tekście Bobowskiego str. 236 i 237). Na k. 140 nn. zaczyna się zbiór trzydziestu czterech pieśni o Zbawicielu i Najświętszej Pannie, polskich i łacińskich; jedną z nich, kolędę Mazowiecką („Perolmy się sibretko-

wie tą gasą“ i t. d.) wydrukowaliśmy w „Wiśle.“ Przytaczamy tu jeszcze z kart poprzednich (na k. 97) kolędę, znaną po dziś dzień, przedrukowaną np. w wydaniu Pastorałek krakowskiem z r. 1868, śpiewaną w dzień św. Jana Ewangelisty przy rozdawaniu wina, a należąca, jak słusznie Bobowski (str. 11) napisał, do tych „polskich, niestosownych i mniej nabożnych pieśni,“ które synod guieźmieński z r. 1602 potępił.

Napis jej łaciński („Cancio de miraculo Canaë Galileae“); nasładowany też wstęp łacińskiej kolędy („Messias venit huic seculo Propheta magnus cum miraculo Ei muri muri infernales, casuri estis quamvis duri“):

Messyas przyszedł na świat prawdziwy,
I prorok zacy z wielkimi dziwy,
Który przez swoje znaki
Dał z wody winne smaki W Kanie Galilei.

Wesele barzo wielkie sprawiono,
Pana Jezusa na nie zaproszono
I zwolenników jego,
By strzegli pana swojego W K. G.

Z wielkim dostatkiem potrawy noszą,
Pana Jezusa żeby jadł proszą;
Wszystkiego dosyć było,
Jedno wina nie stało W K. G.

Panna Marya gdy to ujrzała,
Dostatek wody nosić kazała.
Ej gody, gody, gody,
Będzie tu wnet wino z wody W K. G.

Pan Jezus widząc nagroził szkodę,
Poświęcił zaraz na wino wodę,
Ej wino, wino, wino,
Lepsze to, niżli było, Co się już wypilo.

Wszyscy to wino barzo chwalili,
Pana młodego, by pił, prosili.
Ej wino, wino i t. d.

Panna Marya gdy to słyszała,
Z pełnego sądu nalać kazała.
Ej wina, wina, wina,
Będzie dziś Panna piła Do swojego syna.

Piotr z Apostoły stoi przy dzbanie,
 Woła na Jana: pij do mnie, Janie!
 Ej wino, wino, wino,
 Toć barzo dobre było W K. G.

Pił Jakub garncem do Tadeusza,
 A Jędrzej kuflem do Mateusza.
 Ej wino i t. d., lepsze i t. d.

Kiedy Bartłomiej szukał śklenice,
 Judasz Skaryot podał donice. Ej i t. d.

Pawle z Maciejem, wam oskomina,
 Boście nie pili dobrego wina.
 Ej wino, wino, wino,
 Już się było wypilo W K. G.

Przez narodzenie Twojego Syna
 Daj Boże Ojczy dobrego wina!
 Ej wino, wino, wino,
 Aby się czyście piło W królestwie niebieskim. Amen.

Różnice tego tekstu od dzisiejszego, mimo, że trzy stulecia je dzielą, całkiem nieznaczne.

A. BRÜCKNER.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, w listopadzie 1893 r.

Austria nie przestała zasługiwać na nazwę „państwa nieprawdopodobieństw.“ W ostatniej kronice majowej nakreśliłiśmy obraz widocznego upadku parlamentaryzmu austriackiego. Niezdolna wytworzyć z własnego łona stałej większości, izba poselska zdawała się tracić coraz wyraźniej wszelki wpływ na administrację państwową, stawała się biurem do rejestrowania projektów rządowych, przyczem nie było nawet potrzeba uroczystej komedyi tak zwanego „lit de justice“, którą dawnym parlamentom francuskim korona ułatwiała akt poddania się. Doszło do tego, że hr. Taaffe mógł sobie pozwolić śmiałego żartu z zupełnej niemocy parlamentu. Kiedy 4-go lutego r. b. gabinet ogłosił znany program i wezwał trzy główne stronnictwa do utworzenia na jego podstawie stałej większości, należało przypuszczać, że nawet gabinet zlitował się nad tym „biednym“, jak go razu pewnego nazwał ś. p. Hausner, parlamentem, i pragnął umożliwić mu podźwignięcie się z upadku. Dziś wiemy, że to był żart tylko; hr. Taaffe wtedy liczył z pewnością na to, że większość parlamentarna nie powstanie, a nadto po-za kulisami pracował usilnie nad tem, aby nie powstała.

Widocznie hr. Taaffe ostatecznie, słuchając zanadto podszeptów kolegi Steinbacha, doszedł do przekonania, że wobec tego parlamentu

rząd może sobie pozwolić na wszystko. Tylko takim przekonaniem tłumaczy się wniesiony zmienacka 10-go października projekt reformy wyborczej, dążący do radykalnej zmiany, a nawet do przewrotu konstytucyjnych stosunków austriackich, a będący zarazem wyzwaniem, rzuceniem trzem głównym stronnictwom izby poselskiej. Nie o to chodzi, że hrabia Taaffe wobec trzech głównych stronnictw naruszył zasady zwykłej grzeczności, że je naruszył w sposób najdotkliwszy względem swego wiernego przyjaciela politycznego i osobistego, hrabiego Hohenwarta; ta tajemnicza metoda przygotowania „reformy“ wyborczej dlatego musiała tak bardzo oburzyć, ponieważ świadczy o tem, że rząd doskonale wiedział o koniecznym oporze trzech stronnictw umiarkowanych przeciwko swym zamysłom, a jednak skrytalizował je w swym projekcie. Oczywiście był on przekonany, że nawet najżywsze oburzenie, jakie ten projekt wywoła, nie zdoła pobudzić parlamentu do aktu energii i obrony własnej.

I rzeczywiście, aż do 10 października mało kto sądził inaczej. Ale otoż tego dnia nastaje nagle, niespodziana, zdumiewająca zmiana dekoracyi. Praktykowana dotąd przez hr. Taaffego z takim mistrzostwem maksyma: „divide et impera,“ nagle zawodzi. Trzy główne stronnictwa zbliżają się w imię obrony powagi parlamentu i historycznego ustroju konstytucyjnego przeciwko rządowi. Naczelnicy ich: Plener, Jaworski, Hohenwart, z kolei wygłaszają ogniste mowy przeciwko projektowi rządowemu. Wreszcie ten sam hr. Hohenwart, który od 15-tu lat tworzył właściwy parlamentarny filar, na którym opierał się system Taaffego, podaje niemieckiej, liberalnej lewicy rękę do zgody i do wspólnej obrony zagrożonych projektem rządowym podstaw konstytucyi. W Austrii, gdzie dotąd wszystkie zmiany gabinetu (w r. 1861, w r. 1867, w r. 1870, w r. 1871, w r. 1879) odbywały się po-za kulisami, a najczęściej w czasie wakacyi izby poselskiej, i gdzie na pozór wzajemna niechęć stronnictw, zrećtnie zaostrzana przez rząd, bezpośrednio ich porozumienie się czyniła wprost niemożliwem, to nagle przebudzenie się świadomości parlamentu, to nagle odżycie zasady, że ostatecznie interes państwa i powaga parlamentu stoi wyżej, niż wszelkie specjalne życzenia i przesady stronnictw, było czemś tak zdumiewajacem, że zrazu nikt nie dowierzał, aby dopisało.

Tem mniej, że hr. Taaffe aż do ostatniej chwili uważany był, jako mąż stanu po prostu „inamovible.“ Od czasów ks. Metternicha żaden minister nie kierował tak długo Austryą, jak hr. Edward Taaffe. Cieszył on się tylko zaufaniem, lecz osobistą przyjaźnią cesarza. Ministrem po raz pierwszy został już 7 marca 1867 roku, licząc dopiero

lat 34. Od tego czasu nieustannie powracał do różnych gabinetów, uchodził za człowieka, że się tak wyrazimy, opatrnościowego. W ciągu ostatnich lat 14-tu, przy pomocy zdolnych współpracowników, miał sposobność oddania państwu niewątpliwych, ważnych usług, a zarazem obwarowania swej pozycyi. Wszyscy namiestnicy zawdzięczają mu swe nominacye. Koledzy w gabinecie uważali się za prostych szefów sekcji Taaffego. Znając wszystkie słabe strony klubów parlamentarnych, rywalizacye i zachcianki posłów, jako mistrz niezrównany, grał na klawiaturze parlamentarnej. Wreszcie jeszcze swym projektem wyborczym zjednał sobie huczne oklaski mas, a zwłaszcza tych żywiołów, które zawsze gotowe wywołać burzę uliczną w Wiedniu i już wydawały znaczący okrzyk: „Niech żyje rząd! Precz z parlamentem!“ A jednak ten znieważany i systematycznie podkopywany od lat 14 parlament okazał się silniejszym! Wystarczyło porozumienie się tych stronnictw, które tworzą rzeczywistą większość w parlamencie, aby obalić nawet tak potężnego ministra, jak Taaffe, i dowieść, że istniejący, a choćby tylko vegetujący od 30 lat parlament, jest przecież instytucją, z której nie wolno stroić sobie poprostu żartów.

Koalicja stronnictw obaliła Taaffego. Że cesarz bez wahania zastosował się do woli parlamentu, świadczy to, że on obowiązki monarchy konstytucyjnego zna dokładniej od tych, nawet demokratów, którzy do ostatniej chwili cieszyli się (!), że minister odniesie zwycięstwo nad parlamentem. Obaliwszy gabinet stary, koalicja, według reguł parlamentaryzmu, powinna była wytworzyć ze swego łona nowy i wyznaczyć na jego członków najwybitniejszych swych mężów. Musimy wyznać, że ta druga część zadania nie udała się równie świetnie, jak pierwsza. Nie przestrzegano bowiem ściśle dwóch warunków, od których zależało utworzenie gabinetu parlamentarnego w całym znaczeniu tego wyrazu. Pierwszym takim warunkiem było usunięcie wszystkich członków dawnego gabinetu. Solidarnie ciążyła na nich odpowiedzialność za wniesienie projektu 10-go października. Wprawdzie post festum zaczęto rozgłaszać, że ten i ów minister na radzie koronnej przemawiał przeciwko projektowi wyborczemu. Ale wtedy taki minister powinien był zażądać dymisji. „C'est une excellente chose qu'une bonne demission donnée à propos: c'est une pierre d'attente“ — powiada hrabia Bertrand de Rantzau w wybornej komedyi Scribego „L'art de conspirer.“ Skoro jednak wszyscy członkowie gabinetu Taaffego, asystując 10-go października przy wniesieniu projektu wyborczego, tem samem przyjęli na siebie solidarną odpowiedzialność, żaden z nich nie powinien był wejść do nowego gabinetu, utworzonego właśnie w imię opozycyi przeciwko owemu projektowi. Z usunięciem

się wszystkich dawnych ministrów pozostawało 9 tek rozporządzalnych, które—i oto drugi ważny warunek—powinny były zostać rozdzielone w *równej mierze* na trzy różnorodne i równouprawnione stronnictwa sprzymierzone.

Tymczasem zatrzymanie w gabinecie 4-ch dawnych ministrów: hrabiów Schoenborna, Falkenhayna, generała Welsersheimba i margrabiego Bacquehema uniemożliwiło normalny rozkład 3-ch tek na każde stronnictwo. Faktycznie w nowym gabinecie stronnictwo niemiecko-konserwatywne rozporządza 5 krzesłami, bo do wymienionych właśnie 4-ch dawnych ministrów wypada zaliczyć także prezesa gabinetu, ks. Windischgraetza, koło zaś i niemiecka lewica musiały się zadowolnić tem, że dostały po dwie teki.

Pominąwszy tę wadę organiczną, nowy gabinet przedstawia się nader poważnie. Ks. Alfred Windischgraetz, urodzony 31 października 1851 roku, od r. 1877 dziedziczny członek izby panów, od października r. z. wiceprezydent tej izby, jest mężem wszechstronnie wykształconym, doktorem prawa, nie świetnym ale poważnym mówcą, energicznym, wytrwałym, posiada zupełne zaufanie cesarza, jako też 3-ch stronnictw sprzymierzonych, — słowem, nie brak mu ani jednej kwalifikacyi na ważny urząd, który mu został powierzony, że się tak wyrażymy, w drodze plebiscytu większości parlamentarnej.

Nowy minister spraw wewnętrznych, margrabia Bacquehem, ostatni potomek dawnego rodu belgijskiego, urodzony r. 1847, od r. 1882 namiestnik Szląska, od r. 1886 minister handlu w gabinecie Taaffego, z wykwiutnemi formami obojęcia i zaufaniem wszystkich stronnictw łączy rzeczywiste zdolności administracyjne.

Minister finansów, Ernest Plener, syn b. ministra tegoż wydziału, urodzony r. 1841, porzuciwszy w r. 1873 służbę dyplomatyczną, wstąpił do izby poselskiej i przez lat 20 powoli wykształcił się na najlepszego mówcę izby i naczelnika lewicy niemieckiej. W kwestyach finansowych nadzwyczaj biegły, wymową swą zdoła nowemu gabinetowi oddać wielkie przysługi.

Minister oświecenia i wyznań, dr St. Madeyski, urodzony 1841 r., z zawodu prawnik, w izbie zasiada od r. 1879, od wiosny r. b. był wiceprezydentem, jako mówca zajął pierwszorzędne stanowisko, odznacza się niepospolitym zmysłem politycznym i taktem.

Minister sprawiedliwości, hr. Fryderyk Schoenborn, po kądzieli prawnuk smutnej pamięci ministra saskiego hr. Brühla, urodzony roku 1841, od r. 1880 namiestnik Morawii, od października r. 1888 minister

sprawiedliwości, chociaż świetnym mówcą nie jest, odznacza się fachowemi wiadomościami.

Minister handlu, hr. Gundaber Wurmbrand, urodzony r. 1838, od r. 1879 członek izby poselskiej, od kilku lat marszałek krajowy Styryi, mąż wszechstronnie wykształcony, w wolnych chwilach zajmujący się bardzo poważnie antropologią, zdolny mówca, bardzo popularny w niemieckich prowincjach alpejskich, należał do rzędu najwybitniejszych osobistości parlamentarnych.

Minister rolnictwa, hr. Julian Falkenhayn, urodzony roku 1829, urząd ten piastował w gabinecie Taaffego od 12-go sierpnia roku 1879. Jest więc na teraz najstarszym według lat służby ministrem austriackim.

Generał hr. Welsersheimb, urodzony 1835 r., tekę obrony krajowej w gabinecie Taaffego piastował od r. 1880.

Minister bez teki (dla Galicyi), Apolinary Jaworski, urodzony 1825 r., od r. 1870 zasiada bez przerwy w izbie poselskiej, od 10 grudnia r. 1888 jest prezesem koła, przed dwoma laty otrzymał tytuł tajnego radcy. Energiczny, uprzejmy, wyrozumiały, jako mówca słuchany w izbie zawsze z natężoną uwagą, już w grudniu r. z. znakomitą mową nakreślił ową kombinację koalicyjną, która wreszcie doszła do skutku.

Z wymienionych ministrów margrabia Bacquehem nie jest członkiem ani izby poselskiej, ani izby panów; ks. Windischgraetz, hr. Schoenborn i hr. Welsersheimb są członkami izby panów; pp. Madeyski, Jaworski, Plener, hr. Wurmbrand i hr. Falkenhayn piastują mandaty poselskie. Dekreta cesarskie, obdarzające Austryę gabinetem koalicyjnym, ukazały się 12-go lutego, i w kołach poważnych doznały przyjęcia przychylnego. Trzeba zaznaczyć, że do ostatniej chwili sceptycy nie wierzyli, aby w walce pomiędzy hr. Taaffem, nazywanym czasem „instytucją“ austriacką, a parlamentem, mógł zwyciężyć drugi. Tem większe wrażenie sprawia ta nagła rezurekcyja parlamentaryzmu austriackiego.

Według ustawy z r. 1873, izba składa się z 353 członków. Z tych wybiera kurya wielkich posiadłości 85, izb handlowych 21, miast 116, okręgów włościańskich 131. Ponieważ kurya w. posiadłości liczy 5,402 wyborców, przeto tutaj na 63 wyborców przypada poseł. W kuryi izb handlowych, liczącej 583 wyborców, poseł przypada już na 27 wyborców, gdy w miastach przypada poseł dopiero na 3,000 wyborców,

w okręgach włościańskich dopiero na 10,500 prawyborców. W praktyce stosunek ten staje się jeszcze bardziej rażącym, gdy zważymy, że w r. 1891 w pierwszej kuryi rzeczywiście stanęło do wyboru tylko 3,363 wyborców, w drugiej tylko 501, a zatem w pierwszej przypadła poseł już na 39 wyborców, w drugiej już na 24. Oczywiście taki stosunek możliwym jest tylko dopóty, dopóki ustawę wyborczą opieramy na własności i podatku. Wtedy staje się zupełnie zrozumiałą racya, że właściciel majątku, opłacający co najmniej 250 fl. rocznego podatku gruntowego (nie licząc różnych dodatków, tudzież ciężarów krajowych i gminnych), posiada o tyle więcej głosów, niż mieszczanin i włościanin ¹⁾. Sam np. ks. Schwarzenberg opłaca przeszło milion fl. rocznego podatku. Jeżeli skombinujemy te podatki z ważną rolą, jaka wogóle w takim agrarnem państwie, jak Austria, przypada wielkiej i ustalonej własności, natenczas liczba 85 posłów, przydzielonych pierwszej kuryi, nie wyda nam się anormalną.

Natomiast z punktu widzenia powszechnego, równego głosowania, jest ona niewątpliwie anomalią najzupełniejszą. Opierając zatem prawo wyborcze ludności miejskiej i wiejskiej, wynoszącej 24 miliony, na podstawie, nie uwzględniającej ani własności, ani podatku, tudzież przeciwstawiając 247 posłom tych 24 milionów dusz około 6,000 wyborców (z rodzinami może 50,000), którym ma pozostać 106 mandatów, projekt rządu wytwarza sytuację po prostu niemożliwą.

To też w rozprawach wstępnych nad projektem wyborczym (23—28 października) wszyscy, tak przeciwnicy, jak obrońcy projektu rządowego, zgodnie wypowiedzieli zdanie, że po tej reformie dwie pierwsze kurye muszą niechybnie upaść i nie zdołają się utrzymać ani przez jedną 6-cio-letnią kadencję parlamentarną.

Poruszona przez gabinet Taaf'ego tak niespodzianie kwestya reformy wyborczej nie zjeździe już z porządku dziennego. Będzie trzeba koniecznie przystąpić do pewnego rozszerzenia prawa wyborczego.

¹⁾ Np. w Czechach kurya wielkich posiadłości opłaca bezpośredniego podatku 5 milionów fl., miasta 10 milionów, okręgi włościańskie 12 milionów. Na kuryę pierwszą przypada 23 posłów, na drugą 32, na trzecią 30. Jeżeli doliczmy znaczne pośrednie podatki w. właścicieli, z punktu widzenia podatkowego, rozkład posłów na te 3 kurye nie wyda się nieprawdopodobnym.

Warto zatem bliżej przypatrzeć się tej najdonioślejszej na teraz kwestyi na polu wewnętrznej polityki austriackiej.

Według projektu z 10-go paźdz. w 2 kuryach: miast i gmin włościańskich, prawo wyborcze nadal posiadać będą ci wszyscy, którzy je dotąd posiadali (w miastach zależało ono od minimum rocznego podatku 5 fl., w gminach wiejskich od własności gruntowej, względnie tegoż podatku); nadto otrzymają prawo wyborcze wszyscy obywatele pełnoletni, którzy: 1) stali przed nieprzyjacielem, względnie uprawnieni są do noszenia medalu wojskowego, albo też uzyskali certyfikat wysłużonych podoficerów; 2) mogą się wykazać potrzebnem świadectwem wykształcenia, jako też dowodem, że w odpowiednim czasie stawili się do służby wojskowej, tudzież od 6 miesięcy przed wyborami mieszkają w gminie. Za dowód „wykształcenia“ wystarcza świadectwo ukończenia szkoły ludowej, względnie złożenia popisu z umiejętności czytania i pisania w jednym z języków krajowych. Popis „wykształcenia“ składa się przed komisją, złożoną z naczelnika gminy, względnie jego zastępcy, kierownika szkoły ludowej, tudzież umiającego czytać i pisać członka gminy.

Oto główne przepisy projektu, który na pozór wyglądał bardzo niewinnie, ale de facto odrazu w dwóch wymienionych kuryach wyborczych wprowadza głosowanie powszechne, a nadto przygotowuje zniesienie dotychczasowych 4-ch kuryi wyborczych.

Terazniejsza ustawa wyborcza pochodzi z r. 1873, o ile przepisuje wybór bezpośredni 353 posłów z 4-ch kuryi wyborczych: wielkich posiadłości, izb handlowych, miast i okręgów wiejskich. Wszystkie odnośne przepisy należą do tych zasadniczych artykułów konstytucyi, do których zmiany potrzeba w izbie poselskiej większości $\frac{2}{3}$ części obecnych posłów. Natomiast tryb, jakim wybory odbywają się w każdej z wymienionych 4-ch kuryi, określa ordynacya wyborcza, która nie tworzy części konstytucyi i do której zmiany przeto wystarcza prosta większość głosów, ewentualnie zatem 51 głosów, ponieważ obecność 100 członków izby wystarcza do ważnych uchwał. Projekt z 10-go października mógłby więc zostać ewentualnie przeprowadzony prostą większością głosów, ponieważ co do formy nie zmienia artykułów konstytucyi; w rzeczywistości jednak całkiem zmienia jej ducha, odstępując od systemu *cenzusu* i udzielając masom głosowania powszechnego, a nadto przygotowuje radykalny przewrót konstytucyi, ponieważ, nadając w 2-ch ostatnich kuryach prawo głosowania 4 milionom wyborców, na przyszłość czyni niemożliwem zachowanie 2-ch pierwszych kuryi, liczących razem tylko około 6,000 wyborców, a wybierających trzecią część członków w izby.

Nie możemy skończyć tych uwag bez wzmianki o rozkładzie głosów na różne stronnictwa przy ostatnich ogólnych wyborach r. 1891. Z oddanych ogółem 304,501 głosów (w okręgach włościańskich policzone są głosy wyborców, nie prawyborców) otrzymali wtedy kandydaci niemieckiej lewicy 106,296 głosów, frakcyja niemiecko-narodowa 14,700, demokraci niemieccy 5,831, Niemcy konserwatywni 20,186, antysemita 38,358, wielcy właściciele z Czech i Morawii 1,918, członkowie koła polskiego 37,551, Staroczesi 20,402, Młodoczesi 28,852, Włosi 8,854, Słoweńcy 6,589, Ruscy 5,449, Chorwaci 3,348, Serbowie 966, socjaliści 3,848 (około 4,000 głosów rozstrzelonych).

Przedewszystkiem więc widzimy, że na podstawie dotychczasowych ustaw wyborczych socjaliści nie mają żadnych widoków zdobycia mandatów poselskich. Liczba osiągniętych przez kandydatów tej frakcyji 3,848 głosów, wobec ogólnej cyfry oddanych 304,501 ważnych głosów, jest tak nieznaczna, że prawie zupełnie znika. A nadto te głosy pochodzą tylko z kilku prowincyi, mianowicie: z Dolnej Austrii (Wiedeń) 578, z Tryestu 510, z Czech 1,921, z Morawii 210, ze Śląska 288, z Galicyi 238. Stosunkowo najpoważniej przedstawiała-by się ilość głosów socjalistycznych w Tryeście, jednakże prawdopodobnie nie były to tam rzeczywiście socjalistyczne, lecz tylko radykalne głosy. Dotychczas w izbie nie zasiada żaden socjalista; bo p. Perneudorfer, b. nauczyciel ludowy, i dr Kronawetter, radca magistratu, który w ostatniej swej mowie 24-go października bardzo szczerze oświadczył: „Wiem, że mnie uważają za błazna,“ — chociaż bardzo się zbliżają do socjalizmu, jednak dotąd nie należą wyraźnie do tego obozu.

Powyższe dane bezstronnym czytelnikom ułatwią samodzielny sąd o projekcie 10-go października. Poruszył on tak gwałtownie kwestyę reformy wyborczej, że parlament będzie zmuszony pomyśleć o znacznem rozszerzeniu prawa wyborczego. Najlogiczniejszym i najbardziej przystającym do historycznego rozwoju stosunków konstytucyjnych w Austrii środkiem reformy będzie niezawodnie utworzenie nowej 5-tej kuryi wyborczej. Zapewne w przyszłej kronice będziemy mogli zdać sprawę o przeprowadzonej według tej lub podobnej metody reformie ustaw wyborczych.

Ponieważ projekt reformy wyborczej tak silnie poruszył kwestyę zniweczenia, czy zachowania politycznego wpływu stanu mieszczańskiego, warto zapisać, jak się ten stan przedstawia w oświetleniu cudzoziemca, właśnie w tym względzie dokładnie poinformowanego. Mamy na myśli wydane w r. z. równocześnie w Berlinie i Londynie dzieło:

„Państwo Habsburgów“ („The realm of the Habsburgs“) Anglika Sidneya Whitmana. Z różnych oznak należało-by podejrzewać, że to przybrana firma, jak znana literacka firma „Comte Vasili.“ Zdaje się jednak, że p. Whitman, który cztery lata przedtem wydał podobne dzieło o cesarstwie niemieckim, rzeczywiście jako osoba istnieje. W każdym razie dzieło jego o Austrii zawiera takie szczegóły, których turysta obcy, choćby nawet przebywał tutaj kilka lat, nie był-by sam zdołał zebrać, i które zatem niewątpliwie zawdzięcza współpracownikom miejscowych literatów, najprawdopodobniej z obozu „Neue Freie Presse.“ To dostatecznie tłómaczy obfitość felietonistycznego materiału, a zarazem wyraźną, a ze strony Anglika dziwną tendencyjność, która czasem, jak zwłaszcza w rozdziale o szlachcie, przechodzi w karykaturę.

Stosunkowo najlepsze są trzy rozdziały o stanie średnim. Tutaj autor, czy bezimienny jego współpracownik wiedeński, przemawia widocznie na podstawie gruntownej obserwacji, bez uprzedzenia i bez zamiaru szkalowania. Jako główną ze stanowiska angielskiego wadę austriackich warstw średnich, autor podnosi brak przedsiębiorczości i energii w walce o byt. Ale ta opieszałość, czy wstrzeźliwość w konkurencyi, jego zdaniem, wpływa korzystnie na życie towarzyskie. W Austrii—powiada autor—znajduje się jeszcze warstwa mieszczan, którym myśl zwiększenia swych dochodów za pomocą wyzudanej spekulacji wydawała-by się niemoralną, na których nie oddziałują wcale głośnie nazwiska osób, wymienianych na afiszu nowej spółki akcyjnej. O takie rzeczy nie troszczą się oni wcale. Choćby byli biedni, nie wysilają się na blichtr, a nagłe zubożenie rzadko pomiędzy nimi się zdarza.—Pochwała taka ryczałtowa oczywiście mija się z prawdą. Dość przypomnieć powszechny, nie tylko w Wiedniu, lecz mniej więcej we wszystkich miastach, a nawet miasteczkach austriackich, dziki taniec około złotego cielca przed wielkim „krachem“ r. 1873. Zapewne, jak w innych stanach, tak też w mieszczańskim, jeszcze chciwość zysku i nałóg do spekulacji nie zapanowały tak stanowczo, jak w państwach zachodnich, bo tutaj jeszcze życie łatwiejsze i jeszcze sroga walka o byt nie rozwinęła wszystkich złych instynktów ludzkich; atoli było-by przesadą wystawiać specjalnie średnie warstwy ludności austriackiej, jako idealny wzór bezinteresowności.

Również nie można brać na seryo twierdzenia autora, że tutaj nie demoralizują ludności wyścigi i pijaństwo. Może nie w takim stopniu, jak w Anglii; ale wystarczy choć raz przypatrzeć się wyścigom na Freudenu, a potem przejść się w niedzielę wieczorem po Wurstelpraterze, albo też w jesieni po odległych przedmieściach, gdy w niezliczonych szynkach ogródkowych zaczynają sprzedawać świeże wino („der

höchste heurige“), aby się przekonać, że owa pochwała, zwłaszcza Wiedeńczykom, należy się tylko pod pewnemi zastrzeżeniami.

Natomiast autor ma słuszną, gdy mówi: wszędzie w kraju spostrzegamy owe obejście uprzejme, które mianowicie cechuje Wiedeńczyków. To jest jedna z głównych przyczyn, że turystom tak wielce przypada do smaku pobyt w Wiedniu, kiedy np. w średnich warstwach Niemiec, odkąd w roku 1870 tak szczęśliwie „konkurowały“ w wojnie, wyraźnie wzmaga się szorstkość i pyszałkowatość.

Inną znaczącą cechę miast austriackich tworzy liczna jeszcze klasa patrycyuszów mieszczańskich. Po przykład trzeba nam sięgnąć aż do owych dalekich czasów, gdy nasi książęta handlowi mieszkali jeszcze na pierwszym piętrze swych kantorów, gdy miasta, jak Bristol, Edynburg, York, Londyn i t. d. miały poważne reprezentacje komunalne, złożone z potomków znanych powszechnie i oddawna osiadłych na miejscu rodzin. „Rajca“—był to wtedy zawsze dżentelman, człowiek charakteru i znaczenia. My te rodziny znamy już tylko z opowiadań. Najlepsze z nich wyniosły się na wieś, nabyły grunta, zwały się ze szlachtą; tak nasze miasta utraciły kość pacierzową charakteru i znaczenie.

W Austrii przeciwnie dotąd miasta posiadają swą arystokrację patrycyuszowską właścicieli kamienie, stanowczo różną od wiejskiej szlachty. Istnieje ona od dawna, nawet ze średnich wieków, gdy fale handlu światowego ze wschodu przez porty włoskie docierały do miast niemieckich i austriackich. Wystarczy spojrzeć na okazałe ratusze, znajdujące się we wszystkich większych miastach austriackich, aby zrozumieć, że te warstwy mieszczańskie przez wiele pokoleń reprezentowały wielką sumę energii, wykształcenia i bogactwa. Dzisiaj w radach komunalnych miejsce dawnych rodów zajęli wyżsi urzędnicy, przemysłowcy, reprezentanci nauki, rzemieślnicy i kramarze, ale w życiu towarzyskiem patrycyusze miejscy przechowali dawne zwyczaje. Nie naśladują oni szlachty wiejskiej, nie przybywają do stolicy, aby swe żony i córki przedstawiać u dworu i pokazać się w modnym świecie. Unikają zbytku i wszelkiej przesady. Nie posyłają swych synów do najwykwintniejszych zakładów naukowych jedynie po to, aby tam zjednali sobie względy paniczów i już na wstępie życia nauczyli się rzemiosła lokajów. Wszystko to tłumaczy, dlaczego rozwiąłość stołeczna nie wywarła szkodliwego wpływu na te warstwy średnie.

W rodzinach tych muzykę pielęgnowują jako sztukę. Często syn albo córka na tem polu dorównują artyście. Pomimo tego, córki te otrzymują wychowanie gospodarskie. Przy stole prowadzą dozór nad służbą, często usługują gościom. Pomimo tej nibyto skromnej pozycyi w domu, nie zapominają, czem są. Pewna zdrowa duma kieruje ich

wyborem męża. W austryackich warstwach średnich są niewiasty, zdolne zawrócić głowę najtwardszemu staremu kawalerowi i sprawujące, że magnaci, nawet książęta udzielnych rodów, zapominają o wszystkim, co ma związek z ich urodzeniem, pozycją towarzyską i pałacami, byle z jedną z nich używać szczęścia domowego. A jednak koła te zupełnie są wolne od ambicyi wydania swych córek za mąż po-nad stan. Mieszczanie austryaccy dziwnie są nieprzystępni żądzy wspinania się wyżej, uzyskania szlachectwa i wbicia się pomiędzy tak zwane wyższe stany. Znany mieszczan austryackich, którzy, posiadając order Korony Żelaznej, mają prawo zaliczać się do szlachty, a jednak nie zdobywają swego nazwiska zgłoszą „von.“ (Są to — białe kruki, bo na prawdę w Wiedniu każdy przyzwoicie ubrany człowiek bywa tytułowany „Herr von“ i przyjmuje to jakoby rzecz, która się rozumie sama przez się). Ale bardziej znaczącym jest fakt następujący: W Wiedniu książę z dawnego panującego domu prosił o rękę córki aktora. Dzielny ten ojciec długo się namyślał, zanim przyzwolił. Rozwahał on przedewszystkiem, czy córka jego będzie szczęśliwa. W czasach — woła autor patetycznie, — gdy u nas 80-letni biskupi lub milionerzy prowadzą do ołtarza 18-letnie panny, w tej zastarzałej Austrii znajduje się jeszcze ubogi aktor, który się waha oddać córkę księciu, z obawy, że mogła-by nie być szczęśliwą!

Aczkolwiek rodziny patrycyuszów wyższem wykształceniem różnią się od swych skromniejszych współobywateli, wcale się jednak od nich nie oddzielają. Na balach, maskaradach i t. d., każdy, kto zapłaci bilet wstępny, jest równym. Drobnym sklepikarzem dumnie prowadzi do tańca żonę najbardziej wpływowego patrycysza. Możliwym jest to tylko dlatego, ponieważ wszystkie warstwy odznaczają się przyzwoitem obejściem. Wpływ społeczny patrycyszów przyczynia się do tego, że administracja miejska spoczywa w czystych rękach. One zwyczajem opierają się małodusznyemu wpływowi biurokratycznemu. Dumny „radca cesarski,“ zwykle zbogacony fabrykant lub przedsiębiorca, choćby hojnemi składkami wybijał się na wierzch, rzadko będzie wybrany na burmistrza większego miasta. Mieszczan nie olśniewa jego hojność, potrzebują oni innego rodzaju mężów. Najczęściej burmistrzów dostarcza patrycyat miejski. Posiadają oni zwykle wykształcenie i przyrodzoną powagę, przypominają poniekąd czasy, gdy dygnitarze służyli miastom żelaznym charakterem, a często silną dłońią, dźwigającą miecz w obronie murów miejskich; ale nie świecili objętością żołądka, gładkością języka, albo pełną kieszenią. — I tu autor-moralista przesadza, aby niektórym wadom angielskim przeciwstawić wyidealizowany obraz stosunków austryackich, chociaż wogóle można przyznać, że wybrani naczeln-

nicy większych miast austriackich odznaczają się osobistą powagą i pięknymi przymiotami.

Pochwały te były-by ekliwym panegirikiem, gdyby p. Whitman nie był także podniósł ujemnych stron mieszczaństwa austriackiego. Wspominając o przesadnej czułości austriackiej, zaznacza, że często przechodzi ona w sentymentalność, a w dalszych stopniowaniach w przemądrzałość, podejrzliwość, aż do brzydkich wad zazdrości, fałszu, obłudy i oszczerstwa, w których błocie wegetują, jak żaby, denuncyanci, kłamcy i inni tego kalibru. Przytaczając jako dowód przesadnej nibyto sentymentalności fakt, że wstępującego na rusztowanie mordercę, listonosza Francesconiego, w ostatniej chwili pocałował prokurator, autor chybił celu, zwłaszcza, że rzecz miała się odwrotnie. Na dowód przemądrzałości autor opowiada: gdy urzędownie ogłoszono, że arcyksiążę Rudolf popełnił samobójstwo, co psychologicznie było aż nadto zrozumiałem (?), nikt z mieszczan nie chciał temu dać wiary. „Za jakiegoż błazna—mówili—uważasz mnie? Oczywiście Rudolf został zastrzelony przez zazdrosnego wieśniaka.“ W tym razie jednak chłopski rozum okazał się zdrowszym (?), niż mądrość mieszczanina. „Co?—rzekł pewien włościanin z Meyerlingu,—ktoś z nas miał go zamordować? Miły Boże, przecież chętnie byli-byśmy mu oddali nasze córki!“ Podobne płaskie dowcipy zwiększają podejrzenie nasze, że wrzekomy Anglik czerpał z bardzo mętnych brukowych źródeł tutejszych. W tem ma jednak rację, że wskutek dawnego systemu biurokratycznego, a po części wskutek przyrodzonych niektórym plemionom austriackim wad, skłonność do kłamstwa, a zatem też do podejrzliwości, dotąd stanowi tutaj jedną ze znamiennych cech. Mianowicie w sprawie tragicznej śmierci arcyksięcia Rudolfa, według naszych osobistych doświadczeń, owa podejrzliwość zaznaczyła się najdobitniej tem, że gdy pierwsze depesze donosiły o jego nagłej naturalnej śmierci, co nieuprzedzonym powinno było wydawać się najprawdopodobniejszem, nikt tutaj nie dawał tym doniesieniom wiary, lecz każdy domyślał się natychmiast innej, mniej prostej przyczyny śmierci. Tradycyjna nieufność wobec ogłoszeń urzędowych, a z drugiej strony przyrodzony nałóg domyślania się brzydkich rzeczy, złożyły się w tym razie na to, aby... przeczuć prawdę, ale też w stu innych przypadkach sprawiają, że prawda bywa zaćmioną plotkami, kłamstwami, lub awanturnikami szczegółami.

Warto jeszcze podnieść bardzo trafną uwagę autora o demoralizującym wpływie pieniędzy papierowych w Austrii: „Powiadają, że państwo z waluty papierowej ma rocznego zysku 30 do 40 milionów (?). Z pewnością jednak kraj więcej, niż tę sumę, traci wskutek złowrogiego wpływu waluty papierowej na charakter ludności. Bo jest faktem, że

choć Austriacy nie produkują o wiele więcej, niż mała Belgia, często za swego florena nie nabywają tyle, co my za 6 pensów ($\frac{1}{2}$ florena). Oswojenie z podartemi, brudnymi banknotami sprawia, że 10-cio florenówkę wydawają z lekkomyślnością, która zadziwia obcego.—Było to pisane przed uporządkowaniem waluty, ale i teraz, wskutek błędnie przeprowadzonej przez ministra Steinbacha reformy, w tej mierze nie nastąpiła pomyślna zmiana.

Znużony modnemi utyskiwaniami pessimistów na niedolę ludzką i świat przewrotny, Sir John Lubbock, baronet i członek parlamentu, w r. 1890 zabrał się do wykazania odwrotnej strony medalu. W tym celu napisał pod tytułem: „The pleasures of life“ dzieło, które w ciągu dwóch lat doczekało się 20-tu wydań, co świadczy, że przynajmniej naród angielski nie stał się jeszcze głuchym na głosy optymistów. Prawda, że w Anglii optymizm zawsze znajdował gorliwych i wymownych obrońców. Niektórzy z nich byli bardzo skromni, jak np. słynny ekonomista, Adam Smith, który zapytuje: „Czegoż jeszcze do szczęścia potrzeba człowiekowi zdrowemu, bez długów, a z czystym sumieniem?“ Sir John Lubbock, mniej skromny, zestawia długi szereg innych czynników szczęścia ludzkiego, jak: książka, przyjaciele, gimnastyka, podróże, sztuka, urocza natura, zdrowa ambicja, nakazująca odważnie dążyć do raz obranego celu, regularne życie, miłość etc.

Zacięty pessimista odpowie, że to wszystko „szara“ teoria! Ale otoż mamy przed sobą autobiografię znanego męża ¹⁾, która to wszystko, co w dziele optymisty angielskiego mogło-by się wydawać jako piękne marzenie, przedstawia nam jako najrealniejszą rzeczywistość—autobiografię Alfreda Arnetha. Dostępił on wszystkiego, co tworzy cel nawet wygórowanej ambicji: sławy najznakomitszego dziejopisarza austriackiego, a jednego z najpierwszych w Europie, godności prezesa akademii umiejętności, urzędu dyrektora tajnych archiwów cesarskich, tytułu tajnego radcy, krzesła w izbie panów; przytem doczekał się wnucząt i posiada tak liczne grono osobistych przyjaciół i przyjaciółek, że obejmuje ono mniej więcej wszystkie wybitniejsze osobistości obojczy płci nie tylko w Wiedniu, ale także w prowincjach (przynajmniej niemieckich!).

Ostatecznie i tak szczęśliwy, pogodny schyłek życia mógł-by być okupionym długiem pasmem zaciętej walki, tragicznych cierpień, ubli-

¹⁾ „Aus meinem Leben,“ von Alfred Ritter von Arneth. 2 tomy Stuttgart, 1893 r.

żających prawdziwej godności człowieka intrygi i zabiegów i t. d.; bo, jak śpiewa autor „Myszeidy“

„Szczęścia na świecie drogi kręte, ślizkie,
A każdy chciwie do mety się śpieszy!”

Ale, nie! od kolebki aż do 70-go r. życia szczęście sprzyja Arne-
thowi; zwolna, ale bez wszelkich katastrof i nagłych zwrotów, drogą,
zaslaną kwiatami, a wolną od cierni, wstępował na te wyżyny, z któ-
rych teraz pogodnym i rozczulonem okiem spogląda wstecz, dzieląc się
swemi miłemi wspomnieniami z publicznością.

Nikt sobie nie wybiera rodziców, gdyby wszelakoż wybór był mo-
żliwy, to należało-by przyznać, że sławnemu dziejopisowi doskonale się
udał. Urodził się tutaj 10 lipca 1819 r., jako drugi syn kustosza a później-
szego dyrektora ces. gabinetu monet i starożytności, Józefa Arnetha
i Antoniny z Adambergerów. Ojciec był mężem uczonym, autorem
cennych dzieł historycznych, jednym z pierwszych członków założonej
później akademii umiejętności, człowiekiem rozważnym, który w sposób
najodpowiedniejszy umiał pokierować wychowaniem swych dwóch sy-
nów. Matka, zanim w roku 1817 wyszła za Arnetha, zdolna, piękna
i stawiana powszechnie za wzór obyczajności, przez lat kilka jako
młodziutka heroina teatru cesarskiego wprawiała w zachwyt cały Wiedeń.
Nadto najczystsza woń poezji — ta sama aureola, która spoczęła
na skroni Maryli! — ozłacała tę prawdziwie idealną kobietę. Antonina
w 15-ym roku życia (r. 1805) w rolach epizodycznych po raz pierwszy
wystąpiła w teatrze cesarskim; kształcąc się następnie pod kierownictwem
znakomitych nauczycieli, mianowicie poety Collina, w r. 1809 już
est pierwszą heroiną teatru ces. i ulubienicą publiczności. W styczniu
r. 1812 przybywa z Drezna do Wiednia 21-letni szlachetny poeta, Teo-
dor Koerner, i przy pierwszym spotkaniu się na próbie w teatrze, młoda
para płonie gorącą miłością. Pod koniec roku nastąpiły zaręczyny, na
wiosnę 1813 roku młody poeta wyruszył na wojnę i 26 sierpnia poległ
w bitwie z Francuzami w Meklemburgii. W całych Niemczech boha-
terska śmierć zdolnego poety wywołała głęboki żal; w Wiedniu z za-
chwytem, który dotąd obudzała jego „Toni“ w Burgu, połączyła się
głęboka, serdeczna litość ¹⁾). Odtąd jeszcze goręcej obsypywano nie-
szczęśliwą heroinę oklaskami, a każde jej słowo, zawierające aluzję do

¹⁾ Jak żywo w Wiedniu przechowała się pamięć stosunku panny Adamberger do Koenera, o tem świadczy następujący wypadek: W r. 1863 w Woebbelinie obcho-
dzono uroczystość półwiekowej rocznicy śmierci Koenera. Pani Arneithowa wprawdzie
nie przyjęła zaproszenia na tę uroczystość, ale posłała wieniec. Po uroczystości pre-

jej bolesnej straty, wśród widzów wywoływało oznaki najżywszego współczucia. Ostatecznie w młodym, skromnym a poważnym Arniecie panna Adamberger poznała odpowiedniego towarzysza życia; 17-go czerwca 1817 roku po raz ostatni występowała w teatrze (trzeba odczytać jej własny wzruszający opis tego występu, umieszczony w pamiętnikach syna, t. I, str. 53) i we dwa dni potem odbył się ślub jej z Arnethem.

Dziad jej, Jaquet, był rodowitym Francuzem, naprzód urzędnikiem w Węgrzech, potem znakomitym aktorem teatru cesars.; ojciec, Adamberger, był pierwszym tenorzystą opery cesars., matka heroiną teatru ces. Arneth pochodził z włościańskiej rodziny w Górnej Austrii. Tak krew francuska, wydoskonalony w trzech pokoleniach zmysł artystyczny po matce, tudzież zdrowa, jędrna krew włościańska Szwajcaryi austriackiej, zlały się w przyszłym dziejopisarzu, mistrzu wykwintnego stylu, mężu benedyktyńskiej pracowitości, a przytem światowym elegancie.

Nie możemy naturalnie streszczać dwóch tomów pamiętników Arnetha. Tylko niejako ramy tej biografii wolno nam nakreślić. Ze starszym bratem niższe klasy gimnazyalne odbywa w Wiedniu, wyższe w gimnazyum Benedyktynów, w sławnym klasztorze Kremsmuenster. Wakacye schodzą im na wycieczkach z rodzicami do opactwa ś-go Floryana, gdzie zacny stryj jest opatem, do rodziców ojca i do innych romantycznych okolic Górnej Austrii. Uczęszczają potem na wszechnicę wiedeńską, starszy na wydział lekarski, młodszy na prawniczy. Równocześnie uczą się pływać, konnej jazdy, języków: włoskiego, francuskiego, przyczem pomaga matka, i angielskiego. W czasie wakacyi z kolegami odbywają dalekie wycieczki do Szwajcaryi i Włoch. Zimą wieczorki spędzają z rodzicami w najlepszych domach patrycyatu społecznego, a nadto, dzięki ścisłej, dozgonnej przyjaźni, jaka łączyła ojca z księciem Dietrichsteinem, dostępują sposobności zajrzenia zawczasu do świata arystokratycznego.

Ukończywszy w tak pomyślnych warunkach studia uniwersyteckie, Alfred 7 sierpnia 1840 roku wstępuje do tak zwanej *Kamery* (po dzisiejszemu: ministerjum skarbu), ale jeszcze pod koniec tegoż roku przenosi się do archiwum państwowego, zostającego pod dyrekcją ministra spraw zagranicznych. Śpieszno mu było do urzędu, bo już od

zes komitetu, dr Foerster, przesłał jej depeszę z podziękowaniem. W pośpiechu nie umieścił innego adresu, tylko: „Do Toni, narzeczonej Koernera, w Wiedniu.“ Pierwszego dnia służy biura telegraficznego daremnie szukał zagadkowego adresu; ale na-
zajutrz istotnie przyniósł depeszę Arnothowi.

roku pokochał Annę Schaefferównę, córkę znakomitego lekarza, którą też, pomimo pewnego oporu ze strony swego ojca, w maju r. 1844 poślubił. Następne lata schodzą mu na gruntownych historycznych studiach w archiwum. Wypadki marcowe roku 1848 wita z radością, jednakże jego umiarkowany, że się tak wyrazimy, estetyczny liberalizm niebawem oburza się na wykrzyki ulicznych demagogów. Wybrany na posła do sejmu niemieckiego we Frankfurcie, młody Wiedeńczyk zdobywa tam poważne stanowisko. Odnosne rozdziały jego autobiografii zawierają mnóstwo ciekawych szczegółów.

Była chwila, gdy się zanośliło na mianowanie go szefem gabinetu ówczesnego gubernatora Niemiec, arcyksięcia Jana. Nadzieja ta zawiodła, ale z wyżyn swej dzisiejszej pozycji Arneth filozoficznie mówi: „Często, wspominając o tej chwili, poznaję, że wtedy stałem u zwrótu w moim losie. Gdyby ów plan był dopisał, był-bym wszedł na całkiem odmienną drogę, niż ta, którą później postępowałem. Że z początku owa droga była bardzo przyjemną i obiecywała korzyści, na które długo musiałem czekać, nie ulega wątpliwości; ale trudno powiedzieć, jaką była-by się okazała później, a nawet wolno wątpić, czy był-bym się stał szczęśliwszym, niż się rzeczywiście stałem.“

Można-by zrobić uwagę, że dziś J. Ekscelencyi p. Arnethowi bardzo łatwo z taką rezygnacją wspominać o niedoszłych w r. 1848 marzeniach ambitnych. Lecz on i wtedy z tą samą wyrozumiałością przyjął wyrok losu, nie oburzał się, nie zrywał stosunków, nie przerzucił się w odmienną stronę. Młody poseł, który był zwrócił na siebie uwagę w parlamencie, skromnie powraca do Wiednia i przez długie lata z wzorową pilnością spełnia obowiązki podrzędnego urzędu w archiwum. Ale prawda, że tymczasem krok za krokiem zdobywa sławę dziejopisarza. Z kolei zjawiają się jego cenne monografie: „Hr. Gwido Stalremberg“ (1853), „Książę Eugeniusz Sabaudzki“ (1858—59, 3 tomy), wreszcie monumentalne „Dzieje Maryi Teresy“ (1863—79, 10 tomów). Pomijamy liczne inne jego publikacje, których dopytać się można w każdej encyklopedyi. Dość, że każda z nich wywołuje najpochlebniejsze zdanie krytyki, w coraz szerszych kołach ustala sławę pracowitego męża, napełnia go otuchą i odwagą podjęcia się coraz trudniejszych na tem polu zadań.

Gdybyśmy nie wiedzieli, że uczciwa, wytrwała praca nie tylko nie niweczy sił ludzkich, lecz je przeciwnie coraz bardziej hartuje i potęguje, trudno było-by pojąć, jakim sposobem ten dyrektor archiwów cesarskich (dopiero w r. 1860 został wicedyrektorem, a w r. 1868 dyrektorem) mógł corocznie wydawać co najmniej tom gruntownych, opartych na długich poszukiwaniach, dzieł historycznych, równocześnie

zasiadać w sejmie dolnorakuskim (od r. 1861), jako członek wydziału krajowego kierować wszystkimi szkołami krajowymi tej prowincyi, zajmować się reorganizacją akademii umiejętności, utrzymywać stosunki towarzyskie z całym wielkim światem tutejszym, a nadto z żoną i dorastającą córeczką jedynaczką odbywać corocznie dalekie podróże po Austryi, Szwajcaryi i Włoszech! P. Arnethowi na to wszystko starczyło czasu.

Ze ten mąż nie dobijał się znaczenia ani pochlebstwem, ani zapieraniem się swych przekonań politycznych, ani wycieraniem przedpokojów możnych, o tem dostatecznie świadczy stosunkowo powolny jego pochód do mety. Sam o sobie powiada (tom II, str. 171): „Nie wiem, czy to duch oporu, czyli też inny chwalebniejszy przymiot, dość, że upadłe wielkości zawsze na mnie wywierają szczególny wpływ przyciągający. Dopóki ktoś znajduje się u zenitu swej potęgi i blasku, w środku hołdów, składanych mu ze wszystkich stron, rzadko czuję do niego sympatyę i zasadniczo pozostaję w oddaleniu od niego. Ale skoro jego wielkość minęła, wtedy dopiero obudza się we mnie sympatya dla niego i pragnę się zbliżyć do niego, bo jestem pewny, że mu to bliżenie sprawi przyjemność.“

Oprócz własnych, niepospolitych zdolności i zacnego charakteru, wszędzie Arnethowi drogę torował dobroczynny wpływ jego rodziców. Na każdej stronie jego autobiografii widzimy, jakie to nieocenione skarby rodzice pozostawić zdolni są swym dzieciom jedynie w tej przyjaźni ludzkiej, którą sobie umieli zjednać. I tak np. w r. 1872 Arneth, jako reprezentant akademii wiedeńskiej, udaje się do Brukselli na uroczystość 100-letniego jubileuszu tamtejszej akademii. Po wygłoszeniu przezeń mowy francuskiej, wszyscy obecni otaczają go z zapalem, ściskają go, dziękują mu. Gdy wzruszony temi oznakami mówca chciał uniewinniać niepoprawność niektórych zwrotów, jeden ze słuchaczy woła: „Ach, cóż to znaczy! Mówiłeś do nas językiem serca, każdy go rozumie i każdego on porywa.“ Wtem przystępuje do niego 90-letni prezydent akademii brukselskiej, d'Omalius d'Halloy, i oświadcza mu, że nie tylko nazwisko, lecz więcej jeszcze wzięcie i sposób mówienia, przypomniały mu niewiastę, z którą przed 35 laty odbył podróż z Monachium do Salzburga i której obraz pozostał niezatarty w jego pamięci. „To wskrzeszenie obrazu mojej matki w owej chwili wzruszenia i sukcesu—powiada autor—sprawiło na mnie wrażenie niesłychanie silne i z wezbranemi uczuciami pomyślałem o tej, której również zawdzięczam trochę znajomości języka francuskiego. Dobroczynna pamięć rodziców prowadzi mnie przez życie, bo także ojca mego w kołach uczonych paryskich, które odwiedziłem, wspominają z najwyższym szacunkiem.“

„Des Lebens ungemischte Freude ward keinem Sterblichen zu Theil,“

powiedział poeta niemiecki. To też i w szczęśliwym żywocie Arnetha jest chmurka: żona jego po stracie synka wpadła w ciężką melancholię, która z krótkimi przerwami trwała aż do jej śmierci. Pomimo tego, szczęśliwy starzec nigdy nie przestał „po ludziach i stosunkach spodziewać się zawsze najlepszego“¹⁾.

E. LIPNICKI.

¹⁾ Gdybyśmy się nie obawiali zanadto rozszerzać ramy niniejszej kroniki, należało-by przeprowadzić paralełę pomiędzy Pamiętnikami Arnetha, a pośmiertnymi pamiętnikami zmarłego w roku 1891 b. ministra, na początku zaś r. 1870 prezesa gabinetu, Leopolda Hasnera („Denkwuerdigkeiten“ von Leop. v. Hasner, Stuttgart, 1892). I ten mąż, syn sędziego, wznosił się powoli na wyżyny społeczno. I w jego życiu melancholia żony tworzy główną klęskę. Jednakże pamiętniki Arnetha czytają się, jak barwny romans, czego nie można powiedzieć o aforystycznych, przeważnie suchych, chociaż także bardzo ciekawych, pamiętnikach Hasnera.

Uzdolnienie i rozwój umysłu filozoficznego.

Zadania filozofii rozwiązane być mogą jedynie przez żywą, odpowiednio uzdolnioną i rozwiniętą osobistość. Wszelkie traktaty o filozofii, nie uwzględniające umysłu filozofującego, pozostają w sferze oderwanej i nie mogą nabrać konkretnej życiowej doniosłości. Filozofia wytwarza się i rozwija w filozofie; po-za nią jej niema wcale. Najgłębsze myśli, najgruntowniejsze poszukiwania, złożone w dziełach filozoficznych, nie istniały-by wcale bez umysłu filozoficznego, i po-za umysłem, odtwarzającym w sobie ich treść, są martwą literą, materią, trupem, pozbawionym ducha. Dopiero osobistość myśląca nadaje tym martwym znakom treść, ożywia je, rozumie ich znaczenie i korzysta z nich dla swego duchowego rozwoju. Więc prawdziwą życiową doniosłość posiada nie filozofia złożona w książkach, lecz filozofia, jako objaw umysłu, w nim żyjący i działający.

Filozofia nie jest jakąś istotą oderwaną, istniejącą niezależnie od umysłu, zajmującego się rozwiązaniem zagadnień filozofii, pracującego nad nią, filozofującego. *Filozofia* istnieje tylko o tyle, o ile istnieje *umysł* filozoficzny, odpowiednio uzdolniony i rozwinięty. Wszystkie pojęcia i zdania o filozofii, wygłaszane na podstawie badań teoretycznych i historyczno-krytycznych, znajdują swoje faktyczne i życiowe wyjaśnienie dopiero przez rozbiór czynników, uzdalniających umysł do filozofowania. Stąd pochodzi konieczna potrzeba uzupełnienia wszelkich poszukiwań nad filozofią rozbiorem *umysłu filozoficznego*, jego

uzdolnienia i rozwoju. Ma to być właśnie przedmiotem niniejszej rozprawy.

1. Główne typy uzdolnienia filozoficznego.

Jak wszelkie czynności, mające na celu rozwiązanie pewnych określonych zadań, tak i filozofia wymaga szczególnego uzdolnienia umysłu. Stanowi ono pierwszy warunek samodzielnej pracy nad filozofią, t. j. filozofowania. Od jasnego poglądu na psychologiczne czynniki tego uzdolnienia zależy bliższe określenie warunków jego rozwoju, oraz świadome wdrożenie się umysłu w ową pracę myśli, która wydaje filozofię.

W swym faktycznym dziejowym rozwoju filozofia uwydatnia tak bogatą i różnorodną treść, tak rozliczne strony życia umysłowego, że sprowadzenie wszystkich jej objawów do jednego ogólnego typu umysłowego jest rzeczą niemożliwą, i nadto nie doprowadziło-by nas do celu, gdyż zamiast żywej osobistości przedstawiło-by nam znowu tylko ogólnikową abstrakcyę, pozbawioną konkretnej, życiowej prawdy. Ile jest różnych zasadniczych dążeń filozoficznych i różnych filozofii, tyle też możemy rozróżnić typowych osobistości, umysłów, pracujących nad filozofią. A chociaż we wszystkich tych typach napotkamy niewątpliwie pewne wspólne rysy, właściwe każdemu filozofowi; podobnie jak we wszystkich szczegółowych zadaniach filozofii i w różnych poglądach filozoficznych występują na jaw pewne ogólne rysy filozofii, jako odrębnego objawu życia umysłowego, to jednak te rysy ogólne umysłu filozoficznego indywidualizują się z natury rzeczy w każdej pojedynczej żywej osobistości i przyjmują jej tylko właściwy, zupełnie szczegółowy charakter.

Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że im wyższe jest uzdolnienie umysłu filozoficznego, im osobistość filozofa stoi na wyższym szczeblu rozwoju, tem harmonijniej jednoczą się w nim różne typowe dążeń filozofii, tem ściślej skupiają się w jego indywidualności takie rysy, które zazwyczaj rozstrzeliwają się w pojedynczych umysłach filozoficznych, nieuzdolnionych tak bogato i wszechstronnie. Geniusz filozoficzny, przybliżający się w swym rozwoju umysłowym i w życiu do ideału filozofa, przedstawia nam w samej rzeczy takie skupienie główniejszych czynników uzdolnienia filozoficznego i staje się wskutek tego gwiazdą przewodnią na drodze do możliwie wszechstronnego rozwiązania zadań filozofii. Ale i geniusz, jako żywa osobistość, uwydatnia zawsze tylko pewne rysy indywidualne, więc szczegółowe, a zatem wznieść się nie może na szczyt bezwzględnej doskonałości, obejmującej

wszystkie typy uzdolnienia filozoficznego w organicznem zespoleniu i w najwyższym stopniu rozwoju. Więc, pomimo bogatych swych zasobów, i geniusz przedstawia tylko pewne strony życia umysłowego filozofa, podpada pod jeden z charakterystycznych typów uzdolnienia filozoficznego.

Z istoty filozofii i jej zadań wynikają pewne rysy zasadnicze umysłu, zajmującego się filozofią, a zatem charakteryzujące filozofa, myśliciela wogóle. Ponieważ zaś bez szerokich wywodów zgodzić się można na to, że filozofia jest objawem samodzielnej myśli, dążącej przy pomocy krytyki do ogólnego na świat poglądu, przeto wynika z tego, że filozof odznaczać się wiuen: 1-o samodzielnością i niezawisłością sądu, 2-o zmysłem krytycznym, i 3-o dążnością do myślowego objęcia zasadniczych kwestyi wiedzy ludzkiej, do wytworzenia jednolitego na świat poglądu.

Pierwszy z tych czynników, t. j. samodzielność i niezawisłość sądu, wypływa ze zdolności do myślowej inicjatywy, do pewnego samorzutnego rozwoju myśli bez względu na utarte drogi i powszechnie przyjętą rutynę. Zdolność tę możemy nazwać *dyalektyczną*, ponieważ najwybitniejszym jej objawem jest *dyalektyka*, t. j. działalność umysłu, wysnuwająca szeregi myśli z własnych zasobów umysłowych w kierunku podmiotowym, odpowiadającym indywidualnemu nastrojowi danej osobistości i doprowadzającym do logicznego *prawdopodobieństwa*. Umysł dyalektyczny czerpie ze świata przedmiotowego, z danych życiowych i naukowych, tylko podniecię do samodzielnego rozwoju myśli, stosownie do własnych potrzeb, a czasem i zachcianek, więc nie występuje ze sfery czysto podmiotowych kombinacji myśli.

Zmysł *krytyczny*, jako druga cecha charakterystyczna umysłu filozoficznego, łączy się jak najściślej z dążnością *badawczą* myśli. Wszelkie badanie opiera się na rozbiórce badanego przedmiotu, czy to będą zjawiska świata zewnętrznego, czy też objawy umysłowe, myśli, idee, poglądy, teorie. Umysł filozoficzny nie przyjmuje, wedle możliwości, żadnej treści bezpośrednio, w skończonej formie lub na wiarę, lecz rozpoczyna od wątpienia i poddaje wskutek tego wszystko badaniu czyli rozbiórowi; tylko wyniki badania, rozbióru, t. j. krytyki, uznaje za prawdę i przyjmuje za podstawę do dalszych poszukiwań i wywodów.

Ostatni ze wspomnianych czynników, t. j. dążność do objęcia zasadniczych kwestyi wiedzy ludzkiej i do wytworzenia jednolitego na świat poglądu, ma charakter *konstrukcyjny*, budujący, i znajduje swój wyraz w systematycznym całokształcie wiedzy, w nauce filozoficznej. W tej tylko formie można przedstawić ogólny, a przytem jednolity w sobie pogład na świat.

Nie trudno wykazać, że ta dążność konstrukcyjna stanowi w normalnej organizacji umysłu filozoficznego konieczne uzupełnienie poprzednich rysów.

I tak, samodzielność sądu i podmiotowa dyalektyka wyodrębniają filozofa często zbyt silnie od świata przedmiotowego. Wskutek jednostronnego rozwoju indywidualności w tym kierunku, filozof staje się łatwo *oryginałem* w złem znaczeniu tego słowa, t. j. osobistością dziwaczną, w sobie zamkniętą, żyjącą prawie wyłącznie swem podmiotowym, jednostkowym życiem, a wskutek tego nietylko odosobnioną w stosunkach towarzyskich i społecznych, lecz i pod względem umysłowym oderwaną od naturalnej łączności ze sposobem myślenia i z dążnościami reszty ludzi. Takiemu odosobnieniu i zdziwaczeniu, podkopującemu działalność filozofa na otoczenie, przeciwdziałać może tylko żywy udział filozofa w sprawach ludzkich i dążność przedmiotowa do wytworzenia jednolitego na świat poglądu, obejmującego wszystkie wydatne zasoby życia umysłowego. Dzięki tej dążności, filozof prawdziwy nie lubuje się zbyt jednostronnie w swych oryginalnych i jednostkowych pomysłach, w swej podmiotowej dyalektyce, lecz staje się myślicielem, skupiającym w sobie, wedle możliwości, jak najszerszy zasób wiedzy przedmiotowej oraz pracę myśli całej ludzkości i szuka w tych czynnikach uzupełnienia i krytycznego sprawdzianu własnych pomysłów.

Z drugiej strony, zmysł krytyczny zaszczerpia w filozofa zbyt łatwo nawyknięcie do bezwzględnego wątpienia, do zaprzeczania wszystkiemu, bez należytego usprawiedliwienia takiej tendencji negacyjnej. Rozbiorowa, krytyczna działalność, z natury swojej, ma charakter destrukcyjny; daną żywą całość rozkłada na części i cząsteczki, na pierwiastki, ale o proces powrotny złożenia znowu całości z rozdrobionych części mało się troszczy. Jednostronnemu rozwojowi tej krytycznej i negacyjnej tendencji przeciwdziała również zaznaczona dążność konstrukcyjna, dążność do ogólnego na świat poglądu. Pod jej wpływem filozof prawdziwy nie kontentuje się krytyką negacyjną, rozbiorem elementów wiedzy, lecz czuje zarazem potrzebę odbudowania w myśli swojej rzeczywistego świata, rekonstrukcji pierwotnej całości, krytycznie rozebranej. Dopiero ta dążność doprowadza myśliciela do możliwego rozwiązania zadań filozofii w duchu prawdziwie pozytywnym; ona jedynie zdolną jest zadowolić zupełnie umysł swoją treścią dodatnią, budującą, wznoszącą ducha w dziedzinę dostępną dla człowieka prawdy.

Chociaż z powyższego się okazuje, że każdy filozof, pragnący wszechstronnie rozwiązać zadania filozofii, posiadać winien w pewnym stopniu zarówno zdolności dyalektyczne, jak i zmysł krytyczny i dą-

żność konstrukcyjną, to jednak w życiu, w rzeczywistych dziejach filozofii, nie napotykamy osobistości, władającej wszystkimi temi czynnikami w równym stopniu rozwoju. Przeciwnie, jedni wśród filozofów przedstawiają się nam przeważnie jako umysły *dyalektyczne*, inni znowu jako umysły przeważnie *krytyczne* lub też *konstrukcyjne*. Połączenie dwóch czynników, wśród zaznaczonych, w wyższym stopniu rozwoju, należy już do rzadkości i charakteryzuje tylko górujące nad powszechnością osobistości. Przytem uzdolnienie dyalektyczne łączy się zazwyczaj bądź z krytycznem, bądź z konstrukcyjnem.

Najwyższe stanowisko pod względem obszaru uzdolnienia filozoficznego zajmują w starożytności: *Platon*, który z wielką żywością dyalektyczną łączy pierwszorzędne uzdolnienie konstrukcyjne, i *Arystoteles*, który, dzięki uniwersalności swego uzdolnienia filozoficznego, stanowi szczyt rozwoju filozofii greckiej. W nowszej zaś filozofii pierwsze miejsca pod tym względem należą się *Kartezjuszowi* i *Leibnitzowi*, w których wysoki rozwój zdolności dyalektycznej i konstrukcyjnej znajduje odpowiednie uzupełnienie w żywej działalności zmysłu krytycznego. Wskutek tego też nauki filozoficzne tych myślicieli wywarły wpływ stanowczy na rozwój nowszej filozofii głównie pod względem dyalektycznym i konstrukcyjnym, a następnie i pod względem krytycznym. Większość pozostałych filozofów przedstawia nam przeważnie wyższy rozwój jednego z zaznaczonych czynników uzdolnienia filozoficznego, uzupełniany przez resztę tylko o tyle, o ile tego wymaga z konieczności praca nad filozofią wogóle.

Stosownie do powyższych uwag, rozdzielić możemy filozofów ze stanowiska uzdolnienia umysłowego na trzy wydatne typy: na umysły *dyalektyczne*, *krytyczne* i *konstrukcyjne*.

Umysły *dyalektyczne* odznaczają się samodzielną rzutkością i oryginalnością myśli, rozwijającą się pod wpływem czynników podmiotowych żywego uczucia, ale brak im zazwyczaj zmysłu krytycznego, szczególnie w stosunku do samych siebie; brak im również dążności konstrukcyjnej, w szerszem znaczeniu tego słowa, t. j. dążności do przyswajania sobie w możliwie pełnym zakresie danych zasobów wiedzy ludzkiej w celu wytworzenia z nich jednolitego na świat poglądu.

Umysły *krytyczne* znowu górują nad innymi zdolnością rozbiorową, wnikającą często w najsubtelniejsze czynniki składowe wiedzy ludzkiej i wogóle rozpatrywanego przedmiotu; ale za to nie posiadają śmiałej, samorzutnej myśli, wynoszącej się po-nad sprzeczności i wątpliwości, przez drobiazgową krytykę coraz na nowo odkrywane, postępującej naprzód w poczuciu prawdy dodatniej, pozytywnej, bezpośrednio jasnej, jak słońce na niebie. Podobnież brak im zazwyczaj zmysłu dla wewnętrznej spójności i jednolitości ogólnego na świat

poglądu, i wskutek tego lubują się w rozpatrywaniu samych tylko pierwiastków wiedzy, zastanawiają się prawie wyłącznie nad skorupami, wynikłymi z rozbioru lub nawet gwałtownego rozbicia jednolitej całości naturalnego na świat poglądu i kontentują się co najwięcej sztucznem, często bardzo niezręcznem sklejeniem tych skorup w nową całość, pozbawioną jednak systematycznego zaokrąglenia i zamknięcia.

Nakoniec, umysły *konstrukcyjne* odznaczają się wielkimi zdolnościami architektonicznymi na polu filozofii. Energiczna twórczość jest ich żywiołem. Wznoszą one z łatwością wspaniałe budowle myśli, systemata, teorye, nauki, skupiające w sobie pracę myśli poprzednich pokoleń, budzące podziw i uznanie; ale i w tych umysłach napotykamy pewne zboczenia, wynikające z jednostronnego rozwoju myśli w zaznaczonym kierunku. Przy bliższem bowiem rozpatrzeniu okazuje się często, że owe budowle myśli są wytworami zbyt sztucznymi i nie mają odpowiednich warunków bytu; bo albo złożone są z obcych materiałów, lekko tylko zestawionych, a nie złączonych ściśle jednolitą myślą samego konstruktora, albo też stoją na chwiejnym gruncie, nie opierają się na krytycznie wyprobowanych fundamentach wiedzy ludzkiej, więc nie dają rękojmi trwałości i bezpieczeństwa.

Tak tedy wszechstronnego, pełnego uzdolnienia filozoficznego nie napotykamy w pojedynczych indywidualnych osobistościach. Jest ono jedynie udziałem ludzkości całej, razem wziętej, pojętej jako jedna istota myśląca, dążąca do zrozumienia samej siebie, świata i Istoty wszechbytu. Ludzkość cała pracuje nad rozwiązaniem zadań filozofii i przybliża się do tego rozwiązania przy pomocy podziału uzdolnienia filozoficznego pomiędzy wydatne typy umysłowe, podziału, pociągającego za sobą i podział ich pracy myślowej. Umysły dyalektyczne, krytyczne i konstrukcyjne, są tylko różnymi objawami indywidualnymi jednego ogólnie ludzkiego uzdolnienia filozoficznego, dającego ludzkości możność wszechstronnie i możliwie wyczerpująco pracować nad osiągnięciem zarówno samodzielnego, jak krytycznego i jednolitego na świat poglądu.

Przypatrzmy się obecnie nieco bliżej rysom charakterystycznym każdego z powyższych typów uzdolnienia filozoficznego.

2. Umysł dyalektyczny.

Żywa myśl, zastanawiająca się samodzielnie nad wszystkim, co godne uwagi, i wiążąca wyniki swego zastanowienia w szeregi z sobą złączone, — oto pierwszy zasadniczy czynnik umysłu filozoficznego. Czynnik ten nazwaliśmy uzdolnieniem *dyalektycznem*. Dzięki temu uzdolnieniu filozof śmiało czyni zadość wewnętrznym wymaganiam

swej myśli, nie troszcząc się ani o śmiech lub nienawiść, ani o poklask i uznanie innych. Uległość dla pochodzenia własnej myśli, konsekwencya w jej rozwoju staje się dla niego namiętnością i wyraża się dobitnie w samodzielności i niezawisłości jego sądu o rzeczach.

Wskutek tego czynnika dyalektycznego umysł filozoficzny wyróżnia się dobitnie od reszty umysłów o wysokim nawet uzdolnieniu. Większość bowiem ludzi, przy wyższym nawet rozwoju funkcji myślowych, zastanawia się wprawdzie także nad rzeczami i dochodzi pod tym względem również do pewnych samodzielnych wyników, — jak o tem świadczy np. działalność myślowa uczonych specjalistów; ale oni ograniczają swe zastanowienie pewnym szczupłym zakresem przedmiotów i nadto, co ważniejsza, nie wiążą wyników tych badań szczegółowych z całym pozostałym światem swej myśli, ze swemi poglądami na resztę przedmiotów, leżących poza zakresem ich specjalności. Jakże często spotkać można znakomitych uczonych specjalistów, którzy np. w kwestyach moralnych i religijnych, w kwestyach, dotyczących wolności woli, duszy, nieśmiertelności, Boga i t. p., zadawalniali się tradycyjnymi pojęciami i nie pytają się o związek tych pojęć z wynikami swych własnych specjalnych badań naukowych! Tymczasem filozof, wskutek uzdolnienia dyalektycznego, uczuwa potrzebę powiązania wszystkich swych myśli, zrównoważenia swych poglądów na najrozliczniejsze rzeczy, nie tylko na te, które stanowią specjalny przedmiot jego roztrząsania w danej chwili, lecz i poglądów na rzeczy, dawniej rozpatrywanych, lub też na takie rzeczy, o których wytworzyły się w nim pewne pojęcia na podstawie bezpośredniego doświadczenia życiowego, wychowania, nawyknienia, tradycji naukowej i t. p. Filozof, jednym słowem, wiąże z sobą wszystkie wydatne czynniki swego życia umysłowego i stara się o wytworzenie z nich łącznego szeregu myśli. Ta właśnie dążność dyalektyczna jest pierwszym rysem charakterystycznym filozofa w porównaniu z działalnością myślową reszty ludzi.

Naturalnym objawem tej dążności do powiązania danych zasobów myśli jest ich zjednoczenie w pewnych *ogólnych pojęciach, zasadach, pryncypiach*, skupiających w sobie te zasoby, czyli sprowadzenie różnorodnych czynników myśli do wspólnego mianownika. Tylko bowiem przy pomocy ogólnych pojęć, zasad, pryncypiów, można połączyć rozstrzelone czynniki szczegółowe myśli w szeregi, wiążące się z sobą wewnątrznie. To też praca filozofa polega w znacznej części na wytworzeniu pojęć ogólnych, obejmujących nieskończoną mnogość przedmiotów szczegółowych, i na wyjaśnieniu szczegółowego materiału myśli przy pomocy tych pojęć ogólnych. Pogląd na chaos zjawisk i przedmiotów realnych z punktu widzenia pojęć ogólnych i zasad, wprowadza-

dzających ład myślowy, logiczny, w ten chaos, przedstawia się nam tedy jako pierwotny wynik działalności umysłu filozoficznego, ściśle połączony z jego uzdolnieniem dyalektycznym.

W życiu umysłowym większości ludzi, nie wyłączając uczonych specjalistów, górują *wyobrażenia* szczegółowe, przez zmysły ze świata zewnętrznego zaczerpane, nad *pojęciami* i *zasadami ogólnymi*. Filozof, przeciwnie, nie zadawałby się choćby najbogatszym materiałem wiedzy szczegółowej, empirycznej, lecz dąży zawsze do objęcia tego materiału z ogólnych punktów widzenia, gdyż tylko tą drogą może przyswoić sobie zasoby wiedzy empirycznej w sposób, odpowiadający wymaganiom umysłu samodzielnego.

Z temi objawami myślowymi łączy się w umyśle dyalektycznym żywy rozwój *uczucia*, które ma na oku możliwie wszechstronne zaspokojenie podmiotowych potrzeb ducha. Stanowi ono główną sprężynę swobodnego polotu myśli, ogrzewa jej treść ciepłem serdecznym i nadaje jej ów podniosły nastrój podmiotowy, który charakteryzuje zazwyczaj wytwory dyalektyki.

Przy wyższym rozwoju umysłu filozoficznego, uzdolnienie dyalektyczne uzupełnia się, jakeśmy to widzieli powyżej, przez zmysł krytyczny i dążność konstrukcyjną. Bez odpowiedniej zaś działalności tych czynników, filozof staje się umysłem dyalektycznym w jednostronnem znaczeniu tego słowa, o rysach, rozwijających się wyłącznie w zaznaczonym kierunku i nadających całej jego osobistości odrębny charakter. Postaramy się przedstawić tutaj ten jednostronny typ filozofa dyalektycznego, o ile można konkretnie.

Umysł dyalektyczny wyróżnia się od innych typów uzdolnienia filozoficznego przede wszystkim samorzutną działalnością myśli, troszczącą się jak można najmniej o dane świata przedmiotowego, więc oderwaną, abstrakcyjną, pozostającą w sferze pojęć ogólnych i uwydatniającą w swym rozwoju wyłącznie podmiotową indywidualność myśliciela, w różnicy od czynników ogólnie ludzkich, działających w każdej, wyżej uzdolnionej, osobistości. Wskutek tego jednostronny umysł dyalektyczny przedstawia zazwyczaj dziwną sprzeczność pomiędzy ogólnikowym charakterem swego myślenia, rozwodzącego się nad wszystkim, co tylko godne uwagi człowieka, a czysto podmiotową, więc też bardzo ograniczoną, treścią poglądów za rzeczy szczegółowe. Z rozległym obszarem przedmiotów myślenia, z jego nadzwyczajnym rozwojem pod względem ekstensywnym, ilościowym, łączy się w umyśle dyalektycznym zazwyczaj dość słaby rozwój myśli pod względem jakościowym, intensywnym. Obszar myśli, obejmujący wszystko, nie znajduje się w odpowiednim stosunku do wewnętrznej treści myśli, czerpiącejswo zasoby nie ze świata przedmiotowego, lecz przeważnie z ograni-

czonemu zakresu indywidualnego żywota i podmiotowego nastroju ducha. Cecha oryginalności, występująca zewnętrznie na jaw w umyśle dyalektycznym bardziej aniżeli w innych typach uzdolnienia filozoficznego, polega głównie na owej rozległej działalności myśli pod wpływem silnych czynników indywidualności.

Pomysły jednostronnych umysłów dyalektycznych przedstawiają się ze stanowiska krytycznego zazwyczaj jako powierzchowne ogólniki, bo nie wyrastają organicznie z konkretnej treści świata przedmiotowego. Interesując się wszystkim i mając o wszystkim *swoje* myśli, umysł dyalektyczny kontentuje się zazwyczaj tylko luźnym ich zespoleniem, opartym bardziej na znaczeniu słów, ich porównywaniu i przeciwstawianiu, aniżeli na naturze przedmiotu poznania. Hypotezy, zbliżające się zaledwie do prawdopodobieństwa, dowolne kombinacje myśli i konjektury wydaje często za prawdę niewątpliwą. Nadto pomysły wybujałej dyalektyki odznaczają się wielką monotonią, ponieważ, opierając się na ograniczonych, indywidualnych czynnikach myśli, powtarzają się zazwyczaj jednostajnie przy każdej kwestyi, zamiast przejąć się bogatą treścią życia rzeczywistego. Pomimo to, pomysły te z pierwszego pozoru wydają się często wielce oryginalnymi, uderzają świat rozległością swych widnokręgów i stanowczością indywidualnego przekonania, z którą się wygłaszają. Umysł dyalektyczny bowiem ufa bezpośrednio, dogmatycznie, pochodowi swej myśli, więc wypowiada swe poglądy w sposób wyroczeniowy, pociągający za sobą z łatwością inne, mniej samodzielne umysły.

W dziejach filozofii umysły dyalektyczne wnoszą się do najwyższych zasad i pojęć filozoficznych i wyprowadzają z nich swe poglądy szczegółowe. Metafizyka zawdzięcza głównie im swe istnienie. A chociaż jednostronny rozwój pojęć ogólnych i ich powiązanie pod wpływem przeważnie podmiotowych czynników nie może zadosyć uczynić krytycznym i konstrukcyjnym wymaganiom filozofii, — z tem wszystkim jednak owe pojęcia ogólne stanowią konieczny materiał wszelkiej filozofii, niezbędne zawiązki ogólnego na świat poglądu. To też na czele filozofii stoją umysły dyalektyczne, wytwarzające ów pomocniczy zasób pojęć ogólnych, obejmujących najszersze zakresy zjawisk i jestestw wszechbytu. Świadczą o tem pierwotne szkoły filozofii greckiej. Szkoła jońska wydała takie pojęcia ogólne, jak: *substancja materyalna*, jako podkład wszelkich zjawisk świata fizycznego (woda *Talesa*, eter *Anaksimenesa*, ogień *Heraklita*), *proces wszechświatowy*, wynikający z walki składowych czynników bytu (*Heraklit*), *pierwiastki materji* i jej *sily* nienawiści i przyjaźni (odpychania i przyciągania, *Empedokles*), *atomy* (*Leucyp*, *Demokryt*) i t. p. Szkoła *Pitagorasa* zaszczerpiła w świadomość ludzką pojęcie *prawidłowego porządku wszechświata*, dającego się okre-

ślić matematycznie. Szkoła *Elcacka*, z *Xenofanese*m i *Parmenidesem* na czele, wzniosła się do metafizycznego pojęcia jedynego w sobie wszechbytu, obejmującego zarówno czynniki istnienia stałe, niezienne, t. j. *substancje*, jak i czynniki zmienne, mające tylko byt pozorny, przemijający, a w każdym razie zależny od czynników stałych, t. j. *zjawiska*.

W życiu potocznym większość umysłów filozofujących, nawet wśród tych, którzy biorą czynny udział w literaturze filozoficznej, posiada jednostronnie rozwinięte uzdolnienie dyalektyczne. Wyraża się ono zazwyczaj w pierwszych polotach myśli samodzielnej. W umysłach zaś, niewykształconych przytem dostatecznie przy pomocy historii filozofii i posiadających wskutek tego tylko słabe pojęcie o krytycznych zadaniach filozofii, uzdolnienie to występuje na jaw w myśleniu niekrępowanem żadnemi względami na prawdę istotną. Umysły tego rodzaju rezonują z jak największą stanowczością o wszystkim i o wszystkich na podstawie jedynie własnego widzi mi się, uznanego za nieomylnego sędziego nawet w sprawach najpoważniejszych, wymagających długich studyów przygotowawczych, jeżeli mają być rozwiązane ściśle, według naukowych wymagań metody filozofii. Zaufanie we własnej zdolności myślowej staje się w takich umysłach zazwyczaj *zarozumiałością*, wynoszącą się bez wszelkiej samokrytyki nie tylko po nad współczesnych, fachowo wykształconych pracowników na polu filozofii, lecz i po nad najznakomitszych myślicieli wszystkich czasów. Filozoficzna zaś niezależność sądu przybiera tutaj zazwyczaj charakter *samowolnego* sądzenia o wszystkim, pozbawionego zarówno ściślej argumentacji, jak i poczucia odpowiedzialności za treść wygłaszanych sądów.

Głównym motywem działalności takich umysłów nie jest miłość prawdy, składająca w ofierze najmilsze subiektywne zachcianki i pomysły, jeżeli tego prawda wymaga, lecz po prostu egoistyczne zadowolenie, łączące się ze swawolną grą myśli i z samorzutnym jej rozwojem. Dlatego też osobistość tego rodzaju unika zazwyczaj wszelkich głębszych rzeczowych dociekań, zarówno z niechęci do natężenia umysłu w tym kierunku, jak i z obawy, aby nie doprowadziły do wyników, naruszających tryumfalny pochód własnej myśli. Filozofia przestaje tu być poważną *pracą* umysłową, wznoszącą gmach myśli na podstawie krytycznie obmyślanego planu i skrzętnie zebranego materiału, lecz staje się *zabawą*, igrającą lekkomyślnie z prawdą i fałszem, jak kot z myszą, jedynie dla zadosyćczynienia zachciankom subiektywnym.

Typem takich zboczeń w rozwoju uzdolnienia^r dyalektycznego, przy braku przygotowania do poważnej pracy nad filozofią, byli u Greków Sofiści, z *Protogorusem* i *Gorgiusem* na czele. Nie brak takich zboczeń i w nowszych czasach, szczególnie wśród licznego grona powierz-

chownych popularyzatorów różnych poglądów filozoficznych, dawniej heglizmu, a w ostatnich czasach materyalizmu, pozytywizmu, pesymizmu i t. p.

3. Umysł krytyczny.

Dyalektyczna samorzutność myśli, rozwijająca się w kierunku żywej indywidualności, nie łączy się bezpośrednio z dążnością *badawczą* umysłu, z chęcią możliwie gruntownego wniknięcia w składowe czynniki różnych poglądów na rzeczy, w ich zasady i przyczyny. Przeciwnie, błyskotliwa dyalektyka znajduje się często w sprzeczności z tą dążnością, osłabia jej rozwój prawidłowy, lub sprowadza ją z drogi sumiennego rozbioru rzeczy. Stąd też dążność *badawcza* zaznacza odmienne zupełnie uzdolnienie umysłu. Nazywamy je uzdolnieniem *krytycznem*, ponieważ wyraża się w działalności rozbiorowej umysłu i nie poprzestaje na bezpośrednich danych tradycyjnego lub sztucznie wytworzonego poglądu na rzeczy, lecz domaga się usprawiedliwienia wszelkich poglądów przy pomocy odpowiednich dowodów.

Dyalektyka sama przez się jest zawsze *dogmatyczną*, a wyzwala się z objęć bezpośrednich, z góry powziętych przekonań i wierzeń, tylko wtedy, gdy się łączy z uzdolnieniem krytycznem, gdy jej pochod przerywanym jest działalnością myśli rozbiorowej. Samodzielność i niezawisłość sądu, właściwe żywym umysłom dyalektycznym, nie są jeszcze bynajmniej dowodem *krytyczności*. Można być samodzielnym i niezawisłym w swych sądach, a jednak hołdować dogmatyzmowi w stopniu najwyższym. Co więcej, silne indywidualności o jednostronnem uzdolnieniu dyalektycznem, wytwarzając swe poglądy zazwyczaj pod wpływem bezpośredniej ufności w swoją działalność umysłową, narzucają one innym dogmatycznie i dochodzą nawet często pod tym względem do despotyzmu. Indywidualności takie do tego stopnia przejęte są samemi sobą, że nie posiadają zdolności bezstronnego rozbioru rzeczy, przeniesienia się na obce stanowisko, lecz idą wyłącznie za popędem swej myśli podmiotowej i domagają się od innych jej bezwzględne uznania. Wynika to ze zaznaczonego, przeważnie egotycznego, charakteru uzdolnienia dyalektycznego.

Zupełnie inaczej przedstawia się nam pod wszystkimi temi względami *umysł krytyczny* w normalnym swym rozwoju. Pochód jego myśli jest rozważny, powolny, raczej lękliwy, z powodu sumienności, aniżeli stanowczy i bezwzględny. Żywszy nastrój podmiotowy, uczucie, nie pociąga za sobą jego myśli bezpośrednio i nie unosi jej lekko w sfery idealne pojęć ogólnych, obejmujących wszystko jednym rzutem

oka. Mając na uwadze przedewszystkiem prawdę, o ile można czystą, wolną od podmiotowych naleciałości, prawdę samą w sobie, umysł krytyczny, badawczy, nie daje się porwać najwznieślijszym nawet poruszeniom uczucia, spogląda z pewną podejrzliwością na wszystko i wszystkich, a w szczególności na wszelkie twierdzenia ogólnikowe, wpływające ze źródeł podmiotowych. Jego ideałem jest *przedmiotowość*, bytująca po-za osobistymi pragnieniami myśliciela; owa rzeczywistość, w sobie istniejąca, która przedstawia prawdę istotną, bez względu zarówno na zmienną grę uczuć serca ludzkiego, jak i na wytwory myśli, dogadzającej indywidualnym potrzebom myśliciela. Ujęcie tej właśnie przedmiotowości, w dostępnej dla umysłu formie, jest ostatecznym celem wszelkich badań i zabiegów umysłu krytycznego.

Środkiem pomocniczym dla osiągnięcia tego celu jest z jednej strony *wątpienie*, a z drugiej *rozbiór, analiza*. To też umysł krytyczny nie przyjmuje bezpośrednio za prawdę żadnych poglądów, z jakiegokolwiek źródła pochodzących, lecz wątpi początkowo o wszystkim i poddaje następnie wszystko *rozbiorowi*, w nadziei, że tą drogą dojdzie do jasnego rozróżnienia prawdy od fałszu w pojęciach ludzkich i że dotrze nareszcie do owych pierwotnych czynników zarówno bytu zewnętrznego, jak i własnej działalności umysłowej, przy pomocy których zdoła znaleźć niewątpliwy próbierz dla oceny wszelkich mniemań ludzkich, oraz fundamenta nienaruszalne dla przedmiotowego poznania rzeczy. Prawda przykra, bolesna, rozchodząca się z pragnieniami podmiotowymi, jeśli jest tylko krytycznie uzasadnioną, ma dla niego większą wartość, aniżeli wszelkie poglądy, dogadzające osobistym, społecznym lub tradycyjnym wymaganiom, a jednak wątpliwe ze stanowiska prawdy przedmiotowej.

Taki konsekwentny rozwój działalności rozbiorowej aż do ostatecznych pierwiastków bytu i myśli, o ile one mogą być ujęte wśród danych warunków bez względu na nastrój podmiotowy, wyróżnia też uzdolnienie krytyczne umysłu filozoficznego od zdolności krytycznych innych wyżej uzdolnionych umysłów.

Wszelka wogóle praca naukowa, badawcza, możliwą jest jedynie przy pomocy pewnego zmysłu krytycznego, poddającego rozbiorowi przedmiot badania i wyprowadzającego wnioski z tego rozbioru co do prawdy lub fałszu rozlicznych o nim pojęć. Ale podczas gdy zwykle uzdolnienie naukowe ześrodkowuje swe badania krytyczne na pewnych konkretnych, szczegółowych przedmiotach, i nie uczuwa wcale potrzeby zagłębiania się w ostateczne podstawy samych tych przedmiotów, a tem mniej określania charakteru tych podstaw, umysł filozoficzny dalekim jest od tej wstrzemięźliwości, lecz, przejęty nawskróś dążnością badawczą, idzie coraz dalej i dalej w swych poszukiwaniach,

wnika coraz głębiej i głębiej w swój przedmiot badania, poddaje go coraz subtelniejszemu rozbirowi i nie doznaje prędeż wewnętrzznego spokoju, aż albo znajdzie szukane pierwiastki, albo się przekona nacocznie o niemożliwości dalszego postępu w rozbirowej pracy myśli.

Z drugiej strony istnieją umysły, wysoko uzdolnione z pewnemi dążnościami krytycznemi, lecz do tego stopnia subiektywne, sentymentalne, przywiązane do wszystkiego, co im jest miłym, że pomimo krytyki oderwać się nie mogą od raz powziętych, drogich ich sercu, poglądów, i do nich naciągają wyniki swych badań. W różnicy od takich umysłów, filozof prawdziwy odznacza się surowością sądu względem samego siebie i zrywa ostatecznie z najdroższymi nabytkami swej myśli, jeżeli tego wymaga prawda przedmiotowa.

Oto krytycyzm *filozoficzny*, usuwający, wedle możności, wszelkie czynniki dogmatyzmu, wchodzące w skład zarówno nauk specjalnych, jak i poglądów tradycyjnych. Dążność badawcza, więc i krytyczna, umysłu filozoficznego nie zna innych granic prócz tych, które wynikają z natury bądź przedmiotu badanego, bądź umysłu ludzkiego. Sama w sobie nie ma hamulca dogmatycznego, wstrzymującego jej pracę na środku drogi, jak to daje się widzieć zarówno u większości ludzi, przywiązanych do panujących poglądów na świat, jak i w zakresie nauk specjalnych, dla których tradycja naukowa jest zazwyczaj bezpośrednio uznanym fundamentem badań szczegółowych. Specjalista, party wewnętrzną konsekwencyą zmysłu krytycznego do rozbirow ostatecznych podstaw własnej nauki, staje się filozofem; podobnież staje się filozofem każdy, kto pragnie zdać sobie sprawę krytyczną z tego, co mu się wydaje bezpośrednio prawdą niewątpliwą. Krytycyzm prawdziwy, filozoficzny, przekracza zawsze szczuple granice tradycyjnych danych życia umysłowego i wnika w zasadnicze podstawy zarówno zjawisk szczegółowych, jak i poznania wogóle.

W dziejach filozofii ta dążność krytyczna występuje już na jaw u *Heraklita*, poddającego w wątpliwość prawdę zmysłowego poglądu na rzeczy; dalej u *Sokratesa*, krytykującego surowo dyalektykę Sofistów; u *Arystotelesa*, rozpoczynającego swe badania od krytycznego rozbirow procesów poznania; u Stoików, z *Zenonem* na czele, rozpatrujących kwestyę *probiezra* czyli *kryterjum* prawdy. W nowszej filozofii przyczynili się do rozwoju tego czynnika krytycznego: szczególnież *Bacon* swą krytyką metody scholastycznej; *Kartezjusz* swą zasadą wątpienia, ustępującą tylko przed niewątpiwością własnej myśli i własnego bytu (*cogito ergo sum*); dalej *Locke* i *Hume*, dzięki rozbirowi zasadniczych czynników życia umysłowego. Najwyższy zaś wyraz filozoficzny znalazła ta dążność rozbirowa umysłu w krytycyźmie *Kanta*.

Pomimo wysokiej doniosłości, jaką posiada rozbiorowa działalność umysłu krytycznego, jednostronny jej rozwój, z wyłączeniem innych czynników uzdolnienia filozoficznego, nadwiera prawidłowe rozwiązywanie zadań filozofii. Tylko w ścisłej łączności z uzdolnieniem dyalektycznym i konstrukcyjnym rozwija się umysł krytyczny normalnie i przyczynia się do urzeczywistnienia prawdziwej filozofii. Czynnik dyalektyczny jest koniecznym dla wewnętrznego powiązania pracy krytycznej w kierunku, odpowiadającym dodatnim potrzebom ducha. Dążność zaś konstrukcyjna, budująca, stanowi niezbędną syntetyczną uzupełnienie działalności analitycznej, rozbiorowej. To też osobistość, pozbawiona tych czynników życia umysłowego, a rozwijająca się wyłącznie w kierunku krytycznym, staje się zazwyczaj raczej karykaturą filozofa, aniżeli filozofem w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Bez dyalektycznej śmiałości myśli i bez konstrukcyjnego powiązania jej treści w naukowy system wiedzy, krytyka przybiera charakter wewnętrznej chwiejności i dorywczowości, czepia się wprawdzie najrozlicniejszych przedmiotów, ale przytem nie dąży do stanowczych, pozytywnych wyników i nie łączy swych wyników, choćby nawet czysto negacyjnych, w jedną całość, w pogląd jednolity na rozpatrywane przedmioty.

Zarówno życie potoczne, jak i historia filozofii dają nam sposobność do obserwowania umysłów o takim jednostronnym nastroju krytycznym, pozbawionym reszty czynników uzdolnienia filozoficznego. Są to umysły drażliwe, lubujące się w wyszukiwaniu we wszystkim wszędzie i zawsze stron ujemnych, słabych, wywołujących wątpliwości i niezadowolenie. Wszelkie twierdzenie, choćby najoczywistsze, najbardziej uzasadnione, pobudza ich do przeczenia; wszelkim tezom przeciwstawiają antytezy. Nawet poglądów dla nich sympatycznych lub zbliżających się, według ich własnego zdania, najbardziej do prawdy, nie śmieją oni bronić stanowczo, przyjmując bez rozlicznych zastrzeżeń. Stąd pochodzi właśnie ich wewnętrzna chwiejność, wątpliwość, gdy idzie o wypowiedzenie jakiegokolwiek zdania pozytywnego, pomimo wszelkiej bezwzględności w negacji krytycznej. Pojęcia przeciwstawne, jak podmiot i przedmiot, duch i materya, swoboda i prawidłowość, istota i zjawisko, Bóg i przyroda i t. p., przybierają w ich myśleniu charakter sprzeczności, niedających się wyrównać, pogodzić, a takie sprzeczności znachodzą w każdym przedmiocie poznania, w każdej kwestyi filozoficznej. Krytyka, rozbiór, wątplenie, nie są dla nich *środkami* pomocniczymi do osiągnięcia wyższych celów, lecz samoistnymi *celami*. Krytyka dla krytyki, rozbiór dla rozbioru, wątplenie dla wątplenia — oto bezpośrednia, często mimowoli i bez jasnej wiedzy działająca, sprzężyna ich życia umysłowego. W końcu, przywykły błąd do ciągłego

zgryźliwego gderania, bądź, przy wyższem uzdolnieniu, do zacieklego podkopywania wszelkich wogóle poglądów, występujących z prawdą pozytywną, umysły tego rodzaju znajdują wewnętrzne zadowolenie jedynie w negowaniu obcych zdań i w zaszczipianiu wątpliwości w umysły pozytywne. Nie lubią z zasady postępować po stałych, bi-tych drogach rozwoju umysłowego, choćby te drogi były jak najbardziej wyprobowane, choćby życie i doświadczenie mogły służyć za sprawdzian ich dobroci i niewątpliwości. Natomiast poszukują ze szczegól- nym zamięłowaniem owych trzęsawisk ludzkiej myśli, na których przy każdym kroku tracą grunt pod nogami, zagłębiając się często aż po uszy w nieokreślony, miękki żywioł, bez możności wydobyć się z podobnej, lekkomyślnie spowodowanej, *krytycznej* sytuacji. Są i tacy, którzy ze śmiechem szydą z ustach, lub z samobójczą zuchwałością w sercu brną po takich błotach niepewnych i wreszcie giną w ich głębiach, ciesząc się, gdy za sobą ciągną na dno tych, którzy ich sobie za przewodników wybrali.

W życiu, w stosunkach społecznych, jednostronny rozwój uzdolnienia krytycznego w kierunku negacyjnym wytwarza wszelkiego rodzaju *malkontentów*, niezadowolonych z siebie, z ludzkości, wogóle z całego świata. Jeżeli na polu poszukiwań teoretycznych wszelka prawda, choćby najbardziej uzasadniona, wywoływała wątpliwość i zaprzeczenie w jednostronnych umysłach krytycznych, to w życiu budzi ich *niechęć* wszystko, co ludzie nazywają dobrem, szlachetnem, wzniosłem. Malkontent krytyczny nie uznaje istnienia ani ludzi dobrych, ani czegośkolwiek dobrego w życiu ludzkim. W działaniu każdego pojedynczego człowieka dopatruje się podłych motywów; cały ustrój stosunków ludzkich jest dla niego wytworem niskich instynktów, przemocy lub hypokryzyi. On nie wierzy w jakiegokolwiek szlachetniejszego dążności ludzi, w poświęcenie, ofiarność, sumienność, w miłość dobra dla dobra. Cały ten idealizm życiowy jest w jego oczach tylko sztuczną, teatralną aureolą, przy pomocy której ludzie nawzajem się oszukują, zastaniając prawdziwe czynniki swych dążności życiowych. Podobnież niema wśród ludzi utworu społecznego, instytucyi, godnej uznania w oczach malkontenta. Jego sonda krytyczna wykazuje zgniliznę, zło w każdym objawie życia. O powolnym wzroście i rozwoju czynników dodatnich, o stopniowem urzeczywistnianiu się ideałów etycznych, społecznych, humanitarnych, nawet słyszeć nie chce. Negacya i na tem polu stanowi punkt wyjścia i ostateczny cel działalności umysłu o jednostronnym nastroju krytycznym.

Nie dziw, że przy wyłącznym rozwoju uzdolnienia krytycznego w tym kierunku, napotykamy umysły, które nietylko same z pewną lubością kąpią się w brudach społecznych, lecz nadto domagają się, aby

umysły pozytywniejsze i idealniejsze, które miały sposobność doświadczyć w życiu i w sobie samych szlachetniejszych czynników bytu, zachwycaly się wraz z nimi obrazami upodlenia ludzkiego. Zamiast podnieść człowieka na duchu i wskazać mu środki do poprawy samego siebie i warunków swego istnienia, malkontent krytyczny zaszczerpiał swoje własne przygnębienie szerszym warstwom społecznym i osłabia w nich energię moralną, wytrwałość wpośród trudnych warunków bytu, oraz dążność do ich stopniowego udoskonalenia. Lubowanie się w ujemnych stronach życia, w złem i nikczemnem, staje się jego rzemiosłem, z którego żyje, któremu się poświęca, wyzuwając się z czasem ze wszelkich innych, bardziej dodatnich i szlachetnych dążeń.

Historja *cynizmu*, *skeptycyzmu* i *pessimizmu*, nie tylko w zakresie filozofii, lecz i na polu literatury powszechnej, ilustruje w sposób naczynny zaznaczone powyżej zboczenia jednostronnego rozwoju uzdolnienia krytycznego. Dość przypomnieć pod tym względem w zakresie filozofii szczególnie imiona *Diogenesa z Synopy*, *Pjrrona*, *Sextusa Empiryka*, *Piotra Bayle'a*, *Schopenhauera* i wielu ich naśladowców i zwolenników aż do chwili obecnej.

4. Umysł konstrukcyjny.

Dyalektyka i krytyka równają się postępowemu i zwrotnemu pochodowi myśli. Dyalektyk idzie bez ustanku naprzód, party wewnętrznym niepokojem myśli, snującej się swobodnie z jego podmiotowych zasobów umysłowych. Krytyk, przeciwnie, zwraca się ku źródłom rozlicznych poglądów na świat i szuka ciągle przedmiotowego oparcia dla przyszłego gmachu myśli. Ani jeden, ani drugi nie przykładają jednak rąk do wzniesienia tego gmachu, nie rozpoczynają na seryo *pracy* w tym kierunku. Dla pierwszego filozofia jest w gruncie rzeczy tylko śmiałą awanturą myśli, podjętą przez umysł rozgorączkowany; dla drugiego — zadaniem zbyt trudnem do rozwiązania, odkładanem z dnia na dzień z powodu coraz to nowych wątpliwości, napotykanym przy rozbiorze starych fundamentów. Obydwom brak *energii* dodatniej, pozytywnej, twórczej, nie spuszczałającej z oka głównego celu swych dążeń, nie dającej się sprowadzić z drogi, wiodącej do tego celu, ani przez uludne wytwory dyalektyki lekkomyślnej, ani przez przesadne obawy krytyki zniechęconej.

Ta energia spokojna, rozważna, lecz stała i wytrwała, stanowi rdzeń *umysłu konstrukcyjnego*, w normalnym jego rozwoju, zasadniczy czynnik jego dążeń filozoficznych.

Umysł konstrukcyjny podobny jest do budowniczego, który nie zadawalnia się ani ogólnikowemi zarysami budowy, choćby najpiękniejszymi, ani najsumienniejszem obrachowaniem oporności fundamentów i ciężaru, na nich spocząć mającego. To wszystko są dla niego jedynie zajęcia przygotowawcze, przedwstępne, mające tylko znaczenie środków pomocniczych do rozwiązania właściwego zadania architektonicznego, polegającego na rzeczywistem wzniesieniu nowej budowli, równie trwałej i bezpiecznej, jak i czyniącej zadość wszelkim uzasadnionym wymaganiom.

Taką budowlą w zakresie filozofii jest pogląd na świat, stanowiący zamkniętą w sobie, zaokrągloną całość, rozwiązujący kwestycie zasadnicze umysłu ludzkiego, o ile to jest możliwem wśród danych warunków. Naturalnym fundamentem, na którym ta budowla stanąć musi, jest powszechnie przyjęty, tradycyjny pogląd na świat zdrowo myślących ludzi. Pogląd ten wymaga pod niejednym względem bądź umocnienia i poparcia, bądź mniej lub więcej ważnych poprawek i dopełnień; ale pomimo to stanowi on konieczne tło dla wszelkiej filozofii, którego zatrzeć, ani zastąpić nie może żadna dyalektyka, ani krytyka. Jest on gruntem, na którym żyjemy i działamy umysłowo, którego zatem nie należy ani opuszczać dla sztucznych i wymuszonych polotów myśli dyalektycznej, ani podkopywać w krytycznej zawziętości. Rozumie to dobrze rozważny architekt na polu filozofii i korzysta z wytworów dyalektyki i z wyników krytyki tylko o tyle, o ile to jest możliwem bez utraty stałego gruntu pod nogami, o ile to sprzyja jego pracy około nowej budowli myśli, mającej zastąpić lub uzupełnić nieuzasadnione należycie czynniki wierzeń tradycyjnych.

Świadomość poważnych, życiowych potrzeb, które przez nowy pogląd na świat lepiej zaspakajane być mają, aniżeli to się okazało możliwem przy pomocy dotychczasowych zapatrywań na rzeczy, zmusza umysł konstrukcyjny do czuwania nad tem, aby owe zajęcia przygotowawcze nie przekraczały granic, przez główny cel całego przedsięwzięcia wskazanych, aby w jednostronnym lub wyłącznym swym rozwoju nie tanowały lub nawet nie wstrzymywały, bez naglących powodów nowej budowy. Budowniczy rozumny nie wyrzeka się owych prac przedwstępnych; uznaje on ich konieczność, pojmując pożytek, jaki z nich odnosi sama budowla; ale on nie zabawia się nad miarę temi przygotowaniem, bo energia nagli go do czynu, do stworzenia czegoś dodatniego. Filozofia ma dla umysłu konstrukcyjnego wartość prawdziwą tylko o tyle, o ile doprowadza do jednolitego i zarazem naukowego na świat poglądu, o ile rozwiązuje zasadnicze kwestycie poznania, niepokojące umysł ludzki i serce; więc też do tego celu dąży przede-wszystkiem.

Wybitnym objawem działalności umysłu konstrukcyjnego na polu filozofii jest *systemat* wiedzy filozoficznej. Ma on to samo znaczenie w tym zakresie, co pojęcia ogólne w zakresie dyalektyki, a wątplenie i rozbiór w zakresie krytyki. Wszelka budowla myśli staje się systematem. Każda nauka, więc i filozofia jako nauka jest takim systematem. Połączenie zasadniczych zasobów wiedzy ludzkiej w jedną zao-kragloną, systematyczną całość, odpowiadającą wedle możliwości ściśle budowie świata rzeczywistego, — oto ideał, który pragnie urzeczywistnić umysł konstrukcyjny. Jeżeli w dyalektyce lub krytyce napotykamy ten czynnik naukowej systematyczności, dzieje się to jedynie wskutek uzdolnienia konstrukcyjnego, uzupełniającego w prawdziwym myślicielu jego uzdolnienie dyalektyczne i krytyczne.

Bez dążności konstrukcyjnej, dyalektyka i krytyka rozstrzelują się na wszystkie strony; zajmują się wprawdzie najrozlicniejszymi przedmiotami i dochodzą co do nich do pewnych wyników, ale nie dbają o ściśle połączenie tych wyników w jedną całość myślową i wogóle nie rozwijają swej działalności według stałego porządku, systematycznie. Łączność dyalektyczna myśli, o której mówiliśmy powyżej, jest zazwyczaj sztuczną, naciąganą, pozbawioną podstaw przedmiotowych. Krytyka zaś sama przez się stosuje swe zasady do każdego przedmiotu, nasuwającego się uwadze, bez względu na jego doniosłość i na miejsce, jakie zajmować winien przy odtwarzaniu w umyśle obrazu świata rzeczywistego. Przeciwnie, umysł konstrukcyjny postępuje w swej pracy naprzód sposobem architektonicznym: rozpoczyna od jasno obmyślanego planu, układa następnie fundamenta i wznosi nareszcie na nich swoją budowlę, dbając przytem ciągle o ściśle powiązanie jej składowych czynników i o jej moc i trwałość.

W ten sposób powstaje całokształt myśli odpowiednio uzasadniony, naukowy, o architektonice wykończonej, czyniącej zadość zarówno podmiotowym wymaganiom umysłowej organizacyi, jak i niewątpliwym danym bytu przedmiotowego. W prawdziwym systemacie filozoficznym oba te czynniki przenikają się nawzajem i uzupełniają się wszechstronnie. Jest on wytworem owej energii życia umysłowego, która przy pomocy myśli i czynu zawłada światem, i stosując się do treści jego, urzeczywistnia przy jej pomocy potrzeby i dążności ducha. To, co w rzeczywistości stanowi nierozzerwalną jedność, — podmiot i przedmiot, duch i przyroda, — znajduje swój wyraz jednolity w stopniowym rozwoju systematu filozoficznego, który obejmuje w formie myśli wszystkie te czynniki i składa z nich całość, możliwie zgodną z rzeczywistością.

Wskutek prawidłowej działalności tej energii umysłu filozoficznego, ogólny na świat pogląd prawdziwego myśliciela wyjaśnia nie-

tylko zasadnicze kwestye wiedzy ludzkiej, lecz służy zarazem za świadomy punkt wyjścia dla jego dążności życiowych. Czyn, twórczość praktyczna na rozlicznych polach życia, w zakresie etycznym, towarzyskim, społecznym, przedstawia się z tego stanowiska jako urzeczywistnienie treści jednolitego na świat poglądu, nauki filozoficznej, wśród przedmiotowych warunków ludzkiego bytu. Praktyka życiowa jest dla energicznego myśliciela w gruncie rzeczy naturalnym wynikiem i dalszym ciągiem jego rozwoju umysłowego, dojrzałej i rozważnej myśli, zdającej sobie sprawę z zadań i przeznaczenia człowieka w świecie. Rozbrat pomiędzy teorią i praktyką, myślą i życiem, przedmiotowymi i przedmiotowymi czynnikami ludzkiego bytu, będący główną przyczyną złego w stosunkach ludzkich, ustępuje miejsca rozumnemu współdziałaniu tych czynników, zaszczepiającemu w człowieku świadomość wewnętrznej jednolitości swojej istoty. A świadomość ta staje się źródłem radosnego uczucia łączności człowieka z całym pozostałym światem, oraz ochoczej energii w kierunku coraz pełniejszego urzeczywistnienia tej łączności w życiu. Filozofia nie jest już wtedy dla myśliciela samą tylko wiedzą, nauką, lecz przybiera charakter dojrzałej mądrości życiowej, a filozof na tym stopniu rozwoju nie zadawania się już rolą abstrakcyjnego myśliciela, lecz pragnie zostać mędrce, godnym tej nazwy, urzeczywistniającym w samym sobie i w swej działalności życiowej to wszystko, co znał za prawdę niewątpliwą, co mu przyświeca na drodze życia jako ideał ludzkiej doskonałości.

Umysły o wysokim uzdolnieniu konstrukcyjnym, uzupełnianem naturalnie i pozostałymi czynnikami uzdolnienia filozoficznego, skupiają w sobie zazwyczaj pracę myśli poprzednich pokoleń i nadając jej wyraz systematyczny, stają się w dziejach filozofii głównymi przedstawicielami typowych poglądów na świat. W ten sposób poemat Lukrecjusza *de natura rerum*, a w nowszych czasach dzieło Holbacha *Système de la nature*, są typowem skupieniem poprzednio rozwiniętych nauk naturalizmu i materyalizmu. *Platon*, *Spinoza*, *Fichte*, *Schelling*, *Hegel* jednoczą w sobie najwydatniejsze czynniki idealizmu. *Arystoteles* zaś, *Kartezjusz*, *Leibnitz*, *Herbart* są głównymi reprezentantami syntetycznych poglądów, dających do połączenia lub zrównoważenia idealizmu i realizmu.

Jak zdolności dyalektyczne i krytyczne, tak i konstrukcyjne rozwijają się często w kierunku zbyt jednostronnym i doprowadzają natenczas do objawów wybujałych, rozchodzących się z istotnymi zadaniami filozofii. Bywa to wtedy, gdy umysł konstrukcyjny pozbawionym jest odpowiedniego współdziałania ze strony uzdolnienia dyalektycznego i krytycznego. W takim bowiem razie dążność konstrukcyjna nie ma charakteru samodzielnej działalności myśli i nie posługuje

się wynikami krytycznego rozbioru procesów i przedmiotów poznania, lecz w gorączkowej chęci budowania, tworzenia, wznosi pozorne gmachy myśli o bogatej architektonice bez ścisłego atoli powiązania składowych czynników i bez oparcia ich na wypróbowanych fundamentach. Doprowadza to do czezej *formy* myślowej, filozoficznej, pozbawionej racjonalnej i odpowiednio uzasadnionej treści. Są to *systemata*, na wzór wykończone w sposób drobiazgowy, podobne do subtelnie dzierganej architektury gotyckiej, lub do fantastycznie powiązanych kształtów stylu maurytańskiego, ale wewnątrz ich, pomimo rozległych rozmiarów, jest próżnem, nie zawiera w sobie nic takiego, coby zdołało zająć żywszą myśl, coby czyniło zadość głębszym potrzebom umysłu filozoficznego. W dodatku, konstruktor tego rodzaju gmachów myśli, porzeka zazwyczaj na najsurowszym, wcale nie obrobionym materyałem, lub też na materyale starym, przypadkowo na danym gruncie napotykanym, nie zastosowanym wcale do wznoszonego całokształtu. Chodzi mu jedynie o to, aby zaspokoił swój popęd do czynu na pelu myśli, aby wykończył zaprojektowany dorywezo dom lub świątynię i aby budowla jego z zewnątrz zadawalniała oko jako tako i miała wszelkie pozory architektonicznego wykończenia. Jaką jednak jest wewnątrz, i co się z nią z czasem stanie; czy sztuczny jej układ odpowiada rzeczywistym potrzebom i czy posiada warunki trwałości i bezpieczeństwa,— o to nie pyta; to są kwestye, zdolne wstrzymać lub osłabić jego energię twórczą, i więc ich unika lub nawet raz na zawsze wyklucza je z zakresu swej działalności umysłowej.

Poglądowe wyjaśnienie zaznaczonych zбочeń wyłącznego rozwoju uzdomienia konstrukcyjnego podają nam w historii filozofii objawy *formalizmu* i *scholastycyzmu* średniowiecznej uczoneści. Systemat dla systematu, bez względu na doniosłość lub prawdę jego treści, stanowi wybitną cechę umysłów scholastycznych. Ustrój pojęć, skądkolwiek zaczerpanych, a zazwyczaj tradycyjnie danych, ma dla nich większe znaczenie, aniżeli sama prawda tych pojęć. Jeżeli jednostronna dyalektyka, jakeśmy widzieli, przechodzi zazwyczaj w sofistykę, a krytyka jednostronna wpada w cynizm, sceptycyzm i pesymizm, to znowu dążność konstrukcyjna i systematyczna staje się wskutek jednostronnego rozwoju zbyt łatwo bezmyślnym *formalizmem*. Dbając tedy o swój prawidłowy rozwój, umysł filozoficzny unikać musi zaznaczonych zбочeń, a przyswoić sobie, wedle możności, wszystkie dodatnie czynniki uzdomienia filozoficznego, mianowicie zaś te, które stanowią konieczne uzupełnienie własnego przyrodzonego nastroju umysłowego. Nie pociąga to za sobą bynajmniej zrzeczenia się swej samoistnej, oryginalnej indywidualności na korzyść jakiegoś nieokreślonego *mixtum compositum* filozoficznego; ale zaznacza poprostu najwyższy cel normal-

nego rozwoju, który mieć winien na oku każdy umysł filozoficzny i którego się wyrzec nie należy dla zadosyćuczynienia indywidualnym zachciankom. Tylko w tem szukaniu własnego dopełnienia i geniusz filozoficzny przyczynia się do postępu ludzkości w kierunku poznania świata i urzeczywistnienia w nim ideałów ducha ludzkiego.

5. Zasadnicze prawo rozwoju umysłu filozoficznego.

Po charakterystyce wydatnych typów uzdolnienia filozoficznego, przechodzimy do rozpatrzenia ich doniosłości w dziejach filozofii. Poda to nam sposobność do bliższego określenia *prawa rozwoju* umysłu filozoficznego, jako objawu ogólnie ludzkiego.

Następstwo, w którym mówiliśmy powyżej o umyśle dyalektycznym, krytycznym i konstrukcyjnym, jako o głównych typach uzdolnienia filozoficznego, łącząc się jak najściślej z istotą filozofii, przedstawia nam też zarazem stopniowe urzeczywistnienie tej istoty, czyli rozwiązanie zadań filozofii w jej historii. *Dyalektyka* ze swemi pojęciami ogólnemi, połączonemi w szeregi według podmiotowego prawdopodobieństwa, następnie *krytyka*, mająca za punkt wyjścia wątplenie, a za cel rozbiór przedmiotów poznania, wreszcie *systemat* naukowy wiedzy filozoficznej, jako jednolity pogląd na świat, odpowiadający, wedle możności, rzeczywistemu ustrojowi wszechbytu, — to są w samej rzeczy trzy zasadnicze momenta, w których się kolejno wyraża praca myśli nad zadaniami filozofii i które zarazem dają poznać zasadnicze prawo jej rozwoju.

Wytwarzanie pojęć ogólnych, skupiających w sobie chaotyczny materiał codziennego doświadczenia, oraz samodzielny polot myśli na tle tych pojęć ogólnych, w celu zaspokojenia pierwszych podmiotowych potrzeb ducha, stanowią zawsze i wszędzie naturalny punkt wyjścia dla wszelkiej filozofii. Po nim następuje dość prędko reakcyja, pewne rozczarowanie i niedowierzanie względem bezpośrednich wytworów myśli, które wskutek rozlicznych doświadczeń okazują się bądź niewystarczającymi, bądź po prostu uludniami, przeciwnymi prawdzie. Umysł filozoficzny wpada wtedy w wątplenie i przekonywa się, że z niego wydobyć się może jedynie przy pomocy wszechstronnego rozbioru owych bezpośrednich wytworów myśli i wszelkich wogóle poglądów na rzeczy, uznanych w pierwszej chwili za prawdę niewątpliwą. Występuje tedy obecnie nowy czynnik rozwoju życia umysłowego, czynnik *krytyki*, wątplenia, rozbioru, dążący do wykazania składowych pierwiastków myśli i bytu, w celu dotarcia do ostatecznych fundamentów wiedzy przedmiotowej, o ile one okazują się dostępnymi dla rozbiorowej

pracy myśli. Nakoniec, umysł uczuwa potrzebę myślowej rekonstrukcji rozebranej na cząstki rzeczywistości i z całym natężeniem swej energii przystępuje do pracy dodatniej nad systematem filozofii, mającym w formie myśli odtworzyć świat przedmiotowy, o ile można wiernie, wedle ścisłych wymagań metody naukowej. I na tem kończy się też praca teoretyczna umysłu filozoficznego, ustępując już dalej miejsca działalności praktycznej, wprowadzającej w życie wyniki poznanej prawdy. Ponieważ zaś poznanie prawdy jest dla człowieka zadaniem nieskończonem, przeto nie dziw, że w dziejach ludzkości napotykamy ciągle nanowo usiłowania dążące do rozszerzenia i zagłębienia wiedzy według zaznaczonego ogólnego typu rozwoju.

W powyższem następstwie wydatnych objawów umysłu filozoficznego napotykamy uderzającą analogię z głównymi momentami rozwoju życia umysłowego człowieka wogóle. I tak, uzdolnienie *dyalektyczne*, zaznaczając pierwsze poloty myśli filozoficznej, połączone jeszcze ściśle z podmiotową działalnością uczucia, przedstawia epokę *dzieciństwa* w rozwoju umysłu filozoficznego. Epoka ta odznacza się żywością i samorzutnością myśli. Umysł zajmuje się na tym stopniu rozwoju wszystkim, ale tylko ogólnikowo; o wszystkim wytwarza sobie pojęcia, o wszystko pyta, ale zadawalnia się też byle jaką odpowiedzią i nie wdaje się w bliższy rozbiór jej treści. Uzdolnienie *krytyczne* stanowi natomiast epokę *młodzieńczą* w rozwoju filozofii, epokę refleksyjną, w której umysł nie kontentuje się już tradycyjnymi danymi, ani też własnymi bezpośrednimi wytworami myśli, lecz zaczyna wątpić o wszystkim i wszystko poddaje rozbiorowi, w celu znalezienia nowych trwałych fundamentów dla przyszłej dojrzałej i dodatniej działalności. Nakoniec, praca *konstrukcyjna* nad systematem naukowym filozofii jest ostatnim, najwyższym objawem w rozwoju umysłu filozoficznego, objawem *męskiej dojrzałości*, energii twórczej, dążącej do czynu, do zaspokojenia jasno pojmowanych i odpowiednio uzasadnionych potrzeb życia umysłowego, do filozofii dodatniej, prawdziwie pozytywnej, czyniącej wszechstronnie zadość tym potrzebom.

W ten sposób owe trzy momenta: *dyalektyka*, *krytyka* i *systemat* naukowy filozofii, wykazują stałe następstwo w zasadniczych funkcjach umysłu filozoficznego. Zaznaczają one pochodzenie myśli filozoficznej od pierwszych zawiązków aż do ostatecznego urzeczywistnienia jej treści. Stanowią zatem *zasadnicze prawo rozwoju* umysłu filozoficznego, wynikające zarówno z natury tego umysłu, jak i z istoty samej filozofii.

Powyższe ogólne rzuty wymagają naturalnie bliższego wyjaśnienia i uzasadnienia.

Psychologia wykazuje, że w dziecku proces poznawania rzeczy, w różnicy od doznawanych podmiotowo wrażeń zmysłowych, rozpoczyna się *uogólnianiem* pewnych wydatnych rysów i własności przedmiotów zewnętrznych. Wskutek braku wyrobienia zdolności obserwacyjnej, dziecko nie spostrzega dość wybitnych nawet różnic w przedmiotach, lecz skupia swą uwagę jedynie na rysach, wywołujących silniejsze wrażenia zmysłowe, a napotykając następnie też same rysy w innych przedmiotach, obejmuje wszystkie te przedmioty jednym pojęciem ogólnym, bez względu na resztę własności, rozróżniających te przedmioty pomiędzy sobą. W ten sposób łączy w jedno pojęcie i oznacza jednym wyrazem takie rzeczy, które dojrzały człowiek rozróżnia bardzo wyraźnie. Dla dziecka wyraz „papa” np. oznacza przez dłuższy czas wogóle mężczyznę dorosłego. W ten sam sposób wytwarzają się w jego umyśle rozliczne klasy przedmiotów czyli pojęcia ogólne, przy pomocy bezpośredniego skupienia rzeczy o pewnych uderzających rysach wspólnych. Proces różniczkowania, dyferencyjacji tych pojęć ogólnych i przejścia od nich do coraz bardziej szczegółowych i ściśle określonych zależy od działalności obserwacyjnej dziecka, od zubożenia jego umyślnych nowymi specjalnymi rysami przedmiotów, nadającymi im charakter coraz bardziej indywidualny. Początkowo zaś różnice pomiędzy rzeczami sprowadzają się dla dziecka do niewielkiej liczby rysów ogólnych, uchwyconych przez jego niedość jeszcze rozwinięte zdolności umysłowe.

Wobec tego prostego faktu, jest rzeczą zupełnie naturalną, że i umysł filozoficzny, rozpoczynający zastanawiać się nad przedmiotami poznania, uderzonym zostaje przede wszystkim ich rysami wybitniejszymi i wytwarza według tych rysów pojęcia ogólne, skupiające w sobie zjawiska i istoty świata o tych rysach wybitnych. I tak, wszystko, co działa na zmysły zewnętrzne, zjednoczonym zostaje w jednym ogólnym pojęciu, oznaczonym wyrazami: *przyroda, świat zewnętrzny, materia, rzeczywistość przedmiotowa*. Przeciwstawia się ono wszystkiemu, co nie dochodzi do naszej świadomości przy pomocy zmysłów, a stanowi treść wewnętrzną umyślną, jak pojęcia, uczucia, popęły, pragnienia i t. p. *Duch, dusza, świat idealny* są wyrazami, skupiającymi w sobie zazwyczaj ten szereg przedmiotów poznania. A że wrażenia zmysłowe w naturalnym rozwoju człowieka poprzedzają działalność zwrotną umyślną, doprowadzającą nas do świadomego ujęcia własnych stanów wewnętrznych, jako czegoś odrębnego, różnego od świata zmysłowego; przeto i pojęcia ogólne *ducha, duszy, świata idealnego*, pojawiają się później i wytwarzają się na podstawie i przy udziale poprzednio już wyrobionego pojęcia *przyrody, świata materialnego*. Stąd pochodzi, że wszelkie pojęcia, dotyczące *ducha, świata idealnego*, opierają się na ana-

logii z pierwotnie wytwarzanemi pojęciami o świecie zmysłowym, jego zjawiskach i istotach. W każdym razie, wobec tego, co powiedzieliśmy powyżej przy charakterystyce uzdolnienia dyalektycznego o pierwszych szkołach greckiej filozofii, okazuje się, że i na polu dziejów filozofii pojęcia ogólne stały się punktem wyjścia dla wszelkich dalszych, bardziej szczegółowych badań filozoficznych.

Nie należy jednak sądzić, że uznanie wytworów uzdolnienia dyalektycznego za objawy pierwotne w rozwoju filozoficznym, odpowiadające działalności umysłu dziecięcego, pociąga za sobą zaprzeczenie ich doniosłości przy późniejszych, najdojrzałszych nawet funkcjach myśli. Racyonalny pogląd na rozwój wogóle, a w szczególności i na rozwój życia umysłowego, doprowadza do przekonania, że w rozwoju postępowym każdy nowy wyższy stopień nie niweczy stopni poprzednich, nie znosi ich normalnej działalności, lecz obejmuje je, ożywia i do nowych, pełniejszych objawów podnieca. To też wytwarzanie pojęć ogólnych, wogóle działalność dyalektyczna umysłu, nie ulega osłabieniu lub przerwaniu wskutek dalszego rozwoju uzdolnienia filozoficznego, lecz pozostaje bez przerwy jedną z koniecznych funkcji tego uzdolnienia, niezbędną dla prawidłowego rozwiązania zadań filozofii. Uzupełnienie tej funkcji nowemi na wyższym stopniu rozwoju przyczynia się zarazem do jej wzmocnienia i bogaci ją całym szeregiem żywotniejszych i dojrzałszych wytworów, zaznaczających postęp i na tem specjalnem polu dyalektyki, pojęć ogólnych. Przecież i procesa umysłowe, przy pomocy których dziecko wytwarza pojęcia ogólne i wyrazy, przyswaja sobie mowę i z niej samodzielnie korzysta, dojrzewają wraz z pozostałemi funkcjami umysłu i w łączności z niemi rozwijają się bardziej prawidłowo, normalnie.

Z powyższego wynika, że następująca po pierwszych objawach uzdolnienia dyalektycznego działalność *krytyczna* umysłu nie wyklucza bynajmniej dalszego rozwoju czynników dyalektyki, lecz łączy się z niemi, korzysta z nich, dąży do naprawy ich zbożeń, do ich uzupełnienia swemi nowemi zdobyczami umysłowemi. Młodzieniec nie przestaje wytwarzać dalej pojęć ogólnych; przeciwnie, pod wpływem coraz żywszych dążeń podmiotowych, te pojęcia ogólne przybierają charakter samodzielny, nabywają więcej treści rzeczowej, życiowej.

Z tem wszystkiem, obok powyższej funkcji dyalektycznej, wytwarza się w młodzieńcu nowa, dziecku nieznana jeszcze dobrze, lub wcale nieznana, a mianowicie funkcja refleksyjna, rozbiorowa, *krytyczna*. Dogmatyczna ufność dziecka w prawdę poglądów tradycyjnych lub bezpośrednio, bezwiednie wytwarzanych, utracą z czasem, wskutek doświadczeń różnego rodzaju, swój charakter bezwzględny. Do umysłu wciskają się rozliczne wątpliwości teoretyczne i niechęć praktyczna,

wywolywane przez refleksyjną działalność myśli. Bogaty zasób podmiotowych wytworów myśli, uczuć i potrzeb indywidualnych staje w sprzeczności z przedmiotowymi danymi i z potęgą rzeczywistych stosunków życiowych. Młodzieńcze poczucie tej treści podmiotowej nabiera tem więcej żywości i stanowczości, im mu się owa sprzeczność pomiędzy podmiotowymi dążnościami i przedmiotowymi warunkami bytu daje silniej we znaki. Pobudza go to z jednej strony do coraz głębszej refleksyi, do coraz wyraźniejszego ujęcia myślą własnej treści podmiotowej, a z drugiej do coraz ściślejszego rozbioru i oceny przedmiotowej rzeczywistości ze stanowiska tej treści podmiotowej.

Oto psychologiczne początki *krytyki* i przyczyna, dla której wiek młodzieńczy można nazwać *krytycznym* pod wieloma względami. Jest krytycznym nie tylko z powodu zaznaczonej działalności refleksyjnej i rozbiorowej umysłu, lecz zasługuje na tę nazwę i dlatego, że jest epoką najważniejszą i najniebezpieczniejszą w całym rozwoju człowieka, a zarazem decydującą o jego przyszłości. W epoce tej dochodzi do rozwiązania zaznaczona sprzeczność pomiędzy podmiotowymi i przedmiotowymi czynnikami życia umysłowego. Osobnik albo się zatapia w tej sprzeczności, do niej przywyka i doprowadza ją do ostateczności, stając się cynikiem, sceptykiem lub pesymistą, jak to widzeliśmy powyżej przy rozpatrywaniu zbroczeń zmysłu krytycznego, albo też przezwycięża ją, wyrównywając swe wygórowane podmiotowe wymagania z przedmiotowymi danymi i posilkując się temi danymi, wedle możliwości, dla energicznego zaspokojenia swych potrzeb, a wtedy postępuje naprzód po drodze życiowego rozwoju i zbliża się coraz bardziej do męskiej dojrzałości.

Zgodnie z tą fazą umysłowego życia osobnika i historia filozofii wykazuje zawsze pojawienie się krytycznej reakcyi po żywszym rozwoju ogólników dyalektycznych. Po pierwszych szkołach w Grecyi, które, jak to widzeliśmy powyżej, wydały najogólniejsze pojęcia filozoficznego na świat poglądu, pojawiła się reakcyja krytyczna ze strony Sofistów, Sceptyków i Sokratesa. Sofiści zabawiali się wprawdzie sami jeszcze dyalektyką, ale ich dyalektyka miała już charakter opozycyjny i krytyczny. Zamiast dodatniego pochodzenia myśli do najogólniejszych pojęć i zasad, wyszukiwali oni sprzeczności w myśleniu i przygotowali przez to grunt dla sceptycyzmu, rozwijającego jednostronnie negacyę krytyczną. Sokrates zaś, występując po raz pierwszy z jasno pojętą zasadą refleksyjnego poznania samego siebie, zaznaczył raz na zawsze fundamenta wszelkiej prawdziwej, dodatniej krytyki umysłu. Prawda, że krytyka wogóle nie rozwija się w sposób należyty w filozofii greckiej, która w całości swojej ma jeszcze charakter dyalektyczny. Krytyka, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jest dopiero

wytworem nowszych czasów. Ale w zakresie ogólnego, przeważnie dyalektycznego rozwoju filozofii w Grecyi, zaznaczone objawy wykazują wyraźnie pojawienie się reakcyi krytycznej w stosunku do poprzednich wytworów dyalektyki.

Podobnie i scholastyka, pomimo swej jednostronnej konstrukcyjnej tendencji do systematyzowania pojęć, reprezentuje ze względu na treść swych poglądów czynnik dyalektyczny, bo żyje umysłowo przeważnie pojęciami ogólnymi. W przeciwstawności zaś ku niej rozwijały się zawiązki reakcyi krytycznej już w naukach *nominalizmu*, *naturalizmu* i *humanizmu* (o reakcyi życiowej przeciwko ogólnym zasadom wieków średnich, na polu stosunków społecznych, kościelnych i państwowych, nie mamy powodu mówić tu szczegółowo), aż wreszcie doszły do zupełnego rozkwitu w poglądach *Bakona*, *Kartezyusza* i ich krytycznych następców. I w nowszej filozofii nastrój przeważnie krytyczny przerywanym bywa często przez jednostronne wytwory dyalektyki, ale wtedy pojawia się zawsze na nowo i coraz silniej czynnik *krytyczny*. *Kant* zbija dogmatyzm filozoficzny XVIII-go wieku, a pozytywizm *Comte'a* stanowi reakcyę względem wybudzącej dyalektyki niemieckiego idealizmu *Fichtego*, *Schellinga* i *Hegla*.

Trzecią wybitną epokę rozwoju umysłowego osobnika wypełnia *dojrzała*, męska działalność życiowa, przetwarzająca przedmiotową rzeczywistość według wymagań podmiotowych. Na szczytach życia człowiek nie wyrzeka się wprawdzie ani rozległych pojęć ogólnych, idei, ani ich wszechstronnego rozbioru krytycznego; ale już się nie zadowala temi jednostronnemi dążnościami, rozkładającemi jego istność na przeciwległe podmiotowe i przedmiotowe czynniki, na idealne porywy i zmysłowe dane bytu zewnętrznego. Skupiając swe zdolności umysłu i siły ciała, wszystkie zasoby swego jestestwa, osobnik, doszedłszy do męskiej dojrzałości, zrywa się do *czynu* i dąży do możliwie pełnego zaspokojenia swych głęboko odczuwanych i rozważnie rozpatrywanych potrzeb. Ochocza, dodatnia, twórcza *energia*, w różnicy zarówno od bezpośrednich porywów uczucia, jak i od rozbiorowej myśli, oto nowy czynnik rozwoju umysłowego, występujący na jaw w wieku męskim i wytwarzający przy udziale poprzednich czynników ostateczne rysy charakteru danego osobnika. Teraz dopiero świat zobaczyć i przekonać się może, czem osobnik jest w istocie i jaki bierze udział w *pracy* powszechnej około udoskonalenia warunków ludzkiego bytu.

Przedstawiona powyżej działalność *konstrukcyjna* umysłu filozoficznego odpowiada na tem polu w zupełności rysom charakterystycznym wieku męskiego w zakresie ogólnego rozwoju życia umysłowego. Zaokrąglony systemat wiedzy, nauka filozoficzna, jako jednolity pogląd

na świat, oparty ściśle na wynikach badań specjalnych — jest właściwym *czynem* filozoficznym i dlatego mogliśmy też powiedzieć, że uzdolnienie konstrukcyjne zaznacza ostatni, najwyższy objaw rozwoju umysłu filozoficznego. To też w historii filozofii po epoce dyalektyki i krytyki następuje zazwyczaj epoka pracy konstrukcyjnej nad nauką filozoficzną i znajduje swój wyraz w całokształtach myśli, obejmujących wyniki dyalektycznych i krytycznych dążności poprzednich pokoleń. Po Jończykach, Pitagorejczykach, Eleatach i Sofistach wystąpili ze swemi skończonemi na świat poglądami *Sokrates*, *Plato* i *Arystoteles*, przedstawiający wiek męskiej dojrzałości w rozwoju filozofii greckiej. *Arystoteles* szczególnie rozwiniął pierwsze zawiązki *nauki*, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jako systematu pojęć, odtwarzającego w umyśle ludzkim budowę świata rzeczywistego. Pod jego wpływem rozwija się też konstrukcyjna dążność scholastyki, która atoli w swej jednostronności udoskonaliła jedynie *formę* nauki, jej ustrój systematyczny, zaniedbując przy tem zupełnie jej treści rzeczowej. W nowszych czasach *Karlezyusz*, *Spinoza* i *Leibnitz*, *Fichte*, *Schelling* i *Hegel*, a w chwili obecnej *Herbert Spencer*, *Wilhelm Wundt*, *Edward Hartmann* i inni reprezentują szereg prób systematycznego obrobienia filozofii, na podstawie dyalektycznych i krytycznych zdobyczy swych poprzedników, uzupełnianych samodzielniemi badaniami.

Jeżeli jednak zastanowimy się w końcu nad filozoficznym charakterem naszych czasów i przyłożymy do nich miarę idealną, zaczerpaną z istoty filozofii, natenczas wyznać musimy, że i najnowsze objawy dążności konstrukcyjnej nie czynią jeszcze zadość wszechstronnym wymaganiom dojrzałej twórczości na tem polu. I dzisiaj jeszcze górują w dążnościach filozoficznych czynniki dyalektyczne i krytyczne nad prawdziwie konstrukcyjnemi, beztreściowe pojęcia ogólne i rozbiór negacyjny nad dodatnią, budującą pracą myśli. W przeszłości filozofii zaznaczyliśmy wprawdzie stopniowe następstwo powyższych trzech czynników, a wśród nich i ostatniego, ale mieliśmy przytem na myśli raczej jego pierwsze zarodkowe objawy, aniżeli pełnię jego dojrzałego rozwoju. Jak dziecko i młodzieniec posiadają pewną wolę i energię a zatem i objawiają swą treść wewnętrzną w pewnych czynach, chociaż czynom tym nie możemy jeszcze przyznawać charakteru dojrzałości, podobnież i umysł filozoficzny ludzkości występuje w różnych fazach swego rozwoju z dążnością konstrukcyjną; ale pomimo to dążność ta znajduje się dotąd zawsze jeszcze pod bezpośrednim wpływem dyalektyki i krytyki, zamiast zaważnąć niemi i uczynić je uslužnemi zadaniom pracy dodatniej nad całokształtem wiedzy ludzkiej. W greckiej i średniowiecznej filozofii, przy wszelkich zawiązkach krytyki i nauki systematycznej, posiadają znaczenie pierwszorzędne pojęcia

i idee ogólne, sformułowane przeważnie drogą dyalektyczną przez Platona i Arystotelesa. Krytyka zaś filozoficzna, w poważnem tego słowa znaczeniu, bierze początek właściwie dopiero w pracach Bakona i Kartezjusza, wnika głębiej w pierwiastki zasadnicze poznania dzięki pracom Hume'a i Kanta, a znajduje wszechstronne zastosowanie do głównych dziedzin filozofii dopiero w naszych czasach, które zawsze jeszcze mają charakter bardziej negacyjny, niż prawdziwie pozytywny, dodatni. Dopiero po ostatecznem przewyciężeniu negacji krytycznej, po wyjaśnieniu przy jej pomocy niezachwianych fundamentów wiedzy ludzkiej, rozpocznie się w przyszłości właściwy rozwój uzdolnienia konstrukcyjnego ludzkości, dojrzała praca nad filozofią jako nauką, doprowadzającą do jednolitego i zarazem pełnego poglądu na świat. Dotąd ta praca dodatnia przygniecioną jest przez czynniki dyalektyczne i krytyczne i nie ma jeszcze cechy męskiej, świadomej siebie i rozważnej dojrzałości.

Zaznaczony, ze stanowiska powszechnego rozwoju, charakter filozofii współczesnej, odpowiada zupełnie owemu brakowi dojrzałości na polu współczesnych objawów życia społecznego, o którym wspominałem obszerniej w swej *Syntezie dwóch światów*, str. 98 i nast.

Tak tedy pogląd na rozwój historyczny umysłu filozoficznego doprowadza nas do przekonania, że ogólne prawo tego rozwoju w ludzkości odpowiada prawu, określającemu rozwój życia umysłowego osobnika. *Dyalektyka*, wytwarzająca pojęcia ogólne pod wpływem podmiotowych porywów uczucia, myśl *krytyczna*, rozbierająca te pojęcia ogólne w celu dotarcia do przedmiotowych podstaw poznania, i wreszcie *naukowy* na świat pogląd, jako objaw energii dojrzałej, — oto główne momenta tego rozwoju. Występują one wprawdzie na jaw stopniowo, lecz następnie uzupełniają się nawzajem w zasadniczych dążnościach filozofii. Postęp filozofii polega z jednej strony na wyrównaniu i uzupełnieniu poprzedniego czynnika przez następny, a z drugiej na skoncentrowanem współdziałaniu wszystkich. Historia filozofii jest historią rozwoju umysłu filozoficznego ludzkości. Obejmuje ona zarówno kolejne następstwo głównych typów uzdolnienia filozoficznego, jak i ich łączność organiczną przy stopniowem urzeczywistnianiu istoty filozofii.

6. Hegel, Comte i Spencer o rozwoju filozofii.

Zaznaczone powyżej prawo rozwoju umysłu filozoficznego, opierając się na psychologicznych danych, ma charakter konkretny, faktyczny, życiowy. Wskutek tego wyjaśnia wierniej i dokładniej postęp dziejowy filozofii, aniżeli wszelkie prawa abstrakcyjne, z góry w silny

powzięte, a następnie dopiero do życia zastosowane. Takie prawa wygłosili w nowszych czasach szczególnie *Hegel*, *Comte* i *Spencer*. Należy się tedy, abyśmy ich poglądy na ten przedmiot zestawili choć w zarysach ogólnych z powyżej wyłożonemi.

Według *Hegla* pochod myśl filozoficznej rozpoczyna się *tezą*, twierdzeniem, przechodzi następnie w *antytezę*, przeczenie, i nareszcie wyrównywa te czynniki w *syntezie*, w różnojedni, która, stając się z czasem znowu *tezą*, wywołuje ten sam proces w zastosowaniu do nowowytworzonej treści. W ten sposób występuje na widownię historii niezmiernie bogactwo poglądów filozoficznych, zbliżających się coraz bardziej do prawdy bezwzględnej.

To prawo *Hegla* ma pewną podstawę faktyczną w objawach psychicznych *akcji* i *reakcji*. W samej rzeczy, nie ulega wątpliwości, że w istotach żyjących wszelkie działanie w pewnym, oznaczonym kierunku, trwające dłuższy czas, wskutek wyczerpania odpowiednich sił osobnika, pociąga za sobą przeciwdziałanie, w celu doprowadzenia funkcji żywotnych do możliwej równowagi. Ale *Hegel* nie sprowadzał bynajmniej swego poglądu na pochod filozofii do tych czynników biologicznych, lecz pozostawał w sferze pojęć ogólnych i kontentował się czysto abstrakcyjnym sformulowaniem naznaczonego prawa. Współczesna filozofia zawdzięcza mu wprawdzie wskutek tego ogólną ideę *rozwoju*, oraz zaznaczenie jego najwydatniejszych momentów ze stanowiska myśli oderwanej; ale, pomimo to, formuła *Hegla* pozbawioną jest treści życiowej, a więc i prawdy rzeczywistej. *Hegel* reprezentuje w tej kwestyi rozwój górnolotną dyalektykę, nie pozbawioną bynajmniej znaczenia ze względu na swe pojęcia ogólne, lecz zawierającą w sobie jedynie nieokreślone zarysy dalszych poszukiwań na tem polu. Dla abstrakcyjnych wyrazów rozwoju, — twierdzenia, przeczenia i różnojedni, zaczerpanych przez niego z działania myśli oderwanej, należało znaleźć momenta konkretne, zdolne nappełnić abstrakcyjną formułę rozwoju treścią życiową i przez to nadać samej tej formule charakter rzeczywistości faktycznej. W tym zaś celu było przedewszystkiem koniecznem przenieść całą kwestyę rozwoju z dziedziny dyalektyki ogólnikowej na pole szczegółowych objawów życia i dziejów i na tem polu poddać odpowiednie dane rozbiorowi krytycznemu.

To zadanie krytyczne w kwestyi rozwoju filozofii usiłował rozwiązać *Comte* i doszedł w tym względzie do znanej teoryi trzech stanów umysłu, znajdujących swój wyraz w *teologii*, *metafizyce* i *filozofii pozytywnej*. Ta ostatnia, po przewyciężeniu poprzednich stopni rozwoju, przedstawia, według *Comte'a*, najwyższy i jedynie naukowy czynnik filozofii.

Pogląd ten Comte'a zaznacza niewątpliwie ważny postęp w porównaniu z poglądem Hegla. Przedewszystkiem wstępuje tutaj w swe prawa czynnik *krytyczny*. Comte nie wygłasza swej formuły rozwoju filozofii czysto dogmatycznie, w bezpośredniem zaufaniu w prawdę swych podmiotowych pomysłów, jak to czynił Hegel, lecz czuje potrzebę oparcia swej formuły na rozbiorze psychologicznych i historycznych danych. Prawo rozwoju, w przekonaniu Comte'a, powinno być wynikiem wszechstronnego zbadania życia umysłowego człowieka i jego dziejów przez nauki specjalne. Ale z drugiej strony, przy bliższem rozpatrzeniu rzeczy, okazuje się, że Comte w swej krytyce, zamiast oprzeć się na faktach i wyprowadzić z nich odpowiednie wnioski, kierował się wyłącznie tendencją opozycyjną. Wskutek tego, pomimo pretensjonalnej nazwy *pozytywizmu*, reprezentuje i w tej kwestyi raczej czynnik negacyjny, niż dodatni, budujący.

I tak, nie trudno spostrzedz, że naprzód sama idea rozwoju ma u Comte'a charakter przeważnie negacyjny. Rozwój bowiem nie polega, według niego, na przejęciu nabytków przeszłości przez chwilę terażniejszą, na nieprzerwanem funkcyonowaniu pierwotnych czynników życia umysłowego i w wyższych stopniach rozwoju, lecz uskutecznia się wyłącznie wskutek zupełnego zniesienia poprzedniego czynnika przez następny, więc drogą bezwzględnej negacyi. Metafizyka, jako drugi stopień rozwoju filozofii, jest, według Comte'a, negacją teologii, a filozofia pozytywna, jako stopień najwyższy, ostateczny, jest negacją metafizyki. Więć też nie dziw, że z takiej sumacyi zaprzeczeń nie może powstać nic pozytywnego, w prawdziwym znaczeniu tego słowa, że cała filozofia Comte'a, o ile ma charakter oryginalny, wyczerpuje się zupełnie w krytyce negacyjnej.

Prócz tego „wielkie prawo” Comte'a chronieje wskutek braku ścisłości w oznaczeniu zasadniczych momentów rozwoju filozofii. *Teologia*, nawet w określeniu Comte'a, jako poetyczne uosobienie sił przyrody, nie jest wcale objawem *filozoficznym*, lecz wypływa z działalności odrębnego czynnika życia umysłowego, który w swym rozwoju nie wydaje wogóle żadnej filozofii, a więc i nie może wydać filozofii pozytywnej, lecz znajduje swój wyraz w *religii*. Religję zaś sam Comte uznawał za objaw odrębny, w porównaniu z filozofią, i dlatego obok filozofii pozytywnej usiłował założyć również i nową, pozytywną religję. Jakież tedy, wobec tego, może mieć znaczenie dla rozwoju filozofii teologia, złączona jak najściślej z wiarą religijną? Na jakiej zasadzie teologia może uchodzić za pierwszy składowy moment, za punkt wyjścia w rozwoju filozofii jako filozofii? Pojmujemy dobrze doniosłość religii, więc i teologii w ogólnym rozwoju życia umysłowego człowieka; ale właśnie dla tego nie możemy jej uznawać za przemijający

moment tego rozwoju, ani za jedną z form, choćby pierwotną, *filozofii*, lecz widzieć w niej musimy konieczny składowy czynnik życia umysłowego wogóle, rozwijający się równolegle względem filozofii od pierwszych swych zawiązków aż do objawów właściwej dojrzałości. A z tego wynika, że przejścia ewolucyjnego od religii i teologii do filozofii niema wcale, podobnie jak w rozwoju embryonalnym wyższych organizmów serce nie przekształca się w mózg, lecz rozwija się samostatnie, równolegle z mózgiem. Teologia zamieszczoną tedy została w formule Comte'a bez wszelkiej zasady, dzięki wyłącznie tendencji negacyjnej wykazania, że nie bierze żadnego udziału w rozwoju prawdziwej filozofii, że raz na zawsze wyłączoną być winna z jej zakresu.

Taż sama tendencyja negacyjna kieruje poglądem Comte'a na *metafizykę*. Tutaj jednak ta tendencyja tem mniej jest uprawnioną, że pojęcia metafizyczne stanowią integralną część wszelkiej filozofii, nie wyłączając filozofii pozytywnej Comte'a. Pojęcie *przyrody*, jako ustroju obejmującego wyłącznie zjawiska *fizyczne* o pewnych, ściśle określonych własnościach, dalej pojęcia *sily*, *ruchu*, *przestrzeni*, *czasu*, *przyczynowości*, *celowości*, *zjawiska* i *istoty*, *materji* i *ducha* i t. p., używane przez Comte'a bądź w znaczeniu *pozytywnem*, bądź jako przedmiot negacyi, są ogólnemi pojęciami *metafizycznemi*, dotyczącemi istnienia powszechnego, bytu. Zamiast tedy wykazać *krytycznie* znaczenie tych ogólnych pojęć metafizycznych w stopniowym rozwoju filozofii; zamiast określić ściśle ich udział uprawniony w tym rozwoju i wogóle włączyć ich funkcję w proces życiowy umysłu ludzkiego, zbywa je Comte lekko jako objawy przejściowe, nie mające żadnego pozytywnego znaczenia dla filozofii, leżące zupełnie za jej obrębem. Stąd powstało owo zdanie negacyjne, za Comte'm dotąd tak często bezmyślnie powtarzane, o bezwzględnej sprzeczności pomiędzy metafizyką i filozofią naukową. Tymczasem żadna filozofia bez tego rodzaju pojęć ogólnych obejść się nie może; wchodzą one mimowoli w skład poglądów najbardziej „pozytywnych” i „naukowych” myślicieli, bo bez nich myśleć o świecie nie mogą, a wskutek tego *negacya* odnośnie do tych pojęć, zamiast ich *wyjaśnienia*, uniemożliwia prawidłowe rozwiązanie najistotniejszych zadań filozofii. Comte i jego zwolennicy tą *negacyą* udowodnili tylko, że w kwestyi rozwoju filozofii zajmują owo jednostronne stanowisko krytyczne, z którego wykazać wprawdzie można strony ujemne poglądu dyalektycznego na tę sprawę, które atoli nie może jeszcze służyć za punkt wyjścia do jej prawdziwie pozytywnego rozwiązania, do naukowego na nią poglądu.

Dążność do bardziej dodatniego rozwiązania kwestyi rozwoju reprezentuje *Herbert Spencer* w swym *Systemacie filozofii syntetycznej*.

Rozwój uskutecznia się, według niego, dzięki procesom dyferencyacji i integracji zasadniczych czynników bytu. Pierwotna nieokreślona *jednorodność* tych czynników podlega *rozkładowi*, a następnie z rozłożonych elementów wytwarzają się rozliczne *skupienia*, agregaty, które wskutek dalszych procesów dyferencyacji i integracji wydają w końcu najwyższe, wielce złożone i skomplikowane objawy życia. I życie umysłowe człowieka, więc i filozofia, rozwijają się, według Spencera, na podstawie tego prawa.

Pogląd Spencera na rozwój czyni już bardziej zadość wymaganiom rzeczywistej nauki filozoficznej, w różnicy od abstrakcyjnej dyalektyki i negacyjnej krytyki. Ogólne pojęcia ewolucji i jej momentów znajdują tu już wyraz bardziej dodatni, pozytywny, w pewnych realnych czynnikach bytu i znajdują swe wyjaśnienie na podstawie faktów biologii. Prawo rozwoju Spencera nie unosi się po-nad rzeczywistość życiową, w sfery nadobłoczne pojęć ogólnych, jak to widzimy u *Hegla*; ani też w duchu *Comte'a* nie zadawalnia się określeniami negacyjnymi, zastosowaniami tendencyjnie do ciasnego zakresu pewnych tylko objawów życia umysłowego (do teologii, metafizyki i filozofii, pojętej wyłącznie jako zestawienie wyników nauk specjalnych). Przeciwnie, u Spencera prawo to, pomimo najrozleglejszego pojęcia i zastosowania do wszystkich zjawisk bytu, opiera się na pewnych faktycznych danych i z nich stara się wyprowadzić treść swoją.

Z tem wszystkim formuła rozwoju Spencera nie wydaje się nam wystarczającą. Jest ona naprzód zawsze jeszcze zbyt abstrakcyjną, czyli, według wyjaśnionej powyżej terminologii, zbyt dyalektyczną. Logiczne wyrazy rozwoju w teorii Hegla—tezę, antytezę i syntezę,—Spencer zastąpił wyrazami matematycznymi, przyczem dwa pierwsze momenta Hegla odpowiadają dyferencyacji, a czynnik syntezy schodzi się bardzo blisko z integracją. Prawda, że i pod tym względem formuła myśliciela angielskiego zaznacza postęp znakomity. O ile matematyka zdolną jest dokładniej i wierniej wyjaśnić rzeczywistą budowę świata, aniżeli abstrakcyjne kategorie dyalektyki, o tyle też Spencera formuła matematyczna rozwoju zbliża się bardziej aniżeli dyalektyczna Hegla do wytlómaczenia owego zjawiska wszechświatowego, które rozwojem, czyli ewolucją nazywamy. Ale i matematyka jest z natury swojej nauką zbyt abstrakcyjną i formalną, aby mogła służyć za ostateczną podstawę dla zasadniczego wyjaśnienia pierwotnych czynników *życia*, więc i dla sformułowania prawa jego rozwoju. Podstawą tą powinny być same objawy życia, konkretne, faktyczne dane ruchu życiowego, wykazujące w sposób naoczny owe czynniki, które biorą udział bezpośredni w tym ruchu. Spencer ma wprawdzie, jakeśmy to już zaznaczyli, na oku te faktyczne dane, ale w swej formule

rozwoju nie zaznacza dokładnie tych danych, lecz wyraża je za pomocą analogii matematycznej; przez co powraca znowu ze sfery realnej na pole abstrakcyjnych pojęć i dyalektyki.

Drugim, nie mniej ważnym powodem, dla którego powyższej formuły nie możemy uznać bez zastrzeżeń za wystarczającą, jest ta okoliczność, że zasadnicze czynniki rozwoju Spencer wyprowadza z rozbioru niższych objawów bytu *fizycznego* i za ich pośrednictwem wyjaśnia wyższe objawy życia, zamiast, odwrotnie, uznać, że prawdziwe czynniki rozwoju życiowego występują najwyraźniej na jaw dopiero w *najwyższych* objawach życia, że zatem te właśnie objawy podają konieczny materiał naukowy do określenia owych czynników zasadniczych czyli przyczyn całego procesu rozwoju. Ze stanowiska naukowej metodologii jest bezwątpienia racjonalniej uznać najwyższy objaw życia, duch celowo działający, za czynnik pierwotny, zasadniczo dany, nie ulegający dalszemu rozbiorowi, aniżeli przyjąć byt fizyczny, bezmyślny i szczupły zakres jego własności za taki czynnik pierwotny i z niego dopiero, drogą wymuszonej argumentacji, wyprowadzać to, co z niego nigdy ani logicznie, ani faktycznie wyprowadzić się nie da, t. j. najwyższe objawy życia, ducha, celowo działającego. Tendencya naturalistyczna, wypływająca z dogmatycznych i niczem nieuzasadnionych uprzedzeń materializmu, zbyt jeszcze jest panującą w umyśle Spencera, aby i jego formuła rozwoju nie nosiła na sobie tego piętna. Zaprzeczenie samoistności czynnika duchowego i wyprowadzenie onego z czynników fizycznych wchodzi jeszcze w skład jego systematu filozoficznego, który też wskutek tego nie może obejmować praw rozwoju tego czynnika duchowego, lecz wbrew faktom nadaje mu stanowisko podrzędne i wtłacza jego objawy życiowe w kategorie fizyczne, przeistaczając samowolnie rzeczywisty charakter tych objawów. To też formuła Spencera nie wyjaśnia należycie ani stopniowego rozwoju umysłu filozoficznego ludzkości, ani wogóle dziejów filozofii.

Porównywając powyższe poglądy Hegla, Comte'a i Spencera z wykazanem przez nas prawem rozwoju umysłu filozoficznego, zaznaczyć przedewszystkiem musimy, że prawo to uzupełnia w swoim zakresie przedstawione formuły. Zasadnicze momenta tego prawa: pojęcia ogólne czyli dyalektyka, ich rozbiór czyli krytyka i nareszcie nauka filozoficzna, jako dojrzały wytwór uzdolnienia konstrukcyjnego, zgadzają się po części z momentami rozwoju, wykazanymi przez wspomnianych myślicieli. Pierwotny czynnik dyalektyczny odpowiada tezie Hegla oraz metafizyce Comte'a i pierwotnej jedni Spencera; krytyka na polu rozwoju filozofii łączy się zazwyczaj z przeczeniem, więc staje się antytezą, a jej czynnik rozbiorowy jest procesem dyferencyacji;

nareszcie nauka filozoficzna, jako całokształt wiedzy zasadniczej, ma charakter syntetyczny i pozytywny, jest wynikiem integracji.

Różnica zaś pomiędzy formułami tych myślicieli a naszą na tem polega, że nasza jest zupełnie *konkretną*, że się opiera na najoczywistszych danych wszelkiego wogóle rozwoju, t. j. na faktach rozwoju życia umysłowego człowieka. Cóż bowiem daje nam dokładniej poznać zasadnicze czynniki rozwoju, jeżeli nie własne życiowe doświadczenie, własny ruch umysłowy od dzieciństwa aż do dojrzałości? Tu przedstawia się nam najprostszy i najprzystępniejszy dla umysłu ludzkiego *typ rozwoju*; typ, który nas wogóle naprowadza na ideę rozwoju i bezpośrednio zapoznaje z jego wybitnymi momentami. Do należytego bowiem zrozumienia zjawiska rozwoju doprowadzić nas może jedna tylko droga, taż sama, która nas doprowadza wogóle do poznania i zrozumienia świata, do wytlómaczenia jego przedmiotowych objawów, a drogą tą jest doświadczenie wewnętrzne, wogóle życie umysłowe, i wyjaśnienie wszelkich przedmiotowych danych z jego stanowiska. Gdybyśmy nie doświadczali w samych sobie i na sobie rozwoju, gdyby życie umysłowe nie doprowadzało do naszej świadomości głównych jego momentów, natenczas nie mówilibyśmy wcale o rozwoju świata przedmiotowego i nie mielibyśmy możności poznać takowy, bo nie posiadalibyśmy, że tak powiem, organu do przejścia danych, świadczących o rozwoju zewnątrz nas. Stąd tedy typowych i podstawowych objawów rozwoju, mających służyć za punkt oparcia dla wyjaśnienia reszty objawów, nie można szukać w świecie zewnętrznym, w niższych sferach bytu i życia, lecz w faktach umysłowego rozwoju człowieka. Przystosowanie zaś typów niższego rodzaju do objaśnienia wyższych objawów życia nie doprowadza nigdy do celu; przeciwnie, jest powodem ciągłych nieporozumień i trudności, nie dających się usunąć przez żadne sztuki dyalektyki i krytyki. Natomiast, niższe typy rozwoju stają się zrozumiałymi, gdy znamy czynniki rozwoju typów wyższych i najwyższych. W owych bowiem typach niższych działają te same czynniki zasadnicze, co w wyższych, z tą tylko różnicą, że ich działanie pozostaje jeszcze w pewnym ukryciu, że nie wykazują jeszcze w zupełności, czego dokonać są zdolne. Dlatego właśnie pójść musimy za postępem działania tych czynników aż do objawów najwyższych i z nich dopiero wyprowadzić wnioski co do ich istotnej natury. Wtedy, przy pomocy tych wyższych czynników wyjaśnienie odnośnych faktów przedstawia daleko mniej trudności i doprowadza do jednolitego poglądu na badany szereg objawów bez wszelkich sztucznych naciągów.

Powyższe uwagi znajdują swoje zastosowanie i w danym wypadku. Widzieliśmy już, że historyczne dane, dotyczące powszechnego

rozwoju filozofii, znajdując swe wyjaśnienie na podstawie przedstawionych charakterystycznych momentów filozoficznego uzdolnienia osobnika. Jak tu, tak i tam, czynniki: dyalektyczny, krytyczny i konstrukcyjny, wskutek kolejnego następstwa i stopniowego uzupełniania swej działalności, stanowią istotę umysłowego rozwoju człowieka i wykazują w sposób należyty wszechstronne urzeczywistnienie filozofii, jako odrębnego objawu życia w dziejach ludzkości.

Można-by jednak zarzucić naszej formule, że jest zbyt ciasną, szczególnie w porównaniu z formułami Hegla i Spencera, że, zaczerpana wyłącznie z umysłowego rozwoju człowieka, nie nadaje się do szerszych zastosowań, a przede wszystkim nie wyjaśnia wcale powszechnych faktów rozwoju, ani jego składowych czynników. A z tego mógłby ktoś zaczerpać zarazem argumentu krytycznego przeciwko naszemu zdaniu metodologicznemu o konieczności wyjaśnienia niższych objawów świata przy pomocy czynników, wykrytych w działaniu objawów wyższych i najwyższych. Wyczerpujące odparcie tych zarzutów wymagałoby szerszych metafizycznych i metodologicznych poszukiwań i nadto nie odnosi się bezpośrednio do przedmiotu niniejszej rozprawy. Chcąc jednak, w zakresie ram tej pracy, usprawiedliwić choć w części doniosłość wykazanej formuły rozwoju umysłu filozoficznego odnośnie do ogólnego na świat poglądu, zamknijemy nasze poszukiwania kilkoma pobieżnymi uwagami w tym przedmiocie.

Pojęcia ogólne, rozbiór i systemat naukowy filozofii, jako wyrazy najwyższego, bezpośrednio dla nas dostępnego typu rozwoju, t. j. rozwoju życia umysłowego człowieka, zawierają w sobie zarazem czynniki wszelkiego wogóle rozwoju w świecie. Należy tylko wyrazy te w sposób odpowiedni zastosować do nowej treści, różnej od objawów życia umysłowego, a wtedy nie trudno będzie wykazać, że te właśnie czynniki działają i na polu objawów, zaliczanych zazwyczaj do osobnej kategorii świata fizycznego.

Za pierwotny moment rozwoju świata fizycznego należy koniecznie przyznać pewien czynnik powszechny, ogólny, odpowiadający zupełnie czynnikowi dyalektycznemu na polu życia umysłowego, t. j. pojęciom ogólnym. Czemże są tak zwane *prawa* świata fizycznego, występujące bezpośrednio na jaw w ruchu materji pierwotnej i w jej ukształtowaniu, jeśli nie czynnikiem *ogólnym*, określającym z pewną wewnętrzną, immanentną prawidłowością działanie materji, więc i jej rozwój? Powiedzą mi, że *prawa* wszelkie są tylko wytworem umysłu, wynikającym wyłącznie z porównania faktów szczegółowych i zjednoczenia w jedną abstrakcyjną całość ich cech wspólnych; że zatem nie można uznać *praw* za *realny* czynnik istnienia. Rozumiem dobrze, że sformułowane naukowo przez umysł ludzki prawo nie może uchodzić

za rzecz, istniejącą samoistnie po-za umysłem. Ale pomimo to, czyż niema w rzeczywistości czynników, odpowiadających naszej *idei* prawa? Czy te własności wspólne w szeregu zjawisk, te fakta, które wykazują ich stałość, jednostajność i łączność powszechną, ich jedność zasadniczą, nie mają charakteru *realnego*, nie są czynnikami przedmiotowemi, działającemi w świecie rzeczywistym, usprawiedliwiającemi naukowe pojęcie prawa i jego sformułowanie? Otóż, te właśnie powszechne, zasadnicze czynniki bytu, działające w sposób jednostajny we wszystkich szeregach zjawisk, będące podstawą naszego naukowego pojęcia praw świata, odpowiadają na polu wszechbytu ogólnym pojęciom w zakresie rozwoju życia umysłowego. Według nas, ten czynnik powszechny i jednostajny w chaosie zjawisk szczegółowych, wiecznie zmiennych pojęć i zrozumieć można jedynie jako *ideę, myśl*, przenikającą swoją treścią ogólną, niezmienną, surowy materiał bytu. Tylko *idea*, jako objaw ducha, może posiadać treść o charakterze powszechnym, niezmiennym, dającą się wyrazić w formułach logicznych lub matematycznych. A taką treść zawierają właśnie tak zwane *prawa* przyrody. Ale choćby i kto nie chciał się na to zgodzić z powodu predylekcji dla dogmatów naturalizmu, zawsze i wtedy wyznać musi, że pierwotnym czynnikiem w rozwoju świata są owe ogólne i jednostajne właściwości, które dają nam powód do mówienia o *prawach* świata i które odpowiadają ideom ogólnym w zakresie życia umysłowego. W jednym i drugim wypadku są to czynniki powszechne, jednostajne, danego bytu, wchodzące w skład wszystkich późniejszych momentów jego rozwoju.

Czynnik krytyczny, rozbiorowy, w rozwoju wszechświata, w różnicy od jałowej antytezy Hegla, wykazał szczegółowo *Spencer* pod nazwą *dyferencyacji*. Z pierwszego wejrzenia mogło-by się zdawać, że pomiędzy temi dwoma wyrazami niema nic wspólnego, a szczególnie że dyferencyacya, jako czynnik rozwoju w świecie przedmiotowym, nie daje się sprowadzić do procesów umysłowych. A jednak łatwo wykazać, że i ten czynnik staje się dla nas zrozumiałym i może być odpowiednio wyjaśnionym jedynie ze stanowiska procesów umysłowych życia powszechnego.

Dyferencyacya, jako rozkład pierwotnego stanu skupienia materii na objawy szczegółowe, odrębne, staje się momentem *rozwoju*, różni się od chaotycznego rozpadnięcia się pierwszego lepszego konglomeratu na cząstki składowe, tylko dzięki tej okoliczności, że powstające przez ten proces dyferencyacji czynniki spełniają pewną szczegółową funkcję, jako środki pomocnicze dalszego postępu. Wskutek bowiem wzajemnego przystosowania się do siebie i zespojenia tych czynników wytwarzają się coraz pełniejsze i dojrzałe objawy życia. Świadczy

o tem zarówno rozkład pierwotnej materii kosmicznej na zawiązki pojedynczych ciał niebieskich, jak i rozkład komórki organicznej na zawiązki nowych formacji o ściśle określonych funkcjach życiowych, wogóle wszelki rozkład danego bytu, jako czynnik jego dalszego rozwoju życiowego. Taki zaś rozkład pierwotnej jedni jest oczywiście procesem, dokonywającym się pod wpływem pewnej myśli przewodniej, celowej. Ona to wyjaśnia jedynie dlaczego proces rozłożenia nie przybiera charakteru chaotycznego, lecz staje się współczynnikiem *rozwoju*. Dlatego też, największy w zasadzie przeciwnik celowości *zmuszony* jest mówić o *przeznaczeniu, zadaniu, korzyści*, a zatem o *celu* wszelkich nowych organów i funkcji rozwijającego się ustroju. Z tego też powodu ów rozkład pierwotnej jedni przedstawia się nawet jednostronnemu naturalistcie, t. j. Spencerowi, jako proces *matematyczny różniczkowania*, wykazujący składowe czynniki danej wielkości, a znany nam w rzeczywistości, faktycznie, tylko jako proces myślowy matematyka. W oderwaniu od tej realnej analogii, wyjaśniającej istotę tego procesu, dyferencyacja jest wyrazem bez określonego znaczenia, formą bez odpowiedniej treści, więc terminem, niezdatnym do wyjaśnienia jakichkolwiek danych świata przedmiotowego. Tak tedy okazuje się, że zestawienie dyferencyacji Spencera, jako czynnika rozwoju powszechnego, z czynnikiem umysłowym rozbioru, krytyki, nie jest naciąganiem, lecz wynika z samej natury tego czynnika, z jego faktycznego udziału w procesie rozwoju.

Ostatni wyraz rozwoju w świecie przedmiotowym przedstawia się nam jako skończone ukształtowanie czyli ustrój czynników, wynikłych z poprzedniego procesu rozłożenia, dyferencyacji, czy to będzie ustrój astronomiczny ciał niebieskich, czy też ustrój funkcji organicznych w żywej istocie, czy nareszcie ustrój rozlicznych objawów i stosunków, spowodowanych przez rozwój bądź pojedynczych narodów, bądź całej ludzkości, jak np. rodzina, społeczeństwo, państwo, lub mowa, sztuki piękne, nauki specjalne, filozofia i t. p. Takie ustroje przedstawiają się nam jako ostateczne i najwyższe wytwory istnienia. Hegel widzi w nich syntezę, Spencer integrację składowych czynników wszechbytu. Ich zgodność zasadnicza z ostatnim momentem wykazanego powyżej rozwoju umysłu filozoficznego, z jednolitym na świat poglądem, z nauką i systematem filozoficznym, jest oczywistą. Tu i tam występuje na jaw czynnik *konstrukcyjny*, wytwarzający całokształty, systemata, z tą tylko różnicą, że w świecie zewnętrznym całokształty te składają się z materiałów zmysłowych, są widzialnymi i dotykalnymi jestestwami, podczas gdy w sferze umysłowej człowieka mają charakter myślowy, idealny. Ale myśli, idee w całokształtach naukowych, filozoficznych, pragną być zawsze odzwierciedleniem owego

jednolitego systematu prawdy, który się nam przedstawia w ustroju i budowie świata rzeczywistego. A w tym fakcie wyraża się bezpośrednio głęboki, niedający się niczem nadwereżyć związek pomiędzy dążnością konstrukcyjną umysłu ludzkiego a rzeczywistą konstrukcją świata. Dążność ta jest w istocie swojej jednym z najwyższych, a zarazem najbardziej dla nas zrozumiałych objawów owej wszechświatowej twórczej Potęgi, która nadaje istnieniu ustrój rozumny, o przystępnej dla nas matematycznej prawidłowości i o funkcyjach, uzupełniających się nawzajem w celu pełniejszego rozwoju życia powszechnego. Całokształt wiedzy ludzkiej i systemat filozoficzny, jako wytwory zdolności konstrukcyjnej człowieka, mogą być tylko słabym odbłaskiem tej najwyższej potęgi twórczej, odbłaskiem, odpowiadającym ograniczonym zasobom i środkom uzdolnienia ludzkiego. Ale i w tym szczupłym zakresie przekonywamy się z powyższego, że stopniowy rozwój umysłu filozoficznego, wraz z działającymi w nim czynnikami, jest w gruncie rzeczy skoncentrowanem, mikrokosmicznem powtórzeniem owego rozwoju powszechnego, makrokosmicznego, który dochodzi do naszej świadomości za pośrednictwem wspaniałego ustroju świata widzialnego.

HENRYK STRUVE.

Znaczenie badań katakumbowych

dla historii sztuki i religii.

Nigdy jeszcze tyle, co w naszym wieku, nie wykonano robót grabarskich. Od lat kilkadziesiąt Zachód z motyką w ręce urządza prawdziwe najazdy na Wschód do dawnych słynnych ognisk cywilizacyjnych. I powiedzieć trzeba, że wyprawy to szczęśliwe, bo wielkich z grobów dobyły Łazarzy.

Champollion, Maspero, Mariette, de Rougé, zbudzili ze snu wiekowego stary kraj Faraonów. Z ziemi oblanej Tygrem i Eufratem, Botta, Layard, Hormuzd Rassam, Smith wygrzebali stary Babilon i Niniwę, stolicę Sennacheryba. Renan odszukał cenne resztki architektury fenickiej, Beulé dokopał się starych cmentarzy kartagińskich, Palestyna roztworzyła kilka słynnych grobów, a dalej jeszcze na Wschodzie przetrząśnięto w Indjach pagody, zbudowane nad ziemią, i kilka świątyń podziemnych. Bliżej Zachodu poruszono ziemię, którą opiewa „ślepy piewca z Chios”, odkopano Mykeny „o szerokich ulicach i bogate w złoto”, świątynię w Olympii i Dodone, a w Italii—Pompei i Herculanium i rzymskie forum.

Jaki jest cel praktyczny tych wszystkich znużonych a kosztownych poszukiwań? Jeszcze w wieku XVIII uważano muzea starożytności za instytucje zbytku raczej niż za pracownię nauki. I niedawno jeszcze nie bardzo roztropną było rzeczą nazwać się archeologiem, bo

przyjaciel, któremuś się tak przedstawił, domawiał sobie w duszy: trochę archeolog, trochę próżniak, a trochę nic. W ostatnich dziesiątkach lat dokonała się jednak pod tym względem znaczna zmiana w opinii publicznej i dziś pojmujemy, że archeologia jest żywotną gałęzią historii, a archeolog tem dla historyka, czem karczownik dla rolnika. Dopóki historyk ogranicza się wyłącznie do rejestrowania w językach nowożytnych głośnych faktów dziejowych, wielkich wojen, przewrotów państwowych i następstwa królów i konsulów, dopóty może od biedy obyć się dziełami Herodota, Tucydidesa, Ksenofonta, Berozusa, Manetona, Liwiusza, Tacyta. Jeśli jednak chce iść dalej, uczynić z historii prawdziwą mistrzynię życia, poznać i przeniknąć głębiej wszystkie warstwy społeczne a zwłaszcza ludowe, dowiedzieć się coś o ich życiu codziennem, o ich cnotach i błędach, zwyczajach i obyczajach, o ideałach nurtujących w ich piersiach, zdobyć w ten sposób nowe poglądy i rzucić nowe światło na następstwa faktów dziejowych; to musi koniecznie za innemi oglądać się źródłami. Tu powie mu więcej odkopanie Pompei, nauczą go więcej syryngi i mastaby egipskie i ceglane biblioteki chaldejskie, niż wzięte razem wszystkie dzieła historyków i kronikarzy greckich, egipskich i rzymskich. Dlatego też to zbieranie kamieni nie jest już dziś jakimś tylko pieszczaniem się sentymentalnem z okruciami przeszłości, ale rzetelną nauką, a wydobyte z ziemi popielnice, pierścienie, naszyjniki, paciorki kościane i gliniane, strzały, miecze, resztki tkanin, rzeźby i malowidła, siekiery i noże cennymi są pomnikami starej myśli ludzkiej i dawnej kultury.

Ale nie o wszystkich jeszcze wspomniałem robotach grabarskich! Obok nekropol pogańskich przetrząśnięto za dni naszych także najstarsze cmentarze chrześcijańskie w Aleksandryi, na wyspie Melos i Koryrze, w Girgenti, Syrakuzach, Naro, Terni, Vulci, Otricolo, Chiusi, Spoleto, Medyolanie a przedewszystkiem w Rzymie. Z ostatnich największy, znany pod nazwą katakumb św. Kaliksta, leży za bramą św. Sebastjana, na skrawku ziemi, między drogą apijską i ardeatyńską, skąd wspaniały widok na stare Tibur Horacego i słynne Tusculum Cycerona. Przy tej samej drodze apijskiej, więcej na południe, rozciągają się katakumby św. Sebastjana i Pretekstata, przy drodze ardeatyńskiej cmentarz św. Domitylli, przy drodze salaryjskiej nowej katakumby Jordanów, Trazona i Saturnina, Nowelli i Pryscylli, przy drodze nomentańskiej katakumby Ostryana i św. Agnieszki, przy drodze tyburtyńskiej cmentarze św. Hipolita i Cyryaki, przy drodze ostyjskiej Komodylli i Lucyny, przy drodze portyjskiej katakumby Poncyana, Generozy i papieża Juliusza, przy gościńcu aurelskim Pankraczego, Kalepodiusza, Lucyny i Feliksa papieża. Wszystkich jest około sześćdziesięciu. Gdybyśmy ich cztero i pięćpięćtrowe w różnych kie-

runkach krzyżujące się podziemne korytarze wydłużyli w jednej linii, to otrzymalibyśmy wcale pokażną cyfrę 900 kilometrów. Żadne tedy cmentarze, nawet owe długie galerye, wykute w pagórkach libijskich a mieszczące w sobie sarkofagi Faraonów, nie mogą iść w porównanie z temi nekropolami. Niektóre z nich znano już w wieku XVI; większą ich część zbadał dopiero za dni naszych komandor de Rossi. Imię Rossiego waży tyle w archeologii chrześcijańskiej, co razem wzięte imiona Winckelmana, Zoëgi, Eckela, Viscontego, Mommsena na polu starożytności klasycznych. Jak Cuvier z kilku zębów i piszczela odgadł całą postać mamuta, tak de Rossi, dziwną obdarzony intuicją i uzbrojony w znajomość wszystkich pomników literackich, odnoszących się do starego Rzymu i jego katakumb, potrafił odszukać zagubione imiona cmentarzy, odtworzyć ich historię, odkryć klucz do czytania kamieni i dzieł sztuki, oprzeć badania swe na podstawie krytycznej i ściśle naukowej i uczynić w ten sposób archeologię chrześcijańską prawdziwą umiejętnością.

Nie będę jednak rozwodził się dłużej nad zasługami tego człowieka opatrznosciowego, gdyż zbyt są znane; wolę raczej przedstawić choćby pobieżnie plon bogatego żniwa archeologicznego, zebrany w ostatnich lat dziesiątkach na chrześcijańskiej niwie cmentarnej.

I.

Przedewszystkiem rzucają pomniki katakumbowe światło na stosunek Kościoła do państwa w epoce prześladowań. W pierwszym wieku uchodzili chrześcijanie wobec prawa rzymskiego za sektę żydowską i, jako taka, cieszyli się wolnością religijną i przywilejami, przyznanymi jeszcze przez Cezara synagodze. Korzystna ta sytuacja zmieniła się nagle za Trajana. Znanym reskrytem do Pliniusza Młodszego, rządcy Bitynii, nazwał on chrześcijan po imieniu, a tem samem odróżnił od żydów i skazał ich, jako niedozwoloną korporację religijną, na zagładę ¹⁾.

Jak sobie wobec tego edyktu chrześcijanie radzili? Naturalnie, że każdy krył się ze swem wyznaniem, a kto mógł, zabezpieczał i chronił

¹⁾ Reskrypt brzmi: „Dobrze sobie postąpiłeś, Sekundusie, przy badaniu osób, oskarżonych jako chrześcijan, gdyż trudno w tego rodzaju sprawach wydawać jakieś postanowienia ogólne i niezmienne. Wyszukiwać chrześcijan nie trzeba, lecz gdy zostali oskarżeni i przekonani, należy ich karać. Jeżeli zaś oskarżony zaprzecza i dowodzi tego, wzywając naszych bogów, należy mu darować, choćby nawet podejrzenie na nim ciążyło.” *Pliniusz*, księga X, list 97.

swe życie i mienie pod osłoną obywatelstwa rzymskiego. Pod ten tytuł prawa prywatnego ukryły też zapewne swój majątek ruchomy i nieruchomy gminy chrześcijańskie, podobnie jak ukrywają go dziś zakony pod imiona osób prywatnych w krajach, które im odebrały prawo istnienia. Niemalże usługi oddały w tych czasach Kościołowi możne rody Pudensów, Flawiuszów, Glabryonów, Pomponiuszów, Grecynów i Cecyliuszów, które, wedle świadectwa kamieni grobowych, nawróciły się jeszcze z końcem I wieku i w pierwszej połowie drugiego, a także chrześcijańscy wyzwolenicy i niewolnicy, zamieszkujący „Dom Złoty”, a następnie pałace Flawiuszów i Antoninów. Wnet jednak Opatrzność nową dla swego Kościoła i bezpieczniejszy nastręczyła sposób prawnego istnienia.

Opowiada Swetoniusz o Cezarze, że imperator ten rozwiązał wszystkie stowarzyszenia w państwie, z wyjątkiem synagogi i kolegiów, oddawna legalnie istniejących. Jego następcy zajęli takie samo nieprzychylnie stanowisko wobec stowarzyszeń i zrobili wyjątek jedynie dla kolegiów nędzarzy: *collegia tenuiorum*. Długo nikt nie znał bliżej natury tych stowarzyszeń, i dopiero kamień z r. 133 po Chr., znaleziony w Lanuvium, a opatrzony komentarzem przez Mommsena, dał nam zrozumieć ich charakter i ustrój wewnętrzny. Z napisu tego ¹⁾, skombinowanego z ustępem *Digestów*, gdzie także jest mowa o tych kolegiach, dowiadujemy się, że były to bractwa czysto pogrzebowe, składające się z biednych ludzi wolnych i niewolników, którzy płacili do wspólnej kasy brackiej miesięczną wkładkę, celem zakupna ziemi na wspólny cmentarz i zabezpieczenia sobie uczciwego pogrzebu. Czasami mieniają się członkowie czcicielami swego bóstwa opiekuńczego (*Cultores Joris, Apollinis, Herculis, collegium salutare Dianae* etc.). Innym razem przyjmują nazwę od miejsca, gdzie się zbierali towarzysze na posiedzenia. Obok członków zwyczajnych liczyły kolegia także członków honorowych, którzy kasę bracką zasilali znaczniejszym jakimś datkiem lub ofiarowali miejsce pod cmentarz. Zarząd stowarzyszenia spoczywał w rękach osobnego wydziału, do którego prócz protektora bractwa (*patronus, pater, mater collegii*) należeli między innymi naczelnik (*magister*), kasyer (*quaestor*), pisarz i kursor. Wobec trybunałów państwowych reprezentował i bronił spraw brackich syndyk stowarzyszenia.

¹⁾ Napis opiewa jak następuje: „Odezwa do tych wszystkich, którym wolno zgromadzać się i być członkami stowarzyszenia. Ktoby chciał złożyć miesięczny dattek, niechaj przystąpi do tego kolegium. Nie wolno jednak zgromadzać się częściej z tytułu należenia do stowarzyszenia, jak raz na miesiąc. Miesięczna wkładka przeznaczona będzie na sprawienie pogrzebu dawcy.”

Majątek bractwa stanowił, prócz właściwego ementarza, jeszcze obszar przyległy, zwany *area adjecta*, na którym stał budynek przeznaczony na zebrania i wspólne uczty. Biesiady takie odbywano często. I tak święcono np. wspólną ucztą dzień założenia bractwa (*dies natalis collegii*) i dzień śmierci znaczniejszych dobrodziejów. Ucztą rozpoczynał swe urzędowanie nowo obrany przewodniczący bractwa; w niektórych miejscach obchodzono także uroczyscie dzień poświęcenia ementarza (*dies natalis monumenti*). Jeśli sodalis umarł, natenczas albo samo kolegium sprawiało mu pogrzeb, albo wypłacało jego krewnym pewną kwotę na opędzenie kosztów pogrzebowych. Prócz tego rozdawał zarząd bractwa między osoby, co stawily się na pogrzeb, jakoteż w rocznicę śmierci, po kilka sesterców, a przy pogrzebach wybitniejszych członków—jeszcze chleb i wino. To sprawiało, że ementarze były prawie codziennie przepelnione gośćmi, spragnionymi stypy.

I to jeszcze przypomnieć należy, że groby były w największem poszanowaniu u starożytnych Greków i Rzymian. Samo już złożenie zwłok do ziemi zapewniało temu miejscu opiekę prawa ¹⁾, a osobne poświęcenie go przez kapłana robiło go miejscem świętem (*locus sacer*). To samo prawo, ogłaszając grób miejscem świętem, chroniło go także razem z budynkami ementarnemi od sprzedaży i przejścia spadkiem w obce ręce. *Hoc monumentum haerodem ex testamento non sequatur* — „ten grobowiec nie przechodzi testamentem na moich spadkobierców, ale zostaje wiecznym miejscem spoczynku dla mnie i dla mej familii”: oto formuła, często spotykana na kamieniach.

Otóż z tych praw stowarzyszeń pogrzebowych pogańskich skorzystał w drugiej połowie II wieku Kościół rzymski, a w początkach wieku III, odkąd Septymiusz Sewerus rozciągnął przywileje, przyznane bractwom italskim, na całe państwo, także chrześcijańskie gminy na prowincyi, i stanęły wobec państwa jako dozwolone bractwo pogrzebowe. Wielka liczba ubogich, rzemieślników i niewolników, garnaąca się do Kościoła, uchodziła wobec policyi za *plebs sodalitatibus*; bogaci zaś, uważani byli za dobrodziejów i członków wspierających. Na czele bractwa rzymskiego stali papieże, zapisani na liście prefekta miejskiego, jako jego odpowiedzialni przełożeni. Syndykiem kolegialnym i zastępcą papieża wobec magistratur był każdoczesny jego archidyakon. Jako legalne bractwo, chrześcijanie prawnie posiadali za murami miasta obszerne wspólne ementarze, które w drugiej połowie wieku I-go i w pierwszej połowie II-go były grobowcami prywatnemi możnych chrześcijańskich rodzin rzymskich, a teraz przeszły na wła-

¹⁾ „Religiosum locum unus quisque sua voluntate facit dum mortuum infert in locum suum.” *Marcian. Digest. I. 8, 6, 4.*

sność Kościoła. W tych nekropolach, otoczonych czcią religijną i opieką prawa, czuli się wierni bezpiecznymi i w te podziemia schodził też w chwilach prześladowania cały Kościół ze wszystkimi swojemi świętościami. Nad cmentarzami, naśladując bractwa pogańskie, chrześcijanie stawiali budynki na zebrania, agapy i ofiary. Uczty swoje odprawiali wierni w największym spokoju. Paganie nie zwracali bowiem na nie bliższej uwagi, sądząc, że jakieś pogańskie bractwo obchodzi swe święta kolegialne.

Tezę tę o zorganizowaniu się gmin chrześcijańskich pod formą bractw pogrzebowych, a przyjętą dziś prawie powszechnie, pierwszy de Rossi postawił, wysnuł zaś ją z napisów i z budowy starych cmentarzy chrześcijańskich. Rozmiarami przypominają one bowiem nieraz najdokładniej grobowce pogańskie. Wszystkie prawie znajdowały się tuż u znanych dróg konsularnych i otwierały się ku nim obszernymi i zdobnemi bramami. Wnętrze ich było pełne bogatej ornamentyki: dowód, że byli tam czynni liczni artyści i rzemieślnicy. W Rzymie i Neapolu obszerne cmentarze chrześcijańskie leżą tuż obok mauzoleów niechrześcijańskich, albo nawet w pagórkach, przepelnionych współczesnymi grobami pogańskimi. Wszystko to świadczy, że cmentarze te były władzy znane i że bractwa chrześcijańskie posiadały je jawnie i legalnie. Najprawdopodobniej znamy także oficjalną nazwę stowarzyszeń chrześcijańskich. Na podstawie kamieni afrykańskich ¹⁾, azjatyckich i rzymskich, sądzi de Rossi, że wierni figurowali w księgach policyi jako „Bracia” albo „Zgromadzenie Braci” — *οἱ ἀδελφοί, fratres, Ecclesia fratrum*. Miejscami mogli się także zwać „Czcicielami Słowa: *Cultores Verbi*.”

Ale czy podobna — pomyśli niejeden — czy podobna, aby państwo z czasem nie było doszło, co właściwie kryje się po-za firmą: „*fraternitas*?” Ani wątpić nie można, że się o tem dowiedziało. Nieraz wspólność chrześcijan denuncyowało, nieraz zdradził ich fałszywy brat, nieraz policya na ich trop wpadła, a niejednokrotnie też apologetci sami otwarcie wystąpili na trybunę, wyznając się członkami proskrybowanej przez Trajana religii chrześcijańskiej, i jawnie domagając się, aby władza z nimi się porozumiała i wrogie edykta cofnęła. Łagodne jednak niektórych cesarzy usposobienie, wpływ, jaki na dworze miały niektóre kobiety chrześcijańskie, lub chrześcijanom przynajmniej życzliwe,

¹⁾ Kładę tu w całości prześliczny napis, znaleziony niedawno w starej maurytańskiej Cezarei. „Ewelpiusz, Czciciel Słowa, ofiarował ziemię na cmentarz i wystawił własnym kosztem kaplicę, którą zostawił Kościołowi świętemu. Witajcie Bracia! czystem i pokornem sercem śle pozdrowienie Ewelpiusz, wam, dzieciom Ducha świętego. Zgromadzenie Braci (*Ecclesia fratrum*) odnowiło ten napis.”

a częściej jeszcze polityka, sprawiły, że rząd w pewnych peryodach zamykał oczy na naturę religijną tych stowarzyszeń, i widział w nich tylko bractwa pogrzebowe, a musiał to czynić tem bardziej, że czuł się bezsilnym do podjęcia prześladowania wobec wzrastającej z dniem każdym w mieście i obozie liczby chrześcian i wobec mnożących się z każdym lat dziesiątkiem nieprzyjaciół zewnętrznych.

W ten sposób wytworzył się w III wieku między państwem a Kościołem pewien rodzaj cichego konkordatu, korzystnego dla wiernych a jeszcze korzystniejszego dla państwa, które przez taką praktykę nic ze swych praw zasadniczych nie ustępowało. Z tego konkordatu bowiem mógł rząd wycofać się każdej chwili. I tak też nieraz bywało. Wystarczała nieraz zmiana w usposobieniu panującego, lub nieszczęście publiczne, które zaniedbani bogowie zsyłali za zbytnią wobec chrześcian pobłażliwość, aby rozwiać złudne warunki pokoju. Odrazu spostrzegano się wtenczas, że chrześcianie nie tworzyli wyłącznie bractwa wzajemnej pomocy, natychmiast piętnowano ich zbory mianem spisków, karano śmiercią i konfiskowano cmentarze.

II.

Nie małe również światło rzucają katakumby na wewnętrzne dzieje Kościoła. Przedewszystkiem wspomnieć tu muszę o epitafach papieża Marcela i Euzebiusza, znalezionych przez Rossiego między rokiem 1852—1856 u św. Kaliksta w kilkudziesięciu kawalkach. Oba są pióra Damazego. Na marmurze wyrył je przyboczny kaligraf tego papieża, słynny Furiusz Dyonizy Filokalus. Z kamiennych tych manuskryptów dowiadujemy się, że epigoni Nowata i Felicysyma wywołali w Kościele zaburzenia w sprawie praktyk pokutnych jeszcze w przededniu tryumfu Konstantyna, i że wichrzenia te spowodowały interwencyę władzy świeckiej, która, nie pytając kto właściwie jest winnym, obu wspomnianych papieży skazała na wygnanie. W epitafach tych znaleziono więc cenny dokument historyczny, bo żaden z dziejopisarzy faktów tych nam nie przechował; równocześnie została przez nie zrehabilitowana pamięć spotwarzonych przez heretyków dwóch wielkich papieży, którzy zginęli w obronie najświętszych praw kościelnych, t. j. wolności nauczania i tej zasady, że Kościołem tylko Kościół rządzić może.

Kamienie katakumbowe wtajemniczają nas także w życie rodzinne pierwszych chrześcian, jakoteż we wspólne pożycie i stosunek wzajemny poszczególnych klas społecznych. W muzeum Lateraneńskim w Rzymie mamy kamień, gdzie mąż położył taki napis na grobie

żony: „Lucyferze, żonie najdroższej i najśladziej, która największą żalobą okrywszy męża, zasłużyła na nagrobek, aby każdy z Braci, co czytać będzie, prosił Boga, by przyjął świętą i niewinną duszę do siebie.”

Inny epitaf głosi: „Żonie zacnej i najprzykładniejszej, małżonce słodkiej i nieskalanej, która jako chrześciana nigdy sporu ze mną mieć nie mogła.” Żona czei męża jako Chrystusa, oboje zaś pamiętają, że duszy dziecka Bóg żądać będzie z ich ręki.

Wiemy, czem był niewolnik w świecie pogańskim. Grecya nazywała go ciałem: *σῶμα*; Rzym nazywał go rzeczą: *res*. Niewolnik nie miał duszy, Boga ani religii. Fantazyja pana była mu najwyższą modłą moralną i całą etyką a stajnia ojczyzną. Kościół nie mógł obalić niewolnictwa jednym zamachem, bo niewola była zastarzałą formą pracy i podstawą egzystencji starego świata, i każde zbyt gwałtowne uderzenie na tę instytucję, której czas nadał był już pewne pozory prawa, było-by sprowadziło niesłychany zamęt w całym społeczeństwie. Za to zaatakował on od pierwszej chwili z całą stanowczością i siłą idee i obyczaje społeczne, dążąc drogą odrodzenia, umoralnienia i uszlachetnienia jednostki do przeobrażenia całego społeczeństwa. Nie zniósł też formalną proklamacyą różnicy stanów, ani nie wystąpił przeciw różnym tytułom zależności jednych od drugich, ale nauczał cały świat, że za zdeptanie ludzkich praw bliźniego czeka równa odpowiedzialność pana i niewolnika. Równocześnie wpływał prośbami na swe najlepsze dzieci, aby obdarzały swych niewolników wolnością. Familii takich było zapewne zrazu niewiele; te jednak, które były, nawoływały przykładem swoim innych do łagodnego obchodzenia się z niewolnikami i służyły zarazem za wzór, według którego miało się w przyszłości ukształtować całe społeczeństwo.

Otóż tę pracę i wpływ Kościoła uwidoczniają stare cmentarze chrześcijańskie. Tu śpią sładzy obok panów i chlebobawcy uważają sobie za szczęście, jeśli spocząć mogli w pobliżu kości świętego niewolnika. Znikają też na grobach tytuły: *clarissimus, servus, libertus*, a za to wierni z lubością piszą się na kamieniach sługą Bożym; *servus, famulus Dei, δοῦλος τοῦ Θεοῦ*. Niektóre epitafy podnoszą z naciskiem, że zmarły lub zmarła byli „kochani przez wszystkich, dla ubogich litościwi, dla niewolników łagodni—*omnibus cara, pauperibus pia, mancipis benigna*.” Kamienie opowiadają dalej, że kobiety senatorskiego pochodzenia nie wahały się wejść w związki małżeńskie z niewolnikami, choć prawo rzymskie takich mezaliansów nie uznawało i nieposłusznych pozbawiało wszystkich tytułów i przywilejów rodowych.

Ala mamy jeszcze jeden rodzaj dokumentów, wydobytych także w znacznej części z grobów, które ciekawe rzucają światło na poło-

zenie niewolników w domach chrześcijańskich. Są to brązowe obroże, zlutowane lub zbite gwoździ, które wkładano na szyję niewolnikom, co już raz zbiegli od swoich panów. Na obroży była zawieszona, a czasami do niej przybita blaszka z napisem informującym, do kogo zbieg należał. Adres ten podawał oprócz imienia także stan, ulicę lub dzielnicę miasta, i żądał, aby każdy, co spotka takiego niewolnika, pochwycił go i odstawił właścicielowi. Tabliczka, znajdująca się w muzeum Kirchera, obiecuje jeszcze łapówkę temu, coby zbiega przytrzymał. „Zbiegłem—czytamy tam—trzymaj mię. Jeżeli mnie odstawisz do mego pana Zonina, otrzymasz łapówkę (*accipis solidum*)¹⁾.

Na pierwszy rzut oka przedstawia się taka praktyka jako pastwienie się nad niewolnikami. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że poganin w tym wypadku wypalał schwytanemu zbiegowi na czole znamię, które go raniło i na zawsze hańbą piętnowało, to przyznamy, że te obroże, acz przykre, niemniej są świadkami i pamiątkami wielkiej rewolucyi moralnej i przeobrażenia poglądów na kwestyę niewolnictwa. Najprawdopodobniej zostaje ten sposób traktowania niewolników w związku z rozporządzeniem Konstantyna z r. 315, wydanem do namiestnika Afryki, a wzbraniającem piętnowania na czole skazanych do kopalń²⁾, ze względu na znak krzyża, który na czole kładziono przy chrzcie i bierzmowaniu.

III.

Podziemne krużganki i kaplice cmentarne są najstarszemi muzeami sztuki chrześcijańskiej. Wprawdzie znacznie większa część obrazów i płaskorzeźb sarkofagowych przepadła na zawsze, zniszczona przez aryańskich Ostrogotów i dzikich Longobardów, szukających w grobach kosztowności i relikwii; wiele dzieł pędzla rozsypało się w proch pod ręką takich niefortunnych archeologów, jak d'Agincourt, który odrywał freski od ścian, aby je przenieść do muzeów miejskich; inne malowidła zniszczył żąb czasu, wilgoć, dym lamp i stoczków; niemniej jednak i te resztki ocalałe świadczą jeszcze wymownie, iż Kościół od pierwszej chwili swego istnienia protektorem był sztuk pięknych i wielu wśród swych dzieci liczył artystów malarzy i rzeźbiarzy.

¹⁾ We Frascati pod Rzymem znaleziono niedawno na szyi szkieletu niewolnika ciasną obróżę, a na niej następujący, w jednej linii pisany napis: „*Tene me et reboca me Approniano Palatino ad Mappa Aurea in Abentino quia fugi: Trzymaj mię, i odstaw do Approniana Palatyna do Mappa Aurea na Awentynie, bo uciekłem.*”

²⁾ „*Si quis fuerit in metallum Damnatus, minime in facie eius scribatur.*”

Wszyscy oni wyszli ze szkoły grecko-rzymskiej i według klasycznych pracowali wzorów. Bynajmniej jednak ich dzieła nie są bezmyślnem naśladownictwem. Przejęli oni tylko tradycje techniki grecko-rzymskiej, odrzucili zaś odrazu treść pogańską, zastępując ją duchem i ideami, zaczerpniętymi z ewangelii. Jest więc w sztuce katakumbowej pewien synkretyzm, czyli pewne pomieszanie pierwiastków chrześcijańskich z pogańskimi; te ostatnie są jednak tylko akcesoryami, podczas gdy dusza, treść, oddech i tętno rzeźb i malowideł czysto są chrześcijańskie.

Pod względem maturalnej doskonałości i wykonania szczegółów chrześcijańska sztuka trzech pierwszych wieków stoi wogólności niżej od współczesnej klasycznej. Okoliczność ta tłumaczy się najpierw tem, że Kościół miał mniej zdolnych artystów, a powtóre, że malarze chrześcijańscy pracowali w warunkach o wiele gorszych od swych kolegów pogańskich, bo w miejscach ciasnych, wilgotnych i ciemnych. Podnieść jednak należy, że niektóre freski, znajdujące się w najstarszych częściach cmentarza Domitylli, Pretekstata i Pryscylli, żywo przypominają malowidła pompejańskie lub freski, zachowane w domu cesarzowej Liwii na Palatynie. Niemaleni zaletami odznaczają się także rzeźbione portrety św. Piotra i Pawła, wykonane zapewne wkrótce po ich śmierci, na medalionie z brązu, znalezionym z końcem przeszłego wieku w katakumbach św. Domitylli, jakoteż marmurowa statua Dobrego Pasterza w muzeum laterańskim i wspinały posąg św. Hipolita, słynnego prezbytera rzymskiego i przeciwnika papieża Kaliksta.

Pod względem treści dadzą się wszystkie utwory pierwotnej sztuki chrześcijańskiej zawrzeć w pięciu działach. Grupę pierwszą tworzą symbole ideograficzne, czyli znaki artystyczne, któremi wierni w czasach prześladowania wyrażali i równocześnie przesłaniali tajemnice wiary. I tak symbolizowała owieczka chrześcianina, szukającego jeszcze tu na ziemi pokarmu dusznego i cielesnego. Gołąb był obrazem Ducha św. i duszy, co, uwolniona już z więzów doczesnych, uleciała do ojczyzny niebieskiej. Kotwica znakiem jest nadziei, ryba hieroglifem Chrystusa i chrześcianina, i t. d. Dział drugi tworzą obrazy alegoryczne, osnute na parabolach ewangelicznych; trzeci obejmuje malowidła historyczne, mające za tło dzieje Starego i Nowego Testamentu; czwarty—obrazy liturgiczne; piąty—ikonografię Chrystusa, Bogarodzicy i Świętych Pańskich. Najgłębszą kompozycję liturgiczną, przedstawiającą chrzest, pokutę i ofiarę mszy św., mamy w tak zwanych Kaplicach Sakramentów u św. Kaliksta. Tu widzimy, do jakiej potęgi twórczej zdołał wznieść się duch chrześcijańskich artystów i z jaką umiętnością umieli oni zestawiać prosty hieroglif z obrazami

cudów i parabol ewangelicznych na oddanie i uzmysłowienie najszczytniejszych pojęć i najgłębszych aktów liturgicznych. Dla profana może ten język hieroglificzny wydawać się dzisiaj trudnym i zawiłym, ale rozumieli go dobrze chrześciane katakumbowi, którzy pod tą samą symboliczną osłoną zwykli byli słyszeć prawdy wiary z ust swych biskupów i kapłanów w homiliach i katechezach.

IV.

Czy wreszcie katakumby nie są czemś więcej jeszcze, niż archiwami historycznymi i galeryami obrazów?

Odkrycia poczynione w naszym wieku na historycznych ziemiach przedchrześcijańskich nie tylko ich dzieje wzbogaciły nowymi faktami, lecz pozwoliły nadto wejrzeć w przekonania religijne ludów, które je niegdyś zamieszkiwały. Nekropole libijskie przechowały nam oryginalnych bożków, mumie świętych zwierząt i liczne egzemplarze „Księgi umarłych”, odsłaniającej świat pozagrobowy egipski. Na łęglanych tabliczkach najstarszej biblioteki w Erech wyryte jest pismem klinowym narodowe epos chaldejskie, znane pod nazwą: „Przygód Indubasa”, a w niem opowiadanie o potopie. Z księgozbioru w Kutla i Akkad pochodzi rozdział o stworzeniu świata, przypominający żywo kosmogonię Mojżeszową. Na starej pieczęci babilońskiej znajdujemy ilustrację do III rozdziału Genezy, mianowicie historię o upadku pierwszych rodziców. Przeorana ziemia Dodony dostarczyła nam ołowianych tabliczek, z których jedne zawierają szereg pytań, stawianych wyroczeni, a drugie odpowiedzi bóstwa, — niby jasne a przecież dwuznaczne. Z grobów starego Corneto wydobyto szczątki liturgii ludów etruskich. Jeszcze więcej korzyści wyciągnęła z inskrypcyi klasycznych teologia Rzymian. Mamy tu na kamieniach całe modlitwy, śpiewy liturgiczne do bogów i bogiń, formuły ślubów, spisy kapłanów i świąt uroczystych, inwentarze świętych przedmiotów. I tak przechowały nam np. marmurowe tablice, wykopane przez słynnego Henzena w gaju Braci arwalskich w Rzymie, akta tego stowarzyszenia, a w nich ciekawe wiadomości o jego świątach, ofiarach, stroju liturgicznym, ceremoniach i formułach przepisanych przy przyjmowaniu nowych członków bractwa. A są to wszystko po większej części rzeczy, o których współczesne pomniki literackie albo zupełnie milczą, albo też tylko niedokładne i pobieżne czynią wzmianki.

Nie trudno się więc domyślić, że często mówić muszą o wierze tych, co je budowali, także stare nekropole chrześcijańskie. Znajdziesz tam w płaskorzeźbach sarkofagowych, freskach, malowidłach na szkle

i napisach stwierdzoną stanowczo wiarę starych chrześcian w Tróję św., Bóstwo Chrystusa, grzech pierworodny, odkupienie, kult Matki Najświętszej i Świętych Pańskich, cześć obrazów i relikwii, Prymat św. Piotra i Kościoła rzymskiego, naukę o sakramentach i wszystkie stopnie hierarchii kościelnej. Epitafor biskupa Abercynusa w Hieropolis z końca II wieku, znaleziony przed kilku laty we Frygii Szczęśliwej przez Anglikańczyka Ramsaya, a ofiarowany w bieżącym roku przez sultana tureckiego jako dar jubileuszowy Leonowi XIII, wyklada jasno naukę o obecności Chrystusa w Eucharystyi i przeistoczeniu chleba w ciało a wina w krew Pańską. Tę samą prawdę głosi klasycznym greckim językiem nagrobek, który niejaki Pektoryusz położył w początkach wieku III zmarłym swoim rodzicom, w starej Ednów stolicy Augustodunum. Oba epitafy są zarazem prawdziwemi perłami najstarszej poezyi chrześciańskiej.

Najwięcej jednak wyświecają katakumby eschatologię chrześciańską. Wszystko głosi tu wiarę w lepsze życie pozagrobowe. *Orbati non sunt, dona dedere Deo*: Nie zostali sierotami,—mówią rodzice na nagrobku zmarłych bliźniat,—złożyli je Bogu w ofierze. Inni pocieszają się tem, że swą dziecinę dali Chrystusowi na przechowanie: *Is Christo datus*. Jeszcze inni rodzice zanoszą do swego dziecka rzewną prośbę: „Anatolu, nasz pierworodny synu, który nam tylko na krótko byleś dany, módl się za nami!” Jednym z najpiękniejszych napisów III wieku jest następujący, znaleziony w katakumbach Ostryana: „Dyonizy, niewinne dziecko, spoczywa tu ze świętymi. Pamiętajcie o nas w waszych modlitwach, a mianowicie o owym, który napis ułożył, jak i o tym, który go wyrzeźbił.” Poganin nie miał dla zmarłego przyjaciela lepszego życzenia nad to bezmyślne: „niech ci ziemia będzie lekka”, albo owo pompejańskie: *Tui lapis optiistor vivitur super ossa residat*.” Idamon chrześciański, przechowany w Lateranie, głosi: „Spoczywasz snem spokojnym, zmartwychwstanieś, jakoś zasłużyła, chwilowy tylko dany ci spoczynek.” Ta sama wiara w lepsze drugie życie przebija się z napisu: „Magnusie, chłopczyko niewinny, dostałeś się już między niewinnych! Jakże radosne przyjęcie zgotowała ci Matka nasza, Kościół (tryumfujący), powracającemu z tego świata. Niech serca zbolełe zamilkną, oczy niech przestaną łzy wylewać.” I podczas gdy poganin nazywał grób domem wiecznym i miejscem wiecznych ciemności, chrześcianin zwie świat drugi: „miejscem jasnym i przybytkiem światłości.”

Dogmat ten życia pozagrobowego i zmartwychwstania ciał jest wyrażony już w samej nazwie miejsca spoczynku zmarłych. *Κομητήριον, coemeterium*—cmentarz, znaczy tyle, co *dormitorium*—sypialnia. Słowo to jest jednym z cudów mowy chrześciańskiej, a stworzył je Chrystus, kiedy do uczniów o zmarłym swoim przyjacielu powiedział: Łazarz nie

umarł, ale śpi. Obok wyrazu *coemeterium* mamy jeszcze inną piękną i nie mniej głęboką inowacyę w języku pogrzebowym starych chrześcian. *Situs, positus, compositus*—złożony, mawiał poganin o pogrzebanych swoich zmarłych. Inaczej chrześcianin: jest w kodeksie rzymskim wyraz techniczny, uświęcony na oznaczenie rzeczy, powierzonej komuś na przechowanie z obowiązkiem, aby ją w swoim czasie zwrócił bez uszkodzenia. Otóż ten właśnie wyraz spotykamy w starej epigrafice chrześcijańskiej. Chrześcianin mawiał i pisał na swoich grobach—*depositus*. Partykuła „de” może na pierwszy rzut oka wydawać się nie nie mówiącym dodatkiem, w rzeczywistości zaś wyraża olbrzymią różnicę, jaka oddzielała eschatologię chrześcijańską od pozagrobowych wierzeń pogan. *Depositum custodi*: strzeż całości nauki, którą ci powierzyłem, pisze św. Paweł do Tymoteusza. *Depositum custodi*: przechowaj mi czas jakiś to ciało, mawiał także wierny, ile razy oddawał ziemi zwłoki przyjaciela. Zaprawdę ci mówię, odzywa się pięknie u Krasińskiego do Irydyona papież Wiktor, zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach śpią goście tylko.” Wszyscy wierni wierzyli mocno, że Bóg tym zmarłym da wiosnę wieczną, której niejedyn z nich nie miał na ziemi.

I tak z każdego znaku i wyrazu, rytego na katakumbowym kamieniu, zdaje się dolatywać nas to samo wyznanie wiary, które Wiseman kładzie w usta swej bohaterki: „*Non omnis moriar*—nie wszystek umrę! Po-za grobem jest ręka, która zbierze każdą cząstkę rozproszonego mego ciała, po-za grobem jest potęga, która wezwie cztery wiatry niebieskie, by oddały aż do ostatniego proszka popiołów moich, które uniosły. Tą potęgą to zmartwychwstały Jezus,—pierwiastki tych, którzy zasnęli.”

Na tem kończę. Pobieżny to i niedokładny szkic, ale dowodzi, że katakumby zastąpiły nam przynajmniej w części spalone kilkakrotnie przez prześladowców najstarsze archiwa kościelne. Archeologom—powiedzmy śmiało—udało się odsłonić niejako same fundamenta Kościoła, i owa najpiękniejsza w dziejach ludzkości epoka przełomu pogaństwa, i chrześcijaństwa badaniami ich oświetlona, staje dziś przed nami odnowiona, jaśniejsza i zrozumialsza.

Również są cmentarze, jak widzieliśmy, bogatą kopalnią do historii sztuki, a co ważniejsza, do historii dogmatów chrześcijańskich. Świadczą one, że nauka wiary doszła nas z rąk Apostołów nieskalana i niezmieniona, i że między Kościołem katakumbowym a rządonym dziś przez Leona XIII nie imma zachodzi zmiana, jak między jedną

i tą samą matką ziemską, ubraną dziś ubogo, a jutro świętecznie i bogato.

Nie dziwić się też, że katakumby wobec takich skarbów, jakie w swem łonie kryją, i dziś jeszcze, kiedy właściwie są już tylko wielką ruiną, taką mają jeszcze siłę przyciągającą i niezrównany wywierają urok na pielgrzyma, który ich ciemne ulice nawiedza. A każdy, kto zna ich historię i ma jeszcze choćby odrobinę wiary w sercu, nietrudno zdobędzie się na owo wyznanie, którego stary żuaw papieski i pokutnik, Montfanon, żąda od Dorsenna w słynnej powieści Bourgeta „Cosmopolis”, że „to, co w naszej duszy jest najszlachetniejszego, nie istniało-by wcale, gdyby ci, co spoczęli w katakumbach, nie byli tam przychodzili modlić się przed ośmnastu wiekami.”

Ks. DR JÓZEF BIŁOZEWSKI.

Kwestya upadającej własności ziemskiej.

Kwestya upadającej własności ziemskiej ma już swoją historję, datującą się od ukończenia wojen Napoleońskich, w której to epoce, jako środek zaradczy tymczasowy, ustanowiono moratoryum, a następnie Towarzystwo kredytowe ziemskie, które na razie zapobiegło grożącemu niebezpieczeństwu bankructwa właścicieli ziemskich. W chwilach mniej groźnych, ale trudnych, w jakich się większa własność ziemska znajdowała po przeprowadzeniu reformy agrarnej, kwestyę tę postawiła w roku 1876 na porządku dziennym redakcyja dwutygodnika „Nivy.“ Posypały się wprawdzie mniej więcej udatne artykuły i trafne praktyczne rady, ale ponieważ nastąpiło niebawem kilka lat urodzajnych, popłatnych i cena ziemi znacznie się podniosła; położenie poprawiło się do tego stopnia, że dalsze zajmowanie się kwestyą upadającej własności ziemskiej zdawało się być zbytecznem.

Pomimo to jednak pożyczka Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wynosząca w owej epoce jakies 80,000,000 rubli, i długi prywatne hipoteczne, po większej części wysoko oprocentowane a obrachowane w przybliżeniu na 120,000,000 rs., nie przestawały ciężać na własności ziemskiej. Po pomyślnych nastąpiły lata nieurodzajne i klęskowe i postawiły na nowo własność ziemską w nader trudnem położeniu. Tym razem środki zaradcze zdawały się leżeć, jak na dłoni: wskutek znacznego podniesienia się cen ziemi, pożyczki T-wa wyczerpywały

zaledwie $\frac{1}{3}$ część wartości majątków, a w wielu wypadkach $\frac{1}{4}$ część onej. Odpowiednie przeto do rzeczywistej wartości ziemi rozszerzenie pożyczek T-wa przedstawiało się, jako logiczna konieczność zmienionego położenia i skuteczne lekarstwo na ambarasy finansowe właścicieli ziemskich. Nacisk na władze T-wa, aby działały w tym kierunku, stał się ogólny i nader silny. Komitet T-wa, uznając w zasadzie słuszność żądań stowarzyszonych i poparty przychylną opinią Naczelnika kraju, oraz ówczesnego prezesa dyrekcji głównej, wziął się nader energicznie do dzieła i w r. 1884 wydał zatwierdzenie nowej, od 30 do 40% podwyższonej, taryfy cen szacunkowych ziemi, jak również Najwyżej zatwierdzone, z podwyższeniem taryfy w związku będące i zgodne prawo, stanowiące, że kontrolerem i granicą wysokości pożyczek ma być mnożnik podatku gruntowego głównego i dodatkowego, podniesiony z cyfry 56 na 80.

Zdawało się, że tym sposobem niebezpieczeństwo na długie lata zostało zażegnane. Niestety jednak, dopiero co wzmiankowane rozszerzenie pożyczek T-wa nastąpiło w chwili przesilenia rolniczego, ogarniającego cały kontynent europejski, pociągającego za sobą znaczne niżenie cen zboża i idącego za niem upadku cen ziemi. Skutki te przesilenia spotęgowane zostały w naszym kraju wielorakimi miejscowymi przyczynami, jak np. całym szeregiem nieurodzajnych i klęskowych lat, cłami zbożowymi niemieckimi i austriackimi, zamknięciem granicy od strony Austrii i Niemiec dla wywozu bydła, owiec i nierogacizny i t. p.

Cały ten szereg nie chwilowych i przemijających, ale chroniczny charakter mających przyczyn, odbił się w niebywałym dotąd stopniu na położeniu własności ziemskiej. Pan Bloch w dziele swem „Ziemia i jej odłuzienie“ przedstawia położenie to w sposób nader smutny. Jeżeli przyjmujemy, że pożyczki T-wa, wynoszące dotąd 128 milionów rubli, wyczerpują 40% rzeczywistej wartości własności ziemskiej, to, wedle rachunku tego autora, suma wszystkich hipotecznych zobowiązań, już łącznie z sumami posagowymi i zapisami kaucyjnymi, przewyższa całą wartość majątków. Pewne jednak złagodzenie takiego stanu rzeczy upatruje autor w fakcie, że część figurujących w księgach hipotecznych zobowiązań jest już spłacona a jeszcze niewykreślona, i że zapisane kaucyje w wyjątkowych tylko wypadkach mogą przybrać charakter rzeczywistych długów. Potrącając przeto z długów hipotecznych $\frac{1}{10}$ część na rachunek zapłaconych a jeszcze niewykreślonych zobowiązań i $\frac{1}{3}$ z zapisanych kaucyi, p. Bloch dochodzi jednak do wniosku, że suma zahypotekowanych długów wyczerpuje całą wartość majątków. Zaznaczyć tu jednak wypada, że stan ten odłuzenia na-

szych majątków mógł-by być jeszcze znacznie zmoderowany przez potrącenie zapisów posagowych na rzecz żon, jak również sum zapisanych na rzecz rodziców i dzieci. Szanowny autor wspomina o sumach posagowych, ale ich nawet w przybliżonych procentach nie potrąca. Na potrącenie zasługiwały-by również długi symulacyjne, których istnienie zaprzeczyć się nie da, ale których obrachunek w przybliżeniu nawet nie da się uskuteczyć. W końcu uwzględnić jeszcze należy ten nader ważny fakt, że hipoteczne odciążenie naszej ziemi nie jest bynajmniej równomiernie na cały jej obszar rozłożone.

Pan Bloch ma tę wielką zasługę, że, starając się rozsegregować rozmaite stopnie odciążenia, wykazał:

1-o, że przestrzenie, wolne od wszelkiego odciążenia, i te, które są obciążone tylko pożyczką T-wa kredytowego, lub nadto jeszcze długami hipotecznymi prywatnymi, nie przenoszącymi wysokości pożyczki T-wa, wynoszą 5,809,000 morgów, czyli 54.2% ogólnego obszaru;

2-o, że przestrzeni z odciążeniem prawie wyrównyującym, lub nieco przewyższającym szacunek, jest 1,307,000 morgów, czyli 12.2% ogólnego obszaru;

3-o, że w położeniu jeszcze gorszem pozostaje 2,936,000 morgów, czyli 27.4% ogólnej przestrzeni, z której 10%, czyli 293,600 morgów, stoi nad przepaścią subhasty i bankructwa.

Rachunek ten, osiągnięty na drodze badań stanu hipotecznego z 50 powiatów, zdaje się być możliwie zbliżonym do prawdy i w braku dokładniejszego za taki należy go też przyjąć ¹⁾.

Gdyby do tego stanu dodać można zobowiązania pozahipoteczne, o których nawet przybliżonych nie mamy wiadomości, okazał-by się stan majątkowy posiadaczy nieomal połowy ogólnej przestrzeni ziemi prawdziwie rozpaczliwy. Stwierdzenie tej smutnej prawdy widzimy

¹⁾ Już po wykończeniu tej pracy otrzymaliśmy próbkę sprawozdania z prac delegacyi statystycznej, ustanowionej od roku przez naczelne władze T-wa kredytowego ziemskiego, która przedstawiła z wielką ścisłością zebrane i zestawione dane statystyczne, odnoszące się do jednej gubernii Warszawskiej.

Z przedstawienia tego przytaczamy:

1. Ogólna przestrzeń gubernii Warszawskiej wynosi 2,628,548 morgów.
2. Z tych na dobra stowarzyszone wypada 1,107,861 m., czyli 41.01% .
3. Ogólny szacunek dóbr stowarzyszonych obliczono na r. 60,372,349.
4. Długi hipoteczne wynoszą r. 55,321,974, a mianowicie:

1) Pożyczka T-wa k. z.	24,839,350	}	55,321,974
2) Długi prywatne.	14,677,268		
3) Posagi, zapisy dla dzieci i rodziców	9,162,995		
4) Kaucye, owikeye, ostrzeż.	5,642,361		

w coraz liczniejszych przymusowych sprzedażach, czy to przez T-wo kredytowe, czy przez prywatnych wierzycieli inicjowanych, w wysiłkach najczęściej bezowocnych o utrzymanie się przy zbyt odłużonych majątkach, w dewastacjach, poprzedzających ostateczne wywłaszczenie, i w domaganiu się od władz T-wa kredytowego jakiegoś bliżej nie określonego ratunku ¹⁾.

Z nich strącono:

a) Umorzona już pożyczki T-wa	3,483,350
b) Posagi, zapisy dla dzieci i rodziców	9,162,995
c) Kaucye i ostrzeżenia, nie będące długami	1,714,058
d) Długi więcej razy zapisane	1,759,109
	<u>15,120,097</u>

Pozostaje na rzeczywiste odłużenie 40,201,877
czyli 66.5% szacunku.

NB. Nie strącono, nawet w przybliżeniu, długów już zapłaconych a nie wykreślonych, jak również nie uwzględniono długów symulacyjnych, które także w pewnej figurują cyfrze. Nadto w szacunku nie uwzględniono wartości drzewa, w lasach rosnącego. Wynik ten z jednej gubernii Warszawskiej przedstawia się o wiele korzystniej, niż wynik przybliżonych badań autora „Ziemia i jej odłużenie.“ Jedna gubernia nie przesądza wprawdzie o rezultatach, do całego kraju odnoszących się. Ale jeżeli inne gubernie podobny wykażą rezultat, to będzie on niezawodnie i dla p. Błocha bardzo miłą niespodzianką, a w każdym razie pozostanie mu niezaprzeczona zasługa, że on, a nie kto inny, książką swoją zachęcił władze T-wa do przedsięwzięcia ścisłych badań statystycznych w kierunku przez siebie wskazanym.

¹⁾ Ustawowym i moralnym obowiązkiem Towarzystwa kredytowego ziemskiego jest udzielać pożyczek właścicielom ziemskim na podstawie, przez ministra finansów zatwierdzonych, „Przepisów taksowych,“ strzedz bezpieczeństwa onych, zapobiegając, aby majątki, stanowiące zastaw, gwarantujący pożyczki, nie zniżały się w swej wartości, stać na straży możliwie wysokiego kursu swych listów zastawnych, dążyć do możliwego zniżenia procentów, opłacanych od pożyczek, przez T-wo udzielanych, a tem samem i do zniżenia stopy procentowej, w kraju praktykowanej, i udzielać stowarzyszonemu ulgi w opłacie rat, oraz czynić im wszelkie inne dogodności, o ile one z bezpieczeństwem pożyczki i kursem listów zastawnych pogodzić się dadzą. Utrzymanie tych obowiązków we właściwej między sobą równowadze, jest zadaniem administracji T-wa. T-wo stara się równowagę tę utrzymać we wszystkich kierunkach swej działalności, a między innymi w kierunku skutecznego zapobiegania niszczenia dóbr, na przymusową wystawianych sprzedaż, o ile na zastosowanie odpowiednich temu celowi środków pozwalają prawa krajowe i wyraźne przepisy Najwyższej zatwierdzonej ustawy. Po-za atrybucjami, przez tę ustawę mu udzielonemi, T-wo żadnych innych przywilejów nie posiada. Nie może występować z urzędu z żadnym, chociażby najracjonalniejszym, wnioskiem, istniejących stosunków dotyczącym, z przepisów ustawy bezpośrednio niewypływającym, bez poprzedniego w sterach miarodajnych w sposób poufny zbadania gruntu i otrzymania wyraźnego na to upoważnienia.

Towarzystwo kredytowe ziemskie jest instytucją autonomiczną, zarządzającą swemi sprawami przez pełnomocników, z grona stowarzyszonych i przez nich samych

Nad położeniem właścicieli ziemskich, posiadających 293,000 morgów, przeciążonych długami, o wiele przewyższającemi wartość ich majątków, można szczerze ubolewać, ale położenie ich jest tak rozpaczliwe, że dla nich niema ratunku. Majątki te muszą zmienić swych właścicieli i konieczności tej żadna siła ludzka odwrócić nie potrafi. Pozostaje jednak jeszcze 1,642,000 morgów, czyli 16.7% ogólnej przestrzeni, w bardzo krytycznem, i 1,307,000 morgów, czyli 12.2% ogólnej przestrzeni, w nieco mniej trudnem położeniu będących. Właściciele tych przestrzeni posiadają jeszcze pewne siły żywotne i o możliwym ratunku znacznej ich części nie należy rozpaczać.

Już od chwili pojawienia się w naszym kraju przesilenia rolnego, a więc na lat kilka przed ukazaniem się książki p. Blocha, stosunek różnego odłużenia majątków ziemskich bliżej objaśniającej, warszawski oddział T-wa popierania russkiego handlu i przemysłu zwrócił uwagę na groźne położenie przemysłu rolnego, a prezes tego oddziału opracował kwestyonaryusz, mający na celu wywołać dyskusję nad pytaniami: jakie są rzeczywiste przyczyny przesilenia rolnego, w jakim stopniu one na nasze rolnictwo ujemnie oddziałują i jakby można do pewnego przynajmniej stopnia skutki onego zobojętnić. Po długich i wyczerpujących dyskusjach, ludzie fachowi i dobrą ożywieni wolą, przyszli do przekonania, że trzy tylko łącznie z sobą zastosowane środki mogłyby w wielu razach do pożądanego doprowadzić celu:

I. Zbadanie dokładne i trzeźwe stanu majątkowego odłużonego właściciela i ewentualna częściowa lub całkowita, we właściwych warunkach przeprowadzona, likwidacya majątkowa.

II. Podniesienie czystego dochodu z ziemi, już to przez zaprowadzenie jak największej oszczędności w wydatkach osobistych, jak np. utrzymanie domu i t. p., już to przez możliwe zmniejszenie kosztów administracyi, już to wreszcie przez wzmocnienie urodzajności ziemi za pomocą rozumnej i wytrwałej pracy, i

III. Zaopatrzenie rolników w dostateczny, możliwie tani i łatwo dostępny, kredyt na kapitał obrotowy ¹⁾.

wybijanych. W logicznym przeto tego samorządu rozwoju zebrania wyboreze posiadają dwa ważne prawa, za pomocą których mogą wpływać na kierunki działalności, przez naczelné władze T-wa przyjęte. Mogą zmieniać swych pełnomocników i czynić wnioski, spraw T-wa dotyczące, a wątpić niepodobna, że naczelné władze T-wa będą się poczuwały do obowiązku brać te wnioski pod gruntowną rozważę i w odpowiedziach swoich z całą wyrozumiałością i dobrą wolą objaśniać powody, dla których taki lub inny wniosek nie mógł być uwzględniony.

¹⁾ Nie zaczepiamy kwestyi przemiany systemu gospodarstwa, jak np. zmniejszenie produkeyi zboża a skierowanie gospodarstwa ku produkeyi mięsa, nabiału, nasion, lub roślin t. n. fabrycznych, łatwiejszy zbył i wyższy czysty dochód zapewnić

Rozpatrzmy się bliżej i z kolei w tych zaleconych środkach ratunku, celem zbadania, czy i z jakim skutkiem zostały one zastosowane i czy oraz jakim sposobem zastosowanie onych dało-by się rozszerzyć i skuteczność ich wzmocnić.

I.

Dokładne i trzeźwe zbadanie stanu majątkowego odłużonego właściciela oraz warunków, w jakich się znajduje, jest tem samym, czem jest dokładna dyagnoza lekarska, która z natury rzeczy poprzedzać musi wszelkie leczenie choroby. Jest ona logicznym punktem wyjścia każdej akcji ratunkowej i ona jedynie doprowadzić może do uzasadnionej odpowiedzi na pytanie, czy wogóle ratunek jest jeszcze możliwy i jaką drogą do celu podążać należy. Faktem jest bowiem, że w pewnych warunkach odłużenie, dosięgające a nawet przewyższające nieco wartość szacunkową majątku, nie koniecznie jeszcze wyklucza możliwość uratowania całości majątku, i że w innych znowu warunkach mierne stosunkowo odłużenie do katastrofy doprowadzić musi. Jest prawdą, doświadczeniem stwierdzoną, że ścisła oszczędność w wydatkach osobistych i w kosztach zarządu majątkiem, przez szereg lat stosowana, zdolną jest prawdziwych dokonać cudów. Znamy nie rzadkie przykłady, że właściciele znacznymi długami obciążonych, nie szczególnie dobrych i zaledwie średnio zagospodarowanych majątków, siłą samej, ale długoletniej oszczędności, potrafili oczyścić swe majątki z długów, a nadto zdobyli jeszcze znaczne stosunkowo zaoszczędzone kapitały. Takie wypadki jednak zdarzały się i mogły się zdarzać tam tylko, gdzie pracowity a oszczędny właściciel miał do czynienia z wyrozumiałymi, cierpliwymi i niskimi procentami zadawalniającymi się wierzycielami. O ileż donioślejszemi musiały-by być rezultaty oszczędności, gdyby jej towarzyszyło stopniowe ulepszanie gospodarstwa i idące za niem wzmocnienie urodzajności ziemi. Aby jednak równocześnie gospodarstwo ulepszać i wzmacniać urodzajność ziemi, trzeba, obok dopiero co wzmiankowanej wyrozumiałości i cierpliwości wierzycieli, posiadać jeszcze pewną dozę gruntownej wiedzy, a nadto pewną siłę finansową,

mogącej. Przemiana taka systemu, wymagająca reorganizacji gospodarstwa i pewnych, i to znacznych, nakładów, może być doradzaną i dostępną rolnikom, pewien stopień zamożności posiadającym, ale nie przeciężonym długami i zagrożonym upadkiem. Ci ostatni bowiem, a tych mamy głównie na widoku, wtenczas dopiero o zmianie kierunku gospodarstw będą mogli myśleć, gdy i jeżeli staną na gruncie, zapewniającym im bezpieczne posiadanie tego kawała ziemi, jaki im się uda uratować.

wyrażającą się w dostatecznych i dobrze żywionych inwentarzach roboczych i użytkowych, w potrzebnych narzędziach rolniczych, w dostatecznej służbie folwarcznej i najemnikach regularnie płatnych, w możności czynienia pewnych nakładów na odnawianie lub kopanie nowych rowów, utrzymanie w dobrym stanie budowli i t. p.

Siłę tę finansową rolnik znaleźć może albo w oszczędności, jaka da się osiągnąć jeszcze z reszty czystych dochodów majątku, pozostałych po zapłacie procentów i upłacie częściowej długów, albo zdobyć ją sobie musi w tanim i bardzo rozumnie użytym kredycie osobistym.

Ale i względności wierzycieli, i wiedzy rolnika, i jego oszczędności oraz usilnej pracy towarzyszyć jeszcze muszą przyjazne dla rolnictwa ogólno-ekonomiczne warunki, jako to: łatwość zbytu i odpowiednie do kosztów i produkcji ceny wytworów rolniczych.

Otóż te przyjazne warunki należą obecnie do wspomnień przeszłości. Nie dziw więc, że właściciel odłużony i przez swych wierzycieli o zapłatę wysokich procentów, albo o zwrot kapitału niepokojony, nawet w największej oszczędności i najusilniejszej pracy ratunku nie znajdzie, a o ulepszeniu gospodarstwa i wzmocnieniu urodzajności ziemi marzyć tylko może.

Była dość długo trwająca epoka, w której kredyt wogóle, a więc i kredyt hipoteczny na kapitał zakładowy uważanym był za szczyt marzeń i lekarstwo na wszelkie możliwe dolegliwości rolnika. Przekonania te i dziś jeszcze gdzieś tam pokutują. Tłómaczą się one wspomnieniem niezbyt jeszcze dawnych czasów, w których przy pewnym zbiegu okoliczności garniec okowity, żadną, albo bardzo małą obłożony akcyzą, sprzedawał się po rs. 1 50 albo i rs. 1.65, a cena korca pszenicy oscylowała około 8, cena zaś korca żyta około 6 rs., i kiedy był cały szereg lat urodzajnych. W takich warunkach można było kupić majątek ziemski, pozostawiając największą część niewypłaconego szacunku na hypotece, lub obciążyć go długiem, nawet $\frac{3}{4}$ szacunku przenoszącym, i—wedle utartego wyrażenia—wyrobić się z długu, czy to przez sprzedaż lub uprzedaż części lasu, czy też nawet przez użycie na ten cel wysokich dochodów, jakie z rolnictwa czerpać było można. Dziś o takim wyrobieniu się z długów za pomocą dochodów z rolnictwa osiągniętych i mowy być nie może, a rolnik, posiadający majątek, w średnim, wedle naszych pojęć, t. j. w bardzo niskim stanie kultury będący, szczęśliwym się już czuje, jeżeli, przy nader skromnem utrzymaniu domu, potrafi wygospodarować czysty dochód, wystarczający na opłatę rat T-wa kred. ziem. Bywają niezawodnie położenia, że jest jakaś przewyżka czystego dochodu po-nad te konieczne potrzeby, ale ona albo nie wystarcza, albo w najlepszym razie zaledwie wystarcza na opłacenie zwykle wysoko oprocentowanych długów hipotecznych i niehypo-

tecznych, po pożyczce T-wa na majątku ciężących. Jeżeli wystarcza, właściciel zagrożony jest wypowiedzeniem kapitału, jeżeli nie wystarcza, upadek jego staje się tem nieodzowniejszym.

W takim położeniu znajduje się bardzo znaczna część naszych rolników. Może się ono zmienić na lepsze w dwóch tylko wypadkach, t. j. albo wskutek znacznego polepszenia się warunków ekonomicznych i za niem idącą podwyżką cen płodów rolniczych, albo przez znaczne wzmocnienie urodzajności naszej ziemi, czyli zwiększenie naszej produkcji rolniczej. Wyczekiwać na ziszczenie się jednej lub drugiej ewentualności nie możemy, bo niezaspokojony w swych prawnych wymaganiach wierzyciel czekać nie pozwoli.

Otoż w tem prawdziwie rozpaczliwym położeniu kredyt hipoteczny, na niski stosunkowo udzielony procent i umarzający się, lub przynajmniej na dłuższy przeciąg czasu zapewniony, był-by niezawodnie prawdziwym dobrodziejstwem dla tej znacznej liczby właścicieli ziemskich, którzy nawet w obecnych warunkach są jeszcze zdolni opłacić niski procent od całości swych długów, a którzy, nie mogąc opłacać lichwiarskich procentów, lub spłacać lada chwila wypowiedzialnego kapitału, w najwyższym znajdują się niebezpieczeństwie. Tę część naszych ziemian mając jedynie na myśli, dalecy jesteśmy od twierdzenia, aby oni za pomocą takiego kredytu mogli się wyrobić z długów. Dobrodziejstwo takiego kredytu dla bardzo odłużonych, ale gospodarstwo w średnim jeszcze utrzymujących stanie właścicieli i korzyść dla kraju upatrujemy w tem, że majątki ich przestały-by na razie powiększać już i tak wielką ilość na przymusową sprzedaż wystawionych majątków, że właściciele ich mogli-by je utrzymać w przyzwoitym stanie gospodarstwa i mieli-by wszelką szansę doczekania się lepszych warunków ekonomicznych i wyższych cen ziemi od tych, jakie się ułożyły przy gwałtownej i przymusowej podaży po większej części zniszczonych majątków.

Przy dawniejszem już znacznem odłożeniu majątków ziemskich potrzeba takiego kredytu kilkakrotnie była odczuwaną i poruszaną. Przed niewiele jeszcze laty kwestya emisji nowej seryi listów zastawnych, na drugiej hipotece opartych i nieco wyższy opłacających procent, była na seryo przez władze T-wa rozbiegana. Istniały projekta założenia banku hipotecznego akcyjnego, mającego udzielać pożyczek na 6% do wysokości $\frac{2}{3}$ lub $\frac{3}{4}$ przez siebie wynalezionej szacunku dóbr. Niektóre banki ziemskie Cesarstwa nawet gorąco sobie życzyły i na Królestwo Polskie rozszerzyć swoją działalność. Wszystkie te projekta jednak speliły na niczem, albo dlatego, że się obawiano zbyt niskiego kursu listów zastawnych, na drugiej hipotece lokowanych, albo, że nie zdawało się być roztropnem i pożądanem ułatwić sposo-

bność zaciągania długów na wydatki nieprodukcyjne ziemianom, zbyt do tego pochopnym, albo że się obawiano wyzysku ich przez banki akcyjne, swój interes jedynie na celu mające, albo wreszcie i głównie z tego powodu, że władze T-wa od chwili, jak ceny ziemi zaczęły się dzwigać w górę, nosiły się już z myślą podwyższenia taryfy taksowej oraz umorzenia podatku gruntowego, a tem samem i podwyższenia pożyczek, bez potrzeby uciekania się do innych hypotek, pojęcie o bezpieczeństwie pożyczek i listów osłabiających. T-wo myśl swoją w r. 1884 urzeczywistniło, ale, jak to już wyżej wzmiankowano, pomoc ta była chwilową, a obecnie potrzeba nowego kredytu, lepszych warunków likwidacyi majątkowej doczekać pozwalającego, więcej niż kiedykolwiek odczuwać się daje. Zdawało-by się, że obecna chwila zastoju handlowego i przemysłowego i niebywałej obfitości kapitałów, bezpiecznej szukających lokacyi i niskim zadawalniających się procentem, jest jakby umyślnie stworzona do niesienia takiej rolnictwu krajowemu pomocy.

Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że kapitały, i chętnie, i obficie lokujące się w nowych $4\frac{1}{2}\%$ -ych listach zastawnych ziemskich, po 98.50 i 98.75 za 100, i z trudnością znaleźć mogące umieszczenie najwyżej na 5% na pierwszych numerach hypotek domów warszawskich, chętnie-by się lokowały na hypotekach wiejskich na 5, lub najwyżej na $5\frac{1}{2}\%$, gdyby one przedstawiały dostateczne bezpieczeństwo dla samego kapitału i dla terminowej opłaty procentów. Ale, niestety, tak nie jest: od czasu bowiem pojawienia się przesilenia rolniczego, hypoteki ziemskie tego bezpieczeństwa nie przedstawiają i kredyt hypoteczny ziemski nie osłabł, jak niektórzy twierdzą, ale znikł zupełnie z powierzchni naszego kraju. Przyczyna tego faktu bardzo prosta. Majątki ziemskie, na przymusową wystawione sprzedaż, znajdują się zwykle w chwili sprzedaży w stanie zupełnego zniszczenia, bez zasiewów, bez inwentarzy żywych i martwych, bez żadnych zapasów słomy, paszy, a nawet mierzwy, z upadającymi budowlami gospodarskimi, lub bez żadnych budowli, tak, że przedmiotem sprzedaży jest nie majątek ziemski jako tako zagospodarowany, ale goła ziemia zwykle wyjąłowana, przedstawiająca przestrzeń, na której siłą rozumnej i wytrwałej pracy oraz siłą znacznego kapitału można wytworzyć gospodarstwo rolne, dopiero po pewnym szeregu lat procentować się mogące. Samo przez się rozumie się, że majątki takie sprzedają się za bezcen, za $\frac{1}{4}$ pierwotnego ich szacunku, że na najpierwszych numerach lokowane wierzycelności spadają z hypotek i T-wo nawet nie zawsze może odzyskać niemorzoną jeszcze część swej pożyczki, łącznie z zalegającymi ratami i kosztami egzekucyi.

Że w twierdzeniu tem niema przesady, niechaj służyć za dowód cyfry urzędowe, z akt Towarzystwa kredytowego ziemskiego wyjęte. Od 1825 do 1870 roku, a więc w ciągu lat 45, T-wo sprzedało w drodze przymusowego wywłaszczenia 486 majątków, z których jedne tylko dobra Bukowce w 2-gim półroczu 1869 r. zostały T-wu przysądzone. Od r. 1870 do 1888, a więc w ciągu lat 18, T-wo sprzedało w tejże samej drodze 228 majątków, z których już 10 przysądzono na własność T-wa. Od roku wreszcie 1888 do 1 (13) listopada 1892, czyli w przeciągu lat pięciu, suma majątków, przez Towarzystwo sprzedanych, dosięgła cyfry 632. Z nich zaiedwie $\frac{1}{4}$, bo 169 dóbr, sprzedano w pierwszym terminie licytacyjnym, w którym licytacja rozpoczynała się od szacunku taksowego Towarzystwa, reszta zaś, 463 dóbr, nie znalazłszy za ten szacunek taksowy nabywców, musiała być wystawiona na drugą ostateczną sprzedaż, rozpoczynającą się od zniżonego szacunku, wyrównywającego nieumorzonej części pożyczki T-wa, zwiększonej zalegającymi ratami. Z tych ostatnich 59 dóbr i za tę cenę nawet nie znalazły nabywców i przysądzone zostały na własność T-wa, resztujące zaś 404 majątki nabyte zostały za postąpieniem jakiejś drobnostki albo przez wierzyciela, ratującego swą najwyżej lokowaną wierzytelność, albo przez spekulantów, na rozparcelowanie ziemi pomiędzy włościan rachujących. Jakie wierzytelności, przy tych i innych przymusowych sprzedażach, spadły z hypotek, nie mamy wiadomości: musiały one jednak być znaczne, bo majątki, nie przeciążone długami, nie bywają na przymusową wystawiane sprzedaż. Dziwić się przeto trudno, że wobec takich stosunków kapitaliści, nauczeni swoim i obcem doświadczeniem, ze wstrętem odwracają się od hypotek ziemskich, bezpieczeństwo kredytu gwarantować mających.

Zupełny zanik kredytu hipotecznego ziemskiego w chwili, w której obfitość kapitałów, szukających bezpieczniejszej, na tanich warunkach lokacyi, jest wielka i w której kredyt ten mógł-by uratować od zguby setki rolników, pozwalając im doczekać się korzystniejszych warunków likwidacyi, uważamy za większą klęskę, niż samo, tak groźne, rolnicze przesilenie. To ostatnie bowiem, w miarę swego natężenia i trwania, zmniejsza dochodowość i wartość majątków, a tem samem redukuje w odpowiednim stosunku ich siłę kredytową, ale jej nie zabija doszczętnie i łącznie z zaufaniem do osoby, posiadającej majątek. Nie pozostawia go bez żadnej pomocy kredytowej, ale często nawet usposabia kapitalistę do pozostawienia na osobistej odpowiedzialności przesileniem rolniczem zaskoczonych właściciela, tego, czego siła kredytowa rzeczowa zabezpieczyć już nie może. Taki skutek sprawiać powinno i taki też sprawia istotnie u naszych sąsiadów zachodnich przesilenie rolnicze.

Następuje się tu samo przez się pytanie: jakie są rzeczywiste przyczyny faktu, że przesilenie rolnicze u nas wywołało skutek niszczenia dóbr, przybierającego cechy epidemicznej choroby, ze wszystkimi fatalnymi jego następstwami, gdy tymczasem u naszych zachodnich sąsiadów, zawsze na przesilenia cierpiących, o niczem podobnem nie słychać. Odpowiedź na to pytanie zdaje nam się być łatwą, acz nieco skomplikowaną. Przyczyny tego smutnego faktu nie należy szukać w niższym stanie umoralnienia naszego społeczeństwa ziemiańskiego, lecz w niedość trzeźwej ocenie swego położenia majątkowego przez właściciela, w nieznamomości lub lekceważeniu art. 524 kodeksu cywilnego i art. 973 ustawy postępowania cywilnego przez sekwestratorów i komorników sądowych, jako wykonawców poleceń władz administracyjnych i wyroków sądowych, w nieświadomości dłużnika, jak się należy bronić od nadużyć wykonawców prawa, i wreszcie w niedostateczności prawodawstwa, które nie zapobiega wczesnie i skutecznie możliwości niszczenia majątków, na przymusową wystawianych sprzedaż.

Upadający pod ciężarem nadmiernych swych zobowiązań właściciel, zamiast znać wczesnie niemożność utrzymania się przy rodzinnym majątku i drogą likwidacyi ratować szczątki swego czystego mienia, szuka zwykle spóźnionego już ratunku w ulgach T-wa, o ile one usprawiedliwić się dadzą, i w kredycie lichwiarskim bankierów małomiasteczkowych. Dopóki to ostatnie źródło starczy, opłacają się konieczne podatki, raty i procenta. Gdy i ono zaniknie, sekwestrator i komornicy rozpoczynają zwykle dewastacyę majątku przez zajęcie, a następnie sprzedaż ruchomości, stanowiących nieruchomość z przeznaczenia, jak np. inwentarzy roboczych i użytkowych, zboża, przeznaczonego do siewu, na obroki, ordynaryę, kuchnię czeladną i t. p.¹⁾ Przy upadającym już z tego powodu gospodarstwie następują niebawem termina subhastacyjne, a w tej ostateczności zależy już od etycznych pojęć ginącego właściciela, czy w źle obsianym, lub wcale już nie obsianym majątku pozostawić resztki niesprzedanych jeszcze inwentarzy żywych i martwych, słomy, paszy, nawozu, ogrodzenia i budowle, lub też czy dopełnić ostatecznej dewastacyi przez doraźną sprzedaż tego wszystkiego, co jeszcze da się za cobydź spieniężyć.

Nie poruszamy kwestyi, kto przedewszystkiem starać się powinien o śpieszną naprawę złego, ani też, jaką drogą dążyć-by do tego

¹⁾ Do jakiego stopnia może dochodzić ta nieznamomość lub lekceważenie prawa, służyć może za dowód fakt, że w r. 1890 w dobrach Brzeziny, w powiecie Garwolińskim, będących pod sprzedażą za zaległość rat T-wa, sekwestrator na pokrycie należności skarbowej, wynoszącej 122 ruble 19 kop., sprzedał Żydowi Beckermanowi 100 morgów żyta rosnącego na polu za 850 rubli.

należało. Zdawało-by się, że obowiązek ten spoczywa na wierzycielach, jako najbliżej w kwestyi zainteresowanych. Nie sami jednak wierzyciele cierpią wskutek takiego stanu rzeczy. Cierpią rolnicy, bo są pozbawieni kredytu, bo liczne subhasty zniszczonych majątków powiększają popłoch, zabijają wiarę w dochodowość gospodarstw rolnych i wpływają fatalnie na coraz większą deprecyacyę ziemi. Cierpią kapitaliści, bo są pozbawieni najnaturalniejszej i bezpiecznej lokacyi swych kapitałów. Cierpi ludność robocza wiejska, bo w upadających i zdevastowanych majątkach nie znajduje służby, pracy i zarobku. Cierpi przemysł i handel, bo, w miarę wzrostu ubóstwa i proletaryatu wiejskiego, zmniejsza się ilość konsumentów wyrobów przemysłu i rzemiosła. Cierpi i uboższe społeczeństwo krajowe, bo się zmniejsza krajowa produkcya rolnicza, która tylko nakładem nowych kapitałów i nowej pracy może być do pierwotnego doprowadzona stanu. Cierpi wreszcie państwo, bo zanika siła podatkowa, będąca zawsze w prostym stosunku do wzrostu pracy produkcyjnej, zarobkowania i bogactwa krajowego. Gdzie choroba wywołuje cierpienie wszystkich klas społeczeństwa, nie wyłączając jego uosobienia, t. j. państwa, i gdzie nie podlega wątpliwości, że ona może być usunięta w drodze odpowiednio obmyślanego prawodawstwa, tam naprawa złego może być łatwo osiągnięta, byleby uznanie doniosłości złego stało się ogólnem i byleby kto żyw i może rozwinął energiczną w tym kierunku działalność w zakresie swej siły i swych wpływów. Przesilenie rolnicze, przy równoczesnem współdziałaniu wojny celnej, doszło, jak się zdaje, do swego apogeum. Ustanie tej wojny może je złagodzić o tyle tylko, o ile sama wojna wzmocniła jego natężenie. Pojawienie się przesilenia i trwałość jego zależnemi są od całego szeregu przyczyn, które wtedy-by tylko usuniętemi być mogły, gdyby wszystkie rządy Europy i wszystkie klasy jej ludności jednakowy w usunięciu tem miały interes. Tak jednak nie jest, i grubo-by się mylił, ktoby sądził, że po ustaniu wojny celnej zabłyśnie zaraz nowa, świetna dla pomyślności rolnictwa era. Należy nam się przeto w długą uzbroić cierpliwość i dlatego też powinniśmy wszystkich sił dołożyć, aby usunąć to miejscowe, w nas samych leżące i od nas samych zależne zło, które to przesilenie potęguje. Dopóki bowiem to nie nastąpi, żadne usiłowania nie zdołają wskrzesić już doszczętnie zanikłego kredytu hipotecznego prywatnego, a tem mniej wpłynąć na ożywienie naszego rolnictwa nowym i tanim kredytem publicznym.

Trudno w tej chwili przesądzać, czy, kiedy i z czyjej inicjatywy energiczna ta działalność zostanie rozwinięta i kiedy doczekamy się jej skutków. Tymczasem стоимy wobec faktu dalszego niszczenia organizmów gospodarskich, zupełnego zamknięcia wszelkiego kredytu hipotecznego i niemożności ratowania się onym. Pierwszą z pomiędzy tych

dróg ratunku, jakie leżą w samopomocy, jest likwidacya majątkowa bardzo już zachwianego w swych interesach właściciela, którą przedsięwziąć należy nawet w najniekorzystniejszej chwili przesilenia rolniczego, skoro zanik kredytu hipotecznego nie pozwala jej do lepszych odłożyć konjunktur. Jest ona koniecznym i najracjonalniejszym wstępem do dalszej akcji ratunkowej. Poprzedzać ją powinien gruntowny i rzetelny rachunek sumienia i spowiedź, dopełniona w gronie przyjaciół i sąsiadów pacyenta. Życzliwe a żywe zainteresowanie się sąsiadów i przyjaciół trudnem położeniem do upadku chylącego się sąsiada uważamy za obowiązek i za zasługę iście obywatelską. Znany kilka przykładów, z których można wysnuć tę prawdę, że gdyby właściciel w odpowiedniej chwili miał odwagę zajrzeć oko w oko swemu położeniu i poddał je ocenie trzeźwych a rozumnych przyjaciół, gdyby zrobiony był ścisły a sumienny rachunek długów, opłacanych procentów, kosztów administracyi i czystych dochodów, był-by się znalazł taki lub inny sposób zażegnania niebezpieczeństwa; gdy tymczasem fałszywy wstyd, tajenie trudnego położenia, nie tajnego omotującym go lichwiarzom, i dalsze brnięcie w długi lichwiarskie uczyniło ratunek niemożliwym.

Samo ujawnienie zamierzonej i mającej się przeprowadzić likwidacyi majątkowej dłużnika, za pośrednictwem i pomocą tych przyjaciół i sąsiadów, którzy ją za konieczną uznali, jest faktem, wielce dla niego korzystnym. Zawezwani do udziału w sformowaniu samego planu likwidacyi wierzyciele nabierają od razu zaufania w uczciwe zamiary dłużnika i przekonania, że majątek nie będzie zniszczony i że się osiągnie za niego najwyższa możliwa cena. Nadto interwencya zwykle zamożnych i szanowanych przyjaciół uczyni wierzycieli wyrozumiałymi na opóźniony termin wypłaty kapitału i skłonnymi do ustępstw w kwestyi zalegających procentów i ich wysokości. Jeszcze skłonniejsi do szerokich ustępstw w kapitale i procentach okażą się lichwiarze niezabezpieczeni lub źle ubezpieczeni hipotecznie. Powtarzamy raz jeszcze, że za konieczny warunek wyrozumiałości i pojednawczego usposobienia wierzycieli uważamy żywe zainteresowanie się tą sprawą sąsiadów, mających mir i uznanie w okolicy. Oni bowiem samym faktem swego pośrednictwa dają pewną, bardzo ważną gwarancję moralną i przynoszą trzeźwy pogląd na sprawę i siłę, jakich znękany dłużnik nie posiada.

Likwidacya jest wskazana wszędzie tam, gdzie dochód czysty, z majątku osiągnany, z tej lub innej przyczyny podnieść się nie dający, nie wystarcza albo zaledwie wystarcza na opłatę procentów od długów na majątku ciężących i lada chwila wymagalnych, i gdzie niema środka ani ich spłaty lub upłaty innemi funduszami, jak np. przez sprzedaż

lasu i t. p., ani zmoderowania stopy procentowej i zabezpieczenia się przed niebezpieczeństwem od ich wypowiedzialności.

Likwidacya może być częściowa lub całkowita. Pod częściową likwidacją rozumiemy odprzedaż większych lub mniejszych przestrzeni ziemi danego majątku, z tej lub innej przyczyny żadnego lub mały tylko przynoszących dochód, celem albo zupełnego wyswobodzenia z długów pozostałych przy właścicielu przestrzeni, albo przynajmniej takiej upłaty onych, aby właściciel przy pracy i oszczędności mógł się na pozostałej przestrzeni utrzymać. Tam zaś, gdzie częściowa likwidacya nie mogła-by doprowadzić do żadnego z dwóch dopiero co wymienionych celów, należy się zdecydować na całkowitą likwidacyę czyli możliwie najkorzystniejszą sprzedaż całości, celem uratowania w najlepszym wypadku jakiejkolwiekbądź reszty z ceny sprzedażnej dla ustępującego właściciela, lub przynajmniej możliwego zaspokojenia wierzycieli. Samo z siebie się rozumie, że tam, gdzie się da uratować dla właściciela najmniejsza, chociażby kilkowłókowa nawet reszta posiadanej ziemi i wytworzyć z niej gospodarstwo, mające warunki żywotności, należy koniecznie akcyę likwidacyjną do takiego celu skierować. Właściciel ziemski, z gospodarstwem rolnem obyty, przeszedłszy w ostatnich latach egzystencyi szkołę walki z trudnościami położenia i z biedą, i nanczony doświadczeniem, chętnie się zastosuje do nowych warunków bytu i, odetchnąwszy nareszcie swobodną pierśią, będzie się czuł szczęśliwym z bardzo skromnego wprawdzie, ale bezpiecznego i niezależnego bytu, będzie mógł świecić przykładem, że po klęsce utraty większego majątku można wyjść honorowo z wierzycielami, można poprzestać na małym, można pracować, być szanowanym i ewentualnie można służyć społeczeństwu, spełniając zaszczytne obowiązki sędziego gminnego, ławnika, delegata i t. p. Przeciwnie, źle czyni upadły obywatel, który, uratowawszy z powodzi kapitałik kilku tysięcy rubli, przenosi się na bruk miejski, najczęściej do Warszawy, szukając tam płatnego zajęcia. Nie mając żadnego fachowego wykształcenia, zajęcia najczęściej nie znajduje, a tymczasem, łudząc się jałowemi obietnicami, zjada pomału swój kapitałik i ginie zwykle z nędzy i ze zmartwienia.

Ale nie dosyć na rozumnej decyzji przeprowadzenia likwidacyi; nader ważną jest kwestya, jak ją przeprowadzić, komu i jakim sposobem sprzedać część lub całość likwidującego się majątku.

Zdarzają się, acz niezbyt często, wypadki, że właściciel, pomimo swego najgorszego położenia finansowego, potrafił do ostatka utrzymać swój majątek w pełnej średniej, a nawet więcej niż średniej, kulturze. W takich wypadkach, pomimo znacznej niżki cen ziemi w ogólności, znajdzie się chętny nabywca pojedynczych folwarków lub całości i zapłaci dość jeszcze wysoką cenę, ustosunkowaną do przyrodzonej uro-

dzajności gleby, łąk, wartości budowl, inwentarzy i warunków ekonomicznych, w jakich się majątek znajduje. Kapitałów szukających bezpiecznej lokacyi i amatorów na majątki niezniszczone jest dosyć. Stosownie do jakości, płacą półtora, dwa, trzy, cztery tysiące rubli a nawet i więcej za włókę. Włościanin uwzględnia, i to bardzo, przyrodzoną urodzajność gleby, ale ze stanem kultury lichszych gatunków ziemi mało się liczy. Nadto, przy sprzedaży drogą parcelacyi majątków, o jakich mowa, ginie wartość budowl czasem bardzo znaczna, a inwentarze sprzedają się zwykle za pół darmo. W tych położeniach przeto korzystniejszą będzie dla właściciela sprzedaż całych folwarków, a obok tego zachowa się społeczeństwu jednostkę gospodarstwa folwarcznego, której zatracać bez koniecznej potrzeby nie powinniśmy.

Inaczej się rzecz ma, jeżeli przedmiotem dobrowolnej likwidacyi, a raczej sprzedaży, jest majątek lub folwark zniszczony, mający pośledniejszą glebę, nie kompletnie i źle obsiany, bez budowl i inwentarzy, albo z lichemi i niewystarczającymi budowlami i inwentarzami. Na taki majątek lub folwark nabywców trudno znaleźć: kupuje go zwykle na licytacyi za bezcen wierzyciel, zmuszony ratować swą wierzitelność, lub spekulant w celu rozparcelowania go pomiędzy włościan i zarobienią na takim geszefcie; a czasem ani wierzyciel ani spekulant nie widzi w kupnie interesu i majątek przysądzany bywa Towarzystwu za nieumorzoną część pożyczki i zaległe raty. W takich, niestety, najczęściej zdarzających się położeniach, gdzie ani budowl, ani inwentarze, ani zasięwy nie przedstawiają poważnej wartości, najkorzystniejsza względnie sprzedaż może się dokonać jedynie przez rozparcelowanie majątku pomiędzy włościan.

Wobec stosunku, jaki się dotąd ułożył między większą folwarczną a małą włościańską własnością, jak również wobec cywilizacyjnego wpływu, jaki pierwsza na tę ostatnią wywierać może i powinna, zwielmienie tego stosunku na korzyść malej własności nie jest bynajmniej pożądanem. W zasadzie przeto uważamy parcelacyę za zło, ale za zło względne, zapobiegające gorszemu, jakim-by była zupełna deprecyacya ziemi i rzucanie jej na pastwę najbardziej niepożądanych żywiołów.

Przy przeprowadzeniu jednak koniecznej w największej liczbie położen parcelacyi napotykamy zwykle trudne, a czasem niepodobne do zwalczenia, cale szeregi przeszkód. Włościanie nasi wkrótce po uwłaszczeniu doszli do pewnej zamożności, ale, rozradzając się szybko, wyczerpali swe oszczędności na kupno ziemi folwarcznej i uposażenia nią swych synów i córek. Dalsze rozradzanie się i prąd ku nabywaniu nowej ziemi i wytwarzaniu nowych osad lub zwiększaniu dawnych, trwają ciągle, ale ciężkie przesilenie rolnicze i miejscowe warunki eko-

onomiczne nie nadają się już do gromadzenia nowych oszczędności. Włościanin nasz jest zawsze żądny ziemi, ale jej nie ma za co kupić. Funkcjonujące w kraju oddziały Banku włościańskiego przychodzą włościanom z wielką i uznania godną pomocą kredytową. Pomoc ta kredytowa jednak, jak na obecną obfitość i taniość kapitałów, jest zbyt drogą i dla włościanina zbyt uciążliwą. Procent bowiem 6% tem mniej odpowiada czystemu dochodowi, jaki przeciętnie w obecnych warunkach rolnictwa z ziemi osiągać można, że nie uwzględnia tej okoliczności, iż włościanin odbiera gołą ziemię, nieobsianą, bez budowli i bez inwentarzy, i że na niej musi z nowa zorganizować gospodarstwo, które mu dopiero po kilku latach pracy i nakładów jakiś dochód przynieść może. Zniżenie więc stopy procentowej i odłożenie poboru opłaty amortyzacyjnej do lat kilku po udzielonej pożyczce zdaje się być wskazane i przez poczucie słuszności i przez konieczność. Następnie z powodu niedostatecznego uposażenia tutejszych oddziałów Banku, pomoc kredytowa tej tak użytecznej instytucji zaledwie w jakiejś części wystarcza na wzrastające potrzeby i żądania zarówno tych, co chcą lub muszą sprzedać, jak i tych, co chcą kupić. Ilość mórg ziemi, posiadanej przez zbyt odłużonych właścicieli, przez endzoziemców i przez żydów, które niebawem muszą zmienić właścicieli, wynosi w przybliżeniu $3\frac{1}{2}$ miliona morgów ¹⁾. Niedostatkowi konkurentów o kupno ziemi spowodowanemu zubożeniem włościan, zabronieniem nabywania jej przez obcopoddanych, zapobiegło-by w znacznej części urzeczywistnieniu poruszonej na nowo przez p. Blocha bardzo rozumnej zasady ekonomicznej, że w sprawach społecznych istnieje ścisły związek i wzajemna zależność od siebie różnych grup społecznych i że, stosując u nas tę prawdę, można się wielce przyczynić do ułatwienia parcelacji, obdarzając tanim kredytem hipotecznym drobnych posiadaczy osad włościańskich nieukazowych, żyjących pod ogólnem prawem krajowem, i tym sposobem wytworzyć nową falangę zasobnych w kapitał nabywców parceli. Zdaniem tego autora, na drobną własność, o jakiej mowa, można-by udzielić z zupełnem bezpieczeństwem pożyczek w sumie 30 milionów rubli ²⁾, nie wliczając w tę cyfrę tych pożyczek, jakich-by Towarzystwo udzielić mogło na osady włościańskie ukazowe, w myśl art. 91 Ustawy z 1888 r. ³⁾.

¹⁾ Porównaj odbitkę „Ziemia i jej odłużenie” J. Blocha, str. 251.

²⁾ Porównaj odbitkę „Ziemia i jej odłużenie” J. Blocha, str. 222—229.

³⁾ Objasnić tu należy, że Towarzystwo kredytowe ziemskie, celem dokładnego zbadania i uporządkowania wszystkich danych statystycznych, odnoszących się do stosunków dóbr Towarzystwu zastawionych, urządziło u siebie osobny wydział statystyczny. Zadaniem jego jest zebrać dokładne wiadomości, jaka każdego z tych mająt-

Wreszcie Bank włościański, jako instytucya czysto kredytowa, udziela pożyczki włościanom na ziemię już zatargowaną, jeżeli pożyczką tą wszyscy wierzyciele hipoteczni mogą być splaceni. Ustawa nie dozwala Bankowi nabywać na swój rachunek dóbr, na publiczną sprzedaż wystawianych i do parcelacyi kwalifikujących się, nawet w wypadkach, w których-by je nabyć można za cenę niższą od cyfry pożyczki, jakiej-by Bank udzielił był gotów na parcele z majątku takiego wytworzone. Bank nie wdaje się również w usuwanie różnych komplikacyi i trudności hipotecznych, które usunąć-by się dały lub pominąć bez niebezpieczeństwa dla pożyczki, a którym właściciel znękanym swem położeniem poddać nie potrafi. Wreszcie Bank żąda dla swej pożyczki bezwzględneho zabezpieczenia na pierwszym numerze Działu 4-go hipoteki i oczyszczenia z wszelkich wpisów w Dziale 3-cim, jak np. służebności, kanonów, rent dożywotnich i t. p. Tym sposobem pomoc kredytowa Banku włościańskiego dla ułatwienia przeprowadzenia parcelacyi staje się w wielu wypadkach po prostu niedostępna. Z tych przeto powodów, jak również z powodu niedostateczności funduszków, jakimi Bank rozporządza, wytworzenie osobnej instytucyi, czyli Banku kredytowo-parcelacyjnego, jest potrzebą konieczną, palącą i niecierpiącą zwłoki. Potrzebę tę wypowiedział p. Bloch w cennej i już wyżej wzmiankowanej przez nas pracy „Ziemia i jej odłuzenie.” Pod Bankiem kredytowo-parcelacyjnym rozumiemy taką instytucję, która-by na żądanie gotową była, wedle swego uznania i za umówionem z góry wynagrodzeniem, podjąć się usunięcia trudności hipotecznych tam, gdzie one są do usunięcia, pośredniczenia w układach z wierzycielami lub z włościanami o zamianę służebności i wogóle wyrównania gruntu dla pożyczki Banku włościańskiego; tam zaś, gdzie otrzymanie pożyczki dla włościan z tego źródła było-by z jakiegokolwiek bądź przyczyn niemożliwem, a gdzie jednak udzielenie onej na kupno ziemi folwarcznej przedstawiało-by absolutne bezpieczeństwo, do

ków jest rozległość, jaki gatunek ziemi, łąk, pastwisk, lasów i nieużytków; jaki stan i jakość budowli, inwentarzy i t. p.; jaka wartość szacunkowa hipoteczna i sprzedażna; jaka produkcya, jakie obciążenia hipoteczne i służebności; jakie przestrzenie kwalifikowały-by się do rozparcelowania; jakie istnieją w okolicy osady włościańskie ukazowe i nieukazowe, jaka ich zamożność; czy włościanie są chętni do nabywania parceli ziemi folwarcznej, po jakich cenach i t. p. Obraz taki wszystkich majątków Towarzystwu zastawionych, przy zaznaczaniu zmian, jakie z biegiem czasu zaistnieć mogą, będzie cennym materiałem statystycznym i ułatwi niesłychanie zgodny w rzeczywistości pogląd na kwestyę, czy w danej okolicy i w jakich warunkach całkowita lub częściowa likwidacya za pomocą parcelacyi dała-by się przeprowadzić. Możliwa i trudnościami najeżona praca prowadzi się z wielką energią, lecz terminu, w jakim będzie ukończoną, przewidzieć niepodobna.

udzielenia takiej pożyczki ze swego własnego zakładowego kapitału. Opracowywana przez Towarzystwo kredytowe statystyka, o jakiej dopiero co mówiliśmy, była-by tu bardzo cennym dla Banku materiałem, ułatwiającym mu zorientowanie się pod względem bezpieczeństwa udzielanych przezeń pożyczek.

W wypadkach, w których z powodu trudności hipotecznych akcja taka okazała-by się niemożliwą, Bank, o jakim mowa, zawsze przy względzie na niewątpliwe bezpieczeństwo swego kapitału, mógłby majątki na przymusową wystawioną sprzedaż sam na własność nabywać, a oczyściwszy w ten sposób hipotekę, nabyty majątek ze swego ramienia parcelować, posiłkując się dla włościan kredytem Banku włościańskiego, albo, jeśli-by nabywcami parceli byli niewłościanie, kredytem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, albo wreszcie, kredytując nabywcom swoje własne kapitały. W tym ostatnim wypadku, kwestye hipotecznego zabezpieczenia zaangażowanych kapitałów Banku, warunki oprocentowania i termin zwrotu onych, czy to sposobem umorzenia, czy innym, są kwestyami znanymi, których tu rozwijać niema potrzeby. Jedną tylko potrzebę jako konieczną zaznaczamy: Bank kredytowo-parcelacyjny musiał-by uzyskać koncesyę rządową i pewne przywileje, odnoszące się do uproszczonej i szybszej egzekucyi swych należności, oraz do prawa wypuszczania obligacyi w pewnym stosunku do swego złożonego kapitału akcyjnego. Przed kilkunastu laty były już w tym kierunku czynione bezowocne usiłowania, ale przyczyna niepowodzeń leżała w znacznej części w konkurencyi dwóch nie idących z sobą ręka w rękę firm bankierskich, w przesadzonych nieco pretensjach do uzyskania pewnych przywilejów, niezgodnych z panującymi naówczas prądami i w różnych od obecnych potrzebach społecznych i zapatrywaniach się władzy na kwestyę parcelacyi. Dziś położenie się zmieniło: potrzeba i korzyści parcelacyi ujawniły się stanowczo, Rząd życzy sobie ułatwić ludności bezrolnej nabywanie ziemi, czego dowodem są funkcyonujące w kraju Banki włościańskie; ustawa przeto, która-by miała za cel wyraźny nie konkurować z Bankiem włościańskim, ale ułatwiać mu zadanie i dopełniać go tam, gdzie jego ustawa nie pozwalała mu działać skutecznie, powinna-by znaleźć, zdaniem naszym, życzliwe w sferach miarodajnych przyjęcie i uzyskać za twierdzenie wraz z koniecznymi przywilejami, o jakich dopiero co mówiliśmy. Przywilej uproszczonej i szybkiej egzekucyi jest konieczny dla bezpieczeństwa i terminowego zwrotu udzielanych przez Bank pożyczek, przywilej znów wypuszczania obligacyi nizko oprocentowanych powiększył-by siłę wpłaconego kapitału akcyjnego i umożliwił-by pogodzenie z sobą dwóch sprzecznych napozór dezyderatów, t. j.

udzielanie nabywcom parceli pożyczek tanich i równoczesne zapewnienie akcyonaryuszom przyzwoitej dywidendy.

Kapitałów szukających lokacyi oraz zadawalniających się kupnem, przynoszącym $4\frac{1}{2}$ lub 5 od sta, mamy dosyć na wytworzenie nie jednego ale kilku banków w różnych kierunkach działalności. Potrzeba społeczna jest widoczna, użyteczność wielka, a przy swobodzie podjęcia się lub odrzucenia proponowanego interesu bezpieczeństwo zupełne. Dywidendą zaś stosunkowo do obecnej stopy procentowej mogła-by być przyzwoita, a ludzi obytych z administracją podobnych instytucyi, oraz dostatecznie obeznanych z rolnictwem i stosunkami różnych miejscowości w kraju nie mało. W Cesarstwie nie ma dotąd żadnej podobnej instytucyi, niema więc ustawy normalnej, na której-by się można modelować. Znaleźli-by się jednak niezawodnie ludzie zdolni, którzy-by potrafili projekt ustawy odpowiedniej potrzebom i panującym prądom opracować, a inni znowu dobrej woli i wpływowi, którzy-by nie szczędzili trudu, aby dla niej życzliwe wyjednać przyjęcie i zatwierdzenie. Gdyby inne, amerykańskie, francuskie, angielskie lub niemieckie społeczeństwo znajdowało się w podobnych naszym warunkach i położeniu, kwestya wytworzenia Banku kredytowo-parcelacyjnego oddawna była-by załatwioną. Czy znajdzie się w naszym społeczeństwie i kiedy dostateczna suma przedsiębiorczości, energii i dobrej woli, nie śmiemy przesądzać, lecz śmiemy żywić tę nadzieję. Tymczasem czas ubiega, gospodarstwa w majątkach zadłużonych coraz więcej upadają i niszczeją, sprzedaże przymusowe się mnożą i potrzeba parcelowania gwałtownie wzrasta. Cóż więc począć, zanim społeczeństwo wyłoni z siebie instytucję kredytowo-parcelacyjną. Obowiązek moralnej a chętniej pomocy i pośrednictwa przy układach z wierzycielami, z włościanami o służebności, pozostać-by powinna, zdaniem naszym, przy sąsiadach, a obowiązek życzliwej i rozumnej i, o ile to możliwe, bezinteresownej porady prawnej celem możliwego usunięcia trudności hipotecznych, powinno-by chętnie na siebie przyjąć grono naszej zacnej palestry. Nie idzie tu bowiem o ratowanie bytu pojedynczych osób, ale o ratowanie produkcji krajowej od postępującego upadku, a w sprawach tego rodzaju wszyscy powinni-by iść za radą naszego poety, że „jako kto może, do publicznego dobra niechaj dopomóż.”

II.

Równomiernie z konieczną likwidacją stosunków majątkowych naszych rolników i wytworzeniem pod tym względem warunków żywo-

tności, nieodbitą potrzebą jest także powiększenie dochodów z ziemi, drogą oszczędności w wydatkach osobistych, zmniejszenia kosztów administracyi i wzmocnienia urodzajności naszej gleby. Między dawnymi i obecnymi warunkami bytu rolnika wytworzyła się cała przepaść. Mięły bezpowrotnie czasy pańszczyzny, propinacyi, czynszów, danin, arapów, darmocho, czasy, w których właściciel majątku, nie potrzebując nauki i pracy, otrzymywał od razu dochód czysty taki, jaki Bóg dał i ten mu wystarczał; bo nie było kosztów utrzymania gospodarstwa, dom zaopatrywał się przeważnie produktami, jakich wieś dostarczała, taniłość była wielka, wymagania towarzyskie i potrzeby małe, podatki prawie żadne i odłożenie nieznaczne. Dziś przeciwnie: gospodarstwo stało się przemysłem fabrycznym, wymagającym rozumnej pracy i znacznych nakładów; praca darma i dochody gotowe znikły; obowiązujące przepisy kodeksu Napoleona, stanowiące o równości działów między dziećmi, czasem nieogłębność i życie nad stan, wtrąciły właścicieli ziemskich w stan ogromnego odłożenia; podatki, koszta utrzymania rodziny, domu i wymagania towarzyskie wzrosły w czwórnasób, a pozostał tylko prawie zupełnie niezmiennym brak wiedzy w zakresie nauki rolniczej, a tem samem nieumiejętność ciągnięcia z ziemi w tych nowych warunkach bytu możliwych i stałych dochodów. Skutki takiego stanu rzeczy spotęgowane zostały ostatniem przesileniem rolniczem, i doprowadziły rolnictwo do stanu, w jakim się ono obecnie znajduje.

Powiedzieliśmy już wyżej, że oszczędność w wydatkach prowadzenia domu, w wydatkach osobistych i kosztach zarządu majątkiem, przez długi szereg lat stosowana, cuda wytworzyć zdoła i że, aby ulepszyć gospodarstwo i powiększyć czysty dochód z majątku, obok usilnej, na wiedzy opartej pracy, trzeba posiadać pewną siłę finansową i swobodę umysłu. Pewnik ten dopełniamy inną zasadą, przez powagi nasze za bezwzględną prawdę uznaną, a mianowicie, że ulepszanie gospodarstw i wszelkie melioracye gruntowe, urodzajność ziemi i podwyższenie czystego dochodu z majątku sprowadzić mające, powinny się uskuteczniać nie kredytem zwykle drogim, ale siłą poprzednio zaoszczędzonych dochodów. Spotykamy też w naszym kraju majątki, których właściciele, rządząc się tą zasadą, doprowadzili premiiowane swoje gospodarstwa do wysokiej kultury i dochodowości, tak, iż istotnie służyć one mogą i powinny za wzór godny naśladowania. Znamy też inne, które, tą postępującą drogą, dźwigają się widocznie i dościgną z czasem tamtych; a jeszcze inne, których właściciele, rzucając się gwałtownie w mniej lub więcej racjonalne przedsięwzięcia melioracyjne za pożyczane pieniądze, doznali gorzkich zawodów, potracili majątki, a ich następcy dopiero korzystają z zaprowadzonych przez poprzedników

nakładów. Patrząc na ogół postępowania i działalności naszych rolników, najsurowszy a bezstronny krytyk nie może nie uznać, że oszczędność w wydatkach posuwamy aż do skąpstwa, pracujemy usilnie, łamiemy się z trudnościami położenia, uczymy się i oświecamy wzajemnie, jak możemy, podnosimy nasze gospodarstwa i meliorujemy wedle możliwości; a więc należy rozpatrzeć się w ogólnych rezultatach naszych usiłowań. Następująca tabelka oświeci nas pod tym względem. „Statistique agricole de la France”, porównywająca przeciętne plony, osiągnane z jednego hektara ziemi w różnych krajach Europy, Ameryki i w Australii, poucza nas, że otrzymujemy:

	w Królestwie Polskiem	w Cesarstwie	Przeciętne dla zagranicy	w Niemczech	w Belgii	w Francyi	w Anglii	w Austrii	w Szwecyi	w Stanach Półn. Amer.	w Kanadzie	w Australii
	H e k t o l i t r ó w											
Pszonicy	9.80	8.10	16.09	17.17	21.50	17.91	28	14.12	18	10.90	12.30	9.77
Żyta	8.7	8.92	15.96	15	20.03	16.28	—	12.43	—	—	—	—
Jęczmienia	8.07	7.33	21.28	22.20	28.16	19.73	33.10	18.90	—	18.76	20.47	—
Owsa	9.41	12.90	27.60	25.15	35.86	25.15	33.10	18.90	—	21.95	32.90	—

Podobne rezultaty wykazuje i profesor Jansen ¹⁾:

Pomimo więc wszelkich naszych usiłowań, jesteśmy maruderami, włokącymi się za ledwie za innymi społeczeństwami, żwawo naprzód postępującymi. Jaka jest tego przyczyna? Niema najmniejszej wątpliwości, że inne społeczeństwa europejskie w innych zupełnie niż nasze żyją warunkach. Ich cywilizacya jest starsza, wykształcenie mianowicie fachowe ogólniejsze, głębsze i dokładniejsze, możność kształcenia się łatwiejsza, pracowitość, oszczędność, a za tem idąca zamożność, bez porównania większe, stosunki społeczne i ekonomiczne, jak wzajemna między sobą niezawisłość własności, uporządkowane, bezpieczeństwo własności zapewnione, a ułatwienia kredytowe i komunikacyjne aż do zbytku udoskonalone. Mają one nadto i pod względem klimatycznym pewną nad nami wyższość: na zachodzie Europy zimy są

¹⁾ Porównaj „Kredyt melioracyjny i stan rolnictwa” przez J. Blocha. Warszawa 1892, str. 140 i 141.

krótsze i mniej surowe, czas do uprawy ziemi, jej obsiewu i pracy w polu, jak również peryod wegetacyjny znacznie dłuższy, a opady atmosferyczne częstsze. Wobec takich warunków usiłowania w kierunku wzmocnienia urodzajności ziemi musiały być bezwzględnie i żywsze, i skuteczniejsze. Żałujemy, że nie posiadamy historyi kultury ziemi zachodnich społeczeństw europejskich, z której-by się można dowiedzieć, w jakiej epoce i jaka była najniższa przeciętna urodzajność ich ziemi i jak ona pomału się dźwigała. Samorzutne usiłowania w tym kierunku nie musiały być jednak zadawalniające, a rządy musiały uważać sprawę tę za nader ważną i niecierpiącą zwłoki, skoro już w piątym dziesiątku tego wieku uznały za konieczne dać popęd do szybszego podniesienia urodzajności ziemi drogą udzielania ziemianom szerokiego kredytu na kapitał melioracyjny, z niebywałym dotąd przywilejem ściągania zwrotu onego ratami drogą administracyjną na równi z podatkami, czyli z pierwszeństwem przed wszelkimi wierzytelnościami hipotecznymi, nie wyłączając nawet wierzytelności t. zw. Landszafty. Już przed 15-tu laty Komitet Towarzystwa kredytowego ziemskiego uznając w zasadzie ważność tego kierunku i chcąc wzmocnić urodzajność naszych ziem, a tem samem i wypłatność swych dłużników, wydelegował jednego z członków władz Towarzystwa, dra agronomii, Kowalskiego, celem zwiedzenia majątków, w których właściciele przeprowadzili melioracje gruntowe, i zdania sobie raportu o kosztach i rezultatach przez melioracje osiągniętych. Dr Kowalski zwiedził sto kilkadziesiąt majątków w kraju, zbadał przeprowadzone melioracje, odnoszące się do osuszenia, nawadniania, karczunku łąk z zarośli i pniaków, pozostałych po wyciętych i na urodzajnej ziemi rosnących lasach, jak również melioracje marglowania, i wszędzie tam, gdzie rachunki zastał w porządku, porównał koszt przeprowadzenia melioracji z osiągniętymi korzyściami i przyszedł do przekonania, że nakład na rzeczony melioracje, racjonalnie przeprowadzone, wraca się w przeciągu lat kilku, powiększając znacznie i czysty dochód z majątku, i wartość jego. Pomimo tak obiecującego tej ankiety rezultatu, Towarzystwo utknęło na punkcie dostatecznego zabezpieczenia kredytu melioracyjnego. Hypoteki bowiem były już w owej epoce znacznymi obciążone długami, zabezpieczenie więc obligacji instytucji melioracyjnej na ostatnich numerach hipotek nie przedstawiało dla dostarczycieli kredytu dostatecznej rękojmi; staranie się zaś o uzyskanie dla kredytu melioracyjnego osobnego przywileju, pierwszeństwa przed innymi wierzytelnościami, było w owej epoce słusznie uważane za zadanie, i po-za obrębem atrybucyi władz Towarzystwa leżące, i niemające najmniejszej szansy powodzenia. Przemysł rolniczy bowiem i w Cesarstwie, i u nas, uważany był za samoistne niewyczerpujące się źródło stałego

dochodu, żadnej specjalnej niepotrzebującej opieki, a przywilej pierwszeństwa dla kredytu melioracyjnego przed innymi wierzytelnościami hipotecznymi—za gwałt, wyrządzony na nabytych prawach wierzycieli. Samo z siebie się rozumie, że, wobec takich pojęć i przekonań, projekt Towarzystwa kredytowego ziemskiego musiał być złożony *ad acta*.

Z biegiem czasu jednak pojęcia te uległy znacznej zmianie. W części z podobnych naszym, w części z innych przyczyn, własność ziemska w Cesarstwie dorównała naszej pod względem wysokości odłuzenia, a prześcignęła ją nie tylko pod względem niskich przeciętnych plonów pszenicy i jęczmienia, osiągniętych z ziemi, ale, co gorsza, i pod względem ciągłego zmniejszania się tych plonów, pomimo że Cesarstwo posiada największe obszary z natury swej najurodzajniejszej ziemi, wypełniającej 26 gubernii tak nazwanych czarnoziemnych. Nizkość przeciętnych plonów widoczną jest z przywiezionej wyżej przez nas porównawczej tabelki, a fakt postępującego zmniejszania się i tak już nędznych plonów poświadcza między innymi i p. Bloch w książce swej „Melioracye gruntowe i stan rolnictwa” (str. 135 i 136). Tenże sam autor wykazał rachunkiem, że w Cesarstwie podwyższenie osiągniętych dotąd przeciętnych plonów o jedno tylko ziarno zwiększyło-by dochód z rolnictwa o 260 milionów rubli, a w Królestwie o 19 milionów. Jakże daleko i w tym wypadku byłibyśmy od przeciętnych plonów, na zachodzie Europy osiągniętych. Rossya, posiadająca ogromne przestrzenie ziemi urodzajnej w rozmaitych położonych klimatach, a przytem wielkie skarby mineralne, była dotąd wyłącznie krajem rolniczym i z produkcji rolnej czerpała główne swe dochody. Przy szybkim wzrastaniu sieci dróg żelaznych, rozum państwowy wskazywał konieczność utworzenia nowych źródeł bogactwa krajowego, w kierunku rozwoju dotąd zaniedbanego przemysłu. Wzięto się też do niego z całą energią, nie będącą może we właściwym stosunku ani z warunkami ekonomicznemi chwili, ani z koniecznością równoczesnej i równomiernej protekcyi rolnictwa, które, po przeprowadzeniu reformy społeczno-agrarnej, pozostawione bez opieki, spadło na najniższy szczebel produkcji. Groźny ten stan russkiego rolnictwa, maskowany dotąd, pod względem niezmnijającej się cyfry eksportowanego zboża, ciągłym dobieraniem pod uprawę nowych przestrzeni ziem dziewiczych, zwrócił na siebie uwagę rządu. Ustanowiono z delegowanych trzech ministrów *ad hoc* złożoną komisję i polecono jej zbadać bliżej położenie i zaproponować odpowiednie środki zaradcze. Komisya ta uznała niebezpieczeństwo i przysłała do przekonania, że należy bez dalszej straty czasu ratować chylące się do upadku rolnictwo i otoczyć je szczególną opieką.

Pomiędzy innymi racjonalnymi środkami, opiekę tę zapewnić mającymi, uznano za konieczność nie cierpiącą zwłoki: wzmocnić urodzajność ziemi, za pomocą na szeroką skalę przez skarż Państwa udzielać się mającego kredytu melioracyjnego, na zasadach stosowanych już od dawna w krajach Europy zachodniej. Istnieje już cały, z natury rzeczy bardzo skomplikowany i głęboko pomyślany, plan organizacji rzeczowego kredytu.

Ciekawy czytelnik znajdzie dokładny szkic onego w książce p. Blocha „Ziemia i jej odłużenie” pod nagłówkiem „Melioracje.” Trzema tylko podstawowymi punktami przez komisję opracowanego planu uważamy za właściwe podzielić się z czytelnikiem:

1) że kredyt melioracyjny tam tylko będzie mógł być przyznany, gdzie uznana będzie przez odpowiednie organa absolutna pewność, że przeprowadzona melioracja tak podwyższy czysty i stały dochód ze zmeliorowanej przestrzeni, iż podwyżką tą w danym przeciągu czasu będzie można ratami spłacić kapitał, na meliorację użyty, wraz z umiarkowanym od niego procentem;

2) że w zasadzie pożyczka melioracyjna nie może przenosić cięższego mienia rolnika, wynalezionego przez potrącenie z wartości dóbr długów na nich ciążących, i że od zasady tej tylko w razach wyjątkowych odstąpić-by można za osobną rzeczową gwarancją lub za specjalnem na każdy raz pozwoleniem ministra dóbr Państwa;

3) że ściąganie rat zwrotnych pożyczek melioracyjnych odbywać się ma w drodze administracyjnej, na równi z podatkami, jak to się odbywało przy ściąganiu rat płatniczych forszusów, przez były Bank Polski na kupno maszyn, narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, inwentarzy rozplodowych i t. p. udzielanych.

Upadek rolnictwa w Cesarstwie, jak widzimy, zmienił dotychczasowe poglądy na kwestję ważności produkcji rolniczej w ogólnem gospodarstwie państwowem i wprowadził miarodajne sfery na ten tor myśli i przekonań, jakie już dawno przyjęły rządy Europy zachodniej i jakie już przed 15-tu laty ujawnił komitet tutejszego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Projekt komisji jest wprawdzie dotąd dopiero projektem, może być w niektórych punktach przez władzę prowadzącą zmienionym; ale nie może podlegać wątpliwości, że projektowany dla kredytu melioracyjnego przywilej pierwszeństwa przed wszystkimi innymi wierzytelnościami hipotecznymi musi być utrzymany. Bez tego przywileju ani za granicą ani w Cesarstwie o kredycie melioracyjnym i mowy być-by nie mogło: i tam bowiem, i tutaj majątki ziemskie zbyt są odłużone, aby po-za ciążaciami na nich długami znalazła się dla kredytu melioracyjnego bezpieczna lokacja. Przez zastosowanie tego przywileju, wyrządzony jakoby prawom naby-

tym wierzycieli gwałt będzie tylko pozornym, jeżeli prawdą się stanie, że zwyżka czystego dochodu, przez melioracyę osiągnięta, będzie zawsze niezawodną i tak znaczną, iż z niej w niezbyt długim przeciągu czasu będzie można zwrócić, wraz z umiarkowanym procentem, nakład na melioracyę użyty, i że z tej zwyżki pozostanie jeszcze jakaś część do dyspozycyi meliorującego właściciela. Po spłacie zaś w ten sposób przez instytucyę melioracyjną forsuszowanego nakładu, cały przyrost czystego, przez melioracyę osiągniętego dochodu, wzmocnił-by wypłatność właściciela, a tem samem i bezpieczeństwo jego wierzycieli. Takie było rozumowanie prawodawców zachodnich, przywilej pierwszeństwa kredytowi melioracyjnemu przyznających, i taki też był niewątpliwie bieg myśli komisji rnskiej, przywilej ten dla Cesarstwa zalecającej.

Rozumowanie to na zachodzie okazało się trafnem i przywilej pierwszeństwa kredytowi melioracyjnemu przyznany nie wyszedł na szkodę wierzycieli i nie osłabił wiary kapitalistów w bezpieczeństwo ich wierzytelności. Bezpieczeństwo wierzycieli i wogólności powodzenie i użyteczność instytucyi wszędzie zależy i u nas zależeć będzie:

- a) od trafnego przyznawania kredytu,
- b) od absolutnej pewności, że pożyczka jedynie na cel wskazany użytą zostanie,
- c) od sumiennego i dokładnego wykonania robót — i
- d) od starannego pielęgnowania wykonanych melioracyi.

Niepodobna wątpić, że komisya, przyznając kredytowi melioracyjnemu przywilej, o którym mowa, miała te wszystkie względy na bacznej uwadze, że się obrachowała z zasobem sił moralnych i technicznych, jakie Państwo ma do dyspozycyi, jak również z wartością moralną tych klas społecznych, z którymi instytucya będzie miała do czynienia.

Należy się też spodziewać, że i w Cesarstwie, i u nas, silna i rozumna organizacya kredytu melioracyjnego i odpowiedni wybór ludzi zdolnych, prawych i energicznych, zdołają zapewnić powodzenie instytucyi; a gdyby praktyka wykazała jakie braki lub niedokładności, czy to w samej organizacyi kredytu, czy w praktycznem jej zastosowaniu, to one będą mogły być usunięte dopełnieniami przepisów, w drodze prawodawczej wydanemi.

Oprócz jednak trudności i względów, do odpowiedniego zorganizowania kredytu melioracyjnego odnoszących się, istnieją jeszcze, zdaniem naszym, i w Cesarstwie, i w Królestwie Polskiem, dwie kardynalne przeszkody, które w drodze prawodawczej muszą być usunięte.

Pierwszą z nich jest istnienie tak nazwanych szachownic, czyli pomieszanie pojedynczych części gruntów folwarcznych z grantami

włościańskimi. Usunięcie przeto tego antyekonomicznego stosunku w drodze prawodawczej przez odnośną kommasację gruntów folwarcznych i włościańskich, na żądanie każdej ze stron, zdaje się być bezwątkową koniecznością. Drugą znowu przeszkodą jest brak wyraźnego i jasnego prawa wodnego, któreby wyrzekło, że każdy właściciel niżej położonego gruntu obowiązany jest przyjąć wodę z gruntu wyżej położonego spływającą, i które-by skutecznie zapobiegło wszelkiej pod tym względem opozycji wszędzie tam, gdzie urząd melioracyjny odprowadzenie wody z gruntów wyżej położonych przez grunta niżej położone uzna za konieczne.

Należy się spodziewać, że kwestya usunięcia tych dwóch przeszkód, tak ściśle z pojęciem melioracyi związanych i stosowanie jej warunkujących, stanowić będzie integralną część ostatecznie wykończonego projektu do prawa.

Oдноśnie do kwestyi organizacyi kredytu melioracyjnego dla podźwignięcia rolnictwa w naszym kraju, następujące pytania domagają się odpowiedzi. Wiadomem jest, że komisya, o której mówimy, zaprojektowała, aby kredyt melioracyjny, zorganizowany wedle przyjętych przez nią zasad, zastosowanym został na początek i sposobem próby w dwóch guberniach, posiadających ziemstwa.

Otóż stawia się pytanie:

1) Czy wobec takiego zamierzenia komisyi kraj nasz nie mógłby stać się od razu również przedmiotem owej próby, nie czekając na rezultat osiągnąć się mogący w owych dwóch guberniach, który, wobec różnych ekonomicznych warunków bytu, dla tutejszego kraju nie mógłby mieć znaczenia.

2) Czy przez wciągnięcie władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego do organizacyi kredytu melioracyjnego, przy dobrej ich woli, nie dała-by się skutecznie zapełnić istniejąca u nas luka z powodu braku instytucyi ziemstw, i

3) Czy kraj nasz, pod względem przyrodzonego stanu swych ziem i swych urzędzeń administracyjnych oraz stosunków prawnych, przedstawia się jako wdzięczny do melioracyi przedmiot.

ad 1-um. Mniemamy, że rozumnie obmyślany, zgodny z zasadami przez komisję ostatecznie przyjętymi i uwzględniający stosunki miejscowe projekt organizacyi kredytu melioracyjnego, znalazł-by w sferach decydujących życzliwe uznanie i poparcie. Prognoza taka zdaje nam się i tym jeszcze względem usprawiedliwioną, że nawet gdyby dobrodziejstwo kredytu państwowego z tych lub innych powodów było nam odmówione, to nie można wątpić, że wobec przywileju pierwszeństwa, jakie-by miały raty zwrotne kredytu melioracyjnego nawet przed ratami Towarzystwa kredytowego, znalazły-by się niezawodnie

kapitały prywatne, które-by się chętnie lokowały w obligacjach melioracyjnych, zwłaszcza, gdyby one nieco wyższy niż listy zastawne przynosiły procent. Prognozę tę naszą tym jeszcze popieramy względem, że niema na świecie cywilizowanego państwa, które-by nie chciało przyczynić się do podniesienia produkcji dobrobytu i wzmocnienia siły podatkowej danej swej prowincyi, skoro idzie tylko o zastosowanie do niej zasadniczych i dla całości państwa już przyjętych urządzeń. Pełnem zasługi będzie też rozumne wywiązanie się z zadania delegacyi wyznaczonej z łona sekcyi przemysłowo-rolnej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania ruskiego handlu i przemysłu, której na ostatnim styczniowym posiedzeniu rzeczony sekcji poruczonem zostało zadanie dokładnego zbadania stosunków, do kwestyi kredytu melioracyjnego odnoszących się, oraz zaprojektowania organizacyi tego kredytu, skoro zasadnicze prawo dla Cesarstwa uzyska Najwyższe zatwierdzenie.

ad 2-dum. Co do udziału, jakiby Towarzystwo kredytowe ziemskie w organizacyi kredytu melioracyjnego przyjąć mogło, nie da się zaprzeczyć, że ono z samej natury swych zajęć więcej-by się do tego udziału nadawało, niż każde ziemstwo, i więcej-by przedstawiało warunków i swego uzdolnienia, i trzeźwego ocenienia stosunków miejscowych. Władze Towarzystwa rekrutują się z osobistości wyłącznie do klasy rolników należących, mają w swem zawiadywaniu przeszło 9,000 majątków ziemskich na przestrzeni całego kraju rozrzuconych, są w posiadaniu operatów taksowych w tych majątkach, sformowanych na podstawie racjonalnie pojętej i przeprowadzonej klasyfikacyi ziemi, a na zasadzie tej znajomości, mogą trafnie wnioskować, czy, gdzie i z jakim skutkiem można-by projektowaną melioracyę przedsięwziąć, celem wzmocnienia urodzajności ziemi. Mając tak znaczny do dyspozycyi kapitał wiedzy, Towarzystwo jest nadto wierzycielem największej liczby majątków ziemskich. Wobec więc przywileju pierwszeństwa, kredytowi melioracyjnemu nawet przed pożyczką Towarzystwa przyznanego, względ na bezpieczeństwo swych własnych wierzytelności przedstawiał-by dostateczną gwarancyę trzeźwego zdania odnośnie do majątków, kredytu melioracyjnego żądających.

ad 3 tłum. Ziemie nasze w niewielkich stosunkowo przestrzeniach, jakby oazy, w guberniach Warszawskiej, Płockiej, Suwalskiej, Kieleckiej i Lubelskiej położone (okolice Radziejowa, Kutna, Przasnysza, Kalwaryi, Proszowic i Hrubieszowa), są doskonałe i, oprócz racjonalnej gospodarki, żadnej gruntowej melioracyi nie potrzebują. Wszystkie inne, a stosunek ich do pierwszych można-by oznaczyć w przybliżeniu na jakie 90%, są mniej więcej wadliwe, albo z powodu nieprzepuszczalnego podłoża sprawiającego tak nazwaną sapowatość, albo wsku-

tek zupełnego zabagnienia, albo wskutek braku wilgoci, albo wreszcie wskutek ich wadliwego mechanicznego składu. Wedle rachunku p. Blocha, samych bagien, domagających się osuszenia i przeistoczenia na łąki, mamy w kraju przeszło 140,000 desiatyn. Mamy również znaczne przestrzenie porozrzucanych po kraju lotnych piasków, zasypujących urodzajne sąsiedzkie ziemie, które należało-by jak najspieszniej zadrzewić. Kraj ten przeto przedstawia się pod każdym względem, jakby umyślnie stworzonym do przeprowadzenia w nim skutecznych melioracji gruntowych. Co zaś do urządzeń administracyjnych i sądowniczych, organizacja ich nic nie pozostawia do życzenia. Powiaty i gminy są stosunkowo bardzo małe; mamy więc organa administracyjne i policyjne, powołane do wykonywania nadzoru i kontroli, oraz organa sądowe, stojące na straży wymiaru sprawiedliwości.

Poważniejszą może od wszelkich innych trudności w uorganizowaniu w naszym kraju kredytu melioracyjnego dopatrujemy w charakterze naszego własnego społeczeństwa. Rozgoryczeni różnemi niepowodzeniami, mamy silną skłonność do pesymizmu, do uogólniania usterek, popełnionych przez indywiduala, i mierzenia nimi wartości całej klasy społeczeństwa, do której indywiduala te należą. Społeczeństwo nasze w ogólności posiada sporą dozę ogólnej encyklopedycznej wiedzy, ale fachowego wykształcenia mało. Najmniej tego fachowego wykształcenia spotyka się w społeczeństwie rolników, nawet w ich własnym zawodzie rolniczym. A jednak, zdaje nam się, że ogólne encyklopedyczne wykształcenie, przy dobrej woli, wszystkiemu poddało. Nie mając—jak się to samo z siebie rozumie—pojęcia o handlu, a wyzyskiwani na polu handlu zbożowego, porwaliśmy się do zakładania t. zw. „domów zleceń”, które wszystkie upadły wskutek braku wiedzy, doświadczenia ze strony gerentów i nieterminowości ze strony klientów. Taki sam los spotkał i inne, późniejsze, racjonalnie pomyslane, drobniejsze przedsięwzięcia, zawsze wskutek braku wiedzy lub lekkomyślności gerenta, któremu powierzono zaprzepaszczone kapitały. Jak we wszystkich innych klasach społecznych, tak samo i w kole rolników zdarzają się niekiedy pojedyncze, niekoniecznie z pojęciami o sumienności i honorowości liczące czyny, np. umyślne dewastacye na przymusową sprzedaż wystawionych majątków i t. p. Wobec tych wszystkich faktów wyrodziło się w umyśle pewnych poważanych sfer społecznych przekonanie, że w klasie rolników samych niema ani dosyć wiedzy, ani charakteru i sumienności, aby za ich pomocą można jakakolwiek zbiorową a poważną przeprowadzić pracę, w społeczeństwie zaś naszym niema dosyć uczonych agronomów i fachowo wykształconych kulturalnych inżynierów oraz uzdolnionych wykonawców, aby melioracye grun-

towe, uskuteczniane na większą skalę za pomocą kredytu, mogły przynieść odpowiednie założeniu korzyści.

Jest w tem twierdzeniu niezawodnie odrobina prawdy, ale ogrom przesady i pesymizmu. Społeczeństwo nasze ziemiańskie przez całe wieki pogardzało miarą i wagą. Przesąd ten ustał wprawdzie, ale pozostała zupełna nieumiejętność nauki handlu; nie można się więc dziwić, że pierwsze kroki na tem polu przez nas stawiane były usiłowaniami dziecka, uczącego się dopiero chodzić. Rozumnej ofiarności jednego z zasłużonych obywateli tego kraju zawdzięczamy szkołę handlową, w której się kształci młodzież ziemiańskiego i niezemiańskiego pochodzenia. Powstał cały szereg poważnych instytucyi, jak Bank handlowy, dyskontowy, warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia, filia Towarzystwa „Jakor”, Towarzystwo wzajemnego kredytu, Towarzystwo kredytowe miejskie i Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży wódki. Wszystkie pracują uczciwie i z powodzeniem przy pomocy sił wyłącznie krajowych, najliczniej przez młodzież do stanu ziemian należącą reprezentowanych, a setki jeszcze uzdolnionych aspirantów napróżno szukają w nich zajęcia. I w innych specjalnościach czysto przemysłowo-technicznych zawodów mamy dosyć ludzi zdolnych, wykształconych w krajowych lub zagranicznych specjalnych zakładach naukowych. Zajmują oni i naczelne, i podrzędniejsze stanowiska we wszystkich naszych fabrykach i zakładach przemysłowych, a ci, którzy nie znajdują zajęcia w kraju, czy to wskutek braku z naszej strony przedsiębiorczości, czy też z innych powodów, szukają chleba za granicą, a nawet za oceanem, i wielu z nich potrafiło po-za krajem zdobyć sobie zaszczytne stanowiska o najrozmaitszych kierunkach pracy społecznej. Brak nam niezawodnie dostatecznej ilości doświadczonych inżynierów kulturalnych i wykonawców robót melioracyjnych, bo niema dotąd dostatecznego w tym kierunku zapotrzebowania. Na pierwszą chwilę brak ten dalby się łatwo dopełnić siłami, jakie są do dyspozycyi w Galicyi, na Śląsku i w księstwie Poznańskim. Mówimy na pierwszą chwilę, bo, wobec zapotrzebowania, krajowcy rychło-by zapełnili istniejącą lukę. Nie możemy się zgodzić na zasadę, że takie tylko przedsiębiorstwa mogą mieć u nas szansę powodzenia, dla których prowadzenia istnieje już dostateczny zastęp uzdolnionych i gotowych pracowników. Ludzie bowiem potrzebujący pracować i zarabiać kształcą się i dostrajają do potrzeb już istniejących, a nie do tych, jakie dopiero w przyszłości mogą się otworzyć. Co do faktów wreszcie, mających świadczyć o znizeniu się poziomu moralności w klasie naszych ziemian, to nie należy spuszczać z uwagi prawdy, że bieda była, jest i zawsze będzie złym doradcą. Jest to prawo, stwierdzone statystyką wszystkich społeczeństw na świecie. Zdarzają się niezawodnie i u nas

przykłady upadku moralnego. Być może, że jest obecnie mniej Kato-
nów niż było dawniej, kiedy dobrobyt był ogólniejszy; ale ogół jest
zdrowy. Na dowód tego twierdzenia wystarczy przytoczenie jednego
tylko faktu, zaczerpniętego z urzędowych danych Towarzystwa kredy-
towego ziemskiego. Wiemy, jak gwałtowna jest potrzeba możliwie wy-
sokiego a stosunkowo taniego kredytu, i również wiadomem jest, że
przy przyznawaniu pożyczek Towarzystwo obowiązane jest kierować
się dwoma względami, t. j. taksą dóbr i wysokością opłacanego z dóbr
podatku gruntowego. Jeżeli taksa pozwala na przyznanie pożyczki
50,000 rubli, a podatek gruntowy pomnożony przez 80 wykaże cyfrę
30,000 rs., to pożyczka może być przyznana tylko w tej ostatniej
cyfrze, i vice versa: jeśli podatek gruntowy pomnożony przez 80 wy-
każe cyfrę 50,000 rs., a taksa pozwoli na pożyczkę 30,000 rs., to znowu
pożyczka przyznaje się tylko w cyfrze 30,000 rs. Nic więc łatwiej-
szego, jak wszędzie tam, gdzie podatek gruntowy pozwala na przyznanie
wyższej pożyczki, dociągnąć takse do wysokości, na jaką pozwala
ów podatek. Że w tym kierunku musiały być czynione usiłowania
przez zainteresowanych właścicieli dóbr, nie może być wątpliwości.
A jednak faktem jest, że na 5,822 dóbr przeszłych przez takse z 1884
roku, 2,111 czyli 36.3% nie otrzymało pożyczki, na jaką pozwalał
podatek gruntowy, bo szacunek taksowy, przez delegację taksową wy-
prowadzony, temu się sprzeciwił. Jest to niezawodnie dowód wielkiej
i uznania godnej sumiennosci i charakteru ogółu naszych rolników.

Nadużycia wszędzie się zdarzają i zdarzać muszą; dowód tego,
właśnie przy stosowaniu kredytu melioracyjnego, przedstawia dojrzałe
i oświecone społeczeństwo angielskie. Na str. 20 i 21 przywiedzionej
już pracy p. Blocha „Kredyt melioracyjny” znajdujemy wiadomość,
że w Anglii istnieje przez potrzebę wywołane prawo, że jeżeli kto urzę-
dowi melioracyjnemu udzieli fałszywych informacji i podpisze je, odpo-
wiada przed sądem za popełnienie występku, a w Szkocyi postępek
taki uważanym jest za zbrodnię (crime).

Rozpatrwszy w ten sposób ze wszech stron stosunki krajowe,
związek z organizacją kredytu melioracyjnego mające, przychodzimy
do konkluzji, że kraj nasz posiada pod każdym względem konieczne
warunki do zorganizowania i zastosowania tego kredytu. Melioracje
gruntowe, rozumnie zaprojektowane, sumiennie wykonane i troskliwie
pielęgnowane, uważamy za jeden z najdzielniejszych środków nie tylko
ratowania upadającej własności ziemskiej, ale i — co ważniejsza —
podniesienia ogólnej kultury ziemi, jej nędznej przeciętnej urodzaj-
ności, a tem sumem i podniesienia bogactwa krajowego. Tak patrząc
na tę sprawę, jesteśmy zdania, że obawy naszych pessimistów są nie-
tylko płonne, ale nawet wielce szkodliwe.

III.

Przystępując wreszcie do trzeciego zaleconego środka, mającego podźwignąć upadającą własność ziemską i rolnictwo krajowe, t. j. do zaopatrzenia rolników w tani i łatwo dostępny kredyt na kapitał obrotowy, uważamy za właściwe rozbiór tej kwestyi poprzedzić niektórymi uwagami.

Już w pierwszej części naszej pracy staraliśmy się udowodnić, że w obecnem trudnem położeniu własności ziemskiej, z trzech rodzajów kredytu, jakich rolnik może potrzebować, t. j. kredytu na kapitał zakładowy, melioracyjny vel nakładowy i obrotowy, pierwszy z nich, t. j. kredyt na kapitał zakładowy, w dwóch tylko warunkach może być wielce użytecznym i pożądanym, a mianowicie:

1) kredyt Towarzystwa kredytowego ziemskiego umarzający się, który można w pewnym szeregu lat dochodami z majątku spłacić, i

2) kredyt po-za Towarzystwem kredytowem, możliwie tani i na dłuższy przeciąg czasu udzielony, jeżeli za pomocą onego właściciel, przeciążony drogiemi i wymagalnemi długami, może się doczekać warunków likwidacyi korzystniejszych od tych, w jakich się chwilowo znajduje.

O względnej wartości kredytu melioracyjnego wypowiedzieliśmy już nasze zdanie w II części tej pracy.

Kredyt na kapitał obrotowy jest forszusem, danym na konieczne koszta produkcji płodów rolniczych, wytwarzanych w ciągu jednorocznego cyklu gospodarstwa wiejskiego, jak np. koszta administracyi majątku w najszerszem tego wyrazu znaczeniu, a więc koszta utrzymania służby, zapłaty najmu, koszta opłaty podatków, składek gminnych, koszta lecznicze, koszta kupna żelaza, soli, koszta utrzymania domu właściciela, a nawet koszta kupna bydła na tuczenie, lub produktów na przerób przeznaczonych. Samo z siebie się rozumie, że im gospodarstwo jest bardziej rozwinięte w różnych kierunkach produkcji, im więcej wkracza w dziedzinę przemysłu, przerabiającego produkta surowe na produkta cenniejsze, tem potrzeba kredytu na kapitał obrotowy będzie większą, a przy rozumnem onego użyciu, im on będzie tańszym, tem obfitszym będzie czysty dochód, z gospodarstwa osiągany.

Zakredytowany kapitał obrotowy znaleźć się powinien w całości w znacznym dochodzie brutto z majątku i powinien też być w ciągu roku gospodarskiego zwróconym. Bez względu na kwestyę, czy on jest osobistym, czy zabezpieczonym hipotecznie, ma on tę ogromną wyższość nad kredytem używanym na kapitał zakładowy, że nie stanowi długu stałego, obciążającego ziemię, że nie potrzebuje być spłaconym

ani obcemi kapitałami, ani czystemi dochodami, osiąganemi z majątku, ale obciąża jedynie produkcję roczną rolnika i w jej sprzedażnej wartości znaleźć się też powinien. Dla rolnika przeto, słabo lub mocno odłużonego i nieposiadającego własnego kapitału obrotowego, jest on prawdziwym dobrodziejstwem, bo pozwala we właściwym terminie opłacić stałe ciężary gruntowe, służbę folwarczną i najem, we właściwym czasie uprawić ziemię, omłócić zboże, zasiać i sprzątnąć, a nawet dokupić po potrzebnego i lepszego zboża do siewu, kartofli na przerób w gorzelnii i wreszcie uwalnia od konieczności sprzedawania zboża na piu stojącego, lub spiesznej i forsownej młocki onego i sprzedaży w najniekorzystniejszych chwilach handlu zbożowego.

Jeżeli kredyt na kapitał obrotowy jest dobrodziejstwem dla każdego rolnika, nieposiadającego własnych pieniężnych zasobów, to dla rolnika mocno odłużonego, z dopiero co przywiedzionych względów, posiadanie onego stanowi kwestyę bytu.

Tę bardzo liczną klasę naszych rolników mając też przedewszystkiem na względzie, zwracamy ich uwagę na ciężki błąd, jaki zwykle popełniamy. Błędem tym jest lekkomyślność, z jaką zdobywszy sobie często z wielkimi ofiarami kredyt na kapitał obrotowy, obracamy go na zaspokojenie innych pilnych potrzeb, zapominając, że, odwracając go od właściwego przeznaczenia, ponosimy zwykle straty cięższe od tych, jakiebysmy ponieśli, nie zaspokoiwszy chwilowo onych pilnych potrzeb, i że straty te przeważają często szalę na stronę zupełnej ruiny gospodarstwa i bankructwa.

Jakie są u nas instytucye udzielające rolnikom kredytu na kapitał obrotowy? Od czasu reorganizacji byłego Banku polskiego, za jedyną poważną instytucyę kredyt takiego udzielać mającą, uważać można warszawskie T-wo wzajemnego kredytu. Dla rolników na głębokiej mieszkających prowincyi nie jest ona łatwo dostępną. Aby w niej uzyskać kredyt osobisty, trzeba przejść przez cenzurę komitetu wyborczego, który bada ściśle stan majątkowy i wartość moralną kandydata, trzeba złożyć w gotowiznie 10% przyznanego sobie kredytu, a nadto trzeba mieć zyranta akredytowanego w Towarzystwie i podpisującego weksel z solidarną za dług odpowiedzialnością: każdy zaś z dwóch akredytowanych członków, podpisujący jeden i ten sam weksel, wyczerpuje swój kredyt o całkowitą na wekslu wyrażoną sumę. Obok kredytu osobistego wekslowego, T-wo, o ile na to pozwalają jego fundusze, udziela również pożyczki na sola weksle, t. j. za jednym podpisem, przy równoczesnej gwarancyi hipotecznej. Czyni to jednak z wielką oględnością i niechętnie z powodu strat jakie przy przymusowej sprzedaży majątków poniósł, wskutek nadmiernego zwiększenia się wierzytelności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pierwszeń-

stwo hipoteczne przed niem mającego, wierzytelności, powstałych z zaległych rat i przyznanych szerokich ulg. Pomimo wszystkich tych utrudnień i formalności, Towarzystwo wzajemnego kredytu, zawsze trudność położenia swego dłużnika możliwie uwzględniające, jest jednak dotąd poważną Instytucją, która na warunkach możliwych zaopatruje rolników w kredyt na kapitał obrotowy. Jeszcze przed rokiem była nadzieja, a nawet prawie pewność, że Bank Państwa będzie udzielał właścicielom dóbr tego kraju taniego kredytu na kapitał obrotowy na solaweksle, przy równoczesnem zabezpieczeniu hipotecznem, mieszczącym się w 70% szacunku taksowego T-wa Kred. Ziemskiego. Kredyt taki, wobec ogólnego zbyt wysokiego hipotecznego odłuzenia majątków ziemskich, nie byłby dla najpożrebniejszych dostępny. Byłby jednak, dla zamożniejszych rolników i dla rolnictwa krajowego wogólności wielkiem, prawdziwem dobrodziejstwem, a z czasem, możeby można było wyjednać pewne modyfikacye zasady, a mianowicie uzyskać kredyt na weksle z dwoma podpisami bez gwarancyi hipotecznej, jaki się praktykował w byłym Banku polskim. Nadzieje te jednak pomocy ze strony Banku państwa zawiodły, a zawód ten zawdzięczamy i w tym wypadku znowu rozpowszechniającym się dewastacyom majątków i przysądzaniu ich na własność T-wu Kredytowemu Ziemiemu za nieumorzoną część pożyczki. Wobec tych faktów bowiem odnośnie władze miejscowe wynurzyły opinię, że gwarancya hipoteczna na majątkach ziemskich w Król. Polskiem, zamykająca się nawet w cyfrze 70% szacunku taksowego T-wa, nie przedstawia dostatecznego dla kredytu Banku bezpieczeństwa.

Wobec takiego stanu rzeczy u nas i w ogólności wobec faktu, że rolnik produkuje najrzeczywistsze i najniezbędniejsze dla zaspokojenia potrzeb ludzkich wartości, nie możemy nie dotknąć tu pytania, dlaczego rolnik ten, nie tylko u nas, ale na całym obszarze cywilizowanego świata, jest stanowczo upośledzony w prawie posiłkowania się kredytem wogólności, dlaczego za kredyt na kapitał zakładowy opłacać musi odsetki wyższe od tych, jakie ziemia przeciętnie przynosi od kapitału przedstawiającego sprzedażną jej wartość, i dlaczego w zasadzie pozbawiony jest koniecznego i taniego kredytu osobistego na kapitał obrotowy, jakiego używa kupiec lub przemysłowiec? Odpowiedź na te pytania zdaje się być łatwą i jasną. Większa lub mniejsza obfitość kapitałów, szukających oprocentowania i bezpiecznej lokacyi, zależną jest od całego szeregu najrozmaitszych przyczyn i czynników łącznie działających, których tutaj specjalizować niepodobna. Jest ona faktem, z którym się targować niemożna i do którego układają się też z konieczności wszelkie przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe i rolnicze. Każde z nich o tyle będzie racjonalne, o ile czysty dochód, z nich osiąga-

ny, będzie wyższy, a przynajmniej nie niższy, od procentu za kapitał opłaconego, bez względu na to czy przedsiębiorstwo własnym, czy pożyczonym prowadzone jest kapitałem. Cena ziemi też, tak u nas, jak i za granicą, do tych dwóch układała się współczynników. Społeczeństwo nasze było zawsze ubogie w zaoszczędzone i rozrządalne kapitały, które z natury rzeczy szukały i znajdowały wysokie oprocentowanie. Stopa procentowa od kapitału była wysoka, ale i gospodarstwo rolne, nawet w bardzo średniej kulturze bytujące, wskutek wysokich cen produktów rolniczych, odpowiednio do ceny kapitału przynosiły dochody, które przez poprawę gospodarstwa i zwiększenie produkcji mogły się jeszcze powiększyć. Cena ziemi ułożyła się też do tych warunków gdy tymczasem raptowny i gwałtowny upadek cen produktów rolniczych zniszczył tę równowagę. Wprawdzie i cena kapitału z innych powodów także się zniżyła, ale niżenie to jest mniejsze niż niżenie, cen zboża, a nadto, jak to już wyżej wykazano, znikło zaufanie do bezpieczeństwa hipotek ziemskich.

Co zaś do niedostępności dla rolnika kredytu na kapitał obrotowy, to nie należy spuszczać z uwagi, że ruchomości, jakie posiada rolnik, jak np. zboże, przeznaczone na siew, ordynarye i obroki, pasza, inwentarze robocze i maszyny, oraz narzędzia rolnicze, mają tak ścisły związek z organizacją gospodarstwa rolnego i tak dalece warunkują możliwość dalszej normalnej eksploatacji ziemi, że prawo uznało je za nieruchomości z przeznaczenia i że tylko łącznie z ziemią mogą być przyaresztowane i przymusowo sprzedane. U nas pojęcie nieruchomości z przeznaczenia, art. 524 kodeksu Napoleona omówione, o wiele jeszcze zostało rozszerzone postanowieniem Namiestnika Królewskiego z dnia 8 lipca 1823 r. i art. 973 ustawy postępowania cywilnego, w związku z niem będącego. Wobec takiej nietykalności głównych wartości ruchomych, przez rolnika posiadanych, a nadto wobec pierwszeństwa, jakie mają należności uprzywilejowane na tych ruchomościach, które nie podpadają pod pojęcie nieruchomości z przeznaczenia, odpowiedzialność rolnika za kredyt osobisty, udzielony na kapitał obrotowy, zwłaszcza przy zlej jego woli, redukuje się do zera.

Nad rozwiązaniem tej zawilej kwestyi łamią sobie głowy najznakomitsi prawnicy i ekonomiści. Nie wchodząc w nią in merito, sądziemy się być w prawie postawić prognozę, że albo będzie ona rozwiązana w ten lub inny sposób, albo przeważy zdanie, wypowiedziane przed kilku laty w izbach berlińskich, że upadek rolników jest dla państwa obojętnym, gdyż majątki nie zaginą chociaż zmienią swych właścicieli. Pomijając bezwzględność tego zdania i kwestye ekonomiczne, przez jakie w tym ostatnim wypadku własność ziemska musiałaby przechodzić, rezultat ostateczny byłby ten, że w siedzibach swoich ci tylko rolnicy

zdołali-by się utrzymać, którzy, nie mając żadnych długów i posiadając swój własny kapitał obrotowy, mogli-by się zadawałniać bardzo niskim od wartości posiadanego majątku procentem.

Do bardzo niedawnego czasu posiadanie majątku ziemskiego przedstawiało dwie nader pojętne korzyści. Pierwszą z nich była korzyść moralna, dająca wielce cenioną pozycję społeczną; drugą znów korzyść materyalna, streszczająca się w wygodnym i dostatnim życiu, bez wielkiego wysiłku umiejętnej pracy. W przyszłości korzyść moralna, w stanowisku społecznym leżąca, pozostanie a nawet się spotęguje; ale korzyści materyalne te tylko gospodarstwa będą mogły osiągać, które będą w posiadaniu rolnika wykształconego w kierunku rolniczym, chowu i tuczenia inwentarzy, handlowym i przemysłowym, a przytem pracowitego, obrotnego i dysponującego potrzebnym kapitałem obrotowym. Era życia swobodnego i wygodnego dla rolników, nie posiadających tych wszystkich przymiotów i środków, zdaje się stanowczo zamknięta, z wyjątkiem małej garstki panów, posiadających znaczne obszary niezadłużonej ziemi i nie żyjących nad stan.

Zanim jednak ogólna kwestya kredytu rolnego będzie w jakikolwiek bądź sposób w zasadzie rozstrzygnięta, pojedyncze grupy rolników w innych krajach starają się zadosyć uczynić potrzeby kredytu rolnego na kapitał obrotowy. Nie mówiąc już o Bankach szkockich i Bankach Reifeisena dla małych gospodarstw rolnych, Landszafta szląska otwiera dla swych członków kredyt wekslowy na kapitał obrotowy do wysokości przez każdego stowarzyszonego umorzonej już pożyczki. Pojętny ten przykład jednak z dwóch przyczyn nie może u nas znaleźć zastosowania. Pierwszą z nich jest ta, że Landszafta szląska posiada zapewne swobodne fundusze, któremi może w tym kierunku rozrządzać, a T-wo nasze wszystkie swoje oszczędności i rozporządzalne fundusze zużytkowało na pokrycie kosztów przeprowadzającej się konwersyi swych 5% listów waluty $4\frac{1}{2}\%$. Wypłacane przez stowarzyszonych składki na umorzenie, łącznie z ratami na pokrycie kuponu, nie zostają w kasach Towarzystwa, ale co pół roku obracane są na umorzenie i wycofanie z kursu odpowiedniej sumy listów zastawnych, a kapitał rezerwowy Towarzystwa ma swoje ustawowe przeznaczenie, od którego odwrócić go nie wolno. Przez parę, a nawet przez kilka lat jeszcze, Tow. niebędzie miało żadnych swobodnych kapitałów na cele krótkoterminowych pożyczek użyć się mogących. Druga przyczyna niemożności naśladowania Landszaftu szląskiej leży w tem, że w Państwie pruskiem hipoteka jest nieruchoma, że wierzyciel hipoteczny pozostaje zawsze na tym numerze hipotecznym i w takim stosunku do pożyczki wyżej hipotecznie zabezpieczonej, jaki istniał w chwili kiedy swój kapitał wypożyczał. P ostępujące przeto stopniowe umarzanie pożyczki przez Landszaftę

udzielonej, jest dla właściciela majątku rodzajem skarbonki, w której on swoje składa oszczędności, do których niżej lokowany wierzyciel żadnego nie ma prawa. Szląski właściciel majątku przeto może te swoje oszczędności oddać w zastaw, a Landszafta może się tym zastawem zadowolnić. U nas inaczej: hipoteka jest ruchomą i oswobodzone miejsce przez wypłatę wyżej lokowanej wierzytelności zajmuje następny z kolei wierzyciel, jeżeli więc po Towarzystwie zapisane są inne wierzytelności, umarzającą się częścią pożyczki Towarzystwa właściciel rozporządzać nie może i Towarzystwo nie może jej przyjąć w zastaw.

Ciekawemi i godnemi naśladowania są usiłowania Rumunów celem zaopatrzenia rolników w tani kredyt na kapitał obrotowy. Tamtejszy minister, p. Germani, przedstawił izbie deputowanych projekt utworzenia akcyjnego banku dla rolników. Zadaniem tego Banku, ma być, — oprócz pośredniczenia rolnikom we wszystkich kupnach i sprzedażach — wypożyczanie im pieniędzy na kapitał obrotowy, na zastaw nieruchomości, nie będących nieruchomościami z przeznaczenia, jak n. p. na bydło opasowe lub zbywające od potrzeb gospodarskich, konie wyjazdowe, uprząż dla nich, ekwipaże, meble domowe i t. p. Rozumie się samo z siebie, że Bank ów ma mieć dwojaki przywilej: pierwszy ten, że zastaw przedmiotów, Bankowi oddanych, uważać się ma za ważny, chociaż Bank nie będzie w faktycznem ich posiadaniu, i drugi, że Bankowi ma być wolno wypuszczać obligacye do wysokości swego wpłaconego kapitału akcyjnego, a to celem umożliwienia udzielania pożyczek rolnikom na niski procent, a równocześnie zapewnienia akcyonaryuszom przyzwoitej dywidendy. Sam akt pożyczki i wymienionych w nim przedmiotów, w zastaw oddanych, spisuje się w dwóch egzemplarzach, z których jeden składa się w trybunale powiatu, a drugi u naczelnika gminy, gdzie każdy może zasięgnąć informacji: czy, jaka i na jakich przedmiotach ciąży pożyczka bankowa. Za usunięcie w ten sposób zastawionych Bankowi przedmiotów prawo grozi taką samą karą, jak za nadużycie zaufania. Wreszcie, celem uszanowania praw, nabytych przez osoby trzecie, projekt do prawa przyznaje pierwszeństwo należności za ratę dzierżawną i za procenta od sum przed datą zastawu zahypotekowanych, ale tylko za jednoroczną należność. Na takich podstawach stworzona instytucja i takimi opatrzona przywilejami i gwarancjami, odda, jak to przewiduje minister Germani, doniosłe usługi rolnictwu, a zarazem zapewni odpowiedni zysk kapitałom na ten cel użytym (¹). Projekt rumuński, w możliwie najkrótszych wyrazach naszkicowany,

¹) Porównaj „Tygodnik kolejowy i ekonomiczny“ z r. b. Nr 17.

zdaje nam się być pełnym i żadnych poważnych nie nastroczającym zarzutów. I tu jednak, jak i co do potrzeby założenia Banku kredytowo-parcelacyjnego, byłoby koniecznem uzyskanie koncesyi rządowej, nadającej Bankowi przywileje, o jakich dopiero była mowa, a nadto bliższe rozpatrzenie się w projekcie rumuńskim, wygotowanie odpowiedniego projektu ustawy, żywe zainteresowanie się gdzie należy, celem uzyskania jej zatwierdzenia, a przede wszystkim znalezienie odpowiednich kapitałów, chętnych do rzucenia się w tego rodzaju lombardową spekulację.

Uwagi powyższe oraz przedstawiona zasadnicza myśl projektu do prawa w Rumunii informują nas, w czem rolników innych społeczeństw naśladować nie możemy, a co było-by u nas godnem zastosowania i możliwem do przeprowadzenia, jeżeli stać nas będzie na dostateczną ilość dobrej woli, przedsiębiorczości i energii. Nie odpowiadają one jednak na gwałtownie domagające się odpowiedzi pytanie: co robić w danej chwili i jak sobie radzić wobec braku lub zaniknięcia tych źródeł kredytu krótkoterminowego na kapitał obrotowy, jakie nam do niedawna stały otworem. Mamy tu na myśli kredyt wekslowy b. Banku polskiego i zaliczenia na zboże, jakich dostarczali guberniom nadgranicznym na umiarkowany procent agencji domów zagranicznych trudniących się handlem zboża. Nie mamy na to innej odpowiedzi jak odwołanie się do naszej własnej, rachującej się z twardą rzeczywistością samopomocy.

Formę tej, łatwej do urzeczywistnienia samopomocy, widzimy w zakładaniu gubernialnych Towarzystw wzajemnego kredytu. Mamy gotową ustawę normalną i ustawę warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, na których wzorować się możemy: o trudnościach, przeto w uzyskaniu zatwierdzenia takich ustaw, nie może być i mowy. Jeden tylko warunek powodzenia jest tu nieodzowny, a mianowicie, abyśmy my, chrześcijanie, umieli wyrobić w sobie to poczucie wspólności interesów i tej solidarności, jakimi się rządzą żydzi, gdy idzie o wspólny ich interes. Jeżeli bowiem w gubernialnem Towarzystwie wzajemnego kredytu wezmą udział sami biedacy, zmuszeni dotąd posiłkować się kredytem lichwiarskim, a możniejsi rolnicy pozostaną biernymi tylko i obojętnymi widzami, całe przedsiębiorstwo spełznąć musi na niczem. Takiemu poczuciu solidarności ze strony ludzi niepotrzebujących kredytu, jak również rozumnej i trzeźwej administracji, zawdzięcza warszawskie Towarzystwo wzajemnego kredytu swoje urodziny i swoje powodzenie. Ludzie ci nie korzystają z kredytu, a odpowiadając wkładem swoim za możliwe straty, przez 15 lat istnienia Towarzystwa nie stracili ani grosza, od wniesionego zaś wkładu pobierają rocznie przynajmniej 7% dywidendy.

Bardzo ważną była-by tu kwestya kosztów administracyi, która musi być bardzo trzeźwo i ściśle prowadzona, a jednak dostosowana do przysłowia: „wedle stawu grobla”. Przy dobrej woli i chętej kontroli Dyrekeyi szczegółowych i ich prezesów, znaleźliby się niezawodnie ludzie zdolni i uczeiwi, przy których pomocy dała-by się urządzić administracya, odpowiadająca zadaniu i dostosowana do rozmiarów przedsiębiorstwa. Pożądaną może będzie ta wiadomość, że w gubernii Lubelskiej znalazło się kilku dobrej woli możniejszych ziemian, którzy kilkudziesięciu braciom po pługu, znanym im ze stanu majątkowego, z pracowitości i sumienności w szanowaniu obowiązujących ich terminów, od szeregu lat żyrują w odpowiednich sumach wystawione przez nich weksle, które warszawskie Towarzystwo wzajemnego kredytu chętnie eskontuje. Dotąd żadnych strat na tej pozornie ryzykownej operacyi nie było. Dlaczego w innych guberniach nie słyhać o niczem podobnem?

Kończąc tę naszą pracę, wiemy dobrze, żeśmy nic nowego nie wypowiedzieli i nie podali żadnej cudownej recepty na zażegnanie niebezpieczeństw, jakie nam zagrażają. Nie mieliśmy też ani takiego zamiaru, ani takich pretensyi. Zamiarem naszym było wskazać, zło które się u nas zagnieździło, które nam przynosi i moralną ujmę, i wielkie materialne szkody, a na które dość obojętnie patrzymy. Opierając się na cyfrach, zapewnie że nie ściśle matematycznie, ale w każdym razie zbliżonych do prawdy, jakie znajdujemy w dwóch cennych pracach p. Płocha, i przedstawiając groźne położenie naszej własności ziemskiej, chcieliśmy zwrócić uwagę naszych ziemian na zalecone nam środki ratunku, które uważamy za rozumne i które, wprowadzone w czyn, mogą uratować wielu z tych ziemian, którzy jeszcze pewne żywotne posiadają sily. Tak patrząc na tę sprawę, staraliśmy się dowieść, że nasze ziemiańskie społeczeństwo w ogóle swoim jest moralnie zdrowe, chcieliśmy pobudzić je do czynu, ożywić w niem osłabione zaufanie w skuteczność samopomocy i ostrzedz zarazem, że rozgoryczenie jest złym doradcą, a jeżeli optymizm peha do uludnych porywów, to pesymizm zabija wszelką energię i jest ojcem zwątpienia i martwoty. Wreszcie, zaapelowaliśmy do uczuć obywatelskich ludzi, zdolnych nieść rozumną, chociażby moralną tylko pomoc, i służyć dobrą radą w ciężkiem położeniu będącym rolnikom; bo mamy to przekonanie, że w kłęskach, mających cechę kłęsk ogólnospołecznych, niesienie takiej pomocy jest nie tylko cnotą, ale i obowiązkiem.

RODZINA POŁANIECKICH. ¹⁾

XIX.

Jesień w ostatnich swych dniach uśmiecha się jeszcze czasem do ludzi, ogromnie smutno, ale zarazem i pogodnie, jak umierająca na suchoty kobieta. W taki pogodny dzień wypadł właśnie pogrzeb Litki. Jest w tem boleść pomieszana z pewną pociechą, że ludzie, którzy zostają, myślą i czują w dalszym ciągu za swoich zmarłych. Połanieckiego, który zajmował się pogrzebem, ów pogodny i smutny dzień przejął jeszcze większym smutkiem, ale, podstawiając się w uczucia Litki, pomysł, że dziecko właśnie-by sobie takiego dnia życzyło — i znalazł w tem pewną ulgę. Aż do tej chwili nie umiał wprost zmierzyć głębi swojego żalu. Taka świadomość przychodzi później, a zaczyna się dopiero wówczas, gdy kochana istota zostaje na cmentarzu, a człowiek wraca sam do pustego domu. Prócz tego, zajęcia pogrzebowe pochłonęły Połanieckiemu wszystek czas. Życie otoczyło sztucznymi formami i trudniło nawet tak prosty akt, jakim jest śmierć. Połaniecki chciał oddać Litce jeszcze tę ostatnią usługę, którą zresztą nie miał się kto zająć. Wszystkie te sprężyny życia, na mocy których człowiek myśli, postanawia i działa, zostały w pani Emilii przez śmierć dziecka pod-

¹⁾ Patrz zeszyt listopadowy „Biblioteki.”

cięte. Wiatr okazał się tym razem zbyt silny na wełnę jagnięcia. Na szczęście jednak, zbyt wielka boleść zabija samą siebie, albowiem odrętwia serce ludzkie. To stało się z panią Emilią. Połaniecki zauważył, że panującym wyrazem jej twarzy i oczu było bezmierne, zastygłe przerażenie. Jak w oczach jej nie było łez, tak w ustach słów, tylko jakiś szept tragiczny i zarazem dziecinny, dowodzący, że myśl jej nie ogarnia nieszczęścia, lecz krąży wokół towarzyszących mu drobiazgów, czepia się ich i otacza je troskliwością taką, jakby dziecko żyło jeszcze. W pokoju, zmienionym w żalobną świetlicę, Litce, uśpionej wśród kwiatów na atlasowej poduszce, nie mogło braknąć niczego; tymczasem zdziecinniałe z bólu serce matki zwracało się ustawicznie do tego, czego dziecku mogło braknąć. Gdy ją probowano oderwać od ciała, nie stawiała oporu, tylko traciła resztę przytomności i poczynała jęczeć, jakby jej zadawano ból nad siły.

Połaniecki i Chwastowski, brat męża, który przybył przed samym pogrzebem, usiłowali ją wyprowadzić w chwili, gdy Litkę przykrywano wiekiem; lecz gdy pani Emilia poczęła wołać małej po imieniu, obydwom nie stało odwagi. Kondukt ruszył wreszcie, wśród pochodni, liczny, ciągnący za sobą ogon karet, poprzedzany przez księży i posępny śpiew, a z miejsca otoczony gromadą ciekawych, którzy w nowożytnych miastach tak pasą oczy ludzką boleścią, jak w starożytnych pasiono je ludzką krwią po cyrkach. Pani Emilia, prowadzona przez brata męża, mając obok siebie Marynię, szła tuż za karawanem, z twarzą suchą i bezduszną. Oczy jej widziały teraz tylko jeden szczegół i myśl zajmowała się nim wyłącznie. Oto zdarzyło się, że jedno pasemko płowych, niezmiernie obfitych włosów Litki zostało na zewnątrz trumny. Pani Emilia, przez całą drogę nie spuszczała z niego oczu, powtarzając co chwila: „O Boże, Boże! przycięli dziecku włosy!”

W Połanieckim żal, zmęczenie, nerwowy rozstrój z powodu bezsenności — zmieniły się w poczucie tak nieznośnego ciężaru, że chwilami chwytala go nieprzewyciężona chęć zawrócić z pół drogi, pójść do siebie, rzucić się na jaką sofę, nie myśleć o niczem, nie chcieć niczego, nie kochać nikogo, nie czuć nic. I jednocześnie ten odruch samolubstwa dziwił go i oburzał przeciw sobie samemu; jednocześnie wiedział, że nie zawróci, że wypije ten kielich aż do dna, pójdzie aż do końca, nie tylko dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że żal za Litką i przywiązanie do niej będą silniejsze od egoizmu. Czuł też teraz doskonale, że wszystkie inne jego uczucia skurczyły się, zwiędły i że dla całego świata ma w sercu, w tej przynajmniej chwili, wielkie nic. Zresztą jego myśli i uczucia wpadły w zupełny bezład, złożony z wrażeń zewnętrznych, uświadamianych bardzo pobieżnie, ze spostrzeżeń czynionych niewiadomo dlaczego i pomieszanych zupełnie mechanicznie

z uczuciem żalu i zmartwienia. Chwilami patrzył na domy, koło których przechodził kondukt, i rozróżniał ich kolory, chwilami wpadał mu w oczy jakiś szyld sklepowy, który odczytywał, nie wiedząc z jakiego powodu to czyni; to znów myślał, że oto księża przestali śpiewać, ale zaraz zaczęła i czekał tego ponownego zerwania się żałobnych głosów, jakby z pewną obawą. Czasem rozumował tak, jak człowiek, który, budząc się ze snu, chce sobie zdać sprawę z rzeczywistości: „To są domy, — mówił sobie — to szyldy, to zapach smoły z pochodni, a tam w górze leży Litka, i idziemy na cmentarz...” I nagle zrywała się w nim fala żalu za tem słodkiem, kochanem dzieckiem, za tą drogą główką, która tyle razy uśmiechała się do niego. Przypominał ją sobie z dawniejszych i z ostatnich czasów; przypominał z Reichenhallu, gdy ją niósł, wracając z Thumsee; a dalej na wsi u Bigielów, i w mieszkaniu pani Emilii, gdy mówiła, że chciała-by być brzošką — i wreszcie, gdy na kilka godzin przed śmiercią prosiła Maryni, by za niego wyszła. Połaniecki nie mówił sobie wprost, że Litka kochała się w nim, jak dorosła kobieta, i że, zaręczając go z Marynią, uczyniła akt ofiary, bo i w rzeczywistości nieświadomione uczucia dziewczynki nie dały-by się może tak ściśle określić; czuł jednak doskonale, że było to coś podobnego i że ofiara miała miejsce, wypłynęła zaś z tego głębokiego i wyjątkowego przywiązania, jakie dziecko dla niego czuło. Ponieważ stratę najdroższych nawet osób odczuwa się przeważnie za pomocą szkody, jaką się osobiście ponosi, więc Połaniecki jał teraz powtarzać sobie: „To była jedyna dusza prawdziwie mnie kochająca! nie mam teraz nikogo na całym świecie...” — I podniósłszy oczy na trumnę, ku temu pasemku płowych włosów, które kołysało się w powietrzu, począł wołać w duszy na Litkę temi wszystkimi tkliwemi wyrazami, któremi przemawiał do niej za życia. Wreszcie uczuł, że łączy duszą go, gdyż to jest wołanie bez echa. Jest coś rozdzierającego w obojętności zmarłych. Gdy istota, która odczuwała każde słowo i każde spojrzenie, staje się obojętną, kochająca lodowatą, bliska w codziennem życiu i najbliższa w sercu — uroczystą i daleką, nic nie pomoże powtarzać sobie: „śmierć! śmierć!”; obok całej boleści, płynącej ze straty, czuje się jeszcze jakby rozdzierający zawód, jakby serdeczną krzywdę, wyrządzoną przez to martwe ciało, które pozostaje głuchem na naszą boleść, nasze wołanie. Połaniecki miał również na dnie duszy uczucie, że Litka, odejmując mu się i idąc w kraj śmierci, wyrządziła mu jakby krzywdę, a przytem z istoty blizkiej stała się daleką, z poufalej uroczystą, — czemś odległym, wysokim, świętem, a zarazem zupełnie obojętnem na rozpacz matki i na głębokie osamotnienie najbliższego przyjaciela. Było w tych uczuciach Połanieckiego wiele egoizmu, ale gdyby nie ów egoizm, który przedewszystkiem własną stratę i własne opusz-

czenie ma na myśli, — ludzie, zwłaszcza wierzący w zagrobowe życie i w zagrobowe szczęście, nie żalowali-by zmarłych.

Kondukt wyszedł wreszcie z miasta na otwartsze, widniejsze przestrzenie, i za rogatką posuwał się wzdłuż cmentarnego muru, przybranego w girlandy żebraków i w girlandy z nieśmiertelników i z choiny, przeznaczone na groby. Szeregi księży w białych komżach, służba pogrzebowa z pochodniami, karawan z trumną i ludzie idący za nim zatrzymali się przed bramą, poczem zdjęto Litkę i Polaniecki, Bukacki, Chwastowski i Bigiel ponieśli ją do grobu ojca.

Ta cisza i pustka, która po każdym pogrzebie czeka dopiero w domu na ludzi wracających od świeżych grobów, zdawała się tym razem poczynać już na cmentarzu. Dzień był pogodny, blade; z drzew tu i owdzie spływały bez szelestu ostatnie pożółkłe liście; orszak pogrzebowy zmalął wśród tych rozległych bladych przestrzeni, które, usiane krzyżami, zdawały się nie mieć końca, jakby naprawdę cmentarz ów otwierał się na nieskończoność. Czarne bezlistne drzewa, o wierzchołkach złożonych z cienkich i jakby roztopionych w świetle gałązek, podobne do widziadeł szare i białe pomniki, zwiędłe liście pokrywające długie i proste aleje, wszystko to razem czyniło istotnie wrażenie jakichś pól elizejskich, pełnych głębokiego spokoju, ale i głębokiej sennej melancholii, jakichś „miejsce zimnych i smutnych”, o których marzyła posępna głowa Cezara i którym miała teraz przybyć jedyna więcej „animula vagula.”

Trumna stanęła wreszcie nad otwartym grobem. Ozwało się rozdzierające: „Requiem aeternam” a następnie: „Anima ejus.” Polaniecki przez chaos swych myśli i wrażeń, oraz przez zasłonę własnego żalu, widział jak we śnie skamieniałą twarz i szklane oczy pani Emilii, łzy Maryni, które go drażniły w tej chwili, blade policzki Bukackiego, z którego rysów widać było wyraźnie, że jego życiowa filozofia, nie mając nic do roboty na tym cmentarzu, opuściła go przed bramą — i trumnę z Litką. Gdy na wieko rzucono garść piasku — on poszedł za przykładem innych, gdy zaś po spuszczeniu na pasach trumny wgląd grobu zamykano kamienne drzwi, znów porwało go coś za gardło, tak, że wszystko, o czem myślał i co uświadamiał dotąd, zmieniło się w jedną nicość. W duszy powtarzał proste słowa: „Do widzenia, Litus!” — które później, gdy je sobie przypominał, wydały mu się również niczem w stosunku do jego męczącej duchowej burzy — i na tem był koniec. Orszak pogrzebowy zaczął się zmniejszać i topnieć. Polanieckiego rozbudził po niej jakim czasie wiatr, który nadciągnął zdala z pomiędzy krzyżów. Przy grobie spostrzegł teraz panią Emilię z Marynią, Bigielową, Waskowskim i stryjem Litki. Powiedział sobie, że wyjdzie ostanni — i czekał, powtarzając znów w duszy słowa: „Do widzenia, Litus!”

— i myśląc o śmierci, o tem, że on także przyjść musi do tego miasta nagrobków, i że to jest ocean, w który spłyną wszystkie myśli, zabiegi, uczucia... Wydało mu się teraz, jakby on i wszyscy, co tam stali przy tym grobie lub odeszli, byli na okręcie, który dąży wprost do przepaści. O życiu pozagrobowym w tej chwili nie myślał.

Tymczasem nadszedł prędki jesienny zmrok. Krzyże stały się jeszcze bledsze. Stary profesor i Chwastowski poprowadzili panią Emilię ku drzwiom cmentarnym bez żadnego z jej strony oporu. Połaniecki powtórzył raz jeszcze: „Do widzenia, dziecinko!” — i wyszedł.

Za bramą pomyślał:

— Szczęściem, że matka nieprzytomna, bo co za straszna myśl, że dziecko zostało tam samo. — Zmarli opuszczają nas, ale i my ich opuszczamy.

Jakoż zdała ujrzała karetę, w której odjeżdżała pani Emilia — i wydało mu się, że taki porządek rzeczy na świecie ma w sobie coś oburzającego.

Sam jednak, wsiadłszy do dorożki, doznał chwili egoistycznej ulgi, płynącej z poczucia, że skończył się jakiś akt męczący i ciężki, po którym nastąpi odpoczynek. Po powrocie, własne mieszkanie wydało mu się czce, bez promyka wesołości, bez otuchy i nadziei; ale gdy przy herbacie wyciągnął się na sofie, ogarnęło go zwierzęce zadowolenie z wypoczynku po trudzie; — uczucie ulgi, a nawet jakby zadowolenie z tego, że pogrzeb skończony i Litka pochowana, ogarnęło go po raz drugi. Przypomniawszy sobie wówczas zdanie jakiegoś myśliciela, „nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych — i ci są ohydni. — Połaniecki wydawał się sobie w tej chwili obrzydliwym.

Wieczorem przypomniał sobie, że trzeba dowiedzieć się jednak o panią Emilię, którą Marynia miała zabrać na kilka tygodni do siebie. Wychodząc, spostrzegł na stole fotografię Litki i ucałował ją. W kwadrans później zadzwonił do Pławickich.

Służący powiedział mu, że pan wyszedł, ale jest, prócz pani Chwastowskiej, profesor Waskowski i ksiądz Chyłak. W saloniku przyjęła go Marynia, źle uczesana, z czerwonymi oczyma, prawie brzydka. Natomiast dawniejszy sposób jej obejścia się z nim zmienił się zupełnie jakby Marynia zapomniawszy o wszystkich urazach wobec rzeczy bardziej nieszczęsnych.

— Emilka jest u mnie, — zaczęła szeptać. — Źle się ma, ale zdaje się, że przynajmniej rozumie, co się do niej mówi. — Jest przy niej profesor Waskowski... On tak z serca mówi... Czy pan chce koniecznie widzieć Emilkę?

— Nie, pani. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się ma i zaraz idę.

— Nie wiem... może ona zechce pana zobaczyć; niech pan chwilę odpocznie, a ja pójdę tam i wspomnę, że pan przyszedł. Litka tak pana kochała, że dla tego samego może Emilce będzie miło widzieć pana.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Marynia odeszła do przyległego pokoju, ale widocznie nie mogła zaraz zacząć rozmowy, Połanieckiego bowiem doszedł przez odemknięte drzwi nie jej głos, lecz głos Waskowskiego, pełen akcentów głębokiego przekonania, a przytem jakby wysilenia, starającego się przebić pancerz nieczułości i boleści.

Stary profesor mówił:

..... To tak, jakby wyszła do drugiego pokoju po zabawkę — i jakby miała zaraz wrócić... Ona nie wróci, ale pani pójdiesz do niej. Moja droga pani, patrz na śmierć nie od strony ziemi, ale od strony Boga. Dziecko żyje i szczęśliwe, bo samo będąc w wieczności, patrzy na to rozłączenie się wasze, jak na jedno mgnienie oka. Litka żyje — mówił dalej z naciskiem — żyje i szczęśliwa. Ona widzi, że pani idziesz ku niej i wyciąga do ciebie ręce, i wie, że za chwilę nadejdiesz, bo ze strony Boga życie i boleść to mniej niż mgnienie oka — a potem wieczność, razem, — z Litką, pomyśl najdroższa pani, — z Litką, w spokoju, w weselu... bez chorób, bez śmierci. Światy miną, a wy będziecie razem.

A Połaniecki pomyślał z goryczą:

— Dobrze-by było, gdyby to było pewne.....

Po chwili zaś:

— Gdybym tak czuł, tobym miał po co tam wchodzić. Inaczej nie!

Jednakże, wbrew tej myśli wszedł, nie czekając nawet na powrót Maryni, bo wydało mu się, że jeśli nie miał powodu, to miał powinność, i że nie wolno mu tchórzzyć przed cudzą boleścią. Egoizm jest „bawelną w uszach od ludzkiego jęku”, a tłómaczy się sam przed sobą, że wielkiej boleści nie można powiedzieć nic takiego, coby ją pocieszyło. Połaniecki rozumiał, że tak jest, i wstyd mu było cofać się wygodnie, zamiast pójść naprzeciw żalowi matki. Wszedłszy, spostrzegł panią Emilię siedzącą na sofce; nad sofką stała lampa, a poniżej palma, która rzucała na tę nieszczęsną głowę cień, jakby olbrzymich rozpostartych nad nią palców. Przy pani Emilii siedział Waskowski i, trzymając ją za ręce, patrzył w jej twarz. Połaniecki odjął mu te ręce i pochyliwszy się ku nim, począł je w milczeniu do ust przyciskać.

Pani Emilia mrugała chwilę oczami, jak ktoś usiłujący obudzić się ze snu, poczem nagle zawołała z niespodziewanym wybuchem:

— Pamięta pan, jak ona....

I porwał ją płacz ogromny, przy którym ściskają się ręce, usta nie mogą tchu złapać i piersi pękają od łkań. W końcu zbrakło jej sił

i zemdląca. Gdy przysłała znów do siebie, Marynia wyprowadziła ją do swego pokoju. Połaniecki wraz z Waskowskim wyszli do przyległego saloniku, gdzie ich zatrzymał Pławicki, który tymczasem wrócił z miasta.

— Taka smutna osoba w domu, — rzekł im — to ogromnie psuje życie; należało-by mi się trochę spokoju i swobody, ale cóż robić, cóż robić! — muszę zejść na drugi plan, i gotów jestem..

Po upływie pół godziny, przysłała na chwilę Marynia z doniesieniem, że pani Emilia położyła się na jej prośby i że jest nieco spokojniejsza. Połaniecki i Waskowski poczęli się żegnać i wyszli.

Szli w gęstej mgle, która nocą wstała od ziemi po dniu pogodnym, przesłaniając ulice i czyniąc koło latarni różnobarwne kręgi. Obaj rozmyślali o Litce, która spędzała pierwszą noc zdala od matki, wśród zmarłych. Połanieckiemu wydało się to wprost straszne, nie dla Litki, ale dla pani Emilii, która musiała o tem myśleć. Rozważał sobie również słowa Waskowskiego, mówione do niej, i w końcu ozwał się:

— Słyszałem, coś pan mówił... Jeśli jej to sprawiło ulgę, to dobrze; ale widzi pan, żeby to był pewnik, to powinniśmy sobie teraz... bo ja wiem?... chyba uczę wyprawie i cieszyć się, że Litka umarła.

— A skąd wiesz, że się nie będziemy cieszyli po śmierci.

— To pan powiedz, skąd wiesz, że tak będzie?

— Ja nie wiem; ja wierzę.

Na to nie było co rzec — więc Połaniecki mówił, jakby do siebie:

— Miłosierdzie, empirejskie światło, wieczność — połączenie — a w rzeczywistości co? trup dziecka na cmentarzu i matka, która wije się z bólu... Niechby śmierć rodzila przynajmniej tę pańską wiarę, ale ona rodzi zwątpienie. Bo panu jednak tego dziecka żal, a mnie jeszcze więcej, i ten żal wprost narzuca mi pytanie: dlaczego ona umarła? po co takie okrucieństwo? Wiem, że to głupie pytania, i że miliardy ludzi je sobie zadawały; ale jeśli to ma być pociecha, to niechże ją piorun trzaśnie! Wiem także, że nie znajdę odpowiedzi, ale dlatego chce mi się zgrzytać i kłąć... Nie rozumiem,—i buntuję się—ot i wszystko. To cały skutek, którego i pan nie możesz uznać za pożądany.

Waskowski odpowiedział również, jakby mówił sam do siebie.

— Chrystus zmartwychwstał, bo był Bogiem, ale jako człowiek i on przeszedł przez śmierć. Cóż ja, lichy robak, mogę innego uczynić, jak wielbić wolę i mądrość bożą w śmierci.

Na to Połaniecki odrzekł:

— Z panem niema co mówić.

— Ślizgo jest, — odrzekł Waskowski — podaj mi rękę.

I wzięwszy Połanieckiego pod ramię, wsparł się na nim i mówił dalej:

— Mój drogi! ty masz poczciwe i kochające serce, ty bardzo kochałeś tę małą, byłbyś wiele dla niej uczynił — nie prawda? — zróbże jeszcze to jedno: wierzysz, czy nie wierzysz, zmów za nią: „wieczny odpoczynek...” Jeśli myślisz, że jej się to na nic nie przyda, powiedz sobie: „więcej jednak nic już dla niej nie mogę, a to jedno, mogę...”

— Daj mi pan spokój! — odpowiedział Połaniecki.

— Jej to może być niepotrzebne, ale jej będzie miła pamięć twoja, ona będzie ci wdzięczna i wyprosi ci łaskę bożą.

Połaniecki wspomniał, jak Waskowski na wieść o ostatnim ataku Litki mówił, że życie dziecka nie może być bezcelowem i że jeśli ono ma umrzeć, to prawdopodobnie przeznaczonem mu jest przed śmiercią coś spełnić. I teraz chciał napaść z tego powodu na Waskowskiego, gdy nagle uderzyła go myśl, że jednak Litka przed śmiercią połączyła go z Marynią.

I mimowoli nasunęło mu się pytanie: „a może ona dlatego żyła?” Lecz w tejże chwili począł się buntować przeciw tej myśli. Chwycił go nagły gniew na Marynię, pełen zawziętości i niemal pogardy.

— Ja nie chcę tamtej za taką cenę — pomyślał, ścisnąwszy zęby. — Nie chcę! Dość sam się przez się namęczyłem. Oddałbym takich dziecięć za jedną Litkę!

A tymczasem Waskowski, drepcząc koło niego, mówił:

— Nie widać nic na krok i kamienie oslizgły od mgły. Żeby nie ty, byłbym się już dawno przewrócił.

A Połaniecki ochłonął i odrzekł:

— Bo widzisz, panie profesorze, kto chodzi po ziemi, musi na dół patrzeć, nie do góry.

— Ty masz dobre nogi, mój kochany.

— I oczy, które widzą jasno, nawet w takiej mgle, jak ta, która nas otacza. Bo my wszyscy żyjemy we mgle, a za nią, licho wie, co jest. Wszystko, coś pan mówił, robi mi takie wrażenie, jakby ktoś kruszył suche gałązki, rzucał je w potok i mówił, że z tego będą kwiaty. Będzie zgnilizna i nic więcej... Mnie także coś ten potok porwał, z czego myślałem, że będzie kwiat. — Głupstwo!... Ale, ot, pańska brama! — dobra noc!

I rozstali się. Połaniecki wrócił do siebie ledwie żywy ze zmęczenia, i położywszy się, począł się w dalszym ciągu męczyć myślami a raczej widzeniami. Naprzód stanęła mu przed oczyma ubezwładniona bólem postać pani Emilii, siedząca w saloniku Maryni, pod liściem palmowym, który zwieszał się nad jej głową, jak ogromna, złowroga ręka, z rozpostartymi, drapieżnemi palcami, i rzucał cień na jej twarz. „Mógłbym nad tem filozofować do jutra rana — mruczał do siebie. — Wszystko, z czego się składa życie, to taka ręka, od której pada cień—

nie więcej! bo gdyby przy tem było jeszcze trochę miłosierdzia, toby to dziecko nie umarło — a tem, co mówi Waskowski, i wróbel się nie nakarmi.”

Tu jednak przypomniał sobie, iż Waskowski nietylko mówił o śmierci, ale prosił go jeszcze, by zmówił za Litkę „wieczny odpoczynek.” Połaniecki począł teraz walczyć z sobą. — Brak głębszej wiary, by Litka mogła słyszeć jego „wieczny odpoczynek” i by mógł on się jej na co przydać, zamykał mu usta. Czuł przy tem jakby pewien wstyd mówić słowa, które nie płynęły z głębi jego przekonania, a jednocześnie czuł taki sam wstyd nie uczynić tego. „Bo wreszcie, co ja wiem? — myślał. — Nic. Naokół mgła i mgła. Prawdopodobnie nic jej z tego nie przyjdzie, ale, bądź co bądź, jest to istotnie jedyna rzecz, którą mogę jeszcze uczynić dla mojego „kociątka”, dla tego drogiego dziecka, które w dniu śmierci myślało o mnie.”

I czas jakiś wahał się jeszcze, poczem jednak klęknął na łóżku i mówił: „wieczny odpoczynek.”

Nie przyniosło mu to wszelako żadnej pociechy, bo rozbudziło tylko tem większy żal za Litką, a jednocześnie złość na Waskowskiego za to, że go zapędził w położenie, w którym musiał albo wpaść w sprzeczność z samym sobą, albo zdradzić niejako Litkę. Poczul wreszcie, że ma dość tego rodzaju szarpaniny, i postanowił nazajutrz pójść od rana do biura i zająć się wraz z Bigielem pierwszą lepszą sprawą handlową, byle tylko oderwać myśl od tego bolesnego, błędnego koła, w którym się od kilku dni kręcił.

Lecz nazajutrz Bigiel uprzedził go i przyszedł sam do niego, może także w tym celu, by go zająć czem innem. Połaniecki rzucił się z pewną chciwością do rozpatrywania bieżących interesów — nie mogli jednak obaj z Bigielem długo się niemi zajmować, bo w godzinę później pojawił się Bukacki z pożegnaniem.

— Jadę dziś do Włoch i Bóg wie kiedy wrócę, — rzekł — chciałem wam powiedzieć: bądźcie zdrowi. — Śmierć tego dziecka dotknęła mnie więcej, niżem się spodziewał.

— I daleko wyjeżdżasz?

— Dużo-by o tem mówić. U nas, widzisz, to się tak pada, że się jest buddystą, czy też czem ci się podoba — a w gruncie rzeczy trochę się wierzy, trochę ufa w... jakies miłosierdzie... i tem się żyje. Tymczasem co? Oto rzeczywistość bije nas codzień po fizognomii — i wprowadza w duchową rozterkę, w zmartwienie, w moralny ucisk. Tu się wiecznie coś, albo kogoś kocha, wiecznie się cudzem nieszczęściem martwi, a ja tego nie chcę. To mnie męczy..

— W czem ci pomogą Włochy?

— W czem mi pomogą? Bo tam mam słońce, którego tu nie mam; mam sztukę, której tu nie mam, a do której czuję słabość; mam chianti, które mi dobrze robi na katar żołądka, i w końcu mam ludzi, którzy mnie nic a nic nie obchodzą i którzy mogą sobie setkami umierać bez żadnej dla mnie przykrości. Będę patrzył na obrazy, będę sobie kupował czego mi potrzeba, pielęgnował swoje reumatyzmy, swój ból głowy, i będę sobie mniej więcej wykwiłtnem, mniej więcej sytem i mniej więcej zdrowem zwierzęciem — co, wierz mi, jest jeszcze najbardziej pożądanym rodzajem i stanem życia. Tu nie mogę być dostatecznie bydlęciem, a z duszy chcę niem być.

— Masz rację, Bukacki. My oto, widzisz, siedzimy w rachunkach, także trochę dlatego, żeby się skretynizować i nie myśleć o czem innym. Jak zrobimy taki majątek, jaki ty masz, to — nie wiem, jak Bigiel — ale ja pójdę twoim śladem.

— Zatem, do widzenia w czasie i przestrzeni — rzekł Bukacki.

W chwilę po jego wyjściu Połaniecki rzekł:

— On ma słuszość. Ile ja-bym był naprzykład szczęśliwszy, żeby się nie był przywiązał do tego dziecka i do pani Emilii. My jesteśmy pod tym względem nieuleczalni i psujemy sobie dobrowolnie życie. On ma słuszość. Tu zawsze się coś lub kogoś kocha. To dziedziczna choroba... Wieczny romantyzm, wieczny sentymentalizm — i wieczne kolki w sercu...

A Bigiel rzekł:

— Kłania ci się stary Pławicki. Ten nie kocha nikogo prócz siebie.

— W rzeczywistości może tak jest, ale jemu brak i rozumu, i odwagi, żeby sobie powiedzieć, że tak wolno i tak trzeba. Owszem. Jest przekonany, że trzeba inaczej i przez to jest w ciągłej niewoli. Tu choć ktoś ma taką naturę, jak on, to jeszcze musi udawać, nawet przed sobą samym, że coś lub kogoś kocha.

— A będziesz dziś u pani Emilii? — spytał Bigiel.

— Naturalnie! Gdybym ci naprzykład powiedział, że mam malaryę, to tem samym jeszcze-bym się z niej nie wyleczył.

I rzeczywiście nietylko tego dnia był u pani Emilii, ale był dwa razy, albowiem za pierwszą bytnością nie zastał tych pań w domu. Pławicki na zapytanie, gdzie jest córka, odpowiedział mu z odpowiednim patosem i rezygnacją: „Ja nie mam teraz córkil” — Połaniecki, nie chcąc mu nawymyślać, do czego uczuł nagłą ochotę, wyszedł i powrócił dopiero wieczorem.

Tym razem wyszła znów do niego sama Marynia i oznajmiła mu, że pani Emilia zasnęła po raz pierwszy od pogrzebu Litki. Mówiąc to, trzymała czas jakiś rękę w jego dłoni. Połaniecki, mimo całej rozterki,

w jakiej były jego myśli, nie mógł tego nie zauważyć, a gdy spojrział wreszcie pytającym wzrokiem w jej oczy, dostrzegł, że policzki panienki zarumieniły się lekko. Tymczasem siedli obok siebie i poczęli rozmawiać:

— Byłyśmy na Powązkach — rzekła Marynia — i obiecałam Emilce, że będziemy tam jeździły codziennie.

— Czy to dla niej dobrze, tak sobie co dnia przypominać dziecko i rozdzierać rany?

— Ach, alboż one zaschły? — odpowiedziała Marynia — i czy jest możność powiedzenia jej: „nie jedź?!“ — Ja sama myślałam, że to będzie niedobrze, ale przekonałam się, że przeciwnie. Na Powązkach płakała bardzo, ale było jej lepiej. Wracając, przypominała sobie, co jej mówił profesor Waskowski — i ta myśl, to dla niej jedyna pociecha — jedynak

— Niechże ma choć taką — odpowiedział Połaniecki.

— Widzi pan, ja nie śmiałam jej z początku wspomnieć o Litce, ale ona ciągle o niej mówi. Niech pan także nie obawia się mówić jej o niej, bo to jej sprawia widocznie ulgę...

Tu panienka poczęła opowiadać jeszcze bardziej zniżonym i jakby niepewnym głosem:

— Ona sobie ciągle wyrzuca, że tej ostatniej nocy posłuchała zapewnień doktora i poszła spać. Jej żal tych straconych chwil, które mogła spędzić z Litką, i ta myśl nurtuje ją. Dziś, gdy wróciłyśmy z cmentarza, poczęła mnie wypytywać o najdrobniejsze szczegóły: jak dziecko wyglądało, jak długo spało, czy brało lekarstwo i co przytem mówiło, czy odzywało się do nas. . . Przytem zaklinała mnie, żebym sobie przypominała wszystko i żebym nie opuściła żadnego słowa.

— I pani nie pominęła niczego?...

— Nie.

— ... Jak ona to przyjęła?

— Bardzo, bardzo płakała.

Oboje umilkli i milczeli dość długo, poczem Marynia rzekła:

— Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje.

Po chwili wróciła:

— Śpi, — rzekła. — Chwała Bogu!

Jakoż Połaniecki nie widział tego wieczora pani Emilii, która zapadła jakby w letargiczny sen. Przy pożegnaniu Marynia znów ucisnęła długo i silnie jego rękę i niemal z pokorą spytała:

— Pan mi nie ma za złe tego, że ja powtórzyłam Emilce ostatnie życzenie Litki?

— W takich chwilach — odpowiedział Połaniecki — nie umiem myśleć o sobie. Mnie chodzi tylko o panią Emilię i jeśli słowa pani sprawiły jej ulgę, to pani za nie dziękuję.

— Więc do jutra? prawda?

— Do jutra.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł, a schodząc ze schodów myślał:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

I nie mylił się. Marynia uważała go za narzeczonego. Nie był on jej nigdy obojętnym; owszem, siła urazy była w niej miarą tego niezwykłego zajęcia, jakie w niej obudził. A przytem w czasie choroby i pogrzebu Litki mógł on sam odkrywać w sobie niezgłębione pokłady egoizmu — jej wydał się tak dobrym, że poprostu nie miała go z kim porównać. Reszty dokonały słowa Litki. — W istocie rzeczy jej serce pragnęło przedewszystkiem kochać — i teraz — skoro raz przyrzekła Litce w chwili jej śmierci, skoro raz zobowiązała się do kochania i do zamążpójścia, wydało się jej, że gdyby nawet nie kochała, powinna to sobie nakazać — i że nie wolno jej już nie kochać. — Połaniecki wszedł w sferę jej obowiązku, należała zaś do tych prostych kobiecych natur, dotychczas wcale jeszcze nie rzadkich, dla których życie i obowiązek znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą.

Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak jego ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Ta, prawa w myślach a zarazem prosta i delikatna w uczuciach, wiejska panna, posiadała ową zdolność do życia i do szczęścia w najwyższym stopniu.

To też, gdy Połaniecki odszedł, ona, rozmyślając o nim, nie nazywała go już w duszy inaczej, tylko: „Pan Stach!” Bo też to już i był jej „Pan Stach.”

Połaniecki zaś, kładąc się spać, powtarzał sobie nieco mechanicznie:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

Śmierć Litki i przejścia ostatnich dni odsunęły nie tylko w jego myślach, ale i w jego sercu, Marynię na dalsze, a nawet bardzo dalekie plany.

Teraz znów zaczął myśleć o niej i zarazem o swej przyszłości. I nagle ujrzał jakby chmurę niezliczonych pytań, na które w tej chwili przynajmniej nie miał żadnej odpowiedzi.

Czuł tylko przed niemi strach; czuł, że na razie brakuje mu zarówno sił i ochoty, żeby podjąć ten trud. Znów zacząć żyć dawnem życiem, znów wpaść w to sentymentalne koło błędne, znów niepokoić się, znów wysilać, zabiegać o rzeczy, które przynoszą tylko go-

rycz, porać się z sobą z uczuciowych powodów. Czy nie lepiej pilnować rachunków z Bigielem, zbijać pieniądze, by kiedyś ruszyć, jak Bukacki, do Włoch lub gdzieindziej, gdzie jest słońce, sztuka, wino dobre na żołądek i przede wszystkim ludzie obojętni, których szczęście serca przybysza nie rozpromieni, ale za to śmierć lub niedola nie wycisną ani jednej łzy.

Koniec tomu pierwszego.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z GRECYI.

AMFITRYTA.

Caserta.

Czy wstało słońce?... Patrzę w tamtą stronę —
Z za gór błękitnych nie podniosło głowy,
Tylko na niebo, porankiem złożone,
Wezuwiusz pędzi obłok fioletowy.

Pogoda. — Morze uściele się gładko
Pod moją drogę w nieznanym światy;
Dziś się pożegnam z ziemią, starą matką,
I do kochanki pójdę Amfitryty.

Niebieska moja uśmiechem mnie wabi,
A mnie tak tęskno w jej objęcia świeże
Polecieć jednym z tych sennych korabi,
Co rozwijają tam swe białe pierze.

Niebieska moja Amfitryta grecka
Ze zradnej toni lubieżne swe ramię
Wyciąga do mnie, — a ja z wiarą dziecka
Oddam się dzisiaj tej fali, co kłamie.

A jeśli kiedy groźne burz orkany
Łódź moją zepchną do zimnego cienia,
A jeśli kiedy z ręki twej kochanej
Wezmę pogardy cios i zapomnienia,

Konając wspomnę, że w morskim błękicie
Żyłem rozkosznie przed godziną zdrady,
I że wejrzały raz w me chmurne życie
Błogosławione twe oczy najady.

NIKE-APTEROS.

Ateny.

Na cześć swej Ateny i Niki
Ateńczyk wysmukłe portyki
 U grodu postawił na straży.
Tu stoję nad brzegiem urwiska,
I chwila zachodu już bliska,
 I tak mi niebiesko się marzy.

Na Faleron morze lśni srebrem,
Za ostrem dalekich skał żebrem
 Czerwone dopala się słońce —
Dopiero ubrane w fijołki
Pobladły Parnesu wierzchołki,
 Jak bzy na pól przekwitające.

Noc blada już szczytów dosięga.
Ta biała, wijąca się wstęga —
 To droga do Éleusis święta.
Tam pójdę, gdy noc już zapadnie;
Przepaście wołają mnie zdradnie,
 Lecz Nike tu o mnie pamięta. —

Bogini ma Nike-bez-Skrzydeł
 Od nocy wybawi mnie sideł,
 Ramieniem swem boskiem otoczy.
 Z nią pójdę po drodze tej białej
 Bezpieczny przez mrok i przez skały,
 Posłusznie tak patrząc jej w oczy.

W jej oczach trwa blask fioletu,
 W jej ustach są miody Hymetu,
 Jej czoło rozświeca noc ciemną.

.....

Oparty o mur twej świątyni
 Do ciebie się garnę, bogini,
 O Nike ma, Nike, bądź ze mną!

NOC W MIEŚCIE.

W błękicie bladym chmurek wełny,
Na szczycie nieba w chwale pełnej
Rozpromieniona twarz Seleny.
W tę ciszę, pośród mgły oparów,
Nie słyszę żadnych ziemskich gwarów —
W powodzi światła snią Ateny.

I z miasta, co jest w srebrnem polu,
Wyrasta olbrzym Akropolu,
Na niebie kreśląc swe kolumny,
Wykuta z głazu wielka stela
Dłuta Fidyasza — w niebo strzela
I wieńczy szczyt attyckiej trumny. —

BOGINI NOCY.

Niesie mnie noc w ramionach białych swych
Cieni,
Powierzchnię wód księżycą srebrny szych
Mieni,
Kołyszą łódź nieznane jakieś fal
Dreszcze,
Mdlejących skier od wioseł idą w dal
Deszcze. —
Daleki śpiew melodyę cichą barw
Zmąca,
Wokoło gra muzyka wielu arf
Śniąca....
O przybądź tu! klasyczne swoje rzuć
Światy!
Na szczęścia sen przybrałem moją łódź
W kwiaty,
Pod stopy twoje wysrebrzył księżyc pas
Lity —
Zaśniemy tu, aż ziemskie zbudzą nas
Świty. —

AFRODYTA.

Korynt.

Ty, co różowa z mórz
Błękitnej toni
Wstajesz, ręce swe złóż
Na mojej skroni!
Niech ujrzę światło zórz
Przez twoje ręce
I niechaj wianek róż
Tobie poświęcę!
Ramiona teraz spleć,
Rzuc mi na szyję
Swych złotych włosów sieć,
Co nas przykryje,
Jak Hefestowych sztuk
Misterne pęta....

Eros napina łuk —
Ani pamięta,
Że świętokradzką dań
Śmiertelnik czyni
Tej najpiękniejszej z pań
Cypru bogini,
Że pocałunkiem stóp
Jej boskość plami — —
Bo Zeus nakazał ślub,
Ślub między nami.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

KONIEC EPOPEI.

I.

Emil Zola skończył swój cykl „Rougon-Macquartów,” o czem bardzo wiele rozprawiano... w Londynie; gdy jednak nad Tamizą historyk „rodziny z czasów drugiego cesarstwa” przemawiał niby monarcha, królujący nad współczesną umysłowością francuską; kiedy odzywał się w imię „swej” literatury, „swojego” kraju, nawet „swojego” rządu, „Doktor Pascal” umierał tymczasem w Paryżu śmiercią tak cichą, że nikt na nią najmniejszej nie zwrócił uwagi. To zestawienie hordów purytańskiego społeczeństwa dla arcykapłana naturalizmu z obojętnością wychowanej przez Zolę generacji współziomków, ma w sobie pewną, nieprzypadkową, jak sądzę, ironię, na którą składa się może coś więcej prócz angielskiej obłudy i francuskiej łatwości zapomnienia dzisiaj o dniu wczorajszym.

Ostatnie książki Zoli w szczególnych zjawiają się na świat warunkach i terazniejszość dziwne zaiste płata im figle. Na „Pieniądz,” piętnujący „korrupcyę” doby bonapartystowskiej, odpowiedziała niedawno republikańska Panama; zaledwie uspokoiły się wrażenia, wywołane artystyczną grozą „Pogromu,” dziejopis Rougon-Macquartów musiał patrzeć na zmartwychwstanie w badaniach historycznych, w powieści, na scenie legendy napoleońskiej; wreszcie „Doktor Pascal” stacza walną, stanowczą kampanię przeciwko idealizmowi w chwili,

kiedy ludzkość, zmęczona długim zamknięciem w więzieniu rzeczywistości, próbuje tu i owdzie, bodaj głową mur przebijając, otworzyć sobie wylot na widnokreśli nieskończoności i wygląda z utęsknieniem blasków, prześwitujących naokoło w literaturze, w sztuce, a nawet w nauce.

Jest tedy jakaś w tych książkach niewczesność, zrywająca związek między autorem i jego czytelnikami i stawiająca go względem nich w fałszywej pozycji. Nie fatalniejszego dla pisarza nad takie nieporozumienie. Publiczność czyta powieść z czasów drugiego cesarstwa; dla niej to historia; ale Zola nie chce słyszeć o romansie historycznym i tak dalece dba o swoje stanowisko *modernisty*, że bohaterom z pierwszej połowy bieżącego wieku każe myśleć, czuć, działać i mówić, jak myślą, czują, działają i mówią ludzie ze schyłku stulecia. Nie dziw, że wobec takiego przedstawienia czasów nastęrcza się często wątpliwość, *co i dla kogo* Zola pisze. Gorzej jednak jest, jeżeli czytelnik stawia sobie pytanie, *po co* książka została napisaną?

Takie właśnie wrażenie wywiera „Doktor Pascal;“ gdy bowiem „Pogrom“ bardzo już luźnemi węzłami wiąże się z cyklem Rougon-Macquart'ów, to ostatnia powieść jest zupełnie sztucznem w tym łańcuchu ogniwiem. Ze względu na okoliczności zewnętrzne chwili obecnej, „Pogrom“ mógł się ukazać nie w porę; dzisiejsze, na głębszych studiach oparte poglądy na dzieje Napoleona III-go, mogły fałsz zadać teoryom politycznym Zoli; — ale jako następstwo winy tragicznej, złe czy dobrze pojętej, obraz upadku dynastji świetnie i konsekwentnie uprzytomnił katastrofę, która streszcza dzieje Rougon-Macquart'ów. Po „Pogromie“ „Doktor Pascal“ nie jest w żadnym do tak zwanej „epopei“ stosunku i działa na czytelnika, jak osobliwsza niespodzianka. Skąd się wzięła ta rozegrana w zapadłym prowincjonalnym kącie walka między nauką pozytywną a aspiracyami idealnemi, na której Zola oparł swoją ostatnią powieść; co ona tu znaczy i do czego prowadzi? Na to nie dają rozsądnej odpowiedzi żadne kombinacye rodowodowe, wysnute z umieszczonego naiwnie na początku romansu drzewa genealogicznego bohaterów. Czyta się to, ponieważ autor powiedział sobie, że raz jeszcze wprowadzi potomstwo Rougon-Macquart'ów, ponieważ w ten sposób można drugie dwadzieścia tomów napisać, rozpoczynszy nowy cykl od historii dziecka, urodzonego przy końcu ostatniej powieści; ale, zamykając książkę, a mając jeszcze „Pogrom“ w pamięci, trudno oprzeć się spostrzeżeniu, że jeżeli „Débâcle“ przyszedł zapóźno, to „Doktor Pascal“ jest zupełnie niepotrzebnym.

Stworzył go jednak Zola, inusiał więc mieć do tego swoje powody, a kto wie, czy nie działał tu pod wpływem tych samych pobudek, które mu podyktowały głośną mowę do młodzieży. Dlaczego ta mowa, zło-

żona z samych banalności i zużytych ogólników, była głośną; co w niej imponowało młodzieży, która, słuchając tych frazesów, nie zmiarkowała nawet, że wobec swoich ewolucyjno-postępowych aspiracji w literaturze, powinna była całego Zolę uważać już za *überwunderer Standpunkt*,—trudno zrozumieć; to tylko pewna, że mowa i „Doktor Pascal“ mają wspólny nastrój: obawę przed mistycyzmem; mistycyzm zaś, to dla Zoli wszystko, co tylko człowieka wypycha po-za opłotki „historii naturalnej“ rodu ludzkiego. Wrażenie przenikające pod sensacyjny naskórek; myśl wymykająca się z więzów zmysłowej percepcji; uczucie wyemancypowane z temperamentowych instynktów; wola nie skrzepowana determinizmem; sumienie indywidualizujące osobnika; miłość niezależna od żądz; solidarność społeczna, zadająca fałsz walce o byt; wiara kapłana, egzaltacja poety, aspiracje artysty, wzloty filozofa, synteza historyka, wysiłki ducha, unoszącego się po-nad „zwierzę w człowieku;“ wszelkie niematerialne czynniki kultury, wytwarzające wielkie idee, wniosłe hipotezy; cała poezja cywilizacji, mieszczą się dla Zoli w jednym nie niemówiącem określeniu: *la soif de l'au delà*, w którym jakoby zdradnie przyczaić się miał mistycyzm.

Od tej zasadzki ochronić-by chciał ludzkość Zola, bo patrzy, co się naokoło dzieje, widzi, jak wszędzie już na słabych i łatwowiernych zastawione są idealne sidła. Do młodego więc pokolenia odzywa się, jak na mistrza pozytywnej mądrości życiowej przystało, nawołując do trzeźwej pracy; sam zaś tej pracy przykład daje, puszczając w świat już nie lapidarne maksymy, które myśl krzepić winny, lecz dzieło, barwnymi malowidły mające na wyobraźnię oddziaływać. Zstąpiwszy jednak z dydaktycznej trybuny, Zola skwapliwie snąć na jej stopniach złożył powagę pedagoga i dał namiętności powieściopisarza dużą folgę. Jest jakiś gniew w belletrystycznym traktowaniu motywu, dość spokojnie w mowie wypowiedzianego; nienawiść prawie wydziela się przy kolizji tego, co się Zoli *wiedzą* nazwać podobało, z tem, co uznał za stosowne ochrzcić mianem *mistycyzmu* i w całym cyklu Rougon-Macquart'ów niema może powieści, w której-by autor subiektywną interwencją tak gwałtownie wytrącił z równowagi stosunek swój do dzieła. Czytając „Doktora Pascala,“ publiczność czuje, że to nie bohater, lecz Zola do niej przemawia i jeżeli kiedy, to w tym razie sprawdza się definicya autora: „dzieło sztuki, to cząstka natury, widziana przez pryzmat temperamentu pisarza;“ tylko że tu ani natury, ani dzieła sztuki niema,—jest jedynie temperament Zoli.

Temu właśnie temperamentowi warto przypatrzeć się z powodu „Doktora Pascala,“ w którym się on pod pewnymi względami najbardziej może typowo wypowiedział, zwłaszcza w chwili, kiedy epizod londyński symbolicznie poniekąd uzmysławia stanowisko Zoli we wspólnym

czesnej literaturze powieściowej — to jest odosobnienie naturalistycznego doktrynera, niby na jakiejś wyspie, wśród napływających ze wszystkich stron fal idealizmu.

II.

Jest w „Doktorze Pascalu“ najprzód romans, dalej konkluzya cyklu Rougon-Macquartów, który w intencji autora miał być wszechstronnem i głębokim badaniem praw dziedziczności, wreszcie teza filozoficzna, przeciwstawiająca konflikt nauki z wiarą, czyli—według rycałtowej terminologii Zoli—z „mystycyzmem.“ We wszystkich tych trzech czynnikach dzieła temperament naturalisty występuje w najcharakterystyczniejszych swoich objawach, które, niestety, przy nieszczęśliwej kombinacji motywów, dają same tylko nieartystyczne wyniki.

Zacznijmy od duszy romansu—od miłości. Jak wygląda wogóle miłość u Zoli, wiemy oddawna. Od pierwszej sceny w „Ziemi,“ w której czternastoletni podłotek obojętnie patrzy na amory bydła roboczego, bratając się nieświadomie tą obojętnością ze ślepą, lecz wszechwładną siłą natury; aż do schadzki macochy z pasierbem w słynnej cieplarni w „La curée,“ gdzie wyobraźnia autora kapie się z całą swobodą w samych kałużach wyrafinowanej deprawacy, prowadził Zola czytelnika przez wszystkie szczeble „drabiny zwierzęcości bez szczytów, ani nizin, bez piękna, ani brzydoty,“ pod hasłem, głoszonym ze swadą podnieconego historyka: „sprawy płciowe powinny być wydobyte na światło dzienne.“ Nie brak też w tej gammie namiętności ani jednego tonu; zdarzają się nawet nuty dźwięczące jak poezya, dla ucha niedość wprawne, ażeby w tych fałszywych dźwiękach rozeznąć lubieżne akcenta. Miłość Silvera i Mietty w powieści „La fortune des Rougon“ ma pozory ślicznej miłości między dziećmi sielanki; tylko nie trzeba zbyt mocno ufać tej sielance, bo oto Mietta, padszy od kuli w bonapartystowskiej zawierusze, żegna Silvera pocałunkiem i w tym pocałunku ma przedzgonną rewelację... utraconych zmysłowych rozkoszy. Pamięta też zapewne każdy ową w „mistycznym“ romansie „Le rêve“ parę małżonków, oplakujących śmierć jedyne go dziecka naprzemian nad grobem i w sypialni, gdzie ich nieodmiennie łączy nadzieja powetowania straty „w długim czystym uścisku,“ którego prądy „zawsze, jak w noc weselną, młode“ przenikają aż do śpiącej nad nimi „mistycznej“ bohaterki. Żeby zaś nikt nie miał wątpliwości co do natury tych uczuć, robi Zola współnikami takiej miłości przyrodę, środowisko, od krzewów podzwrotnikowych zaczawszy, aż do skóry niedźwiedziej, od traw, oplatających kochanków zdradnemi węzłami, aż do kamienia grobowego, który im

służy za legowisko. Dziki ogród, egzotyczny trebhaus, cmentarz nawet spiskuje na korzyść „wydobytych na światło dzienne spraw płciowych,” ze zwykłą u Zoli w takich razach transpozycją duszy z żywych istot, które się stają igraszką „otoczenia,” w martwe przedmioty, które naturalista we wszelkie wyposaża namiętności.

W charakterystyce miłości u Zoli nie pominiemy jednego jeszcze występującego często rysu: tajemniczej filiacji siły rozrodczej z siłą niszczącą, energii życiodajnej z potęgą śmierci. Nie jest to filozoficzny pesymizm, bo wogóle trudno o coś mniej filozoficznego, jak umysł Zoli; ale raczej halucynacja wyobraźni, znużonej erotycznymi pomysłami i szukającej podniety w zwyrodniałych gustach do rozkładu. To też nawet tam, gdzie miłość odzywa się bez wszelkich poetycznych pretensyi, poprostu jako instykt, apetyt, brakuje jej, mimo metrykę kochanków, kardynalnej cechy: młodości, wyszlachetniającej poniekąd nawet pospolitą żądzę. Nadaremnie naprzykład gromadzi Zola w słynnym gaju *Paradou* („La faute de l'abbé Mouret“) wszystkie czary dyszącej wiosną przyrody, napróżno pławi bohatera w falach woni upajających, barw olśniewających i dźwięków rozkosznie rozkołysanych; gwałtowność zmysłowych szalów nie ma w sobie nic młodzieńczego i wygląda jak paroksyzm rozkielznanej fantazyi.

Nie mam powodu — nawet przeczytawszy zdradliwą insynuację w „Dzienniku Goncourt'ów“ — przypuszczać za Nordau'em, że autor „Ziemi“ powinien być zaliczony do płciowych psychopatów; nie mogę tylko nie zauważyć, że naturalista, kojarzący w sobie dwóch bohaterów ze swego romansu „L'oeuvre“: filistra-powieściopisarza, Sandoza, i maniaka-malarza, Lantiera, może być czystym w zyciu, ale nie jest nim w wyobraźni. Spostrzeżenia jego przeniknione są niby wstrętem dla brudu, zakłócającym nawet niekiedy obiektywizm obserwatora, ale tylko dopóty, dopóki nim nie owładnie temperament malarza. Wtedy przykładowy, wierny swej żonie mieszcuch, zamknięty w pracowni, wygląda, pisząc, jak gdyby się wykradł z domu na jakąś wiarołomną orgię. Im bardziej się gniewał, jako spostrzegacz, tem gniew jego silniejszą staje się podpałka do rozniesienia halucynacyjnych snów wizyonera. Pióro, przekształcone gorączką na pędzel, nie zna granic plastyki, sięgając czasem po-za nie tam, gdzie nie tylko słowo, lecz paleta i dłото odmawiają posłuszeństwa, gdzie ustaje wszelki artyzm, a rozpoczyna się potworność.

Wobec takiej natury twórczości, nie wydaje mi się ani zwyczajnym trafem, ani przygodnym kaprysem inwencji romans sześćdziesięcioletniego doktora Pascala z dwudziestopięcioletnią synowicą. Miłość u Zoli, z całym swoim przyborem lubieżnych obrazów, ma wogóle charakter starczy; kiedy więc w dziele, reasumującym czynniki rozległej,

wieloramiennej kompozycji, obiera sobie starca za bohatera, kiedy heroine, porównywającej młodego, dzielnego konkurenta z siwowłosym kochankiem, dyktuje wykrzyknik: „z was dwóch, ciebie, kochany stryjasku, wybrałam!“—występuje znamienne i typowo. Publiczność tego nie przyjmuje i mimo biblijne tradycje Agary i Abrahama, Ruthy i Booza, wyzyskane zresztą przez autora z upartym aż do śmieszności naciskiem, odwraca się z pewną odrazą od miłostek, potrącających prawie o kazirodztwo;—dla krytyki jednak w tym właśnie romansie Pascala i Klotyldy zdradza się całkowicie temperament pisarza. Jak przyszło do tej miłości, jeżeli nie potwornej, to w każdym razie niezdrowej? Wypiełgnowało ją w części odosobnienie partykularza, a w równym może stopniu uwielbienie młodej dziewczyny dla uczonego mistrza, wtajemniczającego uczennicę w swoje badania,—okoliczność, którą autor wszelkimi fortelami wyzyskuje na benefis sędziwego bohatera, w myśl wiersza Wiktora Hugo:

Les femmes regardaient Booz plus qu'un jeune homme;
Car le jeune homme est beau; mais le vieillard est grand.

Wielkim też chce widzieć Pascala autor i to nierównie goręcej, niżli pragnie tego skromny badacz, w mozolnych zatopiony studyach. Z trzech synów Felicyty Rougon, Pascal jest najmłodszym bratem Eugeniusza Rougona, byłego ministra Napoleona III-go i Arystydesa Rougona, zwanego Saccardem, zbankrutowanego giełdowicza. Nieżądny ani władzy, ani bogactwa, nigdy nie opuszczał Plassans, gdzie praktykuje jako lekarz i zgłębia naukowo dziedziczość. W chwili rozpoczęcia powieści znajdujemy Pascala mieszkającego na przedmieściu w willi, zwanej Soulejadą, którą, kupiwszy przed ośmnastu laty, przysposobił był do zacisznej egzystencji mędrca. Żyje tam więc spokojnie ze starą służącą Martyną i z synowicą Klotyldą, córką Saccarda, przyslaną doktorowi po śmierci pierwszej żony owego awanturniczego finansisty. Wojna tylko co się skończyła; Eugeniusz Rougon, niegdyś wice-cesarz, dziś zwyczajny deputowany, jest w Izbie „nieugiętym obrońcą starego świata zdruzgotanego w pogromie;“ Arystydes Saccard przedzierzgnął się na redaktora dziennika republikańskiego, obaj zresztą pozostają za kulisami przez cały ciąg akcji, w której rolę statysty odgrywa syn Arystydesa, Maksym, dawniejszy bohater bachanalii z macochą w pamiętnej oranżeryi, obecnie zajęty tylko w swoim pałacyku, w pobliżu lasku Bulońskiego, walką z postępowym paraliżem mlecza pacierzowego. Cały dramat z pewną oczywiście intencją koncentruje się w tem samym Plassans, gdzie grudniowy zamach stanu był początkiem świetności Rougonów i gdzie, oprócz odosobnionej w Soulejadzie pary, Pascala i Klotyldy, poznaje czytelnik Karola, syna

Maksyma, spółzonego ze służącą, piętnastoletnie, blade i delikatne pacholę, na którego przejrzystym obliczu napiętnowane jest ostateczne zwyrodnienie rasy; Antoniego Macquart'a, zwanego wujem Macquart'em, pijaka, zakonserwowanego w spirytusie, który się w nim wreszcie zapali; Felicytę, matkę trzech Rougonów, potężną w swoim czasie, dziś zdetronizowaną królową, zachowującą w upadku wielką godność i gotową, mimo ośmdziesięciu lat, *unquibus et rostro* bronić czci swoich od wszelkich, nawet synowskich ciosów; wreszcie wegetującą nieopodal od Plassans, w szpitalu obłąkanych „matkę rodu,“ Adelaidę Fouque, którą histerya od młodości z tragedyi w tragedję przerzucała aż do obłądki, utrzymującego jeszcze w dziewięćdziesięciokilkoletniej warjacie resztki zwierzęcego życia.

Jest więc wszystkie pięć pokoleń, o których dlatego tylko wspominam, że jeżeli nie osobiście, jak Felicjta Rougon, to w postaci chińskich cieni, rzuconych na teraźniejszość z oddali czasu i przestrzeni wpłynąć mają na losy dwójga głównych bohaterów, co już nam daje pewne pojęcie o stopniu pomysłowości Zoli w kompozycyi powieściowej. Z wywoływanych sztucznie i zupełnie dowolnie odgłosów i odbłyśków przeszłości, skombinowanej z krwi i rozpusty, ma się wytworzyć około wyodrębnionych z tej przeszłości Pascala i Klotyldy tragiczna atmosfera, zaludniona upiorami grzesznych przodków, a ilekroć te efekta chybiają, dyletant fizjologii łąta dziury w powieściopisarskiej kanwie i przestrajają na filozoficzne argumenta te same manekiny, które mu pod względem teatralnym chybiły. Kulminacyjny zaś punkt książki przypadać ma właśnie tam, gdzie Zola użył swej latarni czarnoksięskiej zarazem za środek dramatyczny i za demonstrację naukową.

Doktor Pascal, który widocznie romansów Emila Zoli nie czytał, nie domyślał się zapewne nigdy, jaką mu w życiu galerya Rougon-Macquart'ów przysługę wyświadczy; ale tem się cieszył, że mozołnie przez niego zebrane archiwa rodzinne, stwierdzające wszystkie fizjologiczne zboczenia i anomalie tej interesującej familii, będą nieocenionym materiałem do studyów nad dziedzicznością.

Jest więc w Soulejadzie szafa, prawdziwe sanktuarium, przedmiot abominacji dla matki Felicjty, a tajemniczej grozy dla Klotyldy, szafa, w której każdy członek rodziny ma w oddzielnej przegrodzie swoje drobniogowo spisane akta, co wszystko stanowi najautentyczniejszy zbiór „dokumentów ludzkich“ (jak widzimy „uczeni“ spotykają się w myślach wszędzie i po wszystkie czasy) streszczony nadto na rysunku w sławnem drzewie genealogicznem Rougon-Macquart'ów.

Czy doktor Pascal zrobi z tych dokumentów publiczny użytek do swego dzieła o dziedziczności, czy nie? Tem Zola interesować się każe czytelnikowi przez pół książki i powieściową akcyę wysnuwa z głuchej

walki między badaczem, strzegącym swoich skarbów a tymi, którzy nie chcą dopuścić wydobycia ich na światło dzienne; po jednej zatem stronie stoi Felicjta Rougon, bonapartystowski cerber honoru domu z Martyną do pomocy, działającą pod wpływem ślepego fanatyzmu religijnego, po drugiej mędrzec, pracujący pod hasłem: *pereat mundus fiat veritas*, a w pośrodku Klotylda, chwiejąca się między czcią dla mistrza, spotęgowaną udziałem w jego pracach i „mistyczną“ obawą o zbawienie jego duszy, zręcznie podsycaną przez starą panią Rougon. *Hic mulier* i służąca wystąpią jako aktorowie, usiłowanie zaś wykradzenia papierów ujawni się jako sytuacja dramatu, którego wahanie młodej dziewczyny będzie czynnikiem psychologicznym. Co warta faktyczna strona tej sytuacji, oparta na przypuszczeniu, że Pascal rozgłosi po całym świecie występki i zbrodnie rodziny, która jest też rodziną Klotyldy i na dziecinnej obawie matki, żeby się tak nie stało — widzimy już odrazu. Jestto, zwyczajem Zoli, rozdmuchanie pod wpływem temperamentu, drobnej okoliczności codziennego życia, do znaczenia tragedji, wzmówionej w czytelnika z wszelkim aparatem odpowiedniej sceneryi i odziedziczonej po romantyzmie egzaltacji. Jak zaś na takim tle wygląda psychologia autora, zobaczymy niebawem.

Doktor Pascal nie miał dotąd innej, prócz wiedzy, namiętności. Jeżeli wziął do siebie synowicę, to postąpił tak zapewne przez dobroć serca, ale także i dlatego, że Klotylda, wyrastając pod jego okiem, mogła dla niego być cennym do studyów przedmiotem. W chwili, gdy ją poznajemy, Klotylda ma lat dwadzieścia pięć i jest panną gibką a zgrabną, przy silnie rozwiniętych kształtach i zdrową w swej dziewiczej gracyi. Pascal nie krępował jej samorządnej swobody, dał jej tylko dokładne a trzeźwe o wszystkich rzeczach wiadomości; ale nieraz zwierzał się wychowance ze swych idei, obznajmiał ją z własnymi na treść życia poglądami. A jednak, mimo wszelką cześć i miłość dla opiekuna, mimo nadawane mu z głębokiego przekonania miano „mistrza,“ dziewczę ma swoje pragnienia ideału, których nie może zaspokoić empiryczna filozofia doktora i które wytworzyły, bez względu na wzajemne przywiązanie wuja i synowicy, zasadniczy między nimi rozdźwięk, dochodzący w końcu do tego stopnia, że, nakloniona przez Felicję Rougon, Klotylda w nocy wykradzionym kluczem próbuje opróżnić szafę z fatalnych akt, w celu wysłania ich chyłkiem do babki na całopalenie. Zjawiwszy się w sam czas, Pascal chwyta w wielkim gniewie, rozebraną już do snu dziewczynę za nagie ramiona, które kaleczy w żelaznych rękach, potem, rozumiejąc, że raz z tem skończyć trzeba, że pora dać wąpięcej „lekcję życia,“ mówi do Klotyldy ze stanowczym gestem:

— Zbliź się i czytaj ze mną;—masz lat dwadzieścia pięć, powinnaś wiedzieć.

Wtedy, przy odgłosie grzmotów—dekoracyi, jak widzimy, nie brak, ani reżyseryi,—z muzyką wyjącego wiatru, od którego wściekłych podmuchów drżą wylęknione świec płomyki, doktor Pascal roztacza przed synowicą tajemnicę domowego archiwum.

I Rougon-Macquart'y pozują w błyskawicach do żywych obrazów, wśród których przygody i katastrofy, cierpienia i uciechy, nędze i wspańiałości streszczać mają w jednej rasie historję całego społeczeństwa, „całego świata,“ w świetle snujących się przez pokolenia tajemniczych wpływów dziedziczności.

To się nazywa „lekcya życia.“ Czego się z niej nauczyła Klotylda? Czy trzeba było mieć czystość myśli dziewczyny teatralnie uprzytomnionym widokiem oszustw, złodziejstw, morderstw, cudzołóstw, prostytutcy, ażeby się dowiedziała, że świat składa się nie z samych Pascalów Rougonów i że zło w nim równie potężne, jak dobro, zajmuje miejsce; czy dopiero przebrnięcie przez plugawe nieprawości tych filisterskich Atrydów doprowadzić ją miało do wniosku, że w ostatecznym bilansie życie goi samo swoje rany, ściera zmyzy, poprawia zboczenia i w końcu przywraca równowagę? Wszystko to znaleźć mogła w swoim „idealizmie,“ a dotychczasowe westchnienia ku *l'au delà* wyrażały zapewne tęsknotę do tej przeczucwanej harmonii. Tylko, że do ziszczenia ideałów trzeba trochę cierpliwości, a tu mistrz zaokrąglił swoją filozofję bardzo ponętym wywodem: że jedynem, wynikającym z tego dla człowieka prawem jest „żyć i kochać życie.“

To, co dalej następuje, da się streścić w tych mniej więcej rozumowaniach:

— Widzisz, moje dziecko, wszystko, co ci przedstawiłem, ohydnie wprawdzie wygląda; ale właśnie dlatego warto żyć na świecie.

Na co uczennica, zastanowiwszy się nieco nad tem, jakim sposobem zdecydowany pesymista może gustować w życiu, tak wstrętnie odmalowanem i w dodatku wierzyć w „równowagę,“ odpowiada:

— Tak, mistrzu, masz rację, pokonałeś mię; a skoro newropatyczna prababka mogła dać początek aż dwom szeregom potomstwa, ślubnej linii Rougonów i nieprawej Macquart'ów; ponieważ piękna Klotylda była tak potężnego, jak Eugeniusz Rougon, męża stanu, a Renée Saccard zażywała w oranżeryi męża kazirodnych z jego synem wczasów; kiedy Albina doprowadziła do grzechu księdza Mouret, a Helena Mouret rzuciła się na szyję wezwanemu nocą do córki lekarzowi i namiętnością swoją zabiła zazdrosne o matkę dziecko; jeżeli Gerwaza Macquart utrzymywała z mężem Coupeau i kochankiem Lantierem gospodarstwo we troje, a Seweryna zamordowała do współki z małżonkiem starca, który ją był do rozpusty wciągnął, aby następnie oszukać swego współnika z Jakóbem Lantierem; skoro Franciszka Macquart

pomagała swemu mężowi do gwałtu na własnej siostrze, a Nana, obezwładniony nierządem cały Paryż, ułatwiła wrogowi pogrom Francji, — to ja jestem twoją, bierz mię!

I nie tylko idealistka, nawrócona pięknymi przykładami z życia do realizmu, pada w objęcia pozytywnego mędrca, ale młoda kobieta oddaje się cała bez zastrzeżeń starcowi. Molierowski Arnolf znalazł sposób odwetu nad Agnieszką, potrzebował jej tylko pokazać drzewo genealogiczne Rougon-Macquart'ów!

Taka jest logika tej sytuacji. Komu-by się wydawała monstrualną, niedorzeczną, a choćby tylko śmieszną, dla tego pozostaje decydujący, niezwykły argument: Klotyldę ujarzmiła nie pięść silnego mężczyzny, który umiał w sam czas wybić kobietę (jakby mógł przypuścić mało subtelny czytelnik, opierając się naiwnie na zapewnieniu autora, że to męskie brutalstwo „przeniknęło jej ciało“), lecz aureola mądrości mistrza. W pojęciu Klotyldy... i Zoli, Pascal ma genialny umysł. U heroiny jest to forma miłości, u autora objaw skromności, która sama o sobie mówić się wzdraga; boć trudno nie widzieć, że wystąpiwszy już raz w swoim cyklu jako Sandoz, Zola przywdział teraz skórę Pascala; tam był tylko powieściopisarzem — tu jest uczonym. Warto zastanowić się nad tą „wiedzą“, zwłaszcza, że się z tem wiąże zasadnicza formuła Zoli „romansu naukowego.“

III.

Pomijam zabawną okoliczność, że w tej teorii dziedziczności zawilej, niedostatecznie jeszcze zbadanej i zredukowanej przez nowszą szkołę włoską do coraz skromniejszej rozmiarów, mistrz Zoli, Lombroso, dość sceptycznie odzywa się o realizmie zolowskich bohaterów zwyrodnienia; mniejsza o to, że wygodną metodą Zoli, który naprzód skombinował efekta, ujawniające u różnych osób dziedziczność, potem tryumfalnie w nich odnajduje to, w co je sam wyposażył — można dowieść wszystkiego; przypuszczam wreszcie, że nie zwracali byśmy na to uwagi, iż wobec planu całego cyklu, z geometryczną niemal nakreślonego ścisłością, autor płacze się w ustawicznych sprzecznościach, ilekroć mu chodzi o wyjaśnienie swoich „odkryć“ i powtarzając z niezachwianą powagą, lub z dytyrambicznym uniesieniem frazesy o atawizmie, wrodzonych skłonnościach, kombinacjach chemicznych, walce o byt molekulów i zastrzykiwaniach płynu Brown-Sequarda, grzęźnie w najpospolitszym, felietonowym dyletantyzmie; w każdym razie z pod tego wszystkiego wynurza się kwestya: co ma w powieści

do czynienia nauka, gdyby nawet wprowadziła do belletrystyki ostatnie rezultaty najpoważniejszych badań?

Wszystkie pretensye naukowe dzisiejszych romansopisarzów i autorów dramatycznych opierają się na fałszywem pojęciu natury i wiedzy. Nauka uogólnia i wyklucza wszystko, co jest indywidualne, konkretne; nauka tworzy w sferach abstrakcyi świat idealny, przedstawiający dla inteligencyi obraz świata rzeczywistego, który jednak dla zmysłów i wyobraźni żadnego niema z rzeczywistością podobieństwa. Tymczasem sztuka i literatura usiłują pochwycić i utrwalić w swoich dziełach tę właśnie indywidualną fizyognomię ludzi i rzeczy, tę niepochwytą różnorodność form życiowych, z których każda jest może jedyną i ukazuje się raz, żeby potem zniknąć nazawsze. Otóż drogą osobliwszej sprzeczności, nigdy jeszcze nie starano się tak uparcie w literaturze wyrazić to, co jest indywidualnem, jak od czasu, kiedy się w tym celu używa metody naukowej, która wszystko indywidualne usuwa. Z drugiej strony, przedstawiając rzeczy konkretnie w formach dotykalnych, literatura i sztuka—nawet sztuki plastyczne—usiłują wyrazić siłę nieznaną, niewidzialną, która jest źródłem życia i uwidocznia się w jego objawach. Tym sposobem literatura i sztuka posługują się tem, co nauka odrzuca, ażeby prowadzić nas do tego, czego wiedza nie osiąga, ani nawet nie szuka.

Takie pomieszanie dwóch dziedzin, zgoła nieznanne klasykom, wykształconym na wzorach starożytnej, czystej sztuki i literatury, ani romantyk, uprawiającym kult uczucia i namiętności, objawia się w formie najprzesadniejszej u spadkobierców romantyzmu—u naturalistów. Flaubert wyklada historję Emmy Bovary, jak lekcję w amfiteatrze anatomicznym; Zola uznaje się z całą naiwnością za współpracownika Klaudyusza Bernarda; Daudet, świadcząc niedawno w sprawie karnej, przybiera ton specjalisty w medycynie sądowej, przeznaczonego do ekspertyzy w kwestyi stanu umysłowego oskarżonego; Bourget w romansie, Becque w teatrze, za nimi zaś wszelakie mikroby sceny i powieści, występują jako ludzie, prowadzący rozległe śledztwo nad współczesną ludzkością; a Teatr Wolny nie jest-że ufundowanym w intencyi przedstawiania z niezachwianą obojętnością nauki chorób, niemocy i ran naszego biednego stulecia? Olsnieni zdumiewającym rozpędem nauk przyrodniczych, romansopisarze widzieli tylko, że uczeni studyują naturę, to jest świat sensacyi i zdawało im się, że kopiując tę naturę, opisując przedmioty własnych sensacyi, sami będą uczonymi. Ale jakimi uczonymi? i jak się nazywa ta nauka, której swą pracę poświęcili? Nikt na to pytanie rozsądnie nie potrafi odpowiedzieć. Widać wprawdzie belletrystów wszędzie; spacerują wśród fizyologii, patologii, anatomii, biologii, historyi; mózg, którym pracują, zastępuje

im kolejno klinikę, laboratoryum, lub archiwa, a dzieła, tam zrodzone, są „dokumentami;”—ale, jak dowcipnie zauważył p. Gustaw Lanson, w rzędzie uczonych niewiadomo gdzie kto stanąć-by pragnął, czy obok Charcot'a, czy przy Renanie?

A jednak wypadalo-by się zdecydować, bo jeżeli literatura jest nauką, niech nam powiedzą, jaką ma być nauką; gdyby zaś nią była, pokazało-by się, że wobec porozbieranych już przez naukę specjalności, literatura, bez określonego przedmiotu utraci własne istnienie, pozostanie nazwą, etykietą, lub w najlepszym razie popularyzatorką wiedzy, po to tylko egzystująca, ażeby mnóstwo ludzi, nie rozumiejących, o czem mówi, rozprawiało o darwinizmie i ewolucjonizmie, o dziedziczności, hypnotyzmie i odpowiedzialności, słowem, o wszelkich zagadnieniach, które na seryo traktować może tylko historia naturalna, medycyna i filozofia.

To samo z metodą. Jaka będzie metoda tej literackiej uczoności? Wiadomo, że literatura obserwuje, ale jak? czy daje rękojmnię kontroli i sprawdzenia? Nikt jeszcze, szukając w literaturze tego, co prawdziwe, nie mądrzejszego nie umiał powiedzieć nad to, że *prawdę się odczuwa*,—a w tem właśnie tkwi negacya badania naukowego. Pierwszym artykułem kodeksu naukowego naturalistów jest zwracać uwagę jedynie na objawy—bo tak robią uczeni; tylko że uczeni posługują się objawami do wyprowadzenia z nich praw, a romansopisarze niewolniczo się ich czepiają, nie miarkując nawet, że ten materializm więcej jeszcze oddala literaturę od prawdziwej wiedzy, aniżeli od wielkiej sztuki. Stąd też naturaliści bezwiednie urzeczywistniają swoje naukowe intencje sposobami malarskimi i w dalszym ciągu praktykują poprostu romantyzm opisowy. Drugie prawidło tej ewangelii opiewa, że im powieściopisarz staranniej wyzuje się z wszelkiej myśli indywidualnej, im dokładniej urządzi w mózgu *tabulam rasam*, tem obserwacya jego będzie bardziej naukową. Więc przedewszystkiem jak najmniej inwencyi, jak najwięcej faktów ze współczesnej rzeczywistości zanotowanych z drobiazgowością reportera, a zużytkowanych ze ścisłością badacza, przekonanego, że, pisząc romans, wykonywa *doświadczenie* naukowe. Co za złudzenie! Doświadczenie naukowe jest rozumem pytaniem, zadaniem naturze, na które odpowiada natura, nie sam pytający; tymczasem w tak zwanym „romansie doświadczalnym“ naturaliści pytają nie natury, lecz własnej wyobraźni, a odpowiedzi fantazyi podają za argumenta natury! Do prowadzonych tą drogą studyów może wystarczyć materiał, zebrany z akt sądowych, lub z kroniki bieżącej dzienników i poparty opisem „środowiska,“ do którego wystarczyło naprzykład obejrzenie gmachu giełdowego, przejechanie się na lokomotywie, lub zejście do kopalni. Wiadomo z książki Brunetièrè'a, że taki jest początek wielu

powieści Zoli. Treść do „Page d'amour“ wziął autor z pamiętników Casanowy; pewne rysy rozpusty hrabiego Muffat'a w „Nanie“ dostarczył Zoli Taine, cytując „Wyzwoloną Wenecyę“ Tomasza Othway'a; scena połogu w „La joie de vivre“ dosłownie została wypisana z podręcznika akuszeryi, a cała historia Rougon-Macquart'ów osnuta jest na dziejach bretońskiej rodziny, Kerangal, która od sześćdziesięciu lat zapełnia roczniki kryminalistyki i psychiatryi, dostarczywszy zaś w ciągu dwóch pokoleń siedmioro morderców, dziewięć nierząduic, jednego malarza, jednego poetę, jednego budowniczego, jedną aktorkę, jednego muzyka i kilku ślepych ¹⁾, była przedmiotem wielu prac fachowych, między innymi studyów d-ra Pawła Aubry p. t. „Une famille de criminels,“ zaopatrzonych nawet w sławne drzewo genealogiczne całej rodziny. Tak wyglądają te „naukowe“ doświadczenia. W podobnych eksperymentach naturalista nieświadomie uprawia najczystszy idealizm, biorąc myśl doświadczenia za samo doświadczenie i słusznie też z powodu Zoli mówi Brunetière, że, nie znalazłszy na Bożym świecie ani rzemieślnika Coupeau, ani mieszcanki Renée, których mógłby poddać wyszczególnionym przez siebie modyfikacyom fizyologicznym, uczeń Klaudyusza Bernarda jest sobie poprostu Juliuszem Vernem, jego zaś Coupeau i Renée mają wartość potwornej armaty, wysyłającej pocisk z ziemi na księżyc. To też owa nauka w romansie doświadczalnym, nie mająca żadnego znaczenia dla uczonych—bo ich doświadczenia można powtórzyć, a eksperymenta pisarza nie dadzą się ponowić—może imponować tylko naiwnym, dając im w szczegółach technicznych i w faktach sprawdzonych ni mniej ni więcej tylko to, co potrzeba do wywołania wrażenia, znanego w malarstwie pod nazwą *trompe-l'oeil*. I wszystko to dzieje się w imię prawdy, jak gdyby tą metodą prawda mogła być istotnie przedstawioną, i jak gdyby wogóle było dowiedzionem, że przedmiotem literatury ma być prawda!

Bo i to nie jest bynajmniej dowiedzionem, a stanowczość twierdzeń w tym kierunku wynika znów z powikłania pojęć o prawdzie naukowej i prawdzie artystycznej. Pierwsza tylko jest prawdą autentyczną, druga nazywała się niedawno jeszcze, a powinna nazywać się zawsze *prawdopodobieństwem*, t. j. wyobrażeniem prawdy; pierwsza w nauce wynika z syntezy, druga w sztuce wytwarza się z fikcyi. Bo rzeczywistym zadaniem pisarza jest wyrażenie reakcyi, jaką temperament jego wywiera na świat otaczający. Wszakże Zola żąda sam od romansopisarza, ażeby do zmysłu rzeczywistości dodał *osobistą nutę*. To samo już powinno mu być rozjaśnić blahość jego naukowych po-

¹⁾ Max Nordau: „Entartung.“ T. II, str. 441.

mysłów. Nigdy jeszcze żaden uczony nie myślał nadać odkrytym przez siebie prawom natury *nuty osobistej*; natomiast *osobista* afektacja w ścisłości naukowej pisarza służy tylko częstokroć do zamaskowania brutalnego temperamentu i miałkości umysłu autora, jeżeli nie osłania interesowanego wyzysku płochych lub niskich instynktów publiczności.

Pojęcie zatem naukowe literatury jest najniebezpieczniejszym w niej czynnikiem rozkładowym. Miałażby stąd wynikać konieczność zupełnego między literaturą a nauką zerwania? Nie sędzę. Jedna i druga mają wspólny wstręt do błędu i kłamstwa,—stosunek zaś między niemi jest taki, że wśród praw, stwierdzonych przez naukę, literatura może swobodnie krążyć, chyląc przed niemi czoło; ale panią będzie tylko w dziedzinie tego, co jest możliwem a nieznanem, co nie będąc uznaniem za pewnik, nie jest wykazaniem jako fałsz, co słowem stanowi poezyę nauki. Jak pojmowano tę poezyę nauki lat temu pięćdziesiąt, zaświadczyć może inny cykl, prawdziwie epicki, cykl starego Dumasa; ten uczyć nikogo nie myślał, ale się doczekał, że jeden z najznakomitszych historyków niemieckich, Häusser, z katedry uniwersyteckiej rzucił słuchaczom, między którymi znajdował się piszący te słowa, takie zdanie: „Kto z panów, studyując ze mną dzieje Francji na autentycznych dokumentach, zapragnie, żeby go z oddali wieków owionęła atmosfera epoki, ten niechaj czyta historyczne romanse Dumasa.“ Wątpię, czy Wundt albo Richet odeszłą kiedykolwiek swoich uczniów do „Doktora Pascala!“

IV.

Dla jednego umysłu, dla jednej duszy, nauka doktora zdawała się mieć swoją poezyę,—dla Klotyldy i trzeba w to wierzyć, żeby się z niesmakiem nie odwrócić od „szczęśliwej idylli“ Pascala i Klotyldy, która następuje po pamiętnej z domowemi archiwami tragedyi. Tylko, jeżeli się uwierzy, co się stanie z charakterem bohaterki? Zapewne, że w wypadkach, kiedy kobieta skłania głowę przed geniuszem mężczyzny, istnienie tego geniuszu nie jest koniecznem, dość, żeby kobieta była przekonaną, że dzieli losy człowieka genialnego, a to, przy braku w niej zmysłu śmieszności, szczęściem dla nas, dość często się wydarza. Ale Klotylda taka, jaką poznaliśmy od początku, dziewczyna spokojna, systematyczna, pracowita, powinna była odgadnąć w stryjaszku starego nieszkodliwego maniaka, dla którego kobieta może mieć uczucia... chyba macierzyńskie. Dzieje się tymczasem wręcz przeciwnie; nie też dziwnego, że ilekroć Klotylda z zapalem przypomina tę „noc historyczną,“ kiedy jej były opowiedziano losy potomstwa Adelaidy, ile razy po-

wtarza *credo* Pascala, z którego oczywiście niewiele zrozumiała; gdy go zapewnia, że jest „jego sługą, dziełem, rzeczą, że jest z nim i dla niego, że jego tylko kocha i pragnie,“ nikomu na myśl nie przychodzi zwycięska moc drzewa genealogicznego Rougon-Macquart'ów, tylko ten siniak, na łopatkę zbuntowanej uczennicy, odcisnięty żelazną dłonią mistrza, który stygmatem energii, niezupełnie duchowej, napiętnował swoją własność.

I nie już nie pomaga wschodni tej eklogi koloryt; na nie się nie zda fatazyja Klotyldy, ilustrująca ten starożytny stosunek w wizerunku Dawida i Sunamitki Abizaigi; widok patryarchy z białą brodą, wspartego na ramieniu dziewczęcia, przypomina tylko, że córki Lota były podobną dla ojca swego podporą, a te reminiscencye tem uporzeczywiej nawiedzają myśl czytelnika, im upartsze czyni autor wysiłki do transponowania pieśni młodzieńczego uczucia na trzęsący głos starości. Nie mówi się, patrząc na tę parę: „ach, jak oni się kochają!“—tylko: „jacy oni muszą być oboje zepsucil“ Otóż zepsucie, otwarcie traktowane, tak, jak to Zola potrafi, mogło być przyciągnąć mu pewną kategorię publiczności; ale przystrojone w zmysłowy sentymentalizm, odstręcza. Pascal i Klotylda są nie tylko fałszywi, ale i nudni w tej swojej sztucznej sielance, która wtedy dopiero zaczyna cokolwiek interesować, kiedy się do niej wciska jedyny, rzetelnie ludzki pierwiastek—cierpienie; a następuje to z przyczyn, nie wspólnego ani z miłością, ani z nauką nie mających.

Po kilku miesiącach upojenia, Pascal dowiaduje się, że jest zrzucony wskutek ucieczki notaryusza, który prowadził jego interesa. Z początku kochankowie nie trwożą się tem zbyt; dopóki chodzi tylko o zredukowanie wydatków, bawi ich ta bliskość ubóstwa. Ale kiedy wyczerpał się fundusz Pascala na czarną godzinę, kiedy upominającego się o zaległe honorarya doktora z kwitkiem odprawiono, gdy wreszcie i Klotylda sprzedała swoje klejnoty, bieda nie na żarty zagląda do gniazdka kochanków. Z tego momentu psychologicznego korzysta zręcznie pani Felicycja Rougon, ażeby zerwać związek, hańbiący „rodzinę.“ Daje więc Pascalowi do zrozumienia w liście bezimiennym, po którym syn matkę poznaje, że obowiązkiem jego jest zabezpieczyć egzystencyę i szczęście Klotyldy, odsyłając ją do Maksyma, potrzebującego zresztą jej pomocy. Nie dość na tem; z insynuacyi w liście wnosi Pascal, że go Klotylda nie kocha, że go nigdy nie kochała i że odgrywa komedycę miłości, przez wdzięczność dla mistrza, przez litość dla zakochanego starca, który ją poświęca dla potwornego egoizmu, a za oddaną mu w ofercie młodość, zostawi jej w spadku wstyd i nędzę. I oto człowiek, wyznający w ciągu sześćdziesięciu lat jedynie „kult życia,“ staje się odrazu bohaterem obowiązku, a nawet dla skłonienia

Klotyldy do wyjazdu zdobywa się na „heroiczne kłamstwo,“ które ma przekonać kochankę, że ostygł dla niej pod wpływem rozbudzonej na nowo namiętności do nauki. Jakim sposobem Pascal, przyjąwszy miłość Klotyldy, może wyobrazić sobie, że go wychowanka nie kocha i to wtedy właśnie, kiedy autor maluje jej namiętność barwami, nie pozostawiającami pod tym względem żadnej wątpliwości; a jeżeli Pascal dobrowolnie oczy zamyka, czem się to dzieje, że Klotylda wierzy w podane przezęń powody rozłączenia, to już są tajemnice psychologii Zoli, która po-za sferą najgrubszej erotyki przygotowuje czytelnikowi same niespodzianki.

Zostawszy sam, Pascal chciał-by zatonać w pracy, lecz myśl o Klotyldzie nazawsze straconej robi z niego męczennika samotności. Mógł-by ją napowrót przywołać; dość było-by na to jednego słówka—on jednak tego słówka nie napisze. Woli cierpieć, a gorączkowy niepokój, dni wyczerpujących studyów, bezsenne noce, wypełnione paroksyzmami rozpaczy, sam wysilek woli wyteżanej ustawicznie w uporeczywej abnegacyi, wywołują chorobę serca, której napady coraz groźniejsze, muszą się zakończyć śmiercią. Pewnego rana Klotylda pisze do Pascala, że się znajduje w stanie odmiennym i tego samego dnia przychodzi wiadomość, że większa część majątku doktora może być odzyskana. Pascal telegrafuje do młodej kobiety, żeby wracała, ale trwoga oczekiwania ponawia atak, który tym razem zabija chorego przed powrotem Klotyldy. W chwili śmierci Pascala, Felicycya, porozumiawszy się ze starą służącą, wykrada ostatecznie i niszczy przekłete akta, podczas kiedy Klotylda cała oddaje się boleści przy zwłokach Pascala. Jedno tylko drzewo genealogiczne, zapomniane przez obie kobiety, ocalało od płomieni. Na najwyższej jego gałęzi, Pascal przed śmiercią wypisał w ostatnim wysiłku imię dziecka, które się wkrótce narodzi. W tem dziecku odżyje rasa Rougonów; z niem to widzimy na ostatnich stronicach powieści Klotyldę, obraz odmładzającej się ustawicznie ludzkości, matkę, uśmiechniętą do zawieszzonego u jej łona niemowlęcia, które będzie jutrzejszym geniuszem, odnowicielem Francyi, „messyaszem, przeznaczonym do wydobycia ludów z ich zwątpień i cierpień,“ a które w tej chwili, ssąc pierś rodzicielki, trzyma rączkę do góry wyprostowaną. „jak sztandar, zwywający do życia.“

Nie przesadzając przyszłości zrodzonego ze szlachetnej krwi Rougonów odnowiciela i messyasa, (trzeba to zostawić wyobraźni matki),—dla którego widocznie, przez wzgląd na Francję i ludzkość, dziedziczość wstrzyma działanie swych praw nieublaganych—zaznaczymy tylko ostatnią konsekwencję teoryi „naukowych“ Zoli stwierdzeniem osobliwszego faktu, że ów nowy przedstawiciel Rougon-Macquart'ów jest synem człowieka, o którym zapewniano nas niejednokrotnie w cią-

gu opowiadania, iż „nie należy do rodziny“ i kobiety, której ani matka, ani dziad po kądzieli nie figurują w drzewie genealogicznym. To nas ostatecznie upoważnia do skończenia z romansiem dziedziczności i do zwrócenia się w stronę owego „wezwania do życia,“ streszczającego filozoficzną tezę książki.

Ta filozofia jest naturalnie owocem walki między pozytywizmem i „mistycyzmem“ i tu znów temperament Zoli, nadający zwykłemu objawom życiowym olbrzymie rozmiary i symboliczne formy, rozpędziwszy się na tej drodze, z tą samą łatwością zrobił Pascala przedstawicielem całego kierunku umysłowego, z jaką losom jednej rodziny przyznał znaczenie historii swego kraju, a nawet rodu ludzkiego, wycinki z gazet ocenił jako dokumenta naukowe, przeznaczone do zrewolucjonizowania całego świata, a w teorii dziedziczności zamknął całkowitą o życiu i człowieku naukę. Oko w oko z tym symbolem, któremu śnieżne pukle dodawać mają powagi, staje wcielenie „mistycyzmu...“ kobieta. Głęboka intencja!... bo jakkolwiek „mistycyzm,“ taki zwłaszcza, jak go Zola pojmuje, dość często zdarza się i między mężczyznami, to kiedy idzie o rzecz, której żaden „pozytywista“ na seryo brać nie zechce, można ją zasadniczo upostaciować tylko w kobiecie. Dlaczego ta kobieta ma głowę „okrągłą, jasną i solidną,“ co autor przy każdej sposobności aż do znudzenia powtarza, zamiast należeć, jakby według nauki doktora Pascala wypadało, do kategorii „długogłowych,“ ogarniającej wszystkich marzycieli i ideologów? Znowu głęboka intencja! Z typu czaszki Klotylda powinna była być indywidualnością „jasną i solidną“ (że jest okrągłą, dowiedzieliśmy się z częstych niedyskrecji autora); jeżeli jednak zadaje kłam kraniologii, to jedynie dlatego, że, jak się domyślać należy, jej aspiracje do „nieznanego“ są tylko sztuczną naleciałością. Rzecz dziwna jednak, że ta naleciałość dość była silną, ażeby się oprzeć „poglądom“ i „ideom“ mistrza, którymi, jak nas objaśniano, doktor Pascal dzielił się ze swoją uczennicą i trzeba było do zdmuchnięcia jej aż burzy, wiejącej przez konary drzewa genealogicznego. Wobec tej nadzwyczajnej okoliczności, nie dowiemy się naturalnie nigdy, co się składało na duszę Klotyldy: jakim w niej pierwiastkiem była religia, wyzyskiwana przez Felicję Rougon i starą Martynę, na czym znów opierała się utajona pozytywistka; w którą stronę i do jakich właściwie ideałów posyłała westchnienia i co na nią więcej oddziaływało pod drzewem genealogicznym, które widocznie odegrało rolę drzewa wiadomości—czy bardzo młoda wiedza, czy bardzo stary wąż?

Jeżeli niezbyt wyraźnie wyglądają walczący, to jeszcze mniej dowiadujemy się od autora o środkach walki. On kolekcjonuje stare gazety, ludziom wstrzykuje płyn Brown-Séquarda, ona maluje róże „o zakrwawionem sercu, płaczące złotem jak siarka łzami.“ Sytuacji,

w których-by pojęcia obu stron starły się w konieczności decydujących czynów i które-by przygotowały ów mniemany przełom... wiecie, „tę noc straszliwą,“ ani śladu w książce. W takich warunkach kto kogo pokonał i czy może być wogóle mowa o zwycięstwie? Klotylda, uosobienie ducha antynaukowego, nawet po odebranej „lekcji życia“ nie przestaje „stawiać niebu odwiecznych pytań,“ na które mistrz nie umiał jej odpowiedzieć; a Pascal, stygnąc dla nauki, w miarę, jak wzmagala się jego temperatura erotyczna, natrafił u swoich chorych na osobliwsze formy wiary, dzięki którym, mógł czystą wodę z równym skutkiem, jak płyn Brown-Sequarda, zastrzykiwać. Gdzie tu zwycięzca, gdzie tu ujarzmiona? Jeden tylko tryumf nie ulega wątpliwości i ten dał-by się bardzo poprostu wyrazić w aforyźmie Pana Jowialskiego; czy warto jednak było pisać książkę o czterystu blisko stronicach, ażeby z kolizji między wiedzą a „mystycyzmem“ wyprowadzić sens moralny:

...„Z tej nauki wnuki!“

Bądź co bądź, tym właśnie argumentem idea książki, a nawet nowa filozofia Zoli znajdzie sobie zapewne drogę do czytelników, odpowiednio nastrojonych. Bo widnieje w „Doktorze Pascalu“ pewien zwrot Zoli w kierunku optymistycznym. Dawniejszy jego pesymizm głosił na ruinach sponiewieranej natury ludzkiej: „bodajby się nie rodzić;“ dziś dowiadujemy się nie tylko że trzeba, lecz że warto żyć. Optymizm ten jest naturalnie tylko odwrotną stroną grubego, elementarnego naturalizmu, dla którego dobro i zło mają jedynie znaczenie wytworów naszego mózgu, pozbawionych wyższej sankcji i niezależnych od naszej woli i który wybiera sobie jedynie lepszą i wygodniejszą rolę, bo zamiast przesycać goryczą obserwacje nad względnością cnoty i występku, woła: „żyjmy—mniejsza o to jak, ale żyjmy!“ Jest w tej optymistycznej wierze w zwycięstwo życia jakiś fatalizm, nie ustępujący w niczem „konieczności“ pesymistów; ale i tu potyka się Zola o niekonsekwencję; jeżeli bowiem doktor Pascal pracuje nad sformułowaniem praw dziedziczności, w celu przekształcenia za jej pośrednictwem rodzaju ludzkiego, to co się stanie z ostatecznem twierdzeniem, że trzeba pozwolić ewolucji spełnić się samej z siebie? i jak przytem wygląda rzucone młodzieży hasło pracy? Dotychczasowy pozytywizm Zoli obezwładniał duszę, paraliżował wszelkie do czynu rozpędy; czy dzisiejszy, nawskroś materyalistyczny optymizm, stanie się skuteczniejszym bodźcem? Na co praca i wysiłek, skoro ewolucya dokonywa się bez nas? Niema więc powodu niepokoić się i myśleć o czem innem, prócz tego, żeby żyć. Wszakże doktor Pascal nie troszczy się na-

wet o to dziecko, którem go ma obdarzyć Klotylda. Mniejsza o to, czem będzie; dość, że łańcuch życia przedłuży o jedno nowe ogniwo.

Wyznaję, że o tego potomka Rougon-Macquart'ów jestem troskliwszy od rodzonego ojca, zwłaszcza odkąd wyczytałem u jednego z krytyków francuskich, że „Doktor Pascal“ ma być próbą ożenienia realizmu z pewną aspiracją do ideału. Takie symboliczne tłumaczenie ostatniej powieści Zoli, o tyle trafiło-by mi do przekonania, że przedstawiciel naturalizmu w tem niedobranem stadle przeniósł się do wieczności, zostawiając syna, który mnie właśnie dlatego interesuje, że nie wiem, czem będzie. Dumas młodszy, odpowiadając komuś na dość złośliwą napaść za brak realizmu, zakończył pełną wytwornego dowcipu replikę temi słowy: „Oby syn pański, *który niezawodnie będzie idealistą*, ocenił pobłaźliwie realizm swego ojca, aniżeli pan mnie osądził.“ Jest wiele prawdopodobieństwa, że w niedalekiej przyszłości wypadnie syna Pascala-Zoli mitygować w jego względem własnego rodzica surowości. Na idealistę ma sporo kwalifikacyi. Zrodzony z naturalizmu, dokonywającego ostatnich dni swoich, więcej wziął krwi żywej, świeżej od matki, której głowa „okrągła, jasna i solidna“ niedługo zapewne zatrzymała pamięć „owej strasznej nocy“ i z łatwością przyswoiła sobie inną „lekcję życia,“ wyłożoną na innem drzewie genealogicznem, wykazującym z równą oczywistością mnóstwo między ludźmi cnót i przymiotów. Więc ten młodzieniec na „początku wieku“ powie zapewne: „Ojciec mój miał duży talent, ale mu nieokiełznany temperament rzadko pozwalał być artystą. Nerwowy, jak Goncourt'owie, od których wziął hasło „dokumentów ludzkich,“ burzliwy, jak Balzac, obdarzony, jak Flaubert, zdolnością uplastyczniania świata zewnętrznego, trapiiony manią wyolbrzymiania wszystkiego w symbolach à la Wiktor Hugo, miał wszelkie wady i zalety naturalistów, których za poronionych synów romantyzmu uważać można. Natury swojej nie znał wcale i uważając się za najobiektynniejszego z pisarzy, za przedmiotowego malarza nagiej przyrody, dla efektu wątpliwej wartości nadawał wszystkiemu, czego się dotknął grubą ręką, przesadzone kształty. Amator w naukach przyrodniczych, przyrównywał swoją twórczość do doświadczeń chemika i nie zdając sobie sprawy ze śmieszności takiego zestawienia, był przekonany, że jednostki ludzkie można w mózgu, jak pierwiastki w retorcie, kombinować i że przedstawianie tych związków jest zadaniem „naukowego pisarza.“ Na młodzież francuską, nawet na umysłową Europę, miał wpływ silny; średnie zwłaszcza a surowe, dzikie talenta, niezdolne, jak on sam, do uchwycania odcieni, gromadziły się koło niego. Będąc z natury burzycielem, miał artystyczną ambicję tworzenia nieśmiertelnych z krwi i kości ludzi; ale jako bojownik fiowych czasów, zbyt rodzajem ludzkim pogardzał, żeby się zdo-

być na spokojne, pewne i jasne wejrzenie, żeby wysledzić subtelne sprzeczności duszy więcej skomplikowanej. Istny syn rasy łacińskiej, dawał swoim bohaterom jedną wyłączną namiętność, oddając ich na pastwę ślepych sił i zewnętrznych czynników. Sztuka jego była demokratyczną, jak muzyka Wagnera, odbierająca najszlachetniejszemu instrumentowi, głosowi ludzkiemu jego arystokratyczne znaczenie, ażeby go wpleść do orkiestry, która odgrywa rolę starożytnego chóru. Był okrutnym, jak wszystkie świeże natury, jak wszyscy barbarzyńcy, zajęci uprzątaniem spuścizny. Z krytycznych jego dzieł odzywała się jednostronna, demoniczna prawie osobistość, która tem silniej pociągała pozbawione samodzielności umysły, im bardziej się myliła, im większe popełniała niesprawiedliwości. Z całego tego polemicznego arsenału, najdosadniej scharakteryzowanego w nazwie jednego z pocisków: „Moje nienawiści,“ z całej słynnej formuły człowieka, jako „istoty fizyologicznej, działającej w pełni wszystkich swoich organów,“ co dziś po odrzuceniu grubej łupiny frazesów pozostało? Ziarnko dość drobne: obserwowanie zmysłami wrażeń i sensacyi człowieka zmysłowego, w atmosferze oddziaływającej na niego tylko widomemi, materialnemi wpływami; opisywanie przedmiotu żywego, o ile go można zobaczyć, usłyszeć, powąchać, dotknąć, w otoczeniu przedmiotów martwych, o ile je można zobaczyć, usłyszeć, powąchać, dotknąć—słowem, wyłączna troska o odtworzenie powierzchni życia z protokółów i inwentarzy, spisanych z ludzi i z rzeczy, i gospodarowanie w tym gabinecie systematycznego archiwisty—rozczochranej fantazyi malarza, która naturze daje fizyognomię, odpowiadającą stanowi nerwów bohatera, otoczenie robi powiernikiem... ale nie smutków tęsknot, boleści, tylko instyktów i żądz ludzich. Wśród takiego świata zewnętrznego, występował człowiek, popychany zwykle jakimś specjalnym impulsem fizyologicznym, który, w miarę rozwoju akcyi, wzrastał w potężną siłę, wzmagając się pod działaniem spikniętych na bohatera żywiołów całej jego atmosfery. Wtedy promień, rzucony przez malarza pod pewnym kątem na tło obrazu, wydawał się jedynem jego możliwem oświetleniem; odosobnione spostrzeżenia z dziedziny fizyologii przywłaszczwały sobie rolę *fatum*, zawieszającego nad aktorami zmysłowej tragedyi nieubłaganą grozę, a pod jej działaniem wytwarzał się rodzaj gorączki, która ogarniała stopniowo wszystko i wszystkich: przedmioty, ludzi, wypadki, wreszcie... czytelnika.

„Była taka chwila, kiedy mój ojciec sam istotę tej halucynacyi ocenił, pytając w jednym ze swych dzieł, skąd się ma wziąć równowaga w mózgu, kiedy podobne fantasmagorye błakają się pod czaszką? Jesteśmy—mówił—świadkami i aktorami bankructwa stulecia. Zbytek działalności i dumy ze zdobytej wiedzy musiał nas przerzucić w zwąt-

pienie; ten wiek, który tyle rozlał światła, musiał skończyć się pod grozą nowej fali ciemności. Pessimizm pożera wnętrzości, mistycyzm zasnuł mgłą mózgi. Jesteśmy nie zakończeniem, lecz przejściem, początkiem czego innego. To jedno mię też uspokaja, że zdążamy ku czemuś rozumnemu i trwałemu.“

Do tych ostatnich słów, zacytowanych przez przypuszczalnego syna w domniemanym jego sądzie o ojcu, godzi się dodać wyrazy nadziei, że tak istotnie będzie; tylko „Doktor Pascal“ nie jest jeszcze początkiem czegoś „rozumnego i trwałego“ i należy do rzędu tych fałszywych porodów, które się zawsze Zoli przytrafiają ilekroć rozmyślnie czy też mimowolnie wkracza w dziedzinę psychologii. Życie wewnętrzne, wybiegające po-za sferę sensacyi, jest dlań absolutnie zamkniętem, a kusząc się o przedstawienie go, staje się niezgrabnym, sztucznym, tworzy, jak mu uczniowie jego w słynnym proteście powiedzieli: „retorycznych pajaców i potworne sylwetki,“ spada do poziomu mierności. Obdarzony mistrzowskim talentem dekoracyjnym, potężny, ilekroć maluje wielkie masy, Zola jest dopiero u siebie w ramach epickich, kiedy w „Germinalu“ rzuca wielkim impulsem twórczości dramat podziemnej niedoli na tło dantejskiego piekła, lub gdy z walki narodów wysnuwa dziejową tragedję. Dlatego to lepiej może było nie pisać „Doktora Pascala“ i „Pogromem,“ zamknąć „epopeę“ Rougon-Macquartów, jeżeli już o epopei koniecznie ma być mowa tam, gdzie skromny Balzac kontentował się „komedyą ludzką.“

W. BOGUSŁAWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Ks. Jan Fijałek. „Średniowieczne ustawodawstwo synodalne biskupów polskich. I. Życie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej na tle ustawodawstwa synodalnego.” Kraków, 1893. (Str. 59).

Autor zaznacza na początku swej interesującej i gruntownej rozprawy: że nieraz już podnoszono i wykazywano, jak wielką posiada doniosłość ogłaszanie i badanie pomników kościelnego prawa partykularnego dla rozjaśnienia wielu instytucji prawa powszechnego i dla lepszego zrozumienia politycznych i kościelnych dziejów danego kraju lub narodu, a to gdy wyłuszcza w systematycznym opracowaniu jego stosunki prawne i rozwój instytucji poszczególnych.

U nas, jak twierdzi ks. Fijałek, na tem polu już zrobiony początek. Dość przytoczyć obie publikacje statutów synodów prowincjonalnych Helcla i Hubego, prace księży: Jabczyńskiego, Mętlewicza, Fabiśza i Gromnickiego, a przedewszystkiem cenne wydawnictwa źródła i rozprawy prof. Ulanowskiego. Zebrany i ogłoszony do obecnej chwili materiał z zakresu ustawodawstwa synodalnego w Polsce pozwala już w części na systematyczne jego opracowanie. Zawarte w nim rozporządzenia synodalne biskupów polskich nie zostały dotąd jeszcze ujęte w całość systematyczną. Praca niniejsza, oświadcza autor, jest pierwszą próbą studyów tego rodzaju, pożądaną ogólnie dla historii prawa kanonicznego i zarazem dla dziejów kościoła w Polsce.

Rzecz o życiu i obyczajach niższego kleru w Polsce dzieli autor na trzy ustępy. W pierwszym omawia szczegółowo strój osób duchownych, w drugim przedstawia zajęcia i zabawy niedozwolone, w trzecim zaś kreśli stosunek kapłana do kobiet i prawną stronę konkubinatu.

Czystość obyczajów winni okazywać duchowni już w samej swojej postawie, w zewnętrznym ubiorze swojej osoby. W przeciwnym razie duchowni, nie stosujący się do tego przepisu, wyjawiają przed światem to, co w sercu noszą (zwód Trąby, 1425). Przepisy dotyczące stroju osoby duchownej obejmują nakaz noszenia tonsury i korony kleryckiej z zakazami zbytniego pielęgnowania włosów i brody; polecają zaś ubiór, który od świeckiego różnić się powinien prostotą i skromnością. U nas, wobec zwyczaju strzyżenia włosów, który zachowywano w stanie świeckim, przypomnienie używania tonsury księżej nie było zbyt ważnym dla duchowieństwa, zwłaszcza parafialnego. Ponieważ napaści na duchownych bywały wówczas częstymi, więc w celu ochrony i zachowania przywilejów stanu duchownego trzeba było wciąż powtarzać ustawę kościelną o noszeniu tonsury i korony kleryckiej.

W wieku XV okazała się potrzeba bliższych określeń w tym względzie. Mianowicie statuta dyecezyi wrocławskiej wspominają o niezwykłym tego rodzaju nadużyciu; miasto bowiem przepisanej tonsury kleryckiej, nosiło duchowieństwo kujawskie za czasów Jagiełły wieńce na głowie. Zakaz pielęgnowania włosów i wieńczenia głowy, żadną nieobostrzoną karą, nie odniósł skutku. Było to nadużycie rodzime, które się z wielką trudnością w myśl żądań prawa kościelnego wykonywać dawało. Pozostało też ono nadal i przetrwało wiek cały, nie w samej jednej tylko dyecezyi kujawskiej. Z ogólniejszym zakazem pielęgnowania włosów łączy się szczegółowy nakaz golenia a raczej niezapuszczania brody. Z naszych statutów synodalnych tylko dyecezyalne z początku XV wieku zabraniają nosić brodę duchownym. Później w wieku XVI była broda w naszej literaturze satyrycznej bardzo prześladowaną i statutami synodów prowincjonalnych zakazaną.

Co się tyczy sukni osób stanu duchownego, to synody prowincjonalne w Polsce wydały, podobnie jak i na zachodzie Europy, następujące przepisy: suknie nie miały być ani czerwone, ani zielone, lub pstre i kwieciste, ani zbyt długie, za krótkie, lub z niestosownymi rękawami, buty zaś nie ściągane ani spiczaste. Nie wszędzie jednak przestrzegano zakazu biskupów naszych. Suknia świecka była przyjętą powszechnie w wiekach średnich przez cały ogół kleru parafialnego. Tak było np. w dyecezyi kujawskiej; tem bardziej należy tak sądzić, że jej statut synodalny z początku XV stulecia żadnej nie wymierzył kary na tego rodzaju przestępców. Dopiero biskup wrocławski Jan „Pella” na sy-

nodzie odbyty w Radziejowie w r. 1427 postanowił: że nie wolno niższemu klerowi ubierać się w suknie, zwane „Kassanijcze”, pod groźbą ich konfiskaty przez wizytującego archidyakona na rzecz ubogich. Statuta krakowskie (1392—1396), plockie (1398—1423) i poznańskie (1420—1422), nakładały karę pieniężną na kleryków, chodzących w sukniach świeckich. Dyecezya plocka zagrażała nawet opornym klątwą i utratą przywileju „fori clericalis”, ale, jak pouczają źródła współczesne i stwierdzają przykłady późniejsze z XVI wieku, nie tyle sami księża, co zuchwali i rozpustni scholarowie, używający praw stanu duchownego, winnymi byli tych wykroczeń.

Zakaz używania ostrej broni, dotyczący osób duchownych, określały rozmaicie statuta dyecezyalne: w plockiem wzbroniono duchowieństwu nosić broń zaczepną, jak np. pociski (katapulty) i łuki (baliste, arcus); włocławskie statuta dodały jeszcze miecze, kordy i włócznie. Inne przepisy, jak np. krakowskie, podają jedynie ogólnikowy zakaz tej treści: że broni, zwłaszcza kordów, nie wolno nosić duchownym przy boku, chyba w podróży, na co zresztą pozwala ustawa powszechna, lub gdyby im zagrażało jakie niebezpieczeństwo, zwłaszcza napaść ze strony osobistego nieprzyjaciela.

Przeciwny ogół niższego duchowieństwa w wiekach średnich, zarówno życiem, jak obyczajami, nie był dla wiernych swych parafii przykładem. W jednym i drugim kierunku szedł kler za przykładem laików, co wywoływało liczne narzekania ludzi świeckich. Na szczególnie też uwagę zasługuje zakaz (1279), aby plebani nie szynkowali wina w swych domach. Synod uniejowski z r. 1326 nałożył na niepoprawnych, zamiast cenzury kościelnej, dotkliwszą karę pieniężną w kwocie trzech grzywien, lub, gdyby jej uścić nie mogli, pokutę przymusowego pobytu przez miesiąc w klasztorze. Zdarzało się często, że pleban, mając w posiadłościach swego kościoła nadaną karczmę, nie wypuszczał jej w dzierżawę, ale sam nią zarządzał i osobiście lub przez scholarów sprzedawał w niej trunki i pożywienie. Instrukcyja włocławska z XV wieku pyta się nietylko o upijających się plebanów, ale także dowiadywać się także wizytatorom o tabernatorów czyli o plebanów utrzymujących szynki. Nie sam jeden kler kujawski był winnym tych wykroczeń. Gdzieindziej jednak, jak np. w Przemyskiem, statuta synodalne (1445) wprost zezwalały na wolny wstęp do karczmy, ale samym tylko prałatom. Najciekawszą zaś jest rzeczą, że biskupi polscy walczyć musieli nietylko z niższem duchowieństwem, uczęszczającym do karczmy, ale jeszcze zakazywać, ażeby sędziowie duchowni, zwłaszcza dziekani miejscy, nie odprawiali w karczmach przy kieliszku sądów kościelnych i przytem się nie upijali, a nadto musieli zabraniać, by w zawieraniu tam małżeństw udziału nie brali, jak się to działo w dyecezyi krakowskiej w pierwszej połowie XIV wieku.

Na równi z pijaństwem kładą stare kanony kościelne nałogową grę w kości, która w wiekach średnich należała do zwykłych i ulubionych rozrywek duchowieństwa za granicą i u nas w Polsce. Nie wynikało stąd wszakże, iżby już wszelka gra duchowieństwu była zakazaną; nawet ryzykowną w kostki wolno się im było zabawiać, ze słusznej przyczyny i bez zgorzeń dla otoczenia, zwłaszcza ludzi świeckich. W tym też duchu obiedwie instrukcye wrocławskie z XIV i XV wieku nakazują badać wizytatorom kler parafialny, czy i którzy z duchownych uprawiają stale grę w kostki lub jej podobną a nieuczciwą, bo ryzykowną i nałogowo uprawianą.

Co się tycze rodzaju gier, które były w użyciu w Polsce średnio-wiecznej, to nasze przepisy synodalne wymieniają prawie tylko samą grę w kostki i galki; karty podówczas były bowiem niezmierną rzadkością i rzeczą zbyt kowną. Gra w szachy była już dostatecznie znaną w Polsce za czasów Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego. W XIV wieku zakazały u nas niektóre statuta synodalne gry w szachy po klasztorach, a synod plocki z r. 1398 ograniczył ją wśród kleru świeckiego.

Zakaz tańców pojawia się w niektórych statutach dyecezyalnych u nas dopiero z początkiem XV wieku. Mianowicie mówią o tańcach przepisy wrocławskie i poznańskie i w tem obydwą są zgodne, że wzbraniają duchownym dowodzić tańcami. Prócz tego pojawiały się przepisy, stanowiące, żeby duchowni nie brali udziału w zgromadzeniach bractw cechowych, na których bawiono się tańcami.

Konstytucya uniejowska z r. 1326 przepisuje między innemi, by duchowni żadnego nie brali udziału w widowiskach i zabawach publicznych, a to samo powtórzył synod kaliski z r. 1420. Ogólnikową wzmiankę przepisów synodalnych odnieść można do owych widowisk i rozrywek publicznych, które rzesza wędrownych kuglarzy i rybaltów, bądź w kompanii, bądź z osobna, dawała po karczmach, na jarmarkach, na ulicy lub przed kościołem, gdzie się targi odbywały. Synody nasze przestrzegają duchownych, ażeby się nie wdawali z kuglarzami i lutnistami, ani też ich nie utrzymywali z dóbr duchownych. Na synodzie w Uniejowie r. 1326 przypomniano duchowieństwu znane postanowienie dekretu Innocentego III, obostrzywszy je groźbą klątwy „ipso facto”, a nadto pod tą samą karą wzbroniono tak duchownym, jak i świeckim osobom, urządzać zabawy, igrzyska zabobonne, obchodzone w wigilie świąt uroczystych, a zwłaszcza Bożego Narodzenia.

Synod uniejowski z r. 1326 przepisywał, żeby się duchowni trzymali zdala od takich kobiet, z którymi często obcując, lub nawet z niemi pod wspólnym dachem przebywając, ściągnać-by przez to mogli na siebie podejrzenie życia niepowściągliwego. Nasze przepisy synodalne

aż do XV wieku nie bawią się w szczegółowe wywody w tym kierunku. Nie wszyscy też ustawodawcy prawa partykularnego naszego kładli główny nacisk na okoliczność dobrej sławy kobiety, pozostającej w mieszkaniu osób duchownych, a przeto wolnej od wszelkich podejrzeń, chociażby nie była ich krewną. Powoli też i z wielką trudnością dokonywało się w Polsce dzieło reformy gregoryańskiej. Tem się też tłumaczy, że ustawodawstwo synodalne użyło surowszych środków, aby znieść pożycie małżeńskie naszego kleru, na które w szczególności jeszcze w ciągu XIV stulecia uskarżają się przepisy dyecezyalne krakowskie i włocławskie.

Surowe środki przeciw konkubinatom duchownych zmodyfikowały niektóre statuta prowincjonalne. Modyfikacja ta polegała na zupełnem zniesieniu ekskomuniki, jak to już było od niewielu lat (1408) w dyecezyi krakowskiej, oraz na złagodzeniu wymiaru ostatecznej kary wyzucia z beneficyum kleryka-konkubinaryusza, który je posiadał, a to w ten sposób, iż po upomnieniu go bezskutecznem trzechkrotnem następowała za pierwszym razem kara pieniężna w kwocie trzech grzywien, za drugim ciężkie przez miesiąc więzienie, w końcu dopiero usunięcie z urzędu „ipso facto.” Przeciwnie się działo w dyecezyi płockiej i poznańskiej: kara kłatwy pozostała tutaj nadal obowiązującą, nadto sama utrata beneficyum dokonywała się daleko prędzej.

W testamentach nie wolno było rządcom kościoła nie przeznaczać z własności kościoła i dochodów nabytych z urzędu, pod karą nieważności. Jeśliby zaś czynili wbrew przepisom, to ich następcy winni czynności nielegalne odwołać, a gdyby nie chcieli tego uczynić, będą zmuszeni do tego przez biskupa. Kler średniowieczny niemałych dopuszczał się w tym względzie nadużyć. Przepis synodu kaliskiego z r. 1420 wyprzedził jedyny w naszym ustawodawstwie a bezwzględny zakaz testowania z dochodów kościelnych; inne nasze synody zachowują milczenie w tym przedmiocie.

Taką jest w ogólnych zarysach treść rozprawy ks. Fijałka. Autor przedstawił z wzorową dokładnością ustawodawstwo nasze synodalne, normujące życie i obyczaje duchowieństwa, przyczem wytknął osobliwości statutów dyecezyalnych. Prócz tego ks. Fijałek nie omieszkał objawów życia naszego duchowieństwa zaopatrzyć w odpowiednie uwagi oraz spostrzeżenia porównawcze, przez co rozprawa jego stała się pełniejszą i więcej pouczającą. Dla historii naszego kościoła i prawa kanonicznego praca ks. Fijałka stanowić będzie cenny przyczynek.

A. REMBOWSKI.

„Dyabeł w poezji,” studjum przez *Ignacego Matuszewskiego*.

Temat to bogaty i wdzięczny dla literackiego badacza. Od wieków już zajął szatan miejsce poczesne w literaturze, stał się bohaterem kilku arcydzieł wszechświatowego znaczenia, odbijał w sobie wierzenia religijne i poglądy filozoficzne całych epok; w starożytności uosabiał pierwiastek złego, był straszidłem i zmorą wieków średnich, figurą komiczną doby odrodzenia, pośmiewiskiem pseudo-klasyków, aż dźwignął się pod wpływem poezji romantycznej do potężnych rozmiarów zbuntowanego archaniola i genialnego sceptyka, a za naszych czasów doczekał się, tytułem rehabilitacji hymnu Carducci'ego i litanii Baudelaire'a! Pierwiastki boskie i ludzkie składały się na różnaitości pełną naturę tej demonicznej kreacji, która od Arymana starożytnych Persów do byronowskiego Lucyfera jak kameleon się mieni i przechodzi gruntowne, a zda się niezliczone przemiany: Bo czemuż nie był ten duch ciemności, czego się nie imał, w jakiej nie jawił się postaci? Podstępny a lubieżny Kali, demon indyjski, walczący z Ormuzdem o władzę nad światem potężny Aryman, zdradliwy wąż „Genezy”, sprawca ludzkiej niedoli, szatan biblijny, kat i ciemiężca Hioba, kochliwy Asmodeusz, Samael, „bestya jadowita”, dyabeł kabalistyczny, demon Koranu, zuchwały Eblis, co na rozkaz Stwórcy nie chciał pokłonić się czołowi, ulepionemu z błota; romantyczny Merlin, syn zakonicy i dyabła, brutalny Robert Dyabeł, Inferus św. Nikodema, który szatanowi niedołęztwo wyrzuca, oraz cały szereg dyabłów angielskich, hiszpańskich, germańskich, włoskich, polskich, holenderskich, cały tłum biesów i czartów ludowych, kuszących i uwodzonych, przebiegłych i głupich, groźnych i komicznych, smutnych, zakochanych, a nawet poczciwych i naiwnych. Każdy wiek, jak zauważył Brandes, malował dyabła na obraz i podobieństwo swoje, każdy naród dążył do wytworzenia własnego typu szatana, którego istnienie kościół uznał i za dogmat postawił, z którym liczyło się prawodawstwo, o którym lud chętnie marzył, a poeci radzi wielali w kształty, artystyczne. Jakaż to obszerna dziedzina zjawisk ciekawych, a tak rozmaitych!

P. Matuszewski śmiało wkroczył w ten zaczarowany świat fantazyi, mnogości faktów się nie uląkł, nad przedmiotem zdołał zapanować i wykład poprowadził umiejętnie, z dużym nakładem erudycyi, choć nazbyt treściwie. Jego studjum, to właściwie systematyczny przegląd kreacyj demonicznych nie tylko w poezyi, lecz w literaturze powszechnej, uskuteczniiony na tle religijnem i filozoficznem. Aby treść tak obfitą zamknąć w szczupłych ramach niewielkiego tomu, autor musiał się streszczać i poglądy swe wypowiadać niekiedy bardzo lako-

nicznie. Straciły na tej szkicowości przedewszystkiem potężne krea-cye poczci nowożytnej, nie wyszły bowiem z dostateczną plastyką i utonęły w powodzi faktów.

P. Matuszewski bardzo trafne postawił sobie założenie, iż ojczyzną szatana jest dziedzina wierzeń religijnych, skąd dopiero za sprawą poetów dyabeł dostał się do literatury. W rozwinięciu tej myśli zasadniczej, doszukuje się autor w pierwszym rozdziale swej książki uosobienia złego w mitologiach ludów bałwochwalczych, usiłuje wykryć postacie szatanowi pokrewne zarówno nad Gangesem, jak w krainie Piramid, wśród piasków Arabii i na ziemi klasycznej, szpera w Mahabharacie indyjskiej i w irańskiej Zenda-Weście, posiłkuje się Homerem i Eschylosem; cytuje „Eneidę“ Wergilego i Owidyusza „Przemiany.“ Ale mimo, że starożytne wierzenia politeistyczne roją się od figur demonicznych, mimo złośliwych chochlików akkadyjskich, indyjskich Rakszaszów i greckich furyj, nader rzadko w tym tłumie duchów ciemności i złego można napotkać istotę, któraby w zupełności odpowiadała szatanowi. Nie jest nim bóg zniszczenia Siwa, ani Prometeusz, ani greccy tytani. Żadna z tych postaci nie da się utożsamić z upadłym a buntowniczym aniołem, o wybitnym indywidualizmie, z księciem ciemności, który ważył się na nierówną walkę ze swym Panem i Stwórcą i zawsze występuje jako wróg rodzaju ludzkiego. Wprawdzie Prometeusz toczy zacięte boje z Zeusem, ale Prometeusz, to bóg-bohater, przytem przyjaciel i dobroczyńca człowieka, a indyjski Siwa opiekuje się tylko demonami, sam zaś szatanem w ścisłym znaczeniu bynajmniej nie jest. Można zgodzić się z autorem, że najwięcej podobieństwa do naszego dyabła posiada staro-perski Aryman, potężny antagonistą dobrego Ormuzda, z tą jednak różnicą, że kiedy wojna szatana z niebem przynosi pierwszemu najczęściej klęski, to zapaśnicy irańscy równe posiadają siły i nie wiadomo, na czyją stronę przeważy się szala zwycięstwa.

Według zdania p. Matuszewskiego nawet szatan biblijny odgrywa bardzo podrzędną rolę, choć przecież uwodzi pierwszych ludzi w raju, jest sprawcą klęsk nieszczęsnego Hioba, gubi grzesznego króla Achaba, a nawet usiłuje skusić Zbawiciela! Dyabeł starego zakonu — to figura indywidualna i czynna, odepchnięta tylko głęboko w cień i przesłonięta przez wszechpotężnego Jehowę. W surowym a prostym monoteizmie żydowskim istotnie nie mógł szatan stać się rzetelną krea-cyą poetycką, bogatą w rysy znamienne; na to potrzeba było wieków średnich oraz reformacyi.

Do wytworzenia średniowiecznego szatana, figury plastycznej o indywidualnem obliczu, pełnego kontrastów i różnaitości, tego kusiciela nad kusiciela, księcia rozkoszy i bogactw doczesnych, szatana

chromego, z widłami Plutona, z ogonem i rogami, przyczynił się zarówno kościół, jak mitologia klasyczna, germańska, celtycka, słowiańska i inne. Kościół uznał istnienie szatana i zgodnie z Pismem świętem miał dyabła za upadłego archanioła, oraz „za przeciwnika Stwórcy i królestwa bożego na ziemi i w niebie.“ Fantazyja ludu wcielała to pojęcie złego w konkretne kształty, a czyniła to tem swobodniej, iż kościół, nie odnalazłszy w Biblii wskazówek co do zewnętrznych kształtów szatana, na fantazyjowanie w tym kierunku nie tylko najzupełniej pozwalał, ale, chcąc zohydzić w oczach świeżo nawróconych chrześcian dawnych bogów, degradował je do rzędu demonów. P. Matuszewski wykazuje dowodnie, że „po bogach greckich szatan odziedziczył niektóre atrybuty i symbole, jak kulawy chód Wulkanu lub widły Plutona, a zaś głupota i niezdarność olbrzymów germańskich odżyły w komicznej figurze dyabła, okpiwanego przez ludzi.“ Wpływy klasyczne ścierały się zatem z germańskimi, a przyznać należy, że mitologia germańska, oraz demoniczna poezya anglo-sasów wzbogaciły postać szatana dwoma nader ważnemi pierwiastkami, mianowicie dały mu humor i bezgraniczną dumę. To też literatura niemiecka i angielska poszczycić się mogą najpotężniejszymi postaciami szatana.

Przyczynił się do tego nie pomału protestantyzm. Rzecz godna uwagi, że reformacya, która kruszyć miała średniowieczne przesady, zniósła cuda i świętych, lecz dyabła nie tylko że uznała, ale wzmocniła nawet jego wpływ i potęgę. W krajach protestanckich bano się więcej złego ducha niżli w katolickich. Pan Matuszewski widzi w tem skutek zniesienia dogmatu czyśca, oraz zanik wiary w świętość i opiekę Najświętszej Panny, najgroźniejszej antagonistki szatana, pocieszycielki rodzaju ludzkiego, ścierającej po tysiąc razy głowę piekielnego węża, przechylającej w znany proces szatański szalę sprawiedliwości na stronę człowieka i wyrrywającej nierzadko grzesznika już ze szponów dyabelskich. To też prawy katolik, jeżeli nawet przez karygodną lekkomyślność zaprzedał duszę dyabłu, jak to uczynił średniowieczny kanonik Teofilus i nasz Twardowski, uciekał się w ostatniej potrzebie do wstawiennictwa Bożej Rodzicielki i świętych pańskich i wiecznego potępienia szczęśliwie unikał.

Nie mógł tak postępować protestant. Jego niebo stało się głuchem na rozpaczliwe wołania grzeszników, msze święte, posty, jałmużny i modły utraciły moc odkupienia. N. M. Panna i święci do rzeczy ludzkich nie mieszały się wcale. To też w pojęciach reformowanego kościoła, kto raz wdał się z szatanem, niechybnie stawał się jego łupem i ofiarą.

Poezya była wiernem odbiciem tych wierzeń dogmatycznych P. Matuszewski zestawia zwycięskiego dyabła protestanckiego

w „Fauscie“ Marlowe'a z bezsilnym i obezwładnionym demonem w „Magu cudotwórczym“ Calderona, i do takiej trafnej przychodzi konkluzji.

„Jeżeli „Mag cudotwórczy“ Calderona może być uważany za wspaniałą ilustrację i apoteozę katolickiej doktryny *wolnej woli*, to „Faust“ Marlowe'a jest artystycznym wytworem *protestanckiego fatalizmu*. Odpowiednio do tego kształtuje się i charakter dyabła u obu poetów. Dyabeł hiszpański traci wszelką władzę nad człowiekiem z chwilą, kiedy ten oddaje się dobrowolnie pod opiekę niebios, dyabeł angielski nie wypuszcza ofiary ze swych szponów, pomimo że ta modli się, jęczy i wierzy, iż „pół kropelki krwi Chrystusowej wystarczy do zbawienia duszy grzesznika.“

Autor w sposób bardzo loiczny wytłomaczył to znamienne zjawisko, iż w krajach protestanckich dyabeł w poezji stopniowo wzrastał w olbrzyma, podczas gdy u ludów wiernych katolicyzmowi powoli schodził na zwykłego oprawcę, błazna i poliszynela. Kościół katolicki obnażył dyabła z potęgi i grozy, w którą go na nowo przyodziął Luter. Wszyscy prawie poeci katolicycy odtwarzali figury szatana w dogmatycznym duchu, traktując dyabła nie rzadko z lekceważącym humorem. Taki szatan w „Teofilu“, to tylko głupowaty powiernik Lucypera, który najfatalniej przegrywa sprawę i w bezsilnej złości potrafi co najwięcej miotać obelgi na cały stan duchowny, wołając, że:

Gdyby dyablów nie stworzono
I nie bali się ich ludzie,
Toby księża w znojnym trudzie,
Niby chłopi szli za broną.

Nie lepiej przedstawia się arcydyabeł Machiaveli'ego „Belfegor“, nciekający do piekła przed własną żoną, którą pojął na ziemi z rozkazu Plutona, ani demon Calderona, zmuszony odwołać publicznie oszczerstwa, jakie rzucał na niewinnych ludzi, ani nawskroś hiszpański dyabeł-kaznodzieja, co w habicie franciszkanów, wbrew woli ogniste na cześć Boga wypowiada kazanie, ani zaślepiony głupotą i złością szatan św. Nikodema, któremu Inferus, król piekła, słuszne robi wyrzuty za to, „że dał się podejść niebu i pozwolił na ukrzyżowanie Chrystusa, co spowodowało upadek panowania piekielnego na ziemi.“

Nawet Dante i Torquato Tasso, obaj tak skłonni do patosu i grózy, nie stworzyli wspaniałej kreacji szatana, w czym pozostali wierni nauce kościoła, który dla zdrajcy i kusiciela żywił tylko wstręt i pogardę. Potężny władca królestwa boleści w „Komedyi Boskiej“ to bezduszny, złodowaciały olbrzym, to potwór ohydny o trzech obliczach

i o sześciu nietoperzych skrzydłach, druzgocący w trzech paszczekach nie tylko zdrajców, ale i bohaterów, których piekłu na pastwę podobało się rzucić poecie. Jeszcze mniej zajmującym, a bardziej wstrętnym jest Pluton śpiewaka „Jerozolimy Wyzwolonej.“ To nie figury demoniczne, czujące i żywe, lecz raczej monstualne straszzydła, budzące obrzydzenie i niesmak.

Inaczej przedstawia się poezya demoniczna, owiana duchem reformacyi. Już tryumfujący Mefistofeles Marlowe'a, pożądający duszy grzesznika dla tego tylko, aby mieć towarzyszków w nieszczęściu, posiada dane na kreacyę artystyczną, a ambitny Lucyfer Vondela, który chorągiew rokoszu podnosi w obronie zagrożonych praw państwa niebieskiego, toć to duch pokrewny greekim tytanom. A ostatnie słowo poezyi demonicznej wypowiedzieli trzej genialni pisarze, wyrosli w atmosferze protestanckiej; arcytypów szatana szukać należy w „Raju utraconym“, w „Fauscie“ i w „Kainie.“

Demony te świecą na szczytach sztuki. Najwspanialszy z nich, to szatan Milтона, najbardziej zajmujący—to Mefistofeles Goetego; najniebezpieczniejszy—to Lucyfer Byrona.

P. Matuszewski poświęcił tym trzem pierwszorzędnym kreacyom literatury demonicznej stosunkowo dosyć czasu i miejsca w swej książce, traktując jednak wykład szkicowo, nie mógł wykazać całej ich głębi duchowej. Na ogół jednak sądy autora trafne są i samodzielne, analiza krytyczna przeprowadzona umiejętnie. Mefistofela tylko sądzi p. M. nazbyt surowo. Szatan Goetego, „zlepek z płomienia i kału“, jak go Faust w chwili uniesienia nazywa, jest bardziej złośliwym, niż na wskroś złym, jest raczej genialnym szydercą i wyrafinowanym cynikiem, niż dyabłem od stóp do głowy, i reprezentuje w całej pełni „zjadliwy i palący krytycyzm francuzkiej filozofii oświecenia.“ Ten wyziębiony do głębi duszy sceptyk miewa jednak swoje chwile smutku i pognębienia. Gdy Faust żąda od niego zdolności odczuwania wszystkich bólów i nadziei tej ziemi, Mefistofeles odpowiada melancholijnie:

Wierz mi, że tylko tam, na wysokości
 Bogu jednemu dana taka moc!
 On w wiekuistej przebywa światłości,
 Nas zepchnął w otchłań, kędy ciemność gości,
 A wam na przemian daje dzień i noc.

Ze Stwórcą Mefisto przestaje na stopie przyjaznej, prawie poufalej. Stosunek ten bardzo sobie ceni i pilnie baczy, aby się nie popsuł. Gdy po rozmowie z Bogiem w prologu, Mefistofeles sam pozostaje, taką oto charakterystyczną wygłasza sentencyę:

Chętnie przed Jego przychodzę oblicze,
 Zrywać z nim sobie bynajmniej nie życzę.
 Zawsze to pięknie dla wielkiego Pana,
 Gdy tak po ludzku przyjmuje szatana.

Wszystko to, co w Mefistofelesie jest dyabelskiego, zostało wzięte z tradycyi i dla tradycyi zachowane, w istocie swojej jednak kreacja Goetego nie jest uosobieniem złego, lecz duchem przeczenia, doskonałym, żywym wcieleniem obalającego wszelkie powagi krytycyzmu i iście wolteryńskiego szyderstwa i dowcipu. Wszak bardzo często ten osobliwszy dyabeł przemawia głosem poważnego mędrca, co wzrok głęboko zapuścił w tajemnice bytu i wówczas dalekim jest od ironii i sofistyki. W nieporównanej scenie udzielania rad studentowi z ust Mefista złote słowa płyną, słowa niepodejrzanej prawdy, zakończone ową słynną przestrogą, iż „niedołącznem jest szkolarstwo wszelkie, a drzewo życia wiecznie się zieleni.“ Mądrość życiowa, myśl lotna a bystra, zjadliwa ironia i szalony dowcip bardziej złożyły się na tę jedyną w swoim rodzaju kreację, niż tradycyjne cechy średniowiecznego kusiciela.

Szatan Milтона, potężny duch pychy, imponuje swą ponurą wielkością w nieszczęściu. P. Matuszewski doskonale odczuwa demoniczny majestat głównego bohatera „Raju utraconego“ i wybornie go charakteryzuje, zdaje się jednak nie dość wyraźnie widzieć oblicze jego i postawę. A przecież ten nieugięty chociaż zwyciężony tytan z pod mistrzowskiej dłoni Milтона wychodzi bardzo plastycznie:

Pod ognistem sklepieniem, na ognistej ziemi,
 Cały był wskroś przejęty bólami straszniemi.
 Pośród chaosu miotał ponure wejrzenie.
 Jego wspaniała postać budzi podziwienie!
 Jeszcze nie wszystkie znikły blaski z jego czoła,
 W upadku nawet widać postać archanioła!
 Tylko oczy zapadły, policzki zezerniały,
 Przyćmiły blask i świetność jego dawnej chwały.

Namiętna żądza władzy, niezaspokojona, niezmierzona duma, upokorzona głęboko, wybuchają z piersi szatana z siłą żywiołową:

Tu panuję! przed nikim tu karku nie nagnę!
 A ja, chociażby w piekle, rozkazywać pragnę!
 W poniżeniu chcę władzy niepodzielnej użyć,
 Lepiej w piekle panować, niżli w niebie służyć!

Tak, to duch pokrewny Prometeuszowi, tylko jeszcze potężniejszy, bardziej winny i stokroć nieszczęśliwszy.

Ale najniebezpieczniejszą trucizną nienawiści i rozpaczę sączy w serca ludzkie Lucyfer Byrona. Mefistofelesa bała się Małgosia instyktownie, groźny szatan Milтона wcielał się w kształty zwierząt, aby kuścić pierwszych rodziców, Lucyfer jawi się oczom śmiertelnych w swej właściwej postaci i wpływ wywiera magiczny na dzieci Adama. Kain drży na całym ciele, gdy się doń zbliża dumny rokoszanin nieba, Ada nie może się oprzeć jego urokowi i z trwogą woła: „Nie kuś mnie twą pięknością, bo ty jesteś piękny, piękniejszy, niż wąż w raju, lecz równie fałszywy!“ A on do aniołów podobny, „tylko smutniejszy i bardziej ponury“, głosi niebezpieczne kłamstwa, że powodzenie rozstrzyga o tem, co złe, a co dobre, co prawda, a co fałsz, że gdyby on był zwyciężył w walce ze Stwórcą, nie Bogu, lecz jemu przynoszono by ofiary, a czyny jego dobremi by się zwały. Ale zwyciężył Bóg, zatem Bóg panuje! Ludzie zginają kolana przed siłą, zanoszą modły do szczęśliwego zapaśnika. I ten demon piękny a melancholijny wierzy w to, co głosi, podbija Kaina loiką swego rozumowania i potęgą nienawiści swojej i do okropnej popycha go zbrodni.

Po autorze „Kaina“ nikt się już nie zdobył na wspaniałą kreację szatana. Próby w tym kierunku nie udawały się wcale. Carducci i Baudelaire pisali tylko nadęte hymny do dyabła, zarówno bluźniercze, jak śmieszne. Wiktor Hugo w poemacie „Koniec Szatana“ na tło imponujące rzucił błachą i nikłą figurę symboliczną, bez powodzenia naśladowując miltonowskiego bohatera piekieł. Nawet erotyczny demon Lermontowa, choć cudnym przemawia językiem najczystszej poezji, jest raczej odbiciem Manfreda, a nie Lucyfera. P. Matuzszewski bardzo starannie doszukuje się pierwiastków poezji demonicznej w utworach Chateaubriand'a, Grabbe'go, Lenau'a, Madach'a, Flaubert'a, De Vigny'ego, Teofila Gauthier'a i innych, a znajdując wszędzie, zamiast drgających życiem postaci czarta, symboliczne cienie, dochodzi do wniosku, że „prawdziwa poezja demoniczna wypowiedziała już w Europie swe ostatnie słowo“.

Być może, ale tylko do czasu, póki nie zjawią się nowe, oryginalne talenta. Wszakże po Hamlecie narodził się Faust, po Werterze — Płoszowski. Twórczość poetycka nie zna żadnych granic i nie wypowiada nigdy ostatniego słowa. To tylko pewna, że za naszych czasów literatura nie wydała wielkich figur demonicznych, ale dla tego, że nie wydała wielkich kreacyj ludzkich, jak wogóle nie zrodziła poezji w wielkim stylu. Mefistofeles mógł obcować z Faustem, a Lucyfer z Kainem, ale coby robił upadły archanioł w towarzystwie karlich postaci Sardou lub Dumasa syna? Przecież tytanów nie podobna pomieścić w mieszczańskich salonach. A znowu śmiertelna nuda, wiejąca od bohaterów powieści i nowel naturalistycznych zmusiłaby nawet nie-

wybrednego dyabła do ucieczki na same dno piekła. Nie systematy filozoficzne ani prądy społeczne, lecz brak twórczej wyobraźni sprawia, że w poezji współczesnej nie ma ani żywych ludzi, ani demonów. Bo dla stworzenia poetyckiej kreacji anioła, człowieka lub dyabła potrzeba przede wszystkim współdziałania artystycznej fantazyi, a tej nie posiadają pisarze z epoki Ibsena i Zoli. Oni z twórców zeszli na szperaczy i ze smietnisk życia zbierają „dokumenty“, które kiedyś świadczyć mają i świadczyć istotnie będą o smaku skażonym w masach i o niezdolności autorów.

Na szarym końcu książki p. Matuszewskiego znajdujemy rozbiór figur demonicznych w literaturze polskiej. Aczkolwiek już Rej wspomina o dyablach w swoim „Wizerunku“, a Drużbacka alegoryi upadku i odkupienia poświęca ciężki poemat „Forteca“, dopiero jednak epoka Mickiewiczowska usiłowała stworzyć rodzimy typ szatana. Ale romantyzm nasz — twierdzi p. Matuszewski — czerpał soki z dwóch źródeł: jednym była literatura zachodu, drugim zaś, ważniejszym — poezya ludowa. Otóż na punkcie satanizmu wpływy obce wzięły górę nad tradycjami miejscowymi i wykrzywiły zupełnie najpiękniejsze i najoryginalniejsze charaktery rodzimej demonologii polskiej

Jeżeli nadto uwzględnimy takie potężne czynniki, oddziaływające na literaturę, jak wszechwładne panowanie katolicyzmu we wszystkich warstwach narodu polskiego i wysoko rozwinięty kult N. Panny, urywającej łeb szatańskiej hydrze, to zrozumiemy, dla czego mocarz piekielny zeszedł u nas na pospolitego czarta i jowialnego biesa.

Dyabeł polski da się sprowadzić do dwóch typów. Jeden z nich to czart ludowy, kusy dyablik w niemieckich pluderkach, bardziej głupowaty, niżeli szkodliwy, drugi jest biesem o szlacheckim zakroju znanym jako zuchwały zębacz i pijak pod nazwą Boruty.

Pisarze polscy nie wyzyskali tych figur rodzimych w poezyi, gdyż zbyt ubogi znajdowali w nich materiał literacki. Jowialny bies polski nadawał się co najwyżej do poezyi rodzajowo-komicznej, jak to uczynił Mickiewicz w baladzie „Pani Twardowska“, na bohatera tragedyi lub eposu był zbyt powierzchowny i za pospolity. Nadto świetne arcywzory Goetego i Byrona posiadały siłę atrakcyjną. Zwłaszcza Mefistofelesa odtwarzano wielokrotnie, choć z nieszczególnym skutkiem. Korsak, Groza, Kraszewski, Antoni Sowa, nawet Mickiewicz i Słowacki tworzyli getowskie typy szatana. Więcej już oryginalności posiadają Massynisa Kraszińskiego i anioł upadły Romanowskiego. Zmorski w Lesławie chciał dać polskiemu czytelnikowi kreację w rodzaju byronowskiego lucyfera. Ale te wszystkie usiłowania nie wydały w polskiej literaturze ani jednej artystycznie skończonej kreacji szatana

a nawet podanie o Twardowskim nie zostało należycie spożytkowane do celów poezyi.

P. Matuszewski fakt ten zaznacza z żalem i wyrzuca poetom naszym, że mieli pod stopami prawdziwe skarby w podaniach ludowych, a nie korzystali z nich wcale.

Skarbów tych jednak trudno się doszukać. Pierwiastków dumy, grozy, ponurej melancholii i zabójczego pesymizmu, ironii i dowcipu brakło polskiemu czartowi ludowemu, a poeci romantyczni nważaliby sobie za ujmę odtwarzać płaskiego błazna lub poliszynela. Woleli zapatrywać się na obce wzory, bardziej dla nich ponętne i odpowiadające poważnemu nastrojowi ich umysłów. Tylko jaki poeta gawędziarz, pełen jowialnego humoru, jak Pol naprzykład, mógł z powodzeniem uprawiać poezyę o dyable ludowym w jedynie możliwym komicznym rodzaju. To też Pol narysował udatną sylwetkę biesa, co schwytny i kuty na kowadle nie traci jednak animuszu i szlacheckiej buty. Szkoda że na sylwetce poprzestał.

Zapewne p. Matuszewski nie poprzestanie na wydanym zarysie o dyable w literaturze. Materiału do swej książki nagromadził tyle, iż w przyszłości stanie go na spory tom wyczerpującego studjum. Dziś praca jego jest przeładowana treścią faktyczną. Treściwość ta ma tę zaletę, że autor nie bawi się we frazeologię, że każde zdanie jego jest ważne, ale też nie pozwala mu przeprowadzić głębszej analizy tam, gdzie tego sam przedmiot wymaga. Po za tem jednak, książka p. Matuszewskiego, pomyślana oryginalnie i samodzielnie wykonana, zajmuje i uczy. To też zwróciła już na siebie uwagę i powinna autorowi przynieść należne uznanie.

S. KOZŁOWSKI.

„MODLITWA.“

OBRAZ PANA WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO.

Od miesiąca schodzą się tłumy ludzi do gmachu resursy obywatelskiej, gdzie wystawiono na widok publiczny ogromne płótno pana Wacława Szymanowskiego.

Skoro tylko obraz wywiera odrazu jednolite dodatnie wrażenie, można twierdzić, że jest dobry, a przynajmniej, że jest w nim coś, co świadczy nietylko, że malarz ma talent, ale że był „w natchnieniu.” Bo napróżno wykreślamy ze słownika ten wyraz tak dobrze oznaczający to, o co chodziło naszym ojcom, i to, o co teraz chodzi najmłodszym. Do kierunku najmłodszych należy i pan Szymanowski. Widzieliśmy świetną jego „kłótnię Huculów” przed paru laty na wystawie sztuk pięknych, a w Monachium dziwny trochę obraz zatytułowany, zdaje się, „Sielanka”. Z szeregu „uczuć i poczuć” których cały cykl chce podobno p. Szymanowski ułożyć, dwa wspomniane ilustrują uczucia gniewu i miłości; ten, który mamy dzisiaj u siebie przedstawia modlitwę.

W nieokreślonym jakimś, pełnym promiennego pyłu wnętrzu kościelnym kłęczą lud i śpiewa. Wszyscy kłęczą, wszyscy śpiewają, wszyscy zwrócenieni w prawo. W pierwszej linii, wyciągniętej tak prosto, że zdaje się z początku jakby ten szereg był oparty o barjerę dzielącą zwykle presbyterium od głównej nawy, uderzają najprzód trzy postacie kobiece w białych koszulkach i ciemnych spódnicach, sztywne i rozmo-

dłone. Bliżej do widza, w tymże szeregu, młoda kobieta w czerwonej sukni śpiewa na zabój, wykręcając kibić i łamiąc dłonie. Jeszcze bliżej, na pierwszym planie, stary chłop, silny, zpracowany, przejęty pobożną skargą na swą biedę, czołem bije o posadzkę kościelną. Za nim i koło niego kilka kobiet i dziewczyn wiejskich, parę dobrze zcharakteryzowanych męzkich typów ludowych, dalej tłum zбитy, jak bruk z modlących się głów ludzkich.

Ale teraz dwie rzeczy główne. Obraz jest tryptykiem: ramy dzielą go na trzy części, odcinając od opisanego już głównego przedmiotu dwa boczne obrazy, na prawo: ołtarz z zapalonemi świecami i z dymiącą na stopniach kadzielnicą; na lewo: dzwon rozkołysany we wnętrzu dzwonnicy. Przez te trzy części przechodzi ukośnie jedna szeroka struga dziennego światła, padająca niewiadomo z kąd, z jakiegoś niewidzialnego okna po za ołtarzem. Ta rzeka światła tak dalece należy do treści obrazu, że niewłaściwie może wspominać o niej dopiero w tem miejscu, kiedy, idąc zupełnie za doznaniem wrażeniem, trzeba by było zacząć: widziałem ogromny, rozdwojony słup światła, a w nim i t. d.

Oczywiście gra ten promień główną rolę w obrazie; z niego wydo był malarz cały kolorystyczny efekt. Światło oblewa najjaskrawiej aż po pasy trzy postacie kobiece, o których już była mowa. W tej jasnej kąpieli białe koszulki nabierają śnieżystego blasku z tęczowymi odcieniami, twarze bardzo różowe mają na sobie biało błyszczące powierzchnie, cień pod szczęką staje się brudno-żółty, a zanurzone już w pasmo cieniu dalsze części rękawów — błękitno-zielone. Im bliżej do widza, tem bardziej zamierzchają barwy, ze względu, że postacie zacieniają się wzajemnie, albo wychodzą po za granice świetlnej smugi. To oświetlenie, przeprowadzone znakomicie w pierwszym szeregu, w następnych, bardziej „puszczonych“ i na pierwszym planie obrazu tłómaczy się gorzej.

Wolno też artyście malować jak chce, ale mnie się zdaje, że pomysł odcięcia ramą klęczącego ludu od ołtarza, osłabia działanie obrazu, gdyż ołtarz znajduje się mniej więcej tam, gdzie by stać powinien, będąc umieszczony na tem samym płótnie. Za to wnętrze dzwonnicy, zupełnie odrębne od wnętrza sceny głównej, musiało być oddzielone ramą, i prawdziwie poetyczny jest pomysł tego dzwonu co woła z wieży podczas gdy lud śpiewa w kościele: to zbliżenie dwóch wielkich głosów zlewających się w jedną modlitwę. Ale dlaczego do ciemnej dzwonnicy zagląda dalszy ciąg tego samego promienia, który przekreśla wszystkie trzy części tryptyku?—Jakby umyślnie zamącił tem artysta wrażenie swego dzieła. Po oslepiającym, doskonałym efekcie najjaśniejszych plam światła, widz dostrzega dalej tylko mętną światłość

w powietrzu, a już w ciemnym poddaszu nie rozumie zupełnie tego pasma białej farby. Bo każdy widz instynktowo chce realnego prawdopodobieństwa nawet w allegorycznym obrazie, i pyta naprzód: gdzie się to dzieje? w jakim oświeceniu? co ja podobnego kiedy w życiu widziałem?

Tutaj odpowie sobie każdy: Widziałem takie twarze na wsi — są bardzo prawdziwe. Trochę już inne te kobiety w ostrem świetle: koszulki mają zgrabnie ułożone na gorsetach, rysy wyszlachetnione — ale dlaczegoż by takie postacie nie mogły się znaleźć w wiejskim kościele? Bo to przecie wiejski kościół? — Tak — wprawdzie architektura ginie w promiennej mgle, jednak całość tej sceny i tego wnętrza odczuwam wybornie. — Tylko dlaczego ten promień wisi w powietrzu zamiast świecić wszędzie tak zrozumiale jak na twarzach i piersiach przodownic choru? a po co zagląda do dzwonnicy, gdzie wcale nie świeci? Tutaj widz w niepewności tłómaczy sobie promień łączący trzy części obrazu przez symboliczny, literacki pomysł malarza. Kiedy jeszcze usłyszysz, że najjaskrawsze światła mają odpowiadać najwyższym sopranowym tonom, a przechodząc w cień symbolizują coraz grubsze głosy, to przenosi się zupełnie w inne sfery myśli i poczuć, mające, mojem zdaniem, daleki tylko związek z malarstwem.

Tłómaczenia takie, nie pochodząc od autora, mogą być zupełnie błędne i są z mojej strony dygressją. Mówię tu o obrazie widzianym w świetle dziennem, bez lamp i bez akompaniamentu organów, bez sztucznych komentarzy, które dla mnie wartości obrazu nie podnoszą, ale mi go też nie psują, bo jest na szczęście szczerem dziełem talentu, — bez tego wszystkiego. — Drobne niedoskonałości jak pośpieszny rysunek rąk, wątpliwy gdzie-nie-gdzie światłocien, ominięcie trudności określenia grupy perspektywą ścian kościelnych, pewna mglistość i szarość postaci w cień zanurzonych — to kwestye nie dość poważne aby osłabić urok tego obrazu. Bo obraz przenosi w złoty pył wiejskiego kościoła i widać prawdziwy nasz lud wiejski, ludzi spracowanych i pełnych skargi, hoże dziewczyny, zawiedłe kobiety, bezmyślne dzieci i wyższe jakieś postacie dziewicze, przewodniczące modlitwie; cały ten tłum ogarnęła jasność i modlitwa, a dzwon, bije, a kościół grzmi pieśnią: Święty Boże!

Tłómaczyć to można rozmaitemi słowami, ale wrażenia podobnego dozna każdy nieuprzedzony miłośnik sztuki. Ten krok naprzód od pełniającego naturalizmu, ten wzlot plastycznie wyrażonego uczucia, świadczy korzystnie o kierunku monachijskich „secessjonistów“ i pozostanie prawdziwą wartością dzieła pana Szymanowskiego.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Francya i Włochy mają nowe ministerya. W pierwszej objął rządu Casimir Périer, instalując gabinet, do którego nie należą radykalisci. We Włoszech wrócił do władzy Crispi. Zważywszy, że nastąpiło to wkrótce po upadku gabinetu Taaffego w Austryi i zastąpieniu go przez koalicyjne ministeryum ks. Windischgraetza, trzeba się zgodzić, że zmiany gabinetowe z końca bieżącego roku należały do wyjątkowo ciekawych. Austrya dostała rząd, który po raz pierwszy od bardzo dawna opiera się na poważnej liczebnie większości. Francya, zamiast rządów koalicyjnych, które miała od początku prezydentury Grevy'ego, dostaje gabinet jednolity, barwy umiarkowanej. Nareszcie we Włoszech samo nazwisko Crispiego wystarcza do wytłómaczenia zajęcia, jakie obudziła tamtejsza zmiana rządów.

Czy wszystkie trzy fakta mają cokolwiek wspólnego między sobą? W istocie tak jest. Wszystkie one są wyrazem dążności do uporządkowania stosunków z zakresu polityki wewnętrznej, jeśli nie świadectwem pewnego już w tym zakresie postępu. Austrya przez gabinet, oparty na związku trzech stronnictw, wyszła z okresu panowania przypadku w stosunkach parlamentarno-politycznych. Niewiadomo, na jak długo, bo koalicya może się rozchwiać; ale wyszła i uzyskała dowód, że było to, przy umiarkowaniu stronnictw i gotowości ich do ustępstw, możliwem. Francya wyzwoliła się z pod władzy gabinetów mieszanych, które tutaj znowu mieściły w sobie środek słabości rządów, oraz chwiej-

ności w postępowaniu rządowym. Nareszcie Włochy, których położenie finansowe wymaga gwałtownego ratunku, w Crispin szukają tej energii i inicjatywy, których nie byli w stanie wykazać na drodze reform finansowych i administracyjnych bezpośredni poprzednicy Crispiego, Rudini i Giolitti. Gdyby wszystkie trzy gabinety spełniły zadania, w imię których przyszły na świat, odbiło-by się to dodatnio nie na jakiejś pojedynczej sferze stosunków w każdym z trzech państw, ale na całym położeniu ich wewnętrznem. Było-by to tem donioślejsze, że jednocześnie z dążnościami organizacyjnymi występują w sposób coraz widoczniejszy, a coraz bardziej niepokojący dążności destrukcyjne, których jaskrawe objawy ostatnie: posyłki z pociskami do Capriviego i Wilhelma II, bomba, rzucona w teatrze barcelońskim, i bomba w parlamencie w Paryżu, napełniły świat zgrozą i ostrzegły rządy o koniecznej potrzebie obrony przeciw anarchistom.

Nie będziemy tutaj opisywali szczegółów zamachu na paryską izbę deputowanych: wszyscy mają je w świeżej pamięci z relacji pism codziennych. Zwrócimy tylko uwagę na jego następstwa ustawodawcze. Parokrotnie już parlament francuski powoływany był do ograniczenia wolności druku w tem, co dotyczy propagandy anarchicznej, mianowicie po zamachach Ravachola, i po zabicie restauratora Verry'ego; ale zawsze się wahał z przyjęciem wniosków, sądząc, że do wykorzenia zła wystarczą rygory, jakimi już rozporządza prawo. Obecnie, po wybuchu bomby, rzuconej w sali posiedzeń parlamentu przez anarchistę Vaillant'a, izba deputowanych, a za nią senat, uchwały w pośpiesznem tempie trzy ustawy represyjne, z których pierwsza ogranicza swobodę propagandy anarchicznej przez zastosowanie aresztu prewencyjnego do pism tej natury, druga krępuje swobodę stowarzyszeń anarchicznych, trzecia dotyczy wyrobu pocisków. Ustawy te oznaczają karę pięcioletniego więzienia jednakowo i na tych, co fabrykowali pociski, i na uczestników stowarzyszeń, propagujących zamachy dynamitowe, i na zachęcających do takich zamachów, i nawet na wychwalających ustnie już dokonane.

Skrajne skrzydło obozu radykalnego było przeciwne, narówni z socyalistami, uchwalaniu tych wniosków. Były minister spraw zagranicznych, p. Goblet, także przeciwko nim głosował, wychodząc z zasady, że wolność sama jest najlepszym lekarstwem na wszelkie takie choroby, jak anarchizm. Jest to oczywiście złudzenie. Podobne wrzody, jak anarchizm, trzeba przecinać, zgangrenowane miejsca ostrym nożem wykrawać, bo ich samo zdrowe powietrze ustaw normalnych nie usunie. Dlatego też dobrze postąpił rząd francuski, występując z wnioskiem ustaw represyjnych, a parlament—uchwalając je bez odwołki.

Czy jednak będą przedsięwzięte jakie zbiorowe międzynarodowe środki działania przeciw anarchistom, to jest dotychczas rzeczą wątpliwą, bo niektóre państwa, w tej liczbie podobno nawet i Francya, są zdania, że energiczna repressya poszczególnych rządów czyni zbytecznym działanie zbiorowe.

Parlament niemiecki obraduje nad traktatami handlowemi, których zatwierdzenie wykończyło-by plan polityki handlowej, jaką sobie zakreslił rząd Rzeszy. Pomimo silnej opozycyi kół ziemiańskich, parlament uchwalił traktat z Rumunią. Uważane to jest w Berlinie za wskazówkę, że uchwali tę samą większością i pozostałe jeszcze traktaty, mianowicie z Hiszpanią, z Serbią, oraz najważniejszy dla Niemiec, z Rosyją, którego warunki zostały przygotowane na konferencyach specjalnych delegatów obu rządów. Ten ostatni traktat, ważny i pod względem politycznym, bo zjawieniem się swoim usuwający stały powód rozdrażnień między stronami, miał-by pod względem gospodarczym niemałe znaczenie dla rolników naszych. Otworzył-by on granicę niemiecką dla zboża, które dziś wcale prawie przez nie nie przechodzi, a to oddziałało-by dodatnio na ceny, w tej chwili przerażająco niskie.

Ministryum rolnictwa jest już blizkie urzeczywistnienia a jego działalność zapowiada się w bardzo szerokim zakresie. Oprócz ułatwień kredytowych z możliwem uwzględnieniem wszelkich potrzeb dla wzmocnienia i rozwoju gospodarki rolnej, będzie ono miało w swym programie nawet dziedzinę teoretyczną badania zjawisk, wpływających na postęp tudzież wyszukiwanie dróg przeciwdziałających wszelkim wpływom szkodliwym. W tym celu będzie istniał komitet naukowy, przy którym powstaną biura następujące: agronomii, gleboznawstwa, botaniki, zoologi z zootechniką, bakterjologii, entomologii, meteorologii, mechaniki rolniczej i gospodarstwa leśnego. Niezależnie od tego komitet naukowy posiadać będzie dwa oddziały; w zakresie pierwszego, rolniczo-gospodarskiego, wejdzie: organizacya i kontrola tych instytucyi ministryum, które prowadzić będą doświadczenia naukowe dla rozstrzygnięcia różnych kwestyi z zakresu rolnictwa; organizacya badań w laboratoryach, wyszukiwanie środków przeciwdziałających fałszerstwom wszelkiego rodzaju; opracowanie ustaw, planów i programów dla zakładów naukowych i kursów terminowych z zakresu wiedzy rolniczej, nadto organizacya gospodarstw na folwarkach wzorowych, kontrola zakładów naukowych (rolniczo-gospodarskich), stacyi doświadczalnych i meteorologicznych; w końcu — czytanie i ocena dzieł z dziedziny rolnictwa. Drugi oddział poświęcony wyłącznie sprawom leśnym, mianowicie będzie on czuwał i dopomagał wszystkiemu, co tylko zmierza do pielęgnowania, rozwoju, udoskonalenia go-

spodarki leśnej. Towarzystwo leśne, zjazdy, spółki, w końcu wszelkie prace naukowe i poszukiwania teoretyczne. — oto mniej więcej zadanie tego oddziału.

Już sama rozległość powyższych działań świadczy, że do tej wieloramiennej instytucji muszą wejść pracownicy bardzo liczni, fachowo uzdolnieni w różnych gałęziach nauk, wchodzących w zakres rolnictwa i leśnictwa tudzież pokrewnych z niemi. Jakoż na posiedzeniach komitetu naukowego będą obecni dyrektorowie departamentów: leśnego i rolnictwa, zarządzający wydziałami ekonomii miejskiej i statystyki, dyrektorowie instytutów: leśnego, muzeum rolniczego, ogrodu botanicznego, inspektorowie leśni i rolniczy i wielu specjalistów z różnych zakresów. W razie rozstrzygania kwestyi walki z pasorzytami, zapraszani będą członkowie instytutu medycyny doświadczalnej. Przy takim szerokim programie rozgałęzienie działań również jest nieuniknione pod względem administracyjnym. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na konieczność ścisłego zbliżenia całej machinerii ministerjum z doświadczonymi rolnikami, do czego posłuży osobna rada wiejska, w której skład między innymi wejdą ziemianie (w liczbie piętnastu), wybierani corocznie z grona tych, którzy się dali poznać ze swego doświadczenia umiejętności gospodarowania. Tacy członkowie muszą być powoływani z różnych okolic kraju, o ile wnosić można, — z miejscowości zasadniczo się różniących między sobą. Całe państwo, jak wiadomo jest przeważnie rolnicze a jego olbrzymie obszary zamykają w sobie nadzwyczajną różnorodność warunków gleby, klimatu i t. d. Taka różnorodność daje się spostrzegać nawet na mniejszych przestrzeniach. Np. południowa część gub. kijowskiej zasadniczo się różni od północnej: pierwsza o charakterze stepowym i gruncie falistym — czarnoziemna, druga przedstawia płaszczyzny, dość jeszcze obfite w lasy; grunt lekki piaszczysty, zupełny charakter Polesia (powiat radomski i część kijowskiego). To samo widzimy w Królestwie Polskiem. Obszary sandomierskie lub kieleckie posiadają warunki gleby zupełnie inne niżeli gub. warszawska, siedlecka i t. d. Z tego względu stosowanie środków musi być także rozmaite. Uniknąć zaś omyłek można tylko w tym razie, jeżeli każdą taką miejscowość będzie reprezentował obeznany z nią dokładnie wytrawny rolnik. Ma ich w radzie uczestniczyć piętnastu; może ze względu na bardzo rozległe i różnorodne obszary państwa, cyfra ta jest skromną, ale przecież tak złożona i wieloramienna machineria nie może odrazu działać doskonale, bez zarzutu; musi ona być wypróbowaną w praktyce i wtedy dopiero łatwiej będzie prostować niedokładności, czynić uzupełnienia.

Utworzenie ministerium będzie właściwie pierwszym krokiem ku samodzielności rolnictwa. Dotychczas, pomimo że stanowi ono odłam produkcji przeważającej w państwie, że wraz z ludnością włościańską największe zastępy pracowników liczy, jednakże jest zależne od innych o wiele młodszych a potężniejszych działów przemysłu. Któż np. zaprzeczy, iż rolnictwo nie jest na usługach cukrownictwa i to częstokroć na usługach znamionujących silną zależność ziemian od wytworców cukru? Pierwszy protest wywołany chęcią wyzwolenia się z potęgi przemysłowców w będących zawsze panami położenia i dyktujących warunków, zaznaczył się wyraźnie przed rokiem w wystąpieniu plantatorów buraków w Królestwie. O ile wiemy, w większości wywalczyli oni acz nieznaczne ustępstwa. Obecnie zaś, może o wiele więcej zależni niż w Królestwie, plantatorowie w prowincjach czarnoziemnych również głowy podnoszą. Warunki ich są trudniejsze, gdyż tutaj borykali się i borykają właściciele, tam zaś przeważnie dzierżawcy, stanowiący większość faktycznych rolników. Cukrownicy czują swoją potęgę, więc nielatwa z nimi sprawa. Chcąc jeszcze swoje siły finansowe podwoić, zawiązali oni, jak wiadomo, przed kilku laty syndykat który wiele wrzawy narobił wśród zainteresowanych spożywców. Obecnie zaś zjednoczeni zjechali znowu do Kijowa, aby na następne trzylecie układy odświeżyć, a potem, po r. 1897, o ile okaże się potrzebnem, dalej trwać w tej znowie. Uczestnicy syndykatu przypuszczają, że się z nimi połączą dobrowolnie wszystkie cukrownie w państwie, konwencya zaś nie będzie miała charakteru przymusowego. Jak wiadomo, ma ona na celu unormowanie produkcji, a ponieważ wedle obliczenia, ogólna ilość wytworzonego cukru będzie przekraczać cyfrę zapotrzebowania na rynkach wewnętrznych, więc postanowiono utworzyć zapas, 2 miliony pudów, który ma być rozłożony proporcjonalnie do produkcji każdej fabryki. Rezerwa przed wejściem do handlu nie będzie ponosić opłat akcyzowych i da możliwość zaciągania na nią pożyczki w Banku Państwa. Wszelki nadmiar ponad ustanowioną normę fabryki obowiązane będą wywozić za granicę. Przy niniejszem odnawianiu umowy cukrownicy odznaczają się większą jednomyślnością niż poprzednio, co każe przypuszczać, że syndykat znacznie się rozszerzy liczebnie. Ponieważ rząd, jakkolwiek nie proteguje istnienia syndykatu ale ma na względzie przedewszystkiem interesy spożywców, więc dla ich obrony wydelegował przedstawiciela swego na zjazd cukrowników nad Dnieprem. Można zatem mieć nadzieję, że w pewnej mierze będzie pohamowany zamach fabrykantów na kieszenie producentów.

W ubiegłym miesiącu znakomity muzyk russki, Piotr Czajkowski, zmarł w Petersburgu na cholera, w pełni sił bo w 53 roku życia. Był

to kompozytor wszechstronny, we wszystkich dziedzinach muzyki. Twórczość swą zaczął od pieśni, rozwinął się zaś najbardziej i skończył w operze. Najulubieńszą wszakże jego dziedziną była symfonia i symfoniami największe sobie uznanie zdobył. Urodzony roku 1840 w Wotkińsku gub. wiackiej, kształcił się pod kierunkiem profesorów Zaremby i Rubinsteina. Przez tego ostatniego w r. 1866 został powołany do objęcia katedry harmonii, kompozycji i historii w konserwatorium moskiewskim, gdzie pozostawał do r. 1877. Opuściwszy to stanowisko, oddał się całkowicie pracy kompozytorskiej. Największe uznanie i popularność zyskały jego opery następujące: „Wojewoda“, „Oprysznik“, „Ondyna“, „Kowal Wakuła“, „Dziewica orleańska“, „Mazepa“ i „Eugeniusz Onegin“. Dowodem wielkiego uznania był wspaniały i uroczysty pogrzeb, jakiego Petersburg nie pamięta od śmierci Turgieniewa i Dostojewskiego.

Ryszard Roepel zmarł d. 4-go b. m. Był już bardzo stary, i tej śmierci oddawna oczekiwać wypadło.

Urodził się w Gdańsku r. 1808. Wcześniej poświęcił się studjom historycznym, i szczęśliwie trafił do Berlina na początek działalności profesorskiej Ranke'go, ojca nowożytniej historyzofii niemieckiej. Należał on do pierwszej, najświetniejszej generacji Ranke'go; do wybranego grona, gdzie znajdowali się Waitz, Giesebrecht, Sybel, Hermann, Jaffé. Nie był z nich pewnie najwybitniejszym, lecz pod względem sumienności badania nie ustępował żadnemu, pod względem spokoju i bezstronności niejednego prześcigał. Habilitował się w Halli w r. 1834, i tutaj otrzymał wezwanie, aby w podjętej na wielką skalę zbiorowej „Historii państw europejskich“, objął dział polski. Z taką żywością chwycił się tej roboty, że już r. 1830, jako pierwsza część wielkiego wydawnictwa, mogły ukazać się „Dzieje Polski“. Był to początek zaledwie: rzecz doprowadzoną została do Wacława Czeskiego, do wstępu XIV wieku, gdzie świat dopiero zaranie dziejów Rzeczypospolitej. Ale w tym jednym tomie zdumiewająca leżała uczoność i zdumiewająca praca; i ta książka Niemca stanowić miała epokę w historyografii polskiej, którą zarazem wzbogaciła i wyzywała do spółzawodnictwa. Dał Roepel nowy *specimen* tradycyjnej erudycji niemieckiej, sumiennej, gruntownej, która na obcym gruncie umie obcych pouczać; dał dla historyków polskich wzór traktowania najdawniejszych dziejów ojczyźtych.

Niecierpliwie wyczekiwano dalszego ciągu tak pięknej pracy. Roepel nie miał jej dokończyć. W r. 1841 został profesorem we Wrocławiu, książka pozostała fragmentem. Dopiero r. 1863 ukazała się część druga „Dziejów Polski“, ale innego pióra; nie wolno twierdzić,

aby pod względem nauki stała na niższym poziomie, niż pierwsza — wszakże różnica w traktowaniu nazbyt stała się widoczną. „Zdała od wszelkich pobudek postronnych”, z przedmiotowością zupełną „wydać właściwości narodu”, — tak w przedmowie swojej obiecywał Roepel wywiązać się z podjętego zadania. Dotrzymał najdokładniej, co obiecał; a ocenić całkowicie tę zasługę można było lepiej jeszcze, odkąd prof. Caro jął tak srogo rachować się z Łokietkiem, jak gdyby ze społecznym *Reichsfeind*em, i tak starannie umiejszczać doniosłość bitwy pod Płowcami, jak gdyby chodziło o zmycie plamy porażki pod Jeną. Od r. 1861 zasiadał Roepel w pruskiej izbie posłów; w r. 1867 obrany był do sejmu rzeszy, gdzie siedział z narodowo-liberalnymi, leez głosu jego słyhać nie było. Tymczasem o rzeczach polskich nie zapomniał. W XIX tomie *Scriptorum* w monumentach, wydawanych przez Petz'a, ogłosił z wielką starannością wyciągi z Annałów polskich, przeważnie XII — XIV stulecia (1866). Następnie obrany został do akademii umiejętności w Krakowie. Po dłuższej przerwie wystąpił w r. 1876 z książką o „Polsce w połowie w. XVIII“, którą poświęcił akademii krakowskiej. Nie była to rzecz ściśle źródłowa; oprócz niektórych przyczynków, czerpanych z archiwum tajnego berlińskiego, niewiele nowych dostarczała materiałów; jednak była to rzecz znowu pouczająca, sumienna, bezstronna, choć bynajmniej nie szczędząca grzechów upadającej społeczności. A o ile trudniejszą — a więc i cenniejszą — rzeczą była bezstronność dla Niemca, piszącego o XVIII, nie o XIII stuleciu, tłumaczyć byłoby zbytecznem ¹⁾.

Można było przypuszczać, że sędziwy uczonej ostatecznie umilkł. Niespodzianie odezwał się i przy jednej okazji. Przed dwoma laty, na naczelnem miejscu *Historische Zeitstudien*, Sybła, ukazał się większy artykuł pióra Roepel'a. Nie była to praca samodzielna, jakiej od przeszło 80-letniego starca trudno było wymagać; było streszczenie spuścizny pośmiertnej po Kalince (III tomu sejmu czteroletniego), — Wreszcie w r. z. raz jeszcze przypominał się Roepel, ogłaszając treściwe pismo „O elekcyi Stanisława Augusta“ (przedruk z roczników poznańskiego towarzystwa). Był to dalszy ciąg „Polski w XVIII wieku“, gdzie wykład urwany został na zgonie Augusta III-go. Nie wolna od usterek, które sędziwy wiek autora aż nazbyt tłumaczy, wykazała ta ostatnia jego praca te same, co w poprzednich, nietknięte zalety ściśłości i najdokładniejszej bezstronności. Odtąd, o ile wiemy, Roepel przywalony dolegliwościami późnego wieku, więcej nie pisał.

Wielkich zaszczytów urzędowych, o ile nam wiadomo, nie doszedł się zgoda; ani figurą polityczną nie został, ani celniejszych orderów kawalerem, jak tylu jego towarzyszków z ławy uniwersyteckiej.

Wiadomości bibliograficzne.

— *Stanisław Piotrowski*. Syndykaty przemysłowe. Studium ekonomiczne Warszawa 1893.

Autor napisał tę broszurę z powodu rozpowszechniających się za granicą i w państwie ruskim syndykatów (cukrowniczy, zawiązany 1886 r. w Kijowie). Związki te w charakterze czysto przemysłowym (nie handlowe, spekulacyjne) są najnowszej doby. Ponieważ Rosya nie dostarcza jeszcze materiału faktycznego (gdyż większość syndykatów działa skrycie, pod skrzydłami tajemnicy handlowej), więc autor całą rozprawę opiera na materiale, zaczerpniętym z życia ekonomicznego za granicą. Najobfitszych wzorów dostarczają Stany Zjednoczone Ameryki i Niemcy, gdzie syndykaty, mimo zupełnie różnego stanowiska ich wobec prawa i rządów, rozwinęły się szeroko i wytworzyły dwa zupełnie różne typy organizacyi *Trust* i *Verband*. Różnica między przemysłowemi a handlowemi polega na tem, że członkami pierwszych są wytwórcy towaru (właściciele fabryk, rzemieślnicy), uczestnikami zaś drugich — handlujący towarem, a najczęściej spekulanci giełdowi, którzy nie tylko nie trudnią się wytwarzaniem towaru ale najczęściej nie posiadają go wcale. Dla spożywców w obu razach skutek jest ten sam: podniesienie cen towarów. Autor dość szczegółowo rozpatruje zasady i dzieje związków w Ameryce, Niemczech i Anglii, potem cały rozdział poświęca syndykatowi cukrowników w Rosyi; w końcu zastanawia się nad znaczeniem tego rodzaju konwencyi w życiu ekonomicznem, stre-

szcza poglądy różnych pisarzy w tej dziedzinie. Absolutny zakaz tworzenia syndykatów i nałożenie kary kryminalnej są postanowieniami bezskutecznymi, gdyż interesowani pod naciskiem środków hamujących działają skrycie. Żaden sąd nie może określić, gdzie się zaczyna obrona własna, a gdzie wyzysk, kiedy syndykat ceny podnosi, a kiedy je podtrzymuje. Pierwszym warunkiem do zatamowania szkodliwości takich związków, jest ich jawność, połączona z obowiązkiem składania w sądzie umowy pod nieważnością i ogłaszania sprawozdań. Tego właśnie najbardziej się obawiali kierownicy trustów amerykańskich. Unikali oni nawet spisywania protokółów swoich posiedzeń. Ogłoszenia coroczne wypłacanych zysków i rachunków szczegółowych, wykazujących źródła tego zysku (przez porównanie z istotnymi kosztami produkcji), są dla syndykatów rzeczą bardzo niemiłą; są także pobudką do zakładania nowych fabryk po za syndykatem, zwiększania współzawodnictwa i osłabienia monopolu. Wogóle p. Piotrowski radzi zniesienie kar, nakładanych na zmywy przedsiębiorców i usunięcie niebezpieczeństwa dochodzenia kryminalnego, co „wniosłoby w sferę syndykatów nieco więcej dobrej wiary”. Prawodawcze ograniczenie umów syndykalnych jest możliwe, czego dowodzi nasz syndykat cukrowniczy. Z drugiej strony prawodawstwo, zdaniem autora, powinno dbać o zachowanie przez producenta najzupełniejszej swobody należenia lub nie-należenia do syndykatu. P. Piotrowski nie jest bezwzględny wrogiem syndykatów; przyznaje on im rację bytu, jako organizacji, z naturalnych potrzeb produkcji wynikłej i powstaje tylko na dążność spekulacyjną i widzi możliwość złagodzenia formy i charakteru zmywów niniejszych. W obec trudności rozróżnienia złego i dobrego, autor radzi nie zapominać, że syndykaty są zjawiskiem dopiero powstającym, szukającym dotąd najodpowiedniejszych dla siebie form organizacji.

— W wielkim zbiorowym wydawnictwie, podjętem przez firmę F. Fischera, w szeregu historii pojedynczych narodów ukazała się historia polska po angielsku, napisana przez W. R. Morfill'a, znanego z wielu prac w zakresie historii i literatury polskiej. Dzieło, starannie wydane, ozdobione jest licznymi drzeworytami. Zawiera: historię polityczną, opis urzędzeń polityczno-społecznych, wreszcie osobny dział, poświęcony literaturze od najdawniejszych do najnowszych czasów.

— „Encyklopedyi Rolniczej” zeszyt XXVIII wyszedł z druku i zawiera dalszy ciąg „Gorzelnictwa”.

— Zeszyt 145 „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego” rozpoczynający tom XIII tego wydawnictwa opuścił prasę.

— Tom XII „Wisły”, m. Kwiecień, Maj, Czerwiec r. b. zawiera następujące prace: L. Krzywickiego, „Rola zwierząt w pojęciu pierwotnej umysłowości”; M. R. Witanowskiego „Z rodzinnej niwy”; Wł. Olechnowicza „Mieszczanie i mieszczańki”; Ks. A. Pl. „Przyczynek do art. *Thactwo*”; Ks. Wł. Siarkowskiego „Przyczynek do materyałów o stroju chlopskim”; J. Kiborta „Zmujdzkie prawo bartnicze”; Dra Karola Matyasa „Epizod z wesela w Saudeckim”; Rafała Lubicza „Do Bajki węgierskiej”; R. L., Do art. I. Franki „Wojna żydowska”; tegoż „Rogi jelenie”; Zyg. Wolskiego „Przyczynek do podania „O prawdzie Osieckiej” J. Kiborta „Charakterystyczne wyrażenia Żmujdzkie”; Dr. H. Biegeleisena „Ze studyów nad pieśniami i obrzędami weselnymi”; Szczęsnego Jastrzębowskiego „Mowa zapraszająca na wesele”; R. L. „Ofiary z ludzi”; Włodzimierza Bugła „Tło ludowe Balladyny”; Wojciecha Tatara „Wesele w Bierkowie”; M. R. Witanowskiego „Chłop jako satyryk“.

— Redakcja „Ruskiej myśli“ wydała w przekładzie p. Ławrowa tom „Szkiecy z podróży“ Henryka Sienkiewicza, zawierający listy z Afryki, z Wenecyi, z Rzymu i z Nervi. Tłómaczenie nader staranne oddaje wiernie nastrój oryginału.

— W ostatniach zeszytach paryskiego „Revue des Revues“ Redakcja zapowiada, że dytychezasowy miesięcznik przekształca się na dwutygodnik, co jest oczywiście oznaką niezwykłego powodzenia tej publikacyi.

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.“ następujące książki:

- Bibosz. „Milion toastów“. Część pierwsza.
- Gostomski Walery. Arcydzieło poezyi polskiej: A. Mickiewicza „Pan Tadeusz“. Studium krytyczne.
- Graybner S. „Mamin synek“. Powieść oryginalna w trzech częściach.
- Kosiakiewicz Wincenty. „Władek“. Powieść.
- Kraszewski J. I. Wybór pism. Oddział IX. Zarysy społeczne, poprzedzone wstępem krytycznym przez Piotra Chmielowskiego. Lewental.
- Rhoden Emma. „Przekora“. Opowiadania dla młodych dziewcząt.
- Statter A. „Fizyka“, popularnie ułożona. Z niemieckiego przełożył Wł. Kozłowski. Z licznymi drzeworytami w tekście.
- Szybiński Władysław. „Sztuczne nawozy“.

- Tellet Roy. „Kropla wody letejskiej“. Powieść. Przekład z angielskiego Maryi Faleńskiej.
- „Wesoły pasażer“. Kartki dobrego humoru dla wszystkich.
- Bourget Paweł. „Ziemia obiecana“. Romans.
- Dygasiński Adolf. „Na złamanie karku“. Powieść. Lewental.
- Jawornicki Aleksander M. „Synowie Kaina“. Powieść z niedawnej przeszłości. Paprocki.
- Liguori Alfons. Droga uświętobliwania. 3 tomy. (Tom I. O dążeniu do doskonałości. Tom. II. O cnotach i radach ewangelicznych. Tom. III. O ćwiczeniach duchownych). Wydanie trzecie, poprawione.
- Fulman Ks. Maryan. „Skarbiec odpustowy, czyli zbiór modlitw odpustowych, z odpowiedniami uwagami do codziennego użytku. Wydanie nowe. Warszawa.
- „Katechizm, odmawiany z ludem po parafiach dycezyi kujawsko-kaliskiej. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione. Włocławek.
- Prażmowska Teresa. „Podarek babci“. Z ilustracyami H. Piątkowskiego. Warszawa.
- Wilezyński Bolesław. „Historja muzyki w krótkim zarysie. Warszawa.
- Zygmunt J. A. „Nowy zbiór powinszowań do użytku młodzieży, oraz wierszy okolicznościowych dla osób dorosłych“. Wydanie piąte znacznie powiększone.
- „Żeby nie chorować“. Poradnik dla tych, którzy chcą żyć długo, a zdrowo. (Skarbiec wiedzy).
- Chassang A. i A. L. Marcou. Epos. Arcydzieła poezyi epicznej wszystkich czasów i narodów. Przełożył i uzupełnił A. Lange. Paprocki.
- „Chwalebny Bóg w świętych swoich“. Nowenna na cześć wielkiego patriarchy Benedykta Świętego. Warszawa.
- Rozwadowski dr. Jan. „Łacińskie słowa pochodne, urobione z pnia imiesłowu biernego na—to.
- Rydygier prof. I. „Podręcznik chirurgii szczegółowej“.
- Stebelski Piotr. „Ze statystyki przestępczości Galicji“.
- Sternbach Leo. „Gnomologium Parisinum ineditum“. Appendix Vaticana.
- Suligowski Mieczysław. „O najnowszych postępach w technice oświetlenia gazowego.
- Szymanowski Wacław. „Ostatnia próba“. Obrazek dramatyczny w 1-ym akcie. Warszawa.
- Załewski Kazimierz. „Prawa serca“. Sztuka w 4-ch aktach. Warszawa.
- Zgliński D. „Jakób Warka“. Dramat w 4-ch aktach, odznaczony na konkursie „Kuryera Warszawskiego“.

- Windakiewicz dr. Stanisław. Mikołaj z Wilkowiecka. „Historja o chwalebnyem zmartwychwstaniu Pańskim.
- Filochowski ks. R. „Doktorowie kościoła“.
- Gromek Magdalena. „Pieśń o zgodzeniu się z wolą Bożą i o Matce Boskiej“.
- Honorat O. Kapucyn. „Krótki sposób pożytecznego odmawiania różańca po jednym dziesiątku codziennie“.
- Kaunas ks. Józef. „Rozaniec o N. M. Pannie do wspólnego odmawiania pod przewodnictwem kapłana w miesiącu październiku“.
- Kozłowski W. M. „Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie“. (Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche).
- Niemcewicz Jul. Ursyn. „Śpiewy historyczne“. Wydanie nowe. Petersburg.
- Rodziewiczówna Marya. „Na fali“. Powieść współczesna. Warszawa.
- Zieleniewski W. Michał. „Uzdrowiska, czyli staey klinatyczno-lecznicze krajowe“. Warszawa.
- Żórawski Kazimierz. „Drobne przyczynki do teoryi przekształcenia i jej zastosowań“.
- „Zbiór praw Królestwa Polskiego“, wydanie Stefana Godlewskiego. (Tom XLVI), obejmujący prawa i rozporządzenia rządu za drugie półrocze r. 1892.
- Czesław Jankowski. „Po Europie, kartki z podróży“, Warszawa 1893, nakładem Gebethnera i Wolffa.
- „Wyboru Pism“ Klemensa Junoszy. Tom V zawiera: „Oryginał z Piskorzewa“, „Folwark do sprzedania“, „Spekulacye Pani Mikulskiej“, „Icek Podwójny“.
- „Kalendarz Kolęda“ na r. 1894, dla gospodyni, przez autorkę 365 obiadów.
- „Kukuryku“! Wesoły kalendarzyk humorystyczny na r. 1894.
- „Satyr“. Ilustrowany kalendarz humorystyczny, na r. 1894.
- „Tramwaj“. Kalendarz humorystyczny na r. 1894.
- „Kalendarz astronomiczno-ziemiański“ na r. zwyczajny 1894.
- Kalendarz domowy i gospodarski na r. zwyczajny 1894. Rok XXVI.
- „Wioślarka“. Kalendarz humorystyczno-ilustrowany na r. 1894.
- Kalendarz humorystyczny ilustrowany, wydany staraniem redakcyi „Kurye-Świątecznego“ na r. 1894.
- Kalendarz „Wiek“, ilustrowany na r. 1894. Rok X.
- Kalendarz ilustrowany „Dla wszystkich“ na r. 1894.
- „Kalendarz lekarski“ na r. 1894, pod redakcyą J. Polaka.
- „Kalendarz rolniczy“ wydany staraniem Antoniego Strzeleckiego na r. 1894. Wydawnictwa r. XXIV, 2 tomy.

- „Kalendarz Warszawski“ popularno-naukowy Ungra na r. 1894. Rok XLIX.
- „Warszawianka“. Kalendarz „Kołców“ na r. 1894. Wydawnictwa r. XIII.
- „Dyabełek“, wesoły kalendarzyk humorystyczny na r. 1894, pod redakcją Krogulca.
- Kalendarz dla cukrowników na r. 1893/4, wydany staraniem Jana Piaseckiego i Stanisława Broniewskiego. Oprócz zwyczajnej rubryki, obejmuje kontrole fabryczne, tablice porównawcze i do obliczeń, statystykę, bibliografię i t. d.
- Kalendarz lubelski, wydawany przez M. Kossakowską na r. 1894. Rok XXVI.
- „Figaro“. Kalendarz humorystyczny, wydawany przez M. P. Magnuskiego.
- Orzeszkowa Eliza. „Dwa bieguny“. Powieść w 1-ym tomie. Petersburg. Grendyszyński.
- Mycielski Maurycy. „W ich ślady“, szkic powieściowy w 1-ym tomie. Petersburg. Grendyszyński.
- Gruszecki Artur. „Tuzy“. Powieść. Warszawa.
- Gamaston. „Lamparcie życie“, opowiadanie ze wspomnień studenckich. Petersburg.
- Ceysinger Helena. „Ze znalezionych kartek“. Powieść. Warszawa. Paprocki 1894.
- Weychertówna Wł. „Dla młodzieży“. Książeczka dla tych, którzy chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku. Warszawa.
- Cordelia. „Mali bohaterowie“ (Piccoli eroi). Książka dla dzieci. Przekład z włoskiego Zofii Sokołowskiej. Warszawa, Paprocki 1894.
- Teresa Jadwiga. „Ognisko rodzinne“. Powieść dla młodzieży (z rysunkami). Warszawa, Paprocki. 1894.
- Dr. Migula. „Bakterye“, przekład dra M. Flauma, Warszawa, nakładem S. Lewentała.
- Dr. Rudolf Hering. „Walka o prawo“, tłumaczenie Bohdana K. Petersburg 1893, u K. Grendyszyńskiego.

Sprostowanie.

W artykule, zamieszczonym w zeszycie Listopadowym „Biblioteki“ p. t. *Juljusz Słowacki i Marya Wodzińska*, wkrađła się pomyłka, którą niniejszem prostujemy, a mianowicie, że rzeczona pani Marya Wodzińska jest wdową nie po dwóch, lecz po jednym mężu, t. j. po Władysławie Orpiszewskim, obywatelu ziemskim powiatu Włocławskiego, nie zaś po Ludwiku, znanym z pism i działalności zagranicą.

REDAKCJA.

KĄDZY PRENUMERATOR MA PRAWO WYDRUKOWAĆ DARMO CO KWARTAŁ OGŁOSZENIE OBJĘTOŚCI 10 WIERSZY PETITOWYCH.

Istniejący rok setny dwudziesty pierwszy

Dziennik Polityczno-Spoleczno-Literacki

„Gazeta Warszawska“

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy.“

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem — jest więc pismem najwcześniejszym dochodzącym na prowincję.

z wielkich gazet warszawskich najtańszem.

TREŚĆ PISMA:

Artykuły wstępne, poświęcone sprawom krajowym i zagranicznym. — Artykuły luźne z dziedziny objawów życia społecznego, ekonomicznego rozwoju kraju, rolnictwa i t. p. — Korespondencje z różnych stron Państwa, korespondencje stałe z Krakowa, Lwowa, Pragi, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu i t. p. — Felieton poświęcony sprawom teatru, muzyce, sprawozdaniom ze sztuk pięknych. — Kroniki miesięczne z Paryża i Wiednia. — Sprawozdania z ruchu książkowego i literackiego w kraju i za granicą. — Notatki literackie, jako wskazówki dla chcących się zapoznać z ruchem literackim. — W felietonie powieści i nowelle oryginalne i tłumaczone. — Kronika sądowa. — Telegramy: własne i Agencji Północnej. — Sprawozdania z ruchu handlowego i przemysłowego. — Ceny zboża i produktów rolniczych na rozmaitych rynkach Państwa (Odesa, Libawa, Ryga) i zagranicą.

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej“

W Warszawie: rocznie 9 rubli, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75. Za odnoszenie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3 — łącznie z przesyłką pocztową.

Przedpłata przyjmuje się od każdego 1-go miesiąca według kalendarza nowego stylu.

Za wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce 8 kopiejek. Wiersz reklamy 20 kop.

ADRES: Redakcja „Gazety Warszawskiej“

WARSZAWA, NOWY-SWIAT Nr. 34.

Redaktor i Wydawca St. Lesznowski.

W ciągu roku wychodzi 343 razy.

KĄDZY PRENUMERATOR MA PRAWO WYDRUKOWAĆ DARMO CO KWARTAŁ OGŁOSZENIE OBJĘTOŚCI 10 WIERSZY PETITOWYCH.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM
Z ROKU 1893.

Filozofia.

Str.

Uzdolnienie i rozwój umysłu filozoficznego, przez prof. Henryka Struwego. 458

Historya.

Kobiety na dworze Czelryńskim w drugiej połowie XVII-go wieku (dokończenie), przez d-ra Antoniego J. 84

Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. VII. Wiersze zbieranej drużyny, przez prof. A. Brücknera. 409

Znaczenie badań katakumbowych dla historii, sztuki i religii, przez ks. prof. Bilczewskiego 496

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Socyalizm państwowy w Niemczech (dokończenie), przez Karola Rosego . 122

Wiedza prawno-ekonomiczna na zjeździe naukowym, przez Tadeusza Smarzewskiego. 319

Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki. VIII. Kierownictwo armią. IX. Na polu walki, przez Jana Blocha 1 i 221

Kwestya upadającej własności ziemskiej, przez A. Kłobukowskiego . . 510

II

Literatura.

	<i>Str.</i>
Rodzina Połanieckich, powieść, przez Henryka Sienkiewicza	56, 334 i 548
Z Grecyi, poezye, przez J. Weysenhoffa	561

Studia i szkice literackie i artystyczne.

Juliusz Słowacki i Marya Wodzińska, przez d-ra Henryka Biegeleisena	201
Poeta uwiecznony, według nowej książki, przez Kazimierza Kaszewskiego	345
Koniec epepei, przez W. Bogusławskiego	569
„Modlitwa,“ obraz Wacława Szymanowskiego, przez J. W.	604

Nauki przyrodnicze.

Dobór naturalny w rozwoju ustroju społecznego, przez d-ra Józefa Nuss- bauma	44
Symbioza w świecie roślinnym, przez d-ra Stefana Jentysa	281

Krytyka.

Marquis d'Aragon: „Le Prince de Nassau-Siegen d'après sa correspon- dence inédite 1784 — 89“ i „Jahrbuch der Goethe-Gesellschaft,“ przez Szymona Askenazego	148 i 152
„Wydawnictwa petersburskiej komisji archeologicznej,“ przez Ad. Da- rowskiego	154
J. W., M. P., C. B. i C. N.: „Podręcznik do systematycznego dyktanda według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie“ i Stanisława Pałko: „Wykład pisowni polskiej według uchwał Akademii Umie- jętności w Krakowie,“ przez Edw. Gr.	157
Dr Max Kirmis: „Handbuch der polnischen Münzkunde,“ przez Józefa Przyborowskiego	368
Henryk Gliński: „Pogadanka o teatrze“ i Gabriela Zapolska: „We krwi,“ powieść w 2 tomach, przez W. Kosiakiewicza	159 i 379
Ks. Jan Fijolek: „Średniowieczne ustawodawstwo synodalne biskupów polskich. I. Życie i obyczaje kleru w Polsce średniowiecznej na tle ustawodawstwa synodalnego,“ przez A. Rembowskiego	590
I. Matuszewski: „Dyabeł w poezyi,“ studjum, przez St. Kozłowskiego	595

Kronika zagraniczna.

Galicyjska, przez U. Stan urodzajów i zbiorów rolniczych w Galicyi
i wpływ na nie spraw cłowych między Rossyą a Niemcami. Cho-

lera i jej obecny stopień natężenia. Bezrobocie mularzy we Lwowie. Wystawa krajowa 1894 r. Teatr lwowski	110
<i>Paryska.</i> Pamiętniki kanclerza Pasquier'a. Powrót popularności Lamartine'a i studia pp. Deschanel'a i Rayssie. Zdanie Bourget'a o tym zwrocie w poezyi. Dwudziesty szósty tom zbioru wielkich pisarzy francuskich: Wiktor Hugo, opracowany przez Leopolda Mabileau. „Toute la lyre“ Wiktora Hugo. „Podróż za morza“ Bertrandona de Brocquère, wydana przez p. Scheffera, członka Instytutu francuskiego. Przekład francuski rozprawy Cezara Lombroso o psychologii kobiety. „Les artistes célèbres“ i Charlet. Ilustrator Raffet. Albumy Konstantego Chmielińskiego (Constant de Tours)	261
<i>Wiedeńska,</i> przez E. Lipnickiego. Upadek gabinetu Taaffego i reforma wyborcza. Nowe ministeryum. „Państwo Habsburgów“ Whitmana. Pamiętniki Arnetha	440

Kronika miesięczna.

<i>Październik.</i> Cesarz Wilhelm, król saski i książę regent bawarski na manewrach w Güns, jako goście cesarza Franciszka Józefa. Sprawa wyciągnięcia przez cesarza Wilhelma ręki do ks. Bismarcka. Stan obleżenia w Pradze czeskiej. Zjazd leśny w Kijowie i środki przeciw niszczeniu lasów. Brak fachowców w różnych dziedzinach. Reforma instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi. Czujność sanitarna w dziedzinie handlu. Falszowanie herbaty. Nizkie wynagrodzenie lekarzy dozorujących fabryki. Kwestyonaryusz „Kroniki Lekarskiej.“ Środki przeciw szkodliwemu działaniu felezerów. Dola farmaceutów. Głosy powątpiewania co do odżywczego wpływu wsi na organizm ludzki. Stan letnich mieszkań. Wystawa higieniczna w Petersburgu. Wystawa w Chicago i kongresy. Projekt sprowadzenia Eusapii Palladino i swoboda badania. Uwagi p. J. Wojewódzkiego o stronie psychicznej spirytystów. Wystawa w Wilnie.	162
<i>Listopad.</i> Uroczystości Tulońskie. Upadek gabinetu przedlitawskiego i projekt reformy wyborczej. Sezon wyścigowy. Zjazdy koleżeńskie jako przyczynek do bilansu sił krajowych. Sklepikarstwo. Zabezpieczenie bytu pracowników w zakładach górniczych. Poprawa losu oficyalistów wiejskich i projekt p. Napiórkowskiego. Środki zapobiegające wypadkom z dziećmi po wsiach i osadach. Konkurs „Gazety Radomskiej.“ Rozwój Muzeum rzemieślniczego. Wystawa skór. Zmarli: Andriolli, Tymoteusz Radziszewski i Aleksander Messyng	384
<i>Grudzień.</i> Nowe gabinety we Francyi i we Włoszech. Porządkowanie stosunków wewnętrznych. Zamach w parlamencie w Paryżu. Środki represyjne. Traktaty handlowe niemieckie. Kwestya układów celnych między Rosyą i Niemcami w Towarzystwie przemysłu i handlu w Petersburgu. Zabiegi naszych ziemian i delegacya melio-	

IV

	Str.
racyjna. Projektowane w Petersburgu ministeryum rolnictwa.	
Syndykat cukrowników. Zmarli: Piotr Czajkowski, Ryszard	
Roepel	607

Wiadomości bibliograficzne.

Październik.	189
Listopad	404
Grudzień	614



Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weysenhoff.